



# SEDINUM

Wiadomość z podziemi

LESZEK HERMAN



LESZEK HERMAN

# **S**EDINUM

**Wiadomość z podziemi**

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE  
MUZA SA

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Ita Turowicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

© by Leszek Herman

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2015

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora.

Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-287-0113-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2015

Wydanie I

*Gdzie przyjaciele, tam bogactwo.*

Kwintilian

# Spis treści

[Prolog \(piątek\)](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2 \(sobota\)](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6 \(niedziela\)](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8 \(poniedziałek\)](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12 \(wtorek\)](#)

[Rozdział 13 \(środa\)](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16 \(czwartek\)](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19 \(piątek\)](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27 \(sobota\)](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

## Prolog (piątek)

Do północy pozostała godzina i dwadzieścia minut, gdy portier siedmiokondygnacyjnego biurowca położonego przy ruchliwym placu w samym centrum miasta poczuł, jak podłoga pod jego nogami lekko drgnęła. Oderwał wzrok od ekranu i zamarł. Na jednym z kanałów zaczynała się właśnie jatka w powtarzanym po raz trzeci w tym miesiącu niskobudżetowym horrorze. Przez chwilę siedział nieruchomo. Na moment przestał przeżuwać kanapkę z kurczakiem, którą dwie godziny temu, idąc na nocną zmianę, kupił w KFC. Popatrzył na szarą wykładzinę, zastanawiając się, czy nie powinien zejść na dół na parking, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, po czym spojrział w kierunku wejścia.

Przed budynkiem przetoczył się z hukiem wielki tir z naczepą, kierując się w stronę alei Wojska Polskiego. Przed wielkimi szklanymi drzwiami, oddzielającymi hall od szerokiego chodnika, przeszła, głośno się śmiejąc, grupka lekko wstawionej młodzieży.

– Powinni zamknąć ruch w centrum dla tych tirów – burknął do siebie i wrócił do śledzenia akcji w amerykańskim dreszczowcu.

\*

Cztery piętra wyżej, przy wielkim półkolistym biurku, dziewczyna z burzą zmierzwionych brązowych włosów przerzucała strony specyfikacji technicznej nowego modelu urządzenia do laserowego pomiaru wilgotności, które duża angielska firma wprowadzała właśnie na polski rynek. Artykuł zapowiadał się tak nieprawdopodobnie nudny, że bała się, iż ktoś popełni samobójstwo po jego przeczytaniu, dzięki czemu powiedzenie „umrzeć z nudów” przestanie być za jej sprawą przenośnią. Nie miała najmniejszej ochoty o tym pisać, ale dostała ten temat, bo większość materiału była po niemiecku. I to w specjalistycznym, technicznym żargonie. Artykuł miał być gotowy na następny tydzień. A następny tydzień zaczynał się za dwa dni.

Odłożyła stronę z niemieckim tekstem, który interesował ją w stopniu tak niewielkim, że ledwo mogła na nim skupić uwagę, i przetarła oczy. Godzinę temu dzwonił jej ojciec, żeby zapytać, czy zamierza dziś wrócić. Dawno by już stąd wyszła, ale bała się, że w poniedziałek redaktor naczelny gazety, w której siedzibie spędzała ten uroczy piątkowy wieczór, zrobi jej prawdziwe piekło, jeśli nie dostanie skończonego tekstu do redakcji. Nie pracowała tutaj na stałe. Gazeta nie miała wolnych etatów, tak przynajmniej twierdziło szefostwo, mieli jednak na tyle dużo pracy, by dość często korzystać z jej usług na zasadzie umowy o dzieło. Nie bez znaczenia był fakt, że jej szef chętnie by zmienił rodzaj ich wzajemnych stosunków. Ta relacja zaczynała już ją męczyć. Nie dawała mu żadnych powodów do tego, żeby sobie coś obiecywał, po prostu dobrze wykonywała zlecenia, które jej podsyłał, ale bała się, że jakoś to wszystko zmierza w złą stronę. Tym bardziej, że jej się podobał. Przystojny, wysoki ciemny blondyn. Cztery lata po ślubie.

I tym bardziej, że obiecywał jej stały etat, a ona na to po cichu liczyła.

Trochę ją to wszystko dołowało, ale te – najczęściej koszmarne, za to dobrze płatne – tematy były na tyle regularne, że stanowiły dość znaczny procent jej dochodów. Szef przysyłał jej skomplikowane, najczęściej sponsorowane teksty techniczne, które sprawiały problem większości tutejszych dziennikarzy po filologii, filozofii albo naukach społecznych. Jej nie. Ukończyła politechnikę i przez cztery lata pracowała w Londynie w dużej firmie produkującej sprzęt budowlany, dla której tłumaczyła dokumentację na polski rynek.

Tęskniła jednak za krajem i przyjaciółmi. Wolała wrócić do Szczecina.

Cholera wie po co, pomyślała, wstając od biurka, żeby wyciągnąć z drukarki kilka stron opisu z dokumentacji technicznej.

Ostatnio ciągle czuła się zmęczona. Odkąd wróciła, stale towarzyszyło jej niezadowolenie. Najczęściej z siebie. Rekompensowała to sobie w niewielkim stopniu pracą w redakcji szczecińskiego portalu internetowego. Kolejna umowa o dzieło, ale przynajmniej satysfakcjonująca.

A na emeryturze będąc żebrać, skrzywiła się, siadając z powrotem przed swoim kieratem. Spojrzała w wielkie okno, w którym odbijało się biurko, stos papierów na nim i otwarty laptop. I ona sama. Miała zmęczoną twarz i potargane włosy. Pomyślała, że jak tylko odda w poniedziałek tekst, musi coś ze sobą zrobić. Peeling, fryzjer...



Raczej ekshumacja. Przeczesła włosy palcami, patrząc w swoje odbicie. Odbicie drgnęło.

Poczuła pod stopami, jakby miękka wykładzina zafalowała. Wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać. Pewnie jakiś wypadek. Miesiąc temu mercedes vito wjechał w szybę witryny kawiarni na parterze. Mnóstwo ludzi miało świetny pretekst, żeby oderwać się od pracy.

\*

Kilkaset metrów dalej, na poddaszu kamienicy przy parku Żeromskiego, Igor Fleming, wysoki, szczupły – albo chudy, jak utrzymywała jego matka – brunet, dźwignął się z sofy i począpał w kierunku dwudrzwiowej lodówki. Wyjął z niej zieloną puszkę, przez chwilę spoglądał tęsknym okiem na czekoladowy jogurt, po czym zamknął drzwi. Podjadanie o tej porze nie kończy się dobrze dla paska od spodni. Myśl, że piwo wywołuje podobny efekt, odsunął od siebie z niesmakiem. No, bo kto może sobie odmówić piwa w piątek wieczorem?

Wrócił przed telewizor i rozłożył się na kanapie, kładąc długie nogi na oparciu. Czuł, jak zmęczenie powoli rozlewa się w nim wraz z wywołanym drugą puszką piwa relaksującym, miłym poczuciem lekkości.

Piątkowy wieczór. Nie miał ochoty na nic innego poza leżeniem przed telewizorem i oglądaniem byle czego. Znajomi wybierali się do klubu i bite dwie godziny molestowali go telefonami, a później, gdy przestał odbierać, esemesami, usiłując nakłonić go do zmiany decyzji.

Wieczór tylko dla siebie, który i tak, jak wiedział, straci na oglądaniu powtórek, a potem pójdzie spać. Nieważne, dochodziła jedenasta i teraz było mu dobrze. Należało mu się. Dzisiaj był ważny dzień. Udało mu się skończyć duży, mocno spóźniony projekt i oddać inwestorowi, który od miesiąca dawał wyraźne sygnały, że traci cierpliwość. Projekt, który kosztował go sporo nerwów i zdrowia. Teraz natomiast sporo nerwów i zdrowia straci, czekając na realizację faktury. Zawsze tak było.

W niskobudżetowym horrorze zaczynała się właśnie krwawa jatka. Igor skrzywił się, sięgnął po pilota i zaczął przerzucać kanały w poszukiwaniu czegoś ciekawszego.

\*

Siedmiokondygnacyjny biurowiec oddany został do użytku całkiem niedawno. Zajmował sporą narożną działkę, na której przed wojną stały dwie eleganckie kamienice, a po wojnie popularne „koguciki”, czyli obskurne drewniane budy z piwem i tostami. Kilka lat wcześniej cały teren na preferencyjnych warunkach wydzierżawił tajemniczy Hiszpan, którego lukrowane przez miejskich urzędników plany budowy nowoczesnego gmachu skończyły się na zapowiedziach. Gdy więc po latach zainteresowanie placem, ogrodzonym walącym się płotem, okazała szwedzka firma, miejscy decydenci, byle tylko odebrać dziennikarzom temat do nieustannego nękania urzędu, gotowi byli przychylić Szwedom nieba. Posunęli się nawet do tego, że do tworzonego właśnie planu zagospodarowania tej części śródmieścia przemycili jeden, ale za to bardzo istotny zapis, który umożliwił cofnięcie budynku, dzięki czemu jego realizacja – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – potaniała o dobrych kilkaset tysięcy złotych, których nie trzeba było wydawać na zabezpieczenie ulicy, przejścia dla pieszych i zwężanie na czas budowy jezdni.

Budowa gmachu poprzedzona została rozdmuchaną akcją promocyjną i jeszcze w fazie projektowania wzbudziła wiele kontrowersji. Podstawowy zarzut dotyczył banalności architektury, wkomponowanej w miejsce, które aż prosiło się o bardziej indywidualne potraktowanie. Gmach posiadał żelbetowy szkielet, na którym rozpięta była tkanka kolorowych płyt elewacyjnych i hartowanego szkła.

Tuż obok stała stara kamienica, zamieniona po wojnie na hotel, która mimo że kilka lat temu przeszła gruntowny remont i zmieniła ponownie przeznaczenie, tym razem na biurowiec, nadal siłą przyzwyczajenia nazywana była hotelem.

Tymczasem dochodziła dwudziesta trzecia. Miasto wypełniało się wesołymi i niezbyt trzeźwymi tłumem młodych ludzi, ożywionych radością z pięknej pogody i rozpoczynającego się weekendu.

W oknach biurowca paliły się pojedyncze światła, rozsiane bez żadnego ładu po całej elewacji. Na piątym piętrze szczupła szatynka zdecydowanym ruchem zatrzasnęła pokrywę laptopa, zgarnęła plik papierów do czarnej skórzanej torby i wstała od biurka. Przeszła się po całym biurze, gasząc lampy przy biurkach i wyłączając monitory. Przewiesiła torbę przez ramię, dźwignęła torbę na laptopa i sięgnęła po klucze od biura oraz kluczyki od samochodu. Na moment przystanąła. Wróciła do biurka, odłożyła torbę,

sięgnęła po laptopa i wepchnąwszy go do środka, zabrała wszystko i ruszyła ku drzwiom. Włączyła alarm i skierowała się do windy. Światła w kilku oknach piątego piętra zgasły.

Miała na imię Paulina. Lubiała wysiąść na parterze, pożegnać się z portierem i na parking zejść schodami, ale dziś postanowiła zjechać na sam dół. Czowała się wymięta i zmęczona, chciała, niezauważona, wsiąść do swojej micry i jak najszybciej dostać się na Pogodno.

Drzwi windy otworzyły się bezszelestnie na najniższym poziomie i parking zalało światło. Nie znosiła tej jednej sekundy, kiedy po otwarciu drzwi na zewnątrz wokół panowała jeszcze kompletna ciemność. Ten motyw powtarzał się w tylu horrorach, że ilekroć tu zjeżdżała, starała się patrzeć w inną stronę, aż do momentu, gdy zapalały się światła. Na szczęście gazeta miała swoje cztery miejsca parkingowe blisko windy. O tej godzinie mogła parkować na miejscu Pawła, którego po siedemnastej nigdy w redakcji już nie było. Po wyjściu na zewnątrz skręciła w prawo, kierując się na koniec parkingu. Pod ścianą, osamotniona w pustym garażu, stała jej zielona micra.

Światło w korytarzu przy windzie zgasło.

Żeby ich pogięło z tą automatyką! Sięgnęła do kieszeni, szukając nerwowo kluczyków. Wyjęła je i nacisnęła przycisk pilota. Samochód pisnął i błysnął światłami, które na chwilę oświetliły ścianę naprzeciwko. Sporo za wysoko. No jasne, źle ustawione, a wydawało się, że dopiero co wóz był na przeglądzie.

Chciała obejść samochód i złapać za klamkę, ale jej uwagę zwróciło jego dziwne ustawienie. Jakby przód stał wyżej. Postawiła torbę z laptopem na posadzce. Poczowała się zaniepokojona i zirytowana jednocześnie. Bardzo chciała być już w domu. Pochyliła się i spojrzała pod koła. Tylne prawe stało wyraźnie niżej.

Guma, jęknęła w duchu. Żeby to jasny szlag trafił!

Wyprostowała się, automatycznie sięgając po komórkę, po czym zreflektowała się, że jest za późno, aby prosić brata lub ojca o pomoc. Jakoś sobie poradzi. Taka karma. Fatalna praca, nie ma faceta i jeszcze w piątkowy wieczór o dwudziestej trzeciej łapie gumę. W dodatku na parkingu!

Zdjęła torbę z ramienia, postawiła obok laptopa i obeszała auto. Koło było jednak w porządku. Stało tylko wewnątrz dziwnej wyrwy w posadzce. Pochyliła się nad tylnym błotnikiem i pomyślała, że rano niczego takiego tu

nie było.

I wtedy zobaczyła, że to nie jedyna wyrwa w nawierzchni parkingu. Wzdłuż całej tylnej ściany za samochodem i jeszcze o dwa miejsca postojowe w prawo posadzka upstrzona była rysami i pęknięciami. To nie był zwykły beton, który łatwo mógł ulec zniszczeniu pod wpływem uderzenia czy szorowania zderzakiem, ale solidna nawierzchnia na bazie płynnej żywicy na elastycznej membranie z poliuretanu. Takie posadzki są wyjątkowo odporne na uszkodzenia mechaniczne i obciążenia. Pamiętała to z jakiejś ulotki reklamowej zawierającej ofertę najmu powierzchni biurowych w budynku. Czasem jej techniczne wykształcenie się przydawało.

Nachyliła się i przejechała ręką po rysach. Dziury nie były powierzchniowe. Raczej głębokie, tak jakby zniszczeniu uległa także warstwa konstrukcyjna posadzki.

Światło w garażu nagle zgasło. Zapanowała kompletna ciemność. Paulina, czując ucisk w gardle, gwałtownie poderwała się do góry. Fotokomórka nad samochodem zareagowała na ruch i światło ponownie rozbłysło.

Mam nadzieję, że naprawa tej cholernej posadzki będzie kosztowała dziesięć razy więcej niż miesięczne oszczędności na tym pieprzonym oświetleniu! – pomyślała ze złością.

I wtedy nagle poczuła mocny wstrząs. Dach micry zaczął się dziwnie przekrzywiać. Paulina krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Zobaczyła, jak w narożniku pomiędzy ścianą a posadzką zrobiła się kolejna wielka wyrwa. Poczuła, że zaczyna ją ogarniać panika.

Nagle płyta parkingu wzdłuż ściany zapadła się gwałtownie, przełamując w kilku miejscach. Micra osunęła się tylnymi kołami w głąb powstałej dziury, a przednie koła bezradnie podniosły się w górę. Jednocześnie zawył alarm, jakby samochodzik zaczął rozpaczliwie wzywać pomocy. Przerażona Paulina ujrzała, jak w murze zaczyna powstawać pęknięcie, jakby ktoś otwierał betonową ścianę otwieraczem do konserw. Odwróciła się, chwyciła swoje dwie torby i ruszyła biegiem w kierunku windy. Przed samą windą zatrzymała się niezdecydowanie, w ułamku sekundy przypominając sobie instrukcje ewakuacyjne, żeby nie korzystać z dźwigów podczas pożarów i katastrof budowlanych. Zawróciwszy, rzuciła się w kierunku schodów. Wbiegając na górę, usłyszała alarmy dochodzące z całego budynku.

Pchnęła drzwi od klatki schodowej i znalazła się w hallu na parterze. Zdała

sobie sprawę, że kurczowo trzyma paski swoich toreb, a laptop boleśnie poobijał jej biodra. Kilka metrów od niej stał dezorientowany portier, trzymając słuchawkę telefonu.

– Proszę natychmiast wyjść na zewnątrz! To prawdopodobnie bomba! – krzyknął do niej, machając w kierunku drzwi.

Bomba? Boże! W Szczecinie? – przemknęło jej przez myśl i ruszyła biegiem w kierunku wielkiej tafli szkła. I w tym momencie znowu poczuła, jak podłoga drgnęła. Ku jej przerażeniu, wielkie tafle hartowanego szkła w drzwiach rozprysły się na maleńkie kawałki i zobaczyła, jak na chodnik przed budynkiem z potwornym hukiem spadają płyty aluminium i szkła z wyższych pięter. Drzwi od klatki schodowej nagle otworzyły się z trzaskiem i wybiegły przez nie dwie osoby. Brunet w ciemnym garniturze i blondynka w lekkiej sukience na ramiączkach.

– Co tu się dzieje? – wrzasnął facet, którego Paulina kojarzyła z kancelarii na trzecim piętrze.

– Nie mam pojęcia. Zapadła się posadzka na parkingu. Pękła tam cała ściana. Portier twierdzi, że to bomba. – Odwróciła się gwałtownie i krzyknęła do portiera: – Czy tylne drzwi są otwarte?

– Tak, ale przejście pod hotelem jest zamknięte. Nie wyjdziemy tamtędy na ulicę. Jedzie już straż pożarna i policja. Nie wiecie państwo, czy ktoś jeszcze został w budynku? – krzyknął do faceta z kancelarii i przerażonej blondynki, która właśnie zaczęła histerycznie płakać.

– W tej części już chyba nikt! – odkrzyknął facet.

Portier chwycił wielką latarkę i rzucił się w kierunku schodów.

Cały czas wyły alarmy antywłamaniowe w poszczególnych biurach oraz główny alarm przeciwpożarowy w całym budynku. Przez wielką dziurę po rozbitych drzwiach wejściowych Paulina widziała, jak po drugiej stronie ulicy zbiegają się ludzie, a przed budynkiem stają samochody. Nagle usłyszała ryk syreny i przy biurowcu zatrzymała się policyjna furgonetka.

– Biegnijmy teraz! – krzyknęła blondynka, szlochając. – Zaraz się cały budynek zawali.

Z samochodu wybiegli umundurowani policjanci i podbiegli do skraju chodnika. Jeden zaczął gwałtownie machać rękami i wrzeszczeć coś, pokazując na górę gmachu. Paulina chwyciła blondynkę za rękę i w ostatniej



chwili powstrzymała ją przed wybiegnięciem na zewnątrz. W tym samym bowiem momencie na chodnik przed drzwiami spadły wielkie tafle szkła, rozbryzgując się w drobny mak, i wielka szafa biurowa, z której wyfrunęły, trzepocząc kartkami, segregatory. Strop nad drzwiami przekrzywił się i runął w dół, odsłaniając kanały wentylacji mechanicznej, rurki klimatyzacji i kable elektryczne.

Dwaj policjanci wbiegli do środka, złapali za ręce Paulinę i wrzeszczącą blondynkę i błyskawicznie wyciągnęli je na zewnątrz. Paulina kątem oka zauważyła, że za nimi wybiegł także facet z kancelarii adwokackiej.

– Proszę nie stawać! – wrzasnął jeden z policjantów i popchnął obie dalej. Paulina dobiegła do furgonetki i dopiero tutaj odwróciła się i spojrzała za siebie.

Wielki fragment elewacji budynku nad drzwiami wejściowymi pozbawiony był płyt i szkła. Na drugiej i trzeciej kondygnacji ziały wielkie dziury po rozbitych szybach. Stropy nad trzema dolnymi piętrami były dziwnie odkształcone. Dopiero teraz zauważyła, że wielki kawał chodnika przed budynkiem mocno się zapadł.

Ruch przy budynku był już wstrzymany, policja rozstawiała właśnie zaimprovizowane zapory z obu stron, usiłując zapanować nad coraz większym tłumem ludzi, który zaczął się gromadzić na placu przed wielką barokową bramą staromiejską. W dalszym ciągu spadały pojedyncze tafle płyt i szkła z budynku, a z wnętrza dobiegał jazgot alarmów. Paulina podbiegła do policjanta stojącego najbliżej i krzyknęła do niego:

– Wewnątrz jest portier, poszedł sprawdzić, czy w budynku jeszcze ktoś nie został!

Mężczyzna kiwnął głową i zaczął coś wrzeszczeć do krótkofalówki. Nagle Paulina ze zgrozą ujrzała, jak ogromny podświetlony billboard na bocznej ścianie hotelu zaczyna się powoli, jak w zwolnionym tempie, odrywać od muru. Ludzie stojący na placu przed bramą podnieśli krzyk. Dwóch mężczyzn spojrzało w górę i rzuciło się biegiem na ulicę, machając rękami do nieświadomych jeszcze zagrożenia policjantów. Billboard oderwał się do połowy, przekrzywił prawie o 30 stopni i nagle runął na chodnik przed biurowcem, strzelając iskrami i wzbijając fontannę szkła i żelastwa. Paulina widziała, jak jeden z policjantów łapie się za ramię i przewraca na jezdnię. Wypuściła z rąk torby, które do tej pory bezwiednie kurczowo ścisnęła,

i skoczyła za policyjny samochód, chowając się przed odłamkami szkła z rozbitego banera. Gdzieś z sąsiednich ulic dobiegały syreny nadjeżdżających karettek pogotowia i straży pożarnej.

\*

Dokładnie dziesięć po dwudziestej trzeciej Igor usłyszał nagle znany motyw z *Ojca chrzestnego*, który wdarł się niespodziewanie do ścieżki dźwiękowej dwudziestego pierwszego odcinka siódmej serii znanego serialu. Podniósł się do pozycji siedzącej i poprzez całą szerokość pokoju spojrzął na szafkę przy schodach, na której leżał wygrywający smętne nuty telefon. Melodia była przypisana do konkretnej osoby, ale ta osoba raczej nie dzwoniła do niego w takich godzinach.

Rad nierad wstał i podszedł do stołu. Spojrzął na wyświetlacz i podniósł brwi. A jednak. Nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać, podniósł telefon i dotknął palcem ekranu.

– Witam cię, Rafał, naprawdę musisz mieć powód, skoro chce ci się marnować czas na rozmowę ze mną w piątek o tej porze – powiedział z mieszaniną zaciekawienia i ostrożnej ironii.

– Cześć, Igor, musisz podjechać pod hotel. – Rafał Borola miał zdenerwowany głos, co nie zdarzało się często. Znali się już od dłuższego czasu. Igor pracował dla niego przy kilku sporych inwestycjach w Szczecinie.

Borola był znanym szczecińskim przedsiębiorcą. Należał do osób nienawykłych do tego, żeby coś im stawało na drodze. Do wszystkiego miał bardzo optymistyczne podejście. Większość problemów zawsze dawało się załatwić, nie tak, to inaczej. Uważał, że do tego, co miał, doszedł wyłącznie ciężką pracą, chociaż o tej ciężkiej pracy u początków jego kariery krążyły różne, mniej lub bardziej fantastyczne teorie, związane głównie z przestępczością zorganizowaną. Wszyscy wiedzieli oczywiście, że takie plotki rozpowszechniane są na temat każdego, kto doszedł do naprawdę dużych pieniędzy, niemniej nie przeszkadzało to nikomu w ich powtarzaniu.

Igor lubił Borolę, który oprócz wrodzonego talentu do interesów miał także fantastyczny, zaraźliwy optymizm i pasję, a przy tym stać go było na pełne autoironii poczucie humoru.

– Dzwonił do mnie cieć. Ponoć coś się zawaliło w hotelu – wypalił,

sprawiając, że Igorowi na chwilę przebiegły ciarki po plecach. Borola nie potrafił powiedzieć nic więcej, poza tym, że cieć wydawał się bardzo zdenerwowany.

Borola był którymś z kolei właścicielem hotelu. Jak każdy poprzedni, wprowadził w nim niewielkie zmiany i jak każdy poprzedni, nie do końca trzymał się projektu budowlanego. Igor błyskawicznie się ubrał, wciągnął czarne sportowe półbuty i zbiegł po schodach.

Pięć minut później siedział w taksówce dojeżdżającej do placu, przy którym stał hotel. Z przerażeniem obserwował rozgrywające się na ulicach pod biurowcem pandemonium. Taksówka podjechała od strony sąsiadującego z biurowcem wielkiego neogotyckiego gmachu poczty i trafiła na blokady oraz tymczasowy zakaz skrętu w prawo. Igor kazał kierowcy się zatrzymać. Zapłacił, wyskoczył z taksówki i pobiegł wzdłuż policyjnych stojaków, wypatrując znajomej sylwetki Boroli.

Tuż za zakrętem zobaczył wielką wyrwę w elewacji nowego biurowca. Wyglądała jak poszarpana rana. Od razu też spostrzegł, że ze ściany hotelu zwalił się wielki koszmarny billboard, który dawał Boroli kilka tysięcy miesięcznego dochodu. Wyminął tłum ludzi na placu przed budynkiem i pobiegł dookoła, żeby dostać się pod arkady hotelu. Zauważył Borolę w towarzystwie dwóch policjantów oraz energicznie gestykulującego stróża.

– Jestem architektem, czeka na mnie właściciel budynku! – krzyknął do ubranego na czarno policjanta, który stał przy wejściu pod arkady. Policjant zdjął linę ze stojaka i wpuścił go do środka. Podchodząc do Boroli, zauważył, że na granicy pomiędzy arkadami a chodnikiem biegnącym wzdłuż biurowca widać wyraźny zarys zapadniętej nawierzchni.

Borola odwrócił się do Igora i zrobił krok w jego kierunku

– Ktoś chyba podłożył bombę na parkingu podziemnym – rzucił, podając mu rękę i patrząc na stojącego obok policjanta, jakby czekał na potwierdzenie. Na twarzy miał wypisane emocje spowodowane wydarzeniami, ale i ulgę, że bezpośrednio nie dotyczą hotelu. – Zwalił się baner z bocznej ściany – dodał, jakby to był o wiele poważniejszy problem.

– Widziałem. – Igor kiwnął głową.

– Nie był ubezpieczony – jęknął Borola. – A dawał regularny dochód. Teraz nie dość, że muszę kupić nowy, to będę musiał zwrócić kasę temu cholernemu bankowi z bizonem. Za prawie połowę miesiąca, bo nim

powieszą nowy, minie z tydzień, a biorąc pod uwagę to, co się dzieje... – Popatrzył na Igora, szukając poparcia. – Nie wiem, czy nawet nie dłużej niż tydzień.

– Pan jest architektem? – Stojący obok policjant stracił cierpliwość.

Igor, który właśnie się zastanawiał, o jaki bank z bizonem może chodzić Boroli, popatrzył na policjanta zdezorientowany.

– Czekamy na przedstawicieli zarządu biurowca i rzeczoznawców, ale czy powinniśmy coś jeszcze zrobić?

– Obawiam się, że powinniście także sprawdzić hotel. – Igor spojrzął za siebie. – Skoro spadł ten billboard, to znaczy, że i w hotelu może być coś nie tak z konstrukcją.

– Po cholere! – Borola popatrzył na Igora z mieszaniną zaskoczenia i złości. – Ale rozumiem, że w poniedziałek ludzie będą mogli wrócić do normalnej pracy?

Policjant pomachał do stojącego nieopodal kolegi i krzyknął do niego kilka poleceń, a gdy tamten pobiegł w kierunku strażaków, odwrócił się i zniecierpliwiony spojrzął na Borolę.

– O tym zadecydują rzeczoznawcy – warknął i zwrócił się do Igora: – Jakaś dziewczyna twierdzi, że na parkingu nagle zapadła się posadzka. Sądzi pan, że to naprawdę bomba? Portier powiedział, że przed wybuchem poczuł coś jakby drgnięcie.

Igor spojrzął na zapadnięty chodnik i ściągnął brwi.

– Gdyby na parkingu rzeczywiście wybuchła bomba, to nie narobiłaby raczej tego typu szkód. Musiałby ją podłożyć ktoś, kto znał układ konstrukcyjny budynku, kto wiedział, w którym miejscu ją umieścić i jakiej mocy ładunku użyć, a to jest mało prawdopodobne. Bardziej się obawiam o jakieś rury i przewody pod spodem. Może tam coś pękło. Pod hotelem, w stronę Bramy Portowej, leci wielka rura Szczecińskiej Energetyki Ciepłowniczej. Ma jakiś metr średnicy, więc gdyby pękła, to mogłaby uszkodzić fundamenty. Tylko że to też nie nastąpiłoby od razu – dodał i spojrzął na zniszczoną ścianę budynku.

Zmarszczył nagle brwi i odwrócił się do policjanta.

– Niech nikt nie używa windy w hotelu! Opiera się na ścianie, z której spadł billboard.

Policjant skinął głową i szybko odszedł w kierunku grupy strażaków, szykujących się do wejścia do hotelu.

Od strony ulicy pomiędzy hotelem a przychodnią nadjechały dwa samochody i zaparkowały na parkingu przed zatoczką autobusową. Jeden z samochodów miał na drzwiach napis „S-Center”. Wysiadła z niego grupa zdenerwowanych ludzi i ruszyła w kierunku policjantów.

Nagle Igor pomyślał o czymś, od czego zrobiło mu się gorąco.

– Jezu! – powiedział do siebie i popatrzył pod nogi.

Wokół policjantów zrobiło się małe zamieszanie spowodowane przybyciem przedstawicieli właściciela biurowca. Igor wykorzystał to i złapał za ramię Borolę.

– Muszę zejść do piwnicy hotelu. Chcę coś zobaczyć.

– Po co? Co zobaczyć? – Borola popatrzył na niego z niepokojem i ciekawością, jednocześnie machając do hotelowego stróża, który rozmawiał z jednym ze strażaków. – Naprawdę myślisz, że to ta SEC-owska rura?

– Nie. – Igor spojrzał na chodnik pod nogami. – Rura nie, ale coś, co jest pod nią.

Borola popatrzył na niego, ściągając brwi.

– Pod nią? Co jest pod nią? Niczego pod nią nie ma!

Stróż podszedł i pochylił się do nich. Miał lekkie problemy ze słuchem.

– Musimy zejść do piwnicy. Proszę iść z panem Flemingiem i wszystko otworzyć – powiedział do niego Borola, nie doczekawszy się odpowiedzi Igora.

– Ma pan jakąś latarkę? – Igor zwrócił się do stróża.

Ten odwrócił się w kierunku wejścia do hotelu i wskazał ręką drzwi.

– Tak, zaraz przyniosę z kantorka. Musimy iść do tylnej klatki. Dookoła przez bramę. – Pomachał ręką w kierunku końca arkadowego podcienia.

– Wiem, wiem. – Igor skinął głową i odwrócił się w kierunku wyjścia spod arkad. Znał układ wnętrza na pamięć.

Borola popatrzył niecierpliwie na oddalającego się Igora. Odwrócił się z wahaniem w kierunku biurowca, ponownie popatrzył za znikającym za rogiem architektem i w końcu zdecydował się pójść za nim.



\*

Do piwnic dawnego hotelu można było się dostać tylko boczną klatką schodową. I to w bardzo nietuzinkowy sposób. Przed I wojną światową budynek został przebudowany, a parter przeznaczony na cele dużego sklepu kolonialnego. Poziom pierwszej kondygnacji obniżono wtedy do poziomu chodnika przy budynku kosztem wysokości suterenu. Boczna klatka schodowa zachowała jednak wygląd z początkowego okresu i skutek był taki, że do piwnic można było się dostać przez otwór o wysokości mniej więcej jednego metra. Znajdowały się tutaj pomieszczenia gospodarcze, a przez część pod arkadami biegła właśnie, położona tutaj w latach siedemdziesiątych, wielka rura ciepłownicza. Pod tym poziomem jednak był jeszcze jeden. Możliwe, że starszy, zachowany z poprzedniego budynku.

I na ten niższy poziom właśnie schodzili. Igor szedł pierwszy, patrząc pod nogi, żeby się nie potknąć o kawałki cegieł i gruzu, które leżały tutaj od czasu ostatniego remontu budynku. Schody skończyły się przed półkoliście zamkniętym otworem. Z lewej strony skręcało się w ciemny, nakryty ceglanym sklepieniem korytarz. Po bokach otwierały się ślepe otwory bocznych pomieszczeń.

Na posadzce miejscami stała woda. Światło na tym poziomie wpadało jedynie przez półkolisty otwór przed wejściem. Dalej świeciła tylko jedna żarówka, prawie na końcu korytarza. Igor przeskoczył po wystających z wody ceglach i omijając kupki gruzu, poszedł dalej. Za nim podążył Borola i na końcu dozorca, pobrzękując kółkiem z pękiem kluczy.

– Dlaczego tu nie ma światła, do cholery? – warknął Borola do stróża, machając w kierunku korytarza otrzymaną od niego latarką.

– Tu nigdy nikt nie schodzi. Żarówki musiały się przepalić. – Dozorca spojrział niepewnie na sufit.

– Przepaliły się same. Uważa pan, że same się też wymienią? – Borola popatrzył na stróża z irytacją i skoczył na kolejną, zanurzoną do połowy w wodzie cegłę. Stróż wznosił oczy do góry i poszedł w jego ślady.

Igor tymczasem doszedł do końca korytarza, spoglądając z niedowierzaniem na całkiem świeżo zamurowany otwór.

– Zamurowaliście to przejście? – spytał, patrząc na Borolę.

Ten odwrócił się do stróża i spojrział na niego, wysoko podnosząc brwi.

– Bez przerwy ktoś się pytał o podziemia – odparł dozorca. – Raz wleźli tu bez pozwolenia z jakiejś gazety. Zamurowaliśmy to przejście, żeby ktoś sobie czegoś nie zrobił i żeby tu nie łazili.

Igor rozejrzał się dookoła.

– Ma pan tutaj jakiś młot albo kilof? Musimy tam wejść. – Pomacał ścianę.  
– Nie powinno być trudno, zamurowana jest byle jak.

– W takim razie muszę skoczyć na górę. – Stróż się odwrócił i podreptał w kierunku schodów.

– Po co my tu w ogóle zleźliśmy? Tam na górze wali się biurowiec. – Borola spytał tak, jakby pozbawiono go niezłej rozrywki.

– Chcę coś sprawdzić. Chyba wiem, dlaczego to się stało. Niestety, hotel też może być zagrożony. Będziesz musiał jednak wpuścić tutaj rzeczoznawców.

Borola jęknął.

– Czyli pewnie wszystkich stąd wywalą na jakiś czas i zamkną budynek.

Igor postukał palcem w ceglana ścianę przed sobą.

– Za tą ścianą jest wąski korytarzyk przylegający do starego przejścia fortecznego pod dawnymi murami obronnymi. Hotel stoi częściowo na sklepieniu tego przejścia. A ono się ciągnie najprawdopodobniej aż do skrzyżowania z aleją Niepodległości albo i dalej. Tym korytarzem być może dostarczano niegdyś do obleżonego grodu żywność, broń i inne potrzebne rzeczy albo wykorzystywano go do niespodziewanego ataku na tyły wroga – tłumaczył Igor, zerkając w kierunku schodów.

– A co to ma wspólnego z zawaleniem się tego biurowca? – Borola podążył za jego wzrokiem. – I gdzie jest facet z tym kilofem? – zniecierpliwził się.

– Sądzę, że pod wpływem stabilizacji gruntu i obciążenia fundamentami ściana korytarza mogła nie wytrzymać. Zawalił się jej fragment, powstała dziura, w którą obsunął się grunt i fundamenty budynku zawisły w powietrzu.

Borola popatrzył na Igora z przerażeniem i niedowierzaniem.

– To jak ten hotel, do diabła, w ogóle stoi od stu lat?

– Hotel ma fundamenty oparte obok korytarza oraz wzdłuż jego sklepienia. Był budowany z uwzględnieniem tych lochów, Niemcy pewnie dokładnie

znali ich przebieg. Ta ściana ma przeszło metr grubości. – Igor oparł na niej dłoń. – Usiłowaliśmy przebić się kiedyś przez nią z kamerą.

– I co? – Borola popatrzył z zainteresowaniem.

– I nic. – Igor wzruszył ramionami. – Nie udało się. Wiertło nie chciało przejść, widać w ścianie są także kamienie.

Od strony schodów usłyszeli nagle dźwięk kluczy i po chwili zza zakrętu wyłonił się stróż, dzierżący w dłoniach wielki młot. Podszedł do Igora i podał mu narzędzie.

– Mam nadzieję, że wystarczy.

– Odsuńcie się. – Igor chwycił młot i wziął zamach.

Ściana przed nimi poddała się prawie od razu. Po pierwszym uderzeniu kilka cegieł wypadło, a kilka innych obluzowało swoje ułożenie. Po drugim uderzeniu powstała dziura, przez którą widać było tylko gęsty mrok.

Igor uderzył jeszcze trzy razy, po czym ocenił, że przez powstały otwór można już swobodnie dostać się do środka. Postawił narzędzie obok ściany i podniósł z podłogi reflektor. Poświecił do wewnątrz i przełożył nogę przez otwór. W środku, w wąziutkim korytarzyku biegnącym ukośnie w stosunku do ścian piwnicy, nie było posadzki. Była tylko ubita ziemia, z której wyrastała stara, poraniona wieloma dziurami ściana, biegnąca po łuku niczym ogromna ceglana, odwrócona do góry dnem łódź.

Zwrócił się w lewą stronę i świecąc pod nogi, ruszył przed siebie w kierunku majaczącego w świetle reflektora końca korytarza. Jakieś dwanaście metrów dalej korytarz zamykała ściana szczytowa, a wielka ceglana łódź podziemna wbijała się w nią. Pomiędzy tą ścianą a starą ścianą przejścia fortecznego, w narożniku, ziała teraz dziura. Igor podszedł bliżej, patrząc pod nogi na zwały cegieł i ziemi, zatrzymał się przed otworem i ostrożnie zajrzał do środka, w głąb ciemnego rozwaliska.

– Zobacz – zwrócił się do Boroli, który dreptał za nim. – Tej dziury tu nie było. Za ścianą korytarza zaczyna się biurowiec. Parking podziemny jest dwa metry nad nami. Dokładnie tak jak mówiłem, ściana tego obronnego przejścia zawaliła się pod ciężarem fundamentów budynku.

– I co teraz? – Borola rozejrzał się lękliwie. – Czy tu w ogóle jest bezpiecznie?

– Raczej nie. Szczytowa ściana hotelu, ta, na której wisiał baner, też

została chyba osłabiona. Dlatego pewnie ten baner spadł. – Igor poświecił w głąb otworu. Od strony ściany szczytowej korytarzyka widać było zasypane rumowisko, ale od drugiej strony widniała wielka dziura, w którą można było swobodnie wejść. Skierował w głąb snop światła, wydobywając z mrocznej otchłani mniej więcej metrowej szerokości przejście, które prowadziło gdzieś w prawą stronę. Wyjął z kieszeni telefon i zrobił fotkę.

– Zobaczmy, co tam jest – powiedział do Boroli i wsunął się do środka. Schylił głowę i zrobił kilka kroków w głąb.

– Po co ty tam leziesz? To niebezpieczne! – Borola miotał się między zainteresowaniem a strachem podszytym klaustrofobią.

– Co panowie robicie? Przecież to wszystko może się zaraz zawalić! – Dozorca stał defensywnie kilka metrów dalej od pogruchotanej ściany. Najchętniej wróciłby szybko na górę, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy.

Igor po dziesięciu metrach stanął i poświecił reflektorem w głąb przejścia. Dotychczasowy odcinek wyglądał tak, jakby korytarz forteczny był częściowo zawalony i tylko przy ścianie zachował się fragment umożliwiający przejście. Poziom stopniowo się obniżał. Ruszył w dół.

Jakieś piętnaście metrów dalej zobaczył, że przejście się rozszerza. Niewiele myśląc, zrobił w jego kierunku parę kroków. Nagle otworzyła się przed nim przestrzeń ceglanego tunelu. W tym miejscu dawny korytarz zachował swój pierwotny kształt.

Igor skierował w głąb niego reflektor i stanął jak rażony gromem.

\*

– To na szczęście nic groźnego. Zwykle zadrapanie, choć wyglądało na początku, jakby trzeba było szyć. – Młoda uśmiechnięta sanitariuszka przemyła Paulinie skroń płynem aseptycznym i rozerwała opakowanie z szerokim plastrem.

Paulina siedziała na progu tylnych drzwi karetki i patrzyła, jak ratownicy wynoszą z budynku na noszach trzy osoby.

– Jednak był tam ktoś jeszcze – powiedziała do dziewczyny.

– Tak, najwyraźniej. Miejmy nadzieję, że nic im nie będzie. – Sanitariuszka przykleiła plaster. – No, gotowe. Poradzi pani sobie? Na pewno nie chce pani pojechać z nami do szpitala?

Paulina podziękowała. Szpital to było ostatnie miejsce, w którym chciałyby się teraz znaleźć. Marzyła o tym, by wyciągnąć się w wannie.

– Nie. Nic mi nie jest. Naprawdę. Nawet nie zauważyłam tego rozcięcia. Musiałam dostać odłamkiem szkła, jak wybiegałam z budynku. Wezmę taksówkę, dziękuję bardzo.

Zabrała z ziemi swoje dwie torby, ruszając w stronę ustawionego z zapór ogrodzenia. Zobaczyła, jak przy drugiej karetce sanitariusz opatruje ramię portiera z biurowca. Odetchnęła z ulgą, że nic mu się nie stało. Lubiła go. Pod arkadami hotelu spostrzegła nagle Rafała Borolę, którego kojarzyła ze zdjęć w gazetach i artykułów na portalach internetowych.

No tak, ten hotel przecież należy do niego, pomyślała.

Zobaczyła, jak od strony wejścia pod arkady policjant przepuszcza wysokiego szczupłego mężczyznę. Facet podszedł do grupy osób przy Boroli i zaczął rozmawiać z policjantem. Jakiś impuls kazał jej zwolnić i przyrzec się temu. Przystanęła na chwilę, spoglądając w kierunku, w którym facet popatrzył i pokazał coś policjantowi. Podejrzenie zapadnięty chodnik przed biurowcem, który zwrócił jej uwagę, gdy wybiegała z hallu. Mężczyzna nagle spojrzął pod nogi i nerwowo, bezwiednie przeczesał palcami króciutkie włosy.

Głośny sygnał odjeżdżającej karetki oderwał ją na moment od śledzenia grupy pod arkadami hotelu. Przełożyła torbę z jednego ramienia na drugie i zrobiła kilka kroków w kierunku budynku. Zobaczyła, że wysoki facet i Borola zniknęli za rogiem.

I nagle przypomniała sobie, że pracuje w gazecie. Gazecie!

Przecież była bezpośrednim świadkiem zaważenia się nowego biurowca w centrum miasta! Mało powiedziane, była tego uczestnikiem! Gdyby Paweł dowiedział się, że pojechała w takiej chwili do domu wziąć kąpiel, to chyba ją zabił.

Przyśpieszyła, nagle bardzo zainteresowana tym, dokąd udał się Borola z tamtym tajemniczym facetem.

\*

Kompletnie oszołomiony Igor patrzył na to, co snop reflektora wydobywał z mroku. Pod półkolistym sklepieniem fortecznego korytarza stała



ciężarówka. Z ciemności wyłaniał się jej tył – wysoko umieszczona drewniana skrzynia z plandeką na stalowym rusztowaniu. Koła, nakryte szerokimi półkolistymi nadkolami, stały praktycznie na samych stalowych felgach. Z opon dawno zeszło powietrze. Plandeka była w wielu miejscach porwana i podziurawiona, a wszystko przykrywała gruba warstwa kurzu. W miejscu, w którym stał samochód, stara posadzka fortecznego tunelu wydawała się o jakieś pół metra niższa w stosunku do zawalonego przejścia, którym wszedł tu przed chwilą.

– Jezu! – wyszeptał Igor, podchodząc bliżej. Omiótł światłem butwiejące deski skrzyni i zrobił kilka kroków wzdłuż boku ciężarówki. Z rumowiska w zasypanej części korytarza doszedł go odgłos kroków i z mroku wyłonił się ze swoją małą latarką Borola.

– To wszystko może się zaraz... – Przerwał nagle i z otwartymi ustami oświetlił tył ciężarówki.

– Fantastyczne, nie? – Igor spojrzał w jego kierunku, szeroko się uśmiechając. – Coś nieprawdopodobnego! Aż trudno uwierzyć.

Odwrócił się od oniemiałego Boroli i podszedł do szoferki samochodu. Długi, charakterystyczny nos pojazdu z szerokimi błotnikami po bokach i okrągłymi lampami stał na pokrzywionych i zardzewiałych felgach. Obła szoferka miała z boku pojedyncze drzwi z wysoko usytuowanym okienkiem, w którym od przodu umieszczony był jeszcze mały lufcik. Był teraz otwarty, a boczna szyba zbita. Z pordzewiałych prowadnic otworu sterczały pojedyncze kawałki szkła. Przednia szyba szoferki wyglądała na całą, tylko w jej środku była dziura z promieniście rozchodzącymi się rysami. Jak po kuli.

– Opel blitz – wyszeptał z modlitewnym nabożeństwem Borola. – „Błyskawica”! Ulubiony samochód ciężarowy Wehrmachtu.

O tym, że Rafał Borola interesuje się okresem II wojny światowej, wiedział każdy, kto nieopatrnie poruszył przy nim ten temat. Borola mógł o tym gadać całymi godzinami i Igor kilka razy dał się w to wciągnąć, po tym jak niechcący palnął coś na temat alianckich bombardowań czy stanowisk obronnych zachowanych wokół Szczecina.

– Skąd on się tutaj wziął? – Borola popatrzył na Igora i przejechał palcem po grubej warstwie kurzu na drzwiach szoferki.

Igor wzruszył ramionami. Postawił stopę na wysuniętym stopniu pod

szoferką, złapał za obrzeże okna i stanął ostrożnie na zardzewiałej blasze. Poświecił do środka. To, co zobaczył, spowodowało, że odruchowo odskoczył w tył, spadając ze stopnia i wypuszczając z rąk reflektor.

– Co tam jest? Co, do diabła? – Przestraszony Borola cofnął się i poświecił latarką na Igora, który patrzył z przerażeniem w mroczne okno szoferki ciężarówki.

– Tam jest trup! Kościotrup właściwie, w starych szmatach.

Popatrzył na przerażoną twarz Boroli i ponownie wspiął się na stopień szoferki. Zajrzał do środka, oświetlając wnętrze.

Podeszli do samochodu od strony pasażera, więc światło wydobyło najpierw zakurzoną powierzchnię drugiego fotela, później wielką wajchę skrzyni biegów i drugi fotel, na którym z głową przechyloną w ich kierunku siedział trup kierowcy. Miał na sobie skórzaną, krótką kurtkę i spodnie z materiału. Na piersi kurtka była poszarpana, a pod nią widać było resztki brudnej i poplamionej koszuli. Igor ze zgrozą skonstatował, że to musiała być kiedyś krew. Na czaszce zachowały się jeszcze resztki wyschniętej skóry i włosów. Puste oczodoły zdawały się patrzeć w ich kierunku.

To wszystko było tak absurdalnie nierzeczywiste, że Igor zupełnie zapomniał o wydarzeniach, które właśnie się rozgrywały sześć metrów nad nimi.

– Też chcę to zobaczyć. Puść mnie! – Borola położył stopę na stopniu pod szoferką. Igor półprzytomnie odwrócił do niego twarz z wyrazem niedowierzania, a następnie zeskoczył na ceglaną posadzkę.

Borola zajrzał do środka, świecąc sobie latarką.

– Niewiarygodne! Ten facet siedzi tutaj od wojny! – Odwrócił się do Igora z szeroko otwartymi oczami. – Wjechał tu jakoś i już został. I najwyraźniej był postrzelony.

Igor poświecił na bok ciężarówki. Płandeka okrywająca stalowe ramy była cała, choć miejscami rozdarta i podziurawiona, prawdopodobnie także przez kule.

Poświecił w drugą stronę, nagle uprzytomniwszy sobie, że nie zwrócił w ogóle uwagi na to, co jest w dalszej części tego tunelu. Korytarz biegł jeszcze jakieś kilkanaście metrów prosto, a potem zaczynał się wznosić. Widać było, że dalej jest także zasypany gruzem. Boczne ściany od strony

wnętrza były proste i wysokie na jakieś dwa metry. Na nich opierało się spłaszczone, ceglane sklepienie. Reflektor wydobył z mroku tkwiące w ścianie stalowe zawiesia, w które najprawdopodobniej wkładano kiedyś pochodnie. Igor zrobił parę kroków w głąb tunelu i zadarł głowę.

Sześć metrów nade mną jest przystanek autobusowy, pomyślał.

Borola podszedł kilka kroków i stanął obok Igora.

– Dokąd to w ogóle prowadzi? – spytał.

Igor wzruszył ramionami. Przez moment usiłował odtworzyć w pamięci przebieg średniowiecznych murów miejskich i późniejszych, szwedzkich i pruskich fortyfikacji, ale szybko się poddał. Musiałby mieć mapę, żeby postawić jakąkolwiek hipotezę.

Patrzyli przez chwilę w milczeniu w głąb korytarza.

– Jak to się stało, że nikt tego wcześniej nie odkrył? – odezwał się wreszcie Borola z niedowierzaniem.

Igor ponownie wzruszył ramionami. Przed wojną musiało być jakieś wejście do tego tunelu. Wjazd właściwie, biorąc pod uwagę gabaryty ciężarówki. Natknął się kiedyś na jakąś relację, że w okolicach ulicy Wyszyńskiego było zachowane po wojnie wejście do lochów, które wykorzystywali Rosjanie. Może faktycznie tak było? Może przed opuszczeniem miasta wysadzili je w powietrze i ślad po nim zaginął? Najwyraźniej jednak nie znaleźli ciężarówki, bo z pewnością zabraliby temu nieszczęśnikowi drogą, skórzaną kurtkę.

Westchnął i spojrzał na Borolę.

– Wracamy na górę. Trzeba tam z kimś porozmawiać o tych fundamentach. – Odwrócił się i skierował w stronę martwego nosa ciężarówki.

– Czekaaj, zrobię fotkę. – Borola pomacał się po kieszeni. – Całkiem zapomniałem, że mam aparat w komórce. Przecież nikt mi w to nie uwierzy. A i tego trupa też uwiecznię.

Stanął przed maską i nakierował na nią obiektyw swojego samsunga. Błysk lampy wydobył na chwilę z mroku upiorny samochód i boczne ściany korytarza. Igor drgnął, przez moment na ścianie po prawej stronie dostrzegł coś, czego wcześniej w ciemności nie było widać. Podszedł bliżej i skierował reflektor na fragment ściany. Na czerwonej cegle namazane były czarne

litery, tworzące dziwaczny napis:

## DECKEL – QUERSUMME – GOTTES HAND

Igor nie mówił po niemiecku, ale znał oczywiście sporo słów. *Deckel* to było jakieś zamknięcie czy coś takiego, *Gottes Hand* – ręka Boga oczywiście. *Quersumme* z niczym mu się nie kojarzyło, choć *summe* pewnie oznaczało, jak się domyślał, wynik.

Wyjął telefon, odsunął się o krok od ściany i zrobił kilka fotek. Popatrzył na wyświetlacz i ściągnął brwi.

– Co to za bazgroły? – Borola obszedł właśnie ciężarówkę, po czym stanął obok Igora.

– Nie mam pojęcia. – Igor wzruszył ramionami.

– Może to ten trup coś nabazgrał? – Borola podrapał paznokciem napis i gwałtownie cofnął rękę. – Sądziysz, że on to zrobił krwią? – Popatrzył ze zgrozą na Igora.

Igor oderwał wzrok od wyświetlacza i spojrzał na ścianę.

– Nie dramatyzuj. – Uśmiechnął się. – Kto powiedział, że to on? Mógł to zrobić każdy w ciągu ostatnich trzystu lat.

Ten napis mógł pochodzić z okresu, gdy ukrywali się tutaj Niemcy podczas nalotów, ale równie dobrze z okresu I wojny albo z XIX, a może i XVIII wieku. Może to jakaś złota myśl, w rodzaju tych, jakie wypisują na ścianach graficyarze. Omiótł reflektorem resztę ścian dookoła, ale nigdzie już nie było żadnych napisów. Schował komórkę do kieszeni i spojrzał na Borolę.

– Dobra, idziemy. Ten cieć tam zaraz dostanie zawału. – Przypomniał sobie nagle o pozostawionym w piwnicy hotelu stróżu.

Ruszyli w kierunku wyjścia. Obeszli ciężarówkę tym razem z drugiej strony, lękliwie spoglądając w kierunku szoferki. Tak jakby trup kierowcy miał nagle wysiąść z niej o własnych siłach.

Przechodząc obok samochodu, Igor oświetlił jeszcze raz zbutwiałe deski i poszarpaną szmatę. W połowie długości skrzyni, na wysokości oczu, w plandece była nieco większa dziura. Skierował tam światło i nagle dostrzegł wewnątrz jakiś ciemny kształt. Zatrzymał się i uważnie spojrzał do

środka. W środku było coś wielkiego, przykrytego szmatą.

Samochód sam w sobie był taką niespodzianką, w dodatku z trupem w szoferce, że nawet nie przyszło mu do głowy sprawdzić, co znajduje się na pace.

Zrobił kilka kroków dalej i stanął za samochodem.

– Coś tam jest? – Borola przystanął obok niego.

– Jakaś skrzynia. Może broń albo amunicja? – Schwycił za stalową wajchę na narożniku skrzyni. – Pomóż mi, ten tył chyba się jakoś rozkłada.

Borola złapał za wajchę po drugiej stronie klapy. Obaj odruchowo odskoczyli do tyłu, gdy prostokątna rama opadła z hukiem, wzbijając tuman kurzu.

– Ostrożnie! To jest prawdziwy blitz. Jest bardzo cenny. – Borola popatrzył na Igora z wyrzutem. Gdy tuman kurzu opadł, zajrzeli do wnętrza ciężarówki.

Wewnątrz stała wielka, prostokątna skrzynia nakryta szmatą. Miała jakieś dwa i pół metra długości i metr szerokości. Igor wspiął się na tył samochodu i stanął nad tajemniczym ładunkiem.

– No, zdejmuj tę szmatę! Zobaczmy, co to jest, i wynośmy się stąd. –

Borola ze zniecierpliwieniem popatrzył za siebie. Przypomniało mu się nagle, że kilkanaście metrów za nimi jest uszkodzony fundament ogromnego budynku, który może im się w każdej chwili zawalić na głowy.

Igor pochylił się i złapał za koniec szmaty. Odrzucił ją na bok, wzbijając kolejną chmurę kurzu. Przez chwilę stał, mrużąc oczy i czekając, aż będzie można coś zobaczyć. Snop światła wydobywał wirujące w powietrzu drobiny.

Zakasłał i ponownie skierował reflektor na skrzynię.

Była wykonana z jakiegoś metalu. Nakryta płaską pokrywą z bogatą dekoracją, w której środku widniał wielki kartusz herbowy. Obiegający całą pokrywę pas wypełniały misterne roślinne wzory. Pod herbem widoczny był ledwie czytelny napis. Boki skrzyni zdobiły bogate okucia przedstawiające roślinne i heraldyczne motywy, wplecione w dekorację w postaci arkad. Z obu dłuższych boków umocowane były po trzy wielkie koła zaczepione do kutyh lwich głów. Takie same koła znajdowały się na krótszych ścianach skrzyni. Narożniki zdobiły hermy, których dolne części przechodziły

w stylizowane szpony.

Nie wierząc własnym oczom, Igor pochylił się i przetarł rękawem napis na wierzchu skrzyni. Od razu rzucił się w oczy jego pierwszy, największy człon, który głosił:

**BARNIM SEIS NAME DES X VON GOTTES GNADEN  
HERTZOG**



# Rozdział 1

Borola stał obok ciężarówki i patrzył na Igora, znieruchomiącego na skrzyni samochodu. Obaj wbijali w siebie wytrzeszczone szeroko oczy.

– Co to jest?

Informacja była tak abstrakcyjna, że mózg Igora opierał się przed przyjęciem jej znaczenia.

– To sarkofag – wykrztusił wreszcie. – Sarkofag Barnima Dziewiątego.

– Jakiego Barnima Dziewiątego? – Borola patrzył na Igora z lekką już irytacją.

– Księcia Barnima Dziewiątego Pobożnego – powiedział Igor i ukucnął przy wielkiej skrzyni.

Wszystko to było tak nieprawdopodobne, że zyskał właśnie absolutną pewność, iż za chwilę się obudzi. Zawalający się budynek w centrum miasta, ciężarówka z trupem w szoferce, a teraz sarkofag zachodniopomorskiego księcia. Takie rzeczy się nie dzieją na jawie!

– Musisz mnie uszczypnąć – rzekł słabym głosem.

– Ja cię zaraz uszczypnę – mruknął pod nosem Borola i zaczął się gramolić na pakę ciężarówki. – Muszę to sam obejrzeć.

Igor podniósł się i ostrożnie cofnął w głąb samochodu.

– Ten samochód wytrzyma nasze obciążenie? – spytał, patrząc z niepokojem na wspinającego się do wnętrza, masywnej budowy Borolę. – Podwozie pewnie przerdzewiało na amen.

– Nie przesadzaj. Nie ważę aż tyle – wysapał Borola, prostując się nad skrzynią. Pochylił się nad sarkofagiem i dotknął ostrożnie wieka, pocierając palcem ledwie widoczny napis.

– Przecież tu wyraźnie jest rzymska dziesiątka, a nie dziewiątka. – zwrócił się do Igora powątpiewająco.

– No właśnie. – Igor kiwnął głową z zaafowaniem. – Barnim Dziesiąty, czyli Barnim Dziewiąty Pobożny.

Borola spojrział na Igora podejrzliwie, jakby się zaczął obawiać o stan jego umysłu.

– No, dawniej był nazywany Barnimem Jedenastym, później w wyniku innego liczenia kolejnych książąt w dynastii zaczęto go tytułować Dziewiątym – dość mętnie wytłumaczył Igor. – Sam siebie uważał za Dziesiątego.

Borola popatrzył na niego przeciągle.

– Skoro sam siebie uważał za Dziesiątego, to nie można było tego tak zostawić?

– Miej o to pretensje do niemieckich historyków z dziewiętnastego wieku.  
– Igor ukucnął przy skrzyni i zaczął się przyglądać misternie rzeźbionym pazurom, na których stał sarkofag.

– Dobra. Złazimy i wynosimy się stąd. – Borola podszedł do skraju skrzyni i pochylił się, próbując zeskoczyć. Zmienił jednak zdanie, odwrócił się tyłem, kucnął i powoli zaczął schodzić na dół.

Igor odwrócił się w kierunku Boroli i popatrzył na niego mętnym wzrokiem.

– To jest sarkofag zachodniopomorskiego księcia, rozumiesz? Jak mi się wydaje, nieotwierany i nienaruszony. Wewnątrz mogą być insygnia jego władzy, różne jubilerskie fidrygały, pierścienie, brosze i cholera wie co jeszcze. To jest bezcenne! – dodał. – Do naszych czasów nie dotrwał żaden nieotwarty sarkofag Gryfitów. Ostatni otwarto po wojnie.

– Bezcenne? – Ta informacja wreszcie do Boroli dotarła. Staął właśnie na ceglanej posadzce i odwrócił się do Igora. Popatrzył na skrzynię z nagłym zainteresowaniem, zapominając na chwilę o powodach, dla których w ogóle tutaj się znaleźli.

Igor z namaszczeniem dotknął misternego ornamentu na bocznej ścianie sarkofagu i przejęty do głębi spojrział na Borolę.

– Takie rzeczy nie mają ceny. Są niezbywalne. To zabytek klasy zerowej, ale przede wszystkim nieprawdopodobna wartość historyczna.

– I co my z tym mamy zrobić? – Zainteresowanie Boroli na wiadomość o wartości historycznej nieco się zmniejszyło.

Igor wstał, wyciągnął komórkę i zaczął robić zdjęcia po kolei każdej ścianie sarkofagu.

– Musimy powiadomić konserwatora zabytków, to przede wszystkim.

– A co z samochodem? – Borola nagle przypomniał sobie o rzeczach bardziej go interesujących.

– Co? Z jakim samochodem? – Igor z trudem się oderwał od podziwiania posrebrzanej dekoracji sarkofagu i spojrzał nieprzytomnie na Borolę.

– Stoisz na nim, jełopie – rzekł Borola, ze zniecierpliwieniem wskazując brodą na skrzynię ciężarówki.

Igor popatrzył pod nogi.

– A kogo obchodzi samochód, na litość boską? – Popatrzył na Borolę jak na wariata i zrobił kolejne zdjęcie.

Od strony zasypanego przejścia przez forteczny korytarz dotarł do nich jakiś hałas, który na obu podziałał otępiennie. Igor schował komórkę, pieczołowicie nakrył z powrotem sarkofag szmatą i zabrał reflektor, który wcześniej ustawił tak, by jak najlepiej oświetlić wnętrze samochodu. Podszedł do krawędzi i zeskoczył na posadzkę, spoglądając w kierunku przejścia.

– Musimy wracać na górę. – Obejrzał się raz jeszcze za siebie. – To nieprawdopodobne – zwrócił się do Boroli, kręcąc głową. – Zdajesz sobie sprawę, jaka to sensacja?

– Ale skąd się tutaj wziął ten sarkofag? Może ten gość – Borola skinął głową w kierunku szoferki – wykradł go skądś tam w czasie wojny? Tuż przed wejściem Ruskich. Panika, naloty, zamieszanie. Może chciał to wykorzystać?

– Z zamku – odpowiedział Igor. – Raczej nie w czasie wojny. Krypta została otwarta dopiero po wojnie. Poprzednio otwierano ją w dziewiętnastym wieku.

Stali wciąż przed samochodem i patrzyli na wielką skrzynię. W świetle reflektora w powietrzu wirowały małe drobiny kurzu.

– Byłeś przy tym? Może w czasie wojny ktoś ją splądrował? – Borola popatrzył na Igora z powątpiewaniem. Nagle drgnął. – A może to Werwolf? Chcieli wywieźć ze Szczecina cenne, zachowane jeszcze rzeczy i ukryć je przed Polakami? – spytał podniecony.

Od strony zasypanego tunelu znowu dobiegł jakiś odgłos. Obaj drgnęli i popatrzyli na siebie.

– Idziemy. Potem się będziemy zastanawiać. – Igor skinął głową w kierunku dziury w rumowisku, przez którą się tu dostali.

– Czekał. – Borola popatrzył raz jeszcze na samochód i zadał pytanie, które od początku wisiało w powietrzu: – Jak to stąd wyciągnąć?

– Najpierw musimy to zgłosić jak najszybciej do konserwatora zabytków. Niech oni się martwią. – Igor niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. – Chodźmy, bo ten cieć wezwie straż i zrobi się awantura.

Borola oderwał się w końcu od widoku wojskowej ciężarówki i ruszył za Igorem w kierunku dziury. Weszli w szparę pomiędzy zachowaną ścianą a rumowiskiem zasypanej części korytarza i zaczęli się przepychać w kierunku światła migoczącego jakieś 25 metrów przed nimi.

\*

Paulina stała przy ażurowym ogrodzeniu na tyłach hotelu i patrzyła niezdecydowanie na mały wewnętrzny dziedziniec, wśród którego wypielęgnowanej, niskiej zieleni stały kute, wykończone drewnem ławki. Stylizowane latarnie paliły się, rzucając głębokie cienie na chodnik z granitowej kostki. Nad dziedzińcem wznosiła się tylna ściana feralnego biurowca, mrugając teraz oświetleniem ewakuacyjnym. Dochodził tutaj z ulicy przytłumiony hałas. W sąsiedniej, wychodzącej na tyły biurowca kamienicy paliła się większość światel. Ludzie pewnie wylegli na ulicę, bo w oknach pojawiały się tylko pojedyncze osoby. Chwilę wcześniej przemknęła dyskretnie przez bramę w kamienicy. O tej porze brama była zazwyczaj zamykana, ale hotelowy dozorca miał do niej klucze.

Paulina podeszła do furty oddzielającej teren hotelu od reszty dziedzińca i szarpnęła wielką kłamkę. Furta była otwarta.

Musieli tutaj wejść, pomyślała. Wiedziała, że z dziedzińca hotelowego jest wejście do bocznej klatki schodowej oraz osobne drzwi do komory śmietnikowej. No, ale tam raczej się nie udali. Podeszła ostrożnie do ukrytych za ścianką z czerwonej cegły, częściowo oszklonych drzwi i nacisnęła kłamkę. Drzwi były otwarte. Z bijącym sercem weszła do środka i dyskretnie się rozejrzała.

Na prawo schody prowadziły na piętro, po lewej natomiast było zejście do piwnic. Drewniane drzwi dawno już miały swoje najlepsze czasy za sobą. Podczas ostatniego remontu powinni je wymienić, ale jedynie zostały pomalowane na kolor brązowy. Zamiast zamka wisiała tu dawniej kłódka. Teraz skobel w drzwiach był wyłamany, a części w futrynie chyba od dawna nie było.

Paulina ostrożnie nacisnęła klamkę i powoli otworzyła drzwi. Na dole paliło się światło. Weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Stała przez chwilę w półmroku, czekając, czy nie usłyszy jakiegoś hałasu, kroków lub rozmów. Panowała cisza.

Zaczęła powoli schodzić stromymi schodami na półpiętro. Z tego poziomu było to nieszczęsne wejście na pierwszy poziom piwnic przez otwór o wysokości niecałego metra. Żeby się dostać do środka, należało się pod nim przecisnąć. Paulina już chciała to zrobić, gdy dobiegł ją z dołu, z niższego poziomu, jakiś hałas, jakby ktoś kogoś nawoływał.

Ostrożnie stąpając, by nie narobić rumoru, potykając się o kawałki cegieł pod nogami, zrobiła krok w kierunku schodów na dolny poziom. Przechyliła się przez balustradę, usiłując dojrzeć, czy na dole jest światło. Trzymając się poręczy, zeszła kilka stopni w dół i usłyszała jakąś rozmowę dobiegającą z głębi piwnicy. Przez chwilę nasłuchiwała.

Ja chyba histeryzuję, pomyślała w końcu. Pewnie poszli sprawdzić, czy jakieś urządzenia są odłączone, czy gaz wyłączony, albo jakaś inna przyziemna głupota, a ja się czaję tutaj, jakby poszli tam kogoś zamordować. Wyprostowała się, przełożyła torbę i laptopa przez ramię, zeszła jeszcze kilka kroków na podest półpiętra i zatrzymała się. Usłyszała znowu rozmowę, tym razem głośniejszą i co gorsza, odniosła wrażenie, że głosy się zbliżają.

Przemknęło jej przez myśl, że niezależnie od tego, dla jakiej głupoty ci faceci tu zeszli, to co ona im powie, jak uzasadni swoją obecność na piwnicznych schodach? Z tym cholernym laptopem? Nerwowo spojrzała na dół, potem szybko, starając się jak najciszej, wbiegła na górę i już chciała pobiec wyżej, gdy wzrok jej powędrował w kierunku schodów w dół. Głosy się zbliżały. Podjęła decyzję, ukucnęła przy niskim otworze i przedostała się na drugą stronę. Cały czas pochylona, schowała się za narożnikiem i wstrzymała oddech.

Dozorca był przy końcu korytarza. Przed dziurą, którą Igor pół godziny temu wyrąbał w świeżo zamurowanej ścianie. Chciał właśnie przeleźć przez nią i sprowadzić tu strażaków, gdy na drugim końcu korytarza zobaczył obu zaginionych, wychodzących z otworu w fortecznej ścianie. Byli utyłani, jakby przedzierali się przez zgliszcza. Igor miał włosy prawie siwe od grubej warstwy kurzu, a eleganckie szare spodnie Boroli były zakurzone i wybrudzone jakimś smarem. Stróż odetchnął i ruszył w ich kierunku. Kompletnie mu zepsuli całą zabawę, każąc stać tutaj przez pół godziny, podczas gdy na górze pewnie wiele się jeszcze działo. W końcu jak często się zdarza, żeby zawalił się nowy budynek?

– Co się z panami działo? Właśnie chciałem wzywać strażaków – rzucił zdenerwowanym głosem, patrząc, jak Borola otrzepuje spodnie z kurzu.

– Sprawdzaliśmy stopień zniszczenia ściany – odparł Borola, patrząc porozumiewawczo na Igora. Ten wzniósł oczy do góry.

– Chodźmy! Trzeba przekazać strażakom informację o tym korytarzu. Jeśli zapadnie się jeszcze fragment ściany, to ulica przed biurowcem będzie nieprzejezdna. – Igor wyminął dozorcę i ruszył w kierunku otworu.

– Zaczekaj! – krzyknął za nim Borola i odwrócił się do dozorcę. – Proszę iść na górę i poszukać tego policjanta, z którym gadaliśmy przed zejściem tutaj! My idziemy za panem.

Stróż, uradowany, że może wreszcie iść na górę i zobaczyć, co się tam dzieje, skinął głową, przelazł przez otwór i szybko ruszył w kierunku wyjścia z piwnicy.

– O co chodzi? – Igor popatrzył pytająco na Borolę.

– Trzeba jakoś zabezpieczyć wejście do tych lochów. Najlepiej zamknąć całą piwnicę, żeby nikt tu nie wszedł. – Borola popatrzył na Igora. – Ta szpara, którą tam wleźliśmy, nie wzbudza zaufania. Poza tym to w końcu mój hotel, jeśli jakaś sierota tam wlezie i coś jej się stanie, to ja będę za to odpowiadał.

Igor przez chwilę patrzył na Borolę w milczeniu.

– Masz rację – zgodził się w końcu. – Powiedz temu cieciowi, żeby zamknął wejście do piwnic i nikogo tu nie wpuszczał, dopóki nie zawiadomimy konserwatora i nadzoru budowlanego.

– Dobra, idziemy na górę! – Borola przelazł przez dziurę i świecąc latarką



pod nogi, ruszył do wyjścia. Przez półkoliście zamknięty otwór wyszli na schody i zaczęli się wspinać do góry.

– Powstrzymałem cię przed powiedzeniem czegoś cieciami, bo pewnie zaraz by gdzieś zadzwonił, żeby się pochwalić odnalezieniem tej tam Arki Przymierza. – Borola machnął ręką za siebie. – Pewnie zaraz by tu przyjechała jego żona, szwagier i cholera wie kto jeszcze, żeby to obejrzyć. Poleźliby tam, coś by im spadło na łeb i ja byłbym winny. Wiadomo, ten Borola.

Igor ze ściągniętymi brwiami, pogrążony w myślach, ledwie to słyszał. Uświadomił sobie właśnie, że o tym facecie w szoferce trzeba powiadomić prokuraturę. Kojarzyło mu się, że w przypadku znalezienia jakichkolwiek zwłok zawsze się powiadamia policję i prokuraturę.

– Zaraz zadzwonię po swojego człowieka, każę mu przyjechać i wstawić jakąś sztabę przy drzwiach do piwnicy. Nie mam zaufania do tego ciecia – ciągnął Borola.

– Jest już po północy – zwrócił mu uwagę Igor.

– No i co z tego. Sytuacja tego wymaga. Zapłacę mu dwa razy tyle co normalnie, spokojna głowa, będzie zadowolony. – Borola uśmiechnął się z pewnością siebie i złapał za klamkę drzwi prowadzących na parter.

– Biorąc pod uwagę tego trupa, musimy ściągnąć tu na dół policję i im to pokazać. I to obawiam się, że od razu. – Igor stanął przed drzwiami, patrząc na Borolę, który się zatrzymał i ściągnął brwi.

– Naprawdę? Przecież to sprawa z czasów wojny. A poza tym to chyba drogówka. – Borola popatrzył sceptycznie na Igora.

– Drogówka to też policja. Nie dam sobie głowy uciąć, ale takie chyba są procedury. Policja musi to zbadać, określić przyczynę zgonu itede. – Igor ściągnął usta. – Weźmy na bok tego sierżanta i powiedzmy mu, o co chodzi.

– Starszego sierżanta – poprawił go Borola. Przez chwilę się zastanawiał, po czym skinął głową. Odwrócił się i wszedł do sieni na parterze, a Igor podążył za nim. Drzwi od piwnicy zamknęły się za nimi z cichym stuknięciem.

\*

Paulina stała, opierając się o ścianę. Na pierwszym poziomie piwnic do

ceglanych sklepień było może z metr osiemdziesiąt. Pod ścianą, przy oparciach stropów, chyba dziesięć centymetrów mniej. Paulina miała wprawdzie dokładnie tyle wzrostu, ale trzymała głowę pochyloną z obawy, że zgarnie włosami z narożników ścian wszystkie pajęczyny wraz z ich koszmarną zawartością. Zaraz po wejściu do tej cholernej piwnicy, prawie na czworakach, miała od razu ochotę wyjść z powrotem, otrzepać się i jechać w diabły do domu pod prysznic, ale to, co usłyszała, wprowadziło ją w osłupienie.

O czym oni mówią? Trup? Na miłość boską! – usiłowała poskładać galopujące myśli. O co tu chodzi? Czy ktoś zginął podczas tej katastrofy? Może ktoś tam pracował i ten wysoki facet nagle sobie o tym przypomniał? Pobiegli zobaczyć i stwierdzili, że nie żyje. Pewnie coś się na niego zaważyło. Przemknęło jej przez myśl, że Borola wspomniał coś o wojnie. Sprawa z czasów wojny. O co mu mogło chodzić?

Przed momentem usłyszała trzask zamykanych drzwi od piwnicy. Postanowiła na wszelki wypadek odczekać jeszcze chwilę, zanim dokądkolwiek się stąd ruszy. Po pięciu minutach poszła w kierunku niskiego przejścia na schody. Przedostała się na półpiętro, wyprostowała z ulgą i poprawiła swoje dwie torby. Na dole wciąż świeciło nikłe światło.

Jeśli tam nie zejdem, to mogę się pożegnać z karierą dziennikarki, pomyślała. Paweł już nigdy nie da mi żadnego porządnego tematu. Zrobiła krok w kierunku schodów, słysząc, jak wali jej serce. Zatrzymała się, zdjęła swoje dwie torby. Ukucnęła i wyjąwszy komórkę, niezdecydowanie rozejrzała się wokół. Spojrzała na dziurę prowadzącą do piwnicy, pochyliła się i upchnęła torby za ścianą. Żałowała, że nie wzięła ze sobą aparatu, ale niby skąd miała wiedzieć, że dzisiaj akurat zawali się budynek, a w piwnicy obok będzie trup.

Ruszyła na dół. Jedyne oświetlenie było przy samym wejściu do dolnego poziomu piwnic. Dalej kompletnie ciemno. Minęła półkolisty portal i weszła do korytarza. Był ciemny, w połowie zalany wodą, a na jego końcu w ceglanej ścianie widać było świeżo wykutą dziurę. Nad nią wisiała pojedyncza żarówka. Z bocznych ścian korytarza patrzyły ciemne otwory bocznych pomieszczeń. Paulina poczuła, że narasta w niej panika, i jeśli jej nie pokona, to zaraz, w tym momencie rzuci się do ucieczki. Policzyła powoli do dziesięciu i mówiąc sobie, że to zwykła, gówniana piwnica w centrum miasta, a nie żadne lochy, stanęła na pierwszej, zanurzonej do połowy

w wodzie cegle. Starając się nie rozglądać na boki i nie patrzeć w boczne korytarze i otwory, dotarła do suchej części podłogi. Z łomoczącym sercem, cały czas przygotowana, że za chwilę zobaczy jakieś makabryczne zwłoki, podeszła do dziury w ścianie. Włączyła w komórce tryb latarki i poświeciła do wnętrza. Ujrzała ciągnący się w poprzek korytarz przy jakiejś dziwnej, biegnącej po łuku ścianie z cegły, już na pierwszy rzut oka starszej niż te, z których zbudowane były ściany piwniczne hotelu. Ponownie policzyła do dziesięciu i weszła do środka.

\*

Na ulicy przed biurowcem stał już tłum ludzi. Katastrofa była na tyle spektakularna, że powyciągała widzów nawet z okolicznych pubów i klubów. W ciągle powiększającym się zbiorowisku gapiów co chwilę błyskały flesze aparatów w komórkach. Przed kamiennym frontonem stojącej nieopodal staromiejskiej bramy uwijali się w pośpiechu kamerzyści i dziennikarze lokalnej telewizji. Ponadto zaczęli się zjeżdżać najemcy lokali w feralnym budynku i to oni chyba robili największe zamieszanie, dopytując się o skalę zniszczeń i dostęp do środka. Miały tu swoje siedziby firmy, których właścicielom wisały nad głową terminy, umówione spotkania, spóźnione projekty. Właśnie docierało do nich, jakie będą następstwa tych wydarzeń. Budynek zamknięty może i na całe tygodnie, zanim nie będzie wiadomo, co uległo zniszczeniu, i zanim nie skończą się prace zabezpieczające. Każdy dzień zwłoki będzie generował straty, a zanosilo się na to, że upłyną raczej tygodnie, zanim w nowym miejscu ruszy działalność.

Przed budynkiem walały się dziesiątki segregatorów, które powypadały z okien, podeptane papiery i prawdopodobnie ważne dokumenty. Nie był to uspokajający widok. Kilka osób, których firmy miały swoje siedziby w epicentrum zniszczeń, nerwowo wypytywało strażaków, kiedy będą mogli wejść i powynosić ocalałe dokumenty i sprzęty. Strażacy cierpliwie tłumaczyli, że dopóki eksperci budowlani nie oszacują zniszczeń i stopnia naruszenia konstrukcji budynku, nikt nie będzie mógł wejść do środka.

W sporej grupie mocno zaaferowanych i wystraszonych ludzi już na pierwszy rzut oka łatwo było rozpoznać przedstawicieli zarządu biurowca, ściągniętych tu błyskawicznie przez firmy ochroniarskie, które o katastrofie dowiedziały się przez swoje instalacje alarmowe, kamery i czujniki. Dwie osoby z firmy zarządzającej biurowcem stały z kilkoma strażakami przy

masce samochodu nad rozpostartymi płachtami dokumentacji budowlanej, którą przywieźli ze sobą, i wskazywali miejsca potencjalnego zagrożenia – przewody gazowe, linie instalacji elektrycznej, główne elementy konstrukcyjne.

Strażacy na wszelki wypadek zamknęli arkady pod hotelem i pilnowali wejścia, nie wpuszczając do środka najemców także i tego budynku. Migające światła karetek pogotowia i wozów strażackich rzucały pulsujące, nerwowe błyski na tłum ludzi, okoliczną zielen i oświetlone reflektorami strażaków elewacje budynków.

Z bocznej, prowadzącej na tyły hotelu bramy wyszedł Borola, a tuż za nim pogrążony w zadumie Igor, który zupełnie zapomniał, jakie wydarzenia doprowadziły do tego, że znaleźli się pod ziemią, i cały czas tkwił myślami przy zaginionej ponad sześćdziesiąt lat temu ciężarówce.

Zatrzymał się i zaczął wytrzępywać z włosów pajęczyny. Zza rogu dobiegał hałas i ciągle wyjące pojedyncze alarmy. Rozejrzał się wokół i westchnął. Pora wrócić na ziemię.

Borola stanął i niecierpliwie go popędził.

– Przed chwilą ci się śpieszyło. Chodź szybciej, poszukajmy tego policyjnego bossa, póki cieć mu jeszcze nie naopowiadał jakichś bzdur.

Stróż stał właśnie nieco dalej, tuż przy narożniku budynku, przed metalowym ogrodzeniem ulicy. Przed chwilą dopadł policjanta kierującego akcją, odciągnął go na bok i coś mu teraz gorączkowo tłumaczył.

Borola podszedł do nich szybko i bezceremonialnie przerwał wywody stróża.

– Wracamy właśnie z lochów pod hotelem – powiedział, patrząc na dozorcę ze ściągniętymi brwiami. – Pod tymi budynkami ciągnie się stary korytarz, chyba jeszcze z czasów szwedzkich. Pod biurowcem zapadła się jego ściana i wszystko się osunęło – wyjaśnił. Za pomocą obrazowej gestykulacji próbował dodatkowo przedstawić osuwanie się ścian.

– No właśnie, pan mi tu mówi, że jakaś dziura w ścianie się zrobiła – rzekł zdezorientowany nieco policjant. – Korytarz? Jaki korytarz?

– On panu wytłumaczy to lepiej. – Borola wskazał na podchodzącego Igora.

Policjant przeniósł spojrzenie na architekta. Igor, widząc wpatrujące się

w niego trzy pary oczu, pokrótce opisał sytuację, przedstawiając swoją hipotezę na temat katastrofy budowlanej nowego biurowca, którego fundamenty osunęły się w głąb zawalonego korytarza...

– Zaraz... – Policjant zbladł. – A czy to nie oznacza, że może się jeszcze coś zawalić?

– Budynek raczej już nie, miejmy nadzieję, korytarz odbija w stronę bramy. Natomiast może się zapaść ulica. Dobrze by było wycofać ciężkie wozy i cofnąć ludzi na skwer przed bramą, bo jak się coś zapadnie, to wybuchnie panika.

Policjant wyjął krótkofalówkę, odszedł na bok i zaczął gorączkowo udzielać komuś instrukcji. Gdy skończył, podszedł z powrotem i wskazując palcem na Igora, powiedział:

– Musimy tam zejść, muszę to zobaczyć. Pójdą z nami strażacy.

Igor popatrzył na Borolę niezdecydowanie.

– Panie sierżancie. Jest pewna komplikacja. Możemy pana prosić na stronę na moment? – rzekł cicho. – Lepiej, żeby za wiele osób o tym nie wiedziało – dodał.

Policjant popatrzył dziwnie, ale dał się odprowadzić na bok. Przeszli pod drzewa rosnące na skrawku trawnika między hotelem a zatoczką autobusową. Od strony hotelu, zza barierek odsuniętych przed momentem przez policjantów, powoli wyjechał wóz strażacki i odjechał parę metrów od budynków. Igor odetchnął i w skrócie zrelacjonował policjantowi efekty ich karkołomnej ekspedycji.

Starszy sierżant w tym momencie uznał, że wydarzenia wykroczyły poza jego kompetencje.

\*

Paulina wy dostała się z dziury przy fortecznej ścianie. Oparła się plecami o zimne cegły i odetchnęła. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Serce tak jej waliło, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Najważniejsze, by fotki zrobione komórką nadawały się do druku. Przez ostatnich kilka minut bała się, że padnie jej bateria i będzie musiała wydostawać się z tych lochów po omacku. To był główny powód, dla którego nie została tam dłużej i nie obejrzała wszystkiego dokładnie.

No i musiała *to* zabrać.

Strach przed zapadnięciem ciemności wręcz ją paraliżował. Bała się, że nie zdąży *tego* obejrzeć i zrobić wyraźnych zdjęć. Ale już żałowała. Zastanawiała się nawet, czy zabierając stamtąd cokolwiek, nie popełniła jakiegoś przestępstwa.

Oderwała się od ściany i szybkim krokiem ruszyła w kierunku wyрубanego otworu prowadzącego do piwnicy hotelu. Boże! Że też ta piwnica jeszcze piętnaście minut temu wydawała jej się taka przerażająca. Teraz była wręcz oazą bezpieczeństwa i spokoju. Przedostała się do środka, szybko przeszła przez zalany wodą korytarz i wbiegła na schody.



## Rozdział 2 (sobota)

Budzik zaczął terkotać o ósmej i zaraz po nim włączyło się radio, wypełniając przytulną i cichą jeszcze przed chwilą przestrzeń poddasza głośną muzyką.

Igor z trudem otworzył oczy i zaklął. W planach miał na dziś basen, a potem myślał, żeby pobiegać (choć skończyłoby się pewnie na myśleniu), dlatego ustawił budzik na ósmą. Ale że wczoraj poszedł spać po trzeciej, to teraz basen, po niecałych pięciu godzinach snu, był ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Nie mówiąc o bieganiu. Do jego świadomości powoli zaczęły wracać wydarzenia wczorajszego dnia. Właściwie dzisiejszego, pomyślał. Przeciągnął się jak kocur, sięgnął po pilota, wyłączył wieżę i z powrotem zwałił się na łóżko. Chciał sobie jeszcze smacznie pospać, jednak pamięć uruchomiła już odtwarzanie wczorajszych zdarzeń, i to w przyspieszonym tempie.

Wczoraj wrócił do domu dokładnie pięć minut po trzeciej.

\*

Po tym, jak dowodzący akcją sierżant zażyczył sobie wszystko obejrzeć, zrobiło się małe piekło. Posłany po dowódcę strażaków młody policjant wrócił razem z czterema mężczyznami z firmy zarządzającej biurowcem, którzy stwierdzili, że też muszą obejrzeć piwnice hotelu, jeśli to ma związek z wypadkiem. Borola – co było do przewidzenia – kategorycznie się temu sprzeciwił, twierdząc, że nikogo tam nie wpuści poza policją i strażakami. Poparli go ci ostatni, twierdząc, że schodzenie do tych podziemi jest niebezpieczne i zejście zostanie zamknięte do czasu, aż przybędzie na miejsce ktoś z nadzoru budowlanego i prokuratury. Ubrany w szarą marynarkę narzuconą na T-shirt przedstawiciel zarządcy biurowca zaczął się w tym momencie awanturować, że ukrywa się przed nimi przyczynę tego wypadku i że coś tu widocznie jest nie tak. Wściekły Borola nie pozostał mu dłużny i palnął coś o kompetencjach firmy budowlanej i zarządzającej, które

doprowadziły do wypadku, w którym szkodę poniósł także jego hotel. Wywołało to już regularną awanturę.

Igor stał nieco z boku. Wolał nie włączać się do tej wymiany zdań.

Z bramy wyszła ładna, ubrana w granatowy top i dżinsy szatynka. Miała przewieszoną przez ramię torbę z laptopem i nerwowo z kimś rozmawiała przez komórkę. Obejrzała się za siebie, po czym szybko przeszła przez jezdnię, kierując się w stronę przychodni.

Podczas gdy przedstawiciele zarządu i Borola wymieniali coraz bardziej nerwowe uwagi, obrzucając się nawzajem oskarżeniami, starszy sierżant odciągnął na bok młodego policjanta. Zrugął go, że nie przywołał strażaków jakoś dyskretniej, potem wystukał numer na swojej komórce i połączył się z przełożonym.

Pół godziny później na miejsce przyjechał starszy aspirant, dzielnicowy z komisariatu Śródmieście, ściągnięty z łóżka i w niezbyt dobrym humorze. Poinformowany o drugim niejako planie wydarzeń, zachował się dyskretnie. Wysłuchał na boku informacji o znalezisku w podziemiach hotelu, po czym kazał się zaprowadzić na miejsce. Igor po raz drugi tej nocy znalazł się na dolnym poziomie piwnic hotelu. Razem z dzielnicowym, dowódcą strażaków oraz starszym sierżantem stanęli w wąskim korytarzu, po czym nieco przerażeni wsunęli się do dziury w fortecznej ścianie i podążyli do miejsca, gdzie stała ciężarówka razem ze swoją niesamowitą zawartością.

Kolejne pół godziny później Igor wraz ze wstrząśniętymi policjantami i strażakiem wydostali się z powrotem do piwnic hotelu.

Policjanci uzgodnili absolutną konieczność zamknięcia wejścia do piwnic oraz poinformowania o wszystkim nadzoru budowlanego, prokuratury oraz miejskiego konserwatora zabytków. Ponieważ zaczął się właśnie weekend, inspekcja przedstawicieli tych służb oczywiście musiała poczekać do poniedziałku. Borola, już na górze przed budynkiem, został poinformowany o obowiązku zabezpieczenia piwnic i zamknięcia ich do momentu pojawienia się inspektorów.

Dwadzieścia minut później obok bramy prowadzącej na podwórze hotelu zatrzymał się stary pick-up navara i wysiadł z niego człowiek wezwany do wstawienia sztab i zamków. Wokół biurowca w dalszym ciągu trwało zamieszanie, ale Igor po komisyjnym zabezpieczeniu drzwi do piwnicy – w czym Borola kazał uczestniczyć także wkurzonemu tym dzielnicowemu

(by potem nie było, że została źle zabezpieczona) – pożegnał się i wezwał taksówkę. Gdy wchodził do domu, było pięć po trzeciej.

\*

A teraz zegar wskazywał dziesięć po ósmej. Słońce już od rana mocno świeciło, wpadając przez okno w dachu i rzucając na pościel złote błyski. Po desperackich próbach wyciszenia myśli i kilkakrotnym przewracaniu się z boku na bok Igor stwierdził, że ze spania nici, i zwlókł się z łóżka.

Człapiąc w kierunku łazienki, zastanawiał się – jak w każdy słoneczny poranek – po jaką cholere zaprojektował sobie nad samym łóżkiem w sypialni okno pościowe. W zimowe miesiące okno się sprawdzało i wieczory z widokiem gwiazd też były fajne, ale w upalny dzień natarczywe promienie słoneczne nie należały do najmilszych rzeczy, jakie by się chciało zobaczyć o poranku. Igor w tym przypadku przechytrył sam siebie. Zaprojektował to okno tak, by słońce wpadało do środka około godziny ósmej, co miało go zabezpieczyć przed zbyt długim, bezmyślnym wylegiwaniem się w wolne dni i dodatkowo zaktywizować do rannego biegania, ale efekt z tym ostatnim był taki mniej więcej jak dzisiaj.

Poddasze stało się dla niego azylem po rozwodzie. Poprzednie, wspólne mieszkanie zatrzymała Dorota. Razem z kredytem. Rozstali się bez specjalnych problemów. Nie mieli dzieci, byli racjonalni i od dłuższego już czasu towarzyszyła im świadomość, że niewiele ich łączy. Dorota też była architektem i to, co na początku wydawało się łączącą ich wspólną pasją, z czasem paradoksalnie zaczęło dzielić. Zachowali poprawne stosunki, choć Igor zachował także i sporo żalu, do czego tylko czasami, sam przed sobą, się przyznawał. Dorota miała zamiłowanie do wielkiego formatu, bardzo szybko praca na rynku w Szczecinie zaczęła ją tłamsić. Wielokrotnie powtarzała, że czuje się, jakby utknęła. Igora zawsze na początku to zasmucało. Jakby to z *nim* utknęła. Zaczęła brać udział w wielkich konkursach. Także międzynarodowych. Igor za nimi nie przepadał, a poza tym bieżące zlecenia zabierały mu zbyt dużo czasu. Brakowało siły na kreatywność po nieustannej pracy przy trzech projektach jednocześnie. Dorota miała w ich firmie zwolenników, którzy myśleli tak jak ona. Zgłaszali pretensje do Igora, że zamiast brać udział w czymś większym, on każe im projektować restaurację pod miastem albo wiejski hotelik.

I w końcu któryś z konkursów wypalił. Dorocie przypadła pierwsza nagroda i zaproszenie do współpracy w Warszawie, a potem w Barcelonie. Oboje wiedzieli, że jeśli wyjedzie i odniesie sukces, to będzie oznaczało koniec między nimi. Takie to było jakieś oczywiste, choć na początku oszukiwali się, że wyjazd wiąże się tylko z realizacją tego projektu. Wielki nowoczesny biurowiec, dodatkowe pieniądze i doświadczenie. Gdyby oczekiwał, że jej się nie powiedzie, znaczyłoby, że źle jej życzy, a z radości związanej z ewentualnym sukcesem czuł się wykluczony już na wstępie.

Po roku latania do Barcelony kilka razy w miesiącu Igor miał dość, choć to ona pierwsza powiedziała, że powinni się rozstać. Zachował sporo żalu, bo miał jakieś takie głupie, naiwne przekonanie, że jak się kogoś kocha, to się go nie opuszcza. I już!

Sukces Doroty w Barcelonie okazał się połowiczny. Hiszpańska firma budowała wielką, szklaną wieżę przez dwa lata. Przy czym do pierwotnego projektu Hiszpanie wprowadzili tyle zmian, że niewiele zostało z lekkiej, ażurowej, jakby zrobionej szydełkiem koronki, którą wszyscy tak się na początku zachwycali. A potem przyszedł kryzys i firma nie przedłużyła Dorocie kontraktu, a nawet zwolniła sporo swoich starych pracowników.

Ale Igor nie śledził już jej kariery. Bardzo rzadko rozmawiali na GG czy Skype. A widział ją chyba po raz ostatni dwa lata temu. Czas robi swoje. Niestety, pomyślał, patrząc na biegnące od płatków nosa do kącików ust zmarszczki, które kiedyś było widać jedynie wtedy, gdy się uśmiechał. Teraz zostały już na stałe.

Nie chciało mu się golić, a poza tym nigdzie się dzisiaj nie wybierał. Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Po rozstaniu z Dorotą często czuł się stary, choć to oczywiście była bzdura. Miał cały czas młodzińcze ciało, które zawdzięczał częstemu pływaniu, co z kolei zawdzięczał sąsiedztwu basenu. No i w końcu nie skończył jeszcze trzydziestu pięciu lat.

Pod prysznicem przypomniał sobie o fotkach na iPhonie.

Z zawiązanym na biodrach ręcznikiem wyszedł z łazienki, podszedł do lodówki i stwierdził, że jednak będzie musiał gdzieś wyjść. Nie miał nic do jedzenia. Poza jogurtem. Zdzierając folię z plastikowego pudełeczka, przeszedł przez pokój w stronę biurka, na którym stały dwa ogromne monitory LCD. Uruchomił komputer i czekając, aż system się obudzi, oblizał umazaną w czekoladowym jogurcie łyżeczkę.

\*

Gruby szary cętkowany kocur przecisnął się z trudem przez szparę w ogrodzeniu, przelazł pod krzakami za domem, wbiegł po schodach na taras, a stamtąd przeskoczył na parapet okna na parterze. Wślizgnął się do kuchni, poszperał przy swojej, a potem psiej misce i truchcikiem wbiegł na piętro. Z pionowo uniesionym ogonem podszedł do uchylonych drzwi i wsunął się przez szparę do środka. Rozejrzył się podejrzliwie po rozrzuconych wszędzie częściach ubrania, a następnie wskoczył na łóżko i głośno mruczając, zaczął udeptywać sobie wygodne poślanie. Dochodziła ósma trzydzieści.

Paulina otworzyła oczy i zobaczyła tłusty powód swojego nagłego przebudzenia. Sięgnęła na stolik przy łóżku po komórkę.

– Ósma trzydzieści. Jezu! Kocie! Spałam niecałe cztery godziny! – Opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Śniło jej się, że ktoś ją goni po jakimś ciemnym korytarzu. I właśnie udało jej się uciec przez jakąś dziurę, gdy obudziło ją szturchanie miękkimi łapkami.

Rozejrzała się po pokoju. Dziwne, ale chociaż od powrotu z Londynu minęło już pół roku, ciągle rano budziła się z myślą, że jest na Camden, w swojej wynajętej klitce w przyziemiu starego szeregowca i że zaraz wstanie, patrząc na zarośnięty wąski ogród, na którego końcu, zakamuflowane, mieszkały dwa lisy. Przez chwilę miała przed oczami dwa rude kocmołuchy, zazwyczaj nad ranem wychodzące, by szperać w okolicznych śmietnikach, kiedy przypomniało jej się, dlaczego wczoraj poszła spać po czwartej.

\*

Wyszędłszy z piwnicy, przykucnęła przy schodach, otworzyła torbę i ostrożnie, żeby nie uszkodzić starego, kruchego papieru, powoli wsunęła go do foliowej koszulki. Starając się poruszać jak najciszej, podeszła do drzwi wyjściowych na podwórzec hotelu i nacisnęła klamkę. Na zewnątrz nie było nikogo. Wysunęła się ostrożnie, zamknęła za sobą drzwi i przemknęła przez furtę ogrodu na podwórze obok, gotowa w razie czego udawać, że wyszła z tylnej klatki schodowej sąsiedniej, zaniedbanej kamienicy. Poprawiła bluzkę, otrzepała spodnie z kurzu i ruszyła przez bramę na ulicę. Nagły, głośny sygnał komórki o mało nie przyprawił jej o zawał serca. Wyjęła ją

z kieszeni w spodniach i spojrzała na wyświetlacz. Paweł. Od razu ogarnęła ją złość. Irracjonalnie zaczęła go już obwiniać za całą tę awanturę, w którą się właśnie wplątała. Poza tym właściwie przeczuwała, co usłyszy.

– Paulina! Czy ty wiesz w ogóle, co się dzieje? – Paweł mówił głosem podekscytowanym, ale podszytym irytacją. – Chyba wychodziłaś dziś ostatnia, prawda?

– Tak, a o co chodzi? – spytała niewinnie.

– Nie wiesz? Był pożar w naszym budynku! Właśnie przeczytałem na Facebooku. Miałaś szansę zrobić niezły materiał, gdyby nie to, że chciałaś pewnie zdążyć na kolejny odcinek jakiegoś gówna w TV! – Słyszała, jak Paweł się nakręca. – Dobrze, że mamy zrobione jutrzejsze wydanie, ale poniedziałkowe pewnie się spóźni, bo słyszałem, że budynek na razie zamknęli. Nie jesteś gdzieś tam w pobliżu? Ja dzwonię z Goleniowa, więc raczej nie zdążę.

– Paweł... – zaczęła zimnym tonem.

– Ja dziękuję, ciekawe, co tam się spaliło! Że też nie mogłaś zostać trochę dłużej!

– Paweł, zamknij się wreszcie! – warknęła głośno. – Zamknij się i posłuchaj!

W słuchawce zapadło pełne zaskoczenia milczenie. Paulina szybkim krokiem przeszła przez ulicę. Na rogu pod hotelem zauważyła policjantów, wrzeszczącego na jakichś ludzi Borolę i tego całego faceta, chyba architekta. Patrzył na nią.

– Co ci odbiło? – Pawłowi wrócił głos. – To, że ci przerywam piątkowy wieczór, to jeszcze nie powód, żeby się zaraz tak wkurzać.

– Po pierwsze, to nie żaden pieprzony pożar! Zapadły się fundamenty, połowa budynku się zawaliła! Po drugie, byłam tam – dodała przyciszonym głosem, odwracając głowę i szybko zmierzając w kierunku przychodni. –

Strażacy wywlekli mnie na zewnątrz. Na szczęście, o ile wiem, nikt nie zginął. Ale to nie wszystko, tyle że nie mam najmniejszej ochoty teraz ci tego relacjonować. Dzwon do drukarni, wstrzymaj drukowanie pierwszej strony i niezależnie, co tam na niej jest, powiedz, żeby czekali, aż im przyślę to, co zaraz napiszę. Przyślę ze zdjęciami – dodała.

– Zwariowałaś? – Paweł był zdezorientowany. – Jak to zawaliła? Co ty



gadasz?

– Jak nie zrobisz tego, co mówię, to słowo daję, oddam ten materiał do „Wyborczej”. Aha, za ten artykuł zapłacisz mi czterokrotną stawkę i umieścisz pod nim moje nazwisko. Moje!

– Paulina, czy ty jesteś trzeźwa? – Paweł nie dawał się łatwo przegadać.

– Posłuchaj, Paweł, zrób, co mówię – powiedziała spokojnie. – Zaufaj mi raz. Naprawdę mam temat z kosmosu. Nawet jak na jutrzejszej pierwszej stronie ma być informacja, że prezydent Szczecina abdykował, bo chce zostać wziętą modelką, to wyślę ci coś lepszego. Zarezerwuj całą stronę. Prześlę tekst ze zdjęciami za godzinę.

– Czekaj, zaraz. Powiedz mi, do cholery, co się dzieje... Paulina!

Paulina rozłączyła się i wystukała numer taxi.

\*

Na myśl o tym, że za chwilę znajdzie w „Dzienniku Szczecińskim” na pierwszej stronie swój artykuł, poczuła gwałtowny zastrzyk adrenaliny. Koniec ze spaniem, pomyślała i zerwała się z łóżka, budząc, bardzo tym niezadowolonego, szarego grubasa.

W dodatku żadna inna gazeta nie będzie miała takiego gorącego materiału. Żadna! Wiedziała, że w ciągu paru godzin zaczną się telefony do Pawła ze wszystkich szczecińskich redakcji z pytaniami o możliwość przedruku w poniedziałek rano. Czują, jak rozpiera ją energia.

Leżąca na stoliku komórka zapiszczała. SMS. Sięgnęła po nią i spojrzała na wyświetlacz. Przyszedł dziesięć minut po szóstej. Paweł. „Poszło wszystko. Bez skrótów. Miałaś rację, to petarda! W poniedziałek pracujemy na Kolumba”.

Paulina zacisnęła pięści i zawirowała w krótkim, pełnym podskoków i średnio skoordynowanym tańcu radości. Porwała na ręce kocura i obróciła się z nim dookoła. Kocur, przekonany, że jego pani straciła rozum, miauknął, wywinął się z objęć Pauliny i czmychnął przez drzwi.

\*

Jego iPhone podłączony do komputera, niczym prawdziwa gwiazda,

postawił jak zwykle mnóstwo różnych żądań. Żeby go uaktualnić, żeby wejść na iTunes i żeby ściągnąć ostatnią wersję tegoż. Igor pozamykał wszystkie samowolnie uaktywnione okienka, założył nowy podkatalog w katalogu „Hotel–Lochy” i ściągnął do niego wszystkie zrobione wczoraj fotki.

Czekając, aż malutka klepsydra zniknie z ekranu, zlizął z łyżki ostatnią kroplę jogurtu. Odstawił pudełeczko na biurko i otworzył pierwsze zdjęcie. Widok dziury w fortecznej ścianie. Fotka zrobiona z zamurowanego korytarzyka w dolnej piwnicy. Potem rumowisko, kilka fotek ukazujących zasypane przejście, które prowadziło do zachowanej części tunelu, i wreszcie widok opła blitza. Zrobił duże zbliżenie, iPhone miał nędzną lampę błyskową, więc za dużo nie dało się działać, ale obejrzał podziurawioną plandekę i drewnianą skrzynię ciężarówki. Na następnej fotce był bok samochodu. Od strony pasażera. Przypomniał sobie, że zaraz potem wlaź na stopień przy szoferce i o mało co nie wybił sobie zębów o krawędź okna po ujrzeniu tego, co było we wnętrzu.

Następne zdjęcie przedstawiało oświetlony przód ciężarówki i fragment sylwetki pochylonego, robiącego właśnie fotkę swoim telefonem, Boroli. Potem jeszcze raz przód ciężarówki, nieco bliżej, i wreszcie napis na ścianie: DECKEL – QUERSUMME – GOTTES HAND.

Otworzył wyszukiwarkę i znalazł słownik niemiecko-polski on-line.

*Deckel* znaczyło to, co myślał. Pokrywa, wieko.

*Quersumme* oznaczało zaś sumę poszczególnych cyfr liczby.

Suma poszczególnych cyfr liczby? Taki skomplikowany termin? – pomyślał ze zdziwieniem. I jeszcze ręka Boga? Pokręcił głową. Albo były to całkowite brednie, albo jakieś powiedzenie niemieckie, przysłowie. Będzie się musiał zapytać kogoś znającego dobrze niemiecki. Mało prawdopodobne jednak, by to się w jakikolwiek sposób wiązało z ciężarówką.

Skopiował tłumaczenia wraz z przypisami do swojego katalogu i kliknął na kolejne fotki. Bok szoferki od strony kierowcy, potem plandeka i tył samochodu. I wreszcie to, co od początku chciał obejrzeć przede wszystkim.

Sarkofag!

Był naprawdę doskonale zachowany. Czworoboczna cynowa skrzynia, o pięknej dekoracji, zrobiona prawdopodobnie, jak większość szczecińskich sarkofagów, w lokalnym warsztacie konwisarskim. Nakryty prostą pokrywą

o dekoracyjnych listwach na wieku i z pięknym, rytowanym krucyfiksem stał na nóżkach w kształcie łap z pazurami. Jeśli rzeczywiście był to sarkofag Barnima IX, to stanowił niezwykle cenny egzemplarz.

Igor interesował się historią Szczecina i Pomorza, czytał praktycznie wszystko, co wpadło mu w ręce. Pamiętał z opracowań historycznych opisy cech stylistycznych i rodzajów dekoracji sarkofagów książąt zachodniopomorskich. Ich charakterystyczna forma narodziła się właśnie za Barnima IX, pierwszego protestanckiego księcia, który pod wpływem nauk Marcina Lutra wprowadził na Pomorzu protestantyzm, co wywarło niebawem wpływ na wszystkie dziedziny sztuki, a także na zwyczaje, obrzędy, kulturę.

Igor zrobił zbliżenie kolejnej fotki. Pokazywała wieko sarkofagu z wyraźnie widocznym kartuszem herbowym i wyrytą różnej wielkości literami inskrypcją. Dolna część była słabo czytelna. Prawdopodobnie zawierała pełny tytuł wraz z wymienionymi wszystkimi domenami księcia. Wyraźnie rzucały się w oczy pierwsze słowa. BARNIM SEIS NAME DES X VON GOTTES GNADEN HERTZOG.

Zrobił jeszcze większe zbliżenie i pochylił się nad ekranem. Wzdłuż wieka sarkofagu widać było wyraźny ślad nierównego łączenia. Czyli jednak był otwierany? – pomyślał z rozczarowaniem. Ale wiedział, że to nie przesądzało jeszcze o jego zawartości.

Największa grabież szczecińskich sarkofagów miała miejsce na początku XIX wieku i zarządził ją Fryderyk Wilhelm III. Kilofami rozwalono cynowe sarkofagi, a z trumien powyciągano kosztowności i zabrano je na dwór berliński. Gdyby zatem stało się to w tamtym okresie, pokrywa uległaby raczej kompletnemu zniszczeniu, natomiast tutaj wyraźnie była ostrożnie zdejmowana i wróciła na swoje miejsce. Poza tym – mimo splądrowania krypty – żołdacy Fryderyka III chyba kilka sarkofagów przeoczyli. Po wojnie otwarto przecież nienaruszony sarkofag Franciszka I, z zachowaną okazałą ilością biżuterii.

Igor potarł nos. Przypomnił sobie, że sarkofag Barnima IX został przeniesiony do krypty dopiero w 1830 roku z kościoła Mariackiego, w którym książę był pochowany, a który spalił się doszczętnie w roku 1789. Natomiast w 1862 krypta została otwarta przez szczecińską komisję konserwatorską w celach badawczych. Może wtedy otwarto ten sarkofag? Jednak komisja niczego z krypty nie zabrała, więc była szansa, że jednak

pozostał on nietknięty.

Zaczynał żałować, że sam nie spróbował go otworzyć. Strasznie był ciekaw, co się w nim zachowało. Westchnął i kliknął myszką, aby otworzyć kolejną fotkę.

Został mu jeszcze do obejrzenia katalog zdjęć zrobionych podczas drugiego zejścia na dół z policją. Kilkanaście fotek. Otworzył pierwszą, z ogólnym widokiem wyłaniającej się z mroku tunelu ciężarówka.

Nagły dźwięk syreny alarmowej spowodował, że pochyłony nad monitorem, o mało nie wyrzwał twarzą w klawiaturę. Igor zaklął i sięgnął po telefon. Sam sobie jestem winny, pomyślał, rozcierając łokieć, którym się uderzył, gdy podskoczył na krześle, poderwany kretyńskim dzwonkiem. Przypisanym Annie Fleming.

– Igor? – Mama Igora wolała się zawsze upewnić.

– Mamo, a kogo się spodziewałaś, dzwoniąc pod mój numer? – Igor już czuł narastającą irytację.

– Oj, tam. Zawsze odbierała Dorota, bo ciebie nigdy nie było w pobliżu. Nigdy nie mogłam się dodzwonić.

Igora zawsze irytował zwyczaj byłej żony. Odbierała jego telefony i potrafiła przegadać z jego matką albo z kimś z przyjaciół całą godzinę. Oczywiście matka potem odkładała telefon i zapomniała, w jakiej sprawie dzwoniła. Gdy oddzwaniał do niej, pytała, o co chodzi.

– Mamo, czy dzwonisz z jakiegoś konkretnego powodu? – spytał, podtrzymując komórkę ramieniem i klikając w okno z fotkami. Kolejne zdjęcia ukazywały ponownie samochód, sarkofag, a do tego jeszcze wstrząśnięte miny policjantów, pętających się przed obiektywem.

– Dzwonię, bo właśnie przeczytałam o pożarze w tym twoim hotelu. Co tam się stało? Napisali, że na miejscu był architekt odpowiedzialny za ostatnią przebudowę.

– Napisali, że to był pożar? Jesteś pewna? I na pewno w hotelu?

– Przecież wiem, co mówię. Napisali, że wybuchł pożar w tym całym S-Center i hotelu.

– Był mały wypadek. Nie żaden pożar. I nie w hotelu, tylko w tym biurowcu. Nie ma się czym przejmować. – Igor kliknął na kolejną ikonkę. Na fotce były boczne drzwi ciężarówka od strony kierowcy.

– Jakieś zdjęcia zamieścili. Cały rozwalony przód tego budynku. Podobno ktoś zginął. Byłeś tam? A ten hotel ucierpiał? Oskarżą cię o coś?

– O co mają mnie oskarżyć? – Igor czuł, że zaczyna się wkurzać. Rozmowy z matką przez telefon często tak się kończyły.

– No, a ja skąd mam wiedzieć? Ale skoro wybuchł pożar w tym hotelu, to pewnie będą szukać winnego. – W tle słychać było przestawiane naczynia.

– Mamo, przecież powiedziałem ci, że nie wybuchł żaden pieprzony pożar! I nie w hotelu!

– Nie wyrażaj się tak brzydko. Jak się spotykasz z klientami, to też nie możesz się powstrzymać, żeby na nich nie nawrzeszczyć?

– Mamo, co jeszcze napisali? – Igor zmienił temat.

– Że jakieś fundamenty się osunęły czy coś. No, ale jak wybuchł taki pożar, to nic dziwnego, że fundamenty od gorąca nie wytrzymały. Na tym zdjęciu to wygląda strasznie.

Igor zamknął oczy i policzył do pięciu.

– Mamo, jak jeszcze raz wspomnisz o pożarze, to odkładam telefon.

– Igor, słyszę, że jesteś zdenerwowany. Ty chyba naprawdę boisz się odpowiedzialności jakiejś za to. Ale jeśli wszystko zaprojektowałeś tam prawidłowo, to nie ma się czego bać. Nie histeryzuj!

Igor zacisnął zęby i popatrzył na otwartą właśnie fotkę. Coś w niej zwróciło jego uwagę.

– I jakieś zdjęcia z piwnicy zamieścili. Ktoś tam zginął, w jakiejś ciężarówce, ale przejrzałam to tylko pobieżnie, bo najbardziej mnie poruszył ten pożar w hotelu. Od razu pomyślałam, że pewnie się tym teraz zajmujesz.

Igor patrzył na zdjęcie i coś mu w nim nie pasowało. To, co powiedziała matka, dotarło do niego z opóźnieniem.

– No dobrze, nie będę ci przeszkadzała, bo widzę, że jesteś tam zajęty. A poza tym muszę wyjść do sklepu. Ojciec jak zwykle nie kupił wczoraj chleba, a teraz narzeka, że nie ma na śniadanie. Trzymaj się, pa, pa.

– Mamo, halo... zdjęcia piwnicy? Jaka to gazeta? – Igor wrzasnął do słuchawki, ale matka już się rozłączyła.

Patrząc na fotografię bocznych drzwi w ciężarówce, na których widać było

wyraźnie wytarty kurz w okolicach klamki, nerwowo macał ekran iPhone'a, żeby ponownie połączyć się z matką.

Wcisnął ikonkę i podniósł telefon do ucha.

– Mamo, jaka to była gazeta? – spytał, starając się zachować spokój.

– Kto mówi? – spytała matka Igora.

– Igor. Jaka to była gazeta?

– Gazeta? O czym ty mówisz, dziecko? – W tle słychać było telewizor.

– Przed chwilą powiedziałaś, że jakaś gazeta zamieściła zdjęcia piwnicy i ciężarówki?

– Aa... „Dziennik Szczeciński”. Ja ciebie nie rozumiem. Kiedy przed chwilą usiłowałam ci streścić ten artykuł, to nie byłeś zainteresowany, a teraz dzwonicz i pytasz, jaka to gazeta. Uciekaj stąd, ty głupi kocie! To nie dla ciebie!

Igor rozłączył się i dosłownie poderwał od biurka. Pędem przebiegł przez wielki pokój obok i dopadł schodów prowadzących na dół. Jego strych był niby-dwupoziomowy. Na ostatnim poziomie kamienicy wchodziło się do małego korytarzyka, skąd prowadziły schody zabiegowe na poddasze. To te schody przesądziły o zakupie strychu.

Przypomniało mu się, że jego sąsiad prenumerował „Dziennik” i czasem listonosz zostawiał gazetę na wycieraczce. Otworzył drzwi i wyjrzał ostrożnie za próg. Niestety, niczego tam nie było.

Wbiegł na schody i z powrotem dopadł monitora ze zdjęciem bocznych drzwi ciężarówki. Powiększył obraz i wbił oczy w ekran. Wokół klamki widać było wyraźnie wytarty kurz, tak jakby ktoś chwycił za klamkę. Nigdy by tego nie zauważył w normalnych okolicznościach, ale kurz na samochodzie miał 70 lat i kilka milimetrów grubości. Nie byłoby w tym może nic specjalnie wstrząsającego, w końcu pętało się tam za drugim razem pięciu facetów z nim włącznie, ale rzecz w tym, że Igor pamiętał, jak dzielnicowy wrzasnął na początku, by niczego absolutnie nie dotykać. Więc albo ktoś się zagapił i jednak złapał za klamkę, albo może Borola wcześniej to zrobił. Wtedy, gdy przechodzili obok za pierwszym razem, a Borola szedł za nim z tyłu.

„Dziennik Szczeciński” nie zamieszczał w internecie pełnych artykułów, tylko kilka słów i odsyłał do wersji papierowej. Na ich stronie było zdjęcie

z oświetlonym biurowcem S-Center i wielką dziurą w całej frontowej elewacji, a pod spodem kilka zdań o katastrofie budowlanej w nowym szczecińskim gmachu i o tym, że w poniedziałek wejdzie do środka nadzór budowlany oraz prokuratura.

Igor podniósł się z krzesła. Musiał wyjść po tę cholerną gazetę i zobaczyć, co oni tam w końcu napisali.

\*

Borola wściekle zmiął gazetę i rzucił na posadzkę tarasu. Właśnie przed chwilą rozsiadł się przy porannej kawie i w oczekiwaniu na śniadanie otworzył pierwszą gazetę ze sterty, jaką codziennie kładła na stoliku w hallu pani Aurelia. Jak nic, ktoś tam wlaźł i porobił fotki. Miał rację, że nie ufał tamtemu cholernemu cieciewi. Sięgnął po komórkę i ponownie wykręcił numer hotelowego dozorca. Wcześniej usiłował się dodzwonić do Igora, ale u niego ciągle było zajęte. Telefon cieciewa też był zajęty.

Wykręcił numer szefa kelnerów restauracji nieopodal hotelu i czekał, aż ktoś odbierze. Restauracja należała do niego oczywiście. Miał dziś zaplanowane kilka spraw i kilka osób, z którymi musiał się spotkać. Chciał przypomnieć, żeby na pewno byli przygotowani na dwunastą i żeby nie było żadnych problemów. Po krótkiej wymianie zdań wykręcił ponownie numer stróża, który tym razem odebrał.

– Dzień dobry, panie Rafale, w czym mogę pomóc? – Stróż miał chyba dobry humor.

– Co się tam dzieje, do cholery? – Borola przeszedł od razu do rzeczy. – Właśnie widzę, że jakiś brukowiec zamieścił zdjęcia z podziemi hotelu. Widział pan już? Czy kogoś pan tam wpuszczał?

– Nikogo. – W głosie dozorca od razu pojawiło się zdenerwowanie. – Nie widziałem tego artykułu, ale dzwonił do mnie już pan Igor i pytał o to samo. Sztaba jest nietknięta, przed chwilą, zaraz po telefonie pana Fleminga, poszedłem sprawdzić. A poza tym, szefie, przecież pan nie dał mi kluczy, zabrał je pan ze sobą.

Faktycznie. Borola przypomniał sobie, że klucze od dwóch kłódek założonych wczoraj w nocy zabrał ze sobą. Na wszelki wypadek. Cholera! Więc skąd te fotki?

– Niech pan idzie i jeszcze raz wszystko posprawdza. Wszystkie możliwe wejścia.

– Nie ma innych wejść do piwnic – nieśmiało zauważył portier.

– Nieważne, niech pan wszystko sprawdzi i oddzwoni.

Schował telefon do kieszeni i podniósł się z rattanowego krzesła. Przypomniał sobie, że obiecał wczoraj Flemingowi przesłać mu zdjęcia, które zrobił w lochach komórką. Skrzywił się, musiał z tym iść do żony. Nigdy jeszcze nie udało mu się wysłać e-maila z załącznikiem za pomocą telefonu. Poza tym uważał, że to wariactwo. Wszystko można już było robić komórkami, tylko nikt nie odbierał zwyczajnego połączenia. Wszedł do domu przez oszklone tarasowe drzwi i skierował się na górę do sypialni żony.

\*

Igor wyszedł z budynku i skręcił w kierunku parku Żeromskiego. Najbliższy kiosk z gazetami był właśnie tam. Trwała piękna pogoda. Zapowiadał się upał, ale przed południem było jeszcze całkiem przyjemnie. Słońce grzało rozkosznie, a świeże o tej porze roku, zielone liście szumiały cicho wśród konarów drzew. Odetchnął głęboko i wszedł pomiędzy drzewa. Całe zaaferowanie wczorajszymi wydarzeniami i tym cholernym artykułem wydało mu się nagle mało istotne. A ślad na ciężarówce pewnie zrobił Borola. Szedł za nim i pewnie musiał pomacać ten prawie sakralny dla siebie samochód. Tylko kto zrobił fotki? Zakładając oczywiście, że mamie się coś nie pokręciło. Zaraz sam zobaczy.

Postanowił przejść się do dalszego z kiosków. Tego pod cerkwią św. Mikołaja. Lubił przechodzić drogą między skwerkiem z pomnikiem Mickiewicza a parkiem. Przed wojną stał tu monumentalny pomnik cesarza Wilhelma Fryderyka III. Postawiony w latach sześćdziesiątych betonowy pomnik autorstwa Sławomira Lewińskiego był, jak większość powojennych szczecińskich pomników, bladym cieniem swojego poprzednika. Postawiony na starym cokole po strąconym cesarzu, wyglądał dość sztucznie.

Igor go nie znosił. Miał wrażenie, że wieszcz ma nieproporcjonalne nogi i zbyt dużą głowę, i że stoi na tym cesarskim postumencie, zastanawiając się, co do diabła tu robi.

Pomnik zamykał oś kompozycyjną wytyczoną przez zaprojektowany przez Wilhelma Meyera-Schwartaua gmach Muzeum Miejskiego, który stanowił



centralną budowlę Wałów Chrobrego. Między pomnikiem a muzeum rozciągał się wielki kwadratowy plac, pierwotnie pomyślany jako parter kwiatowy przed tylną elewacją budynku. Tylko że tylne skrzydło nigdy nie powstało. Mało znany aspekt historii słynnych Wałów Chrobrego. Powód był oczywiście prozaiczny. Pieniądze. Budowę przerwano w 1913 roku i nigdy nie wznowiono. Wskutek tego imponujące założenie urbanistyczne od strony miasta zostało jakby pozbawione dominanty. Ten brak dodatkowo jeszcze uwypukliło postawienie za muzeum długiego baraku i posadzenie szpaleru drzew.

Jednak mimo wszystko było to jedno z najpiękniejszych miejsc w mieście i to tędy właśnie Igor obiecywał sobie biegać. Tyle że cały czas miał jakieś wymówki. Najczęściej zwykłe lenistwo.

Był w połowie drogi, gdy zapiszczał esemes. Wyciągnął komórkę i spojrzał na ekran. Borola. Obiecane zdjęcia właśnie przyszły na jego pocztę. Super, obejrzy w domu. Dobrnął w końcu do kiosku pod cerkwią, wyjął ze stojaka „Dziennik Szczeciński” i wbił wzrok w pierwszą stronę. Wielkie zdjęcie S-Center z ogromną dziurą i uchwyconymi w locie kawałami szkła i płyt elewacyjnych. Przeleciał wzrokiem tekst.

Czy katastrofa szczecińskiego biurowca odsłoniła zapomnianą tajemnicę z czasów II wojny światowej...? O tajemniczym tunelu pod hotelem donosiła prasa, nikt jednak nigdy nie zbadał tego miejsca ani nie podjął prób, żeby dostać się do środka... W lochach stojącego obok starego hotelu, za zamurowaną ścianą, biegnie tajemniczy korytarz, o którym od zawsze krążyły legendy... zawalona ściana starego tunelu odsłoniła wejście do środka... ciężarówka Wehrmachtu z trupem kierowcy... skąd się wzięła...? kim był kierowca...? Werwolf...?

Artykuł zajmował całą pierwszą stronę. Poza zdjęciem biurowca były jeszcze dwie fotki. Jedna z ogólnym widokiem ciężarówki i druga ukazująca wnętrze szoferki i upiornego kierowcę. Igor ze zgrozą wpatrywał się w fotografię, na której trup w skórzanej kurtce spoczywał w fotelu kierowcy. Jedną rękę trzymał na kolanach, druga z zaciśniętą dłonią zwisała obok siedzenia. Widać było tył głowy z resztkami włosów i wysuszonej skóry. Wzdrygnął się.

Kto to napisał? Skąd wziął zdjęcia? Igor popatrzył na sam dół tekstu. Na dole strony były tylko dwie małe literki: PW. „Dziennik Szczeciński”, tak jak większość gazet codziennych, miał zwyczaj umieszczać tylko inicjały autorów. Obok podano informację, że fotografie zrobił autor artykułu.

Uderzyło go, że w tekście nie ma nic o sarkofagu. Ten, kto tam dotarł, musiał być tak zaaferowany trupem, że nie zauważył niczego innego. Nagle go olśniło. Zdjęcie bocznych drzwi i wytarty kurz. Czyli ten cwany paparazzi wszedł tam zaraz po nich.

Miał niecałe pół godziny na to, ponieważ potem zeszliśmy tam z policjantami, powiedział do siebie, wciąż wpatrując się w zdjęcie wnętrza szoferki. Otworzył drzwi i zrobił zdjęcie trupa, a potem szybko stamtąd wyszedł.

Igor odsunął się od kiosku, przy którym stał od dłuższej chwili, tarasując drogę innym klientom. Kioskarka spojrzała na niego krzywo.

Musiał nas śledzić, gdy poszliśmy tam z Borolą, myślał, idąc powoli w kierunku przejścia. Jednak coś jeszcze było w tym nie tak. Tylko wciąż nie wiedział co. Chowało się tuż za granicą świadomości. Przeszedł przez jezdnię i szybkim krokiem, nie zwracając już uwagi na piękną pogodę, ruszył w kierunku domu.

Godzinę później, siedząc przy stole w otwartej na salon kuchni i jedząc tosty z ziołami prowansalskimi i kminkiem, nagle o czymś pomyślał. Odłożył gazetę i podszedł do biurka. Zaraz po powrocie z kiosku obejrzał zdjęcia Boroli. Nie było tam nic ciekawego, poza jednym ujęciem wnętrza szoferki. Borola zrobił je od strony pasażera przez wybite okno. To, przez które na samym początku zajrzeli do środka. Miał w pamięci ten widok i coś mu nie pasowało.

Otworzył ponownie katalog ze zdjęciami i odnalazł zdjęcie kierowcy. W tym ujęciu trup „patrzył” prosto w aparat. Wyglądało to dość upiornie, ale mniejsza z tym. Igor pochylił się nad monitorem i wbił oczy w fotkę. Skórzana kurtka, brudna i poszarpana koszula, dłonie na kolanach. W lewej ręce nieszczęśnik trzymał jakąś złożoną, pożółkłą kartkę. Prawa dłoń, zaciśnięta w pięść, leżała na krańcu kolan.

Na fotce w gazecie zwiślała luźno.

Pewnie musiała się zsunąć, gdy ten dziennikarski szczur otworzył drzwi, pomyślał Igor. I nagle sobie uprzytomnił, co było nie tak. Poczuł, jak po

plecach przechodzą mu ciarki. Na zdjęciu w „Dzienniku” w tej drugiej ręce *nie było* żadnej kartki papieru.

## Rozdział 3

Dochodziła godzina jedenasta, gdy szczupły, ubrany w jaskrawy rowerowy strój kurier pchnął szklane drzwi, na których widniał napis PARSOV & CIE GmbH, wchodząc na miękką wykładzinę dywanową biura. Podszedł do dużego biurka z ciemnego drewna, przy którym siedziała młoda, ubrana w szary kostium brunetka. Na ścianie za jej plecami widniał taki sam napis jak na drzwiach, tylko że dwa razy większy i wykonany z metalowych srebrnych liter, przymocowanych na poziomej listwie.

– Dzień dobry. Nie nad jeziorem dziś? Piękna pogoda, a pani pracuje – rzucił z uśmiechem, grzebiąc jednocześnie w swojej wielkiej torbie.

– Akurat. – Uśmiechnęła się z przekąsem. – Na szczęście pracuję tylko w co drugą sobotę.

– To chociaż tyle. – Kurier wyciągnął plik gazet i kopert i położył je na biurku.

– Jak zwykle mnóstwo czasopism i kilka reklam. Na poważne pisma poczekacie do poniedziałku – zażartował.

– Wcale za nimi nie tęsknię. – Dziewczyna wzięła do rąk kopertę i spojrzała na adresy nadawców. Rzuciła okiem na pisma. – Są te polskie gazety? Bo to pierwsze, o co mnie zapyta szef.

– Są, są. Prowadzicie jakieś interesy w Szczecinie? – Kurier popatrzył z zainteresowaniem na tytuł leżącego na wierzchu dziennika.

– Coś tam wozimy. – Brunetka się uśmiechnęła, podniosła z krzesła i zabrała z biurka cały dostarczony plik gazet i pism. – Muszę to zanieść szefowi.

– Oczywiście. – Kurier błysnął zębami. – Do widzenia, miłego dnia.

Dziewczyna wyszła zza biurka i skręciła w prawo w kierunku brązowych drewnianych drzwi z dekoracyjną płaskorzeźbą przedstawiającą logo firmy – koło z przecinającym je graficznie wymodelowanym tirem i napisem

„Parsov” pod nim.

Firma Parsov zajmowała się transportem. Należała do niej flotylla tirów, która jeździła po całej Europie, wożąc tony różnych materiałów. Biuro w centrum Berlina w nowoczesnym gmachu przy bocznej uliczce od słynnej Unter den Linden, tuż nieopodal siedziby redakcji „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, zajmowało się finalizowaniem kontraktów i logistyką działań kilku wielkich baz transportowych na terenie całego kraju.

Brunetka zapukała do drzwi, po czym usłyszawszy rzucone zachrypniętym głosem „proszę”, weszła do środka. Gabinet szefa był bardzo duży. Oprócz wielkiego stylowego biurka, które wyglądało, jakby trafiło tu po wieloletniej tułaczce z jakiegoś pałacu, stała tu jeszcze nowoczesna skórzana sofa oraz dwa fotele, a pomiędzy nimi zabytkowa ława w stylu Ludwika XVI.

Historyczne meble na tle nowoczesnej architektury biurowca i przeszklonych na całej wysokości ścian pomieszczenia prezentowały się bardzo ekstrawagancko. Jakby trafiły tu z innego, lepszego świata.

Heinrich Siegfried von Parsov też wyglądał jak postać z innego świata. Wysoki, szczupły, z włosami przyprószonymi siwizną i pociągłą twarzą o arystokratycznych rysach. Był bardzo starym człowiekiem i na tle agresywnych młodych wilków, których zatrudniał, robił wrażenie kogoś, kto trafił tu przez przypadek z jakiegoś ekskluzywnego klubu dla seniorów. Funkcja prezesa wielkiego przedsiębiorstwa transportowego wymagała dużo energii i dyspozycyjności, których to cech już dawno nie miał. Firmą zarządzała ekipa menedżerów, a sam Parsov zostawił sobie podejmowanie decyzji w ważnych, kluczowych sprawach. Stanowisko obejmowało także funkcję reprezentacyjną, i tę akurat wypełniał z zadowoleniem.

Parsov stał przy oknie i patrzył w dół, na ulicę zapełnioną już o tej porze szczerlnie samochodami i tłumem śpieszących w jakichś swoich sprawach ludzi. Odwrócił się w kierunku drzwi i spojrzał na wchodzącą sekretarkę.

– Przyszła poczta i gazety. – Dziewczyna podeszła do biurka i położyła na nim całe naręczne gazet i kopert.

– Dziękuję, Ingrid. Są gazety ze Stettina? – spytał, celowo mocno akcentując nazwę miasta. Parsov był jednym z tych Niemców, którzy o dzisiejszym Szczecinie zwykli mówić, że jest pod tymczasową administracją Polski.

– Tak, panie Parsov. Wszystkie szczecińskie dzienniki, jak zwykle.

Ingrid poszła w kierunku drzwi i zatrzymała się przed samym wyjściem.

– Czy czegoś jeszcze pan sobie życzy? – spytała, sama na siebie zła, że w jego obecności, wbrew sobie, zamienia się w służącą.

– Nie, dziękuję, Ingrid. Proszę, żeby teraz mi nikt nie przeszkadzał przez pół godziny.

Parsov obszedł wielkie biurko i pochylił się nad plikiem gazet.

Ingrid wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

\*

Johann wyszedł na ulicę i odetchnął wilgotnym powietrzem, w którym mieszał się zapach niedalekiej Tamizy i rozbudzonego, tętniącego życiem miasta. Jemu samemu daleko było do tego stanu. Wczoraj po imprezie w pubie, którą jak zwykle w piątek rozpoczął z przyjaciółmi weekend, położył się spać gdzieś koło czwartej. Miał potężnego kaca i właśnie wyszedł z domu, żeby się napić kawy w jakiejś pobliskiej knajpce. Przez kilka najbliższych godzin będzie trwał w postanowieniu zostania abstynentem. Do wieczora, kiedy pewnie znów da się komuś gdzieś wyciągnąć.

Dzierząc pod pachą laptopa, ruszył w kierunku Maguire St, decydując się na kawę w pobliskiej knajpce Browns. O takiej porze dnia ta część miasta była już wypełniona turystami, których trzeba było omijać, i co chwilę przystawać w oczekiwaniu, aż ktoś zrobi zdjęcie swojemu chłopakowi, dziewczynie lub mamie na tle mostów na Shad Thames. Rok temu, po obejrzeniu wielkiego loftu na czwartym piętrze dawnego magazynu herbaty i kawy, przebudowanego w latach osiemdziesiątych na luksusowy apartamentowiec, wpadł w zachwyt nad ażurowym mostkiem łączącym dwie części mieszkania. Jedna od strony Tamizy była częścią dzienną i sypialnią, natomiast po drugiej stronie ulicy mieściła się część z miejscem do pracy. Funkcjonalnie było to dość niefortunne, ponieważ w zimie, żeby przejść do gabinetu, należało wkładać buty i narzucać kurtkę, ale prestiż i urok tego mieszkania rekompensowały wszelkie niewygody. Pierwotnie były to zresztą dwa oddzielne mieszkania, które poprzedni właściciel wykupił i połączył w jedno. Mimo protestów matki, uważającej to za nadmierną ekstrawagancję, zdecydował się je kupić, wmawiając sobie, że to lokata kapitału. Póki co, dość mocno nadwerężyło to jego finanse.

Johann przedarł się przez tłum różnojęzycznych obcokrajowców i skręcił

w Curlew St. Jego ulubiona knajpka, Bar & Brasserie Browns, znajdowała się przy pasażu od strony Tamizy. Z letniego ogródka, ocienionego kremowymi parasolami, rozciągał się zachwycający widok na Tower.

Przeszedł wzdłuż ogrodzenia z przyciętych bukszpanów i wszedł do środka lokalu. Znalazł sobie spokojne miejsce i kiwnął na kelnera. Znali go tu aż za dobrze. Praktycznie kilka razy w tygodniu kończył albo zaczynał tutaj dzień. Zamówił kawę i sięgnął po gazetę do stojącego przy ścianie stojaka. Wziął „The Guardian” i „The Daily Telegraph”, położył obok siebie laptopa i rozsiadł się przy stoliku w oczekiwaniu na mocną, czarną kawę.

\*

Dorota ze zniechęceniem wpatrywała się w ekran monitora, na którym widniała sieć kolorowych kresek, liczb i napisów. Za tym gąszczem kompletnie niezrozumiałych dla laika opisów i symboli krył się projekt nowego budynku usługowo-mieszkalnego, który miał powstać w Świnoujściu. Praca była efektem wygranego trzy miesiące temu przetargu, który ogłosiła niemiecka firma inwestująca w modnym nadmorskim ośrodku. Dorota otrzymała ten przetarg dzięki swoim kontaktom w Niemczech, które nawiązała podczas pracy w Barcelonie. Mówiła dobrze po niemiecku i od roku robiła projekty dla dużej pracowni, zajmującej się głównie wystrojem wewnątrz wielkich biurów i banków. Te kontakty w zasadzie sprowadzały się do osoby Kurta, którego poznała jeszcze w Hiszpanii, i w jego firmie w efekcie wylądowała. Byli ze sobą już od dwóch lat. Bliskość Szczecina, a także fakt, że nie miała ważnych w Niemczech uprawnień projektowych, skłaniały ją do udziału również w konkursach i przetargach po polskiej stronie. Kurt patrzył na to obojętnie, dopóki nie wpływało to na ich wzajemne stosunki. Namawiał Dorotę, by przystąpiła do egzaminów na uprawnienia niemieckie, ale kończyło się to zazwyczaj kłótnią.

Dorota nie miała ochoty na naukę nowych przepisów, miejscowych norm i późniejszą praktykę. Uważała, że to dla niej poniżające. Wolą już obecny układ. Robiła projekty, które następnie sprawdzał, korygował i podpisywał Kurt lub inny architekt z jego pracowni. Poprawiała sobie poczucie własnej wartości, pracując przy zleceniach z Pomorza. Nie były to wielkie rzeczy, co jakiś czas hotel albo budynek mieszkalny. Miesiąc wcześniej nie dostała zlecenia na odbudowę zniszczonego pałacu pod Szczecinem, wygrała za to ten przetarg na Świnoujście. Raz na wozie, raz pod wozem, myślała, chociaż

wolałaby jednak pracować przy pałacu – zlecenie miało lepsze warunki finansowe i zapowiadało się ciekawiej niż mały apartamentowiec w centrum Świnoujścia. Pracowała przy tych pomorskich tematach i sama jeszcze o tym nie wiedząc, powoli wpadała znowu w tę samą pajęczynę niezadowolenia z siebie, przez którą wyjechała z kraju i rozwiodła się z Igorem.

\*

Czarna kawa była bardzo mocna i słodka. Dokładnie taka, jaką lubił. Johann z rozkoszą wypił kolejny łyk i odstawił filiżankę, czytając jednocześnie kolejne doniesienia z zamieszek na Peckham i Elephant & Castle, informacje o wyprzedażach, długu publicznym i rokowaniach pomiędzy firmami ubezpieczeniowymi a ofiarami pożaru na Camden. Przebrnął przez prawie cały „The Daily Telegraph” i chciał go zamknąć, by sięgnąć po „The Guardian”, gdy jego uwagę przykuła króciutka wzmianka na temat jakiegoś dużego pożaru nowego biurowca znanej, wysoko notowanej na giełdzie firmy. Pewnie nie zwróciłby uwagi na ten akapit, gdyby nie znana nazwa i fakt, że był posiadaczem akcji tej spółki.

Niewiele się dowiedział z kilku wierszy, które gazeta poświęciła na ten temat. Telegraficzny skrót na temat pożaru, który wybuchł w nocy z piątku na sobotę, i dużych strat materialnych w biurowcu. Szczecin.

Ciekawe, jak to się odbije na notowaniach, pomyślał. Gdyby to był Londyn lub Berlin, to można by się obawiać, ale Szczecin? Raczej nie będzie to miało żadnego znaczenia. Szczecin... Nagle otworzył mu się w pamięci dawno zapomniany rozdział.

Coś w tej historii brzmiało dla niego znajomo, ale w tej chwili nie mógł skojarzyć co. Właściwie nic dziwnego, pomyślał, wypijając kolejny łyk kawy w nadziei, że kac przejdzie szybciej. Otworzył laptopa i po namyśle sięgnął jeszcze raz do gazety, otworzył stronę z newsem o katastrofie w Szczecinie i spojrzał na notkę, z jakiej szczecińskiej gazety jest to informacja.

„Dziennik Szczeciński”. Wstukał nazwę pisma, mając nadzieję na anglojęzyczną wersję portalu internetowego. Otworzyła się strona dziennika, z wielkim zdjęciem walących się szklanych ścian biurowca, całym tekstem artykułu i tajemniczą fotką z jakimś trupem w ciężarówce. Zdziwiony, pochylił się nad monitorem i przyjrzał fotce z koszmarnym szoferem za kierownicą. Niestety, angielskiej wersji jeszcze nie było. Johann niechętnie



kliknął na tłumaczenie Google, poczekał chwilę, aż portal przełoży artykuł na język angielski, i pochylił się nad ekranem. Przebrnął przez nieskładny bełkot, ledwie wychwytyjąc sens poszczególnych zdań. Spodziewał się, że znajdzie jakieś informacje ekonomiczne o skali zniszczeń, stratach, a tu piszą coś o jakimś martwym kierowcy z czasów wojny. Skądinąd rzeczywiście zaskakujące znalezisko. Werwolf? Słyszał o tej organizacji dawno temu.

Wypił do końca kawę i skinął na kelnera. Zainteresowanie Johanna Szczecinem wiązało się z czymś jeszcze. Jego dziadek pochodził z Pomorza. Matka była Niemką, a ojciec Anglikiem. On sam urodził się już w Londynie, ale bardziej czuł się związany z rodziną matki. Rodzice rozstali się, gdy Johann miał dziewiętnaście lat. Utrzymywali chłodne stosunki. Imię miał po dziadku, a dzięki ojcu dostał nazwisko Carley i drugie imię Clarens. Z dzieciństwa pamiętał częste wizyty w domu dziadka na przedmieściach Berlina i spacerów wzdłuż muru berlińskiego, który wówczas jeszcze dzielił miasto. Dziadek snuł mnóstwo opowieści, często wspominał wieś, w której się urodził, i stary dwór, który należał do jego rodziny od wielu pokoleń. Wspominał także Szczecin. Dla Johanna, który nigdy przedtem ani nigdy potem nie był na Pomorzu ani w Szczecinie, miasto weszło do świata legend. Śmierć dziadka była dla niego traumą i zakończyła pewien etap jego życia. Dziadek zostawił mu sporo pieniędzy, matkę, która dobrze sobie radziła, prowadząc agencję reklamową w Londynie, zapisał dom. Sprzedała go, zabierając z niego tylko stare pamiątki i cenniejsze meble. Johann dostał od dziadka także pokaźny pakiet akcji, które z roku na rok zyskiwały na wartości, parę starych obrazów, które jako dziecku mu się podobały, oraz głębokie morze wspomnień, w którym jednak przez dłuższy czas nie chciał się zanurzać.

Stary Johann von Altendorf na krótko przed śmiercią zaczął tracić kontakt z rzeczywistością. Opowiadał dziwne historie, które plątały się i zaczynały od początku. Wiele z nich dotyczyło jakichś wilków, Johann ledwie je pamiętał. Matka wtedy powtarzała, że to demencja i że dziadek mówi sam do siebie i tylko on wie, o czym są te opowieści.

Oderwał się od niewesołych wspomnień, wstał i podszedł do wyjścia. Stał na progu lokalu, wciągnął głęboko powietrze i ruszył z powrotem do domu. Tym razem postanowił iść inaczej dla odmiany i wejść na Shad Thames od strony Tower. Wzdłuż pasaży nad Tamizą kłębiły się już setki turystów, naprzeciwko Butlers Wharf był pomost, przy którym stały spore

jachty i statki wycieczkowe. W oddali dumnie prezentowała się słynna twierdza Tower of London.

Idąc wzdłuż nabrzeża, myślał cały czas o artykule ze Szczecina. Nie dawało mu spokoju jakieś skojarzenie, którego jednak nie mógł wyciągnąć z odmętów pamięci. Musiało dotyczyć dziadka, tego, co od niego słyszał, bo żadnych innych skojarzeń ze Szczecinem ani w ogóle z Polską nie miał. Doszedł do Tower i skręcił w Shad Thames. Do domu miał jeszcze parę kroków.

\*

Parsov nie lubił internetu. Korzystał z niego tylko, gdy musiał. Doceniał oczywiście ogromną wartość sieci dla interesów i w swoich biurach kazał zainstalować najmocniejsze łącza, jakie istniały, ale sam wolał korzystać z tradycyjnej prasy i korespondencji. Szczytem nietaktu według niego było wysyłanie życzeń, pozdrowień czy zaproszeń drogą elektroniczną. Nie czytał portali internetowych, ale kazał się z ich treścią zapoznawać swoim pracownikom. Uważał to za wystarczający kompromis.

Sięgnął po leżący na wierzchu pliku gazet „Dziennik Szczeciński” i zaczął studiować artykuł, któremu gazeta poświęciła całą pierwszą stronę.

\*

Parsov urodził się w Szczecinie. Został stamtąd, jak zawsze podkreślał, wypędzony, gdy miał szesnaście lat. Jego ojciec zginął w czasie wojny, a matka nie przeżyła koszmaru przesiedlenia i umarła na krótko po tym, jak znaleźli się w zrujnowanym Berlinie. Nienawidził Polaków. Gdy wyjeżdżał ze Szczecina, był w wieku, w którym wszystko traktuje się nadmiernie emocjonalnie, małe dramaty wydają się wielkimi, a problemy urastają do rozmiarów tragedii. Ale on należał do pokolenia, które nie znało małych problemów, wszystko, co go wtedy otaczało, było ogromne, a wszystkie tragedie przerażające. Nie był obiektywny i nie chciał być. To, że Niemcy rozpoczęły tę wojnę i w imię obłąkanej ideologii wymordowały miliony Polaków, Rosjan i Żydów, było dla niego mało istotne. Sowietci i Polacy z czasem zlali się w jego pamięci w jeden plugawy motłoch, który zgwałcił jego siostrę i zamordował jego sąsiadów i przyjaciół. A później patrzył bezsilnie, jak Polacy zamieniają to jedno z najpiękniejszych niegdyś miast

w północnej Europie w blokowisko, rozbierają barokowe i renesansowe kamienice, operę, teatr, giełdę, a cegły wywożą do odbudowy swojej parszywej stolicy.

Parsov pochodził z pomorskiej szlachty. Jego rodzina przybyła na Pomorze z Saksonii w XVIII wieku. Początkowo ziemiańska, później osiadła w Szczecinie. Ojciec był wysoko postawionym urzędnikiem w administracji miejskiej. Parsov wiedział wprawdzie, że ojca zamordowali funkcjonariusze SS z powodu przynależności do jednej ze szczecińskich loży masońskich, ale zrzucał to na karb wojennych wydarzeń. Poza tym uważał, że ojciec poniósł karę za swoje czyny i że sam był sobie winien.

Najgorsze ze wspomnień z ojcem miał z więzienia w Altdamm<sup>[1]</sup>, dokąd jeździli razem z matką, żeby się z nim zobaczyć. Pewnego razu ojciec, który przeczuwał wtedy, że może nie wyjść na wolność żywy, opowiedział mu dziwną historię. Jakieś brednie o wielkiej tajemnicy szczecińskiej loży masońskiej. Tajemnicy, która sięgała zamierzchłych czasów i za nic nie mogła trafić w ręce nazistów ani Sowietów. Parsov był wtedy zdegustowany owymi tajemnicami i tym, że ojciec odmawia współpracy z władzami i że napyta sobie tym jeszcze większej biedy. Dzięki koneksjom rodzinnym ojcu udało się wydostać z więzienia, ale przed samym końcem wojny SS ponownie go aresztowało i już nie wrócił do domu. Z tego okresu, gdy ojciec był na wolności, Parsov pamiętał wizytę w pewnym majątku w lasach pod wsią Falkenwede i jego właściciela, z którym rodzina się przyjaźniła. Ojciec zabierał go tam wcześniej także przed wojną. Młody Heinrich nie lubił ani tego miejsca, ani tego człowieka, uważał, że ojciec wpakował się w kłopoty właśnie przez znajomość z tym typem i jakimś rzeźbiarzem.

Tego dnia, a był to początek lata 1944 roku, rozpętała się burza i ojciec postanowił zostać na noc. Heinrich włóczył się znudzony po całym domu, zaglądając do różnych miejsc i zakamarków. Był właśnie na parterze w hallu, chciał znowu wejść do wielkiej sali, z której było wyjście do ogrodu na tyłach domu, gdy usłyszał jakieś głosy z gabinetu. Zaciekawiony poszedł w głąb korytarza i stanął przed wielkimi dębowymi drzwiami. W środku ktoś mówił przyciszonym głosem. Heinrich zorientował się po chwili, że jest tam jego ojciec, a oprócz niego jeszcze dwaj mężczyźni. Głos jednego z nich rozpoznał, był to gospodarz domu, ale drugiego nie znał. Widać musiał w międzyczasie przyjechać do dworu ktoś jeszcze. Heinrich stanął ostrożnie przy samych drzwiach i przycisnął ucho do szpary, starając się wyłowić jak

najwięcej z tego, o czym rozmawiali mężczyźni. Usłyszał wtedy niewiele, a prawie nic nie rozumiał. Przyjaciel ojca mówił o jakiejś akcji Walkiria i że jeśli się powiedzie, to losy Niemiec potoczą się inaczej i nie trzeba będzie się martwić planem B. Wtedy usłyszał właśnie o tym jakimś rzeźbiarzu. Ojciec spytał, co będzie ze świątynią. Przez chwilę Heinrich słyszał jakieś dźwięki, jakby ktoś coś wyjmował i coś otwierał. Po dłuższej chwili znajomy ojca powiedział, że ma zamiar ukryć rzeźbiarza pod kamienną różą. Ojciec nie spytał, o co chodzi, tak jakby doskonale to wiedział. Wtedy odezwał się ów trzeci, tajemniczy głos i powiedział coś, czego Heinrich nie usłyszał do końca, bo spłoszył go nagły hałas dobiegający od strony schodów. Przestraszony, na palcach odskoczył od drzwi i ukrył się za wielką szafą w korytarzu. Z góry zeszła Frau Meller, gospodyni, która pracowała dla dworu, i nucąc pod nosem, weszła do kuchni na drugim końcu korytarza. Heinrich oderwał się od rzeźbionego boku szafy i na palcach doskoczył znów do drzwi gabinetu, ale mężczyźni zmienili już temat. Gospodarz powiedział, modulując głos: *Am Ende steht der Sieg*<sup>[2]</sup> i wszyscy się głośno roześmiali. Heinrich zapamiętał tylko, że to, co zdołał usłyszeć z wypowiedzi trzeciego z mężczyzn, dotyczyło jakiegoś wielkiego architekta czy kogoś takiego.

Heinrich, jak wszyscy niemieccy chłopcy w tamtych czasach, musiał należeć do Hitlerjugend, zwłaszcza że był synem urzędnika administracji państwowej, ale nie cierpiał jakoś szczególnie z tego powodu, a nawet szybko się odnalazł w tej organizacji. Knowania ojca i jego znajomych uważał za coś sprzecznego z obowiązkami prawdziwego Niemca. Poza tym nienawidził tamtego miejsca, a szczególnie obrzydliwych dekoracji w wielkiej sali na parterze, tych żydowskich gwiazd i symboli. Jako katolik nie akceptował masonerii, chociaż to wygodne wytłumaczenie powstało w jego głowie dużo później. Gdyby nie ojciec, powiadomiłby wtedy kogo trzeba, żeby zrobić z tym porządek. Właściciel dworu był w dodatku oficerem Wehrmachtu i Heinrich tym bardziej nie rozumiał jego postępowania. Tak czy inaczej, tamten wieczór we dworze niedaleko Falkenwelde zapadł mu głęboko w pamięć.

\*

W wieku dwudziestu pięciu lat Parsov założył małą firmę transportową, która z czasem rozrosła się w ogromne przedsiębiorstwo. Któregoś dnia stara tajemnica powróciła do niego i odtąd nie dawała mu już spokoju. Wrodzony

upór i determinacja poznania prawdy kazały mu nauczyć się polskiego, mimo całej jego odrazy do tego języka. Zaczął czytać szczecińskie gazety i słuchać wiadomości ze Szczecina, a chęć rozplątania starej rodzinnej zagadki powoli zamieniła się w obsesję.

\*

Borola pożegnał się wylewnie z trzema młodymi mężczyznami w ciemnych garniturach i ładną blondynką w żółtej letniej sukience. Możliwe, że wydzierzawią od niego ten wielki ceglany magazyn nad Odrą. Czas najwyższy, by tam się zaczęło coś dziać, bo już mu siedziało na karku biuro Miejskiego Konserwatora Zabytków, dopytując się, kiedy budynek zostanie zabezpieczony. Borola sam nie miał ochoty w to inwestować, szukał zatem inwestorów strategicznych, z którymi zawiązałyby długoletnią umowę, zachowując dla siebie niewielki procent z bieżących zysków. Wydawali się zainteresowani.

Począł, aż wyjdą z restauracji, zawołał kelnera, po czym skinął ręką na trzech młodych facetów siedzących w kącie, w narożnej łoży. Podnieśli się od razu i podeszli do jego stolika.

– Witamy, szefie. – Doskonale zbudowany brunet podał rękę Boroli, odsunął sobie krzesło i usiadł. Jego dwaj koledzy przywitali się także i spoczęli obok.

– No i jak, chłopaki? Byliście to obejrzyć? – Borola, nie spuszczać oka z bruneta, podpisał podsunięty mu przez szefa kelnerów rachunek.

– Tak, oczywiście. Wczoraj wieczorem tam zajrzeliśmy. Kompletna ruina, trzeba by odbudować od zera. – Brunet skrzywił się i pokręcił głową.

– Ale coś pięknego, nie? – Borola uśmiechnął się promiennie.

– No ładne, szefie, ale to same problemy. To pewnie podlega pod nadzór konserwatora zabytków i pewnie potrzebne są jakieś pozwolenia i formalności. A czy w ogóle zgodzą się to sprzedać? To nie jest jakiś majątek Skarbu Państwa?

– Nie do końca. Od tego mam prawników, żeby coś wymyślili. Jak Skarbu Państwa, to jeszcze pół biedy, gorzej, jeśli to własność nie wiadomo czyja. Jakiegoś potomka, co siedzi w Australii albo cholera wie gdzie. No, zobaczymy, może Fleming coś wymyśli. – Borola nie ukrywał

niezadowolenia z powodu braku optymizmu swoich pracowników. –  
Mieście tam jakieś problemy? Pamiętaliście, żeby zachowywać się  
dyskretnie?

– Tak, nikt nas nie widział. Dzisiaj, jak zdążymy, albo jutro jeszcze tam  
wpadniemy porobić jakieś fotki, żeby można było szybko sporządzić wstępną  
wycenę.

– Dobra. Tylko żeby nikt was nie zobaczył. – Borola zmarszczył brwi  
i odwrócił się do kelnera. Nie podał mu śmietanki do kawy.

\*

Parsov skończył czytać artykuł z pierwszej strony „Dziennika  
Szczecińskiego” i wbił wzrok w zdjęcie trupa w skórzanej kurtce w starym  
blitzu. W końcu go znaleźli! Kiedyś to musiało nastąpić. Czuł, jak mocno  
wali mu serce. Siedział ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, wręcz fizycznie  
czując, jak czas wokół niego zwalnia. Miał wrażenie, że siedzi tu już  
nieruchomo od kilku godzin, podczas gdy w rzeczywistości upłynęło może  
dziesięć minut, odkąd odłożył gazetę. W końcu wstał, sięgnął po słuchawkę  
telefonu i podszedł do okna. Wybrał numer człowieka, który dla niego  
pracował.

Gdy usłyszał znajomy niski głos, pomijając uprzejmości, rzucił:

– Znaleźli Barnima!

\*

Pierwsze, co Johann zrobił po powrocie do domu, to dopadł szafki  
w łazience i zaczął szperać w pudełku z lekarstwami. Pamiętał, że została  
jeszcze aspiryna. W drodze powrotnej poczuł nasilający się okropny ból  
głowy. Opóźniona reakcja po wczorajszej radosnej imprezie.

Połąknął dwie tabletki i popił wodą prosto z kranu, pocieszając się w duchu,  
że przy tej ilości alkoholu we krwi żadne drobnoustroje nie mają większych  
szans. Wyszedł z łazienki i pocierając palcami skronie, wszedł do wielkiego,  
nowocześnie urządzonego salonu połączonego z kuchnią. W ogromnej  
przestrzeni dawnego magazynu stały nowoczesne jasne meble, a na ścianie  
z surowej cegły wisiał wielki płaski telewizor.

Kawa, niestety, niewiele pomogła, w dalszym ciągu czuł się okropnie.

Rozważając zalety abstynencji, wyciągnął się na skórzanej kanapie i sięgnął po pilota.

Machinalnie zmieniając programy, złapał się na tym, że dalej zastanawia się nad jakimś niejasnym wspomnieniem związanym z tym artykułem o Szczecinie. Było coś takiego w wiadomości, co poruszyło głębokie warstwy jego pamięci i wydobyło z nich jakąś marę. Dziwne przeświadczenie, że coś znajomego kryje się w informacji o tajemniczym odkryciu pod biurowcem. Musiało być związane z dziadkiem, to oczywiste, z jakimiś jego opowieściami o młodości w tym mieście, żadne inne wytłumaczenie nie wchodziło w rachubę. Przez chwilę rozważał skojarzenia z podobnymi wydarzeniami, o których słuchał niedawno w TV lub czytał w gazetach, lecz odrzucił je jako mało prawdopodobne. Odłożył pilota, zamknął oczy i wygodniej ułożył się na sofie, czekając na zbawienne działanie aspiryny.

Z czym może mi się kojarzyć trup w ciężarówce odnaleziony pod fundamentami biurowca w Szczecinie? – myślał poirytowany. Przypomniał sobie, że matka zawsze nazywała takie myśli kukułczymi, bo jeśli im pozwolić, to rosły i wypierały z głowy wszystkie inne. Wstał i podszedł do stołu, otworzył laptopa i wyszukał ten cholerny artykuł.

...Ciężarówka pod starym hotelem...

...W lochach stojącego obok starego hotelu, za zamurowaną ścianą, biegnie tajemniczy korytarz, o którym od zawsze krążyły legendy... Werwolf...?

Podziemia hotelu, pomyślał. I nagle rozjaśniło mu się w głowie. Podziemia! Tak, to o tym słyszał od dziadka. Dziadek opowiadał o niezbadanych podziemiach Szczecina, ciągnących się pod całym miastem i pamiętających czasy prawdziwych władców Pomorza, Gryfitów.

Johann przeszedł się po pokoju, usiłując wyciągnąć z pamięci wszystkie opowieści na ten temat zasłyszane od dziadka. Legendy o podziemnym korytarzu łączącym zamek z pobliskimi kościołami i klasztorami, o korytarzach biegnących pod Odrą. Nagle przypomniało mu się coś jeszcze. Coś, co dziadek mówił przed samą śmiercią. Stał mu przed oczami obraz dziadka, który leżał w swoim łóżku, gorączkowo łapał go za rękę i powtarzał ledwo zrozumiałe słowa. Mama wtedy mówiła, że to demencja i żeby go nie

męczyć. Ale dziadek ciągle coś powtarzał. Coś o wilkach... Czy to chodziło o ten Werwolf? I coś jeszcze...

Odwrócił się i próbując się skupić, bezwiednie omiótł spojrzeniem cały salon. Spojrzał na drzwi od sypialni i nagle przyszło mu coś do głowy. Szybkim krokiem podszedł do szklanych, rozsuwanych drzwi, odsunął je i wszedł do środka.

*Kiedyś znajdą w podziemiach Barnima...*

*Pamiętaj o swoim obrazie...*

*Ars est celare artem.*

Czując zamęt w głowie, patrzył na wiszący na ścianie z surowych cegieł duży obraz w prostych, drewnianych ramach.



## Rozdział 4

Około południa Paulinę obudził telefon. Po porannej pobudce nakarmiła kota, pokręciła się po domu i położyła ponownie. Należało jej się po czterech godzinach snu. Sięgnęła ręką za siebie, wymacała komórkę na szafce obok łóżka i dotknęła palcem ekranu. Paweł.

– Wyspałeś się? – Paweł miał świeży i wesoły głos. – Dzwoniłem na domowy, ale twój ojciec powiedział, że śpisz.

– I pewnie dlatego postanowiłeś zadzwonić na komórkę i mnie obudzić? – Paulina ziewnęła i podniosła się z poduszki.

– Jest południe, najwyższy czas wstawać. Zglądałeś na naszą stronę? Mamy rekord wejść. Nikt nie napisał o tych lochach. I jako jedyni podaliśmy prawdopodobną przyczynę zaważenia. Inne gazety wpuściły się w bredzenie o pożarze.

– Ty jeszcze wczoraj też bredziłeś o pożarze. – Paulina wstała i przeczesując ręką włosy, podeszła do biurka i otworzyła laptopa.

Paweł parsknął śmiechem.

– Dobra, dobra, najważniejsze, że mamy absolutny news. Sprzedałem już przedruki do gazet na poniedziałek. Wszyscy oczywiście próbowali już dzisiaj tam wejść i sami coś nakręcić, ale Borola nikogo nie wpuścił.

Paulina popatrzyła na główną stronę „Dziennika Szczecińskiego” i przejechała kursorem na komentarze.

– Puściłeś całość? Tak wcześniej? – spytała, widząc, że cała treść artykułu jest odblokowana.

– Tak. Żeby podgrzać atmosferę. I tak odkupili od nas przedruki i prawo do powołania się na nasz tytuł. Aha... dzwoniła do mnie konserwatorka – przypomniał sobie.

– Jaka konserwatorka? – Paulina nie zrozumiała.

– Noo, z biura Miejskiego Konserwatora Zabytków. Wypytywała o te

lochy. Pytała, w jakim stanie są te mury i jak wygląda samochód?

Paulina spojrzała na biurko, na którym leżał w foliowej koszulce tajemniczy list z podziemi.

– Aa... i z muzeum techniki dzwonili, i też pytali o ten samochód.

– I co powiedziałaś pani konserwator?

– Odesłałem ją do Boroli. Powiedziałem, że póki co nie możemy zdradzić źródła naszego artykułu. – Paweł zaczął chichotać. – Ale powiedz, jak ty tam weszłaś, do diabła? Byłaś w budynku, kiedy zaczął się walić, to rozumiem, ale po co do tych lochów polazłaś?

– No, zobaczyłam, że Borola z jakimś facetem tam idzie, i poszłam za nimi. Jestem kreatywna, jak widzisz. – Paulina odetchnęła z ulgą, że póki co jej tożsamość zdradzają jedynie inicjały pod artykułem.

– Dzwonił też Borola oczywiście. Koniecznie chciał wiedzieć, kto napisał ten artykuł i jak wszedł do podziemi. Groził, że wyciągnie konsekwencje za wtargnięcie na teren prywatnej własności.

Paulina poczuła nieprzyjemny chłód. Oto druga strona dziennikarstwa śledczego.

– Może to zrobić? – spytała z niepokojem.

– Może. Ale my mamy prawo odmówić udostępnienia twoich danych. Może więc co najwyżej podać do sądu gazetę. Spoko. Nie będzie mu się chciało. Poza tym po co? Pewnie zarobi na tej sensacji. Jak skończy się to całe zamieszanie, będzie mógł wpuszczać do lochów ciemny lud za biletami.

– Ja bym tam drugi raz nie weszła. – Paulina przypomniała sobie zwały gruzu nad głową, które wyglądały, jakby za chwilę miały runąć i odciąć drogę wyjścia. Wzdrygnęła się.

Po kilku słowach na temat poniedziałkowej pracy Paweł się pożegnał. Paulina odłożyła komórkę i spojrzała na pożółkły arkusik w przezroczystej foliowej koszulce.

Sięgnęła po nią i ostrożnie wydobyła ze środka starą, złożoną na pół kartkę papieru.

\*

Igor odłożył telefon i zniechęcony dźwignął się z sofy. Przeszedł przez

pokój, podszedł do wielkiej dwudrzwiowej lodówki i zajrzał do środka. Była pusta, dokładnie tak samo jako kilka godzin wcześniej, co sobie właśnie naocznie uświadomił. Myśl o zakupach w pobliskiej galerii handlowej napęłniała go zniechęceniem. Bliżej był tylko jakiś osiedlowy sklepik, gdzie wszystko jest trzy razy droższe, a od ekspedientki czuć dym papierosowy. Trudno, trzeba się przejechać. Westchnął i poszedł w kierunku sypialni, żeby coś na siebie włożyć. Przed chwilą dowiedział się, że Borola wyjeżdża na dwa dni z kraju, i spędził następne kilkanaście minut na konferowaniu z nim o tym, co trzeba zrobić w poniedziałek. Załatwienie wszystkich spraw związanych z tym bajzłem pod hotelem i z sarkofagiem spadło niniejszym na niego. Przede wszystkim wizyta w biurze Miejskiego Konserwatora Zabytków, a dodatkowo jeszcze skonstruowanie informacji dla prasy na temat ostatnich wydarzeń, którą potem przejmie prawnik i uzbroi w jakieś oficjalne formułki.

Rola Igora jako architekta Boroli rzadko kiedy kończyła się na projektowaniu. Brał na siebie także zadania, którymi powinien zajmować się inwestor zastępczy albo jakiś szef inwestycji, ale ponieważ zaufanie Boroli procentowało później dobrymi zleceniami, więc rad nierad przejmował te dodatkowe obowiązki.

Borola godzinę temu oderwał go od natrętnych myśli na temat tajemniczej kartki w ręku trupa z ciężarówki. Igor zachodził w głowę, co mogło być na kartce tak ciekawego, że dziennikarka zdecydowała się ją ukraść. W gazecie nic mu nie powiedzieli, nie chcieli nawet zdradzić, kim jest autor artykułu, zasłaniając się jakimiś paragrafami z prawa prasowego. Kobieta, z którą rozmawiał, przez nieuwagę zdradziła jedynie płeć autorki artykułu, stosując nieopatrzenie właściwy zaimek. Igor przejrzał w swoim kalendarzu spis znajomych, zastanawiając się, jak dojść do tej dziennikarki. Znał tylko grafika z „Gazety” oraz redaktora z portalu internetowego piszącego na temat Szczecina. Grafik, przyłapany nad morzem z żoną i dziećmi, nie miał zielonego pojęcia, kim jest osoba o inicjałach PW. Do Norberta z portalu nie udało mu się dodzwonić. Pewnie także czynnie korzystał z weekendu.

Wciągnął na siebie dżinsy i granatową koszulkę, zgarnął komórkę z ławy przy sofie, kluczyki z szafki przy schodach i zbiegł na dół do drzwi wyjściowych.

Wyjęta z folii kartka leżała na biurku jak wyrzut sumienia. Paulina siedziała z nogami założonymi na oparcie fotela i patrzyła w przestrzeń. Nie mogła wprost odżałować, że zabrała ze sobą ten list. Gdyby tylko zrobiła zdjęcie kartki, zamiast ją stamtąd zabierać, to miałyby teraz piękny temat na drugi artykuł, a właściwie ciąg dalszy. To, co w niej znalazła, stanowiło doskonałą kontynuację. Tylko że nie mogła tego napisać, bo musiałyby się przyznać, że ją zabrała. Wpadła we własne sidła.

Wtedy wszystko działo się zbyt szybko. Po otwarciu drzwi od strony kierowcy ręką tego trupa nagle zsunęła się z kolan, przyprawiając ją nieomal o zawał. Gdyby nie to, że wcześniej zajrzała do środka i wiedziała, czego się spodziewać, to pewnie leżałaby tam obok martwa. I właśnie wówczas kartka wypadła z jego kościstych palców, obciążniętych resztkami wyschniętej skóry, i zleciała na podłogę szoferki. W dodatku na sam skraj drzwi. Gdyby jej nie podniosła, to zamykając, przytrzasnęłaby ją nimi i zniszczyła. Kompletnie przerażona jedną już tylko kreseczką na wyświetlaczu baterii komórki, niewiele myśląc, wzięła kartkę do ręki i schowała ostrożnie do na szczęście sporej, wewnętrznej kieszeni swojej krótkiej marynarki. Zrobiła fotki i rzuciła się do otworu w osuwisku, czując gwałtowną potrzebę wydostania się na zewnątrz i zaczerpnięcia powietrza.

A teraz siedziała i zastanawiała się, jak z tego wybrnąć. Tym bardziej zdołowana, że przeczytała oczywiście w sieci, jakie konsekwencje grożą za zabranie czegokolwiek z miejsca wypadku. Poza wszystkim było to także znalezisko wartościowe pod względem historycznym, więc traktowane jak tzw. skarb. Zatem groziła jej odpowiedzialność karna z dwóch co najmniej paragrafów. Zastanawiała się, czy nie wtajemniczyć w to wszystko Pawła, by poprosił o pomoc prawników gazety. Tyle że jak Paweł dowie się o tym, to nie tylko nie przejmie się sprawą listu, ale jeszcze ją ochrzani, że nie przeszukała kieszeni tego trupa. No, a poza tym jej sukces momentalnie zamieni się, w jego mniemaniu, w żalosny wygłup i znowu zacznie ją traktować protekcjonalnie. Nie mówiąc o tym, że wizja umowy o pracę oddali się na nieokreśloną odległość. Westchnęła i pochyliła się, żeby spojrzeć jeszcze raz na stary list.

Napisany był prostym językiem, adresowany do jakiejś kobiety. Pożegnanie umierającego mężczyzny, zaplątanego w jakieś wojenne wydarzenie, odciętego od rodziny, dzieci, ukochanej żony. Paulina westchnęła po raz drugi. Jaki to byłby ładny temat. W dodatku gazeta

mogłaby rozpocząć akcję szukania żony tego kierowcy, o ile żyła, lub jego potomków. Pewnie taka akcja stałaby się od razu popularna, napędzając rzesze nowych czytelników. A tak, jedna głupia decyzja spowodowała, że teraz nie ma na to szans. Potarła czoło i jeszcze raz przeczytała list.

*Kochana Gustawo,*

*już się nie zobaczymy. Serce mi pęka na myśl, że już nie zobaczę Ciebie ani reszty rodziny. Ale jak nie tu, to pewnie zginąłbym gdzie indziej. Wydali na mnie wyrok śmierci.*

*Niech piekło pochłonie Hitlera za to, co zrobił temu narodowi.*

*Mam nadzieję, że udało Ci się uciec z Pomorza przed Sowietami i że Ty, mama i reszta rodziny jesteście bezpieczni.*

*Nasi bracia nie żyją, a mnie nie udało się uratować sarkofagu. Miał nie wpaść w niepowołane ręce, ale teraz nie wiem, co z nim będzie. Nie wiem, czy przeżył ktoś, kto zna historię mojego wielkiego imiennika i czy mam prawo ją komuś przekazać.*

*Jeśli Bóg da i przeczytasz ten list, przekaz go także moim braciom i powiedz im, że każdy mężczyzna nosi ze sobą własne pióro.*

*Już teraz tęsknię za naszym domem, lasem i kamieniami przodków, i za Starym Rzeźbiarzem Pod Czerwoną Różą.*

*Chciałbym znowu pójść do naszej świątyni, obok starych koszar, pod posąg Victorą.*

*Spotkamy się w lepszym świecie,  
do zobaczenia, Gustawo.*

Zatrzymała wzrok na ostatnich zdaniach. Kim mógł być ten kierowca? Żołnierzem, dezertorem, a może rzeczywiście był z tego Werwolfu? Uwięziony pod ziemią, śmiertelnie postrzelony, napisał pożegnalny list do żony.

Paulina złapała się na tym, że właściwie nie wie, czy chodzi o żonę. A może to kochanka? Albo siostra? Pisze w końcu o braciach? Zmarszczyła brwi i jeszcze raz przeczytała list. Zaczęła się zastanawiać, czy na pewno dobrze przetłumaczyła niektóre zdania. Wczoraj w nocy odebrała go jako piękne, romantyczne pożegnanie umierającego mężczyzny, a dziś zaczęła

dostrzegać, że list jest jakiś dziwny. Tajemniczy kierowca najpierw pisze, że ich bracia nie żyją, a potem każe tej jakiejś Gustawie coś im przekazać.

Może jednak byli rodzeństwem i mieli więcej braci? Tylko że część z nich zginęła. A może był już nieprzytomny, może miał majaki, był przecież postrzelony.

I co to za sarkofag, o którym pisze?

Oparła się i położyła nogi na blacie biurka. A może to jednak żona, a facet posługuje się jakimś kodem im tylko znanych określeń, słów i skrótów myślowych. Tak czy siak, raczej marne szanse, by odgadnąć tylko na podstawie tego listu jego tożsamość. Może miał przy sobie coś jeszcze, po czym można by ją poznać. No, chyba że faktycznie był wilkołakiem – zakamuflowanym w Szczecinie terrorystą z niemieckiej organizacji sabotażystów.

Paulina pomyślała, że jeśli nie zwróci listu, to nikt nie powiąże już żadnych faktów związanych z tym trupem i jego potomkowie nigdy się o nim nie dowiedzą. Z rosnącym poczuciem winy zaklęła pod nosem, wstała z krzesła i wyszła z pokoju na korytarz. Ojciec miał ogromny księgozbiór książek historycznych na temat II wojny światowej. Postanowiła przeczytać coś o Werwolfie.

\*

Na podjeździe eleganckiej, ukrytej w gęstej zieleni modernistycznej willi stały cztery samochody. Ogromna czarna limuzyna, porsche cayenne, i dwa wysłużone terenowe mercedesy. W największym pokoju na parterze przy dużym dębowym stole siedział Parsov i patrzył na powiększone, elektronicznie wyczyszczone zdjęcie z „Dziennika Szczecińskiego”.

– To musi być on – powiedział. – Wszystko się zgadza, nawet ciężarówka ma tablice Wehrmachtu.

– Polacy jej jeszcze nie wyciągnęli – odezwał się wysoki, dobrze zbudowany blondyn w ciemnym garniturze. – Będą mieli z tym techniczne problemy.

– Właścicielem hotelu jest znany lokalny przedsiębiorca. Prowadzi jakieś interesy w Berlinie – dodał korpulentny, siedzący do tej pory cicho w fotelu przy drzwiach wejściowych mężczyzna. – On i jakiś architekt, który dla

niego pracuje, oglądali to dokładnie. Na pewno zrobili mnóstwo zdjęć.

– W Szczecinie będziecie za dwie godziny. – Parsov wstał z fotela. – Rozejrzyjcie się w sytuacji, sprawdźcie wszystkie możliwości dotarcia do tej ciężarówki. Kiedy przejmą je państwowe służby, nie będzie szans, żeby ją zbadać.

– A wiemy w ogóle, czego mamy tam szukać? – spytał wysoki blondyn.

– Problem w tym, że nie. – Parsov się skrzywił. – Trzeba zbadać wszystkie ślady. On musiał coś zostawić. Jakąś wskazówkę. W razie czego musicie dotrzeć do tych ludzi. Do pismaka z tego brukowca, do tego architekta.

– Mamy być ostrożni czy nie przebierać w środkach, szefie? – spytał młody mężczyzna, który do tej pory siedział przy stole, milcząc.

– Róbcie wszystko, co konieczne, bez głupiego narażania się na kłopoty. – Parsov spojrzał na niego surowo. – Sprawdźcie tych ludzi. Z kim się porozumiewali dzisiaj, z kim rozmawiali. To może naprowadzić nas na to, co wiedzą.

Mężczyźni wstali i skierowali się do wyjścia.

– Spotkamy się w poniedziałek wieczorem w Szczecinie. Zatrzymam się w Park Hotel. – Parsov zabrał ze stołu swoją teczkę, przeszedł między czterema mężczyznami i wyszedł z pokoju. Mężczyźni wyszli za nim.

\*

Mieszkanie Igora i Doroty, obarczone kredytem we frankach szwajcarskich, znajdowało się w nowym budynku na zachodnich obrzeżach miasta. Nie był to apartamentowiec, chociaż deweloper reklamował go taką nazwą. Wyposażony w cichutką windę i klatkę schodową wyłożoną ciemnymi kafkami ceramicznymi, budynek epatował chłodem, choć wykończony w ciepłych barwach, starał się udawać przytulne miejsce do zamieszkania dla młodych rodzin. Igor wyprowadził się stamtąd bez żalu, pozostawiając je, razem ze splecionym w niewielkiej części kredytem, Dorocie.

Któregoś dnia, przejeżdżając obok parku Żeromskiego, skręcił w boczną ulicę biegnącą wzdłuż dawnego cmentarza francuskiego i powoli zjechał nią aż do małego placu, skąd wąska uliczka opadała w kierunku Odry. Miejsce pełne magii, nad którym unosił się duch pogmatwanej historii miasta. Od

południa rozciągał się fragment parku, który przed II wojną światową był starym cmentarzem, pamiętającym czasy gminy francuskiej, założonej tutaj na początku XVIII wieku. Tuż obok, nad wysoką skarpą kolejnej krętej uliczki biegnącej ku Odrze, wznosił się maleńki drewniany domek, nazywany Domem Grabarza, w którym niegdyś mieszkał ogrodnik, a obecnie mieściło się stowarzyszenie o pompatycznej, ale i autoironicznej nazwie Stowarzyszenie na Rzecz Wzbogacania i Rozwoju Życia Kulturalno-Społecznego Szczecina.

Od drugiej strony malowniczy plac ograniczony był wysokim murem oporowym, na którego koronę prowadziły kamienne schody. Jeszcze w XIX wieku był to teren Bractwa Kurkowego, gdzie bogaci szczecińscy mieszczaństwo urządzali zawody strzeleckie. Nieco później teren zakupiła i przyłączyła do swoich włości szczecińska loża masońska Pod Trzema Cyrklami. Pozostał po niej gmach, przejęty po wojnie przez Teatr Polski, oraz okruszki pamięci o dawnych słynnych i malowniczych ogrodach, z których rozciągał się widok na Odrę – stary mur oporowy, fragment muru od strony północnej z dwoma kamiennymi słupami, zagubionymi w nowej rzeczywistości wybudowanych w latach dwudziestych modernistycznych budynków mieszkalnych, a także przebudowane po wojnie malownicze schody, opadające kaskadą do dzisiejszej ulicy Łady.

Nad jednym z budynków przy placu mieściło się wielkie poddasze, z rozpoczętym remontem, które właśnie ktoś usiłował sprzedać. Igor, nie namyślając się długo, stał się jego właścicielem.

Bardzo lubił wracać do domu od strony Odry. Jadąc wąską uliczką do góry, myślał zawsze, jak to było wtedy, gdy po prawej stronie ze skarpy ogrodu łoża spływały kaskady bluszczu i dzikiego wina. Ogrody łoży uchodziły za najpiękniejsze w Szczecinie i służyły miastu jako rodzaj salonu towarzyskiego, gdzie odbywały się spotkania, rauty i bale dobroczynne. O tym miejscu krążyły też legendy. O podziemnych przejściach, które spod budynku dzisiejszego Teatru Polskiego prowadziły w różne strony, łącząc się ze starymi podziemiami fortecznymi. Kilka lat wcześniej u stóp skarpy, pod ciężarem zaparkowanej ciężarówki zawalił się fragment ulicy Łady, odsłaniając stare korytarze podziemne o drewnianej konstrukcji. Korytarze prowadziły w kierunku Odry, a następnie łączyły się z innymi, żelbetowymi, i biegły dalej w stronę stoczni. W drugą stronę natomiast korytarz wbijał się w skarpe, na której stała dawna siedziba łoży Pod Trzema Cyrklami. Nie



zbadano ich ze względu na brak środków, niebezpieczeństwo zawalenia i konieczność przywrócenia ruchu na ulicy. Zniszczony odcinek zasypano. Tajemnica pozostała tajemnicą.

Igor zaparkował samochód, wywłókł z bagażnika dwie wielkie torby z zakupami i postawił na chodniku obok auta. Wyciągnął z kieszeni klucze i ruszył w kierunku domu. Gdy był już na schodach, w kieszeni jego dżinsów zadzwonił telefon. Przełożył wypakowane torby do jednej ręki, wyciągnął komórkę i spojrzął na wyświetlacz. Norbert.

– Cześć, Igor. Właśnie zauważyłem, że dzwoniłeś.

– Witam. Tak. Z takim małym pytaniem... – Igor zaczął się wspinać po schodach. – Kojarzysz może kogoś, kto pracuje w „Dzienniku Szczecińskim” i ma inicjały PW?

– PW... PW... Jasne. Właściwie to ona pracuje dla nich tylko na zlecenie. Píše też czasem dla nas. Paulina Weber. A co z nią? – zainteresował się Norbert.

– Czytałeś już dziennik? Albo jakąkolwiek gazetę?

– Jestem nad morzem. Czytanie gazet to ostatnie, na co mam ochotę. Dopiero zacząłem urlop. A co? Coś się stało?

– Zawalił się S-Center, czaisz? Ta dziewczyna napisała artykuł. A przy okazji jeszcze o takich tam sprawach z podziemiami. Kup i przeczytaj albo wejdź na ich stronę, jak masz ze sobą laptopa.

– Uuu. Dopiero go postawili, ja dziękuję. Jakaś grubsza sprawa. – W tle było słycać rozkoszny szum fal i wołanie mew.

– Słuchaj – Igor zaczął ostrożnie. – Masz może jakiś kontakt do tej laski? Tamte podziemia są pod hotelem, którego renowacją się zajmowałem kilka lat temu, i chciałbym z nią pogadać.

– Hmm... – Norbert ucichł na chwilę, a w tle słycać było klikanie. – Mam jej numer komórki i adres domowy. Normalnie unikamy podawania kontaktów, ale, o ile wiem, nie jesteś zbrojcem i nie pracujesz dla konkurencji ani Urzędu Skarbowego. – Norbert się roześmiał. – Ale i tak jej nie mów, że to ja ci dałem numer.

– Okej. Będę ci wdzięczny. – Po kilku grzecznościowych zdaniach o konieczności spotkania i wypicia piwa Igor pożegnał się i włożył telefon do kieszeni. Paulina Weber. Przełożył torby do drugiej ręki i szybko zaczął

wchodzić na ostatnie piętro kamienicy.

\*

Latem 1943 roku w gabinecie Heinricha Himmlera odbyła się tajna narada z udziałem najwyższych oficerów SS. Jej celem było stworzenie planu awaryjnego na wypadek konieczności odwrotu armii niemieckiej z podbitych wcześniej ziem. Nieformalnie mówiło się także o zastosowaniu tego planu na wypadek zajęcia Niemiec przez armię nieprzyjaciela, choć tego starano się szczególnie nie podkreślać z obawy przed oskarżeniem o szerzenie defetyzmu. W efekcie tego spotkania powstał plan o kryptonimie W-II, którego głównym twórcą był generał Wehrmachtu Reinhard Gehlen, w owym czasie szef wydziału Fredem Heere Ost<sup>[3]</sup> w Sztabie Generalnym Wojsk Lądowych. Nomen omen to właśnie realistyczne raporty tego generała na temat sytuacji na froncie wschodnim zostały uznane w kwietniu 1945 roku przez Hitlera za defetystyczne i stały się powodem jego zdymisjonowania.

Projekt W-II zakładał utworzenie podziemnej organizacji dywersyjnej o strukturze opartej na organizacji polskiego ruchu oporu, którego dokumenty i plany, po upadku Powstania Warszawskiego przejął wywiad SS... Opracowane plany obejmowały szczegółowe zasady szkolenia, zaopatrywania w broń i żywność, wykorzystywania podziemnych przejść i schronów. Na przełomie 1944 i 1945 roku rozpoczęto werbowanie pierwszych ochotników, których szkolono w ośrodkach na terenie wschodnich Niemiec. Cała akcja trzymana była w tajemnicy przed Hitlerem, który nie dopuszczał myśli o przegranej czy o jakichkolwiek nawet działaniach przygotowawczych, zakładających taki scenariusz. Wkrótce utworzone w ten sposób oddziały nazistowskich terrorystów otrzymały nazwę wywodzącą się ze starych pomorskich legend o wilkołakach – Werwolf.

Organizacja nie odegrała wielkiej roli. Pod koniec wojny Trzecia Rzesza ujawniła istnienie tajnej struktury, ale miało to już tylko propagandowe znaczenie, stanowiąc próbę podtrzymania wiary w ostateczne zwycięstwo. Losy wojny były jednak już przesądzone.

Paulina podciągnęła nogi i zapadła się w wielkim starym fotelu w gabinecie ojca. Przerzuciła kilka stron, czytając pobieżnie szczegółowe informacje na temat uzbrojenia, sposobów ubierania się i metod działania

członków Werwolfu. Szukała jakiejś wiadomości o losach tej organizacji na Pomorzu Zachodnim. W książce jednak znalazła tylko kilka suchych zdań stwierdzających, że ani w Szczecinie, ani na Pomorzu Werwolf nie był zbyt liczny i nie istniały tu żadne główne bazy dyspozycyjne. Zamknęła książkę, zsunęła nogi z fotela i powoli wstała, rozciągając zeszywniałe mięśnie. Wyszła z gabinetu ojca, udała się na górę po laptopa i trzymając go pod pachą, zeszła do kuchni. Nastawiła sobie wodę na herbatę i włożyła dwa kawałki chleba do tosterka.

Po chwili, popijając gorącą herbatę i smarując masłem ciepłutki tost, otworzyła laptopa i wpisała „Werwolf Pomorze Zachodnie” w okienku przeglądarki. Z kilku otwartych linków dowiedziała się o spektakularnej akcji spalania w 1945 roku jedynego mostu kolejowego na Odrze, atakach na podmiejską stację na Gumieńcach i zasadzce na pierwszego prezydenta Szczecina Piotra Zarembę, w wyniku której cudem uszedł z życiem.

Wypiła łyk herbaty i miała właśnie zamknąć laptopa, gdy spojrzała na przedostatni link. Oferta jakiejś księgarni, proponująca książkę, na której okładce były fragmenty przedwojennych szczecińskich gazet. Rzuciła okiem na okładkę cienkiej broszury. *Niektóre realia szczecińskie w latach III Rzeszy*, autorstwa Romana Tesze. Ta książka stała na półce w bibliotece ojca. Nigdy jednak nie powiązała jej z Werwolfem.

Ciekawe, co tam może być na ten temat, pomyślała, idąc ponownie w kierunku gabinetu. Sięgnęła na półkę i wyjęła cienką książeczkę w czarno-białej okładce. Przerzuciła szybko strony, zatrzymując się na rozdziale noszącym wielce obiecujący tytuł – „Wilkołaki i ludzie szczury”. Zaczęła czytać i po kilku zdaniach z podnieceniem stwierdziła, że to jest właśnie to, czego szukała. Czując ciarki na plecach, przeczytała o znalezionym w archiwach Urzędu Wojewódzkiego opisie przeniknięcia do Szczecina dużego oddziału Werwolfu.

W dniu 14 kwietnia 1945 roku od strony Tanowa nadjechały cztery ciężarówki wojskowe marki Opel Blitz, kryte plandekami, z tablicami rejestracyjnymi Wehrmachtu. Czytając, uświadomiła sobie, że w tamtym okresie Szczecin był jeszcze niemiecki. Rosjanie zdobyli go chyba po 20 kwietnia, a dopiero w lipcu czy sierpniu zapadły postanowienia Układu Poczdamskiego[4]. Obiecała to sobie sprawdzić dokładnie i skupiła się na pozostałej treści rozdziału.

Ciężarówki zostały skontrolowane przez niemiecką żandarmerię polową

w Pilchowie. W każdym samochodzie siedziało po dwudziestu mężczyzn w mundurach piechoty Wehrmachtu, wyposażonych w plecaki z kompletnym ubraniem cywilnym, przyborami kosmetycznymi oraz podwójną standardową porcją żywnościową. Każdy z mężczyzn wyposażony był w pakiet materiałów wybuchowych, pistolet typu walther P38 oraz zapas amunicji. Po sprawdzeniu dokumentów i przeprowadzeniu przez dowódcę punktu kontrolnego rozmowy telefonicznej do pierwszego samochodu dosiadł się jeden z żandarmów i kolumna ruszyła przez Falkenweldestrasse[5] w kierunku Komendantury Wojskowej przy Linsingenstrasse[6]. Żandarm przyprowadził czterech przewodników, którzy dosiedli się do szoferek. Ciężarówki rozjechały się w trzy strony. Dwie pojechały w stronę portu, jedna w stronę Lasku Arkońskiego i ostatnia w kierunku ruin Grabowa.

Prawdopodobnie były tam przygotowane kryjówki, w których oddział miał odczekać, aż niemieckie wojsko i administracja opuszczą miasto, i dopiero wtedy przystąpić do działań. W każdym bądź razie ślad po ciężarówkach zaginął.

Paulina, nie odrywając oczu od książki, wymacała ręką krzesło przy biurku i usiadła. Czowała, jak wali jej serce. To jest to! Trup w ciężarówce pod hotelem należał do tej grupy. Jak nic!

Ostatni akapit rozdziału także był bardzo ciekawy. Autor, powołując się na dokumenty Cesarsko-Królewskiego Urzędu Policji Budowlanej, przytaczał przykłady prac budowlanych w kamienicach w obrębie Starego Miasta, na które policja budowlana nie zawsze się zgadzała, z uwagi na nigdy do końca nierozpoznane podziemia, korytarze i lochy ciągnące się pod ulicami i domami Szczecina. Wedle zachowanych dokumentów, na terenie Starego Miasta często dochodziło do katastrof i zapadania się całych odcinków ulic. W okresie Republiki Weimarskiej w szczecińskich podziemiach mieszkali bezdomni, a w okresie Trzeciej Rzeszy wiele korytarzy i przejść zostało przebudowanych na schrony przeciwlotnicze. Po zakończeniu wojny, przez pierwsze miesiące pokoju, członkowie Werwolfu ukrywali się w tych podziemiach, wychodząc jedynie nocą, aby dokonać jakiegoś zamachu, wzniecić pożar bądź zdobyć pożywienie. Część z nich zabito, a pozostali uciekli przez nieszczęsną jeszcze wtedy granicę.

Paulina zamknęła broszurę i wbiła wzrok w przestrzeń. Wszystko się zgadzało. Tajemniczy oddział Werwolfu, który w 1945 roku wjechał do miasta i po którym następnie ślad zaginął. Ciężarówka ukryta

w podziemiach, z ubranym w cywilne ciuchy kierowcą, prawdopodobnie postrzelonym w wyniku jednej z nocnych eskapad, która skończyła się dla niego niefortunnie.

Wstała i z książką w ręce skierowała się do kuchni. Zamierzała zrobić sobie herbaty, a następnie jeszcze raz przeczytać wszystko od początku. Zaczynała w myślach układać nowy artykuł, kontynuację dzisiejszego. Ogólne informacje na temat Werwolfu, ta fantastyczna historia z czterema zaginionymi ciężarówkami i spekulacje na temat tożsamości kierowcy. Nawet jeśli nie napisze nic o liście, to i tak artykuł będzie interesujący.

Weszła do kuchni akurat w momencie, gdy zaczęła dzwonić komórka. Spojrzała na wyświetlacz, ale numer nic jej nie mówił. Podniosła telefon i stuknęła palcem w ekranik.

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Pauliną Weber? Nazywam się Igor Fleming.

Ani niski głos, ani nazwisko nic Paulinie nie powiedziało.

– Przepraszam, że dzwonię w sobotnie popołudnie, ale mam do pani dość ważną sprawę – kontynuował nieznajomy facet.

– Tak, słucham? – Paulina ostrożnie wyraziła zainteresowanie.

– Chodzi o artykuł, którego jest pani autorką. Z „Dziennika Szczecińskiego”.

Skąd on wie, że jestem autorką? I skąd ma mój numer? Zabiję Pawła! – pomyślała.

– Skąd ma pan mój numer? Czy w redakcji ktoś panu podał?

– Nie, w redakcji nie chcieli podać pani numeru. Obawiam się, że oboje uczestniczyliśmy we wczorajszych wydarzeniach. I to, powiedziałbym, że raczej czynnie. Chciałbym z panią porozmawiać w tej właśnie sprawie.

– Proszę mi powiedzieć, kim pan właściwie jest? – Paulina poczuła nieokreślony niepokój. Na złodzieju czapka gore, przebiegło jej przez myśl.

– Jestem architektem. Razem z właścicielem byliśmy wczoraj w nocy w hotelu podczas tego wypadku.

W tym momencie Paulina przypomniała sobie wysokiego, szczupłego faceta, który razem z Borolą wszedł do tych koszmarnych piwnic. A więc to on.

– Niestety, przykro mi. Nie kojarzę pana – skłamała. – Ale czy mogłabym w coś pomóc? – spytała ostrożnie.

Słyszała, jak facet głośno wciągnął powietrze.

– Weszła pani za nami do piwnicy. To oczywiście żadna tajemnica w sytuacji, gdy mamy dowód w postaci artykułu – powiedział chłodno. – Ale jest coś, co chciałbym z panią wyjaśnić, zanim w poniedziałek udam się do konserwatora zabytków, żeby w imieniu inwestora zgłosić to znalezisko.

Paulina poczuła, że rozmowa niestety zmierza w kierunku, którego najbardziej się obawiała.

– Co takiego chciałby pan wyjaśnić? – spytała, celowo udając zniecierpliwienie i irytację.

Facet znów odetchnął i powoli zaczął mówić.

– Sfotografowała pani ciężarówkę oraz jej kierowcę. Na podstawie posiadanych zdjęć oraz zdjęć, które pani zrobiła, mam prawo podejrzewać, że coś pani zabrała z tej szoferki. Sądzę, że jakiś dokument będący przy nieboszczyku.

Paulina poczuła się jak uderzona obuchem. Skąd on się o tym dowiedział? Po przebiegu rozmowy sądziła raczej, że będzie usiłował oskarżyć ją o nielegalne wtargnięcie na teren cudzej własności. Czyli to, o czym mówił Paweł. Fakt, że wiedział o liście, kompletnie ją zaskoczył.

– To absurdalna teoria – powiedziała wolno, usiłując zebrać myśli – i obawiam się, że nic mi nie wiadomo o żadnym dokumencie – zdecydowała się iść w zaparte.

– Proszę posłuchać. Nie wiem, czy pani nie zauważyła, może w pośpiechu nie zwróciła pani uwagi na wszystko. – Mężczyzna zmienił ton na bardziej pojednawczy. – A może celowo to pani pominęła w swoim artykule. W każdym razie sama ciężarówka i ten trup to naprawdę nic wielkiego w stosunku do tego, co znajdowało się na pace.

W słuchawce zapadła cisza.

– O czym pan mówi? – Paulina zdecydowała się zapytać, czując rosnącą ciekawość.

– Proponuję nie rozmawiać o tym przez telefon. Zróbmy tak. – Mężczyzna przerwał na chwilę, po czym po krótkim namyśle zaczął mówić dalej: – Pani zastanowi się nad tym, czy na pewno nie wie nic o żadnym dokumencie, a ja

się zastanowię, czy powiedzieć pani o tym, co znajdowało się na pace ciężarówki.

– To zaczyna wyglądać jak jakiś szantaż. – Paulina gorączkowo myślała, jak tu nakłonić faceta do zdradzenia jej, co było na tej cholernej ciężarówce, bez konieczności przyznania się do listu.

– No dobrze. – W głosie faceta pojawiła się irytacja. – Proszę oddzwonić do mnie na ten numer, jak się pani zastanowi. Do usłyszenia.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

Paulina przez chwilę patrzyła na numer zapisany na wyświetlaczu, po czym powoli odłożyła telefon na stół. Co za gbur! Bezczelny w dodatku.

Ciekawość jednak zaczęła już w niej rosnąć. Może to tylko pretekst, żeby przyznała się do zabrania tego listu. A jeśli naprawdę coś się znajdowało na pace? Co mogło być tam takiego wstrząsającego? Broń, materiały wybuchowe?

Znów pomyślała o liście. Coś jednak musi z tym zrobić. Może w poniedziałek – układała sobie plan – porozmawiam z Pawłem i prawnikiem z gazety i sama pójde do konserwatora? Powiem, że zabrałam to z obawy, że dokument się zniszczy, a nie chciałam zostawić go na ziemi. To chyba najlepsze rozwiązanie, pomyślała.

Zabrała laptopa, książki z biblioteki ojca i z kubkiem gorącej herbaty zaczęła się wspinać na górę.

\*

Igor rzucił komórkę na stół w kuchni i ze złością zamknął laptopa, który miał otwarty na stronie z tym cholernym artykułem. Co za wredna mała!

Owszem, ciekawiło go, co było w liście, ale przede wszystkim bał się, że dziewczyna pójdzie w zaparte, list trafi do jej szpargałów i zniknie na wiele lat, po czym nikt nigdy nie powiąże go już z tymi wydarzeniami. Przepadnie jedyna możliwość, by rzucić jakieś światło na tę nieprawdopodobną historię. W dodatku w liście mogło być coś, co pozwoliłoby zrozumieć historię z sarkofagiem. Dlaczego ów ktoś go wykradł? Jeżeli to był Werwolf, to czemu akurat oni się zainteresowali sarkofagiem? I czy chodziło o ten konkretny, czy po prostu zabrali najlepiej zachowany?

Dawno nic go tak nie zakreśliło. Czuł, że nie będzie mógł się doczekać, aż

zaczną się badania i pojawią pierwsze informacje na temat jego zawartości. Tylko kiedy to będzie? – pomyślał ze zniechęceniem. Jak oni go stamtąd wyciągną? Chyba że Borola zapłaci za wyciągnięcie ciężarówki i przy okazji wydobędzie sarkofag. Znając go, wiedział, że to nie jest wcale niemożliwe.

Wstał ze stołka przy kuchennym stole i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Od południa usiłował zmusić się do pracy przy opóźnionym temacie, ale był zbyt zdekoncentrowany przez wczorajsze wydarzenia, żeby się skupić nad nudnym projektem przebudowy przedszkola w Szczecinie. Złapał się na tym, że czeka na telefon od tej całej pioruńskiej dziennikarki.

Podszedł do biurka i od niechcienia dotknął myszki, budząc uśpiony monitor. Westchnął niechętnie i usiadł przed komputerem. Siedział przez chwilę ze wzrokiem wbitym w ekran, usiłując skoncentrować się na przeprojektowaniu przedszkolnych sal i zaplecza, tak by uczynić je bardziej funkcjonalnymi, ale zupełnie mu nie szło.

Nic z tego nie będzie. Wstał od biurka i podszedł do ściany, wzdłuż której stała wielka biblioteczna szafa. Sięgnął na półkę i wyciągnął tomisko w grubych okładkach. *Książęta Pomorza Zachodniego*. Z książką w ręku podszedł do łóżka i wyciągnął się wygodnie.

Barnim IX. Zobaczmy, co miał w sobie ten książę, czego inni nie mieli.

Urodził się w 1501 roku jako najmłodszy syn Bogusława X, powszechnie uważanego za najwybitniejszego z książąt zachodniopomorskich. Ojciec do władania krajem przygotowywał najstarszego syna, Jerzego. Drugi, również starszy brat Barnima, Kazimierz, zginął mało bohatersko, spadając po jakiejś popijawie ze schodów na szczecińskim zamku.

Barnim w 1518 roku wyjechał na studia do Wittenbergi, gdzie słuchał wykładów Marcina Lutra. Książę był bardzo dobrym studentem. Znana jest opowieść o tym, jak w drodze powrotnej do domu zatrzymał się w Berlinie na dworze królewskim i zachwycił Hohenzollernów, z łatwością i bez przygotowania odpowiadając po łacinie na skierowaną do niego powitalną orację. To za jego młodości zawarty został niesławny, brzemienny w skutki układ w Grimnitz. Pakt z elektorem brandenburskim, uznający prawo do przejęcia zwierzchnictwa nad księstwem pomorskim przez margrabiów brandenburskich w przypadku bezpotomnego wymarcia Gryfitów. Układ negocjował i podpisał władający już wtedy krajem Jerzy. Barnim był mu przeciwny.



Po śmierci brata rządził krajem samodzielnie, opiekując się jednocześnie małoletnim bratankiem Filipem. Pod koniec rządów Jerzego, który był dobrym, ale w ocenie ówczesnych, zbyt miękkim władcą, w księstwie nastąpił ogromny wzrost rozbojów i przestępczości. Trudniły się nią przede wszystkim wielkie rody pomorskie, które ze swoich ziem uczyniły udzielne księstwa, prowadząc wojny pomiędzy sobą i napadając na podróźnych oraz mniej zasobnych sąsiadów. Przyczyniała się do tego zła sytuacja polityczna w księstwie i nieustające zatargi z Brandenburgią, która po śmierci Bogusława X coraz agresywniej dopominała się o swoje prawa lenne nad księstwem zachodniopomorskim. Lepsze stosunki łączyły wówczas księstwo z Polską, choć i te także dalekie były od idealnych. Wielkie rody korzystały z komfortowej sytuacji, często posiadając włości po stronie polskiej lub na terenach należących do margrabiów brandenburskich, toteż bandy zbójów działających pod ich przywództwem mogły się spokojnie i bezpiecznie tam ukrywać.

Ale Barnim zaskoczył pomorskich łupieżców. Perfekcyjnie przygotowana akcja w czerwcu 1531 roku położyła kres bandytyzmowi pomorskich szlachciurów. Upadło największe wilcze gniazdo, zamek Manteuffłów w Popielewie, którego włodarze zdołali wprawdzie uciec, ale rok później zostali schwytani i ścięci w Szczecinie. Podobny los spotkał niemałą liczbę rozbójników z wielu szlacheckich rodów.

Po dojściu do pełnoletniości Filipa Barnim podzielił się z nim władzą w księstwie. Załatwili to w bardzo demokratyczny sposób – w drodze losowania. Filip otrzymał Księstwo Wołogoskie, a Barnim pozostał w Szczecinie. Książę przeżył swojego bratanka. Filip zmarł zaraz po tym, jak połamał sobie żebra, wyskakując z okna zamku w Wołogoszczy, gdy ten w 1557 roku stanął w płomieniach przez głupotę kucharza, który zapomniał o świecy postawionej na wypełnionym słomą łożu.

Barnim okazał się doskonałym administratorem i władcą, który rządził krajem w sposób bardzo racjonalny. Wprowadzane przez niego przepisy były jak na owe czasy nadzwyczaj postępowe i przyczyniły się do jego ogromnej popularności wśród ludu. Wydał na przykład specjalne zalecenia dla myśliwych, aby podczas polowań nie niszczyli upraw chłopskich. Był też świetnym mecenasem sztuki. Ściągnął na dwór w Szczecinie słynnego malarza Gabriela Glockendona, a także Antoniego Widę. Prawdopodobnie i Cranach Młodszy był na jego usługach.

Za rządów Barnima spłonął szczeciński zamek. Był to dla księcia duży cios, gdyż od wielu lat ciągle go upiększał i ozdabiał z pomocą rzeszy rzemieślników i artystów. Na czas remontu wyprowadził się do podszczecińskiego klasztoru kartuzów, który po reformacji przejęli książęta. W 1568 roku, będąc jeszcze w pełni sił, Barnim niespodziewanie oddał władzę synowi Filipa, Fryderykowi, a sam postanowił spędzić starość w spokoju, oddając się jedynie swoim ulubionym pasjom.

Igor odłożył książkę na bok. Książę miał piękny życiorys, ale nic w nim nie było takiego, co mogłoby okazać się szczególnie interesujące dla Werwolu. Wprost przeciwnie, utrzymywał przyjazne stosunki z Rzeczpospolitą Zygmunta Starego, a potem Zygmunta Augusta. Do Brandenburgii podchodził z nieufnością. Werwolf skupiał fanatyków. Co takiego zobaczyli w nim ci nazistowscy terroryści, żeby ukraść jego sarkofag? Może po prostu był najlepiej zachowany? Może spodziewali się znaleźć w nim starą biżuterię, kosztowności? Trzeba poszukać czegoś na temat sarkofagów szczecińskich, pomyślał, dźwigając się z łóżka i patrząc sceptycznie na swoją bibliotekę. Cóż, bez wycieczki do Książnicy się nie obejdzie.

Sygnał komórki sprawił, że gwałtownie się wyprostował i szybko podszedł do biurka, na którym obok monitora leżał iPhone. Na wyświetlaczu pulsował nieznany numer.

– Słucham – odezwał się ostrożnie.

– Dzień dobry. Czy mogę mówić z Igorem Flemingiem?

Igor westchnął i przewrócił oczami.

– Mamo, przecież dzwonisz do mnie. Na moją komórkę – dodał z rezygnacją.

– Tak, ale dzwonię z cudzego telefonu. – Głos pani Anny wyrażał niekłamane zdziwienie niedomyślnością Igora.

– Nieważne. – Igor postanowił nie brnąć dalej. – O co chodzi? I czyj to telefon?

– Pani Natalii, naszej nowej młodej dyrektorki, o której ci mówiłam. Z naszej szkoły. Bateria mi się wyczerpała, a pani Natalka była na tyle miła, że pozwoliła mi zadzwonić ze swojego numeru.

– A to takie pilne, że nie mogłaś z tym poczekać do powrotu do domu?

– Oj, Igor, ty zawsze musisz wszystko racjonalizować. Możliwe, że będziemy miały do ciebie taką prośbę. – Mama Igora zawiesiła głos.

Igor milczał przez chwilę, ale nie wytrzymał.

– Więc jaka to prośba, mamó? – spytał z westchnieniem.

– Szkoła chce zrobić remont, ale do tego potrzebny jest podobno jakiś projekt. Tak twierdzi pani Natalia. Pomyślałam, że mógłbyś w tym pomóc.

– Jaki remont? Tylko remont? To można załatwić zgłoszeniem. – Igor kliknął myszką, budząc uśpiony monitor.

– A tam – zachnęła się pani Anna. – Niby skąd ja mam wiedzieć, co znaczy ten budowlany bełkot. No, właśnie o taką pomoc chodzi, żebyś przyjechał tu do nas, obejrzał szkołę i przygotował jakieś te papiery.

– Dobrze, mamó. – Igor usiadł przy komputerze i otworzył swoje rysunki, które godzinę temu porzucił na rzecz lektury. – Ale mam nadzieję, że to nie jest nic pilnego.

– Nie, skądże. Ale mógłbyś przyjechać chociażby w następny weekend. Zaprosimy panią Natalię do nas i się poznać. To bardzo miła dziewczyna. – Głos pani Anny brzmiał zachęcająco. – I bardzo ładna – dodała.

A więc tu jest pies pogrzebany, pomyślał Igor z przekąsem.

– Mamó, mam nadzieję, że pani Natalia nie stoi tam obok? – spytał z niepokojem. – I że nie próbujesz mnie w tej chwili swatać – dodał dobitnie przyciszonym głosem.

– Oj tam. Pomoc jest pomocą. Dla szkoły, nie dla mnie – podkreśliła pani Anna. – A poznać miłą młodą kobietę też mógłbyś. Nic by ci się nie stało. Skoro już definitywnie postanowiłeś rozstać się z tą biedną Dorotką.

– Mamó, Dorotka bywa, o ile wiem, dość często w Szczecinie. Jak chcesz, to zadzwonię do niej i zaproszę ją do was. Będzie miło, jak panie się ze sobą poznają. Oczywiście moja obecność w niczym nikomu nie będzie tam potrzebna.

– Igor, ja cię w ogóle czasami nie rozumiem. Tej twojej autodestrukcji...

Igor zamknął CAD-a [\[Z\]](#) i wstał od biurka.

– Mamó, muszę kończyć. Ktoś dzwoni do drzwi – skłamał. – Przepraszam. Muszę otworzyć.

– Aha, Igor, jeszcze jedno. – Pani Anna sobie przypomniała. – Ojciec

mówił, że w razie czego, to zna dobrego prawnika. Wiesz, z tym pożarem...

– Mamo, naprawdę muszę kończyć – powiedział zdecydowanie. – Pa, zadzwonię.

Odłożył telefon z ulgą na blat i poszedł do kuchni. Czasami matka potrafiła go doprowadzić do rozpacz. I to zupełnie bez złych intencji.

Resztę dnia udało mu się spędzić, pracując. Po rozmowie z matką wziął prysznic, napił się gorącej herbaty i jakoś zmusił się do skoncentrowania na arcynudnym temacie, który odkładał od kilku tygodni, zasłaniając się innymi obowiązkami. Około północy poczuł się bardzo znużony. Myśl o tym, że w tym samym czasie, w którym on użera się z przedszkolem, jego znajomi właśnie piją drugie albo trzecie piwo w jakimś pubie, nie napełniła go optymizmem. Przeciągnął się i spojrzął na ekran z fragmentem rzutu przyziemia koszmarnego przedszkola z lat siedemdziesiątych, które usiłował poddać reanimacji.

Powinno się to wyburzyć, a nie remontować, pomyślał ze złością. Zajmuje cenne miejsce w centrum, a żaden remont i tak nie podniesie standardu tego budynku. Tym bardziej że inwestor, czyli miasto – zaleciło program oszczędnościowy. Skrzywił się i przeczesał ręką włosy. Nieprzespana noc, nawet mimo drzemki w ciągu dnia, dała o sobie znać. Igor wstał, wyłączył komputer i stwierdził, że pora iść spać.

Jak zwykle spędził za dużo czasu pod prysznicem, rozkoszując się gorącą wodą. Wyszedł z ręcznikiem na biodrach, drugim wycierając włosy, kiedy zadzwoniła komórka. Charakterystyczny sygnał nie pozostawiał złudzeń co do tego, kto dzwoni. Igor spojrzął na zegar na ekranie i podniósł telefon. Dochodziła pierwsza. Dotknął palcem ekranu.

– Igor? Witam. Tu Rafał. – Borola miał głos przytłumiony przez jakiś hałas w tle.

– Jezu, tylko nie mów, że jakiś inny twój budynek właśnie się wali. – Igor zaryzykował żart.

– Jeśli to będzie kolejny przerabiany przez ciebie, to uznam to za niepokojącą prawidłowość. – Borola zaśmiał się nerwowo i przeszedł do rzeczy. W jego głosie dał się wyczuć niepokój. – Słuchaj, dzwonię z taką prośbą. Nie wiem, czy się zgodzisz, ale bardzo bym cię prosił. Od kilku

godzin usiłuję się dodzwonić do hotelu, do tego cholernego ciecia, i nikt nie odbiera. Przepraszam, że do ciebie z tym dzwonię, ale mieszkasz najbliżej. Nie chcę tam posyłać nikogo z moich pracowników, bo wiesz... – Borola zawiesił głos. – Coś będzie nie tak i pójdzie w świat, że to jakaś machloja „tego Boroli”.

Igor wstrzymał oddech, modląc się, żeby nie chodziło o to, o czym pomyślał.

– Nie mógłbyś skoczyć szybciotko i zobaczyć, co tam się dzieje? Bardzo się niepokoję. Naprawdę dzwonię już od jakichś trzech godzin i nic. Poza tym ten cieć zawsze oddzwaniał, a dziś ani nie odbiera, ani nie oddzwania. – Borola starał się mówić zatroskanym głosem.

Igor westchnął. A jednak.

– O rany, Rafał. Ja właśnie się kładłem. Wyszedłem spod prysznic – jęknął.

– W sobotę? O tej porze? Taki przystojny facet? – Borola usiłował go połechtać. – Powinieneś właśnie wychodzić do jakiegoś klubu, a nie iść spać.

– Okej, okej, przestań czarować. Skoczę tam i zobaczę, co się dzieje. – Igor się poddał, wysłuchał, kiwając głową, radosnych podziękowań Boroli, a następnie klnąc pod nosem, poszedł po dres i adidas.

Hotel sprawiał ponure wrażenie. Wszystkie światła były wygaszone, z reklamami na parterze włącznie. Straż pożarna, nie mając pewności, które z instalacji uległy zniszczeniu podczas katastrofy sąsiedniego gmachu, nakazała wyłączyć oświetlenie w całym budynku, pozostawiając jedynie światła ewakuacyjne. Igor wszedł pod arkady i skierował się do głównego wejścia do budynku, przy którym w hallu był wydzielony mały aneks dla portiera. W środku nie było nikogo. Szarpnął za wielkie przeszklone drzwi. Zamknięte. Zastukał. Odczekał moment, rozejrzał się i ruszył z powrotem w stronę wyjścia spod arkad. Niedaleko za rogiem była brama wejściowa na podwórze. Nieco dalej znajdował się letni ogródek pubu, usytuowanego w suterenie sąsiedniego budynku. Siedziało tam parę osób, a z wnętrza lokalu dochodziła muzyka. Igor przeszedł wzdłuż fasady budynku i wszedł do wnętrza bramy. Stalowa krata, zamykana w godzinach wieczornych, była tym razem otwarta. Czasami zostawiali ją tak mieszkańcy sąsiedniej kamienicy, którzy także tędy wchodzili. Nieustannie toczyły się o to awantury pomiędzy

administracją Boroli a zarządem wspólnoty kamienicy.

Igor otworzył kratę i wszedł na wewnętrzny dziedziniec, nad którym pochylały się posepne ściany tylnych elewacji budynków. Stał przed furta prowadzącą na hotelowy dziedziniec i pchnął ją lekko. Także otwarta. Mikroskopijny ogródek na tyłach hotelu pogrążony był w mroku. Oświetlające go zazwyczaj stylowe, żeliwne latarnie teraz były wyłączone. Jedyna plama światła w najbliższym sąsiedztwie padała od strony latarenki nad drzwiami wejściowymi do budynku. Były uchylone. Igor podszedł i złapał za klamkę.

Przeciąg sprawił, że drzwi do piwnicy lekko stuknęły o framugę. Igor zauważył, że dwie solidne, stalowe sztaby, wstawione zeszłej nocy przez pracownika Boroli, są odchylone, a kłódki otwarte. Pomacał jedną z kłódek. Przez chwilę myślał, że została przecięta, ale nie dostrzegł na niej śladów uszkodzeń, a stalowy trzpień był cały i obracał się swobodnie wokół otworu. Igor zajrzał do piwnicy i ostrożnie zszedł na półpiętro. Z samego dołu, przez pogrążone w mroku schody rozlewał się trupi blask. Igor zaczął po nich schodzić, kiedy uświadomił sobie, że w piwnicy w ogóle nie ma oświetlenia ewakuacyjnego. Na moment zatrzymał się. Dotarło do niego znaczenie tego faktu. Światło! Ktoś jest tam z latarką! Ciec?

– Panie Stanisławie! – krzyknął. – Jest pan tam? Halo!

Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Igor czując, że wali mu serce, zszedł na półpiętro i spojrzał w kierunku portalu prowadzącego do dolnej części piwnicy. Wydobywał się stamtąd snop światła, który oświetlał boczną ścianę przy wejściu i fragment podłogi.

– Halo, panie Stanisławie! – zawołał jeszcze raz. Pomyślał, że ktoś, kto trzymał latarkę, z tej odległości już nie mógł tego nie usłyszeć. Coś jest nie tak.

Powoli zszedł na dół i ostrożnie zajrzał do wnętrza piwnicy. Snop światła biegł od dołu, tak jakby latarka leżała na ziemi. Zrobił jeszcze krok do środka. Na ziemi, jakieś cztery metry od wejścia, w kałuży leżał reflektor, świecąc w panującej wokoło kompletnej ciemności prosto w oczy.

Igor podniósł rękę do czoła, przysłaniając światło, i w tym momencie dostrzegł, że obok reflektora w kałuży ktoś leży. Czerwona, pikowana kamizelka. Ciec. Szybko podszedł do leżącego nieruchomo ciała i przykucnął nad nim. Sprawdził puls, ale nie był w stanie określić, czy mężczyzna żyje.

Dopiero teraz, będąc tuż obok, zauważył, że głowa portiera opiera się o zanurzony do połowy w wodzie kamień, a wokół jest mnóstwo krwi. Przestraszony podniósł się, spojrzał za siebie. W głębi korytarza panował kompletny mrok.

Zlazł tutaj, potknął się i walnął głową w kamień, pomyślał, nerwowo klikając w ekran komórki. Potrzebne pogotowie. Na tym poziomie był słaby zasięg. Szybkim krokiem wyszedł na schody i wspiał się na górę. Stojąc przy drzwiach do piwnicy, poczekał, aż dyżurna odbierze telefon.

– Hotel przy Bramie. Portier musiał się potknąć. Ma rozbitą głowę, nie reaguje – rzucił niecierpliwie.

– Hotel? Ten przy S-Center? Wczoraj tam się paliło przecież. – Dyżurna nie kryła zaskoczenia. – Już wysyłam karetkę. Proszę czekać na ulicy.

Igor wsunął komórkę do kieszeni dresów i pchnął drzwi wyjściowe. Przez moment jego wzrok padł na dwie potężne kłódki, wiszące na poodchylanych sztabach przy drzwiach do piwnicy. I nagle przyszło mu coś do głowy. Portier przecież nie miał do nich kluczy.

## Rozdział 5

Sanitariusz położył na ziemi bezwładną rękę stróża i pokręcił głową.

– Nie żyje. Może od godziny, może krócej. Ma paskudną ranę na głowie, najprawdopodobniej to jest przyczyna. Możliwe też, że się utopił. Leżał twarzą w wodzie – powiedział do swojego kolegi, który stał nieruchomo, trzymając w rękach nosze.

– Ruszał go pan? – zwrócił się do Igora.

– Sprawdzałem puls. I dotknąłem jego czoła. – Igor patrzył wstrząśnięty na zwłoki nieszczęsnego stróża. – Co mam teraz zrobić? – spytał bezradnie, nerwowo uderzając o udo długą latarką, którą przed chwilą zabrał z samochodu.

– Nic. – Sanitariusz pokręcił głową. – Jeśli ma pan dane tego człowieka, to proszę nam zostawić. Kontakt do rodziny czy cokolwiek. Pan jest kim właściwie?

– Przedstawicielem właściciela. Usiłowałem się dodzwonić do portiera od kilku godzin i w końcu zadzwonił do mnie z prośbą o sprawdzenie, co się tutaj dzieje. Słyszał pan o wczorajszych wydarzeniach? – Igor popatrzył na sanitariusza.

– Tak, czytałem gazety. Jakaś czarna seria chyba, co?

– No właśnie zaczynam tak myśleć.

Igor odwrócił się i spojrzał w kierunku mrocznej dziury, przez którą wchodziło się do epicentrum wydarzeń, które, co właśnie sobie uświadomił, powoli zaczynały wymykać się spod kontroli.

– Muszę tam wejść. – Spojrzał na sanitariusza. – Chcę coś sprawdzić

– Tam jest podobno niebezpiecznie. Nie powinien pan. – Sanitariusz pokręcił głową.

– Jestem tutaj przedstawicielem właściciela, mam nawet notarialne upoważnienie jakby co. Muszę sprawdzić, czy ktoś tam nie wchodził. – Nie



patrząc dłużej na sanitariusza, ruszył w kierunku dziury. Tamten wzruszył ramionami i odwrócił się do kolegi.

Igor wszedł do wąskiego korytarzyka i wzdłuż obłej fortecznej ściany poszedł prosto w kierunku dziury, przez którą wchodziło się do środka. Przypomniawszy sobie, że jeszcze jakąś godzinę temu myślał z rozkoszą o tym, że za chwilę wyciągnie się w łóżku. A teraz drugą z kolei noc spędza w lochach tego upiornego hotelu. Wzdrygnął się i zaczął przepychać przez rumowisko w kierunku korytarza z ciężarówką. Sztuczne światło wydobywało z mroku fragmenty gruzu, resztki cegieł, kawałki kafli ceramicznych, niemych świadków tragicznych wydarzeń zeszłego stulecia. Po chwili dostrzegł znajomy prześwit w gruzowisku i znowu stanął w zachowanej części fortecznego korytarza, w której stała wzbudzająca grozę ciężarówka. Oświetlił tył samochodu, z niepokojem patrząc na odsłoniętą szmatę, która przykrywała sarkofag. Podszedł bliżej i wspiął się na pakę. Sarkofag wydawał się nietknięty. Widać było jednak, że ktoś go wytarł z kurzu. Nawet boczne ściany miał dokładnie poprzecierane, tak jakby ktoś bardzo starannie go oglądał. Podejrzenie, które go tknęło przy drzwiach wejściowych, gdy przypomniał sobie o tym, że jedyny komplet kluczy miał Borola, teraz się potwierdziło. Ktoś otworzył piwnicę, wszedł do środka i najwyraźniej robił zdjęcia. Igor pochylił się i popatrzył na wieko. Przy krańcach pokrywy były ślady jakby podważania, ale pokrywa nie była poluzowana.

Może nie zdążyli, a może ten cieć ich spłoszył? – pomyślał. Zeskoczył i okrążył samochód. Zaświecił do środka szoferki i zbladł.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin doznał szoku, zaglądając do środka tego samochodu. Trup tajemniczego kierowcy wyglądał tak, jakby ktoś go bardzo dokładnie przeszukał. Kurtkę miał rozpiętą, koszulę wyciągniętą na wierzch. Kieszenie spodni były także wyciągnięte na zewnątrz, na podłodze walały się pojedyncze monety, które prawdopodobnie z nich wypadły. Poprzednio patrzył w bok. Teraz jego głowa była odchylona do tyłu, a usta półotwarte. Szczeka opadła w dół, ukazując resztki zachowanych zębów. Igor trzęsącymi się rękami wyjął komórkę i zrobił kilka fotek. Odwrócił się, rzucając okiem na boczną ścianę korytarza. I stanął jak wryty.

Ściana w miejscu, gdzie do niedawna widniał dziwaczny napis, była starannie zatarta. Ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby dokładnie,

prawdopodobnie kamieniem albo fragmentem cegły, zetrzeć niemieckie litery. Igor oświetlił ścianę i zrobił zdjęcia.

Wszystko to było dosyć przerażające. Miał wrażenie, jakby tuż obok czała się jakaś mroczna siła o niewiadomych zamiarach, która czegoś tutaj szukała. Obejrzał się lękliwie. Poświecił reflektorem w głąb pustego korytarza i szybkim krokiem ruszył w kierunku wyjścia. Oglądając się co jakiś czas za siebie, zaczął się przedzierać przez rumowisko.

\*

Inspektor Marek Bondar miał dziś służbę, ale szef musiał go wypchnąć prawie siłą do tego zgłoszenia. Z reguły nie zajmował się takimi rzeczami jak śmiertelne wypadki, ale nie było akurat nikogo innego. Przerażała go myśl o rutynowych czynnościach w takiej sytuacji i o wypełnianiu mnóstwa papierów. Potem jednak przypomniał sobie, że dzień wcześniej w budynku była jakaś katastrofa, i pomyślał, że jedno z drugim może mieć coś wspólnego. Wiedział z doświadczenia, że w takich sprawach rzadko kiedy decydował przypadek.

Gdy przyjechał na miejsce, był tu już prokurator, a sanitariusze prowadzili przyciszoną rozmowę z lekarzem sądowym. Na Igora natknął się przy wejściu, gdzie ten siedział na schodach, bawiąc się swoim telefonem.

Igor podniósł się i zszedł za policjantem na dół. W kilku zdaniach przekazał mu swoje podejrzenia co do prawdopodobnej obecności tutaj kogoś jeszcze i o śladach pobytu, jakie ów ktoś zostawił w fortecznym korytarzu. Bondar kazał czekać Igorowi przy wyjściu, sam z trzema policjantami, pokonawszy wąski korytarz, zniknął w czeluści dziury prowadzącej do lochu z ciężarówką. Minęło może dziesięć minut, gdy pojawił z powrotem, otrzepał spodnie i podszedł do Igora.

– To rzeczywiście niesamowita sprawa. – Uśmiechnął się blado, patrząc na Igora. – Ten trup w ciężarówce wygląda jak z jakiegoś filmu. Naprawdę uważa pan, że to jest autentyczny sarkofag książęcy? Ze zwłokami? – spytał z niedowierzaniem.

– Nie wiem, czy ze zwłokami – odparł Igor – ale wygląda na nieotwierany. Poza tym jest napis na pokrywie.

– Niesamowite. – Bondar pokręcił głową i marszcząc brwi, spojrzał na zwłoki portiera.

– A czy portier sam z własnej woli nie mógł tam wejść, przeszukać tej ciężarówki, a potem wychodząc, potknąć się i nieszczęśliwie upaść? – spytał.

– Teoretycznie mógł, ale jak już mówiłem, nie miał kluczy od piwnicy, to po pierwsze. A po drugie, ten człowiek raczej cieszył się z tej pracy. Pracował tutaj od jakichś dwudziestu lat, jeszcze jak hotel był własnością państwową. Nie wierzę, by chciał coś ukraść i uciec. – Igor pokręcił głową.

– Zrzuciłby winę na jakichś włamywaczy.

– On nie chciał tam wejść nawet z nami. Bał się, że się zawali.

– A klucze miał tylko właściciel? – Bondar spojrzał na Igora.

– Tak. Te sztaby zostały wstawione wczoraj w nocy, a klucze zabrał ze sobą pan Rafał Borola.

– Pan jest zarządcą? Pracuje pan dla pana Boroli?

– Jestem architektem. – Igor odwrócił wzrok od ciała stróża. Poczłł chłód.

– Kontaktował się już pan z nim? Pojawi się tutaj?

– Woląłem poczekać na wasz przyjazd, poza tym pana Boroli nie ma teraz w Szczecinie – wyjaśnił.

Tuż za nim działy się rzeczy wyjęte wprost z kryminalnego filmu, serwowanego przez któryś z kanałów telewizyjnych. Jeden z policjantów rozkładał właśnie czarny worek, a dwaj inni zakładali rękawiczki, żeby po chwili pochylić się nad upiornie oświetlonym przez stojące na ziemi reflektory trupem. Igor wzdrygnął się.

– Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie na temat tego tam... – Bondar machnął ręką w kierunku otworu w ścianie piwnicy.

Igor podążył za jego wzrokiem.

– Na temat tego trupa w samochodzie? – spytał niepewnie. – Czy ma pan na myśli generalnie ten korytarz?

– Korytarz ma chyba mniejsze znaczenie, choć z pewnością jest to pasjonujący temat. – Policjant spojrzał na Igora z ledwie wyczuwalną ironią.

– W takim razie skoro nie chodzi o forteczny korytarz, to nie powiem panu zbyt wiele. – Igor wyczuł ironię w głosie policjanta i poczuł się prawie dotknięty. Denerwowali go ludzie zamykający się w swoich światach, niezdolni do zainteresowania się czymkolwiek poza swoją wąską specjalnością, traktujący innych jak dziwaków. – Chociaż na temat korytarza

też nie miałbym zbyt wiele do powiedzenia – dodał złośliwie.

– Miałem na myśli trupa i ciężarówkę. – Bondar popatrzył chłodno na Igora. – Jeśli uważa pan, że same lochy też mają jakiś związek z tą sprawą – wskazał ręką w kierunku nakrytych workiem zwłok ciecica – to również chętnie posłucham. Możemy też udać się na posterunek i stracić o wiele więcej czasu. – Odwrócił się do Igora plecami i zrobił parę kroków w kierunku dziury w ścianie.

Igor oderwał wzrok od podłużnego kształtu przykrytego foliowym czarnym workiem i wzdrygnął się. Niecałe trzydzieści godzin temu rozmawiał z tym człowiekiem w tym samym miejscu. Spojrzał w kierunku Bondara.

– Na temat tego szofera nie wiem nic – powiedział, zastanawiając się nad tajemniczym listem, który dostrzegł w ręce trupa na fotkach Boroli.

Żeby nie skłamać, musi ominąć temat jego opisu. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, że pakuje się w kłopoty. W razie czego będę się upierał, że zarówno istnienie tego listu, jak i jego zniknięcie, to była moja spekulacja i nie chciałem o niej mówić z braku dowodów, pomyślał.

– Chociaż teoria z dzisiejszej prasy, że mógł to być członek Werwolfu, jest całkiem przekonująca. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym Werwolf jeszcze działał na terenie Szczecina, choć pozostały jedynie niedobitki.

– Czemu akurat mówi pan o czterdziestym szóstym? – Bondar spojrzał z zainteresowaniem.

– Ze względu na sarkofag. – Igor podrapał się po nieogolonym policzku. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym w zrujnowanym zamku odnaleziono kryptę, która znajdowała się pod kaplicą książęcą. Stało w niej czternaście sarkofagów oraz cztery drewniane trumny. Część sarkofagów była zniszczona, wysypywały się z nich kości. Nikt się wtedy nimi nie zainteresował, ani ówczesne władze cywilne, ani kościelne. Pracownicy zamku zebrali luźne kości do worka i spalili w piecyku na dziedzińcu. Ogrzewając sobie ręce – dodał z ironią.

– Tak po prostu? Prochy książąt pomorskich? – Bondar wyglądał przez chwilę na poruszonego.

– Tak po prostu. – Igor czytał wcześniej sporo o wyjątkowym barbarzyństwie powojennych władz Szczecina, ale za każdym razem

szokowało go to w takim samym stopniu. – Dopiero pod koniec czterdziestego szóstego roku, ze względu na zły stan krypty, zdecydowano się przenieść sarkofagi do zachowanego północnego skrzydła zamku. W aktach Urzędu Wojewódzkiego zachował się protokół z przenosin. Podczas tej akcji jedną z trumien rozbito i wydobyto z niej zachowane kosztowności. Są teraz w muzeum na Staromłyńskiej – wyjaśnił, patrząc na zaciekawioną minę policjanta.

Losy szczecińskich sarkofagów napełniały go zawsze grozą. W 1948 roku ówczesny szczeciński konserwator zabytków zlecił konserwację dziesięciu sarkofagów pracowni na Wawelu. Pozostałe trzy zostały uznane za tak zniszczone, że zdecydowano się z trzech poskładać jeden, co nawet wówczas było tak absurdalnym pomysłem, iż zakrawało wręcz na kompletną niekompetencję decydentów. Jeszcze gorzej było w Krakowie. Z dziesięciu oddanych do konserwacji sarkofagów połowa została przetopiona na sztabki cyny i wysłana do Związku Radzieckiego. Prawie tona cyny w sztabkach pojechała na wschód. Tę wstrząsającą decyzję tłumaczono potem znikomą wartością artystyczną zachowanych sarkofagów oraz ich bardzo złym stanem technicznym.

Niestety, później, chociaż trudno w to uwierzyć, było jeszcze gorzej.

Szczątki Gryfitów wydobyte z sarkofagów w latach pięćdziesiątych pokazywane były jako atrakcja turystyczna dla gawiedzi. Kilkanaście lat później prochy i resztki kości zostały poskładane do worków i złożone w składzie na szczotki i proszki do szorowania podłóg. W latach siedemdziesiątych część z tych prochów i kości została pogrzebana gdzieś na dziedzińcu. Ot tak, bo prawdopodobnie przeszkadzały w składziku, gdy zakupiono więcej proszków do szorowania – Igora ogarniała wściekłość za każdym razem, gdy o tym czytał. Oczywiście nikt się nie przejmował tym, żeby to miejsce w jakikolwiek sposób oznaczyć. Do dziś nikt nie jest w stanie pokazać, w którym miejscu dziedzińca spoczęły prochy władców Pomorza.

Dopiero w 1989 roku symboliczne resztki trafiły do Zakładu Medycyny Sądowej Pomorskiej Akademii Medycznej, gdzie po dziś dzień prowadzone są badania w celu określenia tożsamości pogrzebanych osób. W roku 1995 odbył się symboliczny pochówek w katedrze szczecińskiej, gdzie obecnie znajduje się kaplica nagrobna z napisem SEPULCHRUM ILLUSTRISSIMORUM DUCUM AC PRINCIPUM POMERANIAE[8].

– Podczas inwentaryzacji i pierwszych prac w krypcie w czterdziestym szóstym roku odnotowano liczbę czternastu sarkofagów i czterech drewnianych trumien – Igor kontynuował opowieść. – Dwa lata później, gdy komisja konserwatorska rozpoczęła starania o konserwację sarkofagów, opracowano ekspertyzy i badania i we wszystkich ówczesnych dokumentach pojawiła się liczba trzynastu sarkofagów.

– Jeden przepadł? – spytał Bondar.

– No właśnie. – Igor skinął głową. – W okresie od września czterdziestego szóstego do września czterdziestego ósmego w tajemniczych okolicznościach zaginął jeden z sarkofagów.

Bondar gwizdnął i popatrzył w kierunku wyrąbanego w ścianie otworu, prowadzącego do korytarza przy fortecznej ścianie.

– I odnalazł się siedemdziesiąt lat później. Szok! – powiedział, patrząc oszołomiony na Igora. – I co, naprawdę uważa pan, że ten tutaj to ten zaginiony?

– Teoretycznie jest możliwe, że to jakiś inny, ale skoro ciężarówka, jak można się spodziewać, pochodzi z okresu, kiedy zaginął tamten z zamku, to chyba jest to najbardziej prawdopodobne. – Igor wzruszył ramionami.

Bondar przez chwilę patrzył w kierunku dziury w ścianie.

– Czy sądzi pan, że jest w nim coś cennego, co tłumaczyłoby próbę kradzieży? – spytał.

– Sam sarkofag jest bezcenny, a jeśli nie był otwierany i nigdy go nie splądrowano, to jego zawartość można uznać za trudną do oszacowania. Prawdopodobnie kolekcjonerzy zapłaciliby majątek za biżuterię czy zdobienia strojów.

– Tylko jest mały problem. – Bondar popatrzył na Igora uważnie. – Prasa nie podała informacji o tym sarkofagu. Więc wiedziało o nim niewiele osób. Jedynie właściciel tego budynku i pan.

– Także dwóch policjantów i szef jednostki straży pożarnej, i dziennikarka, która napisała artykuł. To niewiele? – spytał zjadliwie Igor.

– Nie podejrzewam mundurowych o rozpaplanie tego dookoła. Tym bardziej, że zalecono, by zostało to w tajemnicy. – Bondar spojrział na Igora niechętnie.

– A ja bym za to nie dał głowy. W końcu w piątek to była tylko sensacja

paraarcheologiczna, żadna poważna sprawa z punktu widzenia tych, jak to pan określił, mundurowych. – Igor zrewanżował się Bondarowi równie niechętnym spojrzeniem.

– „Dziennik Szczeciński” nie napisał nic o sarkofagu. – Bondar pokręcił głową.

– To mnie zastanawia. Niemniej to nie znaczy, że ta dziennikarka go nie widziała.

W tej chwili Igor zorientował się, że podłożył właśnie świnie dziennikarce. Skrzywił się. Właściwie, pomyślał, to nie jest takie nieprawdopodobne. Nic o niej nie wiedział. Skoro zdecydowała się w tak brawurowy sposób wdrzeć do lochów, to kto wie, do czego jest zdolna.

– Ma pan rację. – Bondar przeszedł obok niego i stanął nad zwłokami stróża – Skąd pan wie, że to była kobieta? – Odwrócił się i spojrzał na Igora.

Igor zaklął w myślach. Małe kłamstwo prowadzi do coraz większych. Mógł powiedzieć o tej cholernej kartce w ręku kierowcy.

– Dzwoniłem tam dziś rano, żeby się dowiedzieć, skąd mają te informacje – powiedział zgodnie z prawdą. – Nie zdradzili mi nazwiska autora, ale osoba, z którą rozmawiałem, powiedziała, że autorka artykułu jest także autorką zdjęć.

Ekipa dochodzeniowa kończyła powoli pracę. Zwłoki nieszczęsnego stróża zostały zapakowane w czarny worek i dwaj policjanci właśnie je zabierali.

– W jaki sposób według pana ten samochód tutaj trafił? – Bondar odwrócił się do Igora.

Igor wzruszył ramionami.

– W Szczecinie krąży mnóstwo legend o podziemiach i tajnych przejściach. Gdyby we wszystkie wierzyć, to praktycznie z każdego budynku do każdego. Ale jak widać – Igor wskazał brodą w kierunku dziury w ścianie – niektóre są jednak prawdziwe.

– Czyli przed wojną był gdzieś wjazd do tego tunelu?

– Z całą pewnością. – Igor wzruszył ramionami. – I w zasadzie nie ma w tym nic dziwnego. Szczecin do tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku miał przecież status twierdzy. Był wielkim garnizony wojskowym. Zapewne bardzo wiele informacji na temat infrastruktury, pozostałości fortów, podziemnych przejść ewakuacyjnych

wykorzystywanych przez wojsko, pozostało tajemnicą. Jeśli ten tutaj należał rzeczywiście do Werwolfu, to na pewno je znał.

Bondar pokiwał głową, jakby usiłował przetrwać wszystkie te historyczne informacje. Nagle spojrzał uważnie na Igora.

– Nie zapytałem... dlaczego właściwie pan się znalazł tutaj o tej porze?

– Rafał Borola do mnie zadzwonił z prośbą, żebym sprawdził, co się dzieje. – Igor pomyślał, że policjant pewnie czekał z tym pytaniem od początku. – Nie mógł się dodzwonić do portiera – dodał.

– Okej, dziękujemy panu, wezwiemy pana, jeśli będziemy jeszcze potrzebowali jakichś wyjaśnień. – Bondar sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę. – A tu jest mój numer. Gdyby pan sobie o czymś przypomniał, to proszę dzwonić.

Igor rzucił okiem na wizytówkę, kiwnął głową i wsadził ją do kieszeni dżinsów.

Wspinając się na schody, myślał tylko o tym, jak bardzo jest zmęczony. Była druga czterdzieści. Ilość wrażeń przytłoczyła go na tyle, że nie miał ani ochoty, ani siły nawet ich analizować. Marzył o tym, żeby się w końcu porządnie wyspać.



## Rozdział 6 (niedziela)

To było przed samą wojną. Heinrich miał wtedy dziesięć lat. Dziesięć i pół, jak mówił, czym rozśmieszał zawsze rodzinę. Początek długiego, gorącego lata. Jego rodzice postanowili spędzić weekend poza miastem i zabrali go do swoich znajomych niedaleko Falkenwelde. Był już tutaj z ojcem raz czy dwa. Nie przepadał za tym miejscem. Właściciele majątku mieli dwóch małych synów. Heinrich z powodu sporej różnicy wieku nie miał o czym z nimi rozmawiać i tylko go denerwowały ich śmiechy i próby wciągnięcia do różnych głupich, dziecięcych zabaw. Jedyne, co mu się tu podobało, to wielki park otoczony puszcza, gdzie można było się szwendać do woli i wyobrażać sobie, że jest się rycerzem lub podróżnikiem. Dwór był duży, nakryty wielkim dachem i obrośnięty cały dzikim winem. Za dworem rozciągał się trawnik, okolony rozrośniętymi krzewami rododendronów, dochodzący do brzegu stawu, skąd prowadził drewniany pomost. Ojciec raz go zabrał na łódkę i pokazywał z niej pływające w stawie wielkie karpie.

Właściciel, ziemianin i oficer Wehrmachtu, mieszkał tutaj z żoną i dwojgiem dzieci. Służba przychodziła ze wsi, we dworze mieszkała jeszcze tylko gospodyni. To wtedy Heinrich po raz pierwszy zobaczył wielką salę z pięcioma wysokimi portfenetrami, za którymi był taras i schody, przy nich rosły dwa ogromne dęby. Sala pozornie przypominała większość sal pałacowych, jakie widział. Sztukaterie na ścianach, malowidła na suficie i w supraportach nad drzwiami, ale gdy się dokładnie przyjrzał, zauważył, że dekoracje różnią się mocno od tych klasycznych. Głowice pilastrów miały zamiast tradycyjnych, klasycznych form, o jakich się uczył w szkole na plastyce, dziwne kształty gwiazd i kielni. Pod nimi były starannie uformowane ekierki i roślinne motywy. Podobne symbole znajdowały się na suficie, a przestrzeń między nimi wypełniały dziwne malowidła przedstawiające sceny antyczne. Na ścianach pomiędzy pilastrami także były malowidła, a dołem wokół pomieszczenia biegła niska boazeria, z powtarzającym się motywem sześcioramiennej gwiazdy. Heinrich bywał z rodzicami w wielu pomorskich, większych lub mniejszych dworach

i pałacach i widział tam niejedną raz motywy zdobnicze i dekoracje, które w gruncie rzeczy wszystkie były do siebie podobne, ale te we dworze pod Falkenwelde wyraźnie się różniły. Jego uwagę zwróciły też dziwne znaki i cyfry, które powtarzały się w stylizowanych panelach pod każdym malowidłem. Początkowo myślał, że to oznaczenia dat lub jakieś znaki konserwatorskie, dopóki nie natknął się na nie gdzie indziej.

Podczas tego letniego weekendu, pałając się po całym domu i usiłując uniknąć spotkania z synami właścicieli, trafił do piwnic dworu. Schody prowadziły do małego hallu, za którym znajdował się, biegnący przez całą długość budynku, korytarz. Na wprost było wejście do pomieszczenia, gdzie przechowywano wina, ciemnego przestronnego lochu, w którym stały wielkie beczki, a przy ścianach szafy z równiutko poukładanymi butelkami. Ściany pomieszczenia były ceglane, tylko gdzieś tam wystawały z nich granitowe kamulce, które chłopcy zwozili z pól podczas budowy dworu. Mniej więcej w połowie wnętrza, przy ścianie, stał wielki dębowy stół, przy którym jego ojciec wraz z gospodarzem dworu i innymi przyjaciółmi lubili pić wino lub piwo. Heinrich widział parę razy, jak panowie znikali gdzieś na schodach prowadzących na dół, ale osobiście trafił do tego pomieszczenia po raz pierwszy.

I właśnie wtedy nad stołem, prawie na środku ściany, dostrzegł wyryte tajemnicze symbole, identyczne z tymi w wielkiej sali na parterze. Pochylny nad stołem i skupiony na dziwnych, wyrytych w kamieniu znakach, nie zauważył, że za jego plecami stanął pan domu. Przestraszony odskoczył do tyłu i spojrzał spłoszonym wzrokiem na uśmiechniętego wysokiego mężczyznę.

– Oglądałem właśnie te dziwne znaki. – Cały czerwony wskazał kamień nad stołem. – Na górze w salonie są takie same. Co one oznaczają?

Właściciel dworu uśmiechnął się tajemniczo i pochylił nad Heinrichem.

– To jest bardzo stara klątwa – rzekł przyciszonym głosem. – Pamiętaj, żeby jej nie zapisywać nigdzie i nie zabierać ze sobą, ponieważ będzie cię prześladować do końca życia – dodał i zabawnie szeroko otworzył oczy.

Heinrich, początkowo przestraszony, uśmiechnął się i popatrzył ponownie na rzędy znaków.

– Pan żartuje sobie ze mnie.

Mężczyzna roześmiał się i położył mu rękę na głowie.

– Jasne, że tak. To nic nie znaczy, to są takie numery cechów kamieniarzy i sztukatorów. Chodź, pójdziemy na górę. Nic tu po nas – powiedział i ruszył w kierunku wyjścia na korytarz. Heinrich posłusznie poszedł za nim.

Oczywiście nie posłuchał pana domu i nieco później skrupulatnie przerysował znaki ze ściany do swojego małego notesu. Głowił się nad nimi potem kilka dni, dopóki inne sprawy i zajęcia nie odciągnęły go od tego. A później wybuchła wojna i notes zaginął. Ale przepowiednia się sprawdziła. Tajemnicze symbole, choć nie mógł ich dokładnie odtworzyć w pamięci, utkwily mu w niej na zawsze.

\*

Igor obudził się przed południem. Opatulony kołdrą po czubek głowy. Spod ściany przy rozsuwanych drzwiach dochodziło ciche buczenie. Klimatyzator – uświadomił sobie. Sypialnię zalewało słońce, a biedne urządzenie wysilało się jak mogło, żeby zapewnić w pomieszczeniu chłód. Przeciągnął się i ziewając, siadł na łóżku. Potem wstał, podszedł do drzwi, rozsunał je i wyłączył stojące obok urządzenie. W pozostałej części mieszkania było gorąco. Cztery okna połaciowe w salonie rzucały na podłogę wielką słoneczną plamę, która działała jak kaloryfer.

Podszedł do oszklonych drzwi prowadzących na lekki, skonstruowany ze stalowych kształtowników taras, założony na niższej części dachu budynku. Taras był prosty i tani i Igor był dumny z tego pomysłu. Poza tym rozciągał się stąd piękny widok na biegnące w dole uliczki i dachy sąsiednich kamienic.

Na zewnątrz wiał przyjemny wiatr. Igor przeciągnął się i podszedł do balustrady. Przypomniawszy sobie o wczorajszych wydarzeniach i humor mu się od razu zważył. W nocy, po powrocie do domu, zadzwonił do Boroli i zrelacjonował mu wszystko. Borola był wyraźnie wstrząśnięty. Zaczął coś mówić o pomocy dla żony nieszczęsnego pana Stanisława i o tym, by jakoś powiadomić jego córkę, która od kilku lat mieszkała w Irlandii. Informacja, że wypadek mógł nie do końca być wypadkiem, wyprowadziła go z równowagi. Złorzeczając na degeneratów i złodziei z sąsiedniej kamienicy, obiecał, że postara się wrócić jak najszybciej.

Igor podstawił kubek pod ekspres do kawy, wyjął z lodówki kostkę masła, jajka i kilka plasterów szynki i zaczął przygotowywać sobie jajecznicę. Gdy

jajka skwierczały już na patelni, przypomniał sobie o telefonie. Po rozmowie z Borolą specjalnie go wyłączył, żeby mieć spokój i porządnie się wyspać. Znając bowiem Rafała, domyślał się, że zadzwoni do niego wcześniej rano z jakimiś pytaniami albo z kolejną misją.

W pamięci komórki było kilka nieodebranych połączeń, w tym oczywiście numer Boroli. Poza tym dwa razy dzwoniła matka oraz dwa nieznane numery.

Miał dość gadania z Borolą. Wczorajsze apogeum awantury z tym cholernym hotelem trochę go przybiło. Nie znał dobrze portiera, ale często się z nim widywał, najpierw z racji pracy przy renowacji budynku, a potem przy różnych zmianach, które wprowadzał Borola po zakupie budynku. Porządny, uczynny człowiek. I pracował tam od tak dawna. Może się komuś wygadał. W tych kamienicach nieopodal mieszkało wielu nieciekawych typów, może rzeczywiście włamali się tam jacyś lokalni pijaczkowie z okolicy. To by wyjaśniało przeszukanie trupa. Pewnie myśleli, że znajdą coś cennego. Sarkofagu nie zdążyli przeszukać, bo cieć ich nakrył. Może chciał ich zatrzymać? Wywiązała się szamotanina, cieć się przewrócił, a ta hołota uciekła.

Im prędzej zabiorą stamtąd ten sarkofag, tym lepiej, pomyślał. W poniedziałek z samego rana, jeśli Borola nie wróci do tego czasu, pójdę do konserwatora i zażądam, żeby się tym zajęli. Teraz się nie udało, ale kto wie, czy nie włamią się znowu i tym razem nie splądrują i nie zniszczą wszystkiego.

Westchnął i spojrzał na numer matki. Ojciec prawie nigdy do niego nie dzwonił. Nawet jeśli czegoś potrzebował, to wysyłał z tym matkę. Matka dzwoniła średnio raz na dzień. Najczęściej bez konkretnego powodu. Ot tak, żeby go wkurzyć. Albo próbować wyswatać – westchnął ze zniechęceniem i odłożył telefon na stół.

Nad nieznanymi numerami nie chciało mu się zastanawiać. Pewnie jeden to matka z telefonu kolejnej znajomej, a drugi – pogróżki od operatora albo kablówki za niezapłacony w porę abonament.

Dokończył jeść jajecznicę, wziął kubek z kawą i zsunął się z wysokiego stołka przy kuchennym stole. Podszedł do komputera i myśląc z rezygnacją, że będzie musiał dziś popracować, włączył listwę i postawił kubek obok klawiatury.

Pół godziny później, po prysznicu, kolejnej kawie i rozmowie z matką, w trakcie której musiał wysłuchać listy zalet pani Natalii ze szkoły w Dalewie, Igor siedział przed monitorem i konstruował przekroje techniczne nowo projektowanych części przedszkola.

Udało mu się jakoś skupić i oderwać od niewesołych myśli na temat tego, że właśnie kończy się weekend, a on zamiast wypocząć lub się zabawić – spędził go w cholernych piwnicach i przy pracy. Dźwięk komórki sprawił, że zaklął i spojrzął z niechęcią na wyświetlacz. Nieznany numer. Ściągnął brwi. Nagle sobie przypomniał. To ta dziennikarka. Śmierć biednego portiera z hotelu przesłoniła pozostałe wydarzenia tego dziwnego weekendu. Lochy pod hotelem, sarkofag, no i ten podejrzany dokument, który ona najprawdopodobniej gwizdnęła, mimo że nie chciała się do tego przyznać.

Dotknął ekranu.

– Słucham? – rzucił ostrożnie.

– Witam pana. Paulina Weber. Rozmawialiśmy wczoraj.

– Witam. – Igor przypomniał sobie, że złożył jej propozycję. Powie jej o sarkofagu w zamian za przyznanie się do tego, że zabrała ten dokument. Czyżby podziałało?

– Oskarżał mnie pan wczoraj, że ukradłam jakiś list. Dzwonię...

– Nie oskarżałem pani o nic – Igor jej przerwał. – Chciałem tylko ustalić pewne fakty. I na pewno nie mówiłem o żadnym liście.

Uśmiechnął się do siebie. Chyba się wygadała.

– No dobrze. Załóżmy na chwilę, że w pewnym sensie ma pan rację. Czy moglibyśmy się spotkać dzisiaj i porozmawiać? Wydaje mi się, że to nie jest najlepszy temat na roztrząsanie go przez telefon.

– W porządku. Z przyjemnością. Jakie miejsce pani proponuje i o której?

– Może o osiemnastej? Na Podzamczu? Pod ratuszem, przy kolumnach jest taka kawiarnia.

– Zgoda. Wiem, gdzie to jest. Będę czekał o osiemnastej

– Pamiętaj pan, że obiecał mi pan zdradzić, co było w tym samochodzie?

Igor zmarszczył brwi.

– Tak, pamiętam. Porozmawiamy o tym na miejscu.

– W takim razie do zobaczenia.

Pożegnał się i odłożył telefon na stół. Zaczął główkować, co by tu zrobić, żeby nie dotrzymać tej obietnicy. Pewnie jak jej powie, to jutro raniutko ukaże się kolejny sensacyjny artykuł, a hotel zaczną okupować dziennikarze i różni inni namolni awanturnicy. Spojrzał na zegar nad stołem kuchennym. Miał jeszcze mniej więcej cztery godziny, żeby coś wymyślić. No i zając się tym nudnym projektem, pomyślał ze zniechęceniem i poszedł do kuchni zrobić sobie gorącą herbaty.

\*

Paulina odłożyła komórkę i spojrzała na leżący przed nią na biurku upiorny list. Ojciec na szczęście miał w swoim gabinecie kserokopiarkę. Oryginalny, pożółkły list umieściła w foliowej koszulce i schowała do szuflady biurka, a kopię postanowiła zabrać ze sobą na spotkanie z tym facetem. Cały sobotni wieczór spędziła na redagowaniu kolejnego artykułu na temat Werwolfu i ciężarówki pod hotelem. Temat uzgodniła już wczoraj wieczorem z Pawłem. Zgodził się to puścić na pierwszej stronie we wtorek. Uznał, że to dobry pomysł i że trzeba kuć żelazo póki gorące.

Nie dawało jej tylko spokoju to, co powiedział ten facet. Co takiego mogło się znajdować na pace, by – jego zdaniem – reszta była przy tym mało ekscytująca? W końcu dzisiaj rano nie wytrzymała i postanowiła zadzwonić. Facet mówił, że jutro się wybiera do konserwatora zabytków. Najlepiej, gdyby zgodził się, żeby poszła tam razem z nim i oddała ten list. A dziś oczywiście wyciągnie z niego, o co chodzi z tamtą ciężarówką.

Miała tylko nadzieję, że konserwatorka przyjmie tłumaczenie, iż zabrała go z obawy przed zniszczeniem. Paulina nigdy wcześniej nie miała do czynienia ze służbą konserwatorską, przeczytała jedynie zapisy z prawa o ochronie zabytków.

Najwyżej dostanę dwa lata w zawieszeniu, pomyślała z wisielczym humorem.

Podniosła kserokopię listu i po raz setny chyba zaczęła czytać.

*Kochana Gustawo,*

*już się nie zobaczymy. Serce mi pęka na myśl, że już nie zobaczę Ciebie ani reszty rodziny.*

*Ale jak nie tu, to pewnie zginąłbym gdzie indziej. Wydali na mnie wyrok śmierci.*

*Niech piekło pochłonie Hitlera za to, co zrobił temu narodowi...*

Zatrzymała się i skupiła wzrok na ostatnim zdaniu. Dopiero teraz zastanowiło ją, dlaczego członek Werwofu pisze o Hitlerze w tak negatywny sposób.

Na pewno nie pomyliła się w tłumaczeniu. Nie ma tu żadnych niuansów, które mogłyby wprowadzić w błąd. Do tej pory automatycznie przyjmowała, że tymi, co wydali wyrok śmierci na autora listu, byli Polacy albo Rosjanie, a więc ówczesni już gospodarze Szczecina, którym Werwolf miał utrudniać życie. Natomiast teraz, szczególnie w zestawieniu z następnym zdaniem, zaczęła się zastanawiać, czy nie chodziło przypadkiem o Niemców. Zgodnie z tym, co przeczytała o tej organizacji, należało założyć, że jej członkami byli raczej fanatycy lub bezwzględni mordercy, dla których wysadzenie w powietrze kilku czy kilkadziesiątu osób nie stanowiło żadnego problemu. Czyżby śmiertelna rana, świadomość rychłej śmierci obudziły w tym człowieku jakieś refleksje i spowodowały obiektywną ocenę końca wojny? Ale nawet jak na taką teorię to ostatnie zdanie, odwołujące się do narodu, wydawało jej się zbyt przemyślane. Tak jakby ten człowiek zdradzał swoje prawdziwe poglądy, które miał już dużo wcześniej.

Przeleciała wzrokiem dalsze linijki tekstu i zatrzymała się na kolejnym ustępie, który ją zastanawiał.

*...a mnie nie udało się uratować sarkofagu. Miał nie wpaść w niepowołane ręce, ale teraz nie wiem, co z nim będzie. Nie wiem, czy przeżył ktoś, kto zna historię mojego wielkiego imiennika, i czy mam prawo ją komuś przekazać.*

Pierwsze, co pomyślała po przeczytaniu tego zdania, to że kradzież jakiegoś sarkofagu była tą akcją, która się nie powiodła i podczas której mężczyzna został postrzelony. Ale cel tej misji był zagadką. O jaki sarkofag mogło chodzić? Jaki sarkofag znajdujący się do czasu wojny w Szczecinie miał tak duże znaczenie dla Niemców? I czy ten sarkofag ma związek ze wspomnianym wielkim imiennikiem? Gdyby odgadła, o jaką znaną postać pochowaną w Szczecinie chodzi, to poznałaby imię tego człowieka. Przeleciała w myślach listę znajomych historyków i osób pasjonujących się historią miasta. Niestety, była krótka. Właściwie знаła w redakcji tylko

jednego faceta, który pisał wyłącznie na tematy bliskie Szczecinowi, może spróbuje go zagadnąć jutro, pomyślała.

Przeczytała list do końca i odłożyła go na biurko. Odchyliła się w fotelu i popatrzyła w sufit. Na takie artykuły potrzeba więcej niż trzech dni. Przypomniała sobie, że Darek często szuka tematów na miesiąc wcześniej. Szpera w archiwum, w Książnicy, przegląda stare artykuły. No i generalnie siedzi w tych tematach, natomiast ona do tej pory pisała głównie tłumaczenia jakichś sponsorowanych tekstów technicznych, artykuły o nowych technologiach i technicznych nowinkach.

Spojrzała na zegar nad kominkiem. Musiała jeszcze przygotować jakiś obiad, zaraz miał wrócić ojciec. No, i powinna się zastanowić, co ma na siebie włożyć na spotkanie z tym bezczelnym typem od Boroli.

\*

Johann całe sobotnie popołudnie i połowę niedzieli poświęcił na grzebanie w różnych starych szpargałach, które zostały po dziadku. U siebie miał niewiele pamiątek. Trzy obrazy, w tym ten, który wisiał w sypialni, i dwa portrety, o których dziadek opowiadał, że przedstawiają jego przodków. Poza tym kilka albumów ze zdjęciami sprzed wojny i coś, co mu się zawsze najbardziej podobało – piękną starą mapę z połowy XIX wieku, cudownie wykonaną w kolorze, przedstawiającą topografię majątku w Altendorfie. Mapa miała ogromne rozmiary – metr na półtora. Wisiała oprawiona w hartowane szkło nad sofą w salonie. Na tle ceglanej ściany wyglądała niezmiernie i wywoływała zawsze dziesiątki komentarzy jego gości.

Ale Johann szukał pamiątek ze Szczecina i czegoś, co by mogło wyjaśnić dziwne polecenie dziadka, żeby pamiętał o swoim obrazie. Mimo usilnych starań nic więcej nie potrafił sobie przypomnieć. Pamiętał mnóstwo opowieści o historii Szczecina, legend, które mu opowiadał dziadek, starych baśni i mitów, ale o tym obrazie nigdy nic nie słyszał. Dziadek dopiero tuż przed śmiercią wypowiedział to dziwne zdanie, którego znaczenie było dla Johanna kompletnie niejasne.

Ponieważ resztę pamiątek i szpargałów zatrzymała matka i zabrała do swojego domu pod Londynem, Johann późnym popołudniem wsiadł w samochód i wybrał się w podróż do Hatton, gdzie stał wielki ceglany, obrośnięty dzikim winem dom, który zawsze nazywał Mother House.



Matka była zaskoczona niespodziewaną wizytą. Zazwyczaj tygodniami musiała go zapraszać, żeby w końcu wpadł do niej w odwiedzinach. Johann przez cały wieczór buszował wśród starych książek i dokumentów, które zostały po dziadku, by w końcu stwierdzić, że wie tyle, co na początku, i w najmniejszy sposób nie zbliżył się do zrozumienia dziwnego polecenia dziadka. Oczywiście autor obrazu był znany i ceniony, ale jego związki ze Szczecinem pozostawały kompletnie niejasne.

Wiedział tylko, co znaczy łaciński zwrot użyty przez dziadka, który uwielbiał cytować antycznych filozofów, a szczególnie Owidiusza.

*Ars est celare artem* – Sztuką jest ukryć sztukę.

\*

Igor postanowił pójść na spotkanie z tą całą Weber piechotą, ale tak się zasiedział przy pracy, że gdy w końcu spojrzął na zegar, była już za piętnaście osiemnasta. Poderwał się od biurka, wyłączył monitory przy komputerze, umył twarz, wyszorował zęby i poszedł do sypialni zmienić T-shirt. Chwycił kluczyki i komórkę, po czym szybkim krokiem ruszył w kierunku schodów. U ich szczytu zatrzymał się, cofnął i przymknął drzwi tarasowe. Po namyśle zabrał też laptopa. Może się przydać, miał tam te zdjęcia, które dowodziły, że coś zniknęło z szoferki upiornej ciężarówki.

Zbiegł po drewnianych schodach i po chwili był już na klatce schodowej.

O tej porze, w piękne niedzielne popołudnie, znaleźć miejsce do zaparkowania wzdłuż ulicy Mściwoja pod Starym Ratuszem albo nawet dalej na Panieńskiej graniczyło z cudem. Igor przejechał wzdłuż ulicy aż do parkingu pod Trasą Zamkową i zawrócił. Może w międzyczasie ktoś odjechał, pomyślał. Dojeżdżając z powrotem do starego ceglanego gmachu, pamiętającego średniowiecze, zwolnił i okazało się, że miał szczęście. Dokładnie przed drzwiami ratusza, tuż koło wielkiej abstrakcyjnej rzeźby, która zawsze przywodziła mu na myśl kotwicę ze starego żaglowca, właśnie ktoś odjeżdżał. Igor włączył migacz i poczekał, aż osobowa toyota wymanewruje. Zaparkował i rozglądając się dookoła, wysiadł. Uprzytomnił sobie, że nie wie, jak ta dziewczyna wygląda, zapomnieli o takim drobiazgu, jak jakiś element rozpoznawczy.

No, chyba że ona mnie kojarzy, pomyślał. W końcu śledziła nas pod hotelem.

Spojrzał na zegarek – było pięć po osiemnastej. Wszedł po arkady budynku i rozejrzał się po stojących tutaj stolikach. Kilka par i jeden stolik zajęty przez zaśmiewające się w głos towarzystwo. Podeszedł do wolnego miejsca tuż przy filarze i usiadł w wiklinowym fotelu. Podniósł głowę i spojrzał na piękne, gwiaździste sklepienia pod arkadowym podcieniem starego gmachu.

Stary Ratusz mieścił obecnie Muzeum Historii Szczecina, funkcję oficjalną przestał pełnić w XIX wieku, kiedy to władze miasta przeprowadziły się do nowej siedziby. Z budynkiem wiązała się ciekawa historia z czasów powojennej odbudowy. Jak większość gmachów położonych nad samą Odrą, ratusz stał na fundamentach wspierających się na dębowych palach, zanurzonych na stałe w bagnistym terenie. Pale takie miały to do siebie, że dopóki tkwiły w wodzie, były praktycznie wieczne i niezniszczalne, wyciągnięte z niej, błyskawicznie gniły. Po wojnie prace wokół gmachu doprowadziły do silnego obniżenia wód gruntowych i zanim ktokolwiek się zorientował, wielkie filary budynku zaczęły się przechylać, a budynek był bliski zawalenia. Na szczęście w porę proces ten udało się zatrzymać, kosztem podbijania fundamentów i wzmacniania podłoża, ale przekrzywione filary pozostały i do dzisiaj było to bardzo wyraźnie widoczne.

Igor zamówił sok pomarańczowy i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Ciekawe, czy każe na siebie długo czekać, pomyślał, rozglądając się wśród przechadzających się po rynku ludzi.

Przy ulicy, obok rzędów samochodów zatrzymała się taksówka i wysiadła z niej ubrana w szarą, obcisłą sukienkę szczupła szatynka z rozpuszczonymi włosami. Za ładna i za dobrze ubrana, pomyślał. Pewnie przyszła na randkę. Rozglądał się raczej za kimś w dzinsach, luźnym T-shircie i kamizelce khaki. Kto przez przynajmniej godzinę będzie mnie okadzał dymem papierosowym, dodał w myślach zjadliwie.

Dziewczyna w szarej sukience spojrzała w stronę ratusza i ruszyła w jego kierunku. Weszła pod arkady, uśmiechnęła się do Igora i podeszła do stolika.

– Witam. Nazywam się Paulina Weber. To z panem jestem umówiona, prawda? Miło mi pana poznać. – Wyciągnęła rękę.

Jestem więźniem stereotypów, pomyślał Igor, dźwigając się z fotela

i niezgrabnie podając jej dłoń.

– Witam, Igor Fleming. Mnie także bardzo miło panią poznać – powiedział niezbyt oryginalnie i pomyślał, że musi kretyńsko wyglądać w czarnym podkoszulku i dżinsach. Pomachał ręką w kierunku kelnerki. – Czego się pani napije?

– Poproszę kawę. Dziękuję bardzo.

Położyła na stoliku dużą czarną torebkę i spojrzała na niego pytająco, podnosząc brwi. I w tym momencie przypomniał sobie dziewczynę z laptopem, którą widział tej feralnej nocy, jak wychodziła z bramy, rozmawiając przez komórkę. To była ona.

– A więc to pani nas tak skutecznie śledziła w trakcie tego pandemonium pod hotelem?

Spojrzał na jej długie srebrne kolczyki. Doskonale wygląda, pomyślał. Pewnie potem ma randkę z chłopakiem, dlatego tak wybrała godzinę, żeby nie tracić czasu.

– No, podobno nie tak skutecznie, jakby się mogło wydawać. – Dziewczyna zabrała torebkę ze stolika na widok nadchodzącej z kawą kelnerki.

– Taak... – Igor uśmiechnął się ze skrepowaniem. Zastanawiał się, jak uniknąć rozmowy o sarkofagu. Niepotrzebnie jej o tym wspomniał.

Dziewczyna wypła łyk kawy i spojrzała na Igora.

– Przejdźmy od razu do rzeczy. Powiedział pan przez telefon, że coś zabrałam z tego samochodu. – Przerwała, podniosła łyżeczkę do kawy i powoli włożyła ją do filiżanki, opierając łokieć na stoliku. – Przyjmijmy, że ma pan rację. Proszę mi powiedzieć, dlaczego miałabym panu zaufać i rozmawiać na ten temat? Pracuje pan dla Boroli, a oboje wiemy, co się o nim mówi w mieście. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że kieruje panem troska o dziedzictwo kulturowe regionu.

Igor zaklął w duchu. Miał nadzieję na prostą i nieskomplikowaną rozmowę, która wszystko wyjaśni, ale wyglądało na to, że dziewczyna zaczyna się okopywać i przygotowywać do walki. Niepotrzebnie się z nią umówił, pomyślał. Trzeba było pokazać tamte fotki Boroli i niechby sam się handryczył z tą gazetą. Pewnie prędzej czy później redakcja przekazałaby ten materiał konserwatorowi. A tak, jeszcze obsmaruje mnie, że przyszedłem

na jakieś tajne negocjacje i że jestem przysłany przez Borolę. Szlag by to trafił!

– Po pierwsze, nie pracuję dla pana Boroli – zaczął ostrożnie. – Jestem architektem, a pan Borola jest moim klientem. Po drugie, może pani wierzyć, w co pani chce. – Uśmiechnął się do niej. – Całe to zamieszanie z listem to właściwie nie jest ani mój interes, ani moja sprawa. Zaoferowałem pani pomoc w załatwieniu formalności, to jest przekazania tego dokumentu miastu bez zbędnych awantur i oskarżeń. Od siebie mogę tylko powiedzieć, że bez względu na to, co pani sądzi na temat mojej troski o dziedzictwo kulturowe regionu – uśmiechnął się złośliwie – naprawdę boleję nad tym, że jakiś dokument, który mógłby rzucić światło na tę niesamowitą historię, za chwilę przestanie mieć walory dokumentu, ponieważ nie uda się udowodnić, że on rzeczywiście pochodził z tego samochodu.

– Ale ja nie powiedziałam, że nie chcę tego oddać. Przecież nie jest moim celem, żeby komukolwiek szkodzić. – Dziewczyna spojrzała na niego urażona.

– Jeśli pójdzie pani sama po tygodniu do pani konserwator i przekaże to coś, dla historyków i badaczy będzie to już tylko domniemany list, czy cokolwiek to jest, podobno pochodzący z tamtej ciężarówki. Nie rozumie pani?

– Czy pan nie przesadza? – rzuciła powątpiewająco. – Przecież to tylko stara ciężarówka. Nawet jeśli rzeczywiście chodzi o Werwolf, nie jest to nic aż tak istotnego, żeby tak się przejmować metodologią badań.

Igor westchnął i napił się soku pomarańczowego.

– No dobrze, pani ten cholerny papier widziała, ja nie. – Poczuli rosnącą irytację. – Natomiast proszę mi wierzyć, że w kontekście tego, co znajdowało się na pace samochodu, to coś nabiera zupełnie innej wartości.

– W porządku. – Dziewczyna sięgnęła po torebkę. – Zna pan niemiecki? – spytała, rzucając spojrzenie spod długich rzęs, których Igorowi nie udało się nie zauważyć. Jest wyjątkowo dobrze uzbrojona do rozmów z facetami, pomyślał.

Pokręcił przecząco głową.

– Zabrałam ze sobą tłumaczenie. – Wyciągnęła z torebki złożoną kartkę papieru i podała ją przez stół. – To jest to, co znalazłam. Nie planowałam

tęgo zabierać, zrobiłam to odruchowo. Upadło na ziemię, więc podniosłam. Miałam przy sobie tylko komórkę i bałam się, że lada moment padnie bateria – dodała, wzruszając ramionami.

Igor wziął kartkę, rozłożył ją i wbił wzrok w krótki, napisany niebieskim pisakiem tekst.

\*

Przy wąskiej uliczce prowadzącej do Teatru Polskiego zatrzymał się biały van. Wsiadł z niego ubrany na czarno mężczyzna i wyciągnął ze środka zwój kabla oraz kilka szczotek na długich stalowych linach. Z szoferki wysiadł drugi mężczyzna i z torbą przewieszoną przez ramię podszedł do domofonu przy wejściu do kamienicy. Przycisnął od razu kilka numerów i poczekał, aż ktoś odbierze.

– Dzień dobry, tu kominiarz – rzucił. – Przysłali nas z administracji. Musimy sprawdzić kominy i wywiewki wentylacyjne.

– W niedzielę? – W głośniku rozległ się zdziwiony głos starszej kobiety.

– Takie życie, proszę pani, jak nie dziś, to kolejny termin dopiero za miesiąc, a podobno macie zapchaną wentylację.

– Tak, to prawda. W łazienkach często śmierdzi. Już otwieram.

Po chwili rozległ się buczonek automatu zwalniającego zamek przy drzwiach. Mężczyzna pchnął drzwi i poczekał na kolegę, który z przewieszonymi przez ramiona linami wszedł za nim do klatki schodowej.

\*

Paulina, sącząc ostatnie łyki kawy, obserwowała dyskretnie Igora, który w skupieniu czytał jej tłumaczenie.

Przesadziłam z tą kiecką. Weźmie mnie za jakąś desperatkę, pomyślała, patrząc na jego jasne dzinsy i czarną koszulkę z niewielkim napisem „No problem” na piersiach. Irytowała ją jego pewność siebie i nonszalancja, typowa chyba dla każdego dobrze wyglądającego faceta. Podając mu kartkę, zwróciła uwagę na ładnie owłosione przedramiona i oczywiście drogi zegarek od Calvina Kleina.

Ciekawe, czy ma dziewczynę, pomyślała jeszcze, dostrzegając brak

obrączki – pewnie długie blond włosy i duże, napompowane ego, czytając, dodała w myślach, sama się dziwiąc swojej złośliwości.

Igor skończył czytać i popatrzył na nią znad rozpostartej kartki.

– Wygląda jak zwykły list pożegnalny, ale kilka rzeczy jest zastanawiających – powiedział, spoglądając ponownie na pismo. – Ciekawe, że się nie podpisał.

– Też się nad tym zastanawiałam. Może jego tożsamość była oczywista dla adresatki, a nie chciał jej ujawniać wszystkim?

– Prawdę mówiąc, spodziewałem się czegoś konkretniejszego. – Igor położył kartkę na stole i oparł łokcie na blacie. – Czegoś w stylu raportu.

– Raportu? – Paulinę zdziwiło to określenie.

– No tak, jakiejś informacji o wykonanym zadaniu, nawet zaszyfrowanej.

– Czytając to po raz setny, także zaczęłam się w tym doszukiwać jakichś ukrytych znaczeń, ale obawiam się, że to tylko zwyczajny list do kobiety. –

Paulina poprawiła sukienkę i spojrzała na Igora. – Obiecał mi pan powiedzieć, co było na pace tej ciężarówki.

Igor popatrzył na nią przeciągle i oparł się, wyciągając długie nogi obok stolika.

– Hmm – mruknął – pokazała mi pani tylko tłumaczenie. Skąd mam wiedzieć, czy to wszystko.

– Sam pan powiedział, że nie zna niemieckiego – odparowała złośliwie.

Popatrzył na nią spode łba.

– Ja mimo wszystko mam więcej powodów, żeby pani nie ufać – rzucił, rozglądając się jednocześnie za kelnerką. – Ale mam propozycję.

– Słucham, jaką? – Wyglądała na zaciekawioną.

– Nie chciałbym, żeby jutro rano w prasie ukazał się kolejny sensacyjny artykuł na ten temat, który znowu narobi mnóstwo kłopotów.

– Jakich kłopotów? – przerwała mu zirytowana. – Co w tym złego, że ludzie przeczytają o legendarnych podziemiach szczecińskich? Od lat się o tym mówi.

Igor położył ręce na stoliku i złożył dłonie.

– Pewnie pani o tym przeczyta, możliwe, że jeszcze dziś na jakimś portalu

albo forum. W nocy było włamanie do piwnic hotelu.

– Włamanie? – Paulina popatrzyła na niego zaskoczona. – Coś ukradli?

– Nie, ale sądząc po śladach, buszowali przy ciężarówce. Przeszukali dokumentnie nieboszczyka. – Igor spojrział na nią z ukosa. – I chyba cieć ich nakrył. Możliwe, że doszło do jakiejś szarpaniny, bo dziś w nocy znalazłem go martwego.

Paulina poczuła, jakby ją ktoś walnął w głowę.

– Martwego? Jak to? Ktoś go zabił? – Nerwowo przeczesła palcami włosy.

– Chyba ktoś go popchnął. Upadając, rozbił sobie głowę. Kiedy go znalazłem, już nie żył.

Paulina, kompletnie zaskoczona, siedziała z otwartymi ustami i patrzyła niewidzącym wzrokiem w ścianę za Igorem.

– Więc wracając do mojej propozycji...

– Ale kto mógł to zrobić? Sądzi pan, że to złodzieje, którzy liczyli na jakieś skarby w tych podziemiach? – Paulina, wciąż wstrząśnięta, przerwała mu, nie słuchając właściwie tego, co mówi.

– Raczej tak, no bo kto inny? Pewnie chcieli skorzystać z zamieszania wokół S-Center i tego, że hotel jest zamknięty. Pani artykuł raczej w tym dopomógł.

– Czy to, co było na tej cholерnej pace, zniknęło?

Ten ostatni tekst mógł sobie darować, pomyślała. A może nie zabezpieczyli dobrze wejścia do piwnicy, a teraz oczywiście winy doszukują się gdzie indziej.

– Na szczęście nie. – Igor na widok kelnerki sięgnął po portfel. – Pozwoli pani, że zapłacę.

Skinęła głową. A niech płaci. Rozmowa na temat, kto ma płacić, wydawała jej się raczej małostkowa.

Gdy kelnerka odeszła, schował portfel i pochylił się nad stolikiem.

– Proponuję, żeby się jutro spotkać. Muszę iść do konserwatora i zgłosić to wszystko, porozmawiać. Proszę iść ze mną, oddamy ten list i będzie sprawa załatwiona. I oczywiście przy okazji dowie się pani, o co chodzi – dodał. – Ale proszę obiecać, że napisze pani o tym dopiero wtedy, gdy obejrzy to

inspektor od konserwatora i zadecyduje, co robić.

Paulina spojrzała na niego. To chyba dobry układ. Po powrocie do domu postanowiła zadzwonić do Pawła i z nim się poradzić.

– Mogłaby pani zrobić dla mnie ksero tego pisma?

– Dobrze, oczywiście. Jutro panu przyniosę.

Paulina chwyciła torebkę i wstała. Igor poszedł za nią. Wyszli spod arkad ratusza i stanęli niezdecydowanie, patrząc na siebie.

– Jestem samochodem, może gdzieś panią podrzucić? – spytał, bawiąc się kluczami.

– Nie, dziękuję. Wezmę taksówkę. – Paulina uśmiechnęła się chłodno.

Igor skinął głową i szybkim krokiem poszedł w kierunku zaparkowanego wzdłuż ulicy przed ratuszem rzędu aut.

Paulina, czekając na połączenie z dyspozytorką, spojrzała za nim. No tak, wielki terenowy samochód, mruknęła do siebie na widok odjeżdżającego Igora. Jakżeby inaczej? Ktoś chyba sobie coś kompensuje.

\*

Granatowa toyota land cruiser zaparkowała pod wysokim murem oporowym, tuż obok kamiennych schodów. Igor wysiadł, zabrał z tylnego siedzenia laptopa i ruszył w kierunku drzwi wejściowych do swojej kamienicy. Nad drzwiami, mimo że było jeszcze całkiem jasno, paliła się już latarnia.

Spotkanie z dziennikarką na szczęście zakończyło się w miarę sensownie, ale czy ona naprawdę musiała tak wyglądać? Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby okazała się jakąś pałacą bez opamiętania, krótko obciętą feministką w kamizelce khaki.

Westchnął i trzymając pod pachą laptopa, otworzył drzwi wejściowe, wszedł do klatki schodowej i począł się wspinać na ostatnie piętro. Jak zwykle, siedząc na schodach w małym korytarzyku przy wejściu, ściągnął buty, a następnie wszedł na właściwy poziom mieszkania.

Drzwi tarasowe były otwarte na oścież, a matowa zasłona z IKEI trzepotała nad nimi niczym wielki spinaker. Igor zamknął je i rozejrzał się po pokoju. Na szczęście wiatr niczego nie uszkodził. Podskakując na jednej



nodze, ściągnął spodnie, a potem skarpetki i ruszył w kierunku sypialni, gdzie rzucił je na stojący pod ścianą obok łóżka fotel. Zdjął jeszcze koszulkę i w samych bokserkach wrócił do pokoju dziennego. Podszedł do lodówki, wyciągnął z niej zieloną puszkę cudownego, relaksującego napoju i otwierając ją w drodze, wyszedł na taras. Usiadł w swoim ulubionym, ogromnym fotelu z wikliny i popatrzył w niebo. Nareszcie koniec tego weekendu, pomyślał. Jutro wraca Borola i niech się zajmuje tym bajzłem z policją i nadzorem w hotelu. Poczł, jak po kolejnym łyku piwa rozlewa się w nim poczucie lekkości i spokoju. Alkoholizm po pierwszej puszcze piwa zawsze wydaje się bardzo interesującą opcją, pomyślał.

Oparł się wygodnie i wyciągnął nogi przed siebie. Z zadowoleniem stwierdził, że cały taras lśni czystością. W każdy piątek przychodziła tutaj starsza pani z sąsiedniej kamienicy, która dorabiała sobie do emerytury. Spojrzał na wyczyszczoną kratę tarasu i nagle w rogu, przy ścianie oddzielającej dach sąsiedniego budynku, zobaczył jakąś ciemną plamę. Skrzywił się. Albo jakiś ptak, albo pani Zofia tym razem nieuważnie sprzątała.

Po bezowocnych próbach zignorowania plamy nie wytrzymał i wstał. Plama była z jakiejś ciemnej substancji, jakby smoły albo czegoś podobnego. Bardzo niewielka, ale na kracie ze świeżo wyczyszczonej blachy mocno się odcinała.

Trzeba to będzie jutro czymś wymyć, pomyślał, prostując się. Oparł się o balustradę i spojrzał w dół na malutkie z tej wysokości samochody zaparkowane pod budynkiem. I nagle sobie uświadomił, że coś jest nie tak.

Idąc za podpowiedziami intuicji, wszedł do mieszkania i rozejrzał się. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Komputer, który przed wyjściem zostawił jak zwykle włączony, mrugał niebieskimi lampkami przy monitorach, na stole kuchennym leżały, nieschowane od wczoraj do lodówki, warzywa i owoce, a zasłona nad drzwiami tarasowymi wisiła spokojnie. Nawet wiatr na zewnątrz ustał, choć przez chwilę wydawało się, że będzie burza.

I nagle sobie przypomniał. Przecież przed wyjściem zamknął drzwi tarasowe. Rozejrzał się po pokoju. Plazma stała tam gdzie zawsze, cyfrowy aparat rzucony niedbale na stolik obok schodów nadal tam był i ten przerażająco drogi ekspres do kawy także stał na blacie. Podszedł do komputera i poruszył myszką. Nic.

Zdezorientowany kliknął w klawiaturę. Nic. Dwa ogromne monitory wesoło mrugały niebieskimi lampkami, ale ich wielkie ekrany pozostawały martwe. I wtedy sobie uprzytomnił, co było nie tak. Brakowało tego charakterystycznego cichutkiego mrużenia włączonego komputera. Rzucił się do wielkiego kufra jednostki i po chwili już wiedział, co się stało.

Brakowało twardego dysku.

## Rozdział 7

Czy wylamano zamek? Czy drzwi były otwarte? Wszedł pan do mieszkania? – Dyżurna policjantka z komisariatu Śródmieście chłodnym, znudzonym głosem zadawała kolejne pytania. Igor odwrócił się w kierunku drzwi tarasowych. Nawet nie spojrzął, ale zamek był w porządku. Podeszedł i przekręcił klamkę. Drzwi się prawidłowo zamknęły. Czyżbym ich nie zamknął? Może tylko przymknąłem, pomyślał.

– Tak, wszedłem – odpowiedział powoli. – Dostali się prawdopodobnie przez drzwi tarasowe. Chyba nie były zamknięte.

– Chyba?

– Dobrze, nie pamiętam, ale jak wróciłem do domu, to były otwarte na całą szerokość.

– Czy zauważył pan ślady włamania? – Policjantka cały czas mówiła tym samym znudzonym głosem.

– Poza plamą na tarasie właściwie nie ma żadnych śladów. – Igor poczuł, że to, co mówi, brzmi mało przekonująco. – Po prostu zniknął twardy dysk.

– Czy coś poza tym zginęło? Czy są jakieś zniszczenia?

– No nie, nic poza twardym dyskiem nie zginęło. – Igor podrapał się po brodzie.

– Czy pan pił alkohol dzisiaj?

Igor popatrzył na puszkę na stole kuchennym.

– Jedno piwo, zacząłem w sumie, ale chyba nie sugeruje pani, że nie wiem, co mówię.

– Niczego nie sugeruję – westchnęła policjantka. – Czy możliwe, że położył pan ten dysk gdzieś i zapomniał o tym?

– Nie wyjmowałem twardego dysku, po co miałbym to robić? To jest dysk wewnętrzny. – Igor poczuł, że ogarnia go złość.

– Przykro mi, ale nie możemy przyjąć tego zgłoszenia – stwierdziła policjantka beznamiętnym tonem. – Jeżeli pan nadal chce zgłosić tę kradzież, to proszę przyjść do nas do komendy. Nie mogę wysłać patrolu do takiej sprawy.

– Dobrze. Pofatyguję się na komisariat. – Igor podszedł do biurka i spojrzął na martwe monitory. Wychodząc, wyłączył je, dałby za to głowę. Zawsze tak robił. Teraz natomiast były włączone. – Mam po prostu przyjść i zgłosić włamanie?

– Tak, dyżurny funkcjonariusz zdecyduje, czy przyjąć to zgłoszenie. – Policjantka chyba przeprowadzała takie rozmowy każdej nocy. – Czy mogę panu w czymś jeszcze pomóc?

– Nie, dziękuję. Do widzenia. – Igor rozłączył się i popatrzył na ekran komórki. Przypomniał sobie o numerze telefonu, który zostawił mu zeszłej nocy policjant w cywilu. Szybkim krokiem przeszedł do sypialni i z kieszeni dresów wyjął wizytówkę.

– Marek Bondar – przeczytał pod nosem.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Czy o tej porze można mu zawracać głowę? A jeśli dziś nie ma dyżuru czy co tam oni mają? Przeszkadzać mu w domu?

Był przekonany, że coś jest nie tak. Twardy dysk naprawdę zniknął. Nie było w ogóle takiej opcji, żeby go wyjął bezwiednie i gdzieś położył. Właściwie nigdy sam nie zaglądał do komputera. Ten chyba miał nawet jeszcze plomby. Igor pochylił się i zajrzał na tylną ścianę wielkiego pudła jednostki. Naklejki z pieczęciami sklepu były zerwane.

Komu mogłoby zależeć na kradzieży jego dysku? Miał tam kilka rozpoczętych nowych projektów oraz dwie, dopiero co zrobione, inwentaryzacje. Nie wspominając o archiwum. Te materiały stanowiły dużą wartość dla projektantów, dla ewentualnej konkurencji, ale jeszcze nie słyszał w środowisku o tym, żeby ktoś z tego powodu kogoś okradł.

Więc jednak chodzi o coś innego.

Zdjęcia z podziemi! Po wczorajszych wydarzeniach to było pierwsze, co mu przyszło do głowy, ale wydawało się to zbyt sensacyjne, żeby mogło być prawdziwe. Kogo one obchodzą? Nagle przyszło mu coś na myśl. Ta dziewczyna z „Dziennika”. Umówiła się z nim. Sama wybrała lokal i godzinę

i w tym akurat czasie ktoś się do niego włamuje i kradnie twardy dysk z jego komputera. Czy to możliwe, żeby miała z tym coś wspólnego?

Postukał komórką w stół i nie mogąc się zdecydować, zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Weber udowodniła najlepiej, na co ją stać, brawurowo włączając za nimi do podziemi, więc może taka akcja też leży w jej zasięgu? Ale włamanie?

Stanął i popatrzył na drzwi tarasowe. Wyszedł na zewnątrz i podszedł do balustrady, przy której zauważył czarną plamę. Od tej strony wznosił się półmetrowy murek, będący zakończeniem ściany oddzielającej dwie kamienice. Za nim był dach sąsiedniego budynku. Spadzisty, ale całkiem niedaleko stalowe stopnie ław kominiarskich pozwalały swobodnie się tutaj dostać. Plama to pewnie smoła, ktoś musiał się pobrudzić o jakiś fragment naprawianej niedawno papy lub jakiegoś uszczelnienia.

Igor rozejrzał się po tarasie, ale nigdzie nie było żadnych innych śladów. Wrócił do domu i zamknął drzwi tarasowe.

Wszystkie aktualne pliki miał zapisane także na laptopie i w komputerze w pracowni, więc praktycznie, pod tym względem przynajmniej, nie poniósł żadnych strat. Przepadły prywatne pliki i fotki. Z domu, z imprez i różne inne, przynajmniej te, których nie przeniósł na dysk w laptopie. Po kilku awariach komputera, po których konieczne było formatowanie dysku, zapisywał praktycznie wszystko na kilku różnych nośnikach. Także te zdjęcia z podziemi miał na laptopie i w komórce.

Jeśli jutro ukazą się w „Dzienniku”, to łatwo je poznam, pomyślał, chociaż teoria o tym, że świeżo poznana dziennikarka mogła mieć coś z tym wspólnego, wydawała mu się jednak mało prawdopodobna. Przejdę się na ten cholerny komisariat – szybkim krokiem poszedł do sypialni, ubrał się i po chwili schodził już do wyjścia. Przed drzwiami zatrzymał się, po czym wrócił na górę i zabrał ze sobą laptopa.

\*

Paulina wysiadła z taksówki, rozejrzała się wokół i obciągnęła sukienkę. Ludzie tłumnie wychodzili z wielkiej galerii handlowej, a wielopoziomowy parking po drugiej stronie jezdni powoli pustoszał. Pojedyncze samochody wjeżdżały do środka, kierując się na najwyższy poziom, z którego było najbliżej do kina. Weszła do środka i ruszyła w kierunku wind. Zatrzymała

się przed oszkloną witryną i przejrzała w odbiciu. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, pomyślała. Obcisła szara sukienka wyglądała doskonale. Była umówiona już wcześniej z trzema koleżankami na babski film, ale nie planowała na tę okazję jakoś specjalnie się szykować. A teraz skutkiem ubocznym spotkania z facetem od Boroli będzie jej niespodziewana elegancja. Owszem, facet całkiem niezły, przemknęło jej przez myśl, ale raczej zarozumiały bufon. Miała wrażenie, że potraktował ją protekcjonalnie, i wyjątkowo ją to denerwowało.

Ale ta historia ze stróżem. Koszmar. Niby centrum miasta, a działały się takie rzeczy. Pokręciła głową, odpędzając od siebie mroczne myśli. Teraz czas na rozrywkę i relaks. Wcisnęła guzik i stanęła z boku, czekając, aż winda zjedzie na dół. Spojrzała na zegarek. Dwudziesta piętnaście. Jak zwykle na styk.

Po chwili rozległ się gong i szare dwuskrzydłowe drzwi cicho się rozsunęły. Ze środka wyszli trzej roześmiani chłopcy w wieku licealnym i obejrzeni się za Pauliną, bez skrępowania wymieniając między sobą głośne uwagi na temat jej nóg. Paulina uśmiechnęła się, weszła do środka, wcisnęła guzik i korzystając z wielkiego lustra, poprawiła włosy i sukienkę.

Idąc w kierunku kina, spostrzegła trzy znajome sylwetki. Dziewczyny już czekały. Przyśpieszyła kroku, jednocześnie szperając w czarnej torebce. Znalazła komórkę i ją wyłączyła. Mało rzeczy ją tak irytowało, jak głośne, kretyńskie dzwonki telefonów podczas seansu. A za odbieranie wtedy połączeń, uważała, powinno się karać więzieniem.

\*

Igor spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Od ponad pół godziny siedział na korytarzu w komendzie Śródmieście i czekał, aż ktoś wreszcie nim się zajmie. Młody policjant za szklaną szybą przy wejściu, którego Igor poinformował o zamiarze zgłoszenia kradzieży, kazał mu usiąść i poczekać, aż ktoś będzie wolny. Więc siedział i czekał, ale cierpliwość powoli mu się kończyła. Rozejrzał się dookoła. Niedaleko siedział młody facet z podbitym okiem i zakrwawionym nosem, do którego przyciskał chusteczkę higieniczną. Obok niego dziewczyna w krótkiej spódnicy i kolorowej bluzeczce. Igor skrzyżował nogi, oparł się plecami o ścianę i spojrzał w sufit. Był tu tylko raz, kilka lat temu, gdy okradli samochód

Doroty. Od tego czasu trochę się zmieniło, chyba był tu jakiś większy remont nawet. Nowe płycinowe drzwi, świeżo odmalowane ściany.

Westchnął i popatrzył na zegarek. Minęła właśnie dwudziesta pierwsza. Gdyby ukradli mu samochód, to pewnie zdążyliby już dojechać do Ułan Bator i wstępnie ugadać sprzedaż z lokalnym handlarzem. Przetarł oczy i podciągnął długie nogi pod krzesło. Zastanawiał się, co powie policjantowi, zakładając, że w końcu jakiś się tutaj pofatyguje. Im dłużej siedział w tym korytarzu, tym większe ogarniały go wątpliwości, czy zgłaszanie tej kradzieży ma jakikolwiek sens. Nawet jeśli się uprze i to przyjmą, to prawie pewne, że po jego wyjściu będą się pukać w czoło, a za dwa tygodnie sprawę umorzą, nie kiwnąwszy nawet palcem.

Sięgnął po laptopa. Postawił go na udach, oparł się i otworzył katalog ze zdjęciami z podziemi. Klikał od niechcienia, oglądając je po raz kolejny. Potem otworzył katalog z fotkami sprzed dwóch dni. Patrząc na złożoną kartkę tkwiącą w palcach trupa na jednym ze zdjęć, pomyślał o tym, co pokazała mu dzisiaj ta dziennikarka. Treść listu, zakładając poprawność tłumaczenia, była kompletnie niewinna. Zwykle pożegnanie z żoną albo kimś bardzo bliskim. Ale po co on chciał ratować sarkofag? Po co go w ogóle ukradł? I kim był ten facet? Igor pochylił się nad monitorem, chcąc przyjrzeć się szczegółom ubrania tajemniczego kierowcy. Niczego nie zobaczywszy, podniósł wzrok i zaczął przeglądać pozostałe fotki. Na kolejnej widać było pustą dłoń trupa, z której kilkanaście minut wcześniej wypadł list, następnie zabrany przez dziennikarkę.

Zamarł. Podniósłszy głowę, spojrzał niewidzącym wzrokiem na przeciwległą ścianę. Właśnie sobie uświadomił, że ktokolwiek ukradł jego dysk, dojdzie do tych samych wniosków, do których on doszedł, analizując godziny zrobienia zdjęć. Może już doszedł. Poczował, jak po plecach przeszły mu ciarki.

Zamknął laptopa, wepchnął go do torby i szybkim krokiem poszedł w kierunku wyjścia. Dyżurny policjant spojrzał na niego.

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości. Kolega zaraz pana poprosi – rzucił w kierunku Igora.

– Rezygnuję, postanowiłem nie zgłaszać tej kradzieży, dobranoc.

Pchnął drzwi i wyszedł na zewnątrz budynku. Dyżurny policjant wzruszył ramionami i powrócił do czytania bloga licealistki z Warszawy.

\*

Duży przedwojenny dom, otoczony gęstą zielenią, stał wciśnięty pomiędzy klockowaty domek z lat siedemdziesiątych oraz rozbudowaną we wszelkie możliwe strony starą willę z wysokim dachem. Wąska, spokojna ulica, pogrążona w ciszy i rozleniwiona całodniowym upałem, wraz z gasnącymi stopniowo światłami w oknach powoli zapadała w sen.

Na schodach prowadzących do głównego wejścia, pod dachem wspartym na jednej narożnej kolumnie, leżał wielki czarny owczarek niemiecki i uważnie, choć dyskretnie, rozglądał się po oświetlonej pojedynczymi latarniami ulicy. Jakies pięć minut temu jego pan wyprowadził samochód z garażu na tyłach posesji, zapakował do bagażnika sportową torbę i odjechał, jak zazwyczaj o tej porze, na pływalnię. Maciej Weber pływał w każdą niedzielę i dodatkowo co drugi dzień w tygodniu. Starał się utrzymać dobrą formę, a pływanie było tym, co doskonale łączyło przyjemne z pożytecznym.

Pies lekceważąco spoglądał w kierunku sąsiedniego ogrodu, w którym właśnie powoli kończyła się niedzielna impreza przy grillu. Bardziej niepokoił go duży czarny terenowy samochód, który jakiś czas temu cicho zaparkował o dwa domy dalej przy drugiej stronie ulicy. Nikt z niego nie wysiadł.

\*

Igor położył torbę z laptopem na siedzeniu pasażera i wyjął z kieszeni spodni komórkę. Odnalazł numer Pauliny Weber i zamarł w oczekiwaniu na połączenie. Bezskutecznie. Odczekał chwilę i ponowił próbę, ale dziennikarka była nadal poza zasięgiem sieci. Miał chyba rację, że po spotkaniu z nim idzie pewnie na jakąś udaną randkę, dlatego wyłączyła telefon. Przemknęło mu przez myśl, jak zareaguje na jego telefon o tej porze. Będzie pewnie zdziwiona. Albo zła.

Nie był do końca pewny, czy przypadkiem sobie czegoś nie ubzdurał, ale i tak na wszelki wypadek chciał ją uprzedzić, żeby schowała gdzieś ten cholerny list z podziemi i dobrze go pilnowała. Przez ostatnich dziesięć minut, zanim zdecydował się wybrać numer dziewczyny, starał się poukładać sobie w głowie fakty.



Nie były jednoznaczne. Na pewno ktoś w nocy z soboty na niedzielę dostał się do podziemi hotelu i przeszukał trupa. I z całą pewnością zginął jego dysk. Pytanie tylko, czy można połączyć oba fakty ze sobą? Do włamania w hotelu pasowała banda obszcymurów z sąsiedztwa, zachęcona artykułem, ale gdyby taka sama banda włamała się na poddasze, to pewnie ukradłaby aparat, komputer, monitory, pieniądze z szuflady, cokolwiek, a tymczasem zginął tylko dysk. Nikt przy zdrowych zmysłach nie robi włamania, wspinając się po dachach do czyjś mieszkania tylko po to, żeby ukraść twardy dysk. Chyba że chodziło o jego zawartość. Jeśli oba zdarzenia miały ze sobą coś wspólnego, to jedynym, co mogło interesować włamywaczy, były zdjęcia i wszystko, co wiązało się z ciężarówką i jej kierowcą. Czy możliwe, że szukają właśnie tego listu? Ale przecież tam nie było nic ciekawego, chyba że wiedzą coś, czego ja nie wiem – pomyślał i oparł się o podglówek fotela, patrząc w bok na chodnik i plamę światła rozlaną pod wysoką, stylową latarnią. Kończyła się niedziela, ludzie przemykali ulicami, wracając do domów.

Sięgnął po komórkę i jeszcze raz spróbował połączyć się z dziennikarką. Ponownie bezskutecznie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza dwadzieścia. Teraz przypomniał sobie, że Norbert dał mu oprócz numeru telefonu także adres dziewczyny. Coś na Pogodnie. Sięgnął ponownie po swojego iPhone'a, odnalazł w kontaktach jej nazwisko i przeczytał adres. Brodzińskiego.

A jeśli siedzi z chłopakiem u siebie w domu? Przecież nie zapukam i nie powiem z głupia frant, żeby pilnowała tego cholernego listu, bo wyjdę na kretyna, pomyślał. Brodzińskiego to ulica willowa, o ile pamiętał. Więc albo wynajmuje gdzieś tam mieszkanie lub pokój, albo mieszka z rodziną.

Po dłuższym namyśle zapalił silnik i powoli wyjechał spomiędzy szeregu zaparkowanych obok komendy samochodów. Postanowił podjechać na miejsce i dopiero tam się zastanowić, co dalej.

\*

Tak jak dla człowieka dominującym zmysłem jest wzrok, tak dla psa jest to węch. Aby zrozumieć, o ile lepszy jest węch zwyczajnego psa od węchu człowieka, wystarczy porównać ilość posiadanych receptorów węchowych. Człowiek ma ich około pięciu tysięcy, natomiast pies aż trzysta tysięcy.

Zwyczajny podwórzowy kundel potrafi z odległości wielu kilometrów rozpoznać znajomy zapach wymieszany z wieloma innymi. Psy posiadają bowiem, dostępną tylko niektórym ludziom i to zaledwie w małym procencie, umiejętność segregowania zapachów i rozpoznawania ich nawet wymieszanych ze sobą lub zamaskowanych innym, bardzo agresywnym zapachem, np. benzyny.

Świat psa podporządkowany jest przede wszystkim zapachom i każda jego ocena opiera się głównie na zmyśle węchu. Nawet emocje, które okazuje pozornie *na widok* różnych osób, uwarunkowane są zapachem. Pies warczący na kogoś, kto się go boi, postępuje tak, gdyż wyczuwa nawet najmniejsze mikroślady potu, które wywołuje u człowieka strach, i interpretuje je po swojemu.

Czarny owczarek niemiecki, leżący na schodach przed domem na Pogodnie, jeszcze nie wiedział, jak zinterpretować zamiary dwóch młodych mężczyzn siedzących w zaparkowanym czarnym terenowym aucie, ale nie podobały mu się.

Jakieś dziesięć minut temu ostatni goście sąsiadów wyszli, a gospodarze schronili się do wnętrza i wygasili część świateł. Gdy upłynęło kolejne dziesięć minut, dom pogrążył się w ciemności. Czarny samochód cicho warknął i powoli wyjechał z szeregu aut. Wolno przejechał wzdłuż ulicy i zniknął za rogiem sąsiedniej uliczki. Pies podniósł łeb i warcząc, odprowadził wzrokiem intruzów.

\*

Igor wjechał w wąską uliczkę i na mijanych domach zaczął wypatrywać numeru domu Pauliny. Postanowił najpierw stanąć przy ulicy i zastanowić się nad kolejnym ruchem. Czuł się trochę jak idiota. Czy to wszystko nie jest przypadkiem jego projekcją? Skąd w ogóle mu przyszło do głowy, że ktoś może się włamywać specjalnie po to, żeby zdobyć ten kretyński kawałek papieru? Przejechał wolno obok wielkiego domu, rozbudowanego praktycznie na terenie całej posesji, i odczytał numer na tabliczce koło schodów. Zwolnił i spojrzał z ciekawością na kolejny dom, starą, przedwojenną, ładnie wyremontowaną willę. To tu, pomyślał. W domu było ciemno, paliła się tylko mała latarenka przy schodach wejściowych.

Pojechał dalej, skręcił w boczną uliczkę, objechał cały kwartał zabudowy

i ponownie wyjechał u wylotu ulicy. Tym razem zwolnił dużo wcześniej i zaparkował samochód jakieś trzy domy od numeru Weberów. Zgasił silnik i w tym momencie skończyły mu się pomysły. Teraz będzie najlepiej, jak ta dziewczyna akurat podjedzie i go zauważy, pomyślał. Pewnie uzna, że jest psychicznie chory i ją śledzi po nocach. Skrzywił się, gratulując sobie w duchu wyboru przyciemnionych szyb podczas kupna samochodu. W sąsiednim domu właśnie skończyła się jakaś impreza, bo otworzyła się furka i na chodnik wyszła grupa rozbawionych osób. Po dłuższej chwili żartów i przyciszonych rozmów dwie pary wsiadły do zaparkowanych przy chodniku aut, a korpulentna kobieta, machając im na pożegnanie ręką, weszła przez furtkę do ogrodu i zniknęła za drzwiami. Po chwili w domu zgasty wszystkie światła.

Igor westchnął. I co teraz? Przecież nie będzie tu siedział całą noc. Sięgnął po telefon i postanowił jeszcze raz zadzwonić. Niestety, skutek ten sam, dziewczyna ciągle była poza zasięgiem. Odłożył telefon na siedzenie obok i położył ręce na kierownicy. Policzę do dwudziestu i jadę stąd, postanowił.

Doszedł do piętnastu, gdy nagle czarny samochód, jakieś trzy auta przed nim, zapalił i powolutku wyjechał na ulicę. Przeszło mu przez myśl, że przecież nie zauważył, by ktoś do niego wsiadał. Samochód powoli przetoczył się wzdłuż ulicy i skręcił w pierwszą uliczkę za rogiem. Pewnie jakaś parka nie może się rozstać, pomyślał. Przypomniało mu się, jak kiedyś, dawno temu, w jakiejś zamierzchłej przeszłości, odwoził Dorotę do domu jej rodziców w podobnej, tylko położonej w innej części miasta, willowej dzielnicy. Potrafili siedzieć całymi godzinami w samochodzie, gadając, całując się i nie mogąc się pożegnać. Tylko że wtedy mógł jedynie pomarzyć o takiej terenówce, jaką mieli ci tutaj. Zauważył, że samochód miał niemieckie tablice rejestracyjne.

Pokręcił głową, jakby chciał zrzucić z siebie natrętne myśli, i jednocześnie przypomniał sobie, że w bagażniku ma lornetkę. No nie, to już będzie przegięcie, jak zacznę się gapić w okna tej dziewczyny. Zaraz ktoś zadzwoni na policję i resztę tej pięknej nocy spędzę w mamrze, myślał, wychodząc z samochodu.

Przeszedł do tyłu i starając się jak najmniej hałasować, wyciągnął dużą wojskową lornetkę, która często przydawała się przy inwentaryzacjach elewacji i detalu architektonicznego. Wślizgnął się cicho z powrotem do samochodu i rozplątał pasek wokół instrumentu. W samą porę. Na końcu

pierzei zobaczył nagle dwóch idących w jego stronę mężczyzn. Podniósł lornetkę do oczu i spojrzał od niechcenia. Jeden z nich miał czapkę z głęboko nasuniętym na twarz daszkiem, drugi szedł z opuszczoną głową, trzymając coś w ręku. Igor spojrzał na dziwny przedmiot. Miał wydłużony kształt puszk. Pewnie jacyś koleś z piwem, uznał i skierował lornetkę na dom.

Między prętami ogrodzenia, na schodach, zobaczył wielkiego czarnego psa, który ze zjezoną na karku sierścią leżał przyczajony, ze wzrokiem wbitym w nadchodzących mężczyzn. Igor spojrzał ponownie na facetów i zobaczył, że ten bez czapki przełożył puszkę w ręku i w charakterystyczny sposób położył na niej palec. Powoli zbliżali się do starej willi, cicho coś do siebie mówiąc. Igor oderwał wzrok od lornetki i spojrzał na ulicę. Aerozol? I nagle w krótkim przeblasku świadomości przyszło mu coś do głowy. Gaz! Podniósł lornetkę do oczu i zobaczył, że facet z puszką zbliża się już do furty i porozumiewawczo kiwa głową do kolegi. W tym samym momencie pies, który czekał na tę właśnie chwilę, poderwał się ze schodów i z charkotem rzucił w kierunku furty. Mężczyzna podniósł puszkę i zbliżył ją do prętów. Jego kolega obejrzał się i wyjął z kieszeni jakiś mały stalowy przedmiot.

Wszystko, co się od tego momentu wydarzyło, trwało zaledwie sekundy. Gdyby Igor miał więcej czasu do namysłu, pewnie nie udałoby mu się nawet ruszyć z miejsca ani podjąć żadnej decyzji. Gdy usłyszał szczekanie psa zamieniające się w skomlenie, automatycznie zapalił silnik, jednocześnie myśląc samokrytycznie, że głupota jest bardzo potężnym motorem napędzającym do działania. Energicznie wykręcił i ruszył w kierunku dwóch typów stojących tyłem do niego pod furką willi. Zatrzymał gwałtownie samochód na środku ulicy w odległości może dziesięciu metrów od kompletnie zdębiałych mężczyzn, włączył długie światła oraz reflektory penetrujące, które jego toyota miała zamontowane na dachu, i desperacko przycisnął klakson.

Wokół rozpętało się momentalnie małe piekło. We wszystkich ogrodach wzdłuż całej ulicy rozszczękały się psy. W dwóch najbliższych autach włączyły się alarmy, a w oknach domów zaczęły się zapalać światła. Dwaj mężczyźni, których na krótką chwilę sparaliżowało, rzucili się do ucieczki. Upuszczona puszk stuknęła o chodnik i potoczyła się wolno w kierunku krawężnika. Igor puścił klakson, wyłączył dachowe światła i ruszył gwałtownie przed siebie. Wyjąc silnikiem na zbyt niskim biegu, przejechał

wzdłuż niewielkiego zieleńca kilka domów dalej, wrzucił trójkę i wyjechał na główną ulicę. Obejrzał się za siebie, przyśpieszył, a potem skręcił w kolejną przecznicę z jednorodzinnymi domami. Przejechał kawałek, zatrzymał samochód na wolnym miejscu przy chodniku i zgasił silnik.

Poczuł, że jest cały zlany potem.

\*

Film był przeciętny, ale Paulina i tak się świetnie bawiła. Kupiły sobie wielkie pudła popcornu i zaśmiewały się do łez, mimo że komedia była naprawdę średnio zabawna. Takie babskie spotkania od czasu do czasu bardzo dobrze jej robiły. Chyba zresztą im wszystkim. Znały się od liceum, spotykały przy różnych okazjach i czasem, ot tak właśnie jak dziś, dla przyjemności. Dwie lekarki – internistka i pediatra, jedna prawniczka i ona, nedorobiona dziennikarka po inżynierii wodnej. Jej przyjaciółki znalazły pracę po studiach w Szczecinie. Ona miała jako alternatywę pracę sekretarki albo wyjazd za granicę. Więc wyjechała. Jak wszyscy, do Londynu. Na szczęście było GG i Skype.

Wyszły z sali numer 3, komentując niektóre sceny i aktorów, i zatrzymały się w hallu przed wyjściem do wind, żeby odprawić współczesny rytuał – włączanie komórek i sprawdzanie wiadomości i połączeń. Jak świat mógł się bez nich obejść?

Paulina, wyjmując telefon z torebki, pomyślała, że świat się ostatnio bardzo dobrze bez niej obchodził. Właściwie to nawet, parafrazując Hrabala, w ogóle był gdzie indziej. Włączyła komórkę i ze zdziwieniem zobaczyła siedem połączeń i dwie wiadomości w poczcie głosowej. Cztery połączenia z jakiegoś numeru, którego nie miała w pamięci, ale który jej się z kimś kojarzył, dwa połączenia od pani Beaty, sąsiadki, i ostatni od ojca. Zaniepokojona przeprosiła koleżanki i odeszła na bok. Wybrała numer ojca i nieco zdenerwowana, czekała na połączenie. Ojciec bardzo rzadko do niej dzwonił, gdy gdzieś wychodziła, w ogóle rzadko do niej dzwonił, więc tym bardziej czuła, że coś jest nie tak.

Cztery sygnały. Nie odebrał. Ściągnęła brwi i wybrała numer pani Beaty. Po chwili usłyszała w słuchawce głos sąsiadki i odetchnęła z ulgą.

– Witam, pani Beato. Co się...

– Dobry wieczór, przepraszam, że dzwoniłam o tej porze, ale nikogo u was

nie było, a twój ojciec nie odbierał. – Sąsiadka była wyraźnie zaaferowana.

– Co się stało? – rzuciła niecierpliwie Paulina.

– Chyba było u was włamanie. Połowa ulicy się obudziła, właściwie nikt nie wie, co się stało. Jakiś przerażający hałas i ktoś włączył jakieś reflektory.

– Co takiego?

– Chcieli chyba uśpić Maksa, ale coś im przeszkodziło.

– Maksa? Coś mu się stało? – Paulina była już bardzo zdenerwowana. Odwróciła się do koleżanek i rzuciła im krótkie wyjaśnienie, że mieli włamanie i że musi lecieć. Zadzwonili. Dziewczyny zaskoczone spojrzały pytającym wzrokiem, ale nie miała teraz głowy, by im cokolwiek tłumaczyć, tym bardziej że sama niewiele wiedziała. Pomachała im i szybkim krokiem, prawie biegiem, cały czas trzymając słuchawkę przy uchu, rzuciła się do windy.

– Przepraszam, pani Beato, halo? Czy coś się stało Maksowi?

– Na szczęście chyba nie. Nie zdążyli opróżnić całej puszki z tym gazem. Był trochę ogłupiały. Twój ojciec pojechał z nim do jakiegoś waszego weterynarza.

– Do Tomka? – odetchnęła. Całe szczęście, że kuzyn był uchwytny. – Pani Beato, dziękuję bardzo, już jadę do domu, będę za jakieś piętnaście minut – rzuciła do słuchawki i wsiadła do windy.

Dopiero w taksówce przypomniawszy sobie o połączeniach z nieznanego numeru. Wyjęła komórkę z torebki i przejrzała rejestr rozmów. Numer pojawił się także rano. Spojrzała na godzinę i wreszcie sobie przypomniawszy. To ten facet od Boroli. Czego on mógł chcieć o tej porze? Dzwonił pięć razy! Zostawił wiadomość w poczcie głosowej. Czując, że ponownie się denerwuje, przycisnęła telefon do ucha.

– Dobry wieczór. Igor Fleming, bardzo proszę o telefon, jak pani odsłucha tę wiadomość.

Paulina popatrzyła na ekranik komórki.

I to wszystko? Nawet nie wyjaśnił, o co chodzi? Bezcelność! I ma teraz po nocy dzwonić do niego, bo coś mu się pewnie ubrdało? Albo chce odwołać tę jutrzejszą wizytę u konserwatorce.

Paulina popatrzyła niezdecydowanie na numer, po czym schowała komórkę do torebki. Najpierw dojadę do domu i zobaczę, co się tam dzieje. Ten bufon może sobie poczekać.

## Rozdział 8 (poniedziałek)

To był już koniec wojny. Ze Szczecina kto mógł, uciekał w popłochu. Już wtedy było wiadomo, że cały dotychczasowy świat się skończył. Udało im się dostać z matką do Berlina i zatrzymać u dalszej rodziny na obrzeżach miasta. Ojciec już nie żył, zamordowany w szczecińskim więzieniu, ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieli. Matka młodego Heinricha, prawie bez przerwy płacząc, pakowała i rozpakowywała różne drobiazgi, nie bardzo wiedząc, co robi, a on sam chodził z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

Któregoś dnia na początku kwietnia, późnym wieczorem, niedługo po tym, jak tu dotarli, usłyszeli brzęczący przy furtce dzwonek. Strach w jednej chwili zmroził serca obojgu, chociaż każde z nich bało się czegoś innego. On tego, że to amerykańskie wojsko lub Sowieci, którzy wdarli się w końcu do miasta i zechcą go teraz zabrać i ukarać za jego przynależność do Hitlerjugend i kilka mrocznych spraw, które miał w związku z tym na sumieniu, a matka tego, że to ktoś, kto potwierdzi jej obawy o los ojca. Heinrich podbiegł do okna wychodzącego na podjazd i schowany za zasłoną patrzył na ulicę. Przy furtce stał wysoki mężczyzna w skórzanej, krótkiej kurtce. Czapkę miał nasuniętą głęboko na oczy. Heinrich widział, jak matka wychodzi z domu i podchodzi do furtki. Mężczyzna podniósł wzrok i wtedy Heinrich go poznał. To był ten właściciel ziemski z wielkiego dworu, w którym często bywali przed wojną. Matka wpuściła go do ogrodu i oboje zatrzymali się pod wielkim cisem koło schodów. Mężczyzna coś szybko mówił. Heinrich uchylił najciszej jak mógł okno, starając się usłyszeć cokolwiek z tej rozmowy. Paliła go ciekawość, ale i wściekłość zarazem, że ten łajdak, przez którego ojciec musiał zginąć, teraz wrabia w coś matkę.

– Muszę spróbować to zrobić. Ci tutaj też mogą mnie zabić, jest mi obojętne, czy jedni, czy drudzy. – Usłyszał głos faceta.

Matka coś gorączkowo mu tłumaczyła, ale on tylko pokręcił głową. Zaczął coś mówić cicho do matki. Heinrich usłyszał tylko kilka słów.



– Wykradnę to jakoś... Pozostałe rzeczy uratowaliśmy... Schowałem go przy domu.

Matka znowu zaczęła coś mówić, tak jakby chciała mężczyznę do czegoś przekonać. Heinrich usłyszał słowo „Werwolf”, które padło z ust mężczyzny, i jakieś głośne złorzeczenia matki, a potem jak mówi wyraźnie:

– To przekleństwo, a nie żadne dziedzictwo, poza tym cokolwiek to jest, nie jest warte...

Heinrich słyszał, że chyba się pokłócili, i na koniec matka zaczęła płakać. Mężczyzna objął ją i powiedział coś cicho, a następnie odwrócił się do furki. Do Heinricha dobiegły jego słowa:

– Nie wiem, co się dzieje z moją rodziną, muszę się dowiedzieć. Jak mi się uda, to wrócę do Berlina, a jak nie, zostanę w Szczecinie na zawsze.

\*

Parsov był wściekły. Ci kretyni narobili samych szkód. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby polska policja się w to wszystko wmieszała. Gdyby to chociaż jakiś pożytek przyniosło, ale nic nie załatwili. Nic kompletnie. Durnie!

Czekając na Hansa, chodził nerwowo po pokoju. Spóźniał się już pięć minut. Parsov nie mógł się doczekać, żeby mu porządnie zmyć głowę. Słyszając stukanie do drzwi, odwrócił się gwałtownie i rzucił: „Wejść!”. Do gabinetu zajrzała nieśmiało Ingrid i zamierzała coś powiedzieć, ale wysoki blondyn wyminął ją bezceremonialnie i wszedł do środka. Miał ze sobą laptopa.

Parsov ruchem głowy pozbył się sekretarki i popatrzył wściekle na swojego gościa.

– Bardziej już chyba nie mogliście się wygłupić? – warknął.

– Szefie, zanim zaczniesz mnie pan krytykować, proszę to obejrzeć. – Blondyn postawił laptopa na stole. – Fakt, ci durnie spieprzyli sprawę, ale za to mamy coś od tego architekta.

– Co takiego? – Parsov podszedł do stołu i spojrział na otwarty monitor laptopa.

– Facet miał na swoim dysku zdjęcia zrobione tamtej nocy, a oprócz tego

fotki, które zamieściła gazeta. W jednym katalogu. Sam nam podpowiedział, na co zwrócić uwagę. Niech pan spojrzysz.

Blondyn pochylił się nad klawiaturą i otworzył katalog ze zdjęciami. Wybrał z podglądu jedno i otworzył je. Na ekranie ukazało się wnętrze szoferki oraz trup kierowcy.

– Niech pan popatrz na godzinę. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt sześć. – Kliknął ponownie kursorem w ekran i otworzył inne zdjęcie. – Ten kretyn ma włączoną funkcję datowania zdjęć. A to jest fotka z gazety. Musiała być zrobiona później, ponieważ Fleming był pierwszy w lochach.

Parsov popatrzył na zdjęcie, a następnie na blondyna.

– I co niby? Czy to jest zabawa w stylu znajdź dziesięć różnic? – spytał ironicznie.

Blondyn wyszczerzył zęby.

– Dokładnie tak. Niech pan popatrz jeszcze raz.

Parsov zmarszczył brwi i pochylił się nad ekranem. Po chwili poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wyprostował się i spojrzął na blondyna.

– Musimy to mieć! – rzekł dobitnie. Więc jednak miał rację. On musiał zostawić jakąś wskazówkę.

Wzrok blondyna przez krótką chwilę wyrażał zakłopotanie.

– Wczoraj próbowaliśmy to przejąć. Niestety, nie udało się. – Popatrzył na tężejący wyraz twarzy Parsova i dodał: – Ale przynajmniej zostawiliśmy tam coś, dzięki czemu mamy teraz możliwość kontroli sytuacji.

Parsov spojrzął na niego uważnie i odszedł parę kroków od stołu.

– To jeszcze nie wszystko, szefie. – Blondyn uśmiechnął się tajemniczo. – Mam chyba dla pana prawdziwą niespodziankę. Prasa o tym nie napisała.

Parsov zaskoczony wrócił do stołu. Pochylił się ponownie nad ekranem laptopa i spojrzął na zdjęcie, które przed chwilą otworzył blondyn. Wielkie pudło sarkofagu prezentowało się na nim groźnie i tajemniczo. W świetle lampy błyskowej ożyły stare posrebrzane fragmenty dekoracji, od lat ukryte pod warstwą patyny. Parsov otworzył usta i spojrzął na uśmiechającego się triumfalnie blondyna.

– To jest... to jest sarkofag, na miłość boską! – Powoli usiadł przy stole. Czy to o to chodziło? To chcieli ukryć? Czyj to sarkofag, do diabła, że to

było aż takie ważne?

Parsov miał mętlik w głowie.

– Mam nadzieję, że zrobiliście na tyle dokładne zdjęcia, by można było odczytać inskrypcję? – Pochylił się jeszcze bardziej nad ekranem.

– Tak, porządnie wytarli wieko. To sarkofag Barnima Dziewiątego.

Parsov patrzył na zdjęcie, na którym majaczyły ledwo widoczne zarysy wygrawerowanych liter. Barnim IX. Nie znał za dobrze historii, nigdy go specjalnie nie interesowała. Przypominał sobie mgliście, że to chyba ten książę, który wprowadził na Pomorzu protestantyzm i przejął majątki klasztorów i Kościoła. Co, do diabła, mogło być w nim takiego interesującego dla szczecińskiej loży?

– Przez głupotę tych twoich tępaków nie będziemy mieli już możliwości, żeby tam ponownie zajrzeć – rzekł, ponownie zły, do blondyna. – Teraz pewnie postawią pod tym hotelem z dwudziestu ochroniarzy.

Blondyn skrzywił się.

– Sarkofag i tak prawdopodobnie w tym tygodniu przewiozą w częściach do konserwacji. Będziemy musieli wymyślić inny sposób, żeby mu się przyjrzeć.

To mówiąc, zamknął laptopa i odwrócił się.

– I jeszcze coś. Miesiąc temu przyjął pan do pracy pewną firmę ze Szczecina.

Parsov spojrzał na niego.

– Tak. Wygrali przetarg. A o co chodzi?

– W przetargu brała też udział ta kobieta. Może być przydatna. – Blondyn wyjął z torby teczkę z dokumentami i położył ją na stole. Parsov wziął do ręki teczkę i otworzył. Spojrzał na dane firmy i fotografię bardzo atrakcyjnej brunetki.

– Dobrze, zobacz, co da się z tym zrobić.

Blondyn uśmiechnął się. Dziś rano zdążył już zadzwonić i umówić się z nią na spotkanie. Parsov go nie doceniał.

Paulina pchnęła oszklone drzwi i weszła do wielkiego pomieszczenia dawnego magazynu, w którym teraz kłębiło się około dwudziestu ludzi. Pomiędzy żeliwnymi słupami podtrzymującymi ceglane sklepienie ustawione były w kilku rzędach biurka, na których stały monitory i leżały sterty papierów. Zazwyczaj pracowało tutaj około dziesięciu osób, które zajmowały się składem i edycją finalnej wersji dziennika. Piątkowe wydarzenia, w wyniku których redakcja w S-Center została zamknięta, spowodowały, że wszyscy musieli się pomieścić tutaj. Skinęła głową kilku osobom po drodze i zaczęła się przemieszczać w kierunku oddzielonego szklaną ścianą pomieszczenia, gdzie urzędowało zazwyczaj kierownictwo oddziału, a dziś przy dostawionym biurku siedział także Paweł oraz jeszcze dwie osoby z szefostwa gazety.

Była niewyspana i zła. Przez wczorajsze niewydarzone włamanie położyła się spać bardzo późno i czuła się dzisiaj wymięta i zmęczona. Najpierw musiała wysłuchać relacji sąsiadki z nocnych zamieszek pod domem, a potem zdenerwowana czekała na powrót ojca z Maksem. Sąsiadka w dodatku wezwała policję, co przedłużyło całą awanturę prawie do pierwszej. Policjanci zabrali puszkę z gazem usypiającym, którą znaleźli na chodniku, spisali relacje pani Beaty i dwóch sąsiadów i odjechali, wykazując umiarkowane zainteresowanie całą sprawą. Na dodatek w końcu nie zadzwoniła do Fleminga. Przez całe to zamieszanie zupełnie o tym zapomniała.

Zamierzała najpierw omówić z Pawłem jutrzejszy artykuł, wysłuchać jego, oczywiście jak zwykle bardzo budujących, porad i sugestii, a potem zadzwonić do tamtego faceta i umówić się z nim na spotkanie u konserwatora. Wszystko we właściwej kolejności. List z podziemi miała przy sobie. Włożyła go do koperty i wepchnęła do grubej teczki z dokumentami, którą zabrała ze sobą do redakcji.

Podeszła do szklanej ściany i pomachała do Pawła. Rozmawiał właśnie przez telefon. Zauważył ją, uśmiechnął się i skinął ręką w kierunku drzwi. Weszła do środka i stanęła przy jego biurku.

– Ale tu ścisk. Długo to potrwa? – spytała, rozglądając się po pomieszczeniu.

Paweł wskazał jej krzesło, pożegnał się z kimś i odłożył telefon. Popatrzył na nią i sięgnął po teczkę przed sobą, otworzył ją i wyjął kilka kartek z wydrukowanym tekstem, na którym było sporo poprawek naniesionych

czerwonym flamastrem.

– Nie wiedzą. Oczywiście dzwoniłem do nadzoru budowlanego i do S-Center z samego rana. Ale oni dopiero dziś będą oceniać straty i zastanawiać się, co robić.

– Ciekawe, czy coś zostało z mojego samochodu i kiedy będę mogła go stamtąd zabrać? – Westchnęła. – Rujnuję się od piątku na taksówki.

– Nie licz na to, że szybko. – Paweł podał jej wydruk. – Obejrzyj to i nanieś te poprawki. Puścimy to jutro, tak jak obiecałem, dopóki jest zainteresowanie tematem. O której się umówiłaś u konserwatora z tym facetem od Boroli?

– Jeszcze się nie umówiłam, właśnie zamierzam dzwonić. – Paulina wzięła wydruk i rzuciła okiem na pierwszą stronę.

– Jesteś pewna, że chcesz tam iść sama? Może powinienem pójść z tobą? – Paweł uśmiechnął się i niby mimochodem położył dłoń na jej dłoni.

Cofnęła rękę i uśmiechnęła się z przekąsem.

– Sądzisz, że nie dam sobie rady?

Paweł z urażoną miną oparł się o biurko i założył ręce na piersi.

– A jak przyjdzie z Borolą i prawnikiem? Mogą cię pożreć.

– Miejmy nadzieję. Mogę mieć dzięki temu kolejny szokujący materiał. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Dlaczego nie chcesz pokazać tego cholernego listu? – zapytał, spoglądając na nią z błyskiem irytacji w oczach.

– Przecież mówiłam ci wczoraj, że ten cały Fleming obiecał mi powiedzieć coś na temat tego samochodu. Więc najpierw dowiem się, o co mu chodziło, a dopiero potem powiem ci, w czym rzecz. – Spojrzała na niego, unosząc brwi. – Poza tym jestem wolnym strzelcem, pamiętasz? Moje materiały są moje, dopóki nie uzgodnimy warunków.

– Aleś się zrobiła harda. Budynki nie będą się zawałyły co drugi dzień, a te techniczne teksty, które pisałaś, zawsze były na dobrym poziomie.

– Á propos. – Paulina sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła tekst, nad którym ślęczała w piątkowy wieczór. – To miało iść dzisiaj. Laserowy pomiar wilgotności. Koszmarne nudziarstwo.

– Super. – Paweł się rozpromienił i wziął do ręki koszulkę z wydrukiem. –

Pójdzie jutro. Za to przynajmniej nam dobrze płacą. Wysłałaś mi to e-mailem?

– Nie zdążyłam, ale mam to tutaj. – Podała mu pendrive.

– Zadzwoń do tego gościa i umów się z nim, a ja spojrzę na ten tekst. – Paweł wziął pendrive i włożył do portu USB swojego laptopa. Paulina skinęła głową. Odszukała numer Fleminga i z komórką przy uchu wyszła do głównej sali.

\*

Igor spał jak zabity. Nawet nie usłyszał dwóch pierwszych dzwonek, dopiero trzeci, który nazywał dzwonkiem ostatniej szansy, zdołał go ocucić. Sięgnął ręką na szafkę przy łóżku i wymacał, wściekle grający uwerturę do *Wilhelma Tella*, telefon. Ustawiał zawsze pobudkę na godzinę szóstą, szóstą trzydzieści i siódmą. Pierwszy dzwonek najczęściej lekceważył. Udawało mu się wstawać z reguły przy drugim, a trzeci dzwonił, jak był już pod prysznicem.

Po wczorajszym efektownym występie w roli pogromcy włamywaczy wracał do domu zestresowany i z burzą czarnych myśli w głowie. Obawiał się, że ktoś zapamiętał jego samochód, a może i tablice rejestracyjne, i zastanawiał się, jak się z tego wytłumaczy. Jeszcze wyjdzie na to, że był współnikiem tych dwóch typów. Po wejściu do domu od razu zrobił sobie mocnego drinka i usiadł przed telewizorem, żeby pozmienić bezwiednie kanały i uspokoić umysł.

Stało się już oczywiste, że to nie przypadki. Wszystkie te wydarzenia musiały się łączyć. Najwyraźniej ktoś usiłuje za wszelką cenę dotrzeć do wszystkich informacji dotyczących tego trupa i sarkofagu. Tylko po jakiego diabła? Kradzież jego dysku oraz późniejsza próba włamania do domu dziennikarki przekreśliły wygodną teorię o przypadkowych łobuzach, którzy dostali się do podziemi i nieumyślnie zabili ciecia. Przypomniał sobie o numerze do policjanta. Jak mu tam było? Bondar? Chyba nie ma innego wyjścia, trzeba będzie do niego zadzwonić i przejść się znowu na tę koszmarną komendę.

Igor naciągnął na siebie luźny biały T-shirt i jasne dżinsy, po czym przypomniał sobie, że przecież ma dziś w planach wizytę u konserwatora. Zaklął pod nosem i otworzył szafę. Wyjął lekką marynarkę i zmienił dżinsy

na luźne spodnie. W tym momencie zadzwoniła komórka w kieszeni dżinsów. Igor skacząc na jednej nodze, sięgnął po spodnie i zirytowany wyjął telefon. Nie zdążył, rozległ się sygnał poczty głosowej.

– Witam, Paulina Weber. Bardzo proszę o informację o godzinie i miejscu spotkania w sprawie wizyty u pani konserwator.

Sięgnął po torbę, wsadził do niej laptopa, chwycił marynarkę i wybrał numer dziennikarki. Z komórką przy uchu zatrzymał się przed swoim biurkiem. Po czwartym sygnale usłyszał piśnięcie. Zostaw wiadomość.

– Igor Fleming. Mamy chyba jakieś wyjątkowe trudności z komunikacją – powiedział głośno. – Spotkajmy się o jedenastej przed wejściem głównym do Urzędu Miejskiego. Proszę nie zapomnieć o kserokopii dla mnie. Dziękuję i do zobaczenia.

Włożył telefon do kieszeni i zbiegł po schodach. Kolejny dzień biegania po urzędach. Pewnie za chwilę zadzwoni Borola. Marzył o tym, żeby usiąść spokojnie u siebie w pracowni i zająć się swoimi sprawami. I żeby mu nikt nie przeszkadzał.

\*

Gmach szczecińskiego Urzędu Miejskiego powstał niczym ozdoba klamra, nanizana na najdłuższą chyba wśród miast północnej Europy oś kompozycyjną, łączącą zabudowę miasta z rekreacyjnymi terenami parkowymi i ogrodowymi, noszącymi obecnie nazwę Jasne Błonia. Jeszcze w połowie XIX wieku miejsce to wraz z okolicznymi terenami było częścią dużego majątku ziemskiego, nazywanego Dworem Fryderyka<sup>[9]</sup>. W 1860 roku majątek kupił od wdowy po ostatnim właścicielu żydowski spekulant Hirsch Moses. Kupiec, spodziewając się szybkiego wzrostu cen ziemi przewidzianej pod zabudowę, zlecił parcelację całego terenu szczecińskiemu mierniczemu Heinrichowi Mullerowi, zapoczątkowując tym samym rozwój miasta w tym akurat kierunku i powstanie w niedalekiej przyszłości szczecińskich Pól Elizejskich, nazywanych obecnie Żółtym Szlakiem.

Trudno sobie dzisiaj wyobrazić, jak inaczej wyglądało w tamtych czasach miejsce, w którym stoi obecnie budynek Urzędu Miejskiego. Heinrich Muller, przechadzając się po polach majątku swojego zleceniodawcy i szukając natchnienia dla koncepcji wytyczenia dróg i działek pod zabudowę, musiał widzieć stąd ogromny masyw otaczających miasto

fortyfikacji, które wylaniały się spośród łąnów zboża i drzew przy polnych drogach. Być może stanął w miejscu, gdzie obecnie znajdują się główne schody prowadzące do gmachu, i zobaczył jakiś kilometr dalej, dokładnie na wprost, potężny nos narożnego bastionu murów miejskich, a za nim, w głębi miasta, wysoką wieżę kościoła Świętego Jakuba. Tak czy inaczej, oś kompozycyjna, poprowadzona dokładnie na wprost wieży, najwyższej wówczas szczecińskiej świątyni, stała się inspiracją dla wszystkich późniejszych urbanistów i twórców rozbudowy miasta. Pierwszym z nich był szczeciński radca budowlany James Hobrecht, twórca generalnego planu zabudowy Berlina z połowy XIX wieku. Opracował on pierwszy plan zagospodarowania terenów wokół fortyfikacji Szczecina, w dużym stopniu oparty na koncepcji Mullera. Plan, wielokrotnie zmieniany i poprawiany, uchwalony został ostatecznie przez legendarnego szczecińskiego nadburmistrza Hermanna Hakena.

Miejsce, w którym stoi obecnie Urząd Miejski, miało być początkowo wielkim placem, oddzielającym zabudowę miasta od terenów zielonych. Później planowano postawić tutaj kościół, a dopiero w latach dwudziestych, gdy szukano miejsca pod budowę gmachu administracji prowincji, powstał pomysł, żeby monumentalną oś widokową zamknąć w tym właśnie miejscu równie monumentalnym budynkiem. To wtedy powstały także, znane obecnie w całym kraju z tysięcy fotografii, długie prawie na kilometr aleje z platanów, ciągnące się za Urzędem Miejskim i prowadzące w kierunku nieszczęsnego pomnika Czynu Polaków i dalej przez ogromny park Kasprowicza, las Arkoński aż do Puszczy Wkrzańskiej.

Tymczasem dochodziła powoli jedenasta, dziedziniec pomiędzy skrzydłami bocznymi Urzędu Miasta był już o tej porze zalany słońcem. Jak co dzień, przewijało się tutaj mnóstwo ludzi, interesantów, oficjalnych gości i turystów robiących sobie zdjęcia na tle fontann przed frontowym wejściem. Co chwilę przed budynkiem przejeżdżał kolejny samochód, krążący wokół i szukający wolnych miejsc parkingowych. Na murku fontanny, bawiąc się komórką i rzucając co chwilę spojrzenia w kierunku placu przed wejściem, siedział młody mężczyzna w szarej bluzie od dresu z naciągniętym na głowę kapturem. W lewym uchu miał wetkniętą malutką słuchawkę od telefonu.

\*

Paulina była bardzo ciekawa, czego mógł chcieć od niej Fleming,



dzwoniąc w niedzielę tak późnym wieczorem. Ale jako że zostawił dzisiaj tylko wiadomość na poczcie głosowej, nie mogło to być nic aż tak ważnego. To pewnie taki typ, który nie liczy się z tym, że jest późno czy weekend, po prostu z najmniejszą nawet głupotą potrafi dzwonić i zawracać głowę. Pomyślała, że wszystkiego się dowie na dzisiejszym spotkaniu, i zabrała się do poprawek przy dwóch artykułach, które miały pójść w jutrzejszym wydaniu.

Pawłowi udało się znaleźć wolne miejsce, w którym mogła się rozłożyć z laptopem i usiąść nad redakcją obu tekstów. Sponsorowanego, technicznego nudziarstwa oraz tego o Werwolfie, który Paweł niemiłosiernie poskracał i pokreślił flamastrem, robiąc na marginesie liczne sugestie i złośliwe uwagi. Chciała uporać się z tymi poprawkami przed wyjściem i oddać mu do składania.

Po dziesiątej udało jej się dobrnąć do końca. Odwróciła się w kierunku siedzącego niedaleko za przeszkloną ścianą Pawła, ale był akurat zajęty, rozmawiał z ludźmi z działu technicznego. Wpisała więc w okienku komunikatora, że jest gotowa i żeby podszedł do niej, jak skończy, po czym przypomniała sobie o kserokopii dla Fleminga. Sięgnęła do torby, wyjęła z niej teczkę z dokumentami i podeszła do stojącej pod ścianą obok drzwi na zaplecze socjalne kserokopiarki. Wyjęła stary list, zrobiła na wszelki wypadek dwie kopie i schowała je do teczki z dokumentami. Wróciła na miejsce, akurat gdy podchodził Paweł.

– Skończyłaś? – Popatrzył na odbitki, które w tym momencie chowała do torby. – Za prywatne odbitki rozliczamy się indywidualnie.

– Wpisałam się do zeszytu, nie martw się – powiedziała chłodno i usiadła przy biurku.

– Wiesz, co by było, gdyby każdy robił tutaj swoje prywatne odbitki, książki, albumy? Poszlibyśmy z torbami.

– Za każdym razem mi to mówisz i za każdym razem potrącasz z mojego honorarium. Więc w czym problem? Przestań marudzić i obejrzyj te teksty.

Odsunęła się i pozwoliła, by Paweł usiadł przed monitorem.

Paweł pokręcił głową i zaczął w skupieniu czytać. Dobrnął do końca i spojrzał na nią.

– Jest okej. Ten tekst o Werwolfie damy na dolnej połowie pierwszej

strony, a obok małą fotkę nieboszczyka z soboty, żeby przyciągała.

– Jasne. To ja jadę na to spotkanie z konserwatorem. – Wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy z biurka. – Jestem strasznie ciekawa, czym jest to coś, o czym mi Fleming n i e powiedział.

– Skombinuj jakąś fotkę, jak to będzie coś ciekawego. Powiniennem cię wyposażyć na takie spotkanie w zakamuflowany mikroaparat w długopisie. – Uśmiechnął się.

– Jasne, wyliczasz mi co do jednej kartki papieru ksero, a chciałbyś mnie wyposażyć w mikroaparat w długopisie? – Popatrzyła na niego kpiąco i zarzuciła torbę na ramię. – To na razie.

– Powodzenia. – Pomachał jej ręką i wykrzywił się komicznie.

Paulina idąc w kierunku wyjścia, wyjęła komórkę i wystukała numer taxi, myśląc jednocześnie, że limit na przejazdy skończył się w jej budżecie już dawno temu.

\*

Toyota toczyła się niemrawo w sznurze samochodów, które utknęły w korku przy ulicy dojazdowej do placu Grunwaldzkiego. Igor miał jeszcze dziesięć minut, ale bał się, że pod Urzędem Miejskim będą o tej porze koszarne problemy z parkowaniem i spędzi mnóstwo czasu, objeżdżając w kółko kilka przecznic, żeby znaleźć wolne miejsce.

Korek przesunął się w końcu do przodu i samochód wjechał na plac, z którego skręcił w drugą przecznicę, prosto w dawną aleję Jedności Narodowej, a obecnie aleję Jana Pawła II. Stąd było już widać, prześwitujący między drzewami, ogromny fronton gmachu magistratu. Igor przyśpieszył i po chwili dojeżdżał już do poprzecznej ulicy, z której był wjazd na dziedziniec Urzędu Miejskiego. Oczywiście wszędzie stały już tabuny samochodów, nietrudno było zgadnąć, że parking za urzędem, bardzo mały, wręcz mikroskopijny jak na potrzeby interesantów gigantycznego urzędu, był kompletnie zapchany. Igor skręcił w prawo i objechał cały gmach wokół, rozglądając się wzdłuż ulicy i licząc na to, że ktoś będzie akurat wyjeżdżał. Przejechał pod sklepioną bramą przejazdową pod urzędem i wyjechał z powrotem na dziedziniec frontowy, akurat by zobaczyć, że zwalnia się właśnie jedno z pierwszych miejsc przy bocznej ulicy. Wcisnął pedał gazu i po chwili z uczuciem dużej ulgi zaparkował i wyłączył silnik. Wziął torbę

z siedzenia pasażera i ruszył w kierunku głównego wejścia do budynku. Przechodził właśnie przez pasy, gdy na dziedziniec wjechała taksówka, z której wysiadła dziewczyna o znajomej sylwetce, ubrana w dżinsy i lekką białą marynarkę. Rozejrzała się wokół i nie zauważywszy Igora, skierowała się powoli na plac przed budynkiem. Trzymała na ramieniu czarną torbę, a w ręku dużą białą kopertę.

Igor ruszył w jej kierunku i dochodził właśnie do fontanny, gdy nagle od strony bliźniaczej fontanny po drugiej stronie placu wybiegł młody mężczyzna z kapturem naciągniętym na głowę. Błyskawicznie podbiegł do Pauliny i zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, wyrwał jej z ręki białą kopertę i rzucił się sprintem w kierunku bramy przejazdowej na tyły budynku. Zdezorientowana Paulina zdołała się obrócić i krzyknąć za nim, i w tym samym momencie zobaczyła Igora, którego na krótką chwilę zamurowało. Kompletnie oszołomiony patrzył na Paulinę i wtedy dotarło do niego, co zaszło.

List!

Rzucił na chodnik torbę i puścił się biegiem za chłopakiem w kapturze. Przebiegł przez bramę, o mało nie wpadając pod wjeżdżający w nią właśnie samochód, i poganiany klaksonem, pognął dalej, rozglądając się na boki. Za urzędem od centralnego parkingu odchodziły w dwie strony boczne ulice, prowadzące w głąb gęstej zabudowy mieszkalnej, złożonej ze starych, przedwojennych willi oraz nowych niskich bloków z wysokimi dachami. Zdezorientowany Igor rozejrzał się, gdy nagle z prawej strony, w głębi bocznej ulicy, zauważył uciekającego chłopaka w kapturze. Ruszył za nim biegiem, ale już w tym momencie zdał sobie sprawę, że tamten ma zbyt dużą przewagę. Dobiegł do zakrętu ulicy, zobaczył złodzieja znikającego za bocznym skrzydłem Urzędu Miejskiego i ruszył za nim. Przebiegło mu przez myśl, że robi ponownie rundę wokół budynku, tylko teraz bez samochodu. Gdy wbiegał na ulicę prowadzącą wzdłuż frontu budynku, ujrzał tylko tył odjeżdżającej białej furgonetki. Równie dobrze chłopak mógł zniknąć pomiędzy blokami po drugiej stronie ulicy. Zatrzymał się i dysząc, głośno zaklął.

Przechodząca obok starsza pani popatrzyła na niego z dezaprobatą. Skrzywił się, odetchnął głęboko i szybkim krokiem poszedł w kierunku dziedzińca urzędu. Gdy wyszedł na plac przed budynkiem, zobaczył Paulinę, która stała z jego torbą na chodniku, tuż obok jego samochodu.

\*

Karpacky, przytrzymując jedną ręką kierownicę, drugą otworzył kopertę i sięgnął do środka. Wewnątrz była kartka papieru. Wyjął ją i spojrzał na nią z malującym się na twarzy rozczarowaniem. Ściągnął brwi i co chwilę zezując na jezdnię, zaczął czytać. Po pierwszych wersach uśmiechnął się do siebie. To było to!

Odwrócił się do tyłu i uniesionym kciukiem pokazał zdyszanemu Markusowi, że wszystko gra. Biała furgonetka wyjechała z wąskich ulic dawnego Westendu [\[10\]](#) i skierowała się w stronę centrum miasta.

\*

Igor, ciężko dysząc, oparł się o samochód.

– Uciekł skurwysyn! Wbiegł gdzieś między domy i przepadł. – Spojrzał ze złością na Paulinę. – Mogła mi to pani dać w budynku. A teraz po ptakach.

Paulina, wciąż wstrząśnięta swoim niezamierzonym udziałem w brawurowej, złodziejskiej akcji, odetchnęła i sięgnęła do torby. Z ręką tkwiącą w środku zawahała się i rozejrzała uważnie dookoła. Przycisnęła torebkę do boku i popatrzyła na Igora.

– Mam to tutaj.

Igor cały czas oparty o samochód, spojrzał na nią.

– Co takiego?

– Mam list cały czas przy sobie.

Igor ściągnął brwi.

– To co ten dresiarz ukradł?

– Prosił mnie pan o kserokopię.

– Czyli goiłem jakiegoś złodzieja wokół magistratu przez głupie ksero? Ja pie... – Urwał i spojrzał bykiem na Paulinę.

Owszem, może i parę razy narzekał ostatnio, że jego życie jest nudne i monotonne... Ale taka gwałtowna zmiana? Co tu się dzieje, do cholery? Od piątku bierze cały czas udział w jakichś włamaniach, pościgach, morderstwach i penetrowaniu lochów.

– Czy tu jest ukryta kamera? – Rozejrzał się wokół siebie i spojrzał na nią

oskarżycielsko, unosząc wysoko brwi...

– Jaka kamera? – zdziwiła się Paulina, szeroko otwierając oczy.

– Nie nagrywa pani tego? To nie jest jakiś program typu „zrobimy z tego kolesia idiotę”?

– Zwariował pan?

– Przedwczoraj znalazłem zwłoki portiera z hotelu, wczoraj mnie okradziono, a teraz ta widowiskowa akcja z pościgiem. O zawałeniu S-Center nawet nie wspomnę.

– I sądzi pan, że ja to wszystko zorganizowałam? Poza tym pościg pan sam urządził.

Igor odetchnął spokojniej.

– Wczoraj ktoś się do mnie włamał. Jedyne, co zginęło, to twardy dysk ze zdjęciami z podziemi.

– Jak to? – Paulina spojrzała na niego zaskoczona. – Zgłosił pan na policję?

– Próbowałem, ale nie chcieli przyjąć zgłoszenia.

– To dziwne, do nas też się wczoraj wieczorem ktoś usiłował włamać. Chcieli usnąć gazem psa.

– Wiem – odrzekł Igor i kliknął pilotem, zamykając drzwi samochodu. – Chodźmy, spóźnimy się na spotkanie z konserwatorem.

– Skąd pan wie? – Paulina, cały czas przyciskając torbę mocno do boku i rzucając wkoło niespokojne spojrzenia, ruszyła za nim.

Igor stanął i poczekał na nią.

– Mam propozycję, jestem starszy od pani, więc wypada mi to zaproponować. Czy możemy przejść na ty?

Paulina przystanęła i podała mu rękę.

– Oczywiście. Bardzo mi miło. Może dzięki temu będziemy mieli mniej kłopotów z komunikacją – rzekła z drwiącym uśmiechem. – Zatem skąd wiesz o włamaniu do nas?

– Dzwoniłem do ciebie wczoraj przez cały wieczór. Chciałem cię uprzedzić, żebyś pilnowała tego cholernego trupiego listu.

– Byłam w kinie, a potem przez to zamieszanie zapomniałam oddzwonić.

– No właśnie. A ja pojechałem do ciebie na Pogodno i akurat nadziałem się na tych włamywaczy.

Paulina, zaskoczona, spojrzała na niego. Ściągnęła brwi.

– Pojechałeś do mnie? A skąd miałeś mój adres? Na pewno nie dał ci ktoś z redakcji?

– Przecież mówiłem, że nikt z redakcji. Jestem zaradny – rzucił ze złośliwym uśmieszkiem. – A poza tym złodziejom dotarcie do ciebie też, jak widać, nie sprawiło za wiele kłopotów.

– Zakładając, że nie byli to jednak jacyś przypadkowi menele.

– Z gazem usypiającym? – Igor spojrzał na nią powątpiewająco.

Paulina wydeła wargi.

– Więc widziałeś ich? Czemu nie zostałeś tam, żeby kogoś powiadomić?

– Twoi sąsiedzi z całą pewnością zarejestrowali niespodziewaną światłość i ryk klaksonu.

– No tak, ale... – Paulina spojrzała na niego otwartymi szeroko oczami. – To ty?

– A co miałem zrobić? – Igor wzruszył ramionami i poszedł w kierunku schodów do środkowej części Urzędu Miejskiego. – Patrząc, jak usypiają twojego psa? Policja by pewnie przyjechała nad ranem.

Paulina, która znowu przystanęła zaskoczona, ruszyła za Igorem szybkim krokiem i zrównała się z nim dopiero przed wejściem do budynku.

– Chyba muszę ci podziękować – powiedziała, gdy przystanął, żeby ją przepuścić w drzwiach. – Maks już się dobrze czuje, tylko spał przez całą noc.

– Całe szczęście. – Igor poczekał, aż Paulina wejdzie do środka, i poszedł za nią.

\*

Miejskim konserwatorem zabytków w Szczecinie była bardzo atrakcyjna kobieta. Magdalena Starska sprawowała tę funkcję od dobrych kilku lat i w ciągu tego okresu zdołała zyskać równie dużo uznania, co i słów krytyki. Często zarzucano jej, że jest niesamodzielną i większość trudnych decyzji podejmuje właściwie pod dyktando wojewódzkiego konserwatora zabytków,

zresztą swojej dobrej koleżanki. Przy tym jednak miała bardzo profesjonalne, chociaż dalekie od fundamentalistycznego, podejście do znajdujących się pod jej opieką obiektów zabytkowych w mieście. Kierowany przez nią wydział składał się z niezwykle uprzejmych i kompetentnych osób, co sprawiało, że na tle ogromnej, rozbudowanej administracji budowlanej był prawdziwą osamotnioną wyspą.

Starska знаła Igora Fleminga, podobnie zresztą jak i każdego innego architekta w mieście, który pracował przy renowacjach lub przebudowach budynków wpisanych do rejestru zabytków. O piątkowych wydarzeniach dowiedziała się najpierw z mediów, a później od Rafała Boroli, który zadzwonił do niej i zapowiedział wizytę swojego architekta. Nie chciał zdradzić jej celu, mówiąc tylko, że będzie wstrząśnięta.

Dziecinada! Oczywiście, odkrycie tego starego samochodu jest niezwykle wartościowe i Muzeum Techniki pewnie będzie bardzo zainteresowane jego przejęciem, ale dla miejskiego konserwatora zabytków nie był to temat specjalnie interesujący. Co innego te podziemia pod hotelem. O tym, że są tam jakieś pozostałości twierdzy szczecińskiej, było wiadomo od dawna i właściwie spodziewała się odkrycia czegoś ciekawego podczas budowy S-Center, ale nic takiego nie nastąpiło. A teraz okazało się, że zachowany jest cały oryginalny odcinek korytarza fortecznego! To było coś.

Spojrzała na zegar. Minęła właśnie jedenasta dziesięć. Ten cały Fleming się spóźnia. Zarezerwowała dla niego pół godziny, które właśnie skróciło się do dwudziestu minut.

\*

Paulina weszła do chłodnego wnętrza Urzędu Miasta i rozejrzała się wokoło. Była tu wielokrotnie, ale nigdy u miejskiego konserwatora zabytków. Nawet nie wiedziała, gdzie ma gabinet. Znajdowali się w wielkim hallu na parterze. Na wprost monumentalne, szerokie schody prowadziły na wyższe kondygnacje. Piętro wyżej, dokładnie nad jej głową, była wielka sala, która przed wojną pełniła funkcję biblioteki, a obecnie czasami przejmowała funkcję sali konferencyjnej. Nad nią znajdował się gabinet prezydenta.

Igor ruszył przed siebie i skręcił w lewo. Paulina poszła za nim i po chwili oboje weszli do wąskiego pomieszczenia pełniącego rolę sekretariatu i zarazem pomieszczenia biurowego przed gabinetem pani konserwator. Igor

przedstawił Paulinę i oboje usiedli w fotelach przed biurkiem, nad którym wisały fotografie starych kamienic, detali architektonicznych i rysunki ciekawych, szczecińskich miejsc, o których istnieniu Paulina nawet nie wiedziała.

Uderzyła ją skromność wnętrza. Sądziła, że miejski konserwator zabytków rezyduje w bardziej reprezentacyjnym gabinecie.

– Panie Igorze, co pana sprowadza? Pan Borola był bardzo tajemniczy w rozmowie telefonicznej – powiedziała z uśmiechem Starska.

Igor sięgnął do swojej torby i wyciągnął duże kolorowe wydruki zdjęć, które przygotował wcześniej. Położył je na biurku przed sobą i spojrzał na Paulinę, która zezowała w kierunku zdjęć, z trudem powstrzymując ciekawość.

– O samochodzie i tym fortecznym tunelu pani oczywiście słyszała, ale prasa nie napisała o czymś, co było tam jeszcze. Na kufrze ciężarówki. Proszę obejrzeć. – Przesunął fotografię w kierunku Starskiej.

Miejskiego konserwatora zabytków trudno zaskoczyć. Większość odkryć jest najczęściej przewidywalna, stare zachowane czasem elementy wyposażenia wewnątrz lub dekoracje odnajdywane w wykopach na budowach mogą oczywiście zachwycać, ale Magdalena Starska nie pamiętała w swojej karierze, żeby cokolwiek ją zaszokowało. Może troszkę, dawno temu. Prastara figurka bogini z czasów słowiańskich, odnaleziona na Starym Mieście podczas odbudowy podzamcza. Ale takie rzeczy zdarzały się niezmiernie rzadko. Wzięła do ręki fotografię i po chwili poczuła, że to jest właśnie ta chwila. Wstrząśnięta, pochyliła się nad zdjęciem przedstawiającym wyraźnie widoczne dekoracje zwieńczenia sarkofagu i piękny, choć ledwo widoczny, rytowany napis.

– Matko Boska! – powiedziała cicho, patrząc na Igora i bliską pęknięcia z ciekawości Paulinę.

– Zaginiony sarkofag. – Igor popatrzył na Paulinę i podał jej jedno ze zdjęć.

Paulina wzięła do ręki fotografię, wbijając w nią wzrok. I ona tego nie zauważyła, będąc dosłownie o metr obok! Przecież jak Paweł się o tym dowie, to ją zabije.



Magdalena Starska, po wyjściu Igora i Pauliny, wpatrywała się jeszcze długo w fotografie, które jej zostawili. Zegar wybił dwunastą i właśnie się spóźniała na spotkanie u miejskiego architekta, ale czuła się usprawiedliwiona.

To znalezisko to jest unikat! Będzie o nim pisała cała prasa europejska, jak tylko otworzą ten sarkofag. Jego wyposażenie może być bezcenne! Może się okazać, że zachowana biżuteria z jedyne go ocalałego po wojnie sarkofagu Franciszka I jest tylko marną namiastką tego, co odkryją tutaj.

Wzięła do ręki list znaleziony w szoferce ciężarówki. Co za nieprawdopodobna historia! Spojrzała na telefon i sięgnęła po słuchawkę.

– Witam, tutaj Starska, chciałabym mówić z prezydentem. To bardzo pilne!

## Rozdział 9

Więc miał na imię Barnim? – spytała w zamyśleniu Paulina, patrząc na fotografię pokrywy sarkofagu, na której wyraźnie widać było pierwszy wers inskrypcji.

– Słucham? – Igor popatrzył na nią, unosząc brwi.

Paulina oderwała wzrok od zdjęcia.

– Ten Niemiec w ciężarówce. Miał na imię Barnim.

Sięgnęła do torby i wyjęła duży czarny notes z poupychanymi w nim różnymi kartkami i wizytówkami. Położyła go na stole i otworzyła w miejscu założonym zgietą w pół kartką papieru. Przesunęła notes w kierunku Igora, pokazując palcem fragment tłumaczenia.

*...historię mojego wielkiego imiennika...*

Igor przeczytał werset i spojrzał na Paulinę.

Siedzieli w letnim ogródku przy alei Fontann. Po wyjściu z Urzędu Miejskiego Igor zaproponował Paulinie kawę. Jeszcze teraz był zdenerwowany bezczelną kradzieżą przed budynkiem. Uderzyło go, jak w gruncie rzeczy łatwo jest kogoś obrabować i jak mało ma się możliwości obrony przed takimi sytuacjami. Wezwanie policji w ogóle nie wchodziło w rachubę. Przede wszystkim dlatego, że musieliby czekać tam ze czterdzieści minut i przełożyć wizytę u konserwatora zabytków, a poza tym właściwie nic przecież nie zginęło.

– To, że miał na myśli księcia, chyba nie budzi wątpliwości? – Paulina spojrzała na tekst tłumaczenia. Po wyjściu z gabinetu Starskiej miała mętlik w głowie. Czuła ulgę, że zakończyła się ta sprawa z listem, ale to, co zobaczyła na zdjęciach Igora, sprawiło, że wszystko, co wiązało się z ciężarówką, w jednej chwili z ciekawej historii zmieniło się w prawdziwą sensację. I to – biorąc pod uwagę ewentualną zawartość tego sarkofagu – na

poziomie europejskim. Artykuł na ten temat może zrobić z niej wreszcie dziennikarkę z pierwszych stron.

– Książę z sarkofagu pierwszy przychodzi na myśl. – Igor wzruszył ramionami.

– No właśnie. – Paulina otworzyła złożoną kartkę, na której była druga kserokopia oryginału listu. – Jego żona lub siostra miała na imię Gustawa, mieszkali w Szczecinie...

– Właśnie nie w Szczecinie – przerwał jej Igor, stukając palcem w wiersz w tekście. – Raczej pod Szczecinem. Pisze o ucieczce z Pomorza i że tęskni za domem i lasem. I jakimiś kamieniami przodków. Dobrze to przetłumaczyłaś?

– Kamienie przodków to mogą być groby po prostu, chociaż on wyraźnie napisał „kamienie”. To pewnie coś znaczy. Może jakieś tablice pamiątkowe.

– A to by wskazywało na jakąś znaczącą rodzinę. Mało kto ma przy domu tablice pamiątkowe przodków. Może to jakiś dwór lub pałac?

– Faktycznie, z tym Szczecinem... jakoś tak się zasugerowałam, ale mogli przecież przyjeżdżać do miasta. A ten stary rzeźbiarz pod czerwoną różą? To jakaś knajpa pewnie?

– Pewnie tak. – Igor w roztargnieniu potarł brodę, patrząc na kserokopię. – Co komu po tym liście? Chyba że to kolejny przypadek, a ten drań chciał ci ukraść tylko torebkę.

– Torebkę mógł mi ukraść bez problemu. – Paulina pokręciła głową. – Zaskoczył mnie i pewnie nawet bym nie zdążyła dobrze chwycić paska. Wydaje mi się, że on chciał ukraść kopertę.

– No więc właśnie. W ciągu jednego weekendu trzy włamania i teraz ta kradzież. Wykluczone, żeby to był przypadek.

– A ten dysk... jesteś pewien, że naprawdę ktoś go ukradł? – spytała Paulina, patrząc na Igora.

– Jak często wyjmujesz dysk twardy z komputera?

– Nigdy nie wyjmowałam. Brat wyjmował, kiedy go wymieniał na większy.

– No właśnie. Gdyby to chodziło o dysk zewnętrzny, to dałbym sobie wmówić, że go sam wyjąłem i bezwiednie włożyłem do lodówki. Ale twardy

dysk? Nie ma takiej możliwości.

Paulina z trudem oderwała się od wizji twardego dysku leżącego obok jogurtu i polędwicy sopockiej.

– Znalazłam w pewnej książce opis dużej akcji Werwolu z ostatnich dni pobytu Niemców w Szczecinie – powiedziała z namysłem i streściła Igorowi fragmenty przeczytanej niedawno książki.

– Ciekawe. Nie znałem tego. – Igor pokręcił głową. – Ale co w związku z tym?

– Przyszła mi do głowy taka teoria – rzekła powoli. – Ci sabotażyści utknęli w Szczecinie, a w międzyczasie zapadły postanowienia Układu Poczdamskiego. W mieście pojawiło się mnóstwo Rosjan, Polaków. Jakiegokolwiek szanse na powrót Niemców właśnie upadły. Może niektórzy z nich pomyśleli, żeby się z tego wszystkiego wycofać, ale jednocześnie załatwić przy okazji coś dla siebie. W Szczecinie wszystko już było rozszabrowane, ale tak się złożyło, że właśnie dopiero co odnaleziono kryptę, a sarkofagi znalazły się we wnętrzach pewnie średnio zabezpieczonego i średnio strzeżonego, i w dodatku zrujnowanego zamku. Postanowili się więc obłowić i zwać przez zieloną granicę, a dla usprawiedliwienia mieli, dla użytku własnych sumień, teorię o uratowaniu pomorskiego dziedzictwa przed polską i sowiecką hołotą.

Igor spojrział na Paulinę z namysłem.

– Takie *Złoto dla zuchwałych*[\[11\]](#) – mruknął.

– Właśnie – przytaknęła Paulina. – Akcja się nie udała, ten z podziemi został postrzelony, reszta go zostawiła i związała, uprzednio zabezpieczając wjazd do podziemi albo zawałając go. I teraz jacyś ich potomkowie może albo niemieccy poszukiwacze skarbów, którzy się dowiedzieli o tej akcji, usiłują się do tego dostać.

– Hmm... ciekawa teoria, ale mam wątpliwości. – Igor ściągnął brwi, patrząc w tekst listu.

Paulina spojrzała na niego z irytacją. Mądrała! To wymyśl lepszą, pomyślała.

– Popatrz tutaj. – Igor pochylił się i wskazał palcem fragment tekstu.

*Nasi bracia nie żyją, a mnie nie udało się uratować sarkofagu. Miał nie*

*wpaść w niepowołane ręce, ale teraz nie wiem, co z nim będzie. Nie wiem, czy przeżył ktoś, kto zna historię mojego wielkiego imiennika i czy mam prawo ją komuś przekazać...*

– Sama to tłumaczyłaś. Ten ustęp raczej nie wskazuje na to, że to był wkurzony na Hitlera koleś, który chciał się obłowić. Pisze o jakichś niepowołanych rękach.

– Może sami siebie oszukiwali, że chcą go uratować przed wpadnięciem w niepowołane ręce Polaków albo Rosjan, a w rzeczywistości chcieli go po prostu obrabować.

Igor spojrzał na nią i pokiwał głową.

– A niżej pisze o jakiejś historii swojego imiennika. Założyliśmy, że chodzi o księcia Barnima. Zastanawiam się, co zwyczajnych żołdaków z Werwolfu obchodzi jakaś historia księcia z szesnastego wieku? Może mylimy się co do tego imiennika? Może to nie chodzi o Barnima?

– Więc może to jest w ogóle napisane jakimś szyfrem. Jakimś językiem skojarów i odwołań, które są zrozumiałe tylko dla tych żołdaków?

– No, właśnie tak mi się wydaje. Tylko ten pierwszy tekst o Hitlerze jest jakiś mylący. Jakby facet rzeczywiście był przepełniony goryczą i wściekły na to, że Führer wpakował ich w takie tarapaty. Cały naród wpakował w tarapaty. Dziwne, że żołnierz z Werwolfu, czyli raczej bezwzględny maniak, mógł mieć tak złe zdanie o swoim wodzu.

– Hmm... – Paulina pokiwała głową. – Też na to zwróciłam uwagę.

– Poza tym myślę, że jeśli chcieliby się po prostu obłowić, to rozwaliliby ten sarkofag jeszcze w zamku i wyjęli, co się da z wnętrza, a nie wlekli go ze sobą w ciężarówce. Nie sądzisz?

Paulina wzruszyła ramionami. Nie znajdowała logicznego wytłumaczenia dla sarkofagu w ciężarówce. Koncepcja z próbą wzbogacenia się żołnierzy Werwolfu miała rzeczywiście poważne braki, ale z jakiego innego powodu mógłby im być potrzebny? Popatrzyła dyskretnie na pochylonego nad listem Igora. Jak się wyluzuje, to całkiem miły z niego facet.

– Niepokoją mnie ci ludzie – powiedział.

– Jacy ludzie? – Paulina w pierwszej chwili nie zrozumiała. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak mu się przypatruje.

– Ci, co właśnie cię okradli. Gdyby przyjąć koncepcję o jakiejś bandzie poszukiwaczy skarbów, to by wskazywało, że to oni wdarli się do lochów w sobotę. I być może zabili ciecia. Być może, bo w dalszym ciągu nie można wykluczyć wypadku – dodał.

– W krótkim czasie dotarli do informacji o tobie i o mnie. Gdzie mieszkamy i takie tam. – Paulina ściągnęła brwi. – Są dobrze zorganizowani.

– I teraz mają już ten list. I wiedzą, że w podziemiu jest sarkofag. Ale... – Igor przerwał i zamyślił się.

– Co ale?

– Jeśli chodziło im o sarkofag, to skoro za chwilę zostanie przejęty przez służby konserwatorskie i wyląduje w pracowni w muzeum, to dla nich jest po ptakach. Poza tym o sarkofagu przecież z założenia powinni wiedzieć od początku.

– Dlaczego? Skąd to założenie?

– Sama pomyśl. Jakaś banda dowiadyje się skądś tam, może z niemieckich archiwów albo prywatnej korespondencji tych byłych członków Werwolfu, o nieudanej akcji kradzieży sarkofagu. Wiedzą zatem, że został w Szczecinie w podziemiach. Możliwe, że czekali na jakąś sposobność, aby się do niego dorwać. A teraz nagle zawala się S-Center i o ciężarówce dowiadyje się każdy, kto miał w rękach twoją gazetę. Może próbowali wykorzystać ostatnią możliwość, żeby się do niego dostać? Ale teraz, kiedy przejmie go muzeum, to nie będą mieli już żadnej okazji. Czyli w tym momencie dla nich powinno być po zabawie.

– Może ta grupa Werwolfu ukradła coś jeszcze. Może spodziewali się, że w liście znajdą jakieś informacje na ten inny temat.

– No właśnie. Wygląda na to, że mimo wszystko poruszają się po omacku i nie mają wszystkich danych.

– Ale wiedzą to, czego my nie wiemy – powiedziała Paulina, unosząc brwi.

– Co niby? – Igor popatrzył pytająco.

– Skoro o tej akcji dowiedzieli się od jej byłych uczestników bądź z jakichś niemieckich źródeł, które to opisały, to prawdopodobnie wiedzą, kim był ten kierowca.

\*

Kilkadziesiąt metrów dalej, na pierwszym piętrze komendy Śródmieście, Marek Bondar siedział przy swoim biurku, zajadając wielką drożdżówkę z budyniem. Przed nim leżały porozkładane zdjęcia z podziemi hotelu, a obok kilka dokumentów. Czekał na wyniki badań daktyloskopijnych z klódek i kluczy oraz na raport z wejścia do lochów z piątku. Nie spodziewał się rewelacji, najbardziej prawdopodobna była jednak teoria o wypadku. Na ciele stróża nie było żadnych śladów szarpaniny czy czegoś, co mogłoby świadczyć o tym, że ktoś go napadł. Pozostawały tylko wątpliwości co do tego, jaką rolę odegrał w tym ten cały Fleming. Dzisiaj rano grupa policjantów jeszcze raz zeszła do podziemi i pobrała próbki z okolic samochodu. To było akurat bardzo proste, ponieważ na prawie centymetrowej warstwie kurzu gołym okiem było widać ślady pozostawione przez czyjeś ręce.

Do klitki Bondara, oddzielonej od korytarza częściowo przeszkloną ścianką, wszedł młody policjant z plikiem papierów.

– Już jest wszystko. Zrobili szybciotko. Nie mamy u siebie odcisków palców ani Fleminga, ani tej dziennikarki, żeby porównać, ale sądzę, że te, które się tutaj powtarzają w dużej ilości, to właśnie ich. Na klódkach mikroślady jakby po rękawiczkach, ale to równie dobrze może być tylko niedokładność badań. W zasadzie zawracanie głowy.

– Też tak uważam. Myślę, że cieć sam tam polazł, a ten cały Fleming rzeczywiście przyjechał, żeby sprawdzić, co jest grane. Tamten się przestraszył i upadł. Fleming wpadł w panikę i wymyślił na poczekaniu historię o włamaniu.

– A klucze? Ponoć miał je tylko Borola.

– To jedyne, co mnie zastanawia. Ale może kłamią. Ludzie w takich sytuacjach postępują zadziwiająco bezsensownie. Może Borola posłał Fleminga nie po to, żeby sprawdził, co z cieciem, ale po to, żeby tam pogrzebał. I teraz obaj się wypierają.

– Hmm...

Młody policjant siadł na krześle naprzeciw Bondara i wziął jedno ze zdjęć z biurka.

– Dzisiaj, zaraz po nas, był tam nadzór budowlany. Strasznie się trzęsą nad

tym samochodem. Sądzi pan, że to prawdziwy sarkofag? Nie chce mi się wierzyć.

– Jak zbadają, to będzie wiadomo. No nic. Trzeba wezwać tutaj Fleminga i Weber i pogadać z nimi. Zadzwoń do obojga i umów na jutro. Im prędzej to skończymy, tym lepiej.

\*

Srebrny mercedes z bocznym napisem „Airport Taxi Group” zjechał na prawy pas Trasy Zamkowej i skręcił zjazdem na ulicę Jana z Kolna. Johann siedział z tyłu i ciekawie się rozglądał dookoła, chłonąc widoki, które do tej pory znał wyłącznie z opowiadań i starych zdjęć w albumach dziadka.

Godzinę temu wylądował na lotnisku w Goleniowie. Oczekiwał raczej klimatu wschodnioeuropejskiego na wzór angielskich filmów szpiegowskich, które Polskę przedstawiają ciągle jako miejsce, gdzie jeżdżą prawie wyłącznie furmanki, a na ulicach można kupić od zmarzniętych dziewczynek zapalki. Lotnisko go mile zaskoczyło. Nieduże, ale nowoczesne, jasne i przestronne. Zjadł kanapkę i napił się kawy w małym barku w sali przylotów, po czym ruszył szukać jakiegoś transportu.

Wyjazd do Szczecina był megaspontaniczny. Miał zaległy tydzień urlopu, a w pracy akurat bardzo wolne obroty. Jako że przebąkiwał coś wcześniej o urlopie, nie zaskoczył specjalnie nikogo z firmy, dzwoniąc i informując, że chce wyjechać na tydzień. Do Szczecina latały tylko jakieś tanie linie lotnicze, ale uznał, że korona mu z głowy nie spadnie, i w poniedziałek raniutko wyleciał z lotniska na Stansted.

Taksówka zjechała z estakady i wzdłuż Jana z Kolna przebiła się na lewą stronę, kierując się do zjazdu w ulicę Admiralską. Przejeżdżając u stóp Wałów Chrobrego, Johann musiał przyznać, że to miejsce zasługuje na swoją sławę. Przypomniał sobie, jak dziadek mu opowiadał o rozległych widokach na port i dorzecze Odry. I jeszcze o starym forcie z czasów szwedzkich, na którego koronie powstały Tarasy Hakena.

– Czy będziemy jechać górą? – spytał. Mile go zaskoczyło, że kierowca całkiem dobrze mówi po angielsku.

– Jeśli pan sobie życzy, to oczywiście możemy wjechać na Wały



Chrobrego. – Taksówkarz uśmiechnął się, odwracając głowę do Johanna.

– Super!

– Pierwszy raz w Szczecinie?

– Tak. Znam to miasto jedynie z opowieści dziadka.

– Dziadek był ze Szczecina? Myślałem, że jest pan Anglikiem – zdziwił się taksówkarz.

– Mama jest Niemką, ojciec Anglikiem. A ja lubię myśleć o sobie, że jestem londyńczykiem. – Johann uśmiechnął się szeroko.

Taksówka skręciła za budynkiem Urzędu Wojewódzkiego i powoli zaczęła się toczyć wzdłuż Wałów Chrobrego.

– A tam, na wprost, jest pana hotel. – Taksówkarz pokazał palcem budynek zamykający perspektywę pasażu. Samochód zakręcił wokół potężnego muru oporowego i zjechał w dół, prosto przed portal wejściowy narożnego, stylowego budynku.

Johann wysiadł, postawił torbę na chodniku i stanął u stóp schodów prowadzących do wejścia. Zadarł głowę do góry.

– No, to jestem w Szczecinie, dziadku.

\*

Igor zaparkował przed restauracją na Wałach Chrobrego i wyszedł kupić bilet parkingowy. Miał się tutaj spotkać z klientem, z którym chciał omówić kilka spraw i pokazać mu nową wersję elewacji domu. Nieduża praca, ale ciekawa i zadowalająca. Klient po raz trzeci wracał do niego z kolejnym tematem, a nic nie jest tak satysfakcjonujące dla architekta, jak zadowolony inwestor, który wraca z kolejnym zleceniem. Wyjął bilet z parkometru i spojrzął na zegarek. Miał jeszcze dziesięć minut. Akurat tyle, żeby poukładać sobie myśli po spotkaniu z Pauliną. Wolnym krokiem podszedł do samochodu, włożył bilet za szybę i ruszył wzdłuż niskiego murku oddzielającego górę Wałów Chrobrego od biegnącej w dół ulicy Kapitańskiej. Oparł się o murowaną, ceglana balustradę i spojrzął w dół. Przed wejściem do hotelu stało kilka aut i wysiadali jacyś ludzie. Wzdłuż ulicy nadjechał powoli biały mercedes SLK i zaparkował na wolnym miejscu postojowym jakieś kilkanaście metrów za hotelem. Wysiadła z niego szczupła brunetka z włosami związanymi na karku i granatową torbą w rękę,

po czym ruszyła w kierunku schodów. Skądś ją znał. Popatrzył uważniej, czekając, aż się jeszcze trochę zbliży. I nagle ją poznał. Dorota. Poczłł nieprzyjemne ukłucie. Co ona tu robi?

Gdy jej nie widział, miał wrażenie, że emocjonalnie jest mu już obojętna, ale zupełnie co innego nagle ją zobaczyć. Tuż obok. Jak gdzieś sobie idzie. Po tym jak uciekła z jego życia i ma teraz pewnie jakieś zupełnie inne, w którym w ogóle go nie ma. Poczłł, jak niewidzialna ręka złapała go za gardło i lekko ścisnęła. Przez chwilę miał ochotę ją zawołać, ale zrezygnował. Odprowadził ją wzrokiem do samych drzwi i odwrócił się. Przed restauracją zatrzymywał się właśnie znajomy terenowy samochód.

\*

Dorota wysiadła i trzasnęła drzwiami mercedesa. Wyciągnęła z tylnego siedzenia małą torbę podróżną i zamknęła auto pilotem. Jeszcze teraz była zła na Kurta. Kiedy trafia jej się wreszcie szansa na ciekawy temat, jemu to się oczywiście nie podoba. Bo muszą niby kończyć wnętrza do dwóch banków i już za chwilę będą opóźnienia, a możliwe, że i kary umowne. Ale przecież ma tam troje asystentów od tego. Dlaczego ona ma się zajmować takimi rzeczami, skoro tutaj wpadła jej w ręce doskonała robota?

Głupie gadanie! Że ten temat będzie wymagał ciągłych wyjazdów do Szczecina i że inwestor, który miesiąc po rozpoczęciu współpracy z jednym architektem szuka kolejnego, nie jest wiarygodny. Jej się ten temat bardzo podobał i cieszyła się, że do niej wrócił. Ponadto cena, którą zaproponowała, była nawet według niej za wysoka, a oni ją przyjęli. Pieniądze zaś były jej bardzo potrzebne. Nie chciała żyć na koszt Kurta. Poza tym miała pewne zobowiązania, do których nie przyznała się nawet jemu. Ponad miesiąc temu przegrała konkurencję z jakimś studiem ze Szczecina, ale widać nie postarali się, skoro chcą ich wywalić. Stary zrujnowany pałac pod miastem, który inwestor chciał odbudować, ale w formie bardzo nowoczesnej, zachowując jedynie kubaturę i ogólne proporcje. Bardzo dobrze, że nie chciał rekonstrukcji, bo to byłaby nuda. Coś w sam raz dla Igora, pomyślała. Albo i Kurta, dodała złośliwie.

Podala swoje nazwisko w recepcji, wzięła klucze, bezceremonialnie wręczyła torbę stojącemu obok lady chłopakowi w hotelowej marynarce i ruszyła w kierunku schodów.

\*

Powiedzieć, że Wały Chrobrego są dla Szczecina tym, czym Wieża Eiffla dla Paryża, to może lekkie nadużycie, ale niewątpliwie dla wielu osób są pierwszym skojarzeniem z miastem. Monumentalny zespół architektoniczny, którego centrum stanowi wielki gmach Muzeum Narodowego i rozpościerające się u jego stóp tarasy opadające kaskadami w stronę Odry, od momentu powstania do dzisiaj jest wizytówką Szczecina. Jego narodziny łączą się przede wszystkim z dwoma ważnymi faktami – z decyzją o likwidacji szczecińskich fortów i tym samym zakończeniem historii Szczecina jako twierdzy oraz najjaśniejszą dla miasta kadencją rządów, jaką niewątpliwie był okres panowania nadburmistrza Hermanna Hakena.

Wszystko zaczęło się w 1873 roku, kiedy władający wówczas monarchią cesarz Fryderyk Wilhelm I zdecydował o likwidacji twierdzy. Szczecin zabiegał o to od połowy XIX wieku, gdyż, opasany szczelnie murami, zaczynał się dusić. Dodatkowo mieszkańcom utrudniały życie obowiązujące wojskowe przepisy, które zabraniały budowania murowanych obiektów na tzw. przedpolach fortów, czyli generalnie wokół całego miasta. Twierdza Szczecińska powstała dzięki nie byle komu. Autorem całego zespołu fortyfikacyjnego był najśłynniejszy inżynier wojskowy w Prusach, Gerhard Cornelius von Walrave. Na budowę bastionów zużyto czterdzieści trzy miliony cegieł, z których tylko część wyprodukowano na miejscu. Pozostałe pochodziły z rozbieranych w tym celu murów miejskich wokół Wolina oraz okolicznych mniejszych i większych ruin. Wówczas też powstały dwie bramy miejskie, Berlińska[12] i Anklamska[13], których autorem był także Walrave. Zespół fortalicji nigdy wprawdzie nie został ukończony w przewidywanej formie, ale i tak na prawie sto pięćdziesiąt lat opasał miasto nieprzekraczalnym dla zabudowy pierścieniem.

Decyzja cesarza uwolniła nagle dla Szczecina gigantyczne tereny inwestycyjne, które jednak ze względu na gargantuiczne rozmiary umocnień i wałów nie były łatwe do zagospodarowania. Najdłużej borykano się z fortem Leopolda, odrębną, umocnioną oddzielnymi murami częścią fortalicji, położoną na północ od Starego Miasta.

Pierwsze plany zagospodarowania tego miejsca opierały się na projekcie splantowania całego terenu do poziomu pierwotnego nabrzeża. Wywiezienie jednak tysięcy ton ziemi i gruzów z rozebranych umocnień i licznych

usytuowanych tutaj zabudowań wojskowych, było dla miasta finansowo nie do udźwignięcia.

I jak to bywa zazwyczaj, najgenialniejsze pomysły są zwykle najprostsze. W latach osiemdziesiątych XIX wieku zrodziła się koncepcja, o której autorstwo podejrzewa się obecnie Hermanna Hakena, pozostawienia ogromnych wałów fortowych i usytuowania całej nowej dzielnicy na ich poziomie. Początkowo zakładano budowę wielkiego rynku, a wokół niego tradycyjnych kwartałów zabudowy i dopiero na przełomie wieków zrodziła się idea tarasów widokowych, wykorzystujących osiemnastometrowej wysokości wały fortu Leopolda i odsłaniających widok na dorzecze Odry. Plan tego założenia wykonał ówczesny miejski radca budowlany i najwybitniejszy architekt szczeciński, Wilhelm Meyer-Schwartau.

Johann oderwał wzrok od ilustrowanego przewodnika po Szczecinie, który dopiero co kupił w hotelowej recepcji, i spojrzął na wznoszący się przed nim budynek z jasnego piaskowca. Stał dokładnie na środku górnej płaszczyzny tarasu i odwrócił się w kierunku rzeki. Była piękna pogoda, słońce rozświetlało całe nabrzeże, wydobywając migotliwe piękno z leniwie płynącej Odry i wielkodusznie ukrywając brzydotę zaniedbanego przeciwległego brzegu, z rozsypującymi się XIX-wiecznymi pozostałościami zabudowy. Johann spojrzął pod nogi i pomyślał, że stoi na dawnym szczycie wałów fortu, a pod jego nogami jest prawie dwadzieścia metrów ziemi, gruzu oraz pozostałości ścian i fundamentów dawnej zabudowy. A jeszcze niżej przecież spoczywają kolejne pozostałości fundamentów budynków z czasów dawniejszych niż szwedzkie i pruskie fortyfikacje. Obok przeszły dwie roześmiane i zatopione w rozmowie dziewczyny, obrzucając go zaciekawionym spojrzeniem. Uśmiechnął się do nich i rozejrzał wokoło. Poczuł, że jest głodny. Tuż obok w jednym z dwóch tarasowych pawilonów była restauracja z ogródkiem letnim, więc nie namyślając się specjalnie, ruszył w tym kierunku i po chwili rozsiadł się w wiklinowym fotelu, kładąc przed sobą na stoliku iPada i przewodnik.

Po przyjeździe czuł się bardzo zmęczony i nie chciało mu się myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, żeby się przespać. Recepcjonistka, uroczo się uśmiechając, wręczyła mu klucze od pokoju na drugim piętrze i wskazała schody. Wszedł na górę, odszukał swój numer i z ulgą zamknął za sobą drzwi. Okna wychodziły wprost na aleję na Wałach Chrobrego. W pokoju było duże podwójne łóżko. Zawsze brał dwójkę w hotelach. Na wszelki

wypadek.

Wyciągnął się i uciał sobie rozkoszną drzemkę, a gdy dwie godziny później, zregenerowany i przyjaźnie nastawiony do świata wstał, postanowił wyjść i połączyć po mieście.

Czekając teraz na zamówienie, Johann otworzył stronę internetową „Dziennika Szczecińskiego” i odszukał numer do redakcji. Na szczęście strona była na tyle przejrzysta, że poradził sobie bez znajomości polskiego. Po chwili wahania wstukał numer i przyłożył telefon do ucha. Był ciekaw, czy uda mu się skontaktować z autorem artykułu i co z tego wyniknie. Właściwie nie miał żadnego planu, ale lubił czasem zaufać intuicji i podążyć za jakimś enigmatycznym pomysłem. W pracy ta technika czasem przynosiła zadziwiające efekty, a skutkiem ubocznym była jego doskonała opinia i i wysokie oceny za kreatywność.

Po trzecim sygnale usłyszał wreszcie jakiś młody głos mówiący do niego coś niezrozumiałego.

– Dzień dobry. Przepraszam, nie mówię po polsku – zaczął powoli.

– Nie szkodzi, słucham pana. – Młody mężczyzna po drugiej stronie linii gładko przeszedł na angielski.

Johann odetchnął z ulgą.

– Mam taką sprawę. Chciałbym skontaktować się z autorem artykułu na temat podziemi pod tym budynkiem, który się spalił w piątek w nocy.

– Jeśli poda mi pan numer, pod którym można pana złapać, to zaraz prześlę wiadomość autorce i poproszę, żeby do pana zadzwoniła.

– To jest numer angielski, bardzo przepraszam. – Johann spojrzął na wyświetlacz i podał numer swojej komórki. – Jestem od rana w mieście i zostanę do końca tygodnia.

– Dobrze, zaraz przekażę. Czy mógłby pan ogólnie powiedzieć, o co chodzi?

Johann przesunął przewodnik na stoliku, robiąc miejsce na duży talerz z sałatką z grillowanym kurczakiem, który kelner właśnie przed nim ustawiał.

– Chodzi o tego kierowcę w ciężarówce. Wydaje mi się, że wiem, kim on był.

## Rozdział 10

Borola był wściekły i zawiedziony. To przepiękne miejsce, o którym rok temu usłyszał od Fleminga, wydawało mu się idealne. Żałował, że tak długo zwlekał, by to w końcu obejrzeć. A kiedy się ostatecznie zdecydował, okazało się, że jest już w rękach prywatnych. Od czterech miesięcy w dodatku, do diabła! Właściciel otoczył je ogrodzeniem i pilnował, jakby tam była co najmniej kopalnia diamentów. Drań! Musiał już od dawna się o to starać, bo żeby kupić tę działkę, potrzebne było zezwolenie od ministra. I nie pozwalał nikomu tam wchodzić. Borola oczywiście próbował, chciał porobić zdjęcia i obejść teren, ale ochroniarze grzecznie go przeprosili, tłumacząc, że właściciel wydał im bardzo dokładne polecenia, by nie wpuszczali nikogo. Borola nie był przyzwyczajony do tego, że coś mu staje na przeszkodzie, więc oczywiście nie dał za wygraną. Od razu zlecił swoim prawnikom przygotowanie oferty na odkupienie całych dziesięciu hektarów wraz z ruinami od obecnego właściciela, ale póki co, nie miał żadnej odpowiedzi.

Nie chodziło o kolejną inwestycję, choć nie przyznał się jeszcze do tego swoim wspólnikom. Od dawna szukał miejsca na postawienie domu albo jakiejś starej rezydencji do odnowienia. Wszystko było albo za daleko od miasta, albo były to typowe tereny pod inwestycje, których okolice przez najbliższe dwadzieścia lat będą wyglądały jak permanentny plac budowy. Obejrzał kilka wystawionych na sprzedaż wielkich, nowych domów na obrzeżach miasta, ale wszystkie bez wyjątku były koszmarnie. Pretensjonalne, nowobogackie i całe w marmurach albo stali nierdzewnej. Jemu może by to nawet odpowiadało, ale żona twierdziła, że wywołują w niej mdłości. Że też, cholera, musiała kończyć tę historię sztuki.

Tymczasem to miejsce było nieprawdopodobne. Kompletnie zagubione w lesie, a jednocześnie tuż pod miastem. Niecałe dwadzieścia minut drogi. Dawny majątek, z którego nie zostało nic poza parkiem i ruinami dworu. Dziesięć hektarów starych drzew na skraju puszczy. I całkiem niezły dojazd.

Borola wziął do ręki jedno ze zdjęć ze stolika przed sobą i zaczął się przypatrywać fragmentom murów, obok których wznosił się ogromny dąb. Nie można robić zdjęć ani wchodzić. Akurat! Też coś, uśmiechnął się pod nosem. Podniósł wzrok i spojrzał na potężnego bruneta, który siedział obok niego i kończył właśnie pałaszować ogromny kawał golonki.

– A ci kolesie nie będą mieli problemów, że was wpuścili?

– Znam ich szefa – odpowiedział brunet, wycierając usta chusteczką. – Powiedział im, że na jego polecenie mamy zrobić zdjęcia w celu zaprojektowania odpowiedniej logistyki ochrony. Nawet jak powtórzą komuś od tego właściciela, to też będzie brzmiało wiarygodnie.

Borola się uśmiechnął.

– To okej. Jak będziemy potrzebować gdzieś ochroniarzy, to weź ich stamtąd. Trzeba utrzymywać dobre stosunki. Co z hotelem?

Brunet wypił łyk wody mineralnej.

– W nadzorze powiedzieli, że musi być zamknięty, dopóki nie skończą robić ekspertyzy. Chodzi o ścianę szczytową i windę. Porobili dziś jakieś oznaczenia na wszystkich kondygnacjach i założyli jakieś próbki czy coś tam. Aha, byli też ludzie od windziarzy. Łazili wszędzie, nawet wleźli do szybu. – Brunet odstawił szklanę. – Powiedzieli, że nie ma żadnych uszkodzeń i nic się nie odkształciło.

– To przynajmniej jakaś dobra informacja – rzekł Borola. – Znaleźliście może córkę ciecia? Szkoda tego człowieka. – Pokręcił głową.

– Tak. Ma przyjechać za dwa, trzy dni, żeby uporządkować wszystkie sprawy. Powiedziałem jej, tak jak pan chciał, że dostanie dużą odprawę. Ona tam cienko przedzie, więc się jej przyda.

– A co z tym samochodem? – spytał ciszej Borola, pochylając się w kierunku bruneta.

– Mam nadzieję, że nie będziemy mieć kłopotów? – Brunet spojrzał pytającym wzrokiem i pokręcił głową. – Myśmy naprawdę załatwili rzecz dyskretnie. Nie wiem, jak to się stało, że ten cieć znalazł się tam zaraz potem.

– Rozmawiałem dziś z inspektorem, który prowadzi tę sprawę. – Borola się skrzywił pod nosem. – Drętwy typ, ale powiedział, że najprawdopodobniej zamkną dochodzenie lada dzień. To był zwykły wypadek.

– To dobrze, bo chłopaki się boją. A samochód pewnie przejmie Muzeum Techniki, już sobie ostrzą na niego zęby.

Brunet wziął małe ciasteczko, leżące do tej pory na talerzyku przy kawie, i wsadził je w całości do ust.

Borola spojrział na niego z niesmakiem.

\*

Igor siedział przy swoim biurku i od godziny próbował znaleźć w sieci coś sensownego na temat kierowcy ciężarówki z podziemi. Wpisane w wyszukiwarce imię Barnim uruchamiało oczywiście kilka tysięcy stron na temat książąt zachodniopomorskich, imię Gustawa natomiast otwierało linki do stron znanej firmy ochroniarskiej albo linki do warsztatów samochodowych lub sklepów, których właścicielem był jakiś Gustaw. Imię Gustawa było poza tym chyba dość rzadkie. Głównie wyskakiwały odnośniki z imieniem męskim Gustaw lub z nazwiskiem o takim brzmieniu. Próby szukania kamieni rodzinnych lub cmentarzy rodowych nie dawały żadnego sensownego rezultatu. Pojawiało się mnóstwo stron o zniszczonych cmentarzach przykościelnych lub rodowych, ale mogło chodzić w zasadzie o każdy z nich. Teoria, że tajemniczy Barnim pochodzi z jakiegoś majątku pod Szczecinem, gdzie był rodowy cmentarz, była na tyle ogólna, że praktycznie w rachubę wchodziło całe Pomorze. Poza tym założenie, że miał na imię Barnim, mogło być błędne.

Zniechęcony zamknął przeglądarkę i z westchnieniem spojrział na rysunki przekrojów technicznych remontowanego przedszkola, które miał cały czas otwarte. Ledwie zdołał się skoncentrować, gdy do pokoju zajrzała sekretarka.

– Igor, telefon. – Przycisnęła słuchawkę ręką i powiedziała przyciszonym głosem: – Pani konserwator.

Igor wziął od niej słuchawkę.

– Witam, pani konserwator, w czym mogę pomóc?

– Panie Igorze, dzwonię, aby potwierdzić dzisiejszą wizytę w hotelu. Pan Borola powiedział, że będzie pan na miejscu o szesnastej.

Starska brała udział w tego typu oględzinach bardzo rzadko. Najczęściej wysyłała kogoś z inspektorów ze swojego wydziału. Igor jęknął w duchu. Borola chyba zapomniał do niego zadzwonić albo zaraz to zrobi.



– Prawdę mówiąc, pan Borola nic mi nie wspomniał na ten temat, ale oczywiście postaram się być na miejscu punktualnie.

– Będzie też ktoś od wojewódzkiego konserwatora zabytków. Bardzo nam zależy, żeby jak najszybciej zapadły decyzje o tym, gdzie i jak przetransportować zarówno sarkofag, jak i zwłoki. To znaczy, zwłoki kierowcy najprawdopodobniej przejmie Zakład Medycyny Sądowej PAM, zaraz jak tylko prokuratura skończy swoje procedury. Bardzo nam zależy na obecności pana albo pana Boroli, żeby jak najszybciej formalnie załatwić sprawy związane ze zgodą na prace pod budynkiem i tak dalej.

– Jak pani sądzi, kiedy muzeum będzie się mogło zająć otwarciem sarkofagu?

– Jak najszybciej. Ja sama będę na to naciskała. Prezydent obiecał również odpowiednie dofinansowanie. To jest na tyle ważna sprawa, że na pewno nie będzie żadnego opóźnienia. Jeszcze nie zawiadomiliśmy nikogo o tym znalezisku, ale jak to zrobimy, to prawdopodobnie zjedzie się tutaj pół Europy.

– Doskonała promocja dla Szczecina, pomijając wszystko inne.

– A właśnie, à propos. Ten list bardzo zainteresował prezydenta. Nawet go zabrał na razie do siebie. Na moje obawy zażartował, że u niego w biurku będzie bezpieczny. W środę ma spotkanie z niemiecką grupą naukowców i biznesmenów i chce im go pokazać. To może być rzeczywiście dość ciekawe pod względem medialnym. Dobrze, panie Igorze, żeby nie przedłużać, oczekujemy pana o szesnastej.

Igor odłożył słuchawkę na biurko i popatrzył na zegar. Dochodziła druga. Za dużo, żeby nic nie robić, i za mało, by się skupić nad jakąś sensowną pracą.

Obszedł biurko i pochylił się nad monitorem, gdy zadzwoniła komórka. Zaklął pod nosem.

– Igor? Tu Rafał, witam.

– No witam, właśnie się dowiedziałem, że biorę dziś udział w spędzie konserwatorskim w lochach hotelu.

Borola parsknął śmiechem.

– No właśnie chciałem cię uprzedzić, ale widzę, że ktoś mnie ubiegł. Musisz tam ze mną być, żebym pod względem merytorycznym wiedział, na

co się zgadzam.

– Obawiam się, że będziesz się musiał zgodzić na wszystko.

– Brzmi fatalnie. Nie za to ci płacę. – Borola roześmiał się rubasznie, po czym zmienił ton na bardziej posępny. – Pamiętasz ten folwark w lesie, który mi poleciłeś jakiś czas temu?

– Prawie rok temu. A co z nim?

– Właśnie się okazało, że ktoś to kupił. Od czterech miesięcy jest własnością jakiegoś podobno potomka czy krewniaka właścicieli. Przynajmniej tak twierdzą w gminie. Nie mogłeś mnie jakoś bardziej zmotywować, żebym się wcześniej tym zajął? Miejsce jest piękne, po prostu piękne! Będę próbował odkupić to od tego Szwaba, ale nie wiem, czy coś z tego wyjdzie – westchnął Borola.

– Szkoda. Miałbym ciekawą pracę przy jego odbudowie. – Igor też westchnął.

– Nie kracz, może się jeszcze uda. W każdym razie to miejsce jest idealne. Beata też tak stwierdziła. Nawet mi zmyła głowę, że mogłem cię od razu posłuchać, zamiast wozić ją po jakichś gargamelach na Warszewie. Jak się nazywała ta rodzina? Pamiętam, że coś mówiłeś o jakiejś ciekawej sprawie z tym dworem.

– Tak... tak, pamiętam... – Igor zaczął mówić i nagle coś sobie przypomniał. Ledwo słysząc, co do niego mówi Borola, zaczął gorączkowo wstukować nazwę wsi w przeglądarkę.

To niemożliwe! – pomyślał.

\*

W ramach wdrożonego właśnie programu oszczędnościowego Paulina do redakcji wróciła tramwajem. Miała dobre połączenie z okolic alei Fontann, więc nie zdążyło jej to zdołować. Gdy wysiadała na przystanku przed redakcją, zadzwonił telefon. Paweł. Dzwonił już dwa razy, gdy była z Igorem na kawie, ale wtedy nie odebrała.

– No i co się tak dobijasz? Nie mogłam odebrać.

– Mów szybko, czego się dowiedziałas. Musimy szybko podjąć jakieś decyzje w sprawie jutrzejszego wydania. – Paweł od razu przeszedł do

meritum.

– Jutrzejšie wydanie pójdzie tak, jak planowaliśmy. Poprosili mnie, żebym, póki co, nie pisała na ten temat. Przynajmniej do momentu, gdy tego nie ogarną. Boją się, że tam się ktoś włamie albo że się zrobi jakaś awantura.

– Jak to żebyś nie pisała? – Paweł prawie krzyknął. – Przecież nie mogą ci zabronić. Jak już Starska wie, to za chwilę będzie wiedział cały Szczecin. Ona uwielbia robić wywiady, najczęściej ze swoim zdjęciem.

– Powiedziałam, że mnie poprosili, a nie zabronili. Ten Fleming obiecał, że da mi od razu znać, jak tylko skończą to zabezpieczać i zadecydują, co dalej.

– Ale mnie chyba możesz powiedzieć. Co, do diabła, jest tam takiego sensacyjnego?

Paulina przełożyła telefon do drugiej ręki i otworzyła oszklone drzwi, wchodząc do klatki schodowej.

– Wierz mi, warto poczekać ten dzień, dwa. To jest naprawdę sensacja. A dzięki temu będziemy mieli znowu ten materiał jako pierwsi.

– Ale co to jest?

– Nie powiem ci. Przecież cię znam. Jeśli ocenisz, że to ci się opłaca, zaraz napiszesz to sam albo każesz to zrobić Bańce czy komuś innemu.

Uśmiechnęła się do siebie, słysząc, jak Paweł zaczyna wrzeszczeć i kłać. Wyszła z windy i pchnęła szklane drzwi do hali redakcji. Nie odrywając telefonu od ucha, podeszła do szyby oddzielającej gabinet, w którym siedział Paweł, i uśmiechając się złośliwie, zastukała w szybę. Paweł zirytowany pomachał ręką w jej kierunku, jakby chciał ją odpędzić i dopiero potem spojrział. Zaciśnął zęby i odłożył komórkę na stół. Skinął, żeby weszła.

– Robisz sobie żarty? – spytał jeszcze zły.

– Nie robię żadnych żartów. Po prostu obiecałam, że napiszemy o tym, jak nam pozwolą, i uważam, że to się nam bardziej opłaca niż pójście z nimi na udry. Może jeszcze namówię tego Fleminga na jakiś wywiad albo coś w tym stylu.

Paweł spojrział na nią złym wzrokiem i sięgnął po małą kartkę leżącą obok góry papierów.

– Dobra, jak ktoś napisze o tym wcześniej albo Starska udzieli wywiadu

w błyskach fleszów, to będziesz pisała wyłącznie nekrologi.

– Nie zamieszczamy nekrologów.

– To coś równie interesującego. Coś znajdę, spoko. – Popatrzył na nią spode łba i podał jej żółtą samoprzylepną karteczkę. – Dzwonił jakiś Angol. Półtorej godziny temu. Chciał z tobą gadać w tej właśnie sprawie. Umówiłem cię z nim na szesnastą.

– Na szesnastą? Miałam być w domu o tej porze. Umówiłam się z ojcem. – Paulina spojrzała nerwowo na zegarek.

– Przełoż ojca. To cię na pewno zainteresuje, choć głowy nie dam, czy to nie jakiś pomyleniec. Powiedział, że wie, kim jest ten trup z podziemi.

\*

Wychodząc z redakcji, Paulina zadzwoniła do ojca i uprzedziła go, że wróci później, niż planowała. Jutro za to zostanie w domu, pomyślała, czekając na taksówkę. Zrobię wreszcie porządki i zjem normalny obiad. I z Makssem będę musiała podjechać do Tomka, żeby go obejrzał ponownie. Ale przede wszystkim zacznę to cholerne tłumaczenie, które mi wcisnął Paweł. Przed samym wyjściem przyniósł jej dość gruby skoroszyt z folderem reklamowym jakiegoś materiału izolacyjnego, który w formie sponsorowanego artykułu miał się ukazać w przyszłym tygodniu. Życie, pomyślała.

Paweł ją umówił w hotelu, w którym zatrzymał się tajemniczy facet. Na Wałach. Była bardzo ciekawa, co jej może powiedzieć. Pewnie jakiś starszy pan, może były mieszkaniec Szczecina, któremu coś się kojarzy z tą ciężarówką. Była ciekawa, ale nie liczyła na nic sensacyjnego. Pamięć ludziom w tym wieku płata często figle. Pewnie nasłucha się głupot i tyle.

Taksówka zatrzymała się przed wysokim murem oporowym na ulicy Kapitańskiej. Paulina wysiadła, zapłaciła i skierowała się ku schodom prowadzącym do wejścia. Nigdy nie była we wnętrzu tego hotelu. Nie miała okazji. Kiedyś był tutaj Dom Rybaka. Gmach utrwalił się w jej pamięci głównie dzięki płaskorzeźbie żaglowca usytuowanej nad bocznymi drzwiami od strony Odry.

Weszła do środka i skierowała się do recepcji.

– Dzień dobry, jestem umówiona z panem Johannem Carleyem. Paulina

Weber.

Dziewczyna w szarym kostiumie uśmiechnęła się i sięgnęła po słuchawkę.

– Proszę usiąść i poczekać, już dzwonię do pana Carleya.

Paulina usiadła w czarnym skórzanym fotelu i rozejrzała się po wnętrzu. Jasne, w piaskowej tonacji ściany harmonizowały z ciemnym drewnem stolarki i drewnianego wykończenia recepcji i boazerii. Całkiem ładnie. Podobno jest niedrogi, pomyślała.

Po chwili od strony schodów nadszedł dość wysoki blondyn. Szczupły, ubrany w białą koszulę i luźne jasne bojówki. Niepewnie rozejrzał się po hallu i podnosząc brwi, spojrzał w kierunku recepcji. Dziewczyna za kontuarem dyskretnym ruchem głowy wskazała w kierunku skózanego fotela. Paulina uśmiechnęła się, wstała i zrobiła parę kroków w stronę blondyna. To tyle, jeśli chodzi o jej intuicję. Miał być starszy pan.

– Pani Weber? Bardzo mi miło panią poznać. Johann Carley. – Spojrzał na nią krytycznie. – Myślałem, że pani będzie starsza.

Paulina podała mu rękę.

– Ja też tak pana oceniałam. Sądziłam, że spotkam się ze starszym panem, pamiętającym przedwojenny Szczecin z autopsji.

Roześmiał się i wskazał ręką drzwi obok recepcji.

– Napije się pani ze mną kawy?

Usiedli w łoży pod oknem. Paulina wyjęła z torby notatnik i położyła przed sobą. Spojrzała dyskretnie na zamawiającego kawę Johanna. Mógł się podobać. Jasnowłosey, gładko ogolony, o kanciastych, ostrych rysach, przywołujących na myśl raczej Niemca niż Anglika. Gdy spojrzał na nią z uśmiechem, zadała najbanalniejsze pytanie, jakie można było zadać. Od razu się skarciła w myślach za głupotę.

– I jak się panu podoba Szczecin?

Uśmiechnął się znowu.

– Jest nierówny. Niektóre miejsca są urzekające i jak już zaczynam myśleć, że znalazłem się w wyjątkowo pięknym mieście, idę dalej i wpadam na koszmarne bloki. W dodatku pomalowane na pomarańczowo.

– To niestety dokładnie ilustruje podział na to, czego dokonali tutaj Niemcy, a czego my. – Paulina uśmiechnęła się z przekąsem.

– Jak do tej pory Szczecin znałem tylko z opowieści mojego dziadka. Miałem trochę wyidealizowany obraz tego miasta. Trochę wyobrażałem sobie, że wygląda jak z baśni braci Grimm. Stolica zaginionego księstwa.

Paulina zanotowała w pamięci to określenie. Spodobało jej się.

– Szkoda zatem, że pan przyjechał. To pewnie jak lądowanie tyłkiem na betonie.

Johann się roześmiał.

– Nie jest tak źle. Wały Chrobrego na przykład są piękne.

– No dobrze, proszę mi powiedzieć, kim jest ten kierowca z podziemi i skąd pan o tym wie, bo umrę z ciekawości. – Paulina wypła łyk kawy i pochyliła się nad stołem.

Johann popatrzył na nią.

– Nazywał się Barnim – powiedział.

Zaskoczona Paulina podniosła brwi. Niemożliwe, że to przypadek. O sarkofagu i liście, a tym samym o domniemanym imieniu Barnim wiedziała tylko ona i Fleming. Jeszcze tylko Starska po przeczytaniu mogła dojść do tych samych wniosków. Wcześniej nikt nie widział tego listu.

– Jestem przekonany, że to on. Opowiedział mi o nim mój dziadek – kontynuował Johann.

Pamiętał, jak chodził z dziadkiem na spacer po Berlinie. Przyjeżdżali tam z rodzicami, najczęściej na Gwiazdkę albo na tydzień lub dwa w czasie wakacji. Dziadek zawsze opowiadał mnóstwo bajek i legend. Johann długo potem uprzytomnił sobie, że z czasem bajki dziadka się zmieniały, dorosłały, tak jakby dziadek dostosowywał te opowieści do jego wieku.

Któregoś dnia, miał wtedy może z dziesięć lat, szli chodnikiem po wąskiej, brukowanej uliczce. Sypał śnieg. Dziadek zostawił swój wielki samochód kilka ulic dalej i zabrał go na przechadzkę.

– No więc bardzo, bardzo dawno temu... – zaczął jak zwykle.

– W Szczecinie? – spytał Johann, przyzwyczajony, że bajki dziadka nie działały się nigdzie indziej.

– Tak, w Szczecinie – roześmiał się dziadek. – No więc bardzo, bardzo dawno temu żył w Szczecinie bardzo dobry i bardzo mądry książę. Miał na

imię Barnim.

– Nie ma takiego imienia.

– Nie przerywaj. Jest. Książę był dobrym władcą, a jego sława rozciągała się daleko poza granice księstwa. Pod jego rządami kraj się bogacił, a ludzie żyli w coraz większym dostatku. Któregoś dnia przybyli do Szczecina tajemniczy rycerze ubrani w białe płaszcze i powierzyli księciu pewną tajemnicę, której obiecał strzec. Czasy nie były spokojne, za granicami księstwa toczyły się ciągle wojny, a wrogowie co i rusz stawali u bram miasta. Książę musiał stale odpierać ataki złego sąsiada, który czyhał na piękne i malownicze ziemie księstwa, oraz strzec się zdrajców spiskujących za jego plecami, by zagarnąć dla siebie jak najwięcej dóbr. Na horyzoncie pojawili się także prześladowcy białych rycerzy i tych książę obawiał się najbardziej. I pewnie nie poradziłby sobie z tymi wszystkimi łotrami, gdyby nie to, że miał do pomocy mityczną bestię.

– Smoka? – Johann podskoczył i wbił w dziadka zaciekawione spojrzenie.

– Takiego prawdziwego smoka?

– Bestia była straszna. O sile i mocy tych potworów krążyły legendy w całej Europie. Ludzie bardzo się ich bali i drżeli o swój dobytek, gdyż polowały one na woły i konie i porywały je wraz z wozami. Pochodziły z niedostępnych gór w jakiejś tajemniczej i odległej krainie, ale z jakiegoś powodu jedna z tych bestii osiadła nad Odrą i czasami można było ją dostrzec, jak wypatrując ofiar, lata nisko nad drzewami w pomorskich puszczech.

– No to jak ten książę go złapał? Oswoił go? – Johann, cały czas trzymając dziadka za rękę, wybiegł nieco do przodu i zaczął iść tyłem, podskakując niecierpliwie.

– Książę dobił z nią targu. To była ona. – Dziadek podniósł brwi i znacząco popatrzył na Johanna. – Bestia zgodziła się pomóc strzec starej tajemnicy białych rycerzy, a w zamian za to książę pozwolił jej osiąść na stałe w księstwie i obiecał, że odtąd nikt nie będzie jej już niepokoił ani na nią polował. I tak się stało. Dzięki temu książę mógł się zająć sprawami księstwa i dbać o swoich poddanych, a bestia strzegła Wielkiej Tajemnicy. Nastąpił względny spokój. Mijały dni, miesiące, lata, książę był coraz starszy, a rycerze nie wracali. I w końcu musiał powierzyć tę tajemnicę komuś, żeby nie zaginęła w mrokach dziejów. Książę miał trzech synów. Najstarszy był

krnąbrny i zły, najmłodszy leniwy i głupi, jedynie średni był przyjazny ludziom i ciekawy świata. Książęta byli braćmi przyrodniemi...

– Kto to jest brat przyrodni?

Dziadek spojrzał na Johanna zakłopotany.

– To taki braciszek, który miał inną mamę. Mama starszego księcia zmarła w młodości, a książę się ponownie ożenił.

– To tak jak tata królowy Śnieżki?

– O właśnie. – Dziadek się uśmiechnął szeroko. – No więc powierzył Wielką Tajemnicę białych rycerzy średniemu synowi i niedługo potem zmarł w swoim zamku. W księstwie zapanował smutek, a pomiędzy trzema synami niezgoda. Dwaj bracia, najstarszy i najmłodszy, wiedzieli, że ojciec powierzył średniemu Wielką Tajemnicę i to jego szykował na swojego następcę, i bardzo ich to gnębiło. Któregoś dnia młody Barnim...

– Jaki Barnim?

– A... zapomniałem ci powiedzieć, że średni książę był ulubieńcem ojca i otrzymał po nim w spadku imię Barnim. No więc któregoś dnia Barnim wybrał się wraz ze swoimi druhami do puszczy na polowanie. Odjechali jednak za daleko od Szczecina i zastała ich tam noc. Postanowili zatem zanoć w zamczysku, które leżało wśród lasów nieopodal. Nie wiedzieli, że dwaj bracia księcia uknuli nieczyny plan. Przygotowali w zamczysku zasadzkę. Schwytali i uwięzili młodego Barnima, żądając, żeby wyjawiał im tajemnicę, którą powierzył mu ojciec. Wywiązała się między nimi kłótnia, sięgnęli po miecze i książę zginął, nie zdradziwszy jednak niczego braciom.

– To smutna bajka jakaś. – Johann popatrzył do góry na dziadka.

– Bracia wrócili do Szczecina i ogłosili, że książę Barnim został zabity przez złego rycerza. Do tej pory łączyła ich zawiść i nienawiść do trzeciego, po jego śmierci nie potrafili żyć ze sobą w zgodzie. Dręczyły ich wyrzuty sumienia, podzielili więc księstwo na pół i każdy rządził swoją częścią oddzielnie.

Najmłodszy miał jednak wyrzuty sumienia i żeby odpokutować swój grzech, ufundował bratu krzyż pokutny. Wtedy bowiem był taki zwyczaj, że przestępcy i złoczyńcy musieli ufundować wielki krzyż i postawić przy drodze, by wszyscy inni widzieli, że splamili swój honor.

– No ale co się stało z tą tajemnicą?



– Najmłodszy z książąt miał syna, który był wielkim władcą, ale tak bardzo bał się smoka i Wielkiej Tajemnicy, że ukrył wszystkie prowadzące do niej ślady, tak by nikt nigdy nie mógł już jej szukać.

– I co było dalej?

– Zaginęła i wszyscy o niej zapomnieli. Czasem tylko starzy wrogowie białych rycerzy węszyli tutaj, usiłując się czegoś dowiedzieć, ale tajemnica przepadła.

– A smok? – Johann nagle przypomniał sobie o najciekawszym ze swojego punktu widzenia aspekcie opowieści. – Co się stało ze smokiem? To znaczy smoczyca?

– Nikt jej już więcej nie widział, ale krążyły legendy, że w dalszym ciągu strzeże gdzieś tajemnicy białych rycerzy, ponieważ nikt nie zwolnił jej z danego przyrzeczenia. – Dziadek popatrzył na Johanna, kiwając głową. –

Dopiero dwieście lat później, gdy w Szczecinie zapanował kolejny dobry i mądry książę, Wielka Tajemnica ponownie wyszła z mroku. Książę znalazł do niej klucz i strzegł go przez całe życie. I wiesz, jak miał na imię?

– Barnim?

– Tak – dziadek się uśmiechnął – to był następny książę Barnim. Był dobrym i sprawiedliwym władcą i ludzie go bardzo szanowali. Książę miał jednak same córki, postanowił więc zostawić ukryte znaki prowadzące do Wielkiej Tajemnicy.

– A dlaczego nie mógł przekazać tajemnicy córkom? – Johann spojrzał zdziwiony.

– Hmm... – Dziadek się zasepił. Tematy związane z równouprawnieniem i walką o prawa kobiet zdecydowanie wolał poruszyć kiedy indziej. – Bo widzisz, kiedyś tylko synowie mogli dziedziczyć majątek i tytuł, a także wszystkie tajemnice i różne ważne sprawy rodowe.

Dziadek przerwał i szedł przez chwilę w milczeniu.

– I co było dalej? – nie wytrzymał Johann.

– Tajemnicę odkryli potem pewni ludzie i strzegli jej do czasów wojny.

– I co? Co się z nią stało? Co to była za tajemnica?

– Została w Szczecinie razem z ostatnim już Barnimem.

– Jakim Barnimem? Znowu Barnim?

– Tak, ale tego znałem osobiście. To był taki dobry rycerz z czasów wojny. Kiedyś możliwe, że go odnajdą. Został w Szczecinie z misją dopilnowania, żeby tajemnica białych rycerzy nie wpadła w niepowołane ręce.

– Znałeś go, dziadku? I kto to był? Naprawdę nazywał się Barnim? – Johann podskakiwał z ciekawości, idąc obok dziadka. – I on też był księciem?

– Nie, ale był prawdziwym rycerzem. Z prawdziwego, rycerskiego rodu.

Paulina siedziała wpatrzona w Johanna. W miarę jak opowiadał, historia ją wciągnęła. Bardzo malownicza opowieść, ale co może mieć wspólnego jakiś rycerz z żołdakiem z Werwolfu?

– Pan naprawdę myśli, że w tej historii może kryć się ziarnko prawdy? – spytała ostrożnie i spojrzała na niego z nutką sceptycyzmu.

– W każdej historii kryje się ziarnko prawdy. Dziadek opowiadał mi wiele innych opowieści i legend, ale o tym Barnimie wspomniał ponownie dużo później. Przed samą śmiercią powiedział mi, że kiedyś znajdą w Szczecinie w podziemiach Barnima. Jak przeczytałem o tym samochodzie z trupem kierowcy, to po prostu poczułem, że może jednak w opowieściach dziadka kryje się jakaś prawdziwa historia.

Paulina patrzyła na niego uważnie. Nagle pomyślała o czymś, co sprawiło, że poczuła chłód na plecach.

– Czy przy tym człowieku nie znaleziono nic ciekawego? Jakichś dokumentów, zapisków? Czegokolwiek? – Johann popatrzył na nią uważnie.

Paulinie przyszło na myśl, że jest jeszcze jedno wytłumaczenie, skąd ten facet może znać imię kierowcy ciężarówki. I to bardzo proste. Kserokopię ukradli kilka godzin temu, pewnie zdążyli już się z nią zapoznać. Nagle poczuła, że przyście na to spotkanie mogło być dużą nieostrożnością.

– Czy jest jakaś szansa, żeby obejrzeć tę ciężarówkę? Jak pani myśli?

Paulina uśmiechnęła się niepewnie i spojrzała na patrzącego na nią ze ściągniętymi brwiami Johanna.

– Raczej nie. Wejście do budynku jest zabronione ze względów bezpieczeństwa. A poza tym służby konserwatorskie już się zajmują tą sprawą – powiedziała, nerwowo rozglądając się wokół siebie.

Może to spotkanie jest próbą wysondowania, czy czegoś nie wiem, pomyślała. Pewnie facet należy do grupy tych bandziorów, którzy ją dzisiaj okradli, a wcześniej Fleminga. Paulina poczuła, że narasta w niej strach. I nagle przyszło jej do głowy coś jeszcze. A co, jeśli to tylko pretekst, by ją zatrzymać z daleka od domu po to, żeby ktoś się tam włamał? Spojrzała dyskretnie na zegarek. Ojciec lada chwila będzie wyjeżdżał i dom zostanie pusty. Pomijając Maksa, któremu mogą tym razem zrobić krzywdę.

Poruszyła się niecierpliwie i spojrzała na Johanna.

– To bardzo ciekawe, co pan opowiedział. Zawsze żałowałam, że my tutaj nie znamy starych legend i baśni związanych z Pomorzem. Wszystko, co czytałam, było przepuszczone przez filtr powrotu Szczecina do macierzy. Same brednie. Nikt nigdy nie wydał tu żadnego zbioru prawdziwych baśni i legend zebranych ze starych źródeł. Ten temat cały czas czeka na swojego odkrywcę.

Johann popatrzył na Paulinę z uśmiechem.

– Chyba mnie pani uważa za wariata. Chyba sam się tak trochę czuję. Wspomnienia z dzieciństwa należy jak widać zostawić w spokoju, żeby się nie dewaluowały.

– Nie wykluczam, że ten kierowca może być człowiekiem, o którym pan opowiedział. Tyle że nie mamy na to żadnych dowodów, po prostu.

Zabrała ze stołu notatnik i włożyła go do torby. Spojrzała na Johanna.

Anglik wstał i uśmiechnął się do niej.

– Bardzo mi było miło panią poznać. Nie będę pani zatrzymywał. Mam tylko prośbę: jakby pojawiły się jakieś nowe informacje na temat tego człowieka w ciężarówce, to proszę dać mi znać.

– Oczywiście. A gdyby pan coś sobie przypomniał ciekawego z opowieści dziadka, to też proszę się odezwać. Z tego mógłby powstać bardzo ciekawy artykuł.

Pożegnali się w hallu. Johann szybkim krokiem poszedł w kierunku schodów, Paulina natomiast prawie biegiem wypadła na ulicę i spojrzała na zegarek. Była zdenerwowana. Jeśli weźmie taksówkę, to zdąży jeszcze przed wyjściem ojca. Wyjeżdżał na tydzień do Warszawy. Wyjęła komórkę i nerwowo wstukała, stanowczo nadużywany ostatnio, numer.

\*

Sarkofag nie został okradziony. Już pierwsze oględziny konserwatorów dzieł sztuki zaproszonych na wizję lokalną do podziemi pozwoliły wszystkim odetchnąć z ulgą. Igor też się obawiał, że z wielkiej chmury będzie mały deszcz i że sarkofag okaże się wyprutą z zawartości skorupą. Delikatne ręce Marzeny Hadrys, jednej z najlepszych w gronie konserwatorów zabytków w Szczecinie, od razu ujawniły, że wierzchnia pokrywa była podważana i być może nawet zdejmowana, ale całość struktury ani zawartość nie została naruszona. Prawdopodobnie odbyło się to podczas zabiegów pod koniec XIX wieku, jako jedynych udokumentowanych. Żadne bowiem materiały archiwalne nie wskazywały, by krypta pod kaplicą zamkową była od tamtego czasu ponownie otwierana.

Igor stał obok pogrążony w myślach. Cały czas miał w głowie ten stary majątek, wokół którego zaczął się kręcić Borola. W internecie nie znalazł wiele na temat byłych właścicieli, poza tym przed wyjściem zabrakło mu czasu, żeby swobodnie poszperać. Nie mógł się już doczekać, aż znajdzie się w domu i wygrzebie wszystko na temat tego domniemanego Barnima. Pół godziny temu pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego zabrali jego zwłoki i ostrożnie wynieśli je z podziemi. Pojechały prosto do laboratorium, gdzie przez kilka najbliższych tygodni będą pewnie szczegółowo badane. Nieszczęsny bohater tajemniczych wydarzeń sprzed siedemdziesięciu prawie już lat będzie musiał jeszcze trochę poczekać, nim wreszcie spocznie w spokoju w grobie.

Marzena Hadrys powoli zdjęła wierzchnią cynową płytę i podała pomocnikowi, który delikatnie położył ją na przygotowanej wcześniej płycie wyłożonej grubą gąbką. Kilka stojących przed skrzynią samochodu osób zamarło. Hadrys westchnęła.

Igor podszedł do samochodu i wspiął się na pakę. We wnętrzu sarkofagu była drewniana trumna, prawie czarna. Zrobiona najprawdopodobniej ze smolście czarnego dębu, który mógł pamiętać czasy jeszcze starsze niż sam sarkofag. Czarny dąb wydobywano najczęściej z dna rzek, gdzie leżąc przez dziesiątki, a nawet setki lat, nabierał głębokiej, smolistej barwy. To była niespodzianka.

– Czarny dąb. Nigdy bym się nie spodziewała – powiedziała Hadrys, patrząc na Starską, która stała za jej plecami na pace samochodu.

– Faktycznie. – Starska pochyliła się nad otwartym sarkofagiem. – Niesamowite. W dodatku jest rzeźbiona. Wygląda bardziej jak szafa gdańska niż trumna. To jest prawdziwa sensacja – powiedziała, podnosząc wzrok na kilka osób stojących na dole.

Igor doskonale o tym wiedział. Też był zaskoczony. Gdy zobaczył to, co kryło się wewnątrz cynowego pudła, o mało nie spadł ze skrzyni samochodu. Trumny w takich sarkofagach nie były nigdy dekorowane. Najczęściej były to solidne, dębowe skrzynie. Dekorowano dopiero sarkofagi i to one pełniły funkcję wyszukanej reprezentacji na ostatniej drodze. Wewnątrz dębowej trumny najczęściej znajdowała się jeszcze jedna, już całkiem prosta, lipowa, dekorowana czarnym sukniem. Najczęściej to do tej właśnie kładziono zmarłego i w niej oczekiwał na moment, gdy zakończą się przygotowania do pochówku. Tak byli chowani przedstawiciele wysokich rodów w XVI wieku.

– I tutaj też są inskrypcje. – Marzena Hadrys pochyliła się nad wiekiem. – Przepiękne. Nie wiem nawet, czy nie są inkrustowane.

– Zmieści się w całości w korytarzu? – spytał mąż konserwatorki, z którym od lat współpracowała. Kobieta spojrzała do tyłu, w kierunku oświetlonego teraz rzeźbiście przejścia do piwnic hotelu.

– Sądzę, że tak. Tylko będziemy musieli rozebrać sarkofag. Każdą ścianę wyniesiemy osobno, a potem zabierzemy trumnę. Powinno się udać.

– To musimy pojechać po nosze. Nie wyniesiemy jej tak. Może się dno urwać.

Hadrys popatrzyła na męża.

– Masz rację, lepiej nie ryzykujemy. Jedź i przywieź. I weź jeszcze pasy.

Oboje byli już na tyle pochłonięci pracą, że ledwie zauważali kręcących się dookoła innych ludzi.

– Kiedy państwo chcą to zabrać? – spytał Borola, który do tej pory stał cicho obok samochodu i przysłuchiwał się rozmowie.

– Myślę, że nie ma na co czekać. – Piotr Hadrys spojrzał na niego z uśmiechem. – Do jutra to się może zawalić. – Wskazał ręką na korytarz za sobą.

– Niech pan nie kracze. – Borola spojrzał z niepokojem na samochód. – A co z ciężarówką?

– Też ją trzeba rozebrać i wynieść po kawałku. Ale na tym się nie znamy.

– Przecież miał tu być ktoś z Muzeum Techniki – rzekł Borola, patrząc z wyrzutem na Starską.

– Tak, tak, panie Rafale. Będą jutro rano. I od razu powiem im, żeby byli przygotowani do pracy. Nie zostawimy tej ciężarówki na pastwę losu, niech mi pan wierzy.

– Jeśli będą się opóźniać, to my sami możemy go rozebrać i wynieść. Mam ludzi, którzy się na tym znają.

– Wolałabym, żeby jednak ktoś od nich to obejrzał. Z całym szacunkiem dla pana specjalistów. – Starska spojrzała zakłopotana na Borolę.

– Moi specjaliści poradzili sobie z mercedesem z trzydziestego siódmego roku, to z blitzem też by sobie dali radę. – Borola uśmiechnął się, nieco urażony.

Igor oderwał wzrok od czarnej rzeźbionej trumny i wyjął z kieszeni mały płaski aparat, który zabrał ze sobą specjalnie na wypadek czegoś właśnie takiego. Nie wiadomo, kiedy znowu nadarzy się możliwość, żeby zrobić taką fotkę. Pewnie trumna utknie w pracowni konserwacji dzieł sztuki i nikt nie będzie miał tam wstępu. Pochylił się nad wiekiem i zrobił dokładne zbliżenie czarnej skrzyni. Oderwał aparat od oczu i zdmuchnął tuman kurzu, odsłaniając inskrypcję wyrytą w czarnym drewnie.

Hadrys pochyliła się obok niego i dotknęła ręką kunsztownego rzeźbienia po bokach trumny.

– Coś nieprawdopodobnego. To dzieło sztuki. I w dodatku kompletny unikat. Nie znam ani jednego przypadku w historii, żeby trumna wewnątrz sarkofagu była taka dekoracyjna. Poza tym zobacz, jak jest zachowana. – Spojrzała na Igora.

Rzeczywiście. Umknęło mu to. W większości sarkofagów po tylu latach trumny wewnątrz ulegały kompletnej destrukcji. Zapadały się dna, boki. Ta była w znakomitym stanie.

– Chyba została czymś zabezpieczona.

– Nie mogę się już doczekać, żeby to rozebrać na kawałki i dokładnie obejrzeć. To jest jak prezent z przeszłości. – Uśmiechnęła się, dotykając inkrustowanego napisu.

Znali się z wielu wspólnych prac przy różnych obiektach. Igor często zlecał im badania konserwatorskie detalu architektonicznego lub kolorystyki

różnych starych budynków, którymi się zajmował.

Godzinę później sarkofag został ostrożnie, ściana po ścianie, wyniesiony na zewnątrz do czekającego samochodu. Następnie czterech pracowników muzeum powolutku ściągnęło trumnę z samochodu i ułożyło ją na specjalnych stalowych noszach z pasami. Udało się bez większych problemów przenieść trumnę przez zawaaloną część korytarza aż do dziury w ścianie szczytowej hotelu. Żeby zmieścić trumnę w dziurze zawaliska, musieli się wspiąć na szczyty koordynacji. Cofając się i powolutku przesuwając w bok, jakoś zdołali przepchnąć wielkie pudło przez dziurę bez przechylania go. Chodziło oczywiście o zawartość trumny i o to, żeby nie uszkodzić pozostałości zwłok podczas gwałtownych manewrów i przechyleń. Nie wiadomo, na co trumna była narażona w okresie wojny, tym bardziej więc nie należało jej dodatkowo nadwerężyć. Trwało to wszystko prawie pół godziny i gdy wreszcie trumna stanęła w korytarzu w piwnicy, czterech młodych pracowników pracowni konserwacji dzieł sztuki było złanych potem.

Tak samo jak Igor, który za każdym razem, gdy trumna niebezpiecznie ocierała się o ściany, zagryzał wargi i zaciskał pięści.

Wychodząc z budynku, przypomniał sobie, że po tej całej akcji miał się skontaktować z Pauliną. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta. Pomyślał, że zdąży jeszcze zadzwonić do niej z domu, i wsiadł do samochodu.

\*

Dorota pchnęła podwójne drewniane oszklone drzwi i weszła do hallu wyłożonego mozaiką z jasnych i czarnych kafli z polerowanego kamienia. Doskonale знаła to miejsce i nie znosiła go. Rodzice Igora lubili się tutaj zatrzymywać, gdy przyjeżdżali do miasta. Matce Igora podobał się pseudodworski, pseudoarystokratyczny wystrój. Mnóstwo ciężkiego drewna, obrazy oprawione w wielkie ramy, najczęściej kopie lub reprodukcje znanych widoków Szczecina XIX-wiecznych malarzy i doskonale udawany blichtr i przepych. Dorocie zrobiło się duszno już w samych drzwiach.

Recepcjonistce, która otworzyła usta, żeby ją spytać, czym może służyć, niecierpliwie rzuciła, że jest umówiona, i pewnym krokiem weszła do sali restauracyjnej. O tej porze było tu dużo ludzi. Poza gośćmi hotelowymi

kręciło się sporo osób, które wpadły na późny obiad lub wczesną kolację. Restauracja w hotelu cieszyła się dużą popularnością, mimo że była relatywnie droga. Tak samo zresztą jak i hotel.

Domyśliła się, że jest umówiona z facetem w ciemnym garniturze i ciemnej koszuli, ponieważ leżało przed nim kilka teczek z dokumentacją architektoniczną, co poznała na pierwszy rzut oka, a także dlatego, że patrzył wprost na nią z szerokim uśmiechem. No tak, do swojej oferty załączyła przecież CV ze zdjęciem. Uśmiechnęła się chłodno i podeszła do narożnej łoży, nad którą wisiała reprodukcja widoku szczecińskiego portu Ludwiga Mosta[14].

– Witam, Dorota Fleming. Wydaje mi się, że pan czeka na mnie.

Mężczyzna poprawił okulary, a następnie wstał i podał jej rękę.

– Witam panią. Karl Neumann. Jestem plenipotentem pana von Hagen.

Dorota usiadła na wielkiej skórzanej kanapie i położyła obok swoją torbę. Ciekawe, z jakiego powodu współpraca ze spółką, która wygrała przetarg, nie zakończyła się sukcesem. Nie zakończyła? Nie zaczęła nawet na dobre. Zaraz zobaczymy, pomyślała, patrząc na swojego gospodarza.

Niemiec wyjął kilka dokumentów z teczki leżącej obok starej dokumentacji, oprawionej w grube tekturowe okładki, i podał Dorocie.

– To jest podkład geodezyjny terenu, który dopiero co został uaktualniony. Niestety, oprócz tego dokumentu firma, z którą rozpoczęliśmy współpracę, niewiele więcej zrobiła.

Dorota pomyślała, że to i tak dużo. Miesiąc to naprawdę krótko jak na zrobienie aktualnego podkładu do celów projektowych. Wzięła do ręki złożoną mapę, rozpostarła ją na stoliku przed sobą i spojrzała. Podkład obejmował ruiny dworu oraz najbliższe sąsiedztwo, aż do granicy z drogą publiczną.

– No cóż. Nie mam zamiaru pana oszukiwać, że załatwiłabym to szybciej – powiedziała do blondyna z uśmiechem.

– Tak. Zorientowaliśmy się już, że w Szczecinie formalności budowlane ciągną się w nieskończoność, ale panowie ze studia 2morrow obiecali nam, że jednocześnie załatwią wstępną zgodę na prace wykopaliskowe przy istniejących fundamentach dworu. Miały się zacząć prawie od razu i trwać równolegle z pracami projektowymi, tymczasem pani konserwator nie



wydała takiej zgody i po prostu zaczęliśmy tracić czas.

– A jakoś to umotywowwała? – Dorota zmarszczyła brwi. Ten teren podlegał chyba wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków.

– Jakimiś tam brakami we wniosku. Poza tym zażądała uzgodnienia z nadleśnictwem, a to kolejne tygodnie oczekiwania. Możliwe zresztą, że ci projektanci coś namieszcili.

Niemiec spojrział na Dorotę.

– Jeśli jest pani w stanie załatwić nam to pozwolenie w ciągu najbliższych dwóch tygodni, to od razu podpisujemy z panią umowę na pozostałe prace projektowe.

Dorota pochyliła się nad podkładem. Można by zacząć od zezwolenia na prace porządkowe w parku, wycinkę samosiewów, krzewów. Takie prace wydaje konserwator zieleni, a nie nadleśnictwo. Jeśli weźmie do współpracy dobrą zieleniarkę, czytaj: z dobrymi układami u konserwatora, to dostanie taką zgodę w ciągu kilku dni. A w ramach tych prac mogliby jednocześnie zacząć kopać przy fundamentach. Nikt nie pozna, co oni tam robią. W międzyczasie natomiast załatwi zgodę na prace odkrywkowe. Może się udać. Możliwe, że ci faceci z 2morrow nie zajmowali się nigdy tematami konserwatorskimi i nie znają różnych kruczków i wybiegów. Jednak nudna praca z Igorem na coś się teraz przydaje, pomyślała.

Opisała Niemcowi pokrótce ogólny pomysł na strategię postępowania.

– Zróbmy tak. Proszę mi dać czas do jutra. Zorientuję się, co i jak, i dam panu odpowiedź, czy jestem w stanie to załatwić. Ale sądzę, że się uda.

Niemiec uśmiechnął się szeroko.

– Wydaje mi się, że jest pani osobą, jakiej szukaliśmy.

Sięgnął po teczkę na stole i przesunął je w jej kierunku.

– Proszę się zapoznać z tymi starymi szpargałami. Wydostaliśmy to z rodzinnych archiwów. Jestem pewien, że będzie nam się świetnie współpracowało.

Dorota uśmiechnęła się do niego z nieukrywaną satysfakcją. Jeszcze dziś zadzwonię do zieleniarki, postanowiła.

Mężczyzna odsunął teczkę z dokumentami i sięgnął po jeden z grubych tomów starej dokumentacji. Na oko mogła mieć już nawet kilkadziesiąt lat.

Otworzył wytartą tekturową okładkę, a następnie rozłożył pierwszy z kompletu rysunków wykonanych na starej papierowej kalce. Dorota spojrzała z zaciekawieniem. Inwentaryzacja?

– Udało nam się zdobyć dokumentację tego dworu. Jest bardzo stara, pochodzi z początku ubiegłego wieku. Tym samym jednak nie jest aktualna, ponieważ dwór przed pierwszą wojną został przebudowany i dostosowany do pełnienia pewnej specyficznej funkcji. Pan von Hagen zapamiętał jednak z dzieciństwa pewną rodzinną legendę, związaną z jednym z przodków. Legenda ta dla jego upamiętnienia została wykuta w kamieniu i wmontowana w ściany w którymś z pomieszczeń piwnicznych. Pamięta tylko, że było to pomieszczenie dostosowane do przechowywania i degustacji win. Moglibyśmy zwrócić się z tym do niemieckich historyków lub architektów, ale potrwałoby to pewnie dodatkowe tygodnie.

Przerwał i popatrzył na Dorotę.

– Ta sprawa wymaga pewnej dyskrecji ze względu na polskie przepisy związane z prowadzeniem tego typu prac. Mówiąc wprost, właściciel chciałby ten stary kamień z inskrypcją zachować, a gdybyśmy uruchomili jakąś oficjalną procedurę, to pewnie zostałyby zabrane przez szczecińskie władze.

Dorota pokiwała głową. Oczywiście. Zgodnie z Kodeksem cywilnym, artykuł 189, w przypadku znalezienia rzeczy mającej dużą domniemaną wartość materialną, naukową lub artystyczną obowiązkiem znalazcy jest powiadomienie Służby Ochrony Zabytków. Znaleźisko przechodzi na własność Skarbu Państwa, a delikwent dostaje dyplom. Albo ma nieprzyjemności. Stare przepisy z czasów Bieruta. Uśmiechnęła się z przekąsem.

– Rozumiem. – Spojrzała na blondyna, który przypatrywał jej się przenikliwie. – Czego panowie się po mnie spodziewają?

– Przede wszystkim potrzebna jest fachowa analiza dokumentacji i wytypowanie tego pomieszczenia, tak by zacząć prace właśnie od niego i nie tracić czasu. A równolegle oczywiście załatwienie wszystkich niezbędnych formalności, o których mówiliśmy przed chwilą. Oczywiście za tę pracę otrzyma pani oddzielne honorarium.

Dorota pokiwała głową. Kamień z jakąś starą inskrypcją trafiłby pewnie na gruz, gdyby zajmował się tym ktoś inny, a w najlepszym wypadku do

magazynu muzeum, gdzie nikt by się nim nie interesował. W wielu zrujnowanych pomorskich pałacach widziała takie stare płyty z herbami czy napisami upamiętniającymi jakieś wydarzenia. Nie było komu ich zabezpieczyć i po jakimś czasie znikwały albo bezmyślni miejscowi mieszkańcy niszczyli je dla rozrywki. Zaraz po niedzielnej mszy. Nie, zdecydowanie nie czuje się winna, pomagając przejąć tę tablicę dawnemu właścicielowi. Uśmiechnęła się do blondyna. Przypomniała sobie, że coś, o czym mówił, zwróciło jej uwagę.

– Powiedział pan, że przed pierwszą wojną dwór dostosowano do jakiejś specyficznej funkcji. Co to była za funkcja?

Mężczyzna poprawił okulary, kiwnął ręką na przechodzącą kelnerkę i uśmiechnął się.

– Loża masońska.

# Rozdział 11

Igor wbiegł po schodach, rzucił torbę na sofę i z rozpędu skierował się do biurka. Zapalił lampę nad dwoma monitorami i wtedy dopiero przypomniał sobie, że w komputerze nie ma twardego dysku. Odwrócił się i przeszedł do pokoju dziennego. Zapalił światło nad stołem kuchennym i usiadł na wysokim stołku przed leżącym tutaj laptopem. Otworzył go i czekając, aż komputer się uruchomi, ściągnął przez głowę koszulę i rzucił ją na sąsiedni stół. Wpisał w wyszukiwarkę nazwę wsi, którą rok temu sam polecił Boroli po jakiejś tam weekendowej wycieczce, i wbił oczy w monitor. Pojawiło się kilka linków. Wybrał pierwszy z nich i zaczął czytać.

Wieś wymarła kompletnie w latach sześćdziesiątych. Jeszcze po wojnie stał tutaj nietknięty, zachowany dwór wraz z niewielkim folwarkiem, a cała osada liczyła kilkanaście domów, głównie starych ryglowych i nowszych, zbudowanych z czerwonej cegły. Miejscowość miała rodowód średniowieczny, przez wiele lat należała do znanych pomorskich rodów szlacheckich, a od połowy XVIII wieku uzyskała status majątku rycerskiego[15]. Wedle niesprawdzonych podań we wsi niegdyś stał zamek, który spłonął w tajemniczych okolicznościach, a na jego fundamentach postawiono wielki dwór z czerwonej cegły utrzymany w surowym pomorskim klasycystycznym stylu. Na początku XX wieku z inicjatywy ówczesnych właścicieli powstała tutaj loża masońska. Szczególnie znana była wielka sala ogrodowa, której wykończenie i dekoracje odwoływały się do symboliki wolnomularskiej.

Po wojnie w opuszczonym majątku mieściła się leśniczówka szczecińskiego koła łowieckiego. Później było to miejsce szkolenia kadr robotniczych i wreszcie dobra przeszły na własność Nadleśnictwa w Trzebieży, a potem dwór został rozebrany wraz z całą wsią w ramach akcji odbudowywania stolicy. Pod koniec lat sześćdziesiątych zostały tu już tylko pozostałości fundamentów i ogromne stare drzewa dworskiego parku.

Igor pokręcił głową z przykrością. Nie było to ani nic nowego, ani takiego,

z czym by się już nie zetknął w czasie swojej pracy, ale za każdym razem odczuwał bezsilność i prawdziwy żal. W latach powojennych stare Księstwo Zachodniopomorskie było traktowane jak ziemia niczyja, jak miejsce, z którego można było wywozić bezkarnie cegły, rzeźby, ogałacać tutejsze muzea i stare rezydencje albo niszczyć je do woli. Bezmyślność i brak jakiegokolwiek odpowiedzialności narodu, który w dalszym ciągu ma za złe Rosjanom, Białorusinom i Ukraińcom to, w jakim stanie na dawnych polskich Kresach są cmentarze, pałace i kościoły. Niestety, zniszczenia i rany zadane architekturze, krajobrazowi i kulturze Pomorza przekraczały znacznie te zadane polskiemu dziedzictwu na Kresach.

Igor pokręcił głową i oderwał się od ponurych myśli. Spojrzał ponownie w ekran. Wieś w 1776 roku weszła w skład wielkiego majątku ziemskiego, którego ośrodek stanowiła miejscowość Brunn[16]. Dobra te należały niegdyś do kościoła Mariackiego w Szczecinie, a później stanowiły własność pomorskich rodów szlacheckich, by w końcu w roku 1589 znaleźć się w rękach kanclerza książąt zachodniopomorskich Ottona von Ramina.

Ród ów posiadał już na tych terenach wielkie dobra w sąsiednim Stolcu i Dobrej, a jego tutejsza historia sięgała XIII wieku. Stara pomorska rodzina, zawsze blisko związana z dworem książęcym i piastująca wysokie stanowiska państwowe. Bezrzecze i malutka wieś zagubiona we Wkrzańskiej Puszczy miała zostać w ich rękach do ostatniej wojny, a ostatnim właścicielem był Barnim Ludwig Friedrich Erdmann von Ramin. Jego żona pochodziła z rodziny von Hagen i miała na imię Gustawa.

\*

Taksówka zatrzymała się przed samą furtką. Paulina wysiadła i wetknęła klucz do zamka, z ulgą dostrzegając biegnącego w jej kierunku i wesoło szczekającego Maksa. Potarmosiła go za długie kłaki i weszła do domu. Minęli się z ojcem o włos.

Rzuciła torbę i marynarkę na szafkę w hallu i z poczuciem ulgi, że nikogo tu jednak nie było, zadowolona, że już nigdzie nie musi się dzisiaj wybierać, weszła do kuchni. Postawiła czajnik na kuchence i wyciągnęła z szafki herbatę. Po chwili przypałętał się kocur, dopominając się, żeby go nakarmić. Podrapała go za uchem i nasypała herbaty do czajniczka. Patrząc na gotującą się wodę, myślała o tym, jak w domu jest bezpiecznie i zwyczajnie.

Wszystko biegnie tutaj swoim torem, kot przeciąga się na oknie, pies biega po ogrodzie. Jej obawy sprzed bez mała pół godziny, wydały się jakies nierzeczywiste. Takie rzeczy jak pościgi, morderstwa i włamania przydarzają się gdzie indziej, ale przecież nie tutaj. Nie w tym prowincjonalnym, statecznym mieście. A zwłaszcza nie jej.

Nalewając herbatę do kubka, pomyślała, czy to nie wyparcie. Musiała przyznać sama przed sobą, że przestraszyła się w tym cholernym hotelu, siedząc naprzeciwko typa, który ją wypytywał, świdrując wzrokiem. Próba włamania przy użyciu gazu, ten złodziej, który wydarł jej kopertę. No i teraz ten cholerny Szwab.

Zastanawiała się, kiedy zadzwoni do niej Fleming. Miał się odezwać po dzisiejszym spotkaniu z konserwatorami. Była strasznie ciekawa efektów tej wizji. I oczywiście tego, kiedy będzie mogła napisać o tym w „Dzienniku”. Nie mogła się doczekać miny Pawła, jak pokaże mu zdjęcie tego sarkofagu. Powinien spaść z krzesła. Uśmiechnęła się pod nosem, zabrała kubek z herbatą i poszła do salonu. Kocur pobiegł za nią, wyprzedził ją w drzwiach i wskoczył na fotel przy kominku. Paulina usiadła obok, sięgnęła po laptopa i postawiła go sobie na kolanach. Zaczęła przeglądać materiały na temat kolejnego sponsorowanego nudziarstwa, gdy nagle przyszło jej coś do głowy. Skąd ktoś mógł wiedzieć, że umówiła się z Flemingiem pod urzędem?

Zamyśliła się, patrząc nieruchomo w monitor. Powiedziała o tym Pawłowi, on mógł powiedzieć komuś jeszcze w gazecie. Czy to możliwe, by ktoś wypaplał przez telefon komuś, kto pod byle pretekstem zadzwonił, pytając o nią? Pokręciła głową. W redakcji zawsze przestrzegali, żeby nie zdradzać czytelnikom ani nikomu innemu personaliów, adresu ani żadnych danych. Więc może Fleming?

Umówili się na jedenastą. Jakoś tuż przed ósmą zostawił jej wiadomość, więc ktoś miał trzy godziny, żeby się dowiedzieć i zorganizować ten cały happening. Lepiej, pomyślała, gdyby to jednak była zwyczajna kradzież, bo jeśli nie... Jeśli nie, to oznacza, że ktoś i ją, i Fleminga obserwuje. Machinalnie rozejrzała się wokół siebie, rzucając okiem na leżącą na stole obok kubka z herbatą komórkę.

\*

Igor patrzył w monitor na zajmujące prawie cały wiersz arystokratyczne

imiona i nazwisko tajemniczego Barnima. Czy możliwe, żeby to on był owym kierowcą ciężarówki z podziemi? Jeśli ta rodzina miała tak silne powiązania masońskie, to jak to jest możliwe, by ostatni właściciel majątku, w dodatku arystokrata i dziedzic historycznego nazwiska, nagle znalazł się w tak niepopularnej wśród jego stanu organizacji jak Werwolf?

Pochylił się nad ekranem i spojrzął na następne linki, które pokazała wyszukiwarka. Jeden z nich odsyłał do portalu poświęconego interesującym miejscom w regionie. Otworzył artykuł i zaczął czytać. Na stronie było kilka suchych informacji na temat wsi i dworu, ale bardziej zaciekał go zamieszczony skan listu. Był napisany na papierze sygnowanym danymi majątku i nazwiskiem właściciela, a podpisany imieniem Gustawa. Widniała na nim data 5 lutego 1945 roku. Kobieta pisała do jakiejś przyjaciółki o wojennej rzeczywistości i swoich obawach związanych z wkroczeniem Rosjan na Pomorze. Pisała, że nie ma żadnych wieści od męża, który ostatnio przebywał, wedle jej informacji, pod Wałczem.

Igor zmarszczył brwi i skupił się na dalszej części artykułu. Zaskoczył go kolejny intrygujący fakt dotyczący tajemniczego Barnima. Według autora artykułu był kapitanem i jednym ze spiskowców, którzy pod wodzą pułkownika Clausa von Stauffenberga<sup>[17]</sup> wzięli udział w nieudanym zamachu na życie Hitlera.

Zaskoczony podniósł wzrok. A to niespodzianka! Zaraz, zaraz, kiedy był ten zamach? Wstukał kilka słów w wyszukiwarkę. Dwudziestego lipca 1944 roku.

List Gustawy był z lutego 1945. Jeśli po zamachu Barnim von Ramin zdołał się jakoś ukryć i uniknąć od razu egzekucji, to jest zrozumiałe, dlaczego żona nie miała od niego żadnych informacji. A jeżeli udział w akcji Werwolfu był także podyktowany chęcią ukrycia się przed SS? Może w ten sposób chciał uniknąć kary i przeczekać, a potem przedostać się przez zieloną granicę? Albo zostać w Szczecinie – przecież w tamtym momencie nie wiedział jeszcze o tym, że nastąpi podział Europy, który Szczecin przypisze Polsce. Zdołał się jakoś wkręcić w struktury Werwolfu, prawdopodobnie pod zmienionym nazwiskiem, i ukrył się w podziemnym Szczecinie. Tylko co, do diabła, z tym sarkofagiem?

Igor wstał, wziął koszulę z krzesła i poszedł do sypialni. Po kilkunastu minutach wrócił odświeżony w lekkiej koszulce i dżinsach. Myjąc twarz w łazience, cały czas zastanawiał się, jak to możliwe, że sarkofag

zachodniopomorskiego księcia znalazł się w ciężarówce, której kierowcą był spadkobierca jednego z najstarszych nazwisk na Pomorzu? Może to jest właśnie dobry trop? Raminowie zawsze byli blisko rodziny książęcej. Kilku z nich pełniło bardzo wysokie stanowiska przy dworze, dwóch było kanclerzami książąt. W dodatku jeden był kanclerzem właśnie Barnima IX. Czy to przypadek? A może chodzi o jakąś starą rodzinną tajemnicę?

Pomiął kilka linków, których tematy nie wiązały się bezpośrednio z Raminami, i kliknął w odnośnik do artykułu na temat uporządkowanego niedawno cmentarza rodowego. Znajdował się nieopodal ruin dworu, kompletnie zagubiony w lesie. Jakiś czas temu ktoś z żyjących członków rodziny zlecił jego uporządkowanie. Kilka kamiennych płyt, na których wyryte były lakoniczne informacje o pochowanych osobach. Najstarszy grób pochodził z 1844 roku. Na nagrobkach brakowało tradycyjnych krzyży, a na najstarszym nad imionami pochowanych Wilhelma von Ramina i jego żony Henrietty wyryta była mała różyczka.

Igor podniósł wzrok znad ekranu. Nagle go olśniło. Kamienne płyty... Oczywiście! To są przecież te „kamienie przodków”.

\*

Dorota rozłożyła na łóżku wielką płachtę starego papieru i pochyliła się nad nią z ciekawością. Inwentaryzacja dworu z przełomu XIX i XX wieku. Skąd oni to wzięli? Papier był pożółkły, w miejscach złożenia kompletnie powycierany i podziurawiony. A stara kalka tak delikatna, że kruszyła się pod nieostrożnym dotykiem. Inwentaryzacja była wykonana ręcznie i opisana po niemiecku. Pewnie zrobiono ją tuż przed przebudową tego dworu. Łoża masońska, a to dopiero. Dorota spojrzała na plan parteru.

Dwór założony był na planie wydłużonego prostokąta. Od frontu miał ganek wejściowy, a z tyłu taras z szerokimi schodami. Od strony ogrodu, dokładnie na głównej osi kompozycyjnej, znajdowała się wielka sala ceremonialna, o której usłyszała od tego Niemca. Jak widać, urządzono ją w dawnym salonie ogrodowym.

Sięgnęła po drugi arkusz i rozpostarła go na pierwszym. Facet coś mówił, że to ma być w piwnicy, jakieś pomieszczenie zaraz przy schodach. Pochyliła się nad pożółkłym papierem. Układ dworu był dość typowy dla tego typu obiektów. Zasada założenia pochodziła jeszcze z XVII wieku z Francji



i nazywała się *Entre Cour et Jardin*[18]. Rezydencje tak rozplanowane rozpięte były w całości na głównej osi kompozycyjnej, na którą po kolei nanizano reprezentacyjną bramę wjazdową, podjazd, potem hall we wnętrzu, dalej wielką salę ogrodową, schody i ogród. Najbardziej spektakularne barokowe realizacje rozciągały się na wielu kilometrach z długimi alejami wjazdowymi i parkowymi kanałami, ale układ osiowy realizowany był także w skromniejszych dworach, z mniejszymi lub większymi odstępstwami wynikającymi z rzeźby terenu czy możliwości finansowych właścicieli.

Piwnica dworu przedzielona była długim korytarzem, który na obu końcach, w szczytach budynku, kończył się schodami wejściowymi na górę. Dorota podniosła arkusz i spojrzała na rysunek parteru. Były tutaj jeszcze jedne schody. Tuż obok hallu, najbardziej reprezentacyjne. I to pewnie o te chodziło. Więc salą, którą miał na myśli Niemiec, mogło być duże pomieszczenie usytuowane bezpośrednio pod salą ogrodową. Pasowało na piwnicę przechowującą wina. I nie miało okien, ponieważ za nim były ulokowane fundamenty schodów ogrodowych. Wszystko się zgadza. Dorota spojrzała na zdjęcia, które dostała razem ze starą dokumentacją. Cały obrys fundamentów dworu zarośnięty był obecnie samosiewami. Samosiewy rosły też na gruzach tarasu i porastały, kiedyś zapewne otwartą i zieloną, polaną za dworem. To o te cholerne drzewa chodzi. Oczywiście nikt nie będzie robił problemów z ich usunięciem, ale droga oficjalna może potrwać miesiąc, zanim wszystkie urzędaszy przybiją swoje pieczętki. Dorota westchnęła i wyciągnęła się na szerokim łóżku obok wielkich płacht starej dokumentacji. Miała nadzieję, że doskonale ustawiona u wojewódzkiego konserwatora zabytków projektantka zieleni, z którą niegdyś często pracowali razem z Igorem, da się namówić do współpracy. A właściwie co szkodzi zadzwonić do niej teraz? Przekręciła się na bok, przeciągnęła i sięgnęła po telefon.

\*

Johann wyjął z szafy ubrania i wrzucił je do walizki. Ten cały wyjazd do Szczecina to był poroniony pomysł. Kierowanie się impulsem w życiu przynosi, jak widać, gorsze efekty niż w interesach. Obszedł dzisiaj prawie całe centrum. Wiele rzeczy mu się podobało, owszem, ale miasto sprawiało raczej bardzo mierne wrażenie. Fragmenty pięknej secesyjnej zabudowy graniczące z paskudnymi budynkami powojennymi. Upchnięte przy najbardziej reprezentacyjnych placach i ulicach bloki z wielkiej płyty.

Szczątki dawnej świetności wymieszane z bylejakością okresu polskiego socjalizmu. Nigdzie nie znalazł tego baśniowego uroku, o którym tyle się nasłuchał, będąc dzieckiem. Niepotrzebnie tu przyjechał. Mógł zostawić świat dziecięcych wyobrażeń w świętym spokoju. Naprawdę nie wiedział, co mógłby tutaj robić do piątku. W muzeum praktycznie nie było nic do oglądania, Wały Chrobrego, owszem, piękne, ale ileż można po nich chodzić? Zamek to praktycznie atrapa, z zewnątrz renesans, wewnątrz betonowy magazyn. Można by jeszcze iść się upić do jakiegoś klubu, może dałoby się kogoś poznać i przynajmniej wykorzystać to dwuosobowe łóżko, ale pewnie musiałby czekać do piątku. Szczecinianie nie mieli zwyczaju spędzania czasu po pracy w dni powszednie w pubach. Generalnie dno!

No i te tajemnicze opowieści dziadka. Tylko się ośmieszył przed dziewczyną. Matka miała rację. Dziadkowi się pomieszało na starość w głowie i to cała tajemnica.

\*

Paulina zdała sobie sprawę, że się boi. Że też ojciec musiał wyjechać akurat teraz. Od kilkunastu minut siedziała w fotelu przy kominku obok kota i co chwila podnosiła głowę, nasłuchując, czy nic się nie dzieje na ulicy. Otwarty laptop leżał przed nią na stoliku, ale nie mogła się skupić na czytaniu beznadziejnie nudnych informacji na temat materiału izolacyjnego o doskonałym współczynniku przewodzenia ciepła.

Na dworze było cicho i spokojnie. Słońce powoli kryjące się za dachami domów rzucało długie złote smugi. Piękny letni wieczór, a ona tu siedzi i zmagą się z myślami, czy nie zadzwonić po brata. Tylko co mu powie? Żeby wpadł do domu, bo boi się zostać sama w nocy? Chyba padłby ze śmiechu.

Głośny dzwonek telefonu sprawił, że podskoczyła. Spojrzała ze złością na komórkę i podniosła ją do ucha. Kot otworzył oko, urażony, że się poruszyła.

– Witam. Igor Fleming. – Odetchnęła z ulgą na dźwięk znajomego już niskiego głosu. – Miałem do ciebie zadzwonić w sprawie tego spotkania w lochach.

– No właśnie czekałam. Jestem strasznie ciekawa, co z tym sarkofagiem?

Paulina złapała się na tym, że właściwie bardziej ją cieszy telefon, który ją oderwał od strachliwych myśli, niż ciekawi sarkofag. Ale ze mnie

dziennikarka! – pomyślała z ironią.

– Już go zabrali do pracowni konserwatorskiej. Wewnątrz, jak się okazało, była niesamowita, rzeźbiona trumna. Coś nieprawdopodobnego. – Igor przerwał i słyszała, jak coś przesuwają. – Ale mam coś jeszcze. Poszperałem w necie i chyba wiem, kim był ten kierowca. Nie uwierzysz.

– Naprawdę miał na imię Barnim? – spytała. Myśl o artykule na temat sarkofagu i minie Pawła, gdy go przeczyta, przywróciły jej zainteresowanie całą sprawą.

– Tak. Ale jego tożsamość dodatkowo wszystko komplikuje, zamiast wyjaśniać. – Igor na chwilę umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał.

– No, to zdradź mi ją może w końcu. – Paulina czuła, że wystawia jej cierpliwość na próbę.

– Zacząłem się zastanawiać nad następstwami jej ujawnienia w prasie. Reakcja rodziny i tak dalej. Może nie powinnaś jednak o tym pisać?

– Dlaczego? – Paulina poczuła złość. Umówili się, że napisze o tym po oględzinach konserwatorskich, a teraz on znów zaczyna coś kręcić. Może Borola ma własnych pismaków i woli, żeby to oni o tym napisali pierwsi? – To nie w porządku. Umawialiśmy się...

– Tak, tak – Igor jej przerwał. – Pamiętam. Umawialiśmy się na temat sarkofagu, nie kierowcy. Zresztą to wyłącznie moja teoria, ale jeśli jest prawdziwa, to rodzina tego człowieka może się poczuć urażona. Werwolf to w końcu nie jest wielki zaszczyt.

– W porządku. Słuchaj, jest jeszcze wcześniej, może się spotkamy i to omówimy? Nie będę ściemniać, wspomniałam już swojemu szefostwu o tym temacie ogólnie i wyjdę na idiotkę, jak teraz odwołam.

W słuchawce zapanowała przez chwilę cisza. Paulina pomyślała, że chyba się wygłupiła, proponując mu spotkanie o tej porze. Prawie go nie zna, co on sobie pomyślał?

– Jasne. Z przyjemnością. – W głosie Igora nie było niezdecydowania. – Gdzie się spotkamy?

Najchętniej zaproponowałyby swój dom. Cały czas obawiała się, że ktoś ją obserwuje i może się włamać, żeby przeszukać jej rzeczy. To oczywiście było kompletnie pozbawione sensu, bo co mogliby znaleźć, ale skoro raz próbowali? Niemniej propozycja spotkania o tej porze to jedno, a spotkanie

o tej porze u niej w domu byłoby już przegięciem.

– Jest piękny wieczór. Spotkajmy się za pół godziny na Błoniach. Koło fontanny.

\*

Igor był na miejscu pierwszy. Zaparkował auto przy placu za Urzędem Miejskim, wysiadł, wepchnął ręce do kieszeni i wolnym krokiem, rozglądając się wokół, obszedł fontannę dookoła. Było to jedno z ulubionych miejsc spotkań w mieście. Szczególnie latem, kiedy ładnie podświetlone wodne pióropusze oferowały orzeźwiająca mgiełkę w gorące popołudnia i wieczory. Fontanna powstała w latach dziewięćdziesiątych i była pierwszą zrealizowaną w ramach pomysłu zamiany dawnych szkaradnych, ogrodzonych stalową siatką basenów przeciwpożarowych na fontanny. Nazywano ją „Bartłomiejką” od imienia ówczesnego prezydenta miasta, który zainicjował tę akcję.

Wokół kręciło się sporo ludzi, większość ławek była zajęta, a wzdłuż platanowych alei przechadzali się liczni, uszczęśliwieni pięknym wieczorem i początkiem lata spacerowicze. Igor stanął przed fontanną i patrząc na migoczące w świetle krople wody, pozwolił się im zahipnotyzować, czując wręcz fizycznie, jak czas zwalnia i zamyka go w małym kolapsie spokoju. Nie zauważył, jak od strony parku nadeszła Paulina, i dopiero gdy była tuż obok, drgnął i spojrzał na nią z uśmiechem. Odwzajemniła uśmiech.

– Miałam dzisiaj dziwne spotkanie – rzuciła bez wstępów. – Po tych ostatnich wydarzeniach z włamaniami i kradzieżami trochę mnie wystraszyło.

W kilku zdaniach streściła mu spotkanie w hotelu na Wałach Chrobrego.

Igor podniósł brwi.

– Sprawdziłaś dane, które podałam?

Paulina spojrzała na niego zaskoczona. Właściwie nie pomyślała o tym.

– Jak miałabym sprawdzić?

– Przejdźmy się. – Igor machnął ręką w kierunku Jasnych Błoni. Sięgnął do torby, którą miał przewieszoną przez ramię, i wyjął iPada.

– Na przykład na Facebooku – powiedział, klikając palcami po gładkim

ekranie urządzenia.

Paulina spojrzała na niego krytycznie. Gadżeciarz!

– No proszę, ma śliczne zdjęcia i prawie siedmiuset znajomych. Wygląda całkiem sympatycznie – zauważył, przechylając ekran w jej kierunku. Paulina spojrzała na znajomą twarz.

– A spodziewałeś się, że znajdziesz tam fotki en face i z profilu w pasiaku więziennym? To o niczym nie świadczy.

– Pracuje w City, w jakiejś dużej firmie konsultingowej. Zainteresowania to reklama, media, sztuka. Część danych poukrywał. Może to tam pisze, że jest międzynarodowym przestępcą? – Igor popatrzył na Paulinę z błakającym się na wargach uśmiechem.

– Mówi się „jest napisane”, a nie „pisze”. Nie musisz ironizować. Wiedział, że kierowca nazywa się Barnim. Skąd miałby wiedzieć, gdyby nie widział tego listu?

– „Pisze” to wprawdzie rusycyzm, ale profesor Miodek go dopuszcza. A jeżeli ta historia, którą opowiedział, jest prawdziwa? Jeśli jego dziadek rzeczywiście miał coś wspólnego z tymi wydarzeniami i znał Barnima?

– Opowiedział mi jakąś mętłą historię z dzieciństwa, ale za to kilka godzin wcześniej ktoś ukradł mi kserokopię listu. Bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że to podstęp.

Igor szedł przez chwilę w milczeniu.

– Może go w takim razie odwiedzimy? Z zaskoczenia? – zwrócił się do Pauliny, unosząc w górę brwi.

– Teraz? – Paulina przystanęła zaskoczona. Zwariował!

– Jak go zaskoczymy i zadamy jakieś dodatkowe pytania o tego dziadka, to może się potknie. Gdyby to był jeden z tych poszukiwaczy skarbów i to oni wymyślili spotkanie z tobą, to mieli na to jedynie kilka godzin, co sama zauważyłaś, i od razu zauważymy, jak zaczniesz improwizować.

– Zawiadomi swoich współników... – Paulina była pełna wątpliwości.

– To postraszymy ich policją i sobie pójdziemy. – Igor nabrał entuzjazmu do swojego pomysłu. – Podjedziemy moim samochodem. Po drodze opowiem ci, co znalazłem na temat tego Barnima. Idziemy!

\*

– Chyba zwariowałaś? – Igor patrzył na Paulinę z niedowierzaniem. Stali oboje tuż przed wejściem do hotelu. Za nimi wznosiła się wysoka, ceglana ściana muru oporowego Wałów Chrobrego. – Nie przejdzie mi przez gardło taka głupota. Naoglądałaś się za dużo kiepskich filmów sensacyjnych.

– Jaka głupota? – Paulina spojrzała na niego złym wzrokiem. Czy on naprawdę musi być taki wkurzający? – Musimy się jakoś zabezpieczyć. A co będzie, jeśli tam wpadną jego koleśki i wywloką nas tylnym wyjściem?

– Po co mieliby to robić? – zdenerwował się Igor. – Zakładając, że to naprawdę ktoś z tego towarzystwa, to raczej będzie szedł w zaparte i nadal udawał turystę albo wyrzuci nas i wezwie ochronę. Idziemy. Nie wygłupiaj się.

Ruszył w kierunku schodów do głównego wejścia. Miał do tej sytuacji dystans z jednego powodu. Cały czas myślał, żeby nie spotkać gdzieś tutaj przypadkiem Doroty. Otworzył drzwi i poczekał na Paulinę, puszczając ją przodem.

Paulina weszła do wnętrza hallu i ruszyła w kierunku recepcji. Za ladą siedziała inna dziewczyna niż po południu. Szczupła blondynka z wysoko upiętymi włosami. Uśmiechnęła się na ich widok i podniosła brwi, zastępując tym sposobem pytanie o to, co mogłaby dla nich zrobić.

– Dobry wieczór. Chcielibyśmy spotkać się z panem Carleyem. Moje nazwisko Weber.

Paulina popatrzyła na recepcjonistkę i nerwowo ścisnęła torebkę. Igor stanął obok niej i obrzucił zaciekawionym spojrzeniem wnętrze recepcji. Nie był tu od czasu remontu.

– Czy pan Carley państwa oczekuje?

– Nie jesteśmy umówieni, ale sądzymy, że chętnie się z nami spotka. – Igor uśmiechnął się do niej. – O ile oczywiście jest na miejscu.

Dziewczyna wykręciła numer i przez chwilę czekała na połączenie. Rzuciła kilka słów po angielsku, po czym uśmiechnęła się i odłożyła słuchawkę.

– Pan Carley czeka na państwa. Drugie piętro, pokój sześćdziesiąt siedem.  
– Wskazała ręką w kierunku schodów.

Igor podziękował i przepuścił przodem Paulinę. Podeszli do schodów. Nim jednak weszli na dwa stopnie, Paulina zawróciła i podbiegła ponownie do lady recepcji. Igor zatrzymał się, westchnął i podniósł oczy do góry.

Paulina nachyliła się nad ladą i pokazała zdziwionej recepcjonistce legitymację prasową, którą przed chwilą wyjęła z torebki.

– Jestem dziennikarką – powiedziała, zniżając głos. – Mam do pani małą prośbę, która, przyznaję, może się wydawać dziwna. Bardzo bym prosiła, żeby pani wysłała kogoś na górę do pokoju pana Carleya, jeśli nie zejdziemy za godzinę. Najlepiej kogoś z ochrony.

Recepcjonistka przez chwilę patrzyła na nią osłupiałym wzrokiem, po czym pochyliła się nad ladą, z trudem powstrzymując ciekawość.

– Czy pan Carley jest jakąś znaną osobą? – spytała z otwartymi szeroko oczami. – Jest poszukiwany? O coś podejrzanym?

– Nie, nie. – Paulina pokręciła głową, nerwowo oglądając się w kierunku opartego o ścianę i pobłażliwie uśmiechniętego Igora. – Po prostu na wszelki wypadek. Chciałabym mieć pewność, że nie dojdzie do jakiejś awantury. Widzi pani – Paulina ściszyła głos – ci dwaj raczej się nie lubią i boją się, że mogą wywołać jakąś burdę.

Recepcjonistka z zaciekawieniem spojrzała w kierunku Igora.

– Rozumiem, to jakaś prywatna sprawa?

– Tak, tak. Bardzo będę pani wdzięczna. Nie chciałabym narobić kłopotów. – Paulina schowała legitymację do torebki. – I bardzo proszę o dyskrecję. – Uśmiechnęła się do blondynki.

– Oczywiście. – Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

Paulina przeszła przez hall, minęła Igora i zaczęła wchodzić po schodach.

– Naprawdę powiedziałaś jej, żeby zadzwoniła po policję, jak nie zejdziemy za godzinę? Czy ty masz źle w głowie? – Igor szedł za nią.

Paulina spojrzała na niego, ściągając brwi.

– Coś w tym stylu. Może ty nie masz nic przeciwko temu, żeby dostać w łeb od jakiegoś gangstera, ale ja raczej wolę tego unikać.

Weszli na korytarz na drugim piętrze. Pokój 67 był niedaleko schodów. Staęli przed ciemnobrązowymi drzwiami. Igor spojrzął na Paulinę pytająco,

po czym podniósł zaciśniętą pięść i zastukał trzykrotnie. Po chwili usłyszeli kroki i drzwi stanęły otworem. Johann był ubrany w dopasowany ciemny garnitur i czarną koszulkę polo. Paulina obrzuciła go taksującym spojrzeniem, uśmiechając się niepewnie.

– Witam ponownie. – Spojrzał z zainteresowaniem na Igora. – Zapraszam. Cofnął się i wpuścił oboje do środka.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy? Nie zajmiemy panu dużo czasu. – Paulina mimochodem rozejrzała się po wnętrzu. – To mój znajomy Igor Fleming.

– Miło pana poznać. – Johann podał rękę Igorowi.

– Przepraszam za nasze dzisiejsze popołudniowe spotkanie. Miałam zbyt dużo na głowie i nie poświęciłam panu zbyt wiele czasu. – Paulina spojrzała na Johanna. – Ale w międzyczasie zdobyliśmy pewne informacje, które pana opowieść o znajomym dziadka stawiają w nieco innym świetle. Stąd to nasze najście... – Przerwała, patrząc porozumiewawczo na Igora.

– Doprawdy? – Johann wydawał się zaskoczony. – Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby mój przyjazd tutaj okazał się w jakikolwiek sposób budujący – rzekł dyplomatycznie i uśmiechnął się. – Właściwie to wychodziłem właśnie na kolację, ale byłoby mi miło, gdyby państwo zechcieli mi towarzyszyć.

Paulina spojrzała na Igora niepewnie.

– Mówiąc szczerze, to jeszcze nie jadłem. Ty chyba też nie, prawda? – Igor spojrzał rozbawionym wzrokiem na Paulinę, która za plecami Johanna dawała mu dyskretne znaki, żeby odmówił.

– No, to świetnie, zapraszam państwa do restauracji obok. Ktoś mi powiedział, że lepiej tam karmią niż w hotelu. – Johann się rozpromienił. – Wezmę tylko klucze od pokoju i dokumenty i możemy iść.

Przepuścił Paulinę i Igora przodem i wyszedł, zamykając drzwi. Zeszli na dół i skierowali się w stronę wyjścia. Paulina na chwilę przystanęła i korzystając z okazji, że Johann był odwrócony do niej tyłem, pokiwała ręką w kierunku recepcjonistki, mówiąc samymi wargami:– OKEJ. Recepcjonistka uśmiechnęła się do niej i kiwając głową, odprowadziła z ciekawym spojrzeniem wychodzących na zewnątrz Johanna i Igora.



– Założmy, że ta historia, którą opowiedział dziadek, jest prawdziwa. – Igor odłożył widelec i sięgnął po szklanę z wodą mineralną. – Założmy także, że Barnim z tej opowieści to Barnim von Ramin. Twój dziadek nazwał go rycerzem z czasów wojny. Rycerzem z prawdziwego rycerskiego rodu. Rycerski ród zgadza się jak najbardziej, Raminowie to jedna z najstarszych rodzin na Pomorzu. Dodatkowo majątek, w którym do ostatniej wojny mieszkał Barnim, był majątkiem rycerskim. Barnim brał udział w akcji „Walkiria”, a o siedzibie wilków, czyli Wilczym Szańcu, twój dziadek także opowiadał. Ostatni książę z tej opowieści to mógł być Barnim Dziewiąty. Rzeczywiście był mądrym i dobrym władcą i co więcej, nie miał synów, tylko cztery córki.

Od pół godziny siedzieli na galerii w restauracji przy Wałach Chrobrego. Nad ich stołem wisiał duży portret Krzysztofa Kolumba, na drewnianych belkach dookoła porozstawiane były modele znanych żaglowców, a na ścianach wisiały oprawione w ramki zdjęcia i reprodukcje starych grafik. Stolik był sześćosobowy, ale język angielski, którym się posługiwali, a także przerażająca cena wina, które zamówił Johann, skutecznie odstraszały obsługę przed przesadzeniem ich w jakieś skromniejsze miejsce.

– Jeśli przyjmiemy takie założenie, to musimy przyjąć także, że istniała jakaś wielka tajemnica. – Paulina przełknęła kęs grillowanego kurczaka i wytarła usta chusteczką. – W ten sposób cała ta historia staje się już zupełnie abstrakcyjna. Nie dość, że nie mamy zielonego pojęcia, dlaczego Ramin wstąpił pod koniec wojny do Werwolfu i co robił sarkofag w jego ciężarówce, to teraz, jakby to było jeszcze mało tajemnicze, mamy Wielką Tajemnicę.

– Przyjeliśmy roboczą teorię o próbujących się wzbogacić żołdakach z Werwolfu, którzy wykradli sarkofag, bo akurat nadarzyła się ku temu okazja. – Igor spojrzał na Johanna. – Ale jeśli ten człowiek to naprawdę Barnim von Ramin, to ta teoria upada.

– Powoli. – Paulina podniosła wzrok. – Właściwie dlaczego?

– Raminowie byli przecież bardzo bogaci, a ich dobra znajdowały się jeszcze wtedy w niemieckiej strefie wpływów. Podejrzewam, że o wiele prościej byłoby mu wywieźć parę skrzyń ze srebrną zastawą stołową albo kilka antyków, niż narażać się i kraść starą trumnę.

– A to jest pewne, że chodzi o prawdziwy sarkofag książęcy? Wciąż nie

mogę w to uwierzyć. Nieprawdopodobna sprawa. Do głowy by mi coś takiego nie przyszło. – Johann pokręcił głową.

Igor dyskretnie go obserwował. Po reakcji Johanna na ich relację o sarkofagu musiał uznać, że albo facet był świetnym aktorem, albo naprawdę sprawa go zaskoczyła. Jeśli należał do bandy, która z tajemniczych powodów od trzech dni dreptała im po piętach, to bez dwóch zdań był profesjonalistą.

– A może to pozostali żołdacy z Werwolfu wymyślili kradzież sarkofagu. Chcieli go rozbić i zabrać kosztowności, a on właśnie go wykradł, żeby uratować? – Paulina doszukiwała się racjonalnego wytłumaczenia.

– Hmm... brzmi głupio, ale od biedy prawdopodobnie – skomentował Igor, kiwając głową.

– Bardziej prawdopodobnie niż jakaś tajemnica z czasów Trygława.

– Jakiego Trygława? – Johann spojrzał na nich zaskoczony.

– Pierwsi książęta byli jeszcze poganami. Na tych terenach wierzono w Trygława, prastarego boga z trzema głowami. – Igor potarł brodę. – No właśnie, a co z tymi wcześniejszymi Barnimami z opowieści jego dziadka? – Spojrzał na Paulinę, przechodząc na polski.

– Mamy do wyboru dziesięciu. Nie znam historii Pomorza na tyle dobrze. Nie mów po polsku, to niegrzeczne – powiedziała cicho, kręcąc głową. –

A jeszcze ci biali rycerze? Sądzisz, że to mógł być jakiś zakon? Jakaś legenda?

– Nie mów po polsku, bo to niegrzeczne – powtórzył, uśmiechając się złośliwie. – Powinnaś być cytowana na prawicowych forach. Musielibyśmy wiedzieć, o jakiego księcia chodzi, żeby stwierdzić, jaki to zakon. O ile pamiętam, Gryfici w każdym pokoleniu lekką ręką oddawali ziemię rozmaitym zgromadzeniom i Kościołowi. O ile to w ogóle chodzi o zakon.

Paulina pochyliła się do Johanna i szybko przetłumaczyła, o czym rozmawiali.

– A ci dwaj źli bracia i jeden dobry, którego zamordowali, z nikim wam się nie kojarzą?

Igor pokręcił głową przecząco i spojrzał na Paulinę, która wydeła usta.

– O ile wiem – powiedział – to Gryfici nie doczekali się żadnego uczciwego opracowania. To znaczy, są różne książki na ich temat, ale

prawdziwego, pełnego opracowania historycznego nikt nie napisał. W dodatku większość z tego, co przeczytałem, była pisana w czasach, gdy programowo doszukiwano się tutaj słowiańskich korzeni i siłą rzeczy najwięcej pisano o Bogusławie Dziesiątym.

– Bogusław Dziesiąty to chyba ojciec Barnima Dziewiątego, tak? – Paulina sięgnęła po kieliszek z winem, czując, że jej początkowa nieufność wobec Johanna gdzieś przepadła. To chyba przez to wino, pomyślała. Nie powinna pić drugiego kieliszka, ale jak mu odmówić? W tym ciemnym garniturze, z jasnymi włosami wyglądał nieziemsko.

– Tak. I podobnie jak jego ojciec, utrzymywał bardzo dobre stosunki z Jagiellonami. – Igor zwrócił się teraz do Johanna, marszcząc brwi: – Jest jeszcze coś, czego nie powiedzieliśmy ci na temat tego trupa z podziemi...

Akurat w tym momencie podeszła kelnerka, która zauważyła, że butelka z przerażająco drogim winem jest już prawie pusta, uznając, że to doskonale wróży w kwestii jej napiwku. Johann odwrócił się do niej z uwodzicielskim uśmiechem, a Paulina wykorzystała ten moment, żeby wymierzyć pod stołem solidnego kopniaka Igorowi.

Igor odwrócił się do niej gwałtownie i spojrzał zaskoczony.

– Nie zamierzasz mu chyba powiedzieć o liście? – Paulina w celu zamaskowania swoich intencji, konspiracyjnie słodko się uśmiechnęła.

Igor zdziwiony podniósł na chwilę brwi, a potem z równie słodkim uśmiechem odpowiedział także po polsku.

– Przecież jeśli on jest tym twoim międzynarodowym przestępcą, to widział już ten list. Ukradli ci go kilka godzin temu, nie pamiętasz? – dodał złośliwie.

Johann oderwał wzrok od kelnerki i spojrzał na Igora.

– No, więc o co chodzi?

– Ten kierowca zostawił list. To dzięki temu domyśliliśmy się, kim jest i jak się nazywa.

– List? – Johann otworzył szeroko oczy. – Widzieliście go? To stąd ta teoria o Raminach?

Paulina popatrzyła na Igora przeciągle i z niechęcią sięgnęła do torebki.

– Mam tutaj ksero. Jest oczywiście po niemiecku, ale to chyba nie

powinien być problem. – Wyciągnęła notes i zaczęła przewracać kartki, szukając kserokopii. – Może zresztą zweryfikujesz to tłumaczenie? Możliwe, że uciekły mi jakieś niemieckie zwroty albo idiomy.

Znalazła w końcu złożoną na pół kartkę formatu A4 i podała ją Johannowi, który z niecierpliwością wziął papier do ręki i pochylił się, ściągając brwi w skupieniu.

Igor wykorzystał ten moment, żeby przyjrzeć mu się uważnie. Johann był uroczym kompanem, inteligentnym, do tego zaskakująco obeznanym w historii Szczecina i Pomorza. Czy możliwe, by to spotkanie zostało zaaranżowane, a on rzeczywiście miał coś wspólnego z ludźmi, którzy wykradli dysk, usiłowali się włamać do Pauliny, przeszukali podziemia i być może przyłożyli rękę do śmierci portiera z hotelu?

– Dwa razy wspomina o braciach. Jakoś dziwnie... – Johann spojrzął na Igora i Paulinę roztargnionym wzrokiem, skupiony na niemieckim tekście.

– Też na to zwróciliśmy uwagę – powiedział Igor, spoglądając na Paulinę.

Chyba pomyślała przed chwilą o tym samym, przeleciało mu przez głowę, gdy ujrzał, jak zmierzyła Johanna spojrzeniem pełnym wątpliwości.

Johann tymczasem doczytał list do końca i nagle parsknął śmiechem.

– Żartowniś z tego Barnima. Chociaż to dziwny żart w tym kontekście – dodał, marszcząc brwi

– Żartowniś? – Paulina popatrzyła na Johanna zaskoczona. – Gdzie tu niby jest żart?

– „Jeśli Bóg da i przeczytasz ten list, przekaż go także moim braciom i powiedz im, że każdy mężczyzna nosi ze sobą własne pióro” – przeczytał po niemiecku, a potem to samo powtórzył po angielsku.

– To żart? Czy to jakieś niemieckie powiedzenie? Nie spotkałam się z czymś takim. – Paulina zerknęła do swoich zapisków w notesie.

– Nie niemieckie – odparł Johann, patrząc zaskoczony na Paulinę i Igora. – Angielskie. Nie znacie tego zwrotu?

Igor wzruszył ramionami i spojrzął na Paulinę. Pokręciła głową.

Johann uśmiechnął się z dziwnym zażenowaniem.

– To angielskie powiedzenie. Dość znane u nas. Nawet słyszałem je użyte w jakiejś reklamie. Myślałem, że jest bardziej popularne. – Chwilę milczał,

a potem spytał nagle: – Oglądaliście Bonda?

\*

Parsov od godziny wpatrywał się w kserokopię, którą dostał od Hansa. Kupa bzdur. Pożegnanie z żoną, a o tych swoich dzieciakach nic nie wspomniał. Gustava von Ramin przeżyła wojnę. Jakiś czas temu miał z nią nawet kontakt. Nie poznała go, ale nie kwestionowała opowieści o tym, że jego ojciec i Barnim przyjaźnili się przed wojną. Nic nie wiedziała o żadnym rzeźbiarzu ani nie pamiętała, o co chodziło ze znakami na ścianach we dworze. Powiedziała, że dom przebudował i urządził w nim słynną salę dziadek jej męża, jeszcze przed I wojną. Umarła kilkanaście lat temu.

A teraz trzymał w ręku list, który miał do niej trafić i nigdy się to nie stało. Czy zrozumiałaby, o co w nim chodziło? Co kazał jej przekazać braciom? W tym piśmie musiało być coś jeszcze. Parsov doskonale zdawał sobie sprawę, że list jest dziwny. Tak nie wygląda pożegnanie. Poza tym ci bracia, to oczywiste, o co mu chodziło. Tylko co chciał im przekazać? Może ona jednak zabrała coś, co miało potem trafić do rąk organizacji. Może ten list miał tylko uruchomić jakiś proces. No i pytanie zasadnicze – jaki związek z tym wszystkim miał sarkofag Barnima IX?

Rozległo się pukanie i po chwili do pokoju wsadził jasnowłosą głowę Hans.

– Można? Szefie, mamy chyba ciekawą informację.

Parsov skinął ręką, wskazując mu miejsce przy stoliku.

– Szyfranci coś wymyślili? – spytał, gdy blondyn siadał przy stole.

– Jeszcze nie, wątpię w ogóle, czy list jest jakimś szyfrem. Na razie nie ma nic, co by na to wskazywało. Szkoda, że nie mamy oryginału, może coś istotnego się nie odbiło albo zostało na drugiej stronie.

– Jakie są szanse, żeby to przynajmniej dostać do rąk? – Parsov spojrzał na niego z niechęcią.

– Małe. List przejęła szczecińska administracja. Myślmy, co zrobić. Ale tymczasem proszę to obejrzeć. To dane pewnego człowieka, który się przyjaźnił przed wojną z Raminem. Nazywał się Altendorf. Do wojny mieszkał w rodzinnym majątku, niedaleko Norenbergu[19], potem osiadł w Berlinie. Był marszandem, nie żyje od kilkunastu lat.

– Jaki ma związek z naszymi poszukiwaniami?

– Po pierwsze był masonem. – Hans oparł łokcie na stoliku i splótł palce, wysuwając kciuki do góry. – Jakiś czas temu zajmowałem się poszukiwaniami różnych drogocennych rzeczy, które ukryli na terenie swoich majątków Borckowie. Wiele z tych schowków do tej pory nie odnaleziono. Pewna stara kobieta, która do wojny pracowała u Henninga von Borcka, opowiedziała mi, że widziała, jak tuż przed ewakuacją rodziny jakiś człowiek wywiózł z pałacu sporo szczelnie owiniętych szmatami rzeczy. Uznaliśmy to wtedy za mało prawdopodobne, bo kobieta zaserwowała nam kilka innych historii, które okazały się bredniami, poza tym szukaliśmy tego, co zostało na Pomorzu, a nie tego, co ktoś wywiózł. – Hans wzruszył ramionami.

– Pytałem, jaki to ma związek z tym, czym się zajmujemy? – Parsov odłożył sztućce i sięgnął po serwetkę.

– Johann von Altendorf przyjaźnił się z Henningiem, jego rodzina miała swoje dobra po sąsiedzku. To on był tym człowiekiem, który zimą czterdziestego piątego roku wywiózł wielkim czarnym autem owinięte szmatami bambetle z pałacu Borcków.

– Skąd podejrzenie, że on był tym kimś, kogo widziała pokojówka?

– Sam to powiedział. – Hans się uśmiechnął. – Kilka lat przed śmiercią był o nim artykuł w którymś z magazynów. Dotyczył głównie sprzedaży jakiejś znanej rzeźby, ale przy okazji autorka wypytała go o różne prywatne historie. Opowiedział o tym, że tuż przed spaleniem pałacu Borcków ostatni właściciel dał mu kilka cennych drobiazgów do zabrania do Berlina. Głównie jakieś pamiątki rodzinne.

– Wciąż nie wiem, jaki to ma związek z trupem tego cholernego Ramina?

Hans uśmiechnął się tajemniczo.

– Dzisiaj do Szczecina przyleciał wnuk Johanna von Altendorfa.

Parsov uniósł swoje krzaczaste brwi.

– Niech pan zgadnie, z kim się umówił na spotkanie zaraz po przyjeździe?

\*

Oboje patrzyli na Johanna, jakby zwariował. Wymienili się z Pauliną

ostrożnymi spojrzeniami. Czy oglądali Bonda? Zwyczajna odpowiedź „tak” lub „nie” wydawała im się zbyt pochopna.

– Jakąś konkretną część czy w ogóle? – Igor zdecydował się o coś zapytać.

– Obojętne. – Johann patrzył na nich coraz bardziej rozbawiony. – Jest tam taka postać nazywana M, szefowa brytyjskiej tajnej służby wywiadowczej.

– Tak. I grała ją Judi Dench – dokończyła Paulina. – Jasne, że znamy Bonda, ale co to ma do rzeczy?

– Tradycja nazywania szefa MI6 jedną literą pochodzi z okresu pierwszej wojny światowej – kontynuował Johann, szeroko uśmiechnięty. – Pierwszym szefem brytyjskich służb wywiadowczych był Mansfield Smith Cumming, nazywany powszechnie C.

Igor pokiwał głową. Był ciekawy, do czego Johann zmierza.

– Cumming był specjalistą od szyfrowania i kryptografii. Kierował nawet Rządową Szkołą Kodów i Szyfrów, która w okresie pierwszej wojny zajmowała się udoskonalaniem steganografii<sup>[20]</sup> i badaniem różnych substancji, które pod działaniem jakiegoś czynnika ulegają ciemnieniu bądź zmieniają barwę.

– Jak atrament sympatyczny? – spytał Igor, marszcząc brwi.

– Dokładnie. – Johann pokiwał głową. – I to Cumming właśnie jest autorem powiedzenia, że każdy mężczyzna nosi przy sobie własne pióro, gdyż jak dowiedziono, jedną z substancji posiadających takie właściwości jest... – Zawiesił głos, spojrzał na nich i parsknął śmiechem.

– Sperma – dokończył Igor. Popatrzył na kompletnie zaskoczoną Paulinę i na widok jej miny także się roześmiał.

Paulina po chwili sięgnęła po kieliszek z winem i uśmiechnęła się, kręcąc głową.

– No, przyznam, że taka interpretacja nigdy by mi nie przyszła do głowy. Jesteś pewien brzmienia tego zwrotu? Może Barnim nieświadomie użył sformułowania, które przetłumaczone na angielski nabrało takiego absurdalnego znaczenia?

– Nie ma takiej możliwości. – Johann pokręcił głową i wskazał palcem niemieckie zdanie na kartce, którą cały czas trzymał w ręku. – To tutaj jest dosłownym tłumaczeniem z angielskiego.

– W takim razie, o co mogło mu chodzić? Przecież to jest bez sensu.

– To list prywatny. Może chodzi o zwrot związany z jakąś rodzinną historią. Taka rodzinna dykteryjka, którą powtarzano przy każdej okazji i wszyscy bliscy wiedzieli, o co chodzi, a nam wydaje się to dziwne.

– Może masz rację. – Paulina wzruszyła ramionami. – Kiedy byłam dzieckiem, wylałam sobie na głowę talerz, chłodnej na szczęście, zupy pomidorowej. Potem w domu przy byle okazji mówili na mnie Carrie<sup>[21]</sup> i wszyscy pękali ze śmiechu.

Oboje się roześmiali. Igor przestał na moment słuchać, o czym mówią. Przyszło mu bowiem do głowy, że coś się jednak nie zgadza. Chyba miało to związek z informacjami, które przeczytał na temat Raminów. Co Johann przed chwilą powiedział? Zaraz, zaraz... że dwa razy pisze o braciach... Bracia!

– Barnim nie miał braci! – powiedział głośno, ni to do siebie, ni do nich.

Paulina i Johann spojrzeli na niego zaskoczeni. Igor wbił wzrok w stół i zamilkł na chwilę, usiłując sobie przypomnieć, co czytał na temat tej rodziny. Jasne, że też nie pomyślał o tym od razu!

– Barnim miał tylko siostrę. On mieszkał z żoną w tym dworze pod Tanowem, a ona została w rodzinnym majątku w Bezzeczu. Przed samą wojną przeniosła się z mężem i dziećmi do Berlina.

– Więc o co chodzi z tymi braćmi? – Johann ponownie pochylił się nad kartką. – Najpierw pisze, że ich bracia nie żyją, a potem każe im coś przekazać? A tymczasem nie ma żadnych braci.

– Co było w tym dworze od czasów pierwszej wojny? – Paulina spytała nagle po polsku i spojrzała na Igora, jakby o czymś sobie przypominała.

Popatrzył na nią zaskoczony. No oczywiście!

– Jak mogliśmy tego nie skojarzyć? – Pokręcił głową. – We dworze była łoża masońska. To takich braci miał na myśli Barnim, jego rodzina przecież co najmniej od dziewiętnastego wieku była związana z masonerią.

– Zatem list nie jest chyba niewinnym listem do żony. – Paulina spojrzała na kserokopię, którą trzymał w ręku Johann. Popatrzyła na niego uważnie, a potem powoli przeniosła wzrok na Igora. – Chyba nie odpowiedziałby nam wyjaśnienia o piórach mężczyzn, gdyby był zamieszany w te włamania? Jak uważasz?



– To dlatego mówisz po polsku? Osobiście sędzę, że nie ma z nimi nic wspólnego.

Uśmiechnął się niewinnie do cierpliwie przysłuchującego się ich rozmowie Johanna.

– Czy twój dziadek należał do loży masońskiej?

– Tak, ale nie mówił o tym zbyt wiele. Kiedyś wymienił nazwę tej loży. Pod jakimiś cyrkłami czy jakoś tak. Zostawił mi nawet medalik z masońskimi symbolami. – Johann sięgnął pod koszulkę polo i wyciągnął nanizany na złoty łańcuszek niewielki okrągły wisior z obiegającym go łacińskim napisem.

Paulina pochyliła się ciekawie w kierunku błyskotki.

– *In principio erat Verbum* – przeczytała głośno. – To jakaś sentencja?

– *Na początku było słowo* – przetłumaczył Igor. – Początek Ewangelii świętego Jana.

– A co to ma wspólnego z masonerią? – Paulina wzruszyła ramionami.

Igor kiedyś o tym czytał. Dla masonów te słowa były symboliczne, a wiązały się z budową świątyni Salomona i jej proporcjami. Pierwsze księgi Biblii spisane były po aramejsku i po grecku, a wyraz „słowo”, który został przetłumaczony nieco niefortunnie z greckiego *logos*, w istocie mógł oznaczać „myśl” lub właśnie „proporcje”.

– Dziadek mi powiedział, że ten medalik to klucz wielkiego architekta – rzekł Johann po wysłuchaniu tłumaczenia Igora.

– Zgadza się. Wielki Architekt lub Wielki Budowniczy Wszechświata, masoński stwórca.

Medalik miał kształt koła, w które wpisana była pięcioramienna gwiazda, na której z kolei opisany był pentagram. Wszystkie ulubione elementy masońskiej geometrii, pomyślał Igor, kontemplując złoty wisior.

Johann nagle podniósł brwi.

– Zaraz, zaraz! To o to chodzi z tymi braćmi z listu Ramina! To masoni!

Igor oderwał wzrok od złotego medalika i popatrzył na Johanna, kiwając głową.

– Pokaż mi tę kartkę.

Sięgnął po notes, położył go na stole przed sobą i pochylił się nad nim. Jeśli ci bracia, o których dwa razy wspomniał w liście Barnim, to masoni, czy coś to zmienia? Z jakiegoś powodu musiał wykraść sarkofag, żeby nie dostał się w niepowołane ręce. „Niepowołane ręce” dla masonów musiały w zasadzie znaczyć to samo, co dla Barnima jako Niemca i przeciwnika Hitlera – a więc SS, wojsko radzieckie, Polaków. Ale dlaczego, do diabła, Gustava miałyby przekazywać stare angielskie powiedzenie masonom? Chyba że to jakiś szyfr? Albo...

– Chyba przegapiliśmy coś w tym liście – zwrócił się do Pauliny, wstrząśnięty swoim odkryciem.

– Co przegapiliśmy? Nie rozumiem.

– No pomyśl. Jeśli Barnim kazał przekazać swoim braciom, że każdy mężczyzna nosi ze sobą własne pióro, to co to może znaczyć?

Paulina popatrzyła na niego i nagle szeroko otworzyła oczy.

– Sądysz, że on tam napisał coś więcej? Tym niewidocznym pismem? Przecież był postrzelony, umierający... Jak mógłby to zrobić w takim stanie?

– Co zrobić? W jakim stanie? – zapytał Igor gniewnie, ścigając brwi. Co ona plecie? Jej chyba nie chodzi o to, że ten Barnim... – Jezu, czy cię pogięło?

Paulina spojrzała na niego ze złością.

– Przecież sam mi tu wciskasz, że on napisał coś niewidocznym pismem.

– Ale nie spermą przecież, na miłość boską!

Paulina przez chwilę patrzyła na Igora, jakby się zastanawiała, czy się na niego obrazić, czy może lepiej parsknąć śmiechem. Chyba za dużo wypła tego wina.

– Prawdopodobnie miał jakiś pisak z atramentem sympatycznym. Pewnie go potem specjalnie zniszczył. Musiał coś dopisać w tym liście, coś, co miało być skierowane tylko do wybranych osób. – Igor przeszedł na angielski i mówił zaferowany.

Paulina, słuchając, pomyślała nagle o czymś, co ją otrzeźwiło.

– Gdzie ten list jest teraz? Wspominałeś zdaje się coś na ten temat?

Igor zamilkł i popatrzył na nią z rezygnacją.

– No to po ptakach. U prezydenta.

## Rozdział 12 (wtorek)

A nie było przypadkiem tak, że do hotelu posłał pana pan Borola, względnie sam pan postanowił tam pójść, a gdy był pan wewnątrz, nakrył pana stróż, który się przestraszył, zaczął uciekać, przewrócił się i uderzył? Pan natomiast najpierw spanikował, a dopiero po dłuższej chwili wezwał pogotowie? –

Młodszy aspirant Paweł Pilecki, który stał pod ścianą obok biurka, przy którym siedział Bondar, spojrzał na Igora z wyrazem twarzy, który w jego mniemaniu miał być nieodgadniony.

Igor westchnął.

– Po pierwsze, mówiłem już, że nie miałem kluczy od kłódek. Więc nie mógłbym wejść sam do budynku. Po drugie, pan Borola zadzwonił do mnie po północy, prosząc mnie, żebym poszedł sprawdzić, co się dzieje ze stróżem. Jeśli wydaje wam się to podejrzane, możecie wystąpić do operatora o odczytanie rozmowy telefonicznej, o ile wiem, to możliwe. Pogotowie, które przyjechało na miejsce około pierwszej, stwierdziło, że cieć nie żyje od dwóch godzin. To też można określić dokładnie na podstawie sekcji.

– Nic nam się nie wydaje podejrzane. Niech pan nie będzie taki wrażliwy.  
– Bondar popatrzył na niego, uśmiechając się pod nosem. – Zawsze mnie bawi powszechne przekonanie, że wydobyć od operatora zapisów rozmowy telefonicznej to taka prosta sprawa. Mówił pan, że ktoś wszedł do środka przed panem, ponieważ cieć nie miał kluczy. Ale nie mamy na to praktycznie żadnych dowodów. Są liczne ślady, to prawda, ale w piątek kręciło się tam sporo ludzi. Natomiast na kłódkach nie znaleźliśmy żadnych śladów, więc albo były otwierane kluczem, albo zrobił to prawdziwy profesjonalista. Okoliczni menele nie należą pod tym względem do elity. Nie ma też żadnych świadków.

– Nie mam pojęcia, jak to się stało. – Igor wzruszył ramionami. Rzeczywiście, gdyby to byli jacyś menele, to pewnie rozwaliliby kłódkę, a nie otwierali wytrychem.

– Dozorca trzymał ogromny pęk kluczy, którymi w razie potrzeby otwierał

różne drzwi. Miał też kiedyś kilka metalowych wytrychów. Przed remontem w budynku było wiele nieużywanych pomieszczeń, zamkniętych od lat.

– Więc możliwe jest, że wszedł tam sam przez ciekawość, żeby obejrzeć samochód? Był zdenerwowany, być może przestraszył się jakiegoś hałasu z góry. Sądził, że ktoś wszedł do hotelu i nakryje go na szperaniu w lochach. Zaczął się śpieszyć, przewrócił się niefortunnie, a dodatkowo upadł twarzą w kałużę i możliwe, że się utopił. Nie mamy jeszcze wyników badań, ale chyba to potwierdzą. – Bondar popatrzył na pogrążonego w myślach Igora. – Ponadto mamy jeszcze coś, co czyni tę hipotezę wręcz pewną.

Igor podniósł wzrok na Bondara i zmarszczył brwi.

– Portier miał bardzo charakterystyczne buty. Na podeszwie miały taki wzór złożony z trzech okręgów. To stare buty, mało kto chodzi w takich. Ślady tych butów znaleźliśmy wewnątrz korytarza prowadzącego do ciężarówki.

Igor, zupełnie zaskoczony, spojrzał na Bondara, a następnie przeniósł wzrok na młodego policjanta.

– On był bardzo porządny. Poza tym to typ karnego służbisty. Jak miał polecenie, żeby nikogo nie wpuszczać, to nikogo nie wpuszczał. Nigdy bym go nie podejrzewał o to, że wbrew zaleceniom policji, straży pożarnej i właściciela, sam wejdzie do tych podziemi. Chociaż te ślady butów... – Igor pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ludzie są zdolni do wielu rzeczy, o które nawet sami siebie nie podejrzewają – powiedział Bondar filozoficznie, przypatrując się w zamyśleniu Igorowi.

Dochodziła już jedenasta. W Urzędzie Miejskim był tłum ludzi. Igor wszedł głównym wejściem, udając się w kierunku kancelarii, w której musiał zarejestrować pełnomocnictwo, upoważniające go do złożenia projektu w administracji budowlanej. Siedemnaście złotych opłaty skarbowej. Kolejne siedemnaście złotych. Przepisy mówiły o opłacie za pełnomocnictwo podczas załatwiania formalności związanych z uzyskiwaniem pozwolenia na budowę, ale urząd interpretował to w taki sposób, że za każdy etap postępowania należało wnieść opłatę osobno. Za uzgodnienie projektu w ZUDP[22] – siedemnaście złotych, za uzgodnienie tego samego projektu u konserwatora – następane siedemnaście złotych, za złożenie projektu do pozwolenia na

budowę – kolejne siedemnaście. Za uzyskanie pozwolenia na budowę była osobna opłata uzależniona od powierzchni użytkowej. Tanie państwo.

Dwadzieścia minut wcześniej opuścił komendę policji Śródmieście. Wyszedł stamtąd z mieszanymi uczuciami. Mimo przekonania Bondara o tym, że cieć sam wszedł do lochów, a całe wydarzenie było wypadkiem, Igor miał w dalszym ciągu wątpliwości. Przede wszystkim związane z pytaniem, po co dozorca miałby zamazywać te niemieckie napisy na ścianie? Niemniej ślady jego butów przy ciężarówce były zastanawiające. Może istotnie dał się skusić ciekawości i poszedł tam, a ktoś już tam był. Może ów ktoś zaczął się gdzieś za samochodem? Przerazony cieć zaczął uciekać i przewrócił się w korytarzu albo pośliznął w kałuży.

Ciągle zamyślony, podał swoje dane, które urzędniczka pracowicie wstukała do komputera, a następnie zabrał swoją wielką teczkę, wypełnioną teraz czterema egzemplarzami projektu, wyszedł do hallu i skierował się do lokalnej ekspozytury banku. Po załatwieniu formalności na parterze zaczął się wspinać na trzecie piętro. Nie korzystał nigdy z wind w urzędzie. Wyprowadzały go z równowagi. Były przeraźliwie wolne. Drzwi zamykały się całymi godzinami, a później tak samo długo się otwierały, urząd zaś miał jedynie cztery kondygnacje, z czego na ostatniej nigdy nie bywał. Tknięty nagłym impulsem, na drugim piętrze zmienił trasę i długim korytarzem ruszył w kierunku głównego skrzydła budynku. Doszedł do hallu z trójbiegowymi, reprezentacyjnymi schodami, rozejrzał się wokół siebie i spoglądając na zegarek, pozorując oczekiwanie na kogoś, podszedł do wielkich, dwuskrzydłowych drzwi, wykończonych w stylu neobarokowym. Przymocowana była do nich plakietka z okrągłym numerem 100. Niżej umieszczony był drugi numer 1056. Gabinet prezydenta miasta.

Podwójna numeracja pomieszczeń w szczecińskim Urzędzie Miejskim jest prawdopodobnie rzeczą bez precedensu w gmachach publicznych w tej części Europy. Pierwotnie istniała w budynku jednolita numeracja trzycyfrowa, ale gdy po wojnie gmach zasiedliło kilka instytucji o zupełnie różnym przeznaczeniu, oddzielnych wejściach i całkowicie innych funkcjach, wprowadzono osobne numeracje dla każdej z nich. Efekt był taki, że numery pomieszczeń się powtarzały, kiedy więc w 1993 roku rozpoczęto prace związane z okablowaniem i komputeryzacją całego urzędu, wprowadzono na potrzeby tego projektu zupełnie nową numerację. Była ona prosta i dostosowana do potrzeb elektronicznego systemu rozpoznawania

pomieszczeń. Cała piwnica miała numery zaczynające się od P001 i kończące się na ostatnim pomieszczeniu, cały parter numery zaczynające się od numeru 0001, pierwsze piętro numery od 1001 i tak dalej. Starą numerację jednak pozostawiono ze względu na przyzwyczajenia urzędników. Z czasem jednak, podczas wymiany skrzydeł drzwiowych, część numeracji komputerowej, namalowanej farbą od szablonu, poznikała razem z drzwiami, a pozostały jedynie plakietki ze starymi numerami przełożone do nowych skrzydeł. Jakby tego było mało, podczas różnych remontów z niektórych drzwi poodkręcano plakietki ze starą numeracją, pozostawiając jedynie komputerową. Wskutek tego dotarcie do konkretnego numeru podanego w informacji dla osób będących tu po raz pierwszy było teraz prawdziwą gehenną. W planach urzędu od bardzo dawna pokutował projekt ujednolicenia numeracji pomieszczeń, ale ze względu na związane z tym koszty, tradycyjnie już co roku był wykreślany z budżetu.

Pod numerem 100 mieścił się właściwy gabinet prezydenta, ale sekretariat, biuro i inne pomocnicze agendy związane z funkcjonowaniem najwyższego urzędu miasta zajmowały kilka sąsiednich pomieszczeń. Po prawej stronie, pod numerem 172, czyli 1055, mieścił się sekretariat, z drugiej natomiast strony były prywatne pomieszczenia prezydenta, które posiadały oddzielne wejście z numerem 101, czyli 1057. Do tych pomieszczeń prowadziły drzwi z zamkiem kodowanym. Oficjalne wejście do gabinetu wiodło przez sekretariat. Wielkie, łukowe, płycinowe drzwi używane były jedynie przy szczególnych okazjach.

Igor spojrział na wszelki wypadek w obie strony korytarza, a następnie podszedł blisko do środkowych drzwi i uważnie spojrział na zamek. Zwyczajny, patentowy, otwierany wielkim kluczem. Klucz do nich miał prezydent oraz administracja budynku. Sprzątaczkę wchodziły przez sekretariat, tak samo zresztą jak interesanci. Igor powoli przeszedł się korytarzem i od niechcienia stanął przy drzwiach prowadzących do prywatnej części gabinetu prezydenta. Kodowany zamek z numeracją cyfrową. Nie znał się na tym na tyle, żeby ocenić, czy klawiatura była tonowa, czy też nie.

Drzwi przy końcu korytarza otworzyły się i szczipła kobieta w jasnej sukience wyszła, kierując się w stronę Igora. Igor odwrócił się, spojrział na zegarek i ruszył wolnym krokiem wzdłuż korytarza. Kobieta go minęła, zdążając do sanitariatów usytuowanych za rogiem hallu. Igor zrobił parę kroków i stanął przed drzwiami, prowadzącymi do sekretariatu. Po wejściu

do środka na wprost trafiało się na ladę, za którą urzędowały panie obsługujące biuro prezydenta. Po lewej stronie natomiast usytuowane były drzwi do gabinetu. Igor był tam już kiedyś z jednym ze swoich inwestorów, który chciał wynegocjować lepsze warunki inwestycji prowadzonej na wydzierżawionym od miasta terenie. Gabinet kilka lat temu został wyremontowany i uzyskał nowy, historyczny wystrój i stylowe wyposażenie.

Odwrócił się i ruszył powoli w kierunku schodów. Wyjął z kieszeni komórkę i wyszukał numer Pauliny. Odebrała po trzecim sygnale.

– Stoję akurat przed gabinetem prezydenta – powiedział, patrząc w zamyśleniu na dwuskrzydłowe, dekoracyjne drzwi. – Mam pewien pomysł.

\*

Urząd Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków mieścił się w jednym z najpiękniejszych gmachów w mieście. Położony na Wałach Chrobrego, wybudowany w 1911 roku na potrzeby Rejencji Szczecińskiej, nie ucierpiał w czasie wojny i obecnie, po kunsztownym remoncie, zachwycał rzeźbionymi wręcz z cegły ceramicznymi elewacjami, w których wykrzywiały się setki maszkaronów. W słynnej sali w wieży zachowały się na ścianach kopie płaskorzeźb i dekoracji, użytych przy budowie gmachu. To tutaj było także tajemnicze zejście do podziemi, gdzie jedenaście metrów poniżej poziomu gruntu znajdował się, zamurowany obecnie, korytarz, według powojennych legend wiodący pod Odrą na drugi brzeg.

Dorota, stukając szpilem, zeszła po schodach na wyłożony granitowymi płytami chodnik i odetchnęła z ulgą. Zdołała się wczoraj umówić z bardzo ustosunkowaną projektantką zieleni i dzisiejsze spotkanie, na które przybyły obie, okazało się bardzo owocne. Nawet się nie spodziewała, że sprawa pójdzie aż tak dobrze. Wszyscy byli bardzo zadowoleni, że ktoś zamierza zrekonstruować stary piękny park, który z każdym rokiem pochłaniała puszca. Odbudowa dworu na starych fundamentach była jak najbardziej zgodna z zaleceniami konserwatorskimi. Co więcej, konserwator zabytków nawet nie naciskał na rekonstrukcję dworu, wychodząc z założenia, że wartość mają jedynie rzeczy zachowane i autentyczne. Odbudowa ściśle według dawnych planów byłaby chyba nawet gorzej widziana. Zresztą, kto by chciał odtwarzać tę starą budę? Wielki dach, dachówki, ciemne poddasze, okiennice z desek, po co to komu dzisiaj?

Dorota czuła wielki entuzjazm na myśl o zaprojektowaniu na starych fundamentach nowoczesnej bryły z wielkimi przeszkleniami, tarasami oplecionymi winem i ścianami ze strukturalnego betonu. Co innego park, ale też powinno się go unowocześnić. Wprowadzić jakieś współczesne nasadzenia, geometryczne, utrzymując jedynie zabytkowy układ i zachowany starodrzew. Igor pewnie wolałby zrekonstruować ten dwór i odbudować wszystko, jak było, on lubił takie głupoty. Twierdził, że tak niewiele pozostało stylowych budynków na tych ziemiach, w dodatku cały czas ich ubywało, że warto uratować każdy najmniejszy ślad. Debilizm!

Dorota zatrzymała się przy samochodzie zaparkowanym w połowie na chodniku i sięgnęła do torebki po komórkę. Doskonale ustosunkowana projektantka zieleni obiecała, że szybko zrobi fotograficzną i rysunkową inwentaryzację samosiewów na fundamentach dworu i w ciągu tygodnia, może dwóch załatwi pozwolenie na wycinkę w ochronie przyrody. Późniejsza zgoda konserwatora będzie już tylko formalnością.

Wybrała numer i z telefonem przy uchu zrobiła parę kroków wzdłuż ulicy.

– Witam, pani Doroto. – W słuchawce rozległ się głos plenipotenty von Hageny.

– Dzień dobry. Mam dla pana bardzo dobre wiadomości. W ciągu maksymalnie dwóch tygodni będziemy mieli wszystkie potrzebne pozwolenia.

– To naprawdę dobra wiadomość.

– A jeszcze lepsza jest taka, że praktycznie możecie zacząć te prace jeszcze dzisiaj. Na pewno nikt się nie przyczepi, tylko zamknijcie teren dla postronnych osób, żeby nikt się tam nie kręcił. Teren parku jest tak zarośnięty od strony drogi, że nie sposób dostrzec prowadzonych wewnątrz prac. A nawet jeśli tak się stanie, to zanim ktokolwiek uruchomi jakąkolwiek procedurę, będziemy mieli w ręku już te postanowienia. – Uśmiechnęła się zadowolona.

– Doskonale! Pani Doroto, zgodnie z obietnicą, możemy się spotkać nawet dzisiaj, żeby omówić szczegóły kontraktu. Będzie pani mogła poznać właściciela. Przy okazji omówimy tę drugą sprawę, o której rozmawialiśmy.

\*



– I dopiero teraz o tym mówisz? – Blondynka w ciemnogrnatowym kostiumie spojrzała z uśmiechem na Paulinę. – Poznałeś dwóch interesujących facetów i nie puściłeś pary z ust? Nie poznaję cię.

– E tam. Jeden pewnie ma dziewczynę albo żonę, a drugi jest z Londynu i wraca tam w piątek. A poza tym ja nie szukam żadnego faceta. Muszę? – Paulina spojrzała wyzywająco na przyjaciółkę.

– No nie, ale skoro już się napatoczyli, to mogłabyś się zainteresować. Może któryś z nich to przyszedł ojciec twoich dzieci? – Blondynka zachichotała i otworzyła drzwi, przepuszczając Paulinę.

– Marta, skoro ty jako profesjonalistka tym się zajęłaś, to ja zdecydowanie czuję się zwolniona z obowiązku przejmowania się demografią.

Blondynka roześmiała się głośno i machnęła torebką w stronę parkingu.

– Podrzucę cię. Zostawiłam gdzieś tam samochód. Jako kryminalistka też kariery nie zrobisz, jak się okazało.

Wychodziły właśnie z narożnego budynku przy alei Jana Pawła II. Rano zadzwonił do Pauliny młody policjant z komendy Śródmieście i poprosił, żeby zgłosiła się złożyć jakieś zeznania. W pierwszej chwili przestraszyła się. Może jednak Borola doniósł na nią, że wdarła się na teren hotelu? Zadzwoniła do Marty z prośbą, żeby z nią poszła. Marta była adwokatem i jedną z najbliższych przyjaciółek. Mężatka i mama dwojga małych dzieci, zrozumiały więc, że widywały się ostatnio, ku niezadowoleniu Pauliny, bardzo rzadko.

Na miejscu okazało się, że rozmowa dotyczyła wprawdzie pobytu Pauliny w podziemiach, ale chodziło o śmierć hotelowego stróża. Niewiele mogła pomóc, więc całe spotkanie trwało może piętnaście minut, a Marta nie miała nawet szansy, żeby otworzyć usta.

Torebka Pauliny zaczęła głośno dzwonić. Zniecierpliwiona przystanęła, wygrzebała komórkę i spojrzała na wyświetlacz.

– O jednym z wilków mowa – powiedziała, odbierając połączenie. Igor. Słuchała przez chwilę, odwracając się od robiącej głupie miny Marty, po czym pożegnawszy się, schowała telefon do torebki i spojrzała na koleżankę.

– Obawiam się, że jako kryminalistka nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa.

\*

Paweł oderwał wzrok od zdjęcia formatu A4, które Paulina podała mu wraz z wydrukiem artykułu. Chwilę wcześniej przeczytał cały tekst, a potem patrzył długo na fotografię sarkofagu.

– Wiedziałaś o tym od początku? Czemu nic nie wspomniałaś? To już nie jest jakaś relacja z katastrofy budowlanej. Ciężarówka z trupem była megawydarzeniem, ale to tutaj oznacza aferę na poziomie europejskim. Jesteś pewna, że nikt przed nami o tym nie napisze?

– Tak, wczoraj zabrali sarkofag do pracowni konserwatorskiej, dzisiaj będą rozbierać samochód. Jeśli jutro puścimy to rano, to będziemy absolutnie pierwsi. Potem to wszyscy wytropią, bo Starska będzie musiała coś powiedzieć. Szkoda, że nie widziałeś jej miny, jak zobaczyła to zdjęcie. – Paulina się uśmiechnęła.

– To o tym Fleming nie pozwolił ci pisać?

– Poprosił, żebym nie pisała, a nie – nie pozwolił.

– No, ale wiedziałaś o tym od początku? Mnie przecież mogłaś powiedzieć. – Paweł zrobił urażoną minę. – Ten artykuł będzie sensacją. Sprawdziłaś wszystkie dane? Tę historię z jego zaginięciem w latach czterdziestych? To nie lipa?

Paulina czuła, że rozmowa z Pawłem zaczyna ją irytować. Jak zwykle zresztą.

– Wszystko sprawdziłam. Poza tym omówiłam to przecież z Flemingiem. Daj to komuś do korekty i przekaz do druku. Ja będę musiała zaraz stąd uciekać.

– Czekaj. – Paweł okręcił się na fotelu i pomachał przez szybę do dziewczyny przy biurku obok wielkiego słupa. – Dam Beacie, sprawdzi i w razie czego będzie się z tobą kontaktowała. Słuchaj – odwrócił się do niej. – Wczoraj wszyscy pisali o tym wypadku w hotelu, zresztą my też. Wiesz, o co w tym chodzi? Te sprawy się jakoś łączą?

– O wypadku? – Paulina spojrzała na niego, udając, że nie od razu zrozumiała, o co chodzi.

– No tak, mam na myśli tego ciecia, który zginął w piwnicy hotelu. Nie mów, że nic nie wiesz. – Paweł spojrzał na nią podejrzliwie.

– A... no jasne, że wiem. Byłam nawet na policji. Wezwali mnie. Nie wiadomo, prawdopodobnie sam tam wszedł i się wywrócił. Uderzył się w głowę i stracił przytomność. Najprawdopodobniej upadł twarzą w kałużę i utopił się.

– A kto go znalazł właściwie? Wszyscy pisali tylko, że został znaleziony w nocy.

– Fleming. Poszedł tam w nocy i znalazł go już martwego.

– A co on tam robił w nocy? – Paweł uniósł brwi.

Paulina zaczęła się zastanawiać, czy nie za wiele mu mówi, ale to w końcu nie była żadna tajemnica.

– Borola do niego zadzwonił i poprosił, żeby sprawdził, co się tam dzieje, ponieważ nie mógł się dodzwonić do stróża.

Paweł zmarszczył czoło.

– Policja ci to wszystko powiedziała? – Patrzył na nią coraz bardziej podejrzliwie. – Informacje podane do mediów były bardzo skąpe. A po co Borola w ogóle wydzwania po nocach do tego stróża? I nie mógł posłać jakiegoś swojego gangstera, tylko dzwoni do architekta? Jakies to wszystko mało prawdopodobne. W dodatku teraz, jak się dowiedziałem o tym sarkofagu, to już w ogóle grubo podejrzane.

– Co takiego?

– Ten Borola i to, że Fleming tam poszedł. Mam wrażenie, że coś kręcą.

– Przecież obaj byli tam pierwsi. Wszystko dokładnie obejrzel. Po cholere miałoby łązić tam jeszcze raz na drugi dzień, w dodatku po kryjomu. Poza tym Boroli nie było, wrócił dopiero w poniedziałek.

– Może właśnie coś zauważyli i zdecydowali się po to wrócić. Dyskretnie, w nocy, ale napatoczył się ten cieć i wiesz...

– Co: wiesz? – Paulina spojrzała na Pawła i popukała się w czoło. – Nie myślisz chyba, że to Igor go zabił, a następnie upozorował wypadek? Po co miałoby to robić?

– Jeśli było tam coś jeszcze na przykład, coś cennego, na czym zależało Boroli, to był to ostatni moment, żeby to zwinąć, nie? Zaraz... Igor? – Paweł spojrzał na Paulinę. – Przeszliście na ty?

– Tak, sam zaproponowałam. A co, uważasz, że to nieprofesjonalne? –

Uśmiechnęła się złośliwie, widząc podejrzliwe spojrzenie Pawła.

– Lepiej na niego uważaj. Bo nie dość, że to przydupas tego całego Boroli, to jeszcze ma niezłą reputację w tych sprawach.

– Jakich sprawach? – Paulina miała ochotę walnąć Pawła za jego wścibstwo, ale zaciekało ją, co miał na myśli.

– Przypomniałem sobie, że moja żona zna jego żonę. Kiedyś nawet byliśmy na jakiejś imprezie razem. Swoją drogą, to zajebista laska. – Paweł się uśmiechnął i spojrzał na Paulinę. – Powiedział, że jest żonaty?

– A co mnie obchodzi, czy jest żonaty, czy nie? Nie rozmawialiśmy o prywatnych sprawach. – Paulina sięgnęła po torbę i wstała z krzesła. – Muszę już iść. Lepiej nie wymyślaj pseudokryminalnych bredni, ta sprawa i bez tego jest wystarczająco sensacyjna.

– W czwartek czekam na ten artykuł o izolacji. – Paweł uśmiechnął się do niej i pomachał ręką. Paulina skierowała się w stronę drzwi wyjściowych na schody.

Żonaty. Jednak miała rację.

\*

Igor otworzył ostatnią szafę w małym magazynku przy pracowni. Jeśli tutaj tego nie będzie, to możliwe, że wywiózł swego czasu do Dalewa i leży tam na strychu. Chyba że matka spaliła. Ukucnął i zaczął grzebać w starych szpargałach na samym dnie szafy. Jak większość architektów, trzymał archiwalne teczki swoich starych projektów przez co najmniej kilka lat. Niezależnie od tego, że wszystko było oczywiście archiwizowane na dyskach, w starych teczkach były uzgodnienia, dokumenty i oryginalne strony z pieczętkami różnych rzeczoznawców i instytucji i czasami opłacało się je zachować. I oczywiście, zgodnie z prawami Murphy’ego, okazywały się potrzebne zawsze na drugi dzień po podjęciu trudnej decyzji o wyrzuceniu wszystkiego w diabły.

Pod stertą starych projektów koncepcyjnych w formacie A3 leżała potężna, gruba teczka. Jest! Igor wyciągnął ją na podłogę i otworzył. Wewnątrz znajdowały się całe pliki czystych, pożółkłych kartek papieru. Najczęściej ze starych bloków rysunkowych lub technicznych. Zbierał je specjalnie i magazynował od bardzo dawna. Najstarsze pochodziły jeszcze z lat

pięćdziesiątych z magazynów po likwidowanych starych księgarniach lub ze strychów budynków, w których przeprowadzał pomiary. Były cenne z jednego powodu. Świetnie się nadawały do malowania. Igor, jak całkiem wielu architektów, mimo posługiwania się na co dzień komputerem, lubił rysunek odręczny i malarstwo. Zarówno suche, jak i tłuste pastele o wiele lepiej kładły się na starym, spatynowanym papierze niż na nowym, nawet specjalnie do tego celu przygotowanym. Struktura rysunku, faktura wyglądała znacznie lepiej, kolory były cieplejsze. Także rysunki wykonywane piórkiem lub ołówkiem na starych kartkach lepiej się prezentowały.

Przerzucił kilka wierzchnich warstw stron z bloków technicznych i pod nimi znalazł dokładnie to, czego szukał. Kilka starych zeszytów z kartkami w kratkę i czystych formatu A4. Biały dawniej papier był teraz prawie żółty, a ze starości wydawał się cieńszy i wyschnięty. Wepchnął całą teczkę z powrotem do szafy, wstał i wrócił do swojego pokoju. Zasuwał przeszkłone drzwi i rozłożył papier na stole obok biurka. Wyjął z torby kserokopię, którą dostał od Pauliny, i położył obok, tuż przy kilku różnych egzemplarzach papieru w formacie A4. Na kserokopii był odbity ślad krańców listu wraz z wszystkimi uszkodzeniami, a także liniami zagięć. Na szczęście kopia była bardzo dobrej jakości. List miał format A5, kartka pochodziła prawdopodobnie z jakiegoś notesu lub notatnika. Podeszedł do komputera i włożył kserokopię do skanera. Spojrzał na zegar. Miał jeszcze godzinę, w sam raz żeby zeskanować i wyczyścić w jakimś programie graficznym.

\*

W lesie było bardzo parno i gorąco, cienie wielkich starych drzew nie dawały specjalnie ukojenia poza tym, że chroniły przed słońcem. Nawet komary i wszechobecne zazwyczaj muszki były mniej dokuczliwe. Panujące od dwóch tygodni upały wysuszyły ziemię i roślinność, wobec czego już pojawiły się głosy o wprowadzeniu zakazu wchodzenia do lasów z obawy przed pożarami.

Wśród gęstej zieleni starych ogromnych dębów i kasztanów, u stóp których kłębiło się morze młodych samosiewów drzew i krzewów, uwagę zwracało niewielkie wzniesienie, porośnięte zwartą kępą roślinności. Od zachodniej strony u podnóża wzniesienia stała smętnie jedyna pozostałość po wznoszącym się tutaj niegdyś dworze – zrujnowana ceglana ściana, będąca

kiedyś fragmentem bocznych schodów wejściowych. Wzniesienie w istocie było tylko masą gruzów, zalegających na dawnych ścianach piwnicznych. Zdążyły tu już urosnąć całkiem spore drzewa, które oploty korzeniami resztki murów. Od strony południowej na obrzeżu gęstwiny rosły dwa ogromne dęby, o niewątpliwie arystokratycznych jeszcze korzeniach, których korony niknęły wysoko w górze, ponad kłębiącymi się niżej gałęziami plebejskiej roślinności. Pomiędzy nimi dostrzec można było resztki schodów i tarasu, przy których stała teraz niewielka grupa ludzi. Dorota, tym razem w białych adidasach – co pozbawiło ją drobnej cząstki pewności siebie, jaką zazwyczaj zapewniały wysokie obcasy – trzymała w rękach wielką płachtę starej dokumentacji.

– Jest pani pewna, że to od tej strony? Wydawało mi się, że to była jednak szczytowa ściana budynku. – Stary, siwy, ale trzymający się prosto mężczyzna popatrzył na nią powątpiewająco.

– Od strony szczytowych ścian były schody. Po obu stronach budynku. Przy nich znajdowały się nieduże pomieszczenia narożnikowe. Tylko jedno było nieco większe, ale biorąc pod uwagę, że tam postawiono wielki komin i zaznaczony wyraźnie na rzucie trzon kuchenny, sędzę, że nie może chodzić o to pomieszczenie. – Dorota, stawiając ostrożnie kroki w gruzowisku, weszła do wnętrza dawnego budynku i stanęła nad widoczną jeszcze w ziemi pozostałością grubej, ceglano-kamiennej ściany. – To przy tej ścianie musiała być kamienna tablica, o której pan wspominał.

Niemiec podszedł do niej i spojrzał pod nogi.

– No cóż. Zaufamy pani w tym względzie. Mam nadzieję, że znajdziemy tę pamiątkę po rodzinie mojej ciotki. – Odwrócił się do stojącego tuż obok plenipotentą. – Jak zaczną teraz kopać, to mam nadzieję, że skończą przed wieczorem?

– Oczywiście. Według dokumentacji to powinno być na poziomie jakichś dwóch, góra trzech metrów pod powierzchnią tych gruzów. Do wieczora na pewno się z tym uwiniemy.

Obejrzał się i kiwnął na pomocnika. Grubas skinął głową i machnął ręką w kierunku oczekujących obok białego samochodu kilku młodych mężczyzn. Robotnicy wyciągnęli z bagażowej części vana łopaty i ruszyli w kierunku wzniesienia.

\*

Paulina przeszła po brukowanej ścieżce i wszedłszy przez otwarte na oścież dwuskrzydłowe drzwi, zaczęła się wspinać po wąskich, drewnianych schodach na piętro restauracji na Wałach Chrobrego. Wczoraj umówili się na obiad i właśnie się spóźniała. Jakieś dwadzieścia minut. Miała nadzieję, że Igor i Johann nie zanudzili się w swoim towarzystwie. Siedzieli przy tym samym, co wczoraj wieczorem, wielkim stole pod obrazem Kolumba i pogrążeni byli w wesołej rozmowie. Wcale nie wyglądali na znudzonych. Podeszła do nich i właśnie miała się przywitać, gdy zobaczyła leżący na stole obok butelki z winem list z podziemi. Zaskoczona, na chwilę zaniemówiła. Igor spojrział na nią i podniósł brwi, uśmiechając się szeroko.

– Skąd to masz? – Wzięła do ręki list i powoli odwróciła go, przyglądając się staremu papierowi pod światło. – Starska ci jednak wypożyczyła?

Igor wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Johannem. Popatrzyła na nich i zorientowała się, że coś jest nie tak.

– To kopia. Zrobiłem ją dzisiaj dzięki twojej odbitce. Skoro ty się nie połapałaś, to prezydent też się nie zorientuje, nie ma szans.

– Ale przecież to jest stary papier. Ledwo się trzyma. – Paulina podniosła list bliżej oczu i dopiero w tym momencie dotarło do niej, co powiedział Igor.

– Jak to się nie zorientuje? Co masz na myśli? – spytała z otwartymi szeroko oczami, siadając powoli na krześle i kładąc obok siebie torebkę.

– Wkradniemy się do jego gabinetu i podmienimy listy.

## Rozdział 13 (środa)

Marek Bondar siedział pochylony nad komputerem w swoim kantorku i co chwilę z irytacją patrzył na przechodzących korytarzem. Nie mógł się skupić, a pisał właśnie raport, który musiał trafić jutro rano, a najlepiej jeszcze dziś pod koniec pracy, na biurko szefa. Nie chciał zamykać drzwi, ponieważ otwarte zapewniały dodatkowy przewiew. Mały wentylatorek na końcu jego biurka niewiele pomagał. Przyszło mu na myśl – matka by powiedziała, że burza wisi w powietrzu.

W korytarzu rozległ się stukot kroków i po chwili do środka zajrzał młodszy aspirant Pilecki. Wyjrzał na zewnątrz, jakby chciał się upewnić, czy nikt nie słyszy, po czym oparł się o drzwi.

– Przyszła jakaś baba, która twierdzi, że coś widziała.

Bondar podniósł oczu ku niebu i jęknął. Kategoria pod nazwą „baba, która coś widziała” była licznie reprezentowana przez starsze najczęściej panie. Przychodziły na komisariat przekonane, że właśnie widziały, jak ich sąsiedzi popełniają najprzeróżniejsze, nieprawdopodobne wykroczenia z morderstwami włącznie. Miejscami, przez które dokonywały tych obserwacji, były oczywiście okna.

– Niech zgadnę, widziała coś przez okno? – Popatrzył z rezygnacją na młodego kolegę.

– Co? – Policjant spojrział nieprzytomnie. – A tak. Widziała przez okno jakichś facetów.

Bondar pokręcił głową i westchnął.

– Dlaczego przylałeś z tym do mnie? Taki rzeczami zajmuje się dyżurny na dole.

– Ale tu chodzi o tę sprawę z cieciem obok S-Center.

Bondar ściągnął brwi. Popatrzył przez chwilę na napisany dopiero do połowy raport, po czym westchnął ponownie.



– Dobra, niech tu przyjdzie. Pogadam z nią.

\*

Dorota zaparkowała samochód pod zielonym sklepieniem kasztanowej alei i wyłączyła silnik. Rano przed dziewiątą zadzwonił do niej kierownik budowy i poinformował, że odkopali wielką salę.

W radiu znany głos lokalnej stacji kończył podawać informacje.

*Upały, które towarzyszą nam od prawie trzech tygodni, prawdopodobnie skończą się przed samym weekendem. Synoptycy IMGW ostrzegają o czekających nas z końcem tygodnia burzach i silnych opadach deszczu...*

Dorota przekręciła kluczyk do końca i wysiadła z samochodu. Była ciekawa, co takiego znajduje się na ścianie, którą tak bardzo chcieli odsłonić ci Niemcy. Co to za inskrypcja i jakiego znamienitego przodka niby upamiętnia? Wiedziała, że wśród Raminów było kilku kanclerzy Gryfitów i innych wysokich urzędników. Czyżby chodziło o którąś z tych osób? Zresztą, co w tym dziwnego, że bogaty potomek rodziny chce mieć taki dowód znakomitości rodu u siebie na ścianie? Raczej typowe.

Obeszła wzniesienie i stanęła przed dwoma ogromnymi dębami. Obok dawnego tarasu usypana była teraz wielka góra ziemi i gruzu, w której dostrzec można było resztki cegieł i fragmenty kafli ceramicznych. Na szczycie odsłoniętej ściany stał facet w ciemnej koszulce. Na widok Doroty drgnął, uśmiechnął się i przeskakując po wielkich kawałach muru wydobytych z wykopu, przedostał się do niej.

– Dzień dobry, pani Doroto. Odsłoniliśmy tę ścianę, jest dobrze zachowana. Na dole są nawet pozostałości posadzki. Nie wiem, czy kazać im kopać dalej?

– Idziemy. – Dorota obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. – Zaraz zobaczymy, czy odsłoniliście właściwą ścianę.

– Niech pani idzie dookoła, tam można łatwiej przejść niż tędy przez te gruzu – rzekł kierownik z cierpkim uśmiechem i wskazał brodą kierunek.

Dorota obeszła pozostałości dawnego tarasu i za jednym z wielkich dębów wspięła się na odsłonięte na wysokość może sześćdziesięciu centymetrów ceglano-kamienne pozostałości muru. Od strony wewnętrznej wykop powoli

się obniżał, w najgłębszym miejscu osiągając prawie trzy metry głębokości. Prostopadle do odsłoniętej ściany dawnego budynku odchodziła ściana wewnętrzna z widocznym otworem drzwiowym, w którym zachowały się drewniane framugi drzwi. Ściany były ceglane, ale w niektórych miejscach wmurowano w nie wielkie granitowe kamienie. Na wysokości około dwóch i pół metra od dna wykopu ziały otwory po belkach stalowych podtrzymujących niegdyś ceglane sklepienia.

Dorota ostrożnie zeszła na dół i stanęła na osypisku ziemi i cegieł. Dawne centralne pomieszczenie traktu ogrodowego było praktycznie całkowicie odsłonięte. Spod resztek gruzu wyzierała zniszczona ceramiczna posadzka. Ceglana ściana wyglądała na całkiem dobrze zachowaną, poza ubytkami zaprawy i fragmentami mechanicznych, powstałych najprawdopodobniej podczas rozbiórki dworu, zniszczeń. Dorota dotknęła szorstkiej, ceramicznej powierzchni. To powinno być gdzieś tutaj. Nie wątpiła, że chodzi o to właśnie pomieszczenie. Jej wiedza na temat aranżacji pomieszczeń w dworach z tego okresu utwierdzała ją, że musi chodzić dokładnie o tę salę. Poza tym zgadzało się to z opisem tego Szwaba. Chyba że coś zapomniał albo pokręcił.

Z góry dobiegły jakieś podniesione głosy i u szczytu wykopu, skąd przed chwilą zeszła na dół, pojawiły się dwie postacie. Stary von Hagen ze swoim nieodłącznym plenipotentem. Mieli zaciekawione, ale i pochmurne twarze. Widać ten kierownik od siedmiu boleści przekazał im, że nic tu nie ma. Po chwili byli już na dole.

– Czyżby to jednak nie było to pomieszczenie? – Plenipotent podeszedł do niej i stanął obok, patrząc z zaciekawieniem na ścianę przed nimi.

– Jestem przekonana, że chodzi o to miejsce. Zresztą proszę popatrzeć. – Pokazała ręką resztki jakiejś drewnianej konstrukcji wystającej spod gruzu. – To jest prawdopodobnie podstawa pod beczki z winem. Ta inskrypcja musi być tutaj.

– Ale nie ma – rzekł von Hagen chłodno i podeszedł do muru.

Dorota zrobiła krok do tyłu, obrzucając spojrzeniem całe pomieszczenie. Jeśli ten Szwab był wtedy dziesięcioletkiem, to mógł mieć może metr czterdzieści, metr pięćdziesiąt wzrostu. Skoro, jak twierdzi, musiał się pochylić, żeby popatrzeć na ten napis nad stołem, to było to zapewne gdzieś na wysokości metra. Typowy stół ma jakieś osiemdziesiąt centymetrów

wysokości. Spojrzała na środek ściany na wysokości kolan. Gruz w tym miejscu stopniowo wznosił się ku górze, a ściana była częściowo jeszcze zasypana. Pomiedzy cegłami wyraźnie rysowała się jakaś wyrwa. O średnicy około sześćdziesięciu centymetrów. Dorota zmarszczyła brwi i podeszła bliżej. Ukucnęła przed dziurą i dotknęła jej palcami. To nie było zniszczenie mechaniczne. Wyglądało, jakby coś się tutaj kryło. Wnęka była jednolitej głębokości.

– Oczywiście, że to jest to pomieszczenie. – Podniosła się i spojrzała z pewnością siebie na Niemca. – Pański kamień z inskrypcją wisi prawdopodobnie nad kominkiem jakiegoś emerytowanego leśniczego.

\*

– Nie mogłam spać. Normalnie, wie pan, chodzę spać po dziewiątej, ale po tym pożarze tuż obok to ciągle się boję, że tam znowu zacznie się coś dziać. – Korpulentna kobieta, na pierwszy rzut oka zbliżająca się do sześćdziesiątki, przysiadła na krańcu krzesła, oburącz ściskając torebkę.

– Która mogła być godzina? – Bondar spytał, przesuwając kursorem tekst raportu i zastanawiając się jednocześnie, czy uda mu się skończyć do szesnastej.

– Dokładnie dziesięć po dwudziestej drugiej. Wiem na pewno, bo spojrzałam na zegarek, że tak późno, a ja nie mogę zasnąć. Z moich okien kiedyś był ładny widok na ten deptak obok kogucików, a teraz widzę tylko podwórko i ścianę tego okropieństwa, co go postawili dopiero co.

– Było ich trzech? Jest pani pewna?

– Tak, trzech i ten dozorca, co tam pracował. Stałam w oknie akurat i widziałam, jak weszli przez bramę na ten ogrodzony ogródek przy hotelu, a potem do środka.

– I jest pani pewna, że już ich tam widziała?

– Tak, przychodzili tam wcześniej, jak nie jeden, to drugi albo i wszyscy naraz.

Bondar pokiwał głową i sięgnął do szuflady. Wyjął plik zdjęć i położył jedno z nich przed kobietą.

– Czy to może któryś z nich?

– Tak! To ci dwaj! Skąd pan to ma? – Kobieta chwyciła jedno ze zdjęć i wbiła w nie wzrok. – Czy to jacyś groźni przestępcy?

– Nie, nie. – Bondar pokręcił głową. – To po prostu osoby związane z hotelem.

Przez chwilę się zastanawiał, po czym sięgnął po jeszcze jedno zdjęcie.

– A ten mężczyzna? Czy mógł być z nimi?

Kobieta pochyliła się nad fotografią, przyciskając ją ostrożnie palcem.

– Poznaję go. On tam bardzo często przychodził, także w towarzystwie tych przestępców. Pewnie to był ten trzeci!

– Jest pani pewna, że to ten mężczyzna?

Kobieta wyduła policzki.

– No, głowy bym nie dała. Tych dwóch poznałam na pewno, trzeciego nie widziałam dobrze, bo szedł ze spuszczoną głową, ale to mógł być on.

Bondar ściągnął brwi i spojrzał na fotografię przedstawiającą uśmiechniętego, krótko ostrzyżonego bruneta.

\*

Hans zamknął laptopa i uśmiechnął się do siebie. Przez ostatnie dziesięć minut rozmawiał z zaufanym człowiekiem z Berlina, którego ludzie od wczoraj analizowali treść listu Barnima. Wreszcie jakaś dobra nowina. Parsov siedział przy sąsiednim stoliku i jadł późne śniadanie. Hans dźwignął się ze swojego miejsca w bocznej łoży i podszedł do szefa.

– Przepraszam, muszę przeszkodzić. Mam dobre wiadomości.

Parsov spojrzał na niego zniecierpliwionym wzrokiem. Stracił humor po tym, jak dzisiaj rano okazało się, że kamień z tą cholerną inskrypcją został skradziony. Zapomniał, że to przecież teraz Polska, pomyślał nienawistnie. Nawet kamienie kradną.

– Mamy wreszcie informacje w sprawie listu. Niczego nie znaleźli, list najprawdopodobniej nie jest zapisany szyfrem.

Parsov się zakrztusił. Cholerny debil!

– I to jest ta dobra wiadomość według pana? – Jego oczy miały błyskawice.

Hans dzielnie zniósł wybuch wściekłości Parsova.

– Przepraszam, użyłem niezręcznego sformułowania. List nie jest zapisany szyfrem, ale jest w nim ukryta wiadomość. Przedostatnie zdanie. – Mówiąc to, położył obok talerza kserokopię i postukał palcem we właściwe miejsce. – Stare powiedzonko pewnego Anglika, wskazujące na to, że Barnim prawdopodobnie resztę napisał atramentem sympatycznym.

Parsov odłożył łyżkę i spojrzał na kartkę papieru. Cholerny Ramin! Paskudny żart zepsutego łajdaka, to do niego całkiem podobne.

– Bez oryginału i tak nic nie zdziałamy.

– No właśnie. – Hans się uśmiechnął. – Mam informacje z pewnych źródeł, że list jeszcze dzisiaj trafi do Berlina. Nie zgadnie pan gdzie?

– Proszę się nie bawić w durnowate zagadki. – Parsov spojrzał złym wzrokiem na uśmiechniętego Hansa.

– Na wystawę „Ludzkie losy w czasie II wojny światowej”. Sami nam go przysyłają.

Zaskoczony Parsov popatrzył na Hansa. Głupota Polaków jednak w dalszym ciągu jest za mało ceniona, pomyślał mściwie. Jeszcze dziś musi się skontaktować z szefostwem wystawy i Związkiem.

\*

Wysoki, potężnie zbudowany brunet, ubrany w krótkie spodenki i granatową koszulkę, siedział na niskiej ławeczce i z pochmurną miną wpatrywał się w swoje sportowe buty Nike. Bondar stał nad nim i patrzył na niego obojętnym wzrokiem.

– W porządku. Macie rację, byliśmy tam. – Brunet podniósł głowę i spojrzał na policjantów. – Poszliśmy tam tylko po to, żeby dokładnie obejrzeć samochód i zrobić dokładne zdjęcia.

– Która była godzina? – Młodszy aspirant Pilecki pochylił się i usiadł na ławce obok bruneta.

– Dziesiąta około. Pan Stanisław wszedł z nami, ale nie schodził do podziemi. Czekał na nas w korytarzu. Zrobiliśmy zdjęcia auta i wyszliśmy. Niczego nie tykaliśmy palcem.

– Jak długo tam byliście? – Bondar mimochodem rozejrzał się po sporej

szatni. Siłownia należała do Boroli. Jak kilka innych w różnych punktach miasta.

– Krótko, może dwadzieścia minut. Słowo daję, nawet nie zajrzeliśmy na pakę ani do szoferki. Pan Stanisław wyszedł z nami i zamknęliśmy kłódki od piwnicy.

– Kto miał klucz?

– Ja. Pan Borola zostawił mi go przed wyjazdem. Jest tylko jeden. Mam go tutaj. – Brunet wstał i podszedł do jednej z szafek stojących w równym szeregu wzdłuż ściany. Wyjął z niej torbę, sięgnął do jednej z kieszonek i wyciągnął brelok z kilkoma kluczami. Wrócił do ławeczki na środku pomieszczenia i podał klucze Bondarowi.

– Po co komu były potrzebne te zdjęcia samochodu? – Młody policjant popatrzył na niego podejrzliwie.

– Pan Borola bał się, że samochód zostanie zabrany i nawet go dokładnie nie obejrzy. Cały czas ma nadzieję, że uda mu się jakoś dogadać z miastem i zająć jego renowacją. Jest maniakiem takich rzeczy.

Za białymi, gładkimi drzwiami rozległy się kroki, a po chwili ciche pukanie. Do środka zajrzała dziewczyna w białym dresie i uśmiechnęła się przepraszająco. Spojrzała na bruneta.

– Wszyscy już czekają na zajęcia Tai Chi. Będą się awanturować, bo potem jest następna grupa.

– Dobrze, przeproś ich, zaraz tam będę – powiedział brunet, spoglądając pytająco na Bondara.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy był z wami Igor Fleming?

Brunet podniósł brwi ze zdziwieniem.

– Igor Fleming? Nie, byliśmy we trójkę. Ja, mój współpracownik i pan Stachurski, on jest specjalistą od renowacji starych samochodów. Będzie przerażony, jak go zaczniecie wypytywać.

– Rozstaliście się przed budynkiem? Czy wchodziliście jeszcze do kantorku pana Stanisława?

– Nie wchodziliśmy. Ja się śpieszyłem, miałem robotę w lokalu. Pan Stanisław poszedł wzdłuż budynku do głównego wejścia, a myśmy wsiedli do auta i odjechali.

– I potem pan z kolegą byliście cały czas w klubie?

– Tak, mnóstwo osób może to potwierdzić. Od jedenastej do czwartej stamtąd się nie ruszaliśmy.

Bondar popatrzył na niego przeciągle.

Zastanawiał się, czy facet nie kłamie. Może gdy byli razem w tych lochach z cieciem, zdarzył się tamten wypadek i wpadli w panikę? Chociaż z drugiej strony, patolog potwierdził opinię lekarzy z karetki, że zgon nastąpił przed pierwszą. Kamery przemysłowe S-Center nie obserwują wejścia do hotelu, hotel ich w ogóle nie ma. Trzeba będzie sprawdzić, czy któryś ze sklepów na ulicy przed hotelem ma kamery, z których mogła być widoczna brama.

Cholera, a myślał, że będzie już spokój z tą sprawą.

\*

Paulina precyzyjnie się między wtykającymi jakieś ulotki dwoma chłopakami i weszła do magistratu. Umówili się, że każde przyjedzie tutaj osobno i spotkają się na miejscu. I to też dopiero w ściśle określonym momencie, do tego czasu mieli posługiwać się komórkami. Była zdenerwowana, jak przed jakimś ważnym egzaminem. Właściwie to sama nie wiedziała, jakim cudem dała się w to wciągnąć. Gdy wczoraj usłyszała, co powiedział Igor, najpierw pomyślała, że z niej żartuje, a zaraz potem, że zwariował.

– Zwariowałeś? – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Nie mówisz chyba tego poważnie?

– Mówię poważnie. Przemyślałem wszystko i sądzę, że to może być całkiem proste. Spędziłem dzisiaj prawie godzinę, łażąc pod tym gabinetem i obserwując, co się tam dzieje.

– To jakiś absurd. Niemożliwe, że naprawdę rozmawiamy tutaj o włamaniu do prezydenta. – Paulina pokręciła głową i sięgnęła po kieliszek z winem, który przed chwilą podsunął jej usłużnie Johann. – Wrabiacie mnie – rzekła surowo i spojrzała na uśmiechniętego Johanna.

– Nie, naprawdę jestem przekonany, że w ciągu dnia możemy spokojnie wejść niezauważeni do gabinetu i podmienić te listy. – Igor wyciągnął torbę spod stołu i wyjął z niej teczkę z wetkniętym do środka plikiem kolorowych

kartek. – Zobacz, tutaj jest rzut piętra urzędu. Z dokładnym rozkładem pomieszczeń w całym wydziale należącym do prezydenta.

– Schowaj to, na miłość boską! – Paulina odsunęła od siebie papiery, które rozłożył przed nią Igor, i rozejrzała się nerwowo wokół siebie.

– Daj spokój, do diabła! Myślisz, że ktoś się tutaj zorientuje, czego dotyczą te plany? Poza tym nie ma żadnego zakazu oglądania rozkładu gabinetu prezydenta. – Igor otworzył złożoną na pół kserokopię i podsunął ponownie Paulinie.

– Czy on wie, o czym ty mówisz? – Paulina spojrzała na Johanna, który podniósł brwi i uśmiechnął się. – W ogóle to cały czas mówimy po polsku.

– Przedstawiłem mu w zarysie pomysł. Stwierdził, że bawi się w Szczecinie coraz lepiej.

– Będzie się bawił jeszcze lepiej, jak go zamkną we frajerni na Kaszubskiej.

– Nie dramatyzuj. – Igor postukał palcem w pomieszczenie w centralnej części planu, spojrzał na Johanna i zaczął mówić po angielsku. – Tutaj jest sekretariat. Gabinet w ciągu dnia pozostaje cały czas otwarty. Jak jest prezydent, to oczywiście siedzi w środku i przyjmuje różnych gości. Podczas jego nieobecności często wchodzi tutaj sekretarki. Wnoszą na przykład pocztę i kładą ją na biurku. Główne drzwi od strony korytarza są zawsze zamknięte. Do sekretariatu przychodzi mnóstwo ludzi z jakimiś sprawami, urzędnicy, petenci, pomylenicy. Prezydent schował list najprawdopodobniej do szuflady w swoim biurku. Wystarczy wejść, wyjąć list i wsadzić ten lewy.

– Bagatela, tak! – prychnęła Paulina. – Plan wprost genialny w swojej prostocie, żeby nie powiedzieć w debilizmie. A w ogóle to skąd ty masz te plany?

– Moja znajoma robiła kilka lat temu inwentaryzację stolarki okiennej w całym budynku. Nieważne. – Igor popatrzył na Paulinę. – Najrozsądniej będzie, jeśli ty wejdiesz do środka.

Paulina przez chwilę patrzyła na Igora, po czym wypila cały kieliszek wina do końca.

– Jasne! A wy to pewnie obejrzyjecie wieczorem w telewizji. Łącznie z tym, jak mnie wyprowadzają skutą kajdankami na plecach.

– Tobie jako kobiecie w razie wpadki będzie najłatwiej się wytłumaczyć,



że zablądziłaś albo że byłaś ciekawa, jak wygląda gabinet, i nie mogłaś się powstrzymać, by nie wejść i nie obejrzeć – wyjaśnił Johann i nalał Paulinie kolejny kieliszek.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak to seksistowsko brzmi? – Paulina rzuciła Johannowi ostre spojrzenie. – Czyli według ciebie, robiąc z siebie idiotkę, jestem usprawiedliwiona, ponieważ jestem kobietą?

– Oj nie, nie to miałem na myśli. – Johann pomachał dłońmi, uśmiechając się przy tym z zakłopotaniem. – Chodziło mi o to, że prezydent to facet i więcej wybaczy tobie niż jakiemuś koleśowi, którego zastanie nagle, nieproszonego, w swoim gabinecie.

– A poza tym masz już, w przeciwieństwie do nas, wprawę we włamaniach i kradzieży tego listu. – Igor uśmiechnął się złośliwie.

– Nigdzie się nie włamałam, bałwanie! – Paulina spojrzała na niego wściekle. – Śledziłam po prostu dwóch półprzestępców, zamieszanych w zawalenie biurowca w centrum miasta.

– Okej. – Johann sięgnął po plany gabinetu i spojrzał na nich, zagryzając wargi. – Porozmawiajmy teraz, dla odmiany, poważnie. Ustalmy, co kto ma dokładnie zrobić. Musimy to załatwić przed czternastą, tak?

– O czternastej jest umówione spotkanie z Niemcami. Właśnie dlatego trzeba to wykraść wcześniej. Prezydent o jedenastej ma jakieś spotkanie w Urzędzie Wojewódzkim i wraca przed czternastą. O czternastej ma spotkanie z biznesem przygranicznym i naukowcami z Greifswaldu. Poczta przychodzi koło jedenastej, zaraz potem te dziewczyny z sekretariatu robią sobie przerwę na śniadanie i najczęściej jedna zostaje, a pozostałe wychodzą kupić sobie jakieś kanapki na dole. Wykorzystamy moment, w którym jest najmniejszy ruch.

– Zostawmy na chwilę ten chory pomysł włamania. – Paulina przerwała Igorowi i odetchnęła. – Czy nie można po prostu przy jakiejś okazji podgrzać tego listu zapalniczką albo skropić sokiem z cytryny? Może jak wróci do Starskiej? Bywasz tam często – zwróciła się do Igora – Na pewno znalazłaby się jakaś okazja.

– No właśnie nie. Jeśli nie zrobimy tego jutro, to kanał. Prezydent po spotkaniu o czternastej jedzie do Niemiec na otwarcie wystawy „Ludzkie losy w czasie II wojny światowej”. Dzwoniłem dzisiaj do Starskiej, żeby wy badać, czy jest jakaś możliwość dostania tego listu do rąk. Otóż pan

prezydent wymyślił, że to doskonały gadżet do zawiezienia i wypożyczenia Niemcom na uroczystość otwarcia. Jeśli list zostanie tam do końca wystawy, to mamy miesiąc z głowy.

– A to nie jest ta wystawa, którą popiera Związek Wypędzonych? Była jakaś pyskówka na forach dwa tygodnie temu. – Paulina zmarszczyła brwi.

– Tak, ta sama. – Igor wykrzywił usta z niesmakiem. – Teoretycznie organizują ją środowiska naukowe, ale poparcie BdV[23] jest oczywiście podejrzane. Związek Wypędzonych z reguły patrzy krzywo na tego typu inicjatywy, jeśli nie pochodzą od niego. Nieważne, jeśli list tam trafi, to nie będziemy mieli do niego żadnego dostępu, a wróci pewnie prosto do muzeum.

Paulina wydeła usta i sięgnęła po kieliszek z winem.

– A jeśli chodzi o atrament sympatyczny... – rzekł Igor, uśmiechając się z pobłażaniem – to taki, który reaguje na podgrzanie lub sok z cytryny, jest sprzedawany w zestawach dla dzieci „Mały szpieg”.

Paulina spojrzała na niego ze złością i już otwierała usta, by odpowiedzieć czymś równie złośliwym, gdy do rozmowy wtrącił się Johann.

– On ma rację. Atrament sympatyczny, jakim posługiwała się armia, to zupełnie inna liga. Wojsko prowadziło wtedy specjalne badania nad produkcją atramentu, który można by wywołać z użyciem jak najmniejszej ilości czynników. Idealem był atrament reagujący jedynie na jeden, konkretny związek chemiczny. Zakładając, że Barnim był oficerem, działał w strukturach Werwolfu, a jeszcze w dodatku był zamieszany w spisek na życie Hitlera, to z pewnością dysponował bardzo wyrafinowanymi środkami.

– I dlatego, żeby móc odczytać tę ukrytą część listu, musimy go dać do zbadania jakiemuś chemikowi. – Igor wziął do ręki kopię listu, która cały czas leżała między nimi na stole. – Mam znajomego, który pracuje jako wykładowca na wydziale chemii. Pewnie bez problemu nam pomoże. Wymyślimy tylko jakąś bajkę o tym, co to jest i skąd to mamy.

Paulina spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Przycisnęła nerwowo do boku małą skórzaną aktówkę i ruszyła w kierunku windy. Była zła na siebie, ale jeszcze bardziej na Igora i Johanna. Miała wrażenie, że przestała kontrolować wydarzenia. Zgodziła się na udział w czymś, co może się

skończyć naprawdę nieciekawie. Po jaką cholere? Co ją do tego skłoniło? Czy naprawdę dała się przegadać Igorowi? Żalotne. Z drugiej jednak strony – chociaż trudno jej się było przyznać do tego nawet przed sobą – to ją jakoś kręciło. Pomysł był kompletnie absurdalny, jak nie z tego świata, miała wrażenie, że gra w jakimś filmie. Jakimś amerykańskim political fiction. Poza tym obawiała się, czy przypadkiem w ostatniej chwili nie zrezygnuje z udziału w tym wariactwie. Jak tylko ponapawa się rolą niebezpiecznej anarchistki. Samo dno.

Drzwi windy otworzyły się na pierwszym piętrze. Paulina wyszła i skręciła w prawo. Miała do pokonania korytarz biegnący przez całe północne skrzydło, a potem połowę korytarza w głównym gmachu. Wybrała dłuższą drogę, żeby oswoić się z myślami i dokładnie wszystko jeszcze raz powtórzyć. Miała się, niby przypadkiem, spotkać z Igorem w hallu przed gabinetem prezydenta. Komórki mieli na wszelki wypadek ustawione na wibracje. Jedna strzałka – wycofujemy się. Minęła zakręt i wyszła na odcinek, który prowadził wprost do głównego hallu budynku. Od razu zauważyła Igora, który nerwowo chodził wzdłuż korytarza, patrząc co chwilę na zegarek... Przycisnęła aktówkę do boku i ruszyła w jego kierunku.

Igor chodził tam i z powrotem po korytarzu. Patrzył nerwowo na zegarek, wypatrując Pauliny. Przed chwilą minął go Johann i udając, że się nie znają, wszedł po schodach piętro wyżej. Miał krążyć w pobliżu, w roli interesanta, dopóki Igor do niego nie zadzwoni. Prezydent wyszedł z budynku jakieś piętnaście minut temu.

Igor przeszedł obok wielkich drzwi raz jeszcze i zatrzymał się przed sztalugami z nowoczesnym obrazem średnio znanej malarki, której wystawę promował urząd w ramach popularyzowanej akcji charytatywnej. Sztalugi stały po dwóch stronach drzwi i częściowo zasłaniały widok z perspektywy korytarza, co akurat dobrze się składało. Z lewej strony usłyszał nagle odgłos czyichś kroków. Odwrócił się i zobaczył Paulinę. Była w dzinsach i ciemnej bluzce, pod pachą trzymała skórzaną, niewielką aktówkę. Miała wysoko upięte włosy i wyglądała na zdenerwowaną. Dostrzegła go i uśmiechnęła się dramatycznie. Igor westchnął i odwzajemnił uśmiech. No tak, mieliśmy się spotkać „przypadkiem”. Za dobrą aktorką to ona nie jest. Odwrócił się i poczekał, aż podejdzie.

– Uśmiechasz się, jakby ci ktoś wciskał pistolet w plecy.

To wystarczyło, by zdenerwowanie na chwilę się ulotniło, ustępując miejsca irytacji.

– Sam się uśmiechaj. Jakbym miała jakiś powód. Co z tymi babami? Wyszły już?

– Nie, ale są tam dzisiaj tylko dwie. Jedna z nich, chyba szefowa biura, wyszła z prezydentem.

– To ty byłeś tu już tak wcześniej? – zdziwiła się Paulina.

– Widziałem z samochodu. Zaparkowałem na samym rogu. Poczekaj, mam pomysł. Patrz, czy nikt nie idzie. – Rzucił okiem w głąb korytarza i podszedł do jednej ze sztalug.

– Co ty chcesz zrobić? – Paulina nerwowo rozejrzała się wokół siebie.

Igor chwycił za drewnianą ramę i zaczął pchać w kierunku ściany.

– Przetawić te sztalugi tak, żeby całkiem zasłaniały wejście.

Podszedł do drugiej, odwrócił się na moment za siebie, i również ją przesunął. Stały teraz tuż pod ścianą pod lekkim kątem. Dla osoby idącej korytarzem ktoś stojący przy wielkich drzwiach do gabinetu prezydenta był zupełnie niewidoczny.

Igor wrócił do Pauliny i stanął obok niej.

– Masz tę kopię? – spytał, patrząc na jej aktówkę.

– No, a jak myślisz, co tutaj włożyłam? Kosmetyki? – Paulina uśmiechnęła się krzywo.

Drzwi sekretariatu nagle się otworzyły i wyszła z nich kobieta w granatowej garsonce, kierując się w stronę schodów prowadzących na dół.

– Dobra, zaczynamy.

Igor podniósł telefon i wybrał numer Johanna.

Johann sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i spojrzał na wyświetlacz. Igor!

– Już? – spytał, rozglądając się, którądy będzie bliżej, czy z powrotem do głównych schodów, czy korytarzem do bocznych. Schował telefon i ruszył do głównych. Tam miał przynajmniej gwarancję, że nie zabłądzi. Zszedłszy

na pierwsze piętro, podszedł do Igora i Pauliny, którzy stali na środku hallu. Byli zdenerwowani. Paulina miała minę, jakby chciała kogoś podrapać. Pewnie znowu się sprzeczali. Igor otarł krople potu z czoła i wskazał brodą drzwi.

– Najpierw te drzwi, my patrzemy, czy nikt nie idzie.

Johann rozejrzył się w obie strony i podszedł do wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Z kieszeni marynarki wyciągnął kawałek drutu. Wytrych. Nauczył się go używać w internacie. Miał dwóch kolegów, z którymi się zakładał, kto z nich osiągnie większą biegłość w tej dziedzinie. Na szczęście nigdy nie było mu to potrzebne, chociaż raz zdradził się ze swoją zręcznością w domu, wypuszczając zatrzaśniętego ojca ze spiżarni. Musiał się z tego potem długo tłumaczyć i obiecać, że nigdy nigdzie się nie włamie.

Teraz pochylił się nad zamkiem, wsadził do środka płaską blaszkę i leciutko ją nacisnął. Zamek był stary, zwyczajny, patentowy. Bułka z masłem. Przytknął ucho do drewnianej płaszczyzny drzwi i delikatnie wsunął pod blaszkę cienki drucik, którym ostrożnie podważył jeden z ząbków zamka. Delikatnie przekręcił blaszkę, blokując ząbek, tak żeby znalazł się na właściwym miejscu. Po chwili usłyszał ciche stuknięcie, gdy ząbki w środku zamka obróciły się i wpadły w odpowiednie szpary. Bardzo delikatnie, by nie narobić hałasu, sięgnął po klamkę i powoli nacisnął. Drzwi się otworzyły. Powolutku zamknął je z powrotem, zwracając się do Pauliny i Igora, którzy wyglądali, jakby mieli w popłochu rzucić się do ucieczki. Włożył drut do kieszeni, poprawił krawat i ruszył w kierunku sekretariatu. Zatrzymał się przed drzwiami i spojrzał w stronę Igora, który podniósł kciuk do góry.

Andżelika Kępa, inspektorka niższego szczebla w biurze prezydenta, kliknęła w okienko na pulpicie i wywołała przeglądarkę internetową. Jak dobrze, że wszyscy poszli sobie w cholerę i do czternastej będzie trochę spokoju. Była strasznie głodna. Miała nadzieję, że Kaśka nie utknie gdzieś na plotkach i przyniesie szybko tę kanapkę. Z niewielkim poczuciem winy otworzyła serwis plotkarski i z rozkoszą zanurzyła się w informacjach o skandalach seksualnych gwiazd. Gdy usłyszała pukanie do drzwi, poczuła się wręcz osobiście dotknięta.

– Proszę – rzuciła chłodno.

Drzwi do sekretariatu się otworzyły i do środka zajrzał blondyn w ciemnym garniturze. Andżelika zlustrowała go z zainteresowaniem i pomyślała, że nie jest aż tak znowu zajęta, by mu nie pomóc. Niezły.

– *Good morning* – powiedział Johann, rozglądając się ciekawie po wnętrzu i uśmiechając promiennie.

Andżelika jęknęła w duchu. Mówiła po angielsku bardzo kiepsko. Tabliczka z angielską flagą na drzwiach odnosiła się głównie do szefowej, Kaśka też ledwie dukała.

– Czy mówi pani po angielsku? – Blondyn podszedł do kontuaru oddzielającego stanowiska inspektorek. Miał bardzo drogi garnitur. Może po angielsku mówiła średnio, ale na tym znała się doskonale.

– Tak, ja mówić. Słyszę? – Uśmiechnęła się.

Johann podniósł brwi i uśmiechnął się uwodzicielsko.

– Nie wiem, czy dobrze trafiłem. Jestem właścicielem dużej działki w mieście, która przylega do miejskich terenów, i chciałem się umówić z prezydentem na rozmowę w sprawie ewentualnej współpracy z miastem.

Andżelika rozejrzała się w popłochu. Zrozumiała, co powiedział, ale że też takie rzeczy przytrafiają się zawsze jej. Jakiś poważny inwestor chce rozmawiać o inwestycji miejskiej, a tu nikogo nie ma. Jak Kaśka zostaje sama, to przychodzą tylko starsze panie, żeby się poskarżyć na zbyt głośną muzykę w nocnych lokalach. Cholera!

– Czekaj! Ja patrzę plan. – Wyszła zza swojego biurka, podchodząc do biurka szefowej. Gdzieś tu leżał grafik spotkań prezydenta do końca tego tygodnia.

Johann wykorzystał ten moment i wyjął komórkę. Jak to było? Dwie strzałki – można zaczynać, jedna – wycofujemy się. Zamknął oczy i wybrał numer Igora.

Paulina poczuła, że serce jej zamarło. Może jeszcze teraz zrezygnować. Jak naciśnie tę klamkę, będzie już za późno. Zamknęła oczy i policzyła szybko do dziesięciu. Nacisnęła.

Wśliznęła się do wnętrza gabinetu i przywarła plecami do ciepłej,

brązowej powierzchni skrzydła drzwi. Zauważyła, że były bejcowane w kolorze drewna. Rozejrzała się wokół siebie. Wszystkie wewnętrzne drzwi były zamknięte, oprócz pojedynczych po lewej stronie. Garderoba prezydenta. Wczoraj przestudiowali dokładnie rozkład pomieszczenia i trafiłaby teraz do wielkiego, ciemnego biurka nawet po omacku. Gabinet miał kształt kwadratu. Według rozpowszechnianej, popularnej plotki znajdował się w geometrycznym środku gmachu. Nie była to do końca prawda. Ulokowany był dokładnie na osi głównej budynku i tym samym na osi głównej założenia urbanistycznego, nazywanego po wojnie Złotym Szlakiem. Ze środkowego okna widać było wysoką wieżę kościoła św. Jakuba, która w XIX wieku posłużyła projektantom układu przestrzennego miasta za główny punkt kompozycyjny. Trzy portfenetry wychodziły na dziedziniec główny Urzędu. Drzwi po prawej stronie prowadziły do sekretariatu, po lewej do pomieszczenia socjalnego, skąd było bezpośrednie wyjście na korytarz główny. Na ścianie z wielkimi paradnymi drzwiami, przez które Paulina się tutaj dostała, po dwóch stronach znajdowały się mniejsze wejścia, ulokowane na końcach ścian, tuż obok starych, pięknych kaloryferów. Jedne prowadziły do łazienki, drugie do garderoby.

Paulina odetchnęła głęboko i starając się jak najciszej stawiać kroki, podeszła do wielkiego, lakierowanego na ciemny brąz biurka, stojącego na ośmiu drapieżnych łapach. Obok, dokładnie na środku pomieszczenia, stał owalny stolik z kompletem ośmiu krzeseł, obitych materiałem w zielone, żółte i brązowe pasy. Za biurkiem stała niska komoda, a po przeciwnej stronie duża neobarokowa, oszklona szafa biblioteczna. Paulina podeszła do biurka i pochyliła się nad gładką, jedwabistą powierzchnią starego drewna. Na wierzchu leżało kilka dokumentów, projekty jakichś umów i otwarty terminarz z odręcznymi notatkami. Podniosła ostrożnie plik papierów po lewej stronie, ale stary, leżący pod spodem dokument, który przez chwilę wzięła za list z podziemi, był tylko jakąś archiwalną stroną w języku niemieckim, z ładną grafiką przedstawiającą stary żaglowiec. Pochyliła się i sięgnęła ręką pod blat. Cicho odsunęła szufladę i zajrzała do środka. W głębi, na wierzchu sterty papierów, jak gdyby nigdy nic, leżał list w przezroczystej foliowej ofertówce. Tej samej, w której Igor przyniósł go do Starskiej. Paulina sięgnęła do swojej płaskiej aktówki i wyjęła kopię. Ostrożnie wyciągnęła oryginalny list i położyła go na krańcu biurka. Wsunęła kopię do koszulki i włożyła ją do szuflady. Sięgnęła po oryginał i miała go

właśnie włożyć do aktówki, gdy od strony drzwi do sekretariatu rozległ się przeraźliwy łomot. Jakby ktoś z całej siły w nie walnął.

Johann przez chwilę kontemplował biodra pochylonej nad blatem sąsiedniego biurka Andżeliki. Spojrzał na zegarek. Ile to może trwać? Minęły już dwie minuty. Czy Paulina znalazła ten papier? Poczuł, że zaczyna się pocić.

Andżelika wyciągnęła w końcu spod sterty papieru notatnik w granatowych okładkach i triumfalnie pokazała go Johannowi.

– Ja mam! Ty podejdź.

Johann przesunął się bliżej kontuaru i pochylił, patrząc ciekawie w wypełniony drobnymi zapiskami terminarz.

– Pan prezydent mieć czas w piątek, ale krótki. I potem za dwa tygodnie. – Postukała palcem w notes i dopiero w tym momencie przypomniała sobie, że przecież może wejść przez sieć wewnętrzną do terminarza elektronicznego i tam sprawdzić wolne terminy. Ten papierowy notatnik jej szefowa traktowała jedynie jako podręczną pomoc.

– Jeden moment. Sprawdzam sieć. – Obeszła biurko i siadła przy swoim monitorze. – Ty czekać – zwróciła się do Johanna.

Ten nerwowo obejrzał się za siebie, po czym dyskretnie spojrzął na zegarek. Sześć minut.

Ktoś nagle szarpnął za drzwi na korytarz i szeroko je otworzył. Johann poczuł, jak robi mu się zimno. Do sekretariatu weszła kobieta w szarej spódnicy i białej bluzce, trzymając w obu rękach wielką tacę z filiżankami. Manewrując tacą i pomagając sobie lewą nogą, zatrzasnęła drzwi, po czym stanęła na środku wąskiej przestrzeni między drzwiami a kontuarem.

– Postanowiłam tam przygotować kawę i herbatę, żeby potem nie latać. Nie daj Boże ktoś wcześniej przylezie, nie będę się potem rozpychała z tą kawą między jakimiś niemieckimi profesorami – zwróciła się do Andżeliki, wyglądając zza tacy. – Czy może mi pan pomóc, przepraszam? Proszę mi otworzyć. – Spojrzała na Johanna. Ten przerażony wytrzeszczył oczy i spojrzął na drzwi do gabinetu prezydenta.

– Drzwi! Otwierać! Proszę! – zwróciła się do niego Andżelika.



Johann przełknął ślinę i odwrócił się w kierunku ściany, za którą znajdował się gabinet. Co robić? Spojrzał w popłochu na kobietę z tacą. W tym momencie drzwi na korytarz otworzyły się ponownie. W progu pojawiła się druga kobieta w granatowym kostiumie i stanęła za plecami pierwszej.

Johann rzucił się ku drzwiom do gabinetu i z całej siły walnął w nie pięścią.

– *Run!* – wrzasnął.

Kobieta z tacą, niewiele zza niej widząc, głośno krzyknęła i straciła równowagę. Próbując utrzymać na tacy wszystkie filiżanki i termos z kawą, zrobiła krok do tyłu, wpadając na drugą w granatowym komplecie. Taca z przeraźliwym hałasem wyrznęła o podłogę.

– Matko Boska! – wrzasnęła stojąca z tyłu kobieta i złapała się za nogę, wypuszczając jednocześnie z rąk dwa kartoniki z jogurtem i opakowane w folię bułki.

– Co ty robić?! – Andżelika poderwała się od biurka i dopadła do kontuaru, patrząc na bladego jak papier Johanna.

Przez chwilę zabrakło mu tchu. Odetchnął i pokazał palcem na wykładzinę pod drzwiami.

– *Spider! Huge bastard!*

Igor z przerażeniem obserwował, jak do sekretariatu zbliża się objuczona tacą z filiżankami kobieta w szarej spódnicy. Umiejętnie manewrując ciałem i zdradzając duże doświadczenie, otworzyła drzwi, a następnie w podobny sposób je zamknęła. Igor wbił wzrok w wielkie neobarokowe drzwi do gabinetu prezydenta.

Zajrzę tam i ją zawołam! Chyba musimy sobie odpuścić.

Zrobił krok w kierunku ściany, gdy za plecami rozległ się stukot kroków i ubrana w granatowy kostium kobieta, trzymając w rękach jogurt i bułki, wyszła z windy, kierując się w stronę sekretariatu. Igor zacisnął pięści i odwrócił się do niej tyłem, patrząc w głąb korytarza. Wyjął telefon, wybrał numer Pauliny i puścił jedną strzałkę. Chciał podejść do drzwi, gdy na końcu korytarza za zakrętem usłyszał śmiech i głośną rozmowę. Kompletnie zdębiały zobaczył kroczącego w jego kierunku prezydenta w towarzystwie

swojego zastępcy i szefowej biura. Kurwa! Gwałtownie się odwrócił i wyszarpnął z kieszeni komórkę. Wybrał numer Pauliny. Po trzecim sygnale należało odebrać.

– Co się dzieje? – usłyszał głośny, przerażony szept Pauliny. – Wychodzę!

– Nie! Idzie tu prezydent. Nie możesz teraz wyjść przez te drzwi! Schowaj się do garderoby! – Rozłączył się i zagryzł wargi.

Prezydencka trójca dotarła na wysokość prywatnych drzwi do gabinetu. Prezydent powiedział coś do swojego zastępcy i podszedł do wejścia. Podniósł rękę i zaczął wstukiwac kod otwierający zamek.

Paulina, która usłyszawszy za ścianą ryk Johanna, rzuciła się do drzwi wyjściowych, trzymała teraz klamkę i nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała, patrzyła jednocześnie, jak list z podziemi powoli spada na podłogę i z wdziękiem ląduje pod biurkiem. Upuściła go w panice i sądząc, że nie zdąży podnieść, rzuciła się do ucieczki.

Z drugiej strony drzwi usłyszała dźwięk otwieranego zamka kodowanego. W co ja się wpakowałam! Czuła, że serce zaraz jej wyskoczy z piersi. Rzuciła się w kierunku pojedynczych drzwi po prawej stronie. Były uchylone. Obrzuciła spojrzeniem wewnątrz mikroskopijnego pomieszczenia.

Jak tu wejdziesz, to od razu mnie zobaczy!

Wśliznęła się za drzwi i wstrzymała oddech.

Drzwi do pomieszczeń socjalnych otworzyły się i do środka wszedł średniego wzrostu mężczyzna w dopasowanym garniturze. Nucąc coś pod nosem, szybkim krokiem przemierzył gabinet i zniknął w drzwiach prowadzących do łazienki.

Teraz mogę zdążyć. Wyskoczę, chwycę list i wymknę się na zewnątrz. Paulina czuła, że łomot jej serca musi słyszeć każdy przechodzący korytarzem. Przypomniała sobie, że na zewnątrz ktoś stoi. Tak powiedział Igor, ten bandzior, który ją w to wciągnął! Niech to jasna cholera!

Drzwi garderoby były otwarte na tyle, że przez maleńką szparę przy zawiasach widziała fragment pomieszczenia. Akurat ten koło biurka. List leżał pod biurkiem, lekko tylko wystając. Może go nie zauważy, jeśli wrócił tylko do kibla? Miała nadzieję, że prezydent nie zostanie tu dłużej, bo jeśli tak, to chyba czeka ją rozległy zawał.

Zdawało jej się, że upłynęła godzina. Ile można siedzieć w kiblu? W rzeczywistości minęły może trzy minuty. Drzwi do łazienki stały otworem i prezydent, zapinając marynarkę, wyszedł na zewnątrz. Podeszedł do biurka i pochylił się nad blatem. Zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek. Paulina wstrzymała oddech, żałując, że nie może wstrzymać funkcjonowania wszystkich pozostałych organów. Nogi pod nią ugiwały się na myśl, że prezydent, przechodząc za chwilę obok garderoby, dostrzeże ją za tymi drzwiami. Skoro ja go widzę, on mnie też może.

Prezydent oderwał dłonie od blatu i stuknął prawą pięścią w lewą. Uśmiechnął się do siebie i nucąc coś, odwrócił się w kierunku drzwi do kantorka. Paulina zamarła. Prezydent zrobił krok w kierunku wyjścia, a następnie ku jej nieopisanemu przerażeniu, wykonał pełny obrót wokół własnej osi i zaciskając pięści, całkiem głośno zaśpiewał.

*– Jestem kobietą! Wodą, ogniem, burzą, perłą na dnie...*

*Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy nie poddam się!*

Zdębiała Paulina patrzyła, jak prezydent wykonał jeszcze jeden niepełny obrót, wyrzucił w górę pięść, po czym poprawił marynarkę i dopiero wtedy, przywołując na twarz poważny grymas, wyszedł z gabinetu. Wstrząśnięta, stała nieruchomo, zapominając nawet, że powinna zacząć ponownie oddychać. Była święcie przekonana, że gdyby prezydent ją teraz zobaczył, po tym swoim występie, najprawdopodobniej kazałby ją zabić. Po dłuższej chwili usłyszała, jak ktoś otworzył drzwi na korytarz i histerycznym szeptem ją nawołuje. Wsunęła się zza drzwi i weszła do gabinetu. Zobaczyła stojącego w progu Igora i jego wielkie, otwarte na całą szerokość, przerażone brązowe oczy. Zabije go potem!

Skoczyła w kierunku biurka, chwyciła leżący na podłodze list i prawie biegiem rzuciła się ku drzwiom na korytarz.

\*

Dorota zaparkowała przed Urzędem, wysiadła i wolnym krokiem ruszyła w kierunku głównego wejścia. Była umówiona z inwestorem Kurta na czternastą. Jakieś spotkanie z prezydentem. Kurt uparł się, żeby przy okazji pobytu w Szczecinie poszła z nim, biorąc na siebie niejako obowiązki gospodyni. Uznał, że tak będzie grzecznie i może w przyszłości zaowocuje

jakimś kolejnym zleceniem. Facet prowadził dużą firmę produkującą sprzęt rolniczy. Rok wcześniej robili im projekt wnętrz biurowych przedstawicielstwa w Berlinie. Zawracanie głowy.

Stukając szpilem, przeszła przez dziedziniec frontowy budynku i weszła do wnętrza hallu. Ogarnął ją przyjemny chłód.

Myślała o porannym spotkaniu z Niemcami.

Von Hagen czuł się straszliwie rozczarowany efektem tych poronionych wykopalisk. Znalezienie kamienia, który go tak bardzo interesował, było już niemożliwe. Zabawne, pewnie gdzieś tam jest. Wisi na ścianie, jest wmurowany w jakieś ogrodzenie albo leży w czyimś salonie jako dekoracja, ale szukanie go to szukanie igły w stogu siana. Teraz przynajmniej będzie mogła zająć się w spokoju projektem domu na fundamentach tego dworu. Tylko co się kryje za tym zainteresowaniem jakimś kamieniem z inskrypcją? Stara rodzinna historia, jak powiedział, była mocno naciąganym pretekstem. Wcześniej nie miała powodów, żeby wątpić w ich słowa, ale dzisiejsze spotkanie z Niemcem, jego autentyczne rozczarowanie i złość spowodowały, że zaczęła się zastanawiać, czy nie chodzi o coś więcej niż tylko słabość do pamiątek rodzinnych.

Nagle przyszło jej do głowy, że dzisiejsze spotkanie nie musi oznaczać całkowicie straconego czasu. Kurt! Skoro ona chodzi tutaj na jakieś spotkania z grubymi producentami snopowiązałek, to on może jej pomóc w uzyskaniu jakichś informacji na temat tych Niemców. Oczywiście!

Zamyślona czekała, aż otworzą się drzwi windy. Właśnie zjeżdżała na dół. Nie ma chyba wolniej działających wind w tej części Europy. Co za dziadostwo! Po chwili rozległ się cichy gong i drzwi stanęły otworem.

– Igor? No proszę, co za niespodzianka! – Widok byłego męża naprawdę ją zaskoczył. Nie spodziewała się go tutaj spotkać, chociaż właściwie, biorąc pod uwagę jego pracę, prawdopodobieństwo było dość spore.

Igor wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z sauny. Na jej widok w jego oczach na moment pojawiła się panika, co zauważyła z satysfakcją. Nie zdołał tego ukryć, jak nigdy zresztą, chociaż ułamek sekundy później jego oczy były już lodowate.

Obrzuciła spojrzeniem dziewczynę, która wyszła za nim z windy. Szczupła, ładna szatynka, świdrująca ją wzrokiem bazyliuszka. No, no, mamusia Igora, jak widać, nie o wszystkim wie. Objęła go i pocałowała

demonstracyjnie.

– Nie wiedziałem, że jesteś w mieście. – Igor uśmiechnął się do niej, rozglądając niepewnie. Był mocno rozkojarzony. Dorota pomyślała, że mimo wszystko to chyba nie jest zasługa tej dziewczyny. – Mogłaś się odezwać.

– Wpadłam tu tylko w sprawach zawodowych. Dostałam niezły kontrakt. A co u ciebie? – Niby przypadkiem przemknęła wzrokiem po sylwetce dziewczyny, po czym wyciągnęła do niej rękę z uśmiechem. – Dorota Fleming, bardzo mi miło.

– Paulina Weber. – Z satysfakcją zobaczyła przez moment na twarzy dziewczyny zmieszanie.

– Pracujecie razem? Asystentka? – spytała z ledwie zauważalną złośliwością. Bardzo bawiły ją takie gierki z Igorem. A przede wszystkim to, że była w tym o niebo lepsza.

– Można powiedzieć, że razem pracujemy – burknął z wymuszonym uśmiechem, unikając wzroku dziewczyny. – Słuchaj, my się bardzo śpieszymy, przepraszam – dodał lekko zmieszany. – Bardzo miło było cię spotkać. Zadzwoń, to się umówimy i pogadamy, zanim wrócisz do Niemiec.

– Oczywiście. – Spojrzała na zegarek. W sumie sama też powinna się pośpieszyć. Pożegnali się i speszona dwójka szybko odeszła w kierunku parkingu. Igor był bardzo zdenerwowany, ta dziewczyna zresztą też. Dorota przez chwilę się nad tym zastanawiała, po czym doszła do wniosku, że w zasadzie każdy wychodzący z administracji budowlanej musi być wściekły i rozkojarzony. Weszła do windy i wcisnęła guzik drugiego piętra.

\*

Igor otworzył drzwi i wrzucił torbę na tylne siedzenie. Czuł, jak adrenalina, która przed chwilą o mało go nie zabiła, teraz powoduje, że jego organizm krzyczy wręcz o odpoczynek. Miał ochotę usiąść i nie ruszać się przez co najmniej godzinę. I jeszcze do tego wszystkiego musieli wpaść na Dorotę.

Paulina oparła się o przedni błotnik i głęboko westchnęła.

– Chyba się postarzałam o pięć lat. – Wyciągnęła aktówkę w stronę Igora. – Schowaj to gdzieś, mam wrażenie, że parzy mi ręce. Nie chcę na razie na to patrzeć.

Igor wziął z jej rąk małą teczkę, otworzył przednie drzwi i wsunął ją do schowka nad fotelem pasażera.

– Mam nadzieję, że nie zamknęli Johanna. – Obejrzał się w kierunku gmachu. – Co się tam działo w tym sekretariacie?

– Nie chcę tego wiedzieć. Najpierw muszę się chyba napić wódki, potem możemy rekonstruować wydarzenia. – Paulina wyjęła chusteczkę higieniczną i wytarła dokładnie czoło. Żona Igora to suka, ale rzeczywiście wygląda rewelacyjnie. Po spotkaniu z nią poczuła się jak szara myszka.

Igor zrobił kilka kroków w kierunku budynku, patrząc na główne wejście.

– No, gdzie on jest, do diabła?

– *Hello!* – Głos Johanna rozległ się z przeciwnej strony.

Igor obrócił się zaskoczony.

– A ty którądy tu szedłeś?

– Zabłądziłem w tym cholernym budynku i wyszedłem na jakąś boczną uliczkę. – Johann spojrział na Paulinę. – Masz to? Udało się?

– Tak, jedźmy stąd już. Jestem wykończona. Otarłam się o jakieś dziesięć lat w zawieszeniu na piętnaście.

– Musiałabyś zabić prezydenta, żeby tyle dostać. – Igor obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

– No, jakby mnie zobaczył za tymi drzwiami, to pewnie by padł trupem. – Paulina oparła się o tylne siedzenie i zamknęła oczy.

– A do mnie możecie mówić Spiderman – mruknął Johann.

– Spiderman? Dlaczego? – Paulina otworzyła oczy zaciekawiona.

– Nieważne. – Johann wyciągnął się w fotelu. – W Londynie nikt mi w to nie uwierzy.

\*

Prezydent powoli wyjął poźółkłą ze starości kartkę papieru i ostrożnie podał ją siwemu profesorowi historii z uniwersytetu w Greifswaldzie.

– Akurat przed naszym spotkaniem przekazała mi to pani konserwator. Znaleźliśmy to w podziemiach jednego ze szczecińskich budynków. Nieszczęśnik, który miał to przy sobie, znajduje się teraz w Zakładzie

Medycyny Sądowej. Za jakiś czas powinniśmy wiedzieć, kim był. Według prasowych doniesień to jeden z żołnierzy Werwolfu.

Profesor przetarł grube szkła okularów i pochylił się nad listem w skupieniu.

– Bardzo smutne. Jak widać, wojna nie oszczędza ani ofiar, ani katów – powiedział dyplomatycznie. Siedząca obok siwa jak gołąbek kobieta w szykownym jasnym komplecie pochyliła się i zajrzała profesorowi przez ramię.

– Czy to trafi do Muzeum Przełomów[24]?

– Jeszcze nie podjęliśmy żadnej decyzji, ale wydaje mi się, że ta propozycja jest bardzo ciekawa. – Prezydent uklonił się starszej pani dwornie.

– Brednie – mruknął cicho gruby producent maszyn rolniczych, obok którego siedziała Dorota. – Lepiej by powiedział, jakie ułatwienia miejscowe władze przygotowały dla firm, które chcą wejść na szczeciński rynek.

Dorota spojrzała z niechęcią na towarzysza i z zainteresowaniem na krążącą z rąk do rąk starą kartkę.

Spotkanie z biznesmenami zza Odry oraz z przedstawicielami niemieckiego uniwersytetu przeniesione zostało do sali konferencyjnej, gdyż, jak się okazało, przybyło za dużo osób jak na możliwości prezydenckiego gabinetu. Spotkanie dotyczyło ogólnej aktywizacji biznesu w przygranicznych miejscowościach oraz współpracy środowisk naukowych. Szumna i elegancka nazwa była przykrywką dla próby pozyskania inwestorów dla kilku wielkich inwestycji i podniesienia notowań lokalnej władzy.

List w foliowej koszulce trafił tymczasem do rąk siedzącego tuż obok szczupłego mężczyzny w szarym garniturze. Przeczytał go bez specjalnego zainteresowania i podał producentowi maszyn rolniczych, który spojrzał na kartkę obojętnie i podał Dorocie.

Wzięła do rąk zniszczony kawałek papieru i przyjrzała się uważnie równemu, ładnemu pismu. Ciekawa historia. Przypomniała sobie w tym momencie artykuły z prasy, które przeleciała wzrokiem. Zawalił się S-Center, a pod nim znaleziono zardzewiałą ciężarówkę z trupem. I listem. Spojrzała uważniej na stary papier. Zaraz, zaraz. Ciężarówkę znaleziono nie pod S-

Center, tylko pod hotelem. Pisali też o Boroli i jego architekcie. Jego architekcie! Przecież Igor teraz dla niego pracuje.

Więc to znalazł Igor? Podniosła kartkę i popatrzyła na prześwietlony wpadającym przez okno światłem stary papier. Przez chwilę myślała, że dostrzeże w ten sposób coś, co ze starości nie było już widoczne na powierzchni listu, ale nic tam takiego nie było. Natomiast zastanowiło ją coś innego. W niektórych miejscach równiutkie linijki pisma były leciutko pogrubione. Tak jakby po wcześniej wykonanej linii ktoś przejechał delikatnie jeszcze raz. Nie reagując na poszturchiwania i dopytywanie grubego producenta, co tam zobaczyła, przysunęła tekst listu jeszcze bliżej oczu. Te drobne poprawki, wykonane bardzo precyzyjnie i równo, różniły się leciutko kolorem od pozostałych partii pisma. Były trochę ciemniejsze. Różnice dostrzegalne jedynie dla kogoś bardzo spostrzegawczego, tym niemniej istniejące. Fachowiec prawdopodobnie na pierwszy rzut oka by się zorientował, że coś tutaj nie gra. Dorota nie była fachowcem, ale dobrze znała tę technikę, a to, czego nie podpowiedziała jej wiedza fachowa, uzupełniła intuicja.

Po co jednak Igor miałby fabrykować jakiś list i przekonywać wszystkich, że jest prawdziwy? Żeby podnieść samoocenę? Dla zgrywy? A może to jakiś żart, który się wymknął spod kontroli? Albo... Dorota zmarszczyła czoło i potarła palcami skroń. Albo zatrzymał dla siebie oryginał, a administracji oddał kopię. Tylko po co by tak ryzykował? Przecież to nie ma żadnej wartości. Spotkanie z nim dzisiaj też było jakieś dziwne. Od razu zauważyła, że jest jakiś zdenerwowany, spocony jak ruda mysz. I ten zadziwiający pośpiech. O co tu chodzi? Tylko po co on miałby to fałszować? Do czego był mu potrzebny oryginał?



## Rozdział 14

Samochód przejechał skrzyżowanie i między gęstą zielenią po obu stronach drogi pomknął w kierunku niepozostawiającym wątpliwości, że prowadzi ku rogatom miasta. Po lewej stronie widać było duże, okolone drzewami jezioro, nad którego brzegiem rozciągała się, wypełniona teraz ludźmi, plaża.

– Jezioro Głębokie? Dokąd my jedziemy? – Paulina otworzyła oczy i spojrzała przez okno na prześwietlone słońcem stare sosny.

– Gdzie jedziemy? – Johann, który od jakiegoś już czasu podziwiał widoki za szybą, spytał dla odmiany po angielsku.

– Z moim znajomym z chemii jestem umówiony na piętnastą. W pracowni i tak pewnie nic bym nie zrobił, a wy zapewne nie macie nic do roboty, więc postanowiłem skoczyć za miasto, żeby wam coś pokazać. – Igor spojrzał kątem oka na rozglądającego się ciekawie Johanna.

– Co pokazać? – Paulina przesunęła się na tylnym siedzeniu w kierunku przednich foteli.

– Zaraz zobaczysz. Coś ciekawego, à propos dziadkowych opowieści Johanna.

– To jest droga w kierunku majątku Raminów. To o to chodzi? – Paulina odkryła lusterko ułożone w suficie nad tylnym fotelem i skupiła się na poprawianiu włosów.

– W drodze powrotnej może zdążymy i tam zajechać, ale chodzi o coś innego. – Igor odwrócił się na moment do Pauliny i uśmiechnął tajemniczo.

– To jeszcze jest Szczecin? – spytał Johann, śledząc wzrokiem nowoczesny kościół ułożony malowniczo z boku drogi. – Te nowe kościoły w waszym kraju są bardzo brzydkie. – Skrzywił się.

– Właśnie zaraz minimy granice miasta, a co do kościołów całkowicie się zgadzam. – Igor spojrzał na moment na Johanna. – Brak pomysłu plus kupa betonu.

– Pójdiesz do piekła – mruknęła z tylnego siedzenia Paulina.

Minęli kolejną wieś z małym urokliwym kościółkiem, który dla odmiany wzbudził szczery zachwyty Johanna, i wjechali na drogę ocienioną drzewami zaczynającą się właśnie Puszczy Wkrzańskiej. Kilka kilometrów dalej minęli zabudowania kolejnej miejscowości.

– Tanowo. Tutaj należy skręcić w lewo i niedaleko są ruiny dworu Raminów – rzucił Igor i przyśpieszył. – Jak zdążymy, to obejrzymy kamienie przodków.

– Kamienie przodków? – Paulina zmarszczyła brwi. – Te z listu Barnima?

– No właśnie. Stary cmentarz rodzinny nieopodal dworu. Niedawno został odrestaurowany. To bardziej lapidarium niż cmentarz. Trudno tam trafić. Kawalek trzeba przejść przez las.

– Nigdy tam nie byłam, nawet nie wiedziałam, że w ogóle jest. – Paulina spojrzała przez okno na stare, starannie odnowione domy przy drodze. – Sądzicie, że na tym starym liście rzeczywiście coś będzie?

– Mam nadzieję – mruknął Johann. – Tyle zachodu w tym urzędzie miałyby pójść na marne? Jeszcze teraz czuję się zdenerwowany.

– Ty? A co ja mam powiedzieć? – Paulina uśmiechnęła się pod nosem. – Myślałam, że umrę ze strachu w tej kanciapie. Swoją drogą, artykuł na temat włamania do gabinetu prezydenta byłby pewnie hitem, tylko po publikacji od razu by mnie zamknęli.

– Nawet o tym nie myśl. – Igor spojrział w lusterko. – Chyba że w pamiątkach za czterdzieści lat.

– Ale zaraz, czy my mamy plan, w jaki sposób oddamy to z powrotem?

Po pytaniu Pauliny zapadła chwila ciszy.

– Wspaniale! – Paulina uśmiechnęła się z zjadliwie. – Ale z nas głąby. Nikt o tym nie pomyślał? Naprawdę? Igor, to był twój projekt.

– Pomyślałem. – Igor zacisnął zęby. – Ale obawiam się, że będzie to musiało wyglądać podobnie. Mamy jakiś miesiąc na to, żeby wymyślić odpowiedni sposób.

– A co będzie, jak na tej wystawie w Berlinie zorientują się, że to podróbka? Prezydent, miasto, my mieszkańcy, będziemy skompromitowani. – Paulina ze zgrozą popatrzyła na tył głowy Igora.

– Nie zorientują się. Nikt tego nie będzie badał. Takie badania to są koszty, potrzebne jest laboratorium, nikt nie będzie tego robił w czasie wystawy. Jak wróci do miasta, to pewnie trafi do pracowni konserwatorskiej, a potem do jakiegoś muzeum. I tutaj pewnie mogłoby to wyjść na jaw, ale w pracowni jakoś to podłożę. Prawdopodobnie będą się tym zajmować Hadrysowie, więc znajdę jakiś pretekst. – Igor ściągnął usta. – Ważne, że to mamy.

Telefon Pauliny kliknął.

– Roaming? – Paulina spojrzała na wyświetlacz, a następnie rozejrzała się.  
– Jesteśmy przy samej granicy chyba?

– Tak, to jest jakieś sto metrów za granicą, w lesie. – Igor zwolnił i zaczął wypatrywać znaków informacyjnych.

– W Niemczech jest zakaz wchodzenia do lasów – odezwał się milcząco do tej pory Johann. – Słyszałem dzisiaj w radio.

– Jesteśmy na miejscu. – Igor skręcił na mały przydrożny parking, od którego odchodziła leśna droga, zamknięta drewnianym szlabanem, i wyłączył silnik.

– Nie będziemy wchodzić do lasu, to jest na samym skraju. – Wskazał ręką drewnianą tablicę informacyjną, stojącą w głębi parkingu.

Paulina jęknęła, wysiadając z samochodu. Różnica temperatur między klimatyzowanym wnętrzem toyoty Igora a nagrzanym powietrzem na zewnątrz była obezwładniająca. Wyminęli szlaban i podeszli do drewnianej, nakrytej skośnym daszkiem tablicy.

– Das Barnimskreuz – przeczytał Johann.

– Krzyż Barnima. – Paulina stanęła obok niego i zaczęła czytać umieszczoną na tablicy legendę.

Igor powoli ruszył w kierunku gęstwiny krzewów, w której zwracał uwagę kwitnący jeszcze o tej porze roku, rozrośnięty rododendron. Ogromne fioletowe kwiaty odcinały się intensywnie od chłodnej, porytej licznymi rysami granitowej powierzchni wielkiego, tkwiącego na niedużym pagórku głazu. Tuż obok stał wysoki na jakieś dwa metry drewniany krzyż. Na jego poziomej belce widniał napis:

**BARNIM † 1295**

– Bardzo ciekawa historia – mruknęła Paulina, a następnie podeszła do Igora i spojrzała z ciekawością na wielki kamień. – Na nim też jest taki sam napis. – Pokazała palcem ledwie widoczne znaki. Na głazie wyryty był także duży łaciński krzyż z zaakcentowanym środkiem.

– Ale w jaki sposób łączy się to z opowieściami dziadka Johanna? – zwróciła się do Igora. Nadszedł Johann i stanął obok, patrząc z podziwem na wielki głaz

– Ma prawie osiemset lat. Ciekawe, czy jest autentyczny? – Dotknął ręką szorstkiej powierzchni kamienia.

– Został tutaj ustawiony w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku w czasie przebudowy tej drogi. Znalezione go natomiast w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim w ziemi w pasie granicznym. Data wyryta na nim wiąże go z historią Barnima Drugiego, ale niektórzy historycy twierdzą, że nie ma z nim nic wspólnego i jest tylko starym kamieniem granicznym. Według legendy, którą przeczytaliście przed chwilą, zarówno krzyż, jak i kamień zostały ustawione dla upamiętnienia zabójstwa księcia. Tę wersję wydarzeń przedstawił Jan Bugenhagen w swojej kronice *Pomerania*, która powstała w tysiąc pięćset osiemnastym roku, a po nim, w tysiąc pięćset trzydziestym piątym Tomasz Kantzow w *Chronik von Pommern*. Według nich, młody książę wyruszył ze swoją świtą na polowanie w lasy wokół Uckermünde. Zastała ich noc i postanowili przenocować w niedalekim zamku Muckerwitz, należącym do rycerza Vidantego. Piękna pani domu Adela tak oczarowała młodego księcia, że nie mógł o niej zapomnieć. Przy najbliższej więc sposobności wysłał rycerza z poselstwem do Gdańska, a sam, pod jego nieobecność, uwiódł ją. Kiedy Vidante po powrocie dowiedział się o tym, pod pretekstem polowania wyprawił się z księciem w las i zabił go, ścinając mu głowę mieczem. Historię tę potem powtarzali za Kantzowem i Bugenhagenem wszyscy kronikarze, tymczasem jest w niej sporo niejasności.

– Niejasności? Jakich? – Paulina spojrzała z zaciekawieniem na Igora, odpędzając jednocześnie natrętnego komara.

– Barnim Drugi urodził się w tysiąc dwieście siedemdziesiątym piątym roku. Miał siedem siostr, w tym trzy przyrodnie, oraz dwóch braci. Starszego o dwadzieścia jeden lat przyrodniego brata Bogusława Czwartego i młodszego o cztery lata Ottona Pierwszego. Otton urodził się już po śmierci ojca. Przez dłuższy czas państwem rządził samodzielnie Bogusław Czwarty

i dopiero w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym czwartym roku do współrzędzenia dopuszczeni zostają dwaj młodsi bracia, a rok później jeden z nich ginie zamordowany. Legenda obwinia o to rycerza Vidantego, ale chociaż imię rycerza pojawia się już rok po zabójstwie na rozmaitych dokumentach państwowych, on sam pozostaje nadal w służbie Bogusława Czwartego.

– Nie został ukarany? – Johann spojrzął na Igora, unosząc brwi.

– No właśnie. W dodatku według podań tak zwany krzyż pokutny i kamień pamiątkowy kazał postawić młodszy brat Otton, a nie domniemany zabójca.

– Krzyż pokutny? – Johann popatrzył na Paulinę. – Nie rozumiem.

– Mówisz bardzo nieskładnie – powiedziała Paulina do Igora. – Czekaj, przełożę mu to na czystą angielszczyznę – dodała złośliwie.

Johann wysłuchał, kiwając głową.

– Czyli panujący wówczas zwyczaj nakazywał mordercom stawianie krzyży pokutnych jako część nałożonej kary?

– Tak było. Dlatego pozostaje tajemnicą, dlaczego zrobił to Otton zamiast Vidantego. – Igor przetarł czoło. – Kroniki podają, że Otton był dewotem, a na starość popadł wręcz w obłąd i rozdawał majątek ubogim na prawo i lewo. Dodatkowo z tymi dwoma braćmi wiąże się pierwszy historyczny podział kraju. Po śmierci Barnima księstwo zostało przepołowione, część zachodnią, później zwaną księstwem Wołogoskim, zabrał Bogusław, a część wschodnią ze Szczecinem Otton.

– Sugerujesz więc, że bracia się dogadali, a właściwie starszy, cwany Bogusław przekonał Ottona i zamordowali Barnima? – Paulina popatrzyła pytająco na Igora.

– Właśnie. – Igor pokiwał głową. – Ottona później dręczyły wyrzuty sumienia. W końcu Barnim był jego rodzonym bratem, z którym pewnie wychowywał się pod jednym dachem. Stąd ten krzyż i kamień. Może usiłował na starość uciszyć sumienie. Poza tym nadał swojemu jednemu synowi imię Barnim. Co innego Bogusław, starszy o dwadzieścia lat, wychowany praktycznie jako jedynak, pewnie przepełniony żądzą władzy.

– Straszne – szepnęła Paulina, patrząc na wielki głaz. – Wrócę jednak do swojego pytania. Jaki to ma związek z naszym Barnimem z podziemi i dziadkiem Johanna?

– Jeszcze nie kojarzysz? Stary ksiązę, który powierzył Wielką Tajemnicę swojemu ulubionemu synowi...

Paulina otworzyła szeroko oczy, a Johann w tym momencie dopiero przypomniał sobie opowieść dziadka i klepnął się ręką w czoło.

– Rzeczywiście! Opowieść mojego dziadka w tym akurat punkcie tak bardzo przypominała baśnie braci Grimm, że w ogóle nie zakładałem, by mogła być prawdziwa. W tych bajkach zawsze byli jacyś trzej bracia albo trzy siostry. – Popatrzył z niedowierzaniem na wysoki drewniany krzyż. – Nieprawdopodobne! Tylko jeśli ta opowieść także w pozostałej części jest prawdziwa... – spojrzał na Igora – to oprócz powodów dynastycznych, kryła się za tym także ta tajemnica, którą chcieli z niego wyciągnąć.

– Otóż to. – Igor pokiwał głową.

Pogrążeni w myślach patrzyli na wielki granitowy głaz, niemego świadka wydarzeń sprzed wielu setek lat. W lesie na moment zapanowała cisza. Słyszeć było tylko bzyczenie natrętnych owadów.

\*

Dorota wyszła z budynku i wolnym krokiem ruszyła w kierunku parkingu. Klient Kurta robił jakieś aluzje do wspólnego obiadu, ale chyba musiałby ją przywiązać do stolika, żeby wyraziła zgodę. Szybko się pożegnała i stukając obcasami, umknęła na schody.

Cały czas dręczyło ją przecucie, że z listem nieboszczyka z podziemi, który zobaczyła u prezydenta, wiąże się jakiś szwindel. Doskonale знаła technikę, którą wykonano te podmalowania na starym papierze. Takie umiejętności były jak charakter pisma, od razu to poznała. Było nie było, spędziła z Igorem sześć lat, a poza tym sama także potrafiłaby to zrobić. Rzecz polegała na dobrej kserokopii, odpowiednim programie graficznym, w którym usunie się wszystkie przypadkowe zabrudzenia, a potem wydruku na prawdziwym starym papierze. To był pierwszy etap, potem przychodził etap pracy odręcznej, odpowiednie pociągnięcia rapidografu. Boże, kto w ogóle jeszcze miał rapidograf? Tylko ktoś taki jak Igor przechowywał podobne rupiecie w szafach. Tak samo jak ten, zbierany latami po jakichś starych strychach, papier. Zgroza! Ale trzeba było mu to przyznać, jest dobry. Jeśli ten szpargał nie dostanie się do rąk specjalisty, to byle kto nie spostrzeże nawet, że to kopia.

Dorota podeszła do samochodu, wyjęła z kieszeni kluczyki i wsiadła do środka. Tylko po co miałby fałszować jakiś gówniany, stary list? Przecież nie po to, żeby zachować dla siebie oryginał, nawet taki psychopata jak Igor nie zbiera zupełnie bezwartościowej makulatury. Musiał być jakiś powód, dla którego potrzebował oryginału.

A w ogóle co mnie to, do cholery, obchodzi?

Dorota ze złością szarpnęła dźwignię zmiany biegów i rycząc silnikiem, wyjechała na ulicę. Tuż przed niebieską skodę, której kierowca zahamował gwałtownie i ostentacyjnie popukał się w czoło, patrząc ze złością w jej kierunku.

\*

Igor zjechał z głównej drogi w boczną, prowadzącą do zabudowań w głębi wsi. Asfaltowy odcinek skończył się po około dwustu metrach i samochód wjechał na gruntową, nierówną nawierzchnię, poznaczoną wieloma dołami.

– Jesteś pewien, że to tędy? – spytała Paulina z tylnego siedzenia.

– Tak, sprawdziłem wczoraj na wszelki wypadek w necie. To droga do małej miejscowości w głębi lasu, a przy niej są pozostałości majątku Raminów.

Minęli zabudowania i wjechali pomiędzy drzewa. Droga stała się jeszcze węższa, gdyby z naprzeciwka pojawił się samochód, obok wielkiej terenowej toyoty Igora praktycznie nie byłoby miejsca na przejazd. Po kilkuset metrach droga skręciła w lewo i ukazała się szeroka, piękna aleja ze szpalerami wielkich buków. Igor zatrzymał się na jej końcu i powoli zjechał na pobocze. Po lewej stronie, między dwoma drzewami, była brama wjazdowa z siatki, wzdłuż drogi ciągnęło się najwyraźniej niedawno postawione ogrodzenie, pod którym tkwiły w ziemi pozostałości pni dopiero co usuniętych drzew i krzewów. Kilka metrów za bramą stał barak z pomalowanej na biało blachy, a przed nim wetknięta w ziemię tablica informowała, że jest to teren prywatny, i zakazywała wstępu bez zezwolenia.

– Czyli pozostałości dworu raczej nie obejrzymy – powiedziała Paulina, otwierając drzwi samochodu.

– Według mapy, cmentarz jest tam prosto. – Igor wskazał ręką na wąski, zarośnięty krzakami prześwit pomiędzy wysokimi sosnami.

– Może najpierw spróbujemy spytać, może nas wpuszczą do dworu? – Paulina podeszła do siatki i rozejrzała się po oczyszczonym z samosiewów terenie, na którego końcu stał kontener. Drzwi kontenera nagle się otworzyły i wyjrzał z nich młody, muskularny mężczyzna w czapce z daszkiem.

– Halo! – Paulina pomachała w jego kierunku. – Chcielibyśmy spytać, czy można obejrzeć ruiny dworu?

– Nie, nie można! Proszę stąd odjechać! – rzucił opryskliwie mężczyzna i zaczął zamykać drzwi.

– Ale tylko wejdziemy i obejrzymy sobie park, co w tym złego?

– Powiedziałem, że nie. Zabierajcie się stąd! – Facet trzasnął drzwiami.

– Co za obwieś! – Paulina oderwała ręce od siatki i przeszła kawałek w kierunku masywu zieleni, który przed chwilą wskazał Igor. – Idziemy, przynajmniej obejrzymy to lapidarium.

Johann spojrzał na Igora, który wzruszył ramionami i poszedł za Pauliną. Ścieżka pomiędzy krzakami była wąska i kompletnie zarośnięta przez roślinność. Musieli co chwilę odgarniać długie, kolczaste gałęzie i przechodzić obok rozrośniętych konarów młodych dębczaków. Po około stu metrach ścieżka się poszerzyła, a na jej końcu ujrzeli sporą polanę z wysokim drewnianym krzyżem, nakrytym daszkiem. Pod nim w szeregu stało pięć kamiennych nagrobków.

Igor poszedł do pierwszego w rzędzie.

Był najstarszy, wykonany z czerwonego kamienia i jako jedyny tutaj miał regularny kształt tablicy zamkniętej u góry ostrołukiem.

Johann i Paulina podeszli do Igora i stanęli obok.

– Wilhelm i Henrietta Raminowie – przeczytał Igor. – Najstarszy, postawiony tutaj w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku. Jako jedyny ma dekorację. – Wskazał ręką na wyrzeźbiony bukiet kwiatów nad napisem.

– Oboje urodzili się jeszcze w osiemnastym wieku. – Paulina pochyliła się, odczytując daty narodzin Wilhelma, 1786, i Henrietty, 1799. – To prawdziwy kamień? O takim kolorze?

– Sztuczny. – Igor pochylił się i dotknął palcem chłodnej czerwonej powierzchni. – Niemcy byli mistrzami w produkcji tak zwanego sztucznego kamienia. Wykonywano go z odpowiednio przygotowanego cementu



z różnymi domieszkami.

Johann podszedł do następnego nagrobka. Był zrobiony z wielkiego granitowego kamienia i miał wykuty na powierzchni łaciński krzyż i napis „Paul v. Ramin”.

– Pozostałe nagrobki to już autentyczne granitowe głazy. – Wskazał ręką trzy dalsze kamienie. Pierwszy i drugi poświęcone były kolejnym parom z rodu Raminów, ostatni w rzędzie natomiast był najmłodszy, postawiony dopiero pod koniec wojny.

– Barnim von Ramin – przeczytał, oglądając daty: 1914–1945. – Czy chodzi o tego Barnima? Jak to się stało, że został pochowany? Czy to nagrobek symboliczny?

– Tak właśnie jest. Spójrz na drugie imię. – Igor podszedł do Johanna i stanął obok, wskazując napis: Gustawa v. Ramin, 1915–2007. – Ani Barnim, ani jego żona tutaj nie leżą. To swego rodzaju tablica pamiątkowa. Zresztą nie ma pewności, czy pozostałe nagrobki także nie są symboliczne, a prawdziwe szczątki pochowano na przykład w krypcie jakiegoś kościoła w którymś z majątków należących do Raminów.

– Kamienie przodków... – cicho powiedziała Paulina, podchodząc powoli do ostatniego z głazów. – Więc to je miał na myśli Barnim.

– Najprawdopodobniej. – Igor pokiwał głową i rozejrzał się dookoła. – Kilka lat temu ktoś z rodziny Raminów zapłacił za uporządkowanie tego cmentarza.

– Gustawa umarła i nigdy się nie dowiedziała, że Barnim zostawił dla niej list. – Johann w zamyśleniu patrzył na głaz upamiętniający śmierć Barnima i jego żony.

– Nie wiedziała nawet, gdzie zginął. Pewnie został uznany za zaginionego. – Paulina podeszła do Johanna i stanęła obok. Przez chwilę wszyscy troje milczeli, myśląc o pogmatwanych losach niemieckiej rodziny.

– Powinniśmy już jechać. Mój znajomy ma wolne okienko między zajęciami. – Igor pierwszy przerwał milczenie i ruszył w kierunku ścieżki prowadzącej do drogi. Johann i Paulina podążyli za nim, rzucając ostatnie spojrzenie na zatopione w zieleni głazy.

\*

Dorota zatrzymała się przed hotelem i wysiadła. Mimo usilnego odsuwania od siebie tematu podrobionego listu Igora, nie mogła przestać o nim myśleć. Znaleźli to w podziemiach hotelu. Igor zajmował się przebudową tego budynku dla poprzedniego właściciela, a teraz robił tam różne rzeczy dla Boroli. Usiłowała sobie przypomnieć, co przeczytała w prasie na ten temat. Najwięcej z tajemniczych powodów pisał o tym „Dziennik Szczeciński”. Jakaś ciężarówka, w której znaleźli trupa kierowcy, a ten z kolei – zgodnie z tym, co powiedział prezydent – miał przy sobie ten list. Pewnie w recepcji mają tę gazetę. Weszła do budynku, kierując się ku drewnianej ladzie, za którą siedziała uśmiechnięta uprzejmie blondynka. Po drodze przypominała sobie o czymś. Paweł! Mąż Sylwii. Ten maniak seksualny, no oczywiście! Jest tam naczelnym czy czymś tam.

Uśmiechnęła się do recepcjonistki i wyjęła komórkę. Podchodząc do lady, przejrzała swoją listę kontaktów i z ulgą stwierdziła, że nie wyrzuciła jego numeru. Odwróciła się tyłem do dziewczyny i wybrała połączenie.

\*

Bondar wszedł do swojego kantorka i rzucił kluczyki na biurko. Na dworze było gorąco jak w piekle, a jego samochód nie miał klimatyzacji. Czuł się wyżęty.

Rozmowa z ochroniarzem od Boroli właściwie dała odpowiedź na wszystkie pytania, które zadawał sobie po tym, jak ujawnił się niespodziewanie tajemniczy świadek z okna nad bramą. To, co mówił ochroniarz, brzmiało przekonująco, poza tym rzeczywiście miał alibi od jedenastej, a nawet od dwudziestej drugiej pięćdziesiąt. Jego kolega także. Więc pomijając fakt, że bez zezwolenia i łamiąc wyraźne polecenia strażaków oraz policji, wleźli do tych cholernych lochów, niczego to nie zmienia. Nocna wizyta ludzi Boroli mogła dodatkowo zainteresować stróża i postanowił po cichu sam wejść do lochów, aby przekonać się, co tam jest takiego niezwykłego. Wracając w pośpiechu, potknął się i zwyczajnie rozbił głowę?

– Szefie, niech pan pozwoli. Mamy kamerę. – Pilecki wsadził głowę do małego pokoiku i uśmiechnął się z triumfem.

Bondar spojrział na niego i bez słowa ruszył w kierunku drzwi.

– Mało widać, bo wejście przysłania ogródek letni i ludzie się tam kręcą,

ale i tak myślę, że to pana zainteresuje. – Policjant wszedł za Bondarem do dużego pomieszczenia, w którym siedziało kilka osób.

Duży monitor na jednym z biurk pokazywał widok z kamery. W górnym prawym rogu mrgały cyferki aktualnej godziny. Obraz był zatrzymany na zero pięćdziesiąt cztery.

– Chwileczkę, przesunę do początku. – Policjant pochylił się nad klawiaturą i po chwili obraz na monitorze zaczął się cofać, zlewając się w migotliwy dywan pikseli.

Policjant wcisnął klawisz na myszce i obraz z kamery zatrzymał się, po czym ruszył, odtwarzając wydarzenia sprzed kilku dni.

Przy wejściu do klubu kręciło się kilka osób. Zatrzymała się taksówka, z której wysiadły cztery chichoczące dziewczyny. Po chwili odjechała. Na granicy widoczności, po prawej stronie ekranu zatrzymał się nagle czarny terenowy samochód. Widać było tylko jego fragment. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Po chwili dołączył do nich trzeci, który wysiadł z drugiej strony samochodu. Mężczyźni powoli podeszli do letniego ogródka i zatrzymali się przed wejściem do klubu. Chwilę rozmawiali, po czym weszli do bramy prowadzącej na tyły hotelu.

– Jakież piętnaście minut nic się nie będzie działo – mruknął młody policjant, poruszył myszką i przesunął nagranie. – Ale niech pan patrzy teraz.

Przed klubem zatrzymała się kolejna taksówka, gdy zza rogu, spod arkad hotelu wyszedł starszy mężczyzna w kamizelce. Przeszedł wzdłuż fasady budynku, skręcił i zniknął w bocznej bramie.

– Ciec? – Bondar pochylił się nad monitorem.

– Już stamtąd nie wyjdzie. Problem w tym, że ci faceci także. – Pilecki zawiesił dramatycznie głos i przesunął nagranie o kolejne minuty. – Aż do nadejścia Fleminga.

Bondar podniósł brwi.

Mrgające cyferki wskazały właśnie zero pięćdziesiąt, gdy z prawej strony w pole widzenia kamery wszedł wysoki, szczupły mężczyzna w dresowej bluzie. Trzymając ręce w kieszeniach, skierował się ku budynkowi i po chwili zniknął w bramie prowadzącej na dziedziniec hotelu.

– Więcej nie ma. Za chwilę się skończy. – Policjant ponownie przesunął nagranie.

Bondar pokręcił głową i podniósł wzrok na kolegę.

– No, to mamy komplikacje.

\*

Wydział Technologii i Inżynierii Chemicznej mieścił się w wielkim, paskudnym żelbetowym gmachu ze wstęgami aluminiowych okien i płaskim dachem. Wciąż jeszcze nazywany był przez studentów „Nową Chemią”, mimo że wydział przeprowadził się tutaj ze starego budynku jeszcze w latach siedemdziesiątych. „Stara Chemia”, w której obecnie mieściła się biblioteka wydziałowa, zajmowała piękny, modernistyczny z wyraźnymi wpływami secesji, budynek, zaprojektowany przez słynnego szczecińskiego architekta Wilhelma Meyera-Schwartaua. Przeprowadzka nie była daleka, „Nowa Chemia” znajdowała się kilkaset metrów dalej. Usytuowano ją na dużej zadrzewionej działce, na której przed wojną mieścił się zespół budynków lazaretu wojskowego, graniczącego z zabudową koszarową fortu Prusy.

O tej porze na korytarzach budynku kłębiło się mnóstwo studentów, śpieszących się na zajęcia lub stojących pod oknami w zwartych grupkach i raz po raz wybuchających gromkim śmiechem. Spoglądali ciekawie na Paulinę i Igora, a przede wszystkim na ubranego w ciemny elegancki garnitur Johanna.

– Ten twój gajer od Armaniego, który kosztował pewnie więcej niż mój samochód, strasznie zwraca uwagę – syknęła Paulina. – Jak ty w ogóle mogłeś zabrać go w nim do lasu? – Popatrzyła dla odmiany na Igora.

– Nie protestował. – Igor obrzucił wzrokiem nieco zakurzone buty Johanna.

– Nie daliście mi się przebrać, a poza tym nie przesadzajcie – rzekł lekkim tonem Johann. – Jest z zeszłego roku.

– No, to doprawdy... – zaczęła Paulina, ale widząc, że Igor otwiera drzwi, przerwała i spojrzała tylko z sardonicznym uśmieszkiem na Johanna.

Igor uśmiechnął się do kogoś wewnątrz, a następnie dwornym gestem przepuścił oboje przodem.

Pomieszczenie wyglądało jak typowe laboratorium. Wzdłuż ścian stały stalowe regały z setkami rozmaitych słoików, wypełnionych kolorowymi substancjami, a także tajemniczymi szklanymi naczyniami. Na środku kilka

dużych stołów, zastawionych podobnym wyposażeniem. W rogu pomieszczenia przy dużym biurku, na którym stał ogromny płaski monitor i leżały sterty oprawionych dokumentów, wydruków i różnych papierów, siedział korpulentny blondyn z dobrze zapowiadającą się łysiną. Na widok Pauliny i Johanna podniósł brwi i spojrzał ze zniecierpliwieniem.

– Przepraszam, konsultacje tylko... – przerwał, a zauważywszy Igora za plecami Johanna, uśmiechnął się z zażenowaniem. – Sorry, wziąłem państwa za studentów, a wy jesteście chyba razem?

Igor podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– To są Paulina i Johann. Razem pracujemy nad tym projektem konserwatorskim, o którym ci mówiłem. – Spojrzał porozumiewawczo na Paulinę.

– Paulina Weber. Bardzo mi pochlebia, że wziął mnie pan za studentkę. – Uśmiechnęła się, witając kolegę Igora.

– Konrad Kopecki. Konkretnie za studentkę drugiego roku, z nimi mam akurat zajęcia w laboratorium – wyjaśnił chemik, uśmiechając się z onieśmieniem, a następnie podał rękę Johannowi.

Igor zdjął z ramienia torbę i postawił ją na jednym z krzeseł przy pierwszym stole. Sięgnął do środka i wyciągnął przezroczystą ofertówkę. Ostrożnie wyjął jej zawartość i podał koledze.

– To jest właśnie to. Ma jakieś siedemdziesiąt lat i podejrzewamy, że część treści jest napisana atramentem sympatycznym.

Chemik wziął list i podszedł z nim do stołu. Położył go delikatnie na szklanej płytce, włączył lampę i pochylił się nad starym papierem.

– Jeśli coś zostało napisane jakimś tradycyjnym atramentem sympatycznym, do którego wywołania wystarczy podgrzanie lub użycie jodku sodu albo cytryny, to marne szanse, by to pismo się zachowało. –

Spojrzał na nich przepaszająco. – Związki używane do pisania niewidocznym pismem to najczęściej jakieś siarczany, na przykład żelaza, miedzi albo chlorki azotanu, kobaltu. Jest ich ogromna ilość, ale w większości wypadków łatwo się utleniają i po tylu latach nie powinno tutaj nic pozostać.

Igor spojrzał na Paulinę i skrzywił się z rozczarowaniem.

– Poza tym niektóre z nich po tak długim okresie i pod wpływem na

przykład zmieniającej się temperatury, wilgoci, naświetlenia po prostu same by się aktywowały.

– To co można zrobić? – Paulina spojrzała bezradnie i podeszła bliżej stołu.

– Próby z prostymi wywoływaczami mogą zniszczyć to, co ewentualnie tu zostało, więc odpadają. Na tym papierze nie widać typowych śladów używania jakiegoś pisaka czy rysika. Obejrzę to zaraz w powiększeniu, ale takie drobne zmiany w fakturze papieru byłyby widoczne gołym okiem.

– Ten list prawdopodobnie napisał wojskowy. Być może ktoś w rodzaju szpiega, więc przypuszczamy, że mógł dysponować bardziej specjalistycznymi środkami. – Igor stanął obok Pauliny i przypomniał sobie nagle o Johannie, który stał trochę z tyłu i przypatrywał się z ciekawością zabiegom chemika.

– Ups, przepraszam, Johann – powiedział po angielsku i spojrzał na Konrada. – Moglibyśmy mówić po angielsku? Kolega nie zna polskiego.

– Oczywiście. – Konrad spojrzał w kierunku Johanna. Włożył płytkę pod aparat z wmontowanym dużym szkłem powiększającym i pochylił się nad wizjerem.

– Są pewne ślady, które można by uznać za wskazujące na użycie jakiegoś narzędzia, lekko zmieniona chropowatość, fragmenty nieco bardziej gładkie, ale biorąc pod uwagę wiek tego listu, to mogą być ślady czegokolwiek, na przykład przechowywania, przenoszenia, obtarć różnych. – Podniósł wzrok i spojrzał na Igora. – Najprościej byłoby malutki fragment spalić i zrobić chromatografię gazową. Wtedy mielibyśmy pełny obraz wszystkich związków chemicznych, które tu się znajdują. Najlepiej kilka próbek, z różnych miejsc, żeby trafić w to, gdzie może być pismo.

– Nie możemy tego zniszczyć. – Igor pokręcił głową. – To właściwie już zabytkowy dokument.

– Hmm... – Chemik skrzywił się i potarł brodę. – Możemy w takim razie spróbować sposobu nieinwazyjnego. Są obecnie takie metody, które stosuje się w kryminalistyce, laboratoriach sądowych, czy właśnie do badania unikalnych i drogocennych dzieł sztuki. To są bardzo drogie urządzenia i nie wszystkie laboratoria je mają, ale my mamy!

Spojrzał na nich z dumą, a następnie wyjął płytkę z listem i ruszył

w kierunku drzwi.

– Chodźmy. Musimy w takim razie przejść do innego laboratorium. Mamy tam spektrometr XRF. To urządzenie wykorzystujące fluorescencję rentgenowską do badań próbek...

– Co takiego? – jęknął Igor. – Po polsku bym tego nie zrozumiał, a co dopiero po angielsku.

– Zaraz wszystko wytłumaczę. Idziemy.

Przeszli długim korytarzem do klatki schodowej, a następnie weszli piętro wyżej i stanęli przed kolejnymi drzwiami. Chemik wyciągnął komplet kilkunastu co najmniej kluczy nanizanych na kółko i wybrał jeden z czerwoną plastikową osłonką.

Laboratorium dla laika nie różniło się właściwie niczym od poprzedniego. Kopecki szybkim krokiem przeszedł między stołami i zatrzymał się przy urządzeniu przypominającym zwykłą kserokopiarkę. Obok stał podłączony do niego komputer i duży płaski monitor.

– Proszę – powiedział z dumą. – To jest właśnie spektrometr XRF.

– I to dzięki niemu poznamy skład chemiczny tego atramentu i będziemy wiedzieli, jak go wywołać? – Igor spojrzał podejrzliwie na instrument.

– Uogólniając, można tak powiedzieć – rzekł chemik z uśmiechem i położył delikatnie szklaną płytkę na stole obok urządzenia. – Spektrometr służy do badań bezinwazyjnych. Wykorzystuje do tego celu metodę fluorescencji rentgenowskiej, czyli tak zwaną metodę XRF. Ogólnie rzecz ujmując, sposób działania tego urządzenia polega na naświetlaniu próbki promieniowaniem rentgenowskim, wskutek którego dochodzi do wybicia elektronów znajdujących się na wewnętrznych powłokach elektronowych. Powstałe w ten sposób dziury zapełniane są przez elektrony z wyższych powłok, czemu towarzyszy emisja promieniowania rentgenowskiego o energii charakterystycznej dla konkretnego pierwiastka. – Konrad spojrzał triumfalnie na Paulinę i Johanna, którzy patrzyli z osłupieniem na niepozorny instrument.

– Czy to jest bardzo skomplikowane? Długo to potrwa? – Igor pochylił się nad urządzeniem i dotknął palcem czerwonej lampki z boku obudowy.

– Nie dotykaj tego – syknęła Paulina. – Zepsujesz.

– Skądże, pójdzie szybciotko. – Kopecki uśmiechnął się, wcisnął jakiś

przycisk na konsoli urządzenia, a następnie pochylił się nad klawiaturą komputera. Najpierw musimy zbadać skład papieru, żeby potem wyodrębnić pierwiastki niezwiązane z jego strukturą.

Położył list na szklanym ekranie urządzenia i pochylił się nad monitorem. Po chwili na ekranie ukazał się list.

– Proponuję zająć się górnym narożnikiem listu. W tym miejscu z największym prawdopodobieństwem można założyć, że nie ma żadnego ukrytego pisma.

Urządzenie z cichym brzęczeniem zaczęło skanować wskazany fragment listu. Po chwili na ekranie pokazały się pierwsze informacje.

– Ten skaner nie służy ściśle do badań konserwatorskich, wykorzystywany jest do laboratoryjnej analizy surowcowej oraz badań składu chemicznego rozmaitych substancji w przemyśle wydobywczym, kopalnianym czy w ochronie środowiska, ale jest bardzo precyzyjny, a ponadto wyposażony w doskonałe analizatory długości fal – mruczał chemik, obserwując pojawiające się na ekranie wyniki.

– Papier jest dobrej jakości, standardowa budowa. Włókna celulozowe uzyskiwane raczej chemicznie i najprawdopodobniej z drzew iglastych, które nadają papierowi trwałość. Co my tu jeszcze mamy, węglan wapnia, typowy wypełniacz.

Kopeccki, pochłonięty analizą, mówił praktycznie do siebie. Przeszedł też odruchowo na polski, zapominając o wpatrzonym za jego plecami w ekran Johannie.

– Co on mówi? – Johann zapytał Paulinę. – Co to jest?

Kopeccki drgnął i odwrócił się do nich.

– Przepraszam, wciągnęło mnie to. – Uśmiechnął się. – Wypełniacze są to substancje nadające papierowi gładkość, przejrzystość i trwałość. Ich rodzaj zależy od technologii produkcji – kwasowej lub zasadowej. W systemie zasadowym dodaje się najczęściej sproszkowany marmur lub białą glinę. Papier wyprodukowany w systemie zasadowym jest bardziej trwały i wykazuje się dłuższą żywotnością...

Kopeccki odwrócił się z powrotem i wlepił wzrok w monitor.

– Wapień, glina, jakieś domieszki mineralne to pewnie zabrudzenia, bo wyraźnie występują w warstwach powierzchniowych. Drobin



zanieczyszczeń biologicznych, śladowe ilości magnezu, potasu, sodu. To najprawdopodobniej jakieś pozostałości substancji organicznych, na przykład krwi lub śliny. Siedemdziesiąt lat to kawał historii, ta kartka papieru musiała dużo przejść.

Maszyna ucichła, a na ekranie pojawiły się jakieś informacje końcowe. Kopecki przez chwilę stukał palcami w klawiaturę, wywołując okna i zapisując wyniki analizy.

– Dobrze, mamy już podstawowy profil papieru. Nie powinien się zasadniczo różnić w innych miejscach, poza zabrudzeniami, ale je łatwo odsiać. – Popatrzył na Igora. – Teraz poszukamy miejsca, w którym może się znajdować tekst napisany atramentem sympatycznym.

Igor pochylił się nad szklaną płytką, na której leżał list, i spojrzał pytająco na Paulinę i Johanna.

– Powiedzmy, jakieś trzy centymetry poniżej tekstu widzialnego. Tu już powinno się coś znajdować.

Johann pokiwał głową.

– Niech będzie. – Paulina pochyliła się nad chemikiem. – To skanujemy trzy centymetry niżej.

Kopecki wywołał kilka okienek na monitorze i wpisał w nich jakieś polecenia. Maszyna ponownie zaczęła cichutko brzęczeć, skanując wybrany fragment listu. Po chwili na monitorze ukazały się pierwsze wyniki analizy.

– Papier taki sam oczywiście. Włókna celulozowe, węglan wapnia, domieszki, zabrudzenia... wszystko to samo – mrucał ze wzrokiem wbitym w monitor. – Wodór, tlen, potas, magnez, to pewnie zabrudzenia organiczne.

Urządzenie po chwili skończyło skanowanie i na ekranie ukazały się wyniki i podsumowania.

– Nie ma nic. Skład ten sam co w narożniku, procentowe ilości pierwiastków w warstwach powierzchniowych różne, ale to oczywiście normalne. Wygląda na to, że nie ma tutaj żadnego pisma. – Kopecki odwrócił się do Igora i podniósł brwi.

Paulina westchnęła.

– Może zagalopowaliśmy się z interpretacją tego tekstu? Może nie ma tu żadnej ukrytej wiadomości?

– Spróbujmy w innym miejscu. Możemy? – Igor popatrzył na chemika. – Na przykład dużo niżej, u dołu kartki.

– Jasne. – Mężczyzna ponownie pochylił się nad klawiaturą, ustawiając nowe dane. Urządzenie zaczęło brzęczeć. Chemik, patrząc w monitor, bezwiednie obgryzał paznokcie. Po chwili na ekranie pojawiły się pierwsze informacje.

– Włókna celulozowe, papier, wypełniacze, to samo, to samo... wodór, tlen, węgiel to pewnie zawartość wody w papierze. Hmm... – Kopecki, nie odrywając wzroku od monitora, sięgnął po kartkę i czarny mazak leżący obok na stole i zaczął coś notować.

– Dużo wody tutaj jest. I jakieś dziwne stężenia. Prawdopodobnie coś się tutaj wylało na tę kartkę. – Patrzył w ekran, na którym ciągle ukazywały się nowe dane. Po chwili urządzenie umilkło, a na monitorze pojawiała się informacja o zakończeniu pracy.

– Chyba znowu nic. – Chemik rzucił rozczarowane spojrzenie Igorowi i zmarszczył brwi, patrząc na nabazgrane na kartce symbole pierwiastków.

– Mamy wodę w dużej ilości. Na pewno nie jest to naturalna gramatura papieru, najprawdopodobniej list został zamoczony. I te dziwne stężenia. Zaraz...

– Co takiego? – Igor pochylił się nad chemikiem i zajrzał mu przez ramię. – Coś jest nie tak?

– To jakiś kwas. – Kopecki patrzył na kartkę ze zmarszczonym czołem i po chwili zaczął kreślić skomplikowane chemiczne symbole. – Tak, to jest to! Jasne! – rzekł triumfalnie i podsunął kartkę na kraniec stołu, tak żeby wszyscy mogli obejrzeć to, co napisał.

Na białej kartce z notatnika, pod bezładnie nakreślonymi symbolami pierwiastków, widniał napisany większymi literami wzór.



– Co to jest? Wygląda strasznie. – Paulina popatrzyła na chemika.

– To kwas acetylosalicylowy – odezwał się nagle Johann.

– A ty skąd to wiesz? – Igor odwrócił się do niego zaskoczony.

– Moja matka robiła kiedyś reklamę tego produktu – rzekł z tajemniczym uśmiechem Johann.

– Produktu? – Paulina popatrzyła na niego, podnosząc brwi. – Powiecie w końcu, co to jest, do cholery?

Chemik pokiwał głową i uśmiechnął się do Johanna.

– Aspiryna.

\*

Parsov odłożył słuchawkę i z zadowoleniem uśmiechnął się do siebie. Związek oczywiście nie miał oficjalnie nic do powiedzenia ani w kwestiach organizacyjnych wystawy, ani w zakresie doboru materiałów. Co innego nieoficjalnie. Doskonale o tym wiedział, w końcu od dawna był jednym z ważniejszych jego członków. Naturalnie nie będzie problemu, żeby zorganizować jeden dzień zamknięty tylko dla wybranych osób. Dokładne zbadanie w laboratorium niektórych eksponatów będzie też oczywiście możliwe. Ubierze się to w jakąś ładną nazwę, na przykład, darmowe badania konserwatorskie przy użyciu najnowocześniejszego sprzętu bezinwazyjnego. Nawet jutro.

Uśmiechnął się pod nosem i wyszedł na korytarz. Czas coś zjeść.

\*

– Aspiryna? – Paulina patrzyła z niedowierzaniem na chemika. – A skąd się tu wzięła aspiryna?

– Może ktoś wylał po prostu. – Chemik pochylił się nad kartką z napisanym przez siebie wzorem kwasu acetylosalicylowego. – Była mocno stężona. Może to było jakieś lekarstwo w płynie? Coś takiego jak polopiryna S.

– Wykonajmy jeszcze jedną próbę ciut wyżej. – Igor spojrzął na Kopeckiego. – Nie chce mi się wierzyć, że tu jednak nic nie ma.

– Niech będzie – westchnął chemik. – Mam jeszcze pół godziny do zajęć ze studentami.

Przesunął klawiaturę i rozpoczął ponowne ustawianie danych wyjściowych.

Paulina spojrzała na Igora. Też czuła się rozczarowana. Tyle zachodu ze zdobyciem tego listu, a tu nic nie ma. No ale cóż, takie życie.

Spektrometr skończył analizować kolejny fragment listu i umilkł. Kopecki pochylił się nad monitorem i zaczął śledzić rzędy wyników.

– Papier, domieszki, zabrudzenia... – cicho mówił do siebie – wodór, tlen... tak, znowu to samo. Cały dół tego listu był pewnie zalany jakimś roztworem z aspiryną. Niestety, przykro mi, ale nie ma tu jednak żadnego niewidocznego pisma.

Igor, z trudem ukrywając rozczarowanie, westchnął i popatrzył na Johanna i Paulinę. – No to dupa, a taką miałem nadzieję, że tutaj jednak coś będzie.

Paulina oderwała się od stołu, o który od dłuższej chwili stała oparta, i wzruszyła ramionami, patrząc na zasepionego Johanna.

– W takim razie chyba już nie ma sensu robić dalej tych prób. A z drugiej strony? – zwróciła się nagle do chemika, tknięta nowym pomysłem.

Pokręcił przecząco głową, uśmiechając się przepraszająco.

– Ta analiza by to wykazała. Odczytywałem powierzchniowe zabrudzenia i to dotyczyło obu stron tego listu.

– No, to faktycznie dupa. – Westchnęła i spojrzała na Igora. – Chyba nie będziemy zawracać panu dłużej głowy.

– Jeszcze mogę spróbować zeskanować przestrzeń pomiędzy tekstem widocznym – chemik zwrócił się do Igora. – Aby nie było, że nie sprawdziliśmy wszystkiego. Podobno czasami tekst niewidoczny bywał tak maskowany.

Nie czekając na decyzję, uruchomił ponownie spektrometr i zajął się ustawianiem danych do kolejnej próby. Igor bez przekonania pokiwał głową. Na chwilę zapanowała cisza, przerywana tylko miarowym szumem urządzenia analizującego skład chemiczny kolejnego fragmentu starego listu. Głośny sygnał telefonu, który rozległ się w kieszeni spodni Igora, sprawił, że wszyscy drgnęli. Igor wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz. Rzucił przepraszające spojrzenie i podszedł do okna.

– Witam cię, Rafał. Jak zawsze miło cię słyszeć.

– Ciekawe, ile w tym jest prawdy, a ile sarkazmu w ujęciu procentowym? – Borola głośno się roześmiał.

– Sto procent niekłamanego entuzjazmu. – Igor spojrzał w kąt ze spektrometrem. Mina Pauliny, która stała przy spektrometrze, powiedziała mu, że kolejna próba spaliła na panewce. Skrzywił się i odwrócił, wyglądając

na ulicę.

– Mam krótkie pytanie. – Borola przeszedł do części merytorycznej. – Ile potrzebowalbyś czasu na projekt renowacji sporego starego domu? Z wszystkimi pozwoleniami, uzgodnieniami i tak dalej?

– Pół roku – rzucił bez namysłu Igor.

– Aż tyle? Nie możesz zrobić tego szybciej? – Borola nie krył rozczarowania.

– Ja mogę to zrobić i w miesiąc, ale pytałeś o wszystkie pozwolenia i uzgodnienia.

– No tak... – Borola się zasepił. – No cóż, trudno, w takim razie trzeba będzie to jak najszybciej zacząć. Musimy się spotkać w przyszłym tygodniu i porozmawiać.

– A co to za dom? – Igor, jak zawsze gdy rozmowa dotyczyła nowego tematu, poczuł, że rośnie w nim zainteresowanie.

– Jak się spotkamy, to ci powiem. Teraz nie chcę zapeszać. – Borola westchnął i zmienił temat. – Policja znowu się dopytywała w sprawie tego ciecia. Pytali o ciebie. Dzwoniłem do pracy, ale powiedzieli, że jesteś nieuchwytny od trzech dni. Tyle masz roboty?

– Pytali o mnie? Myślałem, że już zamknęli tę sprawę. – Igor zmarszczył brwi. Ciekawe, czego oni mogą chcieć?

– Też tak myślałem, ale widać nadal coś im nie pasuje. Muszę kończyć.

Igor pokręcił głową. Po rozmowie z tym Bodnarem odniósł wrażenie, że przychylają się do wersji wypadku. Czyżby coś znaleźli?

Nagle przypomniał sobie o militarnej pasji Boroli.

– Jeszcze moment. Słuchaj, wiesz coś może o atramencie sympatycznym? Czy może mieć jakiś związek z aspiryną? Wiem, że to kretyńskie pytanie, ale mam tu taką historyczną zagadkę...

– He, he – zarechotał Borola. – Stężona aspiryna wymieszana z wodą to doskonały atrament sympatyczny. Poczytaj w necie. Na przykład na stronie CIA.

– Co takiego? – Igor poczuł, jak ciarki przebiegły mu po plecach. – CIA? O czym ty mówisz?

– CIA niedawno ujawniła niektóre utajnione do tej pory tajemnice

wywiadu. Między innymi skład atramentu używanego przez Niemców w czasie pierwszej wojny. Wszystko jest w necie. No nic, muszę kończyć, pamiętaj o spotkaniu w przyszłym tygodniu. Nara.

Igor stał przez chwilę z opuszczoną szczęką, patrząc na wyświetlacz telefonu. Odwrócił się gwałtownie i podbiegł do Konrada, który właśnie wyłączał spektrometr, odpowiadając na jakieś pytania Pauliny.

– Słyszałeś coś o ujawnionym niedawno przez CIA tajnym składzie atramentu sympatycznego? – rzucił w kierunku Kopeckiego. Chemik powoli i z namysłem pokręcił przecząco głową.

– CIA? Zwariowałeś? – Paulina szeroko otworzyła oczy, patrząc na rozgorączkowanego Igora.

– Ma któreś z was net w komórce? – Popatrzył na Johanna i Paulinę. – Zostawiłem swojego iPada w samochodzie – dodał, widząc ich pytające spojrzenia.

Zanim któreś zdążyło zareagować, Kopecki wyciągnął list z pulpitu spektrometru, wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Idziemy do mojego laboratorium. Tam mam net. Nie będziecie przecież ślepić na tych malutkich ekraniczkach.

Igor szybko poszedł za chemikiem.

– Coś ty wymyślił? Skąd wzięłeś to CIA? – Paulina usiłowała dotrzymać kroku Igorowi. – I w ogóle kto to dzwonił?

– Gadałem z Borolą. Mówiłem ci, że on jest maniakiem wszystkiego, co się wiąże z drugą wojną światową. Jak widać, o pierwszej też sporo wie.

Pędem pokonali korytarz i schody, zatrzymując się przed drzwiami laboratorium Kopeckiego. Igor przestępował z nogi na nogę, czekając, aż chemik wyjmie klucz i wsadzi do zamka. Wpadł do środka, gdy tylko drzwi stały otworem. Dopadł komputera kolegi i uruchomił przeglądarkę.

– CIA, jaki oni mogą mieć adres, CIA.com? – głośno się zastanawiał, patrząc w monitor.

– Gov. Od *government*. – Paulina pochyliła się nad nim.

– Wpisałem na razie po polsku. Atrament sympatyczny, CIA. – Igor wcisnął klawisz enter.

Na ekranie pojawiło się kilka linków do różnych stron z artykułami na

interesujący ich temat.

– Jest! Zobaczcie! – Igor otworzył jeden z linków i wszedł na stronę portalu informacyjnego. – Dwudziestego pierwszego marca dwa tysiące jedenastego roku Centralna Agencja Wywiadowcza odtajniła tajemnicę sprzed stu lat... – zaczął czytać. – Ple-ple... tu nie ma konkretów, ale jest podany link do strony wraz z informacją, gdzie to powinno być.

– Puść mnie, ta strona jest po angielsku, szybciej się w tym połapię. – Paulina przysunęła się na krzesło. Igor spojrział na nią, a następnie pokiwał głową i odsunął się na bok.

– Www.cia.gov. Jest. Zobaczmy, co tu mamy. – Pochyliła się nad monitorem. – Jeśli to wiadomość z dwa tysiące jedenastego roku, to pewnie jest już gdzieś w archiwum.

Paulina stukała klawiszami, wchodząc na różne podstrony portalu Centralnej Agencji Wywiadowczej. Johann i Kopecki stali nad jej głową, czekając na rezultat poszukiwań.

– Strasznie zagmatwane to ich archiwum. Nie mogę się połapać. Zaraz, chyba mam. – Spojrzała triumfalnie na Igora i stuknęła w klawisz. Na ekranie otworzył się skan starego, odręcznie napisanego dokumentu.

– To po francusku – jęknął Igor.

– Z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Pewnie Francuzi to rozszyfrowali w czasie pierwszej wojny. – Paulina przeleciała wzrokiem całą stronę. – To jest przecież jakiś spis związków chemicznych. I nawet podane są wielkości w gramach.

– Puść mnie. Mówię trochę po francusku, moja babcia ze strony ojca usiłowała mnie nauczyć. – Johann wepchnął się pomiędzy Igora i Paulinę i wlepił wzrok w monitor.

– Dwa i pół grama sproszkowanej aspiryny i czterysta mililitrów wody, to jest skład tego atramentu. Niżej napisano, że w celu ujawnienia niewidzialnego tekstu należy zastosować dwie kąpiele. Jedną po drugiej. I są podane dokładne składniki.

Kopecki wziął kartkę i długopis i zaczął notować podawane przez Johanna nazwy.

– Alkohol, woda destylowana, azotan potasu, kwas octowy i coś jeszcze, to jakiś związek.

– *Tetrachlorure de carbure*. Chlorek węgla, to i ja zrozumiałem – podpowiedział Kopecki. – Dobra, zapisz tutaj skład tego drugiego odczynu, a ja skompletuję wszystkie składniki. – To mówiąc, rzucił się w kierunku szaf i zaczął wyciągać z nich tajemnicze kolorowe substancje w szklanych pojemnikach. Na najbliższym stole postawił sporą szklaną butelkę, a obok, na gładkiej powierzchni stołu, położył list. Założył rękawiczki i zaczął za pomocą długich, cienkich menzurek odmierzać odpowiednie ilości składników. Po chwili w szklanym pojemniku pojawiła się mętna brunatna zawiesina. Kopecki włożył do środka długą łyżeczkę i starannie zamieszał.

– Dobrze, to ten pierwszy preparat – powiedział do Johanna. – Masz już skład tej drugiej kąpieli? Lepiej się upewnić, że mamy wszystko, zanim użyjemy tej pierwszej.

Johann wyciągnął w jego kierunku kartkę z nabazgranymi nazwami substancji.

– Nie wiem tylko, co to jest *teinture de capsium* – rzekł, marszcząc brwi. – *Capsicum* znaczy papryka. Byłoby ekstrakt z papryki.

– Więc to pewnie zwyczajny błąd. Najprawdopodobniej papryka jest użyta jako substancja barwiąca.

– Czekaj. Tu w necie piszą o jakiejś kapsaicynie. To ekstrakt z pieprzowca, czyli papryki rocznej. *Capsicum annuum*. – Igor oderwał się od monitora i spojrzał na Kopeckiego. – Masz to tutaj?

– Wątpię. – Chemik zmarszczył brwi. – Ale spróbuję zapytać u biologów. Poczekajcie chwilę.

Postawił wyciągnięte dopiero co buteleczki na stole i rzucił się do wyjścia na korytarz. Przez otwarte na moment drzwi doleciały ich wyraźne głosy przekrzykujących się studentów, którzy właśnie wyszli na przerwę między wykładami.

– Barnim jako wojskowy pewnie znał tę formułę. – Paulina podeszła do stołu i pochyliła się nad szklanym pojemnikiem, patrząc na mętny, brudnawy płyn.

– Albo znał ją dzięki tym swoim masonskim powiązaniom. – Johann stanął obok. – Uważaj, opary z tego mogą być trujące.

– Zastanawiam się, do kogo on adresował ten tekst. – Paulina spojrzała na leżący obok list. – Czy ogólnie do braci w znaczeniu masonów, czy do kogoś



konkretnego? Skąd w ogóle to określenie „bracia”?

– Z francuskiego – odpowiedział Igor, podchodząc do nich i stając obok stołu. – Wolnomularz to *freemason*, a po francusku *frère* znaczy brat. *Mason* natomiast to podobno rycerz. To ma niby dowodzić tego, że masoni są bezpośrednimi następcami templariuszy.

– Bracia rycerze? – Paulina spojrzała na Johanna. – Barnim był według twojego dziadka prawdziwym rycerzem. Możliwe więc, że dziadek nie miał na myśli jego pochodzenia, ale przynależność do loży.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i wpadł przez nie rozemocjonowany Kopecki.

– Mam! – krzyknął, podbiegając do stołu. – To wprawdzie ekstrakt ze zwykłej papryki, ale to dokładnie to samo. Odsuńcie się.

Wyjął z szafki drugie szklane naczynie i zaczął wsypywać do niego starannie odmierzone składniki drugiego wywoływacza. Po chwili na stole stały dwa szklane naczynia wypełnione mętnymi, zawiesistymi płynami.

– Więc zaczynamy! – Kopecki z błyszczącymi oczami spojrzał na Igora, a potem na Johanna i Paulinę. Eksperyment wyraźnie mu się podobał. Wyjął z szuflady jednego ze stołów miękką bawełnianą szmatkę i ostrożnie zamoczył ją w pierwszym roztworze. Począł, aż nadmiar substancji spłynie do naczynia, lekko ścisnął miękki materiał i pochylił się nad listem. Igor wstrzymał oddech i usłyszał, jak Johann głośno przełknął ślinę.

Kopecki delikatnymi, wprawnymi ruchami wytarł bawełnianą szmatką całą dolną część listu, który pod wpływem wilgoci pociemniał i lekko się odkształcił na krańcach. Chemik powoli odłożył szmatkę na bok i podniósł wzrok.

– Dobrze. Teraz musimy poczekać, aż dokładnie wyschnie. Dopiero wtedy będziemy mogli użyć tego drugiego wywoływacza.

– Chyba wyjdę i wrócę, jak to się skończy. Zbyt mnie to denerwuje. – Paulina odwróciła się od stołu i podeszła do komputera.

– A wiecie, że historia atramentu sympatycznego ma ponad dwa tysiące lat? – rzekł Kopecki, opierając się o stół i patrząc na nich, jakby byli u niego na zajęciach. – Jako pierwszy używał go Filon dwieście pięćdziesiąt lat przed naszą erą. Stosował kwas garbarski, do którego wywołania potrzebna była sól żelaza. Pierwszy znany atrament sympatyczny pochodzi z szesnastego wieku

i opisał go Hiszpan Giambattista della Porta. Natomiast po raz pierwszy do celów szpiegowskich użyty został przez Amerykanów podczas ich wojny o niepodległość. Ponoć to jeden z Ojców Narodu, współtwórca Deklaracji Niepodległości, a także mason, James Joy, użył po raz pierwszy nazwy *sympathetic ink*. Złe tłumaczenie spowodowało, że do dziś w Polsce na niewidoczny atrament mówi się „sympatyczny”.

– Następny mason – mruknęła Paulina, patrząc znacząco na Johanna.

– Czemu następny? – Kopeccki spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Po prostu mówiliśmy dzisiaj na ten temat. – Igor uśmiechnął się do kolegi i podszedł do stołu. – Może już wyschło?

– Jeszcze moment. – Kopeccki sięgnął do szuflady po nową szmatkę. – Według instrukcji musi być całkiem suche, nie możemy ryzykować.

Następne pięć minut dłużyło się niemiłosiernie. Igor i Paulina przestali nawet udawać, że usiłują się czymś zająć, i stanęli po prostu nad listem, wpatrując się w niego intensywnie. Johann chodził wzdłuż stalowych szaf ustawionych przy ścianie, przyglądając się kolorowym substancjom i rozmaitej wielkości szklanym naczyniom. Gdy chemik podniósł się z krzesła i podszedł do stołu, wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Zaczynamy – rzucił i zamoczył szmatkę w drugim naczyniu wypełnionym rdzawego koloru płynem. Wycisnął ją starannie z nadmiaru wilgoci i powolnymi ruchami zaczął pocierać miękkim materiałem zmaltretowany papier. Kartka stopniowo nabierała ciemniejszego koloru wraz z wnikiem do włókien wilgoci i preparatu. Kopeccki przetarł list ostatnim delikatnym pociągnięciem i odłożył szmatkę na bok. Wszyscy wstrzymali oddech, wpatrując się w mały skrawek papieru leżący na stole. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Paulina głośno westchnęła i pokręciła głową z rozczarowaniem.

Igor miał właśnie zrobić to samo, gdy na zniszczonej, starej powierzchni ponad siedemdziesięcioletniego papieru nagle, jak za sprawą magii, zaczęły ukazywać się jakieś symbole. Po następnej minucie można już było w pełni odczytać zamazaną, niezbyt wyraźną, ale czytelną i jednocześnie nic niemówiącą kolekcję liczb.

3 1 19	4 18 7	5 16 11	18 1 20
3 7 16	14 18 4	1 16 15	20 8 1
8 6 22	12 18 9	1 16 14	18 6 3
5 2 22	1 18 8	5 16 17	18 2 21

## Rozdział 15

Dorota, ciągle jeszcze lekko wstrząśnięta, trzymała w ręce telefon i patrzyła osłupiałym wzrokiem na wyświetlacz. Paweł, trochę się tylko krygując, zdradził jej zawartość artykułu, który miał się ukazać dopiero jutro. Sarkofag Barnima IX, który przeleżał na pace ciężarówce przez siedemdziesiąt lat, ukryty w zawalonych podziemiach hotelu. Coś nieprawdopodobnego! Ale najbardziej zaskoczyło ją to, co Paweł powiedział na końcu.

– List? A tak, w ciężarówce był list, ale nie zdecydowaliśmy się na publikację. – To mówiąc, przekładał jakieś teczki i pisma, bo słyszała w tle szelest papieru.

– Dlaczego? Widziałam ten list przed chwilą u prezydenta. Nie było tam nic specjalnie wstrząsającego.

– Tak, ale my nawet nie wiemy, czy przypadkiem adresatka jeszcze żyje. To jednak jest prywatna korespondencja, autorka artykułu zdecydowała się nie ujawniać zawartości, a ja nie miałem na to wpływu. Rzeczywiście ma trochę racji. Raminowie mają jakiś związek rodzinny, mogliby wytoczyć nam proces o naruszenie tajemnicy korespondencji albo coś w tym stylu. Poza tym to tylko teoria. Może się okazać, że ten trup był kimś zupełnie innym.

Paweł był generalnie wściekły na Paulinę za tę durną decyzję. Proces z jakąś szwabską arystokracją byłby fantastyczną reklamą, ale to Paulina dyktowała warunki. Przynajmniej tym razem.

– Hmm... – Dorota zmarszczyła brwi i nagle coś ją tknęło. – Jak powiedziałeś? Raminowie?

– Tak, ale to tylko teoria. Znana niemiecka rodzina z tych stron.

Powoli schowała telefon do kieszeni, obrzuciła nieobecny spojrzeniem recepcjonistkę i ruszyła w kierunku schodów. Czy to naprawdę przypadek, że jej zleceniodawcą jest jakiś kuzyn Raminów, który szuka czegoś w ruinach dworu, w momencie gdy dopiero co znaleziono zwłoki, być może, byłego właściciela? W dodatku z sarkofagiem jakiegoś Gryfity. Jeśli Igor

rzeczywiście zrobił kopię listu i zatrzymał oryginał, to teraz, w obliczu tych faktów, nabierało to jakiegoś sensu. Musiał mieć konkretny powód, w dodatku nielichy, biorąc pod uwagę, jaki jest porządniczy i uczciwy. Może czas go odwiedzić? Przy okazji warto zobaczyć, jak się urządził. Dorota uśmiechnęła się do siebie, wsunęła klucz w zamek i weszła do pokoju.

\*

W laboratorium przez dłuższą chwilę panowała kompletna cisza. Wszyscy zastygli, wpatrzeni w stary, zniszczony skrawek papieru, zmaltretowany teraz dodatkowo chemicznymi roztworami. Igor ze zdumieniem odkrył, że mimo rozczarowania, które czuł jeszcze kilka minut temu, gdy kolejne próby nie dawały efektów, podświadomie chyba w ogóle nie wierzył, że coś znajdą. W zwyczajnym, codziennym życiu nie zdarzają się takie historie, można je obejrzeć jedynie w kiepskich filmach sensacyjnych. Bardzo trudno jest więc nagle uwierzyć, że oto monotonna rzeczywistość uległa załamaniu, a przez dziurę w czasoprzestrzeni wdziera się to przysłowiowe życie, które zazwyczaj dzieje się gdzie indziej. Stojąca naprzeciwko Paulina podniosła wzrok i spojrzała na niego. Od razu zauważył, że chyba myślała o tym samym.

– Szyfr? – spytała.

– Jak widać – odparł, sięgając na biurko Kopeckiego po długopis. Położył czystą kartkę na stole i starannie przepisał cały tekst, starając się jak najdokładniej odwzorować odległości między poszczególnymi grupami liczb.

– Może to jakieś współrzędne?

– Współrzędne się inaczej określa – powiedział Johann. – Lepiej zrobić ksero, może te odległości między cyframi są istotne.

– Też pomyślałem, że to nie przypadek. – Igor spojrzał na Kopeckiego. – Masz tu ksero?

Kopecki podniósł wzrok i pokręcił głową.

– Najbliższe jest w sekretariacie wydziału.

– A to może zniknąć ponownie? – Paulina popatrzyła na chemika.

– Raczej nie. Wyblaknie na pewno, ale nie powinno zniknąć, ten barwnik z papryki jest silny. Tak czy inaczej, lepiej jednak zróbcie ksero jak najszybciej. – Spojrzał ponownie na żółtawą kartkę. – Może to jakiś kod?

Pewnie do tego potrzebna jest jakaś maszyna deszyfrująca albo coś podobnego? Skąd wy to w ogóle macie?

Igor rzucił szybkie spojrzenie Paulinie.

– Znaleźliśmy podczas inwentaryzacji trochę starych papierów i między innymi to. Nie sądzę, że to coś ważnego. Po prostu ciekawostka.

– Inwentaryzacji? Jakiś wojskowy budynek? – zainteresował się Kopecki.

– Wojskowy? – Igor przez chwilę nie zrozumiał pytania, po czym przypomniał sobie, że wcześniej powiedział Kopeckiemu coś o tym, że nadawca był szpiegiem. Skarcił się w myślach za gadatliwość.

– Nie, zwyczajny budynek, ale możliwe, że przed wojną był przejęty na cele wojskowe. Ty nie powinienes się śpieszyć na zajęcia?

Chemik otworzył szeroko oczy i spojrzał gwałtownie na zegarek.

– Jasne, jeju, mam już piętnaście minut spóźnienia! Kwadrans akademicki. Przepraszam, ale muszę pędzić. – Rzucił się do swojego biurka, zaczął zbierać jakieś sterty teczek i układać je przed sobą. Igor odwrócił się do Pauliny i Johanna, spojrzeniem wskazując im drzwi.

– To my się pożegnamy, też zaczyna nam się śpieszyć. Będziemy w kontakcie, bardzo ci dziękuję za pomoc – rzekł, podając rękę Kopeckiemu.

W chwilę później wychodzili już na zewnątrz. Przeszli przez plac przed budynkiem i skierowali się w stronę schodów prowadzących do głównej ulicy. Na dworze panował prawdziwy skwar, łagodzony tylko przez cienie wysokich drzew kołyszących się przed gmachem.

Johann poluzował krawat i odetchnął.

– Spodziewałem się jakiegoś zwyczajnego tekstu. Informacji o tym sarkofagu, a tu kolejna zagadka. Ten twój kolega może mieć rację. Jeśli to jakiś wojskowy szyfr, to bez klucza nie poradzimy sobie z jego odczytaniem.

– Skoro Barnim pisał to w lochu, to raczej nie mógł zaszyfrować tego w jakiś wyrafinowany sposób, z użyciem specjalnych urządzeń szyfrujących.  
– Paulina pokręciła głową.

– Chyba że znał to już wcześniej na pamięć, a teraz tylko przepisał na papier. – Igor przeszukał kieszenie dzinsów i wyjął kluczyki. – Umieram z głodu. Pojedźmy gdzieś coś zjeść, a po drodze zrobimy ksero.

Samochód zjechał z asfaltowej nawierzchni na starą brukowaną jezdnię obok ponurego ceglanego gmachu sądu. Igor, litując się nad podwoziem swojej toyoty, zwolnił i wrzucił niższy bieg.

– Żadna z liczb nie jest większa niż dwadzieścia dwa. – Paulina siedziała z tyłu i wpatrywała się w dopiero co zrobioną kserokopię listu. – Alfabet ma dwadzieścia sześć liter. Może to zwykły szyfr podstawieniowy?

– To byłoby chyba zbyt proste. – Johann spojrzął w lusterko.

– Jeśli musiał coś wymyślić w tej ciężarówce, to nie sądzę, by udało mu się coś mądrzejszego.

– Uparłaś się, że Barnim ułożył to przed śmiercią – mruknął Igor, zatrzymując się na światłach przed torowiskiem.

– Bo to najbardziej prawdopodobne. – Paulina podniosła wzrok. – Jedź na podzamcze, zjemy coś w tej knajpce przy rynku.

– Gdyby to miało być takie proste, to po cholere w ogóle by to robił? Przecież pierwsze, co przychodzi do głowy, to metoda podstawienia liter.

– Zaraz zobaczymy – mruknęła pod nosem Paulina i sięgnęła do torebki po długopis. – Więc tak, alfabet niemiecki ma dwadzieścia sześć liter. A to jeden, B to dwa i tak dalej.

– Mógł też przyporządkować litery od tyłu, to najprostsze utrudnienie tej metody. – Johann odwrócił się do Pauliny.

– Masz rację. Zapiszę tak i tak i zobaczę, co z tego wyjdzie.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Igor skupiony na prowadzeniu samochodu w tworzącym się właśnie w centrum miasta korku, a Paulina pochłonięta podstawianiem liter alfabetu pod odpowiednie liczby tajemniczego tekstu. Johann rozglądał się wokoło, co chwilę odwracając się do tyłu i usiłując dojrzeć notatki Pauliny.

– I co? – Nie wytrzymał. – Wychodzi coś ciekawego? Pamiętasz, że to ma być po niemiecku?

Paulina spojrzała na niego z kpiącym uśmiechem.

– Żartujesz? No właśnie coś mi nie grało, jak zaczęłam podstawiać tutaj cyrylicę.

Johann podniósł oczy do góry i odwrócił się, rzucając porozumiewawcze spojrzenie Igorowi.

Samochód zwolnił i wjechał w jedyne wolne miejsce postojowe wzdłuż szeregu aut zaparkowanych przy wąskim chodniku. Na rynek było stąd jeszcze kawałek, ale Igor słusznie założył, że dalej mogło już nie być miejsca.

W restauracji, mieszczącej się w jednej z nielicznych, wiernie zrekonstruowanych podczas odbudowy podzamcza kamieniczek, na rogu wąskiej uliczki odchodzącej w kierunku Odry, nie było wielu klientów. Z reguły pojawiali się wieczorem. Paulina wskazała ręką wolny przytulny kąt i po chwili rozgościli się przy wielkim stole w narożniku sali, tuż przy oknie wychodzącym na brukowaną uliczkę.

– Pokaż mi to. Umieram z ciekawości. – Johann sięgnął po kserokopię, którą Paulina położyła przed sobą na stole.

– Nie mogłeś zrobić kilku kopii? – rzekła z wyrzutem do Igora.

– Nie pomyślałem, że będziecie to sobie wyrywać. Założyłem, jak widać zbyt optymistycznie, cywilizowane zachowania.

– Zapomniałaś o Q. – Johann podniósł wzrok znad kartki.

Paulina spojrzała na niego z niedowierzaniem i ściągnęła brwi.

– Przecież jest dwadzieścia sześć liter. Zapomniałam naprawdę?

Johann zaczął pracowicie wpisywać litery w miejsce liczb. Gdy skończył, odsunął kartkę, tak żeby każdy mógł zobaczyć efekt.

C A S	D R G	E P K	R A T
C G P	N R D	A P O	T H A
H F V	L R I	A P N	R F C
E B V	A R H	E P Q	R B U

– Kompletnie bez sensu – zawyrokowała Paulina, wpatrując się w trójki liter.

– Może to anagram? – Igor spojrzał z nadzieją na kserokopię.

– Jeśli nawet, to mnie się nic nie kojarzy. – Johann podrapał się po głowie i rozejrzał po sali. – Gdzie ta kelnerka? Z pełnym żołądkiem pójdzie nam o wiele łatwiej.

– Tu nie dają nic lekkiego, same ciężkostrawne rzeczy. – Paulina rzuciła okiem na ustawioną w małym koszyku na stole reklamę najbardziej



polecanych potraw.

– Jakoś to zniósę. – Johann uśmiechnął się promiennie, widząc nadchodzącą kelnerkę.

– W środku są dwie kolumny, w których powtarzają się te same litery. R i P. – Igor pochylił się nad kartką, gdy tylko kelnerka odeszła z zamówieniem.

– Myślę, że ten podział na trójki coś znaczy. – Paulina wyjęła długopis i zaczęła sama notować na kartce przychodzące jej do głowy anagramy liter. – Żadna trójka nie tworzy ani wyrazu, ani nawet rodzajnika. Może to jednak nie chodzi o proste podstawienie.

– „Rat” to nie szczur? – spytał Igor, wpatrując się w szeregi liter.

– Po angielsku, po niemiecku byłoby „Ratte”. – Paulina się skrzywiła.

– Po francusku też „rat” znaczy szczur – powiedział Johann. – To chyba przypadkowa zbieżność liter.

– Najwyraźniej. – Igor potarł ręką czoło. – Zastanawia mnie, dlaczego Barnim pierwsze cyfry każdej trójki napisał mocniej.

– Może miał trudności z pisaniem tym mazakiem, drutem czy czym on tam pisał, maczając w tej aspirynie. – Paulina wzruszyła ramionami.

– Zbyt regularnie się to układa. – Igor sięgnął po długopis i zaczął przepisywać pierwsze litery z każdej trójki.

– Skąd wiesz, że należy to robić w szeregu? A może pionami? – Johann patrzył powątpiewająco.

– Jak nie spróbuję, to się nie dowiem.

– Zwłaszcza że nie znasz niemieckiego – mruknęła złośliwie Paulina.

Igor rzucił jej pobłażliwe spojrzenie i popatrzył na przepisany rząddek liter.

## **C D E R C N A T H L A R E A E R**

– Kojarzy ci się jakiś anagram? – spytał Johanna.

Johann zmarszczył czoło i zaczął dukać pod nosem przychodzące mu na myśl zestawienia liter z szeregu napisanego przez Igora. Po chwili pokręcił przecząco głową.

– Myślę, że to ślepy tor. Odczytanie tego chyba jest trudniejsze niż nam się

wydaje.

– Magiczny kwadrat! – powiedziała nagle Paulina, patrząc na swoje notatki.

– Jaki magiczny kwadrat? – Johann przysunął się do niej i spojrzał na zapisaną niemieckimi zwrotami i słowami kartkę.

– Cztery rzędy i cztery kolumny. Może jeśli zsumujemy każdą z trójek to wyjdzie z tego właśnie magiczny kwadrat. – Popatrzyła na Igora pytająco.

– Już widać, że nie – mruknął Igor, przesuwając palcem po kartce i dodając w myślach cyfry. Po chwili przesunął w kierunku Pauliny kartkę, na której widniały cztery kolumny liczb.

23	29	32	39
26	36	32	29
36	39	32	27
29	27	32	41

– Suma każdej kolumny i wiersza jest inna. To nie jest magiczny kwadrat. A te liczby prawie wszystkie są większe od 26, więc podstawić liter także się nie da – dodał, wzruszając ramionami ze zniechęceniem.

Do stolika podeszła kelnerka z tacą pełną parujących talerzy i zaczęła je rozstawiać na stoliku. Życzyła wszystkim smacznego, a następnie uśmiechnęła się do Igora i obejrzawszy się jeszcze raz za siebie, poszła w kierunku baru. Igor odprowadził ją spojrzeniem i sięgnął po widelec, pochylając się nad talerzem z kurczakiem i warzywami z grilla.

– Smacznego – rzekł z uśmiechem do Pauliny i Johanna. – Może po obiedzie przyjdzie nam do głowy coś mądrzejszego niż magiczny kwadrat?

Paulina pokręciła głową z sardonicznym uśmieszkiem i pochyliła się nad zupą ze szparagów. Przez chwilę panowała cisza, przzerwana nagle przez głośny alarm dobiegający z kieszeni Igora. Dwie osoby siedzące przy stoliku na drugim końcu sali odwróciły się, patrząc z niepokojem w ich kierunku.

– Co jest? – Paulina spojrzała z przestrawieniem na Igora.

Igor skrzywił się i wysupłał komórkę z kieszeni dzinsów.

– Moja matka – wyjaśnił i z westchnieniem dotknął ekranu.

– Igor? Tu mama. W ogóle nie dzwonisz! Nie pamiętasz, że masz

rodziców? Czy coś się wyjaśniło w związku z tym pożarem? Są już jakieś oskarżenia?

Igor wznosił oczy do góry i skrępowany odwrócił się od uśmiechniętego Johanna.

– Mamo, daj już lepiej spokój z tym pożarem. O co chodzi? Właśnie jem obiad.

– Pewnie w jakiejś knajpie, jak zwykle. Jedzenie tych świństw źle się dla ciebie skończy. Ale à propos, dzwonię, by ci przypomnieć, że obiecałeś przyjechać do nas w weekend, żeby poznać... to znaczy, żeby poradzić nam w sprawie tego remontu.

– Mamo, niczego nie obiecywałem – jęknął Igor. – To ty mówiłaś o weekendzie.

– Wiesz, chyba zacznę nagrywać te rozmowy z tobą. Obiecałeś przyjechać i nie ma co się teraz głupio wymigiwać. Co ja powiem pani Natalii? Remont nie będzie czekał.

– Mamo, oddzwonię później, zaraz wszystko mi tutaj ostygnie.

– Koniecznie jeszcze dziś, bo musimy wszystko ustalić. Pod koniec tygodnia mają być jakieś burze, więc uważaj na tym swoim strychu. Kto to widział kupować mieszkanie na szóstym piętrze bez windy pod samym dachem?

– Mamo, muszę kończyć. – Igor rzucił spojrzenie Paulinie, która nawet nie próbowała udawać, że nie słucha z rozbawieniem. Ledwie słuchając wymówek matki, spojrzał na leżącą na środku kartkę z rzędami liczb i zmarszczył brwi.

– Mamo, czy jako matematycznie mówi ci coś szyfr, który składa się z szeregu trójek liczb? – Przerwał pani Annie, mając nadzieję, że nagła zmiana tematu pozwoli mu szybko skończyć rozmowę. – Szesnaście trójek, a w każdej trzy liczby.

– Masło maślane, w każdej trójce są zazwyczaj trzy liczby. Oczywiście, że mi mówi! To szyfr Ottendorfa – powiedziała pani Anna ku zaskoczeniu Igora.

– Co takiego? – Otworzył szeroko oczy.

– Szyfr książkowy. Czy ty, dziecko, nie miałeś matematyki na tej architekturze? Liczby odpowiadają kolejno stronie, wierszowi i kolejnej

literze. Musisz tylko wiedzieć, jaka to książka. Nie zajmuj się głupotami. Podczas jedzenia nie rozwiązuje się krzyżówek, zawsze to powtarzam twojemu ojcu. Koniecznie oddzwon jeszcze dziś, muszę kończyć, bo pies szczeka, ktoś chyba przyjechał.

Igor odłożył telefon i spojrzał z osłupieniem na Paulinę.

– To szyfr Ottendorfa. Kluczem jest jakaś książka.

Teraz Paulina otworzyła szeroko oczy.

– Książka? Twoja matka ci powiedziała?

– Tak, niestety. – Igor się skrzywił. – Kluczem jest jakaś książka. Czyli nie odczytamy tego, dopóki nie zgadniemy, jakiej książki używał Barnim do zaszyfrowania tego czegoś.

– Przecież nie miał przy sobie żadnej książki. – Paulina odłożyła łyżkę i wytarła usta serwetką.

– O czym wy mówicie? – Johann spojrzał na Igora, marszcząc brwi. – Coś się stało?

– Tak, matka Igora zrobiła z nas idiotów. – Paulina uśmiechnęła się i przetłumaczyła Johannowi swoją rozmowę z Igorem.

Johann wyduł usta i roześmiał się.

– No oczywiście! Mogliśmy sami na to wpaść, chyba każdy czytał *Klucz do Rebeki*[\[25\]](#).

– Hmm... a co to właściwie jest to na dole? – Paulina nagle pochyliła się nad kartką.

– Gdzie? – Igor wyciągnął głowę przez stół.

– Taki mały znaczek na samym dole, na środku kartki. On w ogóle był tutaj pierwotnie czy wywołał się? – Paulina spojrzała na Igora. – Masz oryginał przy sobie?

– Mam, chwila. – Igor sięgnął do torby i wyciągnął czarną teczkę. Wyjął z niej przezroczystą koszulkę, w której tkwiła stara kartka papieru, i położył ją na środku stołu.

– Jest. Taki mały znaczek, rzeczywiście. Myślałem, że to logo producenta notesu, z którego pochodzi papier.

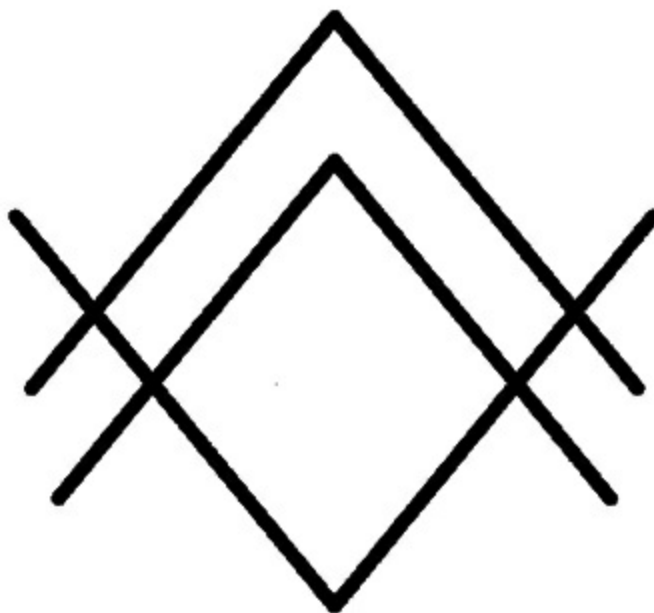
– Ja też nie zwróciłem na to uwagi. Chyba myślałem podobnie jak Igor. –

Johann spojrział na Paulinę. – A co? Kojarzy ci się z czymś?

– No właśnie tak mi się wydaje, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć. – Podniosła list do oczu i przyjrzała mu się z bliska. – Mam wrażenie, że to nie jest nadrukowane.

– Pokaż. – Johann sięgnął po kartkę i pochylił się nad nią, przechylając w kierunku okna. – Hmm... może masz rację.

Położył kartkę na środku stołu. Tuż pod odsłoniętą w wyniku chemicznych tortur treścią widniał mały znaczek złożony z trzech liter V, jednej we właściwym położeniu i dwóch do góry nogami.



– Sama nie wiem. – Paulina przekrzywiła głowę, patrząc na tajemniczy symbol. – Z czymś mi się kojarzy. Tyle ostatnio przeglądałam informacji na temat Gryfitów, sarkofagów, drugiej wojny, że teraz mam mętlik w głowie. Ale jeśli to nie jest logo papieru, to musiał to dopisać Barnim.

– Może to jakaś podpowiedź? – Johann potarł brodę i sięgnął po długopis. Przerysował znaczek na kartkę i zaczął wokół niego kreślić podobne symbole.

– Jaki miałoby sens tworzenie szyfru, żeby pod nim umieszczać podpowiedzi? – Igor popatrzył na Johanna sceptycznie.

– Sam mówiłeś, że to może być szyfr, który Barnim znał już wcześniej –

podpowiedziała Paulina. – Może w obliczu śmierci, fiaska jakichś jego planów związanych z sarkofagiem i cholera wie czym jeszcze, postanowił przekazać tajną wiadomość tym swoim „braciom”. Może w najbliższym kręgu jego wtajemniczonych kamratów wszyscy znali tę książkę klucz, ale osoby z zewnątrz mogłyby się nigdy nie domyślić, o co chodzi. – Paulina w zamyśleniu patrzyła na esy-floresy, które rysował na kartce Johann.

– Obawiam się, że jestem zbyt zmęczony, aby wymyślić cokolwiek sensownego. – Johann zasłonił usta dłonią i ziewnął.

Igor przetarł oczy i unosząc brwi, spojrzał w kierunku baru. Uśmiechnął się do stojącej obok kontuaru kelnerki. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech i ruszyła w ich kierunku.

– Racja. Ja też nie spałem właściwie połowę nocy przez ten dzisiejszy włam. Muszę się położyć, bo mam wrażenie, że za chwilę walnę głową w stół.

Sięgnął do kieszeni po portfel i podał kelnerce swoją kartę kredytową, kręcąc jednocześnie głową w stronę protestującego Johanna. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego ponownie i włożyła kartę do przenośnego terminala.

Paulina zmierzyła ją dyskretnie wzrokiem, myśląc, że uśmiecha się o wiele za często, niż wynikałoby to ze zwykłej uprzejmości. Ładna, chociaż w porównaniu z tą jego heterą Dorotą to właściwie nic specjalnego. Poza tym on stanowczo ma zbyt wygórowane standardy, pomyślała ze złością, sięgając po torebkę i wstając od stolika.

\*

Taksówka zatrzymała się przed bardzo niegdyś elegancką kamienicą, stojącą przy małym placu u wylotu ulicy Kapitańskiej. Dorota zapłaciła kierowcy i z butelką szampana w jednej ręce i torebką w drugiej wysiadła, zatrzymując się przed bramą. Po naciśnięciu guzika domofonu uśmiechnęła się do siebie na myśl, że Igor pewnie jeszcze się uwija, sprzątając mieszkanie i chowając różne kompromitujące gadzety. Piętnaście minut temu zadzwoniła do niego i zapowiedziała się z wizytą. Rozbawiło ją, że był zaskoczony i pewnie nadal jest, ale generalnie taki właśnie efekt chciała osiągnąć. Swoją drogą, była naprawdę ciekawa, jak się tutaj urządził.

Weszła na poddasze i stanęła przed wykończonymi w kolorze ciemnego

dębu drzwiami z półokrągłym naświetlem. Oczekała chwilę, aż wyrówna jej się oddech, i zapukała. Mieszkać tu bez windy to tragedia, raz można wejść, ale codziennie wchodzić po dwa, trzy razy? On jest pomyłony, choć zapewne nieźle wzmocnił sobie mięśnie nóg. Drzwi były otwarte, weszła do małego korytarzyka z wielkim lustrem i kaskadą zabiegowych, drewnianych schodów. W tym momencie Igor pojawił się na ich szczycie z niepewnym uśmiechem.

– Witam, myślałam, że się po cichu ulotnisz i wyłączysz komórkę – powiedziała, wchodząc na górę. Przepuścił ją przodem.

– Dlaczego miałbym to robić? Jeśli uznam, że nie mam ochoty cię już widzieć, zawsze mogę wyrzucić cię z tarasu. – Igor uśmiechnął się złośliwie.

– Masz tutaj taras? Na dachu? Nieźle to wygląda. – Rozejrzała się po dużym, bardzo wysokim wnętrzu z brązowymi belkami wiszącymi wysoko nad głową. – Twój rodzice dużo musieli dołożyć?

– Bank musiał się dołożyć. – Igor spojrzał na butelkę, którą Dorota trzymała w rękach. – To dla mnie?

Uśmiechnęła się i podała mu butelkę.

– Pomyślałam, że taka okazja wymaga, by napić się skromnego szampana.

– Bollinger? Nie chcę wiedzieć, jak opijasz mniej skromne okazje. – Igor spojrzał na etykietę, postawił butelkę na stole i sięgnął do szafki po kieliszki.

Dorota podeszła do szklanej ściany oddzielającej przestrzeń dzienną od pomieszczenia, w którym stało biurko. Spojrzała, że komputer jest włączony, a wkoło wala się mnóstwo papierów. Zajrzała do środka.

– Masz tutaj sporo miejsca. I ładny widok na dachy sąsiednich kamienic. –

Podeszła do okna, jednocześnie rejestrując w pamięci jakieś kartki z podkreślonymi liczbami i tekstem po niemiecku. Na małym stoliku pod ścianą stała torba Igora. Dorota obrzuciła wzrokiem resztę pomieszczenia. Światło w głębi było wygaszone.

– Mieszka mi się tutaj bardzo dobrze. – Igor stanął w progu, trzymając w rękach dwa wysokie kieliszki z szampanem.

– Pokaż mi ten taras na dachu. – Dorota uśmiechnęła się i wzięła od niego kieliszek.

Wyszli na zewnątrz. Było wciąż bardzo gorąco. Lekki wiatr ledwie poruszał rozgrzane powietrze. Dorota podeszła do balustrady i odwróciła się

do Igora.

– Można powiedzieć, że to jest taras z dołączonym mieszkankiem na strychu. Naprawdę jest imponujący. Twoje zdrowie. – Uśmiechnęła się do Igora.

Nie miała planu. Pomysł był całkowicie spontaniczny. Coś musi wymyślić, żeby zajrzeć do tych jego papierów i torby. Nie miała pojęcia, co zrobi, jak znajdzie ten oryginał. Przecież mu tego nie ukradnie. Czuła desperacką potrzebę, żeby się dowiedzieć, o co chodzi z tym Raminem. Ale taras tutaj jest rzeczywiście kosmiczny.

– Przeczytałam o tej historii z hotelem Boroli. Kompletnie niesamowita sprawa – zaczęła ostrożnie. – Pewnie się dowiesz, ale nie wytrzymałam i zadzwoniłam do Pawła. To naczelny „Dziennika Szczecińskiego”. Dowiedziałam się o tym sarkofagu. Coś niebywałego. Wiadomo już, czy był otwierany? Zachowało się w nim coś cennego?

– Nie wiem jeszcze, dopiero zabrali go do badań. Hadrysowie tym się zajęli. – Igor postawił kieliszek na stoliku i spojrzał na Dorotę z zainteresowaniem. – Nie wiedziałem, że znasz naczelnego „Dziennika”.

Dorota patrzyła na tarasowy stolik i trzy rattanowe fotele.

– Właściwie to jego żonę. *Anyway...* – Podeszła do Igora i spojrzała na niego z uśmiechem, podnosząc brwi. – Mam pomysł. Usiądziesz tutaj wygodnie i poczekasz, a ja zrobię dla nas jakąś dobrą kolację. Coś lekkiego, tak?

Igor przez chwilę wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

– Właściwie nie jestem specjalnie głodny... Nie wygłupiaj się, nie będziesz chyba teraz zajmowała się garami?

– W kuchni jestem całkiem dobrą kucharką, na pewno pamiętasz. – Spojrzała na niego z prowokacyjnym uśmieszkiem.

Z zaskoczeniem odkrył, że jej żart z seksualnym podtekstem go zabolął. Nie miał ochoty analizować swoich uczuć ani tym bardziej grać z nią w takie gierki.

– No, jak chcesz. Pokażę ci, co gdzie jest. – Ruszył w kierunku drzwi tarasowych. – Dobrze, że mam akurat pełną lodówkę.

Dorota skrzywiła się pod nosem i poszła za nim. W chwilę później wyciągali z szafek Igora różne kolorowe opakowania i przypominając sobie



telewizyjne, reklamowe slogany, parskali co chwilę śmiechem. Dorota skompletowała w końcu baterię produktów i zrobiła nagle rozczarowaną minę.

– Nie masz ziół prowansalskich. Bez tego to nie wyjdzie.

Wcześniej przejrzała skrupulatnie pudło z przyprawami i miała nadzieję, że nie trzyma ich gdzie indziej.

Igor westchnął.

– Tu jest mały sklepik niedaleko. Skoczę po to. Zaraz będę. – To mówiąc, chwycił kluczyki, pomachał do niej ręką i zbiegł po schodach.

Nie zmienił się, dobrze go znała. Spokojnie powyjmowała z opakowań potrzebne składniki i zaczęła przygotowywać potrawkę z kurczaka. Mógł wrócić. Poza tym naprawdę była głodna, bardzo chętnie zje z nim kolację. Z zimną krwią pokroiła czerwoną paprykę, potem pieczarki i dopiero sięgnęła po ścierkę. Wytarła ręce i szybkim krokiem przeszła w kierunku jego pracowni. Zapaliła światło nad biurkiem i rozejrzała się.

Sterna papierów, mnóstwo notatek, rysunków i pozapisywanych numerów. Na wierzchu leżała jakaś kartka z wynotowanymi liczbami, a pod nią jakieś zestawienie liter. Nic, co by przypominało ten stary list. Chyba że zostawił go w pracowni, ale jak go znała, na pewno chciał mieć to przy sobie. Lubił pracować w domu do późna, więc jeśli wiąże się to z jakimś jego zleceniem, zadaniem lub nawet prywatną sprawą – to na pewno zabrał to ze sobą albo przynajmniej zrobił kserokopię. Przejrzała stertę teczek leżących po prawej stronie monitora i popatrzyła na jego torbę. Może nie zdążył wyjąć. Gdzieś musi to mieć.

Sięgnęła ostrożnie po czarną skórzaną teczkę i otworzyła ją. Coraz bardziej rozczarowana, przejrzała wszystkie przegródki, wyciągając po kolei różne dokumenty. Starannie ustawiając torbę tak jak stała poprzednio, pomyślała, że może to pomyłka. Może w ogóle zawiodła ją intuicja? A jeśli zrobił tę kopię na zlecenie jakiegoś podejrzanego inwestora, który zachował dla siebie oryginał?

Borola! To chyba do niego podobne, nawet jeśli tylko połowa z tego, co pisze o nim prasa, jest prawdą. Rozejrzała się po pomieszczeniu i jej wzrok padł na pogrążony w półmroku kąt, w którym było wejście do sąsiedniego pokoju. Podeszła do oszklonej częściowo ściany. Co mu się stało z tymi przeszkleniami? Takie nowoczesne rozwiązania i drzwi przesuwne

w dodatku? Kiedyś ich nie znosił. Zapaliła światło, wydobywając z półmroku duże łóżko, przykryte narzutą, jakiś designerski fotel i szafę wbudowaną pomiędzy konstrukcją więźby dachowej.

Na łóżku leżała druga torba. Z paskiem na ramię.

Podeszła do łóżka i sięgnęła do środka. Jakies papiery, aparat i iPad.

I czarna teczka.

Wyjęła ją ostrożnie i otworzyła. Wewnątrz, w przezroczystej koszulce tkwił stary, pożółkły papier. Jest! Wiedziała!

Zmarszczyła brwi. Wyglądał jakoś inaczej niż to, co widziała na spotkaniu z prezydentem. Pod tekstem, który już знаła, widniało kilka rzędów liczb. Wyjęła telefon, położyła teczkę na łóżku i zrobiła kilka fotek. Co to jest, do diabła? Sfałszował to, oddał konserwatorce podrobiony list bez tych liczb, a sobie zostawił oryginał? Po co? I czy on pracuje dla kogoś, czy sam zajmuje się tymi dziwactwami? Tak czy siak, prawdopodobnie chodzi mu o to samo, co ludziom von Hagen. A oni czegoś szukają i najwyraźniej nie mają tego, co właśnie przed chwilą znalazła.

Zamknęła teczkę i szybko włożyła ją do torby. Wygładziła powierzchnię narzuty i rozejrzała się po pokoju. Całkiem wygodny kącik. Ciekawe, czy ta szatynka, z którą widziała go w urzędzie, już tutaj była?

Zgasiła światło i ruszyła w kierunku pokoju dziennego.

\*

Igor zamknął drzwi i stał przez chwilę w maleńkim korytarzyku, nasłuchując oddalających się na klatce schodowej kroków Doroty. Po co ona tu w ogóle przyszła? Wizyta kurtuazyjna? Po to, żeby zobaczyć, jak się urządził? A może po to, by się utwierdzić w przekonaniu, że dobrze zrobiła, wyjeżdżając i zostawiając go. Taka sadystyczna przyjemność płynąca z potwierdzenia tego, czego i tak jest się pewnym na co dzień. I ta jej denerwująca pewność siebie, przekonanie, że może, ot tak sobie, przyjść tutaj, zrobić wspólną kolację i porozmawiać, jakby się nic nie stało. Oparł głowę o gładkie drewno drzwi wejściowych i stał tak przez chwilę.

Chyba bardziej niż snu potrzebuję teraz drinka. Albo piwa, jeszcze lepiej! Chyba mam parę puszek w lodówce – to myśląc, wbiegł po drewnianych schodach na poziom mieszkania i podszedł do wielkiej dwudrzwiowej

lodówki. Otworzył jedno skrzydło i stanął w orzeźwiającym, chłodnym oddechu urządzenia. Niepokojąca, powracająca regularnie co weekend myśl, że alkoholizm nie jest wcale taką złą alternatywą.

Tym bardziej, że jest środa.

Uzbrojony w wysoką szklankę ze złocistym, spienionym napojem, podszedł do biurka, na którym wygodnie rozparty, cichutko mruczając, stał wyposażony w nowiutki twardy dysk komputer. Tuż obok leżały sterty papierów ze szkicami projektów i koncepcji. Na jednej z kartek był odbity szyfr z listu Barnima, a pod nim wynotowane pierwsze liczby z każdej z szesnastu trójek. Igor wzruszył ramionami i poszedł do sypialni. Ściągnął z łóżka wełnianą narzutę i rzucił ją na fotel stojący pod ścianą. Za chwilę wylądowały na nim spodnie i koszula. Wypił jeszcze jeden łyk piwa i odstawił kufel na stolik.

Pod prysznicem, rozkoszując się masażem wody, starał się jak zwykle uporządkować w głowie to wszystko, co ma jutro do zrobienia. Zmęczenie i niechęć do myślenia na temat pracy wzięły jednak górę.

Wycierając się wielkim ręcznikiem, pozwolił myślom meandrować swobodnie pomiędzy różnymi tematami, spośród których na plan pierwszy wybił się oczywiście szesnastotrójkowy szyfr z listu Barnima.

Podszedł znów do biurka i spojrzął na kartkę, na której widniał przepisany cały ciąg liczb, a pod spodem szesnaście liter, od których zaczynała się każda trójka. Nie znając niemieckiego, nie miał absolutnie szans na to, żeby ułożyć z liter jakiś sensowny anagram, ale nie dawało mu to spokoju. Po kilku minutach wpatrywania się w ciąg znaków zgasił lampę nad stołem i wyłączył komputer. Matka pewnie miała rację, że to szyfr książkowy, i próby rozwiązania zagadki bez konkretnej książki, w dodatku konkretnego wydania o dokładnie określonej liczbie stron i z określonym układem wierszy, miały niewiele sensu. Niepotrzebnie zainfekował sobie umysł tym pomysłem, że pogrubione pierwsze liczby mogą coś znaczyć. Pewnie Barnim pogrubiał je, żeby podkreślić podział na trojki. I to wszystko.

Zgasił światło i wyciągnął się z westchnieniem ulgi pod lekką kołdrą. Parę chwil wystarczyło, by poczuł, że odpływa. Umysł siłą inercji przesunął jeszcze przed oczami wydarzenia i obrazy z mijającego dnia, powoli zapadając w sen.

W kompletnej ciemności, rozjaśnionej tylko poświatą zaglądnącego przez

dachowe okno księżycyca, Igor nagle szeroko otworzył oczy. Chwilę leżał bez ruchu, po czym gwałtownie się zerwał i podbiegł do biurka. Zapalił lampkę, wydobywając z mroku górę papierów, i pochylił się nad kartką, na której kilka godzin temu sam wynotował linijkę liter.

**C D E R C N A T H L A R E A E R**

Sięgnął po czarny mazak i sprawdzając litera po literze, napisał wyrazy, które przed chwilą stanęły mu przed oczami.

**C R A N A C H D E R A L E**

## Rozdział 16 (czwartek)

Dorota była splukana. I od jakiegoś czasu wyglądało to coraz gorzej. Przez swoje nierozsądne decyzje znalazła się w sytuacji, z której nie wiedziała, jak wybrnąć. Wszystko zaczęło się od kontraktu w Barcelonie. Zarabiała tam naprawdę dobrze, wydawało jej się, że to wielki przełom i że może być już tylko lepiej. Hiszpańska, a właściwie angielska firma deweloperska była bardzo zadowolona ze współpracy i następny czteroletni kontrakt Dorota miała praktycznie w kieszeni. Kolejny projekt, który dla nich prowadziła, dotyczył już dużego osiedla pod Londynem i wszystko rysowało się w przepięknych, pastelowych barwach. W dodatku poznała Kurta. Przystojny, zamożny. Życie zaczęło być takie jak powinno.

Pierwszym błędem był zakup mieszkania w Barcelonie. Hiszpanka, z którą pracowała, namówiła ją na to, twierdząc, że mieszkanie tutaj, w dobrej dzielnicy, to świetna lokata kapitału. Wzięła niewielki wprawdzie jak na jej tamtejsze zarobki, ale obciążający kredyt i stała się posiadaczką wielkiego apartamentu w pięknej, starej kamienicy. Która, jak się szybko okazało, była obciążona jakimiś własnościowymi sporami, nie mówiąc o tym, że wymagała remontu.

Akcje dużego angielskiego banku też miały być dobrą lokatą. Kryzys zmienił sytuację o sto osiemdziesiąt stopni... Hiszpańsko-angielski deweloper nie przedłużył z nią kontraktu, wstrzymał budowę osiedla w Anglii, akcje angielskiego banku były warte tyle co papier, gdyby ktoś zechciał je wydrukować, a mieszkanie w Barcelonie okazało się niesprzedawalne. Do tego dochodził kredyt za częściowo tylko spłacone mieszkanie w Szczecinie, które zostawił jej Igor. To przynajmniej udało jej się w końcu sprzedać, chociaż także poniżej pierwotnej wartości.

Dobrze, że Kurt znalazł się w odpowiedniej chwili. Związek z nim był spokojny, przewidywalny i zapewniał jej bezpieczeństwo. Zarobki jednak pozwalały jedynie lawirować pomiędzy finansowymi obciążeniami, a małe zlecenia z Polski zapewniały jej pieniądze wyłącznie na bieżące potrzeby.

Było to wszystko strasznie męczące. Miała już tego dość, chciała się pozbyć upiornego mieszkania w cholernej Barcelonie albo spłacić ten hiszpański kredyt. W dodatku od roku defraudowała praktycznie pieniądze Kurta na spłatę zadłużenia. Początkowo były to niewielkie sumy, ale z czasem, gdy nie miała jak ich uzupełniać na bieżąco, urosły do niebagatelnej kwoty. Z dnia na dzień topniało w niej przekonanie, że uda jej się spłacić tę kasę, zanim Kurt się w tym połapie.

Potrzebowała pieniędzy. I to szybko.

\*

Paulina wyjęła z szafki dzbanek, postawiła go na blacie i wsypała kilka pełnych łyżeczek kawy. Spojrzała na zegar nad stołem. Siódma.

Wstała wcześniej, żeby popracować nad artykułem, który miał się ukazać jutro w „Dzienniku”. Na przedostatniej stronie. Sponsorowane nudziarstwo. Zleceniodawca płacił za przekaz podprogowy. Dla wszystkich było oczywiste, że nikt nie przeczyta całości, ale wystarczyło, by podstawowe informacje rzucały się w oczy. Na tym polegała umiejętność odpowiedniego zredagowania tekstu, podkreślenia tych detali, które były istotne i mogły skłonić potencjalnego klienta do zakupu technologii.

Postawiła na stole kubek pełen aromatycznej kawy i usiadła przed laptopem. Plan był taki, że przejrzy jeszcze raz materiały, ustawi sobie ramy artykułu, ułoży w głowie konspekt całego tekstu, a potem z rozkoszą otworzy jakiś portal informacyjny i poczyta wiadomości, które wyprowadzą ją do tego stopnia z równowagi, że nie będzie mogła się skupić do południa. W końcu na to przecież płaciła podatki. Ktoś musiał utrzymywać dwuizbowy szpital psychiatryczny na Wiejskiej.

Wypiła łyk kawy i jej wzrok zatrzymał się na kserokopii otrzymanej wczoraj od kelnerki. Tej samej, która tak rozkosznie uśmiechała się do Igora i którą tak źle oceniła. Dziewczyna bez oporu zgodziła się użyć kserokopiarki na zapleczu i zrobić dla nich odbitki listu z podziemi, dzięki czemu mogła teraz beztrudnie oderwać się od materiałów izolacyjnych i jeszcze raz spojrzeć na symbol złożony z trzech literek V, który nie dawał jej spokoju. Irytująco kojarzył jej się z czymś, czego nie mogła pochwycić. Wydawało się, że kryje się tuż pod powierzchnią świadomości, ale próby wydobywania tego stamtąd spełzały na niczym. Nie był to żaden znak firmowy, żadna marka

samochoodu. Wpisanie w wyszukiwarke graficznà s³owa „logo” otwiera³o kilka setek stron z przeróznymi symbolami i znakami, w³ród których nie by³o jednak nic podobnego. Zniechêcona zamknê³a przeglàdarkê i zaczę³a siê bujaæ na krze³le. Od dziecka wiedzia³a, że nie powinna tego robiæ, ale stare nawyki najtrudniej pokonaæ. Spojrza³a na szkic artyku³u o izolacji i przypomnia³o jej siê, że „Dziennik” pisa³ o jakich³ symbolach rok temu. D³ugi artyku³.

Może to z tym skojarzy³ jej siê dziwny symbol? Gdzie³ to ju³ widzia³a. Z ca³à pewno³cià. Po chwili namys³u pochyli³a siê nad laptopem i wys³a³a e-mail do redakcji z pytaniem o artyku³ na temat symboliki. Kto go napisa³ i gdzie szukaæ w archiwum? Wiedzia³a, że dzi³ dy³ur ma Darek i pewno zaraz powinien odpisaæ.

Czekajàc na e-mail, przejrza³a jeszcze raz foldery producenta i z wysi³kiem zmusi³a siê do wypunktowania w my³lach najwàżniejszych cech nowego produktu, który mia³ konkurowaæ na rynku ze znanymi od dawna materia³ami. Producent z dumà zapewnia³, że technologia by³a stosowana na liniach produkcyjnych promów kosmicznych. Brednie! Pewnie uszczelniali tym posadzki kibli w NASA i to pewno wszystko, co wiàza³o ten materia³ z liniami produkcyjnymi promów kosmicznych.

Z laptopa dobieg³o ciche pikniêcie. E-mail.

Otworzy³a folder poczty. „Artyku³ ukaza³ siê w ubieg³ym roku, 23 sierpnia. Napisa³a go Beata”. Paulina u³miechnê³a siê do siebie. No proszê, my³la³am, że ona pisze tylko o gospodarce. Wesz³a na stronê „Dziennika Szczeciñskiego” i wpisa³a has³o otwierajàce archiwum.

Jest. *Tajemnice znaków towarowych*, tak siê nazywa³ ten artyku³. Przejrza³a szybko treść. Przez chwilê przyglàda³a siê kilku logosom znanych marek, które jak siê okaza³o, mia³y ciekawe pochodzenie i wiàza³y siê ze starymi symbolami u³ywanymi w alchemii. Źaden jednak opisany w artykule znak towarowy nie przypomina³ tego z listu. Rozczarowana zamknê³a przeglàdarkê i siêgnê³a po kubek z kawà. Pijàc ostatni ³yk, zauważy³a, że w prawym dolnym rogu ekranu mruga malutka koperta.

„Po co ci ten artyku³ o symbolice? 😊”

Darek chyba siê trochê nudzi³ na dy³urze. Pochyli³a siê nad klawiaturà.

„Usi³ujê skojarzyæ, skàd znam pewien symbol. Mia³am nadziejà, że by³

tam opisany”.

„Jaki to symbol?”

Paulina przez chwilę zastanawiała się, po czym otworzyła program graficzny i za pomocą kilku kresek narysowała tajemniczy znaczek. Wkleiła go w okno komunikatora.

„Hmm... Nic mi nie przypomina. A skąd on jest?”

„A takie tam. Gdzieś zobaczyłam i mnie dręczy”.

„Nudzę się tutaj. Poszperam i jak coś znajdę, to dam ci znać. 😊”

„OK. Dzięki. 😊”

Przeciągnęła się i z westchnieniem pochyliła nad pierwszym akapitem artykułu o izolacji. Zanim zdążyła się skupić, zadzwonił telefon.

– Może i nie znam niemieckiego, ale udało mi się odgadnąć znaczenie tych pogrubionych liter. – Igor nie zmarnował ani chwili na zbyteczne grzeczności i powitania.

– Żartujesz? Naprawdę? I co to jest? – Paulina wstała i z telefonem podeszła do szafki, żeby dolać sobie gorącej kawy. Pewnie mu się tylko wydaje, że odgadł.

– Może wypijemy razem kawę? Na przykład za godzinę? – Igor był wyraźnie zaaferowany swoim odkryciem. – Zaraz zadzwonię do Johanna.

Paulina niezdecydowanie spojrzała na dzbanek z kawą, który trzymała w ręku, i przystała na propozycję. Z nadzieją, że nie okazała zbytniego entuzjazmu.

– Ale powiedz chociaż, co to jest. – Czuła, że mimo wątpliwości rośnie w niej ciekawość.

– Powiem ci tylko tyle, że każdy nowy element tej zagadki komplikuje ją zamiast wyjaśniać. Czekam zatem o dziesiątej.

Paulina otworzyła usta, żeby wyciągnąć z Igora coś więcej na temat szyfru, który podobno odgadł, ale na wyświetlaczu pojawił się napis informujący o zakończonej rozmowie. Rozłączył się.

Pokręciła głową i wróciła na miejsce przy stole, z niechęcią patrząc na zręby artykułu.



\*

– Co takiego? Co to jest? – Parsov był tak zaskoczony, że nawet nie zdążył się wściec. – Kserokopia?!

– Tak. To jakaś żenująca wpadka tych, pożał się Boże, konserwatorów ze Szczecina, którzy nie są w stanie rozpoznać zwyczajnej kserokopii. – Spokojny głos w słuchawce był pełen ironii. – Myślmy o zdjęciu tego listu z wystawy i odesłaniu go z odpowiednią notą do Polski.

Parsov zmarszczył brwi. Taki skandal będzie oczywiście kompromitacją Polaków, ale z drugiej strony, także i wystawy. W końcu po wczorajszym uroczystym otwarciu list był wystawiony jako eksponat. Poza tym wywołanie awantury i wplątanie w nią prezydenta, szczecińskiego muzeum i konserwatorów zabytków wywoła zupełnie niepotrzebną aferę i odbije się na jego interesach w Szczecinie. Zagryzł wargi.

– Nie, niech zostanie na wystawie. I tak im to oddajemy za trzy tygodnie. Skandal mógłby skompromitować wystawę i Związek.

Głos w słuchawce mruknął coś niezrozumiałego.

– Zrozumiał pan, panie Libitch? Proszę nie podejmować żadnych działań!  
– Parsov teraz dopiero poczuł, że zaczyna ogarniać go gniew. Domyślał się, co się stało. Ten łajdak Fleming oddał kopię, sobie zostawiając oryginał, a te barany z magistratu niczego nie zauważyły. Czas skończyć z tymi ceregielami! Zmarnował już stanowczo za dużo czasu w Szczecinie.

Pożegnał się z człowiekiem z Berlina i wybrał numer Hansa.

\*

W ogródku letnim małej knajpki na podzamczu Paulina wpatrywała się w kartkę, na której w równym rzędku widniało szesnaście liter, kilkanaście godzin temu napisanych przez Igora.

– Przecież to może być przypadek?

– Przypadek, który by stworzył dokładnie taką kombinację szesnastu liter, żeby dało się utworzyć z nich anagram, to byłby wręcz cud. Poza tym jest to imię i nazwisko. Konkretnie.

– Lucas Cranach Starszy. – Johann patrzył powątpiewająco na kartkę, leżącą na środku stołu.

Igor pokiwał głową.

– Nadworny malarz książąt Saksonii. Pierwsza połowa szesnastego wieku.

– Co on może mieć wspólnego z Barnimem? – Paulina spojrzała na Igora, unosząc brwi.

Igor wzruszył ramionami.

– Zakładając, że to nie przypadek i Cranach jest rzeczywiście częścią tego szyfru, mamy dopiero fragment. Zasadniczą treść pewnie ukrywa cały szyfr. Może to jest mylny trop, a jego nazwisko służy tylko jako jakaś gra słowna lub coś w tym stylu?

– Hmm... – Johann zmarszczył brwi. – Cranach kojarzy mi się jakoś z reformacją.

– Tak, był głównym przedstawicielem protestanckiej propagandy. – Igor pochylił się nad laptopem i z rozpędu przeczytał tekst z pierwszego otwartego linka. – Propagandy? Co to za portal jakiś?

– Nie otworzyłeś przez przypadek jakiegoś katolickiego głosu w twoim domu? – Paulina zajrzała mu przez ramię.

Igor spojrzał na Paulinę z uśmiechem, a następnie wrócił do czytania artykułu.

– Malował drzeworyty do jakichś antypapieskich dzieł. *Christi et Antichristi*, tak się to nazywało. Poza tym ilustrował przetłumaczoną przez Lutra Biblię. Przyjaźnił się zresztą z Lutrem.

– Przypominam sobie jakiś skandaliczny cykl... – Johann patrzył w stół, usiłując wydobyć z pamięci zapomniane fakty. – Jakieś portrety kobiet trzymających uciętą głowę.

– Chyba wiem, o co ci chodzi. – Igor przesunął laptopa w kierunku Johanna, tak żeby Paulina także mogła zobaczyć. Na ekranie ukazana była kobieta w wielkim kapeluszu, w eleganckiej sukni, z mieczem w jednej dłoni i z ociekającą krwią głową w drugiej.

– Judyta z głową Holofernesa. – Igor przez chwilę czytał w milczeniu. – Miał chyba rzeczywiście jakąś obsesję. Namalował ponad dwadzieścia obrazów z tym samym motywem Judyty, w dodatku ubranej według mody renesansowej, z głową wodza asyryjskiej armii.

– Kim ona była? – Paulina pochyliła się nad laptopem.

– To biblijna opowieść z Księgi Judyty. W czasach Nabuchodonozora wojska asyryjskie oblegały Betulię w Galilei. Judyta była wdową po zabitym wodzu Izraelitów Manassesie. Rozkochała w sobie Holofernesa i podczas jednej nocy upiła go i ścięła mu głowę. W późniejszych tekstach uważana była za personifikację narodu żydowskiego. – Igor przeczytał i popatrzył na Paulinę.

– Cranach tworzył w czasach Barnima Dziewiątego. Apogeum jego twórczości przypada na początek rządów księcia w Szczecinie. – Paulina podniosła głowę znad ekranu.

– Tak. – Igor pokiwał głową z uśmiechem. – W oczywisty sposób pojawia się pytanie, czy sarkofag w ciężarówce ma jakiś związek z malarzem. Barnim Dziewiąty studiował w Wittenberdze u Lutra. W tym samym czasie Cranach był nadwornym malarzem książąt saksońskich, a poza tym przyjaźnił się z Lutrem. Barnim musiał się wówczas z nim zetknąć. O ile wiem zresztą, Cranach i malarze z jego warsztatu pracowali później dla Barnima przy remoncie szczecińskiego zamku. Może obaj otarli się w jakiś sposób o tę tajemnicę z opowieści dziadka Johanna.

– Zostawmy na razie historię. – Johann spojrzął na Igora i postukał palcem w leżącą na stole kserokopię listu z podziemi. – Czy fakt, że pogrubione cyfry oznaczają nazwisko Cranacha, umożliwia nam jakoś odgadnięcie reszty?

– W dalszym ciągu nie znamy książki, której użyto do zakodowania wiadomości.

– Czy Cranach napisał jakieś dzieło? Może jakiś podręcznik malarski? – Paulina przesunęła laptopa Igora i wpisała nazwisko malarza oraz wyrazy „księga” i „sztambuch”.

– O ile wiem, to nie, ale jest pewnie mnóstwo książek jemu poświęconych. I to pewnie napisanych we wszystkich europejskich językach – odpowiedział Igor, wzruszając ramionami.

– Wyskakuje mnóstwo literatury fachowej na temat malarstwa renesansowego. Symbolika, późne wpływy gotyku... – Paulina śledziła pojawiające się w przeglądarce linki.

– Fakt, czytałem, że jego obrazy były wieloznaczne. Sceny mitologiczne przedstawiały często alegorie. – Igor pokiwał głową. – Ta Judyta to też pewnie jakaś obsesyjna symbolika seksualna, biorąc pod uwagę, że malował

ją pod postacią całkowicie współczesnych mu kobiet.

– Może jakiś zawód miłosny? – mruknął Johann, wpatrując się w kartkę z czterema kolumnami liczb.

Paulina oderwała wzrok od monitora i w skupieniu spojrzała w okno.

– Cranach był propagatorem reformacji. Barnim wprowadził na Pomorzu protestantyzm. Obaj podziwiali Lutera. Może to reformacja jest jakąś wspólną płaszczyzną.

– Książęta przejęli niezły majątek po Kościele katolickim. Mnóstwo nieruchomości, cały dobytek klasztorów, a przede wszystkim cenne wyposażenie. Może jest jakiś nieznaną skarby, który odkryli masoni. – Igor pochylił się nad czystą kartką i zaczął bezwiednie kreślić kółka i przepisywać cyfry z leżącego tuż obok szyfru.

– Według opowieści dziadka, tajemnica jest starsza, więc nie może się wiązać z majątkiem Kościoła z szesnastego wieku. – Paulina pokręciła głową powątpiewająco. – Ale to fakt. Po wymarciu Gryfitów krążyły legendy o skarbach, które po nich pozostały. Czytałam o tym gdzieś.

– Ja też – powiedział Igor. – Na przykład w czasie okupacji francuskiej marszałek Napoleona, książę Bellune, kazał otworzyć kryptę książęcą, ponieważ doszły go słuchy o bajecznych skarbach. Swoją drogą, to ciekawe. Ponoć też był masonem.

– I co? Znaleźli coś? – Johann oderwał się od studiowania tajemniczego szyfru.

– Według różnych źródeł ten cały marszałek obejrzał tylko kryptę i niczego nie zabrał.

– Pewnie mało co już tam było. Przecież dopiero co, raptem kilka lat wcześniej, kryptę ograbili żołdacy Fryderyka Wilhelma Trzeciego. – Paulina wzruszyła ramionami.

– Zastanawia mnie ten trop luterański. – Igor spojrzał na nią i potarł palcem brodę. – Jest pewna ciekawa hipoteza na temat powiązań niemieckiej masonerii.

– Co to za hipoteza? – Johann spojrzał z zainteresowaniem.

– Jak przypuszczalnie wiecie, masoni oficjalnie pojawili się w osiemnastym wieku. To wtedy w Anglii powstała pierwsza loża masońska. Jednak zdaniem wielu teoretyków masoneria jest znacznie starsza. Jedna

z teorii mówi o tym, że wykształciła się z organizacji cechowych mistrzów budowlanych, którzy w średniowieczu strzegli swoich tajemnic zawodowych. Później mistyka wzięła górę nad pragmatyzmem i związki cechowe zaczęły się zmieniać w tajne stowarzyszenia, do których przystępowali także intelektualiści i ludzie niezwiązani z budownictwem.

– Teraz najgłośniejsze jest o domniemanych powiązaniach łóż masońskich z templariuszami – wtrąciła Paulina.

– Tak. Znacznie wcześniej jednak masonerię wiązano z inną tajną i elitarną organizacją, która powstała właśnie w Niemczech. Później te dwa prądy łączono, ale zdaniem niektórych publikacji angielscy masoni zapożyczyli wiele od tego ruchu: zamiłowanie do tajemnic, odwołania do gnostycyzmu, starożytnej wiedzy, zwłaszcza Egiptu.

Do stolika podszedł kelner i zebrał na tacę puste filiżanki.

– Co to za organizacja? Chyba coś mi świta, ale nie mogę sobie przypomnieć. – Johann podrapał się po głowie.

– Różokrzyżowcy – odpowiedział Igor i sięgnął po szklanekę z wodą mineralną.

\*

Pilecki w towarzystwie drugiego młodego policjanta o potężnej posturze zapukał w otwarte drzwi i wszedł do środka małego pokoiku Bondara.

– Wypytałiśmy wszystkich z tej kamienicy obok hotelu. Nikt o tej porze nie przyjmował gości. Tam mieszkają przeważnie starsi ludzie, którzy w większości już spali. – Usiadł naprzeciwko Bondara i położył przed nim teczkę z dokumentami. – A tu jest protokół z oględzin zwłok. Chciał go pan ponownie przejrzeć.

– Na pewno dotarliście do wszystkich? – Bondar oderwał się od czytania raportu z czynności dochodzeniowych w sprawie morderstwa na cmentarzu, nad którym pracowali od blisko trzech miesięcy.

– Tak. Tylko młoda dziewczyna, która wynajmuje mieszkanie na trzecim piętrze, mogła mieć takich gości, tak przynajmniej powiedziało nam kilka osób z jej sąsiedztwa, ale ona była na imprezie w Kafe Jerzy. Sprawdziliśmy, rzeczywiście była.

– Czyli ci trzej z kamery weszli do środka i zniknęli? – Bondar popatrzył

na Pileckiego.

– W takim razie Fleming, który przyszedł potem, musiał ich spotkać. No chyba że się gdzieś tam ukryli i dopiero potem jakoś wymknęli. Fleming mówił, że wychodził do samochodu, może w tym momencie uciekli? – Pilecki wzruszył ramionami.

– Chyba że kłamie – Bondar zacisnął szczęki i postukał palcem w stół.

– No właśnie, też się nad tym zastanawiałem. – Młody policjant pochylił się w kierunku biurka. – A jeśli ci faceci to też towarzystwo Boroli? Wcześniej coś znaleźli, posłali po Fleminga, który przyjechał, żeby im pomóc. W międzyczasie napatoczył się cieć, więc go łupnęli, upozorowali wypadek i wymyślili włamanie?

– Hmm... – Bondar pokręcił głową. – Ten trup w szoferce był najwyraźniej przeszukiwany, może rzeczywiście znaleźli przy nim coś cennego.

– Sanitariusze mówili, że Fleming wszedł przy nich do lochów. – Pilecki potarł dłonią dwudniowy zarost. – Może sobie coś przypomniał i poszedł zatrzeć jakieś ślady?

– Faktycznie, kurz na klamkach samochodu i wokół drzwi był powycierany. Może za szybko uwierzyliśmy w tę jego historyjkę o włamywaczach? – Bondar spojrzał na młodego policjanta i pokiwał głową. – Musimy ponownie porozmawiać z panem architektem.

\*

W 1616 roku, w małej oficynie wydawniczej w stolicy niemieckiego księstwa Hesja Kassel, wydrukowano tajemniczą broszurę o o intrygującym tytule *Alchemiczne zaślubiny Christiana Rosenkreutza roku 1459*.

W taki oto sposób, po raz pierwszy w oficjalnej historii, pojawiła się nazwa legendarnego zakonu Różanego Krzyża, czyli różokrzyżowców.

W czasach gdy w Niemczech, jak i w całej Europie, płonęły stosy, tysiące ludzi poddawano torturom za najbardziej nawet niewinne odstępstwa w myślach, słowach czy uczynkach od kanonów przyjętej wiary, a pod topór kata trafić można było nawet za czytanie Biblii, światło dzienne ujrzały manifesty głoszące potrzebę ogólnoswiatowej reformy oraz powstrzymania

grożącego ówczesnej Europie moralnego i intelektualnego upadku. W zestawieniu z powszechnie kojarzającym się z tą epoką egzekwowaniem siłą wiary w dogmaty, terrorem inkwizycji i niszczeniem nauki oraz wszelkiego postępu, dzieła różokrzyżowców głosiły dokończenie reformacji luterańskiej, zjednoczenie wszystkich chrześcijan oraz postęp naukowy widziany jako współpracę uczonych. Wśród postulatów pojawił się nawet pomysł wydania wielkiej encyklopedii, w której zawarta byłaby cała zgromadzona przez wieki wiedza ludzkości.

Mimo że broszura wydana została anonimowo, autorstwo do dzisiejszego dnia przypisuje się luterańskiemu pastorowi, profesorowi uniwersytetu w Tybindze, nazywanemu „Lutrem z Wirtembergii”, Johannowi Valentinowi Andreae.

Mająca już niedługo stać się legendarną książeczka *Alchemiczne zaślubiny Christiana Rosenkreutza roku 1459* opowiadała historię założenia sekretnej bractwa Różanego Krzyża przez XV-wiecznego niemieckiego księcia Christiana Rosenkreutza, adepta starożytnej egipskiej i arabskiej wiedzy. Powieść, przesycona mistycyzmem i symboliką alchemiczną, bardzo szybko stała się biblią wszelkiej maści alchemików i poszukujących w nieskończoność sposobu na zamianę metalu w złoto adeptów czarnej magii. Natomiast symboliczny zakon legendarnych chrześcijańskich rycerzy, posługujących się mistycyzmem i wiernych rycerskiej mitologii rycerzy Okrągłego Stołu, wydostał się z kart powieści i zaczął żyć swoim własnym, tajemnym życiem.

Legendarni różokrzyżowcy, odsądzeni od czci i wiary przez Kościół katolicki, uwikłani w niekończące się teorie spiskowe, skojarzeni w końcu z inną tajemną organizacją, masonerią, na zawsze splekli się z ciemniejszą stroną historii kontynentu.

– Czyli w rzeczywistości nigdy nie było żadnego zakonu różokrzyżowców? To zwykła spiskowa teoria dziejów? – Paulina popatrzyła z zamyśleniem na Igora.

Igor wyduł usta i wzruszył ramionami.

– Rosenkreutz, czyli różany krzyż albo krzyż z róż. – Johann pokiwał głową.

– Zgadza się. Pastor Andreae do stworzenia nazwy zakonu użył prawdopodobnie elementów z własnego herbu, w którym był krzyż oraz trzy

róże na przecięciu ramion.

– A jaki to wszystko ma związek z Cranachem i Barnimem? – Paulina spojrzała na Igora. – Skoro jak sam twierdzisz, manifest różokrzyżowców, będący początkiem ruchu, powstał w tysiąc sześćset szesnastym roku? Cranach umarł w tysiąc pięćset pięćdziesiątym trzecim, a księżę dwadzieścia lat później. Ani jeden, ani drugi nie mógł mieć zatem nic wspólnego z tym zakonem.

– Żadna organizacja tego typu nie powstaje przecież z niczego. Jeśli pastor Andreae napisał na początku siedemnastego wieku kilka prac poświęconych tej tematyce, to dlatego, że musiała ona od dawna już funkcjonować w jakimś piśmiennictwie, a przynajmniej w plotkach i opowieściach. Poza tym podobne ruchy rozwijały się od średniowiecza, a różokrzyżowcy bezpośrednio do nich nawiązywali. Większość z tych nauk wywodziła się z tradycji gnostyckich i dawnych ich wyznawców – esseńczyków, manichejczyków, katarów. Poza tym sam August Drugi był podejrzewany o sprzyjanie tego typu ruchom, a Cranach, który pracował na jego dworze, prawdopodobnie także był nimi zafascynowany.

– A Barnim? Wszędzie, we wszystkich źródłach opisujących Barnima Dziewiątego podkreśla się jego pobożność. Nosił przecież nawet przydomek Pius. Sądzisz, że mógł mieć coś wspólnego z jakimiś tajnymi związkami?

– Nawet jeśli nie miał, to pewnie znał te prądy i być może w pewnym momencie go fascynowały. Może zetknął się z nimi podczas studiów w Wittenberdze? Może natchnęły go wykłady Lutra? Młody chłopak, który spędził kilka lat w obcym mieście, miał pewnie wiele okazji, żeby poznać miejscową śmietankę towarzyską i zetknąć się z różnymi naukami. Jeśli ściągnął potem na zamek szczeciński Cranacha, to pewnie poznał także te różne, modne wówczas półtajne, podziemne prądy i związki.

– No, kto jak kto, ale Luter to chyba nie miał nic wspólnego z jakimiś gnostyckimi herezjami? – Paulina, szukając sprzymierzeńca, spojrzała na Johanna.

– Luter sam był oskarżany o herezję, a poza tym, właśnie mniej więcej w czasie studiów Barnima w Wittenberdze, miał krótki okres zainteresowania mistyką. No i są pewne teorie łączące różokrzyżowców z luteranizmem właśnie.

– Jakie teorie? – Paulina spojrzała zaskoczona na Igora.



– To jest oczywiście klasyczna teoria spiskowa, ale zobaczcie, jak wygląda heraldyczne godło luteranizmu. – Igor odwrócił laptopa tak, żeby Paulina i Johann mogli obejrzeć to, co widniało na ekranie.



– Krzyż umiejscowiony w środku serca i opleciony białą różą. – Spojrzał na nich z uśmiechem. – Czy to się nie kojarzy z różokrzyżem? W dodatku róża ma pięć płatków, które tworzą regularny pentagram.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Niesłychane. – Paulina, nie odrywając wzroku od monitora, przerwała w końcu ciszę. – Nigdy bym nie pomyślała, że luteranizm może się wywodzić z takich wywrotowych prądów.

– Ja też nie, a jestem teoretycznie protestantem. – Johann patrzył w zamyśleniu na godło widniejące na ekranie. – Oficjalnie oczywiście krzyż w sercu symbolizuje wiarę i miłość Boga, biała róża natomiast to symbol czystości, ale w kontekście tego, o czym mówimy, to rzeczywiście zastanawiające.

Ponownie zapadła cisza. Igor oczami wyobraźni widział mroczne zaułki średniowiecznej Wittenbergi, gdzie młody pomorski książę, w którym pewnie życie płonęło niczym pochodnia, być może dał się uwieść poglądom

dalekim od ówczesnych skostniałych dogmatów. Charyzmatyczny teolog i wykładowca właśnie dojrzywał do tego, żeby stać się przywódcą ruchu, który już za chwilę oderwie od Watykanu połowę Europy, a nadworny malarz saksońskich władców tworzył dzieła, których przesłanie do dzisiaj nie jest do końca jasne. Mroki średniowiecznej Europy rozświetlało właśnie odrodzenie.

Paulina oderwała w końcu wzrok od luterańskiego godła.

– Strasznie daleko odeszliśmy od tematu tego cholernego szyfru – westchnęła. Sięgnęła po kserokopię listu z podziemi i położyła ją przed sobą.

– Co jeszcze wiadomo o tym Cranachu?

– Jego syn, Cranach Młodszy, także malował dla Gryfitów. Zachował się portret Filipa Pierwszego w naszym muzeum – mruknął Igor. – Pewnie także pracował dla Barnima Dziewiątego.

Paulina odsunęła od siebie laptopa.

– Po Gryfitach bardzo niewiele zostało. Praktycznie z całego niemałego księstwa ocalała garstka średniej jakości dzieł sztuki i precjozów. Wszystko pozostałe uległo rozproszeniu po całej Europie albo zaginęło.

Igor pokiwał głową i westchnął. Racja. Nie zachowały się ani rezydencje Gryfitów, ani bogate wyposażenie, ani gromadzone przez pokolenia dzieła sztuki. Wszystko zmiotła historia wraz z całym księstwem, które zniknęło z mapy.

Johann nagle gwizdnął przeciągle i spojrzał na nich, podnosząc wysoko brwi. Miał przed sobą ekran zaanektowanego przed chwilą laptopa.

– Szukaliśmy powiązań Cranacha z Barnimem Dziewiątym, a może trzeba było szukać powiązań z Barnimem Raminem. Popatrzcie, co Cranach narysował w tysiąc pięćset dwunastym roku.

Na ekranie widniał rysunek namalowany prostymi kreskami niczym komiks. Na pierwszym planie mężczyzna ze zmierzwionymi włosami posuwał się na czworakach w kierunku lasu, trzymając w zębach małe dziecko. W oddali, w drzwiach domu, stała kobieta, załamując ręce w geście rozpacz, a dookoła walały się krwawe szczątki, głowa i oderwane od tułowia ręce i nogi. Na horyzoncie majaczyła wielka góra z zamkiem na szczycie.

Upiorny rysunek nosił tytuł „Werwolf”.

\*

Dorota odstawiła filiżankę kawy i z ledwo ukrywaną irytacją słuchała tego, co mówił właśnie do niej przez telefon Kurt. Pół godziny temu obsługa przyniosła śniadanie, świeże pieczywo, jogurt, trochę warzyw i wędlin oraz dzbanek z gorącą kawą.

– Skąd ty znasz takich typów? To jakaś paranoja z tą twoją pracą. Facet z pierwszej fotki, którą mi przysłałaś, to Hans Detlov, znany awanturnik. Jest poszukiwaczem wraków i różnych skarbów. Było o nim głośno kilka lat temu, gdy wydobyl z dna Bałtyku kufer z kilogramami srebra. Chyba nieźle z tego żyje. – Kurt przerwał i westchnął. – Nie wiem, co ty masz z nim wspólnego? Poznałaś go?

Dorota przewróciła oczami i spojrzała na ekran laptopa, na którym widniała zrobiona u Igora fotografia tajemniczego listu.

– Przecież ci mówiłam. Mój inwestor z nim współpracuje. Chciałam się dowiedzieć po prostu, kto to jest.

Małe kłamstwo przeszło jej gładko przez gardło.

W słuchawce rozległo się kolejne westchnienie.

– Natomiast co do Heinricha von Hagen to jakaś pomyłka. W rodzinie Gustawy von Ramin z domu von Hagen nie ma nikogo o takim imieniu, sprawdziłem w linii jej pokolenia. Przeczesałem różne portale i towarzystwa heraldyczne i dotarłem nawet do potomków tej linii. Nie wiedzą nic o takiej osobie. Musiałaś się pomylić. I kto to jest, do diabła? – Kurt ostatnie zdanie powiedział podniesionym głosem.

– No przecież mówiłam, że to rodzina z tego majątku, którego odbudową się zajmuję. Po prostu grzebię w archiwaliach dotyczących rodziny byłych właścicieli. W każdym projekcie konserwatorskim sprawdza się takie fakty.

– Mówiłaś, że będziesz robić ultranowoczesny dom w miejscu tego dworu.

– Tak, ale to mnie nie zwalnia z obowiązku zapoznania się z jego historią.

– Dorota właściwie wierzyła w to, co mówi, była więc bardzo przekonująca.

– I ostatnia sprawa. To drugie zdjęcie, które mi przysłałaś... – Kurt na chwilę zamilkł i słyhać było, jak stuka klawiszami swojego laptopa. – To jest Heinrich Siegfried von Parsov. Biznesmen, właściciel wielkiej firmy transportowej, bardzo bogaty. Jego rodzina także pochodzi z Pomorza. On

sam urodził się przed wojną w Szczecinie. Z tego, co się dowiedziałem, nie jest spokrewniony ani z Raminami, ani z rodziną von Hagen.

Dorota zacisnęła zęby.

Po co więc były te brednie o tym, że jest krewnym właścicieli? No, ale z drugiej strony, skądś wiedział, jak wygląda układ pomieszczeń w dworze Raminów. Może był tam przed wojną? A może znaleźli jakiś opis? Dorota zmarszczyła brwi. Nagle jednak pomyślała o czymś, co ją zmroziło. Pokrewieństwo pokrewieństwem, ale co z jej kontraktem? Był przecież podpisany przez wyimaginowanego von Hagen! O co tu chodzi?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Kurt miał lekko poirytowany głos.

– Przepraszam, zamyśliłam się. To nazwisko przewinęło się tutaj w jakimś opisie, może to jakiś sąsiad albo ktoś tam. Nieważne. Jak widać, nie nadaję się do robienia kwerend historycznych. Poza tym to nudziarstwo, nie chciałoby mi się w tym szperać, dziękuję, że mnie wyręczyłeś.

– Kiedy wracasz do Berlina? Mogłabyś ten projekt robić przecież w domu.

Jeśli będzie jakikolwiek projekt do robienia. Dorota poczuła pełną po plecach dreszcz niepokoju. Świetnie wyceniony projekt, który miał być remedium na jej problemy finansowe, właśnie chyba szlag trafił. Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po ósmej. Odruchowo poprawiła bransoletkę z białego złota, na której kołysały się trzy malutkie złote serduszka. Prezent od Kurta.

– Wracam pewnie w przyszłym tygodniu. Muszę załatwić tutaj kilka papierów. Obiecuję, że postaram się to przyspieszyć, jak się da – zaszcebiotała do słuchawki, chcąc ułagodzić Kurta. – Muszę już kończyć. Przepraszam. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Odłożyła telefon na stół i nerwowo odgarnęła włosy z twarzy.

\*

Paulina sięgnęła po laptopa i przesunęła go w swoją stronę.

– Werwolf? To tytuł tego rysunku? – Igor przechylił się, usiłując zobaczyć niesamowitą grafikę Cranacha.

– Rysunek na desce, z tysiąc pięćset dwunastego roku. – Paulina podniosła brwi. – Robi wrażenie.

– Może to jest to? – Johann potarł brodę i spojrzał na nich z podnieceniem.  
– Jakaś znana książka o tytule *Werwolf*. Może to jest właśnie klucz?

– Dobra, to poszukajmy. – Paulina wpisała w przeglądarkę tytuł rysunku Cranacha i dodała wyraz „książka”. Na monitorze wyskoczyło kilkadziesiąt linków do literatury na temat niemieckiej organizacji dywersyjnej.

– To nie może być żadna książka na temat Werwolfu, bo w tamtym okresie nikt przecież na ten temat nie pisał. – Igor przeleciał wzrokiem po tytułach artykułów i stron w sieci. – To musi być coś o prawdziwych wilkołakach, tych z pomorskich legend.

Nagle jeden z linków, który ukazał się w przeglądarce, wzbudził jego zainteresowanie.

– Otwórz to! Ten tutaj. – Wskazał palcem link na ekranie.

Internetowa encyklopedia sucho informowała o urodzonym w 1866 roku niemieckim pisarzu.

– Hermann Löns? – Paulina pokręciła głową. – Jak widać po twojej reakcji, mam braki w znajomości literatury, bo pierwszy raz słyszę to nazwisko.

– Literatura to może za dużo powiedziane w jego przypadku. Pisał mnóstwo o przyrodzie i środowisku naturalnym. W tamtych czasach był prawdziwym prekursorem tej tematyki. Sławę przyniosła mu natomiast romantyczna powieść, odwołująca się do starych pomorskich legend o wilkołakach. Książka dotyczyła jakichś powstańców niemieckich walczących ze Szwedami w czasach wojny trzydziestoletniej, ale bardziej interesująca jest inna rzecz, wiążąca się z tym pisarzem.

Igor zawiesił głos i popatrzył na nich tajemniczo.

– Co takiego? – Paulina wbiła w niego wzrok.

– Zginął w czasie pierwszej wojny światowej we Francji. W tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku Niemcy, którzy uznali go za wzór nazistowskich cnót, sprowadzili jego szczątki do kraju. To od tej jego książki *Werwolf* wziął swoją nazwę. – Igor popatrzył na Paulinę. – Nie napisałaś nic na ten temat w swoim artykule.

– Miałam na to jeden dzień. – Paulina rzuciła mu urażone spojrzenie.

– Jaki on może mieć związek z Raminami? Przecież oni byli raczej przeciwnikami nazistów? – Johann spojrzał niecierpliwie na Igora.

– On sam pewnie też byłby ich przeciwnikiem. To naziści uznali go za idola prawdziwych Niemców. A do tego, co miał wspólnego z Raminami, właśnie zmierzam, tylko ciągle mi przerywacie. Löns pisał dużo o Puszczy Wkrzańskiej. O zwierzętach, przyrodzie, a także na temat różnych podań ludowych i legend z tych terenów. Nieopodal majątku Raminów leżała wieś Hohenlese, czyli dzisiejsze Leśno Górne, i tam w latach trzydziestych postawiono na wzgórzu pomnik tego pisarza, wielki granitowy głaz, na którym wyryto gotykiem inskrypcję oraz grupę ślicznych zajaczków. – Uśmiechnął się do Pauliny. – Ten kamień przetrwał do dziś, a wzgórze nazywa się teraz Wzgórzem Pokoju. Biegnie tam dróżka w kierunku Polic. Natomiast odniesienie do spiskowej teorii dziejów każe nam się zastanowić, czy ma jakieś znaczenie fakt, że właściciele Leśna Górnego byli tak jak Raminowie masonami. – Igor podniósł brwi i spojrzał na Johanna i Paulinę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Jak brzmi ta inskrypcja z kamienia? – zapytał Johann.

– Kiedyś pamiętałem... – Igor podrapał się po brodzie. – Hmm...

Paulina przesunęła laptopa w kierunku Johanna.

– To ten kamień.

– *Wilkołak zaniósł się wyciem przez krainę,*

*Poeta wrzosowisk umarł za swoją ojczyznę...*

Johann przetłumaczył wyryty na kamieniu gotykiem niemiecki napis i wzruszył ramionami.

– Zwykły tekst pamiątkowy. W dodatku ułożony przez jakieś przedwojenne Towarzystwo Leśne.

– Dobrze, więc tak... – Paulina wbiła wzrok w ekran i podniosła palec do góry. – Po pierwsze, Raminowie i ta rodzina z Leśna Górnego...

– Brussow – wtrącił Igor.

– ...byli sąsiadami i członkami łóż masońskich. Pewnie się znali, być może spotykali we dworze Raminów na zebraniach łoży w tej wielkiej, słynnej sali. Na pewno znali tę powieść o wilkołakach Lönsa. Barnim, który być może wkupił się do Werwolfu, by się ukryć przed oprawcami po operacji „Walkiria” z jednej strony, a z drugiej, żeby wykraść sarkofag Barnima Dziewiątego, mógł założyć, że jego bliscy, a także ci „bracia” łatwo się domyślą, jaka książka jest kluczem do szyfru.

– Moim zdaniem, oni wcześniej musieli ustalić, która książka będzie kluczem. Żeby ułożyć ten szyfr, nasz kierowca musiałby ją przecież mieć przy sobie – zauważył Igor.

– Niech będzie. – Paulina ugodowo pokiwała głową. – Wcześniej ustalili, że książka *Der Wherwolf* będzie tajnym kluczem, ale jeśli wkomponowane nazwisko Cranacha miało być podpowiedzią, to wcześniej musieli ułożyć także cały ten szyfr. Czyli...

– Czyli musiał dotyczyć jakiejś wcześniejszej tajemnicy, a nie tylko tego, co wydarzyło się w tych lochach, czy nawet w czasie pobytu Barnima w Szczecinie jako członka Werwolfu. – Johann pokiwał głową. – Może w tym się kryje wyjaśnienie, co ma z tym wszystkim wspólnego sarkofag?

Paulina popatrzyła na nich i sięgnęła po laptopa.

– Nie mamy zatem wyjścia, musimy znaleźć tę książkę!

## Rozdział 17

Dorota siedziała w małej hotelowej sali konferencyjnej, którą jej inwestor wynajął na swoje potrzeby podczas pobytu w Szczecinie, i zimnym wzrokiem patrzyła na dwóch siedzących naprzeciwko niej mężczyzn. Przed chwilą kelnerka postawiła przed nią filiżankę z kawą i wyczuwając lodowatą atmosferę przy stole, bez słowa wyszła z pomieszczenia.

– Oczywiście, zrekompensuję pani odpowiednio tę drobną, niezręczną niedogodność. Niestety, doskonale zdaję sobie sprawę, że jeżeli wyjawimy to władzom, to będę mógł zapomnieć o tym dokumencie, a sama pani rozumie, że z powodów emocjonalnych jest dla mnie ważny. Poza tym naprawdę nie chcielibyśmy, by pani mąż miał jakiegokolwiek nieprzyjemności z tego tytułu.

Siedzący obok von Hagena plenipotent pokiwał głową i sięgnął po dzbanuszek ze śmietanką.

Dorota napiła się kawy i odstawiła filiżankę.

„Drobna, niezręczna niedogodność”, dobre sobie. Właśnie zaproponowali jej, żeby okradła Igora, i to ma być drobna, niezręczna niedogodność. Gdyby nie zrobiła tego wcześniej z własnej woli, byłoby to co najmniej oburzające. W myślach pominęła gładko kwestię własnej hipokryzji i skupiła się nad tym, co w rzeczywistości oznaczała propozycja, którą właśnie przedstawił jej dotychczasowy inwestor.

Po pierwsze, zlecenie, które dostała od nich, zawdzięczała Igorowi, a konkretnie temu, że od początku chcieli ją wykorzystać do tego, by ewentualnie mieć go na oku. Po drugie, fakt, że chcieli dorwać się do oryginału tego listu, dowodzi tylko tego, że miała rację i że jest coś wart. A po trzecie... ciekawe, ile jest dla nich wart?

– Czyli mówiąc wprost, miałabym wykraść ten list mojemu byłemu mężowi, a panowie za tę hmm... – Dorota uśmiechnęła się słodko – „drobną, niezręczną niedogodność” odpowiednio mnie wynagrodzicie?

Plenipotent podniósł wzrok i spojrzał na Dorotę oczami drapieżnika, który



zaczyna podejrzewać, że być może nie docenił swojej ofiary. Von Hagen odchrząknął i spojrzął na nią niecierpliwie.

– Zdaje sobie pani sprawę, że to dla mnie cenna pamiątka rodzinna. Pani mąż, prawdopodobnie z zamiłowania do staroci, po prostu ją sobie przywłaszczył. Bardzo nie chcielibyśmy stawiać go w jakiejś przykrew sytuacji, więc dajemy pani doskonałą propozycję, żeby wszyscy wyszli z tego bez szwanku. Ja dostanę bezcenny dla mnie pod względem emocjonalnym list... – Niemiec uśmiechnął się łagodnie, jakby chciał podkreślić, jakie znaczenie mają dla niego pamiątki rodzinne. – Pani dostanie pieniądze i wszyscy będą zadowoleni.

– Oprócz mojego męża – wtrąciła Dorota z niewinnym uśmiechem.

– Pani mąż powinien się cieszyć, że nie pošlemy go do więzienia. Znamy przepisy dotyczące przedmiotów zabytkowych, które obowiązują w pani kraju. A ponadto, wzięwszy jeszcze pod uwagę tę nieprzyjemną historię ze stróżem budynku... – Mężczyzna zawiesił głos i spojrzął na nią wymownie.

– Jeżeli można się wtrącić – odezwał się milczący do tej pory plenipotent. Poprawił okulary i sięgnął do dużej czarnej aktówki, która leżała na stole po jego lewej stronie. – Nie chodzi nam o to, aby „wykraść”, jak pani to ujęła, ten dokument, lecz podmienić na tę oto kopię. – To mówiąc, wyjął z aktówki bliźniaczo podobny do oryginału list. – Skoro pani mąż mógł wykonać kopię, to my tym bardziej.

Dorota sięgnęła po filiżankę. Kopia z kopii, Matko Boska, co ja tu robię?

– Ile pan zatem proponuje za tę drobną przysługę z mojej strony? – Spojrzała na starego Niemca i wypila łyk kawy. – W wyniku której wszyscy będą zadowoleni – dodała złośliwie.

– Jest pani bardzo zasadnicza. – Mężczyzna uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem. – Nie chciałbym, aby potraktowała to pani jako jakąś transakcję. Po prostu mała gratyfikacja. Na przykład pięć tysięcy to chyba bardzo uczciwa suma.

Dorota wypila kawę do końca, odstawiła filiżankę na spodek i spojrzała na obu mężczyzn. Miała nadzieję, że nie przeszarżuje.

– Osiemdziesiąt tysięcy – rzuciła z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Niemiec przez chwilę wyglądał, jakby się zachłysnął. Jego plenipotent uśmiechnął się samymi kącikami ust i spuścił wzrok.

– Pani sobie żartuje – wycedził przez zęby starzec, obrzucając ją wściekłym spojrzeniem.

– Osiemdziesiąt tysięcy – powtórzyła Dorota. – I to nie jest żadna mała gratyfikacja, tylko moja część honorarium za projekt renowacji dworu, którego jak mi się wydaje, nie będziecie potrzebować.

– Jak to nie będziemy potrzebować? – Mężczyzna patrzył na nią wzrokiem, w którym w dalszym ciągu dominowała wściekłość, ale pojawiło się także zaskoczenie.

– No cóż, byłam u wróżki i przepowiedziała mi przyszłość. – Dorota spojrzała na niego kpiąco. – Za kilka dni, może za tydzień, okaże się, że rezygnuje pan z tej inwestycji z ważnych powodów i wykorzystując paragraf siódmy naszej umowy, wycofa się pan z niej, płacąc mi jedynie za dotychczasowe zaawansowanie prac projektowych, czyli jakieś grosze. Moja oferta zatem jest chyba bardziej uczciwa, nie chcę żadnej dodatkowej gratyfikacji, a jedynie moją część całego kontraktu. Z góry.

– Ale skąd pomysł, że wycofamy się z umowy na projekt odbudowy dworu? – Niemiec wymienił się zdumionym spojrzeniem ze swoim towarzyszem. – Nie mamy takiego zamiaru.

– Tym bardziej więc niczym pan nie ryzykuje. – Dorota uśmiechnęła się chłodno. – Oczywiście, nie jestem aż taką altruistką, na jaką mogłabym wyglądać, podpiszemy aneks do umowy, w którym zobowiąże się pan nie dochodzić zwrotu tej, powiedzmy „zaliczki”, w przypadku rezygnacji z inwestycji.

Niemiec zacisnął szczęki i spojrzał na nią przeciągle.

– Droga pani, ten list nie jest aż tak cenną pamiątką rodzinną, żebym zgadzał się na równie żałosne propozycje.

– Ja bym nawet powiedziała, że nie jest żadną pamiątką rodzinną, panie Parsov. – Dorota spojrzała na niego ironicznie. – Żona ostatniego właściciela oczywiście nie była pańską krewną, a pana zainteresowanie tym dworem nie ma nic wspólnego z rodzinnymi koneksjami. Darujmy sobie zatem te brednie.

Oburzony Parsov podniósł się z krzesła i chciał coś powiedzieć, ale Dorota nie dała mu dojść do słowa.

– Na oryginalnym liście były ukryte cztery rzędy dziwnych liczb. Nie

widziałam ich na kopii, więc domyślałam się, że mój mąż jakoś je odczytał.

– Atrament sympatyczny – powiedział cicho Hans, nie spuszczając wzroku z Doroty. Parsov rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Mogłam się domyślić. – Dorota się uśmiechnęła. – W każdym razie wydaje mi się, że zdjęcie, które zrobiłam, jest dla panów dokładnie tyle samo warte, co oryginał listu. Przekażę je panom, gdy na moje konto wpłyną pieniądze, a pan podpisze aneks. – Spojrzała chłodno na Parsova, a następnie wstała i sięgnęła po swoją torebkę.

– Nie jestem pewien, czy jakość zdjęć zrobionych komórką będzie nam odpowiadać. – Hans, nie patrząc na Dorotę, sięgnął po aktówkę.

– Niech pan będzie spokojny, mój telefon robi porządne zdjęcia. – Dorota zrobiła krok w stronę drzwi i w tym momencie stwierdziła, że dała się podejść.

\*

Igor zamknął laptopa i pochylił się nad stołem w kierunku Pauliny i Johanna.

– Muszę zrobić mały eksperyment. Chodźcie ze mną, przejedziemy się.

– Jaki eksperyment? – Paulina schowała do torby swój notatnik i telefon. – W zasadzie powinnam teraz siedzieć nad artykułem.

– Zdążysz, potem cię podrzucę – obiecał Igor, kierując się do zaparkowanego tuż obok samochodu.

Johann podniósł brwi i spojrzał na Paulinę.

– O co chodzi? – spytał, gdy już siedzieli w środku, a Igor powoli wycofywał toyotę z niewielkiego parkingu.

– Dokąd ty jedziesz? Na Kolumba? Ja pracuję dzisiaj w domu. – Paulina wychyliła się pomiędzy przednimi siedzeniami, patrząc w lusterku na Igora.

– Nie jadę na Kolumba – to mówiąc, spojrzał w boczne lusterko. – Wydawało mi się, że ktoś cały czas nas obserwował, jak siedzieliśmy w tym ogródku. I chyba się nie myliłem, bo jedzie za nami.

– Jak to? – Paulina gwałtownie odwróciła się i spojrzała przez tylną szybę.

– Nie rozglądajcie się tak, na miłość boską! – jęknął Igor. – Jedziemy do Książnicy, zobaczmy, co robi.

– Nie mają tej książki Lönsa w Książnicy, zdążyłam sprawdzić w sieci. – Paulina złapała fotel Igora i przysunęła się do przodu. – Naprawdę ktoś nas śledzi? Jezu, myślałam, że to się już skończyło. Kto to jest, do cholery?

– Mamy oryginał tego listu. Skoro myśmy się domyślili, że chodzi o atrament sympatyczny, to ci tajemniczy prześladowcy twojego psa też mogli.

– Ale oni przecież nie wiedzą, że mamy oryginał. – Johann spojrzął na Igora, zezując na tylną szybę.

– Nie wiemy, czy nie wiedzą. – Igor wjechał w wąski podjazd w kierunku rektoratu Pomorskiej Akademii Medycznej i po chwili zaparkował na wolnym miejscu przy kamiennej balustradzie schodów.

Gmach rektoratu wznosił się wśród gęstej zabudowy. Tuż obok, przy ulicy Podgórznej, stały ocalałe dziewiętnastowieczne kamieniczki. Miejsce to było jednym z nielicznych w obrębie Starego Miasta, gdzie zachował się dawny klimat i *genius loci* dawnego Szczecina. Ogromny budynek przedwojennego magistratu wyrastał pomiędzy sąsiedniej, dużo niższej zabudowy, górując nad wąskimi uliczkami. Dosłownie zmuszał do odchylenia głowy w tył w celu ogarnięcia wzrokiem całej jego bryły i niebotycznej wieży, przykrytej wysokim hełmem. Naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy Rybackiej, na rogu z Podgórną wznosiło się nowoczesne i monumentalne jednocześnie, dobudowane do starego dziewiętnastowiecznego budynku, nowe skrzydło Książnicy Pomorskiej.

Johann obszedł samochód i zadarł głowę, podziwiając przywodzący na myśl średniowieczne zamczysko budynek Akademii Medycznej.

Paulina zamknęła drzwi samochodu i stanęła obok Igora.

– I co? Gdzie oni są? Który to samochód? – Spojrzała na niego niecierpliwie.

– Ten ciemny. Zaparkował za winklem, widać tylko jego fragment. – Igor spuścił głowę, odwrócił się i wskazał ręką główne wejście do Książnicy.

– Skoro już przyjechaliśmy, to możemy wejść. Równie dobrze tutaj możemy pogrzebać w necie i poszukać tej książki Lönsa. – Ruszył w stronę budynku naprzeciwko. – Zobaczymy, czy facet z tego auta wejdzie za nami.

Paulina wzruszyła ramionami i poszła za Igorem.

– Tutaj jest bardzo ładnie – powiedział Johann i okręcił się wokół własnej

osi, oglądając okoliczną zabudowę i spoglądając przy okazji w kierunku czarnego, terenowego mercedesa. Zrobił kilka kroków, a następnie przystanął przed kutą niską bramą, zawieszoną na słupach ze sztucznego kamienia, oddzielającą mały dziedziniec frontowy budynku rektoratu od ulicy. Wyjął telefon i ustawił nagrywanie filmu.

Paulina zatrzymała się w hallu nowego skrzydła Książnicy i rozejrzała wokół z nostalgią. Bywała tutaj w swoim czasie tak często, że miała do tego miejsca sentyment. Na piętrze znajdowała się czytelnia ogólna, w której często przesiadywała. Kiedyś jako dziecko przychodziła też do wypożyczalni. Wtedy nie było jeszcze nowoczesnego gmachu, a cała Książnica mieściła się w starym, przedwojennym budynku. Główne wejście było wtedy z przeciwnej strony i pamięta, jak wchodziła na szerokie, betonowe schody, szukając gorączkowo w kieszeni karty bibliotecznej, bez której oschłe panie bibliotekarki nie chciały nawet z nią rozmawiać.

Westchnęła i ruszyła za Igorem, który skierował się ku schodom na piętro.

Johann dopędził ich przed samymi drzwiami wejściowymi do czytelnia ogólnej.

– Właśnie zaczęliśmy się martwić, że się zgubiłeś. – Igor spojrział na niego, marszcząc brwi.

– Nakręciłem tego gościa z samochodu. Rozpoznamy go, jak się będzie tu szwendał. – Johann pchnął szerokie skrzydło i przepuścił przodem Paulinę. Po chwili siedzieli przy bocznym stoliku i wpatrywali się w ekran smartfonu.

– To ten typ. Było ich dwóch w środku, ale ten drugi wysiadł i poszedł w przeciwną stronę. – Johann postukał palcem w stół po prawej stronie ekranu.

– Pewnie do drugiego wejścia. Tego od strony Czerwonego Ratusza. – Paulina pochyliła się nad ekranem. – To na pewno nie jest ten bandzior, który wyrwał mi kopertę przed magistratem.

– Za to mnie się wydaje, że to jeden z tych, których przepędziłem sprzed twojego domu. – Igor podrapał się po brodzie. Wyciągnął laptopa i postawił go na stole.

– Jeśli zapisaliście gdzieś na kartkach czy w pamięci ten szyfr, to

powyrzucajcie i pokasujcie to teraz. I wszystkie inne rzeczy. Zapiszemy to na jakimś portalu i ustalimy hasło.

– A co zrobiłeś z oryginałem listu? – Paulina spojrzała na Igora z niepokojem.

– Spokojnie, dwa razy nie dam się okraść. Jest bezpiecznie ukryty. – Igor otworzył popularny portal do przechowywania plików i spojrzał na Paulinę, która zaglądała mu przez ramię. – Na przykład tu. Hasło „bunny”.

– Aleś wymyślił. Ulubione miejsce do ściągania muzyki i pornoli.

– Nieważne. Póki co może być. – Spojrzał dyskretnie w kierunku wejścia do sali. – Jesteś pewna, że nie ma tutaj tej książki? W żadnym dziale?

– Bunny... – Paulina pokręciła głową. – Nie ma. Mają katalogi na swojej stronie i wyszukiwarke. Pozostaje nam poszukiwanie w necie.

– Dobra, zobaczymy, czy Gutenberg[26] coś znajdzie. – Igor wpisał w wyszukiwarce tytuł i autora i wcisnął enter. Po chwili na ekranie otworzył się spis linków. Trzeci odsyłał do portalu, który swoją nazwę zawdzięczał słynnemu drukarzowi z XV wieku.

\*

Matthias poczuł złość. Nie był przygotowany na takie zadania. Nie żeby nie potrafił sobie poradzić, ale uważał, że to draństwo. Wykonywał już podobne polecenia na rozkaz swojego aktualnego pracodawcy. Rok temu musiał porządnie przekonać jednego faceta, żeby odstąpił od pomysłu przeszukiwania w akwalungu pewnego jeziora, wokół którego kręcił się jego szef. Poskutkowało. Oczywiście, przecież Matthias doskonale znał się na swojej robocie. Poprzednio należał do niewielkiego gangu zajmującego się wymuszeniami. W tej pracy miał mniej takich obowiązków służbowych, ale się zdarzały, jak choćby z tym płetwonurkiem.

Ale tym razem chodzi o laskę! W dodatku diabelnie atrakcyjną.

\*

– Jest nawet kilka plików. Tylko że one wszystkie dotyczą jednego wydania z Jeny, z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. – Igor pochylony nad laptopem przeglądał zawartość otwartego portalu.

– Te nazistowskie wydania od trzydziestego piątego roku można i tak sobie darować, musieli mieć starszą wersję. – Johann spojrzął na jeden z otwartych linków

– A jeśli specjalnie wybrali któreś z tych właśnie, żeby w czasie wojny uchodzić za przykładowych Niemców? – Paulina spojrzała na niego nad ramionami Igora.

– To będziemy musieli poszukać gdzie indziej, bo w tym Gutenbergu, jak widzę, jest chyba tylko to jedno wydanie, tyle że zapisane w różnych plikach i rozszerzeniach. – Igor wykrzywił się. – Ta wersja z Jeny była wydana gotykiem.

– Najstarszego wydania z tysiąc dziewięćset dziesiątego roku w necie chyba nie znajdziemy. – Johann pokręcił głową. – A poza tym nie jest wcale powiedziane, że akurat ono jest kluczem.

– Niby tak. – Paulina pochyliła się nad niemieckim tekstem na ekranie. – Ta wersja z Jeny wygląda dość nobliwie. Może to jest przedruk pierwszego wydania?

– Możemy spróbować odszyfrować nasz tekst przy pomocy tej wersji – zaproponował Igor, patrząc na Paulinę.

– Dobrze, otwieraj ten szyfr i zobaczymy – powiedział niecierpliwie Johann.

Igor otworzył portal z zapisanym hasłem i spojrzął na cztery rzędy liczb, a następnie przewinął na ekranie tekst książki i zatrzymał się na trzeciej stronie.

– Trzecia strona, pierwsza linijka i dziewiętnasta litera – mruknął do siebie.

– E. – Paulina wbiła wzrok w ekran. – Zapisujesz?

Igor sięgnął po długopis i napisał na kartce przed sobą malutką literkę e.

– Czwarta strona, osiemnasta linijka i siódma litera. – Spojrzął na ekran i zaczął, pomagając sobie palcem, odliczać litery w odpowiednich miejscach w tekście książki.

– R – mruknął i zapisał kolejną literę na kartce.

Po kilkunastu minutach na małej stronie z notatnika widniały cztery rzędy liter.

E	R	R	M
N	L	B	D
W	F	O	S
R	T	V	R

Igor popatrzył krytycznie i przepisał je w rzędzie, poczynając od lewej strony.

**E R R M N L B D W F O S R T V R**

– Jakaś bzdura – mruknął Johann. – To nic nie znaczy.

Paulina ruszała wargami, usiłując znaleźć niemieckie słowa, dające się ułożyć z zestawienia szesnastu liter widniejących na kartce.

– Nie dość, że nie ma sensu, to jeszcze żaden anagram z tego się nie układa.

– Zapis kolumnami też nic nie daje. – Johann spojrzął zniechęcony na ekran laptopa i oparł się, wyciągając pod stołem nogi na całą ich długość.

– No, to kiepsko – westchnął Igor. – Możemy mieć problemy z dotarciem do innych wersji tej książki. Pewnie są w Niemczech w jakichś bibliotekach, które nie mają katalogów w necie. Musielibyśmy dzwonić i się pytać.

Paulina podniosła brwi i spojrzała na zegarek.

– No dobrze. Przejrzę biblioteki w większych miastach i podzwonię tam, ale teraz muszę uciekać. Mój artykuł do jutra sam się nie napisze. – Skrzywiła się.

– Ja też mogę spróbować. – Johann podniósł się, popatrując w kierunku drzwi. – Ciekawe, czy te typy ciągle się tam kręcą?

– Pewnie pilnują mojego samochodu. – Igor wpisał do katalogu na portalu wynotowane litery i porwał na małe kawałeczki kartkę, na której wcześniej je zanotował. – Możemy się tym nie przejmować i po prostu odjechać. Nic nam nie zrobią, przecież nas nie napadną. To nie Chicago. – Wstał i zaczął wpychać swojego laptopa do torby.

\*

Dorota szybkim krokiem szła przez szeroką parkową aleję. Żwir chrzęścił



pod jej szpilkami. Hotel był na tyle blisko, że nie zabrała ze sobą samochodu. Teraz trochę tego żałowała, bo po denerwującej rozmowie z tymi gangsterami czuła się zmęczona. Stres. No i niepotrzebnie palnęła o tej komórce. Bezmyślność albo utrata czujności. No, ale co właściwie mogą zrobić? Włamać się do jej hotelu? Nasłać na nią jakichś zbirów? To środek miasta, niby duży park, ale tuż obok są akademiki Akademii Morskiej, a o tej porze chodzi tędy sporo ludzi. No i nie ma jeszcze nawet południa przecież. Raczej mogła być spokojna.

Rozejrzała się wokół siebie i zwolniła. Kilkanaście metrów za nią, po przeciwnej stronie ulicy od strony akademików, nadchodził wysoki mężczyzna w ciemnej marynarce.

Bardzo dobrze, przy jakichś obcych przechodniach na pewno nic jej nie zrobią. Wyszła z parkowej alei i stukając szpilkami, weszła na chodnik wzdłuż starych parkowych drzew, skręcając w kierunku cerkwi św. Mikołaja. Do hotelu miała raptem kilkaset metrów, nieco dalej przez park szła grupa studentów ubranych w granatowe mundury Akademii Morskiej. Odetchnęła i poczuła, że napięcie powoli z niej spływa.

Wysoki mężczyzna wyraźnie się śpieszył, przeszedł szybkim krokiem ulicę i znalazł się tuż za nią. Brunet, w ciemnych okularach i marynarce. Dorota kątem oka zauważyła, że jest bardzo przystojny. Zrównał się z nią i uśmiechając się przepaszająco, wyminął ją na wąskim chodniku. Dorota obrzuciła go wzrokiem, po czym spojrzała na drugą stronę, chcąc skrócić sobie drogę i przebiec przez ulicę kilkadziesiąt metrów przed pasami. W tym momencie mężczyzna się obrócił, a Dorota poczuła potworny ból na wysokości żeber. Zgięła się wpół, czując, że nie ma czym oddychać i nie ma szansy, żeby wezwać pomoc. Mężczyzna objął ją mocno ramieniem i zdecydowanie odciągnął na bok. Ból był tak koszmarny, że nie miała siły na jakąkolwiek reakcję. Facet wprawnymi ruchami przeszukał jej kieszenie, po czym sięgnął do torebki. Wyjął z niej komórkę i wsadził do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dorota czuła, że traci przytomność. Facet, delikatnie podtrzymując jej ramiona, ułożył ją na trawie. W przebłysku świadomości pomyślała, że z boku to pewnie wygląda, jakby zasłała, a on udzielał jej pomocy. Wyciągnęła rękę, chcąc pochwycić go za połę marynarki, i w tym momencie poczuła uderzenie w głowę. Straciła przytomność.

Ocknęła się, czując delikatne uderzenia w policzki. Otworzywszy oczy, zobaczyła nad sobą młodego chłopaka w granatowym mundurze, który coś do niej mówił. Nad nim pochylali się trzej jego koledzy, a obok stała kobieta w jasnej spódnicy i nerwowo rozmawiała z kimś przez telefon.

– No nareszcie. – Chłopak się uśmiechnął. – Straciła pani przytomność. Proszę się nie ruszać. – Widząc, że Dorota usiłuje się podnieść, delikatnie ją powstrzymał, kładąc rękę na ramieniu. – Zaraz będzie pogotowie.

– Już jadą. – Kobieta spojrzała na nią z troską. – Taki miły, elegancki pan pani pomógł. Gdyby nie podtrzymał pani i nie ułożył na trawie, to pewnie wywróciłaby się pani na chodnik albo jezdnię.

Dorota mimo bólu, jaki wciąż odczuwała, podniosła głowę i rozejrzała się wokół siebie.

– No właśnie, gdzieś przepadł, nawet nie może mu pani podziękować. – Kobieta uśmiechnęła się do niej. – Dobrze, że ci panowie znają się na pierwszej pomocy, bo ja nie wiem, co bym zrobiła.

Dorota poczuła ból w szczęcie i złapała się na tym, że pierwsze, o czym pomyślała, to czy będzie miała siniaki. Jęknęła i zamknęła oczy.

\*

Paulina zniechęcona odłożyła telefon. Wybieranie na chybił trafił różnych bibliotek w niemieckich miastach nie było chyba najlepszym pomysłem. Biblioteka miejska w Stralsundzie nie miała przedwojennych wydań książki Lönsa, miała za to egzemplarze z 1993 roku. W kilku innych bibliotekach były wydania z 1938 roku, a także to z 1920 z Jeny. Szukanie po małych powiatowych bibliotekach mijало się z celem, skoro nawet Biblioteka Państwowa w Berlinie posiadała jedynie wydanie z 1938 roku. Większość placówek nie udostępniała swoich zbiorów on-line. Poza tym wydań było chyba więcej niż myśleli. Przed wojną wydano ją w 1935, potem w 1938 i jeszcze w trakcie toczącej się już wojny. Ponieważ w ogóle nie mieli pojęcia, o który egzemplarz chodzi, musieliby sprawdzić właściwie każde z wydań sprzed 1945 roku.

Przy okazji dowiedziała się, że książka cieszyła się wciąż niesłabnącą popularnością wśród rozmaitych faszystowskich ugrupowań. Wątki na jej temat pojawiały się na forach dyskusyjnych przeróżnych prawicowych portali, a książkę można było wciąż kupić w internetowych księgarniach albo

na Allegro.

Czy to naprawdę może być klucz do tego szyfru? Paulina wstała ze swojego ulubionego miejsca przy kuchennym stole i podeszła do okna, żeby wyrzucić na ulicę. Po powrocie do domu robiła to już kilka razy. Czarny samochód spod Książnicy pojechał za nimi kawałek, a gdy dojeżdżali już na Pogodno, nagle skręcił w boczną ulicę i zniknął. Igor kazał jej dzwonić, jakby coś się działo, ale co miało się dziać?

Artykuł zajął jej jakieś trzy godziny, dzięki którym oderwała się od tamtych spiskowych matactw, ale teraz czuła, że uporczywe pytania dotyczące tajemniczego szyfru znowu do niej wracają.

Dlaczego niemieccy arystokraci należący do szczecińskiej loży masońskiej mieliby wybrać akurat taką nazistowską książkę? Czy rzeczywiście dla zmylenia przeciwnika? Nazwisko Cranacha, ukryte w czterowierszowej i czterokolumnowej zagadce, było na pewno jakąś częścią ukrytej wiadomości, ale może coś przegapili?

Być może Cranach był tylko częścią odpowiedzi, a oprócz tego było coś jeszcze? Podeszła z powrotem do stołu i wybrała nazwę popularnego portalu. Uśmiechając się pod nosem, wpisała, wymyślone przez Igora, hasło i wbiła wzrok w rzędy cyfr.

„Hej, Blondie!”

Paulina spojrzała na prawy dolny róg monitora, gdzie migotało malutkie okienko z kretyńskim pozdrowieniem. Blondie? Co za Blondie? Spojrzała na dolną belkę i uświadomiła sobie, że swoim zwyczajem pootwierala mnóstwo stron. Zawsze tak robiła, otwierała kolejne portale, a następnie wybierając z linków i przechodząc z jednego do drugiego, nie zamykała poprzednich. Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem i zamknęła kolejno kilka stron różnych niemieckich bibliotek. I nagle otworzył się przed jej oczami portal z jednoznacznie kojarzącymi się emblematami. No tak, godzinę temu zalogowała się tutaj jako gość, żeby móc obejrzeć archiwum. Imię słynnego owczarka[27] miało uśpić czujność innych użytkowników. Nie zauważyła, że jest tu czat.

„Hej” – odpisała, jednocześnie otwierając forum i przypominając sobie, że zadała pytanie o pierwsze wydanie *Der Wherwolf*.

„Czemu cię interesuje ta książka?” – Tajemniczy rozmówca miał nick Wolfsangel.

„Szukam konkretnie pierwszego wydania albo jakiegoś e-booka lub przynajmniej skanu. Potrzebuję oryginalnego układu stron i wierszy”.

„Pisziesz jakiś artykuł? Jesteś dziennikarką?” – Wolfsangel był podejrzliwy.

„Powiedzmy”.

„Jesteś Żydówką? Pisziesz może o zbrodniach nazizmu?”

Paulina podniosła brwi i pokręciła głową.

„Nie jestem. Po prostu interesuje mnie ta książka. To powieść historyczna, wiesz o tym? Dotyczy wojny trzydziestoletniej”.

„Wiem, o czym jest ta książka. Historyczna tematyka miała tylko symbolizować walkę z wrogami rasy i kraju”.

Jezu! Paulina wolała nie rozmawiać na temat warstwy literackiej książki, której nie czytała.

„Jesteś czarna? Albo jakaś kolorowa?” – Wolfsangel nie ustawał w próbach zwizualizowana sobie swojej rozmówczyni. – „A może jesteś jakimś pedałem?”

„A ty jesteś wysokim blondynem? Masz niebieskie oczy?”

Przez chwilę okienko mrugało niezdecydowanie.

„Nie, ale to o niczym nie świadczy. Ci zbrojeńcy tu często zagląдают, dlatego pytam”.

Oczywiście, że o niczym nie świadczy. Jasne. Paulina westchnęła i chciała zamknąć stronę.

„Mogę dać ci kilka linków. Tam są fragmenty tej książki. Oryginalna wersja była z rysunkami”.

„Dzięki. Będę wdzięczna”.

W okienku pojawiło się kilka niebieskich linijek. Paulina skopiowała je i przyjrzała się nickowi swojego rozmówcy. Wypadało jakoś przyjaźnie się pożegnać.

„Masz fajny nick. Dzięki za pomoc”.

„No, dlatego cię zaczepiłem”.

„Nie rozumiem. Dlaczego?” – Paulina zapytała bez zastanowienia i poczuła w tym momencie, że coś palnęła.

„Nie wiesz, co to jest Wolfsangel? A piszesz artykuł o *Der Wherwolf*?”

Paulina w pośpiechu otworzyła przeglądarkę.

„Pewnie co to jest Eihwaz, też nie wiesz?”

Rozmowa toczyła się po niemiecku, ale Paulina i tak nick swojego rozmówcy skojarzyła odruchowo z aniołem. Co za debilka ze mnie, pomyślała, patrząc na złowrogą błyskawicę przeciętą pionową linią. Eihwaz – Wilczy hak, symbol Werwolfu.

„Intuicja mnie nigdy nie zawodzi. Jesteś jakąś lewicową feministką? Piszesz artykułik do jakiegoś liberalnego szmatławca?”

Eihwaz. Jedna z dwudziestu czterech run alfabetu futhark. Wilczy hak był graficznym nawiązaniem do tej runy.

„Jesteś tam? Hej, jesteś tam, pedale?”

Paulina podniosła głowę znad ekranu. Runy! O tym nie pomyślałam. Symbol z listu Barnima! Pochyliła się ponownie nad klawiaturą.

„Jestem żydowską, żółtą w czarne paski, feministyczną lesbijką. Piszę artykuł o podejrzenie częstych przypadkach impotencji wśród neonazistowskich knurów”.

Nie czekając na reakcję swojego rozmówcy, zamknęła okienko czatu.

Futhark. Może Barnim użył jakiejś runy jako kolejnej podpowiedzi.

Pochyliła się nad klawiaturą i wpisała w przeglądarkę krótką nazwę starego runicznego germańskiego alfabetu.

\*

Ten skurwiel potrafił tak bić, że nie pozostawiał żadnych śladów. Pieprzony profesjonalista. Pogotowie zabrało ją do szpitala, ponieważ omdlenie z mocnym bólem w prawym boku mogło się kojarzyć ze wszystkim, z ciążą pozamaciczną włącznie, a sanitariusze widać za mało znali się na rzeczy, żeby to zlekceważyć. Poza tym, o ile pamiętała, silny ból brzucha zawsze jest poważnym powodem do hospitalizacji. Prześwietlenie nie wykazało złamania żeber. Skłamała, że musiała się uderzyć, przewracając się podczas omdlenia. Przeleżała trzy godziny na izbie przyjęć, dostała jakieś leki i zastrzyki i pozwolono jej w końcu zamówić taksówkę, z poleceniem wykonania ponownych badań po powrocie do Niemiec.

Trzymając się za bok, powoli ułożyła się na poduszce, opierając głowę o oparcie łóżka. Gorąca herbata stała obok na stoliku. Przełknęła dwie pigułki ketonalu i wzięła do rąk gorący kubek. Upiła z trudem parę łyków i odstawiła ceramiczne naczynie ze stylizowanym logo hotelu na stół. Cały czas bolało ją w prawym boku i generalnie czuła się rozbita, ale najgorsze były rany zadane jej psychice. Facet najwyraźniej dostał polecenie uderzenia jej na tyle mocno, żeby się przestraszyła.

Po części mu się udało. Czuła się nieswojo. Jej pewność siebie oraz dystans do tych ludzi, z którymi się pechowo zadała, spadły blisko zera. To nie byli jacyś krewni Raminów, jacyś tam awanturnicy. To byli prawdziwi gangsterzy, którzy jak widać mieli konkretne plany i zamierzali je zrealizować. Jej cwany pomysł zdobycia pieniędzy był straszliwie naiwny. Jak mogła sobie ubzdurać, że taki szantaż ma szansę się powieść? Zamknęła oczy, myśląc o powiększającej się górze długów i o tym, że nie ma już żadnego kontraktu, a w dodatku będzie musiała z własnych pieniędzy opłacić zieleniarkę, która pewnie lada dzień skończy inwentaryzację zieleni na ruinach dworu i zechce wystawić fakturę.

Miała ochotę zadzwonić do Kurta i usłyszeć jego spokojny, niski głos, ale komórkę zabrał ten degenerat, a nie chciało jej się wstawiać, żeby sięgnąć po telefon stacjonarny.

Nie wiedziała także, czy czuje większą satysfakcję, czy strach z powodu tego, że cała ta napaść na nic im się zdała. Musiałaby chyba być kompletną kretynką, żeby na spotkanie z bandziorami zabierać komórkę ze zdjęciami tego cholernego listu.

## Rozdział 18

Paulina westchnęła i zakładając ramiona za głowę, oparła się o wysokie krzesło. Symbol z listu Barnima nie był podobny do żadnej z dwudziestu czterech run alfabetu futhark starszego ani do żadnej z szesnastu alfabetu młodszego. Futhark starszy określany był jako najstarsze pismo północnych ludów Europy i według niektórych teorii pochodził od starożytnego pisma obrazkowego, które przepadło w mrokach dziejów. Najstarsze odnalezione inskrypcje pochodziły z III wieku. Posługiwały się nim głównie ludy skandynawskie, mit o germańskim pochodzeniu zrodził się prawdopodobnie w czasie II wojny, rozpowszechniony przez nazistów, produkujących dowody na starożytność rasy aryjskiej. Futhark młodszy określany był tak głównie z powodu znanych inskrypcji, z których najwcześniejsze pochodziły z VII wieku i były prawdopodobnie jakąś regionalną odmianą starego alfabetu. Wikingowie, którzy w VIII wieku rozpoczęli podbój Wysp Brytyjskich, zaszczepili futhark także tam. W lokalnej, złożonej z osiemnastu run wersji, nazywanej futhark, funkcjonował na wyspach do X wieku, zanim nie został wyparty przez język staroangielski.

Symbol w liście Barnima nie dał się nijak przypisać do żadnej runy. Odrobinę przypominał runę Otałaz, której znaczenie nawet by ładnie pasowało, oznaczała bowiem dziedziczenie wiedzy, przekazywanie mądrości, ale było to strasznie naciągane. Żeby upodobnić tę runę do symbolu Barnima, należałoby dolną jej część przesunąć do góry. Przez chwilę Paulina zastanawiała się nad taką możliwością, w końcu Wilczy hak powstał także z podobnej przeróbki runy Eihwaz. Tyle że to niczego nie wyjaśniało. Jeśli symbol w liście Barnima miał być jakąś podpowiedzią, to w takim przypadku byłby jedynie oczywistością. Szyfr, tak czy siak, stanowił jakąś formę przekazania wiedzy.

Linki do stron z fragmentami powieści *Der Wherwolf* także niczego nie wyjaśniły. Na jednej było wprawdzie kilka stron z pięknymi rysunkami, nawet przypominającymi w charakterze ten Cranacha, ale nie było żadnej

informacji o tym, z jakiej wersji pochodzą. Układ wierszy różnił się od wersji z 1920 roku, jednak już próba odczytania drugiej litery szyfru zakończyła się porażką. Na czwartej stronie nie było po prostu osiemnastu wierszy. Jeśli książką kluczem był rzeczywiście *Der Wherwolf*, to musieliby sprawdzić po kolei każde wydanie, a to wiązałoby się z koniecznością podróżowania po różnych bibliotekach w Niemczech. Poza tym nie ma żadnej pewności, czy przed wojną książki nie wydała w małym nakładzie jakaś malutka, szczecińska oficyna, i to tym akurat egzemplarzem posługiwali się Barnim i jego masońskie towarzystwo.

Paulina zamknęła laptopa i wstała od stołu. Może trzeba będzie się przyznać, że rozwiązanie tego szyfru ich przerasta? Może nie dysponują kompletem danych potrzebnych do rozwiązania zagadki? W końcu to, że ów znaczek jest podpowiedzią, to tylko ich teoria, może w ogóle nie dotyczy szyfru, a przekazuje zupełnie inną, zrozumiałą jedynie dla masonskich braci treść.

Westchnęła. Czas pomyśleć o jakimś obiedzie. Wstała i ze zniechęceniem otworzyła drzwi lodówki.

\*

Szła ulicą, co chwilę oglądając się za siebie. Każdego idącego z naprzeciwka faceta omijała szerokim łukiem. Wciąż miała wrażenie, że ktoś ją za chwilę uderzy. Dźwięk telefonu ją tylko zirytował. Komórka? Teraz, gdy musi uważać na każdego mijanego typa? Niech zadzwoni potem. Ale telefon dzwonił coraz głośniejsze. Ze złością szarpnęła za torebkę i sięgnęła do środka.

Nie było tam komórki. To co, do cholery, dzwoni? Poczowała nagły niepokój. Telefon wciąż dzwonił, obróciła się za siebie gwałtownie i boleśnie uderzyła ręką o kant szafki.

Otworzyła oczy. Pokój hotelowy. Dzwonił telefon na nocnej szafce obok łóżka.

Jęknęła i sięgnęła po słuchawkę.

– Dzień dobry, pani Fleming, tutaj recepcja.

Dorota usiadła na łóżku i odgarnęła włosy z twarzy. Co to za sen, do diabła? No bez żartów, nie ma chyba jakiegoś szoku pourazowego.



– Ma pani gościa. Jest tutaj pewien pan, który twierdzi, że na pewno się pani ucieszy na jego widok. Pan Kurt Jansen.

No niee!

Dorota zerwała się z łóżka i ze słuchawką przy uchu wpadła do łazienki. Dopadła lustro i spojrzała na swoją twarz. Skrzywiła się, widząc lekko podkrążone oczy i bladość. To chyba efekt ostatnich godzin. Chwyliła szczotkę i zaczęła poprawiać włosy. Nie ma rady, muszę go wpuścić. Skąd on się tu wziął? Musiał wyjechać zaraz po porannej rozmowie.

– Oczywiście. Proszę mu powiedzieć, że czekam.

Odłożyła słuchawkę na szafkę obok i szybko ochlapała twarz wodą. Potrząsnęła głową, burząc zbyt wygładzone włosy i sięgnęła po flakonik Burberry. Wyszła z łazienki, podeszła do drzwi i przekręciła klucz. Kątem oka zauważyła, że ma na sobie bluzę dresową, którą się opatuliła po powrocie do hotelu. Zdarła ją z siebie i rzuciła na łóżko. Poprawiła krótką, ledwie zakrywającą pępek bluzkę i zmarszczyła brwi.

Dziwne.

Przecież nie mówiła Kurtowi, w jakim hotelu się zatrzymała.

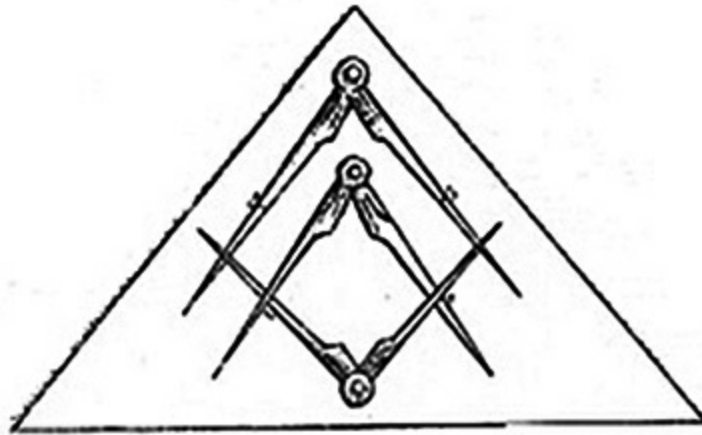
Odwróciła się do drzwi, ale było już za późno. Właśnie się otwierały.

\*

Leżąc na stole obok laptopa komórka piknęła i zaświeciła się na niebiesko. Paulina, która wpuszczała akurat do domu kota, zamknęła drzwi tarasowe i podeszła do stołu. SMS od Darka. „Wysłałem ci coś na temat tego symbolu, którego poszukiwałaś. Sprawdź pocztę”.

Sięgnęła po laptopa i usiadła na krześle. Była strasznie ciekawa, czego doszukał się Darek. Na ekranie pojawił się w końcu najbardziej znany krajobraz z błękitnym niebem na świecie, a po chwili ożyła malutka ikonka z kopertą. Paulina otworzyła pocztę i niecierpliwie stukając palcami w stół, czekała, aż ściągnie się wiadomość od Darka.

Wiadomość miała załącznik. Zapisała go w podręcznym katalogu i po kolejnych kilku chwilach oczekiwania, w czasie których otwierał się program graficzny, na ekranie ukazała się znajoma figura wpisana w trójkąt równoramienny.



Pod rysunkiem widniała dopisana przez Darka informacja: „Godło szczecińskiej loży masońskiej Pod Trzema Cyrklami (Loge zu den drei Zirkeln)”.

\*

Hans wszedł do środka i przekreślił klucz w drzwiach. Spojrzał na Dorotę i uśmiechnął się samymi ustami. Miał w ręku czarną skórzaną aktówkę.

Dorota stała nieruchomo, rozważając możliwość wtargnięcia do łazienki i zamknięcia za sobą drzwi. Zostawiła tam telefon.

Nie zdąży, nie ma szans.

– Proszę się nie obawiać, pani Doroto. Nie przyszedłem tutaj w żadnych złych zamiarach. – Hans uśmiechnął się chłodno. Obszedł powoli stojącą nieruchomo Dorotę i stanął przy oknie.

Dorota zrobiła kilka kroków w kierunku swojego łóżka. Odwróciła się i powoli usiadła na nim w ten sposób, żeby znaleźć się jak najbliżej drzwi do łazienki.

Hans sięgnął do kieszeni na piersi. Wyjął telefon komórkowy i rzucił go na łóżko.

– To chyba należy do pani.

Dorota spojrzała na płaski czarny przedmiot, który wylądował miękko na brązowej narzucie, i powoli przeniosła wzrok na mężczyznę.

– Cóż za przypadek. – Zmrużyła ironicznie oczy. – Niech zgadnę, znalazł go pan w parku?

Hans uśmiechnął się i sięgnął do aktówki.

– Coś w tym stylu. Cieszę się, że odzyskuje pani dobry humor. Razem z komórką było to. – Powiedziawszy to, wyjął niewielką, przewiazaną gumką paczuszkę, która po chwili poleciała w ślad za telefonem.

Dorota z zaskoczeniem powiodła wzrokiem za plikiem banknotów.

– Nie pamiętam, żebym to także zgubiła.

– Jako że ostatnio nasza znajomość się pogłębiła, pozwól, że będę ci mówił po imieniu. – Hans spojrział na nią ironicznie. Wyjął z aktówki dwa dokumenty i rzucił jej na kolana.

– Tu jest aneks do umowy rozwiązujący naszą dotychczasową współpracę. Mam nadzieję, że nie wyjdę stąd bez tego, co mam na myśli.

Dorota popatrzyła na leżący na kanapie, obwiązany gumką przedmiot, który, czego miała teraz bolesną świadomość, bardzo by jej ułatwił życie.

– Całe osiemdziesiąt tysięcy. – Hans odłożył aktówkę na stolik obok okna i podniósł brwi.

– Skąd mam mieć pewność, że nie wyjdiesz stąd także z tym? – Skinęła głową w kierunku pieniędzy.

– Będiesz dla nas pracowała. Nadal przyda nam się ktoś, kto ma dobre układy w różnych służbach w mieście.

Dorota podniosła brwi ze zdumieniem.

– Nadal mogę także zawiadomić policję. Fakt, że podałeś się przed chwilą w recepcji za mojego przyjaciela, raczej ci nie pomoże.

– Matthias to głąb, ale ma alibi. – Hans ponownie uśmiechnął się, patrząc na Dorotę pobłaźliwie. – Poza tym właśnie wyrzucamy cię z pracy, a ty dopiero teraz sobie przypomniałaś, że właściwie to nie straciłaś przytomności, tylko ktoś cię pobił?

Dorota w milczeniu patrzyła, jak Hans się roześmiał.

– Wiem, że potrzebujesz kasy, a twój kochaś w Berlinie jeszcze nie wie nic o twoich długach – rzekł, uśmiechając się szyderczo.

Wytrzymała jego wzrok bez okazania emocji. Przez chwilę panowało milczenie. Potem sięgnęła do nadgarstka i odpięła platynową bransoletkę. Zdjęła jedno ze złotych serduszek, odsłaniając dwie niewielkie blaszki wejścia USB. Wstała, podeszła do stolika i położyła je obok aktówki Hansa.

\*

Nagły, gwałtowny podmuch wiatru sprawił, że firanka zasłaniająca uchylone drzwi tarasowe wybrzuszyła się jak wielki koronkowy żagiel. Drzwi otworzyły się na całą szerokość i z łomotem uderzyły o balustradę schodów. Kilka kartek leżących na kuchennym stole, łopocząc papierowymi skrzydłami, sfrunęło na podłogę koło lodówki. Igor przytrzymał pozostałą stertę papierów, przydusił je laptopem i zerwał się w kierunku, uderzających raz za razem o drewnianą poręcz, drzwi. Zamknął je i wyrztał na zewnątrz.

Niebo zachmurzyło się i poszarzało. Mimo wczesnej jak na tę porę roku godziny, na dworze zrobiło się prawie ciemno. Zapowiedzi gwałtownej zmiany pogody pod koniec tygodnia tym razem okazały się trafne. Igor skrzywił się, poprawił firankę i wrócił do stołu. Pozbierał porozrzucane dookoła kartki, spojrzął na ekran laptopa i przeciągnął się. Opis techniczny do projektu remontu przedszkola był w połowie gotowy. Podszedł do lodówki, otworzył drzwi i stanął w plamie jasnego światła. Resztę można napisać, pijąc piwo. Sięgnął po zieloną puszkę i wrócił do stołu.

Otwierając zimny napój, spojrzął na leżącą na stole kartkę. Miał nadzieję, że Paulina coś znajdzie w trakcie poszukiwań on-line po niemieckich bibliotekach.

Zmarszczył brwi. Jeśli założyć, że jakaś książka jest kluczem do odczytania kodu, to jaka podpowiedź byłaby najbardziej przydatna? Spojrzął na rzędy cyfr, które już prawie znał na pamięć. Jaka podpowiedź byłaby najistotniejsza? Zaraz, zaraz...

Znieruchomiał, przyszło mu coś do głowy. Czego myśmy szukali w związku z książką Lönsa? Odwrócił się i podszedł do stołu, żeby po raz nie wiadomo który wbić wzrok w kolekcje liczb, gdy zadzwonił telefon.

– Znalazłam coś ciekawego. Przesłałam ci właśnie. – Paulina miała podekscytowany głos. – To może coś znaczyć albo być rzeczywiście tylko znakiem firmowym tego papieru listowego czy notatnika. Tylko nie wiem, czy loża masońska wydawała takie rzeczy z własnym godłem?

Igor, przytrzymując telefon ramieniem, jednocześnie otworzył skrzynkę i patrzył przez chwilę na wylewający się z czeluści netu spam. Wśród śmieci był e-mail od Pauliny. Po chwili na ekranie laptopa ukazał się charakterystyczny trójkąt ze znanym mu już z listu Barnima kształtem

w środku.

Herb szczecińskiej loży masońskiej Pod Trzema Cyrklami.

Zaskoczony, otworzył stronę ze skanem listu i porównał oba symbole. Rzeczywiście, to nie mógł być przypadek. Tylko jeśli szczecińska loża wydawała własne kalendarze, papier listowy i takie tam, to pojawia się pytanie, czy Barnim brałby ze sobą taki notatnik na misję Werwolfu? Gdyby ukrywał się po zamachu na Hitlera, to chyba nie zabierałby ze sobą takich rzeczy?

– Słuchasz mnie? Jesteś tam? – Zorientował się, że Paulina coś do niego mówi.

– Pytałam cię, czy loża wydała jakąś książkę? Albo cokolwiek? Wiesz coś na ten temat?

– Książkę? Jaką książkę? – spytał w roztargnieniu i nagle zastygł wpatrzony w masoński symbol na ekranie. Spojrzał na kartkę z wynotowanymi liczbami szyfru i na chwilę zamarł z otwartymi ustami.

– Igor? Co ty tam robisz, do diabła?

O czym myślał, zanim ona zadzwoniła? Czego szukali w związku z książką Lönsa? Wydania? Szukali konkretnego wydania! To z 1920 roku nie pasowało... Daty! Chodziło o datę konkretnego wydania!

– Poczekaj chwilę! – rzucił do Pauliny. – Sięgnął po kartkę z zapisanym szyfrem i pogrubiał czerwonym mazakiem cyfry składające się na dwie liczby, które przed chwilą stanęły mu przed oczami.

3 1 19	4 18 7	5 16 11	18 1 20
3 7 16	14 18 4	1 16 15	20 8 1
8 6 22	12 18 9	1 16 14	18 6 3
5 2 22	1 18 8	5 16 17	18 2 21

Tylko te zestawienia cyfr, te dwa piony przypominały datę, żadna inna kombinacja cyfr, ani w pionach, ani w poziomach nie tworzyła nic, co by wyglądało jak data. W dodatku obie liczby były umieszczone symetrycznie względem całego szyfru.

Zerwał się od stołu i podbiegł do szafy stojącej obok biurka. Chwycił mały

czarny przenośny dysk i wrócił z nim do stołu. Po chwili przeglądał pośpiesznie jego zawartość. Otworzył katalog ze starymi książkami, pościąganyymi w swoim czasie z odmetów internetu, i wbił wzrok w monitor, na którym ukazał się skan pierwszej strony starej, wydanej prawie sto pięćdziesiąt lat temu książki. Na dole widniał napis.

Stettin 1862

Druck von R. Grassmann

\*

Parsov siedział wpatrzony w wyraz napisany na kartce, którą przed chwilą podał mu Detlov. Co to znaczy, do diabła?

Tak jak podejrzewał, cztery rzędy cyfr zapisane w liście Barnima były dokładnie tymi samymi, które widział na ścianie we dworze pod Falkenwelde. Szyfr okazał się prosty dla jego ludzi w Berlinie, tym bardziej, że Parsov domyślał się, o jaką książkę chodzi. I jak się okazało, miał rację. Ale to, co było zaszyfrowane, stanowiło kolejną niewiadomą.

– Zleciłem sprawdzenie wszystkich dostępnych katalogów Cranacha. Jeśli to tytuł jakiegoś obrazu, to znajdziemy go. – Hans patrzył triumfującym wzrokiem na Parsova.

– Gorzej, jeśli jest w jakiejś prywatnej kolekcji, do której nie będziemy mieć dostępu.

Hans spojrzał na niego z błakającym się na ustach uśmiechem.

– Do prywatnej kolekcji zawsze się jakoś dostaniemy. Gorzej będzie, jak się okaże, że wisi w jakimś wielkim muzeum. Poza tym możliwe, że sam obraz nie będzie do niczego potrzebny. Może chodzi tylko o jego treść.

Parsov spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– A co z sarkofagiem?

– Pracownia konserwatorska nie udostępniła jeszcze żadnych danych. Odmawiają komentarzy nawet służbom konserwatorskim z Niemiec.

– Konserwatorzy, którzy nie zorientowali się, że list Barnima to kopia. Banda polskich durniów! – Parsov ściągnął usta, czując zalewającą go złość.

– Nie powiedziałem, że nie dostaniemy się do sarkofagu, tylko że pracownia nie udostępnia żadnych danych. – Hans uśmiechnął się samymi

kącikami ust.

\*

– Czyli wpuściliśmy się w kanał z tym Lönsem? – Johann trzymał w ręku wydruk pierwszej strony starej książki, który Igor przed chwilą wyjął z drukarki.

– Dokładnie. Ten Cranach w tekście nas zmylił. Godło łoży najprawdopodobniej dorysował Barnim. – Igor nalał kawy do filizanki i postawił ją przed Pauliną. Okrążając stół, podał po drodze puszkę piwa Johannowi i siadł w końcu na wysokim stołku przy stole kuchennym.

– A skąd pewność, że to jest to właściwe wydanie? – Johann potrząsnął trzymaną w ręku kartką.

– Stąd, że to jedyne wydanie. – Igor spojrzał na niego z uśmiechem.

Paulina wpatrywała się w ekran laptopa, na którym widniała strona tytułowa.

– *Geschichte der St. Johannes Loge Zu den Drei Zirkeln* – zaczęła czytać głośno, nie odrywając oczu od ekranu.

– Historia łoży imienia świętego Jana Pod Trzema Cyrklami, dawniej Wielkiego Wschodu Szczecin – przetłumaczył Johann. – Wydana trzeciego i czwartego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku na stulecie istnienia.

Paulina dopiero teraz skojarzyła te dwie daty: 1762 i 1862. Spojrzała na Igora, podnosząc brwi.

– Nie zwróciliśmy na to uwagi. Ale co Cranach ma z tym wspólnego?

– Właśnie? Co z tym szyfrem? Odczytałeś go już? – Johann wyciągnął głowę w kierunku papierów, które leżały na stole przed Igorem.

– Oczywiście, przecież bym nie wytrzymał, czekając na was. – Igor podał kartkę Johannowi.

Paulina patrzyła na nich, myśląc, że zaraz pęknie z ciekawości.

– I to tyle? – zapytał Johann z niedowierzaniem. – To cała treść tego szyfru?

– Co tam jest napisane? – Paulina pochyliła się nad stołem, usiłując zobaczyć, co znajduje się na kartce, którą Johann trzymał w ręku, patrząc

szeroko otwartymi oczami na Igora.

– Sprawdziałem to z pięć razy. To na pewno jest jedyne, co tam było. – Igor pokręcił głową

– A może to znów jest jakiś zakręcony szyfr. Może trzeba teraz czytać co drugą trójkę? Przecież to nie może być wszystko? – Johann położył kartkę przed sobą i ściągnął brwi.

– Ale co tam jest napisane, do diabła?! – Paulina poczuła, że za chwilę walnie czymś Johanna w głowę.

– Puchar rozkoszy – powiedział Igor, patrząc na nią z dziwnym wyrazem twarzy, jakby się zastanawiał, czy się nie roześmiać.

– Co takiego? – Spojrzała na niego z osłupieniem.

– Puchar rozkoszy. *Der Freudenbecher*. – Johann podniósł głowę i popatrzył na Paulinę. W jego wzroku było widać rozczarowanie wymieszane z zaskoczeniem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Za oknem słychać było wzmagający się wiatr.

– Co to może znaczyć? – Paulina pokręciła głową. – Spodziewałam się jakiejś informacji bardziej konkretnej. Czegóż jak szerokość i długość geograficzna albo coś w tym stylu.

– Jasne. Położenie bezludnej wyspy na Bałtyku, na której ukryty jest skarb – zakpił sobie Johann.

Paulina spojrzała na niego i popukała się w czoło.

– Pierwsze, co oczywiście przychodzi na myśl, to obraz. – Igor wypił łyk piwa i spojrzał na stół, gdzie leżała kartka z napisanym odręcznie tajemniczym zwrotem.

– Obraz Cranacha? No właśnie. – Paulina się ożywiła – Sprawdziłeś, co to za obraz?

– Sprawdziłem. – Igor odstawił puszkę na stół. – Nie ma takiego obrazu.

– Jesteś pewien? To może jakiś rysunek, coś takiego, jak te ilustracje do Biblii Lutra albo ten cały Werwolf.

Igor pokręcił głową.

– Nie ma nigdzie wzmianki na temat takiego tytułu. Dzwoniłem nawet do



znajomej historyczki sztuki, też nic nie słyszała. Nie wyklucza jednak, że może być jakiś zaginiony obraz, który nigdy nie pojawił się na aukcjach. Takie rzeczy czasem się zdarzają.

Johann nagle zastygł w bezruchu. Zmarszczył czoło i odwrócił głowę w kierunku okna.

Słowa dziadka... Czy to możliwe, że mają z tym coś wspólnego?

Poczuł, jak mróz przebiegł mu po plecach.

– *Ars est celare artem* – powiedział głośno z osłupiałym wyrazem twarzy.

– Co takiego? – Paulina popatrzyła na niego, ściągając brwi.

– Mój dziadek przed śmiercią powiedział coś takiego. „Kiedyś znajdą w podziemiach Barnima... Pamiętaj o swoim obrazie... *Ars est celare artem*”. Tak to dokładnie brzmiało.

– Sztuką jest ukryć sztukę. Owidiusz. – Igor spojrział na Johanna i pokręcił głową. – Jezu, czemu nam wcześniej o tym nie powiedziałaś?

– W ogóle tego nie skojarzyłem. Ten obraz, o którym dziadek mi kazał pamiętać, to mój portret z dzieciństwa namalowany przez dobrze notowanego teraz malarza. Jaki może mieć związek z tym pucharem rozkoszy? – Johann patrzył na Paulinę i Igora nieprzytomnym wzrokiem. – W zasadzie zawsze myślałem, że to są trzy zupełnie odrębne sprawy. Dziadek w tym czasie mówił już od rzeczy, nie można było się z nim porozumieć. Potrafił mówić naprzemiennie o swoim dzieciństwie, a zaraz potem o dochodach ze swojej galerii. Jedyne, co według mnie wiązało się z tym wszystkim, to wspomnienie o Barnimie.

– A jeżeli te trzy zdania wiążą się ze sobą? – Igor popatrzył na niego z wyrazem podniecenia na twarzy.

– Jeżeli znajdą kiedyś Barnima, to pamiętaj o swoim obrazie, gdyż sztuką jest ukryć sztukę. – Paulina zacytowała słowa dziadka Johanna, zmieniając nieco ich brzmienie. – Jeżeli to miało taki sens, to co to oznacza?

– A jeśli w tym obrazie dziadek ukrył jakiś dokument? Jakiś stary list, dokument z czasów Gryfitów, cokolwiek? – Igor patrzył na Johanna w napięciu.

– To bym raczej o tym wiedział. – Johann pokręcił głową. – Zmieniałem ramy po tym, jak go przywiozłem z Berlina. Poza tym był wyceniany. Nic tam nie ma.

– A może to jest obraz Cranacha, tylko zamalowany twoim portretem? – Paulina spojrzała na Johanna. – Słowa, że sztuką jest ukryć sztukę, mogą znaczyć coś dosłownego.

– Eksperci by to chyba zauważyli. – Johann podrapał się po głowie.

– Niekoniecznie. Co jakiś czas okazuje się, że pod jakimś starym obrazem jest inny. Żeby to stwierdzić, trzeba wykonać dokładniejsze badania niż oględziny do wyceny. – Igor wypił piwo do końca i odstawił puszkę na stół. – I co teraz?

– Jutro i tak miałem wracać do Londynu. – Johann spojrzał na niego, zagryzając wargi. – Mam nawet bilet. Zlecę natychmiast ekspertyzę i zobaczymy.

Paulina spojrzała na niego rozczarowana.

– To potrwa z tydzień.

– Moja matka ma znajomych w National Gallery, postaram się załatwić to jak najszybciej.

– Jedziemy z tobą! – Igor popatrzył na Johanna z nagłym entuzjazmem. – Muszę zobaczyć ten obraz. Jeżeli to jest rzeczywiście jakiś zaginiony Cranach, to chcę to zobaczyć na własne oczy.

– Świetnie! – Johann uśmiechnął się radośnie i spojrzał na Paulinę.

– Do Londynu? Jutro? Zwariowaliście? – Paulina patrzyła na nich, szeroko otwierając oczy.

– A w czym problem? Samolot leci dwie godziny i jesteśmy na miejscu. – Johann uśmiechnął się promiennie. – Zapraszam do siebie, mam kilka wolnych pokojów.

– Problem w tym, że ja nie jestem bogatym playboyem. – Paulina spojrzała surowo na Johanna, a zaraz potem na Igora. – Bilet kupiony w przeddzień nawet u Ryanaira kosztuje kupę forsy.

– I co? Ja niby jestem tym playboyem? – Igor spojrzał na nią ze złośliwym uśmiechem. – W dodatku bogatym?

– Bo ja oczywiście jestem, prawda? – Johann wykrzywił się do Igora.

– No, a nie? Twój gajer kosztuje tyle, co samochód Pauliny – przypomniał Igor ze złośliwym uśmiechem.

– Nie błaznujcie. – Paulina usiadła na kanapie i potarła dłonią czoło.

Przyszło jej do głowy, że za bilet może zapłacić gazeta, jeśli tylko odpowiednio przedstawi to Pawłowi. W końcu z tej wyprawy w poszukiwaniu zaginionego obrazu Cranacha można wymyślić ciekawy artykuł. Uśmiechnęła się do siebie i sięgnęła po telefon.

## Rozdział 19 (piątek)

Beata Komorowska przepisała ostatnie litery łacińskiej sentencji i spojrzała na nie z niedowierzaniem. Układały się w absurdalny zwrot. Przeczytała raz jeszcze i wzruszyła ramionami. Albo jakieś zapomniane powiedzenie z XVI wieku, które bez znajomości kontekstu historycznego trudno zrozumieć, albo – co było bardziej prawdopodobne – nie potrafiła po prostu tego prawidłowo przetłumaczyć. Trzeba będzie zlecić kwerendę jakiemuś historykowi językoznawcy.

Pracownia konserwacji dzieł sztuki mieściła się na ostatnim piętrze wschodniego skrzydła Zamku Książąt Pomorskich. Zajmowała kilka pomieszczeń, do których wchodziło się z wąskiego korytarza, doświetlonego od strony Odry małymi owalnymi okienkami w attyce gmachu. Pomieszczenia pracowni nie miały okien, jedyne światło wpuszczały tutaj wielkie oszklone wykusze umieszczone w dachu. Kilka lat temu, podczas remontu wschodniego skrzydła, stare stalowe świetliki wymieniono na nowe o konstrukcji aluminiowej, z automatyką zdalnego otwierania.

Pracowała tutaj dopiero od czterech lat. Wiedziała, że zawdzięcza to wyjątkowemu szczęściu. Rzadko się zdarzało komukolwiek pracować przy takim odkryciu, a co dopiero młodej asystentce. Ostatnimi czasy pracownia zajmowała się głównie okresowymi pracami konserwatorskimi przy zachowanych detalach dawnego wystroju zamku oraz jakimiś drobnymi zleceniami prywatnymi bądź przysłanymi przez wojewódzkiego konserwatora zabytków. A teraz właśnie jej przypadło brać udział w pierwszych pracach konserwatorskich przy zaginionym sarkofagu Gryfitów.

Pośrodku sali znajdował się wielki stół, na którym leżały teraz zdemontowane cynowe elementy. Po bokach pomieszczenia stały mniejsze stoły z porozkładanymi detalami zdemontowanymi ze ścian bocznych i pokrywy. Najpiękniej wyglądał wielki herb księstwa pomorskiego, który mimo wieloletniej patyny wciąż zachował ślady pierwotnej kolorystyki,

a spod zanieczyszczeń połyskiwały ślady posrebrzanej dekoracji.

Beata stała nad leżącym przed nią na stole brulionem formatu A3, w którym zapisywała notatki z oględzin, wykonywała szkice kompozycji poszczególnych detali, a teraz od kilku godzin biedziła się nad odcyfrowaniem całego napisu z pokrywy.

Westchnęła i przetarła oczy palcami. Przywrócenie sarkofagowi dawnego piękna wymagało jeszcze wielu miesięcy żmudnej pracy.

Dochodziła dwudziesta, dawno powinna iść do domu, ale nie mogła się oderwać od zabiegów, które pochłonęły ją całkowicie. Napis na pokrywie był w zasadzie typowy dla dworu szczecińskiego. Pierwszą część stanowił tradycyjnie panegiryk na cześć zmarłego księcia. Niżej umieszczono ulubione zwroty i maksymy władcy oraz cytaty z Biblii. Część z nich była po łacinie.

Z przetłumaczeniem większości z nich nie było problemu, ale ostatni brzmiał dziwnie i kompletnie tutaj nie pasował. W zestawieniu z pozostałymi łacińskimi sentencjami, które niosły treści chrześcijańskie i gloryfikowały wiarę w Boga, ostatni zwrot budził grozę.

\*

– Fleming dzisiaj rano wyleciał do Londynu – powiedział Pilecki, wchodząc do pokoju Bondara.

– Do Londynu? – Bondar podniósł głowę znad monitora.

– W jego firmie powiedzieli nam, że przesłał wczoraj wiadomość e-mailem, że nie będzie dzisiaj w pracy. Nie napisał, z jakiego powodu ani nic poza tym.

– A kiedy kupił bilet? – spytał Bondar.

– Wczoraj, zamówił przez internet.

– To sporo zapłacił. – Bondar zmarszczył brwi i popatrzył na młodego policjanta, stojącego przy jego biurku. Taka nagła decyzja? Dość zastanawiające.

– Ale nie wyjechał sam. – Pilecki popatrzył na zamyślonego Bondara. – Pojechała z nim ta dziennikarka, która była w biurowcu wtedy, gdy wybuchł pożar.

– Osunięcie fundamentów – poprawił odruchowo Bondar. – Ta Weber?

– Racja. – Pilecki przytaknął. – Tak, i jeszcze ktoś.

– Kto? Ktoś od Boroli? – Bondar spojrział na kolegę zaskoczony.

– Nie, Anglik, który przyjechał do Szczecina dwa dni po tym, jak zawalił się S-Center. Nazywa się Johann Carley. Sprawdziliśmy go, to młody japiszon, pracuje w City, w reklamie. Za to jego ojciec jest znanym kolekcjonerem dzieł sztuki.

– Hmm... – Bondar pokręcił głową.

– Na bank jest coś nie tak z tym Flemingiem. Chyba rzeczywiście znaleźli coś cennego, a ten Carley to kupiec.

Bondar pokręcił głową. Więc jednak faktycznie Fleming jest kimś więcej niż tylko architektem Boroli. Wszystko wskazuje na to, że musieli wynieść z podziemi coś, co teraz usiłują opchnąć u zachodnich kolekcjonerów. Fleming jako architekt na pewno jest całkiem dobrze zorientowany na rynku dzieł sztuki, poza tym to właśnie oni dwaj byli pierwsi w podziemiach. Bondar popatrzył z namysłem na Pileckiego, który drapał się po nieogolonym podbródku.

Tylko co wspólnego z tym wszystkim ma ta dziennikarka?

\*

Czarna taksówka zjechała z London Bridge i skręciła w Duke Street, kierując się w stronę stacji metra. Po chwili wjechała w Tooley Street i pomknęła prosto, mijając po drodze Muzeum Winstona Churchilla po prawej stronie i gargantuiczny zespół nowoczesnych gmachów zgrupowanych wokół Queen's Walk.

Paulina siedziała, wpatrując się w mijane znajome miejsca i budynki. Lochy Londyńskie, a zaraz trochę dalej wąska ulica, którą dochodziło się na bulwar, skąd widać było HMS Belfast. A dalej wielki plac przed wykrzywionym szklanym jajkiem City Hall.

Niecałe dwa lata temu jadła tam niedaleko piekielnie drogą pizzę, której osiemdziesiąt procent ceny stanowił widok na Tower Bridge. Z Mateuszem.

Tak niedawno i tak dawno.

Wtedy jeszcze Londyn wydawał jej się wierzchołkiem świata, na którym

miała szczęście się znaleźć. Pamiętała i chyba zawsze będzie pamiętać, jak strasznie była szczęśliwa wtedy, gdy zabrał ją po raz pierwszy na Most Milenijny. Tuż przed północą, w lipcu. Nawet cieszący się zasłużoną sławą najbrzydszego budynku w Londynie biurowiec przy Cannon Street Station, który Anglicy nazywali wielką lodówką, wydawał jej się przepiękny. A potem szczupła sylwetka Mateusza, którą widziała w tłumie, gdy zniecierpliwiony jej manią przyglądania się różnym drobiazgom i robienia setek zdjęć szedł przodem i co chwilę się oglądał, zaczęła jej się wydawać coraz odleglejsza.

Londyn stawał się coraz bardziej obcy. Gdy rok później wyjeżdżała, padał deszcz.

Przymknęła oczy i pokręciła głową, odpędzając wspomnienia. Rzuciła okiem na siedzenie obok. Igor przespał praktycznie cały lot do Londynu, a teraz dalej spał przez drogę ze Stansted. Uśmiechnęła się samymi kącikami ust i w tym momencie poczuła na sobie spojrzenie Johanna. Podniosła głowę i czując, że się czerwieni, spojrzała na niego wyzywająco. Dlaczego się zaczerwieniła, do cholery?

Johann uśmiechnął się i wskazał brodą okno.

– Już jesteśmy prawie na miejscu. Możesz go obudzić.

Nie zdążyła nic powiedzieć, bo zadzwonił telefon. Johann uniósł brwi i wyjął komórkę z kieszeni spodni. Spojrzał zaskoczony na wyświetlacz.

– Moja matka – powiedział cicho do Pauliny, uśmiechając się przepraszająco, i przejechał palcem po ekranie. Po krótkiej chwili jego twarz stężała.

– Kiedy? Dziś? – spytał z niedowierzaniem i nerwowo przeczesał palcami jasne włosy.

– Co się stało? – Igor otworzył oczy i spojrzał nieprzytomnie na Paulinę.

– Nie wiem – odrzekła, potrząsając głową.

Taksówka skręciła w wąską uliczkę między eleganckimi budynkami z czerwonej cegły. Johann odwrócił się na moment do kierowcy.

– Niech pan wjedzie na dziedziniec od Curlew. – Ścisnął telefon w rękę i spojrzał na Paulinę i Igora. – Ktoś się dzisiaj do mnie włamał.

Mieszkanie Johanna zaczynało się od długiego korytarza ze ścianami z surowej cegły, nad którym wisiały stalowe kratownice, będące częścią konstrukcji stropów. A potem niespodziewanie otwierało się na wielką przestrzeń ograniczoną szeregiem dużych okien. We wnętrzu panował porządek, nie było żadnych śladów włamania.

Igor rozejrzał się z ciekawością. Surowe ceglane ściany, podłoga z prostych olejowanych desek i jasne nowoczesne meble.

– Przepraszam was na moment, muszę coś sprawdzić. – Johann uśmiechnął się nerwowo, rzucił torbę na stojącą pod ścianą sofę, po czym szybkim krokiem wyszedł przez drzwi tarasowe na most nad Shad Thames i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Paulina spojrzała niepewnie na Igora i podeszła do okna poszatowanego szprosami na niewielkie kwadraty.

– Byłam kiedyś tutaj na dole. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że obejrzę któreś z tych mieszkań od środka.

Igor podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz. Oparł się o balustradę i spojrzał w dół na wąską ulicę, wypełnioną po brzegi turystami. Most pomiędzy starymi, adaptowanymi na mieszkania magazynami portowymi zapierał dech w piersiach. Przemysłowa architektura gmachów, uszlachetniona umiejętnie udającymi portowe detale współczesnymi akcentami sprawiała niezwykle wrażenie. Na moment zapomniał o włamaniu.

Paulina stanęła obok niego i spojrzała z zachwytem w głąb wąwozu ulicy Shad Thames. Na jego dnie tuż pod mostem stało kilka stoliczków lokalnej restauracji, w której, jak pamiętała, dania były na tyle drogie, że większość turystów omijała ją szerokim łukiem. Mateusz chciał tam zjeść, ale ona wolała za te same pieniądze pojechać do Hampton Court i zjeść cokolwiek w East Molesey.

Drzwi po drugiej stronie mostu otworzyły się i stanęła w nich wysoka, szczupła blondynka z włosami luźno związanymi na karku ciemną wstążką. Uśmiechnęła się do Igora i spojrzała z zainteresowaniem na Paulinę.

– Przepraszam za mojego syna, że tak państwa zostawił. Zapraszam do środka, zaraz zrobię jakąś kawę, skoro już tutaj jestem. Cholerni złodzieje, na szczęście nie ukradli nic wartościowego. Radziłam właśnie synowi, żeby wniósł sprawę przeciw administracji budynku. Biorą takie pieniądze, że powinni osobiście pilnować drzwi. – Matka Johanna trajkotała, nie



przejmując się całkiem sporym prawdopodobieństwem, że Paulina i Igor mogą nie znać angielskiego. – A Johann jak zwykle miał wyłączony telefon, więc policja powiadomiła mnie o całym tym żalonym włamaniu.

Igor uśmiechnął się niepewnie i wszedł do drugiej części mieszkania, przepuszczając przed sobą Paulinę.

Weszli do ogromnego wnętrza z otwartą kuchnią i wydzieloną w głębi przez szklaną ścianę sypialnią, z której wychodził właśnie Johann. Jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło Igorowi, by się zorientować, że coś jest nie tak.

– Przepraszam was. – Uśmiechnął się niezręcznie. – To moja mama, a to moi nowi znajomi z Polski. Ukradli ten mój portret – rzucił bez wstępów i usiadł na sofie, wzdychając. – Niepotrzebnie tutaj przyjechaliście.

– Johann! – Irene Carley spojrzała na syna przerażona. – Twoja gościnność jest porażająca! Proszę się nim nie przejmować. Rozgośćcie się, zaraz podam jakąś kawę i herbatę. – Uśmiechnęła się przepaszająco do Pauliny i ruszyła w kierunku wyspy z nierdzewnej stali i chromu po drugiej stronie ogromnego pomieszczenia.

– No to dupa! Ci trucidziele psów nas ubiegli! – Igor opadł na sofę obok Johanna i westchnął. – Raz, że nie dowiemy się już w ogóle, o co chodzi z tymi tajemnicami, a dwa, że być może ukradli ci oryginał Cranacha.

– A co z waszą policją? Pytałeś mamy? Może coś ustalili? Mówiłeś, że ten twój portret i bez Cranacha był cenny. – Paulina powoli usiadła na sofie naprzeciwko Johanna.

– Był ubezpieczony. Trafi na listę skradzionych dzieł sztuki. Marne szanse, że się znajdzie. To byli profesjonaliści, wyłączyli alarm i otworzyli drzwi bez żadnych problemów. Znajoma z sąsiedniego budynku zauważyła, że ktoś chodzi po domu, i zadzwoniła na wszelki wypadek do portiera, a potem na policję. – Johann ponownie westchnął.

– Twoja matka wygląda jak Kim Basinger – cicho powiedział Igor, uśmiechając się kącikiem ust do Johanna.

– Zaraz ktoś dostanie w łeb. – Johann pokręcił głową z sarkastycznym uśmiechem.

Paulina spojrzała na Igora z takim samym wyrazem twarzy, po czym szturchnęła go nogą, widząc nadchodzącą z wielką tacą Irene.

– Słyszałam, że mówiliście coś o Cranachu? – Pani Carley popatrzyła z ciekawością na Johanna, ustawiając na ławie dzbanki z kawą i herbatą.

– Właściwie to możemy wszystko opowiedzieć twojej mamie. – Igor wzruszył ramionami.

Johann spojrzał na Paulinę pytająco. Kiwnęła głową.

Po piętnastu minutach, przerywanych pytaniami, matka Johanna została wtajemniczona w niedawne wydarzenia.

– Pytanie o Cranacha miało być całkowicie kurtuazyjne. – Irene spojrzała na Igora, usiłując uśmiechem zamaskować kompletne zaskoczenie i niepokój. – Nie sądziłam, że pytając, wpakuję się w taką awanturę. I to dlatego pojechałeś na Pomorze? – spytała Johanna, podnosząc brwi.

Pokiwał głową i sięgnął po filiżankę.

– Dlaczego nie zawiadomiliście policji? – zwróciła się do Igora.

– Zawiadaniałem. – Igor wzruszył ramionami. – Po włamaniu do mnie, które ich nie zainteresowało. Poza tym co właściwie mielibyśmy im powiedzieć? Pomijając to, że to myśmy ukradli ten list.

– Włamanie do prezydenta miasta. – Irene pokręciła głową. – Mój syn jest przestępcą.

– Oj tam... – Johann dolał sobie kawy i sięgnął po cukier. – A nie kojarzysz żadnego obrazu Cranacha albo przynajmniej domniemanego obrazu Cranacha o takim tytule?

– Wprawdzie od lat nie pracuję w zawodzie, ale dzięki twojemu dziadkowi znam mniej więcej sytuację na aukcjach. Taki tytuł utkwiłby mi w pamięci. Natomiast wasz pomysł z obrazem Klause Wurste to całkowite pudło. – Matka Johanna ze spokojem nalała sobie kawy i pokiwała głową.

– Jakiego Klause Wurste? – Paulina spojrzała zaskoczona.

– Tak się nazywał autor portretu Johanna. Dziś się całkiem dobrze sprzedaje. Umarł niestety młodo na raka. Twój dziadek go wylansował w latach osiemdziesiątych. – Spojrzała na syna.

Odstawiła filiżankę i poprawiła włosy.

– Byłam przy tym, jak Wurste zaczynał malować ten portret, i wiem na pewno, że użył normalnego, nowego płótna, naciągniętego na świeżutki blejtram. Chybaby padł trupem, gdyby mój ojciec poprosił go o zamalowanie

Cranacha. – Uśmiechnęła się do siebie.

Igor pochylił się nad stołem i wbił wzrok w Irene.

– A co z tym cytatem z Owidiusza? Czemu Johann miałby pamiętać o tym obrazie, skoro nic tam nie było?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale wiem jedno. – Pani Carley uśmiechnęła się do Igora i spojrzała na syna. – Johann wszystko pokręcił.

– Co pokręciłem? – Johann zmarszczył brwi. – Co ty wygadujesz, mammo?

– Ten swój portret polubiłeś długo później. – Irene uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Na początku twierdziłeś, że jest okropny. W dzieciństwie miałeś inny obraz, który ci się bardzo podobał. Potrafiłeś siedzieć przed nim godzinami i wyobrażać sobie jakieś straszne historie. Nawet prosiłam dziadka, żeby go gdzieś schował, bo źle na ciebie wpływa, ale on się śmiał i nazywał ten bohomas „twoim obrazem”. – Spojrzała na kompletnie zaskoczonego Johanna i pokiwała głową. – Pamięć jest zawodna. Jeśli jakikolwiek obraz dziadek miał nazwać „twoim”, to tylko ten.

– Co to za obraz? – Johann odstawił filiżankę i pochylił się nad stołem w kierunku matki. – I gdzie on jest?

– Carl Lessing. Pejzaż z zamkiem i małym domem u jego stóp. Taka uboższa wersja Caspara Friedricha.

– I gdzie on jest? Co się z nim stało? Sprzedałaś go? – Johann nerwowo zaczął stukać w blat palcami.

– Nie sprzedałam. Należał do kolekcji, którą dziadek polecił zostawić w rodzinie. Nie chciał jej rozpraszać. Ten Lessing był akurat najślabszym płótnem. Moim zdaniem, znalazł się w niej tylko dlatego, że byłeś zakochany w tych cholernych biało-czarnych krowach i rozpadającej się ruinie. – Irene pokręciła głową z niesmakiem.

– Ale gdzie jest ten obraz, na miłość boską? – Johann patrzył na matkę z irytacją.

Igor i Paulina siedzieli w milczeniu i w napięciu chłonęli każde słowo Irene.

– U twojego ojca w Carley. Zostawiłam go tam, bo nie miałam co z tym zrobić. W Hatton nie było miejsca na taką kolekcję, nie ma tam nawet żadnego dobrego systemu alarmowego.

– Oddałaś ją ojcu? – Johann przerwał matce i spojrzał na nią z osłupieniem.

– Nie oddałam. Ustaliliśmy, że zostanie u niego, dopóki nie zorganizuje jakiegoś miejsca na jej wystawienie, ale wiecie, jak to jest... – Irene spojrzała na Paulinę i Igora. – Więc wszystkie trzydzieści kilka płócien wisi tam do dzisiaj. Twój ojciec specjalnie nie protestuje, bo pasują do tego muzeum jego rodziny. A poza tym ma dodatkowy punkt programu dla wycieczek – niemieckie malarstwo romantyczne.

– Jedziemy! – Johann poderwał się i spojrzał z podnieceniem na Igora i Paulinę. – To nie tak daleko, sto kilometrów.

– Czyś ty zwariował, synku? Dopiero wysiedliście z samolotu. Musisz najpierw zabrać państwa na jakiś obiad. – Irene popatrzyła na syna karcącym wzrokiem.

– Zjemy po drodze. – Johann tryskał wprost entuzjazmem. – Za chwilę ci złodzieje odkryją, że na moim portrecie poza mną nic nie ma, i po nitce do kłębka trafią do Carley. No, chyba że koniecznie chcecie zjeść w Londynie? – Spojrzał na Paulinę i Igora.

Oboje zgodnie pokręcili głowami.

– Zadzwoń zaraz do Carley i uprzedzę, że mają was nakarmić i dać wam pokoje, żebyście się wykapali. – Irene podniosła się i zaczęła zbierać filiżanki ze stołu.

\*

Grafitowy land rover wjechał pomiędzy obrośnięte bluszczem, ceglane i kamienne domostwa niewielkiej miejscowości niedaleko Swindon. Wzdłuż szosy ciągnęły się niskie kamienne ogrodzenia z wylewającą się na drogę zielenią krzewów.

Johann przejechał przez niewielki rynek, minął kościółek otoczony wysokim żywopłotem, opierającym się wdzięcznie o kamienny mur, i skręcił w boczną prostą drogę, wysadzaną starymi lipami. Po prawej stronie pojawiły się zabudowania ukryte za wysokim ceglany murem, a po chwili mur się skończył i wzdłuż drogi wyrósł perfekcyjnie przystrzyżony wysoki żywopłot, który łagodnie skręcając, doprowadził ich do malowniczej kamiennej bramy. Na jej filarach wisiały wielkie kute, żelazne skrzydła

starych wrót wjazdowych. Brama była otwarta na oścież. Po drugiej stronie drogi, ukryty w głębi za wysokimi krzewami, stał stary dom z ryglowym szczytem. Przed budynkiem był niewielki parking, na którym stało teraz kilkanaście samochodów.

Johann, lekceważąc stojący przy bramie znak zakazu wjazdu oraz informację o parkingu po drugiej stronie ulicy, wjechał do środka i wyminął grupkę ludzi, która na jego widok odsunęła się na bok. Szeroka, wysypana żwirem droga dojazdowa, wzdłuż której rosły ogromne, przystrzyżone w regularne stożki cisy, prowadziła prosto do wielkiego ponurego dworu, kwintesencji angielskiego neogotyku.

Główna bryła budynku mogła mieć z siedemdziesiąt metrów długości. Od frontu przylegały do niej trzy skrzydła, z których środkowe, najpłytsze, poprzedzone było schodami i oplecione gęstym bluszczem. Do bocznej elewacji, od prawej strony, przytykała ogromna dwukondygnacyjna oranżeria. Dach budynku upstrzony był kolekcją wysokich, ceglanych kominów i wykuszowych okien.

Paulina pochyliła się do Igora i syknęła po polsku:

– No proszę, a my zachwycaliśmy się jego marnym londyńskim mieszkankiem.

Johann spojrzał na nią i podniósł brwi.

– Co ona powiedziała? – Spojrzał na Igora, jednocześnie parkując tuż przed frontowymi drzwiami.

– Nic ważnego, milordzie. – Igor sięgnął do klamki, wysiadł i obrzucił zachwyconym spojrzeniem monumentalną fasadę rezydencji. – Nie mówiłeś, że jesteś księciem.

Johann skrzywił się i pokręcił głową, uśmiechając się sardonicznie.

– Zaraz wam się zważą te dobre humory, jak poznacie gospodarzy.

Dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi, z ogromnymi kołatkami w kształcie lwich głów, otworzyły się i stanęła w nich bardzo szczupła kobieta w szarej garsonce, z włosami upiętymi w kok.

– Witam pana, sir Clarens, pana matka nas powiadomiła, że pan nas odwiedzi. Pokoje dla pana i pana przyjaciół są przygotowane. Jednocześnie chciałabym prosić, żeby następnym razem parkował pan na bocznym podjeździe. – Kobieta spojrzała chłodno na Paulinę i dodała z ledwie

zauważalną złośliwością: – Główny podjazd jest zarezerwowany dla domowników.

– Dziękuję, pani Morlock. – Johann popatrzył na Igora, lekko podnosząc brwi, jak gdyby chciał powiedzieć: „a nie mówiłem?”. – Jednocześnie chcielibyśmy poinformować, że jesteśmy wdzięczni. Proszę nas najpierw zaprowadzić do kolekcji malarstwa mojej matki.

Kobieta cofnęła się do wnętrza domu, przepuszczając Johanna i obrzucając niechętnym spojrzeniem Igora i Paulinę.

Za progiem czas cofnął się o jakieś dwieście lat. Wnętrze ogromnego hallu było prawdziwą uczcą dla oczu. Wysokie na dwie kondygnacje pomieszczenie miało ściany ujęte w dekoracyjne pilastry, pomiędzy którymi wisiały obrazy oraz całe naręcza historycznej białej i palnej broni, szable, pałasze, rapiery, a pomiędzy nimi zabytkowe strzelby, repetiery i dubeltówki. Na wprost głównego wejścia znajdowały się wysokie drzwi z półkolistym naświetlem, nad którym rozpościerał skrzydła jakiś wielki, ustrzelony przed laty ptak. Po prawej stronie wznosiła się kaskada schodów, zakończona galerią na drugim piętrze. Ściany klatki schodowej praktycznie w całości ukryte były pod kolekcją starych portretów w rzeźbionych ramach. Przed wejściem na schody stały słupki z zawieszonym na nich pluszowym, czerwonym paskiem. Jak większość starych pałaców, Carley House w określonych dniach tygodnia był dostępny dla zwiedzających.

Igor westchnął. Historia płynęła tutaj jednolitym nurtem, nieprzerwanym nigdy armagedonem wojen, wysiedleń, komunizmu. Dokładnie tak wyglądałyby stare dwory i pałace na Pomorzu i w całej Polsce, gdyby nadal mieszkali w nich dawni właściciele i gdyby nikt nie próbował zamieniać ich w magazyny zboża.

Zachwycony, podszedł do wielkiego topora, stojącego na postumencie pod oknem. Gospodyni, niczym bazyliiszek, rzuciła w jego kierunku spojrzenie, które, gdyby mogło, to z dużym prawdopodobieństwem pozbawiłoby go, nawet bez pomocy tego topora, głowy.

– Do godziny osiemnastej wpuszczamy gości do wnętrz reprezentacyjnych na parterze, także do wielkiej galerii i bocznej, w której wiszą niemieckie obrazy pana matki. Proponowałabym, żeby najpierw się odświeżyć i zjeść kolację. Przygotowaliśmy posiłek w jadalni przy kuchni. Pana ojciec, sir Clarens, jest niestety nieobecny. Pani Wiktorcia bardzo przeprasza, ale źle się

czuje i nie zejdzie, żeby się przywitać. Prosiła, aby pan do niej później zajrzał.

Paulina rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Igorowi. Próba sił między Johannem a panią cerber Morlock mogła się przeciągnąć.

– Bardzo chętnie coś zjemy, a wcześniej z rozkoszą się odświeżymy, ale z przykrością muszę stwierdzić, że nie mamy aż tyle czasu, by czekać do osiemnastej. Chciałbym zauważyć jednocześnie, że znam drogę do galerii i nie musi nam pani towarzyszyć.

Paulina spuściła głowę, maskując uśmiech. Chyba go nie doceniła. Johann, uśmiechając się ujmująco, wyminął panią Morlock, otworzył drzwi po lewej stronie hallu i dwornym gestem zaprosił do środka. Igor i Paulina spojrzeli na siebie niepewnie, po czym ruszyli za Johannem. Pani Morlock z niezadowoloną miną szła za nimi.

– Sir... sir Clarens! Bardzo proszę, żeby nie wywoływać zamieszania wśród gości. Zwiedzający zapłacili za obejrzenie wnętrza, w tym kolekcji malarstwa w galeriach. Dom jest objęty ochroną przez Towarzystwo Dziedzictwa Narodowego[28], nie chcielibyśmy mieć skarg.

– Absolutnie nie mam zamiaru wywoływać żadnego zamieszania. Jak dotąd najwięcej zamieszania wywołuje pani, pani Morlock. – Johann, nie odwracając się, przeszedł szybkim krokiem przez bibliotekę z kominkiem, do którego na siłę można by wejść bez schylania głowy, i otworzył kolejne drzwi. Weszli do wielkiej sali, na której ścianach wisiała ogromna kolekcja obrazów. Tworzyły praktycznie jednolitą płaszczyznę, z przebijającą się jedynie w niewielu miejscach wzorzystą tapetą. Pod przeciwległą ścianą stała młoda dziewczyna, która, wskazując na poszczególne obrazy, znudzonym głosem opowiadała coś grupie ludzi, niemrawo przechodzących od płótna do płótna. Nieco dalej dwie starsze panie z zachwytem komentowały ogromne dzieło szkoły holenderskiej przedstawiające scenę ze Starego Testamentu.

Na moment zapanowała cisza. Johann uśmiechnął się do młodej przewodniczki i bez skrępowania ruszył w kierunku mniejszej, narożnej sali, pośrodku której na wysokim postumencie stał posąg germańskiego wojownika.

W sali były dwie osoby. Stały przed dużym płótnem, przedstawiającym mroczny krajobraz z kościołem na pierwszym planie, z którego wychodziła grupa ubranych w czarne szaty ludzi. Igor wszedł do środka i rozejrzał się

dookoła. Nie znał się na malarstwie na tyle, żeby rozpoznać obraz Carla Lessinga, w dodatku wśród samych dzieł niemieckiego romantyzmu. Na szczęście zauważył, że pod każdym płótnem umieszczona jest tabliczka z krótką informacją.

Zanim zdążył podejść do jednej ze ścian, Johann go uprzedził, wskazując palcem obraz wiszący w narożniku sali, tuż obok niewielkiego szkicu Friedricha von Schadowa, i ledwo powstrzymując podniecenie, podszedł i wbił w niego wzrok.

Obraz był dość spory. Miał może dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości i jakieś osiemdziesiąt szerokości, oprawiony w złocone, bardzo ozdobne ramy. Na pierwszym planie stała zrujnowana chata, przykryta zapadniętą strzechą. Wokół niej, na małej łączce, wśród gęstej zieleni pasło się stado krów w wielkie czarne i białe łaty. Na drugim planie z dzikiego krajobrazu wyłaniał się, stojący na wysokim wzniesieniu, zamek. Niebo było zachmurzone, miejscami tylko przeświecało słońce, godząc złotymi sztyletami w ponurą krainę. Na horyzoncie niebo ciemniało, przybierając prawie granatową barwę.

Igor stanął obok Johanna. Chyba rozumiał fascynację tym obrazem. Uderzało w nim mnóstwo szczegółów, które można było zauważyć dopiero po długim wpatrywaniu się w nostalgiczny krajobraz. Z małej łączki z pasącymi się krowami odchodziła wąska ścieżka, prawie całkiem ukryta wśród zieleni. Igor ze zdumieniem zauważył, że w gęstwinie siedzi mały, wpatrujący się uważnie w malarza lis.

– Któregoś dnia odkryłem, że w tym domu ktoś mieszka. – Johann wskazał palcem prawie całkiem ciemne okno i Igor z zaskoczeniem stwierdził, że wewnątrz majaczy jakaś postać. – Pamiętam, że bardzo się przestraszyłem. Tak jakbym nagle zauważył kogoś, kto od dłuższego czasu mi się przypatrywał.

– Okropne. – Paulina wzdrygnęła się. – Dlaczego lubiłeś ten obraz?

– Pewnie z tego samego powodu, dla którego jakiś czas później polubił horror. – Igor się uśmiechnął i podszedł bliżej ściany.

– Mniej więcej. – Johann wyszczerzył zęby. – I co teraz? Co robimy?

– *Ars est celare artem* – powiedziała cicho Paulina. – Może tematyka obrazu do czegoś nawiązuje? Może to jakaś analogia?



– Te krowy? – Igor spojrział na nią sceptycznie.

– Nie krowy, ale na przykład zamek... albo ten lis.

– Lis ma nawiązywać, a już krowy nie? – Igor spojrział na Paulinę ze złośliwym uśmiechem.

– To wymyśl coś mądrzejszego. Przecież nie wierzysz chyba, że Lessing zamalował z własnej woli obraz Cranacha? – Paulina ściągnęła brwi ze złością.

– No właśnie, zupełnie mi się nie chce w to wierzyć. – Popatrzył powątpiewająco na płótno i wzruszył ramionami. – Może masz rację, może tu się kryje tylko jakaś podpowiedź, gdzie go szukać. Sztuką jest ukryć sztukę. – Podeszedł bliżej i dotknął ramy.

– Prosiłabym, żeby nie dotykać dzieł. Ja wiem, sir Clarens, że one należą do pana matki, ale obecnie my za nie odpowiadamy. – Stojąca w progu gospodyni popatrzyła groźnie na Igora i z wyrzutem na Johanna.

– Czemu gospodyni nazywa cię Clarens? – spytała cicho Paulina, pochylając się do Johanna.

– Johann Clarens Charles Carley. Moja mama zepsuła babci piękny pomysł na trzy C w monogramie. – Johann uśmiechnął się do Pauliny i spojrział ze zmarszczoną brwią na Morlock. – Czy pani nie ma jakichś obowiązków na głowie przypadkiem?

– Znam doskonale zakres swoich obowiązków. – Gospodyni popatrzyła na niego urażona i wskazała dłonią drzwi. – Czy mogłabym prosić pana na moment na stronę, sir?

Johann spojrział na nią bykiem, mruknął „przepraszam” i wyszedł, zostawiając Paulinę i Igora wpatrzonych w obraz w złotych ramach.

– Pani Morlock, zachowuje się pani wobec moich znajomych skandalicznie. Nie omieszkałam powiadomić o tym ojca. – Johann spojrział groźnie na gospodynię, która zamykała właśnie za sobą drzwi do małego pokoju biurowego, przylegającego do wielkiej galerii.

– Sir, ja wiem, że według pana to właściwe towarzystwo. – Morlock twardo wytrzymała miotający pioruny wzrok Johanna. – W dodatku ta dziewczyna jest bardzo ładna, ale my tutaj doskonale się orientujemy, co

wyprawiają u nas na Wyspach Polacy. – Przerwała i wbiła znaczące spojrzenie w Johanna.

– Co wyprawiają, na miłość boską, pani Morlock? – Johann, wciąż zirytowany, otworzył oczy, udając przerażenie. – Na Wyspach Polacy?

– Niech pan nie kpi, sir! Niedawno Gladys Santon, zna ją pan, została okradziona przez Polkę, która u niej pracowała. W nocy zjawili się jej towarzysze i wynieśli pół domu. Policja cały czas prowadzi poszukiwania tych przestępców.

– Na miłość boską... – Johann pokręcił głową.

– Tak, tak, ja wszystko rozumiem. – Morlock wskazała ręką drzwi. – Ale oprócz obrazów pana matki znajdują się tutaj inne, bez porównania cenniejsze rzeczy. Ja za to odpowiadam.

– Pani Morlock. – Johann odetchnął głęboko. – Uznajmy, że nie było tej rozmowy, i nie wracajmy do tego. Jeśli podczas naszej obecności coś pani zginie, proszę mnie powiadomić. Oddam pani co do grosza.

– Proszę mnie nie obrażać, sir, nie mam na myśli siebie, o czym pan doskonale wie...

– Co do grosza! – Johann podniósł groźnie brwi i sięgnął do klamki znajdującej się na wysokości jego piersi.

– Pewnie wmawia mu, że jesteś polskim bandytą. – Paulina uśmiechnęła się do Igora i podeszła do sofy pod boczną ścianą. – Sądziysz, że można tutaj usiąść, to nie jest antyk?

– Jest. Biedermeier. – Igor spojrzał na ciągle pogrążoną w rozmowie parę, która powoli zbliżała się do narożnika z Lessingiem, i podszedł do siedzącej na skraju cennego mebla Pauliny. – A może to ty jesteś polską zdeprawowaną naciągaczką?

– Jasne. My to tacy polscy Bonnie i Clyde. Proponuję wynieść tę kanapę do samochodu, jakoś ją upchniemy. Z kilka tysięcy nam za nią wpadnie?

– Mam nadzieję, że ci państwo nie mówią po polsku.

– I co zrobimy z tym obrazem? Będziemy tak stać pod nim i się zastanawiać? Nie przychodzi mi do głowy nic, co dziadek Clarensa mógł mieć na myśli.

– Poczekajmy, aż wróci. Może da się go jakoś dokładniej obejrzyć. To znaczy obraz, nie Clarena. Z tyłu mogą być jakieś adnotacje albo notatki. – Igor zerknął w stronę drzwi i usiadł na sofie obok chichoczącej Pauliny.

Para w średnim wieku stanęła przed obrazem Lessinga. Oboje przez chwilę w milczeniu przypatrywali się ponuremu krajobrazowi.

– Rama jest starsza o sto lat. – Kobieta pochyliła się nad obrazem i poprawiła okulary. – Barokowa, połączana na poler i mat jednocześnie.

– Faktycznie, wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazała się cenniejsza niż ten obraz. Bardzo średni. – Mężczyzna przekrzywił głowę.

Igor zmarszczył brwi. Ciekawe, kiedy został oprawiony. Dziadek Johanna na pewno znał się na dopasowywaniu odpowiednich ram do obrazów. Czemu użył starszej?

Para koneserów w średnim wieku powoli opuściła salę, wymieniając między sobą ciche uwagi na temat niektórych dzieł.

O czym to ja myślałem? – Igor zmarszczył brwi. Dlaczego rama jest starsza?

– Słyszałaś, o czym oni mówili? – Spojrzał na Paulinę.

– Tak, ale co to ma do rzeczy? Myślałam, że ramy stosuje się dowolnie.

– Niezupełnie. W stosunku do cennych płócien jest generalna zasada, aby używać ram z epoki, z której pochodzi obraz. Dziadek Johanna był marszandem, na pewno był tego świadom lepiej niż ja.

– Może po prostu kupił go w takich ramach i tak zostawił. – Paulina wstała i stanęła przed obrazem.

– Czy w małej sali, gdzie znajduje się kolekcja mojej matki, jest instalacja powiadamiająca o próbie zdejmowania obrazu ze ściany? Są jakieś czujniki?

Strażnik z firmy ochroniarskiej spojrział na Johanna podejrzliwie. Stojąca obok Morlock drgnęła i zmarszczyła czoło.

– Sir, muszę zaprotestować, takich rzeczy nie powinno się robić w czasie, gdy galeria jest udostępniona dla zwiedzających.

– Nie ma tam takiej instalacji, proszę pana. – Strażnik, do którego dotarło, że stoi przed nim syn właściciela pałacu, wyprostował się. – Są tylko czujniki ruchu i czujniki w oknach, ale włączamy je tylko w nocy. Poza tym są

kamery.

– Czy pan Carley wie o planach pani von Altendorf? – Morlock założyła ręce na piersi.

– Proszę skontaktować się z moim ojcem i o to zapytać. – Johann spojrzał na nią chłodno. Doskonale wiedziała, że matka pozostała przy nazwisku swego ojca. – Proszę pana ze mną. – Skinął na strażnika. – Będzie pan czuć, żeby wszystko było w porządku.

– O co jej właściwie chodziło z tym złoceniem na poler i mat? – Paulina pochyliła się nad obrazem i delikatnie potarła fakturę starej ramy.

– To techniki złocenia. – Igor, który kontemlował właśnie obraz Caspara Friedricha, spojrzał w jej kierunku. – Do złocenia „na poler” jako podkładu używano glinek, na które nalepiano płatki złota. Natomiast „na mat” używano najczęściej oleju lnianego. Pierwsza z technik była delikatniejsza, ale dawała piękny metaliczny połysk. Te techniki czasem łączono dla osiągnięcia różnych rzeźbiarskich efektów.

– Za dokładnie mi to wyjaśniłeś – westchnęła Paulina. – I tak nie zapamiętam. Nie wiedziałam, że oprawianie obrazów to też dziedzina sztuki.

Igor uśmiechnął się protekcjonalnie i spojrzał w kierunku drzwi. Nagle coś go tknęło. Co ona powiedziała?

– Co ty powiedziałaś? – zwrócił się do Pauliny, marszcząc brwi.

– Co powiedziałam? – Popatrzyła na niego zdumiona. – Że nie zapamiętam tych technicznych bzdetów, ale jak będę pisała artykuł, to znajdę w necie, spoko.

Igor pokręcił głową.

– Nie. Powiedziałaś, że oprawianie obrazów to dziedzina sztuki.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, i nagle uniosła brwi.

– Sztuką jest ukrycie sztuki... Sztuką jest oprawienie sztuki. To gra słów!

– Dokładnie. Może to o to właśnie chodzi? – Igor dopadł ramy i przyklęknął przed obrazem. Paulina pochyliła się nad nim.

– Co robisz? Sądzisz, że mógł coś ukryć w ramie?

– Co państwo tam robią? – Głośny okrzyk gospodyni, która właśnie weszła

do sali razem ze strażnikiem i Johannem, spowodował, że Igor podniósł gwałtownie głowę. Paulina, która stała nad nim, nie zdążyła się uchylić i poczuła mocne uderzenie w podbródek. Krzyknęła głośno i złapała się za szczękę.

– Co ty robisz, do diabła? – krzyknęła do Igora. – Chcesz mi wybić zęby?

– Jezu, przepraszam! To nie moja wina! – Igor potarł czubek głowy i popatrzył na Morlock w taki sposób, że każda inna osoba na jej miejscu zapadłaby się pod ziemię. Gospodyni, wcale tym niezrażona, podeszła do obrazu i pochyliła się nad ramą.

– Są złocone! – powiedziała, patrząc oskarżycielsko na Igora.

– Tak, wiem. Chciałem sobie trochę zdrapać i wsypać do kieszeni. – Igor wyprostował się i popatrzył na gospodynię z góry.

– Dość tych bzdur! – Johann podszedł i spojrzał gniewnie na Morlock. – Wystarczająco już pani rozreklamowała angielską gościnność. – Odwrócił się i kiwnął ręką na strażnika. – Proszę pomóc mojemu koledze zdjąć ten obraz i przenieść do pokoju obok. My pójdziemy po aparat i zaraz wracamy. – To mówiąc, skinął na wciąż pocierającą brodę Paulinę i ruszył w kierunku wyjścia.

– Kim ja jestem? – Paulina szła obok Johanna, próbując dotrzymać mu kroku. – Zwariowałeś?

– Coś musiałem jej powiedzieć, boby się nie odczepiła. Powiedziałem, że moja matka chce wystawić obraz na aukcję i przyjechałem go sfotografować, a wy jesteście ekspertami od wyceny dzieł sztuki. Całe szczęście, że mam aparat w samochodzie.

Wyszli na dziedziniec. Młody chłopak w niebieskim kombinezonie grabił właśnie naruszony kołami land rovera żwir.

Igor ze strażnikiem, trzymając pionowo dopiero co zdjęty ze ściany obraz, przeszli przez dużą galerię do niewielkiego pokoju biurowego. Morlock szła za nimi krok w krok, obserwując bacznie płótno w złoconych ramach i rzucając co chwilę podejrzliwe spojrzenia na Igora.

– Postawmy to tutaj. – Igor wskazał brodą ścianę obok kolejnej sofy

w stylu Biedermeier, przy której do kompletu stały dwa krzesła i niska ława. Oparli obraz o ścianę i cofnęli się. Przez dłuższą chwilę panowało denerwujące milczenie. Gospodyni przyglądała się Igorowi, jakby się nad czymś zastanawiała, i w końcu zdecydowała się odezwać.

– Więc jest pan ekspertem od dzieł sztuki?

Igor zaklął w duchu. Intuicja podpowiadała mu, że nie należy zbyt przesadzać ze szczerością. Odkasznął, żeby zyskać na czasie, i spojrzał na przypatrującą mu się niczym jastrzęb gospodynię.

– Przepraszam, mój angielski nie jest najwyższej próby. O co pani pytała?

– Pytałam, czy to prawda, że jest pan znawcą malarstwa?

Igor przypomniał sobie cykl wykładów na temat historii sztuki, który miał na studiach, i pomyślał, że właściwie nie będzie całkowitym kłamstwem, jeśli nie zaprzeczy.

– W moim zawodzie historia sztuki odgrywa ogromną rolę – odparł, wspinając się, w swoim mniemaniu, na szczyty dyplomacji.

– Ale czy pana uprawnienia rzeczoznawcy mają ważność w Wielkiej Brytanii?

Igor pomyślał, że skoro Morlock uwierzyła w jakiekolwiek uprawnienia, to już duży sukces, i zaczął się desperacko zastanawiać nad kolejną odpowiedzią, gdy do pokoju wszedł Johann z dużą czarną lustrzanką wyposażoną w potężny obiektyw, wybawiając go z kłopotu. Za Johannem wsunęła się Paulina i rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Igorowi.

– Pani Morlock, proszę teraz, aby nam nikt nie przeszkadzał. – Johann spojrzał na gospodynię, a następnie odwrócił się do strażnika. – Proszę stanąć pod drzwiami i pilnować, żeby nikt tu nie wchodził. Tu jest jedno wejście, więc obraz będzie bezpieczny.

Strażnik kiwnął głową i wyszedł z pokoju. Morlock tak łatwo ustąpić nie zamierzała.

– Sir, to wielka nieodpowiedzialność. Takie rzeczy powinni robić konserwatorzy. Gdyby pani von Altendorf nas uprzedziła, to przygotowalibyśmy specjalnie pomieszczenie w suterenie, które jest przystosowane do prac konserwatorskich.

– To zupełnie zbyteczne, chcemy tylko zrobić parę dobrych zdjęć i powiesimy obraz z powrotem na miejsce. – Johann wskazał ręką drzwi. –

Proszę nam dać pół godziny, zawołamy panią, jak skończymy.

Widząc, że nic więcej nie wskóra, Morlock zacisnęła zęby i przekroczyła próg. Johann zamknął za nią wielkie drzwi i odwróciwszy się do Pauliny i Igora, wznosił oczy do góry i odetchnął głęboko. Igor szybkim krokiem podszedł do ściany, przy której stał oparty obraz. Ukucnął i przejechał dłonią po górnej partii ramy.

– Musimy wyjąć obraz z ram i obejrzeć. Może wewnątrz ramy jest ukryty jakiś dokument, rysunek, a może nawet szkic Cranacha. – Odchylił delikatnie obraz i zajrzał do tyłu.

Na tylnej płaszczyźnie przyklejony był do brzegów gruby szary papier, który zakrywał ramę. W dwóch miejscach znajdowały się pieczęcie z niemieckimi napisami i wyraźnym nazwiskiem von Altendorf. Na pierwszy rzut oka wyglądały na nietknięte.

– Nikt go nie oglądał dokładnie. – Johann uklęknął na podłodze obok Igora. – Pamiętam, że przez jakiś czas te obrazy stały w pudłach w piwnicy, a potem, po rozwodzie rodziców przestałem się tym interesować.

Igor spojrzał na niego. Ile takich prywatnych kolekcji kryje się po piwnicach różnych starych domów w całej Europie?

– Musimy zdjąć ten papier. Przydałby się jakiś nóż.

– Moment. – Johann podniósł się i podszedł do biurka. Otworzył górną szufladę i przerzucił jej zawartość.

– To będzie chyba odpowiednie! – Podniósł niewielki nożyk do papieru. Wrócił do klęczącego na podłodze Igora i podał mu narzędzie. Igor delikatnie podważył kant szarego papieru i powoli zaczął odrywać go od ramy.

– A jak my to przykleimy ponownie? Ta Morlock nas zabije. – Paulina popatrzyła z niepokojem na drzwi.

– Mam ją gdzieś. To w końcu obraz mojej matki, a dom mojego ojca. Nie będę jej pytał o to, co mi wolno, a czego nie wolno. – Johann oderwał fragment papieru i odłożył go na bok.

Pod spodem ukazała się deska. Była bardzo stara. Nosila ślady wielu różnych zdarzeń, w których przyszło jej uczestniczyć. Służyła jako usztywnienie dla rozpiętego na niej płótna.

– Popatrz, tu są takie małe płaskie blaszki, które blokują wypadnięcie obrazu z ram. – Igor dotknął palcem przerdzewiałych trzymadełek.

Johann wetknął nożyk za jedno z nich i delikatnie odchylił. Po chwili to samo zrobił z pozostałymi trzema.

– Wyciągamy. – Popatrzył na Igora. Stojąca nad nimi Paulina westchnęła. Podnieśli ramę i powoli wyjęli obraz. Postawili go ostrożnie pod ścianą. Johann podniósł ramę i ruszył z nią w kierunku okna. Wsadził rękę do wnętrza ramy i dokładnie obmacał wszystkie zakamarki.

Spojrzał na Igora i Paulinę i pokręcił głową. Na jego twarzy malowało się rozczarowanie.

– Niczego tu nie ma.



## Rozdział 20

**P**okaż – Paulina podeszła do okna i pochyliła się nad ramą, którą przed chwilą Johann postawił na obitym czerwonym materiałem fotelu. Ukucnęła obok i zaczęła skrupulatnie badać dłońmi spód zabytkowej, złożonej konstrukcji.

– Rzeczywiście, nic tu nie ma. To zwyczajne drewno. – Odwróciła się rozczarowana do Igora i westchnęła. – No to po ptakach.

Przez moment w pokoju panowała cisza. Z wielkiej galerii dochodził głos młodej przewodniczki, która wprowadziła właśnie do środka nową grupę zwiedzających.

– Może matka się myli i dziadek jednak miał na myśli ten mój cholerny portret? – Johann przeczesał palcami jasne włosy i oparł się o gzyms obiegającej pokój boazerii.

– To by znaczyło, że ci złodzieje, kimkolwiek oni są, teraz właśnie dowiadują się, o co chodzi z tym Cranachem. – Igor westchnął ze zniechęceniem.

– A co z teorią, że Lessing namalował ten swój bohomasz na prawdziwym Cranachu? – Paulina wyprostowała się, obciągając wąskie spodnie dżinsów i wskazała brodą w kierunku płótna.

– Bardzo mało prawdopodobne. – Igor pokręcił głową – A jeśli nawet, to i tak potrzebne są badania konserwatorskie, żeby to sprawdzić.

Spojrzał na zamyślonego Johanna.

– Twoja matka będzie musiała zabrać stąd ten obraz i oddać do analizy.

– W zasadzie możemy go sami zabrać. – Johann potarł brodę. – Morlock dostanie wścieklizny, ale nic nie wskóra. Najwyżej zadzwonię do matki i poproszę ją, żeby wydała jakieś konkretne dyspozycje.

Paulina spojrzała z niepokojem na drzwi, za które wyproszona została kilka minut temu gospodyni. Przez chwilę się obawiała, że kobieta wpadnie

tutaj z dzikim wrzaskiem.

– Dobrze, poskładajmy ten obraz do kupy i zabierajmy się stąd. – Johann wzruszył ramionami i oderwał się od ściany. Zabrał ze stojącego pod oknem fotela ramę i ruszył w kierunku płótna. Igor dźwignął się z podłogi, na której do tej pory klęczał, i spojrzał z ledwie skrywanym rozczarowaniem na obraz niemieckiego malarza.

– Pomóż mi – poprosił Johann, stawiając ramę pod ścianą.

Igor chwycił za brzegi malowidła i lekko je przechylił.

Płótno Lessinga było mocno naciągnięte na deskę i w kilku miejscach od tyłu podklejone taśmą klejącą. Obraz ciasno wypełniał całą przestrzeń w taki sposób, że nawet graniczne maźnięcia olejnej farby przeszły na zagięte na desce płótno.

Igor zmarszczył brwi.

– Poczekaj. – Powstrzymał ręką Johanna, który przesuwiał właśnie ramę w kierunku obrazu. – Nie zwróciliśmy na coś uwagi. Czemu właściwie ten obraz jest naciągnięty na deskę?

– Jak to czemu? Pewnie dla usztywnienia. – Johann zniecierpliwiał się, trzymając cały czas oburącz ramę.

– Ale dlaczego to nie jest zwykły blejtram?

– Może się rozwalił? Poprzedni właściciel obrazu nałożył go na deskę i tak zostało – odezwała się Paulina, która w międzyczasie stanęła za ich plecami.

– Obejrzyjmy to dokładniej. – Igor pochylił się nad obrazem i delikatnie zaczął podważać taśmę klejącą, którą na obrzeżach podklejone było płótno. Nagle podniósł wzrok i popatrzył pytająco na Johanna. – Możemy to zrobić? Jeśli to zdejmujemy, to sami w tych warunkach z powrotem nie nałożymy.

Johann przez chwilę patrzył na niego, zagryzając wargi. Odstawił ramę pod ścianę i odwrócił się do Pauliny.

– Trudno, raz kozie śmierć. Ściągamy.

Igor pokiwał głową i oderwał kawałek taśmy, którą przed chwilą delikatnie podważył. Sięgnął do drugiego narożnika i zaczął pomalutku odrywać kolejny kawałek taśmy. Podklejone narożniki płótna poluzowały się, lekko odchylając od podłoża.

– Przytrzymaj górę, ja odkleję te na dole. – Igor pochylił się i sięgnął na

spód obrazu. Po chwili gładka płaszczyzna malowidła zafalowała niczym poruszone wiatrem lustro wody i łagodnie odchyliła się od deski.

– Trzymaj ostrożnie górę, ja wyjmę od dołu. – Igor, cały czas pochylony, zaczął delikatnie unosić starą deskę i wysuwać ją z objęć płótna.

Johann powoli odsunął górne narożniki obrazu i ostrożnie pociągnął go do tyłu. Powoli cofnął się, chcąc ostrożnie ułożyć płótno na ziemi, gdy zauważył nagle, że Paulina zbladła, a jej oczy, wpatrzone w odsłoniętą właśnie deskę, robią się ogromne jak talerze.

Morlock chodziła wzdłuż wielkiej galerii, zaciskając pięści. Ten młody Carley zbyt swobodnie sobie poczynił. Co on myśli, że może przyjechać tutaj ot tak, w biały dzień ściągnąć cenny obraz ze ściany i zamknąć się z nim w pokoju? W dodatku razem z jakimiś podejrzanymi Polakami? To ta Niemka tak go wychowała, nastawiła przeciwko rodzinie. Chłopak nie ma teraz żadnego szacunku dla swojego pochodzenia.

Gospodyni prychnęła, odwróciła się i ruszyła z powrotem wzdłuż długiej ściany z wielkimi oknami, prosto w kierunku drzwi prowadzących do pokoiku administracyjnego, w którym zamknęła się trójka spiskowców. Grupa starszych pań i panów, która wyglądała jak wycieczka z kółka parafialnego, słuchała monologu przewodniczki, rzucając co chwilę zaciekawione spojrzenia w kierunku podenerwowanej gospodyni.

Morlock przedelfilowała przez salę i zatrzymała się przed stojącym pod drzwiami wysokim strażnikiem.

– Kiedy oni stamtąd wyjdą? Co w ogóle robią? Ile czasu można robić kilka zdjęć? – Podeszła do drzwi, obejrzała się za siebie i pochyliła, przyciskając ucho do gładkiego drewna.

Strażnik spojrzał na nią zaciekawiony.

– Zrobienie dobrych fotografii wymaga trochę czasu, trzeba dobrze ustawić światło, zrobić parę prób...

– Jones, to nie dziewiętnasty wiek, nie robi się już zdjęć na miedzianych płytach. – Morlock oderwała ucho od drzwi i rzuciła strażnikowi poirytowane spojrzenie.

Kto jak kto, ale ty to z pewnością pamiętasz, stara kłepo, skrzywił się Jones, rad w duchu, że Morlock nie potrafi czytać w myślach.

– Jeśli nie wyjdą w ciągu kilkunastu minut, pójdziesz zawiadomić panią Wiktorię.

– Ja? – Strażnik spojrzał przerażony na gospodynię. – Pan Carley kazał mi tutaj pilnować.

– To nie pan Carley cię tutaj zatrudnił. – Morlock spojrzała na strażnika groźnie i zmarszczyła brwi. – Poza tym to, co on tam robi z tymi Polakami, jest wielce podejrzane.

Igor zrobił kilka kroków w tył i stanął naprzeciwko opartej o ścianę, dopiero co uwolnionej z objęć płótna Lessinga deski. Miał kompletną pustkę w głowie. Najchętniej by usiadł, poczuł właśnie fizycznie, że popularna rada, by przed wysłuchaniem jakiejś wstrząsającej wiadomości poszukać sobie krzesła, nie jest wyłącznie konstrukcją semantyczną.

Na desce namalowany był obraz. Na pierwszy rzut oka stary, manieryczny, wskrzeszający dawno miniony świat sprzed kilku wieków. Nie to jednak było tutaj najistotniejsze. Obraz był od dawna legendą, która jakiś czas temu wyrwała się z ram i żyła całkiem samoistnie.

Przedstawiał portret wyniosłej, eleganckiej i bez wątpienia dobrze sytuowanej kobiety. Miała piękną twarz w kształcie serca, zapewne idealną według renesansowych kanonów urody. Bogato ubrana w pyszną purpurową suknię o kształcie typowej dla szesnastego wieku klepsydry, spiętą gorsetem i w górnej części podkreśloną rozciętym przodem z charakterystycznym napierśnikiem, który prawdopodobnie zdobił dodatkowo ukryty pod wykończonym futrem kołnierzem dekoracyjny stanik. Kobieta w jednej ręce trzymała uniesiony w górę kielich, a na nadgarstku drugiej, opuszczonej, wisiała dekorowana frędzlami sakwa. Kasztanoworude włosy miała związane siatką, a na szyi upięty bogato zdobiony kamieniami szlachetnymi naszyjnik z zawieszonym na nim wisiolem. W tle, po prawej stronie, majaczył na horyzoncie krajobraz z zamkiem o wysokiej wieży, zwieńczonej krenelażem i nakrytej stożkowym hełmem.

Po lewej stronie natomiast znajdowało się to, co uczyniło ten obraz legendarnym. Za plecami pięknej kobiety stała staruszka, z twarzą pokrytą siecią zmarszczek, z ustami wykrzywionymi grymasem cierpienia i pełnymi smutku, zapadniętymi oczami. Na głowie miała czepiec, spod którego wysuwały się siwe, falujące włosy.

Paulina westchnęła, podeszła do stojącego przy biurku krzesła, odsunęła je, usiadła i ponownie wbiła wzrok w stare olejne malowidło.

– Sądysz, że to jest ten oryginał Borcków? – spytała, nie spuszczać wzroku z obrazu.

Igor popatrzył na nią nieprzytomnie.

– Nie mam pojęcia. No, ale co to może być innego?

– Co to za obraz? To naprawdę jakiś Cranach? Co was w ogóle tak zamurowało? – Johann patrzył to na Igora, to na Paulinę ze zdezorientowanym wyrazem twarzy.

– Cranach nie Cranach... – zaczęła Paulina i urwała.

– No, więc co to jest, do diabła? – Johann obszedł leżące na podłodze płótno Lessinga i stanął przed deską. – Coś mi przypomina, ale nie wiem co?

Igor westchnął i popatrzył na niego ciągle jeszcze rozkojarzonym wzrokiem.

– To jest portret Sydonii. Dziadek musiał ci o niej opowiadać.

– Tej czarownicy? Tej, co niby przeklęła Gryfitów? – Johann cofnął się i popatrzył zdziwiony na obraz. – Ale przecież on wisi w waszym muzeum. Oglądałem go kilka dni temu.

– W muzeum wisi kopia z osiemnastego wieku, bardzo nędzna zresztą, co notabene teraz dopiero widać w porównaniu z oryginałem. – Igor ściągnął brwi i spojrzał ponownie na obraz. – Oryginał zaginął w czasie wojny, przyjęło się mówić, że spłonął wraz z pałacem w Starogardzie, gdzie wisiął do czterdziestego piątego roku.

– Twój dziadek musiał go jakoś zdobyć. Może sam go wywiózł? – Paulina oderwała wzrok od portretu i popatrzyła na Johanna.

– Dlaczego nie oddał go Borckom? – Igor zmarszczył brwi.

– Może go od nich kupił? To teraz nieważne, potem o tym pogadamy. – Johann podrapał się po głowie. – Zastanówcie się lepiej, co my teraz zrobimy?

– A co mamy zrobić? – Igor popatrzył na niego nieprzytomnie.

– Jezu. Skupcie się! To w końcu nie Gioconda! Pytam, co my teraz zrobimy? Pod drzwiami pewnie podsłuchuje Morlock. Jak jej to pokażemy, to zrobi potworne zamieszanie, a obraz pewnie zarekwiruje policja.

Paulina spojrzała na niego i zaraz potem na potężne, białe lakierowane drzwi, prowadzące do wielkiej galerii. Rozejrzała się. To było jedyne wyjście z pokoju.

– I nawet nie możemy tego jakoś ukryć, bo to cholerna deska. – Johann zrobił parę kroków w kierunku drzwi i zawrócił. – A jeszcze i z tym coś trzeba będzie zrobić. – Wskazał ręką na leżące na ziemi płótno Lessinga.

– Wyrzucimy przez okno – zaproponowała Paulina, patrząc na Igora.

– Płótno Lessinga? – Johann spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nie! Zdurniałeś? – Paulina popukała się palcem w czoło. – Deskę.

– Jezu, wyrzucać przez okno obraz Cranacha. Z szesnastego wieku... – Igor przerwał i spojrzał w kierunku wysokich, dzielonych na małe kwadratowe pola okien we wschodniej ścianie pokoju. Zerwał się i podszedł szybkim krokiem do parapetu. Szarpnął za stylizowaną klamkę i otworzył jedno skrzydło. Podskoczył i wywiesił się na parapecie na zewnątrz. Od tej strony pod ścianą pałacu rosły bujne krzewy rododendronów. Dalej była szeroka żwirowana droga, za którą rozciągał się starannie przystrzyżony trawnik, oddzielający pałac od niewielkiego parkingu, ocienionego ogromną koroną wiekowego dębu. Od skraju okna do wyłożonej korą ziemi pod ogromnymi rododendronami były jakieś dwa–trzy metry.

– Chyba to jednak dobry pomysł. – Zeskoczył na podłogę i spojrzał na Johanna.

– I jak to zrobimy? Ktoś będzie musiał go potem jakoś przynieść do auta. – Johann podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Wyrzucimy go pod te krzaki, a potem udasz, że robisz kółko, żeby nam pokazać cały pałac dookoła.

– Właśnie! – Paulina wstała i spojrzała na obraz. – Nie możemy go tu zostawić, bo już go nie zobaczymy.

– A co z tym? – Johann machnął ręką w kierunku płótna na podłodze. – Cholera! Nie da się tego jakoś upchnąć w ramy?

– Spróbujmy. – Igor ruszył w kierunku obrazu. – Może go podkleimy taśmą, tak żeby przynajmniej na pierwszy rzut oka nie było widać, że jest wybebeszony. Masz tu jakąś taśmę?

– Coś się znajdzie. – Johann podszedł do biurka i zaczął grzebać w przepastnych szufladach.

– Pani Morlock, ci wszyscy ludzie się tutaj gapią – syknął Jones, lekko pochylając się ku gospodyni.

Morlock stała zgięta w pół przy drzwiach, usiłując dojrzeć coś przez dziurkę od klucza.

– Jacy znowu ludzie? – prychnęła i uniosła głowę, podążając za wzrokiem ochroniarza.

W drugim końcu sali grupka emerytów porzuciła całkowicie pozory słuchania przewodniczki i zupełnie otwarcie obserwowała poczynania nietypowego duetu tkwiącego przy drzwiach do pokoju biurowego. Morlock gwałtownie się wyprostowała, markując otrzepywanie garsonki z nieistniejących pyłków, i spojrzała na Jonesa ze złością.

– Mogłeś mnie uprzedzić wcześniej, a nie dopiero jak zwróciłam uwagę całej tej czeredy – syknęła szeptem. Odchrząknęła i zwinięta w pięść dłonią zastukała w drzwi.

– Sir Clarens, halo! Czy to długo jeszcze potrwa? – spytała scenicznym szeptem, przybliżając usta do szpary w drzwiach. – Pokój będzie potrzebny dla pracowników do zmiany dekoracji kwiatów...

– Nie będzie potrzebny, zrobili to przecież dzisiaj rano – rzekł zdziwiony Jones, pochylając się nad gospodynią. Morlock zgromiła go wzrokiem i przycisnęła ucho do framugi.

Igor ostrożnie oparł o ścianę włożony w ramy obraz Lessinga i spojrzał na Johanna.

– Jak zacznie go oglądać, to od razu zobaczy tę taśmę klejącą z tyłu. Poza tym płótno nie jest dostatecznie napięte. – Pokręcił głową, patrząc na ich wspólne dzieło. – Kiepsko to wygląda.

– No i dobrze, jak wygląda, tak wygląda. Potem zamówię nowy blejtram i jakiegoś fachowca od oprawiania obrazów, a póki co, może nikt nie zauważy. – Johann sięgnął po deskę z obrazem Sydonii i wskazał głową okno. – Jesteś wyższy.

Igor westchnął, ostrożnie chwycił stary portret i podszedł do okna.

W tym momencie rozległo się głośne stukanie do drzwi, a po chwili usłyszeli głos gospodyni, która najwyraźniej mówiła z ustami przytkniętymi

do szpary pomiędzy framugą a drzwiami. Paulina spojrzała w panice na deskę z Cranachem, którą Igor trzymał przed sobą, jakby miał zamiar użyć jej do obrony przed gospodynią.

Johann podszedł do drzwi, pochylił się i wrzasnął głośno:

– Już kończymy, pani Morlock. Proszę się nie gorączkować!

Przewrócił oczami i niecierpliwie wskazał głową okno. Igor podskoczył i oparł się brzuchem na parapecie. Paulina podała mu obraz.

– Złap mnie za pasek. Muszę się wychylić jak najdalej, żeby obraz spadł z jak najmniejszej wysokości. – Igor spojrzał na nią, wychylony do połowy z okna.

Paulina pokręciła głową.

– Przecież ja cię nie utrzymam. Jak cię złapię za pasek i zaczniesz spadać z tego okna, to polecę za tobą.

Johann jęknął i podszedł do nich. Oparł się o parapet i złapał Igora za pasek od dzinsów.

– Okej, wychylaj się z tą deską, trzymam cię.

Igor, trzymając oburącz obraz, węzowym ruchem wysunął się poza parapet i powoli zaczął zwieszać się w dół.

– Jeszcze trochę. Boję się, żeby ta deska nie pękła na pół, ma pięćset lat – wystękał, zawieszony nad wielkim krzakiem przekwitającego rododendrona.

Johann pochylił się do przodu i złapał Igora obiema rękami.

– Mam nadzieję, że ten pasek nie jest chiński.

Paulina z niepokojem patrzyła na drzwi. Zastanawiała się, czy kąt widzenia z dziurki od klucza nie jest zbyt szeroki, żeby Morlock mogła zobaczyć wierzgające w powietrzu długie nogi Igora.

Igor, znajdujący się obecnie w większej części swojej długości za oknem, ocenił, że do ziemi został jakiś metr. Wyprostował trzymany w rękach obraz i rozluźnił palce. Deska spadła na wysypaną korą ziemię pod krzewem i przechyliła się do przodu, opierając o konar rośliny. Odetchnął z ulgą i z pomocą Johanna zaczął się wciągać do góry.

Morlock gwałtownie cofnęła się, wpadając na stojącego wciąż karnie przy



drzwiach Jonesa. „Nie gorączkować się”, bezczelny jest ten Clarens. I po co on tak wrzeszczy, przecież nie jest głucha. Odwróciła się w samą porę, żeby zobaczyć nadchodzącą od strony wejścia z biblioteki młodą dziewczynę w granatowym uniformie.

– Pani Morlock, kucharka pani szuka. Ma jakiś problem z zamówioną cielęciną. – Dziewczyna stanęła przed gospodynią i rzuciła dyskretny uśmiech strażnikowi.

– Jaki problem z cielęciną, na miłość boską? Przecież dzisiaj ją przywieźli.  
– Morlock popatrzyła niezdecydowanie na drzwi, rozdarta między obowiązkiem udania się do kuchni i zrugania kucharki, a drugim polegającym na pilnowaniu polskich przestępców.

– Właśnie o to chodzi. Chyba nie jest pierwszej świeżości. – Dziewczyna skrzywiła się. – Tak to określiła kucharka.

Morlock popatrzyła na nią z przerażeniem. Pani Wiktoria cieszyła się na jutrzejszą pieczeń, jak jej nie dostanie, będzie wściekła przez tydzień. Odwróciła się do strażnika, z którego twarzy natychmiast zniknął radosny uśmiešek.

– Jones, masz tutaj stać i pilnować, choćby nawet strop zaczął ci się walić na głowę. Ja zaraz wracam.

Szybkim krokiem ruszyła w kierunku wyjścia z wielkiej galerii. Dziewczyna w uniformie uśmiechnęła się jeszcze raz do strażnika, po czym stukając obcasami, poszła za gospodynią.

Igor podciągnął się do góry i oparł rękami o zewnętrzny parapet. Miał właśnie zsunąć się do tyłu i zeskoczyć na podłogę, gdy zza rogu, jak gdyby nigdy nic, wyszedł młody chłopak ubrany w granatowe ogrodniczki. Igor spojrział w dół na oparty o pień potężnego krzewu obraz i podniósł niezdecydowanie głowę. Gwałtowne zeskakiwanie z okna w tym momencie jeszcze bardziej zwróciłoby uwagę, ale z drugiej strony, w tej pozycji musiał wyglądać kretyńsko. Zacisnął powieki, modląc się, żeby chłopak poszedł dalej i nie spojrział w tym kierunku. Nie chciał myśleć, co się zacznie dziać, gdy koleś zobaczy pod krzakiem deskę z Sydonią.

– Co się dzieje? Złaż z tego okna. – Paulina próbowała wyjrzeć zza pleców Igora.

Igor pokręcił bezgłośnie głową, patrząc nerwowo na zbliżającego się ogrodnika. Chłopak, dzierżąc w rękach grabie, przeszedł powoli szeroką zwirowaną ścieżką i był właśnie na wysokości otwartego okna, gdy Paulina usiłująca wyrzucić na zewnątrz potrąciła Igora, który w tym momencie poślizgnął się na parapecie i na chwilę tracąc równowagę, wyrzucił głośno łokciem o miedzianą blachę.

Spłoszony chłopak stanął i spojrzał w okno. Igor, klnąc pod nosem, dźwignął się na rękach i uśmiechnął do ogrodnika.

– Hej, czy coś się stało? Może w czymś pomóc? – Chłopak z niepokojem patrzył na wiszącego ciągle po zewnętrznej stronie okna Igora.

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku. Sprawdziłem tylko, czy okno się dobrze domyka. – Igor usiadł w końcu na parapecie i szarpnął demonstracyjnie za skrzydło okienne. – Wszystko jest w porządku. Piękne rododendrony.

Chłopak uśmiechnął się, pomachał ręką i ruszył w kierunku parkingu pod wielkim dębem.

– Zwariowałaś? – Igor spojrzał wściekle na Paulinę.

– Przepraszam – szepnęła z niewinną miną, zdążywszy się zorientować w sytuacji. – Zauważył coś?

– No, mnie nie był w stanie nie zauważyć. Mam nadzieję, że nie spostrzegł obrazu. Na szczęście te rododendrony są bardzo gęste.

– Zabieramy się stąd. – Johann, który stał z boku i znieruchomiąły obserwował małe pandemonium okienne, odetchnął z ulgą i sięgnął po obraz Lessinga. – Chodź, pomóż mi to nieść. Musimy tak przejść obok nich, żeby nie zauważyli tylnej strony.

Igor zeskoczył na podłogę i podszedł do Johanna. Podnieśli obraz i trzymając go tylną stroną do siebie, tak by nie było widać porwanego, posklejanego taśmą szarego papieru, ruszyli w kierunku drzwi.

Jones stał oparty o skrzydło wysokich drzwi i uśmiechał się pod nosem do swoich myśli. Ta mała Francuzka, jak jej tam, Yvonne chyba, to niezła flirciara. Zgrabniutka jak łania.

Westchnął i chciał przenieść ciężar ciała na drugą nogę, gdy ktoś szarpnął za drzwi. Plecy, które nagle straciły oparcie, poleciały do tyłu i Jones zaczął wymachiwać ramionami, usiłując złapać za framugę. Udało mu się prawie w ostatnim momencie i trzymając się kurczowo klamki, wyprostował się i, cały czerwony, stanął twarzą w twarz z Pauliną.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że pan tu stoi.

– To ja przepraszam, nie powinienem był się opierać o drzwi. – Jones chrząknął i cofnął się za próg. – Czy już państwo skończyli?

– Tak, już po wszystkim. – Johann, trzymając wielkie złote ramy z obrazem Lessinga w środku, zrobił krok przez próg, a zaraz za nim Igor, który kurczowo ścisnął ramię z drugiej strony. – Idziemy powiesić obraz.

Johann rozejrzał się.

– A gdzie Morlock? – zapytał. – Tak się nie mogła doczekać, a teraz gdzieś zniknęła?

– Musiała pójść do kuchni. Zaraz pewnie wróci. Może pomogę panom, po co macie się z tym męczyć? – Strażnik wyciągnął ręce w kierunku obrazu.

– Nie, dziękujemy, damy sobie radę. – Johann uśmiechnął się i ruszył energicznie w kierunku małej sali z galerią niemieckich mistrzów.

Sala była pusta. Germański wojownik, wsparty o wielki topór, stał sobie samotnie na środku i patrzył nostalgicznie w okno. Grupa emerytów wciąż jeszcze podziwiała starotestamentowe wizje holenderskich malarzy. Johann podniósł swoją stronę obrazu i spojrzął na Igora.

– Teraz uważaj, ja zawieszę, a ty patrz, żeby ten papier od spodu się nie pofałdował – syknął cicho.

Igor przytknął głowę do wzorzystej tapety. Obraz po chwili zawisł na swoim miejscu. Johann cofnął się i przekrzywił głowę. Wszystko wyglądało całkiem porządnie, jedynie niewielkie sfaldowania przy samej ramie zdradzały, że płótno nie jest odpowiednio naciągnięte.

Strażnik wszedł do pomieszczenia i spojrzął na świeżo zawieszony obraz.

– I jak wyszły? – spytał, patrząc na Paulinę.

– Słucham? – Paulina otworzyła szeroko oczy i spojrzała w popłochu na Igora.

Igor zacisnął zęby i samymi oczami wskazał na jej rękę. Paulina

zdezorientowana spojrzała w dół i zobaczyła wiszący na swoim ramieniu aparat. Uśmiechnęła się z ulgą do strażnika

– A tak, tak. Zdjęcia będą w porządku, nadadzą się nawet do katalogu.

– Proszę przekazać pani Morlock, że bardzo się śpieszymy. Zdecydowaliśmy się nie zostawać na obiedzie, chcemy jeszcze dziś przekazać fotografie kupcowi. – Johann wyminął strażnika i skinął głową w kierunku Igora i Pauliny.

Przeszli przez wielką galerię, odprowadzani zaciekawionymi spojrzeniami grupki emerytów i zniecierpliwionym wzrokiem młodej przewodniczki. Po chwili znaleźli się w bibliotece z wielkim kominkiem.

– Mam nadzieję, że ten ogrodnik nie wrócił pod okno – mruknął pod nosem Igor.

– Nie kracz. – Johann spojrzał karcąco na Igora i sięgnął do klamki na wielkich dwuskrzydłowych wierzejach.

Weszli do hallu i stukając głośno butami po marmurowej posadzce, skierowali się do drzwi wyjściowych.

– Sir Clarens! Nie zostaje pan na obiedzie?

Igor zatrzymał się gwałtownie. Paulina, słysząc głos gospodyni, o mało nie wpadła na plecy idącego przed nią Johanna.

Ten odwrócił się i przez chwilę na jego twarzy malowało się zaskoczenie wymieszane z paniką. Ściągnął usta i zrobił krok w kierunku gospodyni, która trzymając ręce założone na piersiach, stała u stóp schodów.

– Niestety, nie możemy zostać na obiedzie. Mamy za mało czasu, a przed Londynem mogą być korki.

– Nie odwiedził pan nawet pani Wiktorii, będzie zawiedziona. – Morlock patrzyła podejrzliwie na syna swojego pracodawcy.

– Proszę przeprosić babcię. Odwiedzę ją niebawem. – Johann skinął głową gospodyni i otworzył szeroko drzwi, przepuszczając Paulinę i Igora.

– Żeby tylko nie polazła za nami naokoło tego domu. – Paulina wzniosła oczy ku górze i złapała za klamkę tylnych drzwi land rovera. Żwir chrzęścił pod nogami Igora, który okrążył samochód i wsiadł od strony pasażera.

– Jak przystanę, wyskoczysz i weźmiesz obraz. Wrzuć go na tylne

siedzenie. – Johann przekręcił kluczyk i wcisnął pedał gazu. Samochód potoczył się szeroką żwirowaną aleją wzdłuż frontowej elewacji. Minął wschodnie skrzydło pałacu i zakręcił w kierunku parkingu dla gości.

– To trzecie okno, jeszcze chwilę. – Igor opuścił szybę i wychylił się, próbując dojrzeć coś pod wielkimi krzakami ciągnącymi się wzdłuż całej szczytowej elewacji budynku. – Zatrzymaj się, tutaj – powiedział do Johanna.

– Nikt się nie gapi przez te okna? – Paulina pochyliła się, usiłując dojrzeć coś przez przyciemnione szyby z tylnego siedzenia.

– Teraz! – Igor otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Pochylił się i rozgarniając gałęzie rododendronów, przedostał się pod ścianę budynku. Obraz stał oparty o pień krzewu. Sięgnął po niego i włożył go sobie pod pachę. Przedarł się ponownie przez gąszcz zimozielonej rośliny i wy dostał się przed samochód. Szarpnął za klamkę tylnych drzwi, otworzył je i wrzucił obraz na siedzenie obok Pauliny. Czując fizyczną wręcz ulgę, wskoczył na przednie siedzenie i odetchnął.

– Jezu, udało się. Minęły zaledwie dwa dni, a my dokonaliśmy właśnie kolejnej spektakularnej kradzieży.

Johann roześmiał się i obejrzał do tyłu.

– To można potraktować jedynie jako połowiczny sukces. W końcu to dom mojego ojca.

– Jedźmy stąd, bo ta Morlock każe nas jeszcze przeszukać przed bramą wyjazdową. – Paulina z niepokojem spojrzała na wiekową deskę, która leżała obok niej na skórzanej kanapie. – Trzeba to czymś zakryć.

– Zaraz się gdzieś zatrzymamy i schowamy to z tyłu. – Johann, rujnując kołami fragment nieskalanie zielonego trawnika, zawrócił i ruszył w kierunku alei wyjazdowej z pałacu.

Morlock stała w małej galerii i ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w płótno Lessinga.

– Powiesili to tak po prostu i się pożegnali? – Spojrzała podejrzliwie na Jonesa. – Obejrzałeś obraz przed powieszeniem?

– A co ja miałem oglądać? Znam się na tym czy co? – Strażnik wzruszył ramionami. – Poza tym to przecież obraz matki pana Carleya.

– Dopóki wisi u nas, my za niego odpowiadamy. Jest ubezpieczony, do nas się przyczepią, jakby zginął. – Morlock podeszła do ściany i spojrzała na płótno, przechylając głowę. Dotknęła ramy, a następnie leciutko odsunęła obraz od ściany i zajrzała na jego tył. Szary papier, którym od tyłu była podklejona rama, był zlepiony w narożnikach taśmą klejącą.

Gospodyni ściągnęła brwi. Odchyliła obraz od ściany bardziej, usiłując obejrzeć całą tylną stronę, i w tym momencie płótno w złożonych ramach lekko zafalowało i zmarszczyło się w jednym z narożników. Morlock ostrożnie puściła ramię, przysuwając głowę do narożnika, w którym płótno wyglądało teraz jak źle naciągnięta poszewka. Aż ją zatkało. Wyjęli obraz z ram? Po co? Przecież mieli tylko zrobić zdjęcia.

Coś tutaj jest nie tak. Cofnęła się o krok i potarła brodę. I jak dziwnie zaczęli się nagle śpieszyć. A co jeśli... Zacisnęła wargi i nieoczekiwanie przysła jej do głowy myśl, która sprawiła, że zrobiło jej się gorąco.

Podmienili obraz na kopię!

Odwróciła się do przypatrującego się jej podejrzliwie Jonesa i spojrzała na niego z osłupieniem. Co za bałwan!

– Wezwij policję! Natychmiast! – warknęła do osłupiałego strażnika i rzuciła się w kierunku wyjścia. – Idę zawiadomić panią Wiktorię.

## Rozdział 21

Późną wrześniową nocą roku 1620 na dziedziniec starego, zapuszczonego, zamienionego na więzienie klasztoru zajechała karetą zaprzęgnięta w cztery konie. Wsiadł z niej ubrany w czarną pelerynę, z zarzuconym na głowę kapturem człowiek, przed którym stojący u bramy strażnicy skłonili się w pas. Mężczyzna uniósł głowę i obrzucił spojrzeniem dwie strzeliste figury, które górowały nad kamiennym portalem wejściowym, zdobiącym wielkie, opancerzone stalowymi okuciami wrota.

Towarzysząca mu straż przyboczna usłużnie pchnęła szerokie odrzwia i mężczyzna wszedł do wysokiej, nakrytej gwiaździstym sklepieniem sieni. Nie w głowie mu było podziwianie wnętrza zamczyska, które czasy świetności miało dawno już za sobą i z wolna chyliło się ku upadkowi. Przybysz miał pociągłą twarz z wydatnym podbródkiem i wysokim czołem, na ramiona spływały mu długie, ciemne włosy. Nad zaciśniętymi, okrutnymi ustami falowały wąskie zakręcone wąsy. Oczy miał ciemne, zapadnięte, podkreślone głębokimi bruzdami. Czaił się w nich strach.

Strach przywiódł go do tego miejsca.

Do lochów prowadziły wąskie, kręcone schody, które zdawały się nie mieć końca. Pochodnie niesione przez strażników rzucały na ściany ponure, wydłużone cienie, w milczeniu podążające krok w krok za przybyszami, aż do długiego i wąskiego, nakrytego kolebą korytarza, gdzie po obu stronach otwierały się mroczne oczodoły cel. Mężczyzna w czarnej pelerynie stanął przed topornymi, okutymi drzwiami, w których tkwiło malutkie, zakratowane okienko, i stanowczym gestem zatrzymał strażników. Rozsunął poły płaszcza, chwycił wielki złoty krzyż zwisający z jego szyi i klęknął, odmawiając modlitwę za duszę tej, o której łaskę przybył tutaj błagać.

Była bardzo stara, jej porysowana zmarszczkami twarz wyglądała jak sieć, w którą dały się złapać dwa ciemne, błyszczące kamienie głębokich oczu. Jej wątłe, zmaltretowane ciało na chwilę obudziło w nim poczucie winy i wstyd za swoje bogato zdobione klamrami trzewiki, nałożone na jedwabne

pończochy, za te wyszywane złotą nitką pludry i drogocenne kamienie, które miał na palcach. Długo zaklinał ją, by zmieniła swoją ostatnią wolę, ale jej odpowiedź brzmiała jak wyrok.

*Weg mit dem Kopf!*

Przeraziła go nagle obudzona w jej oczach nienawiść. Jej głos ścigał go po mrocznych lochach ponurego martwego gmachu, a gdy karetka minęła klasztorną bramę i wypadła na brukowany gościniec, rozpętała się burza.

Zostały mu niespełna dwa miesiące życia. Jej zaledwie kilkanaście godzin.

\*

Szczupła dama z mocno ściągniętymi na karku siwymi włosami szła powoli przez ogromną bibliotekę. Nie wyglądała na swoje osiemdziesiąt trzy lata, ale w jej ruchach dawało się wyczuć zmęczenie. Za nią podążała cicho ze spuszczoną głową Morlock, rzucając co chwilę pełne niepokoju spojrzenia na plecy swojej chlebobawczynie.

– Jeżeli niepotrzebnie schodzę na dół, to każe cię, Morlock, wychłostać.

Gospodyni, przekonana wprawdzie, że to całkowicie niedopuszczalne w obecnych czasach, nie miała jednak wątpliwości, że jej pani w miarę potrzeby zdołałaby jakoś obejść ten drobny problem w prawodawstwie.

– Nie twierdzą, że sir Clarens ukradł ten obraz. Może ci jego towarzysze to jacyś szantażyści, może wpadł w problemy finansowe. Faktem jest, że obraz był wyjmowany z ram, a mieli zrobić tylko zdjęcia.

– Irene go rozpuściła. Chłopak zadaje się, z kim popadnie. – Starsza dama pokręciła głową, mówiąc bardziej do siebie niż do gospodyni.

– Wezwałam policję. Jeśli obraz został ukradziony, to każda minuta jest ważna. Dzwoniłam do pani von Altendorf, ale cały czas ma wyłączony telefon. – Morlock dyskretnie wytarła chusteczką pot z czoła.

– To pewnie narkotyki. Wpadł w złe towarzystwo i postanowił okraść własną matkę. – Wiktoria Carley zwolniła i stanęła przed wielkim kominkiem, patrząc na wiszący nad nim ogromny portret jegomościa z sumiastymi wąsami. Westchnęła i ruszyła dalej. – Jak tylko dodzwonisz się do Irene, przekaz jej, żeby przysłała tutaj tego swojego rzeczoznawcę od niemieckich obrazów. Mam nadzieję, że policja szybko się tutaj zjawi.



Przeszły do końca biblioteki, wkroczyły do wielkiej galerii i ruszyły w kierunku otwartych drzwi do bocznej sali.

Starsza dama zatrzymała się przed wiszącym w narożniku sali obrazem i zmarszczyła brwi. Nie знаła się na malarstwie, to była domena jej syna. Sama uważała, że stanowi doskonałą lokatę kapitału. Pochyliła się w kierunku dzieła.

Płótno było pomarszczone i na dłuższych bokach odstawało od ram.

– Dobrze zrobiłaś. – Lady Carley popatrzyła na gospodynię i pokiwała głową. – Miejmy nadzieję, że jeszcze dzisiaj ich zatrzymają i wszystko się wyjaśni.

\*

Urodziła się w rodzinie tak starej, że o jej początkach krążyły jedynie legendy. Jedna z nich mówiła, że pochodzą z nad Morza Czarnego, skąd uciekając pod koniec V wieku przed Hunami, przybyli do Europy wraz z falą barbarzyńskich plemion Anglów i Sasów, które w wojennym zamieszaniu zdołały zagarnąć Cesarstwu Rzymskiemu Brytanię. Inna legenda przywoływała Karola Wielkiego, na dworze którego ponoć służyli i od którego otrzymali swój herb z dwoma czerwonymi wilkami na złotym tle.

W XVIII wieku zaczęto na Pomorzu powtarzać inną legendę, według której cztery najstarsze domy pomorskie, a więc Gryfici, Borckowie, Flemingowie i Wedlowie, mieli pochodzić od Rzymian. Protoplastą Borcków miał być ród Porcjuszów, z którego wywodził się polityk i pisarz Marcus Porcius Cato, znany głównie z tego, że każdą swoją wypowiedź w senacie kończył zawołaniem: „Kartaginę trzeba zniszczyć!”. Historia Pomorza za protoplastę rodu uważa kasztelana kołobrzeskiego Wolfa Borcka, który w 1255 roku otrzymał od księcia Warcisława II ziemię łobeską. Ta ziemia pozostała w ich rękach przez siedemset lat.

Według zachowanych do dziś akt procesowych Sydonia von Borck urodziła się jako najmłodsza córka Ottona i Anny von Borcków. W prawdziwym wilczym gnieździe. Zamek nazywano Wulfsberg, Wilczą Górą. To właśnie stąd, przez całe średniowiecze, najgroźniejsi na Pomorzu rycerze rabusie wyprawiali się na handlowe trakty, aby rabować przejeżdżających rycerzy i kupców. Uważana za najpiękniejszą pannę na Pomorzu, rozpieszczana przez ojca, odziedziczyła ten sam hart ducha, dzięki

któremu jej przodkowie przetrwali najtrudniejsze okresy zamętu, by stać się w końcu jednym z pierwszych rodów księstwa, i który u kresu życia zaprowadził ją do ciemnego lochu w zrujnowanym, zamienionym na książęce więzienie klasztorze.

Zanim to jednak nastąpiło, trafiła jako dwórka na zamek w Wołogoszczy, gdzie według rozpowszechnionej później legendy rozkochała w sobie najmłodszego syna panującego ówczas księcia Filipa I, Ernesta Ludwiga. Małżeństwo dla Gryfitów byłoby mezaliansem nie do zaakceptowania. Wkrótce więc zerwano zaręczyny, młody książę poślubił brunszwicką księżniczkę Zofię Jadwigę, a rozgoryczona Sydonia wróciła na dwór swojego ojca. Przed odejściem rzuciła jednak na Gryfitów klątwę, wieszczącą, że nie minie pół wieku, a cały ród zejdzie bezpotomnie z tego świata.

\*

– Wołogoszcz? Ja myślałem, że ona była dwórką na szczecińskim zamku.  
– Johann spojrział na Paulinę ponad talerzem pełnym frytek.

– Wolgast, dzisiaj w Niemczech. – Igor odkroił kawałek ryby i włożył do ust, przewracając oczami. – Ależ byłem głodny. Od rana nic nie jedliśmy. W Szczecinie panował wówczas ten nasz Barnim Dziewiąty, a w Wołogoszczy Filip Pierwszy, jego bratanek.

Pół godziny wcześniej zjechali z głównej drogi, zatrzymując się w małej przydrożnej restauracji niedaleko Lambourn, przed którą stało kilka zaparkowanych samochodów. Wewnątrz panowała rzetelnie wystylizowana atmosfera angielskiego pubu.

– Ciekawe, czemu właściwie wysłali ją aż tam? Do Szczecina było przecież bliżej. No i ten nasz Barnim Dziewiąty miał pięć córek, miałyby tutaj co robić. – Paulina sięgnęła po szklankę z wodą mineralną.

Igor wzruszył ramionami.

– A jak było naprawdę? Z tą klątwą i jej pobytem na zamku? – Johann spojrział na Igora, który pokręcił głową i przełknął porcję frytek.

– Zachowały się bardzo drobiazgowo akta z jej procesu sądowego, ale o pobycie u Filipa Pierwszego w sumie niewiele wiadomo. A co do twojego pytania... – Igor skinął brodą w kierunku Pauliny – zamek Wołogoski był chyba wówczas lepiej notowany towarzysko. Poza tym cała ta historia jej

romansu z Ernestem Ludwigiem jest mocno podejrzana. – Zmarszczył czoło i dźgnął widelcem ostatnią frytkę na talerzu.

– Dlaczego? – Paulina uniosła brwi. – Wszędzie piszą o tym w przewodnikach i różnych albumach o Szczecinie. Czytałam tę historię setki razy.

– A próbowałaś kiedyś posprawdzać daty?

Paulina spojrzała na niego, a następnie powoli pokręciła głową.

– Jakie daty? – Johann odsunął talerz, wytarł usta chusteczką i wbił wzrok w Igora.

– Ernest Ludwig urodził się w tysiąc pięćset czterdziestym piątym roku. Data narodzin Sydonii nie jest znana, najczęściej podaje się ten sam rok, ale na przykład Wulf Dietrich von Borck w swojej pracy na temat rodziny podaje datę nawet o trzy lata późniejszą. W aktach z jej procesu o czary z kolei podano datę urodzenia tysiąc pięćset czterdzieści. Żeby było jeszcze bardziej niejasne, późniejsze dokumenty mówią, że urodziła się w tysiąc pięćset trzydziestym czwartym.

– Rozbieżność czternastu lat. – Johann pokręcił głową.

– Zakładając, że data z procesu jest prawdziwa, to Ernest byłby młodszy od niej o pięć lat. – Igor popatrzył na Paulinę, która słuchała ze zmarszczonymi brwiami.

– Idźmy dalej. W tysiąc pięćset pięćdziesiątym siódmym roku spłonął zamek w Wołogoszczy. Odbudowano go dopiero po kilku latach, a w międzyczasie, w roku tysiąc pięćset sześćdziesiątym zmarł Filip Pierwszy, który połamał sobie żebra, wyskakując z okna podczas pożaru. W roku śmierci ojca Ernest miał więc piętnaście lat, rozpoczął dopiero co naukę, najpierw na uniwersytetach w Greifswaldzie, Wittenberdze, potem Paryżu. W tym samym czasie Sydonia byłaby więc dwudziestoletnią panną, co w owych czasach oznaczało już kompletne staropanieństwo. Ich romans po śmierci Filipa jest mało prawdopodobny, nie mieliby kiedy, a przed pożarem zamku z kolei...

– Czekaj, czekaj. – Paulina postukała palcem w stół. – Powiedzmy, że był rok tysiąc pięćset pięćdziesiąty szósty, on miał jedenaście lat, ona szesnaście, hmm...

Igor pokiwał głową.

– Po roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym siódmym najprawdopodobniej została odprawiona z zamku. Trwała odbudowa, a do roku sześćdziesiątego ósmego zmarli jej oboje rodzice i zaczęła się gehenna ze spadkiem.

– W zasadzie można by przyjąć, że młody chłoptaş, tak jedenasto-, dwunastoletni, ulega fascynacji starszą wyrafinowaną dwórką. To jest możliwe. – Johann ściągnął usta i spojrzał na Paulinę.

– Czy odwołuje się pan do własnego doświadczenia, milordzie? – Paulina uśmiechnęła się złośliwie. Johann wykrzywił się do niej i pokręcił głową.

– Pewna szczecińska historyczka, Janina Kochanowska, wysnuła ciekawą hipotezę na ten temat. – Igor oparł łokcie na blacie i uśmiechnął się do siebie. – Filip Pierwszy znany jest dzięki słynnemu portretowi Cranacha juniora. Był bardzo przystojnym facetem. W czasach gdy Sydonia gościła w Wołogoszczy, zbliżał się do czterdziestki. Znany był ze swojego zamiłowania do picia, a ponoć też korzystał z prawa *ius primae noctis*, pierwszej nocy z damami dworu.

Igor uśmiechnął się, widząc minę Pauliny.

– Wyglądasz, jakbym ci właśnie wmawiał, że święty Mikołaj to pedofil.

– Czyli Sydonia miałaby romans z tatusiem, a nie synem. Po jego śmierci żona, która tolerowała wszystko, udając, że nic nie widzi, wyrzuciła ją z zamku, a Sydonia, czując się upokorzona, znenawidziła Gryfitów. –

Johann pokręcił głową. – No i to brzmi realniej niż romans z jedenastolatkiem. – Roześmiał się.

– Borckowie jakiś czas później uznali, że należy historię upiększyć. Zaczęli więc podawać późniejszą datę jej narodzin i dołożyli do tego pięknego księcia Ernesta. – Igor sięgnął po szklanekę z wodą. – I tak narodziła się legenda.

Paulina wyraźnie się naburmuszyła. Nie podobała jej się taka profanacja jednej z najpiękniejszych szczecińskich opowieści. Nawet gdyby to miała być prawda.

Telefon Johanna zamigotał kolorowo. Wewnątrz pubu panował taki gwar, że sygnał był ledwie słyszalny. Johann sięgnął po niego i przycisnął do ucha, zasłaniając drugie ręką. Po chwili wstał i schował telefon do kieszeni.

– Przepraszam na moment. Zaraz będę z powrotem. – Przewrócił oczami przepraszająco.

Igor skinął głową i rzucił Paulinie porozumiewawcze spojrzenie.

Wyszedł na parking na tyłach budynku i rozejrzył się. Akurat w tym momencie pomiędzy gęstych krzewów, osłaniających parking od bocznej drogi wjazdowej, wyjechała niewielka furgonetka i powoli podjechała pod samo wejście. Johann kiwnął ręką kierowcy i ruszył w kierunku swojego land rovera. Furgonetka powoli potoczyła się za nim.

Rozejrzył się wokół siebie, podszedł do samochodu, otworzył tylne drzwi i wyjął duży, owinięty byle jak kocem pakunek. Podał go młodemu mężczyźnie, który wysiadł z szoferki. Po chwili pakunek został umieszczony w specjalnej torbie wyłożonej materiałem zabezpieczającym. Mężczyzna włożył go do dużej aluminiowej skrzyni na tyle bagażówki i z trzaskiem zamknął drzwi. Podał rękę Johannowi i wszedł do samochodu.

\*

Gdzieś w głębi starego budynku trzasnęły drzwi. Odgłos zasuwanych rygli i metaliczny brzęk wielkiego klucza w zamku rozległ się echem wzdłuż długiego klasztornego korytarza, wciskając się w szpary między drzwiami i cichnąc po ciemnych kątach. Przez smukłe okna wpadało do środka ponure i nieprzyjazne światło późnej jesieni, kładąc się długimi, bladymi plamami na posadzce ze zniszczonych kamiennych płyt. Za oknami wył wiatr i zrywał z wielkich, rosnących nad Krępą buków ostatnie, pozbawione już ognia liście. Wypełzającą z mrocznych zakamarków ciszę rozdarł głośny jazgot walenia w drzwi i krzyk, który przetoczył się wzdłuż korytarza, odbijając się echem od zimnych ścian.

Stara kobieta w czarnym habicie, z włosami niedbale związanymi na karku cienką czarną wstążką, stała przy oknie w jednej z sal wychodzących na podjazd i patrzyła w kierunku bramy. Zacisnęła zęby w mściwym grymasie.

Dzisiaj to się wreszcie skończy! Znowu będzie tutaj spokój.

Pan zawsze jest sprawiedliwy. Już oni wydrą z niej prawdę, będzie musiała wykrzyknąć te plugastwa, którymi się zajmowały razem z grubą Wolde. Na nią przyszedł czas, zawisała na stryczku, to i druga wiedźma doczeka się sprawiedliwego końca. Nienawidziła jej za te pełne pogardy spojrzenia, za te pańskie maniery. Zamiast pogodzić się z życiem, jeździła wciąż po tych

sądach i procesach.

Stara kobieta zacisnęła pięści. To Pan podpowiedział jej, jak z nią postąpić. Przecież nie mogła być ślepa na te czarodziejskie praktyki, leczenie ziołami i jeszcze konszachty z podłą wiedźmą Albrecht. No i ta straszliwa klątwa, którą niechybnie rzuciła na książęcą rodzinę. Torturami wyciągną z niej wszystkie plugastwa, a ogień oczyści jej duszę.

Nawet jeśli to nieprawda...

Stara kobieta uśmiechnęła się mściwie, a następnie się przeżegnała, odpędzając od siebie szatańskie myśli, które rodziły się w zakamarkach jej umysłu. Że to przecież staruszka, opuszczona przez wszystkich, pozbawiona środków do życia i zaszczuta przez stare panny dożywające swoich dni w tej ochronce. Oszukana przez brata łajdaka i całą swoją wilczą rodzinę. Pokręciła głową. Nie, tak nie może myśleć, to szatan podpowiada podobnie plugawe myśli. Dobrze tak tej wiedźmie! Gdyby nie była czarownicą, to by Pan się nad nią ulitował. Pan zawsze jest sprawiedliwy.

Od strony bramy dobiegł tętent kopyt i po chwili na dziedziniec wtoczył się czarny, zakratowany powóz z oknami obwiązanymi płótnem.

\*

– Wolę tę romantyczną wersję. – Paulina uśmiechnęła się cierpko.

– Nie wiadomo, jak było, i już nigdy się tego nie dowiemy, ale teoria jest bardzo ciekawa. – Igor wzruszył ramionami.

– Miała okropnie nieszczęśliwe życie. Zasłużyła przynajmniej na piękną legendę.

– A mnie ta wersja z tatusiem Filipem bardziej się podoba. – Johann uśmiechnął się i wypił łyk soku. – Bardziej awanturnicza i stylowa.

Przed chwilą wrócił do środka i usiadł na swoim miejscu. Odetchnął z ulgą.

– Faktycznie, większą część życia spędziła na walce o to, co jej się należało. – Igor spojrzął na Paulinę. – Najpierw z bratem, który ją i jej siostrę pozbawił majątku po ojcu i praktycznie środków do życia. Później ze stryjem, jemu też chodziło o zagarnięcie dóbr, z których dochody jej się należały. Ponoć to on właśnie rozpowszechniał plotki o klątwie rzuconej na rodzinę Gryfitów, ale i tak najbardziej zaszkodziły jej te kutwy z Marianowa.

– Westchnął i pokiwał głową.

– Jakie kutwy? – Paulina popatrzyła na niego, ściągając brwi. – Siostry zakonne?

– Jakie tam siostry zakonne – prychnął Igor. – To najczęściej powtarzana bzdura. Przecież niecałe siedemdziesiąt lat wcześniej<sup>[29]</sup> księżęta przejęli dobra wszystkich klasztorów i Kościoła na całym Pomorzu. Większość starych klasztorów stała się rezydencjami wiejskimi Gryfitów. Marianowo było jednak wcześniej utrzymywane z datków okolicznych wielkich rodzin, które nie zgodziły się na przejęcie majątku klasztoru przez rodzinę książęcą. Postanowiono więc urządzić w nim przytułek dla ubogich starych panien ze szlacheckich rodzin, a opiekę nad nim powierzyć rodom, które do tej pory utrzymywały klasztor. Sydonia trafiła tam dzięki Wedlom, którzy byli krewnymi jej matki i mieli tam najwięcej do powiedzenia.

– Czyli umieściła ją tam rodzina? Nic dziwnego, że te biedne stare panny jej nie lubiły. – Paulina westchnęła i oparła łokcie na stole.

– Mało tego. Dostała osobny domek z ogrodem i z własną piwnicą, w której pozwolono jej warzyć piwo i przygotowywać różne ziołowe mikstury i lekarstwa. Była znana ze znajomości rzeczy na tym polu. Poza tym została także zastępczynią szefowej ośrodka, którą nadal zwyczajowo nazywano przeoryszą. Pewnie te wszystkie nieszczęśliwe, pozbawione jakichkolwiek perspektyw kobiety jej nie znosiły, a że wciąż się procesowała z rodziną o spadek i wyjeżdżała do Szczecina, to już w ogóle było dla nich nie do przyjęcia. Kobieta w tamtych czasach musiała być pokorna i godzić się ze swoim losem.

– To one wymyśliły te wszystkie historie z czarami i tak ją urządziły? – Johann popatrzył na Igora ze zmarszczonymi brwiami.

– Zaczęło się od niejkiej Wolde Albrechts, samotnej, niedorozwiniętej kobiety ze wsi. Prawdopodobnie te kutwy z klasztoru i miejscowi wieśniacy dokuczali jej i wymyślali różne brednie. Sydonia, która dobrze wiedziała, co to jest samotność i brak oparcia w bliskich, chyba się po prostu za nią ujmowała i gościła ją u siebie. Była to kolejna potwarz dla świątobliwych hipokrytek. Jakiś czas później ta biedna Wolde została oskarżona o czary i powieszona. Wtedy to trzy wiedźmy z klasztoru doniosły na Sydonię i oskarżyły ją o kontakty z powieszoną czarownicą. – Igor westchnął i popatrzył na Johanna. – Ta historia zawsze psuje mi humor.

– Potem odbył się proces, a wcześniej przez prawie rok trzymano ją w więzieniu, gdzie była torturowana. – Paulina pokręciła głową. – A siostrzyczki w tym czasie pewnie żarliwie się modliły.

\*

U wylotu dzisiejszej ulicy Staromłyńskiej w kierunku placu Żołnierza na początku XVII wieku, niczym klamra w łańcuchu średniowiecznych murów miejskich, stała potężna brama nazywana Młyńską. Od strony miasta ulicę zamykała trzykondygnacyjna wieża z przejazdem w parterze, nakryta dwuspadowym dachem z dekoracyjnymi, gotyckimi szczytami. Dalej był przerzucony nad fosą, zadaszony most zwany szyją, a potem wielki donżon – jego piętro od strony wewnętrznej obiegała drewniana galeria, z której strażnicy obserwowali wjeżdżających do grodu i wyjeżdżających z niego. Sklepiona brama prowadziła na most nad fosą, a następnie zjeżdżało się w dość szeroką uliczkę wyjazdową, będącą przedłużeniem dzisiejszej Staromłyńskiej. Wzdłuż ulicy stały niewielkie kamieniczki, za którymi ciągnęły się ogrody przylegające do położonych wzdłuż Odry ogrodów zamkowych. Nieco dalej, mniej więcej na miejscu dzisiejszej zabudowy przy ulicy Henryka Pobożnego, rozciągały się geometryczne ogrody w stylu włoskim, w których centrum stał zameczek „Lusthause”, postawiony przez Filipa II i przeznaczony na książęcą kolekcję malarstwa.

Krótką uliczkę wyjazdową zamykała jeszcze jedna wieża z wysokim stożkowym hełmem, za którą były już tylko drogi ciągnące się przez pola.

I to tutaj właśnie, nieco na północ od Bramy Młyńskiej, gdzie znajdował się trójkątny plac wytyczony przez dwie drogi okalające kościół Świętych Piotra i Pawła i spotykające się pod donżonem bramnym, pewnego wrześnieowego poranka 1620 roku ustawiono drewniany podest, na którym kat oczekiwał przybycia z oddalonego o kilka kilometrów książęcego więzienia – zakratowanego powozu, w którym przyjechać miała wiekowa staruszka oskarżona o rzucenie klątwy na rodzinę książęcą.

Wokół zebrał się tłum gapiów, niemogący doczekać się już egzekucji. Być może byli tam i Borckowie, którzy po wydaniu wyroku śmierci na swoją krewną nagle położyli uszy po sobie. Być może uprzytomnili sobie, że ta śmierć nie przyniesie im chwały. Może uprzytomnił to sobie także książę Franciszek I, obserwujący z okien nieodległego zamku całe to zbiegowisko.



Jego właśnie historia Pomorza miała zapamiętać jako tego, który w noc przed egzekucją bezskutecznie błagał Sydonię o zdjęcie kłatwy, a potem – mimo płynących z sąsiednich księstw i wielu pomorskich dworów próśb o ułaskawienie – w zapiekłym gniewie podszytym strachem, zakłamaniem i wiarą w zabobony pozostał nieugięty.

Sydonię ścięto, a jej zwłoki spalono na stosie, być może usypanym tuż obok lub dalej, poza murami miasta. Prochy, według różnych podań, rozsypano po polach lub nad Odrą, lub też pochowano na cmentarzu dla biedoty, gdzie jeszcze w XIX wieku ponoć leżał kamień pamiątkowy.

W 1628 roku wojna trzydziestoletnia, nie oszczędzwszy Pomorza, zmiotła z powierzchni ziemi zamek w Wołogoszczy, na którym zaczęła się ta historia bez szczęśliwego zakończenia.

Dziewięć lat później umarł Bogusław XIV, ostatni książę z dynastii Gryfitów. Dziesiątego marca 1637 roku w całym kraju były wszystkie dzwony, tłumy ludzi wyszły na ulice miast. Historia księstwa, które przetrwało sześć wieków, a pamiętało jeszcze czasy wspólnoty plemiennej, właśnie się kończyła.

\*

– Przed Bramą Młyńską? Czytałam, że egzekucja odbyła się na jakimś Kruczym Kamieniu pod Szczecinem. – Paulina popatrzyła powątpiewająco na Igora.

– Jest kilka wersji. Jedna z nich mówi o Kruczym Kamieniu, czyli dawnym rozstaju dróg prowadzących do Krzekowa i Tanowa. Według innej wersji stało się to za Bramą Młyńską. Szczecińskie Towarzystwo Historyczne z kolei upiera się, że miejscem tym jest dzisiejszy chodnik przed wejściem do Księgarni Zamkowej. Ostatnio czytałem gdzieś teorię o Szubienicznym Wzgórzu, które wypadało chyba na końcu ulicy Potulickiej i skąd było blisko na cmentarz biedoty, gdzie ponoć pochowano jej prochy. – Igor wzruszył ramionami.

– Tak czy siak, zamordowali ją, ale jednocześnie uczynili nieśmiertelną. Narodziła się legenda.

– A potem powstał jej słynny, do niedawna zaginiony obraz, który właśnie zwinęliśmy z zamku Clarena. – Paulina uśmiechnęła się do Johanna.

Ten popatrzył na nią, ściągnął nagle brwi, wyjął telefon i pochylił się nad klawiaturą.

– Według legendy to właśnie Franciszek Pierwszy po wykonaniu wyroku zlecił namalowanie obrazu ukazującego Sydonię w młodości i przed śmiercią. – Igor oparł się, wyciągnął nogi pod stołem i założył ręce za głowę.

– Hmm... – Johann podniósł wzrok znad klawiatury. – Coś właśnie przyszło mi na myśl.

– Co takiego? – Paulina popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

– Lucas Cranach nie mógł namalować jej portretu. Przecież umarł w tysiąc pięćset pięćdziesiątym trzecim roku.

Przy stoliku na chwilę zapanowała cisza, wypełniona jedynie hałasem dochodzącym od strony niedalekiego barku, przy którym siedziało kilku mężczyzn prowadzących głośną rozmowę, przerywaną wybuchami śmiechu.

Paulina spojrzała na Igora i uniosła brwi. Igor westchnął.

– Bo to nie jest portret Sydonii.

## Rozdział 22

Inspektor Clive Hunting ze Swindon Police przy Station Gable Cross stał w małej galerii przed obrazem Lessinga i wpatrywał się w płótno. Towarzyszący mu konstabl starał się robić mądrą minę, ale nic nie było w stanie ukryć faktu, że obaj nie mają zielonego pojęcia, jak rozpoznać, czy wiszące przed nimi dzieło jest oryginałem, czy kopią płótna niemieckiego malarza.

– Twierdzi pani, że obraz został wyjęty z ram i nieudolnie, jak się pani wyraziła, włożony z powrotem? – Hunting spojrział na stojącą nieco z tyłu zaaferowaną gospodynię. Lady Wiktorja Carley siedziała w pozie godnej królowej matki na drogocennej sofie Biedermeier i śledziła z wystudiowaną obojętnością rozwój wydarzeń.

– Uważam za możliwe, że w miejsce oryginału została włożona kopia. – Morlock spojrzała na lady Carley i popatrzyła na plecy inspektora, który właśnie ponownie obrócił się do ściany i pochylił nad złożonymi ramami.

Lady Carley odchrząknęła.

– Inspektorze, niezależnie od pańskich wątpliwości, które – przyznaję – ja także mam, tym, co najbardziej jest teraz wskazane, pozostaje pośpiech. Jeżeli Morlock ma rację, to obraz za chwilę może zniknąć, przekazany jakiemuś kolekcjonerowi, albo wręcz opuścić Wyspy.

Hunting odwrócił się i pokiwał głową.

– Jeżeli natomiast opinia rzeczoznawcy, który notabene powinien się zjawić u nas jutro, wykaże, że to oryginał, to zawsze zdążymy przeprosić mojego wnuka.

Do sali zajrzał Jones. Stał w progu i ukłonił się lady Carley.

– Przepraszam państwa, ale właśnie się dowiedziałem... – Spojrzął na gospodynię. – Pewien ogrodnik twierdzi, że widział coś niepokojącego.

Morlock rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

– O czym ty mówisz, Jones, na miłość boską, nie czas teraz na zajmowanie się ogrodem.

– To nie chodzi o ogród, pani Morlock. – Jones odwrócił się i machnął ręką do kogoś za drzwiami. Po chwili do sali wszedł jasnowłosy chłopak i niepewnie się rozejrzył.

– O co chodzi, James?

– Przechodziłem właśnie obok pałacu. Szedłem zgrabić żwir na parkingu, gdy zobaczyłem tego cudzoziemca, jak wychylał się z okna.

– Wychylał? – Lady Carley odwróciła się w kierunku chłopaka.

– Tak, proszę pani. Prawie wisiał w tym oknie. Kiedy spytałem, czy w czymś pomóc, odpowiedział, że sprawdzał tylko, czy okno jest zamknięte. A potem pan Johann, jak wyjeżdżał, to podjechał autem pod to okno i ten cudzoziemiec wysiadł, i wlaź pod krzewy rododendronów.

Lady Carley obróciła się do policjantów i podniosła brwi.

– Nie mam pojęcia, co oni tam robili, ale w zestawieniu z tą zrujnowaną oprawą Lessinga jest to chyba absolutnie niepokojące.

Inspektor Hunting popatrzył na stojącego obok konstabla i wyjął telefon z kieszeni.

– Ma pani słuszość, lady Carley. Powiadomimy zaraz patrolę na drodze do Londynu, żeby zatrzymali samochód pani wnuka. Skontaktuję się także z Londynem, na wypadek gdyby udało im się tam dojechać.

\*

Beata Komorowska spędziła krótki czwartkowy wieczór w domu, szperając w książkach. Jej łacina z czasu studiów była dość uboga, ale i tak wystarczyła na przetłumaczenie większości cytatów na pokrywie sarkofagu, zwłaszcza że prawie wszystkie były znanymi sentencjami. Oprócz tej jednej na samym końcu, której znaczenie pozostawało niejasne. Dosłowne tłumaczenie brzmiało absurdalnie i zdawała sobie sprawę, że nie o to chodzi, prawdopodobnie była to gra słów, odnosząca się do marności życia i do cudu zmartwychwstania w Bogu. Tylko tyle zdołała wymyślić, ale nie dałaby głowy za tę koncepcję. Wprawdzie umieszczona na końcu, niezłe w takim rozumieniu pasowała, ładnie zamykając całość przesłania, ale coś było nie tak.

Położyła się spać późno, nie mogąc się już doczekać, aż znajdzie się w pracowni i ponownie zabierze do pracy.

Cały piątkowy rano poświęciła czyszczeniu cynowych bocznych ścian, zdemontowanych nóg w formie szponów i delikatnych rzeźbionych elementów, tworzących arkadkowy motyw na bokach sarkofagu. W południe wpadła do pracowni Marzena Hadrys i obie spędziły kilka godzin na czyszczeniu srebrnych dekoracji pokrywy. Hadrys spędzała mnóstwo czasu w Zakładzie Medycyny Sądowej Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego, dokąd trafiła wewnętrzna, sosnowa trumna wraz z całą zawartością. Nadzorowała tam katorżniczą pracę konserwatorów, którzy zdejmowali z pozostałości zwłok Barnima IX resztki zachowanej odzieży oraz niegdyś oszłamiające, a teraz wyblakłe i zszarzałe elementy biżuterii. Miały trafić do specjalistycznej pracowni konserwacji wyrobów ze złota i kamieni szlachetnych.

Tymczasem w sąsiednim pomieszczeniu, do którego także wpadało światło z dwóch sufitowych świetlików, pod wielkim stalowym stołem przy ścianie, przykryta lnianą szmatą, stała trumna z czarnego dębu i czekała na swoją kolej.

\*

Johann wyszedł pierwszy i szybkim krokiem skierował się do stojącego na jednym z miejsc parkingowych land rovera. Obejrzał się za siebie.

– Pośpieszcie się. Nie mamy już czasu. – Machnął niecierpliwie do Igora i idącej za nim Pauliny.

– Jak to nie jest portret Sydonii? – Paulina dreptała obok Igora, usiłując nadążyć za jego długimi krokami. – A czyj?

Igor obszedł samochód i chwycił za klamkę. Paulina spojrzała na niego z irytacją.

– Wsiadajcie – poganiał Johann. – Moja matka dzwoniła, że ci jej znajomi w National Gallery wyznaczili nam audiencję i nie będą czekać. Pogadamy w drodze.

Trzasnął drzwiami i po chwili samochód ryknął i wzbił spod kół niewielkie fontanny żwiru.

– Powiesz wreszcie, co z tą Sydonią? – Paulina chwyciła rękami oparcie

przedniego fotela i wbiła wzrok w tył głowy Igora.

– Właśnie. Teraz możesz nas oświecić. Co z tym Cranachem? – Johann wyjechał na główną szosę i wcisnął pedał gazu.

Igor westchnął, poluzował pas i założył ręce na piersiach.

– Prawie do końca wojny obraz wisiał w pałacu Borcków w Starogardzie. Później zaginął, najbardziej prawdopodobna wersja głosiła, że spłonął wraz z całym wyposażeniem po tym, jak pałac podpálili Sowieci.

– Co, jak właśnie udało nam się stwierdzić naocznie, nie było prawdą – mruknął pod nosem Johann, patrząc w lustro.

– Tak jest, sir Clarens. – Igor kiwnął głową i wrócił do przerwanej wątku. – Obraz wisiał w Starogardzie od tysiąc osiemset trzydziestego czwartego roku, kiedy to przywiózł go tam jeden z Borcków, zabrawszy go w tajemniczych okolicznościach z majątku von Mellinów w Moczyłach. Wcześniej natomiast wisiał w zamku rodziny von Schwallenberg, gdzie trafił ponoć podarowany przez ostatniego księcia Bogusława Czternastego. Historia wędrówki obrazu opisana była na kartce przylepionej z tyłu. Oprócz niej była tam także starsza kartka, z siedemnastego wieku, która opisywała pokrótce historię Sydonii. Właśnie w postaci bajki o obiecanym jej przez młodego księcia Ernesta małżeństwie, która dała początek legendzie. Tam też znajdowała się lakoniczna informacja o tym, że autorem portretu młodej Sydonii był Lucas Cranach. Portret staruszki natomiast miał domalować już po jej egzekucji nadworny malarz Franciszka Pierwszego.

– A co się stało z tymi kartkami? – Paulina spojrzała na Johanna.

Ten wzruszył ramionami

– A skąd mam wiedzieć? Ten obraz wisiał u dziadka pod Berlinem jako Lessing. Może zaginęły już w trakcie podróży ze Szczecina.

– Tak czy siak, jeszcze przed wojną cieszyła się wśród historyków niemieckich popularnością teoria, że obraz młodej kobiety był starszy i dopiero długo potem ktoś domalował na nim staruszkę, dając początek całej historii – powiedział Igor, odwracając się do Pauliny.

– Czyli to był portret zupełnie innej kobiety, którego ktoś użył, żeby sfabrykować rodzinną legendę? – Paulina pochyliła się między przednimi fotelami. – A czyj to był portret w takim razie?

– Nie wiadomo. – Igor wzruszył ramionami. – Ostatnio przeczytałem na

forum Sediny<sup>[30]</sup> ciekawą teorię, że mógł to być portret saksońskiej księżniczki Sydonii von Sachsen, który trafił jakoś do Szczecina. Całkiem prawdopodobne! Mógł pochodzić z kolekcji Gryfitów, a potem znalazł się w którymś z pomorskich dworów. Poza tym Cranach rzeczywiście był nadwornym malarzem książąt saksońskich i stworzył wiele portretów córek księcia Henryka Pobożnego.

Paulina zmarszczyła brwi i sięgnęła po telefon. Przez chwilę siedziała pochylona.

– Faktycznie. W archiwum Sediny jest wątek jakiejś Agatki. To teoria babki, która się podpisuje pseudonimem Kurzastopka.

– Pewnie Agatka to jakaś nobliwa starsza pani, a Kurzastopka to facet. – Johann uśmiechnął się do lusterka, patrząc na pobłażliwy uśmiech Pauliny. – No co? Reguły internetu.

– Sydonia von Sachsen także miała jakieś kłopoty z rodziną i także trafiła do klasztoru, gdzie przebywała do śmierci – pociągnął wątek Igor. – Może zbieżność imion i podobne życiowe przypadki spowodowały, że z czasem portret Sydonii von Sachsen zaczął być brany za portret Borckówny.

– Trafił do jakiegoś pomorskiego zamku, potem do Borcków, a po drodze ktoś domalował staruszkę za jej plecami – powiedziała Paulina, w zamyśleniu patrząc w okno.

Igor pokiwał głową.

– Ale inna teoria, preferowana przed wojną przez niemieckich historyków, głosi coś zupełnie innego – kontynuował. – Według niej, obraz nie przedstawia konkretnej kobiety, tylko postać alegoryczną.

– Alegoryczną? – Paulina zdumiona spojrzała na Igora.

– No właśnie. Według tej hipotezy jest to portret kobiety upadłej, a symbolizuje to puchar w jednej ręce oraz sakwa w drugiej. Przejrzyste symbole, sakwa to raczej oczywiste, że symbolizuje zapłatę, a puchar to jest...

– *Der Freudenbecher!* – Johann spojrzał z szeroko otwartymi oczami na Igora. – Puchar rozkoszy, to o to chodziło!

– Jasne! – wykrzyknął Igor triumfalnie. – Cranach był znany z tego typu tematów. Na przykład ten cykl z Judytą i Holofernelem, ale i wiele innych skandalizujących pewnie wówczas przedstawień.

Johann pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym nagle ściągnął brwi w zamyśleniu.

– Gdyby więc to był prawdziwy Lucas Cranach, to pomijając wszystko inne, ile ten obraz właściwie może być wart?

Igor wzruszył ramionami.

– Niedawno do katedry we Wrocławiu wrócił zaginiony obraz Cranacha *Madonna pod jodłami*. Jest wyceniany na kilkanaście milionów euro.

– Ile? – Johann gwałtownie odwrócił się do Igora.

– Uważaj! – wrzasnął Igor ostrzegawczo.

Johann spojrział w przednią szybę i szarpnął kierownicą, w ostatniej chwili wracając na lewy pas i umykając przed, ryczącym wściekle iście okrętową syreną, wielkim tirem.

– Jezu, myślałem, że jakieś kilkanaście tysięcy. – Wciąż wstrząśnięty, nie uniknięciem niewątpliwej kraksy, ale możliwą wyceną obrazu, pokręcił głową.

– Nie ma sprawiedliwości na świecie. – Paulina uśmiechnęła się zjadliwie.  
– Obrzydliwie bogaty typ będzie jeszcze bogatszy.

Johann, patrząc w lusterko, posłał Paulinie urażone spojrzenie, po czym zmarszczył brwi i mruknął pod nosem:

– Od dłuższego czasu ktoś za nami jedzie.

\*

– Po cholere my jedziemy za tym cholernym młodym Carleyem? – Umundurowany policjant za kierownicą służbowego mitsubishi pajero z irytacją wskazał brodą na ciemny samochód, jadący kilkadziesiąt metrów przed nimi.

– Bo tak szef nam kazał. Carley coś tam ukradł z zamku. – Korpulentny towarzysz kierowcy spojrział na kolegę ze zdziwieniem.

– Wiem, głąbie! Przecież też słuchałem tych bzdetów starego. – Policjant szarpnął drążek zmiany biegu i wrzucił piątkę. – Chodzi mi o to, że jak tylko go zgarniemy, to za godzinę pojawi się oddział prawników jak nie jego ojca, to jego matki, albo nawet jedni i drudzy, i go wypuszczą. Po jakiego diabła w ogóle ta szopa?



– A co cię to obchodzi? Chcą, żeby go przymknąć, to go przymkniemy. – Okrągły policjant wzruszył ramionami i stęknął, poluzowując pasy.

\*

– Jesteś pewien? Może po prostu jedzie w tym samym kierunku. Nie mijaliśmy zbyt wielu zjazdów. – Paulina zaniepokojona odwróciła się i spojrzała w tylną szybę.

– Wprost przeciwnie – rzekł Johann z ironicznym uśmiechem. – Minęliśmy od groma zjazdów, tylko tak byłaś zagadana z Igorem, że nie zwróciliście uwagi.

– Ja zwróciłem. – Igor spojrzął na ekran GPS-u. – Nie możesz zjechać na M4 jakoś? Tam prosto do Londynu nikt nas nie zatrzyma.

– Nie zatrzyma? Kto ma nas zatrzymywać? O czym wy mówicie? – Paulina spojrzała z niepokojem na Igora.

– Musimy jechać cały czas Ermin Street aż do Shefford Woodlands, wcześniej nie ma wjazdów na M4 – wyjaśnił Johann i odwrócił się na moment do Pauliny. – Igor ma rację, w końcu ktoś się do mnie włamał, prawda? Raczej nie przez przypadek ukradli mój portret. Zwykli złodzieje by go nie tknęli.

– Ale to znaczy, że ktoś przez cały czas nas śledził. – Paulina odwróciła się i oparła o tylne siedzenie – Czy to ta ciemna terenówka?

– Tak, jedzie cały czas podobnym tempem i trzyma się z tyłu za kilkoma samochodami.

– Podobnie zachowuje się mnóstwo kierowców jadących w tym samym kierunku. – Paulina wzruszyła ramionami. – Nie przesadzacie?

– Zobaczymy w takim razie. – Johann wrzucił niższy bieg i wcisnął gwałtownie pedał gazu. Samochód zaryczał jak dziki kocur i wyrwał do przodu. Prawie przed maską nadjeżdżającego prawym pasem renault mastera wyprzedził jadącego całkiem szybko starego mercedesa i przyśpieszył jeszcze bardziej.

– Chyba wolę, żeby nas zatrzymali jacyś złodzieje, niż wpaść pod jakiegoś dostawczaka. – Paulina złapała się kurczowo oparcia przedniego siedzenia.

Johann spojrzął w lusterko wsteczne. Czarny samochód terenowy właśnie

energicznie wyprzedzał na ciągłej linii trąbiącego protestacyjnie mercedesa.

– Chyba rzeczywiście za nami jadą. – Igor odwrócił się i z niepokojem spojrzął w tylną szybę. Czarny samochód powoli zbliżał się do land rovera.

Był już na tyle blisko, że dało się widzieć siedzących w środku trzech mężczyzn. Jeden z nich nagle wyjął przez okno kolorowo błyskającą lampę i postawił ją na dachu.

– To jakieś służby drogowe. – Johann pokręcił głową. – Pieprzeni tajniacy. Czego oni od nas mogą chcieć?

– Zaczęłeś im uciekać – westchnął Igor i wyciągnął nogi przed siebie.

Johann zwolnił i zjechał na bok. Czarna toyota zrównała się z land roverem. Siedzący z przodu mężczyzna wystawił przez szybę legitymację i pomachał nią w kierunku pobocza.

– No, to będzie mandat. – Johann sięgnął do schowka i wyjął dokumenty.

– Na biednego nie trafiło. – Paulina odetchnęła z ulgą.

– Uważaj, bo dalej polecisz na miotle. – Johann rzucił jej zjadliwy uśmiešek i wcisnął guzik otwierający przednie okno, do którego zbliżali się właśnie dwaj mężczyźni ubrani w czarne kamizelki, pod którymi uwydatniała się wyraźnie broń.

– Dzień dobry państwu, proszę o opuszczenie samochodu. – Wysoki, potężnie zbudowany łysy mężczyzna pochylił się i gestem wskazał pobocze.

– Możemy wiedzieć, o co chodzi? – Johann uniósł pytająco brwi.

– Proszę otworzyć tył samochodu i stanąć na poboczu. To rutynowa kontrola. – Mężczyzna wsunął palce za pas i cofnął się o krok, umożliwiając otwarcie drzwi.

Igor wysiadł od drugiej strony i zrobił kilka kroków w kierunku wysokich krzewów porastających pobocze. Paulina podeszła do niego i stanęła obok. Sięgnęła do torebki i zaczęła w niej nerwowo grzebać.

– Dziwne... – mruknął Igor.

Dwaj mężczyźni drobiazgowo przejrzelili cały tył samochodu. Wyjęli obicia i zajrzeli do schowków z zapasowym kołem i narzędziami. Trzeci z nich zerknął na tylne siedzenie, wyjął skórzaną torbę, postawił ją na ziemi i otworzył.

– Przepraszam, ale z jakiego powodu panowie nas przeszukują? – Johann

zrobił krok w kierunku mężczyzny.

– Proszę zachować spokój. To kontrola antynarkotykowa. Dostaliśmy informację, że tą drogą samochód tej marki będzie przewozić heroinę do Londynu.

Johann wzruszył ramionami i popatrzył na Igora i Paulinę.

Mężczyźni odsunęli przednie fotele i zajrzeli pod dywaniki, następnie złożyli tylne siedzenia i zaczęli grzebać w licznych schowkach. Po dłuższej chwili jeden z nich pokręcił głową, rzucając porozumiewawcze spojrzenie łysemu, który wyglądał na ich szefa. Mężczyzna spojrzał bykiem w kierunku Igora i obszedł samochód.

– Jest! – Paulina z ulgą wyjęła paszport i przewiesiła sobie torbę przez ramię.

\*

– Bardzo państwa przepraszamy i życzymy miłej drogi. – Korpulentny policjant w jaskrawożółtej kamizelce narzuconej na mundur uśmiechnął się do ładnej blondynki za kierownicą i jej ubranego w szary garnitur towarzysza i odsunął się od drzwi grafitowego land rovera.

– Mówiłem, że to głupota? – Stojący obok wysoki policjant skrzywił się ironicznie. – Kto z Carley jeździ do Londynu tą drogą? Tylko straciliśmy czas na jazdę za jakimiś prawnikami.

– Racja. – Okrągły mężczyzna ruszył w kierunku policyjnego pajero. – Pewnie tak jak wszyscy, pojechali Ermin Street przez Lambourn.

\*

Potężny, łyśy mężczyzna niedbale zasalutował i wszedł do czarnej toyoty. Samochód łypnął migaczem i po chwili zaczął się szybko oddalać razem ze sznurem aut podążających w kierunku wjazdu na autostradę.

Johann westchnął i sięgnął po swoją torbę. Postawił ją na przednim siedzeniu i wcisnął przycisk rozkładający siedzenia z tyłu.

– Jacyś dziwni byli ci tajniacy. – Igor oparł się o samochód i spojrzał na Johanna.

– Czemu dziwni? – Paulina wepchnęła paszport do swojej torebki i rzuciła

ją na tylną kanapę.

Johann popatrzył na Igora i uniósł pytająco brwi.

– Ten łysy koleś miał pas z kłamrą Wranglera. – Igor potarł dłonią brodę. – Poza tym służby poszukujące narkotyków zazwyczaj mają psy.

– Hmm... Obejrżeli tylko moje prawo jazdy, was nawet nie spytali o dokumenty. – Johann spojrział na Igora z namysłem. – Mimo że Paulina gorączkowo ich szukała.

– No właśnie! – Igor pokiwał głową. – Zatrzymują nas pod pozorem szmugłowania narkotyków, a nie przeszkadza im, że któreś z potencjalnych przestępców zabiera ze sobą torebkę i przez dziesięć minut nerwowo w niej grzebie.

Paulina spojrzała na Igora z irytacją, po czym przeniosła wzrok na Johanna i odetchnęła.

– To był dobry pomysł z tym obrazem.

Godzinę wcześniej...

– Nie da się nijak upchnąć tej deski w samochodzie, tak żeby jej nie było widać – westchnął z irytacją Johann i rzucił mały koc na tylne siedzenie. – Nie mam żadnej dużej szmaty.

– A jak położymy ją z tyłu grzbietem do góry, to sądzisz, że ktoś się nią zainteresuje? – Paulina popatrzyła krytycznie na obraz Cranacha.

– I co? Jak się zatrzymamy coś zjeść, to zostaniesz przy samochodzie na straży? W końcu ci, co ukradli mój portret, też pewnie w tej chwili coś robią.

– A pod siedzeniami? – Igor sięgnął ręką pod tylny fotel.

– Nie zmieści się, a poza tym mamy chyba zamiar go przewieźć, a nie rozwalić, prawda? – Johann pokręcił głową z niechęcią, po czym nagle szeroko otworzył oczy. – Mam pomysł! W Swindon jest firma ochroniarska, która przewozi cenne rzeczy opancerzonym samochodem z facetami pod bronią.

Uśmiechnął się od ucha do ucha i sięgnął do kieszeni po telefon.

## Rozdział 23

Brytyjska galeria malarstwa, słynna The National Gallery, zawdzięcza swoje powstanie rosyjskiemu bankierowi żydowskiego pochodzenia Juliuszowi Angersteinowi, który w 1824 roku postanowił pozbyć się wraz z domem przy Pall Mall swojej liczącej kilkadziesiąt obrazów kolekcji. Aby nie dopuścić do rozproszenia wyjątkowego zbioru, Izba Gmin postanowiła wydać 57 tysięcy funtów, dzięki czemu Wielka Brytania stała się właścicielem jednego z najcenniejszych zbiorów włoskiego i niderlandzkiego malarstwa w Europie. Traf chciał, że w tym samym czasie inny słynny kolekcjoner dzieł sztuki, znany malarz krajobrazów sir George Beaumont, obiecał przekazać swoją kolekcję narodowi, pod warunkiem jednak, że wybudowany zostanie specjalny gmach, godny jej ekspozycji. Izba Gmin, chcąc nie chcąc, przystała na ten warunek, ale z wypełnieniem woli lorda Beaumonta zbytnio się nie śpieszyła. Do 1837 roku narodowa galeria mieściła się więc w Angerstein House i dopiero presja opinii publicznej, która niezadowolona z braku odpowiedniej oprawy dla arcydzieł światowego malarstwa zmusiła Izbę Gmin do działania. W 1838 roku wystawiono w końcu, według projektu angielskiego architekta Williama Wilkinsa, wielki gmach przy Trafalgar Square. Mało kto wie, że do jego budowy wykorzystano liczne kamienne elementy dekoracyjne, pozostałe po stojącym nieopodal, a rozebranym w 1825 roku pałacu Jerzego IV, Carlton House. Między innymi ogromne kolumny z kompozytowymi głowicami, które do dzisiaj są wizytówką gmachu National Gallery.

Muzeum posiada obecnie ponad dwa tysiące obrazów z okresu od XIII do XIX wieku, w tym wielką kolekcję malarstwa niemieckiego, która mieści się w najstarszym, zwróconym w kierunku Kolumny Nelsona, zachodnim skrzydle budynku. Po lewej stronie wielkiego hallu, doświetlonego ogromną oszkloną kopułą, wspierającą się na kolumnach z czerwonego marmuru, znajduje się prostokątna sala z oknami wychodzącymi na Trafalgar Square. To tutaj wisi dwadzieścia jeden arcydzieł mistrzów niemieckiego renesansu, między innymi Hansa Holbeina i Albrechta Altdorfera, a wśród nich osiem

obrazów Lucasa Cranacha Starszego, z których za najcenniejszy uważa się słynnego *Kupidyna skarżącego się Wenus* z 1525 roku. O tym, jak ogromną wartość mają dzieła zgromadzone w tym gmachu, najlepiej świadczy fakt, że tylko tych osiem obrazów, namalowanych olejem na bukowych i lipowych deskach, jest wycenionych na kilkudziesiąt milionów funtów.

Pod tylne wejście do Galerii Narodowej, od strony Orange St., podjechała biała furgonetka. Samochód zatrzymał się przy krawężniku tuż obok bramy prowadzącej na dziedziniec wewnętrzny. O tej porze po wąskiej ulicy przechadzali się nieliczni turyści, którzy błędząc pomiędzy skrzydłami National Gallery i robiąc setki zdjęć, trafili przed maleńką fasadę kościoła kongregacyjnego, wciśniętego między większe budynki po drugiej stronie ulicy.

Irene Carley od dobrych dziesięciu minut chodziła wzdłuż chodnika, zerkając co chwilę na zegarek. Towarzyszyli jej dwaj młodzi mężczyźni ubrani w białe fartuchy. Na widok samochodu Irene pomachała ręką i podeszła do krawężnika.

Z furgonetki wysiadło trzech mężczyzn w czarnych kamizelkach i wojskowych butach. Dwóch z nich, rozglądając się czujnie wokół, stanęło przy chodniku, trzeci otworzył tylne drzwi i wyciągnął ze środka płaską, dużą paczkę w ochronnej torbie. Podeszedł do Irene i oddał pakunek jednemu z mężczyzn w białym fartuchu. Kobieta podpisała elektroniczny list przewozowy, skinęła głową ochroniarzom i po chwili cała trójka, razem z bezpiecznie ukrytym w wielkiej, bąbelkowej torbie obrazem Sydonii, zniknęła we wnętrzu gmachu.

\*

Johann wyjechał z Piccadilly i minąwszy rozświetlony setkami zdjęć, oblepiony gigantycznymi reklamami narożny budynek na Piccadilly Circus, ruszył w kierunku Leicester Square.

– Pomnik Erosa. – Paulina odwróciła głowę za słynnym postumentem. Przemknęło jej przez myśl, ileż to razy stała tutaj, czekając na wiecznie spóźniającego się Mateusza. Gdzieś tu niedaleko pracował.

– Anterosa – mruknął Igor, nie odwracając głowy.

– Kogo? – zdziwił się Johann.

– To jest Anteros, brat Erosa, bóg nieodwzajemnionej miłości. Miał symbolizować bezinteresowną dobroczynność fundatora posągu, lorda Shaftesbury’ego.

– Pierwsze słyszę, a mieszkam w Londynie od kilkunastu lat. – Johann pokręcił głową.

– Jesteś barbarzyńcą. – Igor uśmiechnął się i odwrócił do Pauliny, która z zasepionym wyrazem twarzy wpatrywała się w okno.

– Dobrze jedziemy? Muzeum jest przecież gdzieś w prawo – powiedziała.

– Ale tam nigdzie nie zaparkujemy, jedynie na Witcombe St. można stanąć, o ile będzie miejsce. Jak nie, to chyba trzeba będzie porzucić ten samochód przy drodze i uciec. Nienawidzę jeżdżenia po Londynie autem.

Skręcił w boczną uliczkę i zwolnił, wypatrując wolnego miejsca przy krawężniku.

– Tam chyba właśnie ktoś wyjeżdża. – Igor wskazał brodą w kierunku manewrującego kilkadziesiąt metrów przed nimi niewielkiego czerwonego samochodu.

– To, jak na złość, oczywiście mini morris – jęknął Johann, zwalniając przed wyjeżdżającym autkiem. Mimo jego obaw, miejsce okazało się całkiem spore i land rover zdołał jakoś wpasować się pomiędzy dwa zaparkowane samochody. Po chwili cała trójka ruszyła wąskim chodnikiem w kierunku National Gallery.

\*

Irene z irytacją wyszarpnęła komórkę z torebki i spojrzała na wyświetlacz. Nie знаła tego numeru i nie zamierzała odbierać. Specjalnie z powodu nieszczęsnej awantury Johanna i jego polskich znajomych wzięła sobie dzień wolnego, a ta banda reżyserów i fotografów oczywiście nie mogła jej dać spokoju nawet przez kilka godzin. Odebrała jedynie dwa telefony od Inez, swojej asystentki, o której wiedziała, że nie będzie jej zawracać głowy z byle powodu. Najważniejsza obecnie dla firmy reklama nowego modelu samochodu znanej marki nie miała opóźnień, wszystko szło dobrze, więc inne projekty tym bardziej będą musiały poradzić sobie bez jej udziału. Wrzuciła komórkę do torebki i podeszła cicho do dużego stołu, na którym

leżał przywieziony godzinę temu obraz.

Gdy Johann powiedział jej przez telefon, że być może znaleźli pod tym marnym Lessingiem ukryty obraz Cranacha, nie mogła w to uwierzyć. Ojciec potrafił robić niespodzianki, to prawda. Przez całe życie był ekscentryczny, ale żeby ukryć tak cenny obraz? I właściwie po co?

Wysoki szczupły mężczyzna skinął ku niej głową i pochylił się nad jakimiś zdjęciami. Szybko podeszła do niego i stanęła nad stołem, patrząc na kilka klisz fotografii obrazu zrobionych rentgenem i za pomocą promieni ultrafioletowych.

– Popatrz. – Mężczyzna wskazał palcem dolny róg obrazu. – Już pierwsza analiza w promieniach ultrafioletu pokazała, że tu jest przemalowanie. Wierzchnia warstwa jest wyraźnie młodsza. Na moje oko siedemnasty wiek lub początek osiemnastego.

– A sam obraz? – Irene pochyliła się nad podświetloną od spodu kliszą.

– Szesnasty wiek. Bez dwóch zdań, ale czy to naprawdę Cranach, oficjalnie będzie można stwierdzić dopiero po dokładnych badaniach. Póki co jednak, popatrz na to.

Mężczyzna uśmiechnął się i położył na stole kolejne dwie klisze, które trzymał do tej pory w ręku. Irene spojrzała na niego i uniosła brwi. Pochyliła się nad fotografią i po chwili uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

\*

Igor stanął pośrodku centralnego hallu i unióśł głowę. Pierwszy raz był tutaj zaraz po studiach, z Dorotą. On zachwycał się proporcjami klasycystycznych pomieszczeń, wspaniałymi zwierciadlanymi sklepieniami i świetlikami, które dzięki wpadającemu przez nie światłu wyglądały, jakby zrobiono je z górskiego kryształu, a ona od razu skierowała się do nowego, wybudowanego w latach dziewięćdziesiątych skrzydła Sainsbury, żeby obejrzeć słynne kaskadowe schody Roberta Venturiego. Szarpali się tak po całym Londynie, on wolał zwiedzać historyczne miejsca, stare monumentalne gmachy z wtopioną w nie historią kontynentu, a ona supernowoczesne biurowce w City i w Canary Wharf. Połączył ich niesamowity budynek Lloyd'sa z 1978 roku, futurystyczna architektura hi-tech, która mimo upływającego czasu wciąż pozostawała bezwzględnie nowoczesna i bezkompromisowa.



Igor oderwał się od kontemplowania przestrzeni centralnego hallu i spojrzął w kierunku oddalających się Pauliny i Johanna. Westchnął i ruszył za nimi. Przeszli przez salę z malarstwem weneckim, minęli malarstwo niderlandzkie i weszli do prostokątnej sali wyłożonej ciemnofioletową tkaniną. Pierwsze, co zwróciło uwagę Igora, to portret kobiety w renesansowej sukni z narzuconym na ramiona złotym łańcuchem. Obraz Cranacha, namalowany w 1525 roku, przedstawiający nieznaną kobietę. Sposób ukazania postaci oraz charakterystyczny ubiór przywodziły na myśl Sydonię z odnalezionego obrazu.

Podszedł bliżej i stanął przed sporym obrazem w drewnianych ramach.

Większość malowanych przez Cranacha kobiet miało podobne rysy twarzy. Zastanawiające, co mogło oznaczać to podobieństwo. Może tylko jakiś preferowany przez niego typ urody, a może właśnie rysy konkretnej kobiety, którą w każdej malowanej postaci odnajdywał? Tajemnica wielkiej namiętności, obsesja ukryta w twarzach tylu kobiet sprzed wielu wieków?

Stare obrazy przypominały czasem kroniki historyczne, a niekiedy wręcz kryminalne. Modelki, które na portretach użyczały swoich twarzy postaciom z mitologii lub Ewangelii, były często kochankami malarzy lub jakimiś bliskimi zleceniodawców, chcących w ten sposób uwiecznić ukochaną córkę lub metresę. Przypomniał sobie, jak kilka lat temu, w tym samym budynku, słuchał opowiadania o historii obrazu *Wenus z lustrem* Diego Velázquez. Słynne malowidło przedstawiało leżącą tyłem na łożu postać kobiety, której twarz odbijała się w lustrze trzymanym przez Kupidyna. Tyle że pierwotny zamysł autora był zupełnie inny. Według badaczy lustro oraz Kupidyn domalowane zostały później, a twarz tajemniczej kobiety w interpretacji Velázquez miała pozostać nieznaną. Pikanterii tej historii dodawała prawdopodobna inspiracja słynną rzeźbą leżącego hermafrodyty, którą malarz podziwiał podczas podróży do Włoch<sup>[31]</sup>. W XX wieku historia dodała jeszcze jedną kartę do dziejów płótna. W 1914 roku Mary Richardson, wojownicza sufrażystka, wdarła się do muzeum i siedmioma uderzeniami siekiery zniszczyła słynne pośladki *Wenus*.

Johann, który stał obok i patrzył w kierunku wejścia do sali, podszedł do Igora i spojrzął na zegarek.

– Matka powiedziała, żeby tutaj poczekać, zejdzie po nas. Ma jeszcze pięć minut. – Popatrzył na portret damy z XVI wieku i uniósł pytająco brwi. – To jest jedna z tych saksońskich księżniczek?

Igor pokręcił przecząco głową.

– Portret kobiety, jakiejś tam. – Wzruszył ramionami.

– Zastanawia mnie... – Paulina pochyliła się nad obrazem i przerwała, słysząc stukot zbliżających się kroków.

Odwróciła się i zobaczyła Irene, która szła w ich kierunku w towarzystwie bardzo szczupłego mężczyzny w okularach i w narzuconym na ramiona białym fartuchu.

– Dobrze, że jesteście. – Uśmiechnęła się, obrzucając wzrokiem wszystkich troje. – To jest profesor Kunstmann, mój znajomy, który zgodził się obejrzeć obraz Johanna. – Skinęła głową w kierunku szczupłego mężczyzny, a ten uklonił się grzecznie Paulinie, następnie podał rękę Johannowi i Igorowi.

W torebce Irene rozległo się nagle ciche stukanie. Zirytowana podniosła wzrok ku górze, a następnie sięgnęła po telefon, wyłączyła go i wrzuciła z powrotem do środka...

– Wstępne oględziny są bardzo obiecujące. – Uśmiechnęła się do profesora.

– To rzeczywiście Cranach? – Johann spojrzał na mężczyznę z nadzieją w oczach.

– Za wcześnie, żeby o tym mówić, potrzebne są jeszcze dokładne badania – odparł wymijająco profesor i wskazał ręką w kierunku wyjścia z sali. – Proszę za mną, pokażę państwu wyniki oględzin obrazu, myślę, że to państwa zainteresuje.

\*

Wielkie pomieszczenie na piętrze tylnego skrzydła budynku sprawiało wrażenie, jakby w nowoczesnym wnętrzu jakiegoś laboratorium nagle, na skutek dramatycznego zetknięcia się czasoprzestrzeni, eksplodowała renesansowa komnata, wypełniona złoconymi ramami i malowidłami starych mistrzów. Na długich, wykonanych ze stali nierdzewnej stołach, na których pyszniły się wszystkimi barwami RGB ogromne, płaskie monitory – leżały stare drewniane ramy, fragmenty desek z połyskującymi resztkami dawnych barwników, obrazy martwych natur i portrety ludzi, którzy odeszli tak dawno temu, że zaginęła o nich nawet pamięć. Na jednym z monitorów, na stole pod

samą ścianą, widniały dwa portrety, które z daleka wydawały się bardzo podobne.

– To Sydonia. – Paulina podeszła bliżej i zaczęła się przyglądać dwóm prawie identycznym obrazom.

– Tak, to wasza szczecińska Sydonia. – Profesor uśmiechnął się i odwrócił do pozostałych osób, które stanęły przed długim stołem. – Paradoksalnie te portrety były prawie w ogóle nieznane w Europie. Postać Sydonii, jak pewnie wicie, została opisana w dziewiętnastowiecznej mrocznej opowieści gotyckiej przez niemieckiego pastora Wilhelma Meinholda, a na angielski przełożyła ją Jane Wilde, matka Oscara Wilde’a. W Londynie, w Tate Galery, znajduje się portret Sydonii namalowany w tysiąc osiemset sześćdziesiątym roku przez Edwarda Burne-Jonesa. Natomiast podwójny portret ze Szczecina długo okrywała tajemnica. Ten z waszego muzeum, pochodzący z osiemnastego wieku i będący kopią, stał się bardziej znany dopiero właściwie w drugiej połowie dwudziestego wieku, natomiast oryginał – ciągnął profesor, wyciągnąwszy dłoń w kierunku monitora po lewej stronie – uznany został za zaginiony.

– Teraz dopiero widać, jak bardzo się różnią. – Igor pochylił się nad ekranem.

– Faktycznie, szczeciński portret wygląda właściwie jak obraz namalowany z pamięci albo na motywach słynnej legendy. Różni się tak bardzo, że praktycznie trudno go nawet uznać za kopię. Popatrzcie na te twarze, to zupełnie inne kobiety. – Kunstmann sięgnął po długopis i wskazał oba portrety jeden po drugim, stukając w górne części renesansowych sukni. – Zupełnie inne jest także ułożenie postaci, sposób trzymania głowy czy pozycja tułowia. Kopia niewątpliwie namalowana została przez bardzo słabego malarza. Proszę zwrócić jednak uwagę na styl. – Profesor spojrzął po kolei na całą czwórkę, która stała ze wzrokiem wbitym w monitor.



– Podstawowa różnica między portretami polega na tym, że szczeciński obraz jest najprawdopodobniej całkowicie jednorodny. Widać to nawet na reprodukcjach. Powstał zapewne w jednym okresie i nigdy nie uległ przemalowaniom bądź modyfikacjom.

Zupełnie inaczej wygląda sprawa z obrazem, który trafił do nas dzisiaj. Już zwyczajne oględziny wystarczą, by stwierdzić, że został przemalowany. Sposób ukazania młodej kobiety jest zupełnie inny niż staruszki za jej plecami, która została z całą pewnością domalowana w okresie późniejszym. Przemawia za tym także kompozycja obrazu. Malarz tej klasy, nawet jeśli nie jest to sam Cranach, nie skonstruowałby całości w ten sposób. Staruszka jest wyraźnie wciśnięta na siłę, domalowana na portrecie, który pierwotnie stanowił zamkniętą, wyważoną kompozycję.

Wszyscy przez chwilę w milczeniu przyglądali się dwóm słynnym obrazom, z których jeden, do niedawna uznawany za zaginiony, krył w sobie tajemnicę.

– Popatrzcie teraz na ułożenie ciała głównej postaci. – Profesor wskazał długopisem jeden z portretów. – Zwróćcie uwagę na pochylenie ramion kobiety naoryginale i na ułożenie karku, a teraz spójrzcie na sposób, w jaki trzyma ręce. Prawa ręka, w której kobieta trzyma puchar, jest odwrócona dłonią do góry. Druga ręka leży na niej swobodnie.

Igor zrobił krok w kierunku monitora i zmarszczył czoło. Rzeczywiście.

Mechanika ruchu ciała była na obu obrazach zupełnie inna. Pamiętał ten temat z zajęć na studiach, kiedy przez długie godziny malowali modelki ubrane w długie, falujące szaty, które swobodnie układały się na ich kształtach.

– Spróbujcie trzymać ręce w ten sposób, stojąc. – Profesor uśmiechnął się, widząc, jak Irene zakłada jedną rękę na drugą, kopiując ich ułożenie z portretu. – A jeszcze proszę pamiętać o tym, że taki puchar mógł ważyć około kilograma albo dwóch. Jaki z tego wniosek? Te charakterystycznie pochylone ramiona i lekko zgięty kark. Prawa ręka oparta o kolano.

Igor zmarszczył brwi i zagryzł usta. Ależ tak... ona najwyraźniej na czymś siedzi.

Paulina podsunęła do stołu jedno z krzeseł i patrząc w monitor, powoli usiadła. Lewą nogę zgięła w kolanie, prawą wyciągnęła wzdłuż niej. Następnie oparła prawą rękę na udzie z dłonią skierowaną ku górze, a lewą swobodnie na niej położyła.

– Boże... przecież ona siedzi. – Popatrzyła z kompletnie zaskoczonym wyrazem twarzy na Igora. – Dokładnie w takiej pozycji. W ten sposób, nawet mając w dłoni względnie ciężki przedmiot, mogła swobodnie wytrzymać całkiem długo.

– Oczywiście. – Profesor uśmiechnął się triumfalnie. – Na kopii już tego nie widać. To bardzo wiele mówi o malarzu, kopista nie potrafił oddać układu ciała, najwyraźniej nie znał się ani na anatomii, ani na mechanice ruchu. Natomiast autor oryginału oddał wszystko bezbłędnie i to do tego stopnia, że nawet kiedy zniknął element, z którym wszystko było oczywiste, i tak z ułożenia ciała modelki można było wyczytać, czego tutaj brakuje.

– Czego brakuje? – Paulina, wciąż siedząc w pozycji Sydonii, spojrzała ze zdumieniem na Kunstmanna.

Igor powoli powiódł wzrokiem po jej kształtnych nogach i spojrzał na plecy, lekko odchylone od...

– Oparcia – mruknął pod nosem. Dostrzegł teraz jeszcze inne różnice, które przedtem usłyszy jego uwadze. Na oryginalnym obrazie za plecami obu kobiet widać było jakieś linie na ścianie. Teraz zdał sobie sprawę, że to mogą być dekoracyjne płyciny, na ich tle siedziała tajemnicza młoda dama, której tożsamość przepadła wraz z księstwem Gryfitów. Na kopii ze Szczecina była tylko prosta brązowa płaszczyzna, tak jakby malarz rzeczywiście malował

jedynie z naprędce zrobionych szkiców lub całkiem z pamięci. Zmieniało to także kontekst sytuacyjny. Na kopii Sydonia stała w bliżej nieokreślonym miejscu, raczej na zewnątrz, u Cranacha natomiast mogła to być jakaś weranda lub loggia, charakterystyczna dla renesansowych zamków i dworów.

– Dokładnie. – Profesor po raz kolejny uśmiechnął się z triumfem i pokiwał energicznie głową. – Oto ile można wyczytać z obrazu bez stosowania wyrafinowanych specjalistycznych technik bezinwazyjnych. Z tym że oczywiście rzadko kiedy mamy taką ciekawą sytuację, w której zachowała się kopia obrazu oraz tłumacząca wiele legenda.

Po chwili milczenia profesor kontynuował wątek.

– Jeśli więc postać na obrazie siedzi, to staruszka z tyłu zwyczajnie nie ma prawa tam się znajdować. – Sięgnął do wiszącego na ścianie urządzenia, przypominającego podświetlane ekrany do oglądania zdjęć rentgenowskich w szpitalach, i wcisnął mały guzik. – I oczywiście potwierdziły to zdjęcia. –

Uśmiechnął się do Irene i wskazał palcem na pierwszą z odbitek. – To jest obraz ukazany w promieniach ultrafioletu. Nie widać na nim warstw malarskich, zdjęcie pokazuje jedynie zewnętrzną warstwę, ale określone partie obrazu świecą inaczej i informują o fragmentach, na których były późniejsze retusze i przemalowania. Jak można było się domyślić, cała płaszczyzna za plecami młodej Sydonii jest wyraźnie ciemniejsza.

Igor wpatrywał się jak urzeczony w prześwietlony obraz, przypominający nieco negatyw. Oto na jego oczach wyjaśniała się jedna z najsłynniejszych pomorskich tajemnic.

– A to jest obraz ukazany w promieniach rentgenowskich. – Profesor zrobił krok do tyłu i postukał palcem w szybę, za którą tkwiło kolejne zdjęcie.

Obraz wyglądał tak, jakby nagle stracił ostrość. Wyraźne do tej pory kontury postaci rozmyły się, ukazując poszczególne warstwy malarskie. Pod nimi widać było także warstwę gruntu i prześwitującą deskę.

– Obraz w promieniach X ukazuje niestety wszystkie warstwy malowidła, począwszy od wierzchniej, ostatecznej, a skończywszy na zagruntowanym podłożu. Rozdzielenia ich dokonuje się innymi metodami, ale ten obraz paradoksalnie także okazał się dość jednorodny. Poza domalowaniem staruszki, nie ingerowano w główną postać czy inne miejsca.

Profesor przesunął się ponownie i włączył stojący obok wielki płaski

monitor, na którym ukazał się kolejny duch obrazu.

– Udało nam się zatem zrobić bardzo przyzwoity reflektogram w podczerwieni – rzekł, uśmiechając się do Pauliny, która z szeroko otwartymi oczami pochyliła się nad stołem.

– Mój Boże, popatrzcie, widać to oparcie za Sydonią. Ona siedziała na takim wysokim, renesansowym zydlu. Widać nawet rzeźbienia.

Igor z Johannem pochylili się nad nią i wlepili oczy w ekran. Pod rozmazanym duchem staruszki wyraźnie majaczyło wysokie, rzeźbione oparcie krzesła. Profesor sięgnął do klawiatury i na ekranie ukazało się mocno powiększone miejsce, w które z fascynacją wpatrywała się cała trójka.

– Niesamowite... – Johann pokręcił głową z niedowierzaniem. – Legenda o domalowaniu przez Borcków lub kogoś innego staruszki okazała się prawdziwa.

– Tylko ciągle nie mamy pewności, czy to jednak Cranach – westchnęła Paulina.

Kunstmann uśmiechnął się porozumiewawczo do Irene i dotknął po raz kolejny klawiatury. Na ekranie monitora ukazał się dolny prawy róg obrazu z wyraźnie przeświecającym tajemniczym symbolem.

– Skupiliście się na domalowanej staruszce, a już w promieniach ultrafioletu widać było, że w tym rogu też coś zostało ukryte. – Profesor postukał długopisem w monitor.

Igor pochylił się i zmarszczył brwi. Pod wierzchnią warstwą farby majaczył niewyraźnie długi, zygzakowaty kształt ze skrzydłami. Profesor uśmiechnął się tajemniczo i pokiwał głową.

– Uskrzydłony wąż boga czasu Chronosa. Sygnatura, którą posługiwał się Cranach.

## Rozdział 24

Przy wąskim chodniku ulicy Witcombe St, tuż za rogiem skrzydła Sainsbury, zatrzymała się duża furgonetka, pozbawiona w części tylnej okien. Wsiadło z niej sześciu mężczyzn, którzy skierowali się na prawo i szybkim krokiem ruszyli w kierunku frontowej fasady National Gallery. Taka sama furgonetka zatrzymała się przy wylocie Orange St, a grupa mężczyzn w ciemnych ubraniach pomaszerowała w stronę tylnego wejścia do budynku oraz wejścia do galerii portretu od strony Charing Cross.

Tymczasem wejściem głównym, pomiędzy ośmioma monumentalnymi kolumnami, weszła do gmachu jeszcze jedna grupa mężczyzn, ubranych w luźne, sportowe marynarki. Cała trójka sprawiała wrażenie turystów, co podkreślała dodatkowo wielka cyfrowa lustrzanka Canon, wisząca na szyi jednego z nich.

\*

Profesor Kunstmann wyłączył wizualizery nad stołem i wyjął z nich dwa wielkie arkusze folii, które przed chwilą oglądali.

– Czy możemy dostać te zdjęcia? – Johann podniósł pytająco brwi.

– Oczywiście. Tutaj zapisałem je dla was, także cyfrowo razem z reflektogramem. – To mówiąc, podał Johannowi mały pendrive z logo National Gallery. – Bardzo się cieszę, że zdecydowali się państwo zostawić u nas obraz do dalszych badań. Jeśli potwierdzą one autorstwo Lucasa Cranacha, będzie to niemała sensacja.

Irene uśmiechnęła się do profesora i podała Johannowi dużą szarą kopertę, do której włożył zdjęcia.

– To ja bardzo ci dziękuję za tyle poświęconego czasu. O kosztach badań porozmawiamy później, a teraz ci młodzi ludzie muszą w końcu coś zjeść i odpocząć. – To mówiąc, położyła rękę na ramieniu Igora i skinęła głową w kierunku drzwi.



Igor wciąż był lekko skołowany tym, co przed chwilą widział. Jedna z najsłynniejszych pomorskich tajemnic przed chwilą znalazła swoje rozwiązanie w legendarnym obrazie, który powrócił z niebytu i odsłonił wszystkie swoje zagadki. O autorstwie oryginalnego obrazu ze Starogardu wielokrotnie wypowiadali się różni historycy, ale nawet ci najbardziej optymistyczni uważali, że mógł co najwyżej pochodzić ze szkoły Cranacha.

Wąż ze skrzydłami był używany przez malarza do 1525 roku, później uległ modyfikacji i otrzymał smocze skrzydła, była to więc dodatkowa informacja, że obraz powstał nie później niż w pierwszej ćwierci XVI wieku.

Johann z Pauliną właśnie żegnali się z profesorem. Igor podszedł do nich i także podał rękę mężczyźnie.

– Poczekajcie na mnie przed budynkiem, zaraz do was dołączę, mam jeszcze parę spraw do omówienia. – Irene uśmiechnęła się do nich i odwróciła do profesora.

W gmachu było o tej porze jak zwykle mnóstwo turystów wszystkich narodowości i wszystkich kolorów skóry. Zatrzymali się pośrodku sali, na której ścianach wisiały ogromne malowidła ze scenami antycznymi Domenica Zampieriego. Na wprost było wejście do sklepu z pamiątkami, a na lewo wielki portal prowadzący do hallu centralnego.

– Proponuję przejść przez malarstwo weneckie i wyjść na zewnątrz przez skrzydło Sainsbury. – Igor wskazał ręką na prawo.

– Po co? Do głównego wyjścia jest bliżej. – Paulina spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– Chcę obejrzyć schody Venturiego. – Igor wzruszył ramionami. – W końcu jestem architektem, nie?

– Tamtędy i tak jest po drodze do samochodu – wyjaśnił Paulinie Johann. – Ja muszę zejść do toalet, spotkajmy się w takim razie przy wejściu do skrzydła Sainsbury. Moglibyście wziąć te zdjęcia Sydonii? – Wyciągnął przed siebie rękę z szarą kopertą.

Paulina wzięła ją i ostrożnie zgięła na pół, patrząc z nadzieją na swoją torebkę.

– Tak się połamię. – Igor spojrzał krytycznym okiem. – Daj, mogę ją ponieść.

– Coś ty, poradzę sobie. – Paulina uśmiechnęła się do odchodzącego w kierunku schodów Johanna, a do Igora rzuciła: – To gdzie są te schody Ventury?

– Venturiego. – Igor ruszył w kierunku wejścia do sali z malarstwem weneckim. – To architekt, zaprojektował skrzydło Sainsbury.

– A dlaczego nazywa się Sainsbury? – Paulina weszła do pomalowanej na kolor pompejańskiego różu sali i bez zbytniego zainteresowania rozejrzała się dookoła.

– Ufundował je w latach osiemdziesiątych lord John Sainsbury. – Igor okręcił się wokół własnej osi, podziwiając zwierciadlane sklepienia.

– On ma coś wspólnego z tą siecią spożywczych supermarketów?

– Tak, jest jej właścicielem. – Przepuścił Paulinę przed wejściem do kolejnego pomieszczenia i spojrzął na trzech mężczyzn o atletycznych sylwetkach, którzy przystanęli właśnie przed wielkim obrazem Tycjana i w milczeniu przyglądali się scenie z czasów antycznych.

– Może ma synów? – Paulina uśmiechnęła się i weszła do kolejnej sali, tym razem w jasnozielonym kolorze, nakrytej złożonym zwierciadlanym sklepieniem z wielkim świetlikiem pośrodku.

W pomieszczeniu była spora grupa ludzi. Pięć osób stało pod jedną ze ścian i w skupieniu podziwiała wielkie malowidło El Greco. Paulina stanęła na środku i spojrzała pytająco na Igora.

– Dopiero co poznałaś syna lorda, mało ci? Tędy. – Igor minął ją i ruszył w kierunku korytarza, pełniącego funkcję łącznika między skrzydłami. Kątem oka zauważył, że do sali wchodzi właśnie jeden z trzech mężczyzn, na których zwrócił uwagę pod *Dianą i Akteonem* Tycjana. Odwrócił się w kierunku szerokiego przejścia i już miał wejść do łącznika, kiedy coś go tknęło.

Znał skądś tego faceta.

Odwrócił się w tej samej chwili, w której mężczyzna ruszył w stronę nieświadomej niczego Pauliny. I w błysku świadomości przypomniał sobie, skąd go zna. Pseudotajniacy na drodze do Londynu.

I nagle czas zaczął płynąć błyskawicznie.

Mężczyzna zbliżył się do Pauliny i wyciągnął rękę po szarą kopertę, którą miała wetkniętą pod ramię. Niestety, akurat w tym momencie dziewczyna

lekko się obróciła i dyskretna kradzież nie okazała się tak perfekcyjna, jaką miała być w założeniu. Facet szarpnął za kopertę, a Paulina odwróciła się do niego z zaskoczonym wyrazem twarzy. W progu pojawili się dwaj towarzysze mężczyzny.

Paulina, nic nie rozumiejąc, patrzyła na trzymającego w ręku kopertę faceta, kiedy doskoczył do nich Igor i ku kompletnemu zaskoczeniu wielkoluda z całej siły walnął go pięścią w twarz. Mężczyzna stracił na moment równowagę i cofnął się o krok do tyłu. Igor szarpnął za kopertę i widząc, że dwaj koledzy osiłka ruszają właśnie w ich kierunku, wrzasnął do Pauliny:

– Na schody!

Paulina, przerażona jego krzykiem, odruchowo rzuciła się do ucieczki. Igor, trzymając kurczowo kopertę, ruszył za nią. Za plecami słyszał głosy ludzi wołających ochronę.

Nie mają szans, dopadną ich na dole, a wtedy ten ogromny typ zrobi z niego miazgę za ten cios w szczękę.

Zbiegli po schodach Venturiego, które Igor ledwie zauważył, i wypadli na chodnik przed budynkiem. Igor w ułamku sekundy rozejrzał się wokół siebie. Przed gmachem roił się tłum ludzi.

\*

Irene wyszła na korytarz i otworzyła torebkę, w której znowu wściekle dzwoniła komórka. Tym razem postanowiła odebrać i rozprawić się z natrętem.

– Dzień dobry, zanim cokolwiek usłyszę, uprzedzam, że mam dziś wolny dzień i nie interesują mnie żadne sprawy zawodowe! – rzuciła do słuchawki.

– Na miłość boską, nareszcie się do pani dodzwoniłam! Mówi Emma Morlock. Dzwonię w bardzo poważnej sprawie. – W słuchawce rozległ się nosowy, wysoki głos.

– Lepiej, żeby to była naprawdę poważna sprawa. – Irene wzniosła oczy ku górze i ruszyła korytarzem w kierunku windy. Boże, ta idiotka dzwoniła do niej przez pół dnia. Czego, do cholery, może chcieć?

– Pani syn wplątał się w bardzo poważne kłopoty. Był u nas dzisiaj z jakimiś Polakami i najprawdopodobniej ukradł obraz z pani kolekcji.

– Co takiego? – Irene stanęła jak wryta.

– Musieliśmy zawiadomić policję. Podejrzewają, że może chodzić o szantaż albo narkotyki.

Irene przeczesła palcami włosy, usiłując zebrać myśli. Co ta Morlock wymyśliła? Co to za bzdury?

\*

Igor obejrzał się za siebie. Żadnego z trzech mięśniaków nie było jeszcze widać na dole schodów. Spojrzał na trzymaną w rękę kopertę. Jeśli będą ich gonić, to i tak ich dorwą, a zdjęcia dostaną się w ich łapy. Na szczęście pendrive Johann schował do kieszeni.

Wzdłuż fasady budynku ciągnęło się wysokie ogrodzenie okien sutereny. Na podmurowaniu obłożonym piaskowcem dodatkowo była jeszcze zainstalowana kuta, żelazna balustrada. Nie zastanawiając się długo, rzucił kopertę za ogrodzenie i ruszył biegiem za Pauliną wzdłuż Pall Mall. Dobiegli do narożnika i chcieli zakręcić w boczną ulicę, gdy niespodziewanie wyrosło przed nimi trzech wysokich mężczyzn w tradycyjnych angielskich kaszkietach i czarnych kamizelkach nałożonych na śnieżnobiałe koszule z krótkimi rękawami.

– Dzień dobry. Pani Weber i pan Fleming?

Policja. Igor odetchnął z ulgą, zatrzymał się, ciężko dysząc, i obejrzał za siebie. Zza rogu skrzydła Sainsbury wypadła akurat trójka potężnych mężczyzn i na widok policji stanęła jak wryta. Spojrzeli po sobie niezdecydowanie i markując pośpiech, zaczęli oddalać się w kierunku kolumnady przy frontowym wejściu.

– Pozwolą państwo z nami do samochodu. – Policjant wskazał ręką białą furgonetkę z zakratowanym tylnym oknem.

Igor, wciąż usiłując złapać oddech, zmarszczył brwi.

Dwaj policjanci stojący z tyłu uważnie obserwowali jego ruchy.

– Ale o co chodzi? Ci gangsterzy nas gonili, chcieli nas okraść. – Paulina pokazała ręką oddalających się mężczyzn. – Czemu ich nie zatrzymacie?

Igor spostrzegł w tym momencie idącego w ich kierunku Johanna. Pomyślał, że na szczęście zaraz się wszystko wyjaśni, kiedy do Johanna

podeszli trzej umundurowani policjanci, którzy wyszli z tłumu ludzi na Trafalgar Square. Ujrzał jego zdziwioną minę i po chwili wściekle zmarszczone brwi, gdy zaczął się energicznie o coś dopytywać.

## Rozdział 25

Wielki napis przed wjazdem do tego budynku głosi coś, co pasuje tutaj jak pięść do nosa: NOWY SZKOCKI DZIEDZINIEC. Nad tablicą informacyjną wznosi się niebosiężna, nudna jak flaki z olejem elewacja z hartowanego szkła i aluminiowych płyt. Ogromna siedziba pewnej szacownej angielskiej instytucji, którą dzieli jakieś dziesięć minut drogi od Pałacu Westminsterskiego.

Do 1890 roku instytucja ta mieściła się przy ulicy, której nazwę można przetłumaczyć jako Wielki Szkocki Dziedziniec, i według jednej z teorii nazwa ta pochodziła od stojącego tutaj niegdyś pałacu z paradnym dziedzińcem, na który zajeżdżali królowie Szkocji podczas pobytów w Londynie. Inna teoria, zdecydowanie mniej spektakularna, głosiła, że ulica w zamierzonych czasach należała do kogoś o imieniu Scott. Tak czy inaczej, nazwa przylgnęła do instytucji na amen i pozostała do dzisiaj. Tyle że po przeprowadzce do nowej siedziby przy Victoria Street dodano do starej nazwy przymiotnik *New*.

Scotland Yard.

Długi korytarz wyłożony był bezbarwnym i anonimowym tarketem. Przechodziło tędy mnóstwo ludzi, zadomowionych i czujących się jak u siebie oraz kompletnie zdezorientowanych, rozglądających się wokół w poszukiwaniu kogoś, kto wskaże im drogę. Po obu stronach korytarza, zgodnie z zasadami perspektywy linearnej, ciągnęła się kolekcja drzwi, prowadzących do różnych bocznych pomieszczeń. Wiele z nich miało oszklone naświetla, umożliwiające zajrzenie do wnętrza.

Za jednymi z tych drzwi, na samym środku, przy prostym stole, na którym stała butelka z wodą mineralną i trzy szklanki, siedział Johann i z nieukrywaną irytacją patrzył na szczupłą kobietę, beznamiętnie zadającą mu pytania.

– Więc zaprosił pan tych Polaków do siebie wczoraj, po tym jak wyrazili chęć obejrzenia cennego obrazu w pana mieszkaniu na Bermondsey?

– Akcentowanie, że obraz jest, a właściwie był, cenny, jest zbyteczne – westchnął Johann. – Mój dziadek zostawił mi parę obrazów oraz zagadkową informację, że jeden z nich może ukrywać jakąś rodzinną tajemnicę. Doszliśmy do wniosku, że to może być właśnie ten.

– I przypadkowo akurat ten obraz został skradziony?

– Nie. Został skradziony absolutnie nieprzypadkowo. Mówiłem już pani, że ktoś nas śledził później na autostradzie i w National Gallery.

– Ale przecież powiedział pan, że nikomu innemu w Polsce nie mówił o tym obrazie.

Johann zmarszczył brwi.

– Zdecydowaliście się pojechać z panem Carleyem tylko po to, żeby obejrzeć jego portret, o którym wam opowiedział? – Czerwony na twarzy, ubrany w sweter w kolorowe romby policjant patrzył na Igora podejrzliwie.

– Nie, to znaczy tak. Zdecydowaliśmy się pojechać, żeby obejrzeć obraz, o którym wspomniał przed śmiercią jego dziadek.

– Po co?

– Bo doszliśmy do wniosku, że może kryć jakąś tajemnicę związaną z historią sarkofagu, o którym panu opowiedziałem.

– Nie uważa pan za podejrzane, że akurat ten obraz został skradziony następnego dnia? W dodatku nic innego nie zniknęło z mieszkania pana Carleya poza nim.

Igor zmarszczył brwi. Postanowili wyjechać do Londynu, bo zorientowali się, że obraz Johanna może kryć informację na temat Cranacha... Nikomu o tym nie mówili. Jedyne rozmowa, jaką przeprowadzili na ten temat, odbyła się wieczorem u niego w domu...

Paulina otworzyła szeroko oczy i spojrzała niewidzącym wzrokiem na ciemnowłosego policjanta w markowej, ciemnej koszuli.

Przecież to oczywiste, że też wcześniej nie przyszło jej to do głowy. To

tłumaczyło także próbę kradzieży listu Barnima pod ratuszem w Szczecinie. Igor nawet wspominał o jakimś dziwnym włamaniu do swojego mieszkania. To pewnie wtedy go zamontowali. Tylko w ten sposób ci bandyci mogli się dowiedzieć o obrazie Johanna.

U Igora jest podsłuch, na miłość boską!

\*

Irene prowadziła swojego wielkiego mercedesa klasy S z prawdziwą przyjemnością. Jazda samochodem ją odprężała. Miała nadzieję, że odległość, jaką miała do pokonania do Carley, pozwoli jej nabrać dystansu do całej awantury, bo w pierwszej chwili miała ochotę wpaść tam i roznieść cholerny dwór byłego męża w strzępy.

To oczywiście zasługa Wiktorii. Teściowa nigdy jej nie lubiła. Na początku często mówiła o niej „ta Niemka”, a potem wcale nie było lepiej. Prowadziły ze sobą prawdziwą wojnę podjazdową, ale gdy zaczęło to mieć wpływ na Johanna, stwierdziła, że nie może tam zostać. Na domiar złego Clarens nigdy nie potrafił zająć żadnego stanowiska. Był cholernie pośrodku.

Czy ta wiedźma naprawdę nie mogła najpierw skonsultować się z nią, zanim powiadomiła policję? W porządku, nie odbierała telefonu od tej Morlock, ale potem i tak się okazało, że najpierw wezwały gliny, a dopiero później zaczęły do niej wydzwaniać. Cholerne zołzy!

Jak to dobrze, że Paul zgodził się z nią pojechać. Spojrzała z wdzięcznością na drzemającego obok w fotelu Paula Kunstmanna. Jego pozycja naukowa przetnie jakiejkolwiek spekulacje na temat tego, czy obraz jest oryginałem, czy kopią, ale cóż za cholerna strata czasu. No i te biedne dzieciaki muszą spędzić kilka godzin w areszcie. Zacisnęła dłonie na kierownicy, aż zatrzęszczała jasna, kremowa skóra.

\*

– Namówili pana na wyjęcie obrazu z ram, a pana to nie zastanowiło? Po co to zrobiliście? – Kobieta potarła czoło dłonią, nie patrząc na Johanna.

– Nikt mnie nie namawiał. Sam chciałem to zrobić. Powiedziałem pani – gdy okazało się, że obraz Wurstege nie ma nic wspólnego z rodzinną zagadką, moja matka podsunęła nam hipotezę, że może chodzić o obraz Carla



Lessinga, więc pojechaliśmy go obejrzyć.

– Czy zostawiał pan tych Polaków z obrazem Lessinga sam na sam?

– Nie, ale proszę nie rozbudowywać teorii pomyłonej gospodyni, która naczytała się za dużo Agathy Christie.

– Panie Carley. – Policjantka popatrzyła spokojnie na Johanna. – Jest prawdopodobne, że stał się pan kolejną ofiarą oszustów. Usiłujemy to sprawdzić. Ja wiem, że trudno się przyznać przed samym sobą do roli ofiary oszustwa, ale proszę myśleć racjonalnie.

Johann wzniósł oczy ku niebu.

– Wasi wspólnicy w Londynie dostali informację o konkretnym, cennym obrazie i go ukradli, korzystając z dokładnego opisu pomieszczenia i w dodatku wiedząc, że nie ma tam żadnego alarmu – oświadczył policjant. –

Wymyśliliście bzdurną historię rodem z Dana Browna, na którą jakimś cudem dał się nabrać Carley, i postanowiliście spróbować jeszcze coś uszczknąć albo przynajmniej przygotować grunt pod włamanie do domu pana Carleya. – Sweter policjanta mocno się wybrzuszył, gdy ten odgiął się do tyłu na krześle, patrząc ze zjadliwym uśmiechem na Igora.

– Co za bzdury pan opowiada? – Igor popatrzył na policjanta szeroko otwartymi oczami.

– Potrzebuje pan tłumacza?

– Potrzebuję chyba telefonu do naszej ambasady.

– Oczywiście, że skontaktujemy pana z polską ambasadą, ale póki co wpłynęło konkretne zgłoszenie kradzieży obrazu, o którą jest pan podejrzan.

– To kompletna bzdura i mam nadzieję, że jak tylko obraz zostanie zbadany przez fachowca, wszystko się wyjaśni.

– Więc po co wyjmowaliście go z ram?

Igor doszedł do wniosku, że zdecydowanie lepiej nie mówić o Sydonii.

– Żeby sprawdzić, czy na jego odwrocie nie ma jakichś notatek, które zostawił dziadek Johanna.

– A więc po co w końcu wyjmowaliście z ram ten obraz? – Szczupły

policjant oparł się łokciami na stole i wbił wzrok w Paulinę.

– Ponieważ do jego oprawy dla usztywnienia użyto deski i chcieliśmy sprawdzić dlaczego.

– Jakiej deski?

– Obrazy z tego okresu są rozpięte na blejtramach, a ten był nałożony na jakąś deskę.

Policjant oparł podbródek na dłoni.

– I co się okazało? Co się stało z tą deską?

– Rozsypała się podczas wyjmowania, więc ją zabraliśmy i wyrzuciliśmy.

Paulina w duchu pomyślała, że właśnie zaczyna się plątać, ale była zdecydowana nie ujawniać policji niczego na temat Sydonii. Nie wiadomo, co by z tego wynikło.

– Nie odpowiedział pan, po co w końcu było to wyjmowanie obrazu z ram? – Policjantka zdjęła okulary i przetarła oczy, po czym popatrzyła na Johanna zmęczonym wzrokiem.

Przyszło mu na myśl, żeby lepiej nie wplątywać Sydonii w tę awanturę.

– Obraz był nędznie oprawiony i już podczas zdejmowania mocowanie do ram się poluzowało. Złożyliśmy go po prostu potem jak się dało i tyle. Stwierdziłem, że trzeba będzie to potem naprawić. – Johann wzruszył ramionami. – Zamierzałem powiedzieć matce, żeby tego dopilnowała.

– A czemu nie gospodyni?

– Morlock? Ona miałaby tego dopilnować? Żartuje pani. – Johann uśmiechnął się protekcjonalnie i wydał policzki.

\*

Irene chodziła po wielkiej galerii w tę i z powrotem, czekając na werdykt Kunstmann'a. Dwadzieścia minut temu dojechali do Carley, gdzie czekało ich chłodne przyjęcie ze strony Morlock, która usunęła się na bok w wielkich drzwiach wejściowych i z wyniosłym uśmiechem wpuściła ich do środka. Lady Carley z poświęceniem odegrała scenę radosnego powitania, po czym skierowała wszystkich do galerii z malarstwem niemieckim.

Kunstmann od razu zajął się oglądaniem obrazu, a Irene grzecznie odmówiła przyjęcia zaproszenia na podwieczorek w tak zwanym międzyczasie i przechadzała się wzdłuż wielkiej galerii tam i z powrotem, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że niesłychanie to irytuje Wiktorię.

– Irene, przestań się dąsać. Powiadomiliśmy policję dla dobra twojego syna. Jeśli wplątał się w jakąś awanturę, to przynajmniej teraz z tego wyjdzie, jak tylko zamkną tych oszustów.

– Jakich oszustów, do ciężkiej cholery! – Irene zatrzymała się na środku sali i z wściekłością spojrzała na byłą teściową. – Wymyśliłyście to sobie z braku rozrywek w tej dziurze. Ci dwoje to nie są żadni oszuści, poznałam ich.

– Jak wielu oszustów znasz? – Wiktoria spojrzała na nią z ironią. – Naprawdę masz jakąś skalę porównawczą?

– Hmm... zastanówmy się. – Irene uśmiechnęła się zjadliwie. – Ile to zaoszczędził na podatkach mój były mąż, lokując swoje interesy na jakichś pieprzonych Wyspach Owczych?

– Jeśli chodzi o ścisłość, to były Wyspy Dziewicze, Wyspy Owcze należą do Danii, więc to żaden raj podatkowy. Poza tym nie bądź niemądra, to zupełnie co innego.

– Dziewicze, Owcze, jeden pies. Oczywiście, że co innego. – Irene spojrzała z ironią na byłą teściową. – To może sfingowany pożar oranżerii kilka lat temu i jej odbudowa z funduszu English Heritage?

– Pożar nie był sfingowany. – Wiktoria spojrzała na nią z oburzeniem. – A kryteria przyznawania pomocy przez fundusz są precyzyjnie określone.

Irene uśmiechnęła się kpiąco i podjęła swój spacer wzdłuż arcydzieł baroku i manieryzmu.

– Uspokójmy się, proszę. – Lady Wiktoria podeszła do sofy w stylu regencji i usiadła z godnością, obrzucając niechętnym spojrzeniem byłą synową. – Jeśli twój rzeczoznawca stwierdzi, że obraz jest oryginalny, to rzeczywiście trochę się pośpieszyliśmy z tym wezwaniem policji. Ale przyznaj mi rację, że wygląda to bardzo podejrzanie. Tym bardziej, że w okolicy było podobne włamanie nie tak dawno, i też z udziałem jakichś polskich oszustów, którzy się wkradli w łaski gospodyni.

– W łaski Johanna nikt się nie wkradł.

– A w takim razie po co ty w ogóle chcesz sprzedać ten obraz?

– Sprzedać? – Irene spojrzała zaskoczona na Wiktorię.

– No, twój syn twierdził, że przyjechał zrobić zdjęcia dla jakiegoś kupca.

Irene ściągnęła brwi. Domyśliła się, że to jakieś kłamstwo, które Johann wcisnął, aby mieć pretekst do dokładnego obejrzenia obrazu.

– Faktycznie jeden taki pytał o ten obraz, a Johann po prostu chciał przy okazji pokazać znajomym z Polski prawdziwy angielski dwór. – Irene wiedziała, że to napomknięcie połechce byłą teściową. Nie miała ochoty na dalsze spory.

W progu do małej galerii pojawił się Kunstmann. Obie w pierwszej chwili odetchnęły z ulgą, że wybawił je z konieczności dotrzymania sobie towarzystwa, a dopiero później pomyślały o celu jego wizyty.

Kunstmann był zmieszany. Spojrzał na Irene, która podniosła pytająco brwi.

– To kopia.

\*

Na środku korytarza, tuż obok jednych z wielu drzwi, stało dwóch mężczyzn i drobna kobieta z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon. Wysoki brunet w grafitowej koszuli i czarnych spodniach, wyglądający jak bohater któregoś z amerykańskich seriali policyjnych, oparł się o ścianę i wsadził ręce do kieszeni.

– Albo trafiliśmy na samą górę tej szajki, albo ci ludzie nie mają z tym nic wspólnego.

– Zaraz zwałą nam się na głowę prawnicy Carleyów. Matka tego Johanna dzwoniła już ze trzy razy, a zaraz po niej biuro lorda Carleya. – Drugi z mężczyzn, ubrany w sweter w kolorowe romby, założył ręce na piersi.

– Jeśli rzeczywiście szantażują czymś tego młodego Carleya, to i tak nie powie nam prawdy. – Kobieta poprawiła okulary.

– Model jest ten sam co zawsze, jak do tej pory. Młody bogaty Anglik poznaje polskie sympatyczne towarzystwo, po czym zostaje wmanewrowany w jakąś awanturę lub szantaż, któremu ulega ze względu na seksualne tło znajomości lub narkotyki. – Grubas w kolorowym swetrze spojrzał na

wysokiego kolegę i uśmiechnął się porozumiewawczo. – Dla tej laski sam bym zrobił sporo rzeczy sprzecznych z prawem.

– Ty byś to zrobił dla każdej laski, która chciałaby na ciebie spojrzeć. – Brunet roześmiał się i wykrzywił złośliwie do obrażonego kolegi. Kobieta ukryła uśmiezek, odwracając głowę.

Z głębi korytarza wyszedł młody mężczyzna w mundurze policyjnym. Skinął głową całej trójce i podał wysokiemu inspektorowi faks.

– Właśnie przyszło. Skan ekspertyzy tego obrazu. Podpisał się pod nią ekspert z National Gallery.

Mężczyzna wziął do ręki kartkę papieru, zaczął czytać i zmarszczył brwi.

– I co? Co tam jest? – Grubas nie wytrzymał i zajrzał przez ramię kolegi.

– Siedzimy tu już w sumie ze cztery godziny. O co im w ogóle chodzi? – Paulina westchnęła, opierając łokcie na stole. Splotła dłonie i położyła na nich głowę.

– Z tego, co zdołałem zrozumieć, biorą nas za członków jakiejś polskiej mafii działającej w Londynie. – Igor wyprostował nogi pod stołem i przeciągnął się.

– No, jeszcze że ciebie, to można zrozumieć. W Szczecinie też zadajesz się z mafią, ale mnie?

– Za to profesjonalne kradzieże są twoją mocną stroną, ale dopiero angielska policja się na tobie poznała.

– Przestanie ci być do śmiechu, jak cię zamkną z wyposzczonymi pakistańskimi gangsterami. – Paulina rzuciła mu protekcyjny uśmiezek spod zmrużonych rzęs. – Ciekawe, dlaczego Johanna trzymają oddzielnie?

– To oczywiste, bo według nich jest twoją ofiarą. – Igor uśmiechnął się złośliwie. – Poza tym jest synem lorda, więc się z nim cackają.

– Ale że ta zołza wezwała policję... – Paulina pokręciła głową.

– Właściwie to trudno jej się dziwić, skoro zastała cenny obraz z galerii będącej pod jej opieką w takim stanie, w jakim go zostawiliśmy. – Igor wzruszył ramionami. – Sam bym wezwał gliny.

– Jak to wypuścić? – Grubas zrobił się czerwony na twarzy i z wściekłością patrzył na wysokiego eleganckiego mężczyznę, ubranego w garnitur, którego cena na pierwszy rzut oka grubo przekraczała miesięczne pobory inspektora Scotland Yardu.

– Pani Carley nie wnosi żadnej skargi. Obraz jest jej własnością i ma do tego prawo. A skoro nie ma kradzieży, to nie ma i przestępstwa.

– Ale przecież to kopia, do kurwy nędzy! Co się stało z oryginałem?

– Howie, uspokój się. – Wysoki brunet wstał i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi. – Nie mamy chyba wyjścia, musimy ich puścić.

– Każde z nich mówiło co innego, obraz okazał się kopią, a my ich mamy wypuścić? Odbiło ci? Przecież to szajka oszustów!

Brunet podszedł do drzwi i energicznie skinął głową na kolegę, wskazując wyjście.

– Chcesz ściągnąć nam na głowę cholerną Izbę Lordów? – wycedził, patrząc na czerwonego ze złości policjanta, gdy obaj znaleźli się na korytarzu. – To oczywiste, że rodzina chce zatuszować całą sprawę i nie dopuścić do skandalu, a my nie mamy żadnych podstaw, żeby ich zatrzymać. Nie wiem, co ten młody dureń zrobił, że tak się boją wyjścia na jaw, ale nic nie poradzimy.

Grubas odetchnął i oparł się o ścianę.

– To czwarta tego typu kradzież. Właśnie wpadli nam w ręce prawdopodobnie główni organizatorzy, a my musimy ich wypuścić? A w ogóle, czyim on jest prawnikiem, ten tam? – Wskazał głową drzwi. – Jeśli Carleya, to przecież tych dwoje możemy zatrzymać jeszcze do wyjaśnienia. Przyciśniemy ich i coś puszczą.

– Powiedział, że reprezentuje zarówno Carleya, jak i oboje Polaków. Zagroził pozwem o dyskryminację z powodów narodowościowych.

Grubas odkleił plecy od ściany i skinął głową w kierunku drzwi.

– Jeszcze nam tylko, kurwa, brakowało polskiej mafii w Londynie!

\*

Irene stała zamyślona przed wiszącym jak gdyby nigdy nic na swoim starym miejscu obrazem Lessinga. Więc to zawsze była kopia? Co takiego

ukrywał ojciec? O co mu chodziło? Czy naprawdę istnieje jakaś stara tajemnica, w którą bezprzykładnie zdają się wierzyć jej syn i jego polscy znajomi i do której kluczem jest obraz ukryty za bezwartościowym falsyfikatem?

A może sam obraz jest tą tajemnicą? Jeśli to rzeczywiście Cranach, to jest wart majątek.

Ojciec zadał sobie wiele trudu, aby go ukryć, i przez cały ten czas nie zdradził nawet słówkiem, że jest w jego posiadaniu. Wszystkimi pracami konserwatorskimi zajmował się zawsze sam, pilnował ich osobiście, kolekcja niemiecka była w doskonałym stanie, gdy ją odziedziczyła, nawet do głowy jej nie przyszło, by ją poddawać jakimś zabiegom. Zresztą nie miałyby do tego energii, wtedy właśnie trwało apogeum wojen podjazdowych w Carley, a po jej wyjeździe stamtąd obrazy wylądowały w piwnicznych magazynach i dopiero długo potem mąż poprosił ją o zgodę na ich wystawienie. Tego obrazu nikt nigdy nie oglądał dokładnie, zresztą po co, skoro w kolekcji były trzy płótna Caspara Friedricha i kilka innych równie cennych.

Oczywiście Wiktoria nie uwierzyła w to, że obraz Lessinga zawsze był kopią, nie mówiąc o Morlock, która pewnie po cichu już się szykowała do wielkiej kampanii rozpowszechniania plotek na temat wielkiego skandalu „tej Niemki” i zepsutego przez nią syna.

Wiktoria jednak ją – o dziwo – poparła, tyle że kierowało nią, rzecz jasna, zupełnie co innego, obawa o skompromitowanie rodziny, a zwłaszcza syna, z którego była zawsze dumna.

Irene uśmiechnęła się pod nosem i wyjęła telefon z kieszeni.

– Johann, obawiam się, że do reszty popsułam ci właśnie opinię w Carley – powiedziała z uśmiechem, gdy jej syn odebrał i przekazał jej informację o tym, że właśnie ich wypuścili. – Możliwe, że babcia będzie naciskała, aby cię leczyć z jakiegoś uzależnienia. Możliwe też, że ojciec zrobi jakieś dopiski w testamencie – dodała z jawną już wesołością, a na wspomnienie miny, jaką zrobiła Morlock, gdy po ujawnieniu ekspertyzy oświadczyła, że wiedziała o tym, iż obraz jest kopią, parsknęła głośnym śmiechem, odchylając głowę do tyłu. – Wyobrażasz sobie? Najcenniejszy obraz w tej kolekcji był ukryty za kompletnie bezwartościową kopią. Jak to dziadek powiedział? *Ars est celare artem* – sztuką jest ukryć sztukę.

## Rozdział 26

Hans pchnął ażurowe, oszklone drzwi i wszedł do środka zamkowej sieni. Był ubrany w dżinsy i białą koszulę, na którą miał narzuconą kamizelkę. Za nim weszli Matthias z Markusem i stanęli na kamiennej posadzce, rozglądając się ciekawie wokół siebie. Markus miał na sobie luźną bluzę dresową z kapturem. Wszyscy trzej wyglądali jak typowi turyści zwiedzający zamek. Hans cofnął się pod ścianę, żeby przepuścić grupę niemieckojęzycznych emerytów, którzy właśnie opuszczali budynek. Uśmiechnął się do starszych pań, które uprzejmie skinęły mu głowami, i ruszył w kierunku pomieszczenia po prawej stronie, gdzie w drewnianym kiosku prowadzona była sprzedaż biletów.

Mieli jeszcze półtorej godziny do zamknięcia wnętrza muzeum zamkowego. Dokładnie tyle, ile trzeba.

Matthias sięgnął do kieszeni i wyjął smartfona. Otworzył katalog z planami zamku i zaczął przeglądać skan kondygnacji przyziemia. Markus, rzucając okiem wokół siebie, pochylił się w kierunku kolegi.

– Uważaj, ktoś może to zauważyć.

– Sądysz, że któryś z tych emerytów zorientuje się, co to za plany? – Matthias uśmiechnął się pobłaźliwie, ale na widok wracającego Hansa wyłączył urządzenie i wsadził do kieszeni spodni.

– Najpierw grzecznie idziemy zwiedzić wszystkie wystawy. – Hans pomachał im przed nosem plikiem biletów. – Mamy na to jakieś dwadzieścia minut.

– Skąd pewność, że ta laska załatwiła to wszystko tak jak trzeba? – Markus spojrział na Hansa, unosząc brwi.

– Ponieważ ma w tym swój interes, to najlepsza motywacja. – Hans uśmiechnął się zimno i machnął ręką w kierunku schodów.



Dorota położyła na blacie dwie grube teczki w szarych tekturowych okładkach i spojrzała z wystudiowaną obojętnością na czterech mężczyzn stojących po drugiej stronie stołu.

– To jest dokumentacja północnego i wschodniego skrzydła Zamku Książąt Pomorskich. Inwentaryzacja i projekt remontu dachu i poddasza.

Parsov dźwignął się z fotela pod oknem i podszedł do stołu.

– Skąd to masz? – Hans spojrzał na teczki i podniósł wzrok na Dorotę.

– Nie twój interes. – Dorota nawet nie spojrzała w jego kierunku.

Sięgnęła po pierwszy z segregatorów i rozwiązała dwie wstążki starej okładki archiwalnej dokumentacji, przerzuciła niezliczone kartki opisów technicznych i załączników, zatrzymując się na pożółkłym, złożonym rysunku w ogromnym formacie. Ostrożnie rozłożyła planszę, która zajęła całą szerokość stołu, i dopiero w tym momencie spojrzała na Parsova, omijając wzrokiem Hansa, który wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To jest inwentaryzacja z lat siedemdziesiątych, na jej podstawie był robiony projekt remontu poddasza i dachu obu skrzydeł. Późniejsze prace i zmiany nie wpłynęły zasadniczo na to, co nas interesuje, więc spokojnie możemy na tym bazować.

Pochyliła się nad planszą i postukała palcem w środek rysunku, w którym znajdowały się schody północnego skrzydła zamku.

– To są główne schody. Turyści mają wstęp jedynie na pierwsze piętro do sal muzealnych i odtworzonych komnat Jerzego Pierwszego, na drugim piętrze znajdują się sale muzealne, w których ma być ekspozycja zamku z czasów szwedzkich, ale jeszcze nie jest dostępna. Wyżej znajdują się magazyny i pomieszczenia gospodarcze. Schody prowadzą jeszcze wyżej, na poziom poddasza.

– Poddasze? Wydawało mi się, że tam są płaskie dachy. – Parsov spojrzał na Dorotę, podnosząc brwi.

– Zarówno nad północnym, jak i nad wschodnim skrzydłem znajdują się niskie stropodachy, utworzone przez drewniane kratownice. Są one na tyle wysokie, że w części środkowej można swobodnie przejść. Jest tam pomost techniczny.

Dorota sięgnęła po kolejny z rysunków i rozłożyła go na stole. Był na nim ukazany przekrój poprzeczny ostatniej kondygnacji oraz poddasza.

– To jest otwór w ścianie klatki schodowej, którym wchodzi się na ten pomost. – Wskazała palcem półkolisty zamknięty otwór drzwiowy, ulokowany dokładnie w środku ściany. – Ale was interesuje wyjście na dach. – Spojrzała na Matthiasa, który spuścił wzrok. – A ono jest tutaj. – Postukała palcem w mały kwadrat tuż obok schodów prowadzących na poddasze budynku.

– Jest otwarte? – Hans powiódł wzrokiem za jej palcem. – To znaczy, czy nie jest zamknięte na jakiś klucz albo zamek.

– To jest typowy wyłaz dachowy ze zwyczajną klamką, która otwiera się z poziomu podłogi.

Hans pokiwał głową.

– Po wejściu na górę musicie się dostać tutaj i ukryć w tym miejscu. – Dorota wskazała poddasze po prawej stronie schodów. – Wejście na poddasze, na ten pomost jest zamknięte na klucz, ale ze zwyczajnym zamkiem sobie zapewne poradzicie. – Spojrzała ponownie z ledwie zauważalnym, drwiącym uśmiechem na Matthiasa i sięgnęła po kolejny rysunek.

– W jaki sposób dostaniemy się na górę? Przecież tam, o ile pamiętam, stoją jakieś baby i obserwują wchodzących na wyższe piętro. – Hans popatrzył na Dorotę bez przekonania.

– Zrobimy małe zamieszanie, tak żeby na chwilę odciągnąć uwagę obsługi, a wtedy wbiegniecie na górę i schowacie się na tym pomoście technicznym. Zmieniacie łańcuchy i zostawiacie je pod pomostem. Tam prawie nigdy nikt nie chodzi, więc będziecie mogli spokojnie poczekać, aż zrobi się spokój, i wydostać na dach.

– A jak nas ktoś zauważy na tym dachu? – Markus pokręcił głową i skrzywił się.

Hans spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

– Masz jeszcze sporo czasu, żeby sobie przemyśleć swój dalszy udział w tej pracy.

Pochylił się nad rysunkiem i spojrzał na Dorotę.

– Gdzie jest ta pracownia? Jak się zorientujemy na dachu?

– Pracownia jest w skrzydle wschodnim. – Dorota przerzuciła kilka złożonych plansz i wyjęła kolejną. Rozłożyła ją na dwóch poprzednich

i pochyliła się, opierając o kraniec stołu. – Na dachu skrzydła wschodniego są wielkie świetliki. Przez jeden z nich właśnie dostaniecie się do środka. Sala, w której znajduje się sarkofag, jest pod trzecim i czwartym świetlikiem, licząc od narożnika ze skrzydłem północnym. Pod piątym i szóstym jest pracownia, w której będzie siedziała zatrudniona tam babka.

– W porządku, w takim razie teraz musimy mieć tylko pewność, że ta kobieta będzie tam sama po siedemnastej.

– Będzie. – Dorota podniosła wzrok znad planszy. – Hadryrowie wychodzą dzisiaj około szesnastej. Beata Komorowska zostanie dłużej, ale nie dłużej niż do dwudziestej pierwszej. Co zamierzacie jej zrobić? – Spojrzała twardo na Hansa.

– Nic złego. – Hans uśmiechnął się samymi ustami. – Nie musisz się o nią martwić. Przez godzinę nie będzie nam przeszkadzała. Tyle czasu nam wystarczy, żeby zabrać to, czego potrzebujemy.

Dorota przez chwilę wytrzymała spojrzenie Hansa, w którym czaił się pobłażliwy uśmieszek, po czym spuściła głowę.

– Wracacie tą samą drogą. Jakby się ktoś pojawił, mówicie, że nie wiedzieliście, że na górę nie wolno. Zresztą te babki raczej mówią jedynie po polsku.

Parsov pokręcił głową i skrzywił się.

– To wszystko jest strasznie prowizoryczne. Słabo przygotowane, nieprzemyślane. Dyletanctwo. W każdym punkcie tego poronionego planu może się zdarzyć coś nieprzewidzianego.

Hans spojrzał na niego bykiem.

– Nie mamy czasu na plan w stylu *Mission Impossible*[\[32\]](#). Jak rozłożą trumnę na części, to znajdą to, czego szukamy. Mogą ją zacząć demontować do konserwacji nawet jutro.

– Co takiego jest w tej trumnie, co was tak interesuje? – Dorota nie wytrzymała i zadała pytanie, które dręczyło ją od początku.

Hans spojrzał na nią ze złośliwym uśmiechem.

– Nie twój interes.

Dorota wyszła z sali Jerzego I, którą z ciekawością nawet obejrzała. Nie

była w muzeum zamkowym od wieków, a sala została w ostatnich latach odrestaurowana na wzór renesansowych wnętrz z okresu panowania księcia Jerzego I. Wewnątrz stała także woskowa figura, której gabaryty, a także rysy twarzy zostały drobiazgowo przedstawione na podstawie badań zachowanych szczątków księcia.

Nieco koszarne, ale ciekawe. Spojrzała na zegarek. Hans z tymi durniami powinni właśnie wchodzić po schodach. Wolnym krokiem skierowała się w stronę stojącej przy wejściu z klatki schodowej kobiety w granatowym uniformie.

– Przepraszam panią. – Pochyliła się ku niej z zafrasowanym uśmiechem. – Wydaje mi się, że w tej sali tam – machnęła ręką za siebie – księcia Jerzego chyba, jest otwarta jedna z gablot. Nie dotykałam jej, ale mam wrażenie, że coś jest nie tak. Bardzo proszę to sprawdzić.

– Co pani mówi? Otwarta? Matko Boska! – Kobieta spojrzała z przerażeniem w kierunku drzwi prowadzących do sali i szybkim krokiem ruszyła w ich kierunku. – Proszę mi pokazać, która to gablota. Jeśli to prawda, to musimy wezwać ochronę.

Na podest pierwszego piętra w tym momencie wszedł Hans, a za nim Matthias i Markus. Dorota skinęła głową w kierunku biegu schodowego prowadzącego na drugie piętro i ruszyła w ślad za kobietą w granatowej garsonce.

Matthias szarpnął drzwi prowadzące na pomost techniczny. Sięgnął do kieszeni i wyjął kółko z zestawem kilku blaszek i drucików. Pochylił się nad zamkiem i wsadził jedną z blaszek do dziurki od klucza. Markus za jego plecami odetchnął głęboko.

– Pośpiesz się, jeszcze ktoś tu wlezie.

Matthias nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Za nimi rozpościerała się przestrzeń przywodząca na myśl wnętrze kopuły sterowca. Wielkie drewniane kratownice, rozciągnięte pomiędzy zewnętrznymi ścianami budynku, ciągnęły się w równych odstępach w głąb pomieszczenia. Od drzwi prowadził pomost ze stalowymi balustradami po dwóch stronach i niknął w ciemności. Światło wpadające przez otwarte drzwi rozjaśniało jedynie kilka najbliższych metrów, dalej wewnątrz tonęło w mroku.

– Nie zapalajcie tylko światła, bo jeszcze to kogoś przyciągnie. – Hans stanął w drzwiach i spojrzął w bok. – Tutaj spokojnie poczekamy, a potem wychodzimy na dach. Najpierw pójdziesz ty. – Kiwnął brodą w kierunku Matthiasa. – Zostawisz otwarty wyłaz i dopiero jak będziesz na górze, pójdziemy za tobą.

Matthias zdjął biały polar i wyciągnął ze spodni szarą bluzę z żółtymi emblematami ekipy monterskiej.

– Rękawiczki. – Hans spojrzął w jego kierunku i sięgnął do kieszeni w dzinsach.

Przysadzista, o krótko obciętych włosach kobieta w granatowym uniformie spojrzała na Dorotę z pobłażliwym uśmiechem, a w jej oczach widać było ulgę.

– No i jak niby ta gablota ma być otwarta? Przecież jest zamknięta.

Dorota zrobiła zdziwioną minę i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Dałabym sobie uciąć rękę, że to było otwarte. Przestraszyłam się i nie przyjrzałam dokładnie.

– Tu jest dość ciemno, może to była jakaś gra światel? – Kobieta pochyliła się jeszcze raz nad oszklonym postumentem z ułożonymi wewnątrz na zielonym suknie starymi dokumentami.

– Bardzo możliwe. – Dorota pokiwała energicznie głową. – Przepraszam panią za kłopot. Pójdę już w takim razie. Do widzenia.

– Do widzenia. – Kobieta obeszła gablotę wokół, zaglądając we wszystkie miejsca połączenia obudowy i szkła. Chciała mieć pewność, że niczego nie zlekceważyła.

Papa była rozgrzana prawie do czerwoności. Przez blisko trzy tygodnie nieustannych upałów słońce ogrzewało niczym nieosłonięty dach jak patelnię i dopiero od ubiegłego wieczoru w powietrzu i na niebie pojawiły się pierwsze oznaki zmiany pogody. Dzień był wciąż bardzo ładny, ale po niebie snuły się wielkie kłębiaste cumulonimbusy, które co jakiś czas groźnie skupiały się w jakimś punkcie i ciemniały, zapowiadając burzę.

Dla każdego ptaka przelatującego nad zamkiem trzy niewielkie figurki,

powoli przemieszczające się za attyką gmachu w kierunku wschodniego skrzydła, były zapewne interesującym urozmaiceniem na gładkiej, bitumicznej powierzchni.

Hans zatrzymał się przed ścianą ogniową oddzielającą skrzydła budynku i spojrzał na zegarek. Siedemnasta dziesiąta. Skinął głową Matthiasowi, wskazując ścianę. Mężczyzna szybko podniósł się i bezgłośnie przeskoczył niski murek. Za nim zrobił to Markus, a w końcu na dachu wschodniego skrzydła znalazł się Hans.

Pierwszy, drugi świetlik. Trzeci, czwarty – przeszedł w kucki, trzymając się blisko ściany attykowej i zatrzymał przy trzecim świetliku. Powoli pochylił się nad gładką, szklaną płaszczyzną i spojrzał ostrożnie w dół. Dokładnie pod wykuszem, przy ogromnym stole na środku pomieszczenia, siedziała ciemnowłosa dziewczyna i pracowicie wcierała jakiś preparat w dużą tafłę cynowej ściany, na której nawet z tej wysokości widać było pięknie wygrawerowany herb księstwa zachodniopomorskiego. Dziewczyna miała na uszach słuchawki. Hans uśmiechnął się do siebie. Opatrzność sprzyja.

Kiwnął na Matthiasa, który szybko przesunął się w jego stronę i wyjął z małej torby przy pasku niewielkie urządzenie. Ostrożnie położył je tuż obok konstrukcji aluminiowej świetlika, a następnie oparł się o płaszczyznę dachu i wyprostował nogę. Sięgnął do niewielkiego otworu tuż obok szwa spodni i powoli wyjął z niego długi na kilkanaście centymetrów drut.

Lanca termiczna. Urządzenie stosowane do otwierania sejfów lub przecinania praktycznie każdego materiału istniejącego na świecie. Do jego zasilenia potrzebny jest tylko tlen, który wtłoczony pod ciśnieniem do pręta paliwowego, rozgrzewa go do gigantycznej temperatury, wynoszącej ponad pięć i pół tysiąca stopni Celsjusza. Dla zrozumienia siły działania tego niepozornego urządzenia wystarczy uzmysłwić sobie, że temperatura na powierzchni Słońca wynosi właśnie tyle. Nie ma na Ziemi materiału, który zdołałby oprzeć się takiemu działaniu.

Matthias przyłożył cienki pręt do świetlika i spojrzał na Hansa. Dziewczyna przy stole kilka metrów niżej rytmicznie kiwała głową, wciąż czyszcząc wielowiekową tafłę cynku. Hans, nie spuszczając jej z oczu, kiwnął głową. Matthias powoli nacisnął cyngiel i na końcu pręta ukazała się łuna i rozsypujące się wkoło iskry. W aluminiowej obudowie błyskawicznie zrobił się niewielki, nieprzekraczający kilku milimetrów otwór. Hans

ostrożnie zajrzał do wnętrza świetlika. Niczego nieświadoma dziewczyna nadal zajmowała się swoją pracą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kamizelki i wyjął dużą tubkę z długą końcówką.

– To jej nie zaszkodzi? – Matthias oparł się o attykę i spojrzał na Hansa, który manipulował przy strzykawce.

– Jest używane w znieczuleniu ogólnym. Nic jej nie będzie.

– A co to jest w ogóle?

– Sewofluran[33]. – Hans spojrzał z pewną niecierpliwością na uważnie przypatrującego mu się Matthiasa. Za dużo się dopytuje. – Zaśnie na jakieś dwadzieścia minut. Tyle nam wystarczy.

Matthias wzruszył ramionami.

Długa, cieniutka igła swobodnie weszła do otworu. Przyciśnięty mały cyngiel na tubce spowodował prawie bezgłośnie wydobywanie się gazu. Po kilkunastu sekundach Hans wyjął ostrożnie igłę i zaślepił otwór kawałkiem plasteliny.

Spojrzał na Markusa.

– Możesz zacząć otwierać świetlik nad sąsiednią salą. Tylko ostrożnie.

Beata Komorowska przetarła oczy. Poczua się nagle bardzo zmęczona. Sięgnęła do uszu i zdjęła słuchawki. To ta muzyka. Nie dość, że w ciągu ostatnich dwóch dni mało spała, to jeszcze dobiła ją ta Norah Jones. Wzięła ściereczkę i sięgnęła do puszek z matową pastą. Poczua przez chwilę, że jest bardzo śpiąca.

Cholera, będę musiała skończyć na dziś. Potrząsnęła głową i mocno odetchnęła, ale otępienie nie zniknęło. Wprost przeciwnie, poczua się jeszcze bardziej senna.

Pochyliła się nad taflą cynku i zaczęła delikatnymi ruchami wcierać pastę w kolejny fragment starego materiału. Zdążyła pomyśleć, że wyłaniający się z wolna spod warstw patyny i brudu herb księstwa zachodniopomorskiego jest bardzo piękny, i opadła bezwolnie na stół. Puszka z woskiem przewróciła się na bok i poturlała na kraniec stołu. Przez chwilę balansowała na krawędzi, po czym spadła z cichym stukiem na ziemię i potoczyła pod ścianę,

zostawiając na podłodze kilwater z szarej mazi.

W rozświetlonym przez padające z sufitowych wykuszy światło pokoju bezszelestnie opadła lina, a jej koniec zatrzymał się jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą. Przez chwilę kołysała się spokojnie, po czym napięła gwałtownie, obarczona ciężarem ciała Matthiasa. Mężczyzna sprawnie opuścił się na dół i cicho stanął na podłodze wyłożonej wykładziną PCV. Rozejrzył się uważnie dookoła. Jego wzrok zatrzymał się na wielkim prostopadłościennym, nakrytym szarą szmatą kufrze, stojącym pod jedną ze ścian. Odsunął się na bok, pozwalając zejść z liny Hansowi, który zadarł do góry głowę i wskazał oczami zaglądnąjącemu przez świetlik Markusowi ścianę po prawej stronie. Markus kiwnął głową i zniknął za skrajem wykusza.

Rozejrzeli się po wnętrzu. Na korytarz wiodły pojedyncze drzwi, w przeciwległej ścianie, od strony dziedzińca zamkowego, mieściły się dwie pary kolejnych drzwi, które prowadziły do pomieszczeń gospodarczych. Wnętrze oświetlone było jedynie dachowym wykuszem i powoli, wraz z obniżającym się ku horyzontowi słońcem, zapadał w nim półmrok. Pod boczną ścianą stał stół, na którym piętrzyły się sterty papierów i notatek. Pod nim, wsunięty głęboko, stał niski, mający jakieś metr osiemdziesiąt długości ciemny kształt. Hans ruszył ku niemu. Ukucnął przy jednym końcu kufra i odwrócił się do Matthiasa, wskazując mu drugi koniec. Chwycili delikatnie za boki nakryte szarą, lnianą tkaniną i wysunęli na środek pomieszczenia.

Hans podniósł się i stanął nad kufrem. Pochylił się i jednym szarpnięciem ściągnął szmatę. Matthias cicho gwizdnął. Czarne drewno dębu, który być może rósł tysiąc lat temu w lasach na brzegu Odry, dopóki nie zwałił się w jej nurt i nie został długo potem wydobyty, by zyskać nowe życie w postaci książęcej trumny, wciąż zachowało połysk. Wierzch był gładko wykończony, a na jego płaszczyźnie widać było wyryte głębokimi nacięciami napisy pamiątkowe. Wzdłuż boków rzeźbione panele ukazywały groteskowe głowy różnych postaci i stworzeń. Spostrzegawczy obserwator rozpoznałby ich biblijne pochodzenie. Scena modlitwy w Ogrójcu, a tuż obok ukrzyżowanie, nieco dalej złożenie Chrystusa w grobowcu Józefa z Arymatei i klęczące obok kobiety.

Hans przetarł ręką pokrywę trumny. Pochylił się i zajrzał na boki. Sięgnął do kieszeni i wyjął latarkę. To musi gdzieś być.



Matthias ukucnął obok i spojrzał niepewnie na wielki, rzeźbiony kształt. Pod płytami z serią biblijnych scen wił się rzeźbiony roślinny ornament, taki sam ornament biegł na górze ścian bocznych, oddzielając gładką powierzchnię pokrywy. Dołem ciągnął się, kończący kompozycję ścian, pas małych prostokątnych kroksztyn.

Hans przejechał ręką po wypukłej powierzchni ornamentu, wcisnął delikatnie każdą z płyt, ale nic się nie działo. Zmarszczył brwi. Dotknął palcem jednego z kroksztynów. Nic. Dotknął kolejnych trzech. Z takim samym skutkiem.

Matthias cicho westchnął.

Niespodziewanie kolejny kroksztyn poddał się i lekko wsunął do środka. Hans zamarł, czekając, jaki efekt to wywoła, ale nic się nie stało. Nacisnął kolejną. Ta także lekko wsunęła się do wnętrza pudła. Nic. Spojrzał na Matthiasa, który nie odrywał oczu od małych drewnianych kwadracików.

Hans przejechał palcem dalej i wcisnął kolejną z obiegających cały dół kroksztyn. Nic. Westchnął i pokręcił głową. Pewnie po prostu obluzowane. Albo połamały się podczas przenoszenia.

Matthias spojrzał na zegarek. Od momentu gdy dziewczyna zasnęła, zdążyło minąć już dziesięć minut. Czas dziwnie przyśpieszał w takich sytuacjach. Postukał palcem w cyferblat, rzucając znaczące spojrzenie Hansowi. Ten zmarszczył brwi i zaczął dokładnie oświetlać latarką, panel po panelu, każdą płytę z rodzajową scenką, usiłując dopatrzeć się jakiegokolwiek skazy lub nieregularności w płynnie wijącej się dołem roślinnej wici.

Nic takiego nie było.

– Ręka! – powiedział nagle Matthias, nie odrywając zafascynowanego wzroku od rzeźbionego boku trumny.

Hans spojrzał na niego zaskoczony.

– Jaka ręka?

– Ręka Boga. Popatrz tutaj. – Pochylił się w kierunku jednej z płyt i wskazał palcem.

Scena ukazywała złożenie Chrystusa w jaskini po zdjęciu z krzyża. Martwe ciało leżało na kamiennej ławie, a lewa ręka bezwładnie zwisała w dół.

Hans zmarszczył brwi i pochylił się nad płaskorzeźbą.

– Popatrz na palce. – Matthias uklęknął na podłodze i dotknął starego drewna. Palce Jezusa były zaciśnięte, z jednym, wskazującym, skierowanym pionowo w dół. Hans spojrział na Matthiasa, po czym dotknął drewna poniżej. Nic tam nie było, ale za to kroksztyna dokładnie pod palcem Mesjasza wsunęła się delikatnie w głąb kufra. Tak samo następna i osiem kolejnych. Dziewiąta ani drgnęła.

Hans westchnął i uśmiechnął się szeroko do Matthiasa. Skurczybyk z tego rzeźbiarza. Wcisnął dokładnie cztery kroksztyny. W odpowiedniej kolejności. W tym momencie rozległ się cichutki stuk i jedna z poziomych listew, oddzielających biblijną scenę od ornamentu, drgnęła i lekko, nierówno się wysunęła.

Przez chwilę panowała kompletna cisza, ponieważ obaj przestali oddychać. Po czym Matthias po raz kolejny westchnął. Hans wyjął z kieszeni kamizelki nóż i pochylił się nad boczną ścianą trumny. Delikatnie podważył listwę i lekko ją odsunął. Razem z listwą z trudem wysunęła się cieniutka, drewniana półeczka. Mechanizm prawdopodobnie kiedyś chodził idealnie gładko, ale po upływie kilku wieków i tak w ogóle dziwne było, że zadziałał. Na półeczce leżał kawałek starego, pomarszczonego materiału.

– Co to jest? – Matthias pochylił się, nie panując nad ciekawością.

– A ja wiem? – Hans wzruszył ramionami. Sięgnął na pierś i wyciągnął spod koszuli dwie sztywne płytki z tworzywa sztucznego. Dawyły się jedynie lekko ugiąć, dostosowując do kształtu ciała, ale nie można ich było zwinąć w rulon. Delikatnie wysunął do końca drewnianą półkę i najostrożniej jak umiał podważył nożem kruchy arkusz, podnosząc go do góry. Bieczna zawartość skrytki po chwili znalazła się pomiędzy przezroczystymi płytkami z tworzywa. Hans powiódł wzrokiem po starym dokumencie, na którym wiły się linie, a maleńkie napisy tworzyły sieć tajemniczych znaczeń.

Bez wątpienia była to mapa.

Beata Komorowska otworzyła oczy i dopiero po chwili dotarło do niej, że zasnęła na leżącej przed nią na stole starej cynkowej płycie sarkofagu. Unosząc się, poczuła gwałtowny zawrót głowy. Zamknęła oczy i potarła dłońmi skronie. Nie sądziła, że jest aż tak zmęczona. Miała wrażenie, że jeśli gwałtownie wstanie, to zemdleje. Chryste, wykończy się tą dietą. Czas dać

sobie na luz, może nie każda kobieta musi być wiotka i szczupła. Powoli wstała i przetarła oczy. Spojrzała na zegarek, podnosząc brwi. Jeszcze nie było nawet szóstej, więc może jak się wyśpi i odpocznie, to jakoś uda jej się reaktywować do wieczora i pójść z Marcinem na to cholerne posiedzenie w klubie.

Podeszła do biurka przy ścianie, pochyliła się nad monitorem komputera i pozamykała otwarte pliki i programy. Po chwili ucichł delikatny szum wentylatora. Beata przełożyła jeszcze parę papierów i przypomniała sobie, że musi zabrać badania kolorystyczne i kwerendę historyczną obrazu, którego konserwacją się zajmowała, do domu, bo inaczej trzeba będzie robić to wszystko w poniedziałek rano. Gdzie to jest? Rozejrzała się wokół i przypomniała sobie, że zostawiła materiały w pomieszczeniu obok.

Markus pochylił się nad wykuszem i z przerażeniem zauważył, że dziewczyna się ocknęła. O pięć minut za wcześnie, cholera. Rzucił się do drugiego świetlika i szarpnął za linę, patrząc w głąb pomieszczenia. Z dołu spojrzały na niego dwie pary oczu. Wykrzywił się do nich i gwałtownie gestykułując, wskazał głową w kierunku sąsiedniego pomieszczenia.

Hans wsadził płytkę z tworzywa pod koszulę, pochylił się i wcisnął sekretną półeczkę w głąb drewnianego dna trumny. Sięgnął po szmatę i nakrył wielkie pudło. Starając się narobić jak najmniej hałasu, wsunęli je z powrotem pod stół przy ścianie i rozejrzeli po pomieszczeniu. Hans kiwnął głową, że wszystko w porządku, i wskazał linę Matthiasowi, który natychmiast ujął ją w dłonie i wprawnie podciągnął się do góry, błyskawicznie znajdując się pod sufitem. Gdy tylko nogi Matthiasa zniknęły nad wykuszem, Hans sięgnął po linę i w tym momencie usłyszał stukot kroków na korytarzu i po chwili zobaczył, jak klamka w drzwiach się porusza.

Beata nacisnęła klamkę i przypomniała sobie, że zamknęła drzwi na klucz, myśląc, że nie będzie musiała już tutaj zaglądać. Westchnęła i sięgnęła do kieszeni, szukając pomiędzy garścią monet dwóch kluczyków na kółeczku. Wyciągnęła je w końcu i wsadziła jeden z nich do zamka. Pchnęła drzwi i weszła do środka. Mimo wczesnej pory panował tu już lekki półmrok, słońce oświetlało tylko górę pomieszczenia, dół pozostawiając w cieniu.

Podeszła do biurka pod ścianą i zgarnęła dwie teczki oraz niewielki stos papierów w plastikowej okładce, na której wierzchu widniał napis *Kwerenda historyczna*. Ziewnęła, rozejrzała się po wnętrzu i ruszyła w kierunku drzwi wyjściowych. Trzymając plik szpargałów pod pachą, sięgnęła po klamkę i odwróciła się raz jeszcze w kierunku stołu, żeby sprawdzić, czy wszystko zabrała. Nie uśmiechałoby jej się wracać po jakiś fragment dokumentacji. Ten cholerny opis obrazu musiał powstać do poniedziałku. Stół, jeśli nie liczyć segregatora z próbkami kolorystycznymi tynków mineralnych, który leżał w tym samym miejscu już od dobrego miesiąca, był pusty.

Kątem oka zauważyła, że drzwi do kantorka na tyłach pomieszczenia są lekko uchylone. Zatrzymała się niezdecydowanie z ręką na klamce. W ogóle tam dzisiaj nie wchodziła. W pomieszczeniu znajdowały się rozmaite środki chemiczne, pasty polerskie, próbki materiałów i całe ławice pędzli, pędzelków różnej wielkości. Od wczoraj pracowała przy tej płycie od sarkofagu i wszystko, co było jej potrzebne, miała pod ręką przygotowane już od trzech dni. Pewnie ktoś inny tam grzebał i nie zamknął.

Uchylone drzwi były czymś, nad czym nie mogła przejść do porządku dziennego. Bywało, że w domu wstawiała w nocy i domykała drzwi starej szafy, które były obluźowane i czasem się otwierały, ukazując czarną dziurę wnętrza, gdzie mogło się znajdować wszystko. Nie potrafiłaby też zasnąć w pokoju, w którym drzwi nie byłyby zamknięte, miała tak od dziecka. Kiedyś przeczytała, że to na tle nerwowym.

Westchnęła i ruszyła w kierunku przeciwległej ściany. Położyła rękę na klamce i zamknęła starannie drzwi. Znała siebie i wiedziała, że to nie wystarczy.

Każdego wieczora, zanim położyła się spać, szła do przedpokoju sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Przekręcała klucz, zamykając zamek, po czym otwierała go ponownie i wyglądała na zewnątrz, lustrując wnętrze klatki schodowej. Bywało, że robiła tak dwa razy.

Westchnęła i sięgnęła do klamki. Nacisnęła ją i otworzyła drzwi, zaglądając do ciemnego wnętrza. Było małe na tyle, że oprócz trzech stalowych regałów przy ścianach, pośrodku było miejsce tylko dla jednej osoby, która mogłaby wejść i poszperać na półkach.

Beata, zanim sparaliżował ją strach, zdołała tylko pomyśleć, że spełniły się właśnie jej koszmary z dzieciństwa, z których do końca nigdy się nie

wyzwoliła.

Z wnętrza małego pomieszczenia patrzyły na nią zimne stalowe oczy.

## Rozdział 27 (sobota)

Bondar odłożył słuchawkę i podrapał się po brodzie. Nie było jeszcze ósmej, a na dworze już zrobiło się duszno i parno jak w piekle.

– I co? – Pilecki spojrzał na niego z ciekawością.

– I nic. Sarkofag jest kompletny, tak jak i zawartość trumny. Hadrys oraz patolodzy, którzy się zajmują szczątkami księcia, wykluczają, żeby ktoś w niej grzebał. Według nich w ogóle nie była otwierana. Sarkofag nosi ślady podważania, a być może i otwierania pokrywy, ale trumny nikt nie ruszał.

– Czyli jeśli coś zniknęło, to musiało być w samochodzie?

– Na pace ciężarówki byli tylko Borola i Fleming, tylko ich ślady zostały wszędzie. Na kłamce są także odciski tej dziewczyny, ale ona przyznała się, że zaglądała do wnętrza i zabrała ten papier, który jest obecnie w magistracie.

– Konkretnie na wystawie w Berlinie – dodał Pilecki. – „Ludzkie losy w czasie II wojny światowej”. Dziwię się, że mamy z tym w ogóle coś wspólnego. Nieoficjalnie wiadomo, że to organizuje Związek Wypędzonych.

– Polityka. – Bondar wzruszył ramionami.

– No więc tak... Borola z Flemingiem jako pierwsi wślazą do lochów. Oglądają ciężarówkę i sarkofag. Zauważają coś jeszcze, nie zabierają tego, ale na drugi dzień Borola nakręca Fleminga i zabierają to po cichu w nocy. Najpierw przychodzą ludzie Boroli, a następnie Fleming i ci faceci z kamery. Wtedy ginie cieć.

Bondar pokręcił głową.

– To się nie trzyma kupy. Przecież Borola i Fleming sami poinformowali policję o ciężarówce i trupie tego Szwaba, jak tylko wyleźli z lochów.

– Nie mieli wyjścia w sumie. Był z nimi ten cieć, może już wtedy widział coś, czego nie powinien?

– Hmm... Zabrali to coś od razu, nakazali cieciowi milczenie...

– Na następny dzień przyszli, ponieważ przestraszyli się, że w nocy, bez dobrego światła, mogli pozostawić jakieś ślady, które wskazałyby służbom konserwatorskim, że coś zniknęło. Ludzie Boroli upozorowali wypadek, a Fleming dał się w to wmanewrować.

Bondar postukał długopisem w stół. W zasadzie jest to prawdopodobne, tyle że to wszystko poszlaki. Nic nikomu nie da się w ten sposób udowodnić.

Stary telefon, stojący na biurku obok sterty szpargałów, zadźwięczał melodyjnie. Bondar sięgnął po słuchawkę. Przez chwilę, patrząc w stół, słuchał uważnie, a następnie podniósł wzrok na Pileckiego.

– Wypuścili ich? To była pomyłka? – Zadał pytanie komuś po drugiej stronie linii. Przez chwilę słuchał jeszcze odpowiedzi, po czym odłożył słuchawkę na widełki starego urządzenia.

– Cała trójka została zatrzymana w Londynie pod zarzutem kradzieży obrazu z galerii rodziny tego Carleya.

Pilecki podniósł brwi i gwizdnął.

– Wypuścili ich, ponieważ rodzina wycofała zarzuty.

Bondar westchnął i zacisnął zęby.

– Dobra, Fleming i tych dwoje wracają dziś do Szczecina. Kupili bilety. Macie ich zatrzymać na lotnisku. Może w końcu wyciśniemy z tego krętacza, o co w tym wszystkim chodzi?

\*

Igor westchnął, patrząc na swój bagaż, który niedostrzeżony w porę, pojechał po czarnym pasie podawczym na kolejne okrążenie.

Paulina wysunęła długą rączkę ze swojej torby na kółkach i oparła ją o udo.

– Ale z ciebie ofiara. – Uśmiechnęła się do Igora.

– Twoja torba jest czerwona, nikt przy zdrowych zmysłach takich nie kupuje. Nie ma szansy, żeby jej nie zauważyć.

– Moja torba jest ładna, a twój czarny tobół zrobi jeszcze ze dwa okrążenia, jak nie będziesz go pilnował.

– Zakładam, że żadne z was nie powiedziało nic mądrego. – Johann wsadził do kieszeni kartę pokładową i bilet. – Mimo to wolałbym, żebyście

kontynuowali wymianę zdań po angielsku.

Igor w ostatniej chwili złapał paski swojej torby i uśmiechnął się triumfalnie do Pauliny.

– Powinieneś zacząć uczyć się polskiego – powiedziała Paulina, ruszając w kierunku oklejonych reklamami automatycznych drzwi, prowadzących do hali głównej lotniska. – Tym bardziej, że pewnie jeszcze długo będą cię podejrzewać o kontakty z polską mafią – rzuciła przez ramię.

Minęli bramkę i znaleźli się w hali przylotów.

– Może coś zjemy? – Johann spojrzał z nadzieją w kierunku małego baru.

– Zjemy coś w mieście. Tu jest piętnaście razy drożej. – Paulina ruszyła w kierunku niebieskich drzwi prowadzących do wyjścia przed budynek.

Przed samymi drzwiami zatrzymała się taksówka, z której wysiadła dziewczyna z przerzuconą przez ramię torbą z logo hiszpańskiej marki odzieżowej. Paulina miała właśnie wejść do przedsionka, gdy Igor złapał za pasek jej torebki i pociągnął ją do tyłu.

– Co ty robisz? Co się dzieje? – Zdezorientowana odwróciła się gwałtownie, prawie wpadając na starszą panią wychodzącą za nią z budynku. Starsza pani zgromiła Igora wzrokiem. Za jej czasów było nie do pomyślenia, żeby mężczyzna tak traktował kobietę. Co za wstrętny brutal!

– Nie wychodzimy! Chodźcie tutaj szybko. – Igor cofnął się za kontuar wypożyczalni samochodów.

– Ale co się stało? – Paulina zmarszczyła brwi, zerkając w kierunku wyjścia i usiłując dojrzeć, co skłoniło Igora do tak gwałtownego odwrotu.

– Co się dzieje? – Johann stanął obok i podążył wzrokiem za spojrzeniem Pauliny. – Znowu mówicie po polsku! – dodał oskarżycielsko.

Igor stanął tyłem do okna. Taksówka w tym momencie odjechała, a dziewczyna z torbą od Zary weszła do hali przylotów.

– Na parkingu, trzeci rząd. Obok niebieskiego vana, czarny SUV. Poznaje ten samochód, ma niemieckie blachy. Stał pod twoim domem zaraz przed próbą włamania. – Igor spojrzał na Paulinę. – Dam głowę, że to oni.

Paulina spojrzała we wskazanym kierunku, markując poprawianie włosów.

W trzecim rzędzie na parkingu stał czarny samochód terenowy, o który opierał się mężczyzna, raczej niezaliczający się do szczupłych. Rozmawiał



z kimś w środku samochodu.

– Jesteś pewien? Sądysz, że czekają na nas? Może to przypadek?

– Akurat! Czekają na nas jak nic.

– Poznajesz go? Przecież mówiłeś, że tamci byli szczupli? – Johann obserwował mężczyznę stojącego przy samochodzie. – Patrzy tutaj. – Gwałtownie odwrócił głowę w bok.

– Chodźcie tam. – Igor wskazał ręką przejście do hali odlotów. – Nie kojarzę tego akurat faceta, ale samochód na pewno. Tamci pewnie siedzą w środku.

– Ale co nam tutaj zrobić? Przecież tu jest tłum ludzi. – Paulina ruszyła za nim, ciągnąc po żółtej posadzce torbę na kółkach.

– Tu nic, ale pojedą za nami. Do Szczecina jedzie się praktycznie cały czas przez lasy.

W pośpiechu prawie przebiegli obok sklepu z gazetami po jednej stronie i kiosku ze słodyczami po drugiej, wpadając do dwupoziomowej hali odlotów.

– No i co dalej? Stąd też się wychodzi przed budynek. – Paulina szarpnęła torbę, która zaczepiła się o nogę krzeselka przy oszklonej wieżyczce obok windy. – Daleko masz samochód?

– Stoi dwa rzędy dalej, ale pewnie go obserwują. – Igor wzruszył ramionami. – Pojedą za nami, to więcej niż pewne.

– No to co robimy? Tu nie ma gdzie się schować. Zresztą oni mogą tu zaraz wejść i sprawdzić. – Johann rozejrzał się wokół siebie.

Igor nagle zmarszczył czoło i po chwili namysłu sięgnął po telefon.

\*

– Powinni byli już dawno wyjść. – Karpacky wytarł pot z czoła chusteczką higieniczną, po czym rzucił ją pod samochód. – Co za pieprzona pogoda, nie ma słońca, a gorąco jak w piekle.

– Może zatrzymali się, żeby coś zjeść? Samochód Fleminga stoi na parkingu. – Markus spojrzał pytająco na Matthiasa. – To co robimy?

– Poczekamy jeszcze chwilę i pójdiesz się rozejrzeć do środka. – Matthias spojrzał na Petera.

– A jak mnie poznają?

– Ciebie nie widzieli nigdzie. Nas ten palant może kojarzyć spod domu tej lali.

Grubas pokiwał głową i nagle zmarszczył czoło.

– Policja przyjechała.

Od strony głównej drogi, prowadzącej przez las, nadjechała niebieska policyjna octavia i powoli wtoczyła się na podjazd pod samym budynkiem hali przylotów.

– To co z tego? – Matthias spojrział na niego ze zniechęceniem.

– Mogą mnie poznać. Nie pójdę tam teraz.

Matthias wzniosł oczy ku niebu. Kurwa, ten gruby Polak ma jakieś niezłałatwione sprawy w kraju. Pieprzony debil.

– Ty pójdiesz. Weź torbę. – To mówiąc, rzucił granatową torbę z paskiem na ramię w kierunku Markusa. – Tylko ostrożnie.

\*

Policjant w mundurze wyszedł przez automatyczne drzwi hali przylotów i podszedł do samochodu.

– Nie ma ich w środku. – Pochylił się nad przednim oknem.

– Toyota Fleminga stoi zaparkowana. Więc pewnie gdzieś muszą być. – Pilecki wzruszył ramionami. – Może nie wyszli jeszcze z hali bagażowej. Czasem to się przeciąga.

Policjant oparł się o samochód i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

\*

W samochodzie przez dłuższy czas panowało milczenie. Szpakowaty szczupły mężczyzna za kierownicą mercedesa nie najnowszego modelu co chwilę rzucał spojrzenia w kierunku siedzącego obok z założonymi na piersi rękami Igora.

– Synu. – Mężczyzna zdecydował się w końcu odezwać. – Wierzę w twój rozsądek, ale ta sytuacja na lotnisku była co najmniej, powiedzmy, niecodzienna.

Igor spojrział na ojca i wzruszył ramionami.

– Chcieliśmy po prostu uniknąć spotkania z pewnymi ludźmi. To wszystko.

– Normalni ludzie w takiej sytuacji mówią „przepraszam” i odchodzą.

Igor westchnął. Nie chciało mu się opowiadać wszystkiego od początku. Poza tym, biorąc pod uwagę powód, dla którego właśnie siedział w samochodzie ojca i podążał w kierunku rodzinnego domu, było to także zdecydowanie niewskazane.

Dwadzieścia minut wcześniej, pod halę odlotów podjechał biały mercedes i zatrzymał się przed samymi drzwiami. Ojciec Igora wysiadł i zdecydowanym krokiem, mijając otwierające się przed nim na oścież automatyczne drzwi, wszedł do środka. Rozejrzał się po wnętrzu i po chwili dostrzegł stojącego za rogiem i kiwającego do niego energicznie Igora. Ruszył w jego kierunku i zobaczył opodal dwójkę młodych ludzi, którzy niepewnie zrobili parę kroków w jego stronę. Dziewczyna ciągnęła za sobą torbę na kółkach, podejrzliwie zerkając na wielkie przeszklone ściany hali.

– Co się stało? – Poklepał syna po ramieniu i podał mu rękę. – Twoja matka myślała, że miałeś jakiś wypadek. Zdenerwowała się jak zwykle.

Igor doskonale o tym wiedział, bo w międzyczasie zdołał odebrać dwa telefony od matki i odpowiedzieć wymijająco na dziesiątki pytań.

– Tato, nie mamy czasu na wyjaśnienia. To są moi znajomi. – Machnął ręką w kierunku Pauliny i Johanna, którzy niepewnie się uśmiechnęli. –

Musisz nas stąd zabrać, tylko błagam, zrób, co mówię, i nie zadawaj zbędnych pytań.

Ojciec Igora przywitał się z Pauliną i Johannem, po czym spojrział na syna z łobuzerskim uśmiechem.

– Zawsze marzyłem, żeby ktoś odezwał się do mnie w ten sposób, tylko raczej miała to być urocza blondynka, a nie bezczelny ponury brunet.

– Tato... – Igor westchnął i wzniósł oczy do góry. – Wcale nie jestem ponury.

Paulina podniosła brwi i ledwie zauważalnie potakująco pokiwała głową, uśmiechając się złośliwie do Igora.

Po chwili ojciec Igora wyszedł przed budynek, obładowany dwiema torbami i gustownym czerwonym neseserkiem na kółkach. Otworzył bagażnik i fachowo upchnął wszystko w środku, po czym obszedł wolno samochód i nie śpiesząc się, wsiadł za kierownicę. Drzwi prowadzące do hali odlotów otworzyły się, a wchodząca właśnie do środka kobieta, ciągnąca za sobą wielki toból na małych kółeczkach, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, widząc, jak troje pochyłonych w kucki ludzi, niemal na czworakach, wybiega ze środka i dopada drzwi stojącego przy krawężniku samochodu. Kobieta stała jeszcze przed chwilę z otwartymi ustami, patrząc, jak biały mercedes nieśpiesznie odjeżdża sprzed gmachu lotniska, wywoząc trójkę szaleńców siedzących na podłodze samochodu.

Tymczasem dwadzieścia metrów dalej, na podjazd przed halą przylotów wjechał policyjny samochód i zatrzymał się przed samymi drzwiami.

– Czy to ma związek z policją? – Ojciec Igora spojrzał na syna dziwnym wzrokiem.

– Co? – Igor oderwał wzrok od drogi i ściągnął brwi. – Policją? Jaką policją?

– Dzwonili do nas z policji. Pytali się o ciebie. Matka się zdenerwowała.

– Kiedy? – Igor przypomniał sobie, że Borola także wspominał o tym, iż policja o niego pytała.

– Wczoraj. Lepiej do nich zadzwoń albo idź na posterunek. Nie mówiłeś, że wyjeżdżasz do Londynu. – Ojciec spojrzał na Igora podejrzliwie.

– To była spontaniczna decyzja.

– A ci Anglicy? Kim oni są? – Ojciec wskazał oczami tylne siedzenie.

– To nie Anglicy. – Igor zmarszczył czoło. Czego ta policja mogła chcieć? Czy ciągle chodzi o tego ciecia z hotelu? Bo chyba nie odkryli włamania do prezydenta? – To znaczy tak, Johann jest Anglikiem. – Spojrzał z roztargnieniem na ojca.

Wyjął telefon i otworzył historię połączeń. Trzy nieznanne numery wczoraj i jakiś z początkowym numerem 91 dzisiaj rano. Ukrytych numerów nie odbierał z założenia, ten drugi wziął za telefon z budowy.

– Ja jestem ze Szczecina – odezwała się przysłuchująca się do tej pory

w milczeniu Paulina.

– Przepraszam panią. – Ojciec Igora uśmiechnął się do lusterka i spojrzał na Igora. – W porządku, nie chcesz mówić, o co chodzi, to nie mów, ale będziesz musiał coś wymyślić dla matki, bo ona tak łatwo nie ustąpi.

– No przecież miałem przyjechać na weekend, nie? – Igor przypomniał sobie z ulgą o zaproszeniu w sprawie szkoły w Dalewie. Westchnął w duchu, jednocześnie uświadamiając sobie, że chodziło także, a właściwie przede wszystkim, o jej dyrektorkę.

– No, powiedzmy, że to przejdzie. – Ojciec Igora uśmiechnął się półgębkiem. – Jeszcze tylko coś na temat policji i tego, z jakiego powodu musiałem na gwałt jechać po ciebie na lotnisko, i może twoja matka to kupi.

\*

– Jak to uciekli? – Bondar z wściekłością trzasnął drzwiami i wrócił za biurko. Nie dało się pracować, gdy bez przerwy ktoś tędy łąził i zaglądał. Musi się postarać o przeniesienie do jakiegoś innego pokoju.

Przez chwilę słuchał relacji Pileckiego.

– Zostawili samochód? Tak po prostu i zniknęli?

Miał już serdecznie dość tej sprawy. Był zavalony robotą, a śledztwa, które kręciły się w kółko, spadały mu na głowę i niszczyły poukładany terminarz. Poza tym kolejna niewyjaśniona sprawa to kolejny powód do odmowy podwyżki, którą zasłoni się szef.

Nie dało się ustalić, kim jest właściciel czarnego terenowego bmw z Berlina. Tablic z literką B i początkowymi cyframi 05 były dziesiątki. Może zresztą nie ma już go w kraju. Trzech facetów z oglądu kamery nikt nie pamiętał. Zresztą, kto miał pamiętać? Dotarcie do wszystkich osób z nagrania zajmie tygodnie. Kelnerzy nie mieli o niczym pojęcia.

Miał już także dość tego bezczelnego bufona Fleminga. Teoretycznie można przejrzeć kamery ochrony na lotnisku, ale zezwolenie na to pewnie dostaną za tydzień.

Dlaczego Fleming zostawił samochód? Zauważyli policję i uciekli taksówką? To by oznaczało, że ma coś na sumieniu i wpadł w panikę.

Do drzwi ktoś energicznie zastukał i po chwili stanęła w nich młoda

dziewczyna w cywilnym ubraniu. Miała jasne włosy związane w koński ogon, a zgrabne nogi okrywały ciasno opinające uda dżinsy. Jej mina mówiła, że niezależnie od tego, na jaki temat Bondar rozmawia przez telefon, jej sprawa jest ważniejsza.

Bondar zasłonił ręką słuchawkę i marszcząc czoło, spojrzał na dziewczynę.

– Mamy morderstwo. Szef twierdzi, że to twoja sprawa. Ekipa już pojechała. Będzie cholerne zamieszanie w mediach. – Dziewczyna wyrzuciła z siebie kilka krótkich zdań.

– Dobra, popytajcie na lotnisku, może dadzą wam zajrzeć do kamer przemysłowych bez tych cholernych oficjalnych papierów, muszę kończyć. – Bondar odłożył słuchawkę i spojrzał na policjantkę.

Żeby to jasny szlag trafił!

\*

Biały mercedes skręcił z głównej szosy w boczną brukowaną drogę, wysadzaną po obu stronach kasztanowcami. Przed zakrętem stała tablica z informacją: DALEWO 2,5 KM.

Po obu stronach ciągnęły się pola i łąki, na których czerwieniały dywany maków, a co jakiś czas, niczym wyspy na dwubarwnym, zielono-czerwonym morzu, stały grupy drzew, tworzące malutkie oazy.

– Ładna droga – mruknął Johann, obserwujący z tylnego siedzenia okolicę.

– Zaniedbana, jak wszystko na Pomorzu. – Ojciec Igora odezwał się po angielsku, patrząc w lusterko.

Johann uśmiechnął się melancholijnie. Przypomniawszy sobie, jak jego dziadek bolał nad zniszczeniami krajobrazu pomorskiego, dewastacją wsi, pałaców, folwarków, bezładną, bezmyślną budową bloków z wielkiej płyty w miejscowościach, które, dzięki tradycyjnej zabudowie z czerwonej cegły i drewnianej, ryglowej konstrukcji chat i kościołów, wyglądały niegdyś jak żywcem wyjęte z baśni braci Grimm.

– Rok temu gmina chciała wyciąć te drzewa pod pretekstem zapewnienia bezpieczeństwa kierowcom, ale jego matka... – ojciec Igora wskazał brodą syna – zrobiła takie piekło, że wójt pewnie do tej pory żałuje, że sam nie wyciął tych drzew piłą pod osłoną nocy.

Za kolejnym zakrętem ukazał się w oddali masyw starych drzew i prześwitujące spomiędzy zieleni jezioro. Samochód minął kilka niewielkich, ciągnących się wzdłuż drogi gospodarstw, przejechał obok małego kościółka, przed którym stała zapuszczona betonowa osłona przystanku autobusowego, i przejechał nad wąziutką strugą. Zaraz za nią, po lewej stronie drogi ciągnął się niski, kamienny, zniszczony mur, miejscami połatany siatką stalową. Wzdłuż drogi stał spory ceglany budynek, a zaraz za nim ukazała się wmontowana w stare kamienne ogrodzenie nowa murowana, pobielona, zwieńczona betonowymi białymi kulami, brama.

Samochód skręcił w bramę i wjechał na brukowany podjazd wiodący do stojącego w głębi parterowego domu. Prosta, wydłużona bryła budynku nakryta była dwuspadowym dachem. Przed wejściem znajdował się taras z szerokimi, spływającymi na dwie strony schodami, przed którymi rozrastały się przekwitające właśnie rododendrony. Po prawej stronie dziedzińca stał parterowy, kompletnie opleciony dzikim winem budynek gospodarczy, a w głębi za nim szumiały ogromne stare drzewa.

– Jakie piękne miejsce. – Paulina wysiadła z samochodu i rozejrzała się ciekawie wokół. – To jakiś stary folwark? To chyba dwór?

– Skądże. – Ojciec Igora uśmiechnął się, otwierając bagażnik. – Służbówka albo dom zarządcy. Dawniej było tu więcej budynków gospodarczych, ale rozebrał je PGR. Za domem jest jezioro, a tam stary park pałacowy. – Wskazał ręką na masyw szumiących drzew za domem i po jego prawej stronie. – Dzierżawimy go.

– Pałacowy? – Johann z zainteresowaniem spojrział na ojca Igora.

– Tak. Po pałacu zostały tylko fundamenty i schody frontowe. Niedawno je odsłoniliśmy. A sam dom tutaj był bardzo skromny, te cesarskie schody i dodatki to dzieło mojego syna. – Uśmiechnął się do Igora, a potem powiedział do Pauliny i Johanna: – Wejdźcie do domu i poszukajcie mojej żony. Zajmuje się właśnie gośćmi, którzy mieli nie przyjechać na weekend. – Ojciec Igora skrzywił się i podał torbę Paulinie.

– Następny królewicz – syknęła dyskretnie Paulina, przechodząc obok podnoszącego właśnie z ziemi swój bagaż Igora.

– Twoi rodzice prowadzą hotel? – Johann rozejrzał się ciekawie po wnętrzu kwadratowego hallu, w którym pod jedną ze ścian królowała wielka,

trzydrzwiowa szafa.

– Pensjonat, agroturystykę, coś w tym stylu. – Igor machnął ręką. – Kupili to miejsce dawno temu za grosze, a potem sprzedali dom w Szczecinie i przenieśli się tutaj na stałe. Matka marzy o odbudowie pałacu. – Uśmiechnął się. – Ale to nigdy nie będzie realne.

– Igor! Na miłość boską, wiesz, że szuka cię policja? – Od strony drzwi prowadzących do dużego pokoju na wprost wejścia rozległ się donośny kobiecy głos. – Mam nadzieję, że to nie jest jedyny powód, dla którego w końcu postanowiłeś się tutaj pojawić?

– Witam, mamó. – Igor podszedł do stojącej w progu szatynki o dalekich od aktualnych wzorów kształtach. – Jako że akurat wracaliśmy z Londynu, pomyślałem, że wpadnę z wizytą. To moi znajomi, Paulina i Johann.

– Bardzo mi miło, kochani. Jest pani pierwszą dziewczyną, która tu przyjechała od lat. I to się w dodatku nie liczy, bo razem z tym cudzoziemcem. – Anna Fleming zwróciła się do Pauliny, patrząc z zainteresowaniem na Johanna.

– Mamó... – Igor zmarszczył brwi.

– Ja nie wiem, co on ma przeciwko kobietom. Gejem nie jest, choć to modne ostatnio, ale jak się wyprowadzaliśmy ze Szczecina, to znalazłam tyle pism pornograficznych, że moglibyśmy w sumie żyć z ich sprzedaży do dzisiaj. No i biedna Dorotka pewnie by coś zauważyła.

– Mamó! – Igor podniósł głos, czując jednocześnie, że się zaczerwienił. Nieprawdopodobne, matka w dalszym ciągu potrafi go zawstydzić. Kątem oka zauważył kpiący uśmiezek Pauliny, która z rozbawieniem słuchała, jak matka go kompromituje.

– Przygotowałam dla państwa pokoje, na szczęście mamy niewielu gości, sezon się zacznie za jakieś dwa tygodnie. – Anna Fleming niewiele sobie robiła z protestów syna. – A w ogóle zaraz zadzwonię do pani Natalii, żeby wpadła do nas na podwieczorek, żebyście mogli porozmawiać. – Obrzuciła Igora spojrzeniem. – Na temat szkoły oczywiście.

Igor, z rezygnacją kręcąc głową, pochylił się nad swoją torbą, którą po wejściu do domu postawił pod nogami. To z całą pewnością nie był najlepszy moment, by oznajmić matce, że być może nie zostaną do podwieczorku.

– A co z tą policją, na miłość boską? – Pani Anna nagle sobie



przypomniała i odwróciła się do syna, wskazując na niego oskarżycielsko palcem. – Mówiłam, że z tym pożarem będą szukać winnego? Nie mówiłam?

– Mamo, policja prowadzi śledztwo w sprawie wypadku w hotelu i tyle. – Igor podniósł torbę z podłogi i wskazał ręką na boczne drzwi. – Idziemy na górę. Moi goście muszą się odświeżyć.

Najwyższy czas przerwać tę scenę, bo za chwilę będzie musiał się zapaść pod ziemię.

– Nie kiwaj się na tym krześle. – Anna Fleming postawiła talerz pełen wędlin przed Johannem i obrzuciła syna karcącym spojrzeniem. – Przecież jak się poślizgniesz, to wybijesz sobie oczy albo zęby nożem, a jeszcze oparcie obije ci żebra.

– Wizja jak z *Oszukać przeznaczenie* 15[34] – mruknął pod nosem Igor i przysunął krzesło bliżej stołu.

– Po co ty takie bzdurne filmy oglądasz? – Anna Fleming pokręciła głową.

– Też to oglądałaś, kochanie. – Ojciec Igora parsknął śmiechem, nie odwracając się od szafki, przy której nalewał sobie właśnie wody do kubka.

– Tak, ale z właściwym dystansem. – Matka Igora postawiła na stole dzbanek z kawą i obrzuciła krytycznym wzrokiem Johanna. – A twój kolega też jest taki szczupły, od razu widać, że jada tak jak ty w knajpach albo jakies byle co z mikrofalówki.

– Mamo... – Igor spojrzał na matkę ze zmarszczonymi brwiami.

Johann przestał przeżuwać i spojrzał niepewnie na Paulinę, która uśmiechnęła się do pani Anny i pochyliła ku niemu, żeby przetłumaczyć krytyczną uwagę na jego temat.

– Czyli pana rodzina pochodzi ze Szczecina, tak? – Ojciec Igora stanął przy stole i zwrócił się do Johanna po niemiecku.

– Mój dziadek ze strony matki miał majątek pod Norenbergiem – odpowiedział po niemiecku Johann.

– Znaczy pod Ińskiem? – spytała po polsku pani Anna, która знаła niemieckie nazwy okolicznych miast.

– *Exactly* – odparł Johann, który kojarzył niektóre z polskich nazw.

– Co on powiedział? – spytała pani Anna po polsku, spoglądając na

Paulinę.

– Dokładnie – przetłumaczyła Paulina.

Johann spojrzał pytająco na Igora, ten zaś wznosił oczy ku niebu, pokręcił głową i wbił zęby w kanapkę z szynką.

– Dzwoniłam do pani Natalii. – Pani Anna wzięła ze stołu dzbanek z kawą i naląła sobie do kubka. – Z przyjemnością wpadnie do nas po południu. To bardzo miła dziewczyna i bardzo ładna. Może przejdziecie się razem? – Na widok pytającego spojrzenia Igora dodała wyjaśniająco: – No, żeby omówić ten projekt remontu szkoły. My się w tym czasie zajmiemy twoimi znajomymi.

Spojrzała porozumiewawczo na męża, który pobłażliwie uśmiechnął się do Igora. Igor westchnął. Jak to możliwe, że w dalszym ciągu w tym domu czuje się jak nastolatek? Czy wszyscy rodzice są tacy sami?

– Mamo, nie chciałem mówić od razu, ale w rzeczywistości przyjechaliśmy z Johannem, żeby wam powiedzieć, że się pobieramy. – Uśmiechnął się słodko do matki.

– Oj, Igor. – Pani Anna pokręciła głową. – Zawsze te twoje głupie żarty. Poza tym Johann to taki przystojny młody człowiek. Byłaby wielka szkoda.

– Jak szkoda? – Igor spojrzał urażony na matkę. – Że niby szkoda go dla mnie?

Paulina schowała twarz w dłoniach.

– Oj, nie to miałam na myśli. Po prostu szkoda byłoby, bo to dzieci, rodzina.

– Nie przesadzaj, Anno, dzieci można kupić w Szwecji. – Ojciec Igora nie ukrywał, że świetnie się bawi. – A Johann to bardzo dobra partia.

Zainteresowany, któremu Paulina przetłumaczyła treść rozmowy, wyszczerzył zęby do Igora.

– O, popatrz. – Igor wskazał brodą na Johanna i spojrzał na matkę. – Widzisz, jak się cieszy? Wcale nie uważa, że go szkoda dla mnie.

– Igor, czy ty zawsze musisz wszystko sprowadzać do absurdów? – Pani Anna, kręcąc głową, zabrała ze stołu puste talerze i spojrzała na syna z dezaprobatą. – Człowiek chce normalnie, jak z człowiekiem porozmawiać, a ty zawsze robisz durnowate żarty. A ty też nie jesteś lepszy! – Szturchnęła

śmiejącego się męża, przechodząc w kierunku zlewozmywaka.

Igor westchnął i spojrzał na Paulinę. Jeśli tu zostaną, będzie musiał przebrnąć przez podwieczorek z tą biedną nauczycielką z miejscowej szkoły, która pewnie dokładnie się orientuje w zamiarach jego matki. Możliwe, że sama jest bardziej skrupowana niż on. Czas najwyższy skończyć to śniadanie.

## Rozdział 28

Igor, balansując ciałem, zamknął nogą drzwi biblioteki i objuczony tacą z trzema szklankami i talerzem z ciastkami, które przed chwilą wcisnęła mu matka, dotarł do stołu i postawił wszystko na drewnianym blacie. Nareszcie zostali sami.

– Będziecie musieli ich spróbować, trudno. – Spojrzał złośliwie na Paulinę.  
– Dbłość o linię jest w tym domu źle widziana.

– Mmm... pięknie pachną. – Johann wyciągnął głowę i sięgnął po puszyste ciastko polane białym lukrem. – Ja jakoś sobie z tym poradzę.

– Ja także – odpowiedziała Igorowi ze zjadliwym uśmiechem Paulina i także wyciągnęła rękę po efekt pracy pani Anny. – Na pewno nie zabraknie dla pani Natalii?

Igor spojrzał na nią pobłaźliwie.

– Pani Natalia zapewne sama wpadnie z domowymi wypiekami. W końcu musi się dobrze zaprezentować przed przyszłym mężem. – Johann uśmiechnął się do skrzywionego Igora i wgryzł się w mięciutki miąższ drożdżowego ciastka.

Za oknami huczał wiatr, chociaż pomiędzy chmurami co jakiś czas pobłyskiwało słońce. Wspaniała przez ostatnie tygodnie pogoda, zgodnie z zapowiedziami meteorologów, wyraźnie się jednak załamywała.

– Mnie matka też czasami, niby przypadkiem, przedstawia jakiejś lasce, ale na szczęście jest spoko. – Johann spojrzał ugodowo na Igora. – Niektóre mi się nawet podobają.

– Ależ z ciebie szowinista. – Paulina pokręciła głową.

– Żeby nie powiedzieć: męska szowinistyczna świnia – podsumował Igor, spoglądając na Paulinę i nalewając sobie soku z wielkiej szklanej karafki. – A właściwie dlaczego?

– „Niektóre mi się nawet podobają”. – Paulina wykrzywiła usta. – Co to za

tekst?

Johann parsknął śmiechem.

– Mój zegar biologiczny wskazuje jeszcze bardzo wczesną porę. Możliwe, że się spóźnia – dodał, patrząc na uśmiechającą się pod nosem Paulinę.

– No dobrze, żarty żartami, a jakie mamy plany? Nie możemy się tutaj ukrywać cały dzień. – Paulina wytarła ręce w chusteczkę i odłożyła ją na skraj talerzyka.

Igor westchnął.

– Może powinniśmy zadzwonić na policję? – Spojrzała na niego pytająco.

– Powiedzą, że mamy przyjechać do Szczecina i zgłosić się do nich na rozmowę. Tak czy siak, musimy tam dotrzeć, ale naprawdę nie wiem, co sądzić o tych bandziorach. Jeśli wiedzieli, że wracamy, i czekali na nas na lotnisku, to pewnie obserwują teraz nasze domy.

– Znowu mówicie po polsku. – Johann odstawił talerzyk na stół i spojrzał na Igora i Paulinę z wyrzutem.

– Zastanawiamy się, co mamy robić. – Igor wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie będą nas śledzić w mieście. Tylko z drugiej strony, co oni mogą nam zrobić?

– Na przykład zabić? – Paulina spojrzała na Igora, unosząc brwi. – Wywiozą nas gdzieś i po kłopotcie. Wiadomo, czego chcą, wyciągnąć od nas ten list Barnima, a teraz i obraz, skoro podsłuchali naszą rozmowę u ciebie.

– No właśnie. Skoro podsłuchali naszą rozmowę, to list Barnima nie jest im już do niczego potrzebny. A obrazu nie mamy, pewnie też zauważyli.

– Ale mamy ciągle to. – Johann wskazał na leżący pomiędzy nimi na stole pendrive. – Ten obraz musi coś znaczyć, musi kryć jeszcze jakąś informację, skoro mój dziadek tak go pieczołowicie ukrywał.

– Oglądaliśmy go dokładnie. Był prześwietlany. Nie ma na nim żadnych informacji, poza tym zamalowanym renesansowym zydłem, na którym siedziała wcześniej Sydonia.

– Więc coś nam umknęło albo czegoś nie potrafimy zinterpretować. – Paulina wzruszyła ramionami.

– Dobrze, to spróbujemy poukładać sobie to wszystko, co wiemy.

– Przede wszystkim nie wiemy w ogóle, o co chodzi. – Johann roześmiał

się i sięgnął po następne ciastko. – Są pyszne – dodał, widząc spojrzenie Pauliny, która omiotła wzrokiem jego szczupłą sylwetkę.

– Właśnie. – Igor pokiwał głową. – Nie wiemy, czego szukamy, i nie mamy pojęcia, co się za tym kryje. Więc spróbujmy to poukładać, a potem wam powiem, jaką mam teorię.

– Masz jakąś teorię? – Paulina zmarszczyła brwi. – Od kiedy?

– Powoli, bez nerwów. – Igor wyciągnął z torby laptopa i postawił na stole. – W lochach w centrum miasta odnajdują się niespodziewanie zwłoki uznanego pod koniec wojny za zaginionego Barnima von Ramina, wraz z tak samo uznanym za zaginiony sarkofagiem, który okazuje się sarkofagiem Barnima Dziewiątego... – Igor podniósł palec i kontynuował: – Ramin jest przedstawicielem jednego z najstarszych pomorskich rodów, który od średniowiecza związany był z rodziną książęcą. Zostawia list, najprawdopodobniej adresowany do członków loży masońskiej, do której sam należał. W liście jest umieszczona wskazówka dotycząca obrazu Sydonii.

Igor sięgnął po pendrive z logo National Gallery i wsadził go do jednego z portów laptopa.

– Jednocześnie okazuje się, że obraz od czasów wojny ukrywany był przez dziadka Johanna, przyjaciela Barnima, także członka szczecińskiej loży i także potomka starej, tutejszej rodziny, który w dodatku zostawia po sobie opowieść na temat jakiejś legendarnej tajemnicy, sięgającej najdawniejszych czasów księstwa.

Igor przerwał i otworzył jeden z katalogów, w którym znajdowało się kilka plików graficznych.

– Wedle legendy, Wielka Tajemnica trafiła do Szczecina za sprawą jakichś przybyszów, rycerzy, którzy przekazali ją pomorskiemu księciu Barnimowi, a ten z kolei jednemu ze swoich trzech synów. Syn ten wkrótce potem zginął, zamordowany przez chcących mu wydrzeć tajemnicę, zazdrosnych braci.

Igor ponownie przerwał i popatrzył na słuchających uważnie Paulinę i Johanna.

– Okazuje się, że legenda dziadka może być całkiem dobrze udokumentowana historycznie. Młodszym synem mógł być książę Barnim Drugi, zamordowany według legendy przez zazdrosnego rycerza Vidantego.

Jednak udział tego rycerza w zabójstwie, jak wynika z przekazów i zachowanych dokumentów historycznych, jest niejasny i wątpliwy. Vidante bowiem po śmierci księcia dalej służył na dworze szczecińskim, a w dodatku krzyż pokutny wystawił najmłodszy z książąt, mimo że według ówczesnego prawa było to obowiązkiem mordercy. – Igor przerwał i przejechał palcem po klawiaturze. – Ale zatrzymajmy się na postaci ojca trzech braci. Barnim z legendy twojego dziadka... – Igor podniósł brwi i spojrzał na Johanna – to w takim razie Barnim Pierwszy Dobry, jeden z bardziej świątłych i zasłużonych książąt zachodniopomorskich. Zapisał się w historii Pomorza jako doskonały włodarz, który przez cały okres swoich rządów starał się umocnić kraj gospodarczo. Sprowadzał na ziemie księstwa kolonistów z bardziej rozwiniętych gospodarczo Niemiec i Danii, przekazywał wielkie połacie ziemi klasztorom...

– Co w krótkim czasie zaowocowało wynarodowieniem Pomorza i germanizacją – wtrąciła Paulina, uśmiechając się ironicznie.

– To prawda. – Igor pokiwał głową. – Ale wówczas nie było żadnych alternatyw. Celem Barnima było unowocześnienie kraju i stworzenie czegoś na kształt dzisiejszej „klasy średniej”, która jednocześnie zapewniłaby skuteczną obronę granic księstwa. Spełniały tę funkcję klasztory, które wówczas były gwarantem rozwoju gospodarczego, nowoczesnej techniki i rozwoju rolnictwa. Sprowadzanie kolonistów z Niemiec i Danii miało dokładnie ten sam cel. Niestety, sprowadzanie klasztorów na ziemie pomorskie szybko wyszło księciu bokiem.

– Dlaczego? – Johann spojrzał na Igora z zainteresowaniem.

– Barnim miał nieustające kłopoty z Brandenburgią, która usiłowała rozciągnąć swoje zwierzchnictwo na całe Pomorze. Zarówno joannicy, jak i cystersi, którzy zawdzięczali księciu ogromne nadania ziemskie i przywileje, zdradzili go, opowiadając się po stronie Brandenburczyków, a gdy Barnim chciał położyć temu tamę i zdecydował się odebrać nadane zdrajcom dobra, został obłożony w tysiąc dwieście sześćdziesiątym dziewiątym roku klątwą papieską.

– Bandyci! – Paulina pokręciła głową.

– To się zresztą powtarzało za każdym razem, gdy wybuchały spory z Brandenburczykami. Kościół zawsze stawał po stronie Niemców, a gdy któryś z książąt usiłował się temu sprzeciwić, był obkładany klątwą.

Wracając jednak do Barnima Pierwszego...

– A co z tą twoją teorią? – przypomniała Paulina.

– Zaraz, po kolei. Wracając do Barnima. Samodzielne rządy zaczęły sprawować od roku tysiąc dwieście dwudziestego siódmego, mając siedemnaście lat. Początkowo oczywiście, po śmierci Bogusława Drugiego, władała jego matka, regentka, natomiast młodość Barnima związana jest z pewną tajemnicą, o której nie piszą oficjalne źródła.

– Jaką tajemnicą? – Paulina zrobiła zniecierpliwioną minę. – Nie mógłbyś przejść do sedna i wyłożyć nam tej swojej teorii, zamiast prowadzić wykład z historii Pomorza?

Igor westchnął i pokręcił głową.

– Wiele różnych faktów wskazuje na to, że Barnim był w czasach młodości opętany ideami, które wówczas w całej Europie łączyły bardzo wielu młodych ludzi jego stanu. Wielu z nich oddałoby pewnie wszystko, żeby móc wstąpić do pewnego zakonu. Było to prawdopodobnie spełnieniem marzeń każdego młodego chłopaka, który uczył się wymachiwać toporem. Chodzi oczywiście o wstąpienie do Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, czyli...

Paulina pochyliła głowę i schowała twarz w dłoniach.

– Tego się właśnie obawiałam – mruknęła po polsku spomiędzy palców.

– O co chodzi? Co ona powiedziała? – Johann otworzył szeroko oczy i patrzył to na Paulinę, to na Igora.

– Jeszcze nie skończyłem, a ty już krytykujesz. – Igor rzucił Paulinie poirytowane spojrzenie.

– Wiem, do czego zmierzasz. – Paulina wzruszyła ramionami. – Do templariuszy. Już nic bardziej oryginalnego nie zdołałeś wymyślić? I to jest ta twoja teoria?

– Przestańcie mówić po polsku, *God damn it!* – Johann spojrzał urażonym wzrokiem na Paulinę. – O czym wy mówicie? Dowiem się?

– Igor wymyślił genialną teorię na temat tego, o co tu chodzi. – Paulina zrobiła nieokreślony ruch ręką wokół siebie i spojrzała porozumiewawczo na Johanna. – Skarb templariuszy!

Johann otworzył szeroko oczy i parsknął śmiechem.



– Przecież w Szczecinie nigdy nie było templariuszy!

Paulina popatrzyła na Igora i postukała się palcem w czoło.

– Poza tym skarb templariuszy w Szczecinie? – ironizowała. – Czy ty nie słyszysz, jak to absurdalnie brzmi? Gdzie niby miałyby być ukryty? Może pod tymi bloczydłami na dole Wyszyńskiego albo pod szaletem miejskim na Bramie Portowej? Chociaż to akurat świetnie by tłumaczyło ukrycie ciężarówki w sąsiedztwie – dodała kpiąco.

Igor gniewnie ściągnął brwi i spojrzał na nią z niechęcią.

– Tak się przyzwyczaiłaś do bylejakości tego miasta, do tych pokolorowanych na różowo bloków, a nie pamiętasz, że to my jesteśmy temu winni. To my zrobiliśmy z tego miasta blokowisko, my rozebraliśmy teatr, stare miasto, to my odsunęliśmy Szczecin od rzeki. To my żyjemy tu, nie wiedząc nic o jego byłych mieszkańcach, nie znając jego historii i uważając sami siebie za prowincję, za jakieś byle jakie miejsce, w którym nic się nie może zdarzyć. A przecież to nie jest byle jakie miejsce. Tutaj urodziła się caryca Katarzyna Wielka, tutaj urodziła się caryca Maria Piotrowna, tutaj powstawały największe transatlantyki. To w tym mieście odbywały się pierwsze loty braci Wright, to tutaj lądował Hindenburg. Mamy najstarsze na świecie kino. To miasto jeszcze przed wojną uchodziło za jedno z najpiękniejszych w północnej Europie. Dlaczego nie miałyby wydarzyć się tutaj nic ekscytującego? To nie Szczecin jest byle jaki, tylko my, jego aktualni mieszkańcy!

Na chwilę zapadła cisza. Igor pochylił się nad swoim laptopem.

Spojrzał bokiem na milczącą Paulinę. Chyba przesadził z tym wzburzonym tonem.

– W zasadzie nie interesują mnie żadni templariusze. O wiele bardziej mnie kręci, że ta historia pozwala nam powiązać jakieś nitki, które jeszcze do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku łączyły dwudziesty wiek z trzynastym. To jest o wiele ciekawsze niż jakiś wyimaginowany pewnie skarb.

Paulina milczała, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Ma rację, pomyślała. Przypomniało jej się określenie, którym nie tak dawno zauroczył ją Johann.

– Stolica zaginionego księstwa – powiedziała cicho, jakby do siebie.

Igor podniósł głowę.

– Słucham?

Spojrzała na niego zamyślonym wzrokiem.

– Nie, nic, nic, tak coś do siebie powiedziałam.

Igor ugodowo pokiwał głową. Przez chwilę panowało milczenie.

– Słuchajcie, jeśli teraz nie przetłumaczycie mi tego, o czym przed chwilą tak perorowaliście, to rozwalę komuś tę tacę z ciastkami na głowie. – Johann spojrzał groźnie na Igora.

Paulina wzniosła oczy ku niebu.

– Jak dla mnie, możesz to zrobić w każdej chwili. – Uśmiechnęła się do Igora słodko, po czym przetłumaczyła Johannowi treść rozmowy.

Igor pokręcił głową i pochylił się nad laptopem. Otworzył mały plik graficzny, po czym obrócił laptopa w kierunku Pauliny i Johanna.



Na monitorze ukazana była grafika w formie koła, w której środku znajdował się rycerz na koniu, trzymający chorągiew i tarczę z pomorskim gryfem. Dookoła biegł napis po łacinie.

– To pieczęć Barnima Pierwszego z tysiąc dwieście trzydziestego czwartego roku. Rok później Barnim sprowadził na Pomorze templariuszy i nadał im ogromne włości po wschodniej stronie Odry, zwolnił ich z wszystkich ceł i obciążeń, a nawet zrezygnował ze swoich książęcych uprawnień na przekazanych terenach. W zamian za to zobowiązał ich do udziału we wszystkich zbrojnych wyprawach oraz do zasiadania w radzie książęcej. Sam był częstym gościem na dworach zakonu, który dzięki jego protektoratowi stał się w krótkim czasie potęgą gospodarczą na ziemiach księstwa. – Igor spojrzął na Paulinę i Johanna i wzruszył ramionami. – Prawdopodobnie książę miał po prostu wielką ochotę porzucić koronę i wstąpić do zakonu. Bardzo długo był kawalerem, ożenił się w końcu dopiero w trzydziestym ósmym roku, prawdopodobnie pod naciskiem matki, ze szwedzką księżniczką Marianną, ale jego związki z zakonem nie ustały i w dalszym ciągu był najczęstszym gościem na dworach templariuszy w Rurce, Chwarszczanach czy w Tempelhofie.

Paulina wpatrywała się w pieczęć Barnima I z powątpiewającym wyrazem twarzy.

– Czyli według ciebie ci tajemniczy biali rycerze z opowieści dziadka to templariusze?

– Na to wychodzi. – Igor wzruszył ramionami. – A teraz popatrzcie na tę pieczęć. Nic się wam nie rzuca w oczy?

Johann pochylił się nad monitorem. Paulina założyła ręce na piersi i pokręciła głową.

Igor postukał palcem w dół ekranu, wskazując malutki rysunek między przednimi a tylnymi nogami konia.

– To jest wizerunek świątyni Salomona, dokładnie taki, jaki znajduje się na pieczęciach templariuszy.

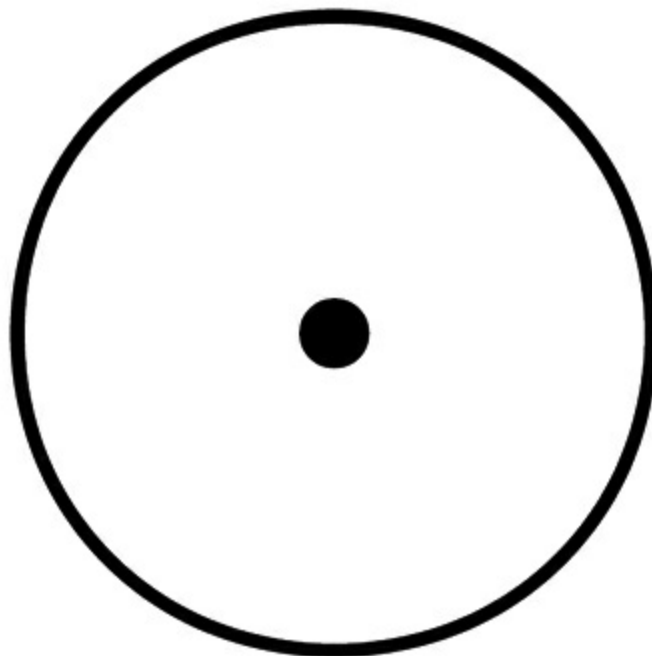
– Zaraz... przecież na pieczęci templariuszy są dwaj jeźdźcy na jednym koniu. – Paulina zmarszczyła brwi.

– Ta, o której mówisz, jest najbardziej znana ze względu na kontrowersyjne teorie co do jej znaczenia. Według oficjalnych wersji, miała symbolizować ubóstwo zakonu, później stała się podstawą oskarżeń o sodomie. – Igor jeszcze raz wskazał palcem małą ikonkę na ekranie. – Ta natomiast w rzeczywistości była najczęściej używaną. Przedstawia wizerunek świątyni Salomona, paradoksalnie jednak – był to tak naprawdę meczet

Koubbet el Sakra, wybudowany w miejscu zburzonej prawdziwej świątyni. Po zdobyciu Jerozolimy ta budowla była powszechnie kojarzona ze świątynią Salomona.

– Fakt, są identyczne – mruknął Johann pochylony nad ekranem swojego telefonu. Paulina spojrzała mu przez ramię, a następnie ponownie pochyliła się nad laptopem.

– A teraz spójrzcie tutaj. – Igor wskazał palcem małe kółko z punktem w środku, usytuowane tuż nad zadem konia.



– To małe kółeczko jest jednym z najstarszych wizerunków symbolizujących słońce lub władzę. – Igor uśmiechnął się pod nosem, patrząc na Paulinę. – To także stary symbol oznaczający bogactwo lub złoto – dodał po chwili.

\*

Mapa miała jakieś czterdzieści na pięćdziesiąt centymetrów, wykonana na pergaminie, dawniej zachwycająca bogactwem kolorów i fragmentami pokrytymi prawdziwym złotem, teraz była spatynowana i przyblakła. Przywodziła na myśl stare dokumenty, wykonywane ręcznie, nierzadko

latami, przez sumiennych skrybów w niedostępnych klasztorach. Miała magiczną siłę zakrzywania czasoprzestrzeni, tak jakby wpatrując się w nią, można było na chwilę przenieść się w czasie i dostrzec przeszłość, z której się wyłoniła.

Parsov, trzymający się mocno teraźniejszości, wpatrywał się w nią z zachwytem, zastanawiając się, ile może być warta.

– Całość składała się z dwudziestu sześciu map. To jest zaledwie jedna strona – powiedział Hans, nie odrywając wzroku od dokumentu. – Jeśli to jednak oryginał, to i tak jest wart bardzo dużo.

– Ta mapa różni się od tych z początku piętnastego wieku z Włoch. – Parsov pokręcił głową. – Może to jakaś kopia późniejsza? Albo starsza?

– Nie odnaleziono żadnej starszej – powiedział Hans. Podniósł wzrok i spojrzał przeciągle na Parsova. – Gdyby się okazało, że ta mapa pochodzi ze średniowiecza, to byłaby jedynym egzemplarzem na świecie.

\*

– Ale tylko oglądacie i koniec? – Potężnie zbudowany młody brunet w marynarce ochrony lotniska spojrzał na Pileckiego. – Jak będziecie chcieli dostać te taśmy czy coś, to załatwiacie oficjalną drogą z władzami lotniska.

– Jasne, Marek, spoko. – Pilecki uśmiechnął się i poklepał kolegę po ramieniu. – Na szczęście sobie przypomniałem, że tutaj pracujesz.

– I najlepiej, jakby nikt się o tym nie dowiedział. Moi szefowie prawdopodobnie nie byliby zachwyceni, że pokazuję ci te nagrania.

– Oficjalnie występujemy w poniedziałek, a to, co teraz zobaczę, to wyłącznie między nami. Obiecuję, nie pękaj.

Brunet pokiwał głową, po czym pochylił się nad klawiaturą i po chwili na jednym z monitorów ukazał się obraz sprzed dwóch godzin.

– To trochę za wcześnie, jeszcze samolot nie wylądował. Przewiń. – Pilecki zrobił krok w kierunku stołu, na którym wisiała kolekcja monitorów.

Obraz na ekranie przyśpieszył, na moment zlał się w jaskrawą płaszczyznę migoczących pikseli. Ochroniarz zatrzymał obraz i na monitorze ukazała się ponownie hala przylotów.

– Są! – Pilecki wskazał palcem dwóch mężczyzn i kobietę z czerwoną

torbą na kółkach. – To oni! Przewiń powoli, zobaczymy, gdzie zniknęli.

– Przechodzą do hali odlotów. Muszę zmienić kamerę. – Brunet pochylił się nad klawiaturą, a na ekranie pokazało się okno funkcyjne systemu ochrony.

– Są! – po raz drugi krzyknął Pilecki, pokazując brodą trzy podejrzone osoby. W przyspieszonym tempie przewinęli nagranie do momentu, w którym do hali wszedł wysoki mężczyzna.

Pilecki z rosnącym niedowierzaniem obejrzał następnie, jak całe towarzystwo odjeżdża sprzed samych wrót hali odlotów, a wcześniej trójka podejrzanych na czworakach pokonuje drogę między automatycznymi drzwiami a starym mercedesem.

– Co to kurwa jest?! – Potarł czoło. – Co oni robią?

– Wyglądają, jakby się przed kimś chowali. – Brunet odwrócił głowę do kolegi. – Chyba przed wami, nie?

Pilecki spojrział na wyświetlacz w rogu monitora.

Nie przed nimi! Doskonale pamiętał. Stali u wylotu parkingu, obserwując toyotę i wyjście z hali przylotów. Fleming nie mógł ich widzieć ze środka. Dopiero gdy minęło jakieś pół godziny od lądowania, podjechali pod samą halę, a Karkoszko wszedł do środka, żeby się rozejrzeć.

– Możesz pokazać jakiś widok na teren przed budynkiem?

Brunet ponownie wywołał panel sterowania kamerami i po chwili na monitorze ukazał się widok na parking oraz fragment podjazdu przed halą.

Pilecki pochylił się nad monitorem, przyglądając się ławicy samochodów, obok których kręcili się ludzie z walizkami i torbami na kółkach. W pierwszym rzędzie aut kobieta z młodym chłopakiem w wieku licealnym pakowali do środka octavii wielką czarną torbę. Kilka samochodów dalej starsza pani wysiadała właśnie ze starego passata. W trzecim rzędzie o drzwi niebieskiego vana opierał się jakiś gruby typ. Tuż obok stało czarne terenowe bmw.

Pilecki drgnął.

Samochód miał berlińskie tablice rejestracyjne. BC 0520.

W bibliotece przez dłuższą chwilę panowała cisza. Johann i Paulina wpatrywali się w starą pieczęć Barnima I, usiłując przetrwać usłyszane przed chwilą informacje.

Paulina miała pustkę w głowie. Przeczytała oczywiście mnóstwo książek na temat templariuszy, obejrzała różne programy dokumentalne na Discovery, wielokrotnie brała udział w rozmaitych rozmowach na ten temat, ale wszystko to miało jedną cechę wspólną, działo się gdzieś daleko stąd. W Jerozolimie, na południu Francji, w krainie katarów, wymordowanych w pień przez Kościół, najpierw w trakcie wypraw krzyżowych, a później w wyniku działania Inkwizycji, w tajemniczej kaplicy Rosslyn w Szkocji, a nawet na bezludnej wyspie u wybrzeży Nowej Szkocji[35].

Ale przecież nie tutaj.

Znała oczywiście Chwarszczany, oglądała odnowioną niedawno kaplicę w Rurce, zetknęła się też z miejscowymi legendami o jakichś skarbach tam ukrytych, ale zawsze traktowała to jako wyraz miejscowych kompleksów, przejaw poszukiwania miejsca w wielkiej historii przez małą prowincję. Wpatrywała się teraz w małe okrągłe punkty na ekranie laptopa, usiłując jakoś zracjonalizować to, co mogło się za tym kryć.

– No dobrze, a jaka jest oficjalna wersja tłumacząca te rysunki w pieczęci Barnima? Musi być jakaś, jeśli to prawdziwa zachowana pieczęć.

Igor parsknął.

– Oczywiście. Najczęściej powtarzana hipoteza mówi o tym, że te wizerunki przedstawiają pierścień oraz typową dla miast pomorskich wieżę obronną.

– I co, nie mogło tak być? – Paulina pochyliła się ponownie nad małym rysunkiem przedstawiającym tajemniczy budynek. W duchu jednak wiedziała, że to wyjaśnienie brzmi jeszcze bardziej absurdalnie niż hipotezy na temat skarbu templariuszy.

– Gdyby na Pomorzu były takie wieże obronne jak ta tutaj, to prawdopodobnie nosiłabyś dzisiaj kwef. – Igor uśmiechnął się kpiąco.

– Więc twoja hipoteza mówi o tym, że tajemniczy rycerze z opowieści dziadka Johanna to templariusze, którzy zdradzili Barnimowi jakąś tajemnicę, i w formie legend przetrwała ona do dzisiaj.

– Mniej więcej. – Igor wzruszył ramionami.

– Dlaczego w takim razie nikt się potem do tego nie dobrał? Nie szukał nawet? – zapytał Johann, oderwawszy wzrok od monitora.

– Ależ możliwe, że szukał. – Igor pokiwał głową. – Po śmierci Barnima Pierwszego w tysiąc dwieście siedemdziesiątym ósmym roku księstwem władał jego najstarszy syn Bogusław Czwarty, który wielokrotnie wdawał się w spory z templariuszami. W tysiąc dwieście osiemdziesiątym czwartym roku wojna z Brandenburczykami zakończyła się traktatem pokojowym, w którym Bogusław zobowiązał się między innymi do tego, że nie będzie prześladował templariuszy. Nie dotrzymał słowa, krótko potem najeżdżając dobra zakonu i wypędzając ich z Pomorza.

– Notabene – Igor uśmiechnął się do Johanna – Bogusław także został obłożony klątwą, na skutek której templariusze wkrótce wrócili na swoje ziemie. Potem natomiast zamordowany został Barnim Drugi, być może przy udziale braci, Bogusława Czwartego i Ottona Drugiego.

I być może wtedy tajemnica przepadła.

– No dobrze, pomijając na chwilę absurdalność takich wywodów, załóżmy, że skarb templariuszy istnieje. – Paulina zmarszczyła brwi i spojrzała na Igora. – Jakie jest w ogóle prawdopodobieństwo tego, że ukryty został na północy Europy? Przecież nikt nigdzie nie postawił nawet takiej hipotezy.

– Postawił pośrednio. – Igor sięgnął po jedno z ostatnich ciastek i ugryzł spory kawałek. – Templariusze po upadku Królestwa Jerozolimskiego w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym pierwszym roku podobno rozważali ewentualność, żeby umocnić się na północy. Prawdopodobnie dobrze wiedzieli, że ich notowania na południu znacznie się wówczas pogorszyły.

– Załóżmy zatem – włączył się do rozmowy Johann – że Barnim Pierwszy rzeczywiście miał jakąś wielką tajemnicę, skarb lub cokolwiek innego, o czym wiedzę przekazali mu templariusze. Co było dalej?

Igor przysunął do siebie laptopa i zaczął przeglądać pliki w otwartym katalogu.

– Zakładając więc, że kolejne wydarzenia w legendzie twojego dziadka są prawdziwe, to na scenę w tym momencie wchodzi Barnim Dziewiąty. Według opowieści, cała ta tajemnica, czymkolwiek ona była, na około dwieście lat zaginęła i wyszła na jaw dopiero za tego Barnima. Przede wszystkim należy się zastanowić, co mogło to spowodować. – Igor spojrzał



przelotnie na zamyśloną Paulinę.

– Reformacja! – wykrzyknął zaaferowany Johann. – W ręce Barnima Dziewiątego dostały się nie tylko nieruchomości Kościoła i klasztorów, ale możliwe, że i dokumenty, i jakieś listy, cokolwiek.

Igor podniósł brwi i pokiwał głową z uśmiechem.

– Właśnie! – rzekł do Johanna z uznaniem. – Barnim Dziewiąty przejął większość mienia Kościoła. To wówczas zostały przekształcone na rezydencje: pocysterski Kołbacz, Grabowo po kartuzach, Jasienica po augustianach. Marianowo wtedy właśnie stało się przytułkiem dla niezamożnych szlachcianek. W Szczecinie zabudowania klasztoru cysterek przeznaczono decyzją księcia na arsenał, w klasztorze franciszkanów przy kościele św. Jana natomiast urządzono przytułek. Możliwe, że podczas jakichś prac, inwentaryzacji dóbr, trafiono na ślad starej historii, jakieś zapiski lub dokumenty.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Johann wstał, obszedł stół i stanął za plecami Igora, patrząc w ekran laptopa.

– Dobrze – rzucił, opierając się o krzesło. – Co dalej? Barnim znajduje to coś i co się dzieje dalej? Skąd wziął się nagle w tym wszystkim obraz Sydonii i do tego masoni?

– No i jest jeszcze sarkofag, który też z jakichś niepojętych powodów Ramin chciał ocalić – dodała Paulina.

– Tak więc obraz musi kryć w sobie jakąś tajemnicę, której nie zauważyliśmy. Możliwe, że Barnim Dziewiąty ukrył tam ważne według siebie wskazówki. – Igor spojrzał na Paulinę, pocierając czoło.

– Ale Barnim Dziewiąty nie miał nic wspólnego z tym obrazem – zauważyła Paulina, patrząc na niego bez przekonania.

– A jeśli miał? Jeśli obraz trafił do Szczecina dzięki niemu? Przecież obaj Cranachowie pracowali dla szczecińskiego dworu. Dzieje obrazu są nieznane, wiadomo tylko, że mógł rzeczywiście znajdować się w książęcej kolekcji malarstwa, zanim nie trafił, подарowany lub sprzedany, na jakiś pomorski zamek lub dwór. Być może zawierał coś, co jego późniejszych właścicieli naprowadziło na ślad tej tajemnicy? Może stało się to za czasów Borcków? Historia obrazu wspomina o tym, że znalazł się on w posiadaniu rodziny w niejasnych okolicznościach, przywieziony z majątku von Mellinów

w Moczyłach. Może to wtedy właśnie nastąpiło? Jeden z Borcków odkrył tajemnicę obrazu i zabrał go ze sobą, może odkupił, może nawet ukradł.

– A sarkofag? Zdaje się, że nie był dostępny przez setki lat, zamurowany w kościele Mariackim? – Paulina podniosła wzrok na Igora.

– Zgadza się. Po wymarciu książąt zaczęły krążyć legendy o niezwykłych skarbach ukrytych w krypcie Gryfitów. Może były one pokłosiem tej historii? Kilka razy otwierano kryptę i w końcu w tysiąc osiemset czwartym roku została ograbiona przez Niemców. Tymczasem sarkofag Barnima Dziewiątego spokojnie leżał w kościele Mariackim aż do roku tysiąc osiemset trzydziestego, gdy przeniesiono go do krypty.

– A w międzyczasie na trop tajemnicy wpadła szczecińska loża masońska. Być może dzięki właśnie Borckom. Możliwe też, że Raminowie mieli w tym udział, w końcu jeden z ich przodków był kanclerzem Barnima Dziewiątego – dodała Paulina.

– Właśnie. – Igor pokiwał głową. – Możliwe więc, że kolejne otwarcie krypty w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku, które miało teoretycznie charakter naukowo-badawczy, zostało zaaranżowane przez niezwykle już wtedy wpływowych w Szczecinie masonów. Te tak zwane badania były potem wielokrotnie krytykowane za niestaranne i mało profesjonalne podejście. Może właśnie dlatego były niestaranne, że miały jeden konkretny cel?

Johann oderwał wzrok od okna, w które od dłuższej chwili w zamyśleniu intensywnie się wpatrywał, i spojrzał na Igora.

– Zaraz, właśnie w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku przecież wydano historię loży, która była kluczem do szyfru z listu Ramina.

– Tak jest! – Igor uśmiechnął się, kiwając głową. – Prawdopodobnie to nie był przypadek.

– Ale co mogło kryć się w sarkofagu?

– Może Barnim zabrał ze sobą coś, co miało znaczenie? – Paulina spojrzała niepewnie na Igora.

– Zabrał? – Johann zmarszczył brwi.

– No, w tym sensie, że został pochowany z czymś istotnym. Może jakaś biżuteria, jakiś pierścień z ukrytym skrawkiem mapy.

– W takim razie byłby to koniec zabawy. – Igor pokręcił głową. –

Pozostałości Barnima są właśnie teraz drobiazgowo badane. Jeśli podczas prac przy biżuterii konserwatorzy na coś takiego się natkną, to dowiemy się o tym z gazet.

– Pokaż mi jeszcze te pliki z National Gallery, chcę obejrzeć komputerowe wizualizacje obrazu w podczerwieni. – Johann pochylił się nad Igorem.

Ten otworzył katalog na pendrivie, w którym było kilkanaście różnych plików.

Johann sięgnął po laptopa, a następnie usiadł z drugiej strony stołu i zaczął przeglądać zdjęcia obrazu Cranacha.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy o skarbie templariuszy. Mów sobie, co chcesz, ale to brzmi groteskowo. – Paulina pokręciła głową, patrząc na Igora.

– A podobno jesteś dziennikarką. – Igor uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Powinnaś mieć bardziej otwarty umysł.

– Gdybym miała umysł otwarty w taki sposób, to musiałabym pracować dla portalu *Niewiarygodne*. – Uśmiechnęła się ironicznie. – W tej twojej teorii brakuje jeszcze tylko rewelacji na temat Marii Magdaleny.

Igor spojrział dziwnym wzrokiem na Paulinę, po czym wstał od stołu i podszedł do jednej z szaf, w których ciągnęły się metry bieżące książek. Przejechał palcem po grzbietach różnych albumów i wyjął jeden w ciemnych okładkach. Przewertował kartki i zatrzymał się mniej więcej w środku.

Wrócił do stołu i położył album przed Pauliną.

Na otwartej stronie ukazany był obraz przedstawiający scenę z Nowego Testamentu. Napis pod spodem głosił: Gabriel Glockendon, *Złożenie do grobu*.



Paulina zmarszczyła brwi.

– Co to jest? – spytała, patrząc podejrzliwie na Igora.

– Przypatrz się dobrze tej scenie. – Igor usiadł, położył łokcie na stole i oparł na nich głowę.

Obraz miał kształt wydłużonego prostokąta. Na tle skał przedstawiona była grupa ludzi, stojących wokół kamiennego sarkofagu, do którego wkładano właśnie ciało Chrystusa. Na pierwszym planie mężczyzna w czerwonej szacie podtrzymywał bezwładne ciało. Po drugiej stronie natomiast zwracały uwagę dwie kobiety w charakterystycznych pozach. Pierwsza z nich, starsza, w ciemnych szatach, pochylała się nad stojącym u jej stóp dużym kielichem. Druga, młoda, z długimi włosami, w bogatej żółtej sukni z odważnym dekoltem, załamywała ręce w geście rozpacz. Na drugim planie, za plecami młodej kobiety, leżała pod skalną ścianą drewniana konstrukcja przykryta białą tkaniną z czerwonym krzyżem.

– To scena złożenia do grobu. Dwie kobiety obok trumny to pewnie Maria, matka Chrystusa, a ta młodsza to Maria Magdalena? – Paulina podniosła wzrok na Igora. – Ale o czym to niby świadczy?

– Zobacz, po co sięga Maria? I co leży za nimi na jakimś stelażu?

Paulina powoli przeniosła wzrok na reprodukcję obrazu i po chwili szeroko otworzyła oczy.

– Niemożliwe... – Pokręciła głową. – To chyba żart?

Johann podniósł wzrok znad laptopa i zająrzył do albumu.

– Jakiś pastisz? Kiedy to namalowano? – Paulina przewróciła kartę, usiłując dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym malowidle. Zaraz, XVI wiek? To niemożliwe! Skąd jest ten obraz?

Johann wstał i stanął nad Pauliną, przyglądając się z zainteresowaniem scenie z Nowego Testamentu. Po chwili także zmarszczył brwi.

– Co to jest? Jakieś współczesne malowidło?

– Na pewno nie jest to ilustracja do *Kodu Leonarda da Vinci*. – Igor uśmiechnął się ironicznie, patrząc na wyraźnie poruszoną Paulinę. – Obraz powstał w tysiąc pięćset czterdziestym szóstym roku dla kościoła w Marianowie. Namalował go Gabriel Glockendon, nadworny malarz Barnima Dziewiątego na jego osobiste zlecenie. Obraz do dzisiaj wisi w tym samym miejscu.

Przez chwilę panowała cisza.

Paulina i Johann wpatrywali się w reprodukcję obrazu z kompletnym

zaskoczeniem na twarzach.

– Na miłość boską, ale w tej scenie jest kielich, który stoi u stóp Marii Magdaleny, która w dodatku jest najwyraźniej... – Paulina pochyliła się nad albumem, usiłując dojrzeć szczegóły obrazu.

– W ciąży... dokończył Johann z malującym się na twarzy osłupieniem.

– A za nimi na tym czymś leży przecież flaga templariuszy? – Paulina odgarnęła włosy z czoła i popatrzyła na Igora. – Nieprawdopodobne! I to zostało namalowane na zlecenie Barnima Dziewiątego? Czy jest jakaś oficjalna interpretacja?

– Jest, ale tak samo beznadziejna jak teoria o pierścieniu i typowych wieżach obronnych z pomorskich miast. – Igor uśmiechnął się ironicznie. – Mówi ona o tym, że kobieta w żółtej sukni przedstawia córkę Barnima Dziewiątego, Annę, która została wmontowana w scenę na życzenie księcia. Jednym z argumentów jest jej bardzo bogata suknia. Tylko że Maria Magdalena według Biblii także pochodziła z bogatej rodziny, dopiero Kościół zrobił z niej nierządnicę. No, a poza tym który książę chciałby, żeby jego córka została ukazana jako jawnochrzesznica?

Paulina zmarszczyła brwi i pokiwała głową niezdecydowanie.

– No, a co z tą flagą?

– Na temat Graala i sztandaru templariuszy żaden z historyków opisujących obraz nie ośmielił się wypowiedzieć. Obraz jest tajemnicą, której nikt nie rozwiązał do tej pory. Glockendon, jakby dając do zrozumienia, że obraz stanowi łamigłówkę, umieścił także swoje zakamuflowane inicjały w herbie na trumnie. – Igor wskazał palcem litery na boku kamiennej skrzyni z malowidła.

– Powiedziałaś, że namalowany został dla Marianowa? To jest to miejsce, gdzie przebywała Sydonia? – spytał Johann, cały czas wpatrując się w reprodukcję obrazu.

– Tak i wisi tam do tej pory, a dokładnie jest fragmentem ołtarza. Pomijając wszystko inne, jest wart majątek. Obrazy tego malarza wyceniane są dzisiaj na setki tysięcy euro.

– A może my się po prostu sugerujemy tymi tajemnicami, podczas gdy obraz nie przedstawia nic szczególnego? – Paulina pokręciła głową, chwytając się ostatniej nadziei na racjonalne wyjaśnienie symboliki

tajemniczego obrazu.

– Maria Magdalena w ciąży, Graal u jej stóp i flaga templariuszy? – Igor spojrział ironicznie na Paulinę i westchnął. – Sam Gabriel Glockendon był dość tajemniczą postacią. Jego stryj, Albrecht Glockendon, jest jedną z osób, które podejrzewa się o wykonanie ilustracji do biblii alchemików, słynnej książki *Splendor Solis*, czyli Chwała Słońcu, którą stworzył ponoć nauczyciel Paracelsusa. Notabene, innym podejrzewanym o wykonanie tych ilustracji jest Lucas Cranach. Ojciec Gabriela przyjaźnił się z Albrechtem Dürerem, którego związki z wiedzą mistyczną są powszechnie znane. Jego *Melancholia* to prawie święte dzieło różokrzyżowców, masonów, iluminatów. Ojciec Glockendona był członkiem Dużej Rady Norymbergi. Według niektórych rządziła ona potajemnie całym miastem, a w której szeregach byli ponoć jeszcze templariusze.

Igor przerwał i spojrział na słuchających go w milczeniu Paulinę i Johanna.

– Uważam, że ten obraz jest fantastycznym, zachowanym dowodem na to, że teoria o Marii Magdalenie i dzieciach Chrystusa, która narobiła potwornego zamieszania w ostatnich czasach, jest znacznie starsza, niż się powszechnie uważa. Prawdopodobnie była jedną z legend lub prawd tajemnej wiedzy prądów odwołujących się do gnostycyzmu. Być może przewijała się jak podskórny strumień wiedzy pomiędzy dogmatami i jedynie słusznymi prawdami, głoszonymi przez Kościół. Rzadko kiedy pojawiała się w piśmie, ponieważ za samo jej głoszenie groziła śmierć, a jeżeli ktoś gdzieś odważył się ją zapisać, to i tak książki te były niszczone albo trafiały na indeks ksiąg zakazanych.

– Jak więc się stało, że Glockendon nie wylądował na stosie? – mruknęła Paulina, cały czas patrząc na reprodukcję obrazu.

– No właśnie to dowodzi, że Barnim Dziewiąty miał niesłychanie otwarty umysł. – Igor ściągnął brwi. – Możliwe, że rzeczywiście zetknął się w Wittenberdze z różokrzyżowcami. Możliwe, że otarł się o te wszystkie prądy i zakazane teorie w czasie studiów, może uczyniły go one bardziej liberalnym, a może... – Igor zawiesił głos i ściągnął brwi.

– Co może? – Johann spojrział zaciekawiony.

– A może odkrył coś, dzięki czemu to wszystko widział z innej perspektywy.

– No, nie żartuj. W tajne dokumenty ze świątyni Salomona, dowodzące, że

Maria Magdalena była żoną Chrystusa, ukryte w Szczecinie, nie uwierzę, choćbym je nawet sama osobiście znalazła. – Paulina zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie wątpię. – Igor spojrział na nią z drwiącym uśmieszkiem. – Nikt ci nie każe. Mówię o tym, że może ta wielka tajemnica, którą hipotetycznie odkrył Barnim Dziewiąty, pozwoliła mu spojrzeć na wszystko z dystansem. Poza tym to były w końcu czasy oświecenia.

Johann drgnął nagle i podniósł wzrok na Igora.

– Co ty powiedziałaś?

– No, czasy oświecenia. – Igor spojrział na niego z rozbawieniem. – Renesans.

– Gotyk! – Johann prawie krzyknął i gwałtownie pochylił się nad laptopem.

– Jaki gotyk? Przecież on mówi o oświeceniu. – Paulina spojrzała ze zdziwieniem na Johanna.

– Gotyk! To jest gotyk, na miłość boską! – Johann spojrział na nich błyszczącymi oczami. – No, tak mi się skojarzyło – dodał wyjaśniająco, patrząc na Paulinę. – Wiedziałem, że coś jest z tym nie tak.

– O czym ty mówisz? – Igor wstał i podszedł do drugiego krańca stołu.

– Zobacz. – Johann wskazał palcem na ekran, gdzie w wielkim powiększeniu widniały fragmenty jakiejś dekoracji.

– O co ci chodzi? – Paulina także wstała i stanęła za plecami Johanna, usiłując dojrzeć obraz na ekranie.

– To, co braliśmy za relief na tym renesansowym zydlu, to są litery napisane gotykiem! – Johann przejechał palcem po monitorze, wskazując cały równy rząd malutkich znaczków, które układały się w dwudziestoliterowy napis

**VSLOOHQGUHKHUHLDOWDU**

## Rozdział 29

Bondar minął grupę kilku osób. Skinął dyskretnie głową policjantom w cywilu, którzy rozmawiali z dwiema zdenerwowanymi kobietami i starszym mężczyzną w granatowej służbowej marynarce, i skierował się w stronę otwartych na oścież drzwi do jednego z pomieszczeń.

Z wnętrza dochodził gwar rozmów. Wszedł do środka i obrzucił wzrokiem ściany pracowni konserwatorskiej, na których wisiało mnóstwo elementów dekoracyjnych i detali. Przemknęło mu przez głowę, że kiedyś musiały być częścią wystroju jakiegoś reprezentacyjnego gmachu.

W głębi, przy drzwiach do ciemnego boksu, leżała postać przykryta białą szmatą. Wokół kręciło się kilka osób z ekipy śledczej. Obok jednego ze stołów, oparta o ścianę stała młoda policjantka z długimi jasnymi włosami związanymi w koński ogon.

Bondar podszedł do niej i bezceremonialnie zajrzał do notatek, które właśnie w skupieniu przeglądała.

– Jak to się stało, że jesteś dwadzieścia minut po mnie? – spytała dziewczyna z ironicznym uśmiechem. – Wyjechaliśmy razem.

– Zatrzymali mnie na dole. – Bondar zrobił wyzywającą minę i wskazał brodą nakryte białą szmatą zwłoki. – Co z nią?

– Na pewno nie żyje – odparła dziewczyna, a widząc poważną minę komisarza, ściągnęła usta i westchnęła. – Znalazł ją portier. Gdzieś koło ósmej. Myślał, że zasłabła, i wezwał karetkę. Lekarka stwierdziła zgon, ale miała wątpliwości co do przyczyny, dlatego zadzwoniła po policję. Dostrzegła niewielkie ślady na szyi wskazujące, że to mogło być uduszenie – dodała wyjaśniająco.

– Kiedy nastąpiła śmierć? – Bondar oparł się o stół i zlustrował ponownie ściany pomieszczenia.

– Nie wiemy jeszcze dokładnie. Prawdopodobnie w nocy. Gorzej, że portier zaklina się, że nikt przez całą noc nie wchodził. Jedyne wejście



prowadzi po schodach z dołu i trzeba przejść obok jego zagródki.

– Nie ma innego? – Bondar spojrział na dziewczynę. – A z sąsiednich skrzydeł zamku?

– Na tym piętrze nie ma. Niżej można przejść przez jakieś sale do skrzydła północnego.

– A zostać tutaj oprócz niej ktoś nie mógł?

– Na tym piętrze jest pracownia konserwatorska i dalej fotograficzna. Portier wszystkich zna. Twierdzi, że tylko ta kobieta została dłużej. Nie było w tym nic dziwnego, ponoć często zostawali tutaj na noc przy pracy.

– Co to za ludzie, którzy stoją na korytarzu?

– Dyrektorka administracyjna Zamku i Marzena Hadrys, szefowa tej pracowni.

– Nikt z jej rodziny nie zainteresował się, czemu przez całą noc nie wróciła do domu? – Bondar spojrział na blondynkę, marszcząc brwi.

– Mieszka sama, ale w jej komórce jest kilka nieodebranych połączeń. Dzwonił jej chłopak. Do niego nie można się dodzwonić, ma wyłączony telefon.

Bondar westchnął i podrapał się po głowie.

– Mówiłaś, że według szefa to sprawa dla mnie. Nie wiesz, z jakiego powodu? Mam teraz trzy sprawy jednocześnie, ta będzie czwarta.

– Z tego powodu. – Blondynka odsunęła się od Bondara i spojrzała w dół.

\*

– Pokaż! – Paulina chwyciła laptopa i przysunęła go do siebie. Pochyliwszy się nad stołem, wbiła wzrok w ekran urządzenia. Przez chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się w rząddek malutkich, ostrokształtnych literek.

– To jakiś napis gotykiem. Jest bardzo zamazany na tym zdjęciu w podczerwieni, ale widać wyraźnie, że to litery. – Johann w podnieceniu patrzył na pochyloną nad monitorem Paulinę i na uważnie przypatrującego się powiększonemu fragmentowi obrazu Igora.

– Boże! Ty chyba masz rację – wymamrotała Paulina z osłupiałym wyrazem twarzy.

– Daj jakąś kartkę i długopis! – Johann spojrział na Igora i przesunął laptopa ku sobie. – Spróbujemy to zapisać zwykłym pismem – dodał, pochylając się nad monitorem.

– To pierwsze to U czy V? – Paulina kliknęła myszką, powiększając obraz dwukrotnie.

– Moim zdaniem V. – Johann wskazał palcem inny punkt na ekranie. – U jest tutaj.

Igor, który znalazł w końcu w jednej z szuflad notatnik formatu A4 i komplet mazaków, wrócił do stołu i położył wszystko przed Johannem. Ten sięgnął po mazak i wykaligrafował, dwukrotnie pogrubiając linię, literkę V.

– Dalej jest S, potem L. – Przesunął myszką napis, zapisując jednocześnie odczytywane litery.

– Myślałam, że to D. – Paulina sceptycznie zmarszczyła brwi.

– D jest tutaj. – Johann wskazał długopisem przedostatnią w ciągu literkę. – Wierz mi, w końcu jestem w połowie Niemcem – mruknął, nie odrywając wzroku od monitora.

Po chwili na kartce pojawił się cały, zapisany zwyczajnymi drukowanymi literami napis. Jak można się było domyślić, nie znaczył nic.

## **V S L O O H Q G U H K H U H L D O W D U**

– Kompletnie bez sensu. – Paulina ze zniechęceniem pokręciła głową. – Zbitek przypadkowych liter.

– To pewnie znowu jakiś szyfr. – Johann wzruszył ramionami. – Znowu będzie potrzebna jakaś książka? Z książką z tamtych czasów możemy mieć problemy.

– Jeśli to napis z siedemnastego wieku, to raczej jakiś szyfr podstawieniowy. Książkowego wtedy nie znali. – Igor zmarszczył brwi.

– Zakładając, że to w ogóle jest szyfr. – Paulina oparła się i założyła ręce na piersi.

– A co to może być innego? – spytał Johann, cały czas pochylony nad kartką, na której przed chwilą zapisał szereg liter.

– Nie mam pojęcia. – Dziewczyna pokręciła głową. – Po prostu się zastanawiam. Po co Cranach miałby umieszczać szyfr na swoim obrazie?

Poza tym skoro obraz powstał przed tysiąc pięćset dwudziestym piątym rokiem jako symboliczny portret upadłej kobiety i prawdopodobnie trafił na szczeciński dwór całkiem przypadkowo, to jaki to może mieć związek z naszą cholerną tajemnicą?

– Może to nie Cranach? – powiedział Igor. – Może ktoś inny? Przez dwór Gryfitów w szesnastym i siedemnastym wieku przewinęło się mnóstwo malarzy i artystów. W tysiąc pięćset pięćdziesiątym pierwszym roku spłonął szczeciński zamek. Pewnie po pożarze zbiory malarstwa były restaurowane. Może to wtedy pojawił się ten relief w postaci zaszyfrowanej wiadomości? W innej sytuacji sądziłbym, że ten napis ukrywa całkiem niewinną, banalną informację, na przykład dokładną datę renowacji albo imię artysty, który się tym zajmował, wówczas była to dość powszechna praktyka.

– Ale...? – Paulina spojrzała na Igora pytająco.

– Co ale? – Igor w zamyśleniu przyglądał się równemu szeregowi liter.

– Powiedziałaś: „w innej sytuacji”. A teraz to jaka sytuacja?

– Skoro Ramin wskazał nam obraz Sydonii, to znaczy, że coś musi się w nim kryć. Jeśli nie jest to ten napis, to co?

Johann podrapał się po brodzie.

– A może jedno nie wyklucza drugiego? Może nazwisko malarza, który dorobił napis, i data tego wydarzenia są właśnie tą informacją, o jaką chodzi?

– Wiecie, ile razy w czasie tej krótkiej wymiany zdań padło słowo „może”? – Paulina westchnęła i sięgnęła po filiżankę z herbatą. – To dokładnie obrazuje stan naszej wiedzy.

– A gdyby zacząć od drugiej strony? – Johann spojrzał na Igora z namysłem. – Sprawdźmy malarzy, rzeźbiarzy, generalnie artystów, którzy w tym okresie przewinęli się przez dwór Gryfitów. Może z którymś z nich wiąże się jakaś niewyjaśniona historia?

– W tym okresie, czyli jakim? Od tysiąc pięćset dwudziestego piątego roku? Do kiedy? – Paulina sceptycznie skrzywiła usta i wzruszyła ramionami.

– A może... – Igor, akcentując słowo „może”, uśmiechnął się złośliwie do Pauliny – za szybko zrezygnowaliśmy z prób odczytania tego napisu?

Pochylił się nad stołem i sięgnął po kartkę, na której widniało dwadzieścia literek.

Szyfry podstawieniowe opierały się, o ile dobrze kojarzył, na określonych modyfikacjach alfabetu. Stary hebrajski szyfr *AtBash*, na przykład, polegał na prostym odwróceniu liter w alfabecie i przypisaniu ostatniej litery literze pierwszej, przedostatniej drugiej i tak dalej.

Można spróbować.

Wziął ze stołu mazak, oderwał kolejną kartkę z notatnika i usiadł przy stole obok Johanna. W równym rzędzie, zachowując spore odstęp między znakami, zapisał cały alfabet składający się z dwudziestu sześciu liter.

Paulina wstała i zajrzała mu przez ramię.

– Co robisz? – spytała, patrząc na równy rząd znaków.

– Usiłuję coś wymyślić. – Igor oderwał cienki pasek papieru z alfabetem i położył na boku. Na pozostałej części kartki napisał ponownie alfabet, starając się zachować podobne odległości pomiędzy literami. Po chwili na stole leżały dwa paski z dwudziestoma sześcioma literami alfabetu.

– I co teraz? – Johann patrzył z zainteresowaniem na poczynania Igora.

– Teraz sprawdzimy, czy hebrajski szyfr z piątego wieku przed naszą erą jest tym, którym posłużył się tajemniczy konserwator Cranacha. – Igor uśmiechnął się do Johanna i położył jeden z pasków przed sobą, a drugi odwrócił do góry nogami i położył dokładnie pod pierwszym.

– Zapisuj – rzucił do Johanna i sięgnął po kartkę z zapisanym szyfrem z obrazu. – Pierwsza litera to E.

Po chwili leżał przed nimi kolejny dwudziestoliterowy napis, który nie wyrażał niczego w żadnym ze znanych języków.

**E H O L L S J T F S P S F S O W L D W F**

– To bełkot. – Paulina ze zniechęceniem pokręciła głową. – Niestety, najwyraźniej na dworze Gryfitów nie znali twojego hebrajskiego szyfru. Skąd ty go w ogóle wzięłeś? – Spojrzała na Igora, marszcząc brwi.

– Z jakiejś książki albo filmu. – Igor wzruszył ramionami.

Nagle rozległo się stłumione stukanie. Drzwi otworzyły się nieznacznie, a w niewielkiej szparze ukazała się czyjaś postać.

– Igor, pomóż mi! – zawołała. – Mam zajęte ręce.

Igor westchnął i głośno odsuwając krzesło, wstał od stołu. Podeszedł do

drzwi i szeroko je otworzył. Na progu stała jego matka, obarczona wielką tacą z kolejną porcją babeczek.

– Mamo... – jęknął. – Nie zjemy już nic więcej. Przynajmniej ja. – Odwrócił się w kierunku Pauliny i Johanna, którzy ku jego zdumieniu pokiwali zachęcająco głowami.

– Bardzo dziękujemy. – Paulina uśmiechnęła się do pani Anny, gdy ta podeszła do stołu. – Te ciacha są naprawdę pyszne.

– Dziękuję pani. Cieszę się, że ktoś to docenia. – Spojrzała na Igora z wyrzutem.

– Przecież pieczesz mnóstwo ciastek dla gości, przepadają za nimi. – Igor odsunął laptopa i filizankę, robiąc miejsce na tacę z babeczkami.

– Hotelowi goście to nie to samo. – Anna Fleming postawiła tacę na stole i już miała się odwrócić w kierunku wyjścia, gdy jej uwagę przykuł wykaligrafowany na dwóch kartkach alfabet.

Rzuciła okiem na powiększone zdjęcie na monitorze, a potem z ciekawością spojrzała na Paulinę i Johanna.

– Czy to jakaś gra?

– Gra? – Igor pożałował, że nie zamknął laptopa i nie pochował kartek ze stołu. Teraz matka będzie tak długo dociekała, dopóki jej wszystkiego nie powiedzą.

– Tak, w pytania i odpowiedzi. – Uśmiechnął się złośliwie. – Wiesz, co jest pierwszym stopniem do piekła?

– Zapewne bezczelne uwagi do rodzonej matki? – Pani Anna zabrała puste naczynia i obrzuciła Igora urażonym spojrzeniem.

Paulina zmarszczyła brwi.

– Igor żartuje oczywiście. – Uśmiechnęła się grzecznie i rzuciła Igorowi, który podniósł brwi ze zniecierpliwieniem, ostre spojrzenie.

Pani Anna odwzajemniła uśmiech i ruszyła w kierunku drzwi.

– Poza tym od pierwszego spojrzenia na te twoje bazgroły widać, że to nie jest żaden *AtBash* – rzuciła zza pleców.

Igor podniósł wzrok ku górze i pokręcił głową, a następnie zmarszczył brwi i spojrzał na Paulinę, która patrzyła na niego zdziwiona.

Skąd matka wiedziała, że to *AtBash*?

– Mamo, ty chyba nie podsłuchiwałaś pod drzwiami? – zawołał za oddalającą się matką.

– Rzeczywiście, bo to trzeba podsłuchiwać, żeby się domyślić. Przecież to taki prosty algorytm. – Matka Igora pokiwała z politowaniem głową i wyszła z pokoju z godnością, dzierżąc w dłoniach tacę z filiżankami.

Igor spojrział na Paulinę z niedowierzaniem. Czy to możliwe, że jego matka naprawdę tak szybko się zorientowała, o co chodzi w tym rządku przed chwilą wynotowanych skrupulatnie liter? Spojrział na stół.

Dwie kartki z alfabetem nadal leżały jedna pod drugą.

– Kto odgadł, że ten poprzedni szyfr z listu Barnima to kod Ottendorfa? – spytała Paulina, po czym sama sobie odpowiedziała. – Twoja matka, prawda? – Chyba jej nie doceniasz. – Popatrzyła na Igora i uniosła brwi.

Igor spojrział na drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła pani Anna.

Nigdy nie zdołał pokonać matki w szachy. Jej zdaniem to dlatego, że bez trudu potrafi w pamięci obliczyć kolejne ruchy.

Westchnął. Może rzeczywiście nie docenia wiedzy własnej matki.

– Dobrze, poproszę ją, żeby rzuciła na to okiem. – To mówiąc, skrzywił się i ruszył w kierunku wyjścia, zastanawiając się jednocześnie, jak przedstawić matce kulisy wejścia w posiadanie szyfru, tak by nie zdradzić jednocześnie za wiele.

– Cały czas rozmawiacie po polsku! – Johann jęknął z wyrzutem i sięgnął po oblaną lukrem babeczkę.

Ponieważ Igor zniknął już w drzwiach, Paulina westchnęła i podeszła do stołu. Usiadła obok Johanna i przetłumaczyła mu swoją rozmowę z Igorem.

\*

Parsov zrobił kilka kroków po pokoju i zatrzymał się nad wciąż wpatrzonym w starą mapę Hansem.

– Zakładając, że nikt nie otwierał sarkofagu, to mapa jest co najmniej z połowy szesnastego wieku.

– Jest zdecydowanie starsza. – Hans podniósł głowę i spojrział wzrokiem, w którym wciąż krył się niekłamanym podziw. – Zapomina pan, że jestem

kartografem z wykształcenia. W swoim czasie analizowałem drobiazgowo wszystkie zachowane egzemplarze tego dzieła i wiem, że mapa jest absolutnie unikalna. Późniejsze wydania były uzupełnione o stan wiedzy z ówczesnych lat, a ta jest archaiczna pod względem merytorycznym. Naukowcy zawsze mieli nadzieję, że kiedyś się znajdzie jakiś unikalny egzemplarz sprzed piętnastego wieku, oparty nie na źródłach bizantyjskich, ale na zachowanych gdzieś i niezniszczonych przez Kościół egzemplarzach oryginalnych.

Parsov zmarszczył brwi.

– Gdyby nie Kościół w wiekach średnich, to nie byłoby żadnych źródeł bizantyjskich, bo cała Europa byłaby arabska.

Hans uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Zapomniałem, że jest pan papistą.

– Pomijając moją wiarę i pana bezideową bezczelność – Parsov spojrzał na Hansa z niechęcią – to co nam daje ta mapa? Po cholere w ogóle ten stary rzeźbiarz ją ukrył?

– Powiedziałem, że mapa jest unikalna. – Hans uśmiechnął się pod nosem.  
– W przeciwieństwie do wszystkich innych znanych obecnie kopii, znajduje się na niej pewna dziwna nazwa, która ją wyróżnia.

To mówiąc, postukał palcem w mały, zaznaczony ciemną kropką punkt.

Parsov spojrzał na niewielki fragment starego materiału i uniósł brwi, patrząc na Hansa wzrokiem, w którym obok podszytej irytacją, wciąż dominującej niechęci pojawiła się ciekawość.

\*

– *AtBash* nie był zbyt popularny w Europie. W tamtych czasach najbardziej rozpowszechniony był szyfr oparty o algorytm stosowany jeszcze w czasach rzymskich. Według Swetoniusza, autora *Żywotów Cezarów*, Cezar używał go do komunikowania się ze swoimi dowódcami oraz przyjaciółmi. –

Pani Anna wyjęła z kieszeni spódnicy okulary i przetarła je rękawem bluzki.  
– Dlatego później nazwano go Kodem Cezara.

– Kod Cezara? Czego ty właściwie uczysz w tej szkole? – Igor spojrzał na matkę ze zdziwieniem. – Zlikwidowali etaty historyków?

Pani Anna założyła okulary i spojrzała na syna pobłaźliwie.

– Dziecko, przecież szyfry to czysta matematyka. Sądysz, że nauczyłabym czegokolwiek tych łobuzów w wiejskiej szkole bez stosowania różnorodnych, wyrafinowanych metod edukacyjnych? Kogo obchodzą równania z wieloma niewiadomymi? Natomiast Kod Cezara powoduje, że zapada cisza jak makiem zasiał. Największe tumany nauczyły się nim posługiwać błyskawicznie, nie wiedząc, że po kryjomu nauczyłam ich równań.

Igor pomyślał, że to jest ta rzadka chwila, w której może patrzeć na matkę z niekłamanym podziwem.

– Kod Cezara to prosty szyfr przesuwający, który łatwo zapisać banalnym równaniem. – Pani Anna pochyliła się nad stołem, wzięła długopis i na kartce z brulionu napisała wzór składający się z trzech liter

$$C = (n + k)$$

– Literka k jest kluczem szyfrowania, n jest odpowiednim numerem litery, którą szyfrujemy, a C jest numerem litery po zaszyfrowaniu. Cezar używał klucza, czyli przesunięcia o trzy litery, dlatego ten szyfr nazywano później także Przesunięciem Cezariańskim.

Pani Anna spojrzała na wpatrzone w nią z osłupieniem małe gremium słuchaczy, po czym sięgnęła po dwa paski z alfabetem, które wcześniej spreparował Igor, i położyła je na stole jeden pod drugim, a następnie dolny przesunęła w lewo o trzy litery.

– Oto i cały klucz do odczytania szyfru.

Igor przez chwilę wpatrywał się tępo w stół, po czym zamknął usta.

Paulina pochyliła się do Johanna, który cały czas cierpliwie siedział, nie rozumiejąc ani słowa, i przetłumaczyła mu wyłożony przed chwilą krótki kurs kryptografii.

Johann uśmiechnął się z niedowierzaniem i pokręcił głową. Spojrzał na matkę Igora z podziwem, po czym sięgnął po kartkę z zapisanym tajemniczym szlaczkiem z dwudziestu liter i położył ją przed sobą. Wybierając kolejne litery z górnego paska z alfabetem, notował je po kolei na czystej kartce. Po chwili leżała przed nimi kolejna wariacja na temat dwudziestu liter, niewyglądająca niestety wcale bardziej zrozumiale od poprzednich.



## S P I L L E N D R E H E R E I A L T A R

– Super! – Paulina parsknęła, przerywając ciszę, która na moment zapanowała po odcyfrowaniu napisu, i pokręciła głową, uśmiechając się pod nosem z rozczarowaniem. – I wszystko jasne.

– Co jest jasne? – Johann spojrział na nią zdezorientowany.

– To jakiś kretyński tekst, który prawdopodobnie znajdował się na tym zydlu, a Cranach go po prostu wiernie skopiował. Nie ma żadnego szyfru.

Igor zmarszczył brwi. Skądś kojarzył te dziwne słowa. Albo musiał o tym gdzieś przeczytać, albo gdzieś usłyszał.

– Dlaczego tak myślisz? – Johann podniósł kartkę i wpatrywał się w nią z nadzieją.

– No przecież widzisz, co tu jest napisane. *Dreher* to stolarz. To jakiś podpis wykonawcy albo warsztatu.

I w tym momencie Igor poczuł, że spłynęło na niego olśnienie.

– To nie żaden stolarz!

– O czym mówicie? Wiesz, co znaczą te słowa? – Pani Anna nie wytrzymała. – Mów szybciej, bo muszę wracać do swoich zajęć.

Igor spojrział na matkę, a następnie powoli usiadł na krześle, czując na sobie wzrok wlepionych w niego trzech par oczu.

## Rozdział 30

Książę Bogusław X zmarł pewnego ciepłego sierpniowego dnia roku 1523. Kilka miesięcy wcześniej, przeczuwając nadchodzącą śmierć, kazał się przywieźć do Szczecina, pozostawiając Wołogoszcz i sprawy państwowe pod kuratelą synów.

W tamtych czasach nieopodal kościoła Marii Panny stał stary średniowieczny dwór, niegdyś siedziba książąt, później plebania i wreszcie dom spokojnej starości dla wdów po pastorach ze szczecińskich kościołów. Na ostatnie lata życia książę upodobał sobie to miejsce i spędzał w nim najwięcej czasu. Powiadali dworzanie, że po śmierci żony Bogusław zaczął dziwaczeń i coraz bardziej zaniedbywać sprawy kraju. Zamykał się w starym dworzyszczu, otaczał pochlebami, marnego autoramentu doradcami i kobietami lekkich obyczajów, trwoniąc mnóstwo pieniędzy na rozrywki. Tymczasem w siłę rosły potężne rody rycerskie Pomorza, które rozochoczone bezkarnością i coraz mniejszym wpływem księcia na losy państw odkryły, że doskonałym źródłem bogactwa jest jeden z najstarszych rycerskich fachów, rozbój.

Pomorskie drogi i gościńce, które do niedawna jeszcze, wraz z bezpiecznymi granicami i dobrobytem w kraju, sławiły imię księcia Bogusława, teraz coraz częściej stawały się miejscem napadów i grabieży. Stare siedziby wielkich pomorskich rodów, oddalone często od głównych traktów i miast, stały się prawdziwymi wilczymi gniazdami, skąd wyruszały rozbójnicze wyprawy i wokół których gromadziły się całe armie podległych miejscowym watażkom rozbójników i rabusiów. Wielką, choć złą sławę zyskał ród Manteufflów. To z niego pochodziło kilku prawdziwych hersztów, których ludzie po wsiach nazywali, jakby na przekór władającym księstwem Gryfitom, książętami. Podobnie sławne stały się znane na Pomorzu rody Podewilsów i Puttkamerów.

Nie było łatwo z nimi walczyć. Wielkie nazwiska łączyły się z równie wielkimi koneksjami... Nie sprzyjali też Gryfitom sąsiedzi, którzy widząc

w tym możliwość zdestabilizowania księstwa, przymykali oczy na ukrywające się na terytorium Polski lub Nowej Marchii watahy rycerzy rozbójników.

Śmierć Bogusława X, którego – mimo dziwactw podeszłego wieku i rozluźnienia dyscypliny w państwie – wielkie rycerskie rody darzyły jednak respektem, była na rękę wszelkiego autoramentu rabusiom. Książę miał dwóch synów, Jerzego, przygotowywanego do rządzenia krajem, i młodszego o blisko osiem lat Barnima IX, który przebywał wtedy jeszcze na naukach w Wittenberdze. Jerzy I, zwany Pomorskim, odebrał doskonale wykształcenie w Dreźnie i Heidelbergu, a na dworze u księcia saksońskiego, gdzie przebywał jako młodzian, przyswoił sobie także wyrafinowane, dworskie maniery. Porównując go z jego wielkim ojcem, trzeba powiedzieć, że przewyższając go ogładą towarzyską, ustępował jednak pod względem charakteru i silnej woli. Nie potrafił sobie skutecznie poradzić z pleniącym się w kraju rozbojem. Na domiar złego, latem 1528 roku podczas polowania na jelenia spadł z konia, wybijając sobie oko.

W tym czasie rządził już krajem wspólnie z bratem Barnimem, który zdążył dorosnąć i coraz mocniej zaznaczał swoją obecność we władaniu księstwem. Barnim miał jednak od najmłodszych lat pasję, pochłaniającą go bez reszty i wielokrotnie stającą na drodze jego politycznym aspiracjom. Ku utrapieniu ojca potrafił przepadać na całe godziny, często unikając nudnych dworskich obowiązków, i oddawać się swoim ulubionym zajęciom: rzeźbiarstwu, snycerstwu i, wzorem Leonarda da Vinci, konstruowaniu rozmaitych mechanizmów, którymi zdaniem ówczesnych wypełnione były jego komnaty.

Nic więc dziwnego, że w przydrożnych karczmach i portowych tawernach rozmaici rabusie i obwiesie, będący na usługach potężnych rodów rycerzy rozbójników, natrzęsali się z obu książąt, ufając, że nastały dla nich tłuste lata bezkarności, i wyśpiewując pijackimi głosami złośliwą przyśpiewkę, która w owym czasie znana była na całym Pomorzu.

*Der Einäugige ist nun tot,  
Mit dem Spillendreher  
hats keine Not*

– W naszym tłumaczeniu ten wierszyk brzmiał: *Z jednookim nie ma biedy, a bać się rzeźbiarza nie ma potrzeby.* – Igor uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Po znalezieniu sarkofagu przeczytałem wszystko, co udało mi się wyszperać na temat Barnima Dziewiątego – dodał wyjaśniająco na widok zdziwionego spojrzenia Pauliny. – *Spillendreher!* To znaczy dosłownie *bawiący się w tokarstwo* albo *zabawiający się rzeźbieniem*, taki miał złośliwy przydomek wśród niechętnych mu poddanych.

Paulina siedziała wpatrzona w zamyśleniu w kartkę, na której drukowanymi literami zapisany był odtajniony właśnie tekst.

– Czyli przezywali go rzeźbiarzem.

Widząc pytające spojrzenie Johanna, któremu tłumaczyła opowieść Igora, powtórzyła ostatnie zdanie po angielsku.

– I co było dalej z tymi pomorskimi rozbójnikami? – zainteresował się Johann.

– A co było dalej z tymi rozbójnikami? – Pani Anna spojrzała na syna. – Nigdy bym nie pomyślała, że znasz takie ciekawe historie z dziejów regionu.

– Mamo... – zaczął Igor, zastanawiając się, w jakim języku ma mówić, po czym westchnął i spojrzał na matkę. – Barnim się z nimi uporał. W ciągu jednego roku. Bardzo się na nim przejechali ci rabusie. Zaczął od układów z polskim królem Zygmuntem I i książętami Meklemburgii w sprawie wspólnego frontu przeciwko rozbójnikom i uszczelnienia granic. Potem natomiast przeprowadził prawdziwą militarną akcję, w wyniku której większość przywódców została pojmana i stracona, w tym sławni bracia Manteufflowie, nazywani książętami.

– Rozbój rozbojem, ale powiedz, co z tym ołtarzem? – Paulina spojrzała na Igora.

– Jakim ołtarzem? – Igor, wyrwany z kontekstu opowieści o pomorskich rozbójnikach, patrzył zdezorientowany. Poirytowany Johann, który znowu stracił wątek rozmowy, złapał Paulinę za ramię i lekko szarpnął, przypominając o swoim istnieniu.

– *Spillendrehereialtar.* – Paulina ruchem głowy wskazała kartkę z niemieckim napisem. – To znaczy ołtarz rzeźbiarza. I o co w tym chodzi?

– Nie mów, poczekaj! Najpierw mu przetłumaczę, bo mi urwie ramię – rzuciła, widząc, że Igor chce coś powiedzieć.

– A nie chodzi przypadkiem o ołtarz z Sowna? – Pani Anna zgarnęła ze stołu puste talerze i kubki i odwróciła się w kierunku wyjścia. – Mógłbyś

zawieźć tam znajomych, to niedaleko. Bardzo piękna rzecz. Trzeba podjechać do sołtysowej, a jak jej nie będzie, to do katechetki, i poprosić o otwarcie kościoła. Letnicy dostaną dzisiaj spóźniony obiad przez ciebie. –

Spojrzała na Igora z wyrzutem i wyszła z biblioteki, zamykając łokciem drzwi.

– Twoja matka jest niesamowita. – Paulina popatrzyła z podziwem za panią Anną. – Sowna? Jakiego Sowna?

– Szczerze mówiąc, w pierwszej chwili pomyślałem raczej o ołtarzu z Marianowa. – Igor podrapał się po brodzie. – To przez tę rozmowę na temat templariuszy.

– Czyli ten zwrot należy rozumieć jako ołtarz kogo czego, rzeźbiarza? Prawda? – Paulina spojrzała na Johanna.

Johann pokiwał głową.

– No więc który jest bardziej Barnima? Ten w Marianowie czy ten jakiś w Sownie? Nie odpowiedziałeś w końcu, co to za Sowno.

– O ile wiem, w Marianowie Barnim ufundował tylko ten niesamowity obraz, który oglądaliśmy, w Sownie natomiast jest teraz ołtarz, który według legendy sam własnoręcznie wykonał.

– To jedźmy tam! – Johann spojrzał na Igora z podnieceniem. – Daleko to jest?

– Kilkadziesiąt kilometrów. – Igor skrzywił się niechętnie. – Po pierwsze, nie mamy czym, o ile pamiętacie, a po drugie, ten ołtarz przeszedł niedawno drobiazgową renowację, był rozebrany na najdrobniejsze kawałki, które po kolei czyszczono i poddawano zabiegom konserwatorskim. Nie wiem w związku z tym, co moglibyśmy tam odkryć, czego nie znaleźli konserwatorzy.

– To może jedźmy do Marianowa? – Paulina wstała i podeszła do okna. – Przecież nie będziemy się ukrywać u twoich rodziców przez cały weekend. Pożycz auto od taty i zostawimy je na lotnisku. Ktoś potem pojedzie i je odbierze.

Igor podrapał się po brodzie. Nie golił się dzisiaj i oto jest efekt. Ojciec miał poza starym mercedesem także vana i używał go do podwożenia letników. Oprócz tego był jeszcze stary jeep, który on sam zostawił tutaj na emeryturę, po tym jak kupił toyotę. Chyba jest jeszcze na chodzie.

\*

Pod koniec XVI wieku do Sowna, małej wsi niedaleko Stargardu, trafił książę Jan Fryderyk, który poszukiwał miejsca na rezydencję myśliwską. Okolice były dziewicze, główne trakty daleko, a dookoła mnóstwo gęstych i zasobnych w zwierzynę lasów, nic zatem dziwnego, że i książę, i jego młoda żona Erdmuta uznali, iż nic im więcej nie trzeba. Wkrótce więc obok malutkiej, zagubionej wśród pól wsi wyrosła wielka siedziba, którą nazwano Leśnym Dworem Fryderyka[36].

W owym czasie wielki, kunsztownie rzeźbiony ołtarz, o którym mówiło się, że wykonał go osobiście książę Barnim IX, znajdował się w bocznej kaplicy szczecińskiego kościoła Mariackiego, gdzie trafił wraz z wieloma innymi sprzętami z podmiejskiej rezydencji księcia w Grabowie. Szukając wyposażenia dla swojego kościoła w Leśnym Dworze, książę Fryderyk postanowił zabrać go razem z amboną, z którą ołtarz stanowił komplet. Tak więc na kilkadziesiąt lat monumentalne dzieło trafiło do kościoła przy myśliwskim dworze nieopodal malutkiej wsi Sowno.

Wojna trzydziestoletnia zmiotła z powierzchni ziemi cały Leśny Dwór Fryderyka. Ostał się tylko kościół z ołtarzem Barnima IX, gdy więc odbudowujący się po zniszczeniach wojennych Stargard poszukiwał wyposażenia dla tamtejszego kościoła Mariackiego, za zgodą ostatniego księcia Bogusława XIV ołtarz trafił właśnie tam. W Sownie tymczasem stary kościół z Leśnego Dworu powoli dożywał swoich ostatnich dni i w XVIII wieku, z powodu złego stanu technicznego, został rozebrany. Gdy wieś postawiła nowy ryglowy kościół w miejscu starego, przypomniała sobie także o dawnym ołtarzu i zażądała jego zwrotu. Wiele zachodu i starań kosztowało parafian jego odzyskanie, ale w końcu się udało i legendarny, rzeźbiony własnymi rękami Barnima IX ołtarz trafił ponownie do małej wsi pod Stargardem.

Nowy kościół w Sownie okazał się jednak budowlą nietrwałą, postawioną naprędce i do tego stopnia wadliwie, że w połowie XIX wieku był już nieużytkowaną i zamkniętą na cztery spusty ruiną. Ołtarz Barnima IX tkwił więc przez całe lata w środku i niszczał, aż do momentu, gdy w 1880 roku postanowiono świątynię rozebrać. Zdewastowane i niemal rozlatujące się wielkie dzieło sztuki rzeźbiarskiej trafiło na strych miejscowej szkoły i pozostało tam zapomniane na kolejne, długie lata.

\*

Czarny cherokee zatrzymał się przed bramą ze stalowej siatki. Za nią wznosił się brzydki, przykryty płaskim dachem budynek mieszkalny, którego powinowactwo z epoką PGR-ów aż nadto rzucało się w oczy. Rozpaczliwy, jaskrawożółty kolor uwypuklał jedynie brzydotę marnej architektury.

– Wejście jest z tyłu, jak widzę. – Igor zlustrował obejście wokół budynku i spojrzał na Paulinę. – Chyba najlepiej będzie, jak ty pójdziesz i poprosisz tę katechetkę o otwarcie kościoła.

– Niby dlaczego ja? – Paulina wzruszyła ramionami, rozglądając się podejrzliwie po podwórzu przed domem.

– Johann nie mówi po polsku, a podejrzanemu typowi w bluzie od dresu pewnie nawet nie otworzy drzwi.

Paulina obrzuciła spojrzeniem szarą bluzę Igora.

– To nie mogłeś włożyć czegoś innego?

– Nic innego przy sobie nie miałem. Mogłem co najwyżej pożyczyć od ojca kardigan w romby.

– No, wtedy przynajmniej nie musiałbyś się wstydzić przed panią katechetką. – Paulina spojrzała na Igora z przekąsem i otworzyła drzwi.

– Uważaj na próg!

– Powtarzałeś to już cztery razy, za każdym razem gdy wysiadałam.

– Jak pierwszy raz tego nie zrobię, to wypadniesz z samochodu twarzą na glebę – zdążył powiedzieć Igor, zanim przednie drzwi z trzaskiem się zamknęły.

To niestety całkiem możliwe, pomyślała Paulina i otworzyła siatkową furtkę, wchodząc na podwórze przy jaskrawożółtym budynku. Na tyłach znajdowało się kilka zbitych z desek komórek i ogrodzony siatką ogródek, w którym rosły kwiaty i warzywa. Wejście do budynku było poprzedzone daszkiem z blachy wspartym na stalowej, pomalowanej na zielono konstrukcji. Brązowe drzwi prowadziły do wnętrza klatki schodowej, która wyglądała jak typowa klatka w bloku z wielkiej płyty. Paulina wspięła się na pierwsze piętro i zastukała do drzwi z numerem cztery.

Wewnątrz rozległ się odgłos kroków i po chwili w progu stanął wysoki, ostrzyżony na zero chłopak w granatowej koszulce. Zanim Paulina zdążyła

się odezwać, z wnętrza mieszkania nadeszła szczupła, młodo wyglądająca blondynka w okolicach czterdziestki i uśmiechnęła się przyjaźnie.

\*

– Nikt tutaj nie wchodził, nikt niczego nie widział na korytarzu. – Bondar wyprostował się i stanął nad dębową trumną. – W nocy według portiera było spokojnie i nic kompletnie się nie działo. No i najgorsze, że nic nie zginęło, nic nawet nie zostało przeszukane najwyraźniej. Ta Hadrys jest tego pewna?

– Tak. Prosiłam ją, żeby przejrzała wszystko. Twierdzi, że oprócz sarkofagu i tej trumny cenną rzeczą jest tylko obraz z kolekcji zamkowej, który jest tu w renowacji, ale on nie zginął.

Bondar westchnął i rozejrzał się po raz setny po pomieszczeniu.

– Na podłodze są ślady przesuwania, tak jakby ktoś wyciągnął tę trumnę, a potem wsunął ją z powrotem. – Blondynka zmarszczyła brwi. – Może to o nią chodziło, a ta dziewczyna po prostu ich spłoszyła.

– Sama mówisz, że wsunął z powrotem. Jakby ich spłoszyła, to przecież by tego nie zrobili.

– Chyba że zdążyli zrobić to, co mieli do zrobienia, i dopiero wtedy nakryła ich Komorowska.

– Popytajcie wszystkich pracowników zamku, czy czegoś nie zauważyli, czegokolwiek, co wydało im się nietypowe lub dziwne. Wszystkich! – Bondar spojrzał na policjantkę. – Także tych z innych skrzydeł.

Słońce przesłoniła kolejna ciemna chmura i snop jaskrawego światła, wpadający do tej pory do pomieszczenia, zaczął powoli blednąć.

Bondar otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze do blondynki, która pracowicie robiła notatki do protokołu, kiedy nagle uderzyła go pewna myśl. Rzeczy najbardziej oczywiste są najczęściej najmniej zauważalne. Powoli podniósł głowę i spojrzał w niebo przez oszklony świetlik.

\*

Wnętrze kościoła było bardzo jasne. Białe ściany silnie kontrastowały z ciemną, belkową podbitką dachu, opartego na profilowanych i malowanych belkach konstrukcyjnych. Nad wejściem, jak w prawie każdym pomorskim



kościół, zawieszona była empora, na której pysznił się prosty, ale urokliwy w swojej neogotyckiej, nawiązującej do architektury budynku formie, prospekt organowy, pozostałość po zniszczonych organach, które obecnie zastępował syntezator i głośniki. Proste białe ściany prezbiterium oraz obramienia wysokich, strzelistych okien wykończone były pasami czerwonej, licowej cegły. Perspektywę przejścia pomiędzy świeżo odnowionymi ławkami zamykała ogromna bryła wyraźnie zbyt dużego do skromnego wnętrza wiejskiego kościoła ołtarza, która sprawiała, że nic innego w środku nie było w stanie z nią konkurować.

– Jaki kolorowy! – Johann ruszył w kierunku prezbiterium. – Piękny!

– Faktycznie. Spodziewałam się raczej ciemnych, ponurych malowideł, a to jest bardzo żywe, wręcz odpustowe. – Paulina odwróciła się do Igora.

– To renesans. – Igor wzruszył ramionami. – Niemiecki renesans był bardzo przeładowany i kolorowy. Wielu znawców ocenia go z tych właśnie powodów niż niż na przykład włoski czy francuski.

– Naprawdę wyrzeźbił go sam Barnim Dziewiąty?

– To pewnie tylko legenda. – Igor pokręcił głową. – Wszędzie podają jako autorów snycerzy norymberskich, ale podobno w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy.

Ołtarz usytuowany był na specjalnym postumencie dostosowanym do jego kształtu. Wyglądał jak ogromny portal z wydatnym gzymsem i flankującymi go po dwóch stronach ryzalitami, wspartymi na fantazyjnych, oplecionych złotymi wstęgami kolumnach zakończonych jońskimi kapitelami. Spod złoceń, którymi zdobiona była prawie cała płaszczyzna ołtarza, wзираła ciemna zieleń głównej bryły. W części centralnej, a także po jej dwóch stronach oraz w ryzalitach, umieszczone były sceny biblijne, zaludnione przez dziesiątki kunsztownie wyrzeźbionych postaci.

– *Spillendhereialtar*. – Paulina zastygła bez ruchu przed samym ołtarzem z uniesioną głową.

Igor stanął nieco z boku i patrzył na cały ołtarz, który zwłaszcza widziany pod kątem, ujawniał swoją architektoniczną formę. Z jednej strony stanowił jednolitą, zamkniętą w formę portalu całość, ale z drugiej, właśnie dokładnie z tych samych powodów, musiał pierwotnie stanowić część jakiejś większej struktury, być elementem składowym większego kontekstu. Dodatkowo potwierdzała to ambona, całkowicie pokrewna stylistycznie. Być może

tajemnicze miejsce, z którego pochodzili obaj świadkowie minionych zdarzeń, a więc stary kościół klasztoru kartuzów w Grabowie, w całości posiadał taki wystrój. Może dlatego właśnie ołtarz i ambona, wyrwane ze swojego dawnego miejsca, wyglądały teraz w tym małym wiejskim kościele jak przeniesione z innego świata.

– Obawiam się, że to może nas przerastać. – Paulina oderwała się od kontemplacji rzeźbionych biblijnych postaci i spojrzała w kierunku Igora.

– Co takiego? – Igor wyrwany z zamyślenia nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

– Mam na myśli odpowiedź na pytanie, o co chodziło z tą wskazówką na zydlu Sydonii.

– Od początku mówiłem przecież. – Igor wzruszył ramionami. – To, co widzisz, to efekt drobiazgowej konserwacji. Gdyby było coś na tym drewnie, nawet ukryte pod spodem, to prawdopodobnie by to zauważyli i opisali.

– Nie o to mi chodzi. – Paulina pokręciła głową.

– A o co?

– Co wam się stało z tym polskim? Odkąd wróciliśmy z Londynu, nie przestajecie gadać ze sobą po polsku – mruknął niezadowolony Johann.

– Przepraszam. – Paulina uśmiechnęła się ugodowo. – Mówiłam właśnie, że jeśli jest tutaj jakaś wiadomość, to może być ukryta symbolicznie w treści tych scenek. Jakaś zapisana ukryta treść, tak jak w obrazie Glockendona z Marianowa.

– Hmm... – Igor ominął Paulinę i stanął naprzeciw ołtarza. – W centrum to oczywiście Ostatnia Wieczerza. Po bokach sceny Męki Pańskiej, z tego, co kojarzę, Biczowanie, Modlitwa w Ogrójcu.

– Pocałunek Judasza. – Paulina wskazała palcem scenę w górnym prawym rogu ołtarza.

– A to chyba Sąd Piłata? – Igor kiwnął brodą w kierunku środkowej sceny po lewej stronie Ostatniej Wieczerzy.

– A to Chrystus przed Kajfaszem i na dole Ecce Homo. – Johann wskazał palcem dwie dolne nisze po prawej stronie.

– Jakoś sobie poradziliśmy. – Paulina uśmiechnęła się ironicznie do Igora.

– No i po prawej Ukrzyżowanie, a po lewej Zmartwychwstanie.

– A na dole? – Paulina pochyliła się w kierunku ołtarza. – W środku to oczywiście scena złożenia Chrystusa do grobu, ale te dwie gęby po obu stronach?

Igor spojrział na ekran iPada, który wyciągnął przed chwilą z torby.

– Gęby... – Pokręcił głową – To wizerunki Marcina Lutra i elektora saskiego Jana Fryderyka – powiedział, przeglądając krótką informację na temat ołtarza zamieszczoną w Wikipedii.

– Całkiem klasyczne przedstawienia. – Johann wpatrywał się w środkową scenę złożenia do grobu w dolnej części ołtarza. – Nie wiem, jaka by tu mogła się ukrywać zaszyfrowana wiadomość.

Paulina obeszła prezbiterium i spojrzała na tył ołtarza.

– Zakładając, że Igor ma rację z tym remontem, możemy od razu wykluczyć schowki, napisy ukryte pod płaskorzeźbami i tym podobne. Tylko co innego zostaje?

– Wiecie, że ten kościół jest pod wezwaniem Marii Magdaleny? – Igor podniósł brwi i uśmiechnął się. Paulina spojrzała pod nogi na kamienną posadzkę. Jej wrodzony sceptycyzm wziął jednak górę.

– Znasz dykteryjkę o tysiącu małp zamkniętych przez ileś tam lat w pokoju z brulionem i pisakami? – Spojrzała na Igora, który pokiwał głową. – W końcu napiszą wszystkie dzieła Szekspira. Nie doceniasz potęgi przypadku.

Od strony wejścia rozległy się kroki. Katechetka, z rękami założonymi za plecy, podeszła do Igora i stanęła obok, patrząc na szczyt ołtarza.

– Przepiękny jest, prawda? – Uśmiechnęła się do Pauliny. – Pierwotnie miał drugie piętro, a w nim były te dwie płaskorzeźby, które są teraz w predelli.

– W czym? – Paulina podniosła brwi i podeszła bliżej.

– W dolnej części ołtarza. – Kobieta uśmiechnęła się, wskazując ręką środkową scenę. – W nadstawie, oprócz Lutra i Jana Fryderyka, były także dwie, zaginione dzisiaj, płaskorzeźby, przedstawiające Filipa Melanchtona oraz fundatora ołtarza, księcia Barnima Jedenastego, zwanego Starym.

– Kim był ten Melanchton? – Paulina spojrzała z zainteresowaniem na kobietę.

– To współtwórca reformacji, współpracownik Lutera. – Igor uprzedził katechetkę. – Tak jak Luter, wykładał w Wittenberdze.

– Tak właśnie. – Kobieta uśmiechnęła się ponownie. – Nadstawa musiała zniknąć jeszcze w czasach, gdy ołtarz stał w starym kościele, rozebrany w końcu dziewiętnastego wieku. Zamiast niej bowiem przed wojną dorobiono, dziś także niezachowane, dwie postacie rycerzy, które wieńczyły ołtarz z dwóch stron.

– Bardzo burzliwe dzieje miał ten ołtarz – powiedziała Paulina, po czym przetłumaczyła treść rozmowy Johannowi.

– A słyszeliście państwo o tym, że według legendy wyrzeźbił go własnoręcznie właśnie ów szczeciński książę Barnim Jedenasty? Był znany z zamiłowania do snycerki i podobno był bardzo dobrym rzeźbiarzem.

Igor pokiwał głową i nagle zamarł ze wzrokiem wbitym w uśmiechającą się pogodnie kobietę. Co ona powiedziała? Że był doskonałym rzeźbiarzem, a wcześniej? Igor poczuł, że pomimo chłodu panującego w świątyni zrobiło mu się nagle gorąco.

Ołtarz miał nadstawę, w której pierwotnie znajdował się zaginiony wizerunek Barnima XI! Zaginiony! Barnim XI był doskonałym rzeźbiarzem!

Barnim XI Stary! Zupełnie zapomniał o drugim przydomku księcia!

I w tym momencie stanęły mu przed oczami słowa, które czytał chyba ze sto razy.

*...Już teraz tęsknię za naszym domem, lasem i kamieniami przodków i za Starym Rzeźbiarzem Pod Czerwoną Różą...*

## Rozdział 31

Dorota, głośno stukając obcasami, przeszła przez hall i nie zwalniając, skierowała się do małej salki konferencyjnej, w której, jak się dowiedziała przed chwilą w recepcji, przebywał Parsov. Informacja o tym, że polecił kategorycznie sobie nie przeszkadzać, nie zrobiła na niej wrażenia. Sama jednak zrobiła wrażenie na recepcjonistce, która wystraszona bezpardonowym potraktowaniem natychmiast zadzwoniła do kierowniczk.

Szarpnęła za klamkę. Drzwi do sali były zamknięte. Zobaczyła, że w jej kierunku idzie właśnie niekryjąca zdenerwowania młoda kobieta w granatowym kostiumie, a za nią mężczyzna w uniformie obsługi. Podniosła rękę i głośno zastukała w mahoniowe drewno.

– Przepraszamy panią, ale pan Parsov polecił nikogo nie wpuszczać. Musimy prosić panią o opuszczenie hotelu. – Kobieta zatrzymała się przed Dorotą i spojrzała na nią z lekką irytacją, ale i niepewnością.

– Proszę mi wierzyć, że pan Parsov mnie przyjmie. – Dorota obrzuciła kobietę lodowatym spojrzeniem i po raz drugi energicznie zastukała w drzwi.

– Proszę pani, przecież wyraźnie powiedziałam... – Młoda kobieta zrobiła niezdecydowany ruch, jakby się zastanawiała, czy nie zasłonić drzwi własnym ciałem. Mężczyzna za jej plecami nerwowo rozejrzał się wokół siebie.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich Parsov. Miał tak wściekłą minę, że kierowniczka odruchowo cofnęła się o krok. Na widok Doroty wyraźnie się zawahał. Chciał coś powiedzieć, ale zmarszczył tylko brwi i zrobił krok do tyłu. Dorota weszła do środka.

– *Alles in Ordnung! Danke schön!* – rzucił do menedżerki, po czym zatrzaskał jej drzwi przez nosem.

Dorota spostrzegła w głębi sali stojącego nad stołem Hansa. Podeszła do niego, wyjęła ze swojej torby gazetę i rzuciła ją prosto w twarz zaskoczonych Niemca.

– Zabiliście tę dziewczynę, ty parszywy bydlaku!

Hans ścisnął w garści gruby plik sobotniego wydania dziennika i rzucił go na stół.

– Nie mieliśmy wyjścia. Zamknęliby nas wszystkich, gdybym tego nie zrobił. Włącznie z tobą – wycedził.

– Ze mną? Nie mam z wami nic wspólnego!

– Trochę za późno do tego doszłaś!

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, mierząc się wściekłym wzrokiem.

– Zamierzam prosto stąd iść na policję! – powiedziała w końcu Dorota, nie spuszczać wzroku z Hansa.

– Gówno prawda! Gdybyś chciała pójść, poszłabyś od razu po przeczytaniu tego brukowca! Ale ty przyszłaś tutaj, bo chciałaś wysondować, czy nie uda ci się czegoś dodatkowo ugrać!

Dorota zacisnęła usta w wąską kreskę. Nie miał racji. Wiadomość podana na pierwszej stronie wręcz ją przeraziła. Przeraziły ją konsekwencje tego, w co się wdała. Poza tym przecież знаła Beatę. Nie były przyjaciółkami, nawet trudno byłoby nazwać je koleżankami, ale znała ją dość dobrze.

– Proszę się uspokoić! Oboje! – Parsov okrążył stół i spojrzał na Dorotę spojrzeniem bazyliuszka. – Pani udział w tej, pożałuj Boże – spojrzał wściekle na Hansa – operacji jest oczywisty. Na szczęście, powiązanie tego morderstwa z nami jest bardzo mało prawdopodobne. Hans i Matthias dzisiaj rano przyjechali z Berlina.

– Z jakiego Berlina? Co pan bredzi? – Dorota popatrzyła na Parsova, marszcząc brwi.

– Z Berlina, stolicy Niemiec. – Parsov rzucił jej drwiące spojrzenie. – Potwierdzi to kilka niewzbudzających podejrzeń osób oraz patrol policji, który zatrzymał ich o szóstej rano, zmierzających ze zbyt dużą prędkością w kierunku granicy.

Dorota milcząc, patrzyła na Parsova, po czym przeniosła wzrok na Hansa.

– Pamiętaj także o swoich długach u niejakiego Kurta Jansena. Ciekawe, co by powiedział na twój udział w tym wszystkim? – Hans uśmiechnął się złośliwie.

Dorota zacisnęła usta, po czym odetchnęła, obrzucając Niemca chłodnym

spojrzeniem. Czuła się z tym niezręcznie i wiedziała, że powinna gardzić sobą za to, ale poczuła ulgę po usłyszeniu tego, co powiedział Parsov. Ich alibi zapewniało bezpieczeństwo także jej. Trudno jej się było przyznać przed sobą, że to strach o własną skórę był tym, co kierowało nią przede wszystkim, a nie myśl o śmierci znajomej. O czyjejkolwiek śmierci, do diabła! Poza tym pierwsze, o czym pomyślała po przeczytaniu artykułu, to że zawali się ostatecznie jej sklecona na potrzeby Kurta piramida kłamstw. Zdążyła przelać pieniądze na jego konto, ale nie miała czasu, by wymyślić jakieś prawdopodobne kłamstwo wyjaśniające, dlaczego w ogóle korzystała z jego funduszu. Miała przygotowaną rozdzierającą historię o chorobie matki, ale musiała ją jeszcze dopracować.

– Im prędzej zdobędziemy wszystko, co jest nam potrzebne, tym prędzej będziemy mogli się rozstać. Pani pomoc będzie nam jeszcze niezbędna. – Parsov rzucił jej pogardliwe spojrzenie, po czym opuścił wzrok na stół.

Dorota dopiero teraz zauważyła, że na mahoniowym blacie leży, nakryta przezroczystą płytką z tworzywa sztucznego, stara zniszczona mapa. Poczowała, że ciekawość bierze w niej górę nad wszystkimi targającymi nią wątpliwościami i strachem.

– Czy to było w tym sarkofagu? – spytała, podchodząc do stołu.

– W trumnie, jeśli chodzi o ścisłość. – Hans uśmiechnął się z przekąsem. – Wiesz, co to jest?

Dorota wiedziała.

\*

Panującą w kościele ciszę przerwał nagle grzmot tak potężny, że szyby w wysokich neogotyckich oknach trwożnie się zatrzęsły. Paulina drgnęła i rozejrzała się z przestraszeniem wokół siebie.

– Zanosilo się na to od kilku dni. – Katechetka opuściła splecione do tej pory ręce i przeżegnała się szybko, odwracając się jednocześnie w kierunku ołtarza.

Rosnące w pobliżu kościoła drzewa gwałtownie się ugięły pod uderzeniem nagłego wiatru, rzucając splątane cienie na posadzkę kościoła. Nagle zrobiło się bardzo ciemno, prawie granatowy mrok pojawił się w oknach prezbiterium i powoli zaczął wpełzać do wnętrza świątyni.

Igor, który ciągle miał przed oczami słowa z listu Barnima, zadarł głowę do góry, patrząc na drgające za oknami gałęzie rosnącego przed kościołem wielkiego modrzewia.

– Zaraz będzie pompa – powiedział Johann, spoglądając w kierunku wyjścia. Przez otwarte drzwi kościoła widać było trawnik, którego soczysta zieleń wydała się nagle jeszcze bardziej intensywna w zderzeniu z ciemniejącym niebem.

*...Starym Rzeźbiarzem Pod Czerwoną Różą... Pod Czerwoną Różą...*

W głowie Igora cały czas dźwięczały słowa, które tydzień temu przeczytał po raz pierwszy, a potem wielokrotnie słyszał z ust Pauliny, Johanna i które sam dziesiątki razy wypowiadał. Wystarczyło tylko zajrzeć pod czerwoną różę.

I chyba wiedział, gdzie ją znaleźć.

– Pytałem, co robimy?

Igor drgnął i zauważył dopiero teraz, że Johann stoi naprzeciwko niego i przypatruje mu się uważnie. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Igor spojrział wciąż rozkojarzonym wzrokiem na Johanna, po czym sięgnął do kieszeni i wygrzebał z niej skowyczącego iPhona'a. Rzucił okiem na wyświetlacz.

– Tak, tato?

– Posłuchaj, Igor, dzwonię, bo mieliśmy dziwną wizytę. Był tu jakiś facet i twierdził, że jest twoim kolegą. Pytał, gdzie może cię znaleźć.

– Jaki facet? – Igor ściągnął brwi. – Co mówił konkretnie?

– No, że przejeżdżał i postanowił wpaść, bo słyszał, że będziesz na wsi przez weekend.

– Jak wyglądał? – Igor poczuł niesprecyzowany niepokój.

– To matka, niestety, z nim gadała...

W słuchawce słychać było przez chwilę jakieś szmery i po chwili rozległ się głos Anny Fleming.

– Bardzo sympatyczny młody człowiek. Wysoki, bardzo przystojny brunet, chociaż, według mnie, za szczupły. Dokładnie tak jak ty...

– Mamo, co mówił? Czego chciał?



– No, pytał się, czy nie wiem, gdzie pojechaliście.

– I co powiedziałaś?

– No jak co? Że pojechaliście zwiedzić Sowno i Marianowo. A co miałam powiedzieć? O której wracacie? Pamiętasz chyba, że na podwieczorek przychodzi pani Natalia? Igor? Słuchasz mnie?

– Przyjechał z jakimś kolegą chyba. Takim wielkim terenowym bmw. – Igor usłyszał w tle głos ojca.

– Kurwa! – powiedział cicho, patrząc wprost na Johanna, który stał naprzeciw niego i intensywnie przysłuchiwał się rozmowie, chociaż nie rozumiał z niej ani słowa.

Podeszła do nich Paulina i rzuciła pytające spojrzenie Johannowi, ten zaś wzruszył ramionami i wskazał brodą Igora.

Igor, ignorując pytania matki, schował telefon do kieszeni i zacisnął wargi.

– Zmiana planów! Jedziemy do Szczecina i to szybko!

– Dlaczego? Coś się stało? – Paulina uniosła wysoko brwi.

– Ten czarny samochód z lotniska. Byli u rodziców. Jadą tutaj!

– Cholera jasna! Czego oni chcą? – Paulina z niepokojem spojrzała w kierunku wejścia.

– Jak to czego? – Igor popatrzył na nią ze zniecierpliwieniem. – To chyba jasne. W każdym bądź razie, nie mają dobrych intencji.

Od strony prezbiterium nadeszła katechetka.

– Nie chciałabym państwu przerywać, ale musimy już iść. – Uśmiechnęła się przepaszająco. – Muszę zamknąć kościół.

– Oczywiście! – Igor skinął głową na Paulinę i Johanna i ruszyli w kierunku przedsionka. – Poczekamy w samochodzie, odwieziemy panią oczywiście.

– Bardzo dziękuję. Do mojego domu jest stąd kawałek, a zaraz pewnie będzie lało jak z cebra.

\*

– W nocy nikt nie widział nikogo na dachu. Zresztą żeby się dostać na dach, musieliby wejść do środka. – Policjantka usiadła na ławce obok

Bondara i położyła na kolanach teczkę z dokumentami.

Siedzieli na dziedzińcu zamkowym. Bondar obszedł właśnie dookoła cały zamek, oglądając wszystkie wejścia do budowli, po czym opadł na jedną z drewnianych ławek, stojących przed zasłoniętą teraz granatową plandeką sceną.

Prześwitujące co jakiś czas spoza wolno gromadzących się chmur słońce miło grzało w twarz.

Wszystko wskazywało na próbę kradzieży. Prawdopodobnie jest całe mnóstwo kolekcjonerów, którzy zapłaciliby każde pieniądze za prawdziwy sarkofag książęcy z XVI wieku. Komorowska przeszkodziła im i dlatego zginęła.

– Pytanie, czy to ci sami ludzie, którzy byli w podziemiach hotelu z Flemingiem – powiedział bardziej do siebie, niż do siedzącej obok blondwłosej policjantki.

– Fleminga nikt tutaj wczoraj nie widział, chociaż sporo ludzi go zna. Praktycznie cała pracownia konserwatorska, a także dyrekcja zamku.

– Fleming dzisiaj rano przyleciał do Polski. Ma niepodważalne, załatwione przez angielską policję alibi. – Bondar uśmiechnął się kwaśno.

Rozmowę przerwał sygnał komórki. Bondar sięgnął do kieszeni, spojrzał na wyświetlacz i przyłożył telefon do ucha. Pilecki.

– Właścicielem czarnego bmw X6 jest niejaki Matthias Jost. Facet pracuje w Berlinie w Detlov Exploration BV. To firma zajmująca się głównie penetracją i podnoszeniem wraków. Jest aktualnie w Polsce, ale przyjechał dopiero dzisiaj rano.

Bondar się skrzywił.

– Sprawdziłeś, czy samochód nie został skradziony?

– Nie zgłoszono tego. Sprawdziłem natomiast grubasa, który stał obok samochodu. – Pilecki zawiesił głos. W tle było słychać szum silnika.

– No i... – Bondar syknął ze zniecierpliwieniem.

– Jakiś szemrany typ. Pochodzi ze Szczecina, ale od kilku lat mieszka w Niemczech. Nazywa się Karpacki, aktualnie Karpacky przez „y”. W Polsce ma wyrok w zawieszeniu za udział w napadzie.

– Jesteś pewien, że stał przy tym bmw? Może to przypadek?

– Wątpię, chociaż teoretycznie to możliwe. – Głos Pileckiego zanikł na chwilę w warkocie dochodzącym z zewnątrz samochodu.

Bondar schował telefon do kieszeni i wstał.

– Jadę do biura – zwrócił się do policjantki. – Dzwon w razie czego.

Dziewczyna pokiwała głową.

\*

– Dokąd ty jedziesz? Do Szczecina jest przecież prosto. – Johann odwrócił się do Igora, który ścisnął kierownicę, spoglądając co chwilę w lusterko wsteczne.

– Do Goleniowa. Po samochód – mruknął.

– A nie moglibyśmy jechać tym? Stracimy godzinę, a w dodatku oni mogą nas dopaść, jak będziemy wracać. – Paulina obejrzała się za siebie. Nie uszło jej uwagi, że Igor co chwilę spogląda w lusterko.

– Matka im wyśpiewała, że jedziemy czarnym jeepem, a poza tym zapłacę majątek za ten cholerny parking. No i mam w bagażniku segregator z dokumentacją, która będzie mi potrzebna w poniedziałek.

– Mówiłam ci, jak wylatywaliśmy do Londynu, żebyś poszukał miejsca na parkingu wielodobowym, to nie...

– Nie było miejsca. Poza tym różnica w cenie za te parkingi jest śmieszna – prychnął Igor.

Przez chwilę słychać było jedynie mruczenie silnika i gwizd wiatru.

– Widziałem, że o czymś intensywnie myślałeś, gdy ta kobieta mówiła o ołtarzu? – Johann zmienił temat, rzucając pytające spojrzenie Igorowi.

– Z całego ołtarza zaginęła nadstawa z płaskorzeźbą przedstawiającą kogo? – Igor spojrzął w lusterko prosto w oczy Pauliny.

– Barnima Dziewiątego – mruknął Johann.

– Czyli Starego Rzeźbiarza. – Igor pokiwał głową. – Opowiadanie tej kobiety mnie oświeciło, że Barnim Dziewiąty Pobożny był nazywany także Starym. Z niczym wam się to nie kojarzy?

Paulina zmarszczyła brwi, po czym nagle otworzyła usta, patrząc z niedowierzaniem w okno.

– Rzeczywiście! – powiedziała cicho do siebie, przypominając sobie słowa z listu Barnima von Ramina: *Już teraz tęsknię za naszym domem, lasem i kamieniami przodków i za Starym Rzeźbiarzem Pod Czerwoną Różą.*

Po dłuższej chwili podniosła wzrok, spojrzała w lusterko i napotkała wzrok Igora.

– Wiemy, gdzie był dom Ramina i gdzie są te kamienie przodków, ale o co chodzi z tą czerwoną różą? Czy to naprawdę może być jakaś znana, przedwojenna knajpa?

– Nie. – Igor pokręcił głową. – Potrzebna nam będzie łopata.

\*

– Piękna – powiedziała cicho Dorota, patrząc z podziwem na starą mapę. – Wygląda jak wczesne wydania z Florencji. Jeśli znajdowała się w trumnie Barnima, to musi być co najmniej z połowy szesnastego wieku. – Spojrzała pytająco na Hansa.

– Jest starsza – odpowiedział z błyskiem w oczach. Zastanowiło ją przez moment, jak to się stało, że z bezwzględnego zimnego typu przeistoczył się na chwilę w pełnego pasji człowieka, zdolnego do okazywania zachwyty i emocji.

– Starsza? Najstarsze mapy pochodzą z początku piętnastego wieku, o ile wiem. – Opuściła głowę, patrząc z jeszcze większym zainteresowaniem na stary pergamin.

– Nie uwierzysz, jak powiem. – Hans uśmiechnął się. W jego oczach błyszczała prawdziwa fascynacja. Patrzyli na siebie przez moment, zapominając o wydarzeniach, które sprowadziły ich do tego pomieszczenia, a zwłaszcza o kontekście tych wydarzeń, który uczynił z nich wrogów, połączonych krótkotrwałym paktem o nieagresji.

– Wczoraj w nocy jej maleńki skrawek trafił do Berlina do naszego laboratorium...

– Nie sądzę, żeby konieczne było wtajemniczenie pani Fleming w nasze odkrycie – przerwał Parsov, opierając obie ręce na końcu stołu i patrząc na Hansa z malującą się w oczach groźbą.

Hans zamilkł i popatrzył na swojego mocodawcę.

– Może jeśli zdradzimy jej tę w zasadzie mało istotną dla całej sprawy informację, to poczuje się bardziej zmotywowana do dalszej współpracy z nami? – Hans uśmiechnął się pod nosem, patrząc ironicznie na Dorotę. Miły gość, mający swoje pasje i zainteresowania, zniknął ponownie pod maską zimnego drania.

– O ile nie pójdę stąd prosto na policję. – Dorota pochyliła się od niechcienia nad stołem, patrząc na stary kawałek pergaminu. – Właśnie sobie uświadomiłam, że dostarczenie inwentaryzacji konserwatorskiej zamku, w dodatku bez żadnej wiedzy, do czego ma służyć, nie jest przestępstwem, to nie są tajne materiały.

– Mapa pochodzi z dwunastego wieku – powiedział Hans dobitnie, patrząc szyderczo Dorocie w oczy. Z satysfakcją zauważył, że drgnęła, a na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie.

– Z dwunastego? To niemożliwe!

– Wystarczy już tych popularnonaukowych opowiadań!

Parsov oparł się o stół i spojrzał na Dorotę. Na jego twarzy widać było zniecierpliwienie wymieszane z irytacją. Nie przywykł do tego, żeby ktokolwiek wdawał się z nim w dłuższe dyskusje, a jeszcze w dodatku ktoś tak bezczelny i pewny siebie jak ta cholerna Polka.

– Ma pani do wyboru albo dalszą współpracę z nami, która, mam nadzieję, nie będzie wymagała dalszych ofiar... – Przerwał i spojrzał znacząco w kierunku Hansa, który uśmiechnął się samymi ustami.

– Albo? – Dorota odwróciła się do Parsova z wyzywającym wyrazem twarzy.

Nie zdążył odpowiedzieć. Nad ich głowami rozległ się nagle grzmot, tak potężny, jakby nad budynkiem eksplodowała bomba. Wszystkie meble w pokoju zatrzęsły się, a stojące na stoliku śniadaniowym pod ścianą talerze i filiżanki zaświergotały metalicznie, niczym przerażone stadko domowego ptactwa. Na parkingu, pod oknami sali konferencyjnej, rozległ się przeraźliwy chór alarmów samochodowych.

Parsov podskoczył przestraszony.

– Na miłość boską! – Odwrócił się gwałtownie w kierunku okien.

Hans zdusił pod nosem przekleństwo, a następnie podniósł wysoko brwi i sięgnął do kieszeni, wydając kluczyki na czarnym skórzanym breloku.

Szybkim krokiem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Parsov zrobił kilka kroków w jego kierunku, spoglądając trwoźnie na ciemniejące niebo.

Dorota zachowała zimną krew.

Niezauważalnym ruchem wyjęła telefon i zanim którykolwiek z mężczyzn odwrócił się w jej kierunku, błyskawicznie zrobiła zdjęcie starego pergaminu.

## Rozdział 32

Po co ci łopata? – Paulina pochyliła się w kierunku przednich foteli. Igor zwolnił i zjechał na prawy pas. Jadący za nim srebrny mercedes zaczął się szybko oddalać.

– Po co ci ta łopata? – Paulina nie dawała za wygraną. Także Johann odwrócił się do Igora i spojrzał na niego pytająco. Fleming skrzywił się i rzuciwszy okiem w lusterko, zobaczył, że Paulina patrzy na niego z nieustępliwym wyrazem twarzy.

Przedsięwzięcie, do którego potrzebna była łopata, wymagało dyplomacji.

Zastanawiał się, jak najlepiej zacząć, gdy jego uwagę przykuł małeńki punkt na szosie, kilkaset metrów za nimi. Zmarszczył brwi i przyśpieszył. Paulina, która zauważyła ten manewr, odwróciła się i zaczęła wyglądać przez tylną szybę samochodu.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Johann.

– No właśnie nie jestem pewien – mruknął Igor, patrząc w lusterko.

– Sądysz, że to oni? – spytała Paulina, chwytając się oparcia fotela Igora.

– Zmarnowaliśmy sporo czasu na jazdę do Goleniowa. – Igor wzruszył ramionami. – Mogli pojechać i do Sowna, i do Marianowa, i właśnie zaczynają nas doganiać.

Zwolnił, widząc znaki informujące o zjeździe w prawo. Wrzucił kierunkowskaz i zjechał na pas dla skręcających do prawobrzeżnej części Szczecina.

– Zjeżdżają na prawo! – Johann siedział odwrócony i patrzył w tylną szybę. – To chyba tamto cholerne czarne bmw!

Igor zwolnił przed samym zakrętem i zjechał z szosy na zjazd w boczną drogę, prowadzącą przez las. Wcisnął pedał gazu i spojrzał w lusterko wsteczne. Czarnej terenówki nie było jeszcze widać na zakręcie.

Toyota Igora zamruczała groźnie, a drzewa po obu stronach drogi zaczęły

szybko uciekać w przeciwnym kierunku.

– Tam jest przejazd kolejowy – jęknęła Paulina. – Jeśli będzie akurat zamknięty, to jesteśmy ugotowani.

– Nie przesadzaj, nie zaczną przecież do nas strzelać. – Igor nerwowo zerkał w lusterko.

Na kolejnym łagodnym łuku drogi dostrzegł daleko za nimi czarny samochód, który nieubłaganie zbliżał się w ich kierunku. Wdusił pedał gazu, przyśpieszając na wąskiej drodze do 140 kilometrów na godzinę.

Bmw miało silnik jak smok. Byłoby bez szans z jego toyotą w terenie, ale na zwykłej drodze to był potwór. Droga łagodnym skrzyżowaniem wchodziła w ostatnią prostą, na końcu której majaczyły już pierwsze zabudowania przedmieść Szczecina.

Odetchnął. Przejazd był otwarty. Jeśli tylko wjadą w dość gęstą zabudowę Dąbia, to raczej nic im nie będzie groziło. Poza tym po drodze jest komisariat.

– Zwolnij przed tym przejazdem. – Paulina zagryzła wargi. Sama nie wiedziała, czy bardziej boi się szaleńczej, rozwijanej w dodatku na wąskiej drodze prędkości, czy tego czarnego samochodu za plecami.

Bmw było już jakieś dwieście metrów za nimi, gdy Igor ze zgrozą zauważył, że pomarańczowe światło przed torami zmienia kolor na złowrogą czerwień. Do przejazdu zostało im tylko kilkaset metrów.

– Zabiją nas! – Paulina jęknęła. – Nikogo w dodatku nie ma przed nami na tym przejeździe!

– Dzwonię na policję! – Johann sięgnął do kieszeni.

Igor spojrzął w lusterko. Szlaban drgnął i powoli zaczął się opuszczać.

Raz kozie śmierć!

Zagryzł wargi i wdepnął pedał gazu do oporu. Samochód zaryczał i rzucił się do przodu.

– Co ty robisz? Rozwalisz szlaban! – Johann wbił palce w skórzane siedzenie. Do przejazdu zostały metry, a zdarzenia następowały w ułamkach sekund.

Toyota przemknęła pod opadającym szlabanem i wpadła na tory, które na szczęście w tym miejscu zalane były betonem, tworzącym całkiem równą



nawierzchnię. Do szlabanu po drugiej stronie zostało kilka metrów. Z przeciwnej strony nadjeżdżał właśnie biały bus. Kierowca zatrzymał się i wbił przerażone spojrzenie w szarżującą toyotę. Wdusił klakson, nerwowo spoglądając w kierunku nadjeżdżającego od strony miasta pociągu. Igor odbił mocno w prawo i samym skrajem przejazdu przemknął pod zamykającym się szlabanem, dosłownie w ostatniej sekundzie mijając jego drewniane ramię. Miał wrażenie, że czas nagle zwolnił. Zobaczył, jak kierowca białego busa patrzy w jego kierunku i powoli stuka się palcem w czoło. Na przejazd bez pośpiechu wtaczał się pociąg. Czarne bmw zniknęło za długim składem towarowych wagonów.

– Chryste... – Paulina odzyskała głos i odetchnęła.

– To było niezłe. – Johann uśmiechnął się nerwowo i spojrzał na Igora.

Igor poczuł, że ma mokry od potu kark.

– Skręć w prawo! – Paulina schwyciła się oparcia za nim i wskazała brodą prawą stronę drogi. – Jak wjedziemy pomiędzy domki, to nas nie znajdą.

Toyota skręciła w boczną drogę i pomknęła między rzędami domów jednorodzinnych, zostawiając za sobą tuman kurzu.

\*

Karpacky, który wstrzymał oddech, gdy bmw z piskiem opon hamowało przed biało-czerwonym szlabanem, a toyota zniknęła właśnie między drzewami, odetchnął i wytarł chusteczką czoło.

– Ja pierdołę, niezły kozak.

Matthias zacisnął zęby i rzucił mu niechętne spojrzenie. Sięgnął po telefon.

– Uciekli nam – powiedział do mikrofonu, patrząc w kierunku przejeżdżającego pociągu. – Znajdziemy ich w mieście, jada od strony Dąbia. Tak, na pewno ich nie zgubimy.

\*

– Jesteś pewien, że oni uciekali przed tymi facetami z bmw? – Bondar patrzył na Pileckiego, który wytarł dłonią spocone czoło i wzruszył ramionami.

– Pewny nie jestem, ale to nagranie na to wskazywało. Nie mogli widzieć

policyjnego samochodu, bo stał za daleko od hali. Sądzę, że chcieli zejść z oczu tym drabom.

– A ten facet w mercedesie?

– Ojciec Fleminga. – Pilecki oparł się o ścianę obok drzwi. – Dzwoniłem do niego. Powiedział, że Fleming prosił go o przyjazd na lotnisko. Miał być u nich przez weekend. Nic nie wie, ale słyszałem, jak jego żona w tle mówiła coś w stylu: „ten Igor w końcu napyta sobie biedy”.

– W poniedziałek Fleming ma tu przyjść i wreszcie odpowiedzieć na wszystkie pytania! – Bondar spojrział na Pileckiego. – Ten Angol i ta laska też. Dzwon do niego aż do skutku.

Pilecki pokiwał głową.

– Jeszcze coś. Okazało się, że tydzień temu Fleming chciał zgłosić włamanie.

– Włamanie? I co? – Bondar spojrział zaskoczony.

– Dyspozytorka nie przyjęła zgłoszenia, bo nic nie zginęło, a Fleming sam nie był pewien. – Pilecki ponownie otarł czoło wierzchem dłoni. Cholerny upał. Słabo znosił wysokie temperatury. Był raczej „zimnego chowu”, jak określał to jego ojciec.

– Mimo to chciał to zgłosić. Przyjechał do komendy, ale nie doczekał się na dyżurnego.

Bondar zmarszczył brwi.

– Tej samej niedzieli było także włamanie do Weber. – Pilecki spojrział do notesu. – Około dwudziestej drugiej, tym razem była policja i spisała wszystko. Wezwała ich sąsiadka, nie było wtedy nikogo u nich w domu.

– To raczej nie może być przypadek. – Bondar pokręcił głową.

– Też tak myślę. – Pilecki wzruszył ramionami. – Nic nie znaleźli, bo pies ich spłoszył.

Bondar wziął do ręki zdjęcie sarkofagu, które od tygodnia leżało na jego biurku i wbił wzrok w ciemną na krawędziach i rozświetloną w środku fotografię.

– To wszystko musi się jakoś łączyć – myślał głośno. – Włamania do Fleminga i Weber, morderstwo w zamku. Nietrudno się domyślić, że chodzi

o coś związanego z sarkofagiem.

– Ci kolesie z bmw najwyraźniej czegoś szukają. Myśleli, że ma to Fleming albo Weber, a teraz włamali się do zamku, aby to ukraść. – Pilecki pokiwał głową.

– Ale szefowa pracowni konserwatorskiej zaklina się, że nic nie zginęło.

– Więc pewnie w dalszym ciągu ma to Fleming albo Weber.

– Albo jednak było coś w tej trumnie i oni to zabrali – powiedział Bondar.  
– O ile pamiętam, trumną konserwatorzy jeszcze się nie zajmowali. Stała i czekała dopiero na rozpoczęcie badań. Tylko co to może być? Przecież zawartość, cała biżuteria o rzeczywiście wielkiej wartości została już przekazana do konserwacji. Ta trumna to tylko stare drewno.

– Może ci Niemcy wiedzą o czymś, o czym nie wiedzą konserwatorzy? – Pilecki wzruszył ramionami.

Bondar spojrział na niego sceptycznie, po czym zmarszczył brwi.

\*

– Skręć tutaj w lewo! – Paulina pochyliła się nad fotelem kierowcy.

– Czemu? – Igor zwolnił i wrzucił kierunkowskaz.

– Lepiej nie zatrzymuj się na mojej ulicy. Wiedzą, gdzie mieszkam, i znają twój samochód. Dostaniemy się do mojego domu przez ogród sąsiadów.

Igor pokiwał głową i zwolnił na wąskiej uliczce, po bokach której stały szeregami zaparkowane auta. Wolne miejsce znaleźli prawie na końcu ulicy, przy dużej, otynkowanej na żółto, przedwojennej willi.

– Kilka domów wcześniej, ten biały. To nasi oswojeni sąsiedzi. – Paulina wskazała brodą bliźniak z lat siedemdziesiątych z dobudowanym wysokim dachem. Zza ogrodzenia przed budynkiem wylewała się kipiela zielonych liści rozrośniętego krzewu forsycji.

Paulina nacisnęła guzik domofonu.

– Dzień dobry, pani Halino. Czy możemy przejść? Zamek w naszej furtce się chyba zaciął.

Rozległ się cichy brzęczyk, a przez okno na podeście wyjrzała starsza pani, która przyjaźnie pomachała ręką i odwzajemniła uśmiechy, które posłali jej Johann i Igor.

Przeszli wąską ścieżką wzdłuż bocznej elewacji budynku, a potem przez furtkę na tyłach działki dostali się do ogrodu za domem Weberów.

– Pies jest niegroźny. Był szkolony, nic nie robi – powiedziała Paulina uspokajająco na widok miny Johanna, który zauważył właśnie biegnącego w ich kierunku w radosnych podskokach Maksa.

– Zostaniesz tutaj i będziesz pilnował. – Paulina pogłaskała skaczącego wokół niej psa i przepuściła za plecami Johanna i Igora. Rozejrzała się dyskretnie po ulicy przed domem i wbiegła na schody prowadzące do drzwi wejściowych.

\*

Dorota, żegnana niechętnym wzrokiem recepcjonistki, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem, wyszła na zewnątrz budynku i stanęła na podeście ganku, pomiędzy dwiema pękatymi kolumnami. Niebo było granatowe, a od strony Odry nadpływała ogromna, prawie całkiem czarna chmura. Wyjęła kluczyki z torebki i ruszyła w kierunku białego mercedesa SLK.

Czekając, aż elektryczny dach się zamknie nad samochodem, pozwoliła, by jej myśli swobodnie dryfowały, wpadając co chwila w mielizny niepokojów.

Trudno, co będzie, to będzie. Wychodząc z hotelu, podjęła już decyzję.

\*

– Nie mówisz tego oczywiście poważnie? – Paulina zastygła bez ruchu obok lodówki, trzymając w ręku butelkę z wodą mineralną, z której przed chwilą wypła duszkiem spory łyk.

Igor i Johann siedzieli na wysokich stołkach. Johann patrzył na kolegę z malującym się w oczach osłupieniem. Igor zasłonił usta szklanką z wodą i mrugnął.

– Odbiło ci? Za to grozi kilka lat więzienia! Mowy nie ma! Nigdy się na to nie zgodzę!

– Za włamanie do prezydenta też nam groziło więzienie. – Igor wzruszył ramionami. – Nie mówiąc o kradzieży obrazu wartego kilka milionów funtów z brytyjskiej galerii.

– Brytyjska galeria. – Johann parsknął – Nieźle powiedziane.

– No a nie? To co z tego, że pałac należy do twojego ojca. Galeria to galeria.

– Jeśli to mnie miało zachęcić do tego kretyństwa, to wybrałeś mało przekonujący sposób. – Paulina upiła kolejny łyk z butelki i odstawiła ją na blat obok zlewozmywaka.

– Jesteś pewien, że to tam? – Johann popatrzył na Igora powątpiewająco.

– Miało być pod różą? I jest róża, w dodatku to bardzo dobrze wybrane miejsce. Nikt tam nie miał nic do szukania, nawet szaber nie wchodził w rachubę. Przez ponad pół wieku przeleżało spokojnie, czekając na znalazcę.

– Czyli na ciebie? – Paulina pokiwała pobłaźliwie głową.

Igor ściągnął usta ze zniecierpliwieniem.

– A co ty się spodziewasz tam znaleźć? – Paulina oparła się o zlew i założyła ręce na piersiach.

– Barnim zostawił informację, że coś znajduje się pod różą...

– Nie! – przerwała Paulina. – Zostawił informację, że tęskni za starym rzeźbiarzem pod czerwoną różą. Reszta to twoja interpretacja.

– Jasne. – Igor uśmiechnął się złośliwie. – Tęsknił za starym barmanem z jakiejś knajpy Pod Różą, który w wolnym czasie zajmował się rzeźbieniem. To dopiero jest interpretacja.

Paulina wzniosła oczy ku niebu.

– Naprawdę sądzisz, że znajdziemy tam brakującą płaskorzeźbę z ołtarza Barnima Dziewiątego? Po co właściwie masoni mieliby ją zabierać? Nie wystarczyło im, że przeczytali to, co jest tam napisane? – Johann sięgnął po szklankę i nalał sobie soku.

– O ile w ogóle coś jest gdziekolwiek napisane. – Paulina popatrzyła ironicznie na Igora.

Ten wzruszył ramionami.

– Ołtarz się tułał po Pomorzu, był w coraz gorszym stanie. Wylądował w końcu na strychu starej szkoły w Sownie. Po prostu zabrali to, żeby nie uległo zniszczeniu. Część z tych rzeźb została przecież odtworzona podczas prac konserwatorskich, tak były zniszczone.

– A co z tymi bandziorami, którzy przed chwilą nas ścigali? – Paulina popatrzyła na kolegów, jakby chciała im uprzytomnić, że to nie jest najlepszy moment na historyczną pogawędkę. – Nie wywarło to na was żadnego wrażenia? Uważam, że powinniśmy zadzwonić na policję, a nie planować kolejne wyczyny, zagrożone pozbawieniem wolności do lat pięciu.

– Jeśli zadzwonimy na policję, to będziemy musieli opowiedzieć im wszystko od początku – westchnął Igor. – Być może wtedy nie dowiemy się już nigdy, o co chodzi w tym wszystkim, a służby konserwatorskie ani miasto, ani nikt w ogóle nie zgodzi się na szukanie płaskorzeźby. Natomiast skoro ja na to wpadłem, to ci degeneraci z bmw też prędzej czy później do tego dojdą.

– Oni nie wiedzą o ukrytym napisie na obrazie Sydonii. – Paulina pokręciła głową.

– Ale sami ich naprowadziliśmy na kościół w Sownie. Pewnie szybko powiążą wszystkie nitki. O starym rzeźbiarzu jest w tekście jawnym, nie ukrytym. Wystarczy, że pomyślą.

– Zastanawiam się nad czymś – mruknął Johann, który wpatrywał się w milczeniu w leżący na stole tablet.

Paulina, która otwierała usta, żeby coś jeszcze powiedzieć na temat zagrożenia ze strony tajemniczych prześladowców, zmieniła zdanie i z ciekawością spojrzała na niego.

– Wszystko zaczęło się od sarkofagu. Jego zawartość to trudne nawet do oszacowania pod względem wartości precjoza z szesnastego wieku. Mało tego, sam sarkofag pewnie znalazłby nabywcę za niebagatelną sumę. Później znaleźliśmy zaginiony obraz, najprawdopodobniej Cranacha, który, jeśli autorstwo się potwierdzi, będzie wart dobre kilka milionów euro. – Johann oderwał wzrok od tabletu, na którym prezentował się zeskanowany list z podziemi, i spojrzał w zamyśleniu nad głowami Pauliny i Igora.

– Czym jest ta Wielka Tajemnica i ile jest warta, skoro te bezcenne rzeczy są tylko wskazówkami do jej odkrycia?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– No więc właśnie! – powiedział w końcu dobitnie Igor i pokiwał głową.

– Co właśnie? – Paulina rzuciła mu zaciekawione spojrzenie.

– Sami widzicie, że moja śmiała teoria na temat templariuszy nie jest taka

głupia.

Paulina pokiwała głową bez przekonania.

– Przyznaję, że ten obraz Glockendona z Marianowa jest zastanawiający, tak jak i koneksje Barnima Pierwszego i jego herb z symbolami zakonu. Tylko że to wszystko swobodna interpretacja odległych od siebie chronologicznie wydarzeń, których równie dobrze nic nie musi łączyć.

– Ramin ukrył w pokręconym liście wiadomość, która prowadziła do portretu z szesnastego wieku – wtrącił Johann. – Wcześniej wykradł, poświęcając życie, sarkofag z obstawionego polskim i radzieckim wojskiem zamku. Po co miałyby to robić? Byle co nie byłoby tego warte, tym bardziej że wartość sarkofagu przebijała większość materialnych, możliwych do wyobrażenia skarbów, które można było wówczas ukryć w Szczecinie. Wielka Tajemnica musi być czymś potężnym.

– Widzę, że ty też zaczynasz wierzyć w skarb templariuszy w Szczecinie?  
– Paulina spojrzała protekcyjnie na Johanna.

– Jak na razie, wszystkie wskazówki, które zostawił Ramin, okazały się prawdziwe.

– No dobrze. – Paulina założyła ręce na piersi. – Potomkowie wplątanych w tę awanturę wielkich pomorskich rodów odkrywają w osiemnastym wieku jakieś wskazówki prowadzące do tego skarbu. Może zostało to zapisane w ich tradycji rodzinnej? Może Borckowie sami zamalowali Cranacha, dodając staruszkę, by ukryć tekst o Starym Rzeźbiarzu, i mimochodem przyczynili się do stworzenia najśłynniejszej legendy związanej z obrazem Sydonii na Pomorzu?

– Całkiem możliwe – zgodził się, Igor kiwając głową.

– Nieważne – ucięła Paulina. – Rzeczywiście tak się składa, że zarówno Borckowie, jak i Raminowie mieli silne związki z masonerią. Później Wielka Tajemnica stała się niejako tajemnicą szczecińskiej loży masońskiej, no i co dalej? Przecież gdyby taka sprawa wyszła wówczas na jaw, nawet w elitarnym gronie wolnomularzy, to nie ma siły, ktoś musiałby ją gdzieś wynieść. Tymczasem nigdy w tym mieście nie pojawił się nawet cień żadnej legendy o ukrytych skarbach templariuszy, o żadnych skarbach właściwie.

– Były legendy o skarbach Gryfitów – wtrącił Igor.

– Tak, ale szybko okazało się, że żadnych skarbów nie ma. Wszystko, co

zgrupowali Gryfici przez sześćset lat istnienia dynastii, zostało rozszabrowane przez Szwedów i Niemców.

Igor ściągnął usta i zmarszczył brwi.

– Nie chce mi się wierzyć w te wielkie wpływy szczecińskiej masonerii. – Paulina pokręciła głową. – Żeby ukryć taką gigantyczną sensację i pilnować w dodatku do niej dostępu, musieliby mieć ogromne wpływy na najwyższych szczeblach władzy. Musieliby kontrolować inwestycje miejskie, żeby na przykład w czasie jakichś wykopów czy jakiejś budowy nie odkryto tego czegoś. Musieliby mieć dostęp do planów zagospodarowania miasta, mało tego, wpływać na nie. Tymczasem jedyne, co w Szczecinie wiadomo o masonach, to to, że urządzali głośne rauty w ogrodach łoży na Wałach.

– Sam widziałem wiele masońskich symboli na kamienicach w Śródmieściu, na co drugiej jest ekierka i cyrkiel, sowa albo jakieś znaki – wtrącił Johann.

– I co z tego? – Paulina się uśmiechnęła. – Te kamienice były budowane przez rozmaite towarzystwa budowlane, które chętnie w swoich znakach firmowych nawiązywały do symboliki wolnomularskiej, w gruncie rzeczy nie mając z nią nic wspólnego. Poza tym na tych akurat kamienicach, które ewidentnie należały do łoż lub w których mieściły się łoże, nie ma żadnych znaków.

– To prawda. – Igor pokiwał głową.

– No więc sam widzisz. – Paulina wydeła usta. – Masoni w Szczecinie byli zbyt mało znaczącym towarzystwem, aby strzec dostępu do tak potężnej tajemnicy.

– Tu się mylisz. – Igor uśmiechnął się pod nosem. – Od początku dziewiętnastego wieku masoni mieli coraz większe wpływy, aż stali się jednym z najbardziej wpływowych środowisk w Szczecinie.

\*

Parsov stał nad stołem i nerwowo stukał palcami prawej ręki w blat. Zachowanie żony Fleminga wyprowadziło go z równowagi. Hans podniósł wzrok i spojrzał przeciągle na swojego mocodawcę.

– Jest nieobliczalna. Może nam zagrażać, nawet jeśli zmusimy ją do współpracy i milczenia. Poza tym jej mąż i tych dwoje za dużo już się



dowiedzieli.

– Wiem. – Hans spokojnie pokiwał głową.

\*

– Przecież sam mi przyznałeś rację przed chwilą, że te słynne, tajemnicze masonskie symbole na budynkach to pic na wodę.

Igor sięgnął po tablet i wybrał jeden z katalogów. Po chwili na ekranie ukazała się mapa Szczecina.

– Słyszałaś zapewne o Gardasiewiczach?

– Tych astrologach, co wymyślili sobie, że układ szczecińskich placów powtarza układ piramid w Gizie? Aleś trzasnęła. Jasne, że słyszałam, i czego to ma niby dowodzić?

– Ja nie słyszałem. – Johann spojrzał na Igora, unosząc brwi.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku francuski inżynier Robert Bauval postawił hipotezę, że piramidy Czwartej Dynastii były budowane jako ziemskie odzwierciedlenie gwiazdozbioru Oriona. Bóg Ozyrys utożsamiany był w Egipcie z gwiazdozbiorem Oriona i z tego też powodu piramidy nekropolii memfickiej usytuowano w ten sposób, że odpowiadają swym położeniem gwiazdom tego gwiazdozbioru. – Igor dotknął ekranu, na którym po chwili pojawił się widok trzech gwiazdzistych placów, nanizanych na jedną oś.

– W dwa tysiące czwartym roku szczecińskie małżeństwo astrologów odkryło, że układ trzech szczecińskich placów powtarza tę samą prawidłowość, a place usytuowane są w stosunku do Odry dokładnie tak jak piramidy w Gizie względem Nilu. Szczecińskie place są więc ziemskim przedstawieniem trzech gwiazd – Mintaka, Alnilam i Alnitak.

Johann podniósł brwi i otworzył szeroko oczy.

– Naprawdę? To kapitalne. Nie słyszałem o tym.

– Nawet wmurowano na tych placach tablice z nazwami gwiazd. – Paulina popatrzyła przez ramię Igora na ekran tabletu. – Tylko czego to dowodzi w związku z masonerią?

Igor spojrzał na nią z irytacją

– Poczekaj, zaraz wyjaśnię. Od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku

planowano rozbudowę miasta i oczekiwano tylko zgody wojska na rozbiórkę fortyfikacji. Mimo pokutującej od lat bzdury, według której gwiaździsty układ śródmieścia jest nawiązaniem do układu Paryża, a jego twórca Georges Haussmann był także autorem planu Szczecina, gotowy w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym roku plan rozbudowy miasta nie przypominał w najmniejszym stopniu paryskiego. Nie było na nim gwiaździstych placów, nie było nawet jednego ronda. Dominował układ prostokreślny wytyczony w oparciu o oś kompozycyjną poprowadzoną na wieżę św. Jakuba i inspirowany zabudową Berlina. Wszystkie przewidywane place miały kształt prostokątny. Taki miał być dzisiejszy plac Grunwaldzki. Placów Lotników i Sprzymierzonych nie było.

– Nie wiedziałam o tym. – Paulina uniosła ze zdziwieniem brwi.

– W tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym roku nadburmistrzem Szczecina został Hermann Haken. Po czterech latach powołał komisję, która wprowadziła do ustalonego już planu bardzo istotne zmiany, mające się w sposób fundamentalny odcisnąć na obrazie miasta. Plac Grunwaldzki został przekształcony na owalny z gwiaździstym układem dochodzących do niego ulic, a na osi dzisiejszej ulicy Piłsudskiego pojawiły się dwa nowe place – Lotników i Sprzymierzonych.

– Czyli to Haken był inicjatorem tego pomysłu? – Paulina przekrzywiła głowę z powątpiewaniem.

– Owszem, a Haken był przecież masonem i należał do loży *Loge zu den drei Zirkeln*.

Paulina w milczeniu wpatrywała się w mapę miasta na ekranie tabletu.

– To nie wszystko. – Igor pochylił się nad urządzeniem i na ekranie ukazał się kolejny fragment miasta.

– Od początku planowano jeden bardzo ważny punkt. – Stuknął palcem w monitor. – Punkt, który porządkował cały układ i który miał być najważniejszą dominantą, oddzielającą miasto od terenów rekreacyjnych. Na początku planowano tam wielki plac, potem w centrum miał stanąć kościół, wreszcie postawiono budynek administracji prowincji, w którym środek najważniejszego pomieszczenia znajduje się dokładnie w tym kompozycyjnym punkcie, a ze środkowego okna widać na wprost wieżę kościoła Świętego Jakuba.

Igor podniósł brwi i uśmiechnął się do Johanna.

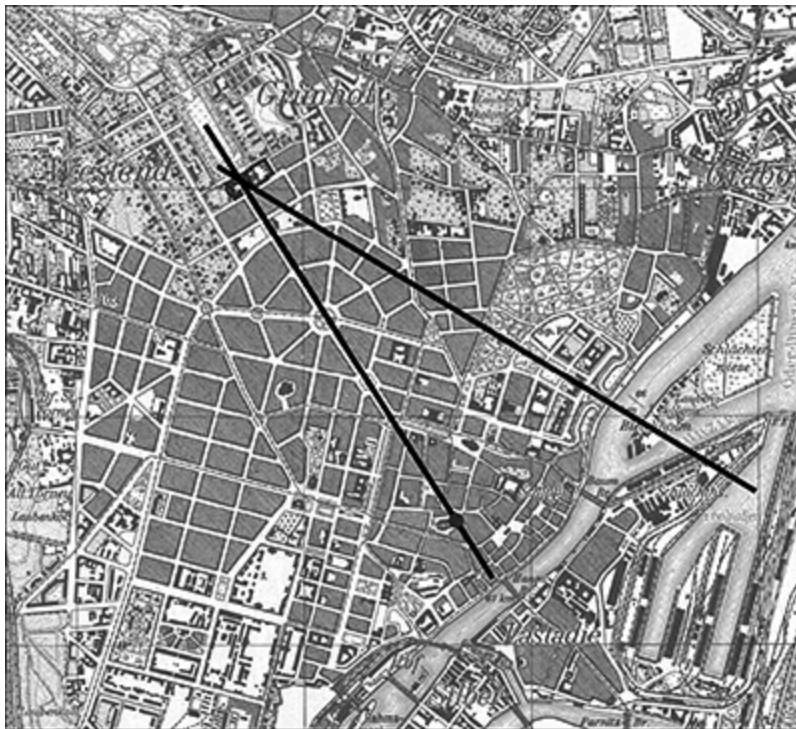
– Włamaliśmy się tam niedawno.

– Urząd Miejski? – Johann pochylił się nad tabletem z niedowierzaniem.

– No właśnie, gabinet prezydenta, a dawniej gabinet generalnego gubernatora prowincji pomorskiej. – Igor palcem powiększył obraz na ekranie i dotknął kolejnego miejsca. – Od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku myślano o zagospodarowaniu następnego ważnego miejsca w Szczecinie, ówczesnego fortu Leopolda. Najpierw planowano zniwelowanie terenu do poziomu nabrzeża i realizację w tym miejscu kolejnego kwartału zabudowy, ale koszt tych robót okazał się przerażający. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku do Szczecina przybył na zaproszenie Hakena kolejny mason – największy architekt w historii tego miasta.

Igor uśmiechnął się do przysłuchującej się w milczeniu Pauliny.

– Wilhelm Meyer-Schwartau. I to właśnie ci dwaj masoni zaproponowali zupełnie nowy projekt dla zagospodarowania fortu Leopolda. Usypane wały forteczne pozostały, a na ich szczycie zaprojektowano układ tarasów z monumentalnymi schodami i budynkiem muzeum na samym środku, czyli słynne Wały Chrobrego. A teraz zgadnijcie, jaki punkt wyznacza środek Wałów Chrobrego, dokładnie środkową oś muzeum i tarasów?



Johann i Paulina pochyliłi się jednocześnie nad mapą.

– Niemożliwe! Nigdy tego nie zauważyłam, a tyle razy patrzyłam na mapę Szczecina! – Paulina potarła czoło.

– Jeśli poprowadzi się oś przez sam środek muzeum i tarasów, to przetnie ona dokładnie środek budynku urzędu miasta, czyli nasz gabinet prezydenta.

Przez chwilę panowało milczenie. Johann patrzył z namysłem na mapę, pocierając brodę. Paulina zagryzła wargę.

– Chcesz powiedzieć, że w dziewiętnastym wieku tak naprawdę rządili Szczecinem masoni?

– Dokładnie tak! – Igor pokiwał głową. – Meyer został także miejskim radcą budowlanym. Bez jego wiedzy i zgody nic nie mogło tutaj powstać ani zniknąć. To, co wam pokazałem, dowodzi także i tego, że w rozbudowie miasta nie kierowano się wyłącznie funkcjonalnością. Powstające plany były podporządkowane logice i geometrii inspirowanej filozofią masonerii, efektem fascynacji kulturą egipską z obfitym czerpaniem z symboliki starożytnej.

– A to nie może być po prostu przypadek? – Paulina wciąż nie odrywała oczu od mapy.

– W urbanistyce nie ma takich przypadków. To tak jakbyś powiedziała, że chirurg tylko przez przypadek wie, gdzie jest wątroba, i czasem udaje mu się za pierwszym razem kroić we właściwym miejscu.

– No dobrze, ale oprócz tej teorii o układzie Oriona, to są tylko właściwie dwie osie. Przecież jak się projektuje ulice albo cokolwiek, to siłą rzeczy wytycza się jakieś osie. Każda ulica ma oś zamkniętą często jakimś charakterystycznym budynkiem albo wieżą. Czy to musi akurat wiązać się z jakąś masońską albo egipską symboliką? – Johann podniósł wzrok na Igora.

– Dobrze, niedowiarki. – Igor uśmiechnął się i przesunął mapę na tablecie.  
– Kolejna wielka inwestycja zapoczątkowana w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku przez Hakena, a zaprojektowana przez Meyera. Cmentarz Centralny, największy w Polsce, trzeci co do wielkości w Europie, jedyny o takim symbolicznym planie na świecie.

Na ekranie ukazał się charakterystyczny plan nekropolii, z łukowym układem reprezentacyjnych alei w części centralnej i długą osią zamkniętą budynkiem kaplicy.

– Kompozycję całości oraz neoromańską kaplicę zaprojektował Meyer. –

Igor dotknął palcem ekranu, powiększając widok. – Przypatrzcie się uważnie. Co widzicie?

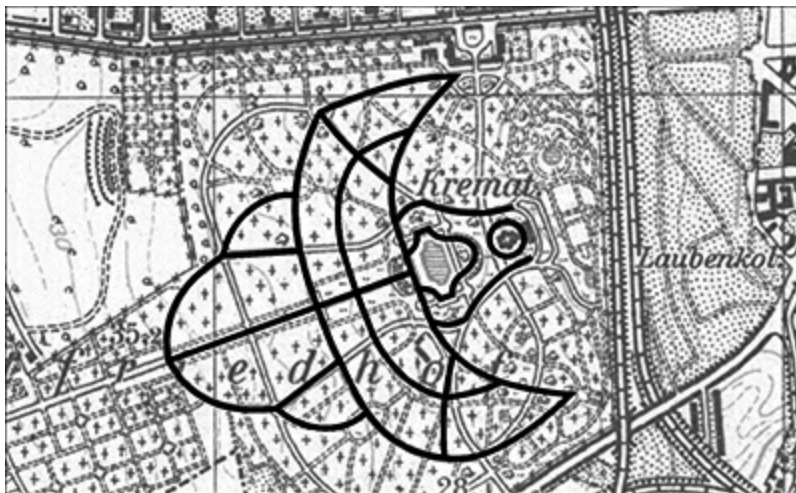
Paulina wzruszyła ramionami.

Igor otworzył jeden z podkatalogów i wybrał z niego rysunek o tajemniczej nazwie *Chepri*. Po chwili na ekranie ukazała się mapa z zaznaczonymi żółtym kolorem alejami w części centralnej cmentarza.

– A teraz?

Aleje tworzyły kształt owada, który z rozpostartymi skrzydłami trzymał w przednich łapkach budynek kaplicy.

– Co to jest, na miłość boską? – Paulina z niedowierzaniem patrzyła na ekran.



– Skarabeusz. – Igor uśmiechnął się i postukał palcem w ekran. – Egipski symbol zmartwychwstania, najświętszy amulet, który każdy Egipcjanin zabierał ze sobą na ostatnią drogę. Mistyczne dla Egipcjan stworzenie, które przez całe swoje życie zмага się z kulą gnoju, by wreszcie pod jego koniec rozwinąć skrzydła, wzbić się w powietrze i lecieć do słońca. Tak jak człowiek, który zmartwychwstaje do życia wiecznego. Egipcjanie nazywali skarabeusza Cheprer lub Chepri od słowa „narodzić się”. Symbolizował dla nich także najwyższą inicjację i przemianę, w momencie gdy wznosił się do słońca, czyli egipskiego boga Amona. Dla masonów była to bardzo bliska i piękna filozofia.

Igor postukał palcem w środek ekranu.

– Skarabeusz trzyma tutaj w łapkach kaplicę cmentarną i z rozpostartymi skrzydłami wzbija się do lotu. Symbolicznie więc pokazano, że ostatnie

pożegnanie jest jednocześnie zmartwychwstaniem, narodzeniem się do życia wiecznego. Całość jest zorientowana w osi zachód – wschód. A wschód słońca dla większości cywilizacji, także dla chrześcijaństwa, symbolizował zmartwychwstanie. Trudno o genialniejsze i piękniejsze przedstawienie symboliki życia wiecznego, w dodatku łączące wszystkie religie i filozofie. Jeżeli dodatkowo przedłużymy oś skarabeusza, to trafi ona dokładnie w wieżę Świętego Jakuba.

Paulina i Johann w milczeniu wpatrywali się w mapę nekropolii.

– I jeszcze jedna mała, a właściwie największa tajemnica cmentarza. – Igor przesunął palcem mapę na ekranie. Kwaterna Zasłużonych.

– To miejsce z pochówkami znanych komunistów dookoła fontanny? – Paulina spojrzała ze zdumieniem na Igora.

– Po wojnie chowano tam komunistów. – Igor wzruszył ramionami. – Ale też rektorów uczelni, znanych lekarzy, tak jak i przed wojną. Funkcja tego miejsca się nie zmieniła, ale niestety przypadkowe pochówki zniszczyły dawny układ kompozycyjny.

Na ekranie ukazał się charakterystyczny owal, zamknięty dookoła pierścieniem drzew. Wewnątrz, w samym środku, znajdowała się fontanna, a dookoła niej, wzdłuż żwirowej ścieżki, widniały skromne, proste, identyczne kamienne tablice, na których wygrawerowane były nazwiska zasłużonych mieszkańców miasta. Kwaterna Zasłużonych.

– Wiedzie do niej prosta aleja, leżąca prostopadle do osi głównej cmentarza, na której rozpięty jest symbol skarabeusza i kaplica. – Igor przejechał palcem po ekranie. – Po jej dwóch stronach znajdowały się niegdyś kwatery na urny, także przeznaczone dla zasłużonych szczecinian, choć mniej reprezentacyjne niż te wokół fontanny. Przecięte były ładnymi szerokimi ścieżkami i podkreślone układem żywopłotów oraz formowanych w stożki i kule iglaków. Po wojnie kładziono tu zmarłych jak leci, bez przejmowania się geometrycznym układem. A ludzie natychmiast sadzili wokół grobów dowolne krzewy, najczęściej srebrne świerczki i różne cyprysy, które obecnie już tak wybujały, że dawny uporządkowany schemat głównej alei i poprzecznych dojsć został kompletnie zatarty.

Igor dotknął palcem miejsca przed Kwaterą Zasłużonych i popatrzył na Paulinę i Johanna.

– Przed fontanną znajduje się prostokątny plac, z którego po lewej są

schody prowadzące do kaplicy na wzniesieniu oraz wijąca się pod górę ścieżka, po prawej natomiast była, i częściowo jest nadal, ścieżka w kierunku dzisiejszego lapidarium. Mało kto wie, że na wprost od wejścia do kwatery, po jej przeciwnej stronie, były niegdyś monumentalne schody, zamykające ós całego założenia, które prowadziły na okalającą kwaterę wzniesienie. Na ich szczycie natomiast stał pomnik nagrobny pewnego znamienitego szczecinianina.

Igor przerwał i spojrzał na Paulinę, unosząc pytająco brwi.

– Czyj pomnik? – Paulina pokręciła głową. – Nie mam pojęcia, nie wiedziałam nawet, że tam kiedykolwiek były jakieś schody.

– Hermanna Hakena i jego żony Johanny. – Igor uśmiechnął się szeroko.

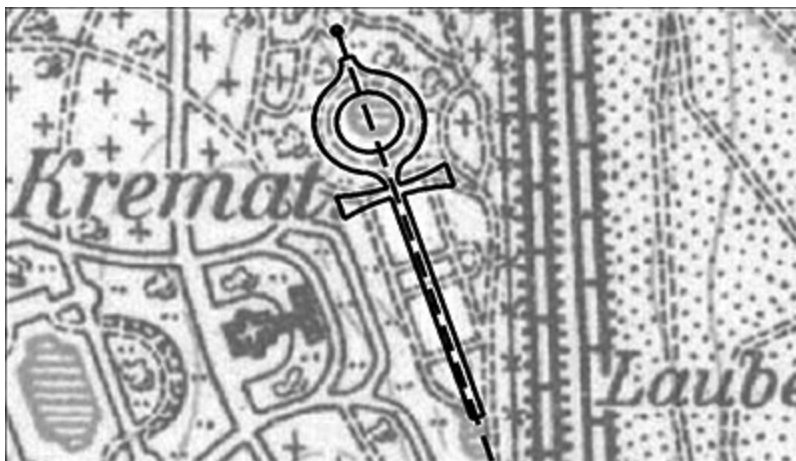
– Jak to? Przecież on stoi w lapidarium, kilkadziesiąt metrów dalej.

– Teraz tak, został tam przeniesiony w dwa tysiące szóstym roku po renowacji. Wcześniej nawet nie wiadomo o jego istnieniu, ponieważ był mocno zniszczony, a napisy na nim zatarte. Po wojnie malowniczy plac na szczycie schodów, na którym samotnie stał pomnik, został kompletnie zdewastowany przez przypadkowe pochówki, zniszczone schody rozebrano, resztki zasypano ziemią, a wszystko zarosło krzakami. Na kilkadziesiąt lat nagrobek Hakena zniknął pomiędzy nowymi grobami i gąszczem zieleni.

– Stał więc w bardzo symbolicznym miejscu. – Johann pokiwał głową. – Nad Kwaterą Zasłużonych i na zamknięciu osi kompozycyjnej. Potraktowano go jako najbardziej zasłużonego dla miasta w takim razie.

– Masz rację, ale całe to miejsce jest jeszcze bardziej symboliczne, niż wam się wydaje. – Igor uśmiechnął się pod nosem i otworzył kolejny plik.

Na ekranie ukazał się schemat całego założenia, z nałożonym na niego, jak wcześniej na układ cmentarza, szkicem tajemniczego kształtu, który najwyraźniej wytyczały linie kompozycji.



– To niemożliwe! – Paulina pochyliła się nad ekranem.

Aleja prowadząca do Kwatery Zasłużonych, owal samej kwatery i poprzeczny plac tworzyły charakterystyczny symbol, znany od setek lat. Jeden z najbardziej znanych egipskich znaków.

– Krzyż Ankh. – Igor uśmiechnął się do Johanna, który ze ściągniętymi brwiami przypatrywał się mapie. – Crux Ansata, Klucz Nilu, egipski symbol odradzającego się życia. Symbol zmartwychwstałego Ozyrysa. Znak, który zapewniał zdrowie i nieśmiertelność, prawie zawsze umieszczany symbolicznie obok skarabeusza. Był też symbolem pojednania z bogami w zaświatach i zapewniał szczęśliwe życie wieczne.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Paulina i Johann z malującym się na twarzach osłupieniem patrzyli na niezwykle rysunek.

– Trudno w to uwierzyć. – Pokręciła w końcu głową Paulina. – Dlaczego nikt o tym nigdy nie napisał, nie wspomniał nawet?

Igor wzruszył ramionami.

– Dla historyków sztuki masoni, starożytna symbolika i geometria to są rzeczy zakazane. Łatwiej napisać, że aleje tworzą swobodny układ angielski, przenikający się z szachownicą miejsc grzebalnych, bo to jest bezpieczne i nie grozi ośmieszeniem w oczach kolegów z branży. Nawet gdy rysunek, który tworzy kompozycja takich miejsc, jest równie oczywisty jak tutaj. Dokładnie tak samo jak z obrazem Glockendona. Wszyscy udają, że nie widzą Marii Magdaleny w ciąży, Graala i chorągwi templariuszy. Poza tym jest jeszcze jedynie słuszna ideologia katolicka, która symbole egipskie uznaje za satanistyczne. I tak to właśnie... – Igor westchnął – piękna, niezwykle przemyślana symbolika tego miejsca, dowodząca, jak niesłychanie



świadomym i genialnym wręcz twórcą był Meyer-Schwartau, jest spychana w niebyt przez konformistów, opisujących rzeczywistość za pomocą grzecznych i prawomyślnych ogólników.

– A jeżeli to jednak tylko przypadek? – Paulina uczepliła się ostatniej nitki racjonalnego sposobu myślenia. – Jeżeli to twoja projekcja? Przypadkowy układ linii, kół i osi, tworzących coś, co tobie akurat kojarzy się z masońską symboliką?

– Oj, Paulina. – Igor spojrział na nią pobłaźliwie. – Na tym poziomie, który reprezentował Meyer, nie ma takich przypadków. Owszem, jak w każdym zawodzie, są lepsi i gorsi architekci oraz urbaniści, którzy z większą lub mniejszą świadomością posługują się językiem architektonicznym, ale ci najwięksi, jak Meyer właśnie, nie tworzą niczego przypadkiem. Cała jego twórczość w tym mieście tego dowodzi. Każdy gzyms, każdy pilaster czy kolumna, każde profilowanie użyte jest z pełną świadomością epoki, z której pochodzi, i znaczenia konstrukcyjnego. Mało tego, w przeciwieństwie do tych pseudomasońskich znaków na kamienicach w mieście każdy użyty przez niego symbol ma swoje znaczenie. Wykluczone, żeby architekt tej klasy, a w dodatku mason, a więc ktoś bardzo dobrze zaznajomiony ze znaczeniem egipskich znaków i symboli, przez przypadek akurat zaprojektował coś, co niechcący przypomina skarabeusza. Takie rzeczy zdarzają się może na pierwszym roku studiów, ale nie w praktyce doświadczonego architekta. Spójrzcie. – Igor powiększył obraz na ekranie. – W centralnym punkcie Kwatery znajduje się fontanna. Staw z fontanną jest także przed kaplicą główną. Woda dla Egipcjan miała znaczenie symboliczne. Wierzono, że oczyszcza z grzechów, oczyszcza duszę. To zresztą jeden z najstarszych symboli wszystkich cywilizacji, także chrześcijaństwa, które oparło na nim mit o potopie, jako o zniszczeniu grzesznego świata i narodzinach nowego. Nic tutaj nie jest przypadkiem – zakończył dobitnie i podniósł wzrok na towarzyszy.

Paulina w milczeniu wpatrywała się w ekran tabletu. To, co mówił Igor, było przekonujące, ale i tak trudno jej było pogodzić się z tym, że za ogólnie znanymi faktami, które na co dzień nie stanowią zagadki, kryją się zupełnie inne znaczenia i tajemnice. Niebezpiecznie blisko było stąd do chiromancji i astrologii, rzeczy, które zdecydowanie uważała za brednie. Z drugiej strony, od zeszłego piątku wydarzyło się tyle, zdawać by się mogło, nieprawdopodobnych historii, że już sama nie wiedziała, co o tym sądzić.

– Chyba zaczynam myśleć kategoriami teorii spiskowych. – Pokręciła głową. – Właśnie przyszło mi coś na myśl.

– Co takiego?

– Pamiętacie, jak rozmawialiśmy na temat różokrzyżowców? Te teorie, że jest to starożytny zakon, którego pochodzenie wywodzi się jeszcze z tajemnych szkół misteryjnych Egiptu?

Igor pokiwał głową.

– To oczywiste, że Haken i Meyer, jako masoni, mogli rzeczywiście być pod wpływem mitologii różokrzyżowców.

Milczący do tej pory Johann pokręcił głową z niedowierzaniem i westchnął.

– To jest totalnie fantastyczne! Dlaczego Szczecin na tym nie zarabia? Przecież odpowiednia reklama mogłaby przyciągnąć tu turystów z całej Europy.

– Tym bardziej, że to jeden z największych cmentarzy na świecie – mruknęła Paulina, wciąż w osłupieniu wpatrując się w egipskie symbole na planie Cmentarza Centralnego.

– Wróćmy do sedna. – Igor poczekał, aż Paulina i Johann podniosą głowy, i powiedział dobitnie: – Jeżeli masoni chcieli coś ukryć w tym mieście, to nie było nikogo, kto byłby lepiej do tego przygotowany niż oni.

Ciszę, która na moment zapanowała w kuchni, przerwał nagle głośny dźwięk telefonu.

Igor popatrzył na wyświetlacz i unióśł brwi. Przez chwilę się wahał, czy odebrać, czy odrzucić połączenie, po czym dotknął ekranu i przyłożył telefon do ucha.

– Musimy się spotkać! Teraz! – Dorota rzuciła bez wstępów.

## Rozdział 33

Czarne bmw przetoczyło się powoli wzdłuż wąskiej uliczki, mijając zaparkowane zderzak w zderzak samochody po obu stronach jezdni.

– Jest! – Karpacky wskazał zaparkowaną na końcu ulicy granatową toyotę land cruiser.

Matthias zwolnił i rozejrzał się wokoło.

– Nie ma gdzie stanąć! Pewnie i tak są w domu u tej laski. Zrobimy jeszcze jedno kółko. – Wrzucił drugi bieg, skręcił w pierwszą przecznicę i po chwili wyjechał na ulicę, przy której kilkadziesiąt metrów dalej stał przedwojenny dom, opleciony dzikim winem.

Samochód powoli przetoczył się uliczką i zatrzymał kilka domów dalej.

– Wsiądziesz tutaj i będziesz pilnował wyjścia z jej chaty – rzucił do siedzącego na tylnej kanapie Markusa. – My będziemy pilnować auta Fleminga.

Markus skinął głową i wysiadł z samochodu, który cicho warknął i potoczył się wąskim kanionem między zaparkowanymi autami w kierunku wylotu na główną ulicę.

\*

Igor powoli wjechał na prawie pusty o tej porze dnia parking za Urzędem Miasta i zaparkował obok białego mercedesa. Nad Jasnymi Błoniami świeciło słońce, rzucając długie, popołudniowe złote pasma na trawnik, ale od strony miasta nadpływała z wolna granatowa ciemność. Dorota siedziała w samochodzie. Na widok Igora wysiadła i zrobiła kilka kroków w stronę toyoty.

– Powiedz od razu, o co chodzi. – Igor trzasnął drzwiami i stanął przed byłą żoną.

Dorota, całkowicie świadoma spojrzeń mijających ich mężczyzn, wskazała

ręką aleję z platanów. Miała na sobie krótką, luźną sukienkę ze swobodnie spływającego materiału, podkreślającego jej figurę i ledwie zasłaniającego biust. Włosy zebrane wysoko na głowie odsłaniały szyję i ekscentryczne kolczyki z polerowanego szlachetnego metalu.

– Przejdźmy się.

– Skąd wiesz o tych ludziach, którzy nas śledzą? – Igor patrzył na Dorotę z rosnącą irytacją.

– Bo dla nich pracuję – wypaliła Dorota.

Igor zaskoczony podniósł brwi i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

– Oszalałaś? – wybuchnął w końcu, akcentując sylaby.

Dorota westchnęła i w zakłopotaniu pokręciła głową.

– Właściwie powinnam była powiedzieć: pracowałam.

– Co ci odbiło? Czy u Niemców nie ma pracy dla architektów, że musiałaś nająć się do roboty u gangsterów? – Igor obrzucił Dorotę spojrzeniem, w którym mieszało się oburzenie z niedowierzaniem.

– Nie gadaj głupstw! – Dorota zmarszczyła brwi. – Pewien facet kupił ruinę dworu, która należała przed wojną do jakiejś jego rodziny, i zlecił mi projekt odbudowy. A potem się okazało, że wybrał moją ofertę wyłącznie ze względu na ciebie.

– Na mnie? – Igor spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Chciał koniecznie zdobyć ten pieprzony list, którego kserokopię wasz dumny prezydent oddał na wystawę Związku Wypędzonych. Poza tym stale miałeś dostęp do sarkofagu, najpierw dzięki Boroli, a później dzięki Hadrysom. Długo nie wiedziałam w ogóle, o co im chodzi.

– Chcesz powiedzieć, że użyli ciebie, by wy dostać ode mnie jakieś informacje? – Igor spojrzał nagle podejrzliwie. – Skąd wiesz, że to była kserokopia?

– No właśnie! – Dorota pokiwała głową i uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Miałam ją w rękach na spotkaniu w ratuszu, na które posłał mnie mój niemiecki szef. Od razu poznałam.

Igor zmarszczył brwi.

– A wracając do gangsterów, w momencie kiedy się zorientowałam,

zażądałam rozwiązania umowy. Na szczęście zapłacili mi całe honorarium, więc teraz mogę wracać do Niemiec. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. I ty też lepiej daj sobie z tym spokój.

– I to jest ten powód, dla którego chciałaś się ze mną spotkać? – rzucił Igor zimno.

– Niezupełnie. Znasz mnie. – Spojrzała ironicznie. – Po prostu chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– A ja mam ci powiedzieć?

– Tak. Jestem ciekawa jak diabli. Tylko tyle i aż tyle. I mam coś, co pewnie cię zainteresuje. W czasie ostatniej rozmowy z tymi ludźmi udało mi się zrobić zdjęcie czegoś, co oni znaleźli, a co chyba wiąże się z tą całą awanturą. Ponieważ rzecz jest kompletnie unikalna i sama w sobie ma jakąś gigantyczną wartość, to jak sądzę, docelowo musi chodzić o coś naprawdę potężnego. Informacja za informację.

– Zwariowałaś? Robisz jakieś targi z nimi, przecież to przestępcy. Powinnaś iść na policję! – Igor patrzył na byłą żonę z irytacją, jednak z domieszką lekkiego podziwu.

– Ciekawe, dlaczego ty nie poszedłeś?

– Spędziłem na komendzie dobrych parę godzin, najpierw po zawałeniu się fundamentów S-Center, a potem po wypadku w hotelu. Zdajesz sobie sprawę, że oni nas ścigali? – Igor wbił wzrok w Dorotę. – Włamali się najpierw do mnie, a potem do Pauliny. Zaraz, zaraz...

Igor ściągnął brwi i popatrzył na Dorotę podejrzliwie.

– Byłaś u mnie na kolacyjce. To ty musiałaś ukraść szyfr z listu. Miałem go w torbie. Zrobiłaś pewnie fotki, kiedy wyszedłem jak naiwniak po zioła prowansalskie.

– Chciałam użyć tego listu jako karty przetargowej – westchnęła Dorota. – Bałam się, że mi nie zapłacą.

– W coś ty się wpakowała? – Igor pokręcił głową.

– Nieważne. Mam ich gdzieś. – Dorota sięgnęła do przewieszanej przez ramię torby i wyjęła tablet. – Jak powiedziałam, mam tutaj coś, co pewnie jest istotne.

– Co to takiego? – Igor nie wytrzymał.

– Mapa – odpowiedziała Dorota. – Ukradli ją z zamku.

– Co takiego? – Igor stanął jak wryty.

– Była ukryta w tej dębowej trumnie. Był tam jakiś schowek zaszyfrowany, tyle zdołałam zrozumieć. Ty wiesz, czego oni szukają?

Dorota popatrzyła na Igora, który wpatrywał się w żwir pod nogami, myśląc nad czymś intensywnie.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił w końcu głową. – List zaprowadził nas do kolejnej podpowiedzi ukrytej na pewnym obrazie, którego sam fakt istnienia jest sensacją. Pomijając jego wartość.

– Podpowiedzi?

– Podpowiedzi, która wiąże się być może z templariuszami. Wiem, jak to brzmi – dodał, rzucając krótkie spojrzenie na wpatrującą się w niego intensywnie Dorotę.

– Z templariuszami? – Dorota otworzyła szeroko oczy. – Skarb templariuszy? I to tego szukają ci ludzie? O to w tym wszystkim chodzi? – Uśmiechnęła się z niedowierzaniem i pokręciła głową. – Czy wam odbiło?

– To tylko teoria, która w świetle tego, czego się do tej pory dowiedzieliśmy, jest równorzędna z każdą inną, tyle że żadnej innej nikt nie postawił.

– W Szczecinie? – Dorota uśmiechnęła się kpiąco, po czym zmarszczyła brwi i powędrowała wzrokiem w przestrzeń. – Chociaż, biorąc pod uwagę tę mapę, muszę przyznać, że teoria o templariuszach brzmi niepokojąco.

Igor spojrział na Dorotę ze złością, ale i z nieukrywanym zaciekawieniem. Oczywiście widział, że kpi, ale zżerała go ciekawość, co to za tajemnicza mapa. Zmarszczył brwi. Zastanawiał się, ile może powiedzieć byłej żonie, by z jednej strony nie zdradzić za wiele, a z drugiej skłonić ją do pokazania mapy. A jeśli to w ogóle bluff?

– Mapa jest z dwunastego wieku, a wygląda tak, jakby została sporządzona na podstawie map Ptolemeusza.

– To niemożliwe. – Igor przecząco pokręcił głową. – Najwcześniejsze egzemplarze pochodzą z piętnastego wieku.

– No właśnie. – Dorota uśmiechnęła się. – W dodatku to mapa przedstawiająca tereny dorzecza Odry. Jest na niej pewna tajemnicza nazwa,

której na innych mapach wykonanych na podstawie współrzędnych Ptolemeusza nie było.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Dorota podniosła brwi, po czym westchnęła i podała tablet Igorowi. Podczas rozmowy zdała sobie sprawę, że Igor nie wie nic o śmierci Beaty Komorowskiej, i biła się z myślami, czy mu o tym powiedzieć. Jeśli powie, to tym samym przyzna się, że wiedząc o kulisach tego włamania, nie poszła od razu na policję. Wprawdzie Igor, w końcu przeczytawszy wiadomości na jakimś portalu, i tak to skojarzy, ale wtedy będzie mogła grać idiotkę, że nie łączyła tego morderstwa ze swoimi mocodawcami. Na szczęście policja nie zdradziła zbyt wielu szczegółów, a niektóre gazety napisały nawet jakieś bzdury o ataku serca.

Igor wziął urządzenie i wbił wzrok w kolorowe zdjęcie starego papiirusu. Przejechał palcem po ekranie i odczytał samymi wargami dziwnie brzmiącą nazwę, usytuowaną w małym zakolu rzeki. Westchnął.

– Na obrazie była informacja o ołtarzu Barnima Dziewiątego. Pojechaliśmy tam, ale tam niczego nie ma. Ołtarz był w renowacji kilka lat temu, rozbierali go na kawałki. Poza tym zachował się niekompletny, mnóstwo rzeźb jest zrekonstruowanych – powiedział roztargnionym głosem, wpatrując się w starą mapę.

– I to wszystko? – Dorota zmarszczyła brwi. – A co to był za obraz?

– Zaginiony portret Sydonii, pędzla Lucasa Cranacha najprawdopodobniej.

– Ten ze Starogardu? – Dorota otworzyła szeroko oczy.

– Jest teraz w Londynie.

– I to wszystko, co było na tym obrazie? Informacja o ołtarzu? I nic więcej? – Dorota spojrzała na Igora podejrzliwie.

– Tak właśnie. – Igor pokiwał głową. – I nic więcej. Jeżeli na ołtarzu było coś, to przepadło. Podczas renowacji na pewno by zauważyli. Wiesz, jak to wygląda, rozbiera się całość na najmniejsze części i każdą z nich czyści z brudu i nawarstwień farby. Nie ma siły, żeby nie spostrzegli, jeśli tam w ogóle coś było.

– Może to nie było ukryte? – Dorota zmarszczyła brwi. – Może trzeba odpowiednio zinterpretować poszczególne sceny, przyjrzeć się figurom?

– Doszedłem do tego samego wniosku. – Igor pokiwał głową, chwytając

się okazji sprowadzenia Doroty na manowce. – Barnim Dziewiąty był człowiekiem renesansu, można go porównać bez mała do Leonarda da Vinci. Rzeźbił, sam wykonywał różne mechanizmy, eksperymentował z zamkami szyfrowymi. Jeśli to on stał za wykonaniem tego ołtarza, a pewnie tak, ponieważ w każdej legendzie jest ziarno prawdy, to musiał zostawić jakieś przesłanie. Był bardzo religijny, posiadał zapewne dużą wiedzę na temat historii chrześcijaństwa.

Igor spojrzał na Dorotę i wyduł usta.

– I taką samą wiedzę trzeba mieć zapewne, żeby to odczytać.

Nie odrywał zafascynowanego wzroku od tabletu, przyglądając się starej mapie. Poza tym nie ufał sobie, wiedział, że Dorota łatwo wyczyta z jego oczu, iż coś przed nią ukrył. Na nic się to zdało.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego, prawda?

Igor westchnął i podniósł wzrok. Znali się oboje zbyt dobrze, znali swoje gesty, ruchy, język ciała. Musiałby pewnie przejść jakieś szkolenie szpiegowskie, żeby coś przed nią ukryć. Patrzyła na niego z drwiącym uśmiechem.

Na szczęście działało to w dwie strony.

– Ty mi też nie, jak widzę. – Spojrzał na byłą żonę i zmarszczył brwi.

Dorota się uśmiechnęła.

– Jeśli powiesz, co było na tym cholernym ołtarzu, to ja też ci powiem.

– Nie dogadamy się. – Igor pokręcił głową. – Jak mogę mieć pewność, że nie wymyślasz teraz jakichś bzdur?

– Z tyłu mapy były trzy litery. Nie mogłam zrobić zdjęcia, bo wtedy już łazili wokół mnie. – Dorota spojrzała na Igora i uniosła brwi.

Igor westchnął po raz kolejny i zacisnął usta.

– Ołtarz nie zachował się kompletny do naszych czasów – wycodził powoli. – W końcu dziewiętnastego lub na początku dwudziestego wieku zaginęły dwie wieńczące go niegdyś rzeźby, przedstawiające Barnima Dziewiątego i Filipa Melanchtona.

Dorota ściągnęła brwi i wysłuchiwała w skupieniu dalszego ciągu opowieści Igora. Gdy skończył, popatrzyła na niego przeciągle.

– Pod czerwoną różą? To miałyby być podpowiedź, że jest ukryty pod



jakąs czerwoną różą?

– Tak wygląda nasza teoria. Nie wiemy, czy prawdziwa. – Igor spojrział Dorocie w oczy. – I nie wiemy, o jaką różę chodzi. Domyślam się, że to może być dekoracja rzeźbiarska jakiegoś gmachu, ale ona może dawno nie istnieć. Nawet gmach może dawno nie istnieć.

– A co z pozostałą częścią listu? Może tam jest dalsza odpowiedź? – Dorota przyglądała mu się uważnie.

– Prawdopodobnie tak, ale nie wiem, o co chodzi z tą świątynią i koszarami. Może chodzi o jakiś kościół, obok którego stały koszary? Nie mam zielonego pojęcia.

Igor stwierdził w duchu, że to akurat musiało zabrzmieć bardzo przekonująco. Naprawdę nie wiedział, o co chodziło Raminowi w ostatnich zdaniach listu. Możliwe zresztą, że to już było napisane całkiem dosłownie i nic się za tym nie kryło. W Szczecinie nie było żadnego posągu Wiktora. Nie wiedział nawet, o jakiego Wiktora może chodzić. Mógł to być zresztą nawet wiejski cmentarz z jakimś pomnikiem nagrobnym. Może niedaleko były koszary.

– Powiesz mi, co to za litery?

Dorota przejechała zamyślonym wzrokiem po jego twarzy, po czym ukucnęła przy krawężniku, sięgnęła po patyczek i naszkicowała na ziemi trzy znaki.

– To były trzy litery: X, P i A, tyle że P napisane było wspak i miało taki długi ogonek.

– I to wszystko? – Igor spojrział na nią podejrzliwie. Skoro on nie do końca wszystko jej zdradził, to ona pewnie tym bardziej. Była w tym znacznie lepsza od niego.

– Tak. – Dorota wyprostowała. – Obawiam się, że to tylko podpis jakiegoś klasztornego galernika, który wykonywał tę mapę.

Igor patrzył na widniejące na ziemi trzy znaki. Nic mu nie mówiły. Mogła mieć rację. W ten sposób często oznaczano niegdyś prace konkretnych zakonów czy klasztorów. Pewnie te litery i coś znaczą, ale raczej nie ma to nic wspólnego z ich poszukiwaniami.

– Tak czy siak... – Dorota przez chwilę patrzyła na niego uważnie, po czym pokręciła głową, jakby chciała opędzić się przed nieistniejącą muchą. –

Radzę ci, żebyś dał sobie z tym spokój. To naprawdę niebezpieczni ludzie. Wracam jutro do Niemiec, a ty lepiej trzymaj się od tego z daleka. To dobra rada.

Zatrzymali się na środku długiej, nakrytej gęstym zielonym sklepieniem platanowej alei. Dookoła słyhać było głosy ludzi i szczekanie psów, od strony drogi dochodził co jakiś czas warkot silnika. Oprócz tych dźwięków jednak uderzała panująca wokół dziwna cisza. Igor po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że nie słyhać śpiewu głośnych zazwyczaj w tym miejscu ptaków. Znad dachów Śródmieścia, dokładnie od strony wieży św. Jakuba, nadciągały coraz czarniejsze chmury.

\*

Maks nerwowo biegał wzdłuż ogrodzenia. Czuł, że coś jest nie w porządku. Drugą stroną ulicy przeszedł przed chwilą jakiś człowiek w bluzie z kapturem. Niósł się za nim ledwie wyczuwalny zapach strachu. Maks czuł to doskonale, mimo dopływającego z sąsiedniego ogrodu grillowego dymu węgla drzewnego i setek innych wymieszanych wokół woni. Wyczuwał coś jeszcze, jakiś rozpoznawalny na granicy możliwości jego receptorów węchowych zapach, który bardzo źle mu się kojarzył. Zapach jakichś złych ludzi. Pamiętał go i wzbudzał w nim strach i wściekłość.

\*

– Dlaczego ta mapa jest taka niezwykła? – Paulina wpatrywała się w zdjęcie starego papirusu widniejące na tablecie Igora.

– Jest z dwunastego wieku – powiedział Johann, nie odrywając oczu od mapy.

– Tak, to już słyzałam, ale co to ma za znaczenie? – Paulina podniosła wzrok i spojrzała na Igora.

– W sto pięćdziesiątym roku Klaudiusz Ptolemeusz, uczonec z Aleksandrii, sporządził mapę, która obejmowała cały znany wówczas świat. Prawdopodobnie posługiwał się wojskowymi mapami, które tworzyli rzymscy legioniści w czasie swoich wypraw po całej Europie. – Igor usiadł na wysokim stołku przy stole, opierając się łokciami na blacie.

– Miał też do dyspozycji całą wiedzę zgromadzoną w Bibliotece Aleksandryjskiej – wtrącił Johann.

– Dokładnie. – Igor pokiwał głową. – Mapa składała się z dwóch części, spisu wszystkich znanych miast, osiedli, rzek, gór, wszystkiego, co zostało przez ówczesnych poznane, wraz ze współrzędnymi geograficznymi oraz matematycznymi zasadami konstruowania map oraz z dwudziestu sześciu tablic obejmujących cały znany ówczesnie świat.

– W sto pięćdziesiątym roku? – Paulina popatrzyła ze zdziwieniem na Igora. – To w takim razie kopia. Dlaczego więc to takie dziwne?

– Po tym jak w Rzymie zwyciężyło chrześcijaństwo, mapy te były powszechnie niszczone. W średniowieczu nastąpił kompletny upadek kartografii, w klasztorach rysowano mapy ukazujące fantastyczne krainy z malowidłami stworów i potworów, które były wytworem fantazji i nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Przypuszczalnie wśród marynarzy i podróżników zachowały się kopie starych map, którymi się posługiwano, ale sztuka kartografii jako nauka praktycznie przestała w Europie istnieć.

– Prawdopodobnie egzemplarze *Geographii* Ptolemeusza przetrwały w Bizancjum, ponieważ to na podstawie średniowiecznych map arabskich, dopiero w piętnastym wieku, sporządzono w Europie pierwsze kopie – wtrącił ponownie Johann.

– I to najpewniej także jedynie na podstawie części opisowej, natomiast ani jedna oryginalna mapa z czasów antycznych nie zachowała się – dodał Igor. – Tak więc od setek lat poszukiwanie starszych map, które mogłyby teoretycznie powstać w jakimś zapomnianym klasztorze na podstawie prawdziwych map Ptolemeusza, stało się dla naukowców kartograficznym poszukiwaniem świętego Graala. Skoro zatem ta mapa jest rzeczywiście z dwunastego wieku, to domyśl się, co to znaczy.

Johann uśmiechnął się.

– Musi być warta majątek. – Paulina pochyliła się nad tabletem.

– Na pewno, ale ja miałem na myśli jej znaczenie dla nauki. Jest bezcenna.

– I ona ci to tak po prostu pozwoliła skopiować? – Paulina spojrzała podejrzliwie na Igora.

– W zamian musiałem jej powiedzieć o obrazie Sydonii i o tym, że był na nim ukryty napis prowadzący do ołtarza Barnima.

– Zwariowałeś? – Paulina otworzyła oczy z niedowierzaniem. – A jeśli to był blef? Jeśli wysłali ją do nas ci Niemcy?

– Sprawiała wrażenie przestraszonej. – Igor wzruszył ramionami. – A uwierz mi, u niej to się nieczęsto zdarza.

– Czy ona jest ładna? – Johann podniósł brwi i spojrzał pytająco na Paulinę.

– Rodzaj zołzy, dla której faceci tracą głowę. – Paulina popatrzyła w okno, po czym przyznała niechętnie. – Tak, bardzo.

– Nie gadajcie bzdur! – Igor się zachnął. – Nie powiedziałem jej najważniejszego, o tym, że domyślamy się, o jaką czerwoną różę chodzi.

– Pewnie za chwilę sami na to wpadną. – Paulina pochyliła się nad tabletem. Dotknęła palcem ekranu i powiększyła mapę. W zakolu rzeki umiejscowiona była mała kropczka, a obok niej nazwa tajemniczego miejsca, która brzmiała

## SECINUM

– A ta nazwa nie oznacza po prostu Szczecina? W dwunastym wieku przecież nazwa już się pojawiła w dokumentach.

– Najstarsza nazwa, jaka się pojawia w dokumentach, to Stetin, i pochodzi z tysiąc sto trzydziestego trzeciego roku. – Igor popatrzył na mapę. – Nazwa łacińska Sedinum pojawiła się dopiero w szesnastym wieku i wzięła się właśnie z map Ptolemeusza.

– Czyli Szczecin był na mapie Ptolemeusza?

Igor pokręcił głową przecząco.

– Na mapach Ptolemeusza była zaznaczona nazwa ludu, który tutaj mieszkał, a który starożytni nazywali Sideinoi albo Sedinii. Niemcy na tej podstawie wysnuli teorię o starożytnym pochodzeniu miasta oraz wymyślili legendę o bogini Sedinie. Nazwa Szczecina miała się wziąć przez błędny zapis Setini i tak powstał Setin, a później Stetin. Teorię tę postawił w szesnastym wieku kronikarz szczeciński Kantzow.

– Ale jeśli ta mapa jest rzeczywiście z dwunastego wieku i powstała na podstawie starszych zachowanych map, to co oznacza Secinum?

– Pewnie to i jest Szczecin. – Igor wzruszył ramionami. – Mapy

skonstruowane ściśle według współrzędnych Ptolemeusza powstały w piętnastym wieku jako swoistego rodzaju reprint, ale nie jest wykluczone, że wcześniej wykreślano jakieś mapy, posiłkując się zarówno zachowanymi być może wówczas jeszcze oryginalnymi tablicami Ptolemeusza, jak i ówczesną wiedzą na temat Europy. To pewnie jest taka mapa, a Secinum to zwyczajna literówka.

– W takim razie na tej mapie powinny być nazwy ówczasie znacznie większych miast, których nie było na mapie Ptolemeusza, a nie ma. – Johann ściągnął brwi.

Igor otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową.

– Skoro znalazł się tutaj Szczecin, to widać z jakiegoś powodu. Poza tym jeśli to zwykła mapa, to po co Barnim Dziewiąty miałby ją chować w trumnie? Zabrał ją ze sobą jak jakąś relikwię? – Johann spojrzał na Igora.

– I to jest właściwe pytanie! – Igor pokiwał głową.

\*

Dorota zamknęła za sobą drzwi hotelowego pokoju i rzuciła torbę na łóżko. Podeszła do nocnej szafki i włączyła lampkę. Na zewnątrz zrobiło się ciemno jak w późny jesienny wieczór. Nad Wałami Chrobrego wisały ciemne, prawie czarne chmury, a zza Odry z oddali dochodziły grzmoty zbliżającej się burzy. Z okien swojego pokoju widziała gromadzący się u stóp Tarasów Hakena tłum ludzi, pomiędzy którymi uwijały się ekipy rozstawiające parasole i namioty. Przy nabrzeżu stały dwa wielkie żaglowce, ich intensywna biel burt i poskładanego schludnie ożaglowania surrealistycznie odcinała się od granatowoczarneho koloru wody i szaroczarnego koloru kłębiących się groźnie chmur.

Dni Morza.

Kompletnie o tym zapomniała. Kiedyś lubiła brać w nich udział, przeciskać się przez tłum coraz bardziej, w miarę upływającego czasu, pijanych młodziaków i dzieci kupujących balony, kolorowe podświetlane lampiony i nieśmiertelną watę cukrową. Wszyscy oczywiście czekali na pokaz sztucznych ogni, który odbywał się zazwyczaj

zaraz po manifestacyjnym przepłynięciu mniejszych i większych jednostek wzdłuż Wałów Chrobrego.

Masakra. Będzie musiała przez to jakoś przebrnąć. Pomyślała, że może potem wyjdzie się przejść i obejrzeć ogień sztuczny nad Odrą.

W pokoju było tak duszno, że włączona klimatyzacja ledwie wyrabiała.

W cichy dźwięk wentylatorów wplótł się nagle dziwny odgłos, jakby plusk kamienia wpadającego do wody. Dorota, otumaniona temperaturą, dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że to piknięcie wydobywające się z leżącej na łóżku torby. SMS. Sięgnęła po komórkę i podniosła ją do oczu. Od Kurta.

„Wysłałem ci e-mail. Przeczytaj. Ciekawe rzeczy o twoim inwestorze”.

Zaintrygowana sięgnęła po tablet i wyciągnęła się na miękkiej narzucie. Przez chwilę czekała, aż program ściągnie pocztę. Wiadomość składała się z paru zdań od Kurta oraz kilku linków do jakichś archiwalnych artykułów z różnych niemieckich gazet. Zmarszczyła brwi i zaczęła czytać.

*Ponieważ w dalszym ciągu nie wiem, co właściwie robisz w krainie Wenedów, przeprowadziłem małe śledztwo na temat Twojego inwestora. Pominąłem różne sprawy dotyczące jego firmy, o których dość często jest w mediach, ale zainteresowała mnie stara historia z lat 70. Bild zamieścił w 72 roku wywiad z pewnym staruszkiem, który opowiedział niestworzone rzeczy o jakichś skarbach w Szczecinie. Dodatkowo jednak wspomniał, że za morderstwami szczecińskich masonów, jakich w latach 30. dokonali naziści, stał syn jednego z najwyższych członków loży, który donosił na przyjaciół swojego ojca i przez którego jego ojciec trafił do więzienia. Miał nim być,*

*tylko nie spadnij z krzesła, ten Twój Parsov. Miłej lektury* 😊

Zaskoczona Dorota podniosła głowę i spojrzała rozkojarzonym wzrokiem w przestrzeń. A to dopiero! Przypomniała sobie, że w tym dworze, który Parsov kupił, była przecież loża masońska. Barnim von Ramin, ten trup z podziemi hotelu był masonem. Czy to ma jakiś związek z tym, co przysłał Kurt?

Pochyliła się nad laptopem i otworzyła pierwszy z linków. Był to ów wspomniany przez Kurta artykuł z tabloida „Bild”. Na zdjęciu widać było starszego, siwego mężczyznę. Nazywał się August von Katte. Bulwarówka poświęciła prawie całą szpalnę na rozmowę o Szczecinie, w którym pozostał

ponoć, nigdy nieodnaleziony po wojnie, ogromny skarb. Przed wojną zdołali go ukryć członkowie szczecińskiej loży masońskiej i mimo prześladowań, naziści nie zdołali wpaść na trop tej tajemnicy. Staruszek twierdził, że dysponuje pewnymi materiałami, które dowodzą istnienia tego skarbu i że postanowił je w najbliższym czasie ujawnić.

Dorota głośno wciągnęła powietrze i pokręciła głową. Czyżby Igor miał rację z tymi templariuszami? Przecież to niemożliwe!

Przed samą wojną faszyci aresztowali większość szczecińskich masonów, a ich majątki zarekwirowano. Najwyżsi członkowie loży zdołali ukryć swoją tożsamość, ale niespodziewanie ich także zamknięto. Jednym z nich był pełniący funkcję tak zwanego Czcigodnego, czyli przewodniczącego loży, Wilhelm von Parsov, który jednocześnie był wysokim urzędnikiem w administracji miasta. Zdaniem von Kattego, doniósł na niego, a także na najbliższych jego towarzyszy, syn Parsova, wówczas jedenastoletni i aktywny członek Hitlerjugend – Heinrich Siegfried von Parsov.

Dorota uśmiechnęła się do siebie z niedowierzaniem. Co za łajdak!

Następny link przysłany przez Kurta był suchą informacją podaną w dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung” o procesie sądowym, wytoczonym przez Parsova przeciwko „Bildowi”. Proces jednak po roku został umorzony, o czym informował następny z linków. Głównym jednak tematem tego akurat artykułu była śmierć Augusta von Katte w wyniku pożaru domu, który wybuchł w dwa miesiące po ukazaniu się artykułu w „Bildzie”. Dom przed pożarem ponoć został ograbiony, jak utrzymywała rodzina von Katte, ale nie zdołano tego nigdy udowodnić.

Dorota zmarszczyła brwi i otworzyła następny link. Kolejny artykuł w „Bildzie”, z 1973 roku, donosił o trzech tajemniczych wypadkach, które nastąpiły wkrótce po opisanych rok wcześniej wydarzeniach. Ofiarami byli kolejno Carl Franz von Olfers, którego samochód wjechał w betonową ścianę biurowca we Frankfurcie nad Menem, August Selasinsky, który zmarł na rozległy zawał serca, oraz Ernst Christian von Radecke, który wypadł za burtę podczas rejsu po Bałtyku. „Bild” zamieścił duże zdjęcia trzech mężczyzn wraz z sensacyjną informacją, że wszyscy oni, tak jak von Katte, byli przed wojną członkami szczecińskiej loży masońskiej *Loge zu den drei Zirkeln*. Artykuł kończył się demaskatorską w założeniu autora tezą, że wszyscy padli ofiarami spisku, mającego na celu ukrycie ogromnej fortuny, jaka została za żelazną kurtyną.

W końcowym akapicie Dorota z szeroko otwartymi oczami przeczytała hipotezę dziennikarza, który tłumaczył, czym mógł być ów skarb. Poczuła, że mimo panującego upału zrobiło jej się nagle zimno.

A Igor szuka skarbu templariuszy! Jezu...

Od strony korytarzyka dobiegło ciche stukanie do drzwi. Dorota odstawiła laptopa i spojrzała podejrzliwie w kierunku korytarza. Zamknęła drzwi?

– Kto tam? – krzyknęła.

– Obsługa! Zamawiała pani kolację do pokoju!

\*

– Nie mamy pewności, czy to Barnim Dziewiąty ją ukrył. To trochę kosztowne przygotować sobie samemu trumnę i ukryć w niej coś w dodatku.  
– Paulina skrzywiła się.

– Trumny dla książąt były zamawiane wcześniej. Potrzeba było miesięcy, żeby warsztat konwisarski przygotował sarkofag wraz z całą dekoracją rzeźbiarską. Poza tym ta trumna jest nietypowa, w żadnym sarkofagu nie odkryto aż tak bogato rzeźbionej trumny, w dodatku z czarnego dębu. Możliwe więc, że wykonał ją własnoręcznie Barnim albo przynajmniej powstała pod jego osobistą pieczęcią.

– A szyfr? Skąd ci Niemcy go wzięli? Barnim musiał go gdzieś zostawić. – Paulina spojrzała na Igora.

– Masz na myśli szyfr do otwarcia schowka? – Johann podniósł wzrok.

– No tak, a jaki? Te litery, które ci sprzedała twoja żona, to chyba rzeczywiście jakieś logo. Nic nie znaczą. – Paulina spojrzała na tablet.

– Myślę, że ci Niemcy mogli mieć dostęp do materiałów, których my nie znamy. Może znaleźli jakieś dokumenty czy coś? – Johann się głośno zastanawiał.

– Ukrywa mapę w trumnie, a obok zostawia szyfr do otwarcia schowka? – Igor wzruszył ramionami. – Trochę bez sensu.

– Chyba że zostawił to na przykład w formie jakiegoś testamentu, który trafił później w czyjeś ręce, a w końcu w łapy tych bandziorów. – Johann pochylił się ponownie nad ekranem i wlepił wzrok w starą mapę.

Paulina wstała i podeszła do okna.



– Zobaczcie, jak się zrobiło ciemno.

Na zewnątrz, mimo że minęła dopiero osiemnasta, zapanował mrok. Niebo coraz szczelniej zasnuwały ciemne chmury, kłębiąc się złowrogo.

– Bardzo powoli ta burza się rozwija – zauważył Johann, odwracając się do okna.

– Na pewno będzie lać – westchnęła Paulina i popatrzyła na Igora. – Nadal chcesz tam jechać? Pogoda robi się coraz gorsza.

– No i bardzo dobrze. – Igor pokiwał głową z zadowoleniem. – Im gorsza pogoda, tym większą będziemy mieć pewność, że nikt nas tam nie nakryje. Poza tym, jeśli ci Niemcy wpadną na trop prowadzący do ołtarza Barnima Dziewiątego, to nas uprzedzą i będzie po ptakach.

– Boże! – jęknęła Paulina. – W takim razie im prędzej pojedziemy, tym prędzej wrócimy. Idę wygrzebać jakieś płaszcze przeciwdeszczowe, a potem zajrzemy do schowka z narzędziami.

To mówiąc, wyszła z kuchni i poczęła się wspinać po drewnianych schodach na piętro.

\*

Maks biegał wzdłuż ogrodzenia jak oszalały. Jego pani wyszła i zostawiła go samego, ale nie o to chodziło. Minutę wcześniej przejechał przed domem duży czarny samochód. Miał otwarte okna, jego kierowca spojrzał w kierunku domu, a potem pojechał dalej wzdłuż wąskiej ulicy.

Maks doskonale go pamiętał.

Pamiętał każdą komórkę lotnych substancji składających się na zapach tego mężczyzny, a także tego, który pół godziny wcześniej przeszedł po drugiej stronie ulicy. Nie wiedział, jakie zamiary mają ci dwaj źli ludzie, ale już raz go skrzywdzili, i nie zapomniał o tym. Nie mógł wiedzieć, czego chcą, ale wiedział jedno – jego pani oraz ci mężczyźni są po tamtej stronie płotu, a on został tutaj i nic nie może zrobić.

Po raz kolejny puścił się pędem wzdłuż frontowego ogrodzenia, szukając jeszcze raz jakiegoś miejsca, przez które mógłby się przecisnąć. Nic takiego nie było, płot był szczelny i wysoki.

Nagle usłyszał cichy dźwięk dochodzący z tyłu domu. Cichutkie

stuknięcie, którego żaden człowiek nie miałby szans zarejestrować. W jego głowie rozległo się ono całkiem wyraźnie i co ważniejsze, wiedział, co to jest. Czasami jego pani, wracając z sąsiedniego ogrodu, nie zamykała dobrze furtki. Wystarczyło nie docisnąć odpowiednio mocno klamki, a zamek nie chwycił. Wykorzystywał to czasem, żeby wpaść do sąsiadów i pobawić się z ich małym, tchórzliwym kundelkiem.

Zastygł na moment w bezruchu, po czym puścił się biegiem boczną ścieżką prosto na tyły ogrodu. Furtka była uchylona, a wzmagający się wiatr co chwilę nią szarpał, tak że uderzała w stalową ramę ogrodzenia. Maks dopadł stalowej bramki i odchylił ją łapą. Wpadł do pustego ogrodu i pobiegł prosto do ogrodzenia od strony frontowej. W narożniku posesji stał tutaj śmietnik. Raz tędy uciekł i dostał burę. Wiedział, że nie wolno mu tego robić, ale teraz to co innego. Ze szkolenia pamiętał, że obrona pani jest ważniejsza niż inne zasady. Podbiegł do ogrodzenia, wskoczył na kubeł i jednym susem wyskoczył przez płot na chodnik. Jego receptory węchowe działały jak najlepszy system GPS. Nie wyznaczały wprawdzie drogi, jedynie kierunek, ale tym Maks już się nie martwił. Rzucił się pędem między zaparkowanymi samochodami i po chwili zniknął za rogiem ulicy.

## Rozdział 34

No nie, nie wierzę, że dałam się w to wciągnąć. – Paulina rozejrzała się nerwowo wokół siebie.

Było ciemno, jakby już zapadł wieczorny zmrok. Gąszcz drzew wokół niewielkiej polany, na której stali, szumiał groźnie. Drewniany daszek nad krzyżem, niczym wyjęty prosto z horroru dla amerykańskich nastolatków, skrzypiał potępieńczo na wietrze. Niebo nad lasem przecinała co jakiś czas błyskawica, a zaraz po niej przetaczał się nad drzewami grzmot. Tylko deszcz ciągle jeszcze nie padał, jakby burza wciąż się zastanawiała, czy przejść bokiem, czy urządzić tutaj wszystkim piekło.

– A co będzie, jak nadejdzie tu jakaś staruszka z psem?

– To będziemy musieli ją zabić. – Igor spojrział na Paulinę, marszcząc upiornie brwi.

– To nie jest najlepszy moment na takie żarty. – Paulina postukała się palcem w czoło.

– Do najbliższej wiochy jest kilka kilometrów. Widzisz, jaka jest pogoda? – Igor spojrział w niebo. – Jaka staruszka z psem tu przylezie? W dodatku prawie po ciemku?

Dla postronnego obserwatora, który by się zaczął między drzewami, trójka spiskowców na polanie w środku lasu wyglądałaby co najmniej dziwnie. Igor trzymał w jednej ręce potężny reflektor, a w drugiej łopatę. Taki sam zestaw miał Johann, co jakiś czas spoglądał niespokojnie w stronę przesmyku w gęstwinie krzaków, którym się tutaj dostali. Paulina miała mniejszą latarkę, za to w drugiej ręce wielką turystyczną torbę. Stali jedno przy drugim i wpatrywali się niepewnie w wielki, rdzawego koloru kamień.

Obok, równym szeregiem, w gęstniejącym mroku podkreślonym przez ostre smugi światła z reflektorów, stały jeszcze cztery mroczne, kamienne kształty. Kamienie przodków.

Igor odezwał się pierwszy.

– Sam już teraz nie wiem, czy to jest sztuczny kamień, czy czerwony granit?

– A kogo to teraz obchodzi? – Paulina obejrzała się za siebie i zapaliła latarkę. Do tej pory nie robiła tego z obawy, że jasne światło mającące między drzewami kogoś przyciągnie. To, że latarki Igora i Johanna paliły się już od kilku minut, nie zajmowało jej uwagi. Nikt nie powiedział, że musi być racjonalna w takiej sytuacji.

– Całe szczęście, że na budowie obok nie było tego ciecia. – Johann spojrzął na Igora.

– W sumie nie ma tam czego pilnować. W tygodniu pewnie mają tam jakiś sprzęt, to wtedy go pilnują.

– Gdyby zostawili to na odpowiednio długo bez nadzoru, to pewnie okoliczna żulernia ukradłaby cały ten barak i siatkę ogrodzeniową. – Paulina położyła torbę na trawie i westchnęła.

– Co robimy? – Johann niepewnie spojrzął na Igora i ścisnął łopate.

– Skoro już tu jesteśmy, to nie ma odwrotu. – Igor westchnął i podszedł do różowego kamienia.

Ukucnął i oświetlił porowatą płaszczyznę nagrobka z wykutymi imionami pary, która urodziła się pod koniec osiemnastego wieku. Płytę zamykało ostrołukowe zwieńczenie, w którym umieszczony był bukiet kwiatów z charakterystyczną różą o pięciu płatkach.

– Czerwona róża. – Igor dotknął palcem chłodnej granitowej powierzchni. – W dodatku wpisana w pentagram. Pięć płatków, które tworzą także pięcioramienną gwiazdę. To musi być to. – Odwrócił się do stojących nad nim Pauliny i Johanna, jakby szukał potwierdzenia.

– Ciarki mi przechodzą po plecach. – Johann wzdrygnął się i obejrzał za siebie.

– To nie jest nagrobek! – Igor zamknął oczy. – To są tylko pamiątkowe płyty. Nie bezcześcimy żadnych grobów!

– Poprzednio jak tu byliśmy, mówiłeś co innego. – Paulina skierowała swoją latarkę na czerwony kamień i pochylonego nad nim Igora.

– Nie świeć mi w oczy! – jęknął. – Mówiłem, ale sprawdziłem to potem. Większość opinii skłania się do tego, że to tylko płyty pamiątkowe.

– Czyli nie wiadomo na pewno? – Johann obejrzał się za siebie po raz setny. – Jak się dokopiemy do trumny, to chyba dostanę zawału.

– Nie jęczcie, na miłość boską! Pomóż mi! Najpierw musimy to przenieść na bok. – Igor sięgnął po leżący pod czerwonym nagrobkiem płaski kamień, na którym stały dwa znicze z zielonego szkła. Johann pochylił się, żeby mu pomóc. Po chwili kamień leżał na trawie obok. Igor sięgnął po łopatę i spojrzał na Paulinę.

– Stój i nasłuchuj, czy nikt nie nadchodzi, a my będziemy kopać. Ja pierwszy. – Spojrzał na Johanna i wbił łopatę w ziemię przy czerwonym kamieniu.

Niebo przecięła błyskawica. Igor odrzucił na bok pierwszą kupkę ziemi i wbił łopatę ponownie. W tym momencie rozległ się grzmot, który złowrogo przetoczył się nad drzewami.

– Co my robimy najlepszego? – Paulina przejechała latarką po drzewach i wzdrygnęła się. – Za chwilę do tego wszystkiego zacznie lać.

– Mamy peleryny – warknął Igor, nie przerywając kopania.

– Rozkopujemy czyjś grób! To szaleństwo! – Paulina nerwowo rozejrzała się wokół siebie.

– I ty jesteś dziennikarką? – Igor parsknął kpiąco i wytarł czoło rękawem bluzy. – Powinnaś sama wywijać łopatą, żeby zobaczyć, co się tutaj kryje, albo przynajmniej robić zdjęcia.

– Fakt! Zdjęcia rzeczywiście powinnam zrobić i najlepiej od razu potem jechać na policję. Byłabym świadkiem zatrzymania znanego szczecińskiego półprzestępcy i mitomana, dla niepoznaki robiącego w budowlance.

Igor wytarł nos wyciągniętą z kieszeni chusteczką higieniczną i łypnął na Paulinę. Potrafiła być doprawdy nieznośna.

Johann, który stał, podpierając się łopatą, i patrzył, jak Igor odsłania kolejne warstwy ziemi, pokręcił nagle głową.

– Wciąż myślę o tych trzech literach, które były na mapie – powiedział.

– I sądzisz, że to jest akurat dobry moment, żeby o tym rozważyć? – Paulina spojrzała na niego z irytacją. Niepokój powodował, że była coraz bardziej zdenerwowana.

– Tak samo dobry jak każdy inny. – Johann wzruszył ramionami. – Poza

tym potem zapomnę, co wymyśliłem.

– A co wymyśliłeś? – Igor spojrział na niego z ciekawością.

– Jeśli ta dziwaczna literka P jest napisana odwrotnie, to równie dobrze i cały napis może być odwrotnie. – Johann spojrział na Paulinę triumfalnie.

– Aleś wymyślił... – Paulina chciała coś odpowiedzieć z politowaniem, ale zamarła. Rzeczywiście, litery X i A, w lustrzanym odbiciu były takie same.

– I w tym momencie mamy litery A i X, a wewnątrz dziwne P z jakimś haczykiem na dole. Z niczym wam się to nie kojarzy?

Igor przerwał kopanie i zmarszczył brwi. Spojrział na Johanna i pokręcił głową.

– To wygląda całkiem jak stary symbol Chrystusa. – Johann spojrział na Paulinę, szukając oznak, że zrozumiała, o czym mówi. – Dziwne P z ogonkiem przypomina znak złożony z dwóch greckich liter „chi”, czyli X, i „ro”, czyli P. Natomiast A i X to stylizowane „alfa” i „omega” oczywiście.

Przez chwilę milczeli, a w tym czasie niebo przecięła kolejna błyskawica, po czym nad lasem przetoczyło się dudnienie grzmotu.

Igor pomyślał, że to rzeczywiście ciekawy pomysł. Dorota mogła nieuważnie odczytać litery, omega może od biedy pomylić się z literą X, tak samo jak alfa z A. Tylko jeśli to nawet prawda, to tym bardziej dowodzi tego, że napis nie ma nic wspólnego z żadną tajemnicą. Stylizowany podpis jakiegoś skryby.

– Tylko czemu te litery napisali odwrotnie? – spytała Paulina.

– Pewnie jest jakiś powód. Może ten zakonnik był ekscentryczny. – Johann się uśmiechnął, po czym oderwał brodę od trzonka łopaty i zeskoczył do płytkiego jeszcze dołu.

– No dobrze, bo nie skończymy do rana! Teraz ja! – Odepchnął Igora ramieniem.

Wbił łopatę w ziemię i odrzucił na bok kolejną bryłę czarnego, poprzerastanego korzeniami traw mięszu. Niebo znów przeszła błyskawica. Obok czerwonego kamienia powoli wyrastała spora górka.

– Skoro Ramin sam to zakopał, to nie mógł wykopać jakiegoś wyjątkowo głębokiego dołu. – Paulina patrzyła na pracującego w milczeniu Johanna.

– Dlaczego? To wszystko dookoła było jego, mógł tu siedzieć nawet i całą

noc i wykopać dół jak krater – mruknął Johann, nie przerywając przerzucania ziemi.

– Jest nas dwóch – burknął Igor. – Wystarczy nam w takim razie pół nocy.

Nim Paulina otworzyła usta, by odpowiedzieć, spod łopaty Johanna rozległ się nagle głuchy łomot. Wszyscy troje na moment znieruchomieli.

– Boże! – jęknął Johann. – Dokopałem się chyba do trumny, to jakieś wieko. Wiedziałem, że tak będzie.

Igor wskoczył do dołu obok niego i oświetlił latarką widoczny pomiędzy bryłami ziemi kawał płaskiej powierzchni. Wyraźnie widać było drewniane deski jakiejś pokrywy.

– I co teraz? – Paulina zajrzała im przez ramiona. – Nie chcecie chyba otwierać tej trumny?

– Jeszcze nie wiemy, czy to trumna. – Igor chwycił łopatę i zaczął kopać wokół, usiłując odkryć cały zakopany kształt.

– To się źle skończy! – Johann pokręcił głową i oparł się na wbitej w ziemię łopacie. Igor odrzucił jeszcze kilka porcji ziemi, po czym ukucnął i pomacał ręką odsłonięte deski.

– To nie trumna!

– A co? – Johann drgnął i pochylił się, usiłując dojrzeć dno rowu.

– Co to jest? – Paulina podeszła do czerwonego kamienia i spojrzała w dół.

– Kufer! – Igor podniósł wzrok i spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. W świetle reflektora jego twarz wyglądała trupio blado.

Przez chwilę panowała cisza. Wszyscy troje zamarli w bezruchu, usiłując pogodzić się z nagłym urzeczywistnieniem realiów, znanych jedynie z awanturnych filmów.

– Kufer? Naprawdę? Nie trumna? – Johann ukucnął obok dołu i spojrzał pod nogi Igora.

– Tak. To taki zwykły stary kufer na bieliznę. Pewnie Ramin przytargał go ze dworu.

– No, to wyciągajmy go! – Paulina popatrzyła na nich i oparła się o czerwony kamień.

– Uważaj! – Igor spojrzał do góry i zmarszczył brwi. – Ten kamień może

się przewrócić i spaść do dołu!

– On waży tonę. – Paulina wzruszyła ramionami, ale posłusznie odsunęła się od wielkiej płyty z czerwonego kamienia. – Ja ważę sześćdziesiąt kilo, więc nie wiem, jak mogłabym go przesunąć.

Niektóre słowa jednak wypowiada się w złym momencie.

Kolejna błyskawica przecięła niebo. Na ułamek sekundy zrobiło się jasno, jakby ktoś zrobił zdjęcie z lampą błyskową. Po czterech sekundach całym lasem wstrząsnął grzmot. Czerwony kamień nagle drgnął i lekko się pochylił.

Paulina odskoczyła do tyłu.

– Uważajcie! – krzyknęła i skierowała swoją latarkę na wielki głaz.

Igor i Johann podnieśli oczy i w tym samym momencie czerwony nagrobek z XIX wieku przechylił się i groteskowo, wręcz upiornie, niczym w najgorszych horrorach klasy B, zwalił się w dół, grzmocąc w dopiero co odkopane wieko kufra.

\*

Czarne bmw zjechało z głównej drogi, prowadzącej ze Szczecina w kierunku Polic, i nie zwalniając, potoczyło się asfaltową szosą pomiędzy starymi domami, ukrytymi za gęstą zielenią. Matthias ze zdziwieniem patrzył na sygnał GPS. Mały punkt od dłuższej chwili tkwił w jednym miejscu i nie przesunął się dalej. Środek lasu. Spojrzał na siedzącego obok Markusa i uśmiechnął się. Sięgnął do konsoli pod dużym ekranem komputera pokładowego i wybrał numer.

– Nie uwierzysz, dokąd oni pojechali – powiedział głośno, gdy na ekranie ukazał się sygnał połączenia.

– Nieźle. – Hans parsknął krótkim śmiechem na dźwięk nazwy miejscowości podanej przez Matthiasa. – Doskonale się składa. Podjedź tam ostrożnie i czekajcie na nas. Będziemy za dwadzieścia minut.

\*

Igor leżał na plecach i patrzył w niebo, na którym widać było łunę wydobywającą się z wykopanego przed chwilą rowu. Nad lasem przetoczył się kolejny grzmot.



W momencie gdy Paulina wrzasnęła, zdążył spojrzeć w górę i zauważył, że kamień się pochylił. Podniósł się błyskawicznie i wyskoczył z dołu prawie szczupakiem. W ostatniej chwili, bo nagrobek runął w dół z hukiem, uderzając o drewniane wieko na dnie rowu. Podniósł się i zobaczył, że po drugiej stronie dziury dźwiga się z trawy Johann. Jego reflektor przesuwiał się po drzewach, wydobywając z mroku konary i gałęzie. Reflektor Igora został w rowie i teraz świecił prosto do góry niczym szperacz przeciwlotniczy.

Igor podniósł się i otrzepał spodnie. Jeszcze tylko tego brakowało.

– I co teraz? – Paulina odzyskała mowę i zaświeciła swoją latarką prosto w oczy Igora.

– Nie oślepiaj mnie! – Wyciągnął w jej kierunku rękę i zajrzał do dołu. Reflektor leżał na dnie obok wielkiej czerwonej płyty. Pochylił się i opierając się jedną ręką o krawędź rowu, sięgnął palcami do plastikowej rączki.

– Jak to co teraz? Będziemy musieli to wyciągnąć – jęknął Johann, oświetlając leżący jakieś osiemdziesiąt centymetrów poniżej terenu kamień.

– Nie wydobędziemy inaczej kufra. – Igor wyprostował się i westchnął.

Płyta mogła ważyć jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów. Podnieść i ustawić ją w poprzednim miejscu byliby w stanie bez problemu, ale wyciągnąć z rowu? Obawiał się, że to przerasta ich fizyczne możliwości. Spojrzał na Johanna, z którego miny można było wyczytać, że myśli dokładnie o tym samym.

– Dawaj! Spróbujemy. – Johann wskoczył do rowu i spojrział na Igora. Po chwili obaj pochylili się nad wielkim kamulcem i wsunęli palce pod jego krawędzie. Płyta uniosła się, ale chociaż obaj wyteżali mięśnie, było oczywiste, że nie wydobędą jej z dołu.

– I co teraz? – Johann westchnął i wyprostował się nad czerwonym kawałem granitu.

– Nie wyciągniemy tego, choćbyśmy pękli. – Igor pochylił się i zajrzał w narożnik rowu. – Żeby to szlag trafił!

Jakby w odpowiedzi na te słowa, niebo przecięła błyskawica, a zaraz po niej głuchy grzmot.

– Jeśli spadnie deszcz, to w błocie już w ogóle nic nie zrobimy!

– Jakaś dźwignia? – Johann podniósł brwi.

- Nie mamy żadnego drağa. – Igor pokręcił głową.
- A samochód? – odezwała się milcząca do tej pory Paulina.
- Co samochód? – Igor popatrzył na nią podejrzliwie.
- Masz pewnie linę holowniczą, to w końcu terenówka. Zaczepcie to i wyciągnijcie.

Pomysł wydawał się dobry. Igor wprawdzie od razu pomyślał o gałęziowisku, jakie trzeba będzie pokonać, dojeżdżając tutaj, i co się z tym w oczywisty sposób wiązało, o lakierze, ale rzeczywiście chyba nie było innego wyjścia.

Westchnął i popatrzył na Johanna.

- Dobra, idę po auto. Spróbuję tu dojechać.

\*

Maks pędził, ile sił w nogach. Trzysta tysięcy receptorów węchowych prowadziło go w dokładnie określonym kierunku, niczym elektroniczny system naprowadzający w autosterowanym pocisku. Bardzo bał się burzy, każdy grzmot wywoływał w nim atak paniki i żalosną chęć natychmiastowego schowania się do jakiejś ciemnej nory, ale kierował nim teraz o wiele silniejszy instynkt.

Jego pani była w niebezpieczeństwie.

\*

Toyota z cichym pomrukiem powoli przebijała się przez gęstwinę zarastającą ścieżkę, która wiodła z głównej drogi do lapidarium Raminów. Długie światła oświetlały wąską, wolną od sterczących z obu stron gałęzi część drogi i gąszcz liści dookoła. Jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów i pojawi się prześwit między drzewami. Igor zwolnił, widząc grubą gałąź zwisającą nad drogą. Powoli pod nią przejechał, zaciskając zęby na dźwięk cichego szorowania zielonych szponów po granatowym, metalicznym lakierze. Pomiedzy gałęziami dostrzegł światło reflektorów. Po chwili zobaczył Johanna, który machał do niego ręką, wskazując, jak ma ustawić samochód.

Podjechał jeszcze kawałek do przodu, a następnie wykręcił, ustawiając się tyłem do rowu, nad którym stała Paulina, obserwująca wszystko z malującą

się na twarzy zgrozą. Wsiadł z samochodu i otworzył tylną klapę. Spod wielkiej skrzyni z różnymi manelami wyciągnął linę holowniczą. W tym momencie usłyszał uderzenie pierwszych kropli deszczu o dach samochodu. Zaklął i sięgnął po leżące luzem na wierzchu trzy brezentowe płaszcze przeciwdeszczowe.

Pochylił się i zaczepił koniec liny o hak.

– Podaj Paulinie. – Rzucił do Johanna dwie pałatki.

Johann szybko włożył na siebie brązowy płaszcz, chwycił drugi koniec liny i podbiegł do rowu. Po chwili lina była dokładnie okręcona wokół wielkiego kamienia.

– Dobrze, ciągnij powoli, ale ostrożnie, żeby go nie walnąć o coś. – Johann, stojąc nad samym rowem, pomachał do niego ręką.

Spomiędzy drzew zaczęły spadać coraz intensywniejsze krople deszczu. Igor wsiadł do samochodu, otworzył okno i wyglądając co chwilę na zewnątrz, powoli wcisnął pedał gazu. Toyota z cichym pomrukiem wolno potoczyła się po trawie.

Lina się napięła i po chwili kamień drgnął. Powolutku zaczął się przesuwać po miękkiej ziemi. Przejechał po dnie rowu i zarył krawędzią w ścianie wykopu.

– Poczekaj! – Johann pomachał rękami. – Trzeba lekko podnieść przód, bo się zablokował.

Wskoczył do dołu i uniósł przednią część nagrobka.

– Teraz!

Igor ostrożnie wcisnął pedał gazu i kamień zaczął z wolna wyjeżdżać z wykopu. Po chwili leżał na trawie obok dołu. Igor zgasił silnik i wyskoczył z samochodu.

– Za chwilę będzie tam pełno wody na dnie. Musimy odkopać ten kufer – rzucił do Johanna i podbiegł do rowu. W dziurze, która miała jakiś metr na półtora metra szerokości i z osiemdziesiąt centymetrów głębokości, ziemia na dnie powoli zaczęła moknąć i zmieniać się w grząską breję. W samym środku sterczała z niej górna pokrywa kufra.

– Nie wiadomo, jakie to cholerstwo jest duże... – Igor chwycił łopatę i zaczął kopać wzdłuż dłuższej ściany drewnianego pudła. Paulina drgnęła i skierowała snop światła z latarki w gąszcz za plecami. Wydawało jej się, że

usłyszała jakiś szelest gałęzi.

– Co się stało? – Johann spojrział na nią spod naciągniętego na głowę kaptura. Deszcz padał coraz mocniej.

– Wydawało mi się, że coś usłyszałam w tych krzakah.

– Pewnie jakieś zwierzę, myślę, że tu jest od cholery dzików. – Johann wzruszył ramionami.

– Bądźcie ciszej, bo ściągniemy sobie kogoś na łeb – stęknął Igor, nie przerywając kopania.

– Narobiliśmy już i tak tyle hałasu, że nie zdziwiłabym się, gdyby mieszkańcy okolicznych wioch siedzieli w krzakah i przypatrywali się naszym wyczynom.

Paulina była tym wszystkim przerażona. Mieli być cichutko. Po cichutku wykopać to coś i szybko stąd zniknąć. Tymczasem skończyło się na wjechaniu na ten cmentarzyk ryczącej półciężarówki Igora i wrzaskach wokół dołu, który miał gabaryty średniej wielkości grobu.

– Teraz ja! Wyłaź! – Johann chwycił swoją łopatę i wskoczył do rowu obok Igora.

Johann przestał się przejmować w momencie, gdy odkryli kufer. Niepokój przysłoniła ciekawość, co znajdą w środku tego, grzęznącego póki co w błocie, drewnianego pudła.

Po kolejnych minutach babrania się w przemoczonej ziemi ukazał się spód kufra. Konkretnie jeden narożnik. Pudło nie było wcale takie wielkie, jak się obawiali, mogło mieć jakieś pół metra wysokości. W rzucie około czterdzieści na sześćdziesiąt centymetrów.

– To raczej nie jest kufer na bieliznę. – Paulina pochyliła się na dołem.

– I całe szczęście, bo też musielibyśmy go wyciągać liną holowniczą. – Igor poszedł w jej ślady, zaglądając do dołu.

Johann odgrzebał resztki ziemi wokół bocznych ścian.

– Pomóż mi, spróbujemy to wydobyć.

Po chwili obaj z Igorem, pochyleni w rowie, złapali za spód kufra i wyrwali go z ziemi. Prostokątna dziura po dnie pudła szybko wypełniła się wodą. Skrzynka nie była ciężka, z łatwością wyciągnęli ją na górę i postavili na brzegu dołu.

Niebo przecięła kolejna błyskawica, a po kilku sekundach przetoczył się nad lasem głuchy grzmot. Deszcz nie ustawał. W rozpościerającym się nisko nad ziemią świetle z leżących w trawie reflektorów trzy sylwetki, okutane w przeciwdeszczowe kapoty, stały w milczeniu wokół mrocznego, prostopadłościennego kształtu.

\*

Bondar pchnął kratę i wszedł do środka bramy prowadzącej na tyły budynku. Niegdyś było tutaj wejście do małego baru, a przejście prowadziło dalej na plac, gdzie stało kilka drewnianych budek z kebabem i lodami. Nazywano je „kogucikami”. Bondar nie pamiętał dlaczego, może zresztą nigdy nie wiedział.

Wszedł na podwórze na tyłach hotelu. Zaniebane podwórko należało do sąsiedniej kamienicy, a na wprost wznosiła się ogromna ściana biurowca S-Center. Bondar pchnął furtkę w ogrodzeniu hotelu. Była zamknięta.

Tamtej nocy była otwarta. Otwarta do momentu, gdy ludzie Boroli założyli nowe kłódki na drzwiach do piwnicy. Przedtem nikt się nie przejmował furtką. Była przecież brama, którą na noc zamykano.

Bondar rozejrzał się i zrobił kilka kroków w kierunku sąsiedniej kamienicy. Obok odnowionego hotelu i wielkiej, nowoczesnej, błyszczącej aluminiowymi okładzinami ściany S-Center podwórzowa elewacja kamienicy prezentowała się fatalnie. W środkowej części przyziemia były drzwi prowadzące na klatkę schodową. Bondar podszedł i nacisnął klamkę. Otwarte.

Odwrócił się i spojrzął w kierunku bramki wiodącej na podwórze hotelu. Fleming wcale nie musiał spotkać w lochach tych ludzi z czarnego bmw. Jeżeli wyszli wcześniej, to zawsze mogli się schować na klatce sąsiedniej kamienicy i przeczekać. Zapis kamery urwał się akurat w tym momencie. Gdy Fleming wszedł do piwnicy, pewnie się gdzieś przyczaili, a gdy wyszedł na zewnątrz, żeby pokierować sanitariuszami, przebiegli do tej klatki i poczekali, aż wszyscy wejdą do lochów.

Rozejrzał się po małym korytarzu prowadzącym na schody. Niczego tutaj nie znajdują, widać, że było sprzątane, ale i tak trzeba kogoś przysłać, by się rozejrzał.

Westchnął i wyszedł na podwórze, starannie zamykając za sobą drzwi.

\*

– Zajrzymy w końcu do środka czy chcecie tak stać przez resztę nocy? – Paulina pierwsza przerwała milczenie. Wzdrygnęła się. Była przemoczona, czuła, jak woda spływa jej po czole z pozwijanych w strąki włosów. To nie było miłe uczucie.

– Weźmy to do samochodu, postawimy w bagażniku i schowamy się pod tylną klapą. – Igor machnął ręką w kierunku toyoty.

Johann pokiwał głową i pochylił się nad kufrem. Chwycili drewniane pudło i przenieśli je kilka metrów. Igor sięgnął ręką do klamki i podniósł do góry tylne drzwi samochodu. Postawili kufer na ziemi. Igor wsunął się do wnętrza i przesunął plastikową skrzynkę z podręcznymi bambetlami, robiąc miejsce na pace. Wyjął z bocznej kieszeni złożoną w kostkę plandekę i rozłożył ją w bagażniku.

Po chwili kufer stał w środku. Dopiero teraz zauważyli, że z boku drewnianej pokrywy zwisa duża, pordzewiała kłódka.

– Masz jakiś przecinak albo nożyce? – Johann spojrzał na Igora.

Ten pokręcił głową. Ciągle coś pod górkę.

– Czyli nie otworzymy tego tutaj. – Johann się zasepił.

– To otworzymy w domu – westchnęła Paulina. – Lepiej teraz szybko posprzątajmy i zabierajmy się stąd wreszcie.

Igor spojrzał do tyłu. Dwa reflektory wciąż leżały na ziemi, oświetlając moknące w deszczu pobojuwisko. Obok sporej góry ziemi ziała czarna, wypełniająca się błotem dziura, a przed nią, wciąż opleciony liną holowniczą, leżał czerwony kamień przodków.

– Mam nadzieję, że Wilhelm i Henrietta nie będą nas straszyć – westchnął, myśląc o tym, że będą musieli wyjść spod zapewniającej ochronę przed deszczem kłapy i zasypać dół, a potem jeszcze postawić płytę nagrobną na dawnym miejscu.

– Teraz mogę wam pomóc, będzie szybciej. – Paulina nasunęła kaptur na głowę. – Zasypywać jest łatwiej. Idziemy! Miejmy to za sobą, chcę już być w domu.

Johann, człapiąc w mokrej trawie, podszedł do czerwonego kamienia i zaczął rozplątywać linę. Po chwili płyta leżała uwolniona z więzów. Igor

pochylił się nad nią, złapał za ostrołukowo zakończony wierzchołek i dźwignął do góry.

Mozoląc się, zdołali ją przeciągnąć bliżej.

– Niech leży, najpierw zasypujemy dół i uklepiemy, bo się przekrzywi. – Igor chwycił za łopatę i razem z wytrwale pracującą obok Pauliną zaczął wsypywać ziemię do wykopu.

Po jakichś piętnastu minutach atrapa grobu została zasypana, czerwony nagrobek Henrietty i Wilhelma von Raminów stał z powrotem na swoim miejscu, a cała trójka pracowicie udeptywała ziemię.

– Jeszcze nagramy tu trochę zielska i liści, wtedy nie będzie widać, że ktoś świeżo kopał. – Paulina zaczęła przeczesywać łopatą trawę w najbliższym sąsiedztwie nagrobka.

– Dobrze, może być. – Igor odstawił łopatę pod najbliższe drzewo i zaczął wycierać zabłocone buty o trawę. – Samochód będzie wyglądać jak po safari.

– Umieram z ciekawości, co jest w tym pudle. – Johann podniósł reflektor i skierował go na samochód. W świetle ukazał się otwarty bagażowy tył toyoty i stojący w nim pośrodku czarny, ubłocony kufer.

– Może da się go jednak jakoś otworzyć? – Igor wrzucił łopaty do bagażnika i zaczął grzebać w wielkim plastikowym pudle, wypełnionym różnymi przedmiotami, od rękawic ogrodniczych począwszy, na butach do konnej jazdy kończąc.

– Masz może jakiś łom? – Johann zajrzał przez jego ramię.

– Wytrzymacie te dwadzieścia minut – jęknęła Paulina. – Jedźmy już stąd, na miłość boską! Otworzymy to przy herbacie, w mojej cudownej ciepłej, i suchej kuchni.

Błyskawica rozświetliła niebo stroboskopowym światłem i w tym samym momencie z fałdów któregoś płaszcza dobiegł dźwięk komórki.

– To twoja. – Igor podniósł wzrok na Paulinę, która niepewnie sięgnęła pod płaszczy i wygrzebała z kieszeni telefon. Spojrzała na wyświetlacz i westchnęła.

– Na kiedy będziesz miała ten tekst o zaginionym obrazie Cranacha? – Paweł przeszedł bez wstępów do meritum.

– I dzwoniś do mnie o tej porze, żeby o to spytać? – Paulina poczuła znaną sobie doskonale irytację, która zawsze ogarniała ją w trakcie rozmów z Pawłem. Przed chwilą wyszła spod klapy samochodu Igora i odeszła na bok. Czują, jak krople deszczu przeciekają przez niezbyt szczelny płaszcz.

– O jakiej porze? Jeszcze nie ma nawet dziesiątej. Mów, co z tym obrazem, bo jestem ciekawy. To rzeczywiście Cranach?

– Obraz jest teraz w laboratorium w National Gallery – powiedziała Paulina ostrożnie. – Ale pierwsze badania wykazały, że to może być Cranach.

– I naprawdę pochodzi ze Szczecina?

– Z Pomorza. Nie mówiłam, że pochodzi ze Szczecina.

– Nieważne. Kiedy będziemy mogli to puścić? Jest lato, potrzeba ciekawych, lekkich tematów. Poza tym myślałem, że może się spotkamy dziś gdzieś na kawie i pogadamy o tym obrazie?

Paulina zaklęła w duchu. Paweł chce ją wyciągnąć na kawę. Znowu.

A poza tym nawet nie zdążyła spytać Johanna, czy może o tym napisać. Czy w ogóle będzie można o tym napisać w kontekście tych wszystkich wydarzeń. Trzeba coś wymyślić.

– Muszę to uzgodnić z właścicielem. To wymaga dyplomacji.

– Byle szybko. – Paulina pomyślała, że Paweł powiedział to takim tonem, jakby ten temat był pierwszym, obowiązkowym punktem, który musiał odbębnić, zanim nie przejdzie do ciekawszego wątku.

– Słuchaj. Ten Fleming zna konserwatorkę, mówiłaś też, że zna Marzenę Hadrys.

Paulina zmarszczyła brwi.

– Tak, no i...

– Nie możesz się jakoś dowiedzieć czegoś na temat tej afery w zamku? Może wie coś więcej.

– Jakiej afery w zamku? – Paulina poczuła intuicyjny niepokój.

– Jak to jakiej? Nie czytałaś gazet? Do netu nie wchodziłaś? Poza tym to pośrednio twój temat.

– Paweł, mów, o co chodzi. – Paulina poczuła, że się denerwuje. – Wróciłam rano, a potem byliśmy u rodziców Igora na wsi i właściwie



dopiero niedawno przyjechałam do miasta.

Ledwie skończyła, od razu pożałowała, że nie ugryzła się w język.

– Co takiego? U rodziców tego Fleminga? Po tygodniu znajomości?

– Paweł, nie wkurzaj mnie! – syknęła Paulina. – O co chodzi z tym zamkiem?

– Ale weź coś powiedz najpierw! U rodziców?! – Paweł nie chciał odpuścić.

– Byłam tam z nim i tym Anglikiem od obrazu. Chodziło o zapoznanie się z pewnymi archiwaliami, które mają państwo Flemingowie. – Paulina wiedziała, że nie może zanadto kręcić, bo potem nie wybrnie z tego w kontekście cholernego artykułu.

– Co z tym zamkiem?

– Było włamanie do pracowni konserwatorskiej, w której jest teraz ten twój sarkofag. Policja nie podała żadnych szczegółów, dla dobra śledztwa oczywiście. Gdzie ty w ogóle jesteś? Co to za hałasy?

Paulina szczelniej otuliła się płaszczem i spojrzała w kierunku samochodu, gdzie Igor z Johannem manipulowali przy zamku kufra.

– Na tarasie, podziwiam burzę. Ale nic nie wiadomo? Ukradli coś? – Paulina przypomniała sobie ucieczkę przez tory przed tajemniczymi prześladowcami i momentalnie poczuła, jak rośnie w niej niepokój.

– Z tego, co podali, to nie. Ani sarkofag, ani trumna i w ogóle nic nie zginęło. Pewnie ta konserwatorka ich nakryła, dlatego ją zabili.

– Zabili? – Paulina otworzyła szeroko oczy i stanęła jak wryta.

– Napisali o tym niewiele – jęknął Paweł. – No, właściwie to nie wiadomo, czy ktoś ją zabił, czy to był jakiś wypadek. Wszystkie gazety podały to samo, policja zasłania się tajemnicą, dlatego pytałem o znajomości Fleminga. Gdybyśmy pierwsi napisali w poniedziałek rano coś więcej, to byłoby mega.

– Paweł, muszę kończyć. Nie sądzę, żebym mogła się o to zapytać.

– Ale spróbuj przynajmniej.

– Jasne. Kończę, na razie.

Paulina stała przez chwilę z komórką w ręku. Czuła, że jest blada. Johann

odwrócił się w jej kierunku i od razu spostrzegł, że coś jest nie tak. Podniósł brwi.

– Coś się stało?

– Ci bandyci zabili jakąś dziewczynę z pracowni konserwatorskiej. Właśnie się dowiedziałam.

– Co takiego? – Igor odwrócił się gwałtownie. – Komorowską?

Paulina schowała ręce do kieszeni płaszcza i spojrzała na patrzącego na nią z niedowierzaniem Igora.

– Lepiej zabierajmy się stąd jak najszybciej.

– Mam inny pomysł! – Niski głos, który rozległ się za ich plecami, spowodował, że wszyscy troje zamarli ze zgrozy w bezruchu.

Paulina przez chwilę bała się nawet odwrócić. Igor powoli spojrzał za siebie.

Kolejna błyskawica oświetliła małą polankę, a zaraz po niej głuchy grzmot rozerwał zapadłą nagle ciszę.

U wylotu ścieżki stało czterech mężczyzn w czarnych kurtkach z kapturami. Dwóch trzymało w rękach czarne metalowe przedmioty, w których Johann z przerażeniem rozpoznał, używane przez angielskie oddziały specjalne, pistolety SIG-Sauer P229.

## Rozdział 35

Igor przejechał wzrokiem po ciemnych kurtkach stojących przed nimi mężczyzn. Pomyślał, że stojąc tak naprzeciwko siebie, muszą wyglądać jak jakieś dwie pomyłone drużyny entuzjastów gry w paintball. Zatrzymał wzrok na wielkim czarnym pistolecie jednego z bandziorów. Masakra! W co myśmy się wpakowali?

– Okradanie grobów to chyba przestępstwo, nawet w tym kraju? – Hans uśmiechnął się zimno, lustrując Johanna i Igora. – Nie radzę udawać bohaterów.

Igor pomyślał, że to ostatnie, na co ma ochotę, jeśli dobrze zrozumiał tego Szwaba.

– Nie okradliśmy żadnego grobu! – Paulina odzyskała głos, dowodząc tego w cokolwiek bezsensowny sposób, wzięwszy pod uwagę wciąż stojący na pacy samochodu stary, spróchniały kufer.

– Jasne! – zarechotał Hans.

– Czego chcecie? – Igor spojrział na Niemca. Głupie pytanie, pomyślał.

– A jak ci się wydaje? – Hans uśmiechnął się ponownie i machnął ręką w kierunku toyoty. – Chcemy oczywiście dopilnować, żeby zawartość tego pudła nie trafiła w ręce bezwzględnych, zdeprawowanych hien cmentarnych.

– I naprawdę dopilnujecie, żeby nie trafiło w wasze własne ręce? – odezwał się Johann.

– Bardzo zabawne, milordzie, ale prawdę powiedziawszy, najpierw trafi w wasze własne ręce. – Hans kiwnął brodą w kierunku samochodu.

– Jazda! Weźmiecie ten kufer i będziecie szli przed nami.

Igor poruszył się niepewnie.

– Ale najpierw wyskakiwać z komórek i kluczyków – odezwał się milcząco do tej pory Matthias i zrobił krok w kierunku Igora. Stał przed nim i podniósł brwi.

Igor niechętnie sięgnął pod płaszcz deszczowy i wyciągnął telefon.

– Kluczyki są w stacyjce – mruknął.

– Przed chwilą rozmawiałam z moim szefem, to redaktor naczelny „Dziennika Szczecińskiego” – Paulina, nie kryjąc złości, wyszarpnęła komórkę i rzuciła ją w kierunku Matthiasa. – Wie, gdzie jesteśmy.

– Wątpię. – Hans przewrócił złośliwie oczami i machnął uzbrojoną w angielski pistolet ręką. – Pośpieszcie się, potem pogadamy.

Igor rzucił Johannowi wymowne spojrzenie i obaj podeszli do otwartego bagażnika toyoty.

– To aż takie ciężkie nie jest, poradziłbyś sobie sam. – Johann spojrzał wyzywająco na stojącego za nim Matthiasa. Tym razem odezwał się po niemiecku.

Igor zmarszczył brwi. Cokolwiek powiedział, miał wrażenie, że nie było to nic miłego. Wolałby, żeby Johann zachował ostrożność.

– Wielkodusznie pozwolę wam to ponieść. – Matthias popchnął Johanna, a widząc wściekłość w jego oczach, wycelował w niego lufę pistoletu i wyszczerzył zęby.

– Bierz za drugą rączkę!

Igor spojrzał na Johanna i przeciągnął kufer do brzegu bagażnika. Po chwili obaj stali, trzymając między sobą poczerńiałe ze starości pudło. Hans machnął ręką w kierunku ścieżki prowadzącej do drogi i cała ponura drużyna ruszyła przez gęste krzaki, rzucając sobie nawzajem wrogie spojrzenia.

Igor zastanawiał się, jakie mają szanse na ucieczkę. Szefem tamtych jest najwyraźniej ten blondyn. Zdecydowanie nie był ułomkiem, chociaż z całej czwórki ten, który popchnął Johanna, wyglądał na najbardziej sprawnego fizycznie. Pokonanie tych typów w walce wręcz nie wchodziło w rachubę. Że też musiał się uczyć szermierki i jazdy konnej zamiast kung-fu albo jakiejś krav magi. Johann też nie wygląda na mistrza w tej dziedzinie, więc generalnie mają przechlapane. Po chwili dotarło do niego, że przecież ci dranie mają broń, więc jakakolwiek walka wręcz w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Broń! Coś tak abstrakcyjnego, że aż trudno w to uwierzyć. Po raz pierwszy w życiu ktoś celował do niego z prawdziwego pistoletu i było to na tyle niewiarygodne, że nawet specjalnie go nie przeraziło. Pomyślał, że jest jak te

dzikie zwierzęta w buszu, które nigdy nie widziały broni i nie uciekają na widok jakichś degeneratów ze sztucerami.

Wyszli na ścieżkę. Po prawej stronie brama, prowadząca na ogrodzony teren dawnego folwarku, była teraz szeroko otwarta. W głębi kasztanowa aleja niknęła w mroku, wiodąc w kierunku ruin dworu. Bliżej wjazdu, obok dwóch kontenerów, stały dwa samochody, terenowe bmw i biała furgonetka, a przed bramą przy drodze – trzeci, wielki czarny osobowy mercedes. Teren oświetlony był przez lampy zawieszane na dachach kontenerów. Hans wyprzedził ich, wyszedł na drogę i skinął głową w kierunku bramy.

I w tym momencie Igora oświeciło.

To był ten zrujnowany majątek, którym zajmowała się Dorota. Tylko dlaczego mu tego nie powiedziała? Czemu go nie ostrzegła? Przypomniało mu się też, jak Borola mówił coś, że kontaktował się z właścicielem. No, on chyba nie ma z tym nic wspólnego?

Burza straciła trochę na impecie i tylko z oddali dobiegały przytłumione grzmoty. Deszcz prawie ustał, jedynie pojedyncze krople spadały pomiędzy gęstych liści, rozpryskując się w małych kałużach wypełniających dziury w szutrowej nawierzchni drogi.

– Wnieście ten kufer do białego kontenera. – Hans machnął pistoletem. Igor usłyszał dźwięk silnika i przez chwilę miał nadzieję, że to jakiś samochód zapędził się tutaj o tej porze, jadąc do sąsiedniej wsi. Nie bardzo wiedział wprawdzie, jak mogliby to wykorzystać, ale zanim zdążył pomyśleć, zobaczył, że to jego toyota wyjechała pomiędzy krzewów. Za kierownicą siedział najmłodszy z czterech facetów w nasuniętym na czoło kapturze. Wjechał na teren folwarku i skręcił w kasztanową aleję. Po chwili tylne światła samochodu zniknęły pomiędzy drzewami.

Spojrzał na Johanna, który także odprowadzał wzrokiem jego samochód, marszcząc brwi.

– Włazić do tego baraku! – Hans zrobił krok w ich kierunku.

– Czego wy chcecie? Możecie sobie zabrać ten kufer! – Paulina odwróciła się do Hansa i machnęła ręką w kierunku zmurszałego ładunku, niesionego przez Johanna i Igora.

– Kufer sobie zabierzemy, czy ci się to podoba, czy nie. – Hans uśmiechnął się zimno. – Włóż do środka! – Skinął głową w kierunku drzwi

do białego baraku.

Był to typowy kontener, jakie ustawia się na placach budowy. Prefabrykat o konstrukcji stalowej ze ścianami z ocynkowanej blachy trapezowej, który można było w miarę potrzeb łączyć w dowolne zestawy z kilku modułów, tworząc zaplecze administracyjne i socjalne. W krótszej ścianie miał drzwi, do których prowadziły zbite z kilku desek schodki z trzema stopniami.

Igor z Johannem weszli do środka i zatrzymali się, niepewnie rozglądając się po niewielkim wnętrzu. Pod przeciwległą ścianą stał plastikowy stół i kilka krzeseł. Na mniejszym stoliku przy ścianie stały kubki i elektryczny czajnik. Po chwili wahania postawili kufer na stole i odwrócili się, patrząc na wchodzących do środka mężczyzn.

– Stanać pod ścianą! Ty także! – Matthias kiwnął głową do Pauliny, która weszła przed nim do baraku. – I ściągać te płaszcze! Wolę mieć wasze łapy na widoku!

Igor spojrzał na Matthiasa spode łba, po czym odpiął dwa guziki swojej pałatki i ściągnął ją przez głowę. Mimo nieciekawych okoliczności poczuł ulgę. Burza wcale nie spowodowała, że zrobiło się chłodniej, a wprost przeciwnie, było parno i duszno.

– Siadać tutaj! – Matthias podsunął nogą jedno z krzeseł do ściany.

– Pieprzony Szwab! – Paulina popatrzyła na niego wzrokiem, który gdyby mógł zabijać, byłby zdecydowanie bardziej niebezpieczną bronią niż pistolety SIG Sauer P229.

Usiedli na trzech krzesłach pod ścianą. Po drewnianych schodach do baraku wszedł Parsov, a za nim Hans, który trzymał w rękach spory łom. Parsov stanął na środku pomieszczenia i obrzucił zaciekawionym spojrzeniem Igora i Johanna.

– Więc w końcu poznałem słynnego męża naszej dzielnej współpracownicy – powiedział z ironią po angielsku.

Igor nie odezwał się, ale wbił w starego Niemca wzrok niewiele mniej niebezpieczny niż Pauliny.

– Miło pana poznać, milordzie – rzekł teraz Parsov do Johanna, nie rezygnując z szyderczego tonu. – Lord Carley byłby pewnie nieco skonfundowany, gdyby dowiedział się, jak jego syn spędza wakacje we wschodniej Europie.

– Szkoda, że ja nie mogę powiedzieć tego samego. – Johann uśmiechnął się zimno do Parsova. – A mój ojciec już przywykł do tego, że moja domieszka niemieckiej krwi go kompromituje.

– Niech pan nie zapomina, że pana matka ma czystą niemiecką krew. – Parsov ściągnął brwi.

– Nas nie interesują pana nacjonalistyczne kompleksy! – wrzasnęła Paulina. – Nie ma pan prawa nas tutaj więzić!

– Proszę nie krzyczeć! Jeszcze nikt was nie więzi. – Parsov obrzucił ją obojętnym spojrzeniem i skierował się w stronę stołu. Kiwnął głową do Hansa.

Ten podszedł do kufra i wbił łom pomiędzy skrzynię i wieko. Podważone deski zaskrzypiały. Mocno szarpnięta łomem pokrywa z głośnym trzaskiem odskoczyła.

Igor wbił wzrok w skrzynię.

\*

Dorota otworzyła oczy. Dookoła było prawie całkiem ciemno. Przebiegło jej przez myśl, że po prostu zasnęła, ale nie przypominała sobie, by gasiła światło.

Poczuła, że boli ją głowa, odruchowo sięgnęła do czoła, żeby potrzeć skronie, ale napotkała dziwny opór. Nie mogła się poruszyć.

W tym momencie dotarło do niej, że ma unieruchomione ręce.

Najpierw poczuła złość. Szarpnęła się, próbując poluzować sznur, ale nic to nie dało. Siedziała na krześle, z rękami związanymi z tyłu. Jak na jakimś pieprzonym, żalonym gangsterskim filmie! Jak długo tutaj jest? Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do mroku i zaczęła wyławiać z ciemności jakieś sprzęty dookoła. Niedaleko stał stół. Pomieszczenie nie było duże, wielkości zwyczajnego pokoju, i chyba nie miało okien lub były zasłonięte szczelnie jakimiś żaluzjami.

Ale jak tu trafiła?

Przypomniała sobie, że chyba ktoś przyniósł jej do pokoju kolację. Zamówiła surówkę i lampkę wina. Jakiś gruby facet w czarnym kelnerskim uniformie wniósł tacę i postawił ją na stole. Sięgnęła po lampkę wina... i nie

pamiętała, co było dalej. Narkotyk! Ale jak wyszła z pokoju? Czyżby tak ją to otumanilo, że dała się wyprowadzić bez protestów?

Nigdy nie brała żadnych narkotyków, poza marihuaną. Nie miała pojęcia, jak działają, ale słyszała, że są środki, które pozbawiają kontroli przy jednoczesnym pozornym zachowaniu świadomości.

Musi się uwolnić! Szarpnęła się gwałtownie, ale sznur był mocno zawiązany. Ręce i nogi miała unieruchomione. Poczowała, jak fala bezsilnej złości zaczyna ustępować, a jej miejsce zajmuje zdradliwie podpełzający, paraliżujący strach.

\*

Przez chwilę panowała cisza. Z zewnątrz dobiegał tylko rytmiczny stukot kropli deszczu, które spadały na blachę trapezową. Hans patrzył do wnętrza kufra z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Igor pomyślał, że zaraz go chyba szlag trafi. Tyle się namęczyli z wykopaniem tego cholerstwa, a teraz nawet nie zobaczą, co było w środku.

– Co tam jest? – Paulina go ubiegła. – Możemy się chyba dowiedzieć, skoro sami to wykopaliśmy?

Hans, ignorując Paulinę, sięgnął do środka i wyjął plik papierów. Większość miała barwne niegdyś, teraz wyblakłe kolorowe nadruki z dekoracyjnymi emblematami i napisami.

– Ramin zabezpieczył swoje papiery wartościowe – mruknął. – Mogą mieć dużą wartość kolekcjonerską. – Spojrzał na Parsova.

Parsov skrzywił się lekceważąco i sięgnął do środka kufra. Po chwili w jego rękach pojawił się spory, poczerniały kawał drewna. Igor wstrzymał oddech. Więc jednak miał rację. Płaskorzeźba z ołtarza Barnima.

Parsov przejechał palcami po starym drewnie, w którym kilkaset lat temu została zaklęta brodata twarz księcia. Ołtarz, według legendy wyrzeźbiony osobiście przez Barnima IX, zachwycał szczegółowością detali, malutkimi, precyzyjnie ukazаныmi drobiazgami, które przybliżały ówczesną rzeczywistość i dawały pojęcie o ogromie pracy włożonej w stworzenie tego dzieła. I taka była płaskorzeźba, którą trzymał w rękach Parsov.

Książę przedstawiony był na niej od frontu, z głową zwróconą w lewą stronę. Nie był już młody, miał twarz poorly zmarszczkami i głębokie



bruzdy pod oczami. Ubrany był w bogaty renesansowy surdut z kołnierzem, z którego zwisał łańcuch. Dłonie wynurzały się spod szczegółowo wypracowanych w każdej fałdzie rękawów. Trzymał w nich złożony do połowy wachlarz. Na lewej dłoni księcia pysznił się wielki pierścień. Płaskorzeźba niegdyś była prawdopodobnie polichromowana, bardzo kolorowa, teraz szerniała prawie całkowicie, z drobnymi plamkami pigmentów, wyzierających gdzieś pod patynę.

Parsov odwrócił płaskorzeźbę. Gdyby ją wpisać w okrąg, miałby jakieś pół metra średnicy. Pierwotnie przymocowana do płaszczyzny zniszczonej nadstawy ołtarza, z drugiej strony miała porowatą powierzchnię deski. W samym jednak jej środku wydrążony był trójkąt, wewnątrz widniał wyryty prostymi, eleganckimi literami łaciński napis.

– Widzisz, co tam jest napisane? – spytała Paulina po polsku, pochylając się w kierunku Igora.

Igor przecząco pokręcił głową. Było za daleko, żeby dało się dostrzec litery.

– Nie mów niczego istotnego po polsku, oni mogą udawać, że nie znają naszego języka – mruknął, patrząc na Matthiasa.

Paulina odwróciła się w kierunku Matthiasa i głośno zapytała:

– Jesteś gejem?

Igor spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Odbiło ci?

Matthias zmarszczył brwi i popatrzył podejrzliwie najpierw na Paulinę, a potem na Igora.

– *Halt die Schnauze!*[\[37\]](#) – wycedził.

– Zareagowałyby raczej w inny sposób, gdyby zrozumiał – powiedziała z przekonaniem Paulina.

– Może akurat homofobem nie jest? – Igor z trudem powstrzymał się od postukania palcem w czoło.

– Mogliśmy zabrać Karpackiego, a Markusa zostawić z jego żoną. Wiedzielibyśmy przynajmniej, o czym gadają – powiedział Matthias, spoglądając na Hansa.

Paulina drgnęła. Z jego żoną? Przecież Dorota powiedziała Igorowi, że

dzisiaj wyjeżdża. O tym, że zamordowali tę dziewczynę w zamku, jakoś zapomniała dodać. Nie uprzedziła też, że miejsce, w którym teraz tkwią, należy najwyraźniej do tego starego Niemca. Czy to możliwe, że ona nadal z nimi współpracuje?

Hans obrzucił lekceważącym spojrzeniem całą trójkę i pochylił się nad trzymanym przez Parsova fragmentem starego ołtarza.

Parsov dotknął palcem wyrytych w drewnie liter.

– Ostatnie zdanie brzmi jak typowa chrześcijańska sentencja. Barnim Dziewiąty był pobożny, może akurat nic się za tym nie kryje poza znaczeniem dosłownym.

– Wy naprawdę szukacie skarbu templariuszy? – spytała nagle Paulina po niemiecku. – Przecież to obłąd! I co to ma być zresztą? Dokumenty ze świątyni Salomona? Genealogia Chrystusa? Czy chodzi o zwyczajną, banalną stertę złota i brylantów?

Parsov popatrzył na Hansa, który obrzucił Paulinę rozbawionym spojrzeniem i parsknął krótkim śmiechem.

– Pani szyderstwa dziwnie brzmią w kontekście tego, że właśnie spędziła pani dwie godziny w lesie z łopata, w dodatku w czasie burzy, bezczeszcząc historyczne miejsce pochówku.

– To nie jest żadne miejsce pochówku, tylko tablica pamiątkowa! – syknęła Paulina, patrząc na Parsova gniewnym wzrokiem. – Niczego nie zbezczesciliśmy!

– Dopiero co upieraliście się z Johannem, że to miejsce pochówku – mruknął Igor. Paulina storpedowała go wzrokiem.

Parsov spojrział na troje aresztantów z protekcyjnym uśmiechem.

– Jesteście głupcami! – powiedział, akcentując dobitnie obraźliwy epitet. – I to nawet nie pierwszymi w tej historii. Naprawdę uwierzyliście w te brednie o skarbach templariuszy? Wydaje wam się prawdopodobne, że austriacka banda maruderów, która w jakiejś ruderze na Łasztowni[38] założyła to nędzne towarzystwo wzajemnej adoracji, posiadała tajemną wiedzę na temat ukrytych w Szczecinie skarbów?

Igor spojrział na Parsova spod ściągniętych brwi.

– Z biegiem lat, oczywiście, do tej zgrai byłych więźniów przyłączyło się sporo dorobkiewiczów, a nawet wyrzutek pomorskiej arystokracji, jak

Ramin. Te masońskie brednie zawsze przyciągały różnych degeneratów, ale możecie być pewni, że żaden z nich nie wniósł ze sobą w wianie żadnej ezoterycznej mądrości. – Parsov uśmiechnął się kpiąco.

– Opowieści o templariuszach, skarbach i Gryfitach były częścią masońskiego sztafażu, ulubioną przez to towarzystwo zabawą w tajemne historie, rycerzy i legendy Graala, którymi ekscytowało się pospólstwo. Być może część masonów, szczególnie szeregowych członków loży, wierzyła nawet w te bzdury, ale z całą pewnością nie osoby z najwyższych szczebli wtajemniczenia.

Przez chwilę panowała cisza i słychać było tylko wciąż spadające na blachę baraku krople deszczu.

Igor milczał, wpatrując się w starego Niemca. Czy to możliwe, że rzeczywiście dali się ponieść fantazji? Przypomniał sobie to, co powiedziała Paulina, że wszystkie te historyczne, odległe od siebie czasowo fakty, które dotyczyły Gryfitów, Sydonii i urbanistyki Szczecina, mogły być tylko ich interpretacją. Może więc faktycznie były tylko skrupulatnie i precyzyjnie skonstruowaną historią, która miała dodać powagi i tajemniczości szczecińskiej loży? Czy to możliwe, że dali się wywieść w pole przez samych masonów? Może nie było żadnej Wielkiej Tajemnicy, a tylko stworzona na potrzeby lokalnej loży sztuczna, wyreżyserowana legenda, utkana w części z prawdziwych historycznych wydarzeń, w części z pomorskich baśni, kreatywnie połączonych zmyślonymi faktami? Taka jak słynne *Protokoły Mędrców Syjonu*, spreparowane najprawdopodobniej w Rosji i później wykorzystywane w Europie przeciw Żydom, albo jeszcze słynniejsze *Dossier Secrets*[\[39\]](#), odnalezione ponoć w Bibliotece Narodowej w Paryżu, które miały dowieść, że dynastia Merowingów pochodziła od króla Dawida i od samego Chrystusa. Początek XX wieku obfitował w takie sztucznie skonstruowane tajemnice, roiło się wówczas od wrózek, potomkiń rosyjskiej rodziny carskiej i tym podobnych historii. Może szczecińska loża masońska napisała własną?

Tylko po co?

To pytanie prawdopodobnie na tyle wyraziście malowało się w jego oczach, że Parsov, który przyglądał mu się z ironicznym uśmiechem, łatwo je dostrzegł.

– Zastanawia się pan, po co było to wszystko? Brednie o tajemnicach

templariuszy, przyznając, bardzo udatnie skonstruowane z wykorzystaniem kilku historycznych faktów, były doskonałą zasłoną dymną, na którą nabrali się nie tylko pan. Dali się na to nabrać także naziści, którzy w latach trzydziestych zamknęli większość członków łóż. I okazało się nagle, że nie tylko nie ma żadnej Wielkiej Tajemnicy, ale w tajemniczych paradoksalnie okolicznościach zniknęły też prywatne majątki najbogatszych masonów, a wraz z nimi również zawartość sejfów kilku szczecińskich banków, a także depozyty muzeów. Kilka ton złota i dzieła sztuki, których łączna wartość kilkakrotnie przewyższała wartość Bursztynowej Komnaty. Same tylko brązy z Beninu, należące do potomków Feliksa von Luschana, byłyby dzisiaj warte ponad sto milionów dolarów. Całe to bogactwo rozplynęło się w powietrzu.

Igor wpatrywał się w zamyśleniu w przestrzeń. Siedzący naprzeciwko Parsov uważnie mu się przyglądał, nie przestając się ironicznie uśmiechać. Po wejściu do baraku ściągnął kurtkę i siedział teraz w eleganckiej szarej koszuli, w której rozpiął dwa górne guziki. Miał na szyi złoty łańcuszek.

Igor siedział ze wzrokiem wbitym w kołnierzyk Parsova i usiłował uporządkować kłębiące się w głowie myśli.

– Jakie brązy z Beninu? – spytała po polsku Paulina, odwracając się w jego kierunku.

Igor oderwał wzrok od koszuli Parsova i popatrzył na nią rozkojarzony.

– Co?

– Jakie brązy? O czym on mówi?

Pokręcił głową, usiłując się skupić.

– Anglicy pod koniec dziewiętnastego wieku natknęli się w Nigerii na pozostałości starej kultury. Przywieźli do Europy kolekcję trzynastowiecznych rzeźb z mosiądzu. Duża część tych zbiorów trafiła do Muzeum na Wałach Chrobrego jako depozyt niemieckiego etnologa, który brał udział w tych ekspedycjach – powiedział.

Paulina obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem i zagryzła wargi.

– To wszystko brzmi znacznie bardziej przekonująco niż Wielka Tajemnica templariuszy, ale jeśli oni są nazistowskimi bandziorami z jakiejś ODESSY[40], to wdepnęliśmy w niezłe gównno.

– A mapa?

– Co mapa?

– Mapa jest autentyczna. Sami to sprawdzili przecież.

Parsov zmarszczył czoło.

Wbił wzrok w Igora, po czym niespodziewanie, czystą polszczyzną, zapytał:

– Skąd pan wie o mapie, panie Fleming?

\*

Maks minął kilka starych domów, rozpartych koło drogi, ukrytych za gąszczem drzew i krzewów. Za drewnianym płotem ostatniego z nich wściekle ujadał wychudzony doberman. Maks nie miał czasu na sprzeczkę. W normalnej sytuacji dałaby mu mnóstwo frajdy, ale teraz nie miał do tego głowy. Wbiegł na wąską ścieżkę wyłożoną polbrukiem i skręcił w boczną drogę, biegnącą w kierunku majaczącego w oddali lasu. Po obu stronach wznosiły się nowe domy, otoczone wysokimi żywopłotami ze strzyżonych żywotników. Nowa droga ciągnęła się jakieś dwieście metrów, po czym przechodziła w utwardzony, gruntowy dukt, który prowadził w kierunku lasu i dalej do sąsiedniej wsi. Maks wbiegł pomiędzy pierwsze drzewa i ciemną, leśną drogą popędził dalej.

\*

Igor wpatrywał się z kompletnym osłupieniem w Parsova. Dopiero co ostrzegął Paulinę, żeby za dużo nie mówiła, i sam chlapnął coś, czego nie powinien był zdradzać. Uświadomił sobie ponadto, że właśnie wkopał Dorotę.

Skąd ten Niemiec zna tak dobrze polski, do diabła?!

– Może pan uznać moje pytanie za retoryczne, panie Fleming. – Parsov spojrział na Igora z sarkastycznym uśmiechem i sięgnął do kieszeni, wydobywając telefon.

– To o tę mapę panu chodzi? – Podetknął Igorowi przed oczy wyświetlacz, na którym widać było barwną fotografię mapy. – Mapa jest autentyczna, rzeczywiście pochodzi z dwunastego wieku, ale oprócz oznaczenia najprawdopodobniej Szczecina, niczego innego na niej nie ma. Prześwietlaliśmy ją i badaliśmy na wiele sposobów. Jest bezcenna jako eksponat, ale nic się na niej nie kryje.

Igor wpatrywał się w prostokątny wyświetlacz. Zdjęcie zrobiono pod światło, tak że widać było uziarnienie i wieloletnie zanieczyszczenia papirusu. Ktoś podniósł go do góry i zrobił zdjęcie, prześwietlając je na wskroś. Przez strukturę papieru dało się widzieć wyraźnie drugą stronę starej mapy.

Oderwał wzrok od malutkiego punktu na pergaminie i spojrzał na Parsova.

– Jak ją znaleźliście? Skąd mieliście szyfr do otwarcia schowka w trumnie?

– Przegapiliście pewną informację, którą Ramin zostawił na ścianie w lochu. Ramin zostawił dodatkową wskazówkę: *Deckel, Quersumme, Gottes Hand*, czyli pokrywa, suma liczb, ręka Boga. Stary, rozpowszechniony od czasów Oświecenia sposób ukrywania zaszyfrowanych informacji w rozmaitych tekstach. Tym razem chodziło o epitafium na pokrywie sarkofagu. – Parsov uśmiechnął się protekcjonalnie.

Igor zmarszczył brwi. Suma liczb na pokrywie sarkofagu? Czyżby chodziło o rzymskie cyfry? Rzeczywiście, nie pomyślał o tym. Spotkał się z takim szyfrem na jakimś dzwonie w jednym ze starych wiejskich kościółków. Litera, które wyglądały jak rzymskie cyfry, tworzyły datę odlania dzwonu. Żart jakiegoś ludwisarza z epoki, w której takie małe rebusy były na porządku dziennym.

– Masoni bardzo zręcznie wykorzystali takie właśnie fakty, aby zbudować wokół siebie atmosferę tajemnicy, w dodatku tajemnicy związanej ściśle z Pomorzem, a więc tym mocniej oddziałującej na wyobraźnię. Pod osłoną legendy zadbali natomiast o ukrycie prawdziwych celów swojej organizacji, czyli ochrony własnych interesów i gromadzenia środków, które pozwoliłyby im w dalszym ciągu pociągać za sznurki zza kulis. – Parsov popatrzył na Igora przeciągle. – Jediną prawdziwą tajemnicą, z jaką mamy do czynienia, jest więc pytanie: gdzie w Szczecinie może znajdować się miejsce, w którym zdołali ukryć swój depozyt.

Parsov spojrzał w kierunku stołu i prawie niezauważalnym ruchem głowy skinął na Hansa. Ten popatrzył przeciągle na Igora, po czym wstał i sięgnął po leżącą na stole płaskorzeźbę z ołtarza.

– Zna pan łacinę? – spytał.

Igor pokręcił przecząco głową.

Hans podszedł i podał mu poczerniały kawał drewna.

Zaskoczony Igor wziął do rąk wizerunek Barnima IX. Dotknął palcami wyczarowanych sprawnymi rękami rzeźbiarza szat, które okrywały księcia.

Na rozpostartych do połowy skrzydełkach wachlarza dostrzegł nagle malutkie, prawie niewidoczne pod wieloletnią patyną literki. Pochylił się i spojrzał z bliska. Literki umieszczone na co drugiej listewce wachlarza układały się w napis VERTE.

Uśmiechnął się zaskoczony. Jeszcze jedna odpowiedź zostawiona, być może, przez samego księcia. Dotknął palcami małych literek, wskazując je patrzącym zza jego pleców Paulinie i Johannowi.

Powoli odwrócił płaskorzeźbę i spojrzał. W trójkątnej płycinie, na samym środku drewnianej płaszczyzny, widniał łaciński napis.

**MEMENTO FINIS  
ET LITTERAE DICENT  
CAMPANAE SONUS TE DUCET  
VERAE DIVITIAE  
IN DEI GRATIA ABSCONDITAE**

Hans popatrzył na Igora, który dotknął palcem wyrytych w drewnie liter.

– W swobodnym przekładzie oznacza to: *Pamiętaj o końcu, a litery przemówią. Dźwięk dzwonu cię poprowadzi. Prawdziwe bogactwo ukryte jest w Bożym miłosierdziu.*

Hans stanął obok krzesła Parsova i oparł się o blaszaną ścianę baraku.

– Kojarzy się panu z czymś ta sentencja? – Parsov spojrzał Igorowi w oczy.

Igor pokręcił przecząco głową.

Paulina nagle wstała z krzesła.

– Mam tego dosyć! Proszę nas stąd wypuścić i oddać nasze rzeczy!

Oparty o ścianę przy drzwiach i milczący do tej pory Matthias drgnął i zrobił w jej stronę krok.

– Siadaj! – rzucił.

– Nigdzie nie będę siadać! Mam dosyć już rozmowy z wami! – Paulina

spojrzała na Matthiasa wyzywająco.

Nie spodziewała się tego, co się stanie.

Matthias błyskawicznym ruchem złapał ją za rękę i wykręcił do tyłu, jednocześnie drugą ręką zatykając jej usta.

Igor poderwał się gwałtownie, ale popchnięty przez stojącego naprzeciw Hansa, opadł z powrotem na krzesło. Skierowany na niego pistolet spowodował, że na chwilę wszyscy znieruchomieli. Paulina przestała się wyrywać i z szeroko otwartymi oczami patrzyła na wycelowaną, stalową lufę. Johann zacisnął pięści i znieruchomiał, wpatrzony w Niemca. Na chwilę jakby czas zwolnił, a wszystko wokół zastygło. Ułamek sekundy.

– Siadaj! – Matthias popchnął Paulinę na krzesło.

– Mówiłem wam, żebyście lepiej nie zgrywali bohaterów. – Hans opuścił rękę z pistoletem.

Niewzruszony krótkotrwałym zamieszaniem, Parsov spojrzał na Igora.

– No więc, wracając do przerwane go tematu, czy kojarzy się panu z czymś ten tekst? – wycedził.

– Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi! Naprawdę! – Igor podniósł głos, patrząc z wściekłością na Niemca.

Hans sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął małą czarną tulejkę. Nie śpiesząc się, powolnym ruchem nałożył ją na lufę pistoletu i z wolna zaczął nakręcać. Igor wbił wzrok w czarny przedmiot i po raz pierwszy poczuł zaciskające się na jego gardle zimne pazury strachu. Hans dokręcił mocno tłumik i bez żadnego uprzedzenia, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy, strzelił nagle w podłogę, prosto między nogi Johanna.

Przez chwilę panowała cisza, wypełniona tylko ginącym w tle cichym pogłosem stłumionego wystrzału. Johann, śmiertelnie blady, wpatrywał się nieruchomo w mały czarny otwór w podłodze, z którego unosił się dym.

– Zwiąż ich! – Hans rzucił do Matthiasa, wskazując wzrokiem Johanna i Paulinę. Matthias sięgnął do torby, którą położył wcześniej przy drzwiach, i wyjął z niej długi kawał białego sznurka.

Przerażeni gwałtownym rozwojem wypadków, Johann i Paulina pozwolili się prawie całkiem bezwolnie związać. Matthias sięgnął do torby i wyciągnął dwie małe szmaty, którymi zakneblował oboje. Paulina podczas tego się ocknęła i próbowała protestować, ale na nic się to zdało. Po chwili oboje



siedzieli związani i z przerażeniem wpatrywali się w Parsova.

– Panie Fleming, pan jako architekt zajmujący się od lat konserwacją zabytków ma prawdopodobnie ogromną wiedzę, dotyczącą zarówno historii miasta, jak i poszczególnych gmachów. My natomiast mamy zaplecze logistyczne, posiadające wgląd w materiały archiwalne, do których Szczecin nie miał nigdy nawet dostępu. – Parsov uśmiechnął się protekcyjnie i ciągnął, jakby nic się przed chwilą nie stało. – Prędzej czy później i tak dojdziemy do tych samych spostrzeżeń co pan, niemniej zaoszczędzimy sobie czasu, jeśli wyjawi nam pan wszystko, co wie. Nie muszę wspominać, że bardzo poważnie poprawi to waszą obecną sytuację.

Mózg Igora, analizujący różne warianty wyjścia z pułapki, w której na własne życzenie się znaleźli, gwałtownie wyhamował przy stwierdzeniu dotyczącym „ich obecnej sytuacji”.

Co on ma na myśli? Przecież nie zamierzają chyba ich zabić?

To słowo zabrzmiało złowrogo nawet w myślach. I równie nieprawdopodobnie. Ale przecież nie mieli żadnych oporów, by upozorować śmierć dozorca z hotelu czy zabić Komorowską. Bał się nawet spojrzeć w bok, ponieważ widok zakneblowanych Pauliny i Johanna wywoływał w nim prawdziwy lęk, jakiego jeszcze nigdy nie czuł. Lęk o życie.

Parsov podniósł pytająco brwi, jakby czekał na decyzję.

Niełatwo było Igorowi powstrzymać bezładny, chaotyczny bieg myśli. Czy oni naprawdę sądzą, że on ma jakiegokolwiek blade pojęcie o tym, gdzie masoni mogli ukryć zawartość swoich depozytów i skrytek bankowych? Do tej pory przecież szukali pieprzonej Wielkiej Tajemnicy, którą, jak wszystko na to wskazuje, wymyślił dziadek Johanna i jego kumple. Czy te wszystkie rebusy, kod z listu Ramina, napis ukryty na obrazie Sydonii i teraz ta łacińska sentencja w ogóle jakoś się łączą? A co, jeśli napis na obrazie był rzeczywiście tylko pomysłowym podpisem stolarza, jak najpierw myślała Paulina, takim jego żartem zostawionym na oparciu zydlu, na którym siedziała tajemnicza piękność z pucharem, a masoni to tylko wykorzystali, dorabiając potem napis na płaskorzeźbie Barnima w celu pogmatwania tropów? Przypomniał sobie nagle słowa, które przeczytał w jakiejś książce o wolnomularstwie.

*Przybierają dostojne pozy kabalistów*

*lub raczej, jak logicznie wnioskuje,  
kawalarzy, czyli hordy kapryśnych,  
bredzących wyrzutków, którzy intrygują  
wspólnie, żeby wypłenić z tego świata  
wszelką naukę, rozum i religię[41].*

Czy to możliwe, że dali się po prostu wywieść w pole? Wielka Tajemnica starożytności zamieniła się w parszywą, nazistowską grandę?

Z powodu której w dodatku mogą stracić życie! Myśl, durniu!

Zaczął się zastanawiać nad sprzedaniem jakiegokolwiek, w miarę logicznej teorii, tylko dla zdobycia czasu. Jeśli uznają nas za nieprzydatnych, to pewnie tym łatwiej się nas pozbędą. Jedno jest pewne, skoro masoni rzeczywiście zdołali ukryć przed wojną tak wielkie bogactwo, to musi być jakieś miejsce, gdzie ono spoczywa! Czy te wszystkie tropy, które podrzucili, mają z tym jakiś związek? Przecież muszą! W jakim innym celu Barnim von Ramin tuż przed śmiercią zostawiałby zakamuflowane w liście do żony informacje? Muszą stanowić jakiś kod, łańcuch rozumowania, który powinien doprowadzić do tej ukrytej skrytki z zabezpieczonym majątkiem organizacji.

Zaczął sobie przypominać wszystkie niestworzone legendy o pociągu pełnym złota ukrytym w tunelu pod Odrą, o zalanych podziemiach pod Wałami Chrobrego, o tunelach z szynami urywającymi się przed zamurowaną ścianą. Przecież to obłąd!

*...Pamiętaj o końcu, a litery przemówią...*

O jaki koniec może chodzić? Litery przemówią? Litery... Zaraz...

Igor zastygł. Bardziej to czuł wewnątrz niż fizycznie, bo przecież i tak siedział cały czas nieruchomo. W jednej chwili galopada myśli wyhamowała bezgłośnie przed tymi dwoma słowami – litery przemówią.

Jezu! Oczywiście! Rzymskie litery na sarkofagu! To był kod do otwarcia skrytki z mapą!

*Pamiętaj o końcu* – to oczywiście pamiętaj o śmierci, a więc o trumnie!

Powoli podniósł wzrok na Parsova, który baczenie mu się przyglądał.

– Koło się zamknęło – powiedział cicho.

## Rozdział 36

Jakie koło? – Parsov popatrzył na Igora z irytacją. – Niech pan mówi jaśniej i skończy już z tymi masońskimi rebusami!

Igor pokręcił głową niecierpliwie.

– Nasze poszukiwania właśnie wróciły do punktu wyjścia – rzekł, patrząc na Niemca. – A właściwie do przedmiotu wyjścia.

– Niech pan lepiej mówi po polsku – warknął Parsov. – Mówię w pana języku znacznie lepiej niż pan po angielsku.

Igor spojrzał na Parsova ze złością. Najchętniej by mu przywalił w gębę.

– Wszystko zaczęło się od sarkofagu, ale nie mieliśmy pojęcia, jaka jest jego rola w tym wszystkim i dlaczego Ramin go wykradł. List doprowadził nas do obrazu Sydonii, a obraz do ołtarza Barnima Dziewiątego – powiedział dobitnie. – Na płaskorzeźbie jest napis: *Pamiętaj o końcu, a litery przemówią* – co oczywiście symbolizuje sarkofag i ten szyfr z rzymskimi literami, dzięki którym stworzyliście skrytkę. Więc oznacza to, że wskazówki się skończyły, więcej już nie będzie.

Parsov popatrzył na Igora ze zniecierpliwieniem.

– I co w związku z tym?

Igor wzruszył ramionami. Mało mu? Oczekuje pewnie, że mu podam współrzędne wielkiej bramy z wetkniętym kluczem, za którym będą stały te jego cholerne brązy z Beninu, pomyślał ze złością. Spojrzał bykiem na opierającego się o ścianę Hansa.

Pochylony do tej pory Parsov wyciągnął nogi przed siebie i rozparł się na plastikowym krześle. Rozchylił kołnierzyk koszuli i powachlował się ręką. Na jego szyi błysnął złoty łańcuszek z małym medalikiem. W blaszanym baraku zrobiło się duszno jak w saunie. Igor patrzył niczym zahipnotyzowany na połyskujący okrągły wisiołek i czuł, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

Stała mu przed oczami pewna scena sprzed paru dni. Rozmawiali wtedy

o pewnym małym drobiazgu, do którego nikt nie przykładął żadnego znaczenia. Dźwięk dzwonu! I ten symbol Chrystusa na mapie! Tylko że to nie jest żaden symbol Chrystusa!

Nigdy nie był dobrym aktorem. Zaraz ten blond faszysta dostrzeże, że mu się świecą oczy.

– Dźwięk dzwonu cię poprowadzi! – powiedział nagle głośno, patrząc szeroko otwartymi oczami na Parsova.

– Jakiego dzwonu? – Niemiec spojrzał na niego uważnie.

– Wiem, o jaki dzwon mogło chodzić!

Hans, który nie spuszczał wzroku z Igora, drgnął i zmarszczył brwi.

– Mów po angielsku!

Igor spojrzał na niego i zacisnął zęby.

– Mam mówić w końcu po polsku czy po angielsku?

– Po angielsku! – Hans zaczął się bawić tłumikiem.

– Niech pan mówi po angielsku, do cholery! – Parsov wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł pot z czoła. – Albo przynajmniej w języku, który się panu wydaje angielskim.

Igor przez chwilę patrzył na ręce Hansa, a następnie powoli podniósł wzrok.

– Od połowy osiemnastego wieku łoża Pod Trzema Cyrklami miała swoją siedzibę niedaleko pewnego starego kościoła. Bardzo dawno temu stała w tym miejscu kaplica ufundowana jeszcze przez Barnima Pierwszego, a jeszcze wcześniej, świątynia Trygława. Od średniowiecza do roku tysiąc pięćset siedemdziesiątego dziewiątego wisiały w tym kościele trzy bardzo stare dzwony, z których jeden był uważany za najpotężniejszy na Pomorzu.

Parsov podniósł brwi i spojrzał na Igora.

– Mówi pan o kościele Mariackim?

– Tak właśnie. – Igor pokiwał głową. – Po długim okresie, gdy Gryfitów chowano w kościele Świętego Ottona przy zamku, Barnim Dziewiąty był pierwszym księciem, którego pochowano w tym właśnie kościele.

Hans podniósł brwi i pokiwał głową z zainteresowaniem.

– Przez następne lata natomiast opowiadano legendy, że kościół jest

przeklęty. Trzy lata po śmierci Barnima Dziewiątego, w tysiąc pięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, piorun uderzył w budynek i zniszczył wieżę i dach. Po następnych trzech latach, podczas kolejnej burzy, piorun ponownie uszkodził wieżę. Odbudowa trwała blisko sto lat, a w czasie oblężenia Szczecina w tysiąc sześćset siedemdziesiątym siódmym roku przez Brandenburczyków kościół znowu został zniszczony. Ze starych kronik wynika, że pioruny uderzały w kościół jeszcze wielokrotnie, i wreszcie latem w osiemdziesiątym dziewiątym roku rozpętała się nocą potężna burza, która zniszczyła kościół doszczętnie. Przez lata pokutowały w Szczecinie legendy o tym, że kościół prześladował pogański bóg w zemście za zburzenie jego świątyni.

Jakby dla podkreślenia słów Igora, ponownie błysnęło, a po chwili nad lasem przetoczył się złowrogi grzmot.

Matthias, który stał oparty o framugę drzwi, drgnął i wyjrzał na zewnątrz.

– To brednie! – Parsov pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. – Czytałem oczywiście te infantylne bzdury. Nie sądzi pan chyba, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.

Hans spojrział w okno, a następnie ściągnął brwi.

– To chyba Barnim Pierwszy sprowadził na Pomorze templariuszy?

Igor pokiwał głową.

– W dodatku słowa *Pamiętaj o końcu* to sentencja templariuszy.

– Templariusze mają z tym tyle samo wspólnego, co Dziewica Orleańska!  
– Parsov parsknął.

– Myli się pan. Jeśli masoni specjalnie wymyślili tę legendę, to w tym momencie wszystko nabiera sensu. – Igor spojrział w zamyśleniu w przestrzeń.

Pomyślał, że naprawdę mogło tak być...

– W tysiąc pięćset siedemdziesiątym trzecim roku do kościoła wnoszą sarkofag Barnima Dziewiątego, pierwszego od blisko dwustu lat księcia chowanego w kościele Mariackim. Ostatnimi bowiem książętami, którzy tutaj spoczęli przed nim, byli synowie Barnima Pierwszego – zamordowany w niejasnych okolicznościach Barnim Drugi oraz jego dwaj bracia, Otton Pierwszy i Bogusław Czwarty.

Igor przerwał na chwilę. Oczami wyobraźni widział wysokie gotyckie

filary podtrzymujące, przemalowane po reformacji na ognistą czerwień, gwiaździste sklepienia, pod którymi z wolna sunął kondukt żałobny. Sarkofag, mieniący się nieskalanymi jeszcze przez wielowiekową patynę złoceniami, niesiony na ramionach sześciu ubranych w paradne mundury gwardzistów, za chwilę zniknie w krypcie grobowej pod chórem, u stóp ogromnego, gotyckiego ołtarza.

W baraku zapanowała cisza, przerywana tylko wzmagającym się na zewnątrz wiatrem i kroplami deszczu, które zaczęły zacinać w okna.

– Na wieży kościoła, nad głowami poddanych, bije najpotężniejszy dzwon na Pomorzu, a sarkofag księcia powoli znika w krypcie grobowej pod samym ołtarzem. – Igor popatrzył na słuchających go w skupieniu Parsova i Hansa. – Nie ma żadnych przekazów, jak wyglądał ówczesny ołtarz, ale sądzę, że ostatnie zdanie z sentencji umieszczonej na płaskorzeźbie Barnima Dziewiątego jest z nim właśnie związane. Prawdziwe bogactwo ukryte jest w Bożym miłosierdziu.

Gdy skończył mówić, Parsov i Hans wymienili się spojrzeniami. Parsov pochylił się w kierunku Igora.

– Teraz w tym miejscu stoi przecież szkoła, dawne gimnazjum Fundacji Mariackiej. Budując tak wielki gmach, musieliby się natknąć na pozostałości krypty.

– Loża masońska sprowadziła się w tysiąc siedemset sześćdziesiątym piątym roku do wielkiego, starego domostwa przy Farnej dziewiętnaście, czyli w samo sąsiedztwo kościoła. Być może jej członkowie widzieli osobiście ten ogromny pożar, gdy kościół uległ zniszczeniu. – Igor podniósł brwi, zastanawiając się w duchu, czy nie kładzie właśnie podwalin pod kolejną spiskową teorię dziejów. – Loża mieściła się w tym miejscu przez cały okres, gdy kościół stał jako mroczna, ciemna ruina wraz z zachowanymi w środku resztkami wystroju i nienaruszoną jeszcze wówczas kryptą. Szkołę ukończono w tysiąc osiemset trzydziestym drugim roku, a kilka lat później masoni się stamtąd wynieśli. Czy to przypadek? A co, jeśli właśnie brali czynny udział w rozbiórce murów, a potem w budowie gimnazjum? Może znaleźli wejście do krypty i zdołali je zabezpieczyć. Może to wówczas powstał pomysł Wielkiej Tajemnicy?

– Naprawdę pan sądzi, że pod budynkiem gimnazjum mógł się zachować dawny loch krypty? Przecież by go znaleźli po wojnie. – Parsov patrzył

w napięciu na Igora.

– W tym budynku nikt nigdy nie robił żadnych badań. Natomiast wielokrotnie w jego historii zapadały się w nim posadzki piwnic, odsłaniając zachowane kości. Z kościoła zabrano jedynie płyty pamiątkowe i rzeźby nagrobne, natomiast szczątki wszystkich tych ludzi, chowanych latami w kaplicach, zostały pod budynkiem.

Kolejna błyskawica rozjaśniła prawie białą poświatą okoliczne drzewa.

– W dodatku gmach gimnazjum jest tak usytuowany, że dokładnie jego środek znajduje się w miejscu dawnego chóru kościoła. I akurat cała środkowa część budynku nie jest podpiwniczona. Podpiwniczone są dwa skrzydła po dwóch stronach części środkowej budynku, a centrum gmachu nie.

Nad barakiem przetoczył się grzmot. Burza tej nocy nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Na moment zapanowała cisza. Parsov wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ścianę baraku za plecami Igora, tak jakby intensywnie o czymś myślał.

– Zakładając, że krypta mieściła się pod chórem, mogła być nawet większa niż ta pod zamkiem. Według archiwaliów miała od dziesięciu do kilkunastu metrów kwadratowych powierzchni.

Igor wbił intensywne spojrzenie w Parsova.

– To zupełnie wystarczyłoby na umieszczenie kilku ton złota i skrzyń z dziełami sztuki – powiedział cicho.

\*

Dorota odetchnęła głęboko. Przez ostatnich kilka minut wydzieriała się najgłośniejszym, jak potrafiła. Przez opuszczone żaluzje nie wpadało do środka światło, dom więc stał prawdopodobnie na uboczu.

Jeden z tych cholernych gargamelowatych upiorków na kilku odrolnionych hektarach, pomyślała z wściekłością. Czego oni mogą od niej chcieć? Czy chodzi o te pieniądze, które dostała za zaniechany projekt odbudowy dworu? Czy raczej o to, że pokazała Igorowi zdjęcie mapy? Mapa była warta majątek, a mimo to nie ona była podmiotem. Czyżby naprawdę to, co opowiadał von Katte, miało jakieś podstawy? I teoria dziennikarza, że

w Szczecinie masoni pozostawili ukryte depozyty bankowe oraz ogromnej wartości dzieła sztuki, których nigdy po wojnie nie odnaleziono. Teoria mówiła, że za tajemniczymi, przypadkowymi zgonami aż czterech po kolei byłych członków szczecińskiej loży stoi ODESSA lub jakaś jej komórka. Czy to w ogóle możliwe?

Przypomniała sobie, jak straciła przytomność w parku Żeromskiego na skutek profesjonalnego uderzenia jednego z tych bandziorów. Był zdecydowanie fachowcem. Hans też nie wygląda na świętego.

Usłyszała nagle kroki, a po chwili w zamku zachrobotał klucz. Drzwi się otworzyły i do środka wszedł grubas, który wcześniej przyniósł do jej pokoju hotelowego tacę z kolacją.

– Niepotrzebnie się wydzierasz, laluniu. – Karpacky stanął w progu, trzymając ręką drzwi i uśmiechnął się do niej oblesnie. – Nikt cię tu nie usłyszy.

– Dlaczego mnie tu zamknęliście? – spytała. Starła się zachować spokój i mówić powściągliwie. – Chcę mówić z Hansem albo z waszym szefem. To jakieś nieporozumienie.

– Żadne nieporozumienie. – Karpacky oparł się o skrzydło drzwiowe. – Grasz na dwa fronty, to i się doigrałaś. Zresztą twój mężulek też już wpadł w nasze ręce. Właśnie ich nakryli na usiłowaniu włamania na teren prywatny i niszczeniu mienia – zarechotał.

– Co ty bredzisz? – Dorota zmarszczyła brwi.

– Wybrał sobie świetne miejsce, środek lasu i te ruiny naszego szefa. Sam włazł nam w ręce, kretyn.

Dorota zacisnęła zęby. Mówiła Igorowi, żeby się do tego nie mieszał. Kurwa! Nie mógł jej posłuchać? Po chwili dotarło do niej, że nie powiedziała mu, iż ta ruina w lesie należy właśnie do Parsova. Może gdyby wiedział, toby tam nie polazł? Czego oni tam szukali?

Co on mówił o jakiejś róży? Że coś jest pod czerwoną różą?

– Szef już wraca, to sobie pogadacie, a póki co, lepiej się nie wydzieraj. To kompletnie mija się z celem! – Karpacky trzasnął drzwiami i usłyszała chrobot klucza w zamku.

Słowa Igora obijały się w jej głowie. Mówił, że nie ma pojęcia, gdzie jest ta jakaś czerwona róża i coś jeszcze. Pomnik jakiegoś Wiktora! To z tego



listu Ramina. Wejście do świątyni obok pomnika Wiktora i starych koszar, tak to jakoś było.

I nagle Dorota szeroko otworzyła oczy. Zawsze miała intuicję i potrafiła łączyć odległe od siebie fakty, i znajdować powiązania pomiędzy nimi. Bardziej na zasadzie iluminacji niż rozumowania. I teraz właśnie dotarło do niej, że wie, do kurwy nędzy, o jakiego pieprzonego Wiktora chodzi! No przecież!

\*

Nad lasem przetoczył się kolejny grzmot. Deszcz ustał, ale burza wydawała się wciąż niezdecydowana, czy przegrupować siły do potężnego natarcia, czy zarządzić odwrót. Zerwał się natomiast wiatr, który trząsał koronami drzew i ciskał co chwilę odłamane gałęzie na blachę kontenera. Ich rozczapierzone cienie rzucane przez światło reflektorów miały się wściekle po ścieżce przed barakiem, jakby chciały się zerwać z łańcucha i zniknąć w ciemnym gąszczu zdziczałego parku.

Hans oderwał plecy od ściany kontenera i skinął na Matthiasa.

– Zabieramy kufer do samochodu.

Matthias skinął głową i sięgnął po leżącą na stole płaskorzeźbę. Wrzucił ją do wnętrza zabłoconego pudła i zamknął wieko.

– Co z nimi zrobimy? – Hans spojrzał na Parsova, który wciąż siedział, patrząc w zamyśleniu pod nogi.

– Zostawimy ich tutaj. – Niemiec dźwignął się z krzesła. – Trzeba go związać jak tamtych. – Wskazał ruchem głowy Igora. – Potem się nimi zajmiemy.

Paulina poruszyła się gwałtownie i usiłowała powiedzieć coś przez krępujący ją knebel. Igor spojrzał na nią; nie zrozumiał, co mówili.

– Co z jego żoną? – Parsov, nie patrząc w kierunku Igora, wskazał go ręką.

– Karpacky się nią zajął. Jest bezpieczna. – Hans uśmiechnął się pod nosem.

– Może nie trzeba się było zdawać na tego grubego Polaka. Nie wygląda na lotnego, a ona to niezłe ziółko.

– Wszystko jest w porządku, spokojnie, szefie. – Hans spojrzał na Parsova

uspokajająco. – Wierzy pan, że to, co on powiedział, ma jakiś sens?

– Możliwe. – Parsov wzruszył ramionami. – Sprawdzimy.

– Co chcecie z nami zrobić? – Igor odwrócił się w kierunku Parsova.

– Zamknij się! – Mathias rzucił przez zęby i dźwignął kufer ze stołu. – To akurat pewnie zrozumiał. – Spojrzał porozumiewawczo na Hansa.

– Rano przyjedzie tu tir z firmy po jeden z kontenerów. – Parsov wskazał głową w nieokreślonym kierunku, mając pewnie na myśli plac przed barakiem. – Wtedy się pozbędziemy samochodu Fleminga.

Johann szarpnął się na krześle i przez knebel usiłował coś krzyczeć.

– A co z nim? Możemy mieć kłopoty z jego rodziną. – Hans skinął w jego kierunku. – Pewnie zapłaciliby spory okup. – Uśmiechnął się drwiąco.

– Nie jestem porywaczem. – Parsov ruszył w kierunku drzwi, mijając w przejściu wracającego z samochodu Matthiasa. – Zajmijcie się nimi, spotkamy się w domu przy lesie.

Matthias sięgnął po swoją granatową torbę i wyciągnął z niej zwój liny.

\*

Masyw drzew po obu stronach gwałtownie się urwał. Droga na krótkim odcinku otwierała się na leżące po obu stronach łąki, by po kilkuset metrach ponownie wpaść pomiędzy gęste drzewa lasu. Maks biegł, starając się omijać co większe kałuże, gdy nagle, daleko przed sobą, usłyszał jakiś dźwięk. Pomiędzy gałęziami widać było błyski światła.

Zwolnił i nadstawił uszu.

Z oddali dochodził go wyraźny warkot silnika. Stanął i spojrzał niezdecydowanie na boki. Światła reflektorów powoli się zbliżały, przeczesując stopniowo drogę i pobocze. Maks skoczył w bok i przyczał się za wielkim krzewem dzikiego bzu.

Pierwszy pojawił się na drodze duży czarny samochód osobowy, a zaraz za nim wielkie terenowe auto. Maks doskonale je pamiętał. Potężny kształt o przyczajonej sylwetce, z błyszczącymi kłami przedniego grilla. Z gardła Maksa wyrwał się krótki, niekontrolowany charkot. Samochody przetoczyły się i zniknęły w gęstwinie lasu kilkadziesiąt metrów dalej.

Maks wybiegł na drogę i stanął. Dokąd teraz? Może powinien biec za tym

samochodem? Nie wiedząc, co ma robić, rozejrzał się zdezorientowany.

\*

Paulina była przerażona. W baraku zrobiło się ciemno i ledwie dostrzegła sylwetki Igora i Johanna. Kilkanaście minut temu trzech Niemcy wyszli, zostawiając ich związanych jak kurczaki. Na początku, gdy ten bandzior związał ją i Johanna, była tylko wściekła. Siedziała i obserwowała, jak Igor rozmawia z tym starym Niemcem, i miała wrażenie, jakby była na jakimś durnym obozie przetrwania, na który kiedyś dała się namówić i jacyś debile posunęli się zbyt daleko w rekonstrukcji realizmu. Ramy jej rzeczywistości nie obejmowały takich wydarzeń. Za rzecz niewiarygodną uznała, że ktoś w ogóle miał czelność ją związać, natomiast to, że być może jest znacznie gorzej, niż jej się wydaje, teraz dopiero powoli do niej docierało. Poza tym czuła, jak cierpną jej ręce, nie wyobrażała sobie, by mogła wytrzymać tak do rana. Przez dobrych kilka minut usiłowała się wyswobodzić, ale sznur był związany bardzo profesjonalnie. Facet wiedział, co robi.

I ten koszmarny knebel. Na początku walczyła z mdłościami, bała się, że jak zwymiotuje, to się po prostu udusi. Kiedy oglądała takie sceny w filmach, trudno jej było uwierzyć, że można komuś włożyć do ust jakąś szmatę w ten sposób, żeby nie dało się jej wypluć. To się wydawało niemożliwe.

A jednak.

Szarpnęła jeszcze raz, usiłując odwrócić się do ściany. Kontener był wyłożony panelami, które w miejscach łączeń miały niewielkie szpary. Może jak się oprze głową o ścianę, to zdoła wyciągnąć z ust tę cholerną szmatę? Krzesło zaskrzypiało i przesunęło się o milimetr.

To nie dzieje się naprawdę!

Wcześniej słyszała, jak Igor z Johannem szurali krzesłami, prawdopodobnie usiłując wprowadzić w życie podobny pomysł. Chyba opadli z sił. Szarpnęła jeszcze raz, czując, jak krzesło, ponownie skrzypiąc, przesuwają się o milimetry. Miała tę przewagę, że siedziała w narożniku i czuła, że jeśli uda jej się obrócić chociaż o parę centymetrów, to jakoś dosięgnie głową ściany.

Johann siedział nieruchomo, usiłując odzyskać równy oddech. Nie zdawał

sobie sprawy, jak fakt zakneblowania wpływa na gospodarkę tlenową organizmu. Przez dłuższą chwilę szarpał się razem z krzesłem, próbując poluzować węzły, nie dało to jednak nic poza tym, że omal się nie udusił z tym pieprzonym kneblem. Kilka razy w życiu był związany, głównie za sprawą kolegów ze szkoły z internatem, ale jak widać, co innego być związanym przez półgłówków z drugiej klasy, a co innego przez jakiegoś byłego komandosa. Różnica polegała głównie na tym, że w drugim przypadku uwolnienie się z więzów było praktycznie niemożliwe.

W dodatku nie rozumiał wszystkiego, o czym Igor rozmawiał z tymi Niemcami. Połowę mówili po polsku. Skąd ten Niemiec zna tak dobrze polski?

Hitlerowskie złoto! Czy dziadek nie zdążył mu tego zdradzić przed śmiercią, czy sam nie wiedział? I po co były te pieprzone tajemnice? Johann czuł, jak myśli chaotycznie przelatują mu przez głowę. Usiłując zapanować nad nimi, zamknął oczy i zaczął liczyć.

Bał się. Jako jedyny miał prawdziwy powód. Będąc jedenastolatkiem, został porwany. Wszystko skończyło się dobrze, ale do dziś pamiętał mały obskurny pokoik, do którego faceci ubrani w dżinsowe brudne kurtki i zabłocone glany przynosili jedzenie na metalowym talerzu. Babcia o wszystko obwiniła oczywiście matkę, która uparła się, żeby tak jak wszystkie inne dzieci z Carley chodził do zwykłej szkoły. W efekcie tych zdarzeń matka przeniosła go do angielskiej szkoły z internatem. Takiej dla chłopców z arystokratycznych rodzin. Nauczył się tam wielu przydatnych rzeczy, między innymi otwierania wytrychami praktycznie każdych drzwi.

To niemożliwe, żeby miało mu się coś stać akurat tutaj. Wyjdzie na to, że babcia miała zawsze rację! *Fuck!*

Igor siedział najdalej z nich. Ten pieprzony bandzior popchnął go na ostatnie krzesło pod ścianą. Szarpał się przez dobrych kilka minut, całkowicie bezskutecznie. Sznur, mocno związany na rękach, zacisnął się tylko mocniej. Słyszał, że to samo robią Paulina i Johann, prawdopodobnie z takim samym skutkiem.

Zastanawiał się, jak to możliwe, by Dorota zadawała się z takimi ludźmi? Dlaczego nie powiedziała mu, że ów dwór do remontu to ta właśnie, zagubiona w lesie ruina? Czy to możliwe, by ich wystawiła?

Zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji miał kilka poważniejszych problemów na głowie, ale świadomość tego, iż kobieta, z którą był przez parę lat i którą przez parę lat kochał, mogła go tak zdradzić, nie dawała mu spokoju. Dręczyła go także myśl, że ci dranie związali Paulinę. Gdy widział ją, jak siedzi zakneblowana na krześle, to miał ochotę rozwalić łeb temu staremu naziście!

Nagle usłyszał jakiś głośniejszy stuk, a potem nierówny oddech i szuranie.

Paulina właśnie zdała sobie sprawę, że uderzenie ramieniem w ścianę w sytuacji, gdy nie ma się absolutnie panowania nad resztą ciała, jest bolesne. Zdołała, milimetr po milimetrze, przesunąć się tak, że krzesło ustawione było bokiem do ściany. Miała nadzieję, iż odległość jest na tyle nieduża, że uderzy ramieniem, a nie głową.

Udało się. Balansowała teraz na dwóch nogach krzesła, oparta ramieniem i policzkiem o ścianę. Obróciła głowę i przytknęła usta z wystającym kneblem do gładkiej powierzchni drewnopodobnego laminatu. Malutka szparka pomiędzy panelami była gładka, ale przy odrobinie szczęścia może uda się zahaczyć o jakieś malutkie włókno. Przycisnęła głowę do ściany i powolutku przesunęła wzdłuż desek, skręcając jak najsilniej się dało szyję.

Szmata nie napotkała żadnego oporu. Paulina jęknęła. Cofnęła głowę do pozycji wyjściowej. Jeszcze raz.

\*

Wiatr szarpał bezlitośnie gałęziami. Błyskawica na krótki moment rozjaśniła teren przy bramie wjazdowej na dawny folwark. Krótka stop-klatka ukazująca rozczapierzone pazury drzew i dwa ciemne baraki, przycupnięte pod gąszczem liści. Ciemność, która zapadła po chwili, wydawała się jeszcze bardziej mroczna. Spóźniony grzmot przetoczył się nad dachami kontenerów. W jednym z nich, w małym okienku paliło się światło. Drugi był pogrążony w kompletnej ciemności.

Markus siedział przy niewielkim przenośnym telewizorze i gapił się na jakiś program muzyczny. Barak na co dzień służył ekipie budowlanej, która prowadziła prace przy oczyszczaniu murów fundamentowych dworu. Parsov nie przerwał prac, chociaż nie wiązał z nimi żadnej przyszłości. Założył po

prostu, że oczyszczony i uporządkowany teren, z odkopanymi fundamentami, będzie łatwiej sprzedać.

Markus założył nogi na stół i ziewnął. Za kilka godzin miał go zmienić Karpacky, musiał tutaj wytrzymać jakoś do tego czasu. Dobrze, że chociaż telewizor dało się uruchomić. Zawsze to coś, mimo że odbierał tylko kilka polskich programów.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie w Polsce. Pieniądze, które dostał w zeszłym roku za udział w wyciąganiu z dna Bałtyku starego kutra, do tej pory starczały mu na wygodne życie. Hans zawsze dobrze płacił, wymagał tylko lojalności i trzymania gęby na kłódkę. Nie wiedział dokładnie, czego jego szef tutaj szuka, ale dopóki mu płacił, miał to gdzieś. Polaczków z baraku obok też miał gdzieś. Czasami trzeba było kogoś stuknąć, trudno, taka robota.

Ziewnął i przeciągnął się. Na zewnątrz znowu zagrzmiało. Nie był specjalnie strachliwy, ale nikt nie czułby się całkiem wyluzowany w środku lasu, w czasie burzy i ze świadomością, że w sąsiednim baraku siedzi po ciemku troje związanych ludzi.

Olewał z reguły horrory o wampirach i wilkołakach, bardziej go śmieszyły niż wywoływały strach, ale musiał przyznać, że jak się siedzi samemu w takim miejscu, to nagle wszystkie te durnowate sceny przypominają się jakoś w zupełnie innym kontekście.

Drzwi zostawił otwarte. Po pierwsze dlatego, że dzięki temu miał jakiś przewiew, a po drugie, że widać było w ten sposób bramę. Na zewnątrz panowała ciemność. Przed odjazdem kazali mu wyłączyć światła, by za bardzo się wszystko nie rzucało w oczy. Jedyne oświetlenie terenu przed barakami były więc plamy światła z okienka i półotwartych drzwi. Siedział bokiem do wejścia, telewizor stał na stole pod oknem.

Przypomniawszy sobie jakiś film o ludziach zamkniętych w bunkrze w środku lasu, w którym grasował wilkołak czy inny stwór. Kretyństwo! Kątem oka zauważył jakiś ruch na zewnątrz. Odwrócił się bez specjalnych emocji.

W padającej na drogę plamie światła co pewien czas miotały się cienie gałęzi.

Głośny krzyk, który nagle rozległ się na zewnątrz, jednak wywarł na nim wrażenie. Drgnął przestraszony, chwycił pilota i ściszył wyjąca potępieńczo młodą dziewczynę w telewizorze. Ale głos dochodził z zewnątrz. Co jest, do

cholery? Ktoś głośno wrzeszczał po polsku!

Dopiero po chwili przypomniał sobie o trójce więźniów z sąsiedniego kontenera. Ta dziwka musiała jakoś wyciągnąć knebel! Wstał gwałtownie i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się i niezdecydowanie spojrzął na leżący na stole pistolet. Postuka tylko w drzwi i każe jej się zamknąć. I tak nikt ich tutaj nie usłyszy, może się wydierać do usranej śmierci!

Wyszedł na zewnątrz i ruszył w kierunku drzwi do sąsiedniego baraku. Był tak ustawiony, że światło z okna jego kontenera rzucało plamę światła przed samym wejściem. Dziewczyna w środku wydierała się głośno. Nie rozumiał, nie znał polskiego. Pewnie wzywała pomocy. Tępa dziwka!

Walnął z całej siły w drzwi.

– Zamknij się! – wrzasnął. – I tak nikt cię nie usłyszy!

W środku na chwilę zapanowała cisza, po czym dziewczyna zaczęła coś mówić.

– Zamknij się! – powtórzył głośno i ponownie z całej siły przywalił w drzwi. Jak nie przestanie, to będzie musiał wrócić po pistolet, wejść do środka i zakneblować ją ponownie. Widział w baraku taśmę klejącą, przyda się.

Ze środka dochodziło szuranie i przerywany oddech. Odszedł na krok od drzwi. Jak jeszcze raz wrzaśnie, idzie po sopluchę i taśmę. Znów kątem oka zauważył za plecami jakiś ruch. Wstrzymał oddech, ponieważ tym razem usłyszał dziwny dźwięk. Tak jakby ktoś po cichu wciągnął powietrze do płuc.

Przez chwilę stał nieruchomo, usiłując zachować zimną krew, po czym gwałtownie obrócił się i spojrzął. Na moment zaskoczenie odebrało mu zdolność do oceny sytuacji i dopiero po chwili poczuł, jak po plecach pełzną mu ciarki.

W półmroku na ścieżce, jakieś kilka metrów od niego, stała zjeżona, całkiem czarna, ogromna bestia. Jej ślepie jarzyły się blaskiem odbitym od padającego z okienka światła, a w wyszczerzonym pysku widać było czerwone, pokryte pianą dziąsła i białe, złowrogo zaciśnięte zęby.

## Rozdział 37

Paulina po raz kolejny wściekle szarpnęła się na krześle, usiłując poluzować krępujący ją sznur. Nabrała powietrza, by głośno wykrzyknąć, co myśli o debilnym walącym pięścią w drzwi, gdy zdała sobie sprawę, że przecież wrzeszczy po polsku. Debil pewnie i był debilem, ale miał całkowite prawo jej nie zrozumieć. Szarpnęła się ponownie i spojrzała w bok na Johanna. Patrzył na nią z malującym się na twarzy napięciem, gdy napotkał jej wzrok, otworzył szeroko oczy i skinął głową w kierunku drzwi. W zdenerwowaniu nawet nie zarejestrowała tego, co Niemiec pod barakiem do niej krzyczał. Wzywając głośno pomocy, była przekonana, że są tutaj sami, teraz przestraszyła się, że facet da jej w łeb i ponownie zwiąże.

Na zewnątrz panowała cisza.

Przemknęło jej przez myśl, że może sobie poszedł. Otworzyła usta, żeby ponownie krzyknąć, gdy usłyszała, że facet najwyraźniej nadal stoi pod drzwiami. Usłyszała dziwny szmer, jakby ktoś oparł się o drzwi, a następnie przyśpieszony oddech. Z boku dotarło do niej nagle szuranie po podłodze i głośny charkot. Spojrzała w bok i zobaczyła, jak Igor, wychylony maksymalnie na krześle, patrzy intensywnie w jej kierunku, pokazując coś oczami.

Zmarszczyła brwi. O co mu chodzi? I wtedy usłyszała ten dźwięk.

Pewnie Igor usłyszał go wcześniej i stąd te jego sygnały. Na tle szumu wiatru w gałęziach i uderzeń kropli deszczu na szybie nagle pojawił się niski regularny ton. Jakby głęboki dźwięk silnika. Ktoś tutaj przyjechał? Może dlatego facet umilkł?

Zaczęła nasłuchiwać. Niski, cichy warkot nagle się urwał. Facet stojący pod drzwiami najwyraźniej się poruszył, bo usłyszała trzask kamyków i żwiru pod jego butami. Trzaski były nieregularne, jakby ostrożnie stawiał kroki.

Nagle rozległ się ponownie warkot, ale głośniejszy i przerywany



świszczącym wciąganiem powietrza. To nie był żaden silnik. Spojrzała w bok na Igora i Johanna. Siedzieli nieruchomo i wpatrywali się w drzwi.

Na zewnątrz było jakieś zwierzę!

Paulina pochyliła się w kierunku szpary między drzwiami a framugą. Nie było żadnej budy przy barakach. Przecież usłyszeliby jakieś szczekanie, nie mówiąc o tym, że pies wyczułby ich, kiedy tylko pojawili się na cmentarzu obok. Może jakiś bezdomny pies się przybłąkał? Tylko że bezdomne psy są raczej płochliwe i unikają obejść ludzkich. Wilków tutaj nie ma. Wściekły pies? Boże, jeszcze tylko tego brakowało, żeby na zewnątrz zaczął buszować jakiś oszalały Cujo[42].

Za drzwiami rozległ się głośniejszy charkot, jakby zwierzę podeszło bliżej. Usłyszała przyśpieszony oddech faceta. Wyraźnie się bał. Co tam się dzieje?

– Co tam się dzieje? – wrzasnęła, czując się coraz bardziej przestraszona.

Warkot ucichł i ku swojemu zaskoczeniu usłyszała nagle krótkie ciche skomlenie. Tak jakby pies zareagował na jej głos. Zmarszczyła brwi.

– Halo! Odezwij się!

Pies ponownie radośnie zapiszczał. I w tym momencie poznała ten głos. Spojrzała szeroko otwartymi oczami na Johanna. Przecież to Maks! Co on tu robi? Musiał uciec przez płot.

– Maks! – wrzasnęła. – Maks, to ty?

Na zewnątrz rozległo się radosne piszczenie, a zaraz po nim gwałtowny trzask żwiru, jakby stojący cały czas pod drzwiami mężczyzna chciał się rzucić do ucieczki. W tym samym momencie pies musiał wyrwać z dzikim charkotem do przodu, bo na drzwiach ponownie dało się słyszeć uderzenie, jakby mężczyzna, cofając się, przyłgnał plecami do blaszanej płaszczyzny drzwi.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła Paulina po niemiecku, w której głowie pojawił się pewien pomysł. – On cię rozszarpie, jak będziesz chciał uciekać, był szkolony.

– Mam pistolet w baraku! – krzyknął ochryłym głosem Niemiec. – Zastrzelę tego kundla, jak go nie odwołasz!

– Maks, broń pani! – Paulina szarpnęła się na krześle. – Jeśli się ruszysz spod tych drzwi, ty łajzo, to ten pies skoczy ci do gardła!

Maks na wydany rozkaz, z wściekłym szczekaniem gwałtownie skoczył do przodu. Mężczyzna cofnął się, uderzając plecami o drzwi.

– Zabierz go, ty suko!

– Otwórz drzwi! Nic nie poradzę, dopóki mnie nie uwolnisz!

– Zastrzelę i ciebie, i jego, jak tylko dostanę się do baraku.

– Rany szarpane są najbardziej bolesne, wykrwawisz się jak prosię!

Paulina zaczęła miotać się na krześle, gdy usłyszała Johanna, który starał się zwrócić jej uwagę. Spojrzała na niego. Zamrugał oczami i wbił wzrok w jej usta.

Zmarszczyła brwi. O co mu chodzi?

Johann poruszył się gwałtownie i ponownie zamrugał, patrząc na nią intensywnie. Nie dosięgnę zębami jego rąk, jeśli o to mu chodzi. Pokręciła głową, ale on nadal szarpał się w jej kierunku. Jego krzesło, skrzypiąc, powoli przesunęło się ku niej.

Paulina spojrzała na niego. Knebel! Jasne! Może mu wyjąć zębami knebel, jeśli zdołają się odpowiednio pochylić na krzesłach. Szurnęła oparciem i przesuając powoli stopy po podłodze, odwróciła krzesło minimalnie w stronę Johanna. Przez chwilę wykonywali gwałtowne ruchy w swoim kierunku, aż w końcu krzesła ustawiły się prawie równolegle obok siebie. Paulina wychyliła się jak najmocniej mogła w kierunku policzka Johanna i po kilku próbach udało jej się złapać zębami za taśmę klejącą, którą był obwiązany jego knebel. Zaczęła ją szarpać, aż w końcu przegryzła całą. Johann gwałtownie wypluł knebel i nabrał głośno powietrza do ust.

Na zewnątrz ponownie rozległ się głośny charkot przechodzący w mrozący krew w żyłach niski pomruk. Mężczyzna pewnie znowu zbyt energicznie próbował się poruszyć.

– Jeśli ten facet tu wlezie, a pies zostanie na zewnątrz, to nic nie wskóramy – powiedział z trudem Johann. – Zastrzelę go, jak tu wrócą, a mogą wrócić w każdej chwili.

Paulina spojrzała z lękiem na drzwi. Nie wzięła tego pod uwagę. Faktycznie, ta kanalia może siedzieć tu z nimi nawet do rana.

– Otworzę drzwi, ale każ mu siedzieć! – Dobiegło do nich z zewnątrz. Czyżby też przyszło mu to do głowy?

– Słyszalaś! Każ mu warować!

– Otwórz drzwi powoli! – krzyknęła Paulina i spojrzała na syczącego do niej Johanna. Wzruszyła ramionami, nie wiedziała, co robić.

Złowiła pełne niepokoju spojrzenie Igora.

W zamku po chwili rozległ się chrobot klucza i szpara pomiędzy płytą a framugą powoli zaczęła się powiększać, wpuszczając do środka okruchy światła wydobywającego się z okna sąsiedniego baraku.

Paulina wstrzymała oddech. Jeżeli ten bandzior nagle wpadnie do środka i zamknie drzwi, to nic już nie zdołają zrobić. Maks zostanie na zewnątrz i jego pomoc na nic się nie zda.

Drzwi powoli uchyliły się, ukazując ramię i głowę z krótko ostrzyżonymi włosami odwróconego do niej tyłem młodego mężczyzny w białej koszulce. Na drugim planie ujrzała zjeżonego, niespuszczającego wzroku z rąk faceta, Maksa.

Na jej widok jego oczy pojaśniały i pies pomachał ogonem. Mężczyzna otworzył drzwi, puścił klamkę i postawił stopę na pierwszym stopniu. Paulina zacisnęła zęby. Facet odwrócił się do niej przodem i ich oczy na ułamek sekundy się zetknęły. Gdyby w upiornym świetle lampy nie dostrzegła w nich przez króciutką chwilę cienia mściwego triumfu, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Wrzasnęła tak głośno, ile miała sił w płucach.

Przez moment zauważyła, jak dopiero co rozluźniona jej widokiem sylwetka Maksa spina się jak rzemień. Pięćdziesiąt pięć kilogramów wyrwało się jak pocisk i gwałtownie spadło na plecy kompletnie zaskoczonego Niemca, na samym progu schodów do baraku.

Mężczyzna odruchowo wysunął przed siebie ręce i walnął jak kłoda przed samym krzesłem Pauliny. Znieruchomiał, gdy poczuł na karku zaciśnięte kły, którymi Maks przydusił go do podłogi.

Paulina usłyszała, jak Johann głośno przełknął ślinę.

– Rozwiąż mi nogi – powiedziała cicho, pochylając głowę nad leżącym u jej stóp facetem.

\*

Las był całkiem ciemny. Dwa samochody jechały powoli gruntową drogą, zwalniając przed dziurami, którymi upstrzona była nawierzchnia, i omijając kałuże. Wielki czarny mercedes kołysał się na wybojach niczym krążownik na wzburzonym morzu. Za nim z cichym pomrukiem jechało bmw.

Hans siedział obok kierowcy i wpatrywał się w długie snopy światła wydobywające z mroku fragmenty pobocza. Parsov prowadził w milczeniu. Odkąd wyjechali z folwarku, żaden się nie odezwał.

Do pierwszych zabudowań wsi było jeszcze kilka kilometrów. Mieli przed sobą najgorszy kawałek wąskiej i wyboistej drogi prowadzącej przez las.

– Co z nimi zrobimy? – Hans przerwał ciszę.

– A co możemy zrobić? – Parsov pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Myślę, że Fleming nie powiedział nam czegoś istotnego. – Hans spojrzał w zamyśleniu w boczną szybę. – Przyglądałem mu się i mam wrażenie, że ta jego opowieść to wymyślona naprędce teoria.

– A czegoś się spodziewał, Hans? – mruknął Parsov. – Możliwe zresztą, że on naprawdę nic nie wie. W końcu mieli dostęp do tych samych materiałów co my, a nie sądzę, żeby wymyślili coś więcej niż nasi specjaliści z Berlina. O wiele gorsze jest to, że i tak wiedzą za dużo. Jedno jest jednak pewne.

– Co takiego? – Hans spojrzał na Parsova z zaciekawieniem.

– Noc spędzona w baraku, z zawiązanymi na plecach rękami, pewnie ich trochę skruszy.

Hans pokiwał głową.

– Policja się nimi interesowała. Jeśli znikną nagle wszyscy troje, będzie podejrzane.

– A kto powiedział, że znikną? – Parsov wzruszył ramionami. – Wypadki przecież zdarzają się bardzo często. Szczególnie na nędznych drogach w tym kraju.

\*

Igor wsadził klucz do zamka w drzwiach i spojrzał po raz ostatni do środka baraku. Z wnętrza patrzyły na niego wściekłe oczy związanego Markusa. Zatrzasnął drzwi i odwrócił się do stojących obok Johanna i Pauliny. Maks, który przeistoczył się z potwornej bestii w puchatego owczarka, przyjaźnie

machał ogonem.

Igor zamachnął się i rzucił klucz w krzaki.

– Już nie będzie nam potrzebny – powiedziała, widząc zaskoczone spojrzenie Pauliny.

– Pośpieszcie się! – Johann ruszył w kierunku sąsiedniego baraku. – Ci bandyci mogą tutaj wrócić. Musimy znaleźć twoje kluczyki.

– I jakąś latarkę. – Paulina poszła w ślad za nim. – Nie pójde do lasu po ciemku, żeby szukać twojego samochodu.

– Z tym mordercą możesz się czuć raczej bezpiecznie. – Igor spojrzął z mimowolnym uznaniem na psa Pauliny. – Chyba że spotkamy tam tyranozaura.

– To twój wybawca, niewdzięczniku, a nie żaden morderca. – Paulina lękliwie spojrzała w czarną, zbitą masę liści. – Nie wywołuj wilka z lasu!

Johann szarpnął drzwi do baraku i po chwili znaleźli się w środku pozornie przytulnego kontenera. Igor podszedł do stojącej przy ścianie szafki i zaczął grzebać między szpargałami, poupychanymi na półkach. Pochylił się i wyciągnął wielki reflektor. Jeden z dwóch, które stały w kącie.

– To nasze! – powiedział, spojrzawszy na Paulinę. – Super!

Johann podszedł do stołu, na którym stał cały czas włączony telewizor, i sięgnął po mały czarny przedmiot.

– Zostaw to lepiej, na miłość boską! – powiedziała Paulina, patrząc z przerażeniem.

– Potrafię strzelać. – Johann fachowo zważył go w dłoni i spojrzął na Paulinę. – W swoim czasie spędziłem sporo czasu na strzelnicy.

– Lepiej w ogóle nie zakładajmy konieczności jego użycia. Poza tym właśnie zostawiłeś na nim swoje odciski palców.

– I co z tego? – Johann spojrzął zdumiony.

– Lepiej to zostaw. Ona ma rację. – Igor spojrzął na Johanna i podniósł brwi. – Są!

Podszedł do telewizora i wyciągnął leżące za dudniącym pudłem kluczyki.

– Nasze komórki albo zabrali ze sobą, albo zrobili z nimi to samo, co ja z kluczami od tamtego baraku.

– Ale jest za to jego! – Johann wytarł pistolet o spodnie, trzymając go przez koszulkę, i wskazał głową czarny telefon, który leżał na parapecie okna.

– Co ty robisz? – Paulina popatrzyła na wciąż usuwającego ślady swoich rąk Johanna.

– Przecież powiedziałaś, że zostawiłem odciski palców.

– Dzwon na policję! – Paulina spojrzała na Igora, który trzymał w ręku smartfona i przeglądał jego zawartość.

– I co im powiemy? – Igor wzruszył ramionami. – Usiłowaliśmy okraść ponemiecki cmentarz, a potem związaliśmy stróża na prywatnej posesji i ukradliśmy jego telefon? W dodatku on właśnie usunął odciski palców. – Wskazał brodą Johanna.

– Przecież nie może im to ujść płazem. – Paulina spojrzała na Igora, marszcząc brwi. – Chcieli nas zabić, poza tym ukradli cenne zabytki.

Igor wzruszył ramionami. Spojrzał na komórkę. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

– To przynajmniej jedźmy stąd wreszcie! – jęknęła Paulina i ruszyła do drzwi. – Oni mogą wrócić w każdej chwili.

– Poczekaj, mam pomysł. – Igor wziął komórkę i zaczął przeglądać jej zawartość.

– Co ty robisz? – Johann zajrzał mu przez ramię.

– Wykorzystuję króliczka. – Igor uśmiechnął się pod nosem.

\*

– A co, jeśli to był podwójny bluff? – odezwał się po chwili Hans.

– Co takiego? – Parsov spojrzał na niego z niechętnym zaciekawieniem.

– Ta teoria Fleminga o kościele Mariackim. Sprzedał ją nam właśnie w nadziei, że uznamy to za bluff.

– Nie demonizowałbym go aż tak bardzo – zachnął się Parsov. – Jeśli rzeczywiście powiedział nam to, co naprawdę myśli, i ta teoria ma jakieś cechy prawdopodobieństwa, to dlatego, że był przerażony. Tak czy siak, trzeba będzie opracować jakiś plan dostania się do środka tej szkoły. – Potarł dłonią brodę. – Zaczęły się wakacje, więc nie ma tam bachorów, to dużo

ułatwia.

Hans sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.

– Zadzwońię do Markusa. Przypomnę mu o zamknięciu bramy.

Przez dłuższą chwilę słysząc było powtarzający się sygnał.

– Pewnie ogląda telewizję. – Parsov spojrział na Hansa, który ze ściągniętymi brwiami patrzył na wyświetlacz telefonu.

\*

Długie światła reflektorów wydobywały z mroku upiorne, palczaste gałęzie krzewów, przeskakiwały po ciemnych kształtach pni i tonęły w mroku między drzewami. Kasztanowa aleja zakręcała w prawo, znikając w ciemności.

Paulina wzdrygnęła się. Za żadne skarby świata nie została tutaj sama. Syknęła na Maksa, który biegł przed nimi z nosem przy ziemi. Stanął i odwrócił się. Jego oczy w blasku latarki zalśniły jak dwa świecące punkty.

– Jest! – powiedział Igor, wydobywając snopem reflektora ciemny kształt samochodu.

– Żeby tylko nie okazało się, że go zepsuli albo wynieśli akumulator – jęknęła nerwowo Paulina.

– Nie mieli po co tego robić. – Igor pokręcił głową. – Jeśli chcieli się nas pozbyć, to mój zepsuty samochód stojący na posesji Parsova raczej byłby obciążający.

– Naprawdę sądzisz, że chcieli się nas pozbyć? – Paulina spojrzała lękliwie za siebie.

– A myślisz, że mieli zamiar odwiedzić nas rano do domu? – zakpił Johann.  
– Na dodatek ty im jeszcze wszystko wyśpiewałeś. – Pokręcił głową, spojrzawszy z wyrzutem na Igora.

– Sądzę, że chcieli nas raczej postraszyć. – Igor wzruszył ramionami. – Musiałem im coś powiedzieć.

– Przecież nie dostaną się tak łatwo do piwnic tej szkoły, a tym bardziej niczego tam nie wykopią. – Paulina spojrzała na Johanna.

– Musiałem im powiedzieć cokolwiek, żeby zyskać na czasie... – powtórzył Igor.

– Trzeba będzie jakoś uprzedzić kogoś w tej szkole. Pewnie będą chcieli zorganizować jakiś remont albo wymyślą inny pretekst, żeby tam pogrzebać.  
– Paulina zaplotła ręce na piersiach i stanęła przed samochodem.

Igor kliknął pilotem. Samochód błysnął światłami. Ze środka doszedł cichy dźwięk odblokowywanych zamków.

– Całe szczęście – westchnął Johann i złapał za klamkę.

Paulina wpuściła Maksa na tylne siedzenie i sama wsiadła za nim.

– Jedźmy już, na miłość boską!

– Co ty powiedziałeś? – Johann nagle spojrzał na Igora.

– Kiedy? – Igor wsadził kluczyki do stacyjki.

– Przed chwilą. – Johann zmarszczył brwi. – Musiałeś im powiedzieć cokolwiek, żeby zyskać na czasie? Co to znaczyło?

– Zachowujemy się jak klasyczni bohaterowie amerykańskich horrorów! – jęknęła Paulina. – W chwili najgorszego zagrożenia zaczynamy pogawędkę. Jeszcze tylko brakuje, żeby samochód nie zapalił, a Johann nagle wysiadł, bo czegoś zapomniał.

– Jezu! Właśnie! – Johann gwałtownie odwrócił się do drzwi. – Nie jedź! Nie zapalaj silnika!

To mówiąc, chwycił reflektor i wyskoczył na zewnątrz.

– Nie wierzę! – Paulina pochyliła głowę i położyła ją na oparciu przedniego fotela.

Johann włączył reflektor i pochylił się przy samochodzie.

– Co ty robisz? – Igor wysiadł i obszedł samochód.

– Czy wam odbiło? – Paulina wychyliła się przez okno.

– Jak myślisz, w jaki sposób oni nas tutaj znaleźli? – Johann sięgnął ręką pod samochód i przejechał po wewnętrznej stronie blachy. – GPS. Musieli go podłożyć na lotnisku.

– Faktycznie! – Igor otworzył szeroko oczy i spojrzał zaskoczony na Johanna. – Zobaczę z drugiej strony! Sprawdź nadkola!

Johann obmacał przednie nadkole i pokręcił głową.

– Jest! – Z drugiej strony samochodu doszedł triumfalny okrzyk Igora. Trzymał w ręku mały prostokąt z magnesem.



– Rzuć go w krzaki! – Johann wyprostował się. – Tylko niezbyt daleko, bo ich czujnik wychwyci ruch!

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że powiedziałeś im cokolwiek? – Johann wrócił do tematu, gdy tylko Igor wszedł do samochodu.

– Możecie rozmawiać, jadąc! – Paulina chwyciła się przedniego fotela Igora.

Igor przekręcił kluczyk. Samochód warknął, światła wbiły się w gęstwinę krzaków.

– Trzy literki z tyłu mapy. – Igor skręcił i skierował samochód w kasztanową aleję. Toyota powoli toczyła się po gruntowej nawierzchni. – To było X, P i A, tylko że P było jakieś dziwne, miało brzuszek w złą stronę. Wymyśliłeś, że czytane od tyłu przypomina symbol Chrystusa.

– No i... – Johann patrzył na niego uważnie.

– To nie symbol Chrystusa. – Igor spojrział w lusterko, prosto w oczy Pauliny.

– Tylko co?

– Uprzytomniłem to sobie, kiedy ten stary Niemiec pokazał mi zdjęcie mapy. Było zrobione pod światło, w taki sposób, że lekko przeświecała tylna strona.

– APX? Przecież to w dalszym ciągu nic nie znaczy. – Paulina nadal patrzyła w lusterko.

Igor sięgnął do schowka i wyciągnął kartkę i długopis. Szybko nakreślił trzy znaki.

Samochód zbliżył się do placyku przed bramą wjazdową. Dwa baraki stały w mroku, w okienku pierwszego nadal świeciło się światło.

A R X

Paulina wpatrywała się w kartkę.

– Druga literka to nie P, tylko szczególnie wystylizowane R. – Igor spojrzał na Johanna.

– Nie jedź przez Tanowo! – krzyknęła nagle Paulina. – Jeśli będą wracać, to wpadniemy na nich w samym środku lasu!

– Racja. – Igor skręcił w przeciwnym kierunku. – Pojedziemy dookoła.

Johann wziął do rąk kartkę.

– A co niby znaczy ARX?

## Rozdział 38

W roku tysiąc sto dwudziestym czwartym – zaczął Igor – razem z Ottonem z Bambergu przybył na Pomorze jego kronikarz Ebbon. Opisał Szczecin jako gród rozłożony na trzech wzgórzach, z ufortyfikowaną twierdzą na najwyższym z nich. W obrębie twierdzy wznosiła się świątynia Trygława oraz stał dwór. – Igor spojrział w lusterko na słuchającą go uważnie Paulinę. – Ten gród właśnie Ebbon nazwał ARX, czyli po łacinie warownią lub twierdzą.

– A skąd pewność, że to chodzi o Szczecin? – Paulina pochyliła się między fotelami. – Mapa mogła powstać w dowolnym miejscu Europy, na przykład w Rodopach. Skoro ARX znaczy warownia, to mogło chodzić o dowolny zamek.

– Wspomniałem wam, że fotka, którą mi pokazał ten Niemiec, była zrobiona pod światło. – Igor zwolnił przed rozrytym kołami jakiegoś leśnego sprzętu fragmentem drogi i przejechał jego skrajem. – Punkt na mapie, opisany jako SECINUM, wypadł dokładnie w środku brzuszka R.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– No chyba żartujesz! To już jest absolutnie klasyczna spiskowa teoria dziejów. – Paulina pokręciła głową i oparła się o siedzenie.

– Czyli dopisane z tyłu ARX pokrywa się z lokalizacją Szczecina na mapie? – zapytał z niedowierzaniem Johann.

– Zakładając, że SECINUM to Szczecin.

– I o czym to niby ma świadczyć? – Paulina wzruszyła ramionami.

– O niczym, jeżeli nie zwróci się znowu uwagi na tę dziwną stylizację litery R.

Igor sięgnął jedną ręką po mazak i patrząc co chwilę na drogę, szybko narysował na kartce kilka kresek.



– I co to niby jest? – Johann pochylił się i przekrzywił głowę, przypatrując się narysowanemu symbolowi.

– Symbol starożytnego boga, którego imię Grecy bali się wypowiadać, a hołd składali wyłącznie na kolanach. – Igor podniósł wzrok i spojrzał w lusterku na Paulinę, która wzięła do ręki kartkę i z nieodgadnionym wyrazem twarzy przypatrywała się małemu rysunkowi.

– Ten bóg to oczywiście Hades, władca podziemnego świata umarłych. Najciekawsze jednak – Igor uśmiechnął się do Johanna – że nazywano go także z greckiego Plutonem[43], czyli władcą niezmiernych bogactw podziemnego świata.

We wnętrzu samochodu zapanowała cisza. Jedyne z tylnego siedzenia dochodził miarowy odgłos sapania Maksa.

\*

Dorota poczuła, że ściśnięte w nadgarstkach dłonie zaczynają jej cierpnąć. Kilka razy zacisnęła i rozprostowała palce. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie tu siedzieć. Gdyby tylko udało jej się poluzować ten sznur, to poradziłaby sobie jakoś z tym tłustym folksdojczem. Odsuwała od siebie myśli na temat von Kattego, który nie zginął raczej w wypadku, tak jak i pozostała trójka dawnych członków loży. Niemożliwe, żeby tak głupio

trafić w realia Ludluma, prosto w łapy byłych nazistów. To groteskowe!

Powinna była iść na policję zaraz po wyjściu od Parsova, a teraz być może wpakowała w to bagno także Igora i jego przyjaciół. Po cholere oni pojechali do tego lasu? Widać Igor nie powiedział jej wszystkiego. W tym momencie on i ci jego znajomi są jedynymi, którzy oprócz tych nazistowskich bandytów wiedzą coś konkretnego o masońskim depozycie. I możliwe w dodatku, że wiedzą więcej niż ta czwórka staruszków, która mimo to musiała zginąć.

Igor chyba w ogóle nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, zawsze miał bardzo ubogą wyobraźnię w takich sprawach. Możliwe, że teraz właśnie gdzieś ich dopadli. Dorota szarpnęła wściekle rękami i napięła mięśnie nóg, siłując się z więzami w kostkach. Żeby zająć czymś umysł, jeszcze raz starała się przypomnieć sobie dokładnie treść listu Ramina.

Coś tam o tej czerwonej róży... i potem to o tym Wiktorze. Ramin napisał, że chciałby pójść do jakiejś świątyni obok posągu Wiktora.

Tam nie ma ani nie było kościoła, do cholery! Ani przed wojną też! Ale posąg Wiktora to na pewno ten! Bo gdzie jest inny Wiktor w Szczecinie! To musi być ten cholerny pomnik, tylko gdzie tam świątynia?

Koszary! Tak! Pisał jeszcze o koszarach. Świątynia obok koszar i obok posągu Wiktora. Świątynia... Dorota otworzyła nagle szeroko oczy i na chwilę wstrzymała oddech. Oczywiście! Świątynia, czyli tajna loża masońska!

\*

– Ale co to ma wspólnego z masonami? – spytała po dłuższej chwili Paulina z tylnego siedzenia.

– Jeżeli założymy, że to, co mówił ten Niemiec, jest prawdą, czyli że loża szczecińska wymyśliła jakiś historyczny kod po to, żeby wszystko zaciemnić, to jak najbardziej mieści się w konwencji.

– Uważasz, że ten napis z tyłu dodali masoni? Przecież nie mieli dostępu do tej mapy, leżała zamknięta w sarkofagu od połowy szesnastego wieku.

– I po co by się aż tak starali, nawet zakładając, że udało im się tam jakoś dostać? Przecież i tak nikt nie miał dostępu na co dzień do krypty. – Johann patrzył powątpiewająco na symbol Hadesa.

– No właśnie. Kogo by w ten sposób mieli wprowadzić w błąd? –

zawtórowała mu Paulina.

– Wszystko to się działo mniej więcej w połowie dziewiętnastego wieku. – Igor patrzył na drogę, marszcząc brwi. – W tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku tak zwana komisja historyczna otwiera kryptę, w tym samym czasie Szczecin ulega rozbudowie pod wielką inspiracją Hakena i Meyera, ale wcześniej musiano stoczyć o to walkę z władzami z Berlina. Może to o to chodziło? Masoni chcieli wyprowadzić wówczas w pole przede wszystkim króla i jego urzędników, którzy dopiero co splądrowali kryptę, wywożąc do Berlina wszystko, co się dało.

– Ale przecież konstruuując taką historyczną zasłonę dymną, wręcz ściągali sobie na głowę rozmaitych poszukiwaczy skarbów, a miało chodzić o to, żeby ich odciągnąć. – Johann pokręcił głową. – Poza tym masoni włamujący się do krypty tylko po to, żeby dorysować na mapie jedno łacińskie słowo, to dla mnie kretynizm.

– Prawdę powiedziawszy, mnie to też jakoś nie pasuje. – Igor skrzywił się, omijając kolejną kałużę.

Przez chwilę znowu milczeli. Samochód jechał przez kompletnie ciemny las bitą, gruntową drogą. Długie światła wydobywały co chwilę z ciemności leżące przy drodze sterty drewnianych pni.

– Ale zaraz, zaraz... – odezwała się Paulina. – Co wynika z tego, że w punkcie na mapie oznaczającym Szczecin umieszczono słowo ARX z zakamuflowanym symbolem Hadesa, władcy podziemi? Czy nie chodzi o wejście do tych podziemi?

– No właśnie. – Igor pokiwał głową.

– I gdzie to wejście miałyby się znajdować, skoro ARX... – Paulina zaczęła mówić i nagle przerwała, wpatrując się w przestrzeń.

– „Dźwięk dzwonu cię poprowadzi” – zacytował Igor.

– Wieża Dzwonów? – Paulina otworzyła szeroko oczy. – Rzeczywiście w tym miejscu tuż obok stała świątynia Tryglawa, a później kościół Świętego Ottona, a dalej na wschód dwór Warcisława Pierwszego. To stąd Barnim von Ramin wywiózł sarkofag. Na miłość boską, sądzisz, że pod zamkiem są ukryte tajne podziemia, o których wiedzieli masoni, a których nikt do tej pory nie odkrył?

– Nie chodziło mi o Wieżę Dzwonów...

– Czy my wiemy w ogóle, gdzie jesteśmy? – Johann z niepokojem obejrzał się za kolejną ginącą w ciemności leśną przecinką. – Nawigacja milczy od dziesięciu minut.

Niepokój Johanna momentalnie udzielił się Paulinie, która zaczęła nerwowo wyglądać przez okna samochodu.

– Jedziemy w kierunku Dobrej, prosta droga, to co ma mówić? – Igor spojrział na ekran. – Szczerze mówiąc, jadę tędy po raz pierwszy.

– Jeśli ci bandyci za nami pojadą, to też będą jechać prostą drogą. – Paulina odwróciła się i wbiła wzrok w ciemność, czającą się tuż za tylnymi światłami samochodu.

\*

Matthias wyszedł z baraku i podszedł do samochodu.

– Nie ma go w środku. Jest telefon i splota, a tego durnia nie ma! – Nachylił się do okna, z którego wyglądał zaniepokojony Hans.

Parsov zaklął i zgasił silnik. Mercedes stanął tuż za bramą, za terenówką Matthiasa. W pierwszym baraku paliło się światło.

– Drugi barak jest zamknięty! W środku słychać mamlanie przez knebel kogoś z tych kolesiów. – Matthias odwrócił się w stronę ginącej w ciemności kasztanowej alei.

– Może poszedł sprawdzić samochód?

– Przejdź się tam i zobacz! – Hans rozejrzał się nerwowo. Miał złe przeczucia.

– Może tylko pojechał gdzieś do jakiegoś sklepu? – Parsov założył ręce na plecy. – Wszystko zostawił, pistolet, komórkę.

Hans zrobił kilka kroków w kierunku bramy i zawrócił.

W mroku zamrugało światło latarki i z ciemności wyłonił się Matthias. Miał ściągnięte brwi i zaniepokojony wyraz twarzy.

– Nie ma samochodu! – rzucił.

Hans spojrział na Parsova. Był wściekły.

– Otwórz ten barak! – Skinął w kierunku drugiego kontenera.

– Nie sądzisz chyba... – Matthias się uśmiechnął, ale widząc minę Hansa,

wskoczył do baraku. Nie było go przez moment.

– Nigdzie nie ma kluczy. – Zeskoczył na ziemię i ruszył w kierunku ciemnego kontenera, trzymając w ręku stalowy drąg. – Nie ma też reflektorów Fleminga!

– *Was für'n Scheiß!*<sup>[44]</sup> – Hans ruszył za nim. Po chwili stali przed drzwiami, zza których dochodziły niewyraźne jęki.

Matthias wsadził łom między drzwi a framugę i mocno naparł całym ciałem. Patentowy zamek puścił bez większego oporu.

– Jak oni to zrobili? – Parsov stanął obok, patrząc na związanego Markusa. Starał się trzymać nerwy na wodzy.

– Nie mam pojęcia, ale zaraz się dowiemy.

Matthias poluzował sznur, którym przywiązany był do krzesła Markus. Mężczyzna wyszarpnął z ust brudną szmatę i splunął pod nogi. Przez chwilę słuchali bezładnych tłumaczeń.

– Pewnie pojechali w drugą stronę. – Hans zwrócił się do Matthiasa. – Nie mogli odjechać za daleko. Jedź za nimi!

Matthias skinął głową i ruszył do samochodu.

Parsov spojrzał na Hansa ze złością.

– Jedziemy do Karpacky'ego! Skoro ci tutaj uporali się tak łatwo z twoim człowiekiem... – Wskazał brodą przerażonego Markusa. – To nie chcę myśleć, co mogła zrobić z grubym Polaczkiem ta wiedźma, żona Fleminga.

\*

Pomiędzy drzewami ukazały się majaczące w oddali światła. Gruntowa droga, do tej pory upstrzona dziurami i rozjeżdżona przez sprzęt służb leśnych, niepostrzeżenie przeszła w równy dukt o nawierzchni żwirowej.

– Za dwieście metrów lekko w prawo – odezwała się milcząca do tej pory nawigacja.

– Zwolnij! – zawołała nagle Paulina. – Jeśli te bandziory jadą za nami, to pewnie myślą, że pojedziemy właśnie lekko w prawo na Dobrą.

– W miasteczku raczej nic nam już nie grozi. – Johann spojrzał na Paulinę z nadzieją.



– Młodzież pewnie pije właśnie czwarte piwo na Dniach Morza, a starsi siedzą w domu i oglądają „D jak miłość”, nikt się nie zainteresuje, jak nas zatrzymają i wyciągną siłą z samochodu.

– „D jak miłość”? – Johann spojrzał na Igora, podnosząc brwi.

– Nie każ mi tego tłumaczyć. – Igor pokręcił głową i wcisnął hamulec. – To gdzie mam jechać?

– Skręć w lewo, dojedziemy przez wiochy do Pilchowa. – Paulina wskazała głową gruntową drogę, wbijającą się pomiędzy drzewa jakieś sto metrów przed nimi.

– Jesteś pewna?

– Tak, moja koleżanka mieszka w następnym grajdole. Tą drogą można od biedy dojechać nawet osobówką.

Igor dotknął palcem ekranu, wybierając nazwę miejscowości.

– Musimy zawiadomić policję. – Paulina pochyliła się między fotelami. – Jeśli nic nie zrobimy, to oni wywiozą mapę Ptolemeusza i rzeźbę Barnima, a potem już zorganizują sobie jakoś pracę w zamku. Przecież jak jakaś niemiecka organizacja zaproponuje, że pod wymyślonym kulturowym pretekstem przeprowadzi badania archeologiczne, to nasz prezydent ze szczęścia zamówi mszę dziękczynną na koszt miasta.

– Tak, ale jeżeli teraz pojedziemy na komendę, to trafimy na jakiegoś niepiśmiennego imbecyla, z którym spędzimy bite trzy godziny, patrząc, jak stuka jednym palcem w klawiaturę. – Igor wzniósł oczy do góry. – Sam nie wiem, co z tym wszystkim zrobić. Przecież nikt nam nie uwierzy w złoto nazistów i masoński spisek. Jak coś takiego zaczniemy opowiadać, to resztę nocy spędzimy w izbie wytrzeźwień.

– Nie zapominaj, że oni chcieli nas zabić! – oburzyła się Paulina.

– I jak im to udowodnisz? Ten facet ma pewnie najlepszych prawników w Europie.

– Czy to chodzi o Dorotę? – zapytała.

– Słucham? – Zaskoczony Igor spojrzał w lusterko. Paulina uniosła brwi.

– Że ją niby chronię? Zwariowałaś? Zresztą nie ma pewności, czy ona z nimi nadal nie współpracuje. Możliwe, że to ona nas wpakowała w łapy tych bandziorów, sama mogła mi podłożyć GPS. Wprawdzie trudno mi w to

uwierzyć, ale...

Igor pokręcił głową i wbił wzrok w nierówną drogę za szybą.

Jak to możliwe, że Dorota zgodziła się współpracować z ludźmi, którzy odpowiadali za dwa morderstwa? Może przekonali ją, że to były wypadki? Złapał się na tym, że usiłuje wymyślić jakikolwiek pretekst, by wytłumaczyć jej postępowanie. Nie robił tego z chęci, żeby cokolwiek uszło jej na sucho, ale ponieważ nie mógł się z tym pogodzić.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że nie chodziło o Wieżę Dzwonów? – Johann zmienił temat. – Przerwałem ci.

– Właśnie? – zawtórowała mu Paulina z tylnego siedzenia

Igor oderwał zamyślony wzrok od przedniej szyby i spojrzał na Johanna, a potem w lusterko na Paulinę.

– Jeśli założymy, że napis na płaskorzeźbie umieścił Barnim Dziewiąty, to nie może chodzić o Wieżę Dzwonów z tej prostej przyczyny, że ona wtedy jeszcze nie istniała. Dopiero po jego śmierci zaczęto rozbiórkę kościoła Świętego Ottona i budowę skrzydła północnego zamku. Gdyby napis sfabrykowali masoni, to oni także nie popełniliby takiego błędu.

– Więc o jaki dzwon w końcu chodzi? – Paulina złapała rękami przednie siedzenie i pochyliła się między fotelami. – Skoro nie o ten w kościele Mariackim i nie o ten na Wieży Dzwonów?

Igor westchnął. „Dźwięk dzwonu cię poprowadzi”. Niewyjaśniona zagadka szczecińskiego zamku.

\*

Matthias wpatrywał się w drogę przed maską samochodu. Minął właśnie niewielką wieś i jechał ciemnym leśnym duktem w kierunku Dobrej. Cały czas nie było widać tylnych świateł toyoty. Musieli znaleźć pluskwę pod samochodem, bo GPS utrzymywał, że samochód Fleminga cały czas stoi w lesie. Szlag by to! Markus nie mógł się bardziej popisać, przestraszył się jakiegoś kundla! W dodatku zostawił spluwę w baraku. Co za kretyn! Czeka ich teraz znowu jakaś akcja z dorwaniem tych cholernych idiotów, a już byłby z nimi spokój. Miał dość tego całego miasta, ale Hans wciąż liczył, że znajdą ten depozyt. Matthias raczej wątpił, wolał wydobywanie wraków. Wrak to wrak, jak są archiwalne dokumenty – to najczęściej z góry wiadomo,

co na nim jest, i luz. Jedyne problem to wydobyć. A tutaj jakieś pieprzone poszukiwanie skarbów. No, ale przynajmniej mapa to jest konkret. Kolekcjonerzy dadzą za nią może i kilkaset tysięcy euro. Jedyne egzemplarz na świecie. Jak na tydzień roboty to dobry utarg.

Jakieś kilkaset metrów przed nim widać było światła miejscowości, droga odbijała w prawo. To pewnie ta Dobra. Fleming musiał nieźle zapierniczać, skoro go nie widać. Chyba że gdzieś skręcili? Tylko że nie było żadnych zakrętów po drodze, same leśne przecinki. Trudno, znajdą ich w mieście.

Przycisnął pedał gazu i po chwili samochód wjechał pomiędzy pierwsze zabudowania miasteczka.

\*

W 1345 roku na wzgórzu zamkowym, w miejscu legendarnej świątyni Trygława, Barnim III zbudował kościół Świętego Ottona, jednonawową świątynię z pięciobocznym prezbiterium, w którym pod chórem ulokowano kryptę grobową Gryfitów.

Nie wiadomo dokładnie kiedy, na pewno przed końcem XIV wieku, obok kościoła powstała tajemnicza budowla, której przeznaczenie ani wygląd nie zachowały się w żadnych dokumentach. Miała kształt nieregularnego pięcioboku, a pod nią znajdował się tajemniczy loch, do którego wejście było od strony zewnętrznej, przy murze obronnym, otaczającym wówczas wzgórze zamkowe. Nie wiadomo, czemu służyła, nie zachowały się na ten temat żadne przekazy. W latach sześćdziesiątych pojawiła się teoria, że budowla ta mogła być dzwonnica, która w późniejszych latach zawała się lub została rozebrana.

Gdy w 1575 roku rozbierano kościół Ottona, zapewne już nie istniała, prawdopodobnie rozebrana wcześniej, ale pozostał po niej tajemniczy loch, „wmontowany” w piwnice powstającego w XVI wieku renesansowego, północnego skrzydła zamku. I dopiero wówczas ten loch zaczął pełnić funkcję krypty grobowej, do której przeniesiono sarkofagi z grobowca pod rozebrany kościół Ottona, a kilkaset lat później sarkofagi ze spalonego kościoła Mariackiego.

– Krypta? – Paulina otworzyła szeroko oczy. – To jest pozostałość po jakiejś dzwonnicy?

– Możliwe. Stary loch, który został zaadaptowany na cele krypty

grobowej. – Igor pokiwał głową. – Jeśli napis na płaskorzeźbie powstał za życia Barnima Dziewiątego, to ta dzwonnica pewnie jeszcze stała, więc mogło chodzić o ten właśnie dzwon.

– Czy to oznacza, że wejście do legendarnych podziemi znajduje się pod kryptą? – Paulina wciąż patrzyła niedowierzającym wzrokiem na Igora.

– „Dźwięk dzwonu cię poprowadzi” – powtórzył Igor i wzruszył ramionami. Zawsze go zastanawiało, z jakiego powodu w XVI wieku w nowo powstającym północnym skrzydle zamku pozostawiono ściany krypty. Nowe skrzydło renesansowe miało prosty układ ścian zewnętrznych i wewnętrznych, tymczasem loch krypty, założony na pięcioboku, musiał być sporym utrudnieniem w budowie. Na pewno taniej byłoby go zburzyć i postawić nowe, proste ściany. Dlaczego więc go pozostawiono? Z powodów sentymentalnych? Jako zabytek? Przecież tuż obok rozbierano w tym samym czasie kilkusetletni już wówczas kościół Ottona. Nie było żadnych logicznych przesłanek za pozostawieniem podziemi starej dzwonnicy.

Chyba że w grę wchodziły właśnie jakieś inne powody, których oficjalne przekazy nie zdradzały. Czy to możliwe, że pod grobowcem Gryfitów zachowało się wejście do jakiejś podziemnej struktury, o której wiedzieli pierwsi książęta, a później dowiedzieli się jakoś masoni? Czy było to arcytajemne miejsce spotkań loży, najbardziej tajemna świątynia zakonu? Wizja eleganckich, ubranych w długie płaszcze i cylindry dżentelmenów, którzy pod osłoną nocy spotykali się raz na jakiś czas w ultratajnym miejscu, dokąd drogę znali tylko najbardziej wtajemniczeni członkowie loży, była bardzo malownicza, ale czy prawdziwa?

– Przecież tam po wojnie były robione badania archeologiczne. – Paulina pokręciła głową. – Jak to możliwe, że nie znaleźli żadnego wejścia?

– Wejście mogło być już dawno zamurowane. Na przełomie wieków zamek został przebudowany na biurowiec. Może więc masoni, którzy mieli silną reprezentację we władzach miasta, sami tego dokonali, przenosząc wejście gdzie indziej? – Igor wzruszył ramionami i zwolnił przed wielką kałużą. – Na przykład do średniowiecznych lochów którejs z kamienic pod samą skarpą zamku. W ogóle to tylko teoria, sam nie wiem, co o tym myśleć.

– A jeśli ten Niemiec miał rację? – odezwał się nagle Johann.

– To znaczy? – spytał Igor.

– Jeśli właśnie znowu podążamy tropem poszukiwaczy skarbów, których masoni chcieli wywieść w pole? Może napis na płaskorzeźbie temu właśnie miał służyć, żeby wpuścić w kanał takich frajerów? – Johann podniósł brwi i spojrzał z namysłem przed siebie.

– Właśnie. – Paulina pokiwała głową. – Frajerzy poszukiwali skarbów templariuszy w podziemiach kościoła Mariackiego albo w zamku, a tymczasem masoni po cichu wywieźli swój majątek z depozytów bankowych w zupełnie inne miejsce.

Igor spojrzał w lusterko na Paulinę i wyduł wargi.

– Po co w takim razie Ramin zostawiałby takie wskazówki? Kradnie z narażeniem życia sarkofag z zamku, zostaje postrzelony, wie, że nie wyjdzie już z podziemi żywy, i przed śmiercią zostawia w liście, nieźle zresztą zaszyfrowane, informacje dla swoich braci masonów, prowadzące do bzdur na temat skarbu templariuszy? Przecież to bez sensu.

Igor zdał sobie nagle sprawę, że od początku, odkąd zaczęli podążać tropem z listu Ramina, miał niejasne wrażenie, iż coś jest z tym nie tak. Właśnie sobie uświadomił co. Po co Ramin zostawił wskazówkę na temat obrazu Sydonii? Na nim była kolejna wskazówka, prowadząca do ołtarza Barnima. Po co to wszystko? Czy nie łatwiej byłoby zostawić po prostu zakamuflowaną informację na temat tego, gdzie znajduje się wejście do tej cholernej skrytki, czymkolwiek ona była? Po cholere to całe komplikowanie? W świetle tego, co powiedział stary Niemiec, że wszystko to było tylko sztafajem budującym aurę tajemniczości wokół loży, z jednej strony mogło tłumaczyć to postępowanie, ale z drugiej... Ramin, zamiast uciekać ze Szczecina i zaszyć się gdzieś na Zachodzie, gdzie jako uczestnikowi zamachu na Hitlera włos by mu z głowy nie spadł, wolał wrócić do Szczecina i zginąć w lochach, kradnąc sarkofag. Gdyby to wszystko było tylko masońską, wyreżyserowaną legendą, byłoby przecież kompletnie bezsensowne.

Paulina spojrzała w lusterko i w zamyśleniu przeniosła wzrok na leżącą cały czas pomiędzy przednimi fotelami kartkę.

– W takim razie musieliśmy coś przegapić.

– Jest też taka możliwość, że od końca wojny zaszły takie zmiany w zabudowie, że odnalezienie jakiejś nory z ukrytym złotem i dziełami sztuki nie będzie już możliwe. – Igor ponownie wzruszył ramionami. – Każdy słyszał o korytarzach pod Urzędem Wojewódzkim, które biegną w kierunku

Odry, i o zalanych tunelach pod Czerwonym Ratuszem. Ramin przecież jakoś wjechał ciężarówką do tego tunelu pod hotelem, a dzisiaj nie ma śladu po tym wjeździe. Może te wszystkie opowieści o pociągu pełnym złota ze szczecińskich banków i o tajnych przejściach kryją w sobie ziarno prawdy, tyle że dobranie się do tego póki co przekracza techniczne możliwości.

– Nie mam siły teraz się nad tym zastanawiać – westchnęła Paulina, gładząc kudłatą głowę Maksa. – Jestem zmęczona, mam mokre buty i cały czas czuję w ustach obrzydliwy smak tego knebla.

Igor poczuł w tym momencie, że jest wściekle głodny. Na zewnątrz zrobiło się nagle jaśniej. Po obu stronach drogi pojawiły się pierwsze domy. Te tereny były mu już znajome. Za kilkaset metrów będzie zakręt w prawo i prosta droga na Szczecin.

## Rozdział 39

Bondar od dobrych kilku minut wpatrywał się w zdjęcie na ekranie swojego domowego komputera. Ile to może być warte? Czyżby od początku chodziło właśnie o to? Zakładając oczywiście, że to nie jakiś falsyfikat i w ogóle, że ta informacja to nie kant. Będą musieli poradzić się jakiegoś eksperta, powiadomić straż graniczną i takie tam. Jest szansa, że jeszcze nie opuściło kraju. Prawdopodobnie kolekcjonerzy płacą za takie rzeczy jakieś ogromne pieniądze.

Leżący przed nim na biurku telefon zatrzęsł się nagle, wydając cichy dźwięk wywoływany drganiami. Bondar sięgnął po niego i spojrział na wyświetlacz.

Pilecki. Na szczęście miał dziś dyżur. Uwinął się.

– Masz coś? – spytał bez wstępów.

– Telefon jest w sieci O2. To niemiecki operator. Oficjalne potwierdzenie dostaniemy w tygodniu, nieoficjalnie należy do Markusa Blaschke.

– Ma coś wspólnego z Flemingiem albo z tym Anglikiem?

Szybkie nawiązanie kontaktów między Flemingiem a Carleyem w dalszym ciągu wydawało się Bondarowi podejrzane. Anglik, w dodatku po matce z niemieckimi pochodzeniem, był bardzo bogaty. Jakaś arystokratyczna angielska rodzina. Teoria o tym, że mógł być kupcem obsługiwanym przez Fleminga, była wciąż atrakcyjna i Bondar w dalszym ciągu brał ją pod uwagę.

– Z Flemingiem nic. Nie mają żadnych powiązań. Natomiast facet pracuje w tej samej firmie, co ten Niemiec od czarnego bmw, Detlov Exploration BV.

Bondar uniósł brwi.

– Ruiny dworu i park należą natomiast do firmy zarejestrowanej pod nazwą Parsov Park. Właściciel kilka miesięcy temu dostał zgodę ministra na

wykupienie tego majątku od Skarbu Państwa. Heinrich Siegfried von Parsov, prezes Parsov & Cie GmbH.

– Czym się zajmują? – Bondar wpatrywał się cały czas w zdjęcie starego dokumentu.

– To firma spedycyjna.

– Niech ktoś jedzie do tego lasu. – Bondar odłożył fotografię na stół. – Sprawdź, co firma Detlov Exploration BV ma wspólnego z właścicielem tych ruin.

Najbardziej go jednak intrygowało, skąd ten cały Blaschke miał numer jego telefonu.

\*

– Rozwiąż ją – rzucił oschle Hans.

Karpacky podszedł do krzesła, na którym siedziała Dorota, i pochylił się nad zwojem sznura za oparciem.

Dorota nie spuszczała wściekłego wzroku z Hansa i Parsova. Bała się, ale czuła też potężną złość. Gdyby nie to, że zdecydowanie pogorszyłoby to jej sytuację, najchętniej rzuciłaby się teraz na tę tłąstą świnie i wydrapała mu oczy.

– Chciałaś wyjechać bez pożegnania. – Hans uśmiechnął się do niej złośliwie.

– Mój przyjaciel z Berlina wie, gdzie jestem. – Dorota starała się zachować spokój. – Wie także, że pracuję dla Heinricha Siegfrieda von Parsova, nazistowskiego konfidenta i donosiciela, który przyczynił się do śmierci własnego ojca.

Obserwowała, jak wyraz twarzy Parsova gwałtownie się zmienia. Od kompletnego zaskoczenia po hamowaną wściekłość.

– Nie ma pani pojęcia, o czym mówi! – powiedział zimnym jak lód głosem.

– Generalnie niewiele mnie to też obchodzi. – Dorota rozprostowała ręce i potarła zsiniałe nadgarstki.

– Twój mąż powiedział nam, że pokazałaś mu mapę. – Hans spojrział na nią uważnie. Zastanawiał się, czy blefowała, czy naprawdę opowiedziała



o wszystkim temu swojemu facetowi. Chyba w ogóle niepotrzebnie wciągnęli ją w to wszystko. Niewiele na tym zyskali, a za to sprawia mnóstwo kłopotów. Zastanawiał się, jak wykorzystać to, że nie dowiedziała się jeszcze o ucieczce Fleminga.

Oczywiście zawsze pozostawała opcja pozbycia się jej. Tylko że w sytuacji, gdy ten cholerny Markus dał się tak podejść, było to trudniejsze. Powiedzieli przecież Flemingowi, że Dorota jest z nimi. Jeśli zniknie, a on zawiadomi policję, to będą mieć kolejne kłopoty.

Dorota zmarszczyła brwi. Igor im powiedział?

– Powiedział wam? Przy jakiej okazji?

– Usiłowali okraść stary cmentarz w lesie. Niedaleko dworu, który miałaś odbudować dla mojego szefa. – Skłonił się dwornie w kierunku Parsova, który parsknął pogardliwie.

– Nieważne, w każdym razie pogrywając z nami, raczej mu zaszkodziś.

– Co z nimi zrobiliście? – Dorota spojrzała na Hansa.

Podniósł kpiąco brwi.

Igor powiedział, że pokazała mu mapę? Zmusili go? Czego zatem chcą od niej? Dorota analizowała w myślach różne scenariusze, niestety, żaden nie był dla niej jakoś wyjątkowo korzystny.

– Jeśli Igor wam się wymknął – zaczęła ostrożnie – to macie niewiele czasu. Spojrzała spokojnie na Hansa.

– Zupełnie niepotrzebnie widzicie we mnie wroga. Mam gdzieś wasze ciemne sprawy i jestem ostatnią osobą, która poleci z tym na policję. O niczym innym nie marzę, jak wyjechać z tego kraju i spożytkować zarobione dzięki wam pieniądze. – Uśmiechnęła się do Parsova z przekąsem.

Hans patrzył na nią w skupieniu.

– Mój były mąż i ja mamy zupełnie inne cele. Igor jest kretyńsko praworządny, a jeśli za moment odkryje prosty rebus z listu Barnima, to pewnie pierwsze, co zrobi, to zawiadomi służby konserwatorskie.

Dorota spojrzała Hansowi w oczy.

– Dla was będzie wówczas po ptakach.

– Jaki rebus? – spytał Parsov.

– Ma mnie pan za idiotkę?

– Blefujesz. – Hans wstał i zrobił kilka kroków w stronę wyjścia.

– Mój przyjaciel dostarczył mi sporo wiadomości z niemieckiej prasy na temat majątku szczecińskiej loży, który usiłowali przejąć hitlerowcy. Ramin zostawił informację o tym, gdzie znajduje się tajna świątynia. I skoro ja się domyśliłam, to pewnie Igor też za chwilę na to wpadnie. Macie więc niewiele czasu, żeby tam dotrzeć przed nim.

Hans i Parsov patrzyli na siebie przez chwilę.

– Domyśla się pani, gdzie może się znajdować tajna loża masońska? – Parsov popatrzył na nią z mieszaniną niedowierzania i niepewności.

– Jeżeli mi pan nie wierzy, to jedyne, co ma pan do stracenia, zakładając oczywiście, że cała ta historia jest prawdziwa, to jakąś tonę złota.

– I chce pani pewnie zaproponować jakiś układ?

– Zaprowadzę was na miejsce i tam się rozstaniemy. Mam dość poszukiwania skarbów! Chcę wracać do domu.

– Ma pani na myśli, że oboje wpadliście na rozwiązanie zagadki, na której trop nie wpadli jeszcze nasi ludzie?

– Dziwię się, bo jest prosta – westchnęła Dorota. – Pewnie lada moment ją rozwiążą, ale jeśli Igor w tym czasie powiadomi władze, to będziecie mogli najwyżej podrapać się po tyłkach.

I tak nam nie uciekniesz, pomyślał Hans. Złapał się na tym, że zaczęła mu się podobać zabawa w kotka i myszkę z tą kobietą. Imponowała mu jej brawura.

Szkoda, że będą musieli się rozstać.

\*

Poszukiwanie pluskwy trwało jakieś piętnaście minut i kosztowało całe dwie stowy. Przypominało zabawę w ciepło i zimno, którą Igor pamiętał z głębokiego dzieciństwa. Nawet nie wiedział, że są firmy, które świadczą takie usługi. Na szczęście brat Pauliny miał dobre rozeznanie i po dziesięciu minutach oczekiwania pod bramę podjechał efektownie podrasowany golf dwójka, z którego wysiadł wysoki, dobrze zbudowany, na oko dwudziestoletni chłopak. Usługa wykonana została za pomocą małego

niepozornego urządzenia, które wydawało z siebie ciche buczenie, a po namierzeniu pluskwy zaczynało piszczeć, z tym większą intensywnością, im bliżej się znajdowała ta ostatnia.

Jedna, jak się okazało, była ukryta mało kreatywnie pod stołem kuchennym, drugą znaleźli przyczepioną pod blatem szafki nocnej w sypialni. Muskularny chłopak, nie zadając żadnych pytań, wsadził banknoty do kieszeni, mruknął „nara” i zniknął za drzwiami.

Dwadzieścia minut później, po gorącym prysznicu, Igor czuł się jak nowo narodzony. Sięgnął po telefon i zamówił pizzę. Potem wyciągnąwszy się na kanapie, otworzył piwo. Czułby się w ogóle świetnie, gdyby nie niepokój, który zatruwał mu myśli.

Usuwać podsłuch, w oczywisty sposób dali znać, gdzie się znajdują. Może unikanie policji to nie jest jednak najlepszy pomysł? Tylko że nie mogliby opowiedzieć historii o tym, jak to zostali związani i zatrzymani przez niemieckich bandytów, bez wspomnienia o przekopywaniu lapidarium Raminów. Do tego dochodzi kradzież listu z gabinetu prezydenta. Chociaż tego akurat nikt do tej pory nie zauważył i pewnie nawet nie zauważy.

Wzruszył ramionami i wypił łyk piwa.

I co z tą cholerną Dorotą? Czy ona naprawdę współpracuje nadal z tą mafią? Co jej odbiło? Tak czy siak, będą musieli coś powiedzieć na policji, pewnie w poniedziałek na bank ktoś zadzwoni z poleceniem stawienia się w komendzie.

Awanturnicza zabawa w poszukiwaczy skarbów chyba się właśnie skończyła. Uprzytomnił sobie, że jego nastawienie do całej tej historii zmieniło się już w baraku, gdy słuchał tego, co mówił stary Niemiec. Kosztowności ze skrytek bankowych, czyjaś własność, dzieła sztuki, rodzinne pamiątki, cudze życie utyłane w wojennym skurwysyństwie i brudnych, nazistowskich porachunkach. To zupełnie co innego, niż szalone poszukiwanie skarbów templariuszy. Nawet jeśli maczali w tym palce szczecińscy masoni.

Sięgnął po pilota i włączył telewizor.

Z drugiej strony jednak, przecież obraz Cranacha jest prawdziwy. Nikt go nie wymyślił. Tak samo jak płaskorzeźba z ołtarza Barnima IX. Obraz został zamalowany w XVIII wieku, przed wojną nie znano jeszcze technologii odczytywania warstw malarskich bez niszczenia płótna. Czy możliwe, żeby

cały ten spisek sięgał aż tak głęboko w przeszłość? Masoni wymyślili sobie starożytną tajemnicę, „utkali” ją z wielu historycznych detali po to tylko, żeby mylić ślady i wyprowadzać w pole profanów[45]? Specjalnie w tym celu domalowali na obrazie Cranacha staruszkę, dając przy okazji początek największej pomorskiej legendzie, dorobili napis z tyłu płaskorzeźby Barnima IX i jeszcze wsadzili bezcenną mapę do trumny księcia? Przecież to jest za bardzo pokręcone.

Drzwi do pokoju gościnnego uchyliły się i stanął w nich przecierający oczy Johann.

– Na chwilę wyciągnąłem się na łóżku – mruknął.

– Chwilka trwała dwadzieścia minut. – Igor uśmiechnął się do niego. – Zamówiłem pizzę! Weź sobie piwo z lodówki.

– Super! – Johann poczochnął włosy i podszedł do lodówki.

– Tam masz ręcznik. – Igor wskazał przewieszony przez poręcz schodów czerwony, puchaty materiał.

– Co to za uroczystość nad Odrą? – spytał Johann, wyjmując zieloną puszkę.

Igor w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Uroczystość? Aaa... Dni Morza. Taka coroczna impreza. Przepływa trochę statków, muzyka, sztuczne ognie o północy i oczywiście morze piwa. Fajerwerki będzie widać z tarasu.

Johann pokiwał głową i rozsiadł się w fotelu.

– Co jest między tobą a Dorotą? Jeśli można spytać? Sądzisz, że naprawdę mogłaby nas wrobić?

Igor popatrzył na niego i pokręcił głową, podnosząc jednocześnie brwi.

– Nie chce mi się w to wierzyć. Zawsze potrafiła być zdecydowana, nawet bezwzględna, ale co innego sprawy zawodowe i uczuciowe, a co innego współpraca z gangsterami.

– Może zabrnęła w coś, z czego nie mogła się już wycofać?

– Nawet jeśli, to nie wyobrażam sobie, żeby celowo wpakowała nas w ich łapy.

– Ludzie się zmieniają. – Johann pociągnął spory łyk piwa i podniósł się z fotela. – Idę pod prysznic.

Igor pokiwał głową. W zasadzie mało wiedział o obecnym życiu byłej żony. Poza tym, że mieszkała w Berlinie i pracowała tam w jakiejś wnętrarskiej firmie, niewiele więcej. Nic o jej sprawach finansowych, uczuciowych. Mógł sobie wyobrazić, że potrzebowała pieniędzy albo że wdała się w związek z jakimś facetem o przestępczych powiązaniach. Nie było to niemożliwe.

Wzruszył ramionami.

Przy drzwiach rozległ się dźwięk domofonu.

\*

– Tak, pan Parsov był gościem naszego hotelu, ale wymeldował się dzisiaj rano.

Młoda recepcjonistka wyglądała na mocno przestraszoną wizytą policji o tak późnej porze. Pilecki uśmiechnął się do niej uspokajająco i sięgnął do kieszeni, wydając plik fotografii.

– Przepraszamy w ogóle za najście w takich godzinach, ale to bardzo pilna sprawa.

Położył przed nią zdjęcie niebieskookiego blondyna.

– Czy ten człowiek może pojawił się w towarzystwie pana Parsova? Nazywa się Detlov. Hans Detlov.

Dziewczyna popatrzyła na fotografię i zmrużyła oczy.

– Dałabym sobie głowę uciąć, że to jest pan Karl Neumann. Tak się przynajmniej przedstawił. Był kilkakrotnie gościem pana Parsova.

Pilecki zmarszczył brwi.

– A ci ludzie? – Rozłożył na ladzie recepcji fotografie trzech mężczyzn.

– Tych dwóch nie kojarzę. – Recepcjonistka odsunęła dwie fotki i wskazała palcem trzecią. – Ale tego tutaj pamiętam. Bardzo przystojny... – Uśmiechnęła się.

Matthias Jost, boski właściciel czarnego bmw, pomyślał z przekąsem Pilecki.

\*

Parsov ścisnął ze złością telefon. Wspomnienie o świątyni na końcu listu Ramina mogło wprawdzie przywołać na myśl tajną lożę masońską, ale wydawało się to zbyt oczywiste. Jego ludzie nie brali tego nawet pod uwagę. Poza tym w jednym z majątków Raminów, obecnie po stronie niemieckiej, stał niegdyś posąg Wiktora Hugo, we wsi znajduje się do dziś romański kościół, a na początku XIX wieku w jednym z budynków stacjonowała armia Napoleona. Był pewien, że Ramin ten właśnie majątek miał na myśli, że to tam spotykał się z Gustawą i że nie krył się za tym żaden podtekst. Tym bardziej, że w Szczecinie nigdy nie było pomnika żadnego Wiktora! Sprawdzili to już dokładnie.

– Co to za przeklęty Wiktor? – Wsadził komórkę do kieszeni marynarki.

– Pilnujemy domu Fleminga. Jak gdzieś wyjdą, to będziemy wiedzieć. – Hans podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Koszary były w tym mieście na każdym kroku, to przecież była twierdza przez kilkaset lat – mruknął Parsov do siebie, patrząc w podłogę.

Podniósł wzrok i spojrzał ze złością na Hansa.

– Dlaczego nikt nie zwrócił uwagi na ten fragment listu? Może ona nie blefuje?

– Chce się wymknąć. Myśli, że jak zaciągnie nas w jakieś publiczne miejsce, to uda jej się jakoś uciec. – Hans wzruszył ramionami.

Nie był jednak tego pewien. Mówiła to z dużą pewnością siebie. Pracowała w końcu w Szczecinie jako architekt konserwator przez dobrych parę lat. Plany zamku załatwiła błyskawicznie, tak samo jak zezwolenie na prace w ruinach dworu.

Zacisnął pięści i ruszył w kierunku drzwi do pokoju, w którym ją zamknęli.

\*

Johann rozebrał się i wszedł pod prysznic. Kabina składała się jedynie z oszklonej ścianki z drzwiami, odpływ umieszczony był bezpośrednio w posadzce z granatowych kafli. Na jednej ze ścian wewnętrznych umieszczone było wielkie, wklejone w ceramikę, lustro. Johann obejrzał się krytycznie od stóp do głów. Miał kilka siniaków i otarcia na nadgarstkach od sznura. Odkręcił kurek. Gorący strumień rozsypał się na jego ramionach

w kaskadę kryształowych kropli. Stał przez chwilę z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłym masażem. Przez cały ten tydzień udało mu się ani razu nie pomyśleć o pracy, o kilku niedokończonych projektach, do których będzie musiał wrócić, o doprowadzającym go do rozstroju żołądka kliencie, dla którego po raz trzeci będzie przerabiał całą strategię marketingową. Pomyślał, że ten wyjazd paradoksalnie, mimo awantur z policją i gangsterami, był bardzo odprężający. Nawet na krótkich wakacjach z przyjaciółmi, które regularnie urządzał sobie w lecie i zimie, nie potrafił się tak kompletnie odizolować mentalnie od codzienności, jak w czasie tych absurdalnych poszukiwań skarbu w Szczecinie.

Otworzył oczy i przejechał palcami po mokrych włosach. No, ale obraz na przykład jest rzeczywisty. Coś będzie musiał z nim zrobić. Sprawdzić sprawy własnościowe. Czy dziadek miał wszystko załatwione z Borckami. Nie miał ochoty na proces sądowy o zwrot zagrabionego mienia. Nawet jeśli Borckowie byli w zмовie z pozostałymi członkami loży i obraz celowo dali dziadkowi, żeby go ukryć, to przecież musieli jakoś to załatwić po wojnie. Pokręcił głową. No, ale od czego jest matka? Z jej kontaktami z pewnością wszystko uda się szybko wyjaśnić.

Odwrócił się do lustra. Na jego piersi błysnął złotym blaskiem wisiorek, który jak zwykle zapomniał zdjąć. Skrzywił się i sięgnął po szampon. Rzucił okiem na złote kółeczko z dekoracyjnym ornamentem i obiegającym go napisem.

*Allmächtiger Baumeister aller Welten*, pomyślał po niemiecku. Wielki Architekt Wszechświata. Zmarszczył brwi. Dziadek to jakoś inaczej powiedział. Jak to było...

Zbliżył się do lustra i wziął do ręki wisiorek. Wielki architekt...

– Klucz Wielkiego Architekta! – powiedział głośno, patrząc na medalion.

Nagle znieruchomiał. Podniósł powoli głowę i spojrział w lustro, z którego patrzyły na niego jego własne, szeroko otwarte oczy.

\*

Po wodzie niósł się dudniący hałas. Dochodziła dwudziesta druga. Impreza na bulwarach nad Odrą zaczynała się dopiero rozkręcać. Obdarzona mocnym głosem, nad którym nie do końca potrafiła zapanować, młoda, wyłoniła z telewizyjnego konkursu talentów gwiazdka kończyła właśnie śpiewać

napisany specjalnie dla niej popowy kawałek. Pod tarasami Wałów Chrobrego stopniowo przybywało ludzi. Za chwilę miał się odbyć główny koncert wieczoru. Z okolic Trasy Zamkowej dochodził równomierny, rytmiczny łomot nagłośnienia Wesołego Miasteczka, które tradycyjnie lokowało się u stóp hotelu, nad którego bocznym wejściem umieszczona była znana płaskorzeźba z wizerunkiem żaglowca. Ludzie przelewali się po nabrzeżu w obu kierunkach, czekając na zapowiadane o północy fajerwerki.

Malutka granatowo-biała łódź patrolowa kołysała się na falach niedaleko Nabrzeża Holenderskiego. Dni Morza obserwowane z tej odległości przywodziły na myśl niewielkiego rozmiaru apokalipsę. Młody policjant z Referatu Wodnego stał na szeroko rozstawionych nogach i obserwował przez lornetkę nabrzeże w okolicach Kapitanatu.

– Coś dziwnego się tam dzieje – powiedział.

– Na Wałach? – spytał ze środka malutkiej sterówki jego brodaty kolega.

– Nie na Wałach, na nabrzeżu za Kapitanatem. Coś się tam rusza nad wodą.

Starszy policjant wyszedł na pokład i przyłożył do oczu podaną przez kolegę lornetkę. Na szarej płaszczyźnie nabrzeża odcinała się ciemna plama, która zdawała się falować.

– Hmm... Płyniemy, zobaczymy, co to.

– Jezu, żeby tylko nie topielec, bo będziemy mieć przesrane do rana – jęknął młody policjant.

Łódka warknęła i nieśpiesznie skierowała się ku przeciwległemu brzegowi, zostawiając za sobą kilwater wyżłobiony w ciemnej, brudnej wodzie.

Szary pas nabrzeża, z modernistyczną, oryginalną w latach siedemdziesiątych bryłą Kapitanatu Portu w tle, powoli zbliżał się do łodzi. Młody policjant przyłożył do oczu lornetkę, przez chwilę patrzył bez słowa i w końcu gwizdnął przeciągle.

– Co tam jest? – Brodacz stanął za jego plecami.

– Zobacz sam.

Łódź zbliżyła się już do nabrzeża na tyle, że można było dostrzec gołym okiem jego boczną, wyłaniającą się z wody powierzchnię. Niedaleko miejsca, do którego podpłynęli, znajdowało się zakratowane ujście kanałów. Woda podmywała spód wylotu. Z owalnego otworu, czepiając się stalowych



prętów, wspinając się po nierównościach betonu i przeskakując na odboje z opon, wydostawały się na nabrzeże dziesiątki szczurów. Pod samą kratą, w ciemnej, poprzecinanej świetlistymi refleksami wodzie, pływały pojedyncze sztuki, usiłując dostać się z powrotem dootworu. Te, którym udało się zdobyć betonowy szczyt, otrzepywały futerko i znikwały w ciemnych zakamarkach na nabrzeżu.

\*

Igor zapłacił młodemu chłopakowi w koszulce z logo pizzerii, zamknął drzwi i przekręcił zamek. Trzymając ogromne pudło pizzy gigant, wszedł powoli na górę. Był głodny jak wilk i już nie mógł się doczekać, kiedy zatopi zęby w miękkim cieście. Postawił pizzę na stole kuchennym i wyjął z szafki dwa duże talerze.

Drzwi do pokoju gościnnego otworzyły się gwałtownie i do salonu wpadł na bosaka Johann. Miał na sobie tylko dżinsy, w których gorączkowo zapinał rozporek.

– Jesteś aż tak głodny? – zażartował Igor.

Johann ściągnął z szyi medalion i położył na kuchennym stole.

– Pamiętasz, jak mówiłeś o tych tajemniczych osiach kompozycyjnych Szczecina i egipskich symbolach w układzie cmentarza?

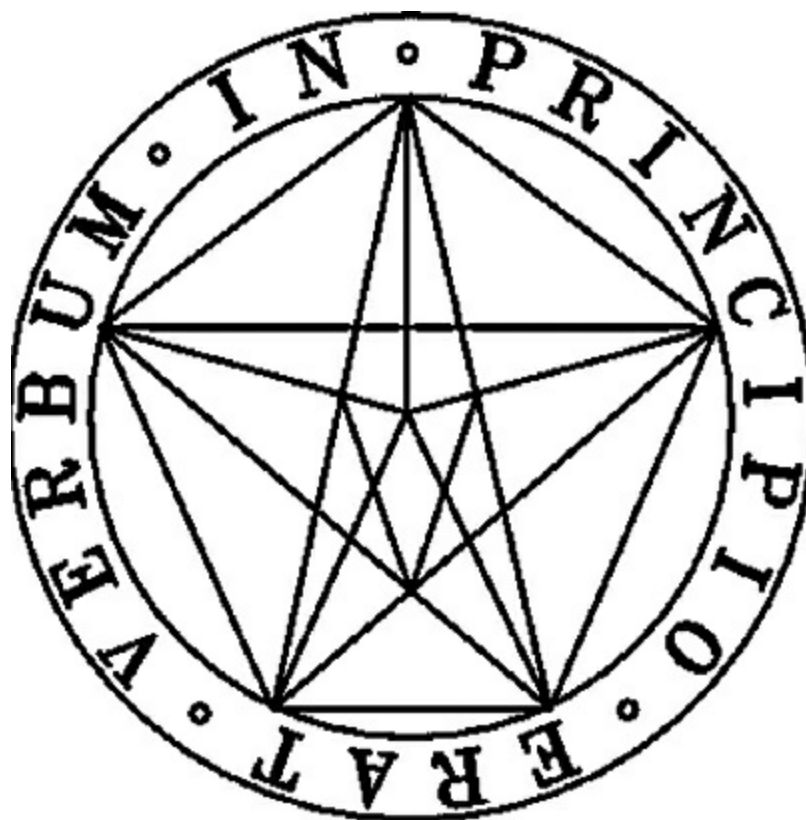
Igor zmarszczył brwi.

– No i?

– Jak się nazywał ten mason, o którym powiedziałeś, że to największy architekt w dziejach Szczecina?

– Wilhelm Meyer. – Igor popatrzył na Johanna, nadal nic nie rozumiejąc.

– Miałem to cały czas przy sobie. – Johann pokręcił z niedowierzaniem głową. – Dziadek, dając mi to, powiedział, że to Klucz Wielkiego Architekta. Myśleliśmy, że chodzi o Wielkiego Architekta Wszechświata!



Przez dłuższą chwilę patrzyli w milczeniu na niewielki złoty krążek...

– Taki sam wisior miał ten stary Niemiec. – Igor odzyskał głos jako pierwszy. – Patrzyłem na niego w tamtym baraku i coś mi świtało, ale najciemniej jest, jak wiadomo, pod latarnią.

– Pamiętam, co mówiłeś o tej sentencji. – Johann spojrzał na niego w napięciu. – *In principio erat Verbum*, czyli *Na początku było Słowo*.

Igor spojrzał na łacińskie zdanie na medalionie. Pierwsze księgi Biblii spisane były po aramejsku i grecku. Wyraz *logos* przetłumaczony został później jako „słowo”, tymczasem w rzeczywistości odnosił się do budowy pierwszej świątyni Salomona i oznaczał myśl, proporcje albo...

– Projekt! – uprzedził go Johann. – Jeśli to oznacza projekt, to w takim razie kluczem jest Projekt Wielkiego Architekta! Masoński majątek ukryty jest w którymś z budynków Meyera! Boże! Mieliśmy to cały czas pod nosem! A właściwie ja miałem!

Wstał i zrobił kilka kroków po pokoju. Igor pomyślał, że jeszcze nie widział go w takim uniesieniu.

– Musimy tylko zgadnąć, o który gmach Meyera chodzi!

Igor pochylił się nad stołem. Jeśli Johann ma rację, to ta grafika musi być jakimś kluczem, jakimś symbolem któregoś ze stworzonych przez Meyera gmachów. Ale którego? Nic nie przychodziło mu do głowy. Pentagram i pięcioramienna gwiazda, typowe elementy symboliki masońskiej. Nic z nich nie wynika.

– No myśl! Jesteś architektem w końcu! – Johann oparł się o blat i wbił wzrok w Igora.

– I co z tego? – Igor wzruszył ramionami i westchnął.

– Pewnie znasz wszystkie zaprojektowane przez niego budynki.

– Nic mi nie przychodzi do głowy. Prawie na wszystkich jego gmachach są jakieś drobne masońskie symbole, ale nigdzie nie ma nic podobnego.

Pokręcił głową, usiłując sobie przypomnieć po kolei detale wszystkich gmachów Meyera.

– Idę po laptopa! – rzucił Johann i skoczył w kierunku pracowni Igora. – Obejrzymy je po kolei.

Igor ściągnął brwi. Pierwszy oczywiście przyszedł mu na myśl gmach Muzeum Narodowego na Wałach, dawne Muzeum Miejskie. Na jego elewacji od strony Odry był bogaty program symboliczny odnoszący się do czterech wielkich epok kulturowych. Cztery medaliony pomiędzy filarami portalu wejściowego, a w nich piramida symbolizująca starożytny Egipt, Partenon przedstawiający Grecję i Rzym, katedra w Kolonii, która reprezentowała gotyk, oraz Bazylika św. Piotra, będąca oczywiście symbolem renesansu. W ostatnich latach, po sensacyjnych odkryciach dotyczących trzech placów uosabiających gwiazdozbiór Oriona, doszukiwano się powiązań między Orionem w układzie miasta a kobiecą postacią i sfinksem, które znalazły się w medalionie na budynku. Kobieta obok piramidy, według tych teorii, miała przedstawiać boginię Izydę, sfinks miał być ziemskim przedstawieniem Oriona. Ponadto Izyda dowodziła związków układu Szczecina z Paryżem, czyli Par Isis, miastem Izydy. Igor uważał to za zbyt daleko posunięte analogie. Żeby nie powiedzieć: brednie.

Gdyby Meyer chciał oddać taką ideę, to uczyniłby to bardziej spektakularnie niż w postaci ukazanego do połowy sfinksa i Izydy w bocznym medalionie na krańcowym filarze portyku. Taka idea wymagałaby oprawy, umieszczenia w bardziej eksponowanym miejscu.

– Wasze szczecińskie National Gallery? Nawet je zwiedziłem. – Johann usiadł obok Igora i otworzył przed sobą laptopa.

– Właśnie o nim myślałem. – Igor podniósł wzrok znad notatnika. – Nie ma tam nic, co przypominałoby chociaż w zarysie ten łamaniec.

– Budynek rektoratu Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego. – Johann odcyfrował polską nazwę instytucji. – Dawny ratusz. To ile tych ratuszy było w Szczecinie?

– Przed wojną to był budynek magistratu, znajdowały się tutaj rozmaite miejskie służby, w tym czasie główną siedzibą władz był Czerwony Ratusz, także dzieło Meyera.

Igor pochylił się nad ekranem. Rektorat PUM-u, ogromny gmach przywodzący na myśl zamczysko na szczycie góry, z wysoką strzelistą wieżą, miał bogatą ornamentykę masońską, symbolicznie jednak związaną głównie z funkcją budynku. Główne wejście flankowane było pilastrami z całą galerią symbolicznych znaków. Ul z wylatującymi pszczołami symbolizował pracowitość, klepsydra była symbolem upływającego czasu, cierpliwości, liście dębu to oznaka cnót rodzących się z siły i potęgi, które uosabiał dąb. Masońska symbolika zaprzęgnięta na potrzeby gloryfikacji miejskich władz.

– Popatrz na gałęzie dookoła tych znaków. – Johann wskazał palcem na wijące się pędy. – To chyba kwitnące róże? Nie sądzisz, że to może być nawiązanie do różokrzyżowców?

Igor wzruszył ramionami. Obserwował otwierane przez Johanna zdjęcia, jednocześnie pogrążając się w myślach.

Meyer był architektem. Co przede wszystkim robi na początku architekt?

– Kościół Świętej Gertrudy na Łasztowni. – Johann otworzył fotografię XIX-wiecznego, neogotyckiego kościoła i pochylił nad nim głowę. – Wygląda jak gotycki.

Jeśli ten medalion miał ukrywać tajemnice jakiegoś budynku, to co byłoby istotne? Myśl jak architekt... Od czego zaczyna architekt? Co było na początku?

Na początku było Słowo...

– Urząd Celny. Piszą, że ma ornamentykę nawiązującą do kupiectwa i handlu.

Na początku był projekt... Plan!

– O czym ty myślisz? W ogóle nie słuchasz! – Johann odwrócił się do Igora.

Igor spojrzał na niego nieobecny wzrokiem.

Plan! Oczywiście! Słowa z Ewangelii św. Jana dotyczyły budowy świątyni Salomona! Na początku był plan! Takie było pierwotne znaczenie słowa *logos* w oryginałach Biblii spisanych po aramejsku i grecku. Plan!

– Rysowanie fundamentów! Stary masoński rytuał! – powiedział, patrząc na Johanna, ale kierując te słowa bardziej do siebie.

– Jakie rysowanie fundamentów? O czym ty mówisz?

Igor potarł czoło, usiłując zatrzymać gonitwę myśli.

– Według jednej z teorii masoneria wywodzi się od średniowiecznych cechów murarskich, które strzegły tajemnic swojej sztuki przed obcymi. Z czasem zyskała bardziej intelektualny wymiar, jej członkami stali się ludzie spoza kręgu muratorów, a wiedza dawnych mularzy, ich kunszt zyskał filozoficzny i symboliczny wymiar. – Igor przerwał i spojrzał na Johanna. –

Jednym z najstarszych rytuałów masońskich jest rysowanie fundamentów, czyli wytyczanie łoży. W przenośnym znaczeniu są to miejsca, w których stają poszczególni członkowie oraz w których ustawiane były różne symboliczne przedmioty. Podczas uroczystości nadawania stopni masońskich, na przykład, w określonych miejscach umieszczano różne symbole odwołujące się do dawnych narzędzi murarskich, a więc kielnię, cyrkiel, węgelnice. Symbolicznie oznaczały one stopień wtajemniczenia. Natomiast u samych podstaw tego rytuału leżało wytyczanie planu budowli przez średniowiecznych murarzy, którzy najczęściej malowali zarys fundamentów kredą lub wbijali paliki w ziemię, tworząc podstawę gmachu. W symbolicznym znaczeniu natomiast rytuał ten odtwarzał proces budowy świątyni Salomona, wytyczanie przedsionka, miejsca świętego i sanktuarium.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – spytał Johann podejrzliwie, patrząc na Igora ze zmarszczonymi brwiami.

– Jestem architektem, czy nie? – Igor rozłożył oparte na stole dłonie.

– Więc ten napis dookoła oznacza nie jakiś symbol tylko... – Johann spojrzał na medalion.

– Plan! Inaczej mówiąc, rzut jakiegoś gmachu.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Który z budynków Meyera jest postawiony na planie pentagonu?

– Żaden. – Igor wzruszył ramionami.

Johann zmarszczył brwi.

Igor w zamyśleniu wbił spojrzenie w stół. Żaden ze znanych mu budynków Meyera nie miał takiego planu. Geometria oparta na pięcioboku, pentagram, to były silne, wyraziste symbole, które rzutowałyby w sposób dominujący na architekturę. Żaden z wielkich publicznych gmachów nie miał tak skomplikowanej bryły. Większość stała w tkance miejskiej, ograniczona liniami ulic i kwartałów.

A Hotel Park? To też projekt Meyera! Przez chwilę analizował w pamięci rozkład budynku, ale hotel nawiązywał wyłącznie do stylistyki dworu pomorskiego, nie było tam miejsca na takie geometryczne fantazje.

– W Czerwonym Ratuszu był gabinet Hakena. – Igor powiedział w zamyśleniu, pocierając brodę. – Poza tym po wojnie, według niektórych źródeł budynek został spalony przez Werwolf, żeby w ręce Polaków i Rosjan nie dostały się różne dokumenty i akta. Najbardziej by pasował. W dodatku jest tam odgruzowane niedawno wejście do podziemi, które najprawdopodobniej łączyło się z dawnymi podziemiami fortecznymi.

– Ale to prostokąt w rzucie. – Johann wpatrzył się w ekran, na którym widać było wielki, najeżony wieżyczkami i sterczynami dachowymi neogotycki gmach z czerwonej cegły, od której wziął swoją powojenną nazwę.

– Z wewnętrznym dziedzińcem. – Igor pokiwał głową, usiłując wydobyć z pamięci układ budynku. – Reprezentacyjny hall założony jest na czworoboku. Wszędzie, niestety, same kąty proste.

– A siedziba łoży na Wałach Chrobrego? – Johann spojrzał na Igora z nadzieją.

– Dzisiaj budynek Teatru Polskiego. – Igor pokręcił głową. – Nie projektował go Meyer.

Siedziba łoży przy dawnej ulicy Logengarten 5, a dzisiaj Swarożyca, była sporym modernistycznym budynkiem, który w 1920 roku zastąpił mały drewniany dworek, będący pierwotnie siedzibą łoży Pod Trzema Cyrklami. W latach trzydziestych przejęli go naziści i dostosowali do swoich potrzeb.

Mieszkał tuż obok od kilku lat. Codziennie przejeżdżał wzdłuż muru oporowego dawnych ogrodów łoży. Loża stała na wysokim wzniesieniu nad Odrą, skąd niegdyś był zapierający dech w piersiach widok na okolicę, a przede wszystkim na port i dorzecze Odry. W ogrodach łoży odbywały się regularne dobroczynne rauty. Zapewne stałym ich bywalcem był wtedy Meyer, który przechadzał się po ścieżkach nad skarpą, patrząc stamtąd na gargantuiczne umocnienia fortu Leopolda, a dalej na wieże zamku i szczecińskich kościołów. Igor przypomniał sobie nagle o odkryciu sprzed kilku lat. Biegająca pod skarpą ulica zapadła się pod ciężarem zaparkowanej ciężarówki, odsłaniając podziemny korytarz o drewnianej konstrukcji, który przebiegał przez jezdnię od strony Kapitanatu Portu i wbijał się w skarpe dawnej łoży. Oczywiście służby miejskie go zasypały, chcąc jak najszybciej przywrócić ulicę do ruchu i pozbyć się problemu. W związku z tym ani dokąd, ani skąd się ciągnął, do dziś nie było wiadomo. Może to jakaś pozostałość po koszarach pod fortem Leopolda? Oględziny wykazały jedynie, że korytarz łączył się dalej z żelbetowymi podziemiami z czasów już nazistowskich, które biegły w kierunku Kapitanatu.

Drgnął, powoli odwrócił głowę do Johanna i zamarł.

– Co się stało? – Johann spojrzał na niego z niepokojem.

– Pomnik Wiktora! – wydukał Igor, patrząc niewidzącym wzrokiem gdzieś poza Johanna. Ostatnia podpowiedź z listu Barnima von Ramina!

*Chciałbym znowu pójść do naszej świątyni,  
obok starych koszar, pod posągami Victora.*

Igor gwałtownie sięgnął po laptopa. Otworzył program graficzny i szybko narysował na ekranie symbol z medalionu.

– Co robisz? O co chodzi? – Zdezorientowany Johann patrzył to na monitor, to na skupionego Igora, który wyciął właśnie w programie graficznym fragment mapy Szczecina i wkleił na osobny rysunek. Skopiował symbol i ustawiając komendę przezroczystości, wkleił go na wycinek mapy miasta. Zmienił skalę, dopasowując do wielkości mapy, i spojrzał na Johanna.

– Popatrz!

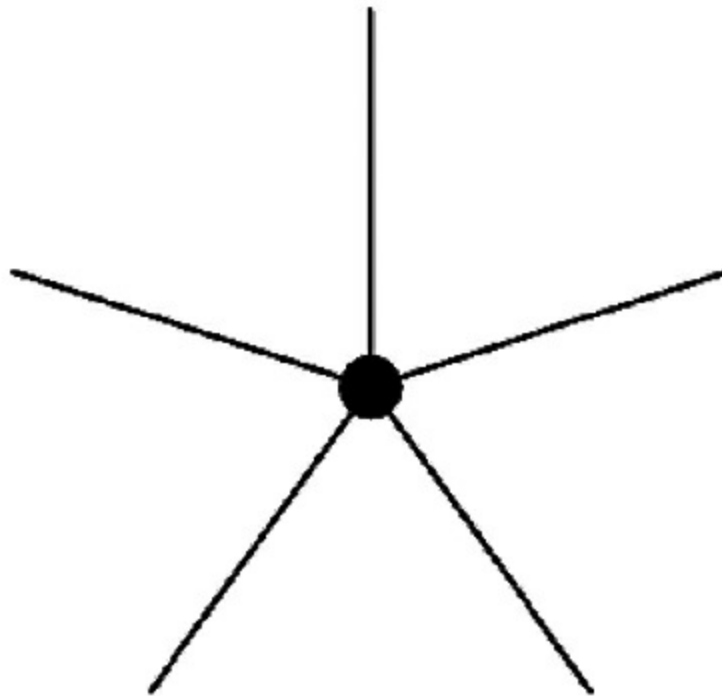
Johann pochylił się nad ekranem i otworzył usta.

– Grafika tego medalionu to oprócz pentagramu i pięcioramiennej gwiazdy także mała literka ukryta pomiędzy liniami.

– To litera V. – Johann się uśmiechnął i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Dokładnie. V jak *Victor*! Zwycięzca!

Igor skopiował fragment rysunku i wkleił obok. Na ekranie ukazał się symbol złożony z pięciu łączących się w jednym punkcie linii.



– I jeszcze jeden symbol z twojego medalionu, à propos zamięłowania Hakena i Meyera do egipskiej symboliki. – Igor spojrzał na Johanna.

– Co to jest? – Johann zmarszczył brwi.

– Egipski symbol oznaczający świat podziemny.

\*

Światła niebieskiej octavii przesunęły się powoli po gąszczu zieleni. Samochód, kołysząc się lekko na nierównościach, przejechał wolniutko leśną drogą i zatrzymał się przed bramą ze stalowej siatki. Za ogrodzeniem było całkiem ciemno.

– To tutaj? Tu ma być niby ten zrujnowany dwór? – Siedzący za



kierownicą mężczyzna w szarej koszulce wyjrzał na zewnątrz przez otwarte okno.

– Taa... – mruknął Pilecki i odpiął pas. – Trudno, trzeba się rozejrzeć.

– Dobrze, że już przynajmniej nie pada. – Policjant w koszulce polo wyjął kluczyki i wysiadł z samochodu za Pileckim.

Na bramie wisiał łańcuch spięty wielką kłódką. Kilkanaście metrów od ogrodzenia stały dwa pogrążone w mroku kontenery. Pilecki szarpnął bramę. Poświecił latarką w głąb posesji.

– Nie miałem pojęcia, że tu jest jakiś dwór. – Jego kolega pokręcił głową.

– Tu jest jakaś informacja. – Pilecki podszedł do ogrodzenia i oświetlił latarką białą tablicę: TEREN PRYWATNY. PRACE RENOWACYJNE PRZY ODSŁANIANIU FUNDAMENTÓW DWORU – przeczytał głośno. – Jest podany jakiś numer telefonu.

– Wchodzimy?

Pilecki spojrzał na kolegę i zagryzł wargi. Nie mieli oczywiście prawa, ale w końcu prowadzą przecież śledztwo w sprawie morderstwa, możliwe nawet, że dwóch. Kiwnął głową. Po chwili obaj przeskoczyli przez siatkę, wybierając miejsce przy drzewie, o które częściowo się opierała. Zrobili kilka kroków i stanęli przed kontenerami.

– Miło tu raczej nie jest. – Policjant w szarej koszulce wzdrygnął się.

Ciemność zdawała się czatować pomiędzy drzewami, czekając tylko, aż ich latarki przestaną działać. Pilecki oświetlił kontener. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Teren prac budowlanych. Ogrodzony, właściwie zabezpieczony, z tablicą informacyjną w odpowiednim miejscu. Dziwne tylko, że nie ma nikogo pilnującego. Pierwszy kontener był zamknięty. Pilecki zmarszczył brwi i poświecił latarką w kierunku drugiego. Coś wydawało się nie tak z drzwiami. Podszedł bliżej.

Zamek był wyłamany, a drzwi przymknięte za pomocą drutu.

Spojrzał na kolegę. Sięgnął do kieszeni i wyjął rękawiczki. Rozplątał delikatnie drut i pchnął drzwi. Otworzyły się do środka, odsłaniając ciemne wnętrze. Wewnątrz leżały przewrócone dwa krzesła. Trzecie stało w narożniku kontenera.

– Zwyczajny barak dla budowlańców. Pewnie sami zamek rozwalili. – Policjant w polo zajrzał do środka przez ramię Pileckiego.

– A to co? – Pilecki skierował latarkę na podłogę. Obok przewróconego plastikowego krzesła widoczna była mała okrągła dziura.

Popatrzyli na siebie, po czym Pilecki wszedł do baraku i ukucnął. Przejechał po malutkim otworku palcem i zbliżył go do nosa. Podniósł brwi.

– Nie mów, że to proch?

– Na to wygląda – westchnął Pilecki.

\*

– I wymyśliliście to wszystko, siedząc w kuchni i jedząc pizzę? – spytała Paulina, nie odrywając wzroku od posągu, wokół którego kłębił się tłum ludzi.

Stali u stóp jednego z najbardziej rozpoznawalnych gmachów w mieście. Monumentalna fasada wznosiła się za ich plecami, a przed nimi, na wysokim cokole, stał posąg Zwycięzcy. Dni Morza wyciągnęły z domów i klubów setki ludzi, którzy przelewali się teraz wzdłuż ulicy, omijając ich z niezadowoleniem, niczym wzburzone fale małą wysepkę.

– Mniej więcej – mruknął Johann.

– Nawet jeśli rzeczywiście wejście do tajnej świątyni masońskiej ukryte jest pod tym pomnikiem, to przecież go nie ruszymy. – Paulina spojrzała na Igora. – Nie masz chyba zamiaru przeciągać go na holu swoim samochodem?

– Nie będzie takiej potrzeby. – Igor poprawił plecak na ramieniu. – Jeśli mam rację, to wejście pod pomnik prowadzi z pomieszczeń technicznych.

– Które są zapewne teraz zamknięte. – Paulina spojrzała na Johanna, szukając sprzymierzeńca. – Chcecie się tam włamać? Znowu? I dlaczego dziś? Przecież tu się szwenda akurat z milion wstawionych ludzi.

– To jest nam akurat na rękę. – Johann rozejrzał się wokół siebie. – Poza tym ta banda degeneratów z lasu raczej nie podejrzewa, że będziemy się dzisiaj gdzieś jeszcze włamywać.

– Włamywać? Jezu, ja zażartowałam! – Paulina popatrzyła z niedowierzaniem na Igora. – To dlatego powiedziałaś, żebym się odziała w jakieś robocze ubranie, wskutek czego wyglądam teraz jak kretynka?

Igor obrzucił taksującym spojrzeniem krótką dzinsową kurteczkę i obcisłe czarne dzinsy.

– Nie powiedziałbym, że wyglądasz jakoś wyjątkowo źle.

– Dzięki! – syknęła Paulina z przekąsem. – Mam rozumieć, że na co dzień wyglądam tylko zwyczajnie źle?

– Nic takiego nie powiedziałem! – Igor spojrział na nią z wyrzutem.

– Gdzie jest to wejście do pomieszczeń technicznych? – Johann obrócił się i spojrział w kierunku wejścia do budynku.

– Na dole. – Igor skinął głową w kierunku schodów, po których płynęła fala kolorowo ubranych, przeważnie młodych ludzi.

Zaczęli przebijać się przez tłum w kierunku zejścia na dolny poziom.

– A te pomieszczenia nie są przypadkiem jakoś wykorzystywane podczas takich imprez? – spytała Paulina, patrząc na plecy Igora, który szedł przodem.

– Stoi tam samochód obsługi, możliwe, że ktoś się będzie pętał. – Igor obejrzał się za siebie. – Poradzimy sobie.

– Skąd wiesz o tym przejściu pod pomnik?

– Robiłem jakiś projekt z tym związany. To pomieszczenie techniczne zajmuje tylko część powierzchni pod schodami. Jest tam przejście do pozostałej, niewykorzystywanej przestrzeni.

Droga w dół trwała dobrych kilka minut. Musieli się dostosować do płynącego po schodach w obu kierunkach tłumy ludzi. Gdy stanęli na dole, akurat ryknęły głośniki. Rozpoczął się występ kolejnego wykonawcy wieczornego koncertu.

Stalowe drzwi wmontowane były w sklepiony półkolisty portal, nad którym wykrzywiały się cztery pocieszne kamienne maszkarony. Przy krawężniku, tuż obok wejścia, stał samochód służb technicznych. Stalowe drzwi były uchylone.

– Cholera! – zaklął Igor i spojrział z wyrzutem na Paulinę. – Wykrakałaś!

Paulina wzruszyła ramionami.

Stanęli pod kamienną ścianą, udając zainteresowanych stojącym nieopodal barakiem, w którym sprzedawano piwo i szaszłyki. Grupa młodych rozbawionych chłopaków przeszła obok nich, obrzucając zainteresowanym spojrzeniem obcisłe spodnie Pauliny.

– Uwaga! – syknął Johann.

Stalowe drzwi otworzyły się na oścież i ze środka wyszedł mężczyzna w kombinezonie nałożonym na białą koszulkę z krótkimi rękawami. Przymknął drzwi i podszedł do samochodu. Przez chwilę grzebał w szoferce, po czym rzucił niezdecydowane spojrzenie w kierunku baraku z szaszłykami. Po chwili zamknął samochód i ruszył w kierunku kolejki stojącej przy stole, za którym skwierczały na różnie zarumienione plasterki wieprzowiny poprządkanej cebulą.

– Teraz! – burknął Igor i ruszył w kierunku drzwi.

Paulina, oglądając się nerwowo za pracownikiem służb miejskich, podążyła za nim. Szybko wślizgnęli się do środka i przymknęli za sobą drzwi. Otoczył ich mrok małego ciemnego korytarzyka, po którego obu stronach znajdowały się pomieszczenia z transformatorami.

\*

Markus w głęboko nasuniętej na czoło czapce z daszkiem rozglądał się nerwowo wśród tłumu. Ludzka rzeka przelewała się brukowaną uliczką między ustawionymi wzdłuż krawężnika straganami pełnymi pamiątek, cukierków, chleba ze smalcem i oczywiście piwa podawanego w jednorazowych kubkach, których sterty zaścielały już chodniki wokół koszy na śmieci. Jeszcze przed chwilą, kilkadziesiąt metrów przed sobą, widział ciemne włosy tego Polaka. Starał się nie spuszczać ich z oczu, ale właśnie gdzieś zniknęli. Trzymając się w bezpiecznej odległości, schodził za nimi po schodach, tymczasem na dole nagle przepadli.

Szef go zabije. Po raz drugi pozwolił im się wymknąć. Gdzie oni, do cholery, mogli poleźć? Może są przy którymś z tych baraków z kiełbasą i szaszłykami?

Ruszył szybkim krokiem wzdłuż rzędu straganów, wypatrując znanych sylwetek. Poczul, że jest głodny, od śniadania nie miał okazji zjeść niczego porządnego. Nie ma ich! Trudno. Musi zadzwonić do Hansa. Pewnie więcej nie dostanie od niego żadnej roboty! A niech to! Miał ochotę zabić tych Polaków i tego pieprzonego Angola.

\*

Po prawej stronie korytarza, w niewielkim pomieszczeniu, w którym stały

stalowe szafy rozdzielnic elektrycznych, paliło się światło. Na wprost było przejście prowadzące do kolejnych pomieszczeń.

– Idziemy! – rzucił Igor. Przeszli przez kolejne wnętrza, po czym skręcili w lewo i minęli następne dwa ciemne pokoiki. Na końcu drugiego znajdowały się stalowe drzwi.

Igor wyjął latarkę. W pomieszczeniu nie było całkiem ciemno, wpadała tutaj przez małe okienko w ścianie zewnętrznej poświata palących się na zewnątrz latarni. Johann sięgnął do plecaka i wyciągnął cienki drucik.

– Te włamania wychodzą nam coraz bardziej profesjonalnie – szepnęła Paulina sarkastycznie.

– Nie chwał dnia przed zachodem słońca – syknął Johann i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym pomrukiem.

Igor zapalił reflektor i weszli do kolejnego wnętrza, które zdecydowanie różniło się od pomieszczeń zajmowanych przez stację transformatorową. Jakies trzy metry nad ich głowami biegły potężne żelbetowe belki podtrzymujące strop. Ściany wykonane były z surowej czerwonej cegły, w której miejscami tkwiły szare pilastry żelbetowej konstrukcji nośnej. Po prawej stronie znajdował się, wyniesiony o jakiś metr ponad posadzkę, obrzeżony betonową cembrowiną basen. Wypełniony był po brzegi wodą. Za nim majaczyło wejście do dalszej części podziemi.

– Musimy przejść po obmurowaniu basenu. – Igor wskazał ręką narożnik pomieszczenia.

– Tu jest głęboko? – Paulina pochyliła się nad brzegiem zbiornika.

– Nie. – Igor oświetlił latarką obrzeże basenu. – Tyle ile widać od posadzki. Nawet jak spadniesz, nie utoniesz.

– Nie planuję raczej. – Paulina wspięła się za Johannem na betonową nieckę i trzymając się ściany, powoli przesunęła się w głąb pomieszczenia. Kilka metrów dalej ściana odchodziła w prawo. Igor zeskoczył na ziemię i oświetlił kolejne wnętrza.

– Do czego właściwie służy ten basen? – spytała Paulina.

– Jakiś zbiornik wyrównawczy od instalacji deszczowej. – Igor wzruszył ramionami i ominąwszy żelbetowy filar, podtrzymujący łukowe nadproże, wszedł do pomieszczenia przypominającego otwartą do wnętrza kościoła kaplicę.

– Co to w ogóle jest? Gdzie my jesteśmy? – Paulina weszła za Igorem i zadarła głowę. „Kaplica” założona była na rzucie trapezu, z szerszą ścianą wejściową i biegnącą po lekkim łuku ścianą przeciwną. Nakryta ceglanym sklepieniem, które wznosiło się jakieś siedem metrów nad ich głowami.

– Czy to są jakieś fundamenty? – Johann z zadartą głową obrócił się dookoła własnej osi, oświetlając zwieńczenia ceglanych ścian.

– Ta wnęka stanowi część potężnej konstrukcji rozporowej. – Igor uśmiechnął się, patrząc z podziwem na ceglane sklepienia. – Pełni podobną funkcję jak przypory w gotyckich katedrach. Ściany boczne i sklepienia tej wnęki zabezpieczają ścianę oporową przed zawaleniem. Wieniec piętnastu takich wnęk okala całe półkole tarasu.

– Tarasu? – Paulina ze zdziwieniem spojrzała na Igora.

– No właśnie. – Igor pokiwał głową. – Jesteśmy pod tarasem Wałów Chrobrego.

## Rozdział 40

Paulina podniosła głowę i oświetliła ceglana ścianę. Snop jasnego światła reflektora przesuwiał się po czerwonej powierzchni, wydobywając dziury w spoinach i poszczerbioną fakturę ceramicznego materiału.

– Jeśli tajna loża znajduje się za tą ścianą, pod pomnikiem, to gdzie jest wejście? – Spojrzała na Igora.

Ten wzruszył ramionami. Symbole na medalionie były wymowne, ale należało jeszcze znaleźć sposób dostania się do środka podziemi pod tarasem. Możliwe, że wejście zostało dawno zamurowane albo zasypane podczas prac renowacyjnych po wojnie. Wyszedł na zewnątrz „kaplicy” i stanął przy obrzeżu basenu. Skierował reflektor w kierunku ścian, które wydzielały pomieszczenia transformatora. Zostały wbudowane niejako do wnętrza przestrzeni utworzonej pod potężnymi schodami, prowadzącymi na główny taras Wałów Chrobrego. Pomędzy betonowym słupem podtrzymującym strop a ścianą transformatorowni była szpara.

Johann, który wyszedł za Igorem, spojrzał w tamtym kierunku z zainteresowaniem.

– Dokąd to prowadzi?

– Do kolejnych wnęk, jak ta tutaj. – Igor wskazał brodą wysoką na siedem metrów „kaplicę”.

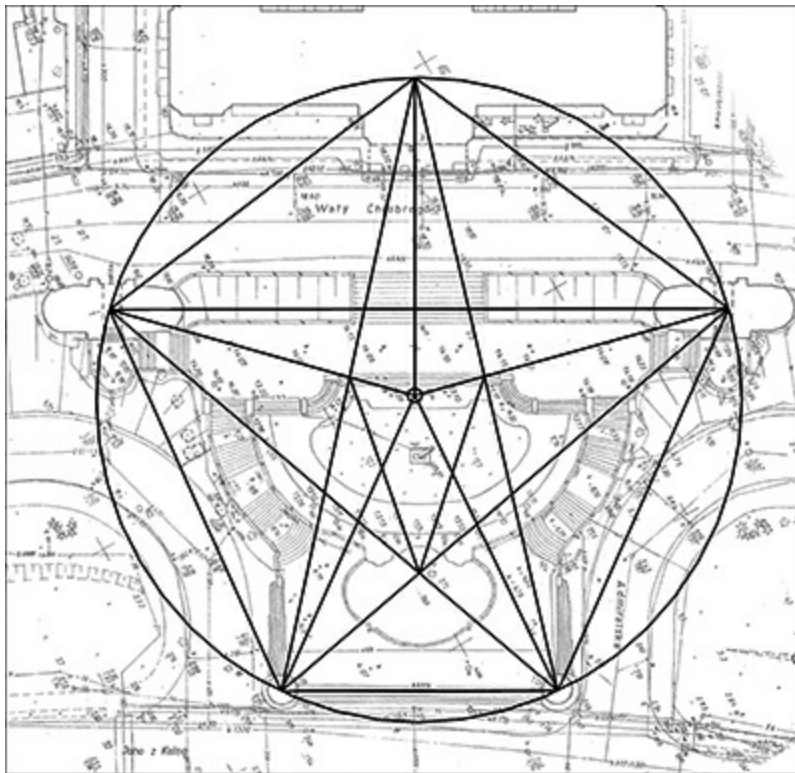
Od tej strony tarasu był dostęp do trzech wielkich wnęk. Do kilku następnych można było przecisnąć się kolejnymi szparami za basenem, ale to tylko połowa z wszystkich piętnastu. Żeby dostać się do pozostałych, trzeba by znaleźć wejście od drugiej strony tarasu, gdzie pod symetrycznymi schodami ulokowano miejskie szalety. Ale gdzie było wejście do centrum podziemi tarasu? O ile było.

Johann wsadził rękę w szczelinę i powoli, schylając głowę, przecisnął się na drugą stronę. Po chwili z wąskiego otworu widać było jedynie błyski światła reflektora, którym omiatał ściany kolejnej wnęki.

Paulina podeszła do Igora i usiadła na skraju betonowego obrzeża zbiornika.

– Pokaż mi jeszcze raz te plany podziemi pod tarasem.

Igor usiadł obok niej i sięgnął do kieszeni plecaka. Po chwili pochylił się nad ekranem tabletu, na którym widniał rysunek przedstawiający plan Wałów Chrobrego z nałożonym na nie symbolem z medalionu Johanna.



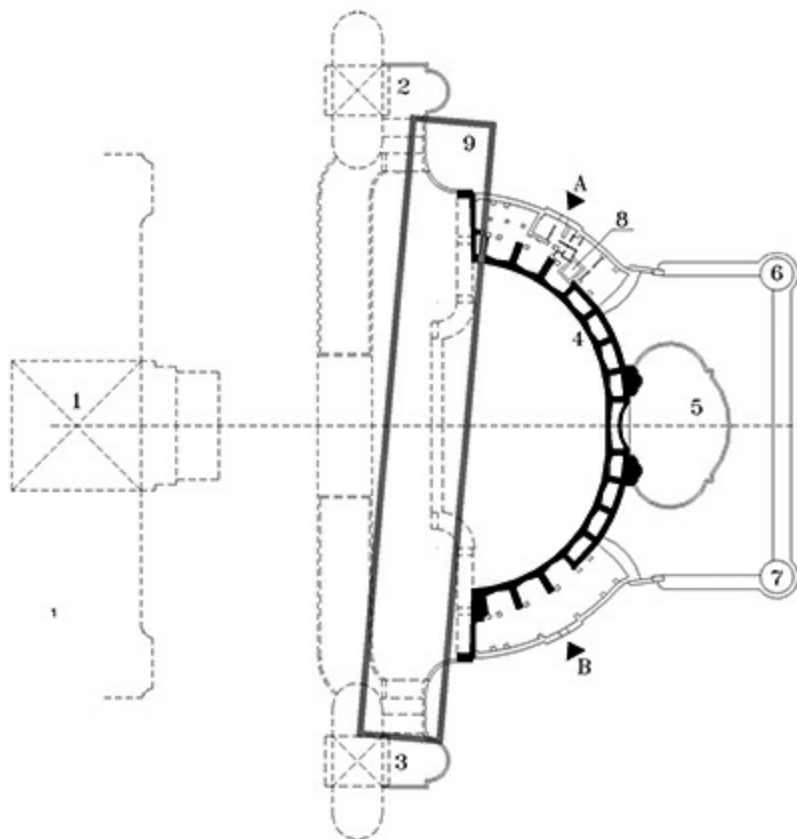
Główny kształt medalionu wyznaczały wieże zespołu tarasowego Wałów Chrobrego oraz główna wieża nad gmachem muzeum. Ich usytuowanie tworzyło pentagram, w który wrysowana była pięcioramienna gwiazda oraz egipski symbol świata podziemnego.

– Jeżeli wejście jest dokładnie w miejscu tego symbolu – Paulina pokazała palcem środek pentagramu – to musi być jakiś korytarz, którym można się tam dostać.

– Tyle to i ja wiem – mruknął Igor, wpatrzony w ekran tabletu. – Boję się, że został po prostu zasypany, tak jak wszystkie odkrywane w tym mieście korytarze i przejścia podziemne.

Dotknął ekranu, otwierając kolejny rysunek.





Plan tarasów Wałów Chrobrego: 1. Gmach Muzeum Narodowego, 2. Pawilon północny, 3. Pawilon południowy, 4. Wieniec „kaplic” wspierających ścianę oporową tarasu, 5. Fontanna, 6. Latarnia północna, 7. Latarnia południowa, 8. Basen, 9. Budynek koszar, który stał u podłoża fortu Leopolda, A. Wejście do transformatorowni, B. Szalety.

– Jesteśmy tutaj. – Wskazał niewielki czworobok na planie. – To ten basen.

– Ten długi prostokąt to dawne koszary? – Paulina ściągnęła usta. – To o tych starych koszarach pisał Barnim von Ramin. Rozebrali je pewnie podczas budowy tarasów.

– Prawie. – Igor zmarszczył brwi. Coś przyszło mu do głowy.

– Jak to prawie?

– Zostawili fragmenty ścian piwnic i parteru. Były potężne, a grube na kilka warstw cegły zapewniały dodatkowe usztywnienie powstających ścian oporowych tarasów.

– Czyli te ściany są wewnątrz Wałów? – zapytała Paulina ze zdziwieniem.

Igor spojrział na nią rozkojarzonym wzrokiem. Jeśli Meyer chciał skonstruować korytarz, który miał prowadzić do centrum wielkiego tarasu, to przecież najprościej byłoby do jego budowy wykorzystać te właśnie ściany.

– Chodźcie tutaj! – Ze szpary pomiędzy ścianami doszedł podniecony głos Johanna. – Znalazłem coś!

\*

– Heinrich von Parsov sponsorował kilka operacji Detlov Exploration BV.  
– Pilecki dyskretnie ziewnął. Jego dyżur skończył się dwie godziny temu, ale szef, który miał dzisiaj wolne, zwałił mu się na głowę. Pewnie nieźle go cisną w sprawie tego morderstwa na zamku.

– Zdaje się, że są dobrymi znajomymi – dodał, patrząc w papiery, które dopiero co przyszły faksem.

Bondar podrapał się po nieogolonym policzku.

– Samochód tego Josta stał pod hotelem tamtej nocy, kiedy zginął stróż. Stał także na lotnisku, gdy Fleming wrócił z Londynu. Parsov jest właścicielem wsi, która przed wojną należała do Barnima von Ramina, czyli nieboszczyka z podziemi. No, i do tego wiadomość od Markusa Blaschke, który przysłał fotografię starej mapy z informacją, że została wykradziona z sarkofagu przez właściciela Parsov Park.

– To ostatnie to chyba jakaś paranoja – mruknął Pilecki.

– Może to jego zabili w tym baraku? – Bondar ściągnął usta. – Zdążył wysłać wiadomość.

– Po polsku? – Pilecki zrobił zdziwioną minę. – Na pana prywatny numer?

– No tak... – Bondar usiadł przy swoim biurku. Faktycznie palnął bzdurę. Kto miał jego numer telefonu? Komu go dawał?

Spojrzał na Pileckiego i zmarszczył brwi.

– Jediną osobą w tym towarzystwie, która miała mój numer, był Fleming.

– Ani Fleming, ani ta dziennikarka nie odbierają telefonów. Od kilku godzin ich numery są poza zasięgiem lub wyłączone.

Bondar postukał palcami w blat.

\*

Stali wewnątrz ostatniej z wnęk i w milczeniu przypatrywali się malutkiemu symbolowi wyrytemu na jednej z cegieł, na wysokości około

dwóch metrów nad ziemią.

– Znowu ten egipski znak – odezwała się Paulina, nie odrywając oczu od ceglanej ściany.

– Za regularny jak na przypadek – mruknął Igor. Patrzył w zamyśleniu na mały znaczek. Ramin napisał ...*pójść do naszej świątyni, obok starych koszar...* Wejście tutaj byłoby z tym zgodne. Korytarz ciągnąłby się dokładnie wzdłuż ściany dawnego budynku.

– Może trzeba coś nacisnąć. – Paulina przesunęła wzrokiem po ścianie wokół symbolu.

Johann położył rękę na cegle z wygrawerowanym znakiem i przycisnął. Nic się nie stało. Igor położył swój plecak na posadzce i ukucnął.

– Co ty tam w ogóle masz? – zainteresowała się Paulina.

– Baterie do reflektorów na przykład. – Igor wygrzebał z plecaka spory łom i zademonstrował go Paulinie. – I to!

Podniósł się i postukał ostrożnie w ścianę. Wydała dźwięczny odgłos. Przesunął się w kierunku narożnika wnęki i postukał ponownie. Tym razem dźwięk był głuchy, stłamszony przez grubość muru.

– Za ścianą jest pusto. – Johann pomacał cegły. – Więc jednak jest jakieś przejście.

– Co robimy? – Paulina spojrzała na nich niepewnie.

– Rozwalamy! – Johann wzruszył ramionami.

– Super! Do włamania, fałszowania dokumentów i bezczeszczenia historycznych miejsc pochówków dojdzie jeszcze dewastacja zabytku.

– Kilka godzin temu upierałaś się, że to nie było miejsce pochówku – mruknął Igor, dotykając ściany pod egipskim symbolem.

Paulina pokręciła głową i przewróciła oczami.

Igor odsunął się na krok od ściany i uderzył tępo zakończonym końcem łomu w spoiny między cegłami. Wykruszone spoiny momentalnie wyleciały, a dwie cegły wsunęły się w ścianę na połowę swojej grubości. Walnął łomem jeszcze kilka razy. Parę cegieł z głuchym łoskotem wleciało do środka pomieszczenia za ścianą.

Johann pochylił się i skierował do wnętrza reflektor. Wąski korytarz, przykryty ceglanym sklepieniem, schodził łagodnie w dół. Mógł mieć ze dwa

metry szerokości.

Igor wyłamał jeszcze fragment ściany, po czym zajrzał do wnętrza.

– Wchodzimy? – spytał, spoglądając na Paulinę i Johanna.

– Jasne! – Johann poświecił do środka i ostrożnie przełożył nogę przez wykuty w ścianie otwór.

– No i teraz okaże się, że te twoje obcisłe dzinsy to nie był najlepszy wybór. – Igor pokiwał głową. – Powiększę otwór – mruknął.

– Są ze stretchem! – Paulina przełożyła nogę przez ścianę. – Nie mam aż tak wielkiego tyłka, żeby się nie zmieściła w tym, co jest.

– Nic takiego nie powiedziałem – zaprotestował Igor, chowając łom do plecaka.

Korytarz na odcinku pierwszych kilku metrów opadał w dół. Powoli schodzili po warstwie ziemi i gruzu, gdy pod ich nogami niespodziewanie pojawił się bruk.

– Kocie łby? – Paulina spojrzała pod nogi.

Igor oświetlił reflektorem ścianę, którą mieli po prawej stronie. W starym, pokrytym miejscami poszczerbionym tynkiem murze widać było duże prostokątne otwory, wypełnione cegłą.

– Zobaczcie – Igor podniósł głowę. – To jest ta stara, zachowana ściana koszar. Są nawet zamurowane okna. A to jest po prostu dawny chodnik przed budynkiem.

Stara murowana ściana „utopiona” była w nowej konstrukcji żelbetowej, na której opierało się ceglane sklepienie.

– Tam jest otwór! – Johann, który szedł przodem, odwrócił się do nich, wskazując reflektorem widoczną parę metrów przed nimi wyrwę.

Wyrwa miała szerokość ponad trzech metrów. Z dwóch jej stron, przy ścianie, wmurowane były dwa obłe granitowe kamienie. Wzdłuż brzegów otworu zachowały się resztki tynku i skromnych sztukateryjnych profilowań.

– To jest dawna brama wejściowa do koszar! – Igor spojrzał zafascynowanym wzrokiem na fragment niknącego w ceglany stropie portalu. – Musiała być dużo wyższa. Zachowały się nawet kamienne odboje. – Wskazał ręką na granitowe kamulce.

Johann skierował snop światła do wnętrza bramy. Ukazał się korytarz

prowadzący w głąb zniszczonego budynku. Wąskie przejście, wytyczone nowymi ścianami w ruinie starego gmachu, łączyło się dalej z ceglana potężną ścianą, za którą biegł szeroki korytarz, nakryty ceglanym sklepieniem.

– Wiecie, co to jest? – Zafascynowany Igor zrobił krok do wnętrza. Pamiętał ze starych archiwalnych zdjęć, że budynek koszar stał u stóp samego fortu, praktycznie tylną ścianą przylegał do wału. Wewnątrz fortu było szereg budynków użytkowych, prochownie, strzelnice, magazyny, budynki oficjalne. Żołnierze z wielkiego koszarowca musieli mieć szybki dostęp do wnętrza fortu. I oto właśnie je widzieli. Środek budynku był połączony podziemnym tunelem, który wbijał się w wały i prawdopodobnie wychodził gdzieś wewnątrz fortu. Genialny pomysł Hakena i Meyera polegał właśnie na tym, żeby nie burzyć całej tej gigantycznej infrastruktury, tylko zasypać ją, a na jej szczycie postawić nową dzielnicę.

– Pod Wałami zachował się, jak widać, system korytarzy fortecznych z czasów twierdzy. – Poświecił latarką w głąb tunelu. Kilka metrów dalej korytarz był jednak zamknięty potężną betonową ścianą.

– No i cześć! – powiedziała głośno Paulina, podchodząc do Igora i oświetlając niespodziewaną, szaroburą przeszkodę.

– Niemcy to zamurowali? – Johann postukał zaciśniętą pięścią w beton.

– Wątpię. – Igor pokręcił głową. – Raczej Polacy albo Rosjanie.

\*

Pilecki sięgnął po komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Laboratorium.

Przez chwilę słuchał bez słowa, po czym zamknął telefon i włożył do kieszeni marynarki.

– W tej przyczepie były odciski palców Fleminga. Na oparciu krzesła i na siedzeniu z tyłu. Tylko te zdołali sprawdzić, bo odciski palców Fleminga mieli pod ręką. – Pilecki spojrzał na Bondara. – Założę się, że pozostałe należą do Weber i tego Anglika.

Bondar pokiwał głową.

– Pytanie, czy znaleźli się tam z własnej woli.

– I jak to się stało, że Fleming wysłał esemesa z numeru Blaschkego?

– Nie zdołali gwizdnąć mapy z hotelu, więc najpierw włamali się do Fleminga, ale niczego nie znaleźli. Potem próbowali do Weber, a w końcu ukradli ją z zamku. – Bondar wyciągnął nogi i założył ręce za głowę.

– Może Fleming z Angolem i laską chcieli odzyskać skradzioną mapę i włamali się do baraku w lesie, wysłali jakoś tego esemesa, a potem tamci ich nakryli?

– Brzmi beznadziejnie – westchnął Bondar. – Tak czy siak, przekaz do wszystkich patroli, że mają wypatrywać czarnego bmw i tych typów. W razie czego śledzić, nie zatrzymywać!

\*

W 1941 roku RAF Bomber Command, brytyjskie dowództwo, któremu podlegały dywizjony bombowe Wielkiej Brytanii, podjęło decyzję o dywanowym bombardowaniu dużych miast niemieckich. Plan RAF-u polegał na atakowaniu dywizjami, przekraczającymi każdorazowo nawet po sto samolotów, co zdaniem marszałka lotnictwa brytyjskiego Charlesa Portala miało złamać morale Niemców w ciągu kilku miesięcy. Plan nie powiódł się z prozaicznego powodu. Przemysł brytyjski nie był w stanie dostarczyć w tak krótkim czasie potrzebnej liczby bombowców.

Ubocznym efektem brytyjskiego planu była ze strony Niemców nowa strategia obrony, polegająca na budowie systemu schronów pod ważnymi ośrodkami wojskowymi, przemysłowymi i pod wielkimi niemieckimi miastami. Kiedy więc w kwietniu 1943 roku na Szczecin spadły pierwsze bomby, pod miastem były już wielokilometrowej długości schrony, służące obronie cywilnej oraz komunikacji pomiędzy ważnymi punktami miasta. W dzisiejszym Czerwonym Ratuszu, gdzie wówczas rezydowały główne władze miejskie, założony został Urząd do spraw Robót Podziemnych, w którego archiwach zgromadzono setki planów podziemnych schronów, przejść i tuneli. Prawdopodobnie były tam także archiwalia z okresu szwedzkiego oraz pruskiego, dotyczące zachowanych pod miastem fortyfikacji z czasów twierdzy. Gdy pod koniec wojny do miasta wkroczyły wojska radzieckie, ratusz został podpalony przez oddziały Werwoflu, a archiwalia i plany szczecińskiego podziemnego miasta bezpowrotnie przepadły.

– Jeszcze przez kilka lat po wojnie w podziemiach ukrywały się bandy

niedobitków Werwolfu, dezenterów i rozmaitych szabrowników, którzy mieli tę przewagę nad Polakami, że znali podziemia, a może mieli nawet ich plany.  
– Igor oparł się o ścianę. – Milicja i wojsko po znalezieniu wejść do podziemnych schronów lub tuneli po prostu je wysadzali w powietrze lub zawalali, żeby utrudnić życie bandziom. Potem zaczęto zamuroвывать różne przejścia dla bezpieczeństwa.

– Kilkadziesiąt metrów dalej stoi gmach muzeum. – Paulina wskazała głową betonową ścianę. – Ciekawe, czy jest z niego jakieś wejście do tych podziemi?

– Posadzkę piwnicy muzeum mamy jakieś jedenaście metrów nad naszymi głowami. – Igor spojrzął do góry. – To wysokość czteropiętrowego bloku. Musiałyby tam być jakieś potężne schody w dół. Nic takiego nie ma albo jest zamurowane.

– Istnieje takie zejście z sąsiedniego Urzędu Wojewódzkiego, więc jest to całkiem prawdopodobne.

– Czytałem relację jakiegoś człowieka, który zaraz po wojnie zszedł do podziemi w okolicach Wałów Chrobrego i zabłądził w wielokilometrowych korytarzach. Natknął się na kierunkowskazy na ścianach prowadzące do centrum miasta, a sam wyszedł aż przy dworcu. – Igor ukucnął, opierając się plecami o ścianę.

Johann zmarszczył brwi i odwrócił się. Skierował reflektor w stronę korytarza, z którego skręcili pod betonową zaporę. Snop światła wydobył z mroku przeciwległą betonową ścianę tunelu.

– Wejście do świątyni miało być pod posągami Wiktora, czyli za tamtą ścianą.

Igor podążył za jego wzrokiem.

– Nie ma tam żadnego innego przejścia. – Paulina wzruszyła ramionami.

Igor dźwignął się spod betonowej przeszkody i ruszył z powrotem do korytarza. Mimochodem spojrzął do góry. Nad nimi piętrzyło się siedem metrów ziemi, która usypana została, żeby stworzyć kubaturę półkolistego tarasu.

Paulina poszła za nim. Ziemia pod jej nogami zachrzęściła.

– Co to było? – Igor odwrócił się do niej.

– Co? – Paulina spojrzała na niego zaniepokojona.

– Stanęłaś na czymś. – Skierował światło reflektora pod jej nogi.

Paulina spojrzała w dół. Teraz dopiero zauważyli, że dokładnie na wprost dawnej bramy wejściowej do koszar była umieszczona w bruku metalowa pokrywa.

– Studzienka kanalizacyjna? – Paulina spojrzała ze zdziwieniem na Igora.

– Burzowa. – Igor ukucnął i oświetlił owalny właz z wyrytym geometrycznym wzorem. Na obrzeżu pokrywy biegł napis STETTINER ODERWERKE A-G.

– Znana szczecińska odlewnia. – Dotknął metalowej, chropowatej powierzchni. – Większość studzienek i hydrantów przed wojną była od nich.

– A co to za szpara? – spytał nagle Johann, który wpatrywał się w jakiś punkt na ścianie.

– Jak to szpara? – Igor pochylił się nad włazem. Nigdzie nie widział żadnej szpary.

– Nie tam. Tam! – Johann wskazał palcem na betonową ścianę.

Dwa żelbetowe pilastry przedzielała gładka betonowa powierzchnia. Tuż przy styku z pilastrem widać było cienką szparę, która mogła mieć najwyżej trzy milimetry szerokości. Światło wydobywało nierówną, pokancerowaną krawędź.

– Dylatacja? – Igor skierował reflektor w kierunku pilastra.

– Daj ten łom. – Johann spojrzał na niego. – Zobaczymy, może to jakaś dziura.

Ostro zakończony koniec łomu wszedł w szparę tylko odrobinę. Johann nacisnął mocno trzon, opierając się na nim całym swoim ciężarem. Nie przyniosło to żadnego efektu.

– Pomóż mi! – Johann spojrzał na Igora i wsadził ponownie łom w dziurę. – Spróbujemy jeszcze raz.

– Lepiej w ogóle stąd chodźmy. – Paulina spojrzała w głąb ciemnego tunelu, z którego końca tutaj dotarli. – Nie podoba mi się to wszystko. Mam złe przeczucia.

– Spróbuj pchnąć tę ścianę, a ja jeszcze raz podważę łomem. – Johann przesunął się, robiąc miejsce Igorowi.

Igor napał ramieniem na betonową płaszczyznę. Przez chwilę obaj się



siłowali, napinając mięśnie, ale ściana pozostała nieruchoma. Johann wetknął łom jeszcze raz i pchnął z całej siły. Niespodziewanie ostrze wysunęło się ze szpary i ze zgrzytem przesunęło po betonie, Johann stracił równowagę i poleciał na próbującego nadal przesunąć płytę Igora, uderzając go jednocześnie końcówką łomu. Igor jęknął.

Z głębi betonowej płaszczyzny dobiegł cichy zgrzyt, po czym zapanowała cisza.

– Słyszałeś? – Johann spojrzał na Igora.

– Poczulem! – Igor rozcierał ramię. – Użyłeś złego czasownika.

– Jakiś zgrzyt... – Johann podniósł reflektor i zaczął oświetlać ścianę od góry do dołu. Nagle ukucnął i dotknął ręką podłogi. Na brudnym, zakurzonym bruku przy samej krawędzi ściany widoczna była niewielka smuga.

– Popatrzcie tutaj! – powiedział. – Jednak się chyba przesunęła?

Igor zmarszczył brwi i skierował światło na posadzkę. Starali się przesunąć ścianę jak drzwi przesuwne, tymczasem smuga wyglądała tak, jakby ściana odrobinę wsunęła się w głąb.

– Spróbujmy jeszcze raz. Zostaw ten łom, popchnijmy ją do środka.

Johann podniósł się i po chwili obaj, zapierając się mocno nogami, naparli ramionami na betonową płaszczyznę. Rozległ się głuchy zgrzyt i blok przesunął się dalej.

Paulina ukucnęła i poświeciła na spód płyty.

– Boże! Ona się obraca, a nie wsuwa. To jest chyba taka obrotowa ściana, jak we wszystkich filmach o tajnych przejściach w różnych zamkach. Nie wierzę!

Spojrzała z otwartymi ustami na Johanna i Igora.

– Dawaj! – Johann oparł się o betonową powierzchnię. – Pchamy dalej!

To się dzieje naprawdę, pomyślał Igor.

Po kilku minutach zapalczywych wysiłków, do których włączyła się Paulina, bardziej przeszkadzając z uwagi na brak miejsca przy ścianie, niż pomagając, płaszczyzna betonowego bloku obróciła się na tyle, że pomiędzy nią a ścianą korytarza zrobiła się szpara o szerokości około pół metra.

Igor jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ciemną dziurę. Czy to

możliwe, że właśnie odkryli tajną komnatę, w której masoni ukryli swój majątek? Wszystko się zgadzało. Podpowiedzi z listu Barnima von Ramina! Medalion! Byli dokładnie pod posągiem Wiktora, obok starych koszar!

– Wchodzimy? – spytał Johann, nie odrywając wzroku od mrocznej dziury.

– Naprawdę sądzicie, że tam stoją jakieś kufry ze złotem ze szczecińskich banków? – Paulina pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nie dowiemy się, jeśli tam nie wleziemy. – Igor westchnął i wsadził ramię z reflektorem do wnętrza.

– Poczekaj! – nerwowo szepnęła Paulina. – A jak to się zacznie zamykać i cię zmiażdży?

– Dlaczego szepczesz? – spytał Johann i poświecił w głąb korytarza.

– Nie wiem. – Paulina przełknęła ślinę. – To mnie zaczęło przerastać.

– Wchodzę! – Igor wepchnął bark do środka szpary i powoli wsunął się za ścianę. Po chwili, gdy cały zniknął za betonowym blokiem, Johann poszedł w jego ślady.

– I co? Co tam jest? – Paulina zbliżyła twarz do dziury.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ostrożnie wsadziła rękę do wnętrza i zaczęła wsuwać się do środka. W tym momencie z wnętrza lochu dobiegł przerażony okrzyk Igora, a zaraz potem głośne przekleństwo Johanna.

– Co tam jest? Na miłość boską, co się dzieje?! – Paulina, uwięziona w szparze pomiędzy blokiem a ścianą, zastanawiała się, czy wchodzić głębiej, czy uciekać. Zagryzła wargi i wsunęła się do środka. Przerażona, nie wiedząc, co za chwilę zobaczy, odwróciła się i skierowała snop światła w głąb pomieszczenia.

Miało kilka metrów długości i szerokość około trzech. Nakryte było ceglanym sklepieniem, a na posadzce leżały równo dopasowane kamienne płyty. Wyglądało właściwie jak kolejny korytarz i kończyło się kolejną betonową ścianą, przy której, rżęsiście ją oświetlając, stali teraz Johann i Igor.

– Czego wrzeszczycie? – Zdenerwowana Paulina podeszła bliżej i wyjrzała za pleców Johanna. Gdyby sama w ciemności skierowała reflektor w to miejsce, zapewne dostałaby zawału, ale nawet teraz, patrząc na podłogę przy ścianie, czuła, jak po plecach pełzną jej lodowate ciarki.

W narożniku, wciśnięty w kąt pomieszczenia, siedział trup.

\*

– I to ma być ten posąg Wiktora? – Hans popatrzył na Dorotę z niedowierzaniem.

Stali na szczycie schodów przed gmachem Muzeum Miejskiego. Poniżej, na wielkim półkolistym tarasie, wznosił się słynny, wykonany w 1914 roku posąg dłuta Ludwiga Manzla, autora sławnej szczecińskiej *Sediny*, która w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach zniknęła z cokołu w ostatnich latach wojny.

– Przecież to Herkules walczący z Centaurem!

– Ona ma rację – wtrącił nagle Parsov.

Hans spojrzał na niego zdezorientowany.

– Herkules w mitologii rzymskiej był bogiem zwycięstwa – powiedziała Dorota, patrząc protekcjonalnie na Hansa. – W czwartym wieku przed naszą erą Rzymianie nadali mu przydomek *Victor*, czyli Zwycięzca.

Hans otworzył usta i spojrzał w osłupieniu na pomnik.

– I to tutaj ma być wejście do jakiejś masońskiej świątyni?

– Berlin początkowo upierał się, żeby w tym miejscu stanął konny pomnik cesarza Fryderyka Trzeciego. Manzel wykonał ten pomnik, ale Meyer-Schwartau pod pretekstem, że posąg cesarza jest za duży, kazał przenieść go na plac za muzeum. Stał tam do końca wojny. Tutaj natomiast kazał postawić Herkulesa.

– Ale co ma wspólnego Herkules z masonami?

– Herkules był mitologicznym strażnikiem, strzegł wejść do świątyń i pałaców. – Dorota uśmiechnęła się pod nosem. Pomyślała, że masońskie teorie spiskowe miały jednak swój urok. – Centaury natomiast według mitologii były prymitywnym, dzikim plemieniem, które zagrażało porządkowi antycznych miast. Z łatwością można sobie wyobrazić, że ten walczący tutaj Herkules strzeże dostępu do tajemnic szczecińskiej loży przed profanami.

Uśmiechnęła się ponownie, widząc minę Hansa.

– Tym bardziej, że zarówno Meyer, jak i prawdopodobnie Manzel, byli

masonami.

\*

Stali w całkowitej ciszy, unieruchomieni grozą, i z przerażeniem przypatrywali się zwłokom mężczyzny. O tym, że był to mężczyzna, świadczyła postrzępiona kraciasta koszula i grube szelki podtrzymujące portki z luźnego materiału. Spod nogawek wystawały zniszczone buty na grubych podeszwach. Mężczyzna miał na głowie czapkę z daszkiem, siedział skurczony, oparty o ścianę. Ręce, które pierwotnie obejmowały kolana, opadły bezwładnie na posadzkę. Obok, z paskiem zaplątanym wokół jednej z rąk, leżał niewielki chlebak.

Głośnie westchnienie Pauliny przerwało ciszę. Igor i Johann, jakby wyrwani tym westchnieniem z transu, poruszyli się i odetchnęli głęboko.

– Nie żyje? – Oszołomiona Paulina zadała cokolwiek bezmyślne pytanie.

– No, raczej. – Igor przełknął ślinę. – To kościotrup.

– Sądzicie, że siedzi tu od wojny? – spytał Johann, nie odrywając wzroku od poszarpanego ubrania trupa.

– Możliwe. – Igor pokiwał głową. – Ubrany jest jak obszarpaniec, może to jakiś szabrownik. Wszedł tutaj w poszukiwaniu skarbów.

– Ktoś go zastrzelił? – spytała Paulina, pochylając się ostrożnie w kierunku zwłok.

– Nie widać nigdzie śladów krwi ani dziur na ubraniu.

– Może dostał w łeb?

Johann podszedł bliżej i ostrożnie ukucnął przy zwłokach.

– Uważaj! – Paulina cofnęła się o krok.

– Dlaczego? Przecież nie rzuci się na mnie raczej.

– Bardziej bym się obawiała jakichś bakterii.

– Nie widać żadnych śladów uderzenia. – Pokręcił głową Johann. – Wygląda, jakby usiadł tutaj w kącie i po prostu umarł.

Igor pomyślał, że to drugi trup w podziemiach. Właściwie trzeci, jeżeli wziąć pod uwagę stróża z hotelu. O trzy za dużo jak na jego wytrzymałość. Czuł się dziwnie. Po kilku chwilach nerwowego napięcia poczuł z jednej

strony ulgę po gwałtownym uderzeniu adrenaliny, z drugiej natomiast dojmujące rozczarowanie. Miała być tajna świątynia, wszystko się zgadzało! A tu taki koszmaryny zawód. Dosłownie koszmaryny! Dlaczego ten człowiek nie wyszedł stąd, skoro nie był postrzelony ani nikt go nie uderzył żadnym łodem?

– Może się spóźniliśmy? Jego towarzysze zabrali wszystko, a jego ukatrupili. – Johann podniósł się i głośno westchnął.

– Dlaczego stąd nie wyszedł? – spytała nagle głośno Paulina. Na moment zamarła, po czym powoli obróciła się w kierunku Igora.

Spojrzał na nią i poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Odwrócił się gwałtownie i skierował wzrok w stronę ruchomej płyty, przez którą tutaj weszli.

Dokładnie w tym momencie, z cichutkim zgrzytem, betonowy blok zamknął się, wpasowując szczelnie w ścianę.

## Rozdział 41

Markus przepchnął się między grupą młodych ludzi, którzy popijając piwo z wysokich plastikowych kubków, zaśmiewali się do rozpuku. Rozejrzał się jeszcze raz wokoło i wrócił pod schody, przy których stał stragan z szaszłykami. Nieco dalej, blisko wejścia kuchennego do restauracji usytuowanej w podziemiach północnego pawilonu Wałów Chrobrego, stał samochód zakładu energetycznego. Obok niego dwóch mężczyzn w roboczych granatowych kombinezonach zajadało się szaszłykami z tekturowych tacek.

Markus przełknął ślinę i sięgnął po telefon.

Trudno, zgubił ich. Dałby sobie głowę uciąć, że zeszli tutaj. Wstukał numer telefonu Hansa i podniósł go do ucha, gdy jego uwagę przyciągnęli nagle trzech młodzi faceci, ubrani w kolorowe bluzy z kapturami, którzy zaczepili pracowników technicznych i zaczęli ich o coś wypytywać, wskazując na drzwi do transformatorowni. Markus zmarszczył brwi, anulował połączenie i zrobił kilka kroków w kierunku samochodu, żeby lepiej słyszeć.

Trzej młodzi ludzie najwyraźniej chcieli wejść do środka. Jeden z nich podszedł do drzwi i złapał za klamkę. Facet w granatowym kombinezonie oderwał plecy od maski samochodu i krzyknął coś w jego kierunku, potrząsając głową. Dwóch pozostałych usiłowało dopytywać się o coś pracowników technicznych, ale ci kręcili głowami. Markus podszedł bliżej i dotarło do niego, że trzech młodzi faceci mówią po niemiecku. Nastawił uszu. Ten, który przed chwilą złapał za klamkę, wzruszył ramionami i odszedł do kolegów.

– Przed chwilą ktoś tam wchodził, widziałem. Nie wiem, czemu nam nie pozwalają.

– Chrzanić to, idziemy! – Drugi machnął ręką i ruszył w kierunku fontanny.

– Myślałem, że da się zobaczyć podziemia. – Pierwszy poprawił czapkę z daszkiem i kręcąc głową, niezadowolony, poszedł za kolegami.

Markus odprowadził ich wzrokiem, po czym spojrzął na stalowe podwójne drzwi, nad którymi umieszczona była żaluzja. Nad drzwiami, w prostokątnych wnękach, wykrzywiały się komicznie cztery stylizowane maszkarony.

\*

Igor oparł się o ścianę i ciężko odetchnął. Próby podważenia betonowego bloku i wyszarpięcia go ze ściany nie dały żadnego rezultatu. Płyta wsunęła się w żelbetową ścianę, idealnie licując się z jej płaszczyzną. Podniósł reflektor i oświetlił dół płyty. Musiała być zamontowana na jakimś bolcu w kształcie śruby. Popychając od strony korytarza „odkręcili” ją niejako, tak jakby była wielką nakrętką. Wskutek tego także lekko się podniosła, a gdy zostawili ją samą sobie, powoli wróciła do stanu pierwotnego. Ten betonowy gwint musiał być wysmarowany jakimś olejem albo smarem, którego pozostałości wciąż jeszcze zapewniały płycie obrót.

Mógł być taki mądry przed wejściem do tego cholernego lochu! Jakie to było horrendalnie głupie tak wleźć tutaj bez żadnego zabezpieczenia!

Westchnął i spojrzął na Johanna, który usiłował podważyć dół płyty łomem.

Nic to nie dało, płyta była za ciężka.

– I co teraz będzie? – spytała Paulina, opierając się o ścianę naprzeciwko niego.

Wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

– Nikt nas nie usłyszy.

– No, dzisiaj na pewno nie – westchnął. – Przy tym hałasie na górze?

– Trudno. Będziemy musieli kogoś wezwać. Przyczepią się do nas za samowolne wejście do tego transformatora. – Paulina założyła ręce na piersi.

Igor zmarszczył brwi. W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi. Wezwać?

– No, przecież masz tablet! – Paulina spojrzała na niego, podnosząc brwi.

Przez chwilę patrzył na nią otwartymi szeroko oczami. Jasne! Zapomniał,

że ma tablet przecież. Co za kretynizm! Sięgnął do leżącego pod ścianą plecaka.

– Nie ma zasięgu – jęknął, patrząc na mały wyświetlacz, w którym nie świeciła się ani jedna, nawet najmniejsza kresczka. – To pewnie przez ten żelbet dookoła.

– Chcesz powiedzieć, że nie możemy nawet po kogoś zadzwonić? – Paulina zrobiła taką minę, jakby zabrakło jej powietrza.

– Ani drgnie! – Johann wyprostował się i rzucił łom pod nogi.

– Spróbuj pochodzić po tym korytarzu, może gdzieś złapiesz zasięg. – Paulina patrzyła na Igora, nie próbując nawet ukrywać rosnącej zgrozy.

Igor oderwał plecy od ściany i trzymając przed sobą tablet, zrobił kilka kroków wzdłuż pomieszczenia. Zasięgu nie było nigdzie.

– Mamy więc szansę dołączyć za jakiś czas do tego gościa. – Johann wskazał brodą pozostające w cieniu zwłoki.

– To wcale nie jest śmieszne, Johann. – Paulina pokręciła głową ze zniecierpliwieniem. – Próbowalesz wyłączyć i włączyć?

– Nie mogę! – Igor pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Nie pamiętam swojego hasła.

– Nasze szanse dostania się do kolejnego odcinka *Najgłupszych rodzajów śmierci* na YouTube ciągle rosną – powiedział z wisielczym humorem Johann, opierając głowę o betonową ścianę.

– Johann! – Paulina spojrzała na niego z wyrzutem.

– A co to jest to? – Igor zatrzymał się nagle na środku korytarza.

– Co? – spytała Paulina, podnosząc gwałtownie głowę.

– To! – Igor stał z pochyloną głową, wskazując palcem na podłogę.

Johann i Paulina zerwali się na nogi i skierowali reflektory na kamienną posadzkę. Na samym środku jednej z płyt widniał mały znajomy znaczek.

– Świat podziemny! – powiedział cicho Johann.

Przez chwilę stali w całkowitej ciszy, wpatrując się w egipski symbol.

– To na pewno nie jakiś przypadkowy zygzak? – spytała Paulina, przekręcając głowę na bok i patrząc podejrzliwie na kamienną płytę.



– Jest zbyt regularny. – Igor przejechał palcem po wygrawerowanym w granicie znaku.

– Spróbujmy ją odsunąć! – Johann podszedł do ściany i sięgnął po łom.

Wsunął ostro zakończony koniec łomu w małą szparę pomiędzy płytami i mocno pociągnął do siebie. Płyta przez chwilę stawiała opór, po czym w spoinach wokół niej coś szurnęło i lekko się uniosła.

– Odsuńcie się! – Johann stęknął. – Jest diabelnie ciężka.

Igor złapał płytę rękami i pociągnął w bok. Zgrzytając, przesunęła się po posadzce i legła z hukiem na sąsiedniej płycie. Pod płytą ukazała się betonowa płaszczyzna, z której wзираła równo wykrojona dziura w kształcie koła. Miała jakieś siedemdziesiąt centymetrów średnicy i częściowo zasłonięta była przez jeszcze jedną, sąsiednią, granitową płytę posadzki.

Igor pochylił się i skierował światło do środka dziury. Pionowy tunel schodził na jakieś dwa metry w dół, po czym odchyłał się w bok i nikał w ciemności. Do ścian w półmetrowych odstępach przymocowane były stalowe stopnie.

Johann uklękł i wsadził reflektor do wnętrza otworu, próbując dojrzeć jak najwięcej poza zakrętem. Złapał ręką za pierwszy stalowy stopień i mocno nim szarpnął.

– Jest całkiem mocny. Chyba nawet niespecjalnie przerdzewiały.

– Dlaczego on nie znalazł tego wejścia? – Igor popatrzył z namysłem na trupa w ciemnym kącie.

– Bo nie szukał żadnego masońskiego skarbu. – Johann podniósł się i stanął nad otworem. – Jak się zamknęła ta ściana, to był pewnie przerażony jak diabli.

– Wcale mu się nie dziwię. – Paulina nie odrywała wzroku od ciemnej dziury. Mrok czający się w głębi szybu przerażał ją, ale walczyła w niej także inna obok strachu siła – ciekawość.

Igor sięgnął do plecaka i wyjął zwój białej liny.

– To będzie zabezpieczenie. Jeden z nas tam ostrożnie zejdzie. Jeśli któraś z klamer się wyłamie, to lina będzie asekuracją przed upadkiem do środka.

– Ja zejdem pierwszy. – Johann wyciągnął rękę po linę. – Jestem lżejszy od

ciebie, w razie czego łatwiej mnie utrzymasz.

Johann ostrożnie postawił stopę na pierwszym stopniu i trzymając się rękami brzegu otworu, zaczął powoli schodzić. Doszedł do krańca pionowego odcinka tunelu. Tunel schodził pod lekkim kątem przez jakieś kolejne dwa metry, po czym otwierał się ciemnym otworem do jakiegoś większego wnętrza.

– Tam jest jakiś loch! – krzyknął do góry.

– Starczy liny? – odkrzyknął Igor, trzymając kurczowo obwiązany dookoła pasa sznur.

– Starczy!

Johann postawił stopę na kolejnym stalowym stopniu. Reflektor wyłapywał już z mroku zarys ściany poniżej otworu. Kolejne trzy klamry – i Johann znalazł się na końcu tunelu. Poniżej było jakieś duże pomieszczenie, w którym czaił się mrok. Ostatni stopień przechodził w drabinkę, która prowadziła prosto w ciemność. Manewrując ciałem, pochylił się i sięgnął ręką do pierwszego szczebla. Szarpnął. Była mocno osadzona.

– Trzymaj mocno tę linę! – wrzasnął do góry. – Schodzę.

Igor, stojący na krawędzi otworu, cofnął się o krok do tyłu i zacisnął dłonie na sznurze. Johann ostrożnie postawił stopę na pierwszym stopniu drabinki i powoli przeniósł na nią ciężar ciała. Trzymając się kurczowo klamer, zszedł niżej. Pod nim, w obie strony, ciągnął się ciemny tunel.

Pomyślał „Raz kozie śmierć” i zeskoczył.

\*

Dorota spojrzała na Parsova. Dookoła kłębił się tłum ludzi, którzy przelewając się zbitą masą od jednego straganu do drugiego, usiłowali jak najproduktywniej wykorzystać imprezę, skoro już dali się na nią namówić. Parsov nawet nie starał się ukryć pogardy dla plebejskiego festynu, spoglądając z niechęcią na ocierających się o niego ludzi. Dorota poczuła, że ma naprawdę dość tego towarzystwa. I tego miasta. Strasznie chciała być już w Berlinie.

– Dobrze, przyprowadziłam was do waszego masonskiego sezamu, a teraz skarbów mogą już szukać na własną rękę pańscy czterej rozbójnicy.

– Nie chcesz nas chyba już opuścić? – Hans uśmiechnął się cynicznie.

– Zgadłeś.

W kieszeni Hansa zabręczała nagle komórka. Nie spuszczać wzroku z Doroty, sięgnął do dzinsów i wyciągnął telefon. Spojrzał na wyświetlacz i podniósł aparat do ucha.

Kiwnął na Karpacky’ego, wskazując wzrokiem Dorotę.

Spojrzał w drugą stronę i przez chwilę słuchał uważnie.

Dorota poczuła za plecami oddech Karpacky’ego.

– Lepiej nie podskakuj – odezwał się do niej po polsku. – Wiesz, jak działa w tym tłumie pistolet z tłumikiem? Większość dookoła pomyśli, że się naprałaś na umór piwska.

Dorota, mimo wciąż panującego upału, poczuła zimno. I wściekłość. Wbiła wzrok w Hansa, który schował telefon i odwrócił się do niej.

– Umówiliśmy się, że powiem wam, gdzie jest pomnik Wiktora, i dacie mi spokój!

– Zmiana planów! – rzucił z ironicznym uśmiechem. – Twój mążuś razem z milordem i dziennikarką pętali się tutaj przed nami. Śledziliśmy ich. Tak jak przewidziałaś, Fleming domyślił się, gdzie stoi pomnik Wiktora. Właśnie Markus nakrył ich, jak wchodzili do podziemi pod Wałami.

– Podziemi pod Wałami? – powtórzyła Dorota, spojrzała na Hansa i postukała się palcem w czoło. – Nie ma tam żadnych podziemi! Od lat dziennikarze bredzą o podziemiach, a to jest tylko przestrzeń techniczna. Fundamenty tarasu i pawilonów!

– Rozumiem, że wleźli tam, żeby się ochłodzić? – zakpił Hans.

– Czy wam całkiem odbiło? – Dorota podniosła głos, czując, że krew ją zalewa. – Naprawdę wierzycie, że pod Wałami Chrobrego są ukryte jakieś złote sztaby? Gdzie niby? W kanalizacji?

– Zobaczymy, co wymóżdżył twój mążuś! – Hans uśmiechnął się zjadliwie. – A ty pójdziesz z nami. I lepiej nie próbuj kombinować!

Dorota spojrzała na Karpacky’ego, który wsadził rękę do kieszeni kamizelki i mrugnął do niej obleśnie. Najchętniej strzeliłaby go w ten bezczelny pysk.

\*

Loch zdawał się ciągnąć w obie strony w nieskończoność. Światło reflektorów wydobywało perspektywę długiego tunelu, którego koniec nikał w ciemności.

– Co to w ogóle jest? – Paulina spojrzała na Igora. – Stare kanały?

Igor podniósł reflektor. Ściany i sklepienie lochu wykonane były z cegły, która wielkością przypominała gotycką. Pokręcił głową.

– To nie kanalizacja. Jesteśmy za głęboko. Poziom Odry jest powyżej tych sklepień. – Machnął ręką w kierunku stropu.

Paulina podniosła głowę.

– To co to za korytarz? Skąd się tutaj wziął?

Pierwsze, co się narzucało, to oczywiście twierdza. Igor oświetlił ściany tunelu. Murowany korytarz, nakryty kolebą z cegły ceramicznej, przywodził na myśl podziemia forteczne. Obrócił się na pięcie, próbując zlokalizować usytuowanie tunelu względem stron świata.

Korytarz biegł wzdłuż Odry od strony miasta, zahaczając o dawny fort Leopold, na którego koronie stały teraz Wały Chrobrego. Mógł powstać w czasach wojny trzydziestoletniej, kiedy to Szwedzi po przejściu miasta zbudowali z wykorzystaniem średniowiecznych murów miejskich ogromne fortyfikacje bastionowe. W tym celu spalili całą rybacką dzielnicę Dolnego Wiku, ciągnącą się od bram miasta aż do sąsiedniego Grabowa, aby w tym miejscu postawić gigantyczne szańce. Mógł też powstać po 1713 roku, kiedy Niemcy przejęli miasto i zaczęli budować nowoczesny system jeszcze bardziej gargantuicznych fortyfikacji, które na ponad sto sześćdziesiąt lat zmieniły Szczecin w jedną z najpotężniejszych twierdz północnej Europy.

Labirynty podziemnych przejść i korytarzy z różnych okresów historii miasta splotły się w nierozzerwalny węzeł tajemnic, których ukoronowaniem stały się nigdy niepoznane w całości i bezpowrotnie stracone w pożarze Czerwonego Ratusza plany nazistów.

– Jeśli ten korytarz nie jest nigdzie zawalony, to w takim razie może się ciągnąć aż do Starego Miasta? – Paulina spojrzała z niedowierzaniem w czeluść długiego lochu.

Igor pokiwał głową.

– Idziemy? – Johann skinął w stronę, gdzie według jego rozeznania znajdowało się Stare Miasto.

– Zwariowaliście? – Paulina złapała się kurczowo drabinki, jakby obawiała się, że Johann i Igor powłoką ją za sobą siłą. – A jak tutaj wrócimy?

– Normalnie. Tą samą drogą. – Igor spojrzał na nią jak na wariatkę.

– A jak zabłądzimy?

– To prosty tunel przecież. Jak dojdziemy do jakiegoś rozstaju, to jakoś to oznaczymy.

Paulina głośno wciągnęła powietrze i popatrzyła na Igora z irytacją.

– Czy ja wyglądam jak Lara Croft[46]?

Igor całkowicie automatycznie i bez żadnych złych skojarzeń, bezwiednie spojrzał w tym momencie na jej biust. Gdy podniósł wzrok, Paulina patrzyła na niego spojrzeniem zimnym jak przecinak do metalu.

– Chciałbyś coś powiedzieć? – wycedziła.

– Przecież nic nie mówię. – Igor poczuł, że wpada w panikę. Zdecydowanie wyszedł z wprawy w rozmowach na temat pochodzenia mężczyzn z Marsa, a kobiet z Wenus.

– Znowu gadacie jakieś głupoty po polsku! – Johann stracił cierpliwość. – Idziemy! Na co czekacie? Może tam jest jakieś inne wyjście.

Paulina puściła drabinkę i westchnęła.

– To wszystko się źle skończy.

Ruszyli powoli przed siebie, omiatając ściany trzema smugami światła.

\*

– Trójka widziała bmw – Pilecki krzyknął z końca sali do Bondara. – Jost zaparkował przy Akademii Morskiej na Szczerbcowej i idzie w kierunku Wałów. Przejęły go krawężniki z ochrony Dni Morza.

Dwóch szeregowych policjantów stojących przy drzwiach wymieniło się urażonymi spojrzeniami. Pilecki uśmiechnął się do nich pojednawczo.

– Niech nie spuszcza go z oczu! – krzyknął Bondar i machnął ręką w kierunku wyjścia. – Jedziemy!

\*

– A co z wentylacją? – spytał nagle Johann.

Od dziesięciu minut szli podziemnym korytarzem, który jakiś czas temu łagodnie zakręcił w prawo, w dalszym ciągu jednak nie było w nim żadnych bocznych odgałęzień.

– Z jaką wentylacją? – odezwała się Paulina, patrząc z niepokojem na Johanna.

– No, z wentylacją tego lochu. – Johann dla podkreślenia swoich słów omiótł snopem światła ściany i sklepienie korytarza.

Spojrzeni oboje na Igora. Ten wzruszył ramionami.

– Pewnie kiedyś były gdzieś dziury, teraz są raczej zawałone.

– Czyli teoretycznie, za jakiś czas, powinien nam się skończyć tlen? – Johann wciągnął powietrze. – Super!

– Nie dramatyzuj! Cały czas idziemy, gdybyśmy siedzieli w jakimś zamkniętym lochu, to można by się o to martwić.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– A dlaczego tu nie ma szcurów? – Johann przejechał smugą światła po posadzce korytarza.

– No, ja za nimi raczej nie tęsknię. – Paulina się wzdrygnęła.

– Pewnie wolą siedzieć w kanalizacji. – Igor ponownie wzruszył ramionami. – Co miałyby tutaj robić? Żadnych śmieci, żadnych odpadków.

Myślał o czymś innym. Gdyby tutaj miała się znajdować jakaś tajna masonska świątynia, to jak by wyglądało wejście do niej na co dzień? W jaki sposób korzystaliby z niej masoni? Czy za każdym razem, chcąc odprawić jakieś swoje rytuały, rozwalaliby tę ścianę od strony podziemi pod tarasem? A może to wejście pod tarasem było tylko jakąś rezerwą? Prawdziwe natomiast wiodło podziemiami, nawet z innej części miasta. Może nawet z Czerwonego Ratusza? W chwili zagrożenia wszystkie inne dojścia zostały wysadzone w powietrze bądź zalane, a pozostawiono tylko to zakamuflowane wejście rezerwowe.

Wyobraził sobie ubranych w czarne płaszcze mężczyzn, schodzących ukrytymi schodami do starych fortecznych lochów, a później idących długimi

korytarzami, które pamiętały czasy wojny trzydziestoletniej, do jakiejś zakonspirowanej podziemnej sali, pierwotnie mogącej przecież pełnić funkcję tajnego sztabu dla szwedzkich, a później pruskich władz wojskowych. Do loży Pod Trzema Cyrklami należeli przecież wysoko postawieni wojskowi, członkowie władz, sam nadburmistrz Haken. Nie mieliby żadnych problemów z utrzymaniem tego wszystkiego w tajemnicy. Zostawili tylko wskazówki dla wtajemniczonych, sprytnie udające skarb templariuszy i Wielką Tajemnicę, co miało od razu zniechęcić do poszukiwań wszelkich twardo stąpających po ziemi wrogów.

Sarkofag Barnima IX, szyfr z listu Ramina, prowadzący do obrazu Sydonii, obraz do ołtarza, płaskorzeźba Barnima IX prowadząca do sarkofagu.

– *Circulus vitiosus*. Masoński krąg tajemnic – mruknął w zamyśleniu.

– Co takiego? – Paulina spojrzała na Igora ze zdziwieniem.

– *Circulus vitiosus*, czyli błędne koło. Stara maksyma, często używana przez masonerię. Tajemnica tajemnic i tak dalej. Błędne koło rozumowania, w które wpadali poszukiwacze Wielkiej Tajemnicy, tymczasem prawdziwą zagadkę krył medalion, który pewnie nosił każdy wysoko postawiony członek loży. Gdy do władzy doszli hitlerowcy i zaczęły się aresztowania, to wzorując się na templariuszach właśnie, powoli przemycali swój majątek i dzieła sztuki do tajnego, zakonspirowanego miejsca, a gdy naziści otworzyli skarbcze bankowe, to zupełnie jak żołdacy Filipa Pięknego po aresztowaniach templariuszy w tysiąc trzysta siódmym roku, zastali tylko puste skrytki i sejfy.

– Najfajniej będzie, jak znajdziemy ten skarb, a nie uda nam się stąd wyjść – powiedziała ponuro Paulina. – A za dwadzieścia lat odnajdą nasze wyschnięte szczątki, kurczowo ściskające jakiś srebrny żyrandol.

– Nie pozbędę się już tej wizji sprzed oczu – westchnął komicznie Johann.

– Srebrny żyrandol zostawimy tobie – mruknął Igor. – Ja mam nadzieję zobaczyć te brązy z Beninu.

Johann wycelował nagle reflektor prosto przed siebie.

– A póki co, chyba tam się kończy ten korytarz – powiedział cicho, wpatrując się w przestrzeń.

Kilkanaście metrów przed nimi, pozostając jeszcze w półmroku, linearna

perspektywa fortecznego lochu ulegała załamaniu na majaczących w świetle reflektorów, wyraźnie odchodzących w bok ścianach.

\*

Grupa czterech osób, która schodziła po wijących się u stóp pawilonu północnego schodach, miała miny bardzo odbiegające od uśmiechów obecnych na twarzach większości spacerowiczów dookoła, wynikłych z zadowolenia, że coś się w ogóle dzieje, ale głównie będących efektem wypicia dwóch czy trzech kubków piwa. Parsov i Hans mieli nieprzeniknione twarze, a Karpacky skupiał się na ściskaniu w kieszeni pistoletu z tłumikiem i obserwowaniu Doroty, której trochę się bał. Była nieprzewidywalna.

Dorota usiłowała opanować kłębiące się pod czaszką tornado. Każdy kolejny kamienny stopień, na którym stawiała stopę w drodze do podnóża Tarasów Hakena, to była kolejna myśl o wyrwaniu się i ucieczce w dół, wskoczeniu w tłum ludzi. Rosło w niej przekonanie, że Hans wykorzysta każdą okazję, by się jej pozbyć, a jeśli wejdą do jakichś lochów, to już lepszej raczej nie znajdzie. Igor to jednak kretyn. Po co on tu przylazł? Mało im było?

Kilkanaście metrów przed nimi wspinała się po schodach grupa łysych, młodych facetów w bluzach dresowych. Dwóch miało na piersiach emblematy Pogoni. Dorota zmarszczyła brwi. Teraz albo nigdy!

Gdy dzieliło ich już tylko kilka metrów od bandy dresiarzy, odwróciła się gwałtownie do Hansa i trzasnęła go w policzek odkrytą dłonią.

– Ty pieprzony chamie! Myślisz, że jak przyjechałeś tutaj z Berlina, to ci wszystko wolno?

Hans na moment zdębiał i złapał się za policzek, patrząc na Dorotę szeroko otwartymi oczami. Karpacky rzucił się w jej kierunku. Dorota odwróciła się do łysych chłopaków, który właśnie stłoczyli się na stopniach przed nimi, tarasując drogę innym przechodniom, i złapała pierwszego za ramię.

– Zaczął mnie obmacywać w tym tłoku! To jacyś degeneraci! – wrzeszczała na cały głos. – Przyjechali tu z Niemiec na łatwe Polki. Pewnie myślał, że jak postawi mi piwo, to pójdę z nim do hotelu!

Wykrzykując to, przecisnęła się pomiędzy chłopakami i zaczęła szybko zbiegać po schodach. Boże! Jak dobrze, że ma na nogach trampki.



– Macie jakiś problem? – Dobrze zbudowany koleś w czerwonej bluzie spojrzał wyzywająco na Hansa. Nawet stojąc o stopień niżej, był niewiele niższy.

– Spadaj, koleś! – Karpacky zrobił krok do przodu, wysforowując się przed Hansa. – Nie mamy nic wspólnego z tą laską. To jakaś histeryczka!

– Polaczek? – Drugi z łysych chłopaków uśmiechnął się i wypił łyk piwa z puszki. – Nie wstyd ci zadawać się ze Szwabami?

Wokół nich zaczął się robić zator. Ludzie z respektem omijali bandę dresiarzy i oglądając się za siebie, szybko przechodzili dalej. Jeden z chłopaków spojrzał w górę i szturchnął nagle tego w czerwonej bluzie.

– Straż! Spadamy, bo się przykurwią!

Cała grupa odwróciła się i sprawnie manewrując pomiędzy ludźmi, błyskawicznie zbiegła w dół.

Dorota, przepychając się przez tłum ludzi, dotarła na sam dół schodów i ruszyła wzdłuż ściany tarasu w kierunku fontanny. Ominęła kilka budek z jedzeniem i szybkim krokiem, korzystając z wolnej przestrzeni pomiędzy dolnymi latarniami strzegącymi Wałów Chrobrego przed dostępem od nabrzeża, skierowała się w stronę symetrycznie usytuowanych schodów po drugiej stronie tarasu. Zamierzała wbić się w tłum i górą przedostać do hotelu. Był raptem kilkaset metrów dalej.

Dobiegła do końca fontanny, odwróciła się, sprawdzając, czy jej nikt nie goni, i weszła na pierwszy stopień schodów. Wpadła na kogoś, kto akurat schodził z góry.

– Przepraszam! – rzuciła i zamierzała go wyminąć, kiedy poczuła, że mocno ścisnął jej ramię. Zirytowana podniosła wzrok i napotkała uśmiechnięte oczy Matthiasa.

\*

– Schody? – Paulina wycelowała reflektor w głąb tunelu. Loch powoli wspinał się ku górze, ale kilka metrów przed nimi wznosiła się góra ziemi i gruzu.

– No i koniec! – jęknęła. – Szliśmy tutaj na darmo.

– Szliśmy jakieś dwadzieścia minut, więc musimy się znajdować, mniej więcej... – Johann podrapał się po brodzie.

– Pod zamkiem – powiedział cicho Igor.

– Więc jednak wejście do lochu było w zamku? – Paulina spojrzała na Igora niepewnym wzrokiem. – Jak to było? Ten tekst z płaskorzeźby?

– Dźwięk dzwonu cię poprowadzi... – odparł Igor w zamyśleniu.

Czyżby naprawdę wejście do lochu było kiedyś pod kryptą? Kto je wykonał w takim razie? Szwedzi? Po wojnie trzydziestoletniej zamek był mocno zniszczony, Szwedzi, planując przekształcenie go na siedzibę króla, przewidywali ogromne wyburzenia. Zniknąć miało całe skrzydło od strony Odry, połowa skrzydła północnego i południowego, a do tego także cały dziedziniec menniczny i wszystkie wieże. Na szczęście zabrakło na to pieniędzy, ale może coś zdążyli zrobić? Może tunel był częścią systemu fortyfikacyjnego, który zbudowali wokół Szczecina? Tylko że Szwedzi nie zniszczyli ani nie przenieśli z zamku krypty. Pozostała zamknięta. A może...

*...Campanae sonus te ducet...*

*...Dźwięk dzwonu cię poprowadzi...*

– Znacie szczecińskie legendy? – spytał nagle, wpatrując się w zamyśleniu w przestrzeń.

– Jakie legendy? – Paulina odwróciła się i popatrzyła na Igora, jakby nagle postradał rozum. Spojrzała na Johanna, który uniósł brwi.

– O czym ty mówisz? – spytał.

– Legendy. Pamiętam, jak mówiłeś, że dziadek ci opowiadał różne legendy o Szczecinie, o Gryfitach i tak dalej.

– No i?

– Opowieści o podziemiach i lochach są znacznie starsze niż historia twierdzy. Już w średniowieczu opowiadano, że pod miastem ciągną się tajne przejścia, łączące zamek ze szczecińskimi kościołami i klasztorami. Jedna z legend mówiła nawet o tunelu pod Odrą, który miał prowadzić z zamku na Łasztownię. Tunel miał ponoć służyć do szybkiej ewakuacji na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa. Krążyły opowieści o tunelu łączącym zamek z Oderburgiem, a nawet zupełnie fantastyczne o tajnym przejściu aż do zameczku myśliwskiego w Dąbiu.

– Do czego zmierzasz? – Johann spojrział na Igora uważnie.

– Może ten korytarz jest starszy niż twierdza?

– A co by to wyjaśniało? – spytała Paulina.

– Wejście z krypty. Pamiętacie, jak wam mówiłem, że krypta jest w rzeczywistości pozostałością starej dzwonnicy? Więc jeśli podziemia powstały w średniowieczu, to wejście do lochów usytuowane w dzwonnicy przy zamku byłoby jak najbardziej na miejscu. Wieża się zawaliła jakoś na początku szesnastego wieku. Rozbudowę zamku prowadził Barnim Dziewiąty i to on pewnie zdecydował o pozostawieniu lochu, ponieważ wiedział, co się pod nim kryje. Po śmierci Barnima jego następcy kontynuowali przebudowę, ale nie znając tej tajemnicy, zdecydowali o ułożeniu w lochu krypty.

Przez chwilę panowało milczenie. Johann i Paulina wpatrywali się w głąb korytarza.

– A co to jest w ogóle ten Oderburg? – spytał nagle Johann.

– W Grabowie był niegdyś klasztor kartuzów, który po reformacji Barnim Dziewiąty przeznaczył na swoją rezydencję... – Igor nagle przerwał. – Chryste...

– Co się stało? – Paulina spojrzała na niego ze strachem.

– Przecież w takim razie to jest to legendarne przejście podziemne do Oderburga! To dlatego nie ma żadnych odgałęzień! Poszliśmy w złym kierunku! To nieprawdopodobne!

Igor nagle urwał i poczuł, jak robi mu się gorąco.

...*Verae divitiae in Dei Gratia absconditae...*

...*Prawdziwe bogactwo ukryte jest w Bożym miłosierdziu...*

Łacina! Ten Niemiec źle to przetłumaczył! Powoli odwrócił głowę i wbił wzrok w zdeorientowanego Johanna.

– Mówiłeś, że znasz łacinę. Jak należy przetłumaczyć zwrot *Dei Gratia*?

Johann spojrział na Igora szeroko otwartymi oczami.

– Boże miłosierdzie albo Boża łaska. A o co chodzi?

– Łaska Boża! – krzyknął Igor. – Łaska Boża!

Paulina i Johann wpatrywali się w niego, jakby postradał zmysły.

– Łaska Boża, czyli po niemiecku *Gottesgnade*! – Igor spojrział na nich z triumfem.

– No i? – Paulina poczuła, że Igor zaczyna ją irytować.

– *Gottesgnade* to przecież nazwa klasztoru kartuzów! Tak się nazywał kiedyś Oderburg! *Gottesgnade*!

Paulina przez chwilę patrzyła na Igora, dalej nie rozumiejąc, po czym szeroko otworzyła oczy.

– Prawdziwe bogactwo ukryte jest w Oderburgu!

## Rozdział 42

Dawno, dawno temu, za kilometrami bezdroży i dzikich pomorskich lasów, nad samym brzegiem Odry, wznosiło się wzgórze, na którego szczycie stała samotna świątynia pomorskiego boga Trygława. Górowała nad wielowiekowymi dębami, między którymi wiała się droga, prowadząc w kierunku nieodległej, przycupniętej na brzegu rzeki rybackiej osady. Dopiero za sto pięćdziesiąt lat osada miała stać się pierwszą w tym miejscu wsią. Do obwarowań Szczecina były stąd jeszcze dwa kilometry i to tędy właśnie, najstarszą w Szczecinie, ciągnącą się wzdłuż Odry drogą, wiosną roku – jeszcze wtedy nie Pańskiego – 1124, przybył z Bambergu biskup Otton. Towarzyszył mu kronikarz, mnich Ebon z bamberskiego klasztoru. To on opisując Szczecin, przyczynił się do powstania niewyjaśnionej do dzisiaj tajemnicy, o którą przez całe lata spierały się rzesze historyków. W pierwszych zdaniach jego kroniki pojawiła się bowiem informacja o mieście położonym na czterech wzgórzach, później jednak konsekwentnie pisał jedynie o trzech. Jedna z teorii próbujących wyjaśnić tę zagadkę mówi o tym, że wjeżdżając właśnie starym szlakiem, Ebon wzgórze w Grabowie uznał już za Szczecin.

Miejsce to nie cieszyło się dobrą sławą. Być może było jednym z tych licznych na Pomorzu wzniesień, które w legendach opisywano jako groby olbrzymów. Być może z tego właśnie powodu, by położyć kres pogańskim bajdom, mroźną zimą roku 1360, na zaproszenie szczecińskiego księcia Barnima III przebyli tutaj z Pragi kartuzi. Zakon znany w Europie ze słynnego, przyrządzanego ze stu trzydziestu ziół eliksiru długowieczności, sławnego powiedzenia *memento mori* oraz z tego właśnie, że klasztory zakładali w miejscach pogańskich świątyń lub kultów starożytnych bóstw.

Wkrótce w miejscu dawnej kąciny stanęły zabudowania z kościołem, do którego przylegał dziedziniec z wirydarzem, kapitularem, osobnym budynkiem biblioteki oraz refektarzem i budynkiem dla służby. W obejściu znalazły się także stajnie, stodoły i browar. Bracia mieszkali w eremach

usytuowanych wokół klasztoru. Całość otoczona została wysokim murem, wokół którego założono ogrody i sady. Ogromne bogactwo zakonu sprowadziło jednak mnichów na złą drogę. W krótkim czasie reguły zakonne uległy rozluźnieniu do tego stopnia, że klasztor zaczął być nazywany przez okoliczną ludność „zamkiem obżartuchów”. Na zakonników płynęły skargi, a kapituła konwentu co jakiś czas groziła mnichom z Grabowa karami. Z końca XV wieku pochodzą dokumenty, z których wynika, że mnichów oskarżano nawet o uprawianie alchemii. Gdy więc w 1534 roku przyjęto na Pomorzu protestantyzm, zniechęceni mnisi zaczęli chyłkiem uciekać z klasztoru. W roku 1538 majątek kartuzów wraz ze starym klasztornym zamczyskiem przejął miłościwie panujący Barnim IX, a kartuzi, opuszczając klasztorne mury, zabrali wszystko, co zdołali wywieźć. Resztę rozkradli okoliczni mieszkańcy.

\*

Jak mogłem nie pomyśleć o Oderburgu?

Igor stał nieruchomo z reflektorem skierowanym na ścianę i patrzył niewidzącym wzrokiem prosto przed siebie. Traf chciał, że dokładnie tam stała Paulina.

Oderburg! Zamek Odrzański! Rezydencja Barnima IX!

To przecież dla Oderburga powstał ołtarz, z którego pochodzi płaskorzeźba Barnima! To w Oderburgu pracował Gabriel Glockendon, autor przedziwnego obrazu z Marianowa! To w Oderburgu były skonstruowane przez Barnima IX tajne schody, ruchome ściany i drzwi otwierane na zamki cyfrowe! I to tam wreszcie spędziła swoje ostatnie dni Sydonia, zamknięta w lochu, w którym odwiedził ją w przeddzień wykonania wyroku książę Franciszek, żeby błagać o zdjęcie klątwy z dynastii.

Najbardziej tajemnicza siedziba Gryfitów, owiana legendami pogańskiej przeszłości wzgórza, na którym się wznosiła. Kiedyś sławna, potem zupełnie zapomniana. Czyżby wszystkie wątki tej historii splatały się właśnie w Zamku Odrzańskim?

Tylko że Oderburg jako miejsce ukrycia masońskiego skarbu miał jedną, ale za to podstawową wadę. Nie istniał. Od trzystu lat.

\*

Barnim IX przeniósł się do Zamku Odrzańskiego w 1551 roku, zaraz po tym, jak przy dzisiejszej ulicy Kuśnierskiej wybuchł pożar, który gwałtownie się rozprzestrzeniając, pożarł dopiero co odnowione komnaty południowego skrzydła Zamku Książąt Pomorskich, wdarł się do pozostałych skrzydeł i na dachy budynków, pochłaniając ogromną pracę wielu malarzy, rzeźbiarzy, sztukatorów i pośledniejszych rzemieślników. Zrozpaczony Barnim opuścił wówczas szczecińską siedzibę, początkowo zakładając, że jedynie do czasu przywrócenia jej świetności, ale wszystko potoczyło się inaczej.

Nigdy już tutaj nie wrócił.

Plany przebudowy Oderburga miał przygotowane od czterech lat. Stare klasztorne zamczysko zmieniło się w renesansową rezydencję. Dodano dwie nowe wieże, kościół zmieniono na zamkową kaplicę, na ścianach pojawiły się charakterystyczne renesansowe attyki, wokół dziedzińca wzniesiono krużganki, a wysokie wieże otrzymały nowe renesansowe hełmy, kryte miedzianą blachą.

W 1590 roku podróżujący po Pomorzu student z Wiednia, Michael Francke, opisał dwie ogromne marmurowe figury, umieszczone po dwóch stronach głównego wejścia, które przedstawiały księcia Barnima i jego żonę Annę. To ów student właśnie napisał, że Oderburg w owym czasie był znacznie wspanialszy niż zamek szczeciński.

Po śmierci księcia Barnima zamek opustoszał. Powoli wywożono z niego cenne wyposażenie, rzeźby i inne dzieła sztuki. Przez jakiś czas zamkowe mury i lochy służyły za więzienie, renesansowa rezydencja jednak nieubłaganie chyliła się ku upadkowi. Wyrok śmierci podpisali na nią Szwedzi, którzy planując budowę wokół Szczecina fortyfikacji, przeznaczili zamek do rozbiórki. Już wcześniej mocno ucierpiał podczas wojny trzydziestoletniej, rozszabrowany i rozkradzony, powoli zamieniał się w ruinę. Dzieła zniszczenia dopełniły wojny z Brandenburczykami i kolejne oblężenia Szczecina. Na przełomie XVIII i XIX wieku na wzgórzu zamkowym sterczały już tylko resztki murów, które służyły okolicznym chłopom jako niewyczerpane źródło gruzu i cegieł.

\*

– Przecież po tym zamku nie ma śladu – powiedziała Paulina, budząc z zamyślenia Igora. – Stoją tam biurowce stoczni.

Igor oderwał wzrok od nieskończoności i zmieniając ogniskową, zauważył, że wpatruje się w oczy Pauliny. Westchnął i spojrzął w głąb tunelu. Miała rację. Od początku XIX wieku na wzgórzu zamkowym zaczęły powstawać różne budynki. W północnej części wybudowano szkołę, a u stóp wzniesienia kamienice, ciągnące się wzdłuż dzisiejszej ulicy Dubois. Do wybuchu wojny jednak teren zajmowany przez zabudowania zamku był wielką, prywatną posiadłością.

– W połowie dziewiętnastego wieku całe wzgórze zamkowe wraz z ruinami kupił szczeciński kupiec, uporządkował teren i postawił tam pałac.  
– Igor znów wpatrzył się w Paulinę, myśląc intensywnie.

– Pałac? Gdzie niby był ten pałac? – spytała zaskoczona.

– Został zniszczony w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku podczas nalotów. Stał na wzgórzu od strony Odry, rozciągał się z niego piękny widok na dorzecze. Natomiast całe wzgórze zamkowe zostało zamienione na park krajobrazowy. Jak on się nazywał? Ten kupiec? – Igor zmarszczył czoło. – Kre... Kras... Kressman! – spojrzął z triumfem na Paulinę.

– W połowie dziewiętnastego wieku? – spytał Johann. – Zauważyliście, że wszystko działo się w połowie dziewiętnastego wieku?

Igor popatrzył na niego w skupieniu. Istotnie!

– Wielka rozbudowa Szczecina, zainspirowana pomysłami Hakena i Meyera, likwidacja fortu Leopolda, komisja konserwatorska, która otworzyła kryptę – powiedział cicho.

– Historia łoży Pod Trzema Cyrklami – dodał Johann. – Także wydana w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.

– A później budowa Wałów Chrobrego...

– Jezu... – Paulina popatrzyła na Igora i Johanna. – Więc to wtedy musiał powstać ten cały masoński spisek. Być może wówczas odkryli tamten legendarny korytarz łączący zamek z Oderburgiem i zbudowali na tym fundamencie Wielką Tajemnicę!

– Idąc dalej tropem spiskowej teorii dziejów – wtrącił Johann – Kressman był pewnie masonem.

– Oczywiście! – Igor się uśmiechnął. – To był bogaty kupiec, przynależność do łoży była wówczas nobilitacją. Możliwe, że zakup tego



terenu był kontrolowany przez lożę, która dzięki temu zabezpieczyła sobie dostęp do zachowanych podziemi Oderburga.

– Czyli w połowie dziewiętnastego wieku członkowie loży masońskiej odkryli istnienie legendarnego korytarza, prowadzącego ze szczecińskiego zamku do Oderburga. – Paulina oparła się o ścianę i wbiła wzrok w przestrzeń. – Korzystając ze swoich ogromnych wpływów, spowodowali, że sprawa nigdy nie ujrzała światła dziennego i stała się tajemnicą loży. Gdzieś w podziemiach powstała tajemna świątynia, do której dostęp mieli jedynie najwyżej postawieni w hierarchii. Jako z jednej strony klucz do rozwikłania tej zagadki, a z drugiej doskonała zasłona dymna, posłużyła wymyślona Wielka Tajemnica, która opierała się na niezaprzeczalnych faktach historycznych z dziejów Szczecina i na którą nabierali się tacy kretyni jak my.

– Tylko jedna rzecz do tego nie pasuje – mruknął Johann.

– Jaka? – spytała z lekką irytacją, wytrącona z epickiej weny Paulina.

– Mapa w trumnie Barnima Dziewiątego. W dalszym ciągu nie mogę zrozumieć, po co mieliby to robić. Ten szyfr na wieku sarkofagu i sama trumna musiałyby przecież być przez nich przerobiona. Poza tym mapa, jak słyszeliście, była autentyczna, z dwunastego wieku. Masoni wepchnęli ją do trumny tylko po to, żeby urealnić swoje fantasmagorie?

Igor zmarszczył brwi. Do tej pory też uważał, że mapa jest najmniej pasującym elementem tej układanki. Jak zły kawałek puzzla.

– Wiecie, jakie jest najprostsze wytłumaczenie tej zagadkowej mapy w trumnie Barnima? – zwrócił się po chwili do Johanna i Pauliny.

Johann podniósł brwi.

– Mapa wcale nie jest oryginalna. Została tylko dobrze sfalszowana, a ci Niemcy nie sprawdzili jej na tyle dokładnie, żeby to dostrzec. Poza tym masoni nie musieli fałszować napisu na sarkofagu. Wystarczyło przecież wybrać litery, które wyglądają jak rzymskie cyfry, dodać je i tak powstała przypadkową liczbę uczynić szyfrem do skrytki.

– No, a ta skrytka? – Paulina zmarszczyła brwi.

– Skrytkę pod trumną akurat mogli przerobić. W sarkofagach i trumnach najszybciej rozpadało się dno. Wystarczyło, że wmontowali nowe dno do starej trumny. Mogli to zrobić podczas tego konserwatorskiego otwarcia

krypty w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku.

Przez chwilę w korytarzu trwała cisza.

– Czyli zostało nam tylko odnalezienie jakiegoś pozostałego po Oderburgu lochu? – Paulina popatrzyła na Igora.

– W tym celu mamy do przejścia jakieś półtora kilometra w tamtą stronę. – Igor machnął reflektorem w kierunku ginącego w ciemności tunelu.

\*

Furgonetka zakładu energetycznego w dalszym ciągu stała przy skarpie pod północnym pawilonem. Dwaj mężczyźni w granatowych spodniach na szelkach stali obok i oparci o maskę rozmawiali ze sobą, oglądając się leniwie za przechodzącymi ludźmi, gdy nagle zza tylnej części samochodu wyłonił się wyraźnie podchmielony tęgi facet i zataczając się, podszedł do nich, szeroko się uśmiechając.

– Oponki macie przebite chyba z tyłu. – Oparł się o wysoki nos samochodu i spojrzał na robocze ubrania. – ENEA was tak ubiera? Ładnie – wybełkotał. – Ktoś wam chyba przebił te oponki.

Jeden z mężczyzn oderwał plecy od karoserii i ruszył na tył furgonetki. Po chwili wrócił od drugiej strony i klnąc, otworzył drzwi.

– Niech to cholera weźmie! Pewnie jakieś szczeniaki! – warknął, grzebiąc w pudle z narzędziami.

– Naprawdę? – Drugi technik poszedł na tył samochodu i ukucnął przy sflaczałej oponie. – O żesz ty!

Karpacky schował zamknięty scyzoryk do kieszeni i odszedł powoli w kierunku straganu z szaszłykami. Obok stały grupki zajętych sobą młodych ludzi.

Prawie nikt nie zauważył, jak grupa czterech osób szybko otwiera stalowe drzwi i znika we wnętrzu transformatorowni.

\*

Tunel cały czas ciągnął się jednolitym odcinkiem. Johann i Paulina szli przodem, a Igor nieco z tyłu, pogrążony w myślach. Jako architekt patrzył na wszystko z innej perspektywy. Interesowało go to, na co ani Johann, ani

Paulina nie zwracali specjalnej uwagi. Na przykład ściany i to, w jaki sposób zostały wykonane.

Cegły miały około trzydziestu centymetrów długości i ponad dziesięć wysokości. Ułożone były w charakterystyczny sposób, dwie cegły kładzione wzdłuż i jedna w poprzek. Dwie wozówki, jedna główka. Wątek wendyjski, stosowany w XIII i XIV wieku, w XV został zarzucony. Pozornie mało ważne spostrzeżenie, za którym jednak kryła się istotna kwestia. Korytarz musiał powstać przed 1400 rokiem, a więc w tym samym mniej więcej czasie, kiedy powstały mury miejskie, zamek w swojej zasadniczej bryle i Oderburg.

Zatem zbudować go mógł tylko książę, o którym zapomnieli...

Książę z opowieści dziadka Johanna. Ten, który tak bardzo bał się smoka i Wielkiej Tajemnicy, że ukrył ją, aby nikt się o niej nie dowiedział...

– A co to jest? – spytał nagle Johann, zatrzymując się. Podniósł reflektor i skierował go na górną część ściany.

Fragment, na który patrzył, był najwyraźniej przemurowany. Pod samym oparciem sklepienia znajdowała się kwadratowa plama, wypełniona cegłą o jaśniejszym odcieniu. Igor zatrzymał się obok Johanna. Dziwny fragment ściany w dodatku kończył się od góry cegłą ułożoną tak, jakby to było nadproże. Otwór?

– Może to jest ta wentylacja, o której mówiłeś? – Paulina poświeciła w głąb korytarza. – O, tam dalej też jest takie przemurowanie!

W odległości jakichś dwudziestu metrów znajdowała się kolejna łata, wypełniona jaśniejszą cegłą i zamknięta ceramicznym nadprożem.

– Jeśli to była wentylacja, to po co to zamurowali? – spytał Johann.

– Zaczęli coś budować na górze i zasypali biegnący do góry kanał. – Paulina wzruszyła ramionami.

– I nie zainteresowało ich, po co jest ten dziwny pionowy przewód z cegły, wychodzący spod ziemi? – Johann zmarszczył czoło.

– Przewód nie musiał być z cegły. – Igor oświetlił reflektorem ceglana łąkę. – To mogła być blaszana rura.

Podniósł głowę i spojrzał uważnie na przemurowanie dziwnego otworu. Zostało wykonane z innej cegły, bo pomijając kolor, była mniejsza od tych, z których zbudowano ściany lochu. Jeśli była to wentylacja, to znaczyłoby

najwyraźniej, że dorobiono ją później.

– Gdzie możemy się znajdować? – Johann spojrzał w górę. – Jak myślicie?

– Wejście pod Wałami minęliśmy jakieś dwadzieścia minut temu. – Igor popatrzył na zegarek. – Biorąc pod uwagę nasze tempo, to jesteśmy w okolicach Kapitanatu.

– Powiedziałabym, że trochę dalej. Zastanawiam się, dlaczego tutaj jest sucho? – Paulina oświetliła posadzkę tunelu.

– Nie przesadzaj. – Johann pomacał ścianę. – Jest wilgotno.

– W sensie, że nie ma wody po strop. Jesteśmy przecież poniżej poziomu Odry.

– Glina. – Igor wzruszył ramionami. – Pewnie cały korytarz jest obłożony gliną.

– Wojna, naloty bombowe, wyburzenia, budowa nowych gmachów... – Paulina pokręciła głową. – To cud w takim razie, że nie został zalany.

– Kolejna dziura – mruknął Johann, świecąc w dół.

Pod jego nogami widniała duża wyrwa, a po obu jej stronach płaszczyzna posadzki była zapadnięta.

– Może nie powinniśmy iść dalej? – Paulina popatrzyła niepewnie. – Może się zawalić.

Igor podniósł reflektor i skierował go w głąb korytarza.

Jakby na potwierdzenie słów Pauliny, kilka metrów przed nimi pojawiło się zawalisko, a ze zniszczonego stropu wdzierały się do wnętrza lochu poskręcane, czarne korzenie.

– Co to? – Johann spojrzał w przeciwnym kierunku.

– Co takiego? – Paulina wycelowała reflektor w ślad za jego spojrzeniem.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem.

– Pewnie echo. – Igor wzruszył ramionami.

Przeszedł parę kroków w kierunku zapadliska. Posadzka pod jego nogami była popękana. Nieco dalej zapadała się gwałtownie prawie na metr w dół, a niżej widać było czarne błoto i plamy wody. Przez ściany biegły rysy zniszczeń, strop w kilku miejscach był zapadnięty. Cegły ceramicznego sklepienia powysuwały się z lica, a najbardziej zniszczony był fragment

w miejscu, w którym do wnętrza wdarły się korzenie drzewa.

Wyglądało na to, że dalsza wędrówka jest niemożliwa.

\*

– Jak to zniknęli? – Pilecki spojrzał z niedowierzaniem na młodego policjanta w czarnej koszuli z krótkimi rękawami i żółtej odblaskowej kamizelce.

– No zniknęli, kurwa... ee, to jest... no, wcięło ich. – Policjant rozłożył ręce. – Słowo daję, szliśmy za nimi cały czas. Byli przed nami kilkanaście metrów i gdzieś zniknęli.

– Ale gdzie? – Pilecki rozejrzał się zirytowany. – Jak to „ich”? Przecież ten Niemiec był sam.

– Spotkał jakąś kobietę na schodach. – Drugi z policjantów wzruszył ramionami.

– Jak wyglądała? – Bondar sięgnął do kieszeni marynarki. – Szatynka? Szczupła? Ładna?

– Bardzo ładna – mruknął pierwszy z policjantów. – Zajebista laska.

– Ta? – Bondar podetknął mu pod nos fotografię Pauliny.

Policjant pochylił się nad zdjęciem.

– Nieee. – Pokręcił głową. – Tamta to była brunetka. Wysoka, ubrana na czarno.

Bondar wymienił spojrzenie z Pileckim.

Niemożliwe! Może ten Jost po prostu umówił się na randkę?

– Gdzie ich widzieliście po raz ostatni? – spytał Pilecki.

– Koło fontanny. Kręcili się tutaj przez chwilę. Obserwowaliśmy ich z góry schodów, a jak zesliśmy na dół, to już ich nie było.

– W tym tłumie to nic dziwnego – Pilecki jęknął. – Trzeba było nie spuszczać ich z oczu! Mówiłem przecież!

– Dobra! Rozejść się! – Bondar skinął głową w stronę tłumy ludzi przed latarniami u stóp Wałów Chrobrego. – Jak ich zobaczycie, natychmiast dajecie znać! Ty idź tam, ja pójde w drugą stronę.

Kiwnął głową w kierunku budek z jedzeniem i nie spojrzawszy nawet na

Pileckiego, wmieszał się w tłum pod sceną, na której grał jakiś folkowy zespół.

\*

– Naprawdę coś usłyszałem. – Johann zamarł w bezruchu i wpatrzony w ciemność, zaczął nasłuchiwać.

– Przestań mnie straszyć! – Paulina spojrzała na niego urażonym wzrokiem. – To wcale nie jest śmieszne!

Igor odwrócił się do nich tyłem i oświetlił zniszczony fragment korytarza. Zapadlisko ciągnęło się na odcinku kilku metrów. Wystające ze ściany korzenie zasłaniały w znacznym stopniu widok na dalszą część tunelu, rzucając na ściany kostropate, splątane, szponiaste cienie. Igor ukucnął, próbując oświetlić dalszą, niknącą za korzeniami część korytarza.

– Możemy tam wejść? – Johann pochylił się nad zawaliskiem.

– Zwariowałeś? – Paulina spojrzała na niego z oburzeniem.

Była zdenerwowana, bardziej, niż dawała po sobie poznać. Zatrzaśnięta ściana, klaustrofobiczne lochy i ciemność przerażały ją do szpiku kości. Sytuacja przerosła ją już w korytarzyku z trupem. Teraz irytowała się beztroską Johanna i Igora. Zachowywali się, jakby nie było żadnego niebezpieczeństwa, a przecież *naprawdę* mogą stąd nie wyjść. Kto będzie ich tutaj szukał? Prawdopodobnie nawet do tych pomieszczeń pod tarasem Wałów Chrobrego nikt nie wchodzi całymi miesiącami, a co dopiero tu.

– Ona ma rację – niespodziewanie poparł ją Igor. – Ten strop nie wygląda dobrze. Ma naruszoną konstrukcję, trzyma się na spoinach.

W głębi korytarza, za ich plecami rozległ się nagle głośny szmer. Tym razem usłyszeli go wszyscy troje.

– Słyszeliście? – Johann odwrócił się do Igora.

– Może jednak są tutaj szczury? – Paulina się wzdrygnęła.

Igor odwrócił się i skierował reflektor w głąb tunelu. W odległości kilkunastu metrów zauważyli jakiś ruch, a po chwili zabłysło światło.

Ktoś szedł w ich kierunku.

Igor zmarszczył brwi. Z tej odległości było już widać, że w ich stronę podąża kilka osób. W świetle reflektora włosy pierwszego z nadchodzących

zabłyśły złotym blaskiem.

## Rozdział 43

Znowu się spotykamy! – Hans się uśmiechnął i wystawił przed siebie rękę, zasłaniając reflektor, który Paulina skierowała w jego stronę. – Zabierz to światło!

Paulina opuściła rękę. Świetlna plama wbiła się w posadzkę.

– Markus! – Niemiec zarechotał, nie spuszczając wzroku z Pauliny. – Nie ma z nimi kundla. Możesz przestać trząść portkami!

Stojący z tyłu Matthias parsknął śmiechem i wykrzywił się do Markusa, który wzruszył ramionami ze złością.

W tym momencie Igor spostrzegł, że za plecami Niemców stoi Dorota.

– Ty z nimi? A ja myślałem, że źle cię oceniam – powiedział zimno, patrząc jej w oczy.

Czy mu się wydawało, czy przez chwilę dostrzegł na jej twarzy rozgoryczenie?

– Zawsze wszystko wiesz najlepiej, prawda? – odpowiedziała chłodno.

– Mówiłaś, że wyjeżdżasz i że nie masz z nimi nic wspólnego.

– Bo to była prawda!

– Nie wyglądasz na kogoś, kto nie ma z nimi nic wspólnego! – rzucił ze złością.

– Gdyby nie twoja żona, to tak szybko byśmy nie wpadli na to, gdzie w tym mieście stoi pomnik Zwycięzcy. – Hans popatrzył na Dorotę ironicznie.

– Nie jest moją żoną. – Igor zacisnął zęby.

– Nie nasza sprawa, ale z tego, co widzę, to nie musieliśmy się śpieszyć. Równie dobrze mogliśmy przybyć tutaj za miesiąc, wtedy nie sprawialibyście nam już kłopotów. – Hans parsknął krótkim śmiechem. – Jak można było nie zabezpieczyć płyty przed zamknięciem? Co za kretyni!



Paulina nie poczuła się specjalnie urażona. Raczej z ulgą przyjęła fakt, że oni jednak o tym pomyśleli.

– Dosyć! – odezwał się milcząco do tej pory Parsov. – Idziemy! Jesteśmy już zaledwie o kilka kroków!

– Wiecie, dokąd prowadzi ten korytarz? – Igor spojrział na starego Niemca.

– Panie Fleming, w moim wieku pamięta się rzeczy, o których pana uczyli w szkole. Legenda o podziemnym przejściu pomiędzy zamkiem a Oderburgiem była za czasów mojego dzieciństwa bardzo znana. W miejscu Oderburga przed wojną stała willa właściciela huty Hedwigshütte[47], kolejnego masona Jamesa Stevensona. Mój ojciec bywał u niego bardzo często. Sam pamiętam, że na terenie parku wokół domu jeszcze poprzedni właściciel zbudował dziwną wieżę widokową, a na skraju ogrodu było wejście do ostatnich zachowanych pozostałości zamku. Jako dziecko myślałem, że to straszne lochy, które prowadzą nie tylko do szczecińskiego zamku, ale i do Berlina. Dzisiaj sędzę, że to były tylko resztki suterenu dawnej części gospodarczej.

Faktycznie! Igor przypomniał sobie w tym momencie o kolejach losu pałacyku na skarpie Odry, który na początku XX wieku został zakupiony przez szkockiego przemysłowca. Więc jednak mieli rację. Loża przez prawie półtora wieku kontrolowała dawne wzgórze zamkowe. Po śmierci Kressmana, gdy jego rodzina chciała się pozbyć posiadłości, prawdopodobnie zadbali o to, żeby nie dostała się w przypadkowe ręce.

– Ten korytarz dalej jest w bardzo złym stanie. Strop może się zawalić w każdej chwili – powiedział, wskazując reflektorem zniszczone cegły i odpajające się od oparcia sklepienie.

Parsov spojrział w ślad za snopem światła i przeniósł niezdecydowany wzrok na Igora.

– On nie blefuje – odezwała się cicho Dorota. – Te sklepienia naprawdę ledwo się trzymają, a nad nami jest jakieś dziesięć metrów gruzu i ziemi.

Hans przejechał wzrokiem po zrujnowanym korytarzu i zacisnął zęby. Popatrzył na Igora z irytacją. Nie ufał mu. Wiedział, że Fleming jako architekt potrafi ocenić ryzyko w takiej sytuacji, ale tym bardziej mógł kręcić. Całkiem udatnie wyszły mu kręactwa z lochami pod kościołem Mariackim.

Uśmiechnął się i obrzucił wzrokiem Paulinę i Johanna.

– Jeśli wy przejdziecie, to nam też się uda – uśmiechnął się zjadliwie. – Jak się zawali, to cóż, wtedy będziemy mieć pewność, że nie należało tam włązić.

Paulina spojrzała ze strachem w głąb zniszczonego tunelu.

– Odbiło ci, ty pieprzony nazisto! Myślisz, że jak się zawali, to tylko pod tymi korzeniami? Pewnie spora część tego niby w dobrym stanie korytarza też runie.

– To się zobaczy! – wycedził twardo Hans i machnął reflektorem w kierunku zapadliska. – Włązić!

– Nigdzie nie zamierzam włązić!

– Wolisz, żebym cię zastrzelił? – Hans spojrzał na nią ironicznie. – Gwarantuję ci, że wtedy twoi dwaj rycerze grzecznie pójdą tam, dokąd im każemy.

Igor patrzył na Dorotę. Czy on w ogóle nigdy jej nie znał? Czy aż tak się zmieniła?

– Odpieprz się od niej! Pójdę pierwszy – rzucił w kierunku Hansa i nie czekając na niczyją odpowiedź, ostrożnie zeskoczył na grząską warstwę gruzu i błota. Kilka metrów przed nim ciągnęła się zniszczona i zapadnięta posadzka. Dalej było gruzowisko i przyczajona nad nim ogromna, czarna kałamarnica martwych korzeni.

Omiatając podłogę reflektorem, przeszedł powoli tunelem. Pomiędzy zniszczonymi cegłami posadzki była gruba warstwa ziemi, w której buty zapadały się prawie po kostki. Po kilku krokach poczuł, że ma mokre skarpetki. Mógł włożyć caterpillary zamiast tych pieprzonych trampek!

Po prawej stronie korytarza fragment stropu był zawalony na odcinku prawie dwóch metrów. To tędy do tunelu dostały się korzenie jakiegoś starego drzewa, po którym na powierzchni nie ma już śladu od lat. Po lewej natomiast, pomiędzy czarnymi zadziarami, widać było przejście do dalszej części. Dopiero stojąc tak blisko, mógł oświetlić ciągnący się przed nim tunel. Jakieś cztery, pięć metrów dalej korytarz wydawał się nietknięty. Zapadnięta posadzka powoli wspinająca się do góry. Sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął scyzoryk. Ostrożnie, starając się nie szarpać całością, odciął parę większych korzeni, poszerzając przejście.

– Dobra! Teraz wy! – Hans machnął reflektorem w kierunku Johanna i Pauliny.

Johann zeskoczył na zwalisko ziemi i gruzu i podał rękę Paulinie. Po chwili oboje szli powoli w kierunku Igora, który zaczął się już przedzierać przez gąszcz korzeni.

– Ostrożnie przy tych gałęziach! – powiedział, patrząc na Paulinę. – Nie szarpnijcie za nie, bo to wszystko zleci na dół.

– Mam nadzieję, że zleci na tych degeneratów – odparła, wyciągając nogę z błota.

– To wtedy nie wyjdziemy stąd już na pewno. Z Oderburga pewnie nie ma żadnego wyjścia – mruknął Johann, ostrożnie łapiąc za pierwsze korzenie.

– Powiem więcej, nie ma nawet żadnego Oderburga – syknęła Paulina.

– Skarbu pewnie też nie – dodał Igor.

– Super! Znowu mi się jakoś przypomniały najgłupsze przypadki śmierci na YouTube – szepnął Johann.

Paulina przecisnęła się przez korzenie i stanęła obok Igora.

Hans, który przypatrywał się w milczeniu, jak cała trójka przedarła się przez zwalisko gruzu i korzeni, spojrzął na Parsova.

– Idziemy! – rzucił i zeskoczył prosto w błoto. Miał na sobie wysokie traperskie buty.

Po chwili cała grupa, jedno za drugim, szła powoli wzdłuż zniszczonych ścian w kierunku korzennego zatoru. W połowie drogi Matthias, który szedł ostatni, przystanął i pochylił się, żeby poprawić wystającą z wysokiego buta nogawkę.

– Nie opieraj się o ścianę, głąbie! – krzyknął nagle Igor.

Na głowę Niemca posypała się zwietrzała zaprawa i małe fragmenty gruzu.

Wszyscy na moment zamarli. Igor pomyślał, że to jest ten rodzaj sekund, które trwają godzinę. Ze zniszczonego sklepienia posypało się jeszcze trochę gruzu, w powietrzu przez chwilę unosił się pył i kurz, po czym wszystko powoli zamarło.

W absolutnej ciszy słyhać było tylko, jak wszyscy ponownie zaczynają oddychać.

\*

Łódź patrolowa powoli płynęła wzdłuż nabrzeża Starówka. Robiła kolejne okrążenie Wyspy Grodzkiej. Powietrze było gorące i wilgotne, a wzmagający się wiatr podnosił na wodzie niewielkie fale, które rozbijały się o burty białej motorówki. Od strony Wałów Chrobrego dochodził dudniący jazgot.

Wzdłuż całego nabrzeża u stóp Wałów Chrobrego stały dziesiątki łodzi i jachtów, które ściągnęły tutaj z marin na jeziorze Dąbskim. Wewnątrz każdej z nich były dobrze wypełnione lodówki, pełne czteropaków piwa.

– Pogoda może się zmienić bardzo gwałtownie – mruknął ze sterówki brodaty policjant, który wpatrywał się w monitor.

– Zapowiadali przecież burzę i deszcz, ale dopiero na trzecią, czwartą.

Młody policjant w białej koszuli z pagonami siedział na burcie i wpatrywał się w nabrzeża wyspy, gdzie kołysały się pojedyncze łódki, których załogi niezainteresowane imprezą pod tarasami czekały na pokaz sztucznych ogni.

– Tak, ale chyba lunie wcześniej – krzyknął ze środka brodac. – Przed chwilą dzwonili z meteo, że może być silny wiatr.

Policjant na burcie westchnął.

– Trzeba zrobić rundę i uprzedzić tych wszystkich balangowiczów na krypach, żeby zachowali czujność i nie żłopali tyle piwa.

\*

Korytarz skończył się przed ścianą z prostopadłościennych granitowych bloków. W szarej płaszczyźnie ze szczelnie dopasowanych kamieni ział ciemny otwór, przesklepiony wielkim nadprożem z granitu. Igor szturchnął dłonią Paulinę, wskazując brodą kamienny blok nad przejściem. Były w nim wykute litery, które układały się w znane im słowo.

## GOTTESGNADE

Johann zatrzymał się i spojrzął w ślad za ich wzrokiem. Na jego twarzy na chwilę zagościł uśmiech niedowierzania. Igor zrobił krok do przodu i minął kamienny portal. Znalazł się w korytarzu, który biegł poprzecznie. Z prawej strony był zamknięty kamienną ścianą, z lewej ciągnął się przez kilkanaście metrów, po czym najwyraźniej ponownie skręcał w prawo. Miał szerokość

może dwóch metrów, za to był bardzo wysoki.

Igor podniósł reflektor i omiół światłem zawieszony na wysokości jakichś sześciu, a może nawet siedmiu metrów, sklepienie. Ściany korytarza wykonane były z doskonale dopasowanych, ciętych kamieni granitowych. Wyciągnął rękę i dotknął zimnej płaszczyzny.

Dziwne uczucie. Czuł się tak czasem, gdy stał przed jakimś starym obrazem lub rzeźbą. Jakby czas uległ zagięciu. Wystarczyło wyciągnąć rękę i dotykało się czegoś, co powstało setki lat temu. Jak wehikuł czasu lub lustro z *Alicji w Krainie Czarów*, które miało moc przenoszenia do innej rzeczywistości. Dotykając zimnej, kamiennej ściany, pomyślał, że przecież tak samo wyglądała prawie tysiąc lat temu. Prawie tysiąc lat temu ktoś ją także dotykał, ktoś tędy przechodził, podążając w jakichś swoich sprawach. Jakiś mnich, jakiś rycerz, może służący. Czas oddzielający tamte wydarzenia skrócił się w tym momencie do tej jednej krótkiej chwili, gdy jego palce dotknęły kamienia.

– Jesteśmy naprawdę w lochach Oderburga – szepnęła Paulina, wyrywając Igora z pętli teorii względności. – To niesamowite!

Odwrócił się. Nie zauważył, że weszła tuż za nim i stanęła praktycznie za jego plecami. Johann wycelował reflektor w głąb wąskiego korytarza i ruszył przed siebie.

Z grupy Parsova pierwszy do lochu wszedł Hans. Zadarł głowę i obracając się wokół własnej osi, obejrzał wysoko zawieszony sklepienie. Za nim weszła Dorota i po kolei pozostali. Powoli zaczęli przemieszczać się w stronę zakrętu. Korytarz skręcał pod kątem prostym, dalej ciągnął się jeszcze przez kilkanaście metrów, po czym kończył się litą, kamienną ścianą.

– No i koniec! – mruknął Johann, podchodząc do ściany. Postukał w nią pięścią.

– Niemożliwe – jęknęła Paulina. – Musi być jakieś przejście!

Kamienny portal z napisem GOTTESGNADÉ, który dopiero co minęli, wyzwolił w niej nową dawkę energii, a przede wszystkim ciekawość. Strach towarzyszący jej od początku, odkąd tylko znaleźli się pod ziemią, jakoś zbladł. Ślepy korytarz był rozczarowaniem, które poczuła wręcz fizycznie.

– Puść! – Hans bezceremonialnie wyminął Igora, przepychając się do przodu.

Wyjął z podręcznego plecaka duży łom i zaczął ostukiwać ścianę.

Zdążyli przygotować się do tej wycieczki, pomyślał Igor.

Ściana wydawała jednolity, matowy odgłos. Nic nie wskazywało na to, że jest za nią jakaś przestrzeń. Po prawej stronie korytarza, na wysokości jakichś dwóch metrów, w ścianę wpasowany był potężny, ułożony poziomo, granitowy cios.

Igor powoli przejechał światłem reflektora po kamiennej płaszczyźnie. Miał ponad metr długości, nawet półtora. Czy możliwe, że to jest... Podszedł bliżej i sięgnąwszy do swojego plecaka, wyciągnął łom. Uderzył nim mocno w płaszczyznę ściany pod blokiem. Wydała głuchy odgłos, ale za to z miejsca uderzenia posypał się na ziemię szary proch. Pochylił się i obejrzał powstałe przed chwilą uszkodzenie. Przecież to jest...

– To jest beton! – powiedział głośno.

– No i co z tego? – Matthias wzruszył ramionami.

– W średniowieczu nie znano betonu, głąbie! – Igor spojrział na niego z pogardą.

– Jeszcze raz mnie tak nazwij, a wcisnę ci łeb między te kamienie! – Matthias zacisnął szczęki.

Igor odsłonił zęby. Nie do końca można to było nazwać uśmiechem.

– Dobra, tygryski! To bardzo podniecające, ale teraz się odsuńcie! – Hans wycelował reflektor prosto w stojących naprzeciwko siebie mężczyzn.

Podszedł do bocznej ściany i dotknął dużego szarego bloku, który początkowo brali za wielki kamień.

– Faktycznie! To chyba było przejście! Ten kamulec nad nim wygląda na stare nadproże. Musieli to zamurować przynajmniej w dziewiętnastym wieku. Pomóż mi! – Kiwnął głową do Johanna.

Naparł ramieniem na betonowy blok. Johann tuż obok zaparł się nogami w posadzkę. Po chwili rozległ się cichy zgrzyt i dół płyty przesunął się o milimetr. Na chwilę zamarli.

– Dalej! – mruknął Hans i naparł ramieniem na ścianę.

Bardzo powoli przesunęła się w głąb, jednocześnie leciutko podnosząc.

Ten sam mechanizm wielkiego gwinta, pomyślał Igor. Musieli to wykonać mniej więcej w tym samym czasie.

Po chwili blok przesunął się na tyle, że pomiędzy nim a resztą ściany zrobiła się wąska, ale całkowicie wystarczająca na przejście szpara. Hans wsadził do otworu rękę z reflektorem i ostrożnie zajrzał.

– Jakieś wielkie pomieszczenie – powiedział, patrząc w kierunku stojącego z tyłu Parsova, po czym precyzyjnie się bokiem i zniknął w ciemnej czeluści.

\*

Sala, do której weszli, przypominała wnętrze kościoła. Podzielona na trzy „nawy”, oddzielone dwoma rzędami potężnych słupów. Ściany wykonane były z takich samych bloków granitu jak korytarz, którym się tutaj dostali. Słupy podierały wznoszące się na wysokości kilku metrów sklepienia.

Igor zrobił parę kroków w głąb pomieszczenia i wycelował reflektor wzdłuż środkowej „nawy”. Na jej końcu znajdował się podest, na którym na tle ściany ustawiony był kamienny blok w kształcie krzyża.

Więc to jest ta tajna świątynia loży masońskiej, powiedział do siebie. Przeszedł jeszcze kawałek i stanął pomiędzy dwoma filarami. Każdy z nich miał ponad metr średnicy, oparty był na profilowanej podstawie, a zakończony u szczytu prostą głowicą.

– Mają entazis – odezwała się cicho Dorota, wskazując na zwężenie na trzonie kolumny.

– Co to jest entazis? – spytała równie cicho Paulina, stając obok.

Igor obejrzał się. Był tak skupiony na kontemplowaniu wnętrza, że nie zauważył nawet, gdy obie podeszły i stanęły przy nim.

– Zwężenie kolumny na jednej trzeciej wysokości – odpowiedział, patrząc niechętnie na Dorotę. – Klasyczny porządek.

– W takim razie to nie jest średniowieczne wnętrze. – Paulina rozejrzała się wokoło. – O ile wiem, w gotyku nie stosowano wzorów antycznych.

– Najprawdopodobniej zostało przebudowane w czasie remontu klasztoru – powiedziała Dorota z ledwie wyczuwalną protekcjonalną nutą w głosie. – To był akurat rozkwit renesansu.

– Teraz sobie urządzasz z nami pogawędki o historii sztuki? – warknął Igor. – A dopiero co oddałaś nas w ręce tych bandziorów.

– Zaciągnęli mnie tutaj siłą! – Dorota spojrzała na niego spod ściągniętych

gniewnie brwi. – Podali mi narkotyk i wyciągnęli podstępem z hotelu! Musiałam im coś powiedzieć! Skąd miałam wiedzieć, że wejdziecie tutaj przed nimi.

– A o tym, że jadąc na cmentarz przy ruinach dworu, wpakujemy się prosto w ich łapy, też nie wiedziałaś? – syknęła Paulina.

– Skąd niby miałam wiedzieć, że was tam poniesie?

– Mogłaś mu powiedzieć, że ruiny należą do tego Szwaba. – Paulina wskazała głową Igora

– Przecież nie wiedziałam, że te ruiny mają jakiś związek z waszym pieprzonym śledztwem! Nie jestem jasnowidzem. – Dorota spojrzała na Igora i postukała się palcem w czoło. – Gdybyś mi powiedział o tym cmentarzu, zamiast robić z tego tajemnicę, to bym cię ostrzegła, że dwór należy do Parsova.

Igor zacisnął gniewnie usta. Stoją w lochach zamku, o którym od setek lat krążyły legendy, i zamiast skupić się na tym, co pozostało tutaj nietknięte po latach wojen i zniszczeń, to oni kłócą się jak idioci.

– Lepiej pomyślmy, jak się od nich uwolnić – Dorota zniżyła głos.

– W dalszym ciągu nie jestem przekonana, czy od ciebie przypadkiem też nie powinniśmy się uwolnić. – Paulina rzuciła jej wrogie spojrzenie.

– Gdybym znała cię trochę lepiej, tobym ci poradziła, żebyś nie była idiotką!

Stali pod jednym z wielkich filarów. Trzy reflektory, każdy skierowany w innym kierunku, rzucały promienie światła, które w miarę podnoszenia się temperatury rozmowy w coraz bardziej nieskoordynowany sposób miały się po ścianach.

– Zamknijcie się! – syknął Igor i pochylił się do byłej żony. – Wiesz, że ten twój stary Niemiec mówi perfekcyjnie po polsku?

Dorota rozejrzała się dyskretnie wokół siebie.

Matthias został przy drzwiach, natomiast pozostała trójka obchodziła właśnie pomieszczenie dookoła, oświetlając wszystkie zakamarki. Wydawali się zaaferowani na tyle, że mogli nie słyszeć ich rozmowy. W panującej ciszy słyhać było tylko trzask ziarenek piasku pod podeszwami butów. W pewnym momencie jeden ze snopów światła zahaczył w mroku o coś kolorowego. Hans, który stanął właśnie w narożniku sali, gwałtownie cofnął



reflektor i skierował go na ścianę, po której przed chwilą przemknął promień światła.

Igor spojrział w tym kierunku i zamarł. Na dużym fragmencie ściany pokrytej tynkiem widać było spłowiałe barwy jakichś malowideł. Dolną część, pomalowaną jednolitym ciemnym kolorem, oddzielał od części górnej dekoracyjny pas. Środkowa część, najszersza, przypominała malowidła iluzjonistyczne z XVIII-wiecznych pałaców. Na tle ledwie widocznej spłowiałej zieleni ukazane były roślinne, wijące się girlandy, a pomiędzy nimi postacie dzikich zwierząt.

– Jak na renesans to raczej nietypowe. – Dorota zmarszczyła brwi, podchodząc do ściany.

– To lwy? – spytała Paulina, przekrzywiając głowę i patrząc na stylizowane postacie wielkich dzikich kotów, nad którymi unosiły się stworzenia z głowami orłów oraz z potężnymi, uzbrojonymi w pazury łapami.

– Raczej gryfy. – Igor omiótł światłem ścianę.

– Mam na myśli te wielkie koty.

– Być może. – Pokiwał głową.

Dorota miała rację. Malowidła były bardzo nietypowe. Układ i stylizacja bardziej przywodziły na myśl malarstwo iluzjonistyczne późnego baroku lub klasycyzmu niż wzory renesansowe. Czy to możliwe, że zostały wykonane już za czasów loży? Malowidła zachowały się na tych fragmentach ścian, gdzie przetrwał tynk, na pozostałych widać było jedynie plamy zniszczonych warstw tynkarskich i pierwotną strukturę kamienia i cegły.

– Jakie było przeznaczenie tej sali? – Paulina spojrzała na Igora i zadarła głowę do góry.

Igor wzruszył ramionami. Mimo planu przypominającego kościół lub kaplicę poza kamiennym krzyżem w ścianie frontowej nie było tutaj żadnych innych symboli chrześcijańskich. Możliwe nawet, że to po prostu jakieś pomieszczenie gospodarcze, piwnica na wina na przykład albo coś w tym stylu. Kartuzi prowadzili praktycznie wielkie przedsiębiorstwo. Produkcja ich słynnego w całej Europie eliksiru długowieczności, przygotowywanego ze stu trzydziestu ziół, wymagała pewnie dużej powierzchni do gromadzenia, suszenia i przygotowywania tak wielkiej ilości składników. Może to dopiero

łoża zaadaptowała ten loch na swoje cele?

– Wzgórze zamkowe zostało splantowane, mimo to nawet teraz znajdujemy się jakieś dziesięć metrów pod poziomem terenu. – Paulina popatrzyła na Igora sceptycznie. – To musiała być druga albo i trzecia kondygnacja podziemna.

Faktycznie! Igor zadarł głowę do góry. Podparty potężnymi kolumnami strop nikał w mroku. No i gdzieś musiało być zejście z wyższych poziomów.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos głośnego uderzenia.

– *Scheiße!* – Hans z całej siły przywalił łomem w kamienny krzyż usytuowany na ścianie zamykającej wielką salę i odwrócił się do Parsova. – Niczego tu nie ma!

Dopiero w tym momencie Igor przypomniał sobie, że weszli tutaj w poszukiwaniu majątku łoży masonskiej. W istnienie tego skarbu tak naprawdę nie bardzo wierzył, dlatego dość łatwo mu było odsunąć go na bok w zestawieniu z mistyczną wręcz tajemnicą pochodzenia i przeznaczenia ogromnej sali, w której się znaleźli.

– Nic, żadnego przejścia, niczego! – wrzasnął Hans.

– A co z tymi płytami? – odezwał się Matthias, kierując reflektor w kierunku umieszczonego w bocznej ścianie kamiennego bloku o gabarytach przypominających ten, dzięki któremu się tutaj dostali.

– Ani drgnie. Próbowaliśmy z Markusem. – Hans pokręcił głową. – Nie jest ruchoma. Poza tym to granit, nie beton.

– *Circulus vitiosus* – odezwał się nagle Johann z głębi pomieszczenia.

Na moment zapadła cisza. Hans, zaskoczony niespodziewanym łacińskim zwrotem, patrzył, marszcząc wściekle brwi, w kierunku narożnika sali, gdzie w półmroku stał Johann.

– Co takiego? – spytał zaskoczony Parsov.

– Błędne koło. – Igor ruszył w kierunku Johanna. Co on tam znalazł?

Zatrzymał się przy Johannie i podążył za jego wzrokiem. W kącie pomieszczenia, ułożone w sporą stertę, leżały pozbijane z desek ramy. Widać było na nich ślady mechanicznego otwierania. Fragmenty były zniszczone, porąbane, prawdopodobnie siekierami. Część ram stała oparta o ściany.

Przykrywała je, niczym szarym całunem, spora warstwa kurzu.

Dopiero po dłuższej chwili Igor zauważył to, na co konkretnie patrzył Johann.

Na jednej z ram czarną farbą wykonany był napis: STADTISCHES MUSEUM STETTIN.

\*

– Weszli przecież jacyś kolesie z laską. – Młody chłopak w czarnej koszulce bez rękawów wskazał palcem stalowe drzwi.

– Przywidziało ci się. Nie można tam wchodzić i koniec. – Monter z zakładu energetycznego westchnął i wytarł pot z czoła. Dopiero co skończyli wymieniać koło.

Za każdym razem jest tak samo. Zawsze ktoś chce wleźć pod taras.

– No przecież widziałem! – Chłopak podniósł głos. Jego dwaj koledzy, którzy stali obok, popatrzyli niechętnie na montera.

– A jak poprosimy ładnie? – zaćwierkała zawieszona na ramieniu jednego z chłopaków dziewczyna w różowej bluzce i białej krótkiej spódnicy.

– Nie wolno! – Monter pokręcił głową. – Tam jest transformator. Wysokie napięcie. Nie wolno nikomu tam wchodzić.

– No kurwa! – chłopak w czarnej koszulce odwrócił się i pociągnął łyk z biało-czerwonej puszki.

– Idziemy. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Nie, to nie!

Cała grupa, obrzuciwszy jeszcze groźnymi spojrzeniami pracownika zakładu energetycznego, ruszyła w kierunku sceny. Kilka metrów dalej stał Pilecki i przypatrywał się stalowym drzwiom.

\*

– No, i macie swój pieprzony masoński skarb! – Dorota uśmiechnęła się zjadliwie do Hansa. – Czy mi się wydaje, czy ta banda staruszków, których wysłaliście w zaświaty, zrobiła was pośmiertnie w konia?

Hans spojrzał na nią z wściekłością.

– Jakich staruszków? – Paulina odwróciła się do Doroty i spojrzała na nią

szeroko otwartymi oczami.

Igor popatrzył niepewnie na Hansa. Bał się, że Dorota przeholuje. Kto im przeszkodzi wystrzelać ich tutaj jak kaczki i zostawić? Nikt ich nigdy nie znajdzie.

– Niech pani nie bredzi! – Parsov spojrział na nią pogardliwie. – Powtarza pani brednie, które wypisywały kilka lat temu brukowce. Wygrałem dwa procesy z tymi szmatławcami, ale tego to już pani nie doczytała?

– Jakich staruszków? – dopytywała się dalej Paulina.

Niech one przestaną! Igor zacisnął pięści. Te bandziory nas przecież zamordują!

– Czterech członków loży Pod Trzema Cyrklami zginęło w tajemniczych okolicznościach zaraz po tym, jak „Bild” wydrukował artykuł o masońskim skarbie ukrytym w Szczecinie.

– Brednie! – Parsov pokręcił głową, patrząc na Dorotę z pogardą.

– Miał pan rację! – powiedział Igor głośno, przerywając Dorocie. Sądząc po jej minie, chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Igor zdecydowanie wołał, żeby się zamknęła.

Parsov spojrział na niego ze zdziwieniem. Przez chwilę panowała cisza.

– Rację z czym? – zapytał w końcu Hans, patrząc na niego uważnie.

– Błędne koło! *Circulus vitiosus!* Wymyślona przez szczecińskich masonów historia, zapętłająca się w zamknięty krąg absurdów. Miała na celu wciągnięcie ewentualnych poszukiwaczy w wir wskazówek, śladów, tajemnic i w efekcie wyprowadzenie wszystkich w pole. Zabezpieczyli przed końcem wojny swój majątek ze szczecińskich banków i muzeów, a do właściwej skrytki nie zostawili żadnych wskazówek.

Igor spojrział na Parsova i wzruszył ramionami.

– Zrobili z nas głupców!

– A to? – Johann wskazał palcem stertę starych desek.

– Albo rzeczywiście ulokowali tutaj wszystko, a później gdzieś przenieśli, albo jest to po prostu scenografia.

– Co takiego? – Hans na chwilę stracił właściwy sobie nieprzenikniony, zimny grymas na rzecz kompletnego zaskoczenia.

– Upozorowali to, żeby wyglądało, jakby gdzieś wszystko zabrali w ostatniej chwili. W rzeczywistości pewnie skrzynie ze skarbami zostały wywiezione przed wojną w zupełnie inne miejsce.

Parsov zmarszczył brwi. Stał mu przed oczami nagle wieczór we dworze u Raminów. Dawno, dawno temu, w innym świecie, gdy jako mały chłopak podsłuchiwał rozmowę ojca i trzech innych mężczyzn. Wszyscy należeli do *Loge zu den drei Zirkeln*. Usłyszał wtedy o akcji „Walkiria”. O tym, że chodziło o zamach na Hitlera w Wilczym Szańcu, dowiedział się długo potem. Tak jak i o tym, że Barnim von Ramin brał udział w tym spisku.

*...Jeśli akcja Walkiria się powiedzie, to losy Niemiec potoczą się inaczej i nie będziemy musieli martwić się planem B...*

To były słowa Barmina von Ramina. Pamiętał je do dziś.

Plan B. Zamach się nie powiódł. Większość spiskowców została stracona, a Ramin zapadł się wówczas pod ziemię. Dosłownie, jak się teraz okazało. Więc zrealizowali jakiś plan B? Czy to możliwe, by po latach poszukiwań okazało się, że ów degenerat, który sprowadził jego ojca na złą drogę, wywiódł wszystkich w pole?

– Raz się prawie nabraliśmy na twoje mętne historyjki i wystarczy! – powiedział Hans, patrząc na Igora twardym wzrokiem.

– To nie są żadne historyjki! – Igor zmarszczył brwi. – Naprawdę tak uważam!

– Wiecie, gdzie jesteśmy? – Hans spojrzał z uśmiechem na Igora, a potem kolejno na Paulinę i Johanna. – Nikt nigdy nie będzie was tutaj szukał – powiedział z groźbą w głosie.

Cholera! Chyba przeczytał mi to w myślach, przemknęło Igorowi przez głowę. Na psa Pauliny raczej tym razem nie ma co liczyć.

– I do czego niby ma to nas przekonać? – Paulina machnęła w kierunku Hansa reflektorem. – Sądzisz, że wiemy, gdzie jest ten pieprzony skarb? I pewnie dlatego wleźliśmy do tych lochów i łazimy tutaj po omacku od kilku godzin?

– A wystarczyło, zamiast donosić na swojego ojca do SS, wysłuchać tego, co miał do powiedzenia. – Dorota zmrużyła oczy i popatrzyła na Parsova.

– Zamknij się! – Hans spojrzał na nią wściekle.

Dorota uśmiechnęła się pod nosem.

– Pewnie przekazałby panu tę tajemnicę, a zamiast tego został zakatowany na śmierć przez pańskich nazistowskich współników.

– Nie wiesz, co mówisz, ty tępą wiedźmo! – Parsov stracił panowanie nad sobą. – Kolaborowanie z tymi łajdakami narażało na niebezpieczeństwo nie tylko jego, ale i moją matkę, i całą rodzinę. Sam był sobie winny!

– Jasne! – Dorota uśmiechnęła się szyderczo.

– Powiedziałem, żebyś się zamknęła! – wrzasnął Hans.

Matthias, który stał kilka kroków dalej, zacisnął szczęki i ruszył zdecydowanie w kierunku Doroty. Tym razem jednak jej nie zaskoczył.

Gdy był już tylko dwa kroki od niej, gwałtownie odwróciła się w jego kierunku, wyprowadzając jednocześnie nogą całkowicie profesjonalne kopnięcie okrężne. Siła fachowo wykonanego *mawashi-geri* jest na tyle duża, że nawet przeciętnej budowy kobieta jest w stanie zwalić z nóg o wiele większego mężczyznę. Matthias poleciał jak kłoda i wyrznął plecami o kamienną posadzkę. Latarka wyleciała mu z ręki i poturlała się pod ścianę.

Stojący z drugiej strony Markus drgnął, ale zdołał zrobić tylko jeden krok w kierunku Doroty. Uderzony, a następnie podcięty przez Johanna, poleciał prosto w połamane ramy, wzbijając tuman kurzu.

Zaskoczony niespodziewanym rozwojem wydarzeń Hans szarpnął się i sięgnął do paska, lecz w tym samym momencie Dorota kolejnym celnym kopnięciem wytrąciła mu reflektor z ręki. Hans zachwiał się i tracąc równowagę, wylądował na ziemi.

Dorota, nie czekając, aż któryś z Niemców się podniesie, ruszyła biegiem w kierunku półotwartych kamiennych wierzei. Na moment zapanował chaos. Markus zerwał się gwałtownie spomiędzy sterty zniszczonych desek i ruszył wściekle w kierunku Johanna. Matthias, który poderwał się wcześniej, na ułamek sekundy stracił orientację, czy rzucić się w kierunku Igora i Pauliny, czy biec za Dorotą. Leżące na posadzce, porzrzucone reflektory rzucały świetlne promienie na ściany. W trwającym jedynie krótkie sekundy rejwachu rozległy się nagle głośne strzały, po których wszyscy zamarli w scenograficznych wręcz ujęciach.

– Biegnij za tą suką! – przerwał ciszę Hans, wrzeszcząc do Matthiasa. Celując w Johanna, sięgnął po reflektor i podniósł się z ziemi.

Igor i Paulina stali jak sparaliżowani. Wszystko stało się tak

błyskawicznie, że nawet nie zdążyli się przestraszyć. Igor spojrział na Markusa, który z zaciśniętymi pięściami stał przed Johannem.

Kiedy ona zaczęła się uczyć karate?

– Dosyć tego! – rzucił wściekle Hans do Markusa, patrząc jednocześnie groźnie na zatrzymanego niczym w stop-klatce Johanna. – Kolejny mistrz walki wręcz, niezależnie od płci – w tym momencie spojrział na Paulinę – będzie martwym mistrzem walki wręcz! Jazda wszyscy pod ścianę! – Hans zrobił krok w stronę Igora, machając pistoletem w kierunku kamiennej ściany pomieszczenia.

– Nie zamierzacie nas chyba zastrzelić? – krzyknęła Paulina, wpatrując się z przerażeniem w pistolet Hansa.

– Po co? – Hans uśmiechnął się zjadliwie. – Jak już powiedziałem, nikt nie będzie was tutaj szukał. Zabieramy się stąd! Ruchy! – rzucił do Markusa, który wciąż dyszał chęcią zemsty na Johannie.

– Nie możecie nas tutaj zamknąć! – Paulina zrobiła krok w kierunku Hansa, ale ten, nauczony widać doświadczeniem sprzed paru chwil, podniósł ostrzegawczo pistolet.

– Nie ruszaj się! – warknął.

Parsov, który przez kilka ostatnich minut stał nieruchomo, zdając się całkowicie na bieg wydarzeń, ruszył w kierunku wyjścia. Nie obejrzał się nawet za siebie. Hans, nie spuszczając oczu z całej trójki, zaczął się powoli wycofywać. Kiwnął na Markusa, żeby wyszedł pierwszy, po czym zniknął w szparze pomiędzy wielkimi monolitycznymi blokami.

Głośny chrobot zamykającej się betonowej płyty na chwilę wypełnił całą salę, po czym zapadła cisza. \*

Dorota dobiegła do otworu, nad którym znajdowało się kamienne nadproże z napisem GOTTESGNADE, i nie zwalniając, pognąła ceglanym tunelem w kierunku zapadliska. Idąc tutaj, rozglądała się uważnie, usiłując zapamiętać topografię. Wchodząc do tych lochów, spodziewała się labiryntu korytarzy, jeden prosty zatem wszystko ułatwił. Droga do zawalonej części zajęła jej może pięć minut.

Zbiegła prosto w błoto i przebrnęła w kierunku czarnej płataniny korzeni. Odsunęła je ostrożnie, omiatając reflektorem rozwalone sklepienie, i zaczęła

się przeciskać między czarnymi splotami martwych konarów.

Wiedziała, że będą ją gonić. Musi jak najszybciej dostać się do wyjścia. Jak napotka tam Karpacky'ego, to go jakoś załatwi. Szarpnęła za korzenie, chcąc przyśpieszyć. Z sufitu posypał się gruz i w świetle reflektora zaczęły migotać wirujące masy popiołu i kurzu. Zakaszła i zasłaniając usta dłonią, przedarła się na drugą stronę zwaliska. Brudząc już doszczętnie jasne trampki czarnym błotem, przebrnęła przez zapadniętą posadzkę i wspięła się na sterczącą metr wyżej jej dalszą, nieuszkodzoną część. Świecąc sobie pod nogi, pobiegła fortecznym korytarzem w kierunku wyjścia.

\*

– I co teraz? – spytał Johann, nie odrywając wzroku od betonowej płyty, która przed chwilą na ich oczach się zatrzaskała.

– Miejmy nadzieję, że ona sprowadzi pomoc. – Paulina oparła się o ścianę i potarła ręką czoło. Drugą rękę z reflektorem bezwładnie opuściła w dół. Na posadzce pod jej nogami pojawiła się okrągła plama światła.

– Pod warunkiem, że jej nie złapią. – Igor odetchnął głęboko. – Ten facet, którego tak umiejętnie kopnęła, raczej nie wyglądał na takiego, co drugi raz da się zaskoczyć.

– Boże! Po co myśmy tu w ogóle wleźli? – zajęczała Paulina i powoli ukucnęła przy ścianie. – Nikt nas tutaj nie znajdzie, ten bandzior miał rację.

– Nie powtarzaj tej cholernej mantry! – Igor oderwał plecy od ściany i ruszył w kierunku wyjścia. Skinął na Johanna.

– Spróbujmy ją otworzyć! Może nie jest aż taka szczelna, jak ta na górze.

Betonowa płyta była dokładnie wpasowana w kamienną ścianę. Pomiędzy krawędzią ościeży a blokiem widniała niewielka szpara, w którą dało się włożyć łom albo rękę, ale ciężar płyty i jej grubość wykluczały podważenie jej i wysunięcie ze ściany. Gdy naparli razem na łom, metalowy pręt zaczął się zginać, a betonowe drzwi nawet nie drgnęły.

– Kurwa! – Igor wyszarpnął łom spomiędzy płyt i walnął nim w bezsilnej złości o ścianę.

– Daj! – Johann wyrwał mu go z ręki i włożył pod betonowy blok. – Tamten pod Wałami, obracając się, podnosił się do góry. Pewnie to jest ten sam patent.



Zmaltretowany pręt, włożony pod ważący pewnie z pół tony blok, wygiął się od razu, gdy tylko Johann napiął mięśnie i zaczął go ciągnąć do góry.

– To bez sensu! – westchnął zniechęcony i oparł się o ścianę.

– Chyba nie mamy szans, żeby to otworzyć od tej strony – jęknął Igor.

Czując, że ogarnia go panika, oderwał plecy od ściany i ruszył środkiem pomieszczenia w kierunku dziwnego ołtarza z kamiennym krzyżem. Nigdy nie miał żadnych skłonności do klaustrofobii, ale teraz myśl o tym, że zostaną tutaj na zawsze, powodowała, że zaczynał się dusić. I jeszcze żeby coś odkryli, a tymczasem nie znaleźli nic poza stertą starych desek.

Zająć czymś myśli! Po co był ten cholerny ołtarz? Czy to dzieło masonów? A może jest starszy? Kamienny krzyż... Raczej nie zrobili tego kartuzi, chociaż...

Przeszedł do połowy wielkiej sali. Pochylił się i przestawił reflektor na funkcję latarni. Mały przycisk sprawił, że światło uległo rozproszeniu, imitując lampę. Rozejrzał się dookoła. Gdzie mogły być schody z wyższych kondygnacji? Czy prowadziły tutaj jakieś kręcone schodki z komnat zamku? Może wchodziło się przez któreś ze słynnych, ukrytych w boazerii, zamkniętych cyfrowym zamkiem wejść? Zrobił krok w kierunku ołtarza i poczuł nagle, że posadzka pod jego butami jest nierówna.

Całą powierzchnia sali pokryta była grubą warstwą pyłu i kurzu, teraz z dziesiątkami śladów zrobionych przez nich samych oraz chwilę temu przez Niemców. Nikt jednak nie przechodził przez jej środek.

Igor zatrzymał się i spojrzał pod nogi. Przesunął butem po powierzchni posadzki. W powietrze wzbił się kurz, a w miejscu potarcia ukazało się spore, wyryte w kamieniu X.

## Rozdział 44

Igor pochylił się i oświetlił fragment odsłoniętej posadzki. Zmarszczył brwi i ukucnął. Przejechał ręką po chropowatej powierzchni kamienia, a następnie, tknięty przeczuciem, przetarł powierzchnię obok. Spod grubej warstwy kurzu i pyłu wyłoniła się cyfra 4.

Relief znajdował się w samym środku sali.

Igor obrócił się wokół własnej osi. Dekoracja miała jakieś dwa do trzech metrów średnicy i założona była najwyraźniej na planie koła. Zaczął metodycznie czyścić butem posadzkę, odsłaniając kolejne elementy płaskorzeźby.

– Co ty robisz? – spytał Johann. Siedział na ziemi, z głową opartą o ścianę. Spojrzał na Igora, nie odrywając jej od betonowej płyty.

– Tu jest jakiś relief.

– Relief? – Johann wyprostował głowę i popatrzył z zaciekawieniem.

Igor przetarł kolejny fragment posadzki i stanął nieruchomo, wpatrując się w ziemię.

– Co to jest? – spytała Paulina, wyłaniając się z mroku pomiędzy filarami.

– Jakiś relief – powtórzył Igor. – Piękny.

– Bardzo nam to pomoże. – Paulina wzruszyła ramionami.

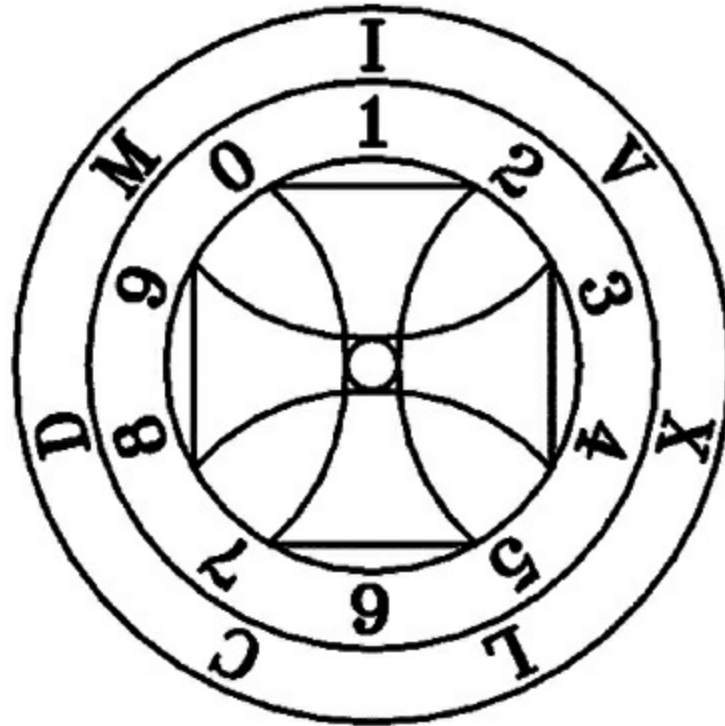
– Tablet jest w moim plecaku. – Igor wskazał ręką ścianę, pod którą zapędzili ich Niemcy. – Możesz spróbować zadzwonić do straży miejskiej – zakpił.

– Całe szczęście, że go zostawili. Mogli nam zabrać także reflektory i baterie. Na szczęście twoja żona narobiła takiego zamieszania, że pewnie w ogóle o tym nie pomyśleli.

– Była żona – powiedział Igor automatycznie, drapiąc się po brodzie.

Relief miał kształt koła. Zewnętrzny pas obiegały litery, układające się

w dziwne słowo. Wewnątrz był jeszcze jeden krąg z cyframi od 0 do 9, a na środku płaskorzeźby umieszczony był charakterystyczny, równoramienny krzyż.



– Co to może oznaczać? – spytał Johann, stając obok Igora. Przekrzywił głowę i policzył pod nosem. – Siedem podstawowych cyfr rzymskich i dziesięć arabskich – mruknął do siebie.

No jasne! To nie żadne słowo, tylko rzymskie cyfry!

– Nie są współliniowe ani w żaden inny sposób uporządkowane. – Igor popatrzył w głąb pomieszczenia. – Jedyne ten krzyż stoi dokładnie na osi podłużnej sali.

– Jedyne są w tym samym miejscu. I rzymska, i arabska.

– A to nie jest po prostu zwykła dekoracja? – Paulina popatrzyła z powątpiewaniem pod nogi.

Stali dookoła okręgu, przyglądając się rzymskim i arabskim cyfrom. Reflektory przestawione na funkcję latarni oświetlały środek sali. Reszta

pomieszczenia niknęła w mroku.

– Może to kolejna masońska zagadka? – spytał Johann.

– Jezu, nie zaczynajcie od nowa. – Paulina wzniosła oczy do góry.

Igor wciąż patrzył na okrąg. Rzymskie cyfry z czymś mu się kojarzyły. Jakoś ostatnio była o nich mowa.

– Kojarzą wam się z czymś rzymskie cyfry? – Spojrzał na Johanna. – Nie gadaliśmy o nich niedawno?

Johann ściągnął brwi i pokręcił głową bez przekonania.

– Ci Niemcy o nich mówili – mruknęła Paulina. – Litery na pokrywie sarkofagu.

Zmarszczyła brwi i podniosła wzrok. Rzeczywiście! Popatrzyła na kamienny relief z nowym zainteresowaniem.

Igor w tym momencie przypomniał sobie rozmowę w leśnym baraku. Stary Niemiec pochwalił się, że skrytkę w trumnie udało im się otworzyć dzięki temu, że odgadli szyfr składający się z rzymskich cyfr, ukrytych w epitafium na pokrywie sarkofagu Barnima IX.

*...Deckel, Quersumme, Gottes Hand...*

Napis na ścianie w lochu pod hotelem. Pokrywa, suma liczb, ręka Boga.

– Daj mi tablet – poprosił Paulinę. – Zobaczmy to epitafium.

Otworzył katalog. Przesuwał palcem fotki, szukając wyraźnego widoku sentencji. Zrobił je raptem tydzień temu, ale po tych wszystkich wydarzeniach zdawało mu się, że było to jakoś strasznie dawno.

– Jest! – powiedział. Powiększył obraz. Pochylił się i usiadł po turecku przed kamiennym okręgiem. Paulina i Johann pochylili się nad jego plecami, wbijając wzrok w ekran.

BARNIM SEIS NAME DER X VON GOTTES GNADEN  
HERTZOG  
DES ALTENHERSOG BUGSLAFS  
ZU STETTIN, POMMERN, DER CASLVEN  
UND WENDEN, WAN DUX RUGIEN,  
PRIN. COM. GUSCAN

EI SER LOBLICHER GOT GLUCKSELIGER  
IM JARE 1573 VERSTORBE UD ALHI  
BEGRABEN  
HILFF GOTT ZUR SELIGKEIT

GOTTESFURCHT IST DER ANFANG DER WEISHEIT  
(PSALM 111:10)  
+  
UBI AMICI IBI OPERA  
UBI CRUX IBI LUX  
STAT CRUX DUM VOLVITUR ORBIS  
CAPUT MORTUUM PORTENTUM

*...Deckel, Quersumme, Gottes Hand...*

– *Pokrywa, suma liczb...* – mruknął Igor pod nosem, wpatrując się w zdjęcie przedstawiające epitafium Barnima IX.

– *Pamiętaj o końcu, a litery przemówią* – powiedziała Paulina cicho.

– No właśnie! To była wskazówka z ołtarza. – Igor pokiwał głową. – Zapomniałem o tych słowach, które Ramin napisał na ścianie w lochu. Początkowo w ogóle myślałem, że to było tam już wcześniej.

Przypomniał sobie, jak pętali się razem z Borolą po lochu pod hotelem, wstrząśnięci znalezieniem starego blitza, w którym był na dodatek trup kierowcy, a na pace książęcy sarkofag. Napis na ścianie wydawał się wtedy najmniej istotny.

– Wynotuj te litery, które wyglądają jak rzymskie cyfry. – Johann ukucnął za plecami Igora. – Zobaczmy, jakie było hasło do schowka w trumnie.

Igor otworzył notatnik i zaczął notować. Teraz dopiero zauważył, że niektóre litery były wyraźnie większe. Początkowo nie zwrócił na to uwagi,

bo napisy na sarkofagach wykonywano ręcznie i litery często wychodziły nierówne, ale te tutaj ewidentnie zostały powiększone.

– I, X, D w pierwszym rzędzie, w trzecim L, L – mrucał, zapisując litery. Dojechał do ostatniego rzędu. Poniżej był mały krzyżyk, a pod spodem cztery łacińskie sentencje.

– Tu już nie ma powiększonych cyfr. – Paulina śledziła jego pracę przez ramię. Igor pokiwał potakująco głową. Wywołał kalkulator i zaczął dodawać wszystkie wynotowane liczby.

– I co? – Johann nie mógł się doczekać. – Co wyszło?

Igor wpisał ostatnią cyfrę, którą była jedynka, i nacisnął enter. W okienku kalkulatora pojawiła się czterocyfrowa liczba.

\*

Parsov czuł się kompletnie zdruzgotany. Idąc starym lochem, o którego istnieniu nasłuchał się tyle legend w dzieciństwie, był prawie pewny, że na jego końcu znajdą ten mityczny już majątek szczecińskiej loży. Wielka opustoszała sala i resztki skrzyń ze Stadtisches Museum były dla niego ciosem, który ledwo przetrzymał. Miał osiemdziesiąt sześć lat i zdawał sobie doskonale sprawę, że na dalsze poszukiwania może już nie mieć czasu. Nie chodziło nawet o pieniądze, miał ich tyle, że nie byłby w stanie ich wydać nawet przez kolejne długie życie, gdyby tylko ktoś mu je zaoferował. Marzył o tym, żeby odnaleźć to, co ukrywał Barnim von Ramin, to, dla czego dał się zakatować jego ojciec.

Miał oczywiście świadomość, że sam korytarz, którym właśnie szedł, był bezcennym odkryciem historycznym, bezprecedensowym zmaterializowaniem się legendy. Ci dranie zdołali to tak długo utrzymać w tajemnicy. Najwyraźniej nawet gestapowcom nie udało się wyciągnąć z nich niczego na temat tego tunelu i lochów Oderburga. I ta cała wymyślona przez nich Wielka Tajemnica bardzo dobrze spełniła swoje zadanie.

Jak to ten Fleming określił? *Circulus vitiosus!* Błędne koło!

Kiedy oni zdołali wywieźć ten majątek? Musieli być nie tylko krok przed swoimi prześladowcami, ale i dwa kroki. Miał nadzieję, że Matthias dorwie tamtą wiedźmę! Miał już dość jej wchodzenia mu w paradę. Pozostajej trójki nikt nigdy nie znajdzie, teraz trzeba się tylko zająć żoną Fleminga.

Idąc, pogrążony w myślach, nie zauważył, że doszli do zawałonej części korytarza. Hans poszedł przodem i zaczął się ostrożnie przedzierać przez rumowisko. Parsov podążał za nim, a krótki pochód zamykał Markus.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie kamizelka Parsova.

Nie zauważył, jak jeden z cienkich korzeni zaczepił się o naszywkę, i poczuł, że coś go ciągnie do tyłu dopiero wtedy, gdy się pochylił, by przejść pod ostatnim nawisem konarów. Przestraszył się i odruchowo szarpnął, usiłując jak najszybciej wydostać się spod zawałiska. Wtem usłyszał za sobą gruchot spadającego gruzu i ziemi, który nie ucichł jak poprzednio, tylko zaczął narastać. W jednej chwili zobaczył przed sobą przestraszone oczy Hansa, który go złapał za kamizelkę i wyciągnął siłą na zewnątrz, a potem popchnął mocno do przodu. Zaraz potem rozległ się przerażający grzmot zawałającego się korytarza. Hans pomógł mu wdrapać się na zachowaną posadzkę i ciągnąc za sobą, ruszył do przodu. Fala uderzeniowa dogoniła ich i porwała w chmurę kurzu i pyłu.

Czuł, jak się potyka, wpada na ścianę i przewraca.

\*

Igor patrzył na cztery cyfry, które układały się w znaną mu doskonale datę. Przejrzał jeszcze raz zdjęcie, czy nie pominął jakiegoś rzymskiego znaku, po czym przeliczył wszystko powtórnie. Zgadzało się. Zresztą przypadek, który by spowodował taki wynik, był kompletnie niemożliwy. Rachunek prawdopodobieństwa to wykluczał.

– I co? – Johann zajrzał mu przez ramię.

Igor bez słowa podniósł tablet, pokazując liczbę, która widniała w okienku kalkulatora. 1534.

– Naprawdę? – Paulina zmarszczyła brwi, pochylając się nad monitorem.

– A czemu to takie dziwne? – spytał Johann.

– To data Sejmu Trzebiatowskiego, na którym uchwalono przejście księstwa na protestantyzm.

– Kolejna historyczna podpucha szczecińskiej łoży? – Paulina popatrzyła na relief. – Sądziś, że to także oni skonstruowali?

Igor wzruszył ramionami. Jeśli to kolejna zagadka sfabrykowana przez

łożę, to jej sens powinien być taki sam, jak wszystkich poprzednich – wyprowadzenie na manowce. Błędne koło. Coś jednak się nie zgadzało z tym szyfrem na sarkofagu. Coś było nie tak i miał wrażenie, że o tym też dopiero co mówili. Wszystko za bardzo się już skomplikowało i czuł, że zaczynają mu się gubić wątki.

– Igor... – Paulina zrobiła dwa kroki wokół okręgu i stanęła przy literze X. Igor nadal siedział po turecku między L a C. Spojrzał na nią, podnosząc brwi. Miała dziwną minę, jakby się nad czymś głowiła.

– Tak? – spytał.

– Mapa w trumnie... – powiedziała powoli, pocierając czoło. – Szyfr do schowka według ciebie miał być ułożony z wykorzystaniem *przypadkowych* liter z napisu na sarkofagu, wyglądających jak rzymskie cyfry...

Igor patrzył, nie rozumiejąc przez chwilę, o co jej chodzi, po czym otworzył usta.

Jezu... Oczywiście! To z tym coś było nie tak...

– Litery udające rzymskie cyfry na sarkofagu, jak widać na zdjęciu, są większe niż pozostałe. Więc musiały być tak wykonane już w szesnastym wieku.

Otóż to! To właśnie mu się nie zgadzało. Ale co to oznacza? Stali w milczeniu, wpatrując się w relief na posadzce. Wzrok Igora napotkał pytające spojrzenie Pauliny. Johann uniósł brwi.

Wreszcie Igor wzruszył ramionami.

– Brzytwa Ockhama<sup>[48]</sup>. Barnim Dziewiąty sam ułożył tę sentencję, zostawiając dla potomnych przekaz, że reformacja była najważniejszym dziełem jego życia, a masoni wykorzystali to jako szyfr do schowka.

Johann pokiwał głową. Brzmiało logicznie.

– To bardzo racjonalne wytłumaczenie. – Paulina zagryzła wargi. – A co, jeśli założymy, że to jednak Barnim Dziewiąty skonstruował schowek?

Igor spojrzał na nią zaskoczony. Do tej pory to ona na siłę doszukiwała się najprostszych wytłumaczeń.

– My nie widzieliśmy trumny. – Paulina spojrzała na Johanna. – Ale ty byłeś przy jej wydobyciu z sarkofagu. Pamiętam, jak zaskoczyło cię, że była zrobiona z czarnego dębu i że to bardzo dziwne.



Igor pokiwał głową.

Zwłoki książąt kładziono najpierw w lipowych trumnach, które często obijano adamaszkiem i wystawiano na marach w komnacie zamkowej. Czasem trzymano je w łożu przez kilka tygodni albo nawet i miesiący. W tym celu dla opóźnienia procesów gnilnych były wcześniej balsamowane. Dopiero po tym okresie, w trakcie którego wykonywano tradycyjne, rozpowszechnione wówczas w całej Europie rzeźby lub portrety zmarłego na marach, trumnę lipową wkładano do dębowej, a tę na koniec do sarkofagu. Wykonana z czarnego dębu trumna Barnima IX, w dodatku dekorowana płaskorzeźbami i inkrustowana, była zupełnie niespotykanym ewenementem.

– Czarny dąb zapewniał wyjątkową trwałość. Wprawdzie nie mam pojęcia, jak się w nim rzeźbi, pewnie to koszmar, ale materiał jest jak skała. – Paulina popatrzyła na Igora.

Igor spojrzał na posadzkę w zamyśleniu. Barnim był znany z zamiłowania do snycerstwa, konstruował różne urządzenia, zamki szyfrowe, bez trudu pewnie mógłby wykonać schowek w dnie trumny.

– Kto układał w tamtych czasach treść tych epitafiów? – Paulina podeszła do Igora i ukucnęła obok, patrząc na widniejący na ekranie napis.

– Nadworny kaznodzieja księcia najczęściej. – Igor ściągnął brwi. – Ale w tamtych czasach w rodach panujących myślano pewnie o tym na długo przed śmiercią. Ten napis więc na pewno dyktował sam Barnim.

Johann stał przy rzymskim D i w milczeniu patrzył na kamienny relief. Myślał o tym samym, co Igor i Paulina, tyle że żadne jeszcze nie ubrało tego w słowa.

– Czy mi się wydaje, czy widmo Wielkiej Tajemnicy ożyło?

Jakby na potwierdzenie tych słów, z głębi lochów doszedł ich nagle głuchy grzmot. Wyraźnie poczuli drżenie, które przetoczyło się po sali, a z jej ukrytego w mroku sklepienia posypał im się na głowy pył.

– Boże! – Paulina spojrzała z przerażeniem na Igora i Johanna. – Coś się musiało zawalić.

\*

Imprezy na Wałach Chrobrego mają zawsze jeden skutek dla mieszkańców ulicy Łady, która ciągnąc się wzdłuż Odry, na wysokości Kapitanatu łączy

się z leżącą u stóp Wałów ulicą Jana z Kolna. Mniej więcej u wylotu ulicy Kapitańskiej, nieopodal górującego nad drogą na wysokim wzniesieniu Teatru Polskiego, dawnej siedziby szczecińskiej loży, ulica Jana z Kolna jest zawsze wygrodzona i na czas imprezy, czyli praktycznie przez dwa dni, nieprzejezdna. Nieco dalej w kierunku przeciwnym znajduje się skrzyżowanie z ulicą Dubois. To tutaj właśnie jeszcze trzysta lat temu wznosiło się wzgórze, na którym stał Oderburg.

Tymczasem pogoda psuła się z minuty na minutę. Silny wiatr gnał po kompletnie pustej ulicy papiery i puszki po piwie. Wszyscy ci, którzy nie poszli na Wały Chrobrego, aby wziąć udział w imprezie, siedzieli w domach i nawet nie zamierzali wyściubiać z nich nosów. Nikt więc nie był świadkiem tego, jak stojąca na lekkim wzniesieniu przy narożniku ulicy Łady wielka tablica reklamowa przechyliła się gwałtownie i trzeszcząc pod naporem wiatru, zwała się z łoskotem na chodnik. Wielki betonowy fundament został wyrwany z ziemi, a po chwili zapadł się pod własnym ciężarem w głąb dołu. Duży fragment chodnika wzdłuż ulicy, a także spory kawałek parkingu znajdującego się na rogu ulic Łady i Dubois, zapadły się, tworząc zwały pogruchotanej kostki polbrukowej i ziemi.

I zaczął padać deszcz.

\*

Matthias zatrzymał się gwałtownie. Z tyłu dobiegł go jakiś głośny hałas, a pod nogami poczuł, jak przez tunel przeniosły się drgania.

Boże! Korytarz się zawalił! Spojrzał w głąb ciemnego lochu, odwrócił się i niezdecydowanie skierował reflektor w kierunku, w którym pobiegła Dorota. Wracać i sprawdzić, co z Hansem i Parsovem, czy gonić ją?

Zacisnął szczęki. Jeśli nie dogoni tej suki, to ona wyda ich policji. To jest teraz najważniejsze. Dorwie ją przed wyjściem pod taras i potem tutaj wróci.

Hans otworzył oczy. Zamknął je instynktownie, gdy dosięgła ich zamieć pyłu i kurzu z zawalonego korytarza. Pył w dalszym ciągu unosił się w powietrzu. Reflektor leżał obok i oświetlał ceglane ściany i sklepienie. W jego świetle wirował z wolna opadający na ziemię tuman kurzu. Mężczyzna dźwignął się i odwrócił.

Parsov leżał pod ścianą. Kilka metrów za nim zaczynało się już zawalisko gruzu i ziemi. Dotychczasowy uskok posadzki zniknął jakiś metr dalej. Podeszedł szybko do Parsova i pochylił się nad nim. Stary człowiek otworzył oczy i odetchnął. Podniósł się powoli i otrzepał włosy z pyłu i kurzu.

– Wszystko w porządku? – spytał Hans, patrząc na niego uważnie.

– Nic mi nie jest. – Parsov pokręcił głową. – Co z Markusem?

Hans skierował reflektor w stronę dawnego zapadliska. Korzenie starego drzewa, pod którymi zatrzymał się Markus, znajdowały się teraz dobrych kilka metrów w głąb wznoszącej się do samego sklepienia góry cegieł i gruzu.

\*

– Korytarz! – odezwał się grobowym głosem Johann.

Popatrzyli na siebie z przerażeniem. Jedyne wyjście z podziemi. Powoli docierało do nich, że nawet jeśli Dorota sprowadzi pomoc, to łatwo się nie przebiją przez zawalony odcinek tunelu. Jeśli w ogóle...

– Nie martwmy się na zapas – powiedział bez przekonania Igor. – Nie wiemy nawet, czy to korytarz.

– A co? – jęknęła Paulina.

– Cokolwiek – mruknął. Na myśl o zawalonej drodze czuł, jak wali mu serce. W takiej sytuacji klaustrofobia jest chyba oczywistością. Lochy, starożytne tajemnice, masoni, brakowało oczywiście tylko klaustrofobii.

– I tak nic nie możemy zrobić. – Johann usiadł na podłodze obok Igora.

– *Barnim z łaski Bożej dziesiąty, syn Bogusława, książę Szczecina, Pomorza, Kaszubów i Wenedów.* – Johann zajrzał Igorowi przez ramię. – Daj mi ten tablet. Spróbujemy przetłumaczyć to epitafium. Przynajmniej czymś się zajmiemy.

Wziął tablet i położył go sobie na kolanach.

– *Władca Rugii, szlachetny książę Guskowian.* To jest staroniemiecki, nawet ja nie do końca rozumiem niektóre zwroty. – Pokręcił głową. – *Przez miłościwego Boga dostąpił zbawienia, umarł w tysiąc pięćset siedemdziesiątym trzecim roku i został pochowany.*

– Nizej to chyba jakieś cytaty z Biblii. – Paulina usiadła na posadzce

i objęła rękami kolana.

Johann twierdząco pokiwał głową.

– *Z pomocą Bożą do zbawienia*, a drugi cytat: *Bojaźń Boża jest początkiem mądrości*.

– Natomiast te sentencje pod krzyżykiem są jakieś dziwne. – Johann pochylił się nad monitorem i podrapał po brodzie.

– Dlaczego? – spytał Igor. – Ten pierwszy to ulubiona maksyma Barnima Dziewiątego. – *Gdzie przyjaciele, tam bogactwo*.

– Zgadza się. – Johann pokiwał głową. – A dalej jest: *Gdzie krzyż, tam światło i Krzyż trwa, podczas gdy świat się zmienia*.

Krzyż...

Igor zmarszczył czoło i wbił wzrok w środek kamiennego reliefu, przed którym siedzieli rządkiem.

– A ta ostatnia sentencja jest kompletnie z księżyca – mruknął Johann. – Nawet nie wiem, jak to przetłumaczyć. *Caput mortuum* znaczy dosłownie martwa głowa.

– *A portentum?* – spytała Paulina.

– Omen, znak – powiedział Johann cicho.

– Znak martwej głowy? – Igor spojrzał na niego ze zdziwieniem. – To bez sensu.

– Brzmi przerażająco. – Paulina się wzdrygnęła.

– Może też oznaczać jakieś urojenie, bajkę, a może też być określeniem potwora.

– Czego? – Paulina popatrzyła na Johanna otwartymi szeroko oczami.

– No, w sensie czegoś dziwnego, jakiejś poczwary.

– Jeszcze tylko brakuje tu jakiejś poczwary!

– Może chodziło o diabła? – Johann wzruszył ramionami. – Martwa głowa diabła mogłaby symbolizować w tym kontekście zwycięstwo nad życiem doczesnym, grzechem.

Tłumaczenie epitafium okazało się skuteczne. Igor przestał myśleć o tym, że są w pułapce, ale za to zupełnie inne myśli zaczęły wypełniać mu głowę. Co Johann powiedział, zanim nie usłyszeli tego huku? Wielka Tajemnica!

A co, jeśli Barnim IX sam skonstruował skrytkę, a mapa jest naprawdę z XII wieku? Dokąd prowadzą takie założenia? Na początku szukali skarbu templariuszy, chociaż tak naprawdę nikt z nich w żaden skarb nie wierzył...

Templariusze...

*Gdzie przyjaciele, tam bogactwo...*

A jeśli to wszystko prawda? Czy możliwe, że tu zaczyna brakować tlenu, skoro przychodzą mu do głowy takie pomysły?

*Gdzie przyjaciele, tam bogactwo...* Ulubiona sentencja Barnima IX. Miał wrażenie jednak, że z czymś jeszcze kojarzy mu się ten zwrot. Uświadomił sobie, że w ciągu ostatniego tygodnia, wykorzystując każdą wolną chwilę, przeczytał więcej na temat templariuszy i Gryfitów niż w ciągu całego życia.

Krzyż templariuszy... Przyjaciele!

– Wiecie, jakie jest symboliczne znaczenie równoramiennego krzyża templariuszy? – Igor zerwał się gwałtownie i ruszył wokół okręgu. – Przeczytałem o tym jakiś tydzień temu i właśnie sobie przypominałem.

Johann i Paulina wpatrywali się w niego w osłupieniu.

– Jakub de Vitry, biskup Akki w dwunastym wieku, wyjaśnił, że równoramienne krzyż oznacza, że templariusze są równie dobrzy dla swych przyjaciół, jak straszni dla swoich wrogów.

Igor zatrzymał się i popatrzył na wpatrujących się w niego towarzyszy.

– No i? – Johann podniósł brwi.

– Gdzie przyjaciele, tam bogactwo! Gdzie krzyż, tam światło! – Igor stanął naprzeciw Johanna i Pauliny, a następnie spojrzął w dół, wprost na równoramienne krzyż w samym środku reliefu.

\*

Dorota usłyszała za sobą jakiś stłumiony łoskot. Biegła bez przerwy od dobrych kilku minut. Snop światła drgał na ścianach i posadzce lochu, a chrobot żwiru pod nogami mieszał się z chrapliwym odgłosem jej urywanego oddechu. Wiedziała, że jeśli ten bandzior ją dogoni, to nie poradzi sobie z nim, nawet po tych kilku latach treningów, na które namówił ją Kurt. Zaskoczenie zrobiło swoje, ale nie miała żadnych szans w walce wręcz z facetem, który przeszedł szkolenie w służbach specjalnych.

Przemknęło jej przez myśl, że jeśli ten odgłos był dźwiękiem zawałającego się korytarza, to nie pomoże już Igorowi. Przekopanie się przez takie zawałisko na głębokości kilkunastu metrów pod ziemią, w dodatku bez jakiegokolwiek wiedzy o stanie technicznym pozostałej części tunelu, to masakra. Służby miejskie wprawdzie będą musiały coś zrobić, ale nikt nie pozwoli na narażanie życia ratowników.

Wypchnęła z głowy czarne myśli. Teraz najważniejsze, żeby się stąd wydostać. Potem będzie myślała, co robić dalej.

\*

– Krzyż templariuszy – powiedziała cicho Paulina.

Stali wokół reliefu, wpatrując się w kamienny krąg, który wydał się nagle bardziej tajemniczy, tak jakby umieszczone w nim godło zakonu dodało mu mistycyzmu.

– Sentencje na płaskorzeźbie z ołtarza, czytane w sposób dosłowny, okazały się konkretnymi wskazówkami – powiedział Igor, przerywając ciszę.  
– Może te z trumny także należy tak odczytać?

– *Gdzie przyjaciele, tam bogactwo.* – Paulina westchnęła. – Czyli to byłoby o templariuszach i ukrytym skarbie. Nie wierzę sama sobie, że to powiedziałam...

– Słowo *lux* w drugiej sentencji jest utożsamiane najczęściej ze zbawieniem – mruknął Johann. – Zakładając jednak, że Barnim Dziewiąty miał otwarty umysł, można to zinterpretować raczej jako...

– Wiedzę – dokończył Igor.

– Trzecia sentencja to motto kartuzów dla odmiany. – Paulina spojrzała na Igora. Widząc jego zdziwiony wzrok, dodała: – Ja też przejrzałam gigabajty danych w necie.

– *Krzyż trwa, podczas gdy świat się zmienia...*

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Może to jakiś właz? – odezwał się Johann i rozejrzał wokół. – Gdzie jest ten twój łom?

Igor wskazał ręką ścianę przy wejściu.

– Zostawiliśmy go pod tym betonowym blokiem.

Johann po chwili wrócił z metalowym prętem i stanął nad wewnętrznym okręgiem z krzyżem templariuszy. Okrąg miał ponad metr średnicy.

– Nawet jeśli to właz, to nie podniesiemy go za żadną cholere. – Igor spojrział z powątpiewaniem.

Johann pochylił się i zaczął grzebać prętem w szparze pomiędzy krzyżem a okręgiem z arabskimi cyframi. Nic jednak nie wskazywało na to, że wewnętrzny krąg może dać się podnieść.

– A to co? – spytał nagle i ukucnął przy jednej z cyfr.

Sięgnął ręką do górnego brzuska cyfry osiem. Wewnątrz ukryty był zmyślnie w kamieniu otwór, do którego można było swobodnie włożyć palec.

Johann, nie namyślając się wiele, wsadził do środka łom i zaczął podważać.

– Uważaj! – Paulina westchnęła. – Żeby jeszcze coś się nie zawaliło.

Johann napiął mięśnie, ale kamienny okrąg nie uniósł się nawet na centymetr. Szarpnął łomem zirytowany i w tym momencie wewnętrzny krąg z arabskimi cyframi z potępieńczym zgrzytem poruszył się i niespodziewanie obrócił wokół środka reliefu. W kompletnej ciszy, jaka zapanowała, słychać było tylko, jak Johann ciężko odetchnął.

– Widzieliście to? – Oczy Pauliny były okrągłe jak spodki. – To jest jak tarcza! Obróciło się!

Igor patrzył kompletnie zaskoczony na 0, które przesunęło się właśnie razem z okręgiem i znajdowało się teraz w pobliżu rzymskiej I.

Johann złapał za łom i napał na niego z całej siły. Ponownie rozległ się przeraźliwy łoskot i pas z arabskimi cyframi znowu obrócił się o kilka stopni.

– Co to jest, do diabła? – Wyprostował się i popatrzył na Igora i Paulinę.

– Jakiś mechanizm najwyraźniej. – Igor zamrugał oczami. Właśnie przyszło mu do głowy, że sytuacja zaczyna przypominać grę komputerową. Betonowy blok zatrasnął się za nimi z łoskotem, a teraz okazuje się, że trzeba wprowadzić w ruch jakiś tajemniczy megalit. Może tu rzeczywiście brakuje tlenu?

– Nie czujecie się jakoś słabo? – Popatrzył na Paulinę.

– Słabo? – Paulina podniosła brwi.

– No, nie jesteś senna albo jakaś otępiała?

– Sam jesteś otępiały.

– Pytam, bo się zastanawiam, czy przypadkiem nie brakuje tutaj tlenu i to wszystko nie jest jakąś fatamorganą.

– W tym zewnętrznym okręgu też są otwory. – Johann wsadził palec do małej dziury wewnątrz brzuszka D i popatrzył na Igora. Sięgnął po łom i włożył go do otworu. Napiął mięśnie, ale tym razem granitowy krąg nawet nie drgnął.

– Jest znacznie cięższy. – Igor podszedł do niego i pochylił się nad metalowym prętem. Zaczęli mocować się wspólnie, ale rezultat był żaden. Zewnętrzny krąg nie chciał się poruszyć nawet na centymetr.

– *Krzyż trwa, podczas gdy świat się zmienia* – powiedziała cicho Paulina. – Zauważyliście, że to się zgadza?

Krzyż w środku okręgu cały czas jednym z ramion wyznaczał środkową oś sali. Igor popatrzył w tym kierunku. Podniósł reflektor i wycelował w ciemność prosto przed siebie. Dokładnie na wprost, na osi środkowej nawy, był postument z kamiennym krzyżem. Barnim IX znany był z tego, że zajmował się konstruowaniem różnych urządzeń i schowków. Apogeum renesansu, Leonardo da Vinci, magia różnych mechanizmów. Oderburg słynął z tajemnych przejść, schodów ukrytych w ścianach, drzwi otwieranych na zamki cyfrowe.

Zamki cyfrowe...

Nagle przyszło mu coś do głowy. Reformacja. Czy to może być takie proste?

– Jeśli to mechanizm cyfrowy, to potrzebny jest kod. – Spojrzał na Johanna. – Spróbuj przestawić cyfry zgodnie z szyfrem z sarkofagu, czyli datą Sejmu Trzebiatowskiego.

Johann zdjął pręt z ramienia i włożył go do otworu. Pochylił się i pchnął mocno koło. Teraz, gdy wiedział, jak działa mechanizm, poszło znacznie łatwiej, chociaż krąg nadal przerażająco zgrzytał.

– Ale jak ustawić te cyfry? Skąd mam wiedzieć, gdzie jest wskaźnik?

Igor wskazał ręką kamienny krzyż na końcu sali. Kamienne koło z łoskotem przetoczyło się o kilka stopni i stanęło jedynką na osi pomieszczenia.



– Przecież tak było na początku i nic się nie działo. – Paulina spojrzała z powątpiewaniem.

Johann poczochnął swoje króciutkie jasne włosy.

– Może nie słyszeliśmy? W zamkach cyfrowych, o ile się orientuję, po ustawieniu właściwej cyfry bolec trafia w odpowiednie wycięcia i następuje cichutkie brzdęknięcie. – Igor wydał usta.

– No, biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z kamieniem, to powinno łupnąć jak diabli.

Johann popatrzył na tarczę.

– Chyba źle to zrobiliśmy. Przypomniałem sobie, że otwierając zamek cyfrowy, trzeba na wszelki wypadek przekręcić tarczę o 360 stopni. To powoduje synchronizację bolca pokrętła szyfrowego i tarcz.

– Cokolwiek to znaczy... – Paulina westchnęła.

– Dobrze, teraz ja spróbuję. – Igor pochylił się i złapał łom. Zaczął ciągnąć kamienny krąg dookoła, stopniowo cofając się po tarczy mechanizmu. Gdy był w połowie, przystanął i wytarł czoło.

– Ależ to ciężkie – jęknął.

Schwycił łom ponownie i zaczął przesuwac krąg dalej. Arabska jedynka powoli zbliżala się do osi krzyża. Paulina cofnęła się o krok, robiąc miejsce Igorowi, który przeciągnął krąg jeszcze kawałek i zatrzymał się tuż przed osią.

– No, zobaczymy – powiedział i pociągnął za łom, przeciągając ostatnie centymetry.

Dwie jedynki ustawiły się ponownie w jednej linii. Przez chwilę nic się nie działo, po czym gdzieś ze schowanych pod posadzką trzewi urządzenia rozległ się głuchy grzmot.

– A jednak! – Johann uśmiechnął się triumfalnie.

Igor wytarł pot z czoła i odetchnął głęboko.

– Teraz tylko pół tarczy do piątki. – Johann pochylił się i złapał za pręt.

Kamienna tarcza, zgrzytając, przejechała ponownie wokoło i stanęła. Piątka znajdowała się dokładnie na osi krzyża. Po krótkiej chwili ponownie rozległo się głuche stuknięcie.

Jeśli to jest skonstruowane z kamienia, to wydaje się wprost nieprawdopodobne, pomyślał Igor. Pod podłogą musiał być cały potężny mechanizm kamiennych tarcz, które przesuwały się na osi reliefu. W jaki sposób to się poruszało? Rolki dębowe? Kamiennie? Sam ten zewnętrzny pas, zakładając, że jest z granitu, musiał ważyć ponad tonę.

Johann przeciągnął tarczę na ostatnią cyfrę kodu, wywołując kolejne stuknięcie, po czym zapanowała cisza.

– No i nic – zdążyła powiedzieć Paulina, gdy pod posadzką rozległ się zgrzyt. Przez krótką chwilę nic się nie działo i nagle zewnętrzny krąg z rzymskimi cyframi tąpnął gwałtownie z głośnym grzmotem, wzniesając tuman kurzu. Johann, który stał akurat na tym kręgu, odskoczył gwałtownie do tyłu. Paulina głośno krzyknęła i zakryła usta dłonią.

Kurz przez moment wirował w powietrzu, po czym powoli zaczął opadać na posadzkę.

– Jezu, myślałam, że coś się wali – odetchnęła Paulina.

Milczeli, wpatrując się w kamienny relief.

Johann pochylił się i sięgnął po łom, który wciąż sterczał wbity w krąg wewnętrzny. Szarpnął za niego i nagle zmarszczył brwi. Złapał mocniej i napał całym ciałem. Krąg ani drgnął.

– Chyba wiem, co się stało – mruknął Igor, podchodząc do Johanna. – Odgadliśmy dopiero połowę kodu i odblokowało się drugie koło. Następna część jest z cyfr rzymskich.

– No, to męczyliśmy się na darmo – jęknął Johann.

– Niekoniecznie. – Igor wziął łom i na nieoczyszczonym z kurzu i pyłu fragmencie posadzki nakreślił kilka rzymskich znaków:

MDXXXIV

– Skąd to wzięłeś? – Paulina spojrzała na niego podejrzliwie.

– To ta sama liczba, tyle że zapisana cyframi rzymskimi. – Igor wzruszył ramionami. – Najprostsze skojarzenie.

\*

Północ minęła już jakiś czas temu. Stale wzmagający się wiatr mocno dawał się we znaki zarówno organizatorom, jak i uczestnikom Dni Morza.

Markizy i zadaszenia stoisk oraz budek z jedzeniem i słodyczami furkotały na wietrze, a plastikowe sztucce co chwilę zrywały się do krótkiego lotu ze stołów pod nogi przechodniów. Nadal było bardzo ciepło, więc ludziom niespecjalnie śpieszyło się do domów, zwłaszcza że mimo pogarszającej się pogody, nikt jeszcze nie odwołał finałowej atrakcji, czyli pokazu sztucznych ogni. Jak co roku pokaz planowany był na godzinę dwunastą i jak co roku spóźniał się o kilkadziesiąt minut. Apogeum tego stanu rzeczy osiągnięto kilka lat temu, gdy niespecjalnie trafiony, a wręcz groteskowy na takiej imprezie pomysł z koncertem muzyki poważnej przeciągnął się o ponad godzinę, co wywołało prawie zamieszki wśród wściekłych, naprutyh piwem młodych ludzi.

Ze względu na bardzo silny wiatr godzinę temu zamknięto wesołe miasteczko, w którym diabelskie koło i kilka innych wysokich urządzeń zaczęło się niebezpiecznie kiwać i trzeszczeć. Pod tarasem i na schodach Wałów Chrobrego, skąd tradycyjnie rozciągał się najlepszy widok na zaplanowane fajerwerki, z minuty na minutę powiększał się tłum ludzi, którzy schowani pod kolorowymi parasolami nie rezygnowali z zabawy. Z minuty na minutę także stawało się dla wszystkich coraz oczywistsze, że burza, która kilka godzin temu przeszła nad miastem, właśnie wraca.

\*

Johann przeciągnął kamienny krąg do ostatniego ustawienia. Rzymska cyfra V powoli przesunęła się na oś równoramiennego krzyża i stanęła w miejscu. Echo zgrzytu zewnętrznego koła reliefu powoli ucichło i zapanowała cisza. W powietrzu migotały drobiny kurzu i pyłu.

Johann odetchnął i wyprostował się. Patrzyli na siebie bez słowa. Z każdą sekundą rosło w nich zwątpienie, że katorżnicza praca ostatnich kilkadziesiąt minut na cokolwiek się zdała, gdy nagle pod posadzką rozległ się głośny zgrzyt, jakby przesuwanych kamiennych płyt. Nie ucichł od razu, ale zaczął się przemieszczać, tak jakby mechanizm uruchamiał kolejne zębate koła lub zapadnie, przesuwając się stopniowo do celu. Posadzka nagle drgnęła, przez pomieszczenie przebiegł wstrząs, który poruszył ponownie kurz i pył zalegający na kamiennych płytach, i na moment zapadła cisza, która zdawała się trwać godziny, w rzeczywistości natomiast trwała jedynie kilka sekund.

Gdzieś w mroku, po prawej stronie sali rozległ się kolejny zgrzyt. Igor wycelował reflektor w tamtym kierunku i zobaczył, jak kamienne płyty w samym środku bocznej ściany drgnęły i lekko się poruszyły.

Stali w milczeniu niczym zahipnotyzowani i wpatrywali się w ukryte w półmroku kamienie.

– Jak tylko stąd wyjdziemy, to kupię sobie panamę i lasso – mruknął w końcu Igor.

– Fedorę, jeśli już – poprawiła Paulina.

– Indy nosił panamę!

– Fedorę!

– To była na pewno panama!

– Fedora!

– O czym wy, do diabła, gadacie? – Johann spojrział na Igora i Paulinę w kompletnym osłupieniu. Uświadomili sobie w tym momencie, że krótka wymiana zdań odbyła się między nimi w języku polskim, wskutek czego biedny Johann zrozumiał z niej tylko dwa słowa – panama i fedora – i prawdopodobnie pomyślał, że stracili rozum.

Paulina jęknęła i mruczając pod nosem, że nie ma siły tego tłumaczyć, ruszyła w kierunku bocznej ściany sali. Po chwili stali we trójkę i wpatrywali się w widniejącą pomiędzy blokami szparę.

– Hans i ten drugi usiłowali to otworzyć. – Paulina poświeciła do środka, próbując bezskutecznie coś dojrzeć.

– Teraz pewnie da się odsunąć. – Johann naparł ramieniem na kamienną płytę, która drgnęła i powoli przejechała w bok, odsłaniając kolejny mroczny korytarz.

– Wchodzimy? – Igor spojrział do wnętrza bez przekonania.

– Nie zauważyliście pewnej reguły? – spytała Paulina, nie odrywając wzroku od ciemnej czeluści.

– Jakiej reguły? – spytał Igor.

– Ilekroć otwieramy jakąś betonową ścianę, to potem nie możemy zza niej wyjść.

– Ta jest kamienna – mruknął Johann.

Paulina wzniosła oczy do nieba. Igor przez chwilę patrzył niezdecydowany.

– Musimy to jakoś zabezpieczyć, żeby się znowu nie zamknęło. – Paulina rozejrzała się wokół siebie.

– Może te drewniane ramy? Część była całkiem solidna.

Igor zniknął na moment w ciemności i po chwili przyciągnął dwie grube drewniane bele i wepchnął je ukośnie między kamienne płyty.

– Powinno wystarczyć.

Weszli kolejno do mrocznego korytarza. Wewnątrz, zaraz za progiem, znajdowały się wąskie kamienne schody, które prowadziły w dół, niknąc w mroku.

## Rozdział 45

Igor schodził powoli wąskimi schodami. Prowadziły jednym biegiem wzdłuż bocznej ceglanej ściany. Na niektórych ceglach były dziwne znaki, prawdopodobnie oznaczenia cechów murarskich. W ścianie co jakiś czas tkwiły stalowe obejmy, w które kiedyś wkładano pochodnie. Naliczył już dwadzieścia stopni, a schody nadal niknęły w mroku. Kilka stopni temu przyznał się sam przed sobą, że zaczyna się bać. Nie był to oczywiście strach spowodowany tym, że coś się może czaić w mroku, ale atawistyczny lęk przed nieznanym. Poza tym świadomość, że z każdym kolejnym stopniem znajduje się coraz głębiej pod ziemią, wywoływała w nim panikę. Wyobraził sobie, jak mógłby czuć się tutaj ktoś naprawdę cierpiący na klaustrofobię.

Paulina schodziła za nim, a przed nimi, kilka stopni niżej, jako pierwszy schodził Johann. Schody miały wąskie stopnie i były dość wysokie, każde potknięcie mogło spowodować upadek w tę koszmarną głębinę prosto na głowę.

– Chyba widzę koniec – mruknął Johann.

– Całe szczęście! – Paulina głośno odetchnęła. – Jeszcze chwilę tego schodzenia i umarłabym ze strachu.

U stóp schodów był krótki odcinek korytarza, w którego bocznej ścianie tkwiły nakryte kamiennym nadprożem wrota. Johann przeszedł korytarz i stanął w progu. Skierował reflektor do środka i zrobił krok do wnętrza. Igor i Paulina weszli za nim.

Za progiem znajdował się nakryty ceglanym sklepieniem loch. Przedzielały go poprzeczne ściany z ogromnymi półkolistymi otworami, prowadzącymi do dalszych części podziemi. Rozglądając się dookoła, przeszli na środek pomieszczenia. Igor odwrócił się w kierunku otworu w ścianie poprzecznej i skierował reflektor w głąb. Całe wnętrze musiało mieć szerokość górnej sali, ale było od niej dłuższe, wyglądało jak długi tunel, przedzielony co jakiś czas mającą ponad metr grubości poprzeczną

ścianą konstrukcyjną. Pod ścianami lochu leżały sterty gruzu, które sięgały prawie pod samo sklepienie, rozpościerające się na wysokości jakichś pięciu metrów w części środkowej i trzech przy ścianach zewnętrznych.

– Kompletnie zawałone – jęknął Johann, oświetlając wąskie przejście pomiędzy stertami gruzu i kamieni.

Igor prawie fizycznie poczuł rozczarowanie. Gdzieś w głębi błąkała się w nim nadzieja, że cała ta awantura skończy się jakoś bardziej spektakularnie. Nie potrafił sobie wprawdzie wyobrazić poukładanych w równiutkie sterty sztabek złota z przedwojennych banków ani tym bardziej kufrów wypełnionych złotem i drogimi kamieniami, ale liczył przynajmniej na jakieś skrzynie z tajemniczą zawartością. Kupa gruzu była dojmującym zawodem.

– Jezu, ale załamka – jęknęła Paulina. – Po tym pieprzonym odkręcaniu kamiennego koła jestem tak rozczarowana, że chce mi się płakać.

Johann głośno zaklął i z całej siły kopnął leżący pod nogami niewielki kamień.

\*

Promień światła wyłowił z mroku metalowe stopnie drabinki. Dorota, ciężko oddychając, zatrzymała się u wylotu prowadzącej do góry studni i złapała za chropowatą, pokrytą rdzą rurę. Obejrzała się za siebie. Snop światła przemknął nerwowo po ceglanych ścianach. Tunel nikał w ciemności.

Może Matthias wrócił, żeby zobaczyć, czy strop nie zawalił się na Parsova i Hansa, przemknęło jej przez głowę. Czuła okropny niepokój. Biegła wprawdzie jak szybko się dało, ale Matthias i tak powinien być tuż za nią.

Wzięła głęboki oddech i postawiła nogę na pierwszym stopniu. Chwycała się mocno rękami i podciągnęła do góry. Pionowa drabina przy ścianie lochu miała kilkanaście stopni, a wyżej otwierała się studnia prowadząca do lochu z trupem.

Mimowolnie się wzdrygnęła. Jeszcze cztery stopnie i jej ramiona zniknęły w owalnym otworze w stropie. Trzymając kurczowo reflektor w lewej ręce, prawą zacisnęła na drabinie i postawiła stopę na ostatnim stopniu.

Ciemny kształt wyskoczył nagle z mroku i dopadł drabinki. Dorota

poczuła, jak na lewej kostce, która stała jeszcze dwa stopnie niżej, zaciska się żelazna obręcz. A niemniej twarda obręcz strachu prawie dosłownie zacisnęła się na jej gardle. Słyszała, jak Matthias wchodzi za nią. Jeszcze moment i ściągnie ją w dół.

Reflektor miał krótki pasek z materiału, który można było owinąć wokół ręki. Teraz zwisał bezwładnie, a jej palce zaciskały się na plastikowym uchwycie.

Szarpnęła ręką i chwyciła pasek zębami. Reflektor spadł na jej piersi, uderzając boleśnie w mostek. Złapała wolną ręką za uchwyt drabiny i przygotowała się na przeniesienie ciężaru ciała na rękę. Wierzgnęła ile sił wolną nogą, czując, jak trafia w szyję Matthiasa. Z dołu dobiegło ją przekleństwo. Szarpnęła się jeszcze raz i z całej siły wymierzyła ponownie kopniaka, tym razem trafiając mężczyznę w głowę.

Jego uchwyt na moment zelżał. Dorota wykorzystała to i szarpnęła obie nogi do góry. Zacisnęła kurczowo ręce na drabinie i zaczęła się wspinać po stalowych stopniach ku górze. Studnia zdawała się nie mieć końca. Parła do góry, cały czas czekając, aż na jej nogach zaciśnie się ponownie żelazna dłoń Matthiasa. Słyszała, jak wspina się za nią, głośno dysząc.

Jeszcze dwa stopnie i wyskoczyła do ciemnego lochu, padając na kolana.

Boże, żeby tylko te obrotowe wrota były otwarte!

Były! Hans wsadził między żelbetową ścianę kamienie, które zabrał z gruzu przy wejściu pod taras, i na szczęście cały czas w niej tkwiły. Dorota dopadła betonowej płaszczyzny i wepchnęła ramiona w wąską szparę.

Kątem oka zauważyła, jak na obrzeżu studni zacisnęła się ręka.

\*

Kamień potoczył się z cichym łoskotem pod ścianę lochu, uderzył w nią i znieruchomiał. Igor westchnął i przejechał reflektorem po ścianie. Chciał się odwrócić, żeby obejrzeć drugą część lochu, gdy nagle promień światła zahaczył o dopiero co kopnięty przez Johanna kamień i wydobył z niego migotliwy, miodowy blask. Igor przekrzywił głowę i podszedł do ściany. Pochylił się i wziął do ręki niewielką, zakurzoną grudkę, która przed chwilą przyciągnęła go dziwnym błyskiem. Jakieś żyłki w granicie? Może to cyrkon albo coś podobnego. Przetarł kamień rękawem i podniósł do oczu. Miał



ciepły kolor herbaty z cytryną i gładką, matową, świetlistą powierzchnią, z której gdzieś wydobły się złote błyski.

Zmarszczył brwi i podsunął kamień bliżej reflektora. Światło wydobyło z niego nagle złoty blask, kanciaste narożniki zaśniły, a na powierzchni gładkich ścian zabłysły żółtym światłem malutkie żyłki.

Igor otworzył usta, a następnie powoli skierował reflektor w głąb lochu na ogromne sterty zalegającego pod ścianami gruzu.

\*

Niebo nad jeziorem Dąbskim, daleko za portem i wyspami strzegącymi miasta od wschodu, przecięła błyskawica. Prawie jednocześnie z nabrzeża na cyplu wyspy Grodzkiej wystrzeliły pierwsze sztuczne ognie. Ogromny złoty parasol rozpostarł się na ciemnym niebie, a w chwilę później dołączyły do niego niebieskie i czerwone wachlarzyki, które rozprysły się na tysiące migotliwych okruczków. W akordy muzyki z *Rydwanów ognia* wdarł się głęboki pomruk grzmotu. Deszcz zaczął padać silniej, a morze kolorowych parasoli na nabrzeżu u stóp Wałów Chrobrego zafalowało niespokojnie.

Pierwsze silniejsze podmuchy wiatru zakołysały masztami łódek przy bulwarach. Kilka z nich, blisko stojących obok siebie, zderzyło się burtami, huśtając mocno na prawo i lewo. Na nabrzeżu z wielkiego tłumu pod sceną, na której uwijali się monterzy, składając nagłośnienie i zwijając metry kabli, odłączył się niewielki na razie, ale wciąż przybierający na sile nurt ewakuujących się pieszych i popłynął w kierunku Mostu Długiego.

Szkwał zerwał się tak nagle, jakby cały czas czaił się tuż obok i czekał tylko na odpowiednią chwilę. W niebo poszybowały właśnie kolejne kolorowe fajerwerki, gdy wiatr uderzył w nabrzeże. W jednej chwili dziesiątki parasoli wyfrunęły z rąk i łamiąc się, poszybowały nad głowami ludzi. Kilka najmniejszych łódek wpadło z impetem na odbijacze przy nabrzeżu, a w ich wnętrzu poprzewracały się sprzęty. Jednocześnie wzmógł się deszcz, który z każdą chwilą przybierał na sile, zamieniając się powoli w jednolitą ścianę wody, która pod wpływem uderzeń nawałnicy błyskawicznie zamieniła ulice i place w ogromne kałuże. Zdmuchnięte fajerwerki zmieniły się w kule ognia, które sycząc, spadały do rzeki.

Tłum na bulwarach i schodach Wałów Chrobrego rzucił się do ucieczki w kierunku centrum miasta, a przerażone ekipy porządkowe straży miejskiej

usiłowały utrzymać porządek.

Kolejna błyskawica rozdarła niebo nad samym miastem, a zaraz po niej przetoczył się głuchy, potężniejący grzmot. Ogromne ilości wody płynęły ulicami i wdzierały się do studzienek kanalizacyjnych, te dławiąc się plastikowymi kubkami i butelkami, tworzyły wielkie jeziora wody deszczowej, w których brodziły zanurzone do połowy kół samochody.

Głęboko pod ziemią naczynia krwionośne i arterie miejskiej kanalizacji deszczowej powoli wypełniały się wodą, która tanimi rurami z tworzyw sztucznych, betonowymi rurami z lat powojennych i nowymi odcinkami z kamionki powoli płynęła w kierunku potężnych dziewiętnastowiecznych kanałów, wiodących sobie tylko znanymi drogami ku rzece.

\*

Paulina obróciła się dookoła, oświetliła po kolei ściany lochu i spojrzała ponownie w kierunku stojącego przy przejściu do kolejnego przęsła Igora. Nawet w elektrycznym świetle reflektora było widać, że jest strasznie błądy. Stał, w jednej ręce trzymając kamień, który przed chwilą podniósł, a w drugiej reflektor skierowany na hałdy gruzu w głębi lochu.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona.

Johann, który stał obok z zadartą głową i przyglądał się sklepieniu, spojrzał na Paulinę, a widząc jej wzrok skupiony na Igorze, skierował na niego reflektor.

Paulina podeszła do Igora i stanęła przed nim.

– Pytałam, co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył upiora.

Igor popatrzył na nią nieobecny wzrokiem i spojrzał na trzymany w ręce kamień. Paulina dopiero teraz dostrzegła, że mała bryłka migocze całą paletą herbacianomiodowych barw.

– Co to jest? – spytała, marszcząc brwi.

– Co się stało? – Johann stanął za jej plecami.

– To jest bursztyn – powiedział Igor słabym głosem.

Johann podniósł brwi i pochylił się nad grudką.

– Bursztyn? A skąd się tutaj wziął?

Nagle drgnął i poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

Gwałtownie skierował reflektor w kierunku najbliższej sterty gruzu i otworzył usta. Chwilę stał nieruchomo, po czym rzucił się na hałdę i chwycił pierwszy lepszy wielki kamień. Wytarł go o koszulę na piersi, a następnie przejechał nim po rękawie. Kamień, jak odczarowany, zalśnił złotym blaskiem.

– Chryste! – Spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na Igora i Paulinę i chwycił następną dużą grudę, która po wytarciu z kurzu i pyłu także zalśniła w świetle reflektora. Powtórzył to jeszcze z dwunastoma bryłami bursztynu, po czym oparł się o ścianę i przejechał palcami po włosach.

– Co to jest? Skąd to się tu wzięło? – Paulina kompletnie zdezorientowana obracała się wokół własnej osi, oświetlając zwały bałtyckiego złota.

Igor oparł się o ścianę. Miał w głowie kołowrót. Templariusze, Barnim I, Oderburg, kartuzi, reformacja, Barnim IX, masoni. Wszelkie dotychczasowe próby poukładania masonskich puzzli nagle okazały się kompletnym fiaskiem. Wielka Tajemnica, skarb templariuszy, masonski depozyt ze szczecińskich banków...

– Ile to jest warte? – spytał słabym głosem Johann.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Paulina wzięła do ręki małą bryłkę bursztynu i wytarła ją starannie o bluzkę.

– Bardzo dużo – mruknął Igor.

Sukcynit, bursztyn bałtycki, najcenniejsza odmiana, która przebija wszystkie inne z całego świata. Jakiś czas temu za kilogram surowca nadającego się do przetworzenia jubilerskiego płacono sześć tysięcy złotych. Teraz, o ile się orientował, rynek chiński podbił tę cenę nawet do jedenastu tysięcy. Bryłki nadające się do celów jubilerskich to okazy mające około stu gramów. Ten, który miał w rękach ważył dwa, trzy razy tyle.

– Ile? – Paulina otworzyła szeroko oczy po usłyszeniu tej informacji. – Jedenaście tysięcy?

– Tona bursztynu to objętościowo mniej więcej ta kupa? – Johann wskazał ręką niewielką, mającą jakieś osiemdziesiąt centymetrów wysokości, zakurzoną górkę. – To w takim razie to jest warte prawie trzy miliony euro.

– Jedenaście milionów złotych – szepnęła Paulina.

Wszyscy troje na moment znieruchomieli, wlepiając oczy w małą stertę, po czym przenieśli wzrok na ciągnące się w głąb lochu hałdy.

\*

Dorota poczuła, jak jej czarna bluza marki Dsquared z trzaskiem pęka na ramieniu. Szarpnęła mocniej, skazując drogi ciuch na wyrzucenie, i wydostała się z wykutego w ceglanej ścianie otworu. Słyszając za plecami odgłos kroków biegnącego Matthiasa, rzuciła się do przejścia w ścianie, za którym było wielkie pomieszczenie z basenem.

Usłyszała nagle huk, a w chwilę później obok jej głowy świsnęła kula.

Ten łajdak do niej strzelał!

Przebisnęła się przez kolejny otwór i z rozpędu wskoczyła na betonową cembrowinę basenu. Przejście kilku metrów, które musiała pokonać po wąskim przejściu nad wodą, trwało w jej przekonaniu wieki. Za plecami słyszała, jak Matthias przepycha się przez wąskie przejście.

Zeskoczyła na posadzkę, szarpnęła klamkę drzwi prowadzących do transformatorowni i wpadła do wnętrza, oświetlonego dostającym się przez wąskie okienka trupim światłem ulicznych latarni.

Tuż za sobą usłyszała, jak z rozmachem otwierane drzwi trzaskają o ścianę.

Z zewnątrz dochodził ryk wiatru.

Zdążyła pomyśleć, że to chyba nawałnica, gdy poczuła rozrywający jej bok piekący ból, i wszystko nagle zafalowało.

Zobaczyła jeszcze tylko, jak betonowa posadzka pędzi z wielką prędkością w jej kierunku.

\*

Igor stał na środku lochu i wpatrywał się w zwały bursztynu. Reflektor przestawiony na funkcję latarni rzucał dookoła ciepłe światło, które wydobywało złote błyski z oczyszczonych z pradawnego kurzu i pyłu grudek.

Wszelkie próby ogarnięcia wyobraźnią tego, co widział dookoła, kończyły się niepowodzeniem. Wysiłek znalezienia odpowiedzi na pytanie, skąd w podziemiach Oderburga wziął się ogromny skład bursztynu, przypominał walenie głową w mur. Wszystkie dotychczasowe teorie na temat tego, czym jest Wielka Tajemnica, okazały się absurdalne. Skarb templariuszy, zgodnie

z przyjętym kanonem, miały stanowić ogromne bogactwa uratowane z sejfów i skarbców zakonu, które załadowane na statki floty templariuszy wypłynęły nocą w niewiadomym kierunku. Albo wiedza uzyskana dzięki prastarym dokumentom ze świątyni Salomona, których znaczenie było tak ogromne, że Watykan nie zawahałby się przed zapłaceniem każdej sumy, byle nie dopuścić do ich publikacji.

Ale bursztyn?

Czy to mogła być ta Wielka Tajemnica, w której posiadaniu byli Gryfici od czasów Barnima I? Dlaczego po prostu nie spieniężyli tego po upadku zakonu? Najistotniejsze jednak było pytanie, skąd ten bursztyn się tutaj wziął. Kto go tu zmagazynował? Historia sięga Barnima I, a więc XIII wieku, a Oderburg zaczęto budować dopiero od 1360 roku, więc dopiero wtedy mogły powstać te podziemia...

I nagle przyszło mu do głowy nieracjonalne wytłumaczenie.

Chyba że są starsze...

Ponownie obrócił się dookoła i oświetlił ściany lochu. Wielka cegła ceramiczna i cięty kamień, ceglane sklepienie... Pierwsza siedziba książęca w Szczecinie to był stary, drewniany dwór, kryty strzechą. Dopiero Barnim I go rozebrał i wznosił w jego miejscu nowy, z kamienia granitowego. Czy w tym czasie ktoś zdolny był zbudować takie podziemia? Ich gabaryty przekraczały wielkość szczecińskiego dworu. Więc kto to zrobił? Templariusze? W tamtych czasach Grabowo należało do zakonu cysterek, poza tym tak ogromne prace musiałyby zostawić jakiś ślad w dokumentach.

W dokumentach...

Coś zaczęło mu świtać, powoli układając się w ciąg zdarzeń.

*...Bardzo, bardzo dawno temu żył w Szczecinie bardzo dobry i bardzo mądry książę. Miał na imię Barnim... Któregoś dnia przybyli do Szczecina rycerze ubrani w białe płaszcze i powierzyli księciu pewną tajemnicę, której obiecał strzec...*

Legenda, którą opowiadał dziadek Johanna... Pieczęć Barnima I z symbolami templariuszy... Mapa z XII wieku...

Czasem jedno słowo jest w stanie wywołać lawinę skojarzeń, która otwiera w głowie wszystkie zamknięte szufladki. Igor poczuł, jakby ktoś przed jego oczami wyświetlił nagle film w przyśpieszonym tempie. Wszystkie tropy,

które prowadziły jeden od drugiego – obraz Cranacha, ołtarz z Oderburga, sarkofag, masoni, wszystkie pytania, które sobie zadawał, teorie przeleciały mu przez głowę jak zamieć, a na samym końcu wyświetliło mu się w umyśle jak neon jedno słowo, które godzinę temu wypowiedziała Dorota.

\*

Pilecki szarpnął stalowe drzwi i wszedł do wnętrza transformatorowni. Białe tynkowane ściany, tablice elektryczne, w głębi stalowe drzwi do dalszych pomieszczeń.

Czego oni mogliby tu szukać?

W głębi usłyszał, jak trzasnęły drzwi, czyjeś szybkie kroki, a potem padł strzał.

Sięgnął po pistolet i przywarł do ściany. Policzył do trzech i trzymając broń wycelowaną prosto przed siebie, skoczył w boczny korytarz. Na podłodze leżała dziewczyna, a nad nią stał facet, w którego dłoni tkwił pistolet.

– Policja! Rzuć broń! – wrzasnął Pilecki.

Mężczyzna, nie puszczając pistoletu, skoczył w bok.

W ciasnym wnętrzu padł drugi strzał.

\*

Igor spojrział nieprzytomnym wzrokiem na Paulinę, coś wydukał pod nosem i rzucił się w kierunku wyjścia na schody.

– Co się stało? – Paulina stanęła jak wryta na środku lochu. – Dokąd ty lecisz?

Igor wypadł na wąski korytarz i przeskakując po dwa stopnie, popędził do góry. Słyszał za plecami nawoływania Johanna i Pauliny. Schody, które jeszcze chwilę temu wydawały się strome i przerażające, teraz nie robiły na nim specjalnego wrażenia. Snop światła z reflektora skakał po kamiennych stopniach i ceglanych ścianach. Igor pokonał mniej więcej połowę biegu i przystanął, gorączkowo szukając czegoś na ścianie. Oświetlał każdą pojedynczą cegłę, jednocześnie obmacując chropowatą płaszczyznę.

Gdzieś tutaj musi być! Dokładnie pamiętał.

Z tyłu usłyszał, jak Paulina i Johann także wspinają się, coś do niego wołając. Światło z ich reflektorów skakało po ścianach, w miarę jak się zbliżali.

– Igor! Co się dzieje? – W głosie Pauliny słychać było irytację.

Igor znieruchomiał. Znalazł to. Mały, wyryty w cegle znaczek, który wziął za symbol średniowiecznego cechu murarzy.

LEGIIA...

Po literce A znajdowały się jeszcze dwa znaki, ale były zupełnie zatarte. Zwiertzała cegła akurat w tym miejscu się rozsypała. Przez chwilę patrzył jak zahipnotyzowany w ścianę, po czym rzucił się do dalszego wspinania po schodach.

Paulina i Johann zatrzymali się w miejscu, gdzie przed chwilą stał Igor, i oświetlili ścianę, usiłując dopatrzeć się, co tak bardzo go tutaj zaintrygowało.

– Czy on zwariował? – Paulina rzuciła zaniepokojone spojrzenie Johannowi i zaczęła szybko wspinać się po stromych schodach w ślad za szaleńcem.

Igor przedarł się przez drewniane belki i wpadł do sali. Podniósł do góry reflektor i oświetlił wysokie na siedem metrów filary. Następnie szybkim krokiem skierował się w narożnik pomieszczenia, gdzie znajdowały się resztki kolorowych malowideł.

– Boże! – jęknął, wodząc światłem reflektora po pozostałościach malatury. To było kompletnie nieprawdopodobne, ale wszystko tłumaczyło. Stara zasada Sherlocka Holmesa: „Jeżeli wyeliminuje się wszystko, co jest niemożliwe, wówczas to, co pozostanie, musi być rozwiązaniem”.

– Igor! Jeśli natychmiast nie powiesz, co się dzieje, to zdzieję cię tą latarką po łbie! – Paulina podeszła do Igora i wbiła w niego zirytowane spojrzenie.

Igor oderwał wzrok od malowidła na ścianie i spojrzał na nią nieprzytomnie. Obrócił się dookoła i z otwartymi ustami rozejrzał po raz kolejny po wnętrzu pomieszczenia.

– Przecież to jest kaplica! – powiedział cicho do siebie.

– Cudownie! – Paulina wyrozumiale pokiwała głową. – I to wszystko?

Z otworu w ścianie wyszedł Johann, stanął na środku bocznej „nawy” i zadarł głowę.

– Wiecie, gdzie my się właśnie znajdujemy? – Igor podniósł reflektor do góry i jeszcze raz okręcił się dookoła własnej osi, oświetlając ściany i filary sali. – To nieprawdopodobne! To się w ogóle nie mieści w głowie!

– Igor! – Paulina spojrzała na niego groźnie. – Jak się jeszcze raz okręcisz, to nie ręczę za siebie.

Johann podszedł i stanął za Pauliną, wpatrując się w Igora.

– To jest kaplica! Jak to się mogło zachować? To jest odkrycie stulecia! – wrzasnął wreszcie Igor.

– Igor!

– Kaplica! – Igor zadarł głowę do góry. – To jest kaplica!

– No i co to za odkrycie?! Przecież tam jest krzyż, do diabła! – krzyknęła krańcowo zirytowana Paulina i machnęła ręką w kierunku kamiennego postumentu.

Igor, przytomniejąc na moment, spojrzał na nią wzrokiem, w którym można było dostrzec szaleństwo. Paulina patrzyła na niego w napięciu. On chyba naprawdę oszalał. Tu naprawdę może być mało tlenu. Może wszyscy straciliśmy już przytomność?

Igor podniósł dłoń i zasłonił oczy palcami. Młyn, który miał w głowie, miał dziesiątki faktów, teorii, zdarzeń, pomorskich legend i opisów historycznych. Gdyby jego umysł był procesorem, to stanowczo wymagałby wyłączenia, żeby ostygł.

Oparł się o ścianę i powoli usiadł na kamiennej posadzce.

– Igor – jęknęła Paulina. – Może powinieneś napić się wody i odpocząć?

– Czuję się świetnie, tylko muszę zebrać myśli. – Igor wzruszył ramionami. – I tak nie mamy nic do roboty poza czekaniem, aż nas ktoś stąd wyciągnie. Równie dobrze możecie usiąść i posłuchać mojej wersji wydarzeń.



## Rozdział 46

Dawno, dawno temu, gdy księstwem władał młody książę Barnim I, przybyli do Szczecina odziani w białe płaszcze rycerze ze sławnego w całej Europie Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona.

Według legendy templariusze przywieźli do Europy odnalezione w ruinach świątyni Salomona starożytne artefakty i dokumenty z genealogią Chrystusa, których ujawnienia panicznie bał się Kościół, a które spowodowały, że z dnia na dzień z niewielkiego zakonu stali się najpotężniejszą organizacją w Europie. Bez względu na to, czy była to prawda, czy nie, templariusze przywieźli do Europy coś znacznie cenniejszego, co uporczywie tutaj niszczone, a co skrzętnie przechowali i z czego czerpali pełnymi garściami Arabowie.

Tym czymś była wiedza świata antycznego.

W czasach, gdy Europa tonęła w mroku najciemniejszego średniowiecza, ówczesne kraje arabskie stały na poziomie cywilizacyjnym, który dla przybyszów z południowej Francji musiał wydawać się światem z baśni tysiąca i jednej nocy. Wystarczy porównać ówczesny Paryż, zabudowany drewnianymi ruderami, do których wodę przynosiło się w wiadrach, a nieczystości wylewało przez okno na ulicę, z Damaszkiem, gdzie były wodociągi i kanalizacja. Medycyna, która w ciągu kilku wieków od upadku Rzymu spadła do poziomu niższego nawet niż ten, jaki posiadali zielarze koczowniczych plemion epoki żelaza, na wschodzie czerpała z wiedzy starożytnych Greków. Wystarczy wspomnieć, że w owych czasach w krajach arabskich przeprowadzano operacje usunięcia nowotworu, podczas gdy w Europie epidemie chorób wyludniały całe kraje. W architekturze europejskiej dominował prymitywny styl romański, zapomniana umiejętność konstruowania sklepień krzyżowo-żebrowych, kopuł i łuków rozporowych musiała do nas dopiero wrócić ze świata arabskiego.

Tak jak i wiedza na temat kartografii wraz z arabskimi kopiami doszczętnie zniszczonych w Europie antycznych map.

– Czyli mapę Barnima Dziewiątego przywieźli templariusze? – Paulina spojrzała na Igora przez stojące pomiędzy nimi reflektory, których rozproszone światło przypominało ognisko.

– Mapa zawierała informację o ukryciu wielkiego skarbu. Prawdopodobnie była kopią sporządzoną w Bizancjum, którą templariusze przywieźli do Europy. Templariusze potrzebowali sprzymierzeńca. Nie mogli ot tak sobie zacząć grzebać w ziemi, która wówczas należała do Gryfitów. Barnim Pierwszy, który przez całą młodość marzył o tym, by wstąpić do zakonu, bardzo im sprzyjał. Mapa wskazywała ARX, czyli warownię, pod którą miał być ukryty skarb. Pierwsze podejrzenie padło na wzgórze zamkowe. Badania archeologiczne dowiodły, że Barnim Pierwszy prowadził tam ogromne prace. Praktycznie całe wzgórze zostało w tym okresie przekopane, a przecież stary dwór, który został w tym czasie przebudowany, nie zajmował nawet jednej dziesiątej jego powierzchni.

Po słynnym aresztowaniu członków zakonu w tysiąc trzysta siódmym roku i jego kasacji, w Niemczech wprawdzie włos im z głowy nie spadł, a tutejsze majątki przetrwały w ich rękach najdłużej, ale dla templariuszy najlepsze czasy już wówczas powoli się kończyły. Zakon prawdopodobnie dużo wcześniej rozważał rozmaite miejsca dla ukrycia swoich dóbr. Księstwa niemieckie nie były złym miejscem.

Jeśli Barnim Pierwszy odnalazł wejście do starych lochów, to jako ślad tych wydarzeń pozostała jego pieczęć z wizerunkiem świątyni Salomona i starym symbolem złota. I jeszcze coś. Najbardziej rozpowszechniony na Pomorzu typ legendy, opowiadający o górze, w której ukryte są bogactwa, strzeżone przez gryfy, smoki bądź duchy starożytnych wojowników. Legenda ta pokutuje w każdym praktycznie pomorskim mieście, a w każdej legendzie jest, jak wiadomo, ziarno prawdy i tkwią okruchy dawnych wydarzeń.

\*

– Żyje? – spytał Bondar, chowając telefon do kieszeni.

– Tak. – Pilecki pokiwał głową. – Ale niech ta karetka lepiej się pośpieszy.

– Już jadą. – Bondar kiwnął głową w kierunku drzwi. – Widziałeś, co się dzieje? Prawdziwy huragan. A ten drugi?

– Nic mu nie będzie. – Pilecki spojrzał na opartego o ścianę i trzymającego się za ramię Matthiasa. – To Niemiec, nie mówi po polsku.

Dorota nagle drgnęła. Pilecki ukucnął przy niej.

– Niech się pani nie rusza, karetka już jedzie.

– Jest ich... – Dorota zacisnęła szczęki, czuła, jak ból rozrywa jej wnętrzności... – Jeszcze trzech, mają broń – wykrztusiła cicho.

– Trzech? – Pilecki wskazał głową w kierunku Matthiasa.

Dorota przytaknęła i zamknęła oczy.

\*

Bursztyn jednak nie zniknął. Być może stało się tak, że Barnim Pierwszy odnalazł wejście do starej świątyni, ale już wielkiego skarbcza pod nią nie odkrył, a być może wtedy templariusze nie szukali dodatkowych bogactw, tylko raczej miejsc na ukrycie już posiadanych. Pradawne lochy wykorzystane zostały więc jako miejsce ukrycia ich majątku albo przynajmniej jego części, templariusze wszak jako założyciele nowoczesnego systemu bankowego doskonale zdawali sobie pewnie sprawę, czym jest dywersyfikacja źródeł, ukrywając swoje bogactwo w różnych miejscach. Księżę umarł w tysiąc dwieście siedemdziesiątym ósmym roku, a Wielką Tajemnicę przekazał swojemu synowi Barnimowi Drugiemu. Młody książę został jednak zamordowany przez braci, zabierając Wielką Tajemnicę do grobu. Starszy brat Barnima Drugiego, Bogusław Czwarty, wielokrotnie najeżdżał komandorie templariuszy, ale nigdy niczego nie odnalazł. Templariusze natomiast pozostali na Pomorzu, a wraz z nimi dziesiątki legend o skarbach ukrytych w ich siedzibach w Rurce, Tempelhofie czy Chwarszczanach.

\*

– Niech pan posłucha! – Hans zamarł.

Parsov zatrzymał się przy cembrowinie basenu i spojrzał za siebie. Hans stał ze zmarszczonymi brwiami i z uniesioną głową. W wysoko sklepionych podziemiach tarasu słychać było jednolity huk. Dopiero po chwili Parsov zlokalizował jego źródło. Przy ścianach rozmieszczone były rury spustowe, które odprowadzały wodę deszczową do kanalizacji.

– Znowu burza – mruknął Parsov. – Bardziej mnie interesuje, gdzie jest Matthias.

Hans opuścił głowę. Racja. Może czekał na nich na zewnątrz albo w tych pomieszczeniach transformatora.

– Idziemy. – Parsov wspiął się na betonowy cokół.

Hans nadstawił uszu. Z zewnątrz dobiegał ryk wiatru, który nawet tutaj wyraźnie słyszeli. Coś było nie tak. Do transformatorowni w każdej chwili mogli wejść monterzy. Jeśli Matthias dogonił Dorotę, to pewnie wolałyby przyczać się gdzieś tutaj w ciemnym kącie, niż ryzykować i tam włązić. Chyba że mu uciekła...

Parsov szarpnął za klamkę i otworzył drzwi.

Stanął jak wryty, patrząc na wycelowane w niego dwa pistolety.

\*

– Barnim Trzeci miał siedem lat, gdy w całej Francji pojmano prawie wszystkich templariuszy, oskarżając ich o herezję, bałwochwalstwo, świętokradztwo, kult bożka Bafometa i sprzyjanie Saracenom. Gdy na małej wyspie na Sekwanie osiemnastego marca tysiąc trzysta czternastego roku układano stosy dla wielkiego mistrza Jakuba de Molay oraz namiestnika Normandii Geoffreya de Charney, miał lat czternaście. W rok później umarł animator tych wydarzeń, król Francji Filip Piękny, a zaraz po nim papież Klemens Piąty. Wydarzenia we Francji rozpowszechniły się błyskawicznie po całej Europie, a opowieść o klątwie rzuconej na króla i papieża przez Jakuba de Molay stała się częścią legendy templariuszy.

Barnim Trzeci postawił pierwszy zamek na dawnym wzgórzu Trygława, wybudował kościół Świętego Ottona oraz ową tajemniczą wieżę z ukrytym pod nią lochem, który za kilkaset lat miał stać się kryptą Gryfitów. Za jego czasów powstały także kilometry murów obronnych, które opasały miasto szczelnym kołnierzem.

Nie były to dobre czasy.

Z końcem trzynastego wieku nastąpiła w Europie tak zwana mała epoka lodowcowa, wskutek której nastąpiło gwałtowne oziębienie klimatu, a w ślad za nim głód. Do tysiąc trzysta dwudziestego roku liczba ludności Europy zmniejszyła się o dziesięć procent. W latach czterdziestych na okrętach

z Chin przywleczono do Europy dżumę. Nazywana „czarną śmiercią”, trafiła na podatny grunt kontynentu osłabionego wieloletnim głodem. Śmiertelność była tak ogromna, że w miastach umierało codziennie po kilkaset ludzi. Trupy zwożono na wielkie hałdy, a całe połacie Europy zostały wyludnione.

Podczas gdy już sto lat wcześniej w Bizancjum pojawiły się pierwsze naukowe traktaty w dziedzinie epidemiologii, w Europie wszystko tłumaczono karą za grzechy. Pomorskie wsie zaczęły przemierzać całe zastępy biczowników, a w niemieckich miastach rozpoczęły się prześladowania waldensów[49]. W wyludnionych głodem i dżumą wsiach i miasteczkach Pomorza pojawiły się płonące stosy i szpalery przydrożnych szubienic.

W takich czasach przyszło rządzić Barnimowi Trzeciemu. Być może w trakcie budowy tunelu, który miał łączyć zamek z planowaną fortecą lub strażnicą na wzgórzu Grabowskim, natknął się na podziemną salę wypełnioną symbolami i wizerunkami pogańskich bóstw...

– Przecież tutaj nie ma żadnych wizerunków pogańskich bóstw! – nie wytrzymała Paulina.

– Jeszcze nie skończyłem. – Igor spojrział na nią spode łba. Po czym podjął opowieść.

– Przerażony książę kazał zasypać dopiero co wykonane pod dzwonnica przy kościele Świętego Ottona wejście do podziemi, a na wzgórze w Grabowie sprowadził z Czech kartuzów – zakon, który specjalizował się w zakładaniu siedzib w miejscach dawnych pogańskich kultów, a reguła nakładała na zakonników obowiązek zachowania milczenia.

W mieście długo jeszcze gadano o podziemnym tunelu prowadzącym do Grabowa, aż w końcu opowieści te splotły się z innymi legendami o lochach, podziemnych przejściach, schronach i tunelach wiodących pod Odrą w nieznanym kierunku, które do dzisiejszego dnia opowiada się w Szczecinie.

\*

Dorota odzyskała przytomność, gdy dwaj sanitariusze ostrożnie układali ją

na noszach. Złapała jednego z nich za rękaw.

– W lochach zostali ludzie. Strop się zawalił!

– Proszę leżeć. Wszystko będzie dobrze! – Sanitariusz pochylił się nad noszami.

– Chwileczkę!

Bondar podszedł do Doroty i ukucnął przy niej.

– Jacy ludzie? – spytał.

– Troje. – Dorota zacisnęła zęby. – Mnie się udało uciec, ale oni tam zostali. Strop korytarza się zawalił. Potrzebni są ratownicy!

– Czy był tam Igor Fleming?

Dorota skinęła głową i zamknęła oczy.

Bondar sięgnął po telefon. Pomyślał, że ta noc nieprędko się skończy.

\*

Zakon kartuzów posiadał najsurowszą regułę spośród wszystkich zakonów chrześcijańskich. Mnisi żyli praktycznie odcięci od świata, większą część dnia spędzając w całkowitej samotności na modlitwach, przepisywaniu starych ksiąg i studiowaniu nauk ojców Kościoła. Klasztor został bardzo szczerze wyposażony przez Barnima III, a wedle kronikarzy z XV i XVI wieku pogrążyło to zakon w totalnym zepsuciu.

Czy ten wielki majątek tłumaczy jednak, dlaczego zakonnicy, którym reguły zabraniały jedzenia mięsa, a wszystkie święta oraz każdy piątek musieli przeżyć o chlebie i wodzie, zaczęli być nazywani „obżartuchami”? Klasztor w XV wieku zaczęto nazywać „zamkiem obżartuchów” albo „rozpustą” od licznych pijackich orgii, urządzanych z podejrzanymi typami ze Szczecina, z którymi zakon prowadził owiane tajemnicą, ciemne interesy.

A może pod powszechnie przyjętymi faktami kryje się inna wersja wydarzeń? Jeśli mnisi, prowadząc jakieś prace budowlane, odkryli wejście do wielkiej sali, w której od stu lat zdeponowana była część skarbu templariuszy, być może dochody z powolnego wyprzedawania bogactw szczecińskim piratom, będące poza jakąkolwiek kontrolą władz Kościoła czy Gryfitów, potrafiły ich ostatecznie zdeprawować. W końcu równie bogaty klasztor w wielkopolskich Kartuzach, czy znacznie bogatszy klasztor

w Pradze, nie zeszyły na złą drogę i znane były przede wszystkim z działalności charytatywnej.

Gdy nastąpiła reformacja, braciszki w popłochu z zamku czmychnęli, wywożąc wszystko, co dało się unieść. Tymczasem wielki skarb bałtyckiego złota pozostał nadal nietknięty.

\*

Karetka, mrugając niebieskimi światłami, odjechała sprzed wejścia do transformatorowni i ruszyła ulicą Admiralską na wzniesienie Wałów Chrobrego. Wiatr cały czas wył, a stojące nieopodal drzewa pochylały się pod jego naporem jak wątle krzewy. Strugi deszczu niczym kurtyna oddzielały otwarte drzwi do transformatorowni od chodnika, przy którym, błyskając światłami, właśnie parkował wóz strażacki.

Pilecki, który odprowadzał Dorotę i Matthiasa do karetki, wpadł do wnętrza kompletnie mokry. Otrząsnął się i spojrzał na Bondara.

– Ta kobieta to była żona Fleminga. Współpracowała z tymi Niemcami przy odbudowie dworu w lesie.

– Ci dwaj nie chcą nic mówić. Czekają na prawników i ludzi z konsulatu. – Bondar machnął ręką w kierunku pomieszczenia po prawej stronie korytarza. – Na chwilę obecną mamy już na pewno dwa trupy – dodał.

– Jak to? – Pilecki spojrzał na niego zaskoczony.

– Na ich człowieka zawalił się strop, a przy wejściu do tych lochów są jakieś stare zwłoki. Z czasów wojny chyba.

– Ja pierdołę! – Pilecki pokręcił głową.

– A jak nie uda się wyciągnąć tej trójki idiotów, to będziemy mieli w sumie pięć trupów.

– Czego oni tam szukali?

– Pociągu ze złotem ze szczecińskich banków oczywiście! – Bondar wzruszył ramionami i wykrzywił się ironicznie.

Odsunął się i przepuścił grupę strażaków i ratowników medycznych.

– Pytałem ich szefa. – Pilecki skinął za ostatnim strażakiem i pokręcił głową. – Jeśli zawalił się podziemny korytarz, to marne szanse, że ich stamtąd wyciągną.

\*

– W tysiąc pięćset pięćdziesiątym pierwszym roku, w trakcie renesansowej przebudowy szczecińskiego zamku, wybucha wielki pożar i zawala się stara dzwonnica, odsłaniając zasypane dwieście lat wcześniej wejście do lochów. Barnim Dziewiąty abdykuje na rzecz swojego bratanka i wyprowadza się na stałe do Oderburga. Wcześniej poleca uwzględnić w planach budowy skrzydła północnego loch pod zawałoną wieżą, a dla Oderburga każe wykonać wielką kamienną płytę, upamiętniającą Barnima Trzeciego.

– To ta wmurowana w ścianę pod arkadami na dziedzińcu zamku? – spytała Paulina.

– Ta sama. – Igor pokiwał głową. – W Oderburgu powstają słynne tajemne schody, ukryte przejścia, wrota zamykane na zamki cyfrowe.

– Jeśli ktoś miał wykonać ten mechanizm – Igor wskazał brodą środek sali – to tylko Barnim Dziewiąty. Kartuzi wyprzedali cały depozyt templariuszy piratom, ale bursztyn został.

– Dlaczego zatem Barnim Dziewiąty go nie wykorzystał?

– Może chciał zachować na gorsze czasy? Księstwo było wówczas w szczytowej formie. Barnim Dziewiąty był doskonałym władcą, a przed nim jego ojciec, Bogusław Dziesiąty, doprowadził Pomorze do rozkwitu. Zamek wraz z wszystkimi swoimi tajemnicami oraz tą największą miał pozostać jako dziedzictwo przyszłych pokoleń. W zamkowej kaplicy znalazł się legendarny ołtarz, który jest teraz w Sownie, a na nim sentencja, mająca doprowadzić do skarbu.

– Najpierw prowadziła do sarkofagu – sprostowała Paulina. – A sarkofag przecież złożono w kościele Mariackim. Jak to się miało niby łączyć?

– I tu jest pewna wątpliwość – westchnął Igor. – Źródła wypowiadają się na ten temat mętnie. Barnim pochowany został ponoć w kościele Mariackim, zachowany jest druk wydany z okazji pogrzebu, ale gdy w trakcie rozbiórki kościoła przenoszono prochy książąt do krypty zamkowej, w kronikach znalazła się informacja, że z kościoła wyniesiono dwie trumny drewniane, z których tylko jedna była opisana jako zawierająca szczątki książąt pomorskich. Co się stało z sarkofagiem? W innych natomiast źródłach opisany jest tajemniczy sarkofag, który został wyniesiony ze zrujnowanego Oderburga i przeniesiony do krypty zamkowej. Może więc Barnim tak



naprawdę został pochowany w Oderburgu, a późniejsi kronikarze coś pokręcili.

– Wtedy miałyby to sens. – Paulina pokiwała głową. – Wskazówka na ołtarzu prowadziaby do jakiejś krypty w podziemiach Oderburga.

– A z krypty zapewne istniało wejście do tej sali – przytaknął Igor.

– A jaką rolę miał w tym obraz Sydonii? – spytał Johann.

– Po wielkim pożarze do Oderburga została przeniesiona kolekcja malarstwa ze szczecińskiego zamku. Pewnie niektóre obrazy wymagały konserwacji i być może akurat tym zajął się Gabriel Glockendon, który pracował w tym czasie dla Barnima, a wcześniej wykonał tajemniczy obraz dla Marianowa z Marią Magdaleną w ciąży i flagą templariuszy. Może to on zostawił taką zakamuflowaną wiadomość, może w jakimś stopniu był we wszystko wtajemniczony, a może nawet wraz z Barnimem Dziewiątym należał do jakiejś tajnej organizacji, z której później wyłonili się różokrzyżowcy?

– I co było dalej? – spytał Johann. – Jak w tym wszystkim pojawili się masoni?

– Po upadku Gryfitów obraz Cranacha trafił do jakiegoś pomorskiego zamku, a później zdobyli go Borckowie. Zamalowali obraz, żeby ukryć istniejącą na nim inskrypcję, przy okazji tworząc rodzinną legendę. Przodek Barnima von Ramina był kanclerzem Barnima Dziewiątego, możliwe więc, że wiedział coś więcej i przetrwało to w rodzinnych opowieściach. Także Borckowie byli blisko Gryfitów. I jedna, i druga rodzina miała masońskie koneksje sięgające głęboko w przeszłość. Płaskorzeźba z ołtarza zniknęła bez wieści na początku wieku dwudziestego. Pewnie przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzyła, Raminowie zabrali ją z tego strychu w szkole w Sownie, na którym po rozbiórce starego kościoła leżał ołtarz.

W połowie dziewiętnastego wieku wszystko zaczęło się dziać szybciej. Podczas jakichś prac budowlanych na zamku albo budowie jakichś instalacji podziemnych...

Igor nagle przerwał i otworzył usta.

Oczywiście! Podziemne instalacje! Wszystko się doskonale ze sobą wiąże.

– Kanalizacja! – powiedział głośno, patrząc triumfalnie na Paulinę i Johanna.

– Co takiego? – Paulina spojrzała na Igora, jakby ponownie zaczęła się zastanawiać, czy dobrze się czuje.

– Kanalizacja! Kanały! To wtedy odkryli ten tunel! W latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku powstał projekt sieci kanalizacyjnej obejmującej całe miasto. Kilometry murowanych kanałów, a do tego dwie rzeki, które płynęły do tej pory przez obszar miasta, zostały ujęte w murowane tunele i sprowadzone pod ziemię. Projekt wykonał James Hobrecht, ten sam, co zaprojektował plan zabudowy Szczecina.

– Do którego Haken dodał place Oriona... – mruknęła Paulina.

– Właśnie! – Igor pokiwał głową. – Realizacją sieci kanalizacyjnej zajmował się właśnie Haken i prawdopodobnie podczas prac natknięto się na ten tunel. MASONI mieli już wówczas ogromne wpływy w mieście, więc sprawa została wyciszona.

– Te przemurowania w ścianach tunelu... – Johann zmarszczył brwi.

– Pewnie lochy były częściowo zalane. To są jakieś kanały, którymi wprowadzili pompy i wypompowali wodę do kanalizacji. Woda tłumaczy tak mocno zniszczone tynki w tej sali.

– Dlaczego właściwie nie powiadomili o wszystkim Berlina?

– Oni wcale nie pałali miłością do Berlina. – Igor pokręcił głową. – Na zgodę zlikwidowania twierdzy i rozbiórkę fortyfikacji Szczecin czekał prawie pół wieku. Ten plan był ustanawiany latami, a władze wojskowe i król czepiali się każdego szczegółu. Ponadto Fryderyk Wilhelm III rozwalił kryptę na zamku, a kosztowności z sarkofagów zabrał do Berlina. Jeśli masoni wierzyli w jakiś skarb, to pewnie zrobili wszystko, żeby Berlin się o niczym nie dowiedział.

– No, a dlaczego nie wykorzystali tego bursztynu? – Paulina podniosła brwi. – Przez pół tysiąca lat każdy następny znalazca nie ruszał go z miejsca?

– MASONI nie znaleźli bursztynu. – Igor się uśmiechnął.

– Jak to? – spytał Johann.

– Tylko to tłumaczy, dlaczego Barnim von Ramin zostawił list z takimi wskazówkami.

Johann zmarszczył brwi.

– Od początku mnie zastanawiało, dlaczego Ramin, zamiast po prostu

zostawić jakąś zakamuflowaną informację o tym, gdzie jest skarb, zostawił jedynie zakamuflowane wskazówki. Masoni znaleźli tę salę i wykorzystywali ją jako tajną świątynię loży, ale nie znaleźli ani mapy, ani bursztynu. Pewnie nie mieli jednak łatwego wstępu do krypty. Po wojnie, gdy krypta została wybebeszona przez Polaków, Ramin wykradł sarkofag i zabezpieczył płaskorzeźbę Barnima Dziewiątego, Borckowie natomiast ukryli obraz Sydonii.

Igor spojrzął na Paulinę i Johanna.

– Uratowali po prostu wszystkie elementy zagadki, której nie zdołali rozwiązać. Ramin, uwięziony w ciężarówce w podziemiach, mając ze sobą sarkofag, domyślił się znaczenia rzymskich cyfr na pokrywie, możliwe, że znalazł też mapę. Dlatego właśnie zostawił te trzy słowa na ścianie.

– *Deckel, Quersumme, Gottes Hand* – mruknął Johann.

Igor pokiwał głową. Paulina w zamyśleniu wpatrywała się w rozproszone światło reflektora.

– A bursztyn? – Podniosła nagle głowę. – Skąd się tutaj wziął? I jakie tu były pogańskie bóstwa? Czy to jest jakaś pozostałość po Wikingach? Hunach?

Igor pokręcił głową, a następnie podniósł ją do góry, wskazując ścianę, pod którą siedział.

– Na tym malowidle nad nami to nie są żadne lwy. – Uśmiechnął się. – To rysie, dzikie koty żyjące na północy Europy.

– I o czym to niby świadczy? – Paulina wzruszyła ramionami.

– Kolejna legenda, ale tym razem starsza o dwa tysiące lat. Według starożytnych wierzeń bursztyn to skamieniały mocz rysiów.

Johann nagle drgnął i wbił wzrok w Igora.

– Nie myślisz chyba, że to jest...

Igor pokiwał głową.

– Na początku zastanowiła mnie konstrukcja ścian, kamień i cegła, ale tak budowano także i później. Natomiast na kompozycję malowidła nie zwróciłem uwagi, dopóki mnie nie oświeciło na dole, że to przecież styl orientalny. Dorota zauważyła, że kolumny mają entazis. No i na schodach jest przecież stempel.

Johann zerwał się na nogi, chwycił reflektor i podniósł do góry, wpatrując się w resztki malatury.

– To przecież niemożliwe!

– O czym wy mówicie? – Paulina, która przez chwilę ze strachem wpatrywała się w Johanna, przeniosła wzrok na Igora. – Możecie mnie oświecić?

– Jezu! To w takim razie jest świątynia! – Johann okręcił się dookoła swojej osi. – To kompletnie niemożliwe! *Aedes!*

– Czy to jest zaraźliwe? – Paulina spojrzała na Johanna. Następny głądzi coś o świątyni i robi piruety. Może naprawdę straciliśmy przytomność? Umysł zaczyna powtarzać ciągle te same reakcje.

– To jest świątynia! – powiedział głośno Igor, akcentując ostatni wyraz.

Paulina opuściła głowę. Pomyślała, że chyba jednak go uderzy. Po prostu musi! Zanim te cholerne lochy zaważą im się na głowy, przynajmniej walnie go porządnie w łeb.

– To jest świątynia rzymskiego obozu warownego! – wypalił Igor.

Paulina powoli podniosła wzrok. Albo Igor postradał rozum, albo ona straciła przytomność. Albo jedno i drugie zresztą.

## Rozdział 47

Po słowach Igora w wielkiej sali zapadła cisza. Johann i Paulina popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami.

– Jakim cudem w Szczecinie miałyby się znaleźć rzymski obóz warowny? – spytała w końcu Paulina, powoli akcentując każde słowo.

– Też nie mogę w to uwierzyć! – odpowiedział dokładnie tak samo Igor.

– Skąd ten pomysł? Mało ci było templariuszy?

– Widziałas tamten znaczek na ścianie przy schodach? – Igor wskazał ręką wyjście z sali. – To był stempel legionowy. Legion Drugi coś tam, coś tam. Powinien być tam skrót od nazwy, ale był zatarty. Pewnie jak dobrze poszukamy, to znajdziemy jakiś inny gdzie indziej.

– Może nie jestem ekspertem, ale nawet ja wiem, że granice cesarstwa przebiegały wzdłuż Dunaju i Renu. Dalej na północ były tereny barbarzyńców.

– Ona ma rację. – Johann spojrzał na Igora. – Oni się aż tak daleko nie zapędzili.

– Niezupełnie. – Igor pokręcił głową.

– Jak to rozumiesz? – nie wytrzymała Paulina.

– Jest bardzo stara hipoteza, która sięga jeszcze średniowiecza. Zbiór legend, podań, ale i kilka zagadkowych zdań z *Roczników* Tacytya<sup>[50]</sup> oraz domysły i teorie różnych kronikarzy, zarówno niemieckich, jak i polskich. Hipoteza ta dotyczy ziem położonych na północ od Dunaju i Renu, które Rzym usiłował podbić, ale wycofał się z tych planów po klęsce w lesie Teutoborskim. Zanim to się jednak stało, powstały zręby ogromnej prowincji, którą historycy nazywają Germania Magna. Miała ona obejmować całą północno-zachodnią Europę powyżej Renu i sięgać aż do Odry. Teoria ta była powszechnie krytykowana i traktowana jak mit aż do lat sześćdziesiątych, kiedy to Słowacy na północno-zachodniej granicy,

niedaleko granicy z Polską, odkryli pozostałości obozów rzymskich.

– Mimo wszystko to bardzo daleko od Szczecina! – Johann pokręcił sceptycznie głową.

– Ale Szczecin leży nad Odrą – odparł z uśmiechem Igor. – Badania archeologiczne prowadzone w kilku miastach położonych nad Odrą wykazały, że jeszcze w czasach Chrobrego były one niezwykle silnie ufortyfikowane. Cedynia, Lubiąż, Lubes w Niemczech, Krosno, Opole. Wedle tej hipotezy miasta te stanowią pozostałości rzymskich fortyfikacji, tworzących niegdyś granicę cesarstwa. Po bitwie w lesie Teutoborskim, która była największą klęską w dziejach Rzymu, rozpoczęły się wojny z Germanami, w wyniku których granica wycofała się na Ren i pozostała tam aż do upadku cesarstwa.

Paulina ściągnęła brwi i podniosła wzrok na malowidło na ścianie.

– Czytałam kiedyś, że według legendy Wolin założony został przez Juliusza Cezara – powiedziała z namysłem.

– Właśnie! – przytaknął Igor. – Po raz pierwszy przytoczył ją nie byle kto, bo kronikarz Ottona Pierwszego, ten sam, co opisał szczecińskie wzgórze zamkowe i nazwał je ARX.

– Mnich Ebon – mruknął Johann.

Igor pokiwał twierdząco głową.

– Podczas pierwszej wyprawy na Pomorze Ebon zapisał, że zgodnie z przekonaniem mieszkańców Wolina ich miasto założył sam Juliusz Cezar. W centrum grodu stała ponoć kolumna, w którą na pamiątkę wbita była włócznia samego Cezara. Z tego tytułu miasto na starych mapach nazywano Julin. Nie ma oczywiście żadnych dowodów, ale być może jest to właśnie pozostałość po czasach, kiedy naprawdę byli tu Rzymianie? Każda legenda kryje ziarno prawdy. – Igor wzruszył ramionami. – Kilometr od Wolina archeolodzy odkryli starożytne cmentarzysko, na którym znaleziono rzymskie monety i liczne ozdoby z brązu. Tam także odkopano legionowego orła.

Johann patrzył na Igora bez słowa, usiłując przetrwać usłyszane informacje.

– Podobne legendy pokutują w średniowiecznych kronikach prawie wszystkich leżących nad Odrą miast. Klasztor w Lubiążu, według

średniowiecznych kronik, założony został w miejscu rzymskiej świątyni Marsa, Kłodzko zbudowano na ruinach rzymskiego obozu, o Zielonej Górze pisano, że założył ją Juliusz Cezar. – Igor spojrzął na Johanna i podniósł do góry reflektor.

Światło wydobyło ze starego malowidła okruchy barw, które kryły się w mroku od dnia, gdy po raz ostatni byli tutaj członkowie szczecińskiej loży Pod Trzema Cyrklami.

– To nieprawdopodobne! – dodał z entuzjazmem. – To miejsce jest jak Troja! Dzieje świata sprzed dwóch tysięcy lat, po których zachowały się wyłącznie legendy.

– Nie, nie mogę w to uwierzyć. – Paulina pokręciła głową. – Odra granicą Cesarstwa Rzymskiego, przecież to kompletnie nieprawdopodobne!

– To jest bardzo stara hipoteza. Powtarzana od setek lat, zachowana w dziesiątkach opowieści, kronik, legend. Poza tym pośrednio tłumaczy także inne zagadkowe historie. Na przykład legendę o Winecie.

– O tym zatopionym mieście? – Johann popatrzył na Igora ze zdumieniem. – Dziadek mi o niej opowiadał, ale myślałem, że to akurat naprawdę bajka.

– Legendarne miasto, które zostało pochłonięte przez morze ze względu na bogactwo i pychę mieszkańców. To oczywiście fabularne naleciałości setek lat, natomiast najstarszy przekaz pochodzi z początku jedenastego wieku. Na mapach Ptolemeusza znajduje się Bunitium. Według dzisiejszych badań mogła to być właśnie owa legendarna Wineta, która leżała gdzieś u ujścia Odry i według romantycznej legendy została pochłonięta przez morze. Zgodnie z opisami Adama z Bremy<sup>[51]</sup> była niegdyś największym miastem europejskim, ogromnym grodem, do którego prowadziło dwanaście spiżowych bram. W falochronie w Świnoujściu do dzisiaj znajdują się ogromne granitowe płyty, które zostały tam wmontowane podczas jego budowy. Według niektórych opisów, pochodzą właśnie z Winety.

Igor przerwał i popatrzył na zamyśloną Paulinę.

– Jeżeli na Odrze była granica cesarstwa, to by tłumaczyło powstanie tak wielkiego handlowego portu. Odra była handlowym traktem żegludowym dla Rzymian, jeżeli zaś przebiegała tędy, chociażby przez sto lat tylko, granica Rzymu – to by urealniało wszystkie opisy Winety jako ogromnego miasta i emporium handlowego. Poza tym od strony Renu poprzez Wrocław, wzdłuż Odry, prowadził trakt reński, wodno-lądowy szlak handlowy, który

funkcjonował do końca imperium, a jeśli dodamy do tego jeszcze szlak bursztynowy...

Igor nagle przerwał i zmarszczył brwi. Szlak bursztynowy...

Otworzył szeroko oczy. Miał wrażenie, że kolejny element puzzli znalazł się na swoim miejscu.

– Szczecin leżał bardzo daleko od szlaku bursztynowego. – Paulina pokręciła głową. – Przecież on biegł od strony Wrocławia przez środek Polski do Gdańska.

– Szlak miał zachodnią odnogę – powiedział Igor, pocierając brodę.

Usiłował przypomnieć sobie przeczytane gdzieś dawno temu informacje.

– O ile pamiętam, są jakieś źródła powołujące się na dokumenty z czasów rzymskich, które opisywały przebieg zachodniej części szlaku bursztynowego. Według nich, zachodnia odnoga oddzielała się od głównego traktu i gdzieś na wysokości Konina, czyli ponoć Setidawy z map Ptolemeusza, skręcała na Pomorze Zachodnie. Były wymienione tam nawet miejscowości, przez które przebiegał – Drezdenko, potem przeprawa przez Wartę w okolicach Gorzowa, przeprawa przez Odrę w okolicach Szczecina aż do Lacibburgum, czyli dzisiejszego Uckermünde.

Paulina, milcząc, podniosła głowę i spojrzała na resztki malowidła.

– Ujście Odry było więc bardzo ważnym punktem handlowym. – Igor popatrzył na Paulinę i Johanna z entuzjazmem. – Krzyżowały się tutaj dwa bardzo ważne szlaki handlowe, szlak bursztynowy oraz Odra, czyli rzymska Suebus, która była wodnym traktem prowadzącym w kierunku południowych prowincji rzymskich. To właśnie dowodzi, że powstanie w tym miejscu warownego obozu było jak najbardziej możliwe. Pewnie zbudowano go na potrzeby przeładunku towarów dostarczanych znad morza oraz być może także do spławiania drogą wodną bursztynu przywożonego zachodnim szlakiem. Służył zarówno tutejszym ludom, które bogaciły się na handlu z Rzymem, jak i Rzymianom, którzy odbierali stąd nie tylko bursztyn, ale i skóry, drewno, być może zwierzęta, żubry, tury. Warownia pewnie służyła do czasów upadku Rzymu, a potem, gdy przez te tereny zaczęły przemieszczać się hordy Hunów, została zniszczona i przepadła w mrokach dziejów.

W sali zapadła cisza. Ostatnie słowa Igora powoli wybrzmiały, wtapiając



się w stare ściany.

– A jak w takim razie wyjaśnisz, że znajdujemy się tak głęboko pod ziemią? – Paulina wskazała wzrokiem sklepienie. – Jeśli to jest rzeczywiście kaplica rzymskiego obozu, to dlaczego znajduje się poniżej poziomu wody w Odrze?

Igor zmarszczył brwi.

– Poziom wody w Bałtyku dwa tysiące lat temu mógł być nawet kilka metrów niżej – niespodziewanie wtrącił Johann. – Bałtyk to w rzeczywistości jezioro polodowcowe, które co jakiś czas zamienia się w morze w wyniku wlewania się do niego wód Morza Północnego. Aktualnie jest morzem dopiero od jakichś pięciu tysięcy lat, przy czym topniejący lodowiec cały czas podnosi poziom wody.

– Dlaczego ja nie wiem takich rzeczy? – Paulina pokręciła głową.

– Ja też o tym nie pomyślałem – mruknął Igor. – Ale to wiele wyjaśnia. Ta posadzka – spojrzał pod nogi – dwa tysiące lat temu mogła być na poziomie ówczesnego terenu. Cały obóz stał na brzegu, otoczony wałami, a dopiero potem wszystko zostało zasypane i z wolna zamieniło się w niewielkie wzniesienie.

Rozejrzał się dookoła. W wyobraźni zobaczył, jak z wielkiej sali prowadzą wyjścia na zewnątrz, gdzie wokoło stoją baraki legionistów, kwatery dowodzących, zbrojownie, warsztaty, termy. Od strony Odry pewnie była jakaś brama, a za nią przystań, do której dobijały łodzie handlowe i okręty transportowe. Dookoła obozu ciągnęły się hektary wykarczowanych lasów. Być może stara droga, którą tysiąc lat później przybył tutaj Otton I z Wolina, była wówczas lądowym szlakiem z legendarnego Bunitium. Jeśli prowadził wtedy szlak bursztynowy, to gdzieś niedaleko musiała znajdować się przeprawa przez Odrę. Może powtarzane od setek lat słowa, że Most Długi leży w najstarszym historycznym przejściu przez Odrę, są pozostałością po tamtych czasach? W słowach, we frazach językowych bardzo często pozostają ślady czasów tak dawnych, że nawet historia o nich nie pamięta.

– Ale jak to się stało, że ten bursztyn tutaj został? – spytała Paulina.

Igor wzruszył ramionami.

– Wojny z Germanami? Najazd Hunów? Ogromny ładunek, którego Rzym nie mógł już zabrać, więc ukrył i pozostawił na tych ziemiach? To

wyjaśniałoby także stosunkowo dobre zachowanie świątyni, po prostu ją zasypali.

– Mapa z sarkofagu Barnima – powiedział nagle Johann. – Via Sucinaria!

Igor i Paulina odwrócili się i spojrzeli na niego.

– Co takiego? – spytała Paulina.

– Na mapie była nazwa, którą wiązaliście ze Szczecinem. – Johann otworzył usta i stał przez chwilę z osłupiałym wyrazem twarzy.

– Secinum – przypomniał Igor.

– Właśnie sobie coś skojarzyłem. – Johann popatrzył na nich i uśmiechnął się do siebie z niedowierzaniem. – Szlak bursztynowy to Via Sucinaria. Wiecie, co znaczy po łacinie SUCINUM?

Paulina i Igor wbili w Johanna pytające spojrzenia.

– Bursztyn!

## Rozdział 48

**K**to to może być? – Pilecki skinął głową w kierunku nieboszczyka.

Loch oświetlony był światłem kilku reflektorów, a przy zwłokach uwijali się technicy z medycyny sądowej.

– Jakiś poszukiwacz skarbów. – Bondar wzruszył ramionami. – Pewnie utknął tutaj. – Odwrócił się i ruchem głowy wskazał betonowe, obrotowe wrota. – Widziałeś to? Nieprawdopodobne! Jak w jakimś filmie.

Ze studni w samym środku lochu dobiegł odgłos ciężkich butów obijających się o stalowe stopnie i po chwili z jej wnętrza wydostał się młody strażak w granatowym uniformie i hełmie.

– Masakra! – krzyknął. – Nie będziemy mieć światła! Za daleko, nie dociągniemy tam kabli!

– A agregaty? – spytał Pilecki.

– Nie ma żadnej wentylacji. Agregaty są na olej.

Pilecki spojrzał na ekran komórki. Brak zasięgu.

– Zasięgu też tu nie ma – rzucił przez ramię strażak, ciężko dysząc. – Lecę wezwać więcej ludzi. Wszystko, kurna, łopatami przy reflektorach! I będą potrzebne wsporniki i teleskopy.

\*

– To musi być w takim razie *Aeranium*. – Johann rozejrzał się po lochu, do którego zeszli, żeby jeszcze raz obejrzyć hałdy bursztynu.

– Skarbiec – wyjaśnił Igor, widząc pytające spojrzenie Pauliny. – Umieszczano go pod posadzką świątyni.

Paulina pokiwała głową. Myślała o czymś innym.

– Sucinum – mruknęła pod nosem. – Secinum.

Igor myślał o tym samym.

– Przecież najstarsze brzmienie to Stettin, z początku dwunastego wieku. – Paulina popatrzyła na niego i odgarnęła włosy z czoła. – Kompletnie się różni.

Igor pokiwał głową. Tajemniczy lud Sideinoi lub Sedin, który za czasów Ptolemeusza zamieszkiwał te ziemie. Teoria Kantzowa o pochodzeniu nazwy Szczecina była później powszechnie krytykowana przez polskich historyków.

– Jest wcześniejsza nazwa – mruknął. – Tylko to kwestia sporna od wieków.

– Jaka? – Paulina spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Schinesghe. Z *Dagome Iudex*, gdzie opisano granice państwa polskiego, które biegły od państwa Schinesghe nad Bałtykiem i kończyły się na tym państwie, biegnąc wcześniej wzdłuż Odry.

– Sedinum, Stetinum, Stitin, Stetinensis, Schinesghe – Paulina wymieniła różne nazwy Szczecina, pojawiające się w dokumentach od początku tysiąclecia.

– Sucinum – Igor pokiwał głową. Nazwa powtarzana przez dziesiątki gardeł, zapisywana przez rozmaitych kronikarzy i skrybów mogła z łatwością zdryfować na Secinum, a później na Sicin i wreszcie Stitin z pieczęci miejskiej Barnima I.

– Znów gadacie po polsku! – jęknął Johann, pracowicie wycierając rękawem wielką bryłę bursztynu. – Tu jest chyba jakiś owad w środku.

Igor spojrzał rozkojarzonym wzrokiem na Johanna.

– Chcesz to zabrać? – spytała Paulina, patrząc na Johanna, który otworzył swój plecak i włożył do niego bursztyn.

– Obudziła się w tobie nagle patriotka? To nie polskie zresztą, należy do Rzymian – mruknął Igor.

– Nie o patriotyzm mi chodzi, tylko o kontrolę na granicy. – Paulina postukała się palcem w czoło. – Sądzisz, że jacyś Rzymianie się po to zgłoszą?

– Jak nas stąd wyciągną, to przejazd przez granicę będzie moim najmniejszym zmartwieniem – westchnął Johann i skierował reflektor na przeciwległą ścianę. – Nie zaglądaliśmy jeszcze do tej części.

Igor spojrzał w ślad za snopem światła. Po lewej stronie lochu była jeszcze

jedna, oddzielona łukowym przejściem część. Cztery takie przegrody po prawej obejrzeni wcześniej, dochodząc do samego końca lochu zamkniętego ceglaną ścianą.

– Nie zdążyliśmy, bo przecież Igor wyleciał stąd jak wariat. – Paulina poszła za Johannem.

– Wygląda jak wszystkie pozostałe – mruknął Igor, oświetlając ceglane ściany i leżące pod nimi sterty bursztynu.

– A to? – spytał Johann.

Igor stanął obok niego i spojrzał w ślad za jego wzrokiem. Loch kończył się ścianą, ale w przeciwieństwie do przeciwległego końca nie była ona lita. Biegł po niej wyraźny ślad łuku, który schodził aż do ścian bocznych i przechodził w krótkie pionowe odcinki.

– Zamurowana? – spytała Paulina, stając za plecami Johanna.

– Najwyraźniej – mruknął i postukał łomem w płaszczyznę ściany. Wydała głuchy dźwięk. – Tam jest coś jeszcze.

Igor powiódł wzrokiem od jednego krańca ściany do jej końca. Łuk odcinający się wyraźnie na płaszczyźnie cegieł był dokładnie taki jak pozostałe, które przedzielały długi loch na kilka części.

Johann podłubał w spoinie między cegłami. Krucha stara zaprawa zamieniła się w pył i momentalnie wyprószyła na zewnątrz.

– Chyba możemy spróbować wyrąbać otwór – mruknął.

– Żeby tylko coś się nie zawaliło – westchnęła Paulina.

– Dobrze, spróbuję wyrąbać tylko parę cegieł, żeby można było zajrzeć do środka. – Johann podniósł łom i zaczął grzebać w kolejnej spoinie. Po chwili wyszarpnął obłuzowaną cegłę, która z łoskotem spadła na posadzkę.

– Ostrożnie!

Kilka kolejnych cegieł wylądowało na ziemi. Johann wsadził łom w następną spoinę i zaczął mocno szarpać. Stalowy pręt z łatwością wszedł w zwietrzałą zaprawę. Z wnętrza ściany dobiegł nagle jakby cichy szmer i spod samego zwieńczenia łuku posypał się pył. Igor podniósł wzrok i akurat w tym momencie zobaczył, jak górna część przemurowania odspaja się od łuku i powstają w niej wielkie bruzdy.

– Uwważaj! – wrzasnął do Johanna.

Johann podniósł głowę i odruchowo odskoczył do tyłu. Ściana nagle gwałtownie spękała, a jej górne części zaczęły się zapadać. Po chwili całość przechyliła się i czterometrowej wysokości ceglana plomba zwała się na posadzkę, wzbijając tuman kurzu. Przez cały loch przebiegł wstrząs. Igor, odskakując do tyłu, zdołał schwycić Paulinę za łokieć i odciągnąć spod walącego się rumowiska, ale toczące się po posadzce cegły dosięgły jej nóg. Tracąc równowagę, przewróciła się i zniknęła w tumanie kurzu. Reflektor wypadł z jej rąk i poturlał się po ziemi, oświetlając gruzowisko. Johann, który zdołał odskoczyć spod zasięgu walącego się muru, potknął się o leżące na ziemi zwały bursztynu i głośno klnąc, wyładował na posadzce.

Wszystko ucichło, a pomiędzy góry gruzu dobiegały tylko ciche dźwięki przesypującego się pyłu i małych kawałków cegieł. Igor z plecami przylepionymi do przeciwległej ściany powoli otworzył oczy i zakasłał w wirującym w powietrzu kurzu i pyle. Kilka metrów od niego Johann dźwignął się na kolana i podniósł z ziemi reflektor.

Paulina, której nogi przygniecione były cegłami, leżała bez ruchu. Igor skoczył ku niej gwałtownie. Odrzucił na bok jedną po drugiej cegły i pochylił się.

Paulina nagle drgnęła i zakaszła.

– O Boże! – Igor odetchnął. – Nic ci nie jest? Co z nogami?

– Co? – Paulina obróciła się na bok i wspierając dłoń na posadzce, powoli usiadła.

– Wszystko w porządku? – Igor patrzył przestraszony na kompletnie pokryte czerwonym kurzem czarne dzinsy.

– Tak, chyba tak. – Paulina powoli podciągnęła kolana i opierając się na ramieniu Igora, ostrożnie wstała. – Mam pewnie tylko straszne siniaki. Mówiłam, że się zawali!

Igor głośno odetchnął z ulgą, podczas gdy Paulina, pochyliwszy się, trzepała nogawki. Johann, który zdołał uruchomić ponownie reflektor, odwrócił do nich i wycelował snop światła w wielką kupę gruzu. W ścianie nad powstałym zwaliskiem był teraz taki sam otwór, jak w pozostałych przegrodach dzielących loch. Za nim, w chmurze kurzu czał się mrok.

Johann podszedł do wciąż pochyłonej Pauliny i skierował światło w głąb pomieszczenia. Igor, który podniósł na niego wzrok, zobaczył tylko, jak oczy

Johanna robią się ogromne, a on sam otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć.

W tym samym momencie Paulina wyprostowała się i odwróciła.

Powietrze, wypełnione drobinkami pyłu, rozdarł jej histeryczny krzyk. Odskoczyła do tyłu, wprost na Igora, który stracił równowagę i machając rękami poleciał na hałdę bursztynu.

\*

– Nie da rady skutecznie podeprzeć tych sklepień teleskopami. – Jeden ze strażaków wytarł zakurzoną twarz rękawem i spojrzał na przyglądającego się z widocznym niepokojem Pileckiego.

– Dlaczego?

– Konstrukcja sklepienia polega na rozporze na ściany boczne. Działa jako całość. Podparcie od spodu w jakimś punkcie, to tak, jakby chciał pan usiąść na rowerze bez siodełka.

Pilecki pokręcił głową, odpędzając od siebie dziwaczną wizję, wywołaną porównaniem strażaka, i spojrzał na ceglany strop.

– Spróbujemy to odeskować – rzekł strażak – ale to prowizorka. Potrzebne byłyby deskownice o kształcie sklepienia.

– Jak długi jest ten zawał?

Strażak wzruszył ramionami.

– Ci dwaj na górze powiedzieli, że ich kolegę zasypało kilka metrów od końca zawału. Do niego może dotrzemy, ale nie ma mowy, żeby się przebić na drugą stronę. To robota inżynierska. Nad nami jest przynajmniej dziesięć metrów ziemi, potrzebni byłiby jacyś specjaliści od kopalni, górnicy.

Kilka metrów dalej dwaj strażacy wielkimi łopatami przerzucali gruz i ziemię, powoli przekopując się przez zawalisko. Za nimi trzej następni rozkładali stalowe, teleskopowe podpory.

Nagły wstrząs spowodował, że wszyscy zamarli.

\*

Igor otworzył oczy i jęknął. Twarde odłamki gruzu i bryły bursztynu

boleśnie potłukły mu plecy. Podpierając się jedną ręką, dźwignął się ostrożnie. Nad nim, zakrywając usta, stała Paulina i wpatrywała się nieruchomo w głąb pomieszczenia.

– Widzisz to samo co ja? – odezwał się Johann.

Z ust Pauliny dobiegł nieokreślony dźwięk. Igor podniósł się, cały czas obolały po upadku, i dopiero teraz spojrzał przed siebie.

Za stertą gruzu z zawalonej ściany znajdował się postument. Był wysoki na około metr i wykonany z kamienia i cegły. Na pierwszym planie stały na nim wielkie amfory, a obok nich kamienne płytkie misy, wypełnione prawie całkowicie kurzem. Całość wyglądałaby jak ołtarz, gdyby nie to, co widniało w głębi.

Na drewnianych podporach z potężnych belek, zbitych stalowymi gwoździami, spoczywała ogromna czaszka. Światło reflektorów wydobywało z mroku wielki zakrzywiony dziób, puste oczodoły i masywny rogowy kołnierz, którym wzmocniony był tył czaszki potwora.

– Chryste! – jęknął Igor. – To czaszka smoka.

– Gryfa – powiedziała cicho Paulina.

– Gryfów nie ma.

– Bo smoki oczywiście są?

– Nie ma ani smoków, ani gryfów. – Johann zrobił krok w kierunku ołtarza. – Zatem co to jest?

Gdyby nie trwający wciąż jeszcze ból pleców, Igor miałby ostateczny dowód, że to wszystko sen, wywołany brakiem powietrza.

Ale to nie był sen. Czaszka stała przed nimi arogancko realna i całkowicie odporna na rozpaczliwe próby racjonalnego objęcia rozumem.

– Rzeźba? – spytała Paulina słabym głosem.

Johann wyciągnął rękę przed siebie i ostrożnie, jakby obawiał się, że mityczna bestia odgryzie mu palec, dotknął ogromnego zakrzywionego dzioba.

– To nie kamień. – Postukał palcami w lekko chropowatą płaszczyznę. – Ani drewno.

– Może po prostu wykonana jest z kości? Tak jak rzeźby z kości słoniowej?



- Rzeźba czaszki z kości, dobre sobie – mruknął Igor.
- Wymyśl coś mądrzejszego.
- To jest jedna płaszczyzna. – Johann przejechał ręką po wielkim dziobie.
- Nie wiem, z kości jakiego stworzenia mieliby to wykonać?

Igor podszedł do kamiennego postumentu i stanął, patrząc na jego przednią ścianę. Czaszka gryfa była tak abstrakcyjna, że miał pustkę w głowie. Musiało być jakieś racjonalne wytłumaczenie, tylko jeszcze nie wiedział jakie. Pochylił się i przetarł ręką kompletnie zakurzoną płaszczyznę. Spod grubej warstwy pyłu wyłoniły się litery. Przetarł pozostałą część, odsłaniając cały napis.

### **CAPUT MORTUUM PORTENTUM**

– Martwa głowa bestii – powiedział cicho Johann, patrząc przez ramię Igora. – Ostatnia maksyma z sarkofagu.

– Smok z legendy twojego dziadka – Igor westchnął.

– Przecież to jest gryf! Ma zakrzywiony dziób i ten charakterystyczny kołnierz z piór na szyi jak orzeł. – Paulina powoli obeszła postument i stanęła obok Johanna.

– Smok pewnie lepiej brzmiał w bajce opowiadanej małemu chłopcu – mruknął Igor. – W końcu co smok, to smok.

– Czy to, co widzimy, jest w ogóle możliwe? – Johann pokręcił głową.

– Może to jakaś nieznana odmiana gigantycznego orła albo jakiegoś ptaka nielota, jak te z Madagaskaru, które żyły tutaj w zamierzchłych czasach?

– Strusie madagaskarskie miały trzy metry wysokości, a czaszkę niewiele większą od twojej. – Johann spojrział na Paulinę. – Ta tutaj ma około metra długości. Ten ptak musiałby być wielki jak muzeum na Wałach.

– Czy ty w ogóle robiłeś jakieś zdjęcia? – Paulina popatrzyła na Igora.

– Oczywiście. Jak łaziliśmy tam na górze. Tu nie, nie zdążyłem – odpowiedział i podszedł do leżącego pod ścianą plecaka.

Wyciągnął tablet i stanął przed antycznym ołtarzem.

– Rzymianie wierzyli, że gryfy strzegą skarbów – mruknął, patrząc w ekran. Mroki lochu zakłócił na moment błysk flesza.

W tej samej chwili rozległ się odgłos przypominający grzmot. Dobiegł gdzieś z góry. W chwilę później podłoga i ściany lekko drgnęły, tak jakby metry sześciennie ziemi nad nimi znowu się poruszyły. Igor oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na Paulinę i Johanna.

– Zawaliła się kolejna część korytarza – szepnęła grobowym głosem Paulina.

Przez chwilę panowała cisza. Wszyscy troje myśleli o tym, o czym bali się głośno mówić. Ich szanse na wydostanie się z podziemi jeszcze bardziej zmalały.

– Lepiej chodźmy na górę. – Igor wepchnął tablet do plecaka.

– A co z gryfem? – Johann spojrzał niepewnie na ogromną czaszkę.

– Przecież go nie zabierzemy! – Paulina ruszyła za Igorem.

Johann przejechał palcem po potężnym dziobie i westchnął. Po chwili znaleźli się w centralnej części *Aeranium*, gdy nagle idący z tyłu Johann przystanął.

– Poczekajcie! – Skierował reflektor na ścianę przeciwległą do tej, w której znajdowało się wyjście na schody.

– Tutaj jest jakaś szpara – powiedział, podchodząc do ściany.

W ceglanej płaszczyźnie znajdował się na pierwszy rzut oka niewidoczny otwór. Przejście wykute było w kształcie litery Z, tworząc wąziutki korytarz w grubości ściany. Patrząc nieuważnie, dostrzegano się tylko cegły.

Johann wsadził do wnętrza rękę z reflektorem.

– Tam można wejść – mruknął. – Jakiś korytarz.

– Ugrzęźniemy gdzieś, skąd nikt już nas nie wyciągnie, nawet jak przebije się przez ten zasypany tunel – jęknęła Paulina.

– A może to wyjście? – Johann odwrócił się i spojrzał z nadzieją na Igora, szukając w nim sprzymierzeńca.

– W porządku, zobaczmy. – Igor podszedł do Johanna i nie czekając, pierwszy wepchnął się do ciasnego otworu. Za ścianą był wąski korytarz, który kilka metrów dalej zamieniał się w prowadzące na górę, strome schody.

– Schody? – Johann wsunął się do wnętrza za Igorem.

– Jak widać. – Igor podszedł bliżej i wycelował reflektor do góry. – Jeśli to

jakieś stare przejście do Oderburga, to i tak jest zasypane wyżej.

– Jak nie sprawdzimy, to nie będziemy wiedzieć – mruknął Johann i zaczął się wspinać po stromych stopniach.

– Są symetryczne względem tych, którymi zeszliśmy do skarbcza. – Igor spojrział na Paulinę.

– W kaplicy nie było żadnego innego wejścia. – Paulina postawiła nogę na pierwszym stopniu. – Chyba że nie zauważyliśmy.

– Albo zostało zamurowane.

Ruszyli w górę. Johann był kilka metrów wyżej przed nimi. Schody ciągnęły się jednostajnie rytmem takich samych, wysokich stopni.

– Trzydzieści dwa – powiedział Igor, stając na ostatnim. – Dokładnie tyle samo, co tamte. Liczyłem – dodał, widząc pytające spojrzenie Pauliny.

– Więc jesteśmy na poziomie kaplicy. – Paulina dotknęła ręką ceglanej powierzchni ściany, za którą musiała znajdować się wielka sala. Korytarz ciągnął się przed nimi prosto, a następnie zakręcał. Johann właśnie zniknął z widoku, a po chwili usłyszeli jego wołanie.

– Tu jest przejście! Kamienne wrota! – krzyknął. – Otwarte!

Tuż za zakrętem korytarz kończył się wielkim kamiennym blokiem, który teraz do połowy nikał w ścianie. Igor przeszedł na drugą stronę i wycelował reflektor w dalszą część korytarza. Wyglądała znajomo. Nagle drgnął i ruszył przed siebie.

Po lewej stronie, w połowie długości ściany, ziała w niej wielka dziura, przykryta kamiennym nadprożem. Igor wszedł do środka i zadarł głowę. W kamiennym bloku nad otworem wykute były litery, które układały się w znane słowo.

– Gottesgnade! – powiedziała cicho Paulina, stając obok. – Jesteśmy znowu przed wejściem do tej wielkiej kaplicy.

Johann oświetlił wysoki korytarz.

– Faktycznie – powiedział, zadzierając głowę. – Tam za zakrętem powinno być wejście do wielkiej sali. Tyle że wtedy nie było tego przejścia.

Oświetlił kamienny blok i zmarszczył brwi.

– Musiał się przesunąć, jak uruchomiliśmy mechanizm w podłodze – powiedział Igor. – Może dawniej pełnił funkcję jakiejś pułapki dla

nieproszonych gości.

– Boję się iść w kierunku tego zapadliska – szepnęła Paulina, oświetlając perspektywę niknącego w mroku korytarza, którym przyszli tutaj od strony Wałów Chrobrego.

Igor pomyślał o tym samym. Za kilkaset metrów może się okazać, że nie mają drogi powrotu.

\*

– Woda cały czas penetruje to zapadlisko. Musiało się coś zawalić na górze albo obsunąć – mruknął jeden ze strażaków, którzy kilka minut temu ponownie wrócili do kopania w stercie ziemi i gruzu.

– Nie ma szans, żeby ktokolwiek tam przeżył. – Drugi strażak, który obok przerzucał gruz wielką łopatą, pokręcił sceptycznie głową.

– Nigdy nie wiadomo, zawsze jest szansa. Mogła się zrobić kieszeń.

Kilka metrów od nich grupa strażaków ostrożnie ustawiała stemple podpierające strop i powoli podnosiła teleskopowe podpory.

– Jak jeszcze raz tąpnie, to chyba dostanę zawału – mruknął jeden z nich. – Tych kretynów, co poleźli na drugą stronę, nie wyciągniemy przez miesiąc.

Po obu stronach korytarza rosły sterty gruzu i ziemi, a w centralnej części zawaliska powstał, cały czas ostrożnie powiększany przez ekipę, wykop.

Głośne wołanie jednego z mężczyzn, którzy przerzucali gruz, spowodowało, że wszyscy przerwali swoje zajęcia i zamarli. Młody strażak rzucił łopatę i ukucnął. Jego kolega zaczął machać energicznie ręką.

– Jest! Dawać nosze!

Dwóch ratowników ruszyło do przodu, przepychając się pomiędzy strażakami.

Ze sterty gruzu wymieszanego z ziemią wystawała głowa i ramiona. Zmierzwione włosy pokryte były pyłem. Jeden z ratowników dotknął szyi człowieka, a następnie podniósł wzrok i pokręcił przecząco głową.

– Cholera! – jęknął młody strażak. – I tak musimy go wykopać.

Po chwili udało się odsłonić całe ciało na tyle, że można je było odciągnąć i zabrać na nosze. Dwóch ratowników nakryło je czarną folią i dźwignęło do góry. Czekala ich przeprawa przez cały korytarz, aż do wyjścia pod taras.

Nie zdążyli odejść nawet kilkudziesięciu metrów, gdy rozległ się huk i duży fragment stropu nad dopiero co postawionymi stemplami zwałił się z łośkotem, zasypując korytarz masą gruzu i ziemi.

\*

– No, to koniec – jęknął Johann i ukucnął przy ścianie, opierając się plecami.

Igor poczuł, jakby coś zacisnęło mu szpony na gardle. Co innego słyszeć łośkot zawalającego się stropu, a co innego zobaczyć na własne oczy, że jedyna droga powrotu na powierzchnię jest kompletnie odcięta.

– Zawalił się długi odcinek. – Paulina wycelowała reflektor w masę gruzu. – Sam ten fragment z zawałoną posadzką miał jakieś dziesięć metrów, a ten zawał sięga dużo bliżej.

Igor spojrzał na strop. W miejscu, gdzie kończyło się zwałisko gruzu, strop był zniszczony, a pojedyncze cegły sterczały z niego jak powybijane zęby. Jeśli w masach gruzu i ziemi nad ich głowami porobiły się jakieś pustki powietrzne, to w każdej chwili te zwały mogą się znowu przemieścić i kolejny fragment stropu może nie wytrzymać obciążenia.

– Jak oni się przez to przebijają? – Paulina spojrzała na niego. W jej oczach kryła się nadzieja usłyszenia jakiegoś racjonalnego, technicznego wytłumaczenia.

– Są specjalne stemple, podpory, które się ustawia przy kopaniu tuneli podziemnych – powiedział niepewnie.

– Jak w kopalniach?

– Mniej więcej.

Tyle że takie prace trwają tygodniami i wymagają wcześniejszych badań geotechnicznych. Postanowił jednak tę wiedzę zachować dla siebie.

– Czyli możemy tylko usiąść i czekać? – Johann podniósł głowę.

Ale to raczej nie tutaj, pomyślał Igor. Tutaj było średnio bezpiecznie.

Omiótł światłem ściany obok zapadliska. Kilka metrów przed stertą gruzu, u szczytu sklepienia znajdował się ten zamurowany otwór, który początkowo wziął za wentylację, a który prawdopodobnie służył jako kanał do wypompowania wody ze starego lochu. Pod wpływem wstrząsu ceglane

przemurowanie otworu zostało wypchnięte, a kilka cegieł wypadło ze ściany. W głębi widać było mrok kanału.

Ściągnął brwi, ale nie zdążył nawet nad tym pomyśleć, bo nad ich głowami rozległ się narastający stopniowo rumor.

– Do tyłu! Szybko! – krzyknął i machnął ręką za siebie.

Johann poderwał się instynktownie i rzucił do ucieczki. Paulina, która stała przodem do zwaliska, odwróciła się gwałtownie i zaczęła biec w kierunku, z którego przed chwilą przyszli.

Strop jednak wytrzymał. Oderwały się tylko pojedyncze cegły i runęły na ziemię, a spod szczytu rumowiska wysypało się sporo gruzu. Wzniósł się pył, który po chwili zaczął powoli osiadać na ziemi. Zatrzymali się dobre kilkanaście metrów dalej. Paulina oparła się o ścianę i odetchnęła. Johann stanął obok niej i potarł ręką czoło.

– Ten strop nie wytrzyma długo, jak grunt nad nim zacznie się znowu przemieszczać. – Igor wycelował reflektor w stronę zapadliska.

– Najbezpieczniej chyba było w tej rzymskiej świątyni – mruknął Johann.

Igor w duchu przyznał mu rację. Po pierwsze, było to dużo dalej od miejsca zawału, a po drugie, zachowało się tam potężne sklepienie, nad którym stały ustabilizowane fundamenty budynków dzisiejszej stoczni.

Tylko że tam nikt i nigdy się do nich nie dokopie, jeśli cały ten korytarz ulegnie zawaleniu. O czym to on myślał przed chwilą?

– Otwory techniczne! – powiedział głośno.

– Jakie otwory? – Paulina spojrzała na niego podejrzliwie.

– Te otwory pod sklepieniem! – Igor podniósł reflektor i zaczął oświetlać ścianę w poszukiwaniu charakterystycznego przemurowania.

– Co z nimi? – spytał Johann.

– Jeśli uda nam się przez nie przeleźć...

– Tam jest! – wrzasnął Johann, któremu nie trzeba było dłużej tłumaczyć idei.

– To dostaniemy się do kanałów burzowych – skończył Igor, patrząc na Paulinę.

– Podsadź mnie i daj mi łom! – Johann stanął przy ścianie pod

zamurowanym otworem i patrzył ponaglająco na Igora. Ten podszedł do niego i ukucnął. Po chwili Johann, siedząc Igorowi na barana, zaczął grzebać łomem pomiędzy cegłami.

– Nie zwał mi ich na głowę! – jęknął Igor. – Nie jesteś wcale lekki.

– Uważaj! – wrzasnął Johann.

Igor odskoczył w bok wraz z zapierającym się rękami o ścianę Johannem.

Z otworu wyleciała sterta cegieł i z łoskotem spadła na posadzkę. Johann pochwycił rękami krawędź otworu i zajrzał do środka.

– Da się wejść? – spytał Igor, zadzierając do góry głowę.

– Bliżej! Podejdź bliżej ściany – stęknął Johann i zaczął się wspinać do wyzierającej ze ściany dziury. Po chwili zdołał wejść do środka, a z dołu widać było tylko jego łydki i buty.

– To prosty odcinek, ma jakieś trzy metry, ale są tu jakieś kotwy! – wrzasnął ze środka. – Spróbuję wejść dalej!

Igor i Paulina stali z uniesionymi głowami i wpatrywali się w napięciu w ciemny otwór, w którym przed chwilą zniknął Johann. Po kilku minutach – które trwały w ich odczuciu z sześć godzin – w otworze ukazała się postać Johanna, który z trudem ukucnął i wyjrzał.

– Jest przejście! – krzyknął radośnie.

– Właź! – Igor spojrział na Paulinę i podszedł do ściany.

– Nie zmieścimy się tutaj razem! – krzyknął Johann. – Musisz ją podsadzić, ale wejść będzie mogła do środka dopiero, jak ja wleżę do góry!

– A jak ty wejdiesz? – Paulina spojrzała zaniepokojona na Igora.

– Poradzę sobie! Właź! – powiedział niecierpliwie. Bał się, że jeśli strop korytarza zacznie się znów walić, wąski tunel techniczny może zostać zmiażdżony.

Po chwili Johann zniknął w głębi tunelu, a Paulina zaczęła ostrożnie wciskać się do otworu. Gdy jej nogi znalazły się we wnętrzu dziury, Igor opuścił głowę i przejechał reflektorem po posadzce. Gdzieś tu spadł łom. Leżał pod ścianą. Sięgnął po niego i zaczął grzebać w spoinach na wysokości metra od ziemi. Spoina powinna być powiększona na tyle, żeby mógł oprzeć na niej czubek buta.

– Podam ci rękę! – Usłyszał krzyk z góry. – Nie podciągniesz się sam.

Miała rację. To było mało prawdopodobne, ale nie musiała w ten sposób zdradzać niewiary w siłę jego mięśni. Odsunął się od ściany i spojrzął w bok. Otwór przy samym zwalisku był chyba ostatni. Dalej ciągnęła się już lita ściana z cegły. Rozpędził się i skoczył do góry. Uchwycił się dolnej krawędzi otworu i zaczął machać nogami, w poszukiwaniu zaczepienia. Gdy czuł, że już dłużej się nie utrzyma, jego stopa trafiła na kant wyszczerbionej cegły.

Od strony gruzowiska usłyszał nagle grzmot. Kolejny zniszczony fragment sklepienia zwałił się na posadzkę, a w jego kierunku ruszyła chmura pyłu. Reflektor, objając mu się na piersiach, oświetlał fragmenty ściany i stropu. Jego nogi zniknęły w otworze w momencie, gdy tuż obok przewaliła się fala kurzu.

\*

– Mają pozwolenie na broń i pozwolenie od konsula na posługiwanie się nią na terenie Polski – warknął Bondar i schował telefon do kieszeni. – Z Berlina jedzie już oddział prawników.

– Za chwilę się okaże, że jedyne, o co będziemy mogli ich oskarżyć, to włamanie do transformatorowni. – Z niedowierzaniem pokręcił głową Pilecki.

– I z tym może być problem – mruknął zjadliwie Bondar. – Drzwi były cały czas otwarte.

Z wnętrza lochu dobiegł nagle hałas. Drzwi na końcu transformatorowni otworzyły się z hukiem i wybiegł z nich kompletnie zakurzony strażak.

– Zwalił się strop! – krzyknął. – Dwóch naszych zasypało! Wyciągnęliśmy ich, ale potrzebne są nosze z pasami, żeby ich wydobyć. Mają połamane ręce i nogi!

– A co z tym Niemcem? – spytał Bondar.

– Nie żyje! – krzyknął strażak i wybiegł na zewnątrz.

Pilecki i Bondar spojrzeli na siebie. Czarny scenariusz zaczął się właśnie spełniać. Wszystko wskazywało na to, że bilans ofiar najprawdopodobniej powiększy się jeszcze tej nocy o trzy osoby.

\*



Kanał miał wymiary dużego komina. Prowadził prosto do góry, by na wysokości jakichś czterech, może pięciu metrów odgiąć się w bok. Do jednej ze ścian przymocowane były w równych odstępach stalowe kotwy. Igor wyobraził sobie, że zakleszcza się tutaj, a strop tunelu wali się, tarasując możliwość powrotu. Wzdrygnął się i podniósł głowę do góry. Musiał poczekać, aż Paulina podciągnie się na tyle, żeby zrobić mu miejsce. Poprawił plecak i postawił nogę na pierwszym stopniu. U góry usłyszał, jak Johann coś krzyczy, a w chwilę później nogi Pauliny zniknęły za załomem.

Kanał odginał się prawie poziomo, a za załomem była dziura, która prowadziła w dół. Wspiął się na ostatni szczebel i wyjrzał do środka. Na dnie kanału, brodząc w wodzie po kolana, stał Johann i świecił mu prosto w oczy. Manipulując w małej przestrzeni swoimi długimi nogami, Igor przerzucił je do dziury i powoli zsunął się do wnętrza. Rozluźnił uchwyt i spadł z chłupotem do wody, która wartkim strumieniem płynęła środkiem kanału.

– Dlaczego wyszliśmy z sufitu? – spytała Paulina.

Igor nie zrozumiał od razu, dopiero po dłuższej chwili dotarł do niego sens jej pytania. Pion techniczny był wyprowadzony ponad kanał deszczowy i otwarty w jego stropie.

– Dzięki temu woda deszczowa nie zalewała tunelu.

– Ale to znaczy, że ten kanał jest niewiele płycej niż tunel do Oderburga.

Miała rację. Możliwe, że był to jakiś stary odcinek, który odwadniał niegdyś zabudowę na nabrzeżu, a po wojnie został głęboko zasypany podczas budowy ulicy Łady.

– Nie jest źle! Z kanalizacji musi być jakieś wyjście! – powiedział Johann z nowym animuszem i odetchnął z ulgą. – Tam na dole myślałem, że zemdleję, jak zobaczyłem tę kupę gruzu.

– Idziemy! Rozglądajcie się za studzienkami! Gdzieś musi być wyjście na ulicę. – Igor założył plecak na ramię i ruszył środkiem kanału.

– A damy radę otworzyć pokrywy? – zaniepokoił się nagle Johann. – Do nich potrzebny jest specjalny klucz.

– To nie Londyn! – parsknął Igor. – Te pokrywy, o których myślisz, kosztują majątek. U nas leżą zwykłe betonowe włazy, które można podważyć łomem, albo stare studzienki przedwojenne.

Ruszyli przed siebie, brodząc w brudnej wodzie. Kanał miał kształt

wielkiego, wydłużonego jajka i był zrobiony z glazurowanej cegły. W ścianach co jakiś czas otwierało się boczne odejście, z którego wylewały się kaskady wody i znikwały w ciemności.

– Zostawiliśmy tam jakieś kilkaset milionów euro i czaszkę prawdziwego gryfa – odezwała się widocznie rozluźniona Paulina.

– Alternatywą było pozostanie w charakterze stylowych kościotrupów – burknął Igor.

– Nie mogę przestać myśleć o tym gryfie. – Johann pokręcił głową. – To mi lasuje mózg. Przecież gryfów nie ma i nie było.

– Były! – Igor nagle się zatrzymał. Zawsze uważał, że każda zagadka musi mieć racjonalne wytłumaczenie. Jak się myśli, to się wymyśli! – przypomniał sobie lapidarną sentencję z jakiejś książki. Chyba Chmielewskiej. Boże! Toż to wszystko tłumaczy!

– Jak to? – Paulina przystanęła i spojrzała na niego jak na wariata.

– Teraz dopiero mi zaświtało! – Uśmiechnął się do siebie. – Wiecie, skąd się wzięły gryfy?

– Z legend?

– A legendy?

Paulina wzruszyła ramionami.

– Według starożytnych opowieści gryfy zamieszkiwały tereny dzisiejszej Azji. Kilkanaście lat temu amerykańska historyczka Adrienne Mayor postawiła teorię, że legendy o gryfach wzięły początek od kości dinozaurów znajdujących przez starożytne ludy na pustyniach Azji Centralnej, a konkretnie od protoceratopsów, które miały właśnie ogromne czaszki z zakrzywionymi dziobami i charakterystyczny kostny kołnierz.

– Więc to był dinozaur? – Johann otworzył szeroko oczy.

– Wyobraźcie sobie, jak rzymscy legioniści karczują lasy i kopią doły pod stawianą fortecę i nagle w bagnach znajdują kości jakiegoś miejscowego kuzyna z rodziny ceratopsów. To musiało być dla nich niesamowicie symboliczne.

– Te wszystkie legendy o gryfach pilnujących na Pomorzu skarbów... – Paulina pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Każda legenda kryje ziarno prawdy – powiedział Igor, uśmiechając się.

– Ale dlaczego smoczyca? – Johann nagle zmarszczył brwi. – O co dziadkowi chodziło?

– To była dla ciebie wskazówka. – Igor pokiwał głową. – Sam mówiłeś, że bajki dziadka „doroślały” wraz z tobą.

– Ale jaka wskazówka? Smoczyca? Co to mogło znaczyć?

– Pomorski herb to gryf ze skrzydłami. W heraldyce natomiast gryf ze skrzydłami jest zawsze płci żeńskiej. Gryf samiec nigdy nie ma skrzydeł. – Igor uśmiechnął się do Johanna, który patrzył na niego z otwartymi ustami.

– Więc pomorski gryf jest kobietą? Najchętniej bym teraz usiadła. – Paulina pokręciła głową i zmęczona spojrzała pod nogi. – Ale chyba sobie daruję w tej sytuacji. Skąd się tu wzięła para?

Igor rozejrzał się. Woda sięgała mu już powyżej kolan, a nisko nad jej powierzchnią unosiła się szara mgiełka. Zmarszczył brwi.

– Nie uważacie, że tej wody ciągle przybywa? – spytał Johann, świecąc pod nogi.

– Lepiej się pośpieszmy z tym szukaniem studzienki. – Igor ruszył do przodu, oświetlając ceglane sklepienie.

Przypomniały mu się opowieści techników z zakładu wodociągów. Gdy w kanałach pojawia się para, to lepiej natychmiast uciekać.

\*

Na temat tajemniczych wydarzeń pod tarasem Wałów Chrobrego jako pierwszy wypowiedział się popularny portal *KochamSzczecin*. Było grubo po drugiej, kiedy każdy, kto zdążył wrócić do domu i włączył Facebooka, mógł zobaczyć zdjęcie karetek i wozów strażackich, a pod nim podpis: *Czyżby kogoś stratowano?*

W chwilę później pojawiły się komentarze sugerujące, że gwałtowny deszcz musiał zalać stację transformatorową, a ponieważ wichura rzeczywiście zerwała parę linii, pojawiły się obawy, że prądu nie będzie pewnie do poniedziałku. Na innym portalu ktoś wstawił informację, że woda podmyła fundamenty tarasu, a jeszcze gdzie indziej sugerowano, że były to porachunki jakichś gangsterów.

Pół godziny później na chodnik u stóp tarasu wjechał wóz transmisyjny,

a zaraz za nim pod same drzwi do trafostacji podjechały dwa kolejne wozy strażackie oraz samochód, którym przyjechali specjalnie sprowadzeni w trybie awaryjnym specjaliści od geotechniki i mechaniki gruntów. Na koronie tarasu i na schodach pojawiły się parasole, spod których wydarzenia pod drzwiami transformatorowni obserwowały ciekawskie nocne marki i fotoamatorzy.

Deszcz cały czas padał, ale wiatr stracił już swój impet. Cały czas grzmiało, a błyskawice rozrywały ciemne niebo, jednak burza wyraźnie powoli odpływała na południe i mroczne burzowe chmury z wolna znikwały nad dachami Nowego Miasta.

Na kilku ulicach pojawiły się ogromne jeziora wody deszczowej, której nie zdołała wessać niewydolna kanalizacja burzowa. W niżej położonych dzielnicach zalało piwnice, a w kilku miejscach w mieście zwały się drzewa, tarasując drogi i przejazdy. Pod tarasem Wałów Chrobrego migotały światła karetek i wozów bojowych, pomiędzy którymi uwijali się przemoczeni strażacy i ratownicy medyczni.

Noc jeszcze się nie skończyła i dla wielu osób długo jeszcze miała się nie skończyć.

\*

– Słyszeliście? – Paulina spojrzała za siebie. – Co to może być?

Z głębi kanału dochodził cichy szum.

– Pod ścianę! – wrzasnął Igor. – Natychmiast! Złapcie się czegoś!

– Co się dzieje? – krzyknął zdezorientowany Johann, odwracając się i celując reflektorem w głąb kanału.

– Złap się czegoś! – Igor szarpnął Paulinę za ramię i przyciągnął ją mocno do siebie.

– Co ty robisz? – zawołała wystraszona Paulina.

– O ja ... – Johann jęknął i rzucił się do ściany, w której otwierał się akurat niewielki otwór bocznego dopływu. Złapał się kurczowo za jego krawędź. Igor przycisnął Paulinę do ściany i chwycił za ceglany narożnik.

Z głębi kanału słyhać było narastający huk, który nieubłaganie zbliżał się w ich kierunku. Wiszący na szyi Igora reflektor oświetlił po chwili ścianę

wody, która płynęła w ich kierunku niczym ogromna fala. Masa wody z hukiem przetoczyła się przez ostatnie dzielące ich metry i z impetem przewaliła nad ich głowami.

Igor otworzył oczy. Woda sięgała mu do pach, a prąd zrobił się nagle bardzo rwący. Reflektor, który wciąż wisiał na jego szyi, świecił pod wodą, szarpiąc się na pasku jak wściekły pies.

– Boże! – jęknęła Paulina. – Chyba mi zmiażdżyłeś ramię.

Dopiero teraz zorientował się, że cały czas kurczowo trzyma jej rękę.

– Utrzymasz się, jak cię puszczę? – spytał, rozluźniając palce.

– Tak, potrafię dobrze pływać.

– Wody ciągle przybywa. – Johann wytarł twarz wolną ręką i spojrzał w głąb tunelu. – Musimy iść, bo utoniemy, jak będzie jej jeszcze więcej.

Igor powoli puścił krawędź załomu bocznego dopływu. Od razu poczuł, jak silny prąd usiłuje porwać go w głąb ciemnego lochu.

– Trzymaj się ściany za mną – powiedział do Pauliny i przyciskając dłonie do gładkiej powierzchni cegieł, ruszył za Johannem.

Kanał ciągnął się cały czas prosto. Wody przybyło już tyle, że czuł, jak chlupocze mu powyżej ramion. Spojrzał do tyłu na Paulinę, której woda sięgała już prawie do brody. Reflektor, który miała zawieszony na szyi, świecił pod wodą, nadając jej dziwny niebieskoczerwony kolor. Ciekawe, jak długo te reflektory wytrzymają, pomyślał. Niby były wodoodporne.

– Uważajcie! Tu jest jakiś stopień wodny! Kanał się obniża – krzyknął Johann, odwracając głowę. Zrobił krok do przodu i zniknął nagle pod wodą.

– Johann! – wrzasnął Igor i skoczył w przód.

Kilka metrów dalej, poniżej uskoku, nagle pojawiła się głowa Johanna, który złapał się ściany i zaczął kaszleć.

– Pośliznąłem się! – krzyknął, wypluwając wodę.

Igor, ostrożnie stawiając nogi, spróbował wyczuć nawierzchnię. Prąd był na tyle silny, że trudno się było utrzymać na pochyłym, wyślizganym fragmencie posadzki. Zrobił większy krok i poczuł, jak się ześlizguje. Machając bezładnie rękami, usiłował złapać się ściany i poczuł, jak znika pod wodą. Uderzył w coś i podniósł się, usiłując zachować równowagę. Otworzył

oczy tuż przed Johannem, który z szeroko rozstawionymi nogami stanął mu na drodze. Przetarł twarz i spojrzął do góry.

Na szczycie kaskady stała Paulina, której widać było samą głowę, oświetloną trupim światłem wydobywającym się spod wody.

– Złapiemy cię! – krzyknął.

Paulina zrobiła krok do przodu i rozkładając ręce, dała się porwać nurtowi. Po chwili wylądowała w ramionach Igora, który o mały włos nie stracił równowagi.

– Tu jest niżej – jęknął Johann.

Igor spojrzął do góry. Łukowy strop kanału wisiał prawie nad jego głową.

Jeśli przybędzie jeszcze więcej wody, to się potopią.

– Musimy iść jak najszybciej! – krzyknął Johann i nie czekając, ruszył do przodu, trzymając się jedną ręką ściany.

Igor zastanawiał się, ile mogło minąć minut? Piętnaście? Dwadzieścia pięć? Czuł, że zaczyna marznąć. Początkowe emocje, napięcie spowodowały, że nie czuł zimna, ale teraz, po co najmniej kilkunastu minutach spędzonych w zimnej wodzie zaczął się trząść. Johann był przed nim kilka metrów. Widział w półmroku jego głowę wystającą z wody i ramiona przesuwające się tuż nad linią nurtu.

– Stójcie! – krzyknął, odwracając się do nich. – Słyszycie?

Igor zatrzymał się i nadstawił uszu. Przez chwilę słychać było jedynie szum płynącej wody, która omijała ich, tworząc wokół spienione wiry. Po chwili dotarł do Igora inny odgłos. Jednolity, głośniejszy huk o innym natężeniu.

– Kolejny próg? – jęknęła Paulina. – Niemożliwe! Przecież ta woda musi płynąć do rzeki, a my znajdujemy się może metr tylko nad poziomem Odry.

Johann wyciągnął reflektor spod wody i skierował go na sufit.

– Chyba ten kanał włącza się do jakiegoś większego! – krzyknął. – Tam musi być silniejszy nurt.

Igor odwrócił się i zlustrował loch za nimi, usiłując zlokalizować strony świata. Większy kanał to mogła być jedynie jakaś rzeka, która kiedyś płynęła do Odry, a później została zamurowana pod ziemią. Osówka? Wydawało mu

się, że jest dużo dalej. Może stracił poczucie odległości?

Kanały w Szczecinie nie były zinwentaryzowane nawet w połowie. Całe ich nienaniesione na mapy kilometry biegły pod ulicami, podążając w stronę rzeki i odbierając deszczówkę starymi, wciąż drożnymi studzienkami. Dawniej były to kanały ogólnospławne, które odbierały także kanalizację sanitarną. Ile jeszcze kamienic nad Odrą było do nich podłączonych? Wzdrygnął się z obrzydzeniem.

– Idziemy! Nie mamy wyjścia! – krzyknął do Johanna. – Cały czas nie mineliśmy jeszcze żadnej studzienki.

Johann pokiwał głową i ruszył przed siebie. Nie uszedł nawet kilku kroków, gdy nagle zniknął. Igor, rozgarniając energicznie wodę rękami, rzucił się za nim, gdy poczuł, jak sam traci grunt pod nogami. Kipiel wciągnęła go pod wodę. Nurt zrobił się na tyle silny, że czuł, jak miota nim, a po chwili, że spada nagle w dół. Poczuł uderzenie w głowę i stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, pierwsze, co zobaczył, to czarny dżinsowy materiał. Strasznie bolała go głowa i czuł, jak wzrok bardzo powoli zaczyna wracać do dawnej ostrości. Po chwili spostrzegł, że materiał to przemoczona kurteczka, a jego głowa spoczywa na ramieniu Pauliny.

Odetchnął i uniósł głowę. Widział nad sobą zatroskaną twarz Pauliny, która obejmowała go jedną ręką, drugą trzymając się ceglanego załomu na ścianie. Gdy zobaczyła, że się poruszył, rozjaśniła się i odetchnęła z ulgą.

– Jezu! Myślałam, że się nie ockniesz – powiedziała. – Zniosło cię i walnąłeś głową w ścianę.

Podniósł rękę i dotknął głowy. Na dłoni został ślad krwi. Musiał niezłe walnąć, głowa go jeszcze bolała. Rozejrzał się. Stali przy ścianie w kanale, który miał jakieś cztery metry szerokości. Płynął nim spieniony nurt, który pozostawiał jednak do sklepienia swobodną odległość około metra. Kilka metrów dalej, w przeciwległej ścianie widać było owalny otwór, z którego wypływała kaskada brudnej wody. To stamtąd pewnie wypłynęli.

– Gdzie Johann? – Odwrócił się gwałtownie, lustrując ścianę przed sobą.

– Nic mu nie jest. Poszedł do przodu szukać studzienki. Byłeś zbyt ciężki i bezwładny, żeby cię wlec w tej rzece.

Igor złapał za wyłom i poruszył nogami. Na szczęście wszystko, oprócz rozbitej głowy, było w porządku. Stał na dnies kanału i wyciągnął reflektor ponad wodę. Sklepienie kanału miało kształt łuku, co jakiś czas przecięte było wzmacniającym gurtem ze stalowych, kompletnie skorodowanych belek.

Podziemna rzeka, pomyślał.

– Jest! – usłyszeli nagle wrzask i kilkanaście metrów dalej ujrzeli sylwetkę Johanna, który brodząc po pas w wodzie, szedł do nich, machając rękami.

– Jest studzienka! – Jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

Johann dźwignął się do góry i złapał metalowy stopień. Nad nim, w stropie kanału, otwierała się perspektywa okrągłej studni zamkniętej kratą, przez którą przeświecały okrucy światła. Po chwili postawił stopę na najniższym stopniu i spojrział w dół. Z przemoczonego ubrania ściekały strugi wody.

– Masz jeszcze ten łom? – Spojrział na Igora.

Igor sięgnął do plecaka. Zdjął go z ramion i wsadził do środka rękę. Pomyślał, że tablet pewnie dawno nie żyje. Johann chwycił łom i trzymając go kurczowo w ręce, zaczął się wspinać. Igor i Paulina, z zadartymi głowami, stali po dwóch stronach drabinki.

Paulina nagle zmarszczyła brwi i spojrziała na Igora.

– Słyszysz? – spytała z niepokojem.

Igor odwrócił głowę. Z głębi kanału dochodził narastający szum.

– Na zewnątrz musiało być oberwanie chmury – zdążyła powiedzieć Paulina, gdy nagle z głębi lochu wypłynęła spieniona masa brudnej wody, tworząc przed sobą wielką falę, która uderzyła z hukiem w drabinkę, zalewając kanał po strop.

Po dłuższej chwili Igor otworzył oczy i potrząsnął głową. Woda sięgała prawie do ceglanego sklepienia lochu.

Pauliny nie było.

Rozejrzał się gwałtownie wokół siebie. Reflektor, obijając się o jego brzuch, oświetlał spieniony nurt, zamieniając go w zielone akwarium. Woda była mętna i nieprzezroczysta. Wyszarpnął podłużną tubę reflektora spod wody i skierował go w głąb kanału. Nie widział nigdzie Pauliny. Boże!



Spojrzał w górę i zobaczył, jak Johann, uczepiony drabinki, szarpie się z łomem, usiłując podważyć kratę zamykającą studnię.

– Paulina zniknęła! – wrzasnął. – Porwała ją woda! Jak wyleziesz na górę, otwórz następną studzienkę! Dwie następne! – krzyknął jeszcze i nie czekając na reakcję Johanna, który spojrzał w dół, z panicznym pośpiechem rzucił się prosto w wir spienionej deszczówki.

\*

Metalowa pokrywa studzienki na skraju chodnika przy rzadko uczęszczanej bocznej uliczce lekko się uniosła, a po chwili przesunęła w bok. Wypełzła spod niej umorusana ręka i zacisnęła się na krawędzi studni. Dla postronnego obserwatora musiałyby to wyglądać dość upiornie, ale ulica była pusta, więc nikt nie zauważył, jak ze środka wyskoczył Johann i ociekając wodą, stanął na jezdni, rozglądając się wokoło.

Kilka metrów dalej, w poprzek jezdni, leżało zwalone drzewo, którego połamane gałęzie porozrzucane były dookoła. Nieco dalej na chodniku leżał przewrócony kosz na śmieci, a ciągnące się wzdłuż ulicy siatkowe ogrodzenie w kilku miejscach przerwane było przez rozczapierzone gałęzie zwalonego kasztanowca.

Johann rozejrzał się po wyludnionej dzielnicy, po czym spojrzał na jezdnię. Próbował odtworzyć w pamięci kierunek, w jakim przebiegał kanał, z którego dopiero co się wydostał. Powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy. Jakies sto metrów dalej w asfaltowej nawierzchni tkwiła kolejna studzienka kanalizacyjna.

Ścisnął łom i ruszył biegiem w jej kierunku.

Silny nurt szarpał Igorem, usiłując wyrwać mu plecak i zwalić z nóg. Trzymając jedną rękę na ścianie i szorując palcami po ceglanej powierzchni, stawiał pod wodą wielkie kroki, rozglądając się i świecąc reflektorem dookoła.

– Paulina! – wrzasnął.

Pomyślał, że to bez sensu. Raczej mu nie odpowie, jeśli wciągnął ją gdzieś nurt, ale nie wiedział, co robić. Woda zalewała mu ramiona. Jeśli jemu sięgała tak wysoko, to Paulina znajdowała się już dawno pod powierzchnią.

Skoczył do przodu, dając się przez chwilę nieść wartkiemu nurtowi. W ostatniej chwili zdołał uchylić głowę przed wystającą z sufitu stalową belką. I wtedy ją zobaczył.

Daleko przed sobą. Na skraju widoczności świetlnego promienia. Widać było tylko czarną kurtkę, która podskakiwała na falach. Rzucił się w nurt i zaczął płynąć. Przemknęła mu przez głowę myśl, że po raz pierwszy w życiu płynie kraulem przez ciek kanalizacyjny. Czarna kurtka, bezwolnie dając się szarpać spienionej wodzie, cały czas była daleko. Zaczął młócić wodę ramionami. Odległość powoli się zmniejszała.

Jeszcze kilka ruchów i będzie mógł złapać za skraj materiału. Kilka metrów dalej kanał skręcał w prawo, a na zakręcie tworzył się wir. Woda szarpnęła czarną kurtkę i przez moment nad wodą ukazała się twarz Pauliny. Igor zauważył w tym momencie, że najwyraźniej, w przeciwieństwie do niego, nie zdążyła się uchylić przed belką na stropie kanału. Na jej czole widniała duża szrama.

Paulina, porwana przez wir, wpadła na ścianę i przez chwilę woda kotłowała się wokół niej, usiłując ponownie porwać ją ze sobą. Igor skoczył do przodu i zdołał złapać ją za rękę. Poczuł, jak plecak ześlizguje mu się z ramienia i szarpie się na pasku. Nie mógł go powstrzymać, jeśli chciał utrzymać Paulinę. Plecak, uwolniony ze smyczy, wyrwał się, i unoszony przez nurt, pomknął w głąb kanału.

Igor chwycił Paulinę wpół i wyciągnął jej głowę na powierzchnię. Tuż pod linią włosów przebiegał długi ślad uderzenia, a wokół zdążył już się zrobić wielki siniak. Przelewała mu się przez ręce. Ile czasu przebywała pod wodą? Pół minuty? Minutę? Pomyślał, że jeśli jak najszybciej nie zrobi jej sztucznego oddychania, to nie zdoła jej uratować.

Przez głowę przeleciały mu, przyswojone dawno temu, zasady przywracania oddechu. O prowadzeniu tej akcji na powierzchni wody słuchał tylko na kursie żeglarskim. Obrócił ciało Pauliny, żeby dodatkowo prąd pomagał je unosić, i odchylił jej głowę do tyłu. Podłożył pod nią dłoń. Dwa oddechy na początek! Potem co pięć sekund! Poradzi sobie!

Głęboko wciągnął powietrze i pochylił się nad Pauliną. Jak dobrze, że jest taki wysoki. Usta Pauliny były sine i zimne. Zakrył je dłonią, żeby więcej wody nie dostało się do jej płuc. Raz, dwa! Pięć sekund. Jeden wdech!

Pięć sekund przerwy. Rozejrzał się, wypatrując w stropie kolejnej

studzienki. Przed nim ciągnął się prosty przewód kanału. Pod łukowymi sklepieniami płynęła kotłująca się, brudna woda. Reflektor wydobywał na jej powierzchni spienione plamy.

Wdech!

Reflektor! Igor spojrział na długą tubę i przesunął włącznik.

Wokół niego zapanował nagle mrok, wypełniony jedynie bulgotem i szumem. Po chwili, gdy wzrok przyzwyczaił się dociemności, w odległości może dwudziestu metrów zobaczył nagle jaśniejszą plamę i smugę światła. Nie włączając reflektora, zaczął holować bezwładne ciało Pauliny w tamtym kierunku.

Studzienka była płytsza niż poprzednia, widać teren na górze opadał. Z otworu wystawała pogięta drabinka, której koniec nikał w wodzie. Igor spojrział w górę. W perspektywie owalnego kanału widać było gwiazdy.

Bogu dzięki! – pomyślał. Johann zdążył otworzyć pokrywę.

Pochylił się nad ustami Pauliny. Wdech. Pięć sekund.

Z góry nagle doszedł go czyjś okrzyk. Podniósł głowę i zobaczył jasne, mokre włosy Johanna, wyłoczone światłem latarni. Pomyślał, że to najpiękniejszy widok, jaki widział w życiu.

– Leć po pomoc! Paulina nie oddycha! – wrzasnął.

Wdech! Kolejne pięć sekund. Raz, dwa...

Poczuł nagle, że ciało Pauliny drgnęło, tak jakby przebiegł przez nie prąd. Trzy sekundy! Cztery!

Paulina gwałtownie odgięła głowę i krztusząc się, wciągnęła powietrze. Igor mocniej chwycił jej ramiona i uniósł wyżej. Zaniósł się kaszlem, wypluwając wodę z płuc. Poczuł, jak napięła mięśnie.

– Wszystko dobrze? Słyszysz mnie?

Paulina, wciąż dając się unosić wodzie, poruszyła się i otworzyła oczy. W mroku oświetlonym jedynie przez wydobywające się spod powierzchni wody zielone światło zobaczył jej przestraszony wzrok. Drgnęła gwałtownie.

– Uspokój się! O mało nie utonąłaś! Nie szarp się, trzymam cię!

– Co się stało? – Głos Pauliny był ledwie słyszalny. – Strasznie mnie boli głowa.

– To dobrze! – Igor odetchnął z ulgą. – To znaczy, dobrze, że nie utonąłeś – zaplątał się.

– Postaw mnie. – Poruszyła się. – Utrzymam się już na nogach.

– A zdołasz wejść na górę? – Wskazał wzrokiem owalny otwór studzienki kanalizacyjnej.

Skinęła głową. Ale była to czcza deklaracja. Gdy znaleźli się u wylotu otworu, Igor spływał potem. Jak to możliwe? Jestem przecież mokry od stóp do głów, pomyślał.

Paulina usiadła ciężko na krawężniku i oparła się ręką o betonowe płyty wąskiego chodnika. Igor z niemałym trudem wydobył z kanalizacyjnego przerębla długie nogi i dźwignął się do góry. Z jego ubrania ściekały na asfalt całe litry wody.

Ile czasu byliśmy w tej wodzie? Godzinę? Dwie? Czy grawitacja była zawsze taka upierdliwa? Obok studzienki leżała betonowa pokrywa. Za wąskim pasem płyt chodnikowych rozciągała się zieleniejąca na niebiesko w świetle latarni płaszczyna trawnika.

Podszedł do Pauliny i pomógł jej się podnieść.

– Połóż się na boku na trawie. Johann pobiegł po pomoc.

– Nic mi nie jest. – Paulina uklękła.

– Powinnaś trafić do szpitala na obserwację. Topiłaś się. – Igor usiadł na mokrej trawie.

– Nic mi nie jest – powtórzyła Paulina, kładąc się na trawie i opierając głowę na zgiętym przedramieniu.

Trawa była mokra, dookoła stały w niej niewielkie kałuże. Igor położył się na plecach i głęboko odetchnął. Niebo było wręcz usiane gwiazdami.

– A gdzie Orion? – Paulina przekrzywiła głowę, patrząc w niebo.

– Nie widać go w czerwcu. – Spojrzał na nią z pobłażliwym uśmiechem.

Odwzajemniła grymas. Mądrała.

– Nikt nam nie uwierzy – westchnął, patrząc znowu w niebo. – Zgubiłem tablet.

– I nie musi. Jakoś mnie to w ogóle nie obchodzi.

Pomyślała, że chyba jest beznadziejną dziennikarką. Odwrócił głowę

i spojrział na nią swoimi brązowymi oczami. Uśmiechnęła się.  
Jej prywatny, dwugwiazdny szlak bursztynowy.

# Epilog

Lato dobiegało końca. Słońce, zawieszane nisko nad dachami, oświetlało szczyty kamienic i długimi złotymi nićmi kładło się na zakurzonych chodnikach i kolorowych maskach samochodów. Dzień rozgrzany całodziennym upałem z wolna usypiał, kołysząc się w oczekiwaniu na podwieczorek.

Przed barokowym Pałacem Sejmu Stanów Pomorskich zatrzymała się pozbawiona oznaczeń biała furgonetka. Niegdyś zatrzymywała się tutaj zaprzężona w dwie pary koni karoca. Pałac kazał wznieść w 1726 roku król Fryderyk Wilhelm I, zaraz po tym, jak w ostatnich latach wojny północnej odebrał Szczecin wraz z Pomorzem Szwedom. W trójkątnym szczycie nad wejściem do budynku do dziś pysznił się królewski herb Hohenzollernów, ukazany na tle panopliów i alegorii królewskich cnót, sprawiedliwości i roztropności.

Dzisiaj mieściła się tutaj Galeria Sztuki Dawnej Muzeum Narodowego.

Z szoferki wysiadło dwóch młodych mężczyzn w czarnych koszulkach polo, na których widniało logo firmy przewozowej. Jeden z nich szarpnął za klamkę i odsunął boczne drzwi. Po chwili ostrożnie wyjęli wielki, opakowany szarym papierem i wzmocniony drewnianą ramą prostokątny pakunek. Chwycili go z dwóch stron i wspięli się na wąskie schody, przesłonięte ażurową, kutą z żelaza balustradą. Jeden z nich pchnął barokowe, brązowe drzwi i po chwili obaj zniknęli w budynku.

Hall muzeum pogrążony był w ciszy przerywanej tylko regularnym popiskiwaniami komórki starego szatniarza, prowadzącego SMS-ową konwersację z wnukiem. Korpulentna kobieta w średnim wieku, która ślęczała przy kasie nad czwartym rozdziałem książki o kulisach życia towarzyskiego elit, drgnęła na dźwięk skrzypiących drzwi i z zainteresowaniem spojrzała w kierunku wejścia. Dochodziła dziewiętnasta. Była ciekawa, kto chciał o tej porze, w dzień powszedni, w dodatku taki piękny, przychodzić do muzeum?

Przez otwarte drzwi wpadł do wnętrza długi świetlny promień i ułożył się na kamiennej posadzce. Dwóch mężczyzn przytargało do środka wielki pakunek. Podeszli do wysokiej lady, za którą siedziała kobieta, i oparli drewnianą ramę o ścianę.

– Dzień dobry. – Jeden z mężczyzn uśmiechnął się i wyciągnął z tylnej kieszeni list przewozowy. – Paczka dla muzeum. Z Londynu.

Położył papier na ladzie i wskazał palcem jedną z rubryczek.

– Proszę tu podpisać.

Kobieta sięgnęła po długopis i trzymając go kurczowo w palcach, na moment się zawahała.

– Nikt mi nic nie mówił, że przyjdzie jakaś przesyłka. – Spojrzała zza okularów na młodego mężczyznę. – W dodatku z Londynu. Co to jest?

– A ja wiem? – mruknął niecierpliwie młodzieniec. – Ja to tylko dostarczam. Pewnie jakieś stare barachło. Proszę podpisać. Wszystko jest opłacone.

Kasjerka pokiwała głową uspokojona i wpisała mały zakrętas w rubryczce druku. Barachło! Co za pęta!

– To dla pani. – Młody człowiek oderwał kopię listu przewozowego i położył go na ladzie. Po chwili obaj mężczyźni zniknęli za wielkimi drzwiami, które skrzypiąc, powoli się zamknęły.

Starszy pan schował komórkę do kieszeni, wyszedł zza kontuaru szatni i stanął przed wielką paką. Zmarszczył brwi.

– Nic mi nie powiedziała. – Kobieta konfidencjonalnie skinęła głową w kierunku lakierowanych na biało drzwi w końcu korytarza.

– Wygląda jak obraz. Otwieramy?

– Lepiej ją zawołam. – Sięgnęła do telefonu na ladzie.

Po chwili białe drzwi się uchyliły i do hallu weszła szczupła kobieta w nieokreślonym wieku z jasnymi, zebrnymi w kok włosami. Ubrana była w jasną lekką sukienkę, a w ręce trzymała filiżankę.

Dyrektor Potażyńska nie czuła się najlepiej. Upał ją wykańczał. Nawet w tych wielkich, chłodnych salach czuła gorące macki usiłujące dostać się przez uchylone okna do wnętrza. Nie pamiętała o żadnej paczce. Miało przyjść coś z Greifswaldu, ale to jakieś dokumenty i pisma. Korespondencja.

Ale paczka?

Potażyńska podeszła do lady kasy i stanęła wpatrzona w ogromny, obwiązany szarym papierem tobiół. Postawiła filiżankę z kawą na ladzie.

– Nic nie wiem o takiej wielkiej przesyłce – powiedziała. – Jest pani pewna, że to do nas?

– Kazał mi podpisać list przewozowy. – Bileterka wzruszyła ramionami.

– O, tu jest. – Podsunęła papier.

Potażyńska wzięła dokument do ręki i poprawiła okulary. Po chwili zmarszczyła brwi. Odwróciła papier na drugą stronę, obejrzała go i podniosła wzrok na bileterkę, która nagle pobladła.

– Przecież tu nic nie ma.

– Jak to nic nie ma? Przecież podpisałam.

– Ani nadawcy, ani adresu. – Dyrektorka machnęła listem. – Ani żadnych konkretnych danych firmy przewozowej.

– Na miłość boską! – Kobieta wyrwała papier z rąk Potażyńskiej. – Chryste! Rzeczywiście!

– Panie Mietku. – Dyrektorka skinęła do starszego mężczyzny. – Niech pan weźmie jakiś śrubokręt i to otworzy.

– A jeśli to bomba?

– Jaka bomba? Co pani opowiada, pani Zosiu! – Potażyńska pokiwała głową protekcjonalnie. – Czy tak wygląda bomba?

– A dużo pani bomb widziała, pani dyrektor? – odgryzła się pani Zofia.

– Proszę otwierać! – Dyrektorka skinęła na pana Mietka.

– Ja bym radziła wezwać kogoś.

– Niech pani przestanie opowiadać głupoty, pani Zosiu! To nie żadna bomba! – Potażyńska westchnęła i sięgnęła po filiżankę z kawą.

Drewniany stelaż pod naciskiem śrubokręta z cichym trzaskiem się poddał. Pan Mieczysław powoli wyjął z niego obwinięty szarym, grubym papierem prostopadłościenny kształt i postawił na ziemi obok lady. Szarpnął za papier. Wewnątrz było kolejne zabezpieczenie w postaci grubej bąbelkowej folii.

Potażyńska zrobiła kilka kroków na środek hallu i trzymając w rękę filiżankę z kawą, stanęła przed pakunkiem.



Miał jakieś dziewięćdziesiąt na osiemdziesiąt centymetrów.

Stary szatniarz ostrożnie odwinął ostatnie warstwy folii bąbelkowej.

Filizanka, którą Potażyńska właśnie podnosiła do ust, wypadła jej z ręki i roztrzaskała się na kamiennej posadzce.



# Podziękowania

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy wysłuchiwali cierpliwie niekończących się pomysłów na opowiedzenie tej historii, odpowiadali na nie zawsze mądre pytania, ciągnęci za język – wyrażali swoje opinie i czasem wylewali mi na głowę kubek zimnej wody, sugerując poprawki.

Przede wszystkim dziękuję mojemu bratu Marcinowi oraz przyjaciółce Agacie, właścicielce portalu „KochamSzczecin”, bez których ta książka w ogóle by nie powstała.

Dziękuję także pozostałym przyjaciołom – cierpliwym czytelnikom, korektorom i recenzentom – Jackowi, Pawłowi, Oli, Magdzie i Marcie.

- [1] Altdamm – Dąbie. Obecnie prawobrzeżna dzielnica Szczecina.
- [2] „Na końcu będzie zwycięstwo” – jedno z licznych haseł propagandowych rozpowszechnianych w Szczecinie przez Gestapo i policję od momentu pierwszych dywanowych nalotów i załamania się optymistycznych, prowojennych nastrojów.
- [3] Wydział Obce Armie Wschód.
- [4] Szczecin został zajęty przez wojska radzieckie 26 kwietnia 1945 roku. Postanowienia Układu Poczdamskiego z 2 sierpnia 1945 oraz późniejsze umowy przyniosły definitywne ustalenie północnych i zachodnich granic Polski oraz zadecydowały o wysiedleniu wszystkich Niemców od lutego 1946 roku.
- [5] Aleja Wojska Polskiego.
- [6] Ulica Potulicka.
- [7] CAD – program wspomagający projektowanie, umożliwiający opracowywanie dokumentacji technicznej w postaci grafiki 2D i 3D.
- [8] Grobowiec Najjaśniejszych Księżąt Pomorza.
- [9] Friedrichshof – majątek ziemski założony w 1816 roku przez Karla Friedricha Gampego, rozciągający się mniej więcej od dzisiejszego Placu Lotników aż do ulicy Słowackiego i zajmujący obszar części obecnego Śródmieścia, Jasnych Błoni i parku Kasprowicza.
- [10] Westend – dzielnica oparta na angielskich wzorach urbanistycznych, przeznaczona dla bogatej warstwy mieszczaństwa, utworzona w okolicach ulicy Wojska Polskiego. Projekt ten zapoczątkowała spółka Westend, której głównym motorem i udziałowcem był bogaty szczeciński przemysłowiec, Johannes Quistorp.
- [11] *Złoto dla zuchwałych (Kelly's Heroes)* – film wojenny z 1970 roku w reżyserii Briana G. Huttona.
- [12] Brama Berlińska (Berliner Tor) – dzisiejsza Brama Portowa.
- [13] Brama Anklamska (Anklamer Tor) – to dzisiejsza Brama Królewska, nazywana też Bramą Hołdu Pruskiego.
- [14] Ludwig Most (1807–1883), niemiecki malarz epoki Biedermeier, znany z licznych pejzaży i widoków Szczecina, a także Stargardu,

Pyrzyc i wsi pomorskich.

[15] Dobra rycerskie (łac. *praedium nobilium sive equestrium*, niem. *Rittergut*) – majątki ziemiańskie, których właściciele zobowiązani byli pełnić służbę rycerską w przypadku wojny, w zamian za co otrzymywali zwolnienie z płacenia podatków, obowiązku zakwaterowania żołnierzy i wysyłania chłopów z majątku na wojnę. Jako jednostka administracyjna, nazwa utrzymała się do 1929 roku. Do roku 1945 używano jej zwyczajowo.

[16] Brunn – Bezrzecze, dzisiaj dzielnica Szczecina.

[17] Claus Philipp Maria Schenk Graf von Stauffenberg (ur. 15 XI 1907 w Jettingen w Bawarii, zm. 21 VII 1944 w Berlinie) – pułkownik, szef sztabu armii rezerwowej. Należał do grupy spiskowców, którzy zaplanowali i zrealizowali nieudany zamach na życie Hitlera 20 VII 1944 w kwaterze Führera zwanej Wilczym Szańcem. Wybuch bomby jedynie lekko zranił Hitlera. Stauffenberg został aresztowany i razem z pozostałymi spiskowcami rozstrzelany natychmiast po pojmaniu.

[18] „Między dziedzińcem a ogrodem”.

[19] Obecnie Ińsko.

[20] Nauka o komunikacji, w której treść komunikatu ma pozostać ukryta.

[21] *Carrie* – głośny horror Briana de Palmy z 1976 roku na podstawie książki Stephena Kinga.

[22] ZUDP – Zespół Uzgadniania Dokumentacji Projektowej. Uzgadnia i koordynuje przebieg sieci i instalacji zewnętrznych.

[23] BdV – Bund der Vertriebenen, Związek Wypędzonych.

[24] Centrum Dialogu Przełomy – oddział szczecińskiego Muzeum Narodowego.

[25] *Klucz do Rebeki* – powieść sensacyjna brytyjskiego pisarza Kena Folleta.

[26] Projekt Gutenberg – projekt zainicjowany w 1971 roku przez Amerykanina Michaela Harta polegający na udostępnianiu w internecie elektronicznych wersji książek niechronionych prawami autorskimi lub do których prawa wygasły.

- [27] Blondie – imię owczarka niemieckiego, psa Adolfa Hitlera.
- [28] English Heritage – agenda rządowa powołana w 1983 roku dla ochrony dziedzictwa architektonicznego i kulturowego Anglii, Walii i Irlandii. Na terenie Szkocji działa National Trust for Scotland.
- [29] W 1534 roku na Sejmiku Trzebiatowskim zdecydowano o przyjęciu na Pomorzu Zachodnim religii protestanckiej jako państwowej.
- [30] Sedina – portal Miłośników Dawnego Szczecina.
- [31] Rzeźba śpiącego hermafrodyty z II wieku p.n.e. niegdyś znajdująca się w Borghese we Włoszech, obecnie w Muzeum w Luwrze.
- [32] *Mission Impossible* – film szpiegowski z 1996 roku w reżyserii Briana de Palmy.
- [33] Sewofluran – fluorowany eter metylopropylowy, środek znieczulający ogólnie, stosowany podczas zabiegów chirurgicznych.
- [34] *Oszukać przeznaczenie (Final Destination)* – horror produkcji amerykańskiej z 2000 roku w reżyserii Jamesa Wonga. W późniejszych latach nakręcono jeszcze cztery kontynuacje.
- [35] Oak Island (Wyspa Dębów) – miejsce hipotetycznego ukrycia wielkiego skarbu w zasypanej studni, odkrytej przypadkowo w 1795 roku przez młodych rybaków z Nowej Szkocji. Prowadzone przez wiele lat próby wydobywania legendarnego skarbu nie przyniosły żadnych rezultatów po dzień dzisiejszy. Obecnie wyspa jest własnością prywatną, a kolejne grupy eksploratorów prowadzą niekończące się poszukiwania.
- [36] Friedrichswalde.
- [37] Zamknij się!
- [38] Pierwsza loża masońska w Szczecinie założona została przez austriackich jeńców wojennych w 1760 roku. Została nazwana „L’union” (pol. Jedność), a miejscem spotkań bractwa był dom na Łasztowni (Haus auf der Lastadie). Dopiero w 1762 roku zmieniła nazwę na „Zu den drei Zirkeln”, czyli loża „Pod Trzema Cyrklami”.
- [39] *Dossier Secrets* (Tajne Akta) – zbiór dokumentów odnaleziony w Bibliotece Narodowej w Paryżu, zgromadzony przez niejakiego Henriego Lobineau. Dokumenty te, najprawdopodobniej jednak sfalszowane, stały się podstawą jednej z najsłynniejszych książek XX

wieku, *Święty Graal*, *Święta krew*, której autorami są Michael Baigent, Richard Leigh i Henry Lincoln.

[40] ODESSA – Organizacja utworzona przez wysokich członków SS, która powstała rzekomo pod koniec II wojny światowej dla zapewnienia bezpieczeństwa byłym nazistom oraz zabezpieczenia złota i kosztowności zrabowanych przez Niemców w czasie wojny. Nigdy nie udowodniono jej istnienia.

[41] Cytat z książki na temat wolnomularstwa z 1725 roku, *A Letter to a Friend Concerning the Society of Free Mason*, napisanej przez niezidentyfikowanego autora, ukrywającego się pod pseudonimem Verus Commodus (Prawdziwie Grzeczny).

[42] Cujo – imię psa ze znanego horroru Stephena Kinga, której mrocznym bohaterem był ogromny, chory na wściekliznę bernardyn.

[43] *Plutos* – z greckiego, bogactwo.

[44] Co za gówno!

[45] Profan – tu: osoba niebędąca członkiem loży masońskiej. W starożytnym Rzymie określano tak osoby niedopuszczone do tajemnic religijnych, bluźnierców. W rozumieniu potocznym: laik, dyletant, nieuk.

[46] Lara Croft – bohaterka kultowej gry komputerowej Tomb Raider, obdarzona przez grafików gigantycznym biustem.

[47] Hedwigshütte (Huta „Jadwiga”) – huta, która przed wojną mieściła się na wyspie Gryfii na wysokości dzielnicy Gocław. Właściciel, Szkot z pochodzenia, był także właścicielem Zakładu Antracytowo-Węglowo-Koksowniczego, który do dzisiaj funkcjonuje w Niemczech.

[48] Zasada zalecająca w wyjaśnianiu wszelkich zjawisk dążyć do prostoty. Nazwana tak od nazwiska średniowiecznego angielskiego teologa, franciszkanina Williama Ockhama. W rzeczywistości nie ma on z nią nic wspólnego, a zasadę tę ujętą jako: „Nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę” (*Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*) sformułował w XVII wieku niemiecki filozof Johannes Clauberg.

[49] Waldensi – powstałe we Francji około 1170 roku ugrupowanie chrześcijańskie, potępiające władzę i bogactwo Kościoła. Nazwane od nazwiska założyciela Piotra Waldo.

[50] Tacyt (55–120) – historyk rzymski, autor *Dziejów* i *Roczników*, które stanowią najbogatsze zachowane źródło informacji na temat legionów, wojskowości oraz historii Cesarstwa Rzymskiego. Jego autorstwa jest także traktat *Germania*, w którym, obok plemion germańskich, opisał także ziemie dzisiejszej Polski.

[51] Adam z Bremy (1050–1081) – niemiecki kronikarz i geograf, autor monumentalnej, czterotomowej *Kroniki ziem północnych*, którą spisał na podstawie istniejących wówczas starych dokumentów oraz doświadczeń z własnych podróży i badań. Ciekawostką jest, że to w kronice Adama z Bremy pojawiły się pierwsze wzmianki o Winlandii, którą dzisiaj najczęściej utożsamia się z Ameryką.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz